HMP

HEAVY METAL PAGES

E-38 (88) 2023
Issn 1643-8485
numer indeksu: 380296

POPIÓR
SODOM
DOKKEN
VENDETTA
HEAVY LOAD
CIRITH UNGOL

K.K.'s Priest

ALCATRAZZ, ANGELUS APATRIDA, BULLDOZER, DIVINER, FIFTH ANGEL, METALLUS, ROSS THE BOSS, SORCERER, THE RODS, TRIUMPH OF DEATH, WISHBONE ASH...

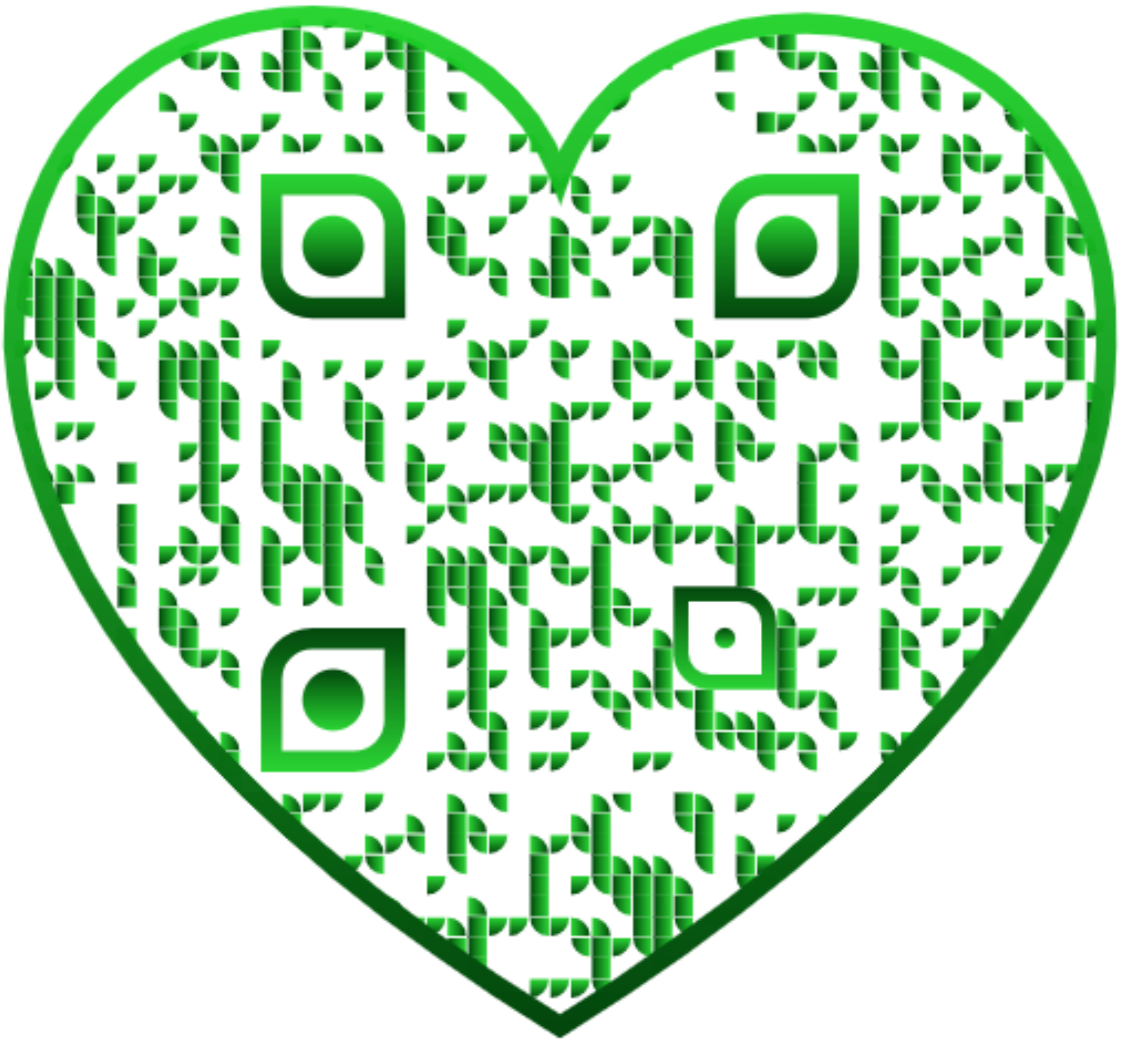

HIGH ROLLER RECORDS proudly presents:

HRR 893 Full Moon's Eyes
Vinyl, Slipcase CD and MC

HRR 894 Ecstasy and Danger
Vinyl, Slipcase CD and MC

HRR 895 Too Hot
Vinyl, Slipcase CD and MC

HRR 896 Feelings of Fury
Vinyl, Slipcase CD and MC

Sortilège

+++ CD, Vinyl, Tape Box +++

HRR 907 SORTILÈGE
HRR 908 MÉTAMORPHOSE
HRR 909 METAMORPHOSIS
HRR 910 LARMES DE HEROS
HRR 911 HERO'S TEARS

Original 1988 Album
Vinyl, Picture Disc, Slipcase CD and MC

1996 Alternate Version
Vinyl, Picture Disc, Slipcase CD and MC

LTD DOUBLE VINYL
ORIGINAL 1988 ALBUM + COMPLETE 10 TRACK "SUPERNATURAL DEATH" DEMO

LTD 3CD CLAMSHELL BOX
Ltd 500, handnumbered feat.: original 1988 album, 10 track "Supernatural Death" demo and "Live in New Orleans 1987" soundboard recording

LTD 3 MUSIC CASSETTE BOX SET
Ltd 300, handnumbered, feat.: original 1988 album, 10 track "Supernatural Death" demo and "Live in New Orleans 1987" soundboard recording +++ later this year +++

HR RECORDS

A wide range of over 15.000 articles (vinyl, CDs, tapes, merch, zines, shirts & patches) can be found in our webshop:

www.hrrecords.de

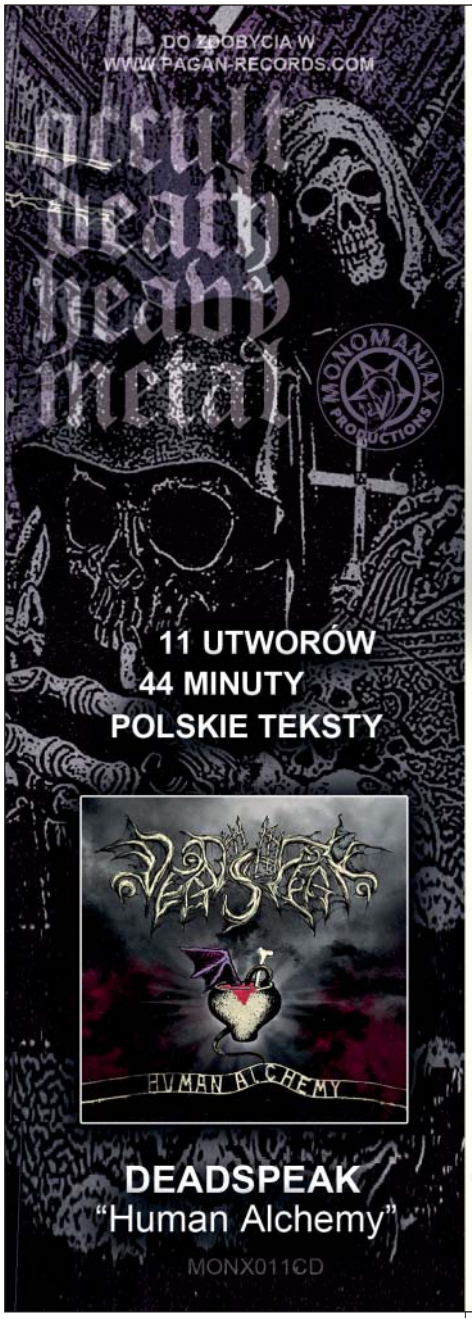

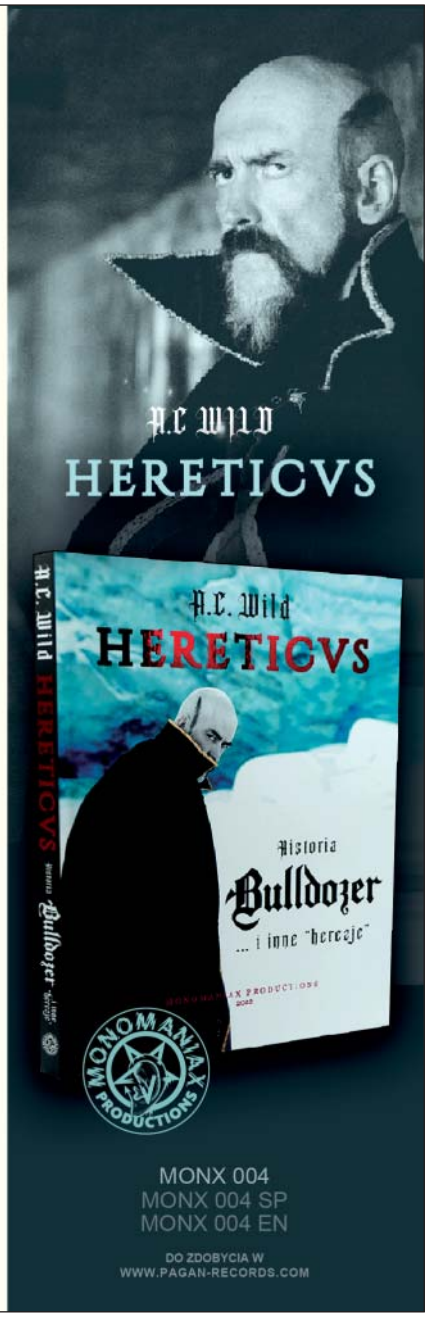

Spis tresci

3 Spis treści
4 KK's Priest
10 Heavy Load
16 Cirith Ungol
20 Popiór
24 Dokken
26 Alcatrazz
28 Fifth Angel
30 Ross The Boss
33 Bob Mitchell
38 Diviner
40 Angelus Apatrida
42 Metallus
44 Fukkin' Vengeance
46 Bulldozer
48 Cruel Force
50 Triumph Of Death
52 Satan's Fall
54 Blazon Rite
56 Arch Blade
58 Sentry
60 Protean Shield
62 Impending Triumph
64 Tassack
70 Farscape
72 Reckless
77 Iron Savior
80 Cobra Spell
82 Angra
84 Firewind
86 Wishbone Ash
90 Fogath
92 Antioch
94 By Fire And Sword
96 Mace N Chain
98 Sodom
100 Blind Illusion
102 Vendetta
104 Sorcerer
106 Flight
108 Withering Scorn
110 Tanith
111 Girlschool
112 Extinkt
114 Theocracy
116 Slowburn
118 Termination Force
120 Destructor
122 Hunter
124 Spectre
126 Dungeon
128 Under Attack
130 Blessed Curse
132 Critical Defiance
134 Razgate
135 Atonement
136 Trastorned
138 The Rods
140 Rascal
142 Lancer
144 Hitten
146 Skull And Crossbones
148 The Unity
150 Ankhara
152 Fortress Under Siege
154 Animations
156 Voltax
158 Icarus Witch
160 Primordial
163 Mustang
164 Metalowiec Gawędziarz
166 Zelazna Klasyka
168 Live From The Crime Scene
180 Decibels` Storm
220 Old, Classic, Forgotten...

KK's Priest

Im więcej heavy metalu tym lepiej

KK's Priest na nowej płycie "The Sinner Rides Again" zaserwował nam kawał rasowego, judas'owego heavy metalu, co było doskonałą okazją, żeby wziąć na spytki członków zespołu. Nie będę ukrywał, że liczyłem na wywiad z samym K.K. Downing'iem. Po pierwsze to on jest głównym kompozytorem, autorem tekstów i niekwestionowanym liderem swojego zespołu. Po drugie jego życie i kariera muzyczna to istny samograj i nieskończona liczba tematów do rozmowy. W końcu to jeden z założycieli jednego z największych heavy metalowych zespołów wszechczasów. Dodajmy do tego rozstania, poczucie niespełnienia, zawiedzione oczekiwania, ambicjonalne konflikty i urażoną dumę i mamy idealny wywiad. Niestety KK's Priest jest teraz w wirze promocyjnym i Panowie musieli podzielić między siebie obowiązki. W końcu to są setki rozmów z ludźmi z całego świata. Ale nie ma tego złego... pojawiła się możliwość przeprowadzenia wywiadu z Timem "Ripperem" Owensem. Nie jest to żadne słodzenie z mojej strony, ale jest to dla mnie jeden z największych wokalistów metalowych, który miał bardzo duży wpływ na mój rozwój muzyczny.

Napiszę Wam coś co dla wielu może być szokiem, ale pierwszą płytą Judas Priest jaką w życiu słyszałem był "Jugulator". O "Painkiller" usłyszałem dopiero kiedy zespół Death zrobił cover tytułowego kawałka na swojej ostatniej płycie. To były lata 90. i to Ripper był dla mnie wzorem wybitnego wokalisty, przy którym bladły popisy Halforda z lat 80. Do wcześniejszej twórczości Judasów przekonałem się z czasem, musiałem w pewnym sensie do niej dorosnąć, co mogłoby nigdy nie nastąpić gdybym wtedy nie usłyszał Tima i nie zobaczył go na Metalmanii 98 i potem jeszcze raz podczas Demolition Tour w USA. Dlatego nie ukrywam, że rozmowa z Owensem była dla mnie osobistym przeżyciem.

Na dokładkę dostałem jeszcze możliwość porozmawiania z AJ Mills'em, drugim gitarzystą KK's Priest, który jest przemiłym młodym gościem, ale niezbyt rozmownym. Jest to ziomek Downinga z Birmingham, więc mimo wszystko można było dowiedzieć się paru fajnych ciekawostek. Interesujące też było poznać czasami dwa różne spojrzenia na te same tematy i wydarzenia. No dobrze po tym przydługim wstępie zapraszam do lektury. Panie i Panowie, przed Wami KK's Priest!!!

HMP: Cześć Tim, mam na imię Grzegorz i jestem z magazynu Heavy Metal Pages z Polski. Naprawdę bardzo miło mi Ciebie poznać.
Tim "Ripper" Owens: Cześć, mi również bardzo miło. Go Poland!!!

Tak jest, do boju! Słyszałem, że obecnie jesteś w Australii. Co tam robisz?
Tak jestem w Australii na małym urlopie.

Ale ogólnie mieszkasz w USA?
Tak, w Ohio w USA. Ale moja dziewczyna mieszka w Australii, więc przyleciałem tutaj na mały urlop i codziennie robię wywiady.

Prawdopodobnie nie jest to najlepszy sposób na spędzanie urlopu, ale co zrobić, niedługo premiera nowego albumu. Pochodzisz z Akron, prawda? Sporo wiem o tym mieście, ponieważ na co dzień pracuję w firmie oponiarskiej, która ma tam siedzibę.
Ha! Dokładnie, zawsze mówię wszystkim, że to właśnie tam zaczęła się historia Goodyear, Cooper czy Firestone. Akron, Ohio było kiedyś nazywane światową stolicą gumy.

Pytam dlatego, że Akron to miasto przemysłowe, wielkie fabryki i kominy. Czy to środowisko miało na ciebie taki sam wpływ, jak Birmingham miało na K.K.? Czy to miasto ciężko pracujących ludzi "wykuło" Twoje metalowe serce?
Nie, myślę, że nie. Oznacza to tyle, że dorastałem spacerując po mieście, w którym wszędzie czuć zapach palonej gumy (uwierzcie mi, to nic przyjemnego - przyp. red.). Myślę, że to heavy metal ukształtował mnie, "wykuł" mnie jako osobę. Wiesz, jako dziecko słuchałem heavy metalu. Na szczęście mieliśmy w tamtym czasie zespoły takie jak **Dio** i **Sabbath**. Dla mnie także ważne było **Aerosmith**, **The Rolling Stones** czy **Kiss**. Także wiesz, Birmingham było związane z hutami stalowymi i odlewniami, więc u nas było trochę inaczej. Dlatego, to raczej heavy metal mnie ukształtował a nie industrialne otoczenie.

Jest jeszcze jedna rzecz, która Was łączy, oprócz pochodzenia. Lubicie grać w golfa. Który z Was jest lepszym graczem?
Jestem pewien, że jestem lepszy od **K.K.** Ostatni raz graliśmy razem w golfa, kiedy byłem w **Judas Priest**, a **Glenn**, **Ken** i ja często chodziliśmy na pole golfowe. Teraz już nie gram zbyt często, ale mogę założyć się o kolację w indyjskiej restauracji z **K.K.**, że go pokonam.

Przejdźmy zatem do "The Sinner Rides Again". Gratulacje, bardzo udany nowy album. Świetna robota. Jakie są pierwsze reakcje ludzi, którzy usłyszeli nowy materiał?
Niesamowite! Tak, jest świetnie. Miło jest zobaczyć takie reakcje. Pierwszy album "**Sermons of the Sinner**" również spotkał się z bardzo dobrym odbiorem, ale teraz jest jeszcze lepiej. Ludzie go uwielbiają. Prasa, fani, wszyscy go kochają...

Z mojego punktu widzenia, jest to bardzo intensywny album, bardzo ciężki, mroczny i melodyjny, ale zarazem różnorodny. Między innymi dzięki Twoim wokalom. Jak oceniasz swoją pracę, którą wykonałeś? Przypuszczam, że musisz być bardzo zadowolony?
Tak, jestem bardzo zadowolony. Było miło, bo ten album zrobiłem inaczej. Nagrywałem wokale w domu, w moim studio. Piłem kawę, siedząc na krześle i nagrywałem wokale. Mogłem na spokojnie pomyśleć o utworach, dodając do nich wiele różnych kierunków i patrząc na nie pod różnymi kątami. Jestem naprawdę zadowolony ze wszystkiego co znalazło się na tym albumie - z gitar, perkusji, basu, ale szczególnie zadowolony jestem z moich wokali.

Zawsze byłeś wokalistą o szerokich umiejętnościach wokalnych, ale wydaje się, że nadal się rozwijasz i tak jak właśnie powiedziałeś - zawsze dodajesz coś nowego. Na przykład w "Sons Of The Sentinel" Twój głos jest szorstki, prawie jak Udo Dirkschneider, w "The Sinner Rides Again mamy" i screamy i czyste wokale w stylu europejskiego power metalu, itd. Cała płyta to jeden wielki popis różnych techniki i barw wokalnych. Jak pracujesz nad swoim głosem, żeby być w formie?
Po prostu mam nadzieję, że potrafię śpiewać. Naprawdę nie wiem z czego to wynika. Zawsze staram się być lepszy, zawsze staram się być jak najlepszy. Naprawdę chcę być najlepszym wokalistą. Wiem, że wymaga to dużo cierpliwości i odpoczynku, ale chcę śpiewać w szerokim zakresie stylów wokalnych, od death metalu po wysokie tony. I wiem, że to piosenki same w sobie muszą na to pozwolić. Najważniejsze przy śpiewaniu to mieć piosenkę, z którą możesz pójść do przodu. Dlatego to było świetne przy tym albumie, że mogłem podejść do każdej piosenki trochę inaczej i dodać od siebie różne wokale.

Twój głos nadal jest czysty i ostry jak nóż. Czy robisz wiele ćwiczeń i treningów? Czy to wszystko przychodzi naturalnie?
Nie wykonuję żadnych ćwiczeń wokalnych. Po prostu dużo odpoczywam i piję dużo wody. Chodzę na siłownię, ale nie tutaj w Australii, tylko gdy jestem w domu, chodzę na siłownię codziennie. Tutaj staramy się chodzić na spacery i spędzać czas na zewnątrz. Dbamy o to, żeby to robić. Najważniejsze dla mnie jest to, że gdy muszę śpiewać w trasie czy gdziekolwiek, to nie rozmawiam dużo w ciągu dnia. Po

prostu piję dużo wody. Na szczęście teraz, kiedy byliśmy w trasie, mój głos był i cały czas jest tak dobry, jak nigdy wcześniej. Po prostu mam dużego farta.

Zastanawiam się, w którym momencie swojego życia zdałeś sobie sprawę, że masz tak wielki talent? Czy pokazywałeś swoje umiejętności wokalne jako dziecko? Ile w tym jest talentu, a ile pracy?
To naturalne. Słuchaj, nie będę kłamał. To zdecydowanie naturalny talent, który miałem od początku. Pracowałem nad tym, ale już gdy byłem małym dzieckiem zauważyłem, że byłem dobry w śpiewaniu. Lubiłem śpiewać. Siedziałem i śpiewałem **Elvisa**, byłem w chórze we wszystkich klasach w szkole, a potem zacząłem puszczać sobie heavy metalowe i hardrockowe utwory. I pomyślałem: "*O, potrafię to zaśpiewać*". To było naturalne. Chciałem być gitarzystą, ale to wymagałoby zbyt dużo ćwiczeń. Słuchaj, wolałbym mieć naturalny talent jako neurochirurg lub zawodowy golfista, bo wtedy zarabiałbym mnóstwo pieniędzy. Ale śpiewanie przyszło łatwo. To było naturalne na początku, ale potem problem zaczyna się, żeby to kontynuować i trzeba ciężko pracować, żeby to rozwinąć. Ale zdecydowanie miałem naturalny dar.

Różnorodność zawsze była Twoją mocną stroną. Już na "Jugulator" połączyłeś z powodzeniem klasyczne judasowe śpiewanie z grunge'owymi elementami w stylu Layne'a Staley'a czy Chrisa Cornella. Zastanawiam się czy grunge w tamtym czasie był dla Ciebie w jakiś sposób inspiracją, czy raczej niekoniecznie?
No cóż, trudno powiedzieć. Tak, pewnie tak, bo uwielbiałem **Chrisa Cornella**. Myślę, że miał na mnie duży wpływ. Wiesz, słuchałem wtedy wielu rodzajów muzyki, nadal inspiruje mnie wiele rzeczy. Duża w tym też zasługa **Glenna**, ponieważ naciskał żeby robić różne rzeczy. **Glenn** był tego inspiratorem, mówił: "*…spróbuj tego, spróbuj zaśpiewać to tak, zróbmy to w ten sposób...*". Ale tak, wiesz co? Myślę, że ta muzyka w pewnym stopniu wpłynęła na mnie, ponieważ uwielbiałem **Alice In Chains** i **Soundgarden**. Chociaż z drugiej strony jestem zainspirowany też takimi zespołami jak **Benediction**, więc tak naprawdę lubię wszystko.

Pytam ponieważ wielu muzyków heavy metalowych obwinia grunge za upadek heavy metalu w latach 90. Jaka jest twoja opinia? Przypuszczam, że nie nienawidzisz grunge'u tak bardzo jak oni?
Grunge miał wtedy otwarte drzwi, ponieważ dla ciężkiego rocka był dosyć gówniany czas. Wiesz, mieliśmy ballady miłosne, wszyscy ubierali się jak kobiety i śpiewali o różach z kolcami i długiej drodze do domu i tak dalej. To wszystko stało się... no wiesz, rozcieńczone, rozwodnione, słabe. Stało się tak, że te wszystkie zespoły stały się jak rodzina **Osmondów** i **Partridge'ów** heavy metalu. (The Osmonds i Partridge Family to amerykańskie sitcomy muzyczne z lat 70. Synonim miałkiej i tandetnej muzyki - przyp. red.) Nie obwiniam za to grunge'u. Słuchaj, **Soundgarden** był bardziej heavy metalowy niż zespoły, które wtedy grały. Wiesz **Judas Priest** wydawał "**Painkiller**", mieliśmy **Panterę**, wiele zespołów zaczęło grać cięższe brzmienia, ale było już za późno. Za późno ponieważ, te rozwodnione, lalusiowate zespoły naprawdę zaszkodziły i zniszczyły tę muzykę. Ludzie mieli dosyć patrzenia na zespoły, które bardziej wyglądały jak dziewczyny niż dziewczyny. To było smutne.

I jeszcze jedno pytanie o "Jugulator", bo to była pierwsza płyta Judas Priest, jaką w życiu usłyszałem…
…O naprawdę? Spoko…

...Wiesz, byłem wtedy nastolatkiem i dopiero po tym zacząłem szukać i sięgnąłem po starsze płyty. Jak myślisz, czy ten album przyczynił się do wielkiego renesansu Judas Priest, który tak naprawdę trwa po dziś dzień?
Tak, myślę, że to był ważny album. Ponownie, patrząc na to, co działo się w heavy metalu w tamtym czasie, ludzie zaczęli grać cięższej, dzięki **Panterze**. Myślę, że ta płyta była świetna, w sumie nasze obie płyty. Właściwie to wolę nawet bardziej "**Demolition**" niż "**Jugulator**". Myślę, że mogliśmy wtedy rozwinąć skrzydła w inny sposób, ponieważ mogłem zaśpiewać trochę inaczej - dodać trochę różnorodności. Myślę, że to są świetne albumy w ich katalogu. Niestety, te albumy nie istnieją.

Foto: Mind Art Visual

Tak, to niesamowite. Naprawdę trudno obecnie znaleźć te albumy, nieprawdaż?
Tak, to wspaniałe, bo **Judas Priest** stali się jak magicy, prawda? Bo w jakiś cudowny sposób sprawili, że cały mój okres zniknął. Więc to naprawdę świetne. (śmiech)

Ok, wróćmy teraz do KK's Priest. Czy możesz mi opowiedzieć o początkach zespołu? Jak do tego doszło?
To zaczęło się tak naprawdę od **Davida Ellefsona**, który miał swoje show, chyba o nazwie "**Live After Death**". Myślę, że odbywało się to w **KK's Steel Mill** (klub muzyczny należący do K.K. - przyp. red.). I zapytał **Kena**, czy chce dołączyć i z nim pograć. **Ken** odpowiedział: "*Tak, chętnie*". Potem ktoś zaproponował, żeby **Ripper** przyleciał i zaśpiewał. W ten sposób znaleźliśmy się na scenie i zagraliśmy ten koncert. **A.J.** grał na drugiej gitarze. **Tony Newton**, nasz basista, odpowiadał za dźwięk. Tak to się zaczęło. Myślę, że kilka miesięcy później, trzy lub cztery miesiące później, **Ken** zadzwonił i zapytał: "*Hej, czy jesteś zainteresowany graniem w zespole i nagrywaniem płyt?*". Ja odpowiedziałem: "*Tak, jasne, zróbmy to*". Wysłał mi kilka swoich pomysłów i pomyślałem, że to świetne rzeczy. I tak to się zaczęło. Czyli w 2019 roku, myślę, że w październiku lub listopadzie, a nagrywanie płyty zaczęliśmy na początku marca 2020 roku.

Wygląda na to, że byłeś entuzjastycznie nastawiony do tego projektu. Ale czy nie miałeś żadnych wątpliwości co do zaangażowania się w zespół? Żadnych złych wspomnień związanych ze wcześniejszą współpracą w Judas Priest?
Nie, nie miałem takich wątpliwości. Słuchaj, mówię zabawne rzeczy na temat **Priest**, w humorystyczny sposób. I czasem używam sarkazmu wobec ich managementu i usunięcia mojego okresu z historii zespołu. Ale kocham chłopaków i nie mam nic złego do powiedzenia o czasie w **Judas Priest**. **Ken** i ja zawsze byliśmy przyjaciółmi. Zawsze utrzymywaliśmy kontakt, bardziej niż z pozostałymi członkami zespołu. Oczywiście jestem przyjacielem ich wszystkich, włącznie z **Robem**. Ale z **Kenem** utrzymywaliśmy kontakt. Nie miałem żadnych zastrzeżeń i nie mogłem się doczekać. Wiesz, żyję z muzyki i mogę to robić tylko koncertując solo i robiąc takie rzeczy. Ale to była duża szansa, żeby zrobić coś, czego chciałem i wrócić z **Kenem**. Ludzie byli naprawdę podekscytowani, gdy zobaczyli imiona **K.K.** i **Ripper** obok siebie ponownie. To było miłe, patrzeć na prawo i widzieć **Kena** tam, uśmiechającego się i będącego w swoim żywiole. To wspaniały czas.

Już wspomniałeś o pracy nad nowym albumem. O tym, że nagrywałeś go na swoim krześle w twoim salonie. Ale chciałem zapytać, czy byłeś zaangażowany w komponowanie? Czy po prostu Ken zadzwonił do Ciebie, żebyś nagrał gotowy materiał. Jak to wyglądało?
Ken jest głównym kompozytorem, ale wiem, że **A.J.** również napisał razem z nim kilka rzeczy. Myślę, że różnica między pierwszym a tym albumem polega na tym, że **Ken** przesłał mi swoje pomysły i szkice wokali i powiedział:

"*To jest moja wizja*". A ja mogłem odcisnąć swoje piętno na jego pomysłach. Zwłaszcza będąc w domu, mogłem zrobić to co chciałem, ale to nadal jest **Ken**, wiesz. To jest jego. **Ken** nie mógł tego robić przez całą swoją karierę, nie mógł po prostu powiedzieć: "*Oto moje rzeczy, wszystkie moje…*". Teraz to on chciał przejąć kontrolę i to zrobił. Ale podoba mi się fakt, że mimo to, tym razem dał nam dużo wolności w zespole. Dlatego myślę, że ten album brzmi trochę inaczej, ponieważ wszyscy mogliśmy wnieść nasze własne osobowości i jeszcze bardziej je podkreślić.

A jak to wyglądało od strony logistycznej? Ty i Sean jesteście Amerykanami. Reszta chłopaków to Brytyjczycy. Przesyłaliście swoje partię tylko do miksu i masteringu? Czy spotkaliście się na którymś etapie tworzenia płyty?
Tak było w przypadku pierwszej płyty. Spotkaliśmy się, bo było to tuż przed wybuchem pandemii, więc zaśpiewałem w studio a **Sean** przyjechał i zagrał na perkusji. W przypadku drugiej płyty wszyscy nagrywali swoje partie w Anglii. Również **Sean** pojechał i nagrywał perkusję w Anglii. Byłem jedyną osobą, która zrobiła to zdalnie w domu. Dużo rozmawiałem z **Kenem** i w końcu udało mi się go namówić, żeby pozwolił mi nagrywać w domu. K.K. to stara szkoła i chciał, żebym był tam na miejscu przy nagrywaniu wokali. Ale powiedziałem: "*Ken, mogę nagrać to w swoim domu, nie ma potrzeby żebym jechał. To będzie oszczędność pieniędzy na lotach i hotelu, pozwól mi zostać w domu*". Ale wszyscy inni byli na miejscu, również **Sean**, mimo że mieszka w okolicach San Diego.

Foto: Mind Art Visual

Mam wrażenie, że ten album jest podzielony na dwie części. Pierwsze cztery utwory to prawdziwi kilerzy, typowe headbangery. A potem wchodzi "Hymn 66", który jest pewnego rodzaju przerwą, interludium czy może też łącznikiem pomiędzy tymi dwiema częściami. Następnie zwalniacie, kolejne utwory są bardziej epickie i złożone. Czy kryje się za tym jakiś głębszy plan?
Nie sądzę, żeby tak było, raczej nie. Uważam, że trzy ostatnie piosenki, a na pewno ostatnia piosenka "***Wash Away Your Sins***", są cholernie ciężkie. W "***Wash Away Your Sins***" są w sumie moje ulubione zwrotki na tej płycie. Są naprawdę ciężkie. Myślę więc, że nie ma za tym żadnego szczególnego planu. **Kenowi** udało się ułożyć taką setlistę piosenek, jaką uważał za najlepszą. Po prostu bierzesz kawałki i myślisz jak je sensownie ułożyć. Myślisz, który sposób jest najlepszy i tyle. Tak w sumie zrobione jest wiele płyt, i tak z reguły już bywa, że epickie kawałki zwykle są na końcu.

Tak, ale to właśnie te pierwsze kawałki wybraliście jako single. Więc prawdopodobnie czuliście, że to jest to, co może zdobyć publiczność.
Tak, myślę, że zawsze tak jest. Chociaż naszym następny wideo będzie "***Hymn 66***". Cały czas próbuję namówić **Kena**, żeby wypuścił "***Wash Away Your Sins***", jako lyrics video, bo świetnie się do tego nadaje. Ale tak, myślę, że to był dosyć naturalny wybór. "***One More Shot At Glory***" to idealna piosenka na pierwsze wideo. Tak samo myślę, że "***Strike Of The Viper***" jest idealne, żeby wyjść właśnie w tej chwili. Trwa dwie i pół minuty i jest jak uderzenie prosto w twarz. Do promocji płyty, z reguły nie chcesz używać piosenek, które są zbyt epickie. Chcesz, żeby były trochę krótsze i bardziej konkretne.

Nowa płyta jest prawie idealna i uważam, że właśnie takiej płyty ludzie oczekiwali od KK's Priest. Czy podczas nagrywania zastanawialiście się nad reakcją fanów, nad tym co może im się spodobać, a co nie? Czy po prostu szliście swoją drogą.
Zawsze myślisz o odbiorcach swojej muzyki i masz nadzieję, że to co robisz spodoba się zarówno im jak i tobie. Wiesz, w dzisiejszych czasach ludzie lubią dużo narzekać, więc musisz zdać sobie sprawę, że nigdy nie uszczęśliwisz wszystkich. Niektórzy ludzie po prostu nie są nigdy szczęśliwi i lubią narzekać. Wszystko czego my potrzebujemy do szczęścia to nasz zespół i możliwość nagrywania płyt. Ja wiem, że to jest dobra płyta. Wiem, że te piosenki są świetne, gra na gitarze i wszystko na niej jest świetne. Myślę, że to świetna płyta i tylko na tym powinniśmy się skupiać.

Kto jest odpowiedzialny za teksty? Czy to twoje zadanie?
K.K. Downing. **Ken** napisał wszystkie utwory, zarówno muzykę jak i teksty. On ma coś do udowodnienia i wiem, że jest podekscytowany możliwością zrobienia tego. Miałem dużo roboty z **A New Revenge**, moją solową EP-ką "**Return to Death Row**" i **Pyramid**. Napisałem dużo w tym czasie, więc dałem Kenowi się tym zająć.

W dużej mierze teksty dotyczą grzechu i odkupienia. Myślisz, że jest to rodzaj osobistego katharsis, oczyszczenia Kena? Czy może po prostu zbiór chwytliwych, heavy metalowych frazesów?
Jeśli mam być szczery, to myślę, że to heavy metalowe frazesy. W takiej muzyce one zawsze istniały i to jest odpowiednie dla nich miejsce. Wielu fanów może postrzegać je jako coś osobistego, podobnie jak inne tekst tego typu. Ale to jest heavy metal i w sumie takie teksty tu pasują.

A jak przebiega współpraca z Napalm Records? Wygląda na to, że dużo inwestują w promocje, patrząc np. na wideo "One More Shot At Glory", które wydaje się wysokobudżetowe.
Wszystkie teledyski zostały nakręcone, a na pewno większość z nich została nakręcona, jeszcze zanim pojawił się **Napalm**. To było robione z budżetu **K.K.** Ale teraz oni całkowicie się zaangażowali. Chcieli, żebyśmy nakręcili dwa ostatnie video, "***Strike Of The Viper***" i "***Hymn 66***". Tak więc zaczęli działać i liczymy, że przyniesie to świetne efekty. Stoję trochę z tyłu, obserwuję i mam nadzieję, że wszystko będzie pracować jak należy.

Jak należy traktować KK's Priest? Jak normalny zespół? Czy to jednak solowy projekt K.K. Downing'a?
Myślę, że to jest zespół i jeśli ktoś ogląda nasze koncerty, wideo lub wywiady widzi, że to zdecydowanie zespół. To nie jest **K.K. and Ripper Show** tylko cały zespół. Każdy z nas gra na najwyższym poziomie i każdy wnosi swoją unikalne umiejętności do koncertów i na płyty.

Wspomniałeś już kilka słów na temat relacji z innymi członkami Judas Priest. Można odnieść wrażenie, że po występie K.K. w Rock and Roll Hall of Fame są one całkiem dobre.
Szczerze mówiąc to nie wiem. **Ken** nie mówi nic przy nas na ten temat. Nie mam pojęcia co tam się między nimi dzieje. Wiem, że management nie powiedział zbyt miłych rzeczy o **Kenie** po występie w **Rock'n'roll Hall of Fame**. Było to dosyć zaskakujące. Ale on nic o tym nie mówi. Tak więc, jeśli mówi cokolwiek o tamtym okresie swojej kariery, po prostu wyraża się o tym z entuzjazmem i na tym poprzestaje.

Czy nie jesteście trochę takim tymczasowym zespołem? Czy nie macie przeczucie, że K.K. dołączy do Judas Priest, jeśli tylko nadarzy się taka okazja i to będzie koniec KK's Priest?
Wiesz, naprawdę nie wiem. Myślę, że ciężko byłoby mu to zrobić teraz, po tych niesamowitych płytach i niesamowitych koncertach, które właśnie zagraliśmy. Słuchaj, nie przejąłbym się tym za bardzo. Myślę, że byłoby fantastycznie a ja nie miałbym z tym żadnych problemów. Wiesz, mam mnóstwo swoich rzeczy do zrobienia, mam solową karierę i koncerty. Na pewno bym się nie nudził. Ale

byłoby mi smutno z tego powodu, że uwielbiam pracować z **Kenem** i być obok niego na scenie. Nie sądzę, żeby do tego doszło, ale nie przejąłbym się gdyby tak się stało.

W sumie oba zespoły to część dziedzictwa Judas Priest. Dwa zespołu dla fanów to podwójna korzyść, bo dostają dwa razy więcej muzyki. W czasie kiedy Judas nie wydaje płyty robi to KK's Priest.
No cóż, oba zespołu to heavy metal. Mamy swoje zespoły, które są tak samo heavy metalowe, więc każdy powinien się z tego cieszyć, póki to trwa. Bo nie będzie trwało wiecznie.

Racja. A jak radzisz sobie poza KK's Priest? Wspominałeś już o innych projektach i zespołach. Co jest teraz twoim priorytetem?
Cóż, moim priorytetem jest **KK's Priest**. To oczywiście jest dla mnie najważniejsze. A po drugie, wiesz, robię rzeczy solo, tak jak powiedziałem, wypuściłem solową EP-ką "**Return to Death Row**". Będę pracować nad nową, pełnometrażową płytą zawierającą 10 utworów, której producentem będzie **Jamey Jasta**. Poza tym dużo koncertuję solo. Zbliża się solowa trasa po Ameryce Południowej i wiesz, prawdopodobnie wybiorę się w dłuższą trasę i mam nadzieję, że dotrę do Polski i wiele innych miejsc. Ale najważniejszy jest **KK's Priest**. To mój główny priorytet.

Skończył się nam już czas, ale może jeszcze jedno pytanie. Jak myślisz, w jakim kierunku zmierzają teraz klasyczne zespoły heavy metalowe? Ludzie się starzeją, więc kto będzie grał ich piosenki? 80-letni panowie? A może hologramy, jak w przypadku Dio lub licencjonowane tribute bandy podtrzymujące dziedzictwo danego zespołu?
Wiesz co, zawsze coś będzie się kręcić. Jak nie te zespoły to inne. Spójrz na mój metal, z którym dorastałem dawno temu. Wiesz to były lata 83-86. To było dawno temu a metal istnieje nadal i jest większy niż kiedykolwiek. Niektóre zespoły znikną, a inne będą po prostu działać dalej. Niektóre zespoły będą działać nawet bez oryginalnych członków, co już się zdarza. Będą inne z jednym, góra dwoma oryginalnymi członkami i oni będą to kontynuować.

Dziękuję bardzo. To była dla mnie prawdziwa przyjemność. I mam nadzieję, że niedługo zobaczymy się w Polsce na jakimś koncercie...
W porządku. Tak, mam taką nadzieję. Kiedy dotrę do Polski, pamiętaj, żeby wpaść i przybić piątkę.

Jasne, na pewno to zrobię. Dziękuję bardzo. Do widzenia.

Grzegorz "Greg" Putkiewicz

Foto: Mind Art Visual

HMP: **Witaj A.J., miło Ciebie poznać. Jak się czujesz? Nie jesteś już zmęczony serią wywiadów w ramach promocji waszej nowej płyty?**
AJ Mills: Cześć, również mi miło. Czuję się bardzo dobrze. Naprawdę sprawia mi to dużą przyjemność.

Gratuluję bardzo udanego albumu. Jest bardzo intensywny i ciężki ale też mroczny i melodyjny. Przypuszczam, że musisz być z niego bardzo zadowolony.
Absolutnie. Bardzo zadowolony. Myślę, że bardzo dobrze opisałeś ten album. Cholernie dobra robota.

Jak przebiegała nad nim praca i w jakim stopniu byłeś zaangażowany w tworzenie nowego materiału? Czy wszystko napisał K.K., który Was tylko wezwał do Astbury Hall, żeby to nagrać?
Tak, w zasadzie to **K.K.** pojawił się z prawie gotowym materiałem. Ja jestem współautorem dwóch piosenek, które napisałem razem z **K.K.**...

...O, super. A które dokładnie?
"***Strike Of The Viper***"...

...nieźle, jeden z headbangerów...
...dokładnie, to z pewnością headbanger. Kolejną piosenką jest "***Wash Away Your Sins***".

Jak długo pracowaliście nad albumem? Czy wszystko poszło gładko?
Myślę, że dosyć gładko. Wszystko zajęło nam to około roku. Nie mieliśmy nic innego do roboty, ponieważ nie mogliśmy grać koncertów ze względu na sytuację z Covid - 19. To był pomysł Kena, żeby szybko napisać materiał na drugą płytę i zacząć koncertować z dwoma płytami na koncie.

K.K. Downing to swego rodzaju "Guitar Hero" heavy metalu. Podejrzewam więc, że partie gitarowe są pod specjalnym nadzorem. Czy czujesz dużą presje grając z taką osobą?
Absolutnie. Tak, gram z legendą heavy metalu, więc muszę naprawdę dać z siebie wszystko.

Z jednej strony K.K. wydaje się bardzo wspierać młodszych muzyków, ale z drugiej strony jest dobrze znany jako ciężko pracujący perfekcjonista. Prawdopodobnie współpraca z nim to nie jest to łatwy kawałek chleba...
Jest super, naprawdę uwielbiam pracować z **K.K.** Jest bardzo zrelaksowany, bardzo wyluzowany i sprawia, że od razu czujesz się komfortowo. Dodatkowo potrafi zmotywować ciebie w ten sposób, żebyś wydobył z siebie to co najlepsze. To bardzo fajna cecha. Pracuję z nim zresztą już od dłuższego czasu, bo produkował wcześniej dwie płyty mojego zespołu - **Hostile**. Szczerze mówiąc, czuję się bardzo komfortowo pracując z nim.

Pochodzisz z Birmingham, co może być bardzo istotnym jeżeli chodzi o funkcjonowanie waszego gitarowego duetu. Podejrzewam, że to Ty z zespołu najczęściej spotykasz się z K.K. i możecie ćwiczyć i próbować nowe

rzeczy.
Absolutnie. Masz rację, mieszkam nie tak daleko od **K.K.** Mogę bez problemu dojechać do niego w 25 minut z mojego domu. Spędzamy ze sobą dużo czasu przepracowując nasze partie. Czasami nawet przechodzimy przez całe sety koncertowe. A dodatkowo od czasu do czasu możemy skoczyć na piwo do lokalnego pubu.

To miło. Słuchaj, a jak wygląda proces twórczy KK's Priest? Wyobrażam sobie, że skoro rządzi gitarzysta to partie gitary tworzone są na początku i są podstawą kompozycji. Czy dopiero potem obudowujecie ten rdzeń resztą instrumentów i wokalem?
Tak, w pewnym sensie. To znaczy, z reguły mamy już ogólny pomysł na niektóre partie perkusji, ponieważ **Ken** ma kilka elektrycznych zestawów perkusyjnych. Kiedy gram z nim na gitarze, mogę szybko wskoczyć za perkusję i z grubsza zagrać, żeby poczuć klimat danego kawałka. A potem po prostu dodajemy resztę. Tak, ale **Ken** i tak zazwyczaj przychodzi już z całą gotowa piosenką i pomysłem na wokale.

Foto: Mind Art Visual

Dobra i jak to wygląda dalej? Macie napisane i kawałki i Ken dzwoni po resztę i po prostu nagrywacie?
Tak, dokładnie tak to wygląda. Bułka z masłem, nic skomplikowanego.

Wróćmy do Twojego rodzinnego Birmingham. Mówiłeś już, że znasz się z Kenem od paru dobrych lat. Kiedy spotkaliście się po raz pierwszy?
Pierwszy raz spotkałem **K.K.** na moim pierwszym koncercie w ogóle. Mój ojciec wziął mnie, żeby zobaczyć **Judas Priest** jak grali w Birmingham podczas ich **Demolition Tour**. Mogłem wejść na backstage i spotkać się z zespołem i tak dalej. To było naprawdę bardzo fajne.

Ile miałeś wtedy lat?
Miałem 14 lat.

14 lat, nieźle. Potem K.K. był producentem płyt Twojego zespołu. Czy to był początek Waszej zawodowej współpracy?
Tak, dokładnie. Podczas ostatniego wywiadu, który udzielałem, mówiłem jak do tego doszło. Po prostu mój ojciec i mój wujek są kumplami **Kena** do picia. I kiedy byłem już w stanie zacząć prowadzić samochód i zdałem egzamin na prawo jazdy, zaczęli mnie zapraszać, żebym mógł ich wozić od pubu do pubu.

OK, czyli wszystko zostaje w rodzinie. Jesteś chłopakiem z sąsiedztwa…
Zgłosiłem się do wożenia ich, żeby mogli pić. I w ten sposób zacząłem rozmawiać z **K.K.** i powiedziałem mu, że mam zespół i tak dalej. Właściwie to nawet wziąłem ze sobą nasze CD i mu je wręczyłem.

Naprawdę niezła historia. W porządku, wróćmy do waszego nowego albumu. Już na początku wspominaliśmy, że jest to album bardzo zróżnicowany. Mamy i prawdziwe, chwytliwe heavy metalowe hity jak i epickie oraz podniosłe hymny…
Porównując to do samochodu, chodzi o zmianę biegów w trakcie albumu. Tylko tak mogę to wyjaśnić. Tak jak powiedziałeś, masz swoje headbangery, masz swoje epickie utwory i wolniejsze utwory. To jest właśnie to, w czym **K.K.** jest świetny. Dba o to, żebyś słuchając płytę przechodził przez różne etapy i emocje i odbierał ją jako całość, a nie tylko pojedyncze utwory.

Płytę jednak promujecie póki co tylko tymi szybkimi kawałkami. Wasze wideo mogą sugerować, że cała płyta będzie utrzymana w takim klimacie.
Tak, ale wkrótce pojawi się kolejne wideo, więc miej oczy szeroko otwarte.

Oczywiście, będę go wypatrywał. Skoro mowa o filmach, czy mógłbyś powiedzieć coś więcej o "One More Shot At Glory", ponieważ jest to całkiem imponująca produkcja. Sceny walki robią duże wrażenie…
Tak, to znaczy nie byłem obecny przy nagrywaniu tych scen, ale duże wyrazy szacunku dla **Charliego Smitha**, faceta który zajmuje się naszą oprawą graficzną i robi nasze wideo. To wszystko to jego zasługa, zrobił kawał dobrej roboty.

A jak oceniasz waszą współpracę z Napalm Records? Wydają się być bardzo zaangażowani.
Jet super, **Napalm Records** naprawdę wierzy w zespół i wiedzieliśmy, że będziemy czuć się jak w domu w ich wytwórni. Obserwując ich działania możesz zobaczyć, dlaczego zdecydowaliśmy się z nimi związać.

Jak porównałbyś nowy album z pierwszym? Dla mnie nowy album, mimo że jest swego rodzaju kontynuacją pierwszego, jest po prostu lepszy. Jest prawie idealny, bardziej dopracowany. Wygląda, że nawet tak doświadczeni muzycy jak Wy, mogą się cały czas rozwijać.
Tak, wydaje mi się, że jako zespół zaczynamy coraz bardziej się dogadywać, to w końcu druga płyta i w ogóle. Myślę, że przy pierwszym albumie było dokładnie tak, jak chciał **K.K.**, czyli zrobiliśmy klasyczną heavy metalową płytę. I masz rację, druga jest mroczniejsza i bardziej nastrojowa. Wiesz, bardzo podoba mi się kierunek, w jakim zmierzamy. Teraz wszystko zależy od tego, jak poradzimy sobie jako zespół.

Na tej płycie ponownie nawiązujecie do postaci Sentinela. Teraz mamy piosenkę "Sons Of The Sentinel", natomiast pierwsza płyta zakończona była "Return of the Sentinel". Czy jest to jakiś szczególnie ważny dla Was temat? Czy chodzi tylko o nawiązanie do "Defenders Of The Faith", żeby podkreślić, że KK's Priest to jest częścią dziedzictwa Judas Priest?
To jest dokładnie tak, jak powiedziałeś wcześniej, że to jest kontynuacja pierwszej płyty, ponieważ kończymy i zaczynamy tą samą tematyką. Czyli jest to połączenie dwóch albumów. Jeżeli chodzi o "**Defenders Of The Faith**" i tak dalej, to wszystko jest też częścią dziedzictwa **K.K.**, nieprawdaż? Mamy licencję na wykorzystanie takiej tematyki, aby przywołać stare postacie z przeszłości, ponieważ **K.K.** jest jedną z osób, które to stworzyły.

Nowe piosenki wręcz błagają, żeby grać je na żywo. Czy już mieliście okazję wykonywać je na koncertach? Jaka jest reakcja publiczności?
Absolutnie niesamowita. Koncerty, które graliśmy do tej pory były bardzo fajne. Wspaniale jest obserwować reakcję fanów, widzieć jak bardzo są podekscytowani Twoją muzykę. Jak reagują na takie kawałki jak "***Hellfire Thunderbolt***" czy "***One More Shot At Glory***", który w sumie został całkiem niedawno opublikowany. Jak tłoczą się pod sceną i je śpiewają.

Ostatnio prawdopodobnie byliście skupieni głównie na letnich festiwalach, ale czy z nadejściem jesieni planujecie standardowe trasy promocyjne? Kiedy możemy Was oczekiwać w Europie a być może nawet w Polsce?
Na pewno w przyszłym roku. Myślę, że na początku przyszłego roku. Pracujemy teraz nad tym.

Ok, czyli w tym roku nie mamy na co się nastawiać.
Raczej nie, mamy już zaplanowaną trasę po UK w październiku i jeden koncert na Malcie. A następnie jedziemy do Meksyku. Myślę, że przy okazji będą jakieś show w USA, ale nie jestem jeszcze tego pewien. Wiec oczekujcie

nas na początku przyszłego roku jak wrócimy z marcowej edycji **Monsters of Rock Cruise**.

Festiwal na karaibskim wycieczkowcu, brzmi fajnie. Byłeś tam wcześniej?
Tak, całkiem nieźle. Nigdy tam nie byłem, ale wszystko wygląda super. Wydaje mi się, ze **Tony** był tam wcześniej i grał koncert. Ogólnie zapowiada się dobrze, będzie można się pobujać po wyspach Bahama i po Jamajce.

Ciekawe połączenie wycieczkowiec i heavy metal. Karaiby to nie jest kierunek, który kojarzy się specjalnie z heavy metalem. Chociaż z drugiej strony i Judas Priest i Iron Maiden nagrywali płyty na Bahamach.
Tak dokładnie. Myślę, że dla **K.K.** Bahamy są jak drugi dom.

Jak oceniasz zamieszczenie Judas Priest w Rock and Roll Hall of Fame i wspólny występ K.K. z chłopakami?
Wiesz co, uważam że to świetnie, że **Judas Priest** zaprosiło **K.K. Downinga**, żeby był tam z nimi. Uważam, że to jedyna słuszna decyzja, jaką mogli podjąć i myślę, że to świetnie, że **K.K.** pojechał i zagrał z nimi, co też było jedyną słuszną decyzją jaką mógł podjąć. Super było zobaczyć ich razem, jak się śmieją i pozują wspólnie do zdjęć. Po prostu byli razem ze sobą w ten dzień, który im wszystkim się należał.

Jak już wspominałeś, pochodzisz z dosyć metalowej rodziny. Grasz ze swoim bratem w zespole, wasz ojciec też tam grał oraz krąży

Foto: Mind Art Visual

po lokalnych pubach razem z Twoim wujkiem i K.K. Mogę tylko wyobrazić sobie wasze święta Bożego Narodzenia lub wesela. Masz więcej metalowców w rodzinie, czy tylko wasza czwórka?
Nie, nie tylko. Moja mama również jest fanką metalu. Mam też swoją własną małą rodzinę, wszyscy jej członkowie też są metalowcami. Moje dzieci uwielbiają na przykład **Whitesnake**, **Def Leppard** i tak dalej. W zasadzie to cała nasza rodzina to metalowcy. Dorastałem u boku ojca widząc jak jeździ w trasy i gra w zespołach więc w zasadzie dla mnie to jest normalne życie.

Ok, dochodzimy do końca naszego wywiadu, więc ostatnie pytanie. W sumie dla fanów to korzystna sytuacja, że są dwa zespoły wywodzące się z dziedzictwa Judas Priest. Dwa razy więcej muzyki - każdy jest wygrany, nieprawdaż?
Im więcej metalu, tym lepiej, powiedziałbym.

Święte słowa, cóż więcej można dodać…

Grzegorz "Greg" Putkiewicz

KK's Priest - The Sinner Rides Again
2023 Napalm

Na pewno wszyscy znacie "Profesora" z filmu "Poszukiwany, poszukiwana", który prowadził badania nad zawartością cukru w cukrze. Jak tłumaczył Marysi, cukier z jednego sklepu pod wpływem promieniowania ziemskiego może mieć 80% cukru w cukrze, z drugiego sklepu ma 90% cukru w cukrze, a sacharyna to ma w ogóle 500% cukru w cukrze. I gdyby słowo cukier zamienić nazwą **Judas Priest** to płyta "**The Sinner Rides Again**" **KK's Priest** byłaby właśnie taką sacharyną. Syntetycznym, skondensowanym ekstraktem muzyki **Bogów Metalu**. Nie tylko muzyka, ale też jawne nawiązania do tytułów piosenek jak i wizerunek zespołu mają udowodnić i podkreślić to, że **K.K.** jest jednym z założycieli **Judas Priest** i ma pełne prawo do korzystania z dziedzictwa zespołu. Mamy tu więc wszystko, czego tylko moglibyśmy oczekiwać po płycie napisanej przez **Downinga**. Bo mimo deklaracji pozostałych członków, że **KK's Priest** to prawdziwy zespół, nikt nie może mieć żadnych wątpliwości czyja to muzyka. Nawet to, że drugi gitarzysta **A.J. Mills** współtworzył kawałki "***Strike Of The Viper***" i "***Wash Away Your Sins***" nie zmieni tego, że ta płyta jest w 100% dziełem legendarnego gitarzysty. Nie liczcie tu na żadną subtelność, to jest tak bezpośrednia i intensywna płyta, że dla niektórych może być wręcz przeładowana, przerysowana i zbyt dosadna. Jest niczym **Judasi** na sterydach i ma tylko jeden cel - wyrwać słuchacza z butów. I nie przebiera w środkach, żeby to osiągnąć. Już rozpoczynający płytę "***Sons of Sentinel***", pokazuje, że tu nie ma lekkiej gry. Po króciutkim gitarowo - klawiszowym wstępie wspomaganym przez chór metalowych mnichów z komputera, mamy perkusyjną kanonadę i gitarową zagrywkę zwiastującą burzę. W ułamku chwili muzyka narasta niczym ciemne niebo od gradowych chmur, które nagle przecina błyskawica w postaci przeciągłego, wysokiego krzyku **Rippera**. Żywioł rozszalał się na dobre i nic go nie zatrzyma. Są supersoniczne, tnące niczym brzytwa riffy oraz niesamowite wysokie, ale też chropowate wokale **Owensa**, brzmiące niczym hybryda jego samego, **Halforda** i **Udo**. Jest szybko, porywająco i przebojowo. Mamy do czynienia z niezwykle dobrze przemyślaną kompozycją. Kiedy trzeba, jest lekki oddech, zmiana wokalu w bardziej melodyjnym fragmencie i doskonale solówki gitarowe. Idealny kawałek na otwarcie. Znacie powiedzenie Alfreda Hitchcocka, że "*film powinien zaczynać się od trzęsienia ziemi, potem zaś napięcie ma nieprzerwanie rosnąć?*". Taka jest właśnie ta płyta, ponieważ drugi w kolejności "***Strike Of The Viper***" to cios prosto w szczękę. Znowu **Ripper** popisuje się pełną paletą swoich wokalnych umiejętności, a muzycznie dzieje się tak dużo, że trudno uwierzyć, że to wszystko zmieściło się w niecałych dwóch i pół minutach. Dwie i pół minuty! Rzadko kiedy zespół heavy metalowy ma tak krótkie kawałki. "***Reap The Whirlwind***" to kolejny killer, może nie aż tak intensywny, z klasycznymi judas'owymi gitarami z lat 80., ale tu znowu różnicę robi **Owens**. Boże, ale ten facet jest w formie! Jestem absolutnie zniszczony wokalami na tej płycie. Powodują ciarki i przyśpieszenie serca, a ręce zaciśnięte w pięści same wznoszą się ku niebu. Co jest pewnym problemem kiedy słuchasz tego album w trakcie prowadzenia samochodu. No, chyba że stoisz w korku, wtedy tylko inni uczestnicy ruchu drogowego patrzą na ciebie jak na wariata. Ale taka jest ta płyta, to istne metalowe szaleństwo. Czego potwierdzeniem jest również "***One More Shot At Glory***", który przybiera formę hymnu bojowego, który galopującym rytmem zagrzewa do walki metalowe kohorty czy też inne legiony. Po czterech pierwszych utworach płyta nieco zwalnia, ale na pewno nie traci mocy. Muzycznie cały czas miażdży, ale już w inny sposób. Jest wolniej, ale ciężej i bardziej epicko. Jedyne co mnie trochę razi w rozpoczynającym tę część płyty "***Hymn 66***" to komputerowo przetworzone deklamacje, które jak dla mnie brzmią nieco tandetnie. Jak z gry komputerowej albo jakiegoś kawałka techno. Na takim poziomie, trzeba było sięgnąć po jakiegoś aktora żywcem z BBC o pięknym głosie. To jedyny zarzut. Poza tym ten kawałek kompozycyjnie miażdży i znowu wokale **Owensa** są nie do przecenienia. Te dwugłosy, wysokie krzyki w refrenie. To po prostu rozwalają mnie na drobne kawałki. "***The Sinner Rides Again***" już tak nie masakruje, ale wyróżnia się dużą różnorodnością podbijaną przez **Rippera**, to raz wrzeszczącego, to raz śpiewającego czysto i ultramelodyjnie, niczym w jakiś słodkim, komercyjnych power metalu. Kolejne "***Keeper Of the Graves***" i "***Pledge o Souls***" już nie robią na mnie takiego wrażenia. Może dlatego, że przy tak intensywnej płycie, gdzie co chwilę coś się dzieje to, różnorodność zamienia się w przewidywalność i schemat. Jest to dla mnie najsłabszy fragment płyty, ale cały czas są to dobre kawałki, które inne zespoły brałyby w ciemno na swoje albumy. Finał płyty to najbardziej epicki "***Wash Away Your Sins***", który niestety też został pokalany komputerowym lektorem rodem z progressive trance techno electro rave. To ulubiony kawałek **Rippera** na całej płycie. Czy mój? Niekoniecznie. Na pewno jest on najbardziej emocjonalnie zaśpiewany, ale mój prosty gust został w pełni zadowolony fajerwerkami z poprzednich kawałków, więc pewnie nie wyczuwam jego finezji. Ale kto wie, może z czasem go zrozumiem, bo na pewno jest to płyta, której będę słuchał regularnie. I myślę, że to jest clou tej recenzji. Będę często powracał do "**The Sinner Rides Again**", ponieważ sprawia wiele radości i dostarcza wspaniałej rozrywki na najwyższym poziomie. Jest to płyta doskonała pod względem kompozycyjnym, przemyśleń i dopracowana w najmniejszym szczególe. Ale nie wiem, czy jest to płyta wybitna, patrząc na nią w kryteriach artystycznych. W każdym razie ja ją uwielbiam i myślę, że to mocny kandydat do płyty roku w wielu rankingach. I nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek z naszych czytelników po tę płytę nie sięgnął. (5,5)

Grzegorz "Greg" Putkiewicz

HEAVY LOAD

Stawiając czoła siłom ciemnego morza

Nowy płyta Heavy Load to chyba najbardziej i najdłużej wyczekiwane wydawnictwo w historii heavy metalu. Na ten album obywatele Szwecji oraz maniacy z całego świata czekają już od 40 lat. Prawdopodobnie znajdą się jeszcze jakieś zespoły, które miały taką długą przerwę, ale przypadek Heavy Load jest wyjątkowy. Po pierwsze nie jest to "jakiś zespół". Jest to pierwszy heavy metalowy zespół w Szwecji. To oni wraz z Bathory położyli podwaliny pod jedną z największych i najbardziej inspirujących scen metalowych na świecie. Po drugie, zespół formalnie nigdy się nie rozpadł, a dowodzący nim bracia Wahlquist, próbowali nagrać tę płytę już od 1987. Czyli dodatkowo jest to jedna z najdłużej nagrywanych płyt.

W sumie wszystko, co jest związane z tym zespołem, jest wyjątkowe i nietypowe. Ragne i Styrbjörn to ciekawe egzemplarze, prawdziwe oryginały, ekscentrycy. Wszystko robili i nadal robią po swojemu i wymykają się jakimkolwiek schematom zarówno muzycznym, wizerunkowym jak i organizacyjnym.

Nigdy nie byli zależni od żadnej wytwórni i nigdy nie poszli na żadne kompromisy. Jednak jak to już bywa z prekursorami i wizjonerami, ich kariera nie należała do najłatwiejszych. Pomimo wielkiej popularności w pierwszej połowie lat 80. musieli borykać się z wieloma przeciwnościami losu. Niczym, błądząca po bezkresnym morzu, niezłomna załoga Wikingów, która stała się celem gry pomiędzy Bogami. Ale, mimo że zdarzało im się paść na kolana, a nawet czasami cios od życia posłał ich na łopatki, ostatecznie powstali i zwyciężyli tę epicką walkę, prezentując nam "Riders Of The Ancient Storm". Jest to kolejna piękna historia, którą dostarcza nam heavy metal, pokazująca, że nigdy nie należy się poddawać i zawsze trzeba być wiernym samemu sobie.

HMP: Witajcie! Proszę, przyjmijcie moje gratulacje z okazji wydania "Riders Of The Ancient Storm". Słuchanie tej płyty to prawdziwa przyjemność. Pierwsze pytanie nasuwa się samo i pewnie wielu osobom chodzi po głowie. Dlaczego nagranie tego albumu zajęło Wam tak dużo czasu? Zeszliście się w 2017 roku, a w 2018 graliście już na koncertach nowy kawałek "Walhalla Warriors". Wtedy też zapowiadaliście, że nowa płyta ukaże się w 2019 roku.

Styrbjörn Wahlquist: No cóż, od 1985 roku zawsze mieliśmy własne, profesjonalne, analogowe studio nagrań. Zaletą takiego rozwiązania jest to, że masz czas na dopracowanie piosenek i brzmienia. Możesz też testować to wszystko przy doskonałym dźwięku. To pozwala usłyszeć, w bezstresowej atmosferze, jak może brzmieć gotowy utwór. Wyznaniem natomiast było to, że budowa naszego nowego, wolnostojące studia w nowej lokalizacji, zajęła mi i **Ragne'owi** bardzo dużo czasu. Właściwie zajęło nam to dwa lata. Oczywiście myśleliśmy, że pójdzie to szybciej.

Skoro mowa o "Walhalla Warriors", jest to piosenka, do której partie smyczkowe nagrano już w 1987 roku. Czy użyliście tego nagrania w "Riders Of The Ancient Storm", czy nagraliście wszystko od nowa?

Styrbjörn Wahlquist: W 1987 roku nagraliśmy nie tylko partie smyczkowe, ale cały utwór. Ponadto na płycie słychać prawdziwy miks z 1987 roku. **Ragne** wynajął wtedy kwartet smyczkowy, aby zagrał skomponowane przez niego partie. Nagrał je dwukrotnie, więc na płycie znajduje się podwójny kwartet.

Ragne Wahlquist: Elementy symfoniczne mają za zadanie dodać więcej barw do kompozycji, a nie zastąpić cokolwiek. Jeśli chodzi o instrumenty to, grałem na skrzypcach, trąbce i trochę bawiłem się fletem i klarnetem. Nie, żebym w pełni opanował te instrumenty, ale w związku z tym mam wystarczającą wiedzę o tym, co z punktu widzenia muzyka jest możliwe do zagrania, a także o zaletach i ograniczeniach danego instrumentu. Moją ambicją, jeśli chodzi o wykorzystanie np. skrzypiec, jest to, żeby te partie brzmiały, jakby wykonywał je cały zespół smyczkowy. W utworze "***Walhalla Warriors***" gra kwartet smyczkowy. Nagraliśmy je dwukrotnie, więc można powiedzieć, że to podwójny kwartet. Heavy metal ma oczywiście gitarę, perkusję, bas i wokal jako absolutny punkt wyjścia. I tak też jest w przypadku naszej muzyki. Jednak uważam, że nie stanie się to mniej heavy metalem poprzez dodanie smyczków lub innych instrumentów. Heavy metal dotyczy tego, co grasz, co masz na myśli i jak wyrażasz siebie na instrumencie, na którym grasz. Jednocześnie nie ma instrumentów, które mogłyby przekazać taką samą energię i barwę jak gitara, bas i perkusja. Trzy instrumenty, które razem tworzą cały świat dźwięków, tonów i energii, która sprawia, że serce zaczyna mocniej bić, a włosy stają dęba. Sztuczka z instrumentami symfonicznymi polega na tym, że to, co się wykonuje, powinno być napisane dla konkretnego instrumentu. Dodatkowo jeżeli to możliwe, nuty powinny być tworzone ręką żywego człowieka, w którego ciele bije serce, a w duszy mieszka heavy metal.

A co z innymi piosenkami? Czy one też pochodzą z różnych okresów? Czy zostały napisane z myślą o tym albumie?

Styrbjörn Wahlquist: Wszystkie utwory, nawet "***Walhalla Warriors***" z 1987 roku, zostały napisane z myślą o nowym albumie **Heavy Load**. Od 1985 roku zawsze czuliśmy, że pewnego dnia wydamy nowy album. Niektóre utwory z tego albumu, istniały już jako demo od kilku lat. Jednak "***Slave No Moore***", "***Raven Is Calling***", "***We Rock The World***" zostały ukończone w tym roku.

Ragne Wahlquist: Wszystkie utwory zostały nagrane w **Thunderload Studio**. Niektóre jak "***Walhalla Warriors***" i "***Sail Away***" jeszcze w starym studio, które zostało zniszczone przez powódź w Nowy Rok 2000/2001. Tam również jeszcze je miksowaliśmy. Pozostałe utwory były nagrywane i miksowane już w nowym miejscu. Tam też wszystkie utwory zostały poddane masteringowi. To duży przywilej posiadać własne studio, w którym możesz pracować nad swoja muzyką. Swoboda artystyczna, jaką to zapewnia, jest dla nas niezwykle cenna. To jak drugi dom. Dom **Heavy Load**. Wszystko jest produkowane, miksowane i zmasterowane przez nas, braci **Wahlquist**.

Pytam o czas powstania utworów, ponieważ "Rider Of The Ancient Storm" jest bardzo różnorodną płytą, ukazującą szeroką gamę Waszych inspiracji. Czy ten album można potraktować, jako podsumowanie całej Waszej działalności? Jako obraz tego, jak zespół wyglądał na przestrzeni lat?

Styrbjörn Wahlquist: Piosenki bardzo się od siebie różnią. Jednakże wszystkie są heavymetalowe - z wyjątkiem akustycznego bonusowego utworu **Ragne'a** na wersji CD, "***Butterfly Whispering***". Kiedy komponujemy piosenki, pozwalamy, żeby każda z nich stała się tym, czym chce się stać. Już od początku daje znać, czym chciałaby być i o czym chciałaby opowiadać. Co więcej, to samo dotyczy tekstów - piosenka w pewnym sensie sama popycha nas w danym kierunku. Jeśli posłuchasz klasycznych płyt starych zespołów, takich jak **Purple**, **Sabbath** i **Zeppelin**, odkryjesz, że ich piosenki również znacznie się różnią pod względem charakteru. Obecnie utwory na wielu płytach brzmią bardzo podobnie i po pewnym czasie staje się to zupełnie nieciekawe. Jak już wspomnieliśmy, pozwalamy każdemu utworowi być tym, czym chce, a to skutkuje różnorodnością.

Piosenki mają również różny charakter, w zależności od autora. Piosenki Ragne'a są bardziej power/heavy metal, podczas gdy Styrbjörn sięga po więcej dziedzictwa Deep Purple, Black Sabbath, Led Zeppelin. Czy Styrbjörn jest strażnikiem hardrockowej tradycji w zespole?

Styrbjörn Wahlquist: Bardzo interesujące pytanie! Powiedziałbym, że **Ragne** jest nieco

bardziej zorientowany na muzykę klasyczną, a ja jestem nieco bardziej zorientowany na pulsującą i rytmiczną muzykę w lekko bluesowym klimacie. Jednak oboje dorastaliśmy przy **Purple**, **Zeppelin** i **Sabbath**.

Ragne Wahlquist: **Styrbjörn** jest piosenkarzem i perkusistą i myślę, że pozytywnie odbija się to na piosenkach, które pisze. Nie ogranicza, a wręcz wzbogaca jego twórczość. Tak to postrzegam. Być może jestem bardziej skłonny do pracy z harmoniami niż on. Jeśli tak jest, prawdopodobnie wynika to z mojej przeszłości, większego doświadczenia i studiowania w zakresie harmonii i kompozycji. Chodzi mi o to, że być może poszukuję nieco innych dźwięków niż on. Razem uzupełniamy się i myślę, że wspólne rozwijanie naszych pomysłów jest niezwykle wzbogacające. Muzyczna przygoda z dźwiękami i rytmami nabiera w ten sposób własnego życia.

Dosyć nietypowym utworem z nowej płyty jest "Sail Away". Sposób śpiewania z tym utworze wykracza poza estetykę rockowo-metalową i zbliża się do muzyki klasycznej. Zawsze podkreślaliście, że pochodzicie z bardzo muzykalnej rodziny i, że Wasz ojciec był tenorem i solistą chóru. Czy "Sail Away" to świadome nawiązanie do muzyki klasycznej?

Ragne Wahlquist: Według mnie "***Sail Away***" to metal. Moim zdaniem wszystko zależy od tego, jak dobrze sobie radzisz z graniem muzyki i co chcesz przez nią przekazać. Jeśli pozwolimy różnym stylom muzycznym ograniczać naszą kreatywność, to nie pojawi się nic nowego. Wtedy nowe style muzyczne miałyby duże trudności, żeby powstać. "***Sail Away***" ma to samo serce i duszę, co wszystko, co robiliśmy w **Heavy Load**, dlatego też znalazł się na nowej płycie. Ale masz rację, mówiąc, że ten utwór jest inny. W zwrotkach śpiewam w sposób, którego prawdopodobnie nie używałem w żadnej innej piosence. Natomiast refreny bardziej przypominają na przykład "***Stronger than Evil***". "***Sail Away***" chciał być taki, jaki jest, malując wszystkimi kolorami, od najdelikatniejszych po najpotężniejsze. Dokładnie tak samo jak życie, delikatne jak skrzydła motyla, ale też mocne jak niedźwiedź. Aż do ostatniego tchnienia, muzyka musi wypełniać świat, w którym żyję.

Kolejnym klasycznym akcentem jest suita gitarowa - "Butterfly Whispering". Zespoły metalowe używają takich kompozycji, ale są to zazwyczaj 1-2-minutowe miniatury lub przerywniki. Tutaj mamy 7 minut, dość długo. Jaki jest cel tego utworu? Czy Ragne próbował coś w ten sposób udowodnić? Bo myślę, że nie chodzi tylko o to, żeby wypełnić czas na płycie…

Ragne Wahlquist: "***Butterfly Whispering***" to utwór, który napisałem i nagrałem z kilku powodów. Tylko moja gitara akustyczna i ja, z jak najmniejszą ilością technologii i elementów zewnętrznych. Chciałem zagrać coś naprawdę intymnego. Jednocześnie uwielbiam grać na wszelkiego rodzaju instrumentach smyczkowych oraz na pianinie. "***Butterfly Whispering***" napisałam, gdy moje dzieci były bardzo małe. Czasami puszczałem im tę piosenkę, gdy szły spać. W mojej książce "**Wahlgaard Saga**" jest scena, w której kilku z głównych bohaterów wchodzi do gospody w kraju w południowej Europie, a tam muzyk gra na instrumencie, którego nigdy wcześniej nie spotkali, czyli na gitarze. Tej sceny nie ma w pierwszej książce serii, będzie na późniejszym etapie.

Foto: Heavy Load

Do Twojej książki jeszcze wrócimy, póki co porozmawiajmy jeszcze o płycie. Do kogo kierujecie ten album? Ściśle wyselekcjonowanej grupy heavymetalowych maniaków? A może chcecie (nawiązując do wikingów) wypłynąć na szersze wody i podbić nowe ziemie? Na przykład "We Rock The World" ma, moim zdaniem, potencjał radiowego singla.

Styrbjörn Wahlquist: Ludzie mówią nam, że "***We Rock the World***" to chwytliwa i przebojowa piosenka. To buntowniczy kawałek z ciężkim, zawadiackim rytmem z lekko bluesową nutą w zwrotkach. Przyszła do mnie jak piorun, kiedy brałam prysznic - zdarza się to przy wielu piosenkach. Czasami przychodzą mi do głowy tego typu piosenki, a czasami są to bardzo bombastyczne utwory, takie jak "***Slave No More***".

Ragne Wahlquist: Nie stawiam żadnych ograniczeń temu, kto chce słuchać naszej muzyki. Całym sercem zawsze angażowaliśmy się w to, co robimy, w taki sposób, jaki uważaliśmy za słuszny. Dokładnie tak samo robimy to teraz. Dla mnie to jest jedyna słuszna droga. Zmiana tej drogi byłaby jak tłumienie całej naszej radości tworzenia i byłaby bezcelowa. Pod tym względem jesteśmy tacy sami jak kiedyś, ale jednocześnie mamy o wiele więcej doświadczenia niż w 1983 roku. Życie daje nam dar doświadczeń i to wszystko wzbogaca naszą muzykę. Oczywiście te czterdzieści lat odcisnęło na nas swoje piętno, ale nadal mamy to samo serce, które bije, tę samą duszę, która woła z wewnątrz i to samo podejście do wszystkiego, co robimy.

To w takim razie, jakie są Wasze plany promocyjne? Czy będą single, wideo, festiwale i trasy koncertowe? A może w swojej strategii marketingowej kierujecie się zasadą niedoboru i Wasze działania będą ograniczone?

Styrbjörn Wahlquist: Będzie więcej wideo z nowymi utworami (Na początku października ukazał się teledysk Ride The Night- przyp. red.). Oprócz tego będziemy grać dużo koncertów, lecz gdzie i kiedy, tego jeszcze nie wiemy. Przez lata otrzymywaliśmy sporo zapytań o koncerty, a teraz jest ich jeszcze więcej ze względu na nasz powrót.

Ragne Wahlquist: Najważniejszą rolę w tym, co wydarzy się w przyszłości, odgrywają widzowie. Bez naszych fanów, bez naszej publiczności jesteśmy niczym.

Wracacie w niemal klasycznym składzie. Są bracia Wahlquist, jest Torbjörn Ragnesjö. Brakuje tylko Eddy'ego Malma. Dlaczego Eddy nie dołączył do Was? Jesteście w dobrych stosunkach, a on nawet wystąpił z Wami na festiwalu Keep It True.

Styrbjörn Wahlquist: Obecnie **Eddy** ma inne priorytety w życiu. Być może pojawi się na niektórych koncertach jako gość specjalny. Oczywiście nadal jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi i widujemy się dość często. Ponadto jest częstym gościem na naszych im-

prezach.

Ale macie świeżą krew w postaci Nic'a Savage'a, który grał w Steelwing. Jak dostał tę robotę? Robiliście jakiś casting, czy też znaliście go wcześniej i wiedzieliście, że będzie idealnie pasował?

Styrbjörn Wahlquist: Poznałem **Niclasa** w klubie rockowym w Sztokholmie około 7 lat temu. DJ rozpoznał mnie i zaczął grać utwory **Heavy Load**. **Niclas** i kilku jego przyjaciół podeszło do mnie i przedstawiło się jako fani **Heavy Load**. **Niclas** powiedział mi, że grał w zespołach, które grały covery **Heavy Load**. Zapytałem chłopaków, ile mają lat. Wtedy powiedziałem: "*Och! Ta nasza piosenka, której teraz słuchasz, została nagrana trzy lata przed twoimi narodzinami*". Życie jest szalone, prawda? Właściwie jest to całkiem nierealne. Kiedy składaliśmy zespół na koncerty w 2018 roku, zadzwoniłem do **Niclasa**, żeby wypróbować go na gitarze rytmicznej i świetnie się wpasował.

Foto: LA Photo

Ragne Wahlquist: **Styrbjörn** i ja dużo rozmawialiśmy o tym, kto mógłby zająć miejsce **Eddy'ego**. Kiedy **Styrbjörn** opowiedział mi o swoim spotkaniu z **Niclasem**, naturalnie zaciekawiło mnie to. Jego gra w **Steelwing** zapowiadała osobę z doświadczeniem i jakością. Jeśli dobrze pamiętam, "***Heavy Metal Angels***" była pierwszą piosenką, którą razem zagraliśmy i od razu poczuliśmy, że pasuje do **Niclasa**. Zdecydowanie ma właściwe podejście do muzyki i swojej roli w tym, co reprezentuje **Heavy Load** i co robimy.

40 lat od wydania ostatniego albumu to bardzo dużo czasu. Niewiele jest zespołów z tak długą przerwą. Co się stało, że nie zeszliście się wcześniej? Ponadto pierwsza dekada XXI wieku przyniosła duży wzrost popularności heavy metalu. Czy zniszczenie Waszego studio miało na to wpływ? Czy to straszne zdarzenie tak Was załamało, że straciliście całą wolę działania?

Ragne Wahlquist: **Eddy** postanowił rozwinąć skrzydła i nas opuścić. **Andreas Fritz**, który zaczął grać z nami na basie dopiero rok wcześniej, w tym samym czasie również zdecydował się pójść własną drogą. To w naturalny sposób położyło kres naszym planom na przyszłość. Jednakże znaleźliśmy nowych członków. Rozpoczął z nami współpracę **Paul Gray** z **UFO**. Tak więc po roku 1985 zespół opuścił **Eddy Malm**, a mniej więcej w tym samym czasie także **Andreas Fritz**. Rok wcześniej **Torbjörn Ragnesjö** odłożył bas. **Styrbjörn** i ja napisaliśmy nowe piosenki i rozpoczęliśmy współpracę z gitarzystą **Patrikiem Karlssonem** i basistą **Paulem Greyem**. Nigdy nie udało nam się w pełni rozwinąć tej współpracy, ponieważ **Heavy Load** straciło swój "muzyczny dom". Nasze studio i sala prób, które mieściły się w schronie w rejonie metra. Zarząd ruchu, który obsługiwał sieć metra w Sztokholmie, wprowadził wtedy nowe przepisy przeciwpożarowe. Według nich stwarzaliśmy zagrożenie pożarowe całym naszym sprzętem, np. gumowymi kablami itp. To była zima 1987/88. Wcześniej w londyńskim metrze wybuchł pożar, w wyniku którego zginęło kilka osób. Utrata naszego "muzycznego domu" była oczywiście dużym ciosem w trudnym momencie. To było nasze pierwsze studio, **Thunderload Studio**, w którym nagraliśmy dwa pierwsze albumy **Candlemass**: "**Epicus Doomicus Metallicus**" i "**Nightfall**". Inni, którzy pracowali w tym samym studiu, to między innymi **Yngwie Malmsteen** i **Electric Boys**. W tym studio nagraliśmy też dwa utwory, które trafiły na winyle: "***I Am Alive***" i "***Monsters of the Night***". Potem zbudowaliśmy nowe studio w Solna, **Thunderload Studios 2.0**. Około Nowego Roku 2000/2001 to studio zostało zdewastowane przez potężną powódź. Teraz od kilku lat mamy **Thunderload Studio** numer trzy w osobnym budynku na mojej posesji. To tutaj zmasterowaliśmy wszystkie utwory na "**Riders of the Ancient Storm**" i a większość z nich nagraliśmy. **Heavy Load** znów ma swój dom. Muszę powiedzieć, że te dwa incydenty z naszym **Thunderload Studio** były bardzo obciążające. Świetnie pasują tutaj słowa z piosenki "*Heathens from the North: stawiając czoła siłom ciemnego morza. Defying the powers of the dark sea*" - tak też nazywa się płyta CD zawierająca bonusowe utwory do reedycji albumu "**Stronger than Evil**" z 2018. Podczas tworzenia "**Riders of the Ancient Storm**" miały miejsce wydarzenia, do których również pasowały słowa "*Defying the powers of the dark sea*". W trakcie dostawy, winyle uległy zniszczeniu i zwrócono całe wydanie. Opóźniło to wydanie wersji winylowej o około miesiąc. Wracając do studio w Solna, czyli **Thunderload Studio** numer dwa, wiele zespołów chciało tam nagrywać. Było to zarówno zabawne, schlebiające jak i wzbogacające. Zarówno **Styrbjörn**, jak i ja wiele się nauczyliśmy przez te wszystkie lata pracy z innymi muzykami. To było w latach 1989-2000. W tym czasie napisaliśmy nowy materiał i dużo eksperymentowaliśmy z naszą techniką nagrywania i grania. Dotyczyło to mikrofonów, miksowania i innych szczegółów technicznych, ale przede wszystkim tego, że mogliśmy łączyć różne dźwięki i rozwijać naszą muzykę. Jednocześnie zawsze mieliśmy silne wyczucie tego, co reprezentuje **Heavy Load**, wyruszając w muzyczne eksploracje w tych określonych ramach. Wierzę, że znalazło to odzwierciedlenie w "**Riders of the Ancient Storm**", a może nawet jeszcze bardziej znajdzie w albumie, na który mamy już przygotowanych kilka utworów, będącym kontynuacją "**Riders of the Ancient Storm**".

Rozpadliście się w momencie, w którym rozpoczęliście współpracę z dużą wytwórnią - Warner. Wydali wasz singiel "Monsters of the Night". Czy były plany wydania longplaya i przekształcenia was w gwiazdy rocka?

Styrbjörn Wahlquist: Chłopaki z **Warnera** w 1985 roku bardzo chcieli podpisać z nami kontrakt na przyszłość. Jednak przy tej okazji byliśmy rozczarowani wydanym przez nich singlem. Zamiast związać się z nimi, chcieliśmy kontynuować działalność z naszą własną wytwórnią.

Byliście pionierami gatunku w Szwecji, ale zawsze byliście gdzieś na uboczu przemysłu muzycznego. Wszystko robiliście na własny koszt, bez wsparcia wytwórni: finansowego, marketingowego czy logistycznego. Ale mieliście ambicje, żeby być wielkim zespołem, co widać po Waszym podejściu do występów, sprzętu, scenografii i pirotechniki. Jak dużo udała Wam się osiągnąć w latach 80.? Czy byliście tak wielcy jak na to zasługiwaliście?

Styrbjörn Wahlquist: Tak, mieliśmy spektakularne występy. W ciągu jednego roku mówiono, że mieliśmy największe show ze wszystkich szwedzkich zespołów, ustępując jedynie **Abbie**. Na trasie mieliśmy mnóstwo ton sprzętu, co było wówczas czymś wyjątkowym w Szwecji. Co więcej, kiedy nagrywaliśmy "**Stronger than Evil**", zamówienia w przedsprzedaży już zapewniły albumowi sukces sprzedażowy.

Trudno być pionierem, zwłaszcza że na początku Waszej działalności hard rock i metal były w Szwecji marginalizowane. Ale potem przyszedł wielki przełom i sukces zespołu Europe. Dlaczego nie udało Wam się wznieść jeszcze wyżej na tej fali? Dlaczego nie skorzystaliście z okazji?

Ragne Wahlquist: Było kilka okoliczności, które nie pozwoliły nam "przeskoczyć" na nowy trend. Mam na myśli problemy ze studiem,

które straciliśmy dwukrotnie, oraz decyzje **Eddy'ego** i **Torbjörna** o podążeniu własnymi ścieżkami. W tym samym czasie heavy metal zmierzał w nowym kierunku, który w pełni szanuję, ale nie o to mi chodziło. Odbierałem to jako coś bardziej powierzchownego, może bardziej plastycznego. **Heavy Load** nie był przeznaczony, żeby iść tą ścieżką. Nasze teksty i nasza muzyka mają inną treść. Muszę tworzyć i grać to, co ma dla mnie znaczenie.

To, co zawsze mnie interesuje w początkach muzyki metalowej, to kontekst społeczny i polityczny. W Szwecji lat 70. hard rock był w najlepszym wypadku ignorowany, a nawet zwalczany. Scena muzyczna pozostawała pod silnym wpływem lewicowego światopoglądu. Jeśli muzyka nie poruszała problemów społecznych, uważano ją za złą i pustą, niewartą wspierania. Pewnie dlatego w Szwecji tak silna była scena punkowa. Czy mógłbyś powiedzieć trochę więcej o tym kontekście społecznym? Zespół taki jak Wasz, aspirujący do roli gwiazdy rocka i śpiewający o Wikingach, nie był prawdopodobnie ulubieńcem decydentów muzycznych.

Styrbjörn Wahlquist: W 1978 roku próbowaliśmy podpisać kontrakt płytowy z **Vertigo** na płytę "**Full Speed at High Level**". Dyrektor wytwórni powiedział mam wtedy: "*Zapomnijcie o tym, chłopaki! Hard Rock umarł i nigdy nie wróci. A media nie chcą o tym pisać. Jedyną muzyką, która ma znaczenie teraz i w przyszłości, jest punk i disco*". Chyba udowodniliśmy mu, że się mylił. Jeśli chodzi o muzykę i estetykę inspirowaną wikingami, zawsze podążaliśmy własną drogą.

Wasza kariera w latach 80. była dosyć nietypowa, ponieważ sami sponsorowaliście swoje działania. Kiedy prasa nie chciała o Was pisać, to zaklejaliście plakatami cały Sztokholm. Sami wydawaliście płyty, mieliście mnóstwo sprzętu i scenografii. Ludzie zawsze zastanawiali się, skąd macie na to wszystko pieniądze. Wiadomo, że pochodzicie z dość zamożnej rodziny. Jak bardzo rodzice Was w tym wspierali? Widzę tu pewne podobieństwo do Bathory. Czy w takim razie można zaryzykować stwierdzenie, że początki szwedzkiej sceny metalowej zawdzięczamy wsparciu szwedzkich rodziców, którzy pomagali swoim dzieciom realizować marzenia?

Styrbjörn Wahlquist: Nasi rodzice nie finansowali naszego zespołu. Ragne i ja sami zebraliśmy pieniądze na wszystko - żadni pozostali członkowie zespołu nigdy się nie dołożyli. Jednak nasi rodzice bardzo nas wspierali. Nasza matka mówiła: "*Możesz zostać, kim chcesz i robić ze swoim życiem, co chcesz*". Nasz ojciec chciał zostać śpiewakiem operowym, ale aby zapewnić sobie dochody, musiał zostać adwokatem. Od niego otrzymaliśmy muzykę, a od mamy poezję.

Ragne Wahlquist: Przed nagraniem "**Metal Conquest**" **Styrbjörn** i ja połączyliśmy wszystkie nasze oszczędności. To nie wystarczyło, więc wzięliśmy kredyt w banku, co z perspektywy czasu było dość ryzykowne. Chcieliśmy nagrać cały album, ale nie było nas na to stać. Jedną z piosenek, która powinna znaleźć się na "**Metal Conquest**", był "***For the Welfare of Man***". Zostanie uwzględniony jako utwór bonusowy w reedycji w 2024 roku. Sprzedaż "**Metal Conquest**" położyła podwaliny pod finansowanie "**Death or Glory**". Kiedy później

Foto: LA Photo

ogłosiliśmy, że nagrywamy "**Stronger than Evil**", otrzymaliśmy zamówienia w przedsprzedaży, które z nawiązką pokryły wszystkie koszty. Co więcej, "**Death or Glory**" sprzedawało się tak dobrze, że musieliśmy wytłoczyć kilka nakładów płyt. Jeśli dobrze pamiętam, ukazały się wydania niemieckie i japońskie, podobnie jak w przypadku "**Stronger than Evil**". Wtedy liczył się tylko winyl.

Co robiliście przez te wszystkie lata, kiedy nie graliście?

Ragne Wahlquist: Zarówno **Styrbjörn**, jak i ja zrobiliśmy sobie przerwę po zniszczeniu **Thunderload Studio**. Kontynuowaliśmy studia uniwersyteckie. Moje studia zakończyły się uzyskaniem tytułu licencjata i magistra oraz kilku samodzielnych kursów, w tym jednego z retoryki. **Styrbjörn** posiada wiele stopni naukowych, w tym z języka szwedzkiego i angielskiego oraz z wiedzy wydawniczej. W 2002 roku urodziła się moja córka **Linnea**, a w 2004 druga córka **Rebecka**. Ich okres nastoletniości, był dla mnie głębokim przeżyciem i bycie ojcem dwóch córek nadal nim jest. Studia i ojcostwo dały mi nowe spojrzenie na życie. Nie wpłynęło to negatywnie na moją muzykę i kreatywność. Wręcz przeciwnie, mam teraz tak wiele do wyrażenia poprzez muzykę i teksty, że może nie wystarczyć mi na to czasu. Oczywiście przez te lata **Styrbjörn** i ja utrzymywaliśmy stały kontakt. My, bracia, jesteśmy ze sobą niesamowicie blisko, nie tylko muzycznie. Utrzymywaliśmy kontakt z **Torbjörnem Ragnesjö**, naszym kuzynem, ale nie w taki sam sposób, jak wtedy, gdy razem graliśmy. Z **Eddy'm Malmem** spotykaliśmy się sporadycznie aż do 2016 roku. Potem często spotykaliśmy się przy filiżance kawy, aby porozmawiać o muzyce i innych istotnych aspektach życia. **Andreas Fritz** przeprowadził się do Tajlandii i nasz kontakt z nim drastycznie się zmniejszył. W ostatnich latach widzieliśmy się kilka razy.

Przez lata staliście się, w metalowym światku, ekspertami w dziedzinie w Wikingów. Na przykład Ross The Boss z Manowar brał u Was lekcje kultury nordyckiej w latach 80. Czy muzycy metalowi często konsultowali się z Wami w tych kwestiach? Jak odbierasz wykorzystywanie nordyckiej tematyki w muzyce metalowej?

Styrbjörn Wahlquist: Cóż, to był tylko je-

Foto: Anastacia Papadaki

Foto: LA Photo

dnorazowy przypadek i tak naprawdę nie była to lekcja. Kiedy **Manowar** dał swój pierwszy koncert w Sztokholmie, chcieli się z nami spotkać. Grali w tym samym miejscu, w którym my, **Dio** i **Ozzy** graliśmy mniej więcej rok wcześniej. Bawiliśmy się razem i chcieli, żebyśmy przyszli na ich koncert. Dzień po koncercie oprowadziłem ich po wystawie Wikingów w Muzeum Historycznym w Sztokholmie. Dałem wszystkim członkom i ich tour managerowi młot **Thora Heavy Load** oraz angielskie wydanie starej powieści o Wikingach - "**The Long Ships**", autorstwa **Fransa G. Bengtssona**. **Manowar** nagrał wiele dobrych piosenek, ale w inny sposób niż my. Motyw Wikingów, jako temat i inspiracja jest dla nas naturalny, ponieważ jest to nasze dziedzictwo, a spojrzenie Wikingów na życie jest w dużej mierze heavymetalowe.

Jako ekspert Ragne napisał powieść. Premiera tej książki nastąpi w październiku. Brzmi interesująco. Czego możemy się spodziewać po tej książce?

Ragne Wahlquist: Nazywanie mnie ekspertem może być pewnym nadużyciem. Bardzo interesuję się historią w ogóle, a w szczególności zwyczajami Wikingów. Wiele możemy się nauczyć z historii. Era, w której teraz żyjemy, w której postrzegamy planetę Ziemię i świat jako coś, co możemy wykorzystać bez względu na wszystko, wydaje mi się niezrównoważona. Człowiek jest częścią całości. Przez "całość" mam na myśli wszystko, co składa się na planetę Ziemia. Istniejemy dzięki wszystkiemu, co istnieje. Żyjemy jednak tak, jakby wszystko to było tylko dla nas. Jak możemy żyć w zgodzie z naturą, której jesteśmy częścią, jednocześnie dążąc do ciągłego rozwoju? To jest niezwykle istotne pytanie, na które nie mam odpowiedzi. Być może odpowiedź można znaleźć w naszej historii, ucząc się na błędach poprzednich cywilizacji. Jeśli chodzi o sagę Wahlgaarda, jak dotąd napisałem trzy części, każda licząca około 700 stron. Niektórzy ludzie zaznajomieni z branżą uważają, że liczba stron w każdej części jest zbyt duża i sugerują, żebym podzielił każdą książkę na dwie części. Dlatego pierwsze wydanie obejmuje początkowe 300 stron pierwszej książki. Saga opowiada historię czwórki rodzeństwa, które robi wszystko, co w jego mocy, aby odnaleźć porwaną siostrę. Bitwy, konflikty i spotkania z nieznanym sprawiają, że po zakończeniu podróży nikt nie pozostaje taki sam. Być może miłość czeka w następnym porcie, a może coś w najskrytszym zakątku duszy czeka na przebudzenie. Czy może na odważnych czeka droga do szczęścia? Czy może czeka Cię bezgraniczny szał berserka, w którym topory i miecze śpiewają pieśń metalu? W tej opowieści las oraz morze i ich istoty, zarówno ludzie, jak i zwierzęta, istnieją we wzajemnym oddziaływaniu, które jednych prowadzi do śmierci, a innych do najgłębszej przyjaźni. Rozlew krwi, orgie i manipulacje są dla niektórych drogą do władzy, do szczęścia, które wszystko unicestwia. Dla innych droga do szczęścia polega na przepłynięciu oceanu życia z tymi, których kochasz, i posiadaniu wytrzymałości, aby być silniejszym od zła. Mieć odwagę, aby stawić czoła ciemności, która kryje się głęboko w najgłębszych zakamarkach duszy, a następnie otworzyć swoje serce przed nowym świtem. Dla tych, którzy żyli w przeszłości tak odległej, że nie znamy ich imion, popędy były takie same i pozostają tak samo aktualne. Wczoraj, dziś i jutro wszystko jest takie samo w kręgu życia. Chcę wrócić do dzieciństwa. Kiedy jako dziecko grałem w gry przygodowe, duch Wikingów unosił się nad lasami, polami i strumieniami. Większą część mojego dzieciństwa i młodości spędziłem w dolinie Haga - starożytnym centrum Wikingów na obrzeżach Uppsali. Tutaj moi dziadkowie **Ragna** i **Herman** mieli swój dom położony na skraju dużego lasu. To także tutaj, w tych dolinach i lasach, gdzie niegdyś śpiewały miecze i dzierżono topory, mój brat **Styrbjörn** i ja bawiliśmy się i rywalizowaliśmy z naszymi kuzynami w łucznictwie, rzucaniu nożem i rzucie oszczepem. Być może już w tym momencie narodziła się "**Wahlgaard Saga**". Na spisanie sagi trzeba było jednak poczekać pół wieku.

Foto: Suada Wahlner

Dziękuję bardzo za rozmowę i mam nadzieję do zobaczenia wkrótce w Polsce. Fani z niecierpliwością czekają na informacje o koncertach.

Ragne Wahlquist: Grzegorzu, dziękuję bardzo za pytania, które świadczą o prawdziwym zainteresowaniu muzyką, heavy metalem i tym, co robimy w **Heavy Load**.

Styrbjörn Wahlquist: Dziękuję bardzo i mamy nadzieję, że się spotkamy podczas naszej trasie.

Grzegorz "Greg" Putkiewicz

OSSUARY RECORDS

EXTINKT
TRINITY REDUX
DIGITAL / CD / CASSETTE (3 COLOURS)

OKRÜTNIK
KRWAWY PONTYFIKAT
DIGITAL / CD / CASSETTE (3 COLOURS)

RASCAL
LOST BEYOND REASON
DIGITAL / CD

HELLHAIM
SLAVES OF APOCALYPSE
CLASSIC BLACK / ORANGE SWIRL / BROWN SMOKED VINYL

HELLHAIM
LET THE DEAD NOT LOSE HOPE
GREY MARBLE / CADAVEROUS GREEN / CLASSIC BLACK VINYL

AND MANY OTHERS...

WWW.OSSUARYRECORDS.COM
WWW.OSSUARYRECORDS.BANDCAMP.COM

CIRITH UNGOL

Świat bólu i ciemności

To zespół, który można śmiało i bez poczucia obciachu nazwać kultowym. Jedyny, wyjątkowy i unikatowy egzemplarz na świecie. Tak antyczny jak to tylko możliwe, sięgający swoimi początkami do zamierzchłych lat 70. Zawsze wierny samemu sobie, idący własną ścieżka i nieoglądający się na żadne mody na przestrzeni tego czasu. Nie ma takiego drugiego zespołu na świecie jak oni. W dzisiejszych czasach otoczony namaszczeniem i wielkim szacunkiem, ale nie zawsze tak było. W latach 80. zepchnięty na margines metalowej sceny, często krytykowany przez prasę muzyczną ale wspierany przez tych najzagorzalszych maniaków.

Swoim nowym albumem "Dark Parade" Panowie nie tylko ten kult wzmacniają, ale wręcz wynoszą go na kolejny poziom przez masywne i niszczycielski dźwięki. Ta płyta nie bierze jeńców i pozostawia za sobą tylko pogorzelisko. O tym jak powstawała ta machina zniszczenia, o zaprzestaniu grania koncertów w przyszły roku i o swojej wyjątkowości opowiedział nam Rob Gaven, a parę totalnie odjechanych komentarzy dorzucił jeszcze Tim Baker.

HMP: "Dark Parade" - to prawdopodobnie najwolniejszy i najbardziej doom'owy album jaki nagraliście. Czy to Twoja wina? Nie chce Ci się już szybko grać?

Rob Garven: Ha, nie, to w ogóle nie ma z tym nic wspólnego. Nasza muzyka jest odbiciem otaczającego nas świata, a jest to świat bólu i ciemności. W kilku utworach czułem, że nie robię wystarczająco dużo jako perkusista i próbowałem kilku różnych beatów, ale zawsze wracałem do tych samych, które wydawały się najbardziej pasować do utworu. Łatwo jest poddać się szaleństwu, a mi jest trudniej grać wolniej niż szybciej.

Foto: Peter Beste

Jest doom'owo ale jest też potężnie. Za pierwszym razem włączyłem "Dark Parade" w samochodzie i o mało nie rozsadziło mi głośników i głowy. A wcale nie mam jakiegoś super nagłośnienia. Ten album miażdży masywnym dźwiękiem. Jak to osiągnęliście? Czy długo przy tym grzebaliście?

Rob Garven: Wszystko dzięki uprzejmości **Armanda Anthony'ego**, który nagrał i współprodukował z nami ten album. Oczywiście produkcja i dźwięk są najważniejsze, cały czas naciskałem na ciężki dół, którego, moim zdaniem, trochę brakowało w "**Forever Black**". Myślę, że doprowadziliśmy **Armanda** do szaleństwa i jestem pewien, że przybyło mu trochę siwych włosów przez ten projekt! Ale jak zawsze wykonał niezwykłą robotę, a dzięki swojej wiedzy o zespole i naszej muzyce zgodził się zostać naszym gitarzystą na żywo do końca przyszłego roku. Jesteśmy mu bardzo wdzięczni za wszystko, co zrobił dla zespołu, odkąd się reaktywowaliśmy.

Jaki jest podział obowiązków, jeśli chodzi o komponowanie? Czy to praca zespołowa? Czyja jest muzyka, czyje teksty?

Rob Garven: Piosenki zostały napisane w ten sam sposób, w jaki robiliśmy to przed rozpadem. Wykuwamy nasze pieśni niczym mistrz kowalstwa wykuwa bohaterski miecz bojowy. Dodaje odpowiednie stopy, aby uczynić go mocnym i prawdziwym, a następnie kuje elementy stopionego metalu dodając mu siły i charakteru, a na końcu hartuje go w krwi niepomszczonych! Zanim się to zakończy, wszyscy mamy krew na rękach, nasze serca są sczerniałe, a nasze dusze wypalone! Wszystkie teksty na tym albumie powstały dzięki uprzejmości **Tima** i jego pokręconej wizji upadku człowieka.

Ogłosiliście, że na tym albumie zaprzestaniecie galopad, które robiliście na poprzednich albumach, i skupicie się na mocnych dołach. I w zasadzie właśnie takie jest "Dark Parade", ale jako utwór otwierający i singiel wybraliście "Velocity", czyli jakby nie patrzeć galopadę. Niekonsekwencja? Przypadek? A może celowe działanie?

Rob Garven: Hej, jestem perkusistą i jeszcze nie spotkałem się z tempem, które by mi się nie spodobało.

Wiesz, to jest świetna piosenka, wpadająca w ucho, melodyjna, w której dużo się dzieje. To kwintesencja Waszych dotychczasowych utworów bazujących na średnich i szybszych tempach. Jest to jednocześnie piosenka, która najmocniej nawiązuje do NWOBHM...

Rob Garven: Tradycyjnie zaczynamy każdy album podobną piosenką, która nadaje ton całemu albumowi: "***Frost & Fire***", "***Atom Smasher***", "***Blood & Iron***", "***Join the Legion***", "***Legions Arise***", a teraz "***Velocity***". To nasz sposób na rozgrzanie słuchacza i przygotowanie go na prawdziwe spustoszenie, które nastąpi! Nigdy nie było naszą intencją wzorowanie jakiejkolwiek piosenki na jakimkolwiek stylu innym niż nasz własny.

Po tym kawałku zwalniacie i tak już zostało do końca albumu. W "Relentless" pojawiają się orientalne melodie. O czym jest ta piosenka skoro zdecydowaliście, że taka melodyka dobrze ją zilustruje?

Rob Garven: Używaliśmy podobnych linii melodycznych w przeszłości i mamy nadzieję, że skorzystamy z nich ponownie w przyszłości.

Tim Baker: Bezlitosne, przytłaczające, wiecznie czarne. Nasze liczne i zdradzieckie demony udaremniają wszelkie nasze wysiłki, aby zachować zdrowie psychiczne w tym szalonym koszmarze. Modlitwy? Wierność? Komu i dlaczego? Kręta droga prowadzi do naszego nieuniknionego upadku, pomimo nieudolnych prób jego uniknięcia. Przyszłość prowadzi donikąd? Wszystko na to wskazuje. Jest wieczna i czarna.

Trzeci "Sailor on the Seas of Fate" to majestatyczny utwór z transowych klimatem i rytualną perkusją. To najdłuższy utwór na płycie i właściwie stanowi wyjątek. Jak na epicki zespół z doomo'wym twistem, nie przesadzacie z długością piosenek. Czy to mądrość nabyta wraz wiekiem? Umiejętność wyrażania się w sposób zwięzły?

Rob Garven: Każda piosenka byłaby tak długa, gdyby strony albumu nie były ograniczone do 22 minut każda! Od chwili, gdy zaczęliśmy pracować nad tym kawałkiem, wyobrażałem sobie scenę z filmu "**Ben Hur**" z 1959 roku, w której **Charlton Heston** jest przykuty do wioseł na rzymskiej galerze. Z przodu siedzi rzymski żołnierz, wybijający rytm uderzając dwoma ciężkimi, drewnianymi młotkami w drewniany kikut pokryty skórą. Miał kilka różnych prędkości, takich jak prędkość bitwy, ataku i taranowania. Zrobiłem nawet nietypową dogrywkę partii perkusji podczas tej piosenki, aby naśladować ten sam klimat. W tej piosence znajdują się naprawdę epickie riffy **Jimmy'ego** i niesamowite brzmienie organów uzyskane przez **Grega** używającego pedału z efektami gitarowymi, a także emocjonalne

solo w jego wykonaniu na końcu. To jeden z moich ulubionych utworów na płycie.

Cechą charakterystyczną tego utworu jest ten galerniczy rytm - pierwotny, wręcz rytualny. Zawsze byłeś uważany za wyróżniającego się perkusistę. Jak opisałbyś swój styl gry na perkusji? Co jest dla Ciebie najważniejsze w grze na perkusji?
Rob Garven: Opisywano mnie jako perkusistę grającego w stylu jaskiniowca. Nie jestem perkusistą technicznym i uważam swój styl za bliższy sztuce performance.

W "Sacrifice" ponownie sięgacie po orientalizmy, dodając trochę hiszpańskich gitar, a nawet kastanietów. Na początku Tim wybucha niemal black metalowym krzykiem. Ogólnie rzecz biorąc, w tej piosence bardzo mocno forsuje swój głos. Słychać, że nadal jest w świetnej formie. Jak oceniasz jego wokal na tym albumie?
Rob Garven: Właściwie ten dźwięk na początku to aztecki gwizdek śmierci. **Tim** jest swoim największym krytykiem, ale jego śpiew oceniam jak dobre wino, z wiekiem staje się coraz lepszy. Tak jak nasza muzyka, która nie jest dla każdego, tylko dla wytrawnych metalurgów.

Jak ważny jest wokal Tima Bakera dla tożsamości zespołu? Czy możecie sobie w ogóle wyobrazić istnienie Cirith Ungol bez jego głosu?
Rob Garven: Nie.

Tim jest uznawany za unikatowego wokalistę, z którym nikogo innego nie da się porównać. Czy słyszałeś kiedyś wokalistę śpiewającego podobnie? Ja mam swój typ - Kyle Toucher z Dr. Know śpiewał w nieco podobnym stylu na płycie "Wreckage in Flesh"...
Rob Garven: Mam wielu ulubionych wokalistów, ale żaden nie przychodzi mi na myśl, jeżeli chodzi o styl podobny do **Tima**. Bogowie stworzyli go jedynego w swoim rodzaju.

Nie bez powodu wspominam o zespole punkowym, ponieważ dostrzegam pewne podobieństwo pomiędzy Waszą muzyką a amerykańską sceną hard core punkową z lat 70/80. Mam na myśli takie zespoły jak Dr. Know, Minor Tread i zdecydowanie Black Flag. Oczywiście istniejecie znacznie dłużej niż punk, ale dzięki swojej dzikości i szorstkości macie podobny klimat. Co sądzisz o tym porównaniu?
Rob Garven: O ile wiem, nasza muzyka nigdy nie była bezpośrednio inspirowana punk rockiem, ale niektórzy z nas byli wielkimi fanami, niektórych wczesnych zespołów punk rockowych, takich jak **The Dead Boys** i **The Stooges**. Nawet jeden z członków zespołu **Titanic**, poprzednika **Cirith Ungol**, **Pat Galligan** grał później w **Angry Samoans**.

Wracając do albumu, następny w kolejności jest "Looking Glass", który wprowadza nas w mroczny świat po drugiej stronie lustra. Jeżeli dobrze rozumiem, jest to wstęp do drugiej części albumu. Czy mógłbyś powiedzieć mi więcej na temat jego struktury? Czy pierwsze cztery utwory są niezależnymi kompozycjami, a kolejne cztery są ze sobą powiązane koncepcyjnie?
Rob Garven: Ta piosenka jest tak niesamowita, ze względu na dźwięk rozbijanego szkła oraz wprowadzający tekst **Tima**. To zdecydowanie jeden z moich faworytów na albumie! To kwintesencja **Ungol**, jeżeli chodzi o spowolnienia w trakcie utworu, przywodzące na myśl takie nasze kawałki jak "***Join the Legion***" czy "***War Eternal***". Sporo się napracowałem, żeby w tym fragmencie idealnie wejść z perkusją w początek solówki gitarowej. W wersji demo możesz usłyszeć inne, bardziej prymitywne wypełnienie. Na tym albumie kierowałem się zasadą mniej znaczy więcej, chcąc uzyskać najbardziej ciężkie i potężne beaty. To wzorcowa piosenka dla tego albumu z ciężkimi, wciągającymi riffami, fajnym uderzeniem i potężną solówką gitarową! Nasze trzy ostatnie albumy studyjne, "**Paradise Lost**", "**Forever Black**" i "**Dark Parade**" mają bardzo podobny układ, w którym utwory na pierwszej stronie mają różną tematykę, natomiast strona druga jest zarezerwowana wyłącznie dla mrocznej wizji upadku ludzkości **Tima**.

Skoro już wspomnieliśmy o "Paradise Lost", to co się stało że rozstaliście się po jego wydaniu na prawie 25 lat? Czy to wina kryzysu artystycznego i nieco słabszego albumu? Czy był to może konflikt personalny?
Rob Garven: Po wydaniu "**Paradise Lost**", muzycy z tamtego składu opuścili zespół, ponieważ nie byli oryginalnymi członkami i nie zainwestowali w zespół tyle, ile my z **Timem**. Nie dążyli do tych samych celów co my. W owym czasie scena muzyczna w południowej Kalifornii, i ogólnie scena metalowa, przenosiła się na terytorium, które uważaliśmy za przekleństwo dla tego, co traktowaliśmy i kochaliśmy, jako prawdziwy metal. Zawsze graliśmy według własnych zasad, walcząc z modą i panującymi trendami, płynąc nieustannie pod prąd. W pewnym momencie już nie widzieliśmy klarownej drogi dla zespołu i niechętnie zdecydowaliśmy się złożyć istotę zwaną "**Ungol**" na odpoczynek... Podobnie jak stary bóg Cthulhu zanurzony pod falami, czekający w zamyśleniu, aż gwiazdy ponownie korzystnie się ułożą.

Po "Looking Glass" wkracza trójca: "Dark Parade", "Distant Shadows" i "Down Below". Jak przypuszczam, są to trzy części tej samej historii o upadku ludzkości. To bezlitosny, miażdżący doom metal, szczególnie dwa ostatnie utwory. Skąd bierze się ten Wasz przygnębiający pesymizm? Z drugiej strony nie ma tu mowy o apatii. To wściekły, emocjonalny nihilizm.
Tim Baker: "***The Dark Parade***", "***Distant Shadows***", "***Down Below***": czy to piekło na ziemi, czy tylko w mojej głowie? Otóż to. Powiedziałem dość. Resztę podróży w głąb "***Dark Parade***" będziesz musiał przeżyć sam. Powiedziałem już zbyt wiele na temat tego, co według mnie może oznaczać ten tekst, a pójście dalej z tymi rozważaniami zajęłoby znacznie więcej miejsca, niż mi tu przydzielono. Wolę, żeby słuchacz sam decydował. Poza tym, to tylko moje przemyślenia na ten moment, jutro może przynieść zupełnie inną wizję. Prawdziwe znaczenie, jeśli w ogóle je odnajdziesz, zależy wyłącznie od ciebie i mam szczerą nadzieję, że uda ci się coś w nich znaleźć. Potraktuj wszystko, co o nich powiedziałem, jako bełkot szaleńca! Chociaż nie wypowiadałem się na temat muzyki zawartej na tym albumie, to czuję, że mówi ona sama za siebie. Moim zdaniem jest to jeden z naszych największych osiągnięć i być może najcięższa i

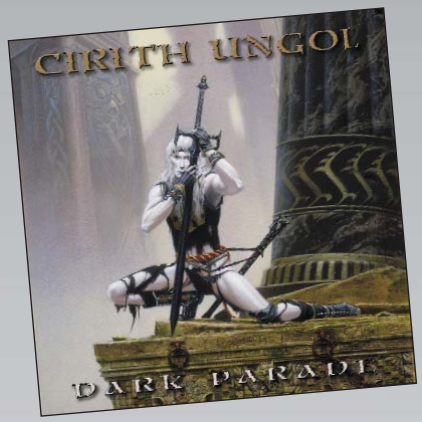

najbardziej spójna propozycja. Dziękujemy Wam wszystkim za nieustające wsparcie i miłość do zespołu i mamy nadzieję, że spodoba wam się maszerowanie u naszego boku w Mrocznej Paradzie!

Ok, załóżmy, że to odpowiedź na moje pytanie. "Down Below" przyprawia mnie dreszcze, to idealne zakończenie dla całego albumu. Skąd wzięliście te upiorne chórki?
Rob Garven: To są córki i syn **Tima** oraz paru przyjaciół zespołu.

Doskonałe zakończenie doskonałego albumu. Zupełna anihilacja, po której pozostaje tylko pustka - w taki sposób odbieram tę płytę. Biorąc pod uwagę Wasze ostatnie oświadczenie o zakończeniu aktywności koncertowej w roku 2024, czy powinniśmy również tę płytę traktować jako ostatnią? Czy jest to pewnego rodzaju list pożegnalny?
Rob Garven: Myślę, że nie i mam nadzieję, że stworzymy jeszcze więcej muzyki. Ogień prawdziwego metalu wciąż płonie w moim sercu.

Jedyne, do czego nie jestem do końca przekonany, to okładka. Bardziej pasowałaby okładka "Forever Black" - samotna postać przechadzająca się po pustkowiu. Dlaczego wybraliście tę okładkę? W jaki sposób nawiązuje do muzyki na tym albumie? Nie kusiło Was, żeby tym razem zrobić coś w nieco innym klimacie?
Rob Garven: Ta okładka, autorstwa **Michaela Whelana**, jest ostatnią z serii książkowego wydania **DAW** - książek **Michaela Moorcocka** o **Elricu** z lat 80. **Michael** jest jednym z naszych najlepszych przyjaciół i mieliśmy wielkie szczęście, że mogliśmy wykorzystać jego fantastyczne prace do wszystkich naszych albumów z wyjątkiem "**Servants of Chaos**" (2001). Arcydziełu **Whelana**, którego użyliśmy w "**Dark Parade**", to spektakularny "**Elric i tonące miasto**". **Elric** wygląda, jakby rozglądał się, czegoś szukał, wydaje się też, że rozważa prawdopodobnie niektóre ze swoich poprzednich triumfów lub porażek. Wyczuwam na jego twarzy zmęczenie, ale także wyraz determinacji w obliczu tego, co nas czeka, podobnie jak nasz zespół w tym momencie. Naszym marzeniem było wykorzystanie jego serii okładek **Elrica** do wszystkich naszych przyszłych płyt. Oczywiście byliśmy wtedy młodym zespołem i nie mieliśmy pojęcia, jaka czeka nas przyszłość ani ile albumów nagramy. Los nam sprzyjał i mieliśmy ten zaszczyt i przywilej, że prace tego uznanego artysty zdobią pięć naszych albumów studyjnych, nasz singiel "**Witch's Game**", nasz album kon-

certowy "**I'm Alive**" oraz naszą EPkę "**Half Past Human**" z 2021 roku. Łącznikiem między nimi wszystkimi jest interpretacja *Elrica* dokonana przez **Michaela**. Moim zdaniem każdy z nich pasuje do albumów, które zdobi i myślę, że mrok ostatnich trzech projektów odbija się w obliczu **Elrica**! Chociaż na przestrzeni lat jego prace zdobiły okładki albumów wielu innych zespołów, jako pierwsi wykorzystaliśmy jego prace na naszym pierwszym albumie "**Frost & Fire**" z 1981 roku.

Rozumiem więc, że przyszły rok to ostatnia szansa, aby zobaczyć Was na żywo. Wszystko w rękach promotorów, bo z Waszych wypowiedzi wynika, że jesteście otwarci na propozycje i można rezerwować Wasze koncerty. Czy zdajesz sobie sprawę, że po takiej zapowiedzi prawdopodobnie będziesz musiał być w trasie przez cały przyszły rok?
Rob Garven: Liczymy na kilka niesamowitych koncertów, na których pożegnamy naszych fanów, z których wielu nigdy nie miało okazji zobaczyć zespołu na żywo. Mamy nadzieję, że któryś z tych występów odbędzie się w Polsce!

Foto: Cliff Montgomery

Minęło ponad 50 lat Waszego istnienia... Słuchając EP-ki "Half Past Human" z piosenkami z lat 70., możemy zauważyć, że już nawet wtedy mieliście zdefiniowany swój własny styl. Powiedz mi, dlaczego tak bardzo różnicie się od innych zespołów metalowych? Co uczyniło Cirith Ungol wyjątkowym?
Rob Garven: Cóż, zaczęliśmy w 1971 roku i zrobiliśmy sobie 24-letnią przerwę, ale pod koniec przyszłego roku minie nam razem kolejne 9 lat! Myślę, że to, co nas wyróżniało, to to, że od samego początku wiedzieliśmy, co chcemy zrobić. Podczas gdy wiele innych zespołów kręciło się wokół, próbując podążać za modą i sztuczkami, my trzymaliśmy się wiernie naszego pierwotnego celu, jakim było stworzenie najcięższego metalu znanego człowiekowi. A Churning Maelstrom of Metal Chaos Descending!

Czy w latach 80. byliście outsiderem sceny metalowej? Czy utrzymywaliście kontakt z innymi zespołami? Czy scena heavy metalowa w USA była wówczas zintegrowana? Jesteście z Kalifornii, więc przynajmniej teoretycznie byliście w dobrym miejscu i blisko głównych wydarzeń.
Rob Garven: Zawsze byliśmy outsiderami, nie mieliśmy wtedy zbyt dużego kontaktu z żadnym z lokalnych zespołów z Los Angeles. Oczywiście nie było wtedy internetu i telefonów komórkowych. Często byliśmy porównywani do **Manilla Road** ale szczerze mówiąc, nawet o nich nie słyszeliśmy, aż do czasu gdy się rozpadliśmy. Jest to niezwykłe, że nie wpadliśmy na nich wcześniej, ponieważ zawsze przeszukiwaliśmy sklepy płytowe w poszukiwaniu nowej muzyki. Właśnie wczoraj wieczorem obejrzałem film dokumentalny o "**Metal Massacre 1**" **Briana Slagela** i zdałem sobie sprawę, jak niewiele mieliśmy wspólnego wtedy z lokalnymi zespołami z tamtych czasów. Zawsze czułem, że scena metalowa w USA była bardzo rozproszona i gdyby nie ludzie tacy jak **Brian Slagel** i inni, byłoby to znacznie biedniejsze miejsce. Mieszkamy około godziny drogi od Los Angeles, więc byliśmy odizolowani i podobnie jak ssaki w Australii ewoluowaliśmy inaczej. O, chyba mam nawet torbę na brzuchu!

Czego słuchaliście na początku swojej kariery? Co zainspirowało Was do stworzenia tak unikalnej muzyki? Bo aż trudno uwierzyć, że to wszystko dzięki Grand Funk Railroad i Mountain.
Rob Garven: Może trudno w to uwierzyć, ale na tym się wychowaliśmy, włączając w to **Cream**, **Jimi Hendrix**, **Blue Cheer**, **Sir Lord Baltimore**, **Dust**, **Budgie**, **Thin Lizzy**, **Lucifer's Friend** itd. Oraz setki innych mało znanych zespołów, z których część wydała tylko jeden lub dwa albumy. Mówię o takich kapelach jak **A Foot in Cold Water**, **Boomerang**, **Head over Heels**, **Night Sun** itp.

Trzech z Was gra niemal do początków zespołu. Jim Barraza też nie jest nowym człowiekiem, również grał w klasycznym Cirith Ungol. Całkiem niezły wynik jak na 50-letni zespół z 24-letnią przerwą. Pomimo kłótni i nieporozumień gracie w dość stabilnym składzie. Jesteście przyjaciółmi, czy łączy Was tylko biznes?
Rob Garven: Kiedy byliśmy młodsi, oczywiście byliśmy ze sobą całkiem blisko, ale kiedy dorastasz w grę wchodzą rodziny, kariery, różne hobby i zainteresowania. Relacje są o wiele bardziej skomplikowane niż wtedy, gdy byliśmy młodsi, w szkole, bez pracy i dziewczyn…

Zatem w przyszłym roku zabłyśniecie po raz ostatni, a potem nadejdzie czas przejścia na emeryturę. Jakie masz plany na ten czas? Czy będziesz robić coś jeszcze związanego z muzyką?
Rob Garven: Niedawno ogłosiliśmy, że pod koniec 2024 roku przestaniemy grać koncerty. Jest tego kilka powodów; jednym z nich jest to, że ludzie są prawdopodobnie zmęczeni przesyceniem **Cirith Ungol**. Ponieważ nie koncertujemy regularnie, gramy na wielu tych samych festiwalach, a przy tak dużej liczbie zespołów istnieje ciągła potrzeba większej różnorodności. Po drugie, wszyscy się starzejemy i podróżowanie nie sprawia już tyle frajdy, co kiedyś! Jest to dość wyczerpujące dla młodego zespołu, nie mówiąc już o starszych metalowych mężach stanu! Myślę, jak wspaniale byłoby podróżować i móc cieszyć się krajobrazami, chłonąć kulturę i język danego kraju bez pośpiechu. Jakkolwiek koniec jest już blisko, to jeszcze nie koniec **Cirith Ungol**. Zobaczycie nas na wielu występach i festiwalach, z których część została już ogłoszona; "**Up the Hammers**" w Grecji, "**Keep it True Rising**" w Niemczech, "**Hells Heroes Festival**" w Teksasie i nie tylko. Mam nadzieję, że **Cirith Ungol** będzie nadal pisać nową muzykę, mimo że nie będziemy grać na żywo. **The Beatles** przestali grać na żywo w 1964 roku i prawdopodobnie wszystkie ich najlepsze albumy ukazały się później. Oczywiście, jeśli posłuchasz naszych tekstów, świat może się skończyć przed naszym końcem!

Dziękuję bardzo za wywiad, był to naprawdę wielki zaszczyt. Szczególnie, że może to być ostatni wywiad Cirith Ungol dla naszego magazynu. Mam nadzieję, że jednak tak się nie stanie. Ostatnie słowa należą do Ciebie. Co chciałbyś powiedzieć polskim fanom na koniec?
Rob Garven: Dziękuję bardzo, to był również zaszczyt dla mnie, Grzegorzu. Chciałbym podziękować tobie, Heavy Metal Pages i wszystkim Waszym czytelnikom za wspieranie zespołu przez te wszystkie lata i teraz, kiedy odkrywamy ostatnie rozdziały **Cirith Ungol**. Mamy nadzieję, że zobaczymy się wszyscy na jednym z naszych ostatnich występów w 2024 roku. Będziemy żyć na zawsze w sercach i duszach naszych "Legionów Chaosu"!

You never lost hope, you never have strayed
Arise now my children, arise from the grave
We lead not the weak, they won't answer the call
As chaos descends, false metal will fall

Grzegorz "Greg" Putkiewicz

ANNIVERSARY

2013 X 2023

ONLY DOOM IS REAL

NINE RECORDS

VESTAL CLARET
"Bloodbath"

MANSION
"We Shall Live"

UNSILENCE
"A Fire On The Sea"

LEATHER NUN
"Buddha Knievel"

LUCIFER'S FALL
"Cursed & Damned"

CARDINALS FOLLY
"Deranged Pagan Sons"

SOLEMN CEREMONY
"S/T"

ACOLYTES OF MOROS
"The Wellspring"

EVANGELIST
"Deus Vult"

MONASTERIUM
"Church Of Bones"

THE RIVER
"Vessels Into Whide Tides"

CASKETS OPEN
"Concrete Realms Of Pain"

EVANGELIST
"Ad Mortem Festinamus"

SOLEMN CEREMONY
"Demise"

JOHN THE BAPTIST
"S/T"

MONASTERIUM
"Cold Are The Graves"

ROSARY
"Telestai"

GARGANTUAN BLADE
"S/T"

WWW.NINE-RECORDS.COM

Popiór

Bez rozdzielania na siłę

Kat Romana Kostrzewskiego nie zdołał już nagrać kolejnego albumu, chociaż materiał na następcę "Popióra" powstał i lider grupy zdążył go jeszcze przed śmiercią zaakceptować. Jacek Hiro i Jacek Nowak wrócili do tych utworów, zakładając nowy zespół i zapraszając do współpracy basistę Grzegorza Feliksa i wokalistę Chrisa Hoflera. To właśnie na nim spoczywała największa odpowiedzialność, ale frontman Popióra sprostał wyzwaniu, pisząc również teksty do muzyki Jacka Hiro. "Pomarlisko", mimo oczywistych związków z Katem Kostrzewskiego i nawiązań do przeszłości, to nowe otwarcie dla muzyków Popióra, co dobitnie podkreśla deklaracja lidera, że "to nie jest, nigdy nie był i nigdy nie będzie Kat".

HMP: Kiedy wiosną 2019 roku za sprawą albumu "Popiór" Kat Romana Kostrzewskiego wrócił do najwyższej formy, a nowy materiał był świetnie przyjmowany na koncertach, można było przypuszczać, że to dopiero początek nowego etapu w historii waszej grupy. Nieoczekiwana choroba i śmierć Romana zniweczyła jakiekolwiek plany, od razu było też wiadomo, że to koniec zespołu pod tą nazwą. Nie było jednak mowy o tym, że zrezygnujecie z grania, tym bardziej, że miałeś już gotowy materiał na kolejny album Romanowego Kata?

Jacek Hiro: Tak, materiał był gotowy już jakiś czas i czekał, aż **Romek** skończy pracę nad "**Luftem**". Nie chciał się zabierać za dwie rzeczy naraz, więc cierpliwie czekaliśmy na swoją kolej. Niestety stało się, jak się stało i **Romek** nie zdążył napisać tekstów, ani zrobić linii melodycznych. Pierwotny plan zakładał, że zespół zostaje, szuka wokalisty i jedziemy dalej. Niestety nie dla wszystkich oczywistym było to, o czym wspomniałeś czyli konieczność zmiany nazwy. Był to jeden z powodów rozejścia się naszych dróg.

Foto: Marcin Halerz

Prace nad nim musiały być już dość zaawansowane, skoro piszecie na swojej stronie, że Roman zaakceptował te utwory - to dokładnie tych osiem utworów, które nagraliście na "Pomarlisko"?

Dokładnie tak. Wszystkie utwory zawarte na "**Pomarlisku**" były gotowe, zaakceptowane przez **Romka**. Właściwie ich forma prawie się nie zmieniła od tamtego czasu.

Zdążył wprowadzić do nich jakieś poprawki, sugerował coś pod kątem aranżacji, czy też miałeś w tym względzie wolną rękę i jego pełne zaufanie?

Do etapu wprowadzania poprawek nie dotarliśmy. To ma miejsce dopiero kiedy wokalista zaczyna pracę nad materiałem i wszelkie tego typu rzeczy wychodzą podczas roboty. W trakcie powstawania piosenek **Romek**, słuchając na bieżąco tego, co mu podsyłałem, czasem sugerował jakiego rodzaju utwór dobrze by było mieć na płycie. Tak właśnie powstało tytułowe "**Pomarlisko**". **Romek** zażyczył sobie "betona". (śmiech)

Założenie zespołu kontynuującego dzieło Romana było dla ciebie czymś oczywistym, nie tylko w wymiarze hołdu dla niego, ale też chęci stworzenia czegoś nowego?

Nie kontynuujemy dzieła **Romana**. Kontynuujemy nasze dzieło, które rozpoczęliśmy u jego boku i od tej strony trzeba na to patrzeć. Dzieło **Romka** mógł kontynuować tylko on sam. Ważne jest to, żeby zrozumieć, że to on był tym zespołem. Cała reszta była wymienialna. Od momentu kiedy go w zespole zabrakło ciężko postrzegać to jako kontynuację jego dzieła. Ponieważ siłą rzeczy jest to wszystko ze sobą nierozłącznie związane materiałem, który powstał jako druga płyta napisana przeze mnie dla **Romka**, postanowiliśmy, że nie będziemy tego na siłę rozdzielać. Stąd nazwa zespołu nawiązująca do przeszłości i do początków tej historii. Podobnie jest z płytą "**Popiór**", którą będziemy na koncertach grać, bo nie chcieliśmy, żeby taki fajny materiał poszedł w odstawkę. Wiem, że jest to sytuacja trochę zagmatwana i rozumiem, że niektórzy mogą widzieć nieco inaczej niż ja, ale tak to wygląda z mojej perspektywy. Lepiej chyba nie potrafię tego wyjaśnić.

"Pomarlisko" to jednorazowy projekt, mający postawić kropkę nad i w przypadku płyty, która nie mogła powstać z udziałem Romana, czy też pełnoprawny zespół, z długofalową strategią i planami wydania kolejnych albumów?

Nawet przez chwilę nie pomyśleliśmy z **Jackiem** o tym zespole jako o jednostrzałowcu. Mieliśmy fajny materiał i założyliśmy zespół żeby grać, a nie gryzmolić jakieś kropki (śmiech). Jak się sprawy potoczą pokaże czas, ale chcemy grać, nagrywać i nie zamierzamy się po "**Pomarlisku**" zwinąć.

Nazwa Popiór nasunęła się wam od razu, jako zaakcentowanie związków z poprzednim zespołem, ale zarazem nośna i oryginalna?

Właściwie tak, choć po rozstaniu z **Michałem** i **Krzyśkiem** miałem osobiście wątpliwości czy to dalej dobry pomysł. W końcu jakoś się z tą myślą zaprzyjaźniłem, tym bardziej, że wszyscy, którym o tym pomyśle wspominaliśmy uznali go za trafiony. Wydaje mi się, że nazwa doskonale pasuje do okoliczności w jakich zespół powstał, jaka jest jego historia i do tego co muzycznie robi.

Wygląda na to, że nie wszyscy członkowie Kata Romana Kostrzewskiego przyklasnęli tej inicjatywie - nie byli zainteresowani udziałem, czy przeciwnie, to wy we dwóch uznaliście, że takie odwzorowanie jeden do jednego dawnego składu, tylko z nowym wokalistą, nie ma racji bytu?

Tak jak już wspomniałem pierwotny plan zakładał granie razem. Niestety (albo i stety) różnica zdań na pewne tematy spowodowała, że nie było to możliwe. Ani ja, ani **Jacek** nie byliśmy w stanie przyjąć do wiadomości kontynuowania zespołu pod nazwą **Kat & Roman Kostrzewski**. Skorzystaliśmy więc z klauzuli sumienia.

Basista Grzegorz Feliks nie jest osobą przy-

padkową, bo znacie się od lat, ale pewnie z wokalistą było znacznie trudniej, bo niezależnie kogo byście zwerbowali, pojawią się porównania. To dlatego zaprosiliście właśnie Chrisa Hoflera, udzielającego się w death/thrashowym Deathyard?

Chrisa zaprosiliśmy bo po wysłuchaniu kilku jego utworów stwierdziliśmy (jak się później okazało słusznie), że może się nadać. Nigdy nie kierowaliśmy się "romkowym kryterium". Nie szukaliśmy ani kogoś podobnego, ani zupełnie innego. Ważne było znalezienie dobrego wokalisty, który wklei się barwowo w tę muzę ale, co nawet ważniejsze, sam skuma klimat i będzie nadawał na tych samych falach. **Chris** okazał się strzałem w dziesiątkę. Nie dość, że zajebiście śpiewa i ma świetny głos, to na dodatek interesuje się tematami, które są kopalnią pomysłów do tworzenia tekstów pod tego typu nutę. Z **Felem**, tak jak mówisz, znamy się jak łyse konie. Traf chciał, że tuż przed naszą z **Jackiem** mobilizacją **Felo** przeprosił się z gitarą i był pierwszą osobą, której zaproponowaliśmy współpracę. Tutaj poszło łatwo. (śmiech)

Utwory były pisane "pod" Kostrzewskiego, pewnie stąd biorą się więc pewne podobieństwa do jego stylu, ale generalnie nie zależało wam na udziale kogoś, kto będzie tylko jego imitatorem, zwykłym naśladowcą?

Nie da się naśladować **Romka**. Nie chodzi tu tylko o barwę głosu. Na **Romka** składa się wiele rozmaitych czynników. Od barwy zaczynając, przez sposób tworzenia linii wokalnych i na tekstach i słowotwórstwie kończąc. **Romek** był indywidualnością, unikatem i każdy kto będzie próbował go naśladować (nawet gdyby mu się w jakimś stopniu udało) z definicji już unikatem nie będzie. **Chris** dostał na etapie swojej pracy nad płytą wolną rękę. Wiedział, że nie chodzi nam **Romka 2.0** i że ma robić po swojemu. Wiem, że zastosowane przez niego w kilku miejscach zabiegi były ukłonem i, jak on sam to nazywa, puszczeniem oczka, oddaniem hołdu. Podszedł do tego tak, jak podpowiadało mu serce, a przyznać trzeba, że musiał się zmierzyć z tęgim wyzwaniem, bo jak mówisz, było pewne, że porównania będą i nie uciekniemy od tego w żaden sposób.

Foto: Marcin Halerz

Kostrzewski nie zdążył już napisać tekstów do tych utworów, ważne więc było i to, aby nowy wokalista mógł je stworzyć, włączyć się w proces twórczy?

Bardzo ważne. Była to jedna z rzeczy, którymi **Chris** nas przekonał. Oprócz tego, że kupił nas umiejętnościami i barwą, duże wrażenie zrobiło na nas to, że robota szła mu super szybko i przysyłał piosenki właściwie na gotowo. Zrobiona linia, napisany tekst. Bardzo ułatwiło to pracę nad płytą.

Chyba nieprzypadkowo kilkakrotnie pojawiają się tych tekstach odniesienia do klasycznych utworów Kata - to wasz hołd dla Romana, a zarazem podkreślenie, że miał ogromny wpływ na warstwę liryczną polskiego metalu, bo pod wieloma względami był prekursorem?

Jak już mówiłem te manewry to robota **Chrisa**, więc lepiej niech on się do tego odnosi i tłumaczy jakie były tego powody (śmiech). Ja osobiście uważam, że wyszło to mega fajnie i jeśli w jakimś stopniu pomogło mu dźwignąć to co na nim ciążyło to proszę bardzo, niech se Synek robi. (śmiech)

Tytuł płyty również wydaje mi się symboliczny - macie poczucie pustki po śmierci przyjaciela i lidera zespołu, ale zarazem "Pomarlisko" to początek czegoś nowego?

Oczywiście, że mamy poczucie pustki jak zawsze, kiedy odchodzi bliska osoba. Co do samego tytułu to na początku nie posklejaliśmy tego wszystkiego. Utwór "***Pomarlisko***" to mój osobisty faworyt na tej płycie, a do tego razem **Chrisem** uznaliśmy, że taki tytuł fajnie siądzie w odniesieniu do postaci **Popióra**, który w naszym wydaniu jest już po całym procesie, o którym śpiewał **Romek**. Czyli w pewnym sensie się odrodził. Później dopiero zauważyliśmy, że można w tym wszystkim pokopać jeszcze głębiej, co tylko utwierdził nas w przekonaniu, że tytuł jest trafiony.

Jak pracuje się nad płytą ze świadomością, że będzie ona przedmiotem wnikliwych analiz, porównań do tego, co było kiedyś, a może też hejtu, bo przecież zawsze znajdą się przeciwnicy powstania zespołu takiego jak wasz?

Zawsze znajdą się przeciwnicy wszystkiego (śmiech) i już dawno przestałem się zastanawiać nad tym "co ludzie powiedzą". I nie dotyczy to tylko zespołów z podobną genezą. Jeśli tworzysz coś, co z założenia wymaga udostępnienia ludziom, to musisz się liczyć z tym, że niektórym może się to nie spodobać, a wiadomo, że niektórzy nie potrafią kulturalnie wyrazić swojego zdania. Zwłaszcza kiedy są anonimowi w internecie (śmiech). Cieszę się, że "**Pomarlisko**" wywołało takich reakcji stosunkowo niewiele. Oczywiście są głosy krytyczne, ale w ogromnej większości wyrażane w cywilizowany sposób. Nikt nie jest fanem wszystkiego. Mnie też wiele rzeczy się nie podoba, a każdy ma prawo wyrazić swoje zdanie i to jest OK. Nie obrażam się na ludzi tylko dlatego, że mają inną wrażliwość niż ja. Mogę jedynie pożałować tych, którzy uważają za swój obowiązek poinformować mnie, że nagrałem "gówno" (śmiech). Jednak jeśli nie macie do powiedzenia nic sensownego, to wasze zdanie mnie naprawdę nie obchodzi; ważniejsze jest to, co nagraliśmy. Ale bawcie się dobrze.

Foto: Marcin Halerz

Wydaje mi się jednak, że poza oczywistymi związkami, bo to miała być przecież nowa płyta Kata Kostrzewskiego i od tego nie uciekniecie, bronicie się też poziomem tego materiału, jego muzyczną jakością, co powin-

no zamknąć usta ewentualnym malkontentom?
Tak jak mówiłem nie ma szans na to, żebyśmy trafili we wszystkie gusta i to jest OK. Wiem, że pojawiają się już ludzie, którzy po pierwszym przesłuchaniu mieli, mówiąc delikatnie, negatywne odczucia, ale teraz przyznają, że po kilku przesłuchaniach i bez oczekiwania, że usłyszą to, co sobie wyobrazili, "**Pomarlisko**" nabiera innego kształtu. Najlepszym przykładem tego o czym mówię są niektóre wypowiedzi. Jeden mówi, że jest dobrze, bo słyszy **Romka**, drugi, że dobrze, bo nie słyszy **Romka**, trzeci, że do dupy bo słyszy, a czwarty, że do dupy, bo nie słyszy (śmiech). Widać tu kilka rzeczy. Po pierwsze każdy oczekiwał po płycie czegoś innego i w którąkolwiek stronę byśmy nie poszli to część ludzi byłaby niezadowolona. Po drugie, że reakcja niektórych była z góry ustalona. Jeśli podchodzisz do czegoś z negatywnym nastawieniem to raczej mała szansa, żebyś się z tym zaprzyjaźnił. Chciałbym, żeby choć część z tych, którzy byli zawiedzeni dali nam i sobie jeszcze jedną szansę, ale próbując się zastanowić, czy to dobra płyta czy nie, a nie, czy słychać tam **Romka** czy nie. **Romka** tam nie ma. Jest **Chris**.

I czegokolwiek byście tam nie usłyszeli, to ten fakt się nie zmieni.

Jak z kolei odbierają ten album starzy fani Kata? Docierają do was opinie ludzi, którzy są z tym zespołem na dobre i na złe od dawna, nierzadko jeszcze od połowy lat 80.?
Oczywiście, że docierają i generalnie sprawa wygląda bardzo podobnie. Jednym się podoba, innym nie i tak jak mówiłem to jest jak najbardziej w porządku. Taki jest nasz pomysł na ten zespół i pozwólcie, że zrealizujemy go po swojemu. To nie jest, nigdy nie był i nigdy nie będzie **Kat**.

Te pozytywne opinie chyba wiele dla was znaczą, tym bardziej, że Kat z Kostrzewskim był ważny również i dla was, kiedy zaczynaliście przygodę z metalem, najpierw jako fani, a później też muzycy?
Mogę mówić za siebie i jak najbardziej przyznaję tutaj rację, że **Kat** był dla mnie ważny. Na pierwszym koncercie w życiu byłem właśnie na **Kacie**. Miałem wtedy 12 lat i **Kat** był (i w sumie nadal jest) jednym z moich ulubionych bandów. Ale mam ulubionych bandów więcej i mam własne zespoły, które są wypadkową wszystkiego czego słucham, nie tylko małego ułamka.

Widzisz na naszej obecnej scenie kogoś, kto dorównuje Romanowi charyzmą i skalą talentu, kto mógłby stać się w przyszłości dla młodych ludzi taką wyrocznią jak on dla nas przed laty?
Nie, a ty?

Również nie, co tym bardziej podkreśla ogromną rolę Kostrzewskiego i stratę dla naszej sceny... Ciekawie zestawiliście utwory promujące album, "Międzyświat" i "Requiem": chcieliście pokazać, że to materiał zróżnicowany muzycznie, a mroczne ballady wciąż są mocnym punktem waszego programu?
Nie przyświecała nam jakaś głębsza idea. Uznaliśmy, że "***Międzyświat***" będzie dobry na start. Co do "***Requiem***" to może była to z mojej strony drobna złośliwość, ale nie drążmy tematu. (śmiech)

Branża przeobraża się nieustannie, znaczenie wytwórni płytowej w klasycznym znaczeniu tego słowa jest już zupełnie inne niż choćby kilka lat temu, ale wciąż nie brakuje w Polsce firm wydających metal. Tymczasem wy związaliście się z Szatańcem - czym was zjednali, czyżby tymi wypasionymi edycjami specjalnymi, rozchwytywanymi przez kolekcjonerów?
Mam dobre doświadczenia ze współpracy z **Szatańcem** po reedycjach starych płyt **Sceptic** i wydaniu najnowszej. **Piotrek** i ekipa to rzetelni ludzie i dobrze się z nimi dogadujemy. Poza tym jako wytwórnia nie mają jeszcze kwadryliona tytułów, więc możemy liczyć na to, że poświęcą nam tyle uwagi ile potrzebujemy. A to, że gadżety mamy w pakiecie i to takie zajebiste, to bardzo miły dodatek i jeśli kolekcjonerów też to cieszy, to wszystko gra.

Plus tej sytuacji jest też taki, że wasze stoisko podczas koncertów promujących "Pomarlisko" będzie nieźle zaopatrzone - fani chętnie kupowali CD, LP i koszulki Kata Romana Kostrzewskiego, liczycie, że podobnie będzie w przypadku Popióra?
Po to robimy ten merch, żeby go sprzedać ludziom. Tak to działa (śmiech). Wiemy już, że zainteresowanie jest spore, więc raczej mamy spokojne myśli. Okładka jest super i fajnie wygląda na odzieży, a to dobrze wróży. Mamy nadzieję, że będziecie dumnie nosić mundury Popiórowej Armii. (śmiech)

Zaczynacie od ośmiu koncertów pod koniec października, by zwieńczyć tę turę tuż przed świętami. Będą kolejne, to początek trasy?
Dziwnie się czuję mówiąc tu o trasie bo przywykłem do tego, że trasa trwa 2-3 tygodnie i gra się dzień po dniu. Ale tak, będą kolejne koncerty w przyszłym roku. Część jest już wbita, a następne czekają na sfinalizowanie. Niedługo ogłosimy ich daty.

Liczycie, że dzięki tej aktywności uda wam się dotrzeć również do tych słuchaczy, którym wcześniej niekoniecznie było po drodze z dokonaniami Kata i Romana Kostrzewskiego, a co a tym idzie poszerzyć krąg odbiorców waszej muzyki?
Liczymy, że dotrzemy do tych, którym będzie po drodze z dokonaniami **Popióra**. Bez względu na to czy słuchają **Kata**, czy nie.

Wojciech Chamryk

OLDSCHOOL HEAVY POWER SPEED THRASH DOOM METAL FESTIVAL

HELICON METAL FESTIVAL IV

SCAN ME

15-16 MARCH 2024

PL-WARSAW | ODESSA CLUB

TICKETS: WWW.HELICONMETAL.BIGCARTEL.COM | WWW.GOOUT.NET

Dokken

Mnóstwo radości

Wydany jedenaście lat temu "Broken Bones" miał być ostatnim albumem w dyskografii Dokken. Kalifornijczycy postanowili jednak wypuścić jeszcze jeden krążek, ale na bardzo wysokim poziomie i z pozytywnym przekazem. Spędzili trzy lata i dołożyli wszelkich starań, aby wyszła jak najlepsza muzyka. Efekty można usłyszeć na znakomitym LP "Heaven Comes Down", który może okazać się idealną okazją do zaproszenia ich na pierwszy koncert w Polsce, o ile organizatorzy wykażą się odpowiednią inicjatywą. Porozmawialiśmy z liderem, wokalistą i (kiedyś) gitarzystą zespołu, Donem Dokkenem.

HMP: **Co najbardziej ekscytującego wydarzyło się w Twojej karierze muzycznej w ciągu ostatnich lat?**

Don Dokken: Niezmiernie cieszymy się, że udało nam się wreszcie ukończyć nową płytę studyjną "**Heaven Comes Down**". Przy okazji nakręciliśmy również video do utworu "***Fugitive***" w szalonym miejscu zwanym **Meow Wolf** (według oficjalnej strony, ta firma z obiektami zlokalizowanymi w Santa Fe, Denver, Las Vegas oraz Grapevine, deklaruje: "otwieramy portale możliwości i redefiniujemy zasady sztuki oraz opowiadania historii, aby dokonać na świecie zmian na lepsze" - przyp. red.). Udało nam się tam przygotować unikalny wideoklip. W ciągu dwóch miesięcy został wyświetlony ponad sześćset tysięcy razy. Zagranie mnóstwa koncertów też dało mi mnóstwo radości po tych wszystkich problemach, przez jakie przeszedłem, np. paraliż prawej ręki po nieudanej operacji w 2020 roku. Ciągle żywię nadzieję, że mi się poprawi, ale nic na to nie wskazuje. Muszę się pogodzić z tym, że już nigdy nie zagram na gitarze. Mogę tylko śpiewać. Na szczęście mam w składzie znakomitego gitarzystę **Jona Levina**. Wkrótce wybierzemy się na trasę po Europie. Planujemy show m.in. w Belgii i we Włoszech. Mam siedemdziesiąt lat, więc każdy występ dla mnie jest jak trening na siłowni.

Dlaczego zdecydowałeś się nazwać album "Heaven Comes Down" po tytule Waszego kawałka "When Heaven Comes Down" z 1984 roku?

Zazwyczaj nazywam album tak jak jeden z naszych utworów. Już debiut "**Breakin' The Chains**" (1981) oraz następny krążek "**Tooth And Nail**" (1984) zawierały numery tytułowe. Uznałem, że "**Heaven Comes Down**" pasuje do obecnych wydarzeń na świecie, bo wydaje się, jakby niebo waliło nam się na głowę. Niekoniecznie jednak zamierzałem nawiązywać w ten sposób do naszej twórczości sprzed czterdziestu lat. Bardziej myślałem o wojnie na Ukrainie oraz o mnóstwie osób głodujących na ulicy.

Foto: Dokken

Czy w 1984 roku miałeś podobne poglądy na świat jak obecnie?

Nie. Uważam, że świat był lepszy w latach osiemdziesiątych niż teraz. Łatwiej żyło się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Mam nadzieję, że uda nam się rozwiązać bieżące problemy i powrócić do dawnego dobrostanu. Rozumiem, że można popaść w depresję, dlatego chciałem nadać pozytywny wydźwięk wszystkim utworom zawartym na "**Heaven Comes Down**". Wyróżniają się pod względem przekazywania pomyślnych historii. Mówię poprzez nie: starajcie się wieść jak najszczęśliwsze życie i cieszcie się każdą dobrą chwilą. Nie trzeba być bogatym, jeździć Ferrari ani posiadać fortecy, ale żyje się tylko raz, więc zróbcie jak najlepszy użytek ze swojego życia. Szczęście uważam za najcenniejszą wartość w życiu.

Co spowodowało jedenastoletnią przerwę między "Broken Bones" (2012) a "Heaven Comes Down" (2023)?

Połamaliśmy ręce. Basista **Chris McCarvill** złamał ramię w ośmiu miejscach, w związku z czym nie mogliśmy wcale grać przez niemal półtorej roku. Gitarzysta **Jon Levin** przeszedł operację ramienia. Pech zadecydował.

Gdyby nie pech, wydalibyście "Heaven Comes Down" wcześniej?

Tak naprawdę traktowaliśmy "**Broken Bones**" jako nasz ostatni album, dlatego że w dzisiejszych czasach muzycy wkładają serce i duszę w swoją twórczość, a następnego dnia płyta pojawia się bezpłatnie do odsłuchu w Internecie. Ludzie ściągają i nie kupują fizycznych wydań. Dawniej rozchodziły się płyty CD, a Internet położył temu kres. Po co miałbym się więc starać na sto procent? Może po to, żeby grać nowe rzeczy na koncertach. No nie wiem, odpuściliśmy. Możliwe, że przestało nas kręcić komponowanie.

Co się zmieniło, że jednak ukazała się następna płyta studyjna?

Postanowiliśmy wzbogacić dyskografię o jeszcze jeden, wspaniały album. Zmiany w naszym nastawieniu zachodziły podczas wypadków. Gdy odzyskaliśmy siły, doszliśmy do wniosku, że jednak chcemy zrobić jeszcze jedną wspaniałą płytę. Podczas przerwy w koncertowaniu nie rozpowiadaliśmy wieści o powstającym materiale, aby uniknąć niepotrzebnej presji ze strony fanów. Skupiliśmy się na pracy.

W międzyczasie Dokken zyskał nową sekcję rytmiczną. Obecnie na basie gra u Was Chris McCarvill a na perkusji B. J. Zampa. Jak się dogadujecie?

Perfekcyjnie. Gdybyśmy się równie dobrze dogadywali z poprzednim składem, nigdy nie doszłoby do jego zmiany. W przeszłości inni muzycy **Dokken** robili zbyt wiele problemów. Ćpali kokainę, pili alkohol, a ja nigdy tego nie robiłem. Ciężko funkcjonowało mi się w takim towarzystwie. Obserwowałem, jak wszystko się sypie. Mimo, że dzieliliśmy stadiony z **Van Halen**, **Scorpions** i z **Metalliką**, w 1988 roku uznałem, że nasz zespół przestał działać jak powinien. Brzmieliśmy coraz gorzej zamiast coraz lepiej. Nie podobało mi się to i w 1989 roku **Dokken** przestał istnieć. Natomiast teraz nikt w **Dokken** już nie bierze narkotyków. Dzięki temu o wiele większą przy-

jemność sprawia mi granie w zespole. Zamiast kłócić się i stresować, cieszymy się wspólnymi wyprawami. Gitarzysta **Jon Levin** gra z nami nieprzerwanie już dwadzieścia lat, a **George Lynch** był z nami tylko osiem lat.

Prawdopodobnie z tego powodu George'a Lynch'a nie ma już dawno w Dokken, ale czasami gracie wspólnie kilka utworów na żywo.
No czasami fajnie jest zaprezentować krótki fragment występu z jego udziałem. Dawniej strasznie się ze sobą żarliśmy, ale dziś jesteśmy już za starzy, żeby ze sobą walczyć. Obaj dojrzeliśmy z wiekiem. Zauważ, że mnóstwo kapel w latach osiemdziesiątych przestało istnieć albo zmieniało składy. Dlaczego? Przez narkotyki i alkohol.

Rozumiem. "Heaven Comes Down" nagrywałeś w swoim drugim mieście rodzinnym, Santa Fe. Jest to najstarsza stolica Stanów Zjednoczonych, często nazywana potocznie "innym miastem (od wszystkich)".
Bo jest zupełnie inne. Santa Fe jest spokojnym miejscem pośrodku pustyni. Mamy wokół mnóstwo drzew, za to żadnych sąsiadów. Nikt inny nie mieszka w mojej okolicy. Panuje tu kompletnie inna atmosfera niż w dużych kalifornijskich metropoliach. Spędziłem w Los Angeles niemal całe życie. Przeszkadzał mi tłum, zakorkowane ulice, często popełniane przestępstwa i widok ćpunów. Zbyt wiele tam bezdomnych. Dwa lata temu przeniosłem się do spokojniejszego miejsca, zwanego Santa Fe.

Czy mieszkałeś kiedyś w jakimś innym kraju niż w USA oraz w Niemczech?
Nie. Całe życie mieszkałem w Los Angeles. W Niemczech tylko przez kilka miesięcy. Może kiedyś przeniósłbym się do Francji.

Udo Dirkschneider powiedział mi, że w okresie Twojego niemieckiego epizodu, istniały tam tylko dwa zespoły: Accept i Scorpions, a wszyscy inni pojawili się dopiero później. Jak to pamiętasz?
Wtenczas był już **Helloween** i - (przy czym Saxon powstał w Anglii - przyp. red.). Wiele heavy metalowych kapel działało w Niemczech. Co innego w Ameryce - tu dominował pop, jak **Blondie** i **Madonna**, ewentualnie punk, a mnie się taka muzyka nie podobała.

A czy przypadkiem Helloween nie powstał dopiero po Twoim powrocie do Stanów?
Widziałem **Helloween** w 1980 roku w Hamburgu. Byli bardzo młodzi. Dzieliłem scenę z **Accept**, **Scorpions**, **Saxon** i z **Judas Priest**. Powiem Ci, że moim ulubionym longplay'em **Judas Priest** było "**Sad Wings of Destiny**" (1976). Gdy go usłyszałem, wpadłem w zachwyt. Niesamowicie mnie zainspirowali.

Wszystkie heavy metalowe zespoły z podwójnymi gitarami wzorowały się na Wishbone Ash.
Wishbone Ash grało cudowną muzykę. Gdy śpiewałem chórki na **Scorpions** "**Blackout**" (1982), oni też mieli dwóch gitarzystów.

W 2023 roku ukazał się box Dokken "The Elektra Albums" zawierający głównie zremasterowane cztery pierwsze studyjniaki Dokken. Jak bardzo jesteś zadowolony z ich nowego brzmienia?
Nie słyszałem ich, ponieważ nie posiadam gramofonu. Dostałem je, ale nie miałem jeszcze możliwości się z nimi zapoznać. Znajomi je chwalili. Niemniej, box zremasterował **Andy Peace**, natomiast masteringu "**Heaven Comes Down**" dokonał inny inżynier, **David Donnelly**, który wielokrotnie współpracował z **Dokken** w latach osiemdziesiątych. Zawsze podobały mi się efekty pracy **Davida Donnelly'ego** i super się złożyło, że znów mogliśmy powierzyć mu nasz materiał. Jest znakomitym fachowcem. Mieszka w Australii, więc musieliśmy się liczyć z inną strefą czasową. Upewniliśmy się, że "***Heaven Comes Down***" brzmi najlepiej, jak to możliwe. Spędziliśmy trzy lata nad dopracowaniem go. Uwielbiam każdy zawarty na nim utwór.

Zastanawiam się, jak doszło do tego, że ktoś inny odpowiadał za ostateczne brzmienie "The Elektra Albums" a kto inny za "Heaven Comes Down".
Nasze pierwsze longplay'e produkował **Michael Wagener** a "**Heaven Comes Down**" wyprodukował mieszkający w Santa Fe Bill Palmer. W Los Angeles masz do wyboru setki studiów nagraniowych a w Santa Fe wybór jest znacznie mniejszy. Skontaktowałem się z **Billem Palmerem**. Wykonał dobrą robotę. Wszystkie nazwiska będą wymienione w książeczce dołączonej do fizycznego wydania płyty.

W całość zaangażowana była też polska artystka, która przygotowała animacje do teledysku "Gypsy".
Ma na imię **Natalia Jonderko Śmiechowicz**. Podoba mi się jej styl. Podziwiam, że narysowała wszystko ręcznie. Oglądałem jej inne teledyski. Przykuły moją uwagę, bo jej prace wyglądają wyjątkowo. Bardzo łatwo byłoby pokazać grający na scenie zespół. Zrobiłem to już tyle razy, że nie widziałem potrzeby powtarzania się. Na szczęście Natalia zaproponowała nam świetne video, które doskonale współgra z opisaną w lirykach historią.

Jak wyglądają Twoje plany koncertowe?
Mamy jeszcze siedem występów w Ameryce, które odbędą się za kilka dni. Podczas Świąt Bożonarodzeniowych zrobimy sobie przerwę. Staramy się obecnie zorganizować trasę po Europie. Wiemy już, że pojawimy się na **Alcatraz Metal Festival 2024** w Belgii, a także we Włoszech. Chcemy dodać więcej europejskich dat na lato 2024.

Przeglądając nazwy zespołów, z którymi dzieliliście scenę, często widziałem imię Lita Ford. Jak zaczęła się Wasza współpraca i za co cenisz ją najbardziej?
Znam ją jeszcze z czasów naszej młodości. Dobrze się dogadujemy, jest miła i świetnie gra na gitarze. Nie ma między nami żadnych problemów a nie zawsze układało się między **Dokken** a naszymi innymi supportami. Z **Litą** zawsze bardzo łatwo dzieli się scenę.

Ze Scorpionsami chyba też łatwo dzieli się Wam scenę?
Bo jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Czuję się zaszczycony, że mogłem zaśpiewać trochę dodatkowych wokali na ich albumie "**Blackout**" (1982).

Dwadzieścia lat temu odbywały się wspólne koncerty Scorpions i Dokken. Jak zapatrujesz się na opcję ewentualnej ponownej współpracy z nimi w przyszłości?
Przechodzę na emeryturę i nie widzę już możliwości, żebym jeszcze kiedyś śpiewał ze **Scorpions**. Wszyscy się starzejemy. Ostatnio **Aerosmith** musiał odwołać koncerty, bo **Steven Tyler** stracił głos. **Whitesnake** się kończy. Nawet **George Lynch** kilka dni temu ogłosił, że nagrywa swój ostatni album. **Paul McCartney** i **Eric Clapton** pozostają aktywni po osiemdziesiątce, wspaniale, niech Bóg ma ich w swej opiece. Osobiście ja jednak wolę zająć się innymi aktywnościami. Koncentruję się na prywatnym życiu rodzinnym. Lubię zajmować się ogrodem. Dbam o ziemię, o drzewa i o dom. **Dokken** nie wejdzie już do studia, ale będzie koncertować dopóki starczy nam tchu. Nie chodzi nam o zarabianie pieniędzy, bo mamy wystarczająco kasy. **Jon Levin** jest adwokatem, **Chris McCarvill** prowadzi własną firmę. Muzyka to nasza pasja, a nie źródło utrzymania. Wobec tego nie ma potrzeby, żebym spędził wszystkie ostatnie dni życia na lotniskach.

Kontrola bezpieczeństwa na amerykańskich lotniskach może okazać się zbyt wymagająca.
Wielu ludzi narzeka, ale dla mnie to akurat nie problem. Da się przez nią przejść.

Wierzę, że nowa płyta sprawi fanom Dokken mnóstwo radości, bo jest naprawdę udana. Na pewno wielu chętnie wybierze się zobaczyć Was na żywo.
Zwłaszcza, że ostatnio graliśmy w Europie siedem lat temu. Ludzie z pewnością ucieszą się nowymi utworami **Dokken**. Powiem Ci, że nigdy nie byłem w Polsce. Byłem w Czechach, na Słowacji czy w Rosji, ale akurat w Polsce nigdy. Słyszałem, że macie niezłe zespoły, dlatego chętnie bym u Was wystąpił.

Koniecznie napiszę, że Dokken chce zagrać w Polsce. Może jakiś promotor podchwyci temat. Z drugiej strony, co poleciłbyś zobaczyć w USA komuś, kto leciałby do Twojego kraju po raz pierwszy?
Idźcie na plażę w Manhattan Beach, w Kalifornii. Mieszkałem tam całe życie. Rozpościera się stamtąd cudowny widok na Ocean. Wielu turystów interesuje tylko Disneyland, którego ja nie polecam, dlatego że trzeba tam czekać trzy godziny w kolejce na każdą jedną przejażdżkę. Lepiej zainteresować się Oceanem lub pięknymi górami.

Sam O'Black

ALCATRAZZ

Mamy czym porwać słuchaczy

Szkocki wokalista Doogie White rozpoczął profesjonalną karierę muzyczną czterdzieści lat temu od śpiewania w hard rockowym zespole La Paz, ale podobnie jak Ronnie James Dio, Graham Bonnet i Joe Lynn Turner zdobył ogólnoświatową rozpoznawalność dopiero dzięki współpracy z Ritchie'm Blackmore'm. Jego głos można usłyszeć na ostatniej jak dotąd (bo kto wie, czy Ronnie Romero nie zaśpiewa na następnej) płycie studyjnej Rainbow pt. "Stranger In Us All" (1995). Później śpiewał m.in. dla dwóch innych wielkich gitarzystów: Yngwie'go Malmsteena oraz Michaela Schenkera, a także w czołowym reprezentancie nurtu NWOBHM, Tank. Ostatnio historia zatoczyła koło i Doogie White znów zastąpił Grahama Bonneta, tym razem w zespole Alcatrazz. Dwa lata temu ukazał się longplay Alcatrazz "V" (2021) właśnie z nim za mikrofonem, a teraz następuje kontynuacja w postaci "Take No Prisoners". Rozmowę rozpoczęliśmy jednak od jego związków z Polską, bo jak się okazuje, są one dość zażyłe.

HMP: Jak miło, że w przyszłym tygodniu wybierasz się do Polski.

Doogie White: Jadę zagrać kilka koncertów z moim dobrym znajomym, **Bratkiem**, który jest świetnym kompozytorem i wspaniałym gościem. Bardzo się cieszę, że zaprosił mnie do zaśpiewania dwóch utworów na jego najnowszym albumie pt. "**The Book of Life**" (2022). W przyszłym tygodniu zagramy dłuższy set złożony zarówno z jego utworów, jak i z numerów śpiewanych dawniej przeze mnie w **Rainbow**, a także z kowerów **Deep Purple**.

Foto: Giles Lavery

Czy uznajesz Ritchi'ego Blackmore'a za jednego z najwspanialszych gitarzystów, z którym kiedykolwiek współpracowałeś?

Nie. **Ritchie Blackmore** jest najlepszym gitarzystą, z którym zajmowałem się muzyką. Nie jednym z najlepszych, tylko numerem jeden. Nikt nie może się z nim równać.

Nie po raz pierwszy będziesz mieć coś wspólnego z Polską. Już dziesięć lat temu śpiewałeś na wyprodukowanej w Polsce płycie WAMI "Kill the King" (2014). Udział w jej realizacji wzięli: polski gitarzysta Iggy Gwadera, amerykański perkusista Vinny Appice oraz amerykański basista Marco Mendoza.

Ten projekt był wyjątkowy, ponieważ główny kompozytor **Iggy** miał wtedy zaledwie piętnaście lat. Z pomocą i ze wsparciem ojca zatrudnili muzyków sesyjnych, w tym mnie. Nagrany album zatytułowaliśmy **WAMI** od inicjałów naszych imion lub nazwisk. Szkoda, że **Iggy** nie zdecydował się na inny szyld, ponieważ ja, **Vinny** i **Marco** byliśmy bardzo zajęci innymi zespołami i projektami, nie udało nam się zgrać terminów trasy koncertowej pasujących do okresu wakacji szkolnych **Iggy'ego**, a z lepszą nazwą inni muzycy mogliby przystąpić do jego zespołu. Bardzo podobała mi się muzyka zawarta na "**Kill the King**" - to absolutnie genialne dźwięki, dlatego pozytywnie zdziwiłem się, że **Iggy** zaprosił mnie do śpiewania. Pomyślałem: "*dlaczego zwracają się do mnie w tej sprawie w samym środku zimy?*". Strasznie zmarzłem, ale sesja okazała się wspaniała. Niestety, spotkałem się z **Iggym** tylko dwukrotnie, jako że w tamtych czasach chodził jeszcze do szkoły. Minęło dziesięc lat, od tego czasu nigdy się z nim nie zobaczyłem i mam nadzieję, że dobrze ułożył sobie życie. Z **Vinny'm** i z **Marco** widziałem się kilka razy w międzyczasie. W każdym razie, **WAMI** wspominam jako świetną zabawę ze znakomitymi utworami. Nie wiem, dlaczego nie doszło do kontynuacji.

Jakiś czas później polski label Metal Mind Productions wydawał albumy Twojego pierwszego odnoszącego sukcesy zespołu La Paz, tj. "Granite" (2012), "The Dark And The Light" (2013) i "Shut Up And Rawk" (2016).

Metal Mind Productions było dla mnie zawsze bardzo uprzejme i świetnie czułem się w ich towarzystwie. Mają siedzibę w Katowicach. Ja zaś pochodzę ze szkockiej miejscowości Motherwell. Mamy tam taki sobie klub piłki nożnej. Za każdym razem dostajemy łupnia w meczach z Katowicami: "aaargh". Niemniej, zawsze lubiłem śpiewać w Polsce. Akurat **La Paz** nie sprzedało wielu egzemplarzy płyt, jednak często udzielała mi się pasja śląskiej społeczności rockowej. Fani uwielbiali **La Paz**, a czegóż więcej mógłbym chcieć?

Widziałem Twój występ w Katowicach wraz z Tank, 10 sierpnia 2011. Głównym zespołem imprezy był Judas Priest, ale pamiętam też Exodus oraz polskie zespoły Vader i Mech. Dałeś niesamowicie energiczne show, porwałeś publiczność, niesamowicie mi się podobało i w tamtym okresie słuchałem "War Machine" (2010) i "War Nation" (2012) na okrągło. Fantastyczna muzyka.

Koncert odbył się w "**Spodku**". Dla mnie był to cudowny, niezapomniany wieczór. Na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Znakomita impreza, przyszło dziesięć tysięcy ludzi, jak nie więcej. Możliwość wyjścia wtedy na scenę, żeby zaśpiewać klasyki **Tank** oraz nasze najnowsze kawałki stworzone przy moim współudziale, to nic innego jak magia. Niemal oszalałem ze szczęścia.

Co jeszcze mógłbyś powiedzieć o tamtym wieczorze?

Że naprawdę powinienem wtedy założyć koszulę o innym kolorze. Miałem na sobie czerwoną koszulę w kratę. Nie wyglądała najlepiej. Ale pamiętam też, że w pewnym momencie przeszedłem się samotnie wokół, myśląc: "*jak-się-kręcę, czy my naprawdę tutaj gramy?*". Tak masywne było to miejsce! A ja byłem tylko wokalistą **Tank**. Przy okazji dopowiem, że koleżanka zabrała mnie tam na smaczny lunch. Wykonywanie dobrej muzyki na scenie zawsze sprawia mi mnóstwo frajdy. Natomiast siedzenie w domu i wkuwanie tekstów utworów zdecydowanie nie należy do przyjemnych.

To bardzo skromnie zabrzmiało z Twojej strony, że nazwałeś się "tylko wokalistą Tank". W moim odczuciu, zespół Tank zalicza się do czołowych przedstawicieli całego nurtu NWOBHM. Wprawdzie pojawili się stosunkowo późno, bo pierwszy longplay "Filth Hounds of Hades" wydali dopiero w 1982 roku, ale to i tak mega legenda.

Nie miało to jednak nic ze mną wspólnego. Ja dołączyłem do Tank w zupełnie innej epoce.

Niemniej zapisałeś się w historii Tank i śpiewałeś ich największe przeboje. Wiesz, Judas Priest grało wówczas po raz pierwszy w Polsce z Robem Halfordem. Nigdy wcześniej się to nie wydarzyło.
Oh, naprawdę? Nie wiedziałem.

Serio. Kupiłem bilet pół roku wcześniej i przez sześć miesięcy było to najważniejszą sprawą w moim życiu. Gdy Judas Priest odpaliło "Rapid Fire" (1980), tłum postradał zmysły. Wszyscy skakali na siebie nawzajem, ludzie upadali na ziemię, zapanował istny amok. Szaleństwo nie z tej ziemi. Wróciłem do domu bez okularów.
(śmiech) Super. Śpiewałem gościnnie przed **Judas Priest** cztery lub pięć razy. Przesympatyczni kolesie. **Rob Halford** jest genialnym wokalistą. Ogromną radość sprawiało mi obserwowanie ich występów.

Aczkolwiek zasadniczą różnicą pomiędzy Twoim a Roba stylem jest to, że Rob brzmi jak bóg z opery, a Ty brzmisz jak twardo stąpający po ziemi człowiek.
Kiedy uczyłem się śpiewać, **Paul Rodgers** powiedział mi, żebym słuchał szczególnie uważnie tych wokalistów, którzy brzmią podobnie do mnie, lub do których brzmienia mógłbym aspirować. **Paul** uwielbiał się popisywać, podobnie jak **David Coverdale**. Ja nie potrafiłbym choćby zbliżyć się do imitowania **Roba Halforda** czy do **Geddy'ego Lee**. Nie posiadam tego rodzaju głosu. Słuchałem więc częściej wokalistów o podobnym zakresie do mojego i po prostu czerpałem frajdę z zapoznawania się z ich nagraniami. Nawet **Iron Maiden** "***Run to the Hills***" (1982) to dla mnie zbyt wiele, choć akurat z tym kawałkiem bym sobie poradził.

Najbardziej podoba mi się, jak śpiewasz w "Grace of God" (Doogie White intonuje pierwszy wers - przyp. red.). W ten sposób rozpoczynasz wersję Tank (2012), ale na poprzedniej płycie Alcatrazz "V" (2021) wykonałeś go bez wokalnej introdukcji. Ogólnie odnoszę wrażenie, że Twój wokal był nieco bardziej wyeksponowany na pierwszym planie w Tank niż Alcatrazz, jeśli chodzi o "Grace of God".
Zamiarem **Alcatrazz** było nagranie zupełnie innej wersji. Nie chcieliśmy robić koweru. Postawiliśmy na bardziej metalowy sound. "***Grace of God***" to wciąż ten sam utwór, ale możesz zestawić jedną wersję obok drugiej i zadecydować, którą wolisz.

Pytałeś muzyków Tank o opinię?
Nie.

A jak w ogóle doszło do tego, że nie śpiewasz już w Tank?
Dołączyłem do zespołu **Michaela Schenkera** i intensywnie z nim koncertowałem, podczas gdy muzycy **Tank** chcieli pójść do przodu z następnym albumem. Zaprosili **ZP Thearta** z Południowej Afryki. Bardzo dobrze sobie poradził z zastąpieniem mnie w **Tank**.

Zdarza Ci się śpiewać w kilku różnych zespołach w ciągu tego samego roku. Nie brałeś pod uwagi opcji dzielenia czasu pomiędzy Tank a Michaelem Schenkerem?
To nie byłoby trudne, człowieku. Obowiązuje powszechne przekonanie, że wszyscy członkowie danego zespołu są dla siebie najlepszymi przyjaciółmi. W rzeczywistości tak nie jest. Mamy dwanaście miesięcy w roku kalendarzowym. Ja potrzebuję pracować przez co najmniej dziesięć spośród nich, aby cieszyć się dwoma miesiącami wolnymi. Jeśli ludzie zapraszają mnie do współpracy, tak jak **Bratek** zaproponował mi zaśpiewanie na płycie oraz trzy lub cztery koncerty, to z chęcią to robię. Jednak powszechne przekonanie o wzajemnej przyjaźni członków danego zespołu nie jest prawdziwe. Dla mnie to praca, człowieku.

Nie zapytałem Ciebie jeszcze o "Take No Prisoners" (2023). To już Twój drugi longplay studyjny nagrany pod szyldem Alcatrazz. Jak porównałbyś go z "V" (2021)?
Nowy jest lepszy. Poprzedni został pierwotnie napisany z myślą o **Grahamie Bonnecie**, ale on zwiał, zaś kompozycje zawarte na "**Take No Prisoners**" posiadają silnie zaakcentowane znaki rozpoznawcze naszego gitarzysty **Joe'go Stumpa**, moje oraz klawiszowca **Jimmy'ego Walda**. Przy okazji dopowiem, że nasz perkusista **Larry Peterson** za garami zamienia się w bestię. Bębnił wcześniej u **Blaze'a Bayley'a** ("The Man Who Would Not Die", 2008, oraz "Promise And Terror", 2010 - przyp. red.). W mig łapie, o co chodzi i doskonale wzbogaca pomysły pozostałych. Potrafi grać shuffle, zapewnić mocny bit, czuje jazz, itd. Znów napisaliśmy więcej materiału niż potrzeba. Powstało około piętnastu numerów, dopracowaliśmy dwanaście, a na album weszło dziesięć. Przy okazji rejestrowania "**V**" przekonywaliśmy się, czy nasza współpraca w ogóle zaskoczy. Podczas sesji "**Take No Prisoners**" czuliśmy się już pewnie i znakomicie nam się nagrywało. Co ciekawe, niektóre utwory wypadły mrocznie, ale wszystkie są chwytliwe. Firma fonograficzna zwiększyła wobec nas swój entuzjazm po wysłuchaniu wersji demo. Doceniła świetny poziom kompozytorski, jak również przebojowość materiału. Mamy czym porwać słuchaczy. Gdy ludzie zakupią fizyczne wydanie "**Take No Prisoners**", doświadczą album w pełnej okazałości.

Larry Peterson zastąpił Marka Benquechea.
Powiedzmy, że **Mark** miał inne sprawy na głowie. Poinformował nas, że nie może z nami grać, bo musi zająć się tym czymś. Znaleźliśmy **Larry'ego** za sprawą **Blaze'a Bayley'a**. Mieliśmy szczęście, że wspólny znajomy go zarekomendował. Możemy zrobić dobry użytek z talentu, jaki wnosi do **Alcatrazz**.

Czterdzieści lat po założeniu Alcatrazz pojawia się kawałek o takim samym tytule, jak nazwa zespołu.
Nazwaliśmy go "***Alcatrazz***", bo tak było fajnie. Szybko mknie ten rock'n'rollowy numer.

Jak należy rozumieć pojawiający się w nim wers: "9x5 kept them in captives of sin"?

Foto: Giles Lavery

Interpretacja należy do słuchaczy. Jutro obudzisz się, posłuchasz i dostrzeżesz znaczenie lub nie. Niektórzy wspaniali kompozytorzy piszą jednoznaczne liryki bez niedomówień. **James Tyler** i **Billy Joel** dokładnie wyjaśniliby Ci, o co chodzi w ich mądrych tekstach. (Doogie White śpiewa:)"*I felt in love with a girl / then she let me go / I have no keys to my house / So I can't get into my home*". To byłaby banalna historia, ale na szczęście w muzyce rockowej można bardziej zaszaleć. Interesująca w **Alcatrazz** jest twórcza swoboda - pierwszy wers może oznaczać jedno, zwrotka do niego nawiązywać, ale już drugi wers może oznaczać coś kompletnie innego niż pierwszy, choć również ma coś wspólnego ze zwrotką. Jeśli w pełni rozumiesz, co autor miał na myśli, niech tak będzie. Ale jeśli nie rozumiesz, wstrzymaj się od pytania o to autora. Weź z tego, co zechcesz. Tak to działa, przy czym każdego dnia się zmienia. Uwielbiam to. "***Rainbow In The Dark***" - serio tęcza w ciemności? "***Heaven And Hell***" - każdego dnia niebo i piekło można wyobrazić sobie inaczej, w zależności od nastroju chwili.

Może widok Waszego gitarzysty uderzają-

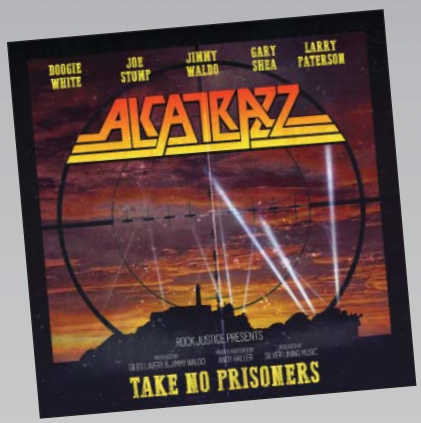

cego młotkiem w struny gitary na teledysku "Battlelines" również jest otwarty na interpretacje odbiorców?
Naprawdę młotkiem? Nie widziałem tego klipu ani razu. Nie mam pojęcia, jak można grać na gitarze młotkiem.

Szykujesz coś specjalnego na czterdziestolecie La Paz w przyszłym roku?
A to wypada czterdziestka? No patrz, jak ten czas zasuwa. Nie będziemy świętować rocznicy, choć instrumentaliści **La Paz** są moimi serdecznymi przyjaciółmi. Skrzyknęliśmy się razem dziesięć lat temu. Okazało się, że każdy z nich poszedł do biznesu, a tylko ja zostałem przy muzyce. Czasami lubię rocznice, ale tym razem nie liczyłem upływu lat.

Czy masz jakąś niewydaną muzykę, na której ukazanie się nie możesz się doczekać?
Cały czas coś komponuję. Sześć tygodni temu sprawdziłem, że posiadam na komputerze 250 niewydanych utworów, które bezczynnie siedzą na moim dysku twardym.

To zbyt wiele!
E tam, tylko dwadzieścia pięć albumów. Zobaczymy, czy ktoś będzie chciał ich w ogóle słuchać. Zaczekam, aż nadarzy się odpowiednia okazja do ponownego wejścia do studia. W tej chwili koncentruję się na polskich występach **Bratka**, bardzo chętnie na nich zaśpiewam, zwłaszcza że **Bratek** to super gość i wspaniały gitarzysta oraz kompozytor. Dał mi świetne numery do wykonywania. Kiedyś występowałem na festiwalu obok **Iron Maiden** i **Dio**. Gdy ja, **Bruce** i **Ronnie** spotkaliśmy się za kulisami, **Ronnie** powiedział mi: "*słuchaj, jeśli rynek muzyczny pozna się na Tobie, już nigdy nie uda Ci się go porzucić*". Na co **Bruce** odpowiedział: "*Próbowałem, nie udało mi się*".

Muzycy powinni podążać za głosem serca, a nie za trendami.
Myślę, że jeśli jesteś **Davidem Bowie** lub **Peterem Gabrielem**, możesz robić co zechcesz, ale zazwyczaj jeśli zostaniesz dostrzeżony w świecie rockowym, musisz się go trzymać. Mam piętnaście utworów na fortepian, a także cały gotowy album akustyczny z akompaniamentem wiolonczeli. Ale kogo to obchodzi? Kto by chciał tego słuchać? Tymczasem ja uwielbiam głośno krzyczeć rocka i dobrze mi z tym, jak jest.

Sam O'Black

Foto: Fifth Angel

HMP: Jaki jest obecny skład Fifth Angel? Zdaje się, że ostatnio doszło u Was do roszad?
Ken Mary: Niewiele się zmieniło od 2018 roku, kiedy **Steve Carlson** dołączył do nas jako wokalista. **John Macko** nadal gra na basie, **Ed Archer** wciąż gra na gitarze rytmicznej, ja wciąż na perkusji, a **Ethan Brosh** na gitarze prowadzącej. Na albumie skorzystaliśmy z dodatkowej pomocy **Steve'a Conleya**, mojego towarzysza z **Flotsam i Jetsam**, a także z gitarzysty **Jima Dofki**. Nazywam tą ekipę "rodziną Fifth Angel". W miarę jak się starzejemy, czasami potrzeba kilku więcej muzyków, aby utrzymać tempo. Na przykład podczas nagrywania **Ed Archer** doznał urazu ręki i przez pewien czas nie mógł grać. Robimy wszystko, co konieczne, aby iść naprzód.

Powiedz proszę coś więcej o gitarzyście Stevie Conley'u i wokaliście Stevenie Carlsonie.
Steve Conley jest moim kolegą z **Flotsam i Jetsam**. Pomógł nam w pisaniu i z partiami gitar rytmicznych. **Steve Carlson** pochodzi z Seattle (Waszyngton), podobnie jak reszta członków **Fifth Angel**, a nawet pracował w zespołach Seattle w tej samej erze, w której powstał **Fifth Angel**, czyli w połowie lat osiemdziesiątych. Wskoczenie pod nasze skrzydła było dla niego bardzo łatwe, ponieważ przeszedł podobną drogę do naszej.

A czy Edowi Archerowi łatwo wracało się do Fifth Angel po trzydziestu latach przerwy? Słyszałem, że potrafi grać też na fortepianie, wiolonczeli i skrzypcach, więc czy rozważył inny instrument niż gitara, kiedy do Was wracał?
Ed zawsze angażował się w pisanie i nagrywanie, nawet poza jego udziałem w **Fifth Angel**, więc powrót do zespołu nie stanowił dla niego żadnego wyzwania. Zawsze wymiatał na gitarze, więc nie mieliśmy wątpliwości, że na tym polega jego rola. Należy do naszej rodziny i jest jednym z założycieli **Fifth Angel**.

Jak opisałbyś Waszą relację z Flotsam And Jetsam? Jakie są jej zalety i wady?
Gram w **Flotsam And Jetsam** od 2017 roku, więc dla mnie jest to kolejna fascynująca muzyczna przygoda z niesamowitymi muzykami i ludźmi. Ich metal brzmi kompletnie inaczej i jest nieco bardziej wymagający. Ta sytuacja nie ma żadnych wad, no może z wyjątkiem potrzeby równoważenia harmonogramów, żeby nie planować czegoś w obu zespołach w tym samym czasie.

Bez jakich elementów Wasza muzyka nie brzmiałaby jak Fifth Angel?
Myślę, że kluczowy element stanowi rodzaj kompozycji i styl wokalny. Gdybyśmy tworzyli muzykę, która nie miała niezapomnianych i melodyjnych chórów, albo gdyby wokale nie były agresywne, a tylko melodyjne, stracilibyśmy tę bardzo rozpoznawalną część naszego brzmienia. Gitara jest również bardzo ważna. Mieliśmy niesamowitych gitarzystów w tym zespole i solówki gitarowe też nas wyróżniają, wraz z moją i Johna sekcją rytmiczną.

Fifth Angel wystąpił ostatnio na Keep It True XXIII. Jak to było wrócić na ten festiwal dziesięć lat po Keep It True XIII?
Zawsze to zaszczyt grać dla naszych fanów, którzy za każdym razem pozytywnie nas zaskakują. Spędziliśmy tam świetnie czas i cieszyliśmy się późniejszą sesją podpisywania autografów. Byliśmy otwarci i rozmawialiśmy z fanami, co jest jedną z naszych ulubionych aspektów działalności.

Fifth Angel jest bardziej zespołem zorientowanym na koncerty czy pracę studyjną?
Zaczęliśmy naszą karierę jako zdecydowanie bardziej studyjny zespół. Wszyscy możemy grać bardzo dobrze na żywo, więc nie chodziło o to. W młodości chcieliśmy jednak naśla-

Ludzie kochają wolność

Perkusista Fifth Angel i Flotsam And Jetsam, Ken Mary, opowiada o nowym albumie studyjnym Fifth Angel "When Angels Kill", innowacyjnym koncepcie lirycznym oraz o udziale formacji w festiwalu Keep It True. Wspomina dawne dzieje, ale głównie koncentruje się na bieżących sprawach.

dować **Queensryche**. Pamiętam, jak wydali niesamowite pierwsze EP i supportowali **Ronnie'go Jamesa Dio**. Chcieliśmy, aby nasza muzyka miała taki wpływ, że i my moglibyśmy brać udział w największych trasach. Niewiele nam brakowało. Wracając jeszcze do **Keep It True**, przekonaliśmy się tam, jak bardzo potrafimy poruszyć publiczność. Cały tłum śpiewał każdy nasz kawałek. Doskonale sprawdzamy się zarówno w studiu, jak i na żywo.

Co powstało najpierw: muzyka czy koncept "When Angels Kill"?
Koncepcja płyty pojawiła się pierwsza. Zauważyliśmy, że pierwsze trzy albumy łączyły bardzo podobne tematy, więc zdecydowaliśmy się połączyć je wszystkie w spójną i interesującą historię. Powstała siedemdziesięciominutowa płyta koncepcyjna, czyli coś, co słucha się w dwóch sesjach. Historia "**When Angels Kill**" zaczyna się w przyszłości, kiedy **Phoenix**, młody człowiek uwięziony w świecie, który ulega ogromnym zmianom, decyduje, że nie podda się sprytnemu, zwodniczemu i bezwzględnemu liderowi zniewalającemu miliardy. Chociaż opór wydaje się bezskuteczny, a nawet śmiertelny, **Phoenix** dołącza do grupy ludzi walczących o lepszy świat. Zdradliwa miłość, katastrofalne wydarzenia, izolacja i zbliżająca się śmierć rzucają cień na jego życie, ale **Phoenix** w jakiś sposób zachowuje wolę przetrwania. Historia kończy się niespodzianką. To bardziej fabuła filmu niż albumu muzycznego (śmiech).

Co uważasz za swój największy powód satysfakcji z pisania koncepcji lirycznej "When Angels Kill"?
To był bardzo innowacyjny pomysł. O ile wiem, nie istnieje inny koncepcyjny album napisany na podstawie poprzednich tekstów zespołu. Najważniejsze, że jest to bardzo ciekawy album i utrzymuje zaangażowanie słuchacza. Możesz mieć świetną koncepcję, ale jeśli nie masz mocnych utworów i tekstów, to naprawdę nie będzie miało znaczenia.

Czego możemy się nauczyć z "When Angels Kill"?
Że nawet w bardzo trudnych okolicznościach ludzki duch będzie pracował, aby znaleźć sposoby na przetrwanie i rozkwit. Tyrani zawsze będą w pobliżu, ale zwykle nie rządzą zbyt długo. Ludzie kochają wolność.

W jakich okolicznościach pracowaliście nad warstwą muzyczną "When Angels Kill"?
Pracowaliśmy wstecz, ustalając, jakie utwory potrzebujemy, aby opowiedzieć historię. Okazało się, że był to bardzo łatwy proces, a kawałki pojawiały się dość szybko. Prawie wydawało się, że same się piszą. Kluczowy okazał się ostateczny cel dopasowania muzyki do opowieści. Każdy odegrał swoją rolę i chociaż było to skomplikowane przedsięwzięcie, ostatecznie wszyscy czujemy się bardzo zadowoleni z rezultatu.

Foto: Fifth Angel

Sesja nagrywania "When Angels Kill" okazała się dla Was łatwiejsza czy trudniejsza niż sesja "The Third Secret" (2018)?
Myślę, że znacznie łatwiejsza. Zrobiliśmy duży krok naprzód na "**The Third Secret**" i odkryliśmy nowe, ciekawe terytorium. Trochę niepokoiliśmy się tym, co pomyślą nasi fani. Ale ponieważ fani wydają się reagować bardzo pozytywnie, obecnie czujemy się pewnie w kwestii dalszego postępu. Na "**When Angels Kill**" zastosowaliśmy nieco progresywnych elementów, a także orkiestrację. "**The Third Secret**" uzbroił nas w pewność, że możemy trochę odkryć, nie martwiąc się zbytnio o to, co pomyślą fani pierwszych dwóch płyt, czy ludzie, którzy nas od początku śledzili. Zachowujemy ostrożność, aby wiedzieli, że to **Fifth Angel** i nadal mogli cieszyć się naszą nową muzyką. Wierni fani niesamowicie przyjęli oba wydawnictwa.

Który utwór z "When Angels Kill" jest Twoim ulubionym i dlaczego?
Lubię je wszystkie. Gdybym musiał wybrać tylko jeden, wskazałbym na utwór tytułowy, ale tylko dlatego, że najmocniej wpływa na odbiór reszty płyty. Naprawdę podoba mi się nakręcony do niego teledysk. Energia i ekscytacja kawałka jest zaraźliwa. Nigdy nie zapomnę, jak się kształtowała, a także jak nagrywaliśmy do niej klip.

Co według Ciebie różnicuje europejski i amerykański tradycyjny heavy metal?
Nie jestem pewien, jak odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ istnieje wiele europejskich zespołów, które brzmią amerykańsko i odwrotnie. Ludzie zawsze przypuszczali, że **Fifth Angel** to angielski zespół, ponieważ inspirowaliśmy niszę euro metalu. Byliśmy również jednym z pionierów power metalu, czyli bardzo specyficznego gatunku. Ale trudno zdefiniować mi różnicę.

Jak porównałbyś prowadzenie zespołu heavy metalowego w poprzednich i obecnych czasach?
Teraz jest o wiele trudniej. Musisz pisać świetne utwory i nieźle grać, ale musisz również pełnić rolę admina mediów społecznościowych, edytora wideo, fotografa i kamerzysty, menedżera, a na tym nie koniec. Dzisiaj konkurencja jest nieograniczona. Każdego dnia do YouTube wpada milion nowych filmów. To szalone, jak dużo nowej muzyki i jak wiele nowych zespołów wkracza co tydzień na scenę.

Sam O'Black

ROSS THE BOSS

Dla króla liczą się rezultaty

Latem 2023 roku Ross The Boss pracuje nad nowym albumem The Dictators. We wrześniu 2023 wybiera się na trasę The Dictators po Hiszpanii oraz prawdopodobnie jako support The Damned po wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Następnie przystąpi do tworzenia nowego albumu metalowego, w styczniu 2024 roku poleci z koncertami do Australii, Japonii i Korei Południowej, a później nagra album bluesowy. Poza tym, w kolejce na wydanie czekają dwa już gotowe longplay'e Death Dealer z premierowym materiałem.

Ross The Boss: Wybacz, że nie pojawiłem się na naszym pierwszym umówionym spotkaniu.

HMP: Cieszę się, że teraz możemy porozmawiać. Dobrze Cię widzieć.
W porządku, ale ja nie pojawiłem się trzy dni temu. Miałem pewien problem.

Co się stało?
Musiałem zwiać, bo wybuchł pożar w moim budynku.

No to poważna sprawa. Wiesz, gdy robiliśmy z Tobą wywiad dla Heavy Metal Pages po premierze albumu "Born of Fire" (2020), opowiadałeś o Twojej przeszłości oraz o Twoich najważniejszych dokonaniach (HMP 75, str. 117 - przyp.red.). Zacznijmy więc od pytania, czym zajmujesz się obecnie?
Całą kreatywną energię koncentruję na **The Dictators**. Podpisaliśmy kontrakt z dwoma różnymi labelami: **Decca Records** oraz **Valley Entertainment**. Skompletowaliśmy nowy skład zespołu. Na perkusji gra teraz z nami oryginalny pałker **Blue Öyster Cult**, **Albert Bouchard** (1970-1986). Mamy nowego wokalistę: **Keitha Rotha** z radia **Sirius XM**. Całe lato 2023 nagrywamy nowy album. Prawie go ukończyliśmy. Będzie prawdopodobnie najlepszym albumem w całej mojej karierze. We wrześniu zagramy złożoną z jedenastu koncertów trasę po Hiszpanii.

W latach siedemdziesiątych otworzyłeś drzwi i wyprowadziłeś punk rock z garażu. Czy obecnie The Dictators gra równie archetypowy punk jak pół wieku temu?
Wszystkie nasze nowe kawałki są rock'n'rollowe. Nie gramy typowego punku. Uznałbym raczej **The Dictators** za zespół punk/hard rockowy z nowojorskim nastawieniem. Sprawdź nasz nowy singiel "***Crazy Horses***", czyli cover braci **The Osmonds** (1972). Niedawno zagraliśmy kilka sztuk w Kalifornii wraz z **The Damned**. Zgromadzona publiczność gorąco na nas reagowała. Mamy nadzieję, że we wrześniu i w październiku 2023 zagramy z nimi w trzydziestu miejscowościach na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Jeszcze nie potwierdziliśmy tej trasy, ale znajduje się ona wysoko na liście naszych priorytetów i żywimy nadzieję, że do niej dojdzie.

Foto: Ross The Boss

To musi być coś wspaniałego, skoro pomimo niesamowicie bogatej dyskografii, spodziewasz się, że nowy The Dictators okaże się najlepszym albumem w całej twojej karierze.
Jeśli sesja przebiega pomyślnie i powstaje udana muzyka, jestem nią niesamowicie podekscytowany. Obecny skład daje czadu na 150%. Osobom nieznającym nowego wcielenia **The Dictators** polecam takie utwory, jak: "***Crazy Horses***" (2023), "***Let's Get The Band Back Together***" (2021) oraz "***God Damn New York***" (2021). Znajdą się one na nadchodzącym krążku. Fani fantastycznie na nie reagują.

Na pewno sprawdzę. A co powiesz o obecnych poczynaniach Twojego solowego zespołu.
W tej chwili nic się nie dzieje, ale skomponowaliśmy jeden świetny utwór w nowym składzie: **Dirk Schlächter** na basie, **Sean Elg** na perkusji, **Marc Lopes** na wokalu. **Marc** dołączył do **Metal Church**, ale wciąż jest z nami. **Sean Elg** gra z **KK's Priest**, dokąd trafił dzięki śpiewającemu w **KK's Priest Timowi Ripperowi Owensowi**; znali się, bo obaj są członkami zespołu **Cage**. Na pewno słyszałeś o tym, że to ja wpłynąłem na **K.K. Downinga**, żeby po ośmiu latach na emeryturze znów zaczął grać na gitarze. Zaproponowaliśmy go do współpracy i dopiero potem założył **K.K.'s Priest**. Z tak wybornym składem nie będziemy już więcej współpracować z **AFM Records**. Pozostaliśmy bez labela. To znaczy, wiesz, jestem w stanie nawiązać współpracę z każdym labelem, z jakim chcę, ale na razie sytuacja wygląda tak, że po wydaniu czterech albumów z **AFM**, podziękowałem im. Lubię ich. Pracują tam wspaniali ludzie. Ale ja potrzebuję czegoś większego. Jeśli mam jeszcze w przyszłości grać metal, muszę robić to z lepszej pozycji.

Np. który label wchodziłby w rachubę?
Może jakaś wielka wytwórnia z Nowego Jorku... Moje myśli nie krążą w obecnych czasach wokół zespołu **Ross The Boss**. W styczniu 2024r. czeka nas trasa po Australii, Japonii oraz Korei Południowej, ale po powrocie w zeszłym miesiącu ze szwedzkiego festiwalu **Time To Rock**, gdzie dzieliliśmy scenę z **KK's Priest**, stwierdziłem, że zamiast zajmować się dwoma rzeczami naraz, zrobię jedno wybitnie dobrze. Nie mam już dwudziestu lat. Skomponowałem pięć nowych utworów **The Dictators**. Niewykluczone, że wkrótce zaproponuję dziesięć metalowych numerów na następny solowy krążek, ale nie zadowolę się półśrodkami, tylko to musiałyby być wspaniałe kompozycje. Granie na pół gwizdka nie doprowadziło mnie tutaj (Ross The Boss wskazuje na wiszący za nim na ścianie medal Heavy Metal Hall of Fame 2017 - przyp.red.) ani nie uczyniło **Manowar** potężnym zespołem. Gdy skończę płytę **The Dictators** i poczuję, że dysponuję wolnym czasem, zabiorę się za metal. I tak każdego dnia jestem zajęty, bo z powodzeniem prowadzę firmę (z poprzedniego wywiadu wiemy, że chodzi o "ośrodek szkoleniowy dla młodych bejsbolistów i zawodników softballa" - przyp.red.). Od osiemnastu lat prowadzę ośrodek sportowy w nowojorskim okręgu Queens. Nie znam dnia wolnego. Jestem pracoholikiem.

Jak myślisz, w jaki sposób nowy skład Twojego solowego zespołu wpłynie na zmianę kierunku muzycznego w stosunku do wcześniejszych albumów wydanych pod szyldem Ross The Boss?
Może być tylko lepiej, dlatego że jest to najlepszy skład, w jakim kiedykolwiek grałem.

Ale pod względem stylu, będziecie grać jeszcze agresywniej, może nawet thrashowo?
Nie. Na pewno nie chcę iść w kierunku thrash metalu. Za punkt wyjścia można uznać kawałek "***Maiden of Shadows***" z "**Born of Fire**" (2020). Zależy mi na melodiach. Ale nigdy nie wiadomo - jeśli wymyślę zabójczy riff, z pe-

wnością go wykorzystam. Najlepsze riffy spływają na mnie z niebios (śmiech).

Jak dokończyłbyś następujące zdanie: "Other bands play, Ross The Boss..."
Kills. Pewnie, że kills (śmiech). Pozostanę tutaj przy manowarowskiej wersji. Nie lubię się przechwalać. W dawnych czasach **Joey De Maio** (oczywiście współzałożyciel, basista i klawiszowiec Manowar - przyp. red.) paplał za dużo. Ja robię to, co robię. Gitara mówi za mnie. Każdy potrafi otworzyć usta, ale liczą się rezultaty. Całe życie postępuję wedle tej zasady. Zawsze wszystkim udowadniałem, że potrafię grać i komponować. Ludzie czasami dziwią się, jakim cudem udało mi się napisać tyle utworów. Po prostu tworzę.

Aczkolwiek podczas ostatniego twojego występu w Polsce (Black Silesia 2022 - przyp. red.) niemal cała Twoja setlista, za wyjątkiem tylko jednego numeru, składała się ze starego repertuaru Manowar.
Zagraliśmy "***Denied by the Cross***" (2020). Chętniej wykonuję solowe utwory niż kawałki **Manowar**, ale promotorzy chcieli, żebym przede wszystkim zaprezentował klasyki **Manowar**. Rozumiem, że zawsze ludzie będą chcieli je usłyszeć podczas moich występów. W przyszłości będę starać się zrównoważyć setlistę w proporcji fifty-fifty lub sixty-fourty (50:50 lub 60:40).

Tegoroczną trasę koncertową nazwałeś "Kings of Metal 35th Anniversary".
Chwyt marketingowy.

Ale w zeszłym roku nie powoływałeś się na czterdziestą rocznicę "Battle Hymns", tylko grałeś trasę "The Evolution of Fire".
(śmiech) Może powinno być "**Battle Hymns 40th Anniversary**" zamiast "**The Evolution of Fire**".

Jakie są Twoje odczucia odnośnie "Battle Hymns MMXI" (2010) i "Kings of Metal MMXIV" (2014)?
A co **Manowar** tam nabroił? Alternatywny miks?

Gorzej. Nagrali je w całości od nowa, za wyjątkiem kawałka "Pleasure Slave" (1988).
"***Pleasure Slave***" to najgorszy utwór na świecie. Muzyka jest w porządku, ale tekst okropny. **Manowar** robiący "**Battle Hymns**" oraz "**King of Metal**" od nowa po tych wszystkich latach to kupa gówna. Strata czasu. Mówię Ci, możesz przekazać komu zechcesz. Nagrywać te płyty od nowa? Dlaczego? Oryginalne wersje są perfekcyjne. Czy ktokolwiek byłby w stanie zagrać je na gitarze lepiej ode mnie? Nie. Nikt. Ktokolwiek by spróbował, nie udałoby mu się. Nie. To są moje płyty. Ja napisałem "***Hail And Kill***" (1988), "***Kings of Metal***" (1988), "***Dark Avenger***" (1982), "***Manowar***" (1982), "***Fast Taker***" (1982), "***Shell Shock***" (1982). Ktokolwiek podniósł na nie rękę, chciał nieetycznie zarobić pieniądze. **Joey DeMaio** chwycił fanów za portfel. Jak można zrobić lepsze wersje od oryginalnych? Nie da się. Można zrobić tylko gorsze. Mogą wykonywać je na żywo, nie ma problemu, ale ponownie nagrywać i wypuszczać jako nowości? Że niby lepiej brzmią? Nie, nie, nie. "**Kings of Metal**" i "**Battle Hymns**" brzmią znakomicie od momentu pierwotnej premiery.

W zeszłym roku Michael Angelo Batio został nowym gitarzystą Manowar. Czy znając Joey'a DeMaio i Erica Adamsa uważasz, że Michael byłby w stanie wprowadzić Manowar na nową kreatywną ścieżkę?
Wiem, że **Michael** do nich dołączył, ale nie wiem, jak może wyglądać jego ewentualny wkład twórczy. A niby co nowego mógłby zrobić z **Manowar**?

Zawsze nowy gitarzysta przychodzi z nową energią i powinien dać nadzieję na powiew świeżości.
Znam **Michaela** osobiście. Jest dobrym kompanem. Ale nie śledzę poczynań **Manowar**, nie słucham ich najnowszych propozycji i nie wiem dokładnie co się u nich dzieje.

Wracając do Twojego solowego zespołu, w kwietniu ukazała się kompilacja "Legacy of Blood, Fire & Steel", zawierająca po trzy utwory z każdego longplay'a. Czy równa liczba kawałków oznacza, że każdy spośród tych czterech longplay'ów jest dla Ciebie równie bliski?
Niekoniecznie. **AFM** powiedziało, żebym wskazał dwanaście tytułów, więc wskazałem po trzy z każdej płyty. Mogłem wybrać, co tylko chciałem. Czerwony winyl wygląda znakomicie.

Jasne, ale czy do pracy nad każdą płytą podchodziłeś z identycznym nastawieniem?
Jeśli o mnie chodzi, tak. Pierwsze dwa krążki: "**New Metal Leader**" (2008) i "**Hailstorm**" (2010) współkomponowałem z niemieckimi muzykami, a później wszyscy zostali zastąpieni nowymi osobami, więc "**By Blood Sworn**" (2018) oraz "**Born of Fire**" (2020) powstawał z kompletnie innym zespołem. Jednak z mojej perspektywy proces twórczy się nie zmienił. Lubię komponować przy aktywnym współudziale innych muzyków.

Skąd wziął się tytuł "New Metal Leader"?
Moi przyjaciele gdzieś to usłyszeli. Kojarzy się z gatunkiem nu-metal, prawda? Ale dla mnie stary metal to ten z lat osiemdziesiątych, a nowy metal to każdy metal współczesny. Podoba mi się sformułowanie "new metal leader".

Co się stało z orłem, że został zastąpiony na "Born of Fire" przez smoka?
(Ross the Boss pokazuje, że ma orła na obu stronach okładki "Legacy of Blood, Fire & Steel", a także ma go wytatuowanego na lewym ramieniu - przyp. red.) Daliśmy orłowi odpocząć. Poleciał na dwuletni urlop. Ale powrócił i dobrze się miewa. Mam nadzieję, że zobaczymy go znów na następnym albumie.

Nadaliście mu jakieś imię?
Nie. Nazywamy go po prostu maskotką zespołu. Chciałbym mieć go na scenie za perkusją, w postaci ukazanej z tyłu kompilacji, z szeroko rozpostartymi ramionami.

Próbowaliście go kiedyś pokazać na scenie?
Nie, nigdy. Ale zobaczymy, co się wydarzy, gdy zabierzemy się za następny album. Idea nagrywania całych longplay'ów jest związana z ogromną ilością pracy i nie przynosi adekwatnego wynagrodzenia. Inne zespoły nie wydają płyt tak często jak w dawnych czasach, bo przestało się to kalkulować. Stanowi to poważny problem.

Foto: Ross The Boss

Informatycy zabijają sztukę, np. poprzez aplikacje typu Spotify.
Och, zabij mnie, dobij. Później mnie informują, że jeden milion pięćset tysięcy czegoś tam... No dobra, są pozytywne liczby, a gdzie są pieniądze?

Rozumiem (z kolei aktorzy zmagają się z drenażem sztuki aktorskiej przez informatyków z Netflixa; polecam lekturę ciekawego wywiadu opublikowanego w dniu 26 lipca 2023 na stronie internetowej interviewmagazine.com pt. "The System Is Quicksand: SAG and WGA Union Members Tell All" - przyp.red.). A co powiesz o Twoich planach związanych z Death Dealer?
Negocjujemy kontrakt z **Massacre Records**. Zakończyliśmy wszystkie prace nad dwoma albumami. Są już gotowe, ale jeszcze się nie ukazały.

Współpracujesz z niezliczoną liczbą rozmaitych zespołów. Ostatnio nagrałeś "Boundless I Am Free" (2021) z argentyńskim zespołem Feanor. Jeszcze do niedawna ich

gitarzystą był David Schankle, czyli Twój następca w Manowar. Wreszcie spotkaliście się na płaszczyźnie tego samego zespołu.
No trochę im pomogłem. Lider **Gus Acosta** jest moim przyjacielem. Dobry człowiek. Poza tym, uwielbiam latać do Argentyny.

W Feanor zaangażowany był również śpiewający syn Erica z Manowar.
Eric Marullo.

Czy pobłogosławiłbyś ich, by kontynuowali spuściznę Manowar?
Kogo? **Feanor**? Co dokładnie miałbym zrobić?

Ciekawi mnie, czy pobłogosławiłbyś Feanor, jako że jesteś Królem Metalu.
(przeciągły śmiech) Jak najbardziej błogosławię wszystkich moich przyjaciół, życzę im jak najlepiej. Oni dobrze o tym wiedzą. Biznes

Foto: Scott Braun NYC

jest ciężki, więc zawsze życzę im powodzenia (zmieszany Ross the Boss chwycił za gitarę akustyczną, by wygenerować trochę przypadkowych wibracji strun - przyp.red.).

Poza tym, że teraz jesteś skoncentrowany na The Dictators, a później prawdopodobnie zajmiesz się heavy metalem, chodzi za Tobą pomysł zrobienia albumu bluesowego?
Tak. Na pewno go zrobię zanim umrę (Ross The Boss gra na gitarze standard Roberta Johnsona "Come on in My Kitchen", 1936/1937 - przyp. red.).

Trzydzieści lat temu przez chwilę grałeś w bluesowym zespole o nazwie Heyday.
Wywodzę się ze szkoły bluesowej. Zaczynałem karierę od bluesa i czuję się bluesmanem. Możliwe, że nazwałbym swój bluesowy projekt **Heyday** lub **Ross The Boss Blues Band**. Prawdopodobnie uwzględnię kilka standardów napisanych przez mistrzów gatunku.

Podoba mi się, że w co najmniej kilku ostatnich wywiadach użyłeś sformułowania "scamdemic". Rozumiem z kontekstu, że miałeś na myśli scam-demię kowidu.
Bo covid to największe oszustwo w historii ludzkości.

Rzetelni lekarze odrzucają covid, ponieważ nie spełnia on ani jednego spośród czterech koniecznych postulatów Kocha z 1890 roku, ani postulatów Thomasa Miltona Riversa z 1937 roku. Wydaje mi się, że Ted Nugent również to rozumie.
Nie jestem pewien, czy **Ted Nugent** posiada identyczną opinię do mojej. Ale kłamano, że maski i szczepionki działają, aż miliony ludzi przyjęło nieświadomie dawkę czegoś, co nie działa.

Brak jakichkolwiek korzyści z noszenia maseczek oraz szczepienia się to jedna sprawa. Najgorsze, że wszystkie środki zapobiegawcze zmyślonej pandemii przyniosły olbrzymie negatywne skutki uboczne. Eksperymenty medyczne na ludziach zostały zakazane wraz z końcem II wojny światowej, a po 2019 roku zorganizowane grupy zbrodniarzy wojennych szantażowały ludzi na całym świecie, by ograniczali oddychanie zasłaniając drogi oddechowe szmatami. Miliony niewinnych osób miało areszt domowy. Kowidowscy zbrodniarze sabotowali zdrowy rozwój społeczny nieletnich, stosowali eksperymentalne narzędzia o praktycznie zerowej dokładności badające sekwencję kodu RNA zamiast sprawdzać ilość występującego w danej chwili wirusa w organizmie pacjenta, ograniczali podstawowe prawa człowieka do swobodnego przemieszczania się. Ostatecznie firmy skazywane wcześniej na potężne kary finansowe za przestępstwa kryminalne wprowadzały do żył ludzi tajemnicze substancje mylnie nazywane szczepionkami.
Ludzie umierają po szczepieniach.

Umierają, zostają upośledzeni lub mają drastycznie obniżony poziom ochrony immunologicznej. Mieszkam akurat nie w Polsce, lecz na Islandii, dlatego w 2021 roku zatrudniłem się jako przygranicznik do weryfikowania paszportów szczepień na tutejszym międzynarodowym lotnisku, które bardzo często służy za lotnisko transferowe dla pasażerów między Europą a Ameryką. Każdego dnia przepuszczałem sporo osób bez karty szczepień, aby nie musieli pozostawać w kwarantannach ani testować swojego RNA. Podchodzili do mojego biurka zarejestrowani bez karty szczepień, kilkoma kliknięciami edytowałem im formularze, żeby było napisane "okazał(a) kartę szczepień" i w efekcie przechodzili przez kontrolę graniczną bez dalszych niedogodności. Z relacji wielu znajomych wiem, że nigdy nie zwrócono się do nich w tych sprawach. System był dziurawy i trzeba było walczyć przeciwko oprawcom.
Słyszałem, że niektórzy wręcz sami domagali się jak największej liczby dawek. Brali w żyłę po pięć razy. Uzależniali się od tych substancji. Chcieli być jak ci liberałowie - nie rozumiem ich, nie chcę wchodzić w dalsze szczegóły (śmiech). Źle się działo. Ludzie tracili zdrowie i umierali.

Z tego powodu nie ukazało się wiele płyt oraz nie odbyło się sporo koncertów. Zamykały się mniejsze sale koncertowe a ludzie w biznesie muzycznym pozostawali bez dochodów.
Zgadzam się. Doszło do finansowej katastrofy. Cały świat się zamknął.

Szpitale stały puste, bo nie przyjmowano pacjentów cierpiących na dolegliwości niezwiązane z rzekomym covidem. Zgony chorych na pneumonię i zwykłe przeziębienie, ale też mnóstwo zupełnie innych zgonów kategoryzowano jako kowidowskie, aby trzymać ludzi pod faszystowską globalną kontrolą opartą na strachu. US Medicare system wypłacał szpitalom w Stanach Zjednoczonych 4600 USD za rzekome zdiagnozowanie covida bez pneumonii, 13000 USD z pneumonią oraz 39000 USD za podłączenie pacjenta do respiratora. Władze z premedytacją doprowadziły do katastrofy ekonomicznej, społecznej oraz kulturalnej, aby podporządkować sobie masy.
Nie powinno się to wydarzyć.

Dlatego powinniśmy się wzajemnie informować, wyciągać wnioski na przyszłość, kwestionować autorytety i jednoczyć we wspólnej walce o dobro obecnych oraz przyszłych pokoleń. Czy chciałbyś powiedzieć coś jeszcze polskim fanom w ramach pozytywnego zakończenia wywiadu?
Dziękuję Wam za okazywane wsparcie. Mam nadzieję, że wkrótce znów zagram w Waszym kraju. Gdy **The Dictators** zawita do Europy, przyjedźcie nas zobaczyć. Jestem pewien, że będziecie się świetnie bawić przy naszej muzyce. Zawsze, gdy ja gram na gitarze, publiczność spędza dobrze czas.

Sam O'Black

BOB MITCHELL

Pamiętajcie, sekretem bycia żywym jest żyć w pełni!

Pewnego dnia mignęła mi informacja, że na rynku mają pojawić się nowe płyty Nighthunter "1987" i Bob Mitchell "Unearthed". Okazało się, że w oba projekty zamieszany jest Bob Mitchell. Nighthunter to kapela, którą Bob wraz z Jimim Mooneyem założył zaraz po opuszczeniu Attacker (jeszcze w latach 80.), natomiast "Unearthed" okazała się kompilacją nagrań ważnych zespołów dla Boba. A że Mitchell zawsze był nastawiony do nas i naszego magazynu przychylnie, zagadałem go, czy nie chciałby udzielić nam wywiadu. Ten oczywiście się zgodził. Wywiad przybrał formę przekroju kariery Boba Mitchella, ale nie zdawałem sobie sprawy, że Bob w zeszłym roku przeszedł udar i mimo udanej rehabilitacji nie czuł się na tyle dobrze, aby kontynuować działalność muzyczną. Oczywiście poczułem się głupio, bo w czasie research'u taką informację powinienem od razu wyłowić. Moje zmieszanie wzrosło, gdy uświadomiłem sobie, że ten wywiad jest też pożegnaniem Mitchella z nami i jedyne co nam pozostało to, wracanie do płyt Attacker, Alchemy X, Sleepy Hollow i innych, w których Bob brał udział. Z nadzieją, że ten znakomity wokalista jeszcze zmieni zdanie, zapraszam was do zapoznania się z być może ostatnimi wypowiedziami Boba Mitchella.

HMP: Ostatniego wywiadu udzieliłeś nam przy okazji promocji albumu "Rise to the Light" grupy Sceptor. W zasadzie była to jedna wypowiedź, ale twoje optymistycznie nastawienie wtedy było bardzo wyczuwalne. "Rise to the Light" to bardzo dobry album z dużym potencjałem, niestety raptem dwa lata później już nie jesteś członkiem tego zespołu. Znowu zbyt duża odległość między wami dała o sobie znać? A może zadziałały inne niekorzystne wydarzenia?

Bob Mitchell: Cześć Michał! Wspaniale jest znów porozmawiać z tobą i twoimi czytelnikami. Jeśli chodzi o album **Sceptor**, muszę stwierdzić, że uwielbiam to, co zrobiliśmy i ze wszystkich opinii wynika, że album został dobrze przyjęty zarówno przez fanów, jak i krytyków. Muzycy są świetni i zaoferowali mi niesamowitą muzykę do zaśpiewania. Ale z powodu niefortunnych okoliczności nie mogliśmy go odpowiednio wypromować, tak jak chcieliśmy, ale **Sceptor** to zespół, który zawsze będę kochać. Oni są świetnymi facetami i niesamowitymi muzykami, jak wspomniałem. Tak więc idąc dalej, z radością mogę powiedzieć, że oficjalnie wycofałem się z występów, nagrywania i ogólnie z showbiznesu. Powodem mojej decyzji jest to, że 8 marca 2022 roku doznałem udaru mózgu i chociaż moja rekonwalescencja przebiega lepiej, niż oczekiwano, czuję, że był to dla mnie znak, abym zakończył karierę. W końcu zacząłem ją w 1977 roku, szmat czasu temu. Mogę więc powiedzieć, że miałem długą i satysfakcjonującą karierę, na którą mogę patrzeć z dumą i zakończyłem ją z dobrym albumem od cholernie dobrego zespołu!

Czy udało ci się zagrać z Sceptor, chociaż kilka koncertów, żeby choć trochę wypromować "Rise to the Light"?

Niestety nie, mówiąc konkretnie, nagraliśmy "**Rise to the Light**" w 2020 roku, został wydany w 2021 roku, niestety z powodu pandemii nie mogliśmy wystąpić. Następnie w 2022 roku doznałem udaru mózgu i ostatecznie chłopaki zdecydowali się na pozyskanie nowego wokalisty, aby iść dalej i 30 stycznia 2023 roku przeszedłem na emeryturę. Teraz mają nowego wokalistę i życzę im jak najlepiej. Osobiste szczęście i satysfakcja są najlepsze dla wszystkich. Bardzo kocham ten zespół, ale wszystko potoczyło się tak, jak miało się potoczyć. **Sceptor** są świetni i zawsze będę ich fanem.

Foto: Bob Mitchell

Mimo swoich problemów utrzymujesz z chłopakami kontakt? Zdaje się, że szykują się do wydania nowego albumu...

Teraz moim priorytetem jest moja rekonwalescencja i idzie ona dobrze! Jeśli chodzi o Sceptor, nie mam teraz z nimi zbytnio kontaktu przez to wszystko, co się zdarzyło, ale liczę na to, że to szybko się zmieni i znów będziemy przyjaciółmi i braćmi.

Niedawno na rynku pojawiła się płyta Nighthunter "1987". Z tym zespołem współpracowałeś w latach 1987 - 1989. Założyłeś go z gitarzystą Jimim Mooneyem, gdy odeszliście z Attacker. Czy nagrania z "1987" to utwory zarejestrowane w latach 80.?

Tak, są z tamtej epoki. OK, oto historia zespołu. Wiosną 1987 roku, stworzyliśmy **Nighthunter** po tym, jak **Jim Mooney** i ja opuściliśmy **Attacker** po zaledwie trzech latach i jednym wspólnym albumie, na którym obaj napisaliśmy jedne z bardziej znanych utwory zespołu. **Nighthunter** był aktywny w latach 1987-1989. W tym okresie w **Waterfront Studios** w Hoboken w stanie New Jersey nagraliśmy nasze pierwsze demo z czterema utworami, które pierwotnie miały być częścią następcy albumu "**Battle at Helm's Deep**". Sesja została zmontowana przez **Douga Conroya**. Po zakończeniu nagrań rozpoczęliśmy występy na żywo, w tym jako support przed **Twisted Sister** w Staten Island w stanie Nowy Jork i **American Angel** w Verona w stanie New Jersey, a także w innych ceniony miejscach, takich jak **Obsessions**, **Studio One**, **China Club** w Nowym Jorku i **Escapades** w New Jersey. Zespół zyskał sporą rzeszę fanów. Tak się złożyło, że **Jim** i ja mieliśmy zbudowaną rzeszę fanów ze względu na nasz czas spędzony z **Attacker**, jednak po tym, jak zagraliśmy na **Bayonne Music Festival** i z powodu braku zainteresowania ze strony wytwórni płytowych, zdecydowaliśmy się rozwiązać zespół i właśnie to zrobiliśmy w 1989 roku. Przez ostatnie 35 lat demo z tymi czterema utworami było uważane za "zaginione", aż do teraz!

"1987" wydała Dark Age Records, ale w bardzo małym nakładzie. Czy jest szansa, aby tę płytę wydała jakaś większa wytwórnia, aby materiał trafiły do szerszej rzeczy fanów? Moim zdaniem zasługuje na to...

Cóż, według wytwórni płytowej, "1987" został wyprzedany przed datą premiery, która przy-

padała na 25 sierpnia 2023 roku. Byłem więc bardzo zaskoczony, zresztą jak wszyscy. Mogę się tylko domyślać, że w pewnym momencie zostanie wydany ponownie. Złożono ofertę wydania go na winylu. Nie spodziewałem się jednak, że "1987" poradzi sobie tak dobrze! Więc tak, być może zostanie wydany ponownie, ale możemy tylko poczekać i zobaczyć, co będzie dalej.

W roku 2017 próbowaliście powrócić na rynek z Nighthunter, ostatecznie nie była to udana próba. Jednak pozostawiliście demo "Nighthunter" (2019) z ciekawym współcześnie brzmiącym heavy metal w stylu amerykańskim. Czy jest szansa, aby te nagrania wydał ktoś na CD lub winylu, bo do niedawna można było je posłuchać jedynie w sieci...

To był nieudany projekt. Muzyka była naprawdę dobra, ale nazwa **Nighthunter** nigdy nie powinna być do niego dołączona. Na szczęście wraz z wydaniem "1987" nazwa **Nighthunter** została zachowana wyłącznie dla członków, którzy ją stworzyli. Przepraszam cię i twoich czytelników, ale nie warto o tym dyskutować.

Dark Age w tym roku wydal również płytę Bob Mitchell "Unearthed" zawiera ona nagrania z różnych twoich okresów kariery, nagranych z różnymi zespołami, tak więc znalazły się na niej nagrania zespołów Blackstarr, Nighthunter, Sleepy Hollow, Wycked Synn, Mind Assassin. Jak jesteśmy przy Nighthunter, to na "Unearthed" znalazło się cztery nagrania ze wspomnianego demo "Nighthunter"...

Tak, to są utwory demo, które nagrałem pomiędzy albumami, na których później wystąpiłem. Utwory z **Nighthunter** zostały dołączone tylko po to, aby wytwórnia zdecydowała się później wydać je jako samodzielne wydawnictwo, co okazało się całkiem korzystne dla wytwórni i fanów metalu.

Blackstarr to formacja, w której działałeś w roku 1986, w zasadzie zaraz po wydaniu debiutu Attacker. Z tej działalności pozostało demo "The Rise". To z pewnością rarytas, który chcieliby usłyszeć fani US heavy metalu. Jest szansa, aby całość tego dema ukazała się oddzielnie, a nie jak teraz wraz z innymi utworami i tylko w pewnej jej części? Myślałeś o tym?

Nie ma szans. Mój czas w **Blackstarr** był krótki, ale pozostaliśmy przyjaciółmi przez te wszystkie lata i uzgodniliśmy, by umieścić te piosenki jedynie w ramach kolekcji solowej płyty **Boba Mitchella**.

Sporo miejsca na "Unearthed" znalazło się dla Sleepy Hollow. Nagrałeś z nim dwa albumy "Sleepy Hollow" (1991) i "Skull 13" (2012). Moim zdaniem jest to niedoceniona formacja, której specyficzny mroczny heavy metal powinien być bardziej znany...

Dziękuję za komplement. Dodatek **Sleepy Hollow** został stworzony, aby pomóc w sprzedaży, a te cztery utwory pochodziły z demo z 1989 roku, które zostało później wydane na winylu jako "**The Legend Retold**" i jako część kolekcji CD "**Rest In Pieces**". Te cztery utwory nie zostały wydane oficjalnie od 23 lat, więc zostały po prostu włączone, ponieważ są częścią mojej historii demo.

Na "Unearthed" są też utwory zespołów, z którymi współpracowałeś w latach 2000., czyli Wycked Synn i Mind Assassin. Czy po Wycked Synn zostały tylko te dwa utwory, które znalazły się na tej kompilacji?

W 2010 roku **Ken Orth**, założyciel **Wycked Synn**, skontaktował się ze mną, abym zaśpiewał na ich kolejnym albumie zatytułowanym "**The Vision**". Tak więc między naszą współpracą, oryginalne, melodyjne podejście zostało zachowane, chociaż muzyka przybrała znacznie mroczniejszy i cięższy kierunek niż jej poprzednik. Obaj współpracowaliśmy nad muzyką, która została nagrana na proponowany pełnometrażowy album późną wiosną 2010 roku. Sesje trwały wtedy od 10 do 16 maja. Z tych sesji pozostały tylko "***Brute Forces***" i "***Ride Like Hell***". Te dwa utwory zostały udostępnione po raz pierwszy na "**Unearthed**". Do tej pory, o ile mi wiadomo, **Ken Orth** nie działa już w branży, ani nie było żadnych wzmianek o ożywieniu zespołu ze mną lub innym wokalistą.

Mind Assassin działał w latach 2008 - 2016. W roku 2015 nakładem Alone Records zespół wydał EP-kę "The Pay Off". Co to za ekipa i jak rozpoczęłeś z chłopakami współpracę? Z tego co widziałem to, nawet zagrałeś z nimi krótką trasę po Stanach...

Przede wszystkim ja i gitarzysta/producent **Ken "DZ" Randisi** byliśmy świetnymi przyjaciółmi, byliśmy rodziną. Razem zawarliśmy sojusz w 2008 roku i napisaliśmy razem świetną muzykę, jednak czas nie był odpowiedni, aby zespół ruszył naprzód. Do dziś **Ken** całkowicie rozumie, że było to zbyt wcześnie po moim drugim odejściu z byłego zespołu **Attacker**. Czułem, a on się z tym zgadzał, że zespół został założony w celu odbicia się od dna i zdecydowaliśmy się wziąć od niego trochę czasu tylko po to, abym powrócił w 2011 roku do **Sleepy Hollow**. Szalone, prawda? **Ken** bardzo mnie wspierał, więc po mojej przygodzie ze **Sleepy Hollow**, **Ken** i ja uznaliśmy, że nadszedł czas, aby dokończyć to, co zostało rozpoczęte wcześniej, czyli dzielić się muzyką heavymetalową, w którą obaj wierzyliśmy. Tak więc w 2014 roku zwerbowaliśmy **Joe Hasselvandera**, aby zagrał dla nas na perkusji, co zrobił i zostawił nam niesamowity występ. Ciężko pracowaliśmy nad naszym debiutanckim albumem, ale przed jego wydaniem **Randisi** zmarł pod koniec 2014 roku, a to było krótko po zakończeniu nagrywania. Album został jednak wydany w hołdzie jego pamięci po jego śmierci przez grecką wytwórnię **Alone Records** na płycie CD w 2015 roku i na winylu jeszcze w tym samym roku. W latach 2016 i 2017 zespół rozwijał się z nowymi członkami. Nasz basista **Glenn Reed** przejął rolę głównego gitarzysty grupy, a następnie zatrudnił basistę **Glena Sprauge'a** i byłego perkusistę **Excitera Rika Charrona**, aby wzmocnić nowy skład. Następnie wyruszyliśmy w udaną trasę koncertową po Stanach Zjednoczonych wraz z szeregiem występów. **Joe** nie mógł zagrać z nami żadnego koncertu ze względu na swoje zobowiązania wobec **Raven**. Po naszym ostatnim koncercie

Foto: Bob Mitchell

zespół rozpadł się, pozostawiając po sobie dwie kompozycje, które zostały nagrane między występami na żywo, ale nigdy nie trafiły na "**The Pay Off**", mimo że zostały napisane z myślą o albumie. Utwory te nigdy nie zostały wydane oficjalnie, ale są teraz prezentowane na "**Unearthed**", **Ken** by to pokochał.

Dość ważnym zespołem w twojej karierze był Alchemy X. Nagrałeś z nimi ich drugi album "11:59:59" (2003). O dziwo zespół rozpoczął działalność w roku 1999 i wydaje się, że nadal jest aktywny. Wiesz co chłopaki z Alchemy X porabiają dzisiaj?
Ze wszystkiego, czego kiedykolwiek byłem częścią, *Alchemy X* jest moim absolutnym faworytem. Absolutnie kocham ten zespół. Bycie z nimi uczyniło mnie znacznie lepszym wokalistą. Po wydaniu albumu zagraliśmy kilka koncertów, w szczególności **The Classic Metal Fest 4** w Lansing w stanie Illinois. Potem zrobiliśmy sobie przerwę, by móc rozpocząć pracę nad kolejnym albumem. Wpadłem więc na ten pomysł i wróciłem do **Attacker** w 2004 roku, ponieważ zespół pracował nad nowym materiałem. Pamiętaj, że ukończenie "**11:59:59**" zajęło dwa lata. Pomyślałem wtedy, żeby czymś się zająć i wyruszyłem w trasę z **Attacker**, aby podnieść poziom **Alchemy X** po powrocie do nich, ale historia i los zdecydowały coś innego. Jednak nadal się z nimi przyjaźnię i zrozumieli, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem i okazało się, że byli bardzo wdzięczni. Nigdy nie ukończyli nowej muzyki i ostatecznie rozstali się i o ile mi wiadomo, tak pozostało. Nadal jednak jesteśmy przyjaciółmi.

Kolejny zespół, z którym współpracowałeś, a działa do dziś to Savior From Anger. Nagrałeś z nimi trzeci album "Temple of Judgment" (2016). Jak na razie jest to ich ostatnia płyta. Nigdy nie myślałeś, aby z nimi jeszcze coś nagrać?
Saviour From Anger to była jednorazowa rzecz. Zaproponowano mi zaśpiewanie na albumie, zapłacono mi za to i odbyliśmy trasę koncertową po Stanach Zjednoczonych między majem a lipcem 2017 roku. Uwielbiałem album i bardzo podobały mi się występy z zespołem, zwłaszcza śpiewanie piosenek z poprzednich albumów **Saviour From Anger**. Inną wielką korzyścią było współtworzenie utworu na "**Temple of Judgement**" z **Craigiem Wellsem** z **Metal Church**. Utwór nosił tytuł "***In The Shadows***". To był dla mnie zaszczyt śpiewać w tym zespole. **Marco Ruggerio** (Mark Ryal) jest wspaniałym autorem piosenek i świetnym gitarzystą.

Jestem przekonany, że najważniejszy dla ciebie zespół to Attacker, to z nim jesteś i będziesz głównie kojarzony. Myślę, że fani nigdy nie zapomną "Battle at Helm's Deep" (1985)...
Nie jestem pewien, czy ten zespół jest dla mnie najważniejszy. Traktowałem i podchodziłem do każdego zespołu z najwyższą wagą. **Attacker** to zespół, z którego jestem najbardziej znany, tak można by to ująć. Dla mnie to tak, jakby **Bela Lugosi** był najbardziej znany ze swojej roli w **Draculi**, chociaż nie obejmował całego jego dorobku filmowego, który przyniósł mu rozgłos i dzięki któremu go osiągnął. Należy zrozumieć, że oprócz **Attackera** stworzyłem cały dorobek muzyczny, który podoba się fanom metalu, ale początkowy

Foto: Bob Mitchell

sukces **Attackera** jest tym, co pozwoliło mi odnieść sukces i zyskać rozgłos, który osiągnąłem. Jeśli chodzi o "**Battle at Helm's Deep**", ten album zawsze będzie bliski mojemu sercu, ponieważ pomógł mi stać się człowiekiem, którym jestem dzisiaj.

Jednak zanim zespół przyjął nazwę Attacker działaliście jako Warloc. Czy to prawda, że sama Doro do was pisała z prośbą, abyście rozważyli zmianę nazwy (jej zespół wtedy nazywał się Warlock)?
Tak jest, to wszystko prawda. Perkusista wymyślił nazwę **Warloc**, ale po jakimś czasie zasugerowano nam zmianę nazwy, aby uniknąć nieporozumień. To basista, który był wtedy jeszcze w **Hadesie**, zasugerował **Attacker**, ponieważ podobała mu się kawałek "***(Call On) The Attacker***". Na dłuższą metę było to mądre posunięcie. Poza tym nie ma nic więcej do powiedzenia na ten temat.

Albumy wydane zaraz po reaktywacji Attacker "Soul Taker" (2004) i "The Unknown" (2006) też wiele znaczą dla tego zespołu. Ciężko będzie je pominąć przy omawianiu historii tego zespołu...
Tak, oba są bardzo wyjątkowymi albumami, szczególnie dlatego, że wiele z nich napisałem wspólnie z przyjacielem z dzieciństwa **Mikiem Benetatosem**. "***I Am Sin***" jest moim absolutnym faworytem! Muzyka była dobra i oba były solidnymi wydawnictwami. Albumy zostały bardzo dobrze przyjęte i docenione przez krytyków. Dzięki "**Soul Taker**" (2004) i "**The Unknown**" (2006) mogliśmy występować przed naprawdę dużą publicznością w Europie. Najlepszym sposobem na opowiedzenie o tych albumach jest po prostu kupienie ich lub przejście do Spotify i posłuchanie ich. W końcu to wpływowi fani zawsze decydują o tym, do kogo należy muzyka. Zespół doświadczył również wielkiego sukcesu w tym czasie, lepszego niż w latach 80., ośmieliłbym się powiedzieć, z kilkoma wypadami do Europy i kontynuując historię dzielenia sceny z jednymi z najlepszych zespołów w historii! Mówiąc osobiście, występy w Europie były najwspanialszym okresem w mojej karierze. Poznałem wspaniałych przyjaciół z Włoch, Grecji, Holandii i Niemiec. Do dziś utrzymuję z nimi kontakt. Publiczność była fenomenalna i śpiewała z nami głośno każdą piosenkę. Kocham Europę całym moim sercem i zawsze będę.

Ostatniego wsparcia swoim głosem udzieliłeś ważnemu muzykowi dla amerykańskiego heavy metalu lat 80., gitarzyście i nie tylko, Joe Hasselvanderowi, który aktualnie działa pod szyldem The Hounds of Hasselvander. Nagrałeś z nim płytę "Another Dose of Life" (2021). Wiem, jesteś w trakcie rekonwalescencji, ale może masz jakieś plany jeśli chodzi o twoją dalszą karierę muzyczną?
Jestem wielkim fanem **Joe Hasselvandera**! Jego praca z **Raven**, a zwłaszcza z **Pentagram**, nigdy nie zostanie podważona. Czuję się zaszczycony, że grał na perkusji na płycie **Mind Assassin** i z tego powodu otrzymałem możliwość śpiewania dla **Hounds**! Po ukończeniu albumu **Sceptor** ukończyłem "**Rise To The Light**", więc było to oficjalnie moje ostatnie

nagranie. **Joe** dał mi pełną swobodę w pisaniu tekstów i tworzeniu linii wokalnych. Zakończenie mojej kariery nagraniowej z taką legendą to najlepszy sposób, by odejść!

Podobnie jak Joe Hasselvander współtworzyłeś naprawdę wiele muzycznych projektów, nagrałeś wiele wspanialej muzyki, współpracowałeś z muzykami z różnych zakątków świata. Z czego to wynikało? Byłeś takim niespokojnym duchem, który nie potrafi znaleźć sobie miejsca?
Jestem prawdziwym kujonem show-biznesu! (śmiech) Poważnie, uwielbiam tworzyć, uwielbiam występować i wykorzystałem każdą okazję, która pojawiła się na mojej drodze przez lata! Jestem dumny z tego, że jestem artystą i frontmanem, a nie metalowcem. Bóg dał mi błogosławieństwo bycia otoczonym przez jednych z najlepszych muzyków w historii. Zostałem również pobłogosławiony tym, że byłem w stanie utrzymać się i pozostać w pewnym stopniu aktualnym tak długo, jak miałem do tego przywilej, a także mając możliwość współtworzenia utworów, które fani wciąż lubią. Nie tylko z **Jimem Mooneyem** (Attacker, Nighthunter), ale także z **Bruce'em Gatewoodem** (Blackstarr), **Toddem Lange** (Sceptor), **Steve'em Steggiem** (Sleepy Hollow), **Mikiem Benetatosem** (Attacker), **Kenem Randisim** (Mind Assassin), **Kenem Orthem** (Wycked Synn), **Marco Ruggerio** i **Craigiem Wellsem** (Savior From Anger), **Robem Orianim** (Vyndykator) i **Joe Hasselvanderem** (Hounds of Hasselvander).

Foto: Bob Mitchell

Z pewnością przeżyłeś wiele przygód i mógłbyś całe wieczory opowiadać różnego rodzaju dykteryjki zaczerpnięte z twojego życia. Niemniej założę się, że najwięcej masz wspomnień z lat 80. i do tego okresu masz najwięcej sentymentu?
Mój przyjacielu, za dużo historii, za mało czasu. Poza tym moje odpowiedzi i tak już są dość długie. (śmiech) A gdybym szczerze odpowiedział na to pytanie, to albo ty byś stracił czytelników, albo ja bym został pozwany.

Byłeś bezpośrednim świadkiem, jak rozwijała się scena heavy metalowa w Stanach, myślę też, że bardzo dobrze znałeś ówczesny underground. Jak uważasz, które z działających wtedy zespołów wykorzystały swój potencjał, a które przepadły w dziejach historii, mimo że miały bardzo wiele do zaoferowania?
Z dumą mogę powiedzieć, że byłem tego częścią i świadkiem. Zaczynałem w 1977 roku, a kiedy dołączyłem do Warloc, śpiewałem już od sześciu lat. Kiedy ostatecznie staliśmy się **Attacker**, w latach 1983-1986, zagraliśmy wiele koncertów, w szczególności z **Fates Warning**, **Metal Church**, **Hades** (USA), **TT Quick**, **Motörhead**, **Obsession**, **Cities**, **Anthrax**, **Black Lace**, żeby wymienić tylko kilka. Nasz pierwszy koncert, kiedy byliśmy **Warloc**, zagraliśmy lokalnie dla naszej rodzimej publiczności i wyprzedaliśmy to miejsce! Były tam nasze rodziny i przyjaciele, ale było też sporo fanów metalu, którzy regularnie chodzili na koncerty zespołów i ich też przekonaliśmy.

Aktualnie działa bardzo wiele małych wytwórni, często jednoosobowych, które bardzo pilnie, niczym najlepsi naukowcy-archeolodzy, tropią scenę lat 80. i przypominają zapomniane kapele i ich nagrania. Dla mnie jest to niesamowita sprawa, warta pochwały i wsparcia. A ty co sądzisz o takiej działalności?
Uwielbiam to! Zespoły, które powinny stać się większe, teraz zawsze pozostaną popularne wśród fanów metalu. Na przykład **Dark Age Records** wydało moje demo i muzykę **Nighthunter**, tym samym oficjalnie udostępniając wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem. Te małe wytwórnie umożliwiły również zespołom spełnienie ich marzeń o posiadaniu namacalnego wydania muzyki, którą stworzyli. Dlatego wspieram i pochwalam te wytwórnie za podtrzymywanie marzeń przy życiu i zapewnianie fanom metalu rozrywki przez wiele lat!

Myślę, że jesteś też bacznym obserwatorem współczesnej sceny heavy metalowej. Co na niej robi na tobie największe wrażenie. Które młode zespoły zwróciły twoją uwagę?
Jest dużo utalentowanych ludzi, ale wielu z nich nie ma oryginalności, osobowości, kierunku i prezencji. Więc, mówiąc krótko, nic nie przyciągnęło mojej uwagi w porównaniu z dawnymi zespołami zarówno lokalnie i mainstreamowo.

Do niedawna zajmowałeś się zawodowo promocją nowych zespołów i ich wydawnictw. Współpracowałeś głównie z Pure Steel Records i promowałeś ich wydawnictwa. Nie wiem, czy dalej to kontynuujesz, ale ciekawi mnie, jakie masz spostrzeżenia, jeśli chodzi o promocję współczesnych zespołów. Czy dzisiejszy rynek daje możliwości wypromować kapele, czy raczej jest pełen ograniczeń, i bardzo ciężko jest optymalnie kogoś wypromować?
Mój czas pracy z **Pure Steel** był nieoceniony. Otrzymałem możliwość wykorzystania mojego doświadczenia i wiedzy, aby dać zespołom szansę, które naprawdę na to zasługują i ożywić popularność weteranów. Podczas mojej pracy w **Pure Steel Records** wiele zespołów wydało albumy i odniosło sukces, podczas gdy inni artyści zaginęli w natłoku wydawnictw. Od czasu mojego udaru, mój czas z **Pure Steel** wraz z rozrywką się zatrzymał. Zauważyłem jednak, że zdecydowana większość młodszych zespołów nie ma żadnych wskazówek, a to jest coś, co chciałbym robić. Innym problemem jest to, że młodsze zespoły mają przekonanie, że wiedzą wszystko, podczas gdy wcale tak nie jest. Ja też bym się nie cofnął, bo robiłem to wszystko tak długo i jestem szczęśliwszy w życiu niż kiedykolwiek. Ale zawsze będę służył radą i starał się pomóc w każdy możliwy sposób.

W latach 80. kiedy heavy metal był bardzo popularny, kilka kapel zdobyło rozgłos międzynarodowy i w zasadzie ich kariery trwają do dziś. Jednak wtedy też bardzo wiele zespołów nie rozwinęło swoich karier, głównie za sprawą kwestii finansowych. Jest to trochę podobne do dzisiejszych czasów, gdzie większość kapel nie jest w stanie zarobić na swojej działalności, ale świadomość dzisiejszych muzyków jest inna i muzykowanie traktuje jak kosztowne hobby, co moim zdaniem ułatwia tym kapelom swoją aktywność. Czy można powiedzieć, że lata 80. w jakiś sposób wpłynęły na postępowanie współczesnych muzyków?
Nie ma różnicy. Tak jak byłem zaangażowany w show-biznes od długiego czasu, jest on tak samo konkurencyjny jak wtedy. To bardziej okoliczności się zmieniły, według mnie.

Praktycznie działasz na rynku od ponad 40 lat czy żałujesz, że w ogóle zaangażowałeś w granie heavy metalu? Bo raczej na muzykowaniu się nie dorobiłeś...
Gdybym czegoś żałował, nie zajmowałbym się muzyką tak długo. Muzyka zawsze była dla mnie dobrym źródłem dodatkowego dochodu. Ale w czasie, gdy zajmowałem się muzyką, zawsze miałem pracę, byłem asystentem kierownika do spraw przyjmowania przesyłek przez 6 lat, kierownikiem ekipy sprzątającej w szpitalu przez 14 lat i pielęgniarzem przez 17 lat, a na koniec, aż do udaru, przez 7 lat pracowałem jako magazynier. Ujmę to tak, kiedy poślubiłem moją żonę, nie musiała pracować. Nawet po moim udarze jesteśmy dobrze sy-

Foto: Bob Mitchell

tuowani finansowo, ponieważ nigdy nie roztrwoniłem tego, co zarobiłem, zwłaszcza w muzyce.

Niemniej jesteś normalnym człowiekiem, masz rodzinę, korzystasz z tego i starasz się żyć normalnie...
Zawsze pracowałem. Na wczesnym etapie mojej kariery poradzono mi, żebym zarabiał w klasyczny sposób i nie liczył na przemysł rozrywkowy i tak właśnie zrobiłem. Zagrałem bezpiecznie i lepiej na tym wyszedłem.

Wtedy w latach 80. chciałeś po prostu grać heavy metal. Teraz wielu uważa, że graliście US power metal czy też US metal i wraz z innymi jesteś uważany za prekursora tego stylu. Miałeś tego świadomość, czujesz się jakoś szczególnie dumny z tego powodu?
Do diabła, kto nie byłby dumny z takiego uznania! Dziękuję za to, Michał. Wspaniale jest wiedzieć, że na swój sposób zmieniłem życie tak wielu osób. Moja muzyczna podróż rozpoczęła się na długo, zanim zainteresowałem się heavy metalem. Szczycę się tym, że jestem uczniem show-biznesu. Moja miłość do muzyki metalowej ewoluowała z czasem, ponieważ kiedy byłem młody, nie było takiego uznanego gatunku. Kiedy dołączyłem do mojego pierwszego zespołu w wieku 12 lat, zainteresowałem się zespołami heavy rockowymi, takimi jak **Led Zeppelin**, **Deep Purple** i **UFO**. Potem przyszły **Kiss**, **Nazareth** i **Black Sabbath**. Oczywiście te zespoły miały na mnie ogromny wpływ, zwłaszcza **Deep Purple**. Ale w miarę postępów w mojej karierze, znalazłem wielki wpływ **Raven**, **Savatage** i **Accept**. Zdecydowałem się zostać wokalistą, ponieważ było to tańsze niż kupowanie gitary i sprzętu perkusyjnego. (śmiech) Mówiąc jednak poważnie, nigdy nie grałem na żadnym instrumencie i każdy, kto śledził moją karierę, z pewnością wie, że powodem, dla którego chciałem zostać piosenkarzem, był **Dean Martin**. Jak już mówiłem, wokaliści rockowi z zespołów, o których wspomniałem, stali się dla mnie bardzo ważni, ale to piosenkarze tacy jak **Dean**, **Jerry Vale i Andy Williams** wywarli na mnie największy wpływ do dziś.

Co w ogóle skłoniło cię do tego, żeby śpiewać i grać w kapelach heavy metalowych? Jakby potoczyło się twoje życie gdyby nie hard rock i heavy metal?
To była moja miłość do show-biznesu i moja potrzeba bycia artystą estradowym, odkąd skończyłem pięć lat i otrzymałem taką możliwość. Sukces przychodzi na wielu poziomach, nie tylko w formie finansowej. Niezależnie od tego, czy śpiewałbym heavy metal, czy nie, niezależnie od biznesu muzycznego, któremu poświęciłem 47 lat mojego życia, moje życie i tak potoczyłoby się świetnie, ponieważ każdego ranka, nawet, teraz kiedy otwieram oczy, przyjmuję każdy nowy dzień z otwartymi ramionami i nie mogę się doczekać przywileju życia, niezależnie od tego, czy dzień okaże się dobry, czy zły. Pamiętajcie, sekretem bycia żywym jest żyć w pełni!

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

DIVINER

...brzmieć organicznie i analogowo...

Diviner należy do grona jednych z ciekawszych współczesnych formacji grających tradycyjny heavy metal. Udowadnia to każdą swoją nową płytą, taka też jest "Avaton". Oczywiście to jest jedynie moje zdanie, wiem, że wielu nie za bardzo chce go podzielać, ale ja poczekam, aż się sami przekonają i wtedy wypalę: a nie mówiłem! Zanim to nastąpi, zapraszam do zapoznania się z głosem lidera i wokalisty Diviner Yiannisa Papanikolaou oraz zawartością najnowszej płyty tej formacji wspomnianej "Avaton".

HMP: Między "Avaton" a "Realms of Time" przerwa też trwała czterech lat. Wychodzi na to, że jest to wasz cykl produkcyjny i kolejne płyty też będą wydawane co cztery lata...

Yiannis Papanikolaou: Hmm... Niekoniecznie. Tak naprawdę nie ma żadnego terminarza nowych wydawnictw zespołu. Nowy album ukazałby się znacznie wcześniej, ale sytuacja z covidem zahamowała cały proces. Te wszystkie restrykcje i kwarantanny były ogromną przeszkodą dla procesu tworzenia albumu, wliczając w to porozumiewanie się z zespołem w sprawie pisania utworów, prób, sesji przedprodukcyjnych i, oczywiście, ostatecznych sesji nagraniowych. Te cztery lata przerwy od poprzedniego albumu są tylko czystym przypadkiem.

Foto: Evelina Gerasimi

Słuchając po raz pierwszy "Avaton" odniosłem podobne wrażenie, jak przy słuchaniu albumu Dio "Sacred Heart". Dwa pierwsze albumy Dio są potężne i dzikie, a przy okazji trójki muzyka Mistrza złagodniała, a zarazem pojawiło się sporo przebojowości. Podobnie jest w waszym przypadku. Materiał z "Avaton" jest łagodniejszy i bardzo przebojowy...

Cóż, w porównaniu z "**Fallen Empires**" i "**Realms Of Time**", "**Avaton**" jest bezwątpienia bardziej melodyjny z rozbudowaną aranżacją, ale jest też potężniejszy, zróżnicowany, przygodowy i majestatyczny. Mocno wierzymy, że na tym albumie jakość dźwiękowa wzniosła się na wyższy poziom, zarówno muzycznie, jak i lirycznie. Wybraliśmy bardziej organiczny sposób produkcji, co pozwalało na energię, dynamikę i świeżość i daje nowy wymiar atmosferyczny albumu.

Oczywiście wszystkie wasze cech z poprzednich płyt, są zachowane, choć tym razem oldschoolowy heavy metal jest bardziej wyeksponowany. To też jakby u was nowość wraz z przyjściem "Avaton"...

Nie sądzę, że kiedykolwiek odeszliśmy od naszych heavymetalowych inspiracji i klasycznego pisania kawałków, którym przedstawiliśmy się na naszym debiucie "**Fallen Empires**". Eksperymentowaliśmy nieco z brzmieniem na "**Realms Of Time**" i przez pisanie tekstów i cięższy tuning, byliśmy w stanie brzmieć bardziej świeżo i bardziej nowocześnie, pomimo grania heavy metalu. Rozumiem jednak, co masz na myśli i po części się z tym zgadzam, że "**Avaton**" ma bardziej "oldschoolowe" i zróżnicowane brzmienie od jego poprzedników.

Mocniejsze wyeksponowanie oldschoolowego heavy metalu odbiło się też na brzmieniu. Jest ono teraz bardziej tradycyjne.

Cóż, taką obraliśmy ścieżkę pisania muzyki. Chcieliśmy brzmieć organicznie i analogowo, ale to brzmienie musiało służyć całemu albumowi. Nasze brzmienie dobrze pasuje zarówno w epickich hymnach "***Hall Of The Brave***" czy "***The Battle Of Marathon***", ale też w bardziej melodyjnych utworach, jak "***Waste No Time***" i "***Cyberwar***". Jestem pewien, że można zauważyć różne wpływy muzyczne, ale koniec końców można powiedzieć, że "**Avaton**" to album czysto heavymetalowy z tradycyjnymi lub klasycznymi korzeniami.

Wszystkie utwory są melodyjne, wpadają w ucho, każdy też ma swój charakter i trzyma poziom, dlatego ciężko wybrać z nich najbardziej przebojowy. Jak dla mnie brakuje "Avaton" takiego wyraźnego przeboju...

Patrząc na historię muzyki, "hitami" są te kawałki, które mają melodie zapadające w pamięć i refreny, do których można sobie pośpiewać i odniosły ogromny sukces przez prezentowanie na antenie i premiery teledysków. Myślę, że wszystkie utwory na "**Avaton**" mają te komponenty, zwłaszcza jeśli chodzi o refreny, ale jest za wcześnie, by mówić o hitach. Chyba powinniśmy czekać do 10 listopada i zobaczyć, jakie są reakcje i preferencje słuchaczy, co nie?

Chociaż taki "Dominator" ma do tego predyspozycje. Może ten kawałek potrzebuje więcej czasu, żeby przejąć prym nad pozostałymi na "Avaton"?

Uznam słowo "predyspozycję" za komplement, ponieważ "***Dominator***" ma bardzo mocny riff w intro oparty na klasycznym heavymetalowym schemacie rytmu i harmonię, która perfekcyjnie buduje napięcie, zanim wyląduje główny riff, do którego uważam, że łatwo można sobie pośpiewać, więc jest też łatwy do zapamiętania. To jest coś, co **Diviner** robi od czasu "**Fallen Empires**", więc zrobiliśmy to też w każdej kompozycji na "**Avaton**". Jest to "klasyczny przepis na heavy metal", którego się nauczyliśmy od naszych heavymetalowych herosów.

Za to nie mam w ogóle obiekcji do dwóch najbardziej epickich kompozycji "Hall Of The Brave" i "The Battle Of Marathon". To są niesamowite utwory, od których nie mogę się oderwać...

Dziękuję bardzo. Dłuższe kompozycje zawsze są wyzwaniem, ale myślę, że w końcu napisaliśmy dwa hymny, które nie tylko są długie, ale też przez cały czas utrzymują uwagę słuchacza na wodzy. Jesteśmy z nich bardzo dumni.

Bardzo spodobało mi się określenie wytwórni w materiale promocyjnym o waszej muzyce i albumie, że jest potężny, melodyjny, epicki, mroczny, duchowy, klimatyczny, intensywny, agresywny, surowy i różnorodny jednocześnie. Ja też tak robię, jak coś mi się podoba, stawiam na lekką przesadę, ale staram się trzymać faktów...

Ludzie w **ROAR** są najpierw fanami metalu, a potem biznesmenami! **ROAR** byli pierwszymi ludźmi (oprócz nas, oczywiście), którzy uwierzyli w "**Avaton**", więc materiał promocyjny wziął się z ich pasji i spontaniczności. Ale, oczywiście, ostatecznymi jurorami zawsze będą słuchacze.

Natomiast o tekstach napisali tak, że zapowiadają zapierająca dech w piersiach podróż z okrutnego, dystopijnego świata do naszych najgłębszych marzeń, w poszukiwaniu prawdziwych tajemnic życia i nie tylko. Wypełnia je moc przygód, emocji i czystej magii, która skradnie serce każdego nienasyconego i oddanego fana metalu. A tak naprawdę, o co chodzi?

To jest bardzo wyczerpujące zadanie. Każda kompozycja na "**Avaton**" jest innym, ale klu-

czowym elementem układanki, które tworzą całość. Każdy utwór jest takim istotnym organem w zdrowym ciele. Krótko mówiąc, mógłbym wznowić stwierdzenie, że ta płyta bardzo często wykorzystuje bezpośrednią i surową mowę, czasami alegoryczną lub rzadziej opowiadającą historię, aby ujawnić wiele ukrytych twarzy naszego świata. Dystopijne, optymistyczne, duchowe i fałszywe. Wybór zawsze należy do nas.

Po wydaniu "Realms of Time" doszło do tragedii, w zasadzie pozostałeś sam. Dlaczego pozostali muzycy postanowili odejść i czy ciężko było skompletować nowy skład?
Każdy zespół ma swoją wizję i tak też jest w przypadku **Diviner**. Kiedy nie masz już niczego więcej do zaoferowania zespołowi, rozstanie się jest wtedy najlepszą opcją dla obu stron. Rodzina **Diviner** zawsze będzie wdzięczna poprzednim członkom za ich wkład do zespołu. Nie było trudno znaleźć dobrych muzyków do dołączenia. Najtrudniej było znaleźć osoby, które rozumiały i podzielały wizję zespołu i cieszę się, że znalazłem takich ludzi.

Diviner ma niesamowite szczęście do muzyków, jak do tej pory grali i grają w zespole muzycy, którzy mają spore umiejętności gry na swoim instrumencie, a także odpowiednią wrażliwość, wyobraźnię i talent...
Tak, to jest prawda. **Diviner** został wystarczająco błogosławiony od samego początku w świetnych muzykach i członkach zespołu. Jeśli chodzi o obecną obsadę, wszyscy są znanymi muzykami i już grali, i wciąż grają, w wielu zespołach i projektach.

Czy to wpływ nowych muzyków spowodował, że na "Avaton" muzyka jest łagodniejsza, a jego brzmienie jest bardziej tradycyjne?
Nie zgadzam się z określeniem "łagodniejszy". Nie zmieniliśmy kierunku muzycznego zespołu. Od pierwszej nuty "**Fallen Empires**" do ostatniej w "**Avaton**" i wszystkiego pomiędzy gramy heavy metal. Jak wspomniałem wcześniej, tym razem pisanie kompozycji doprowadziło nas do bardziej organicznej i szerszej aranżacji. Rzeczywiście wszyscy mamy wiele różnych muzycznych wpływów, a naszym rdzeniem są klasyczne zespoły heavymetalowe, takie jak **Maiden**, **Priest**, **Dio**, **Sabbath**, **Manowar**, **Helloween**, **Queensryche**, **King Diamond**, **Savatage**, **Candlemass** i kilka kamieni milowych ze starej szkoły thrashu, jak **Metallica** czy **Slayer**. To jest powód różnorodności nowych albumów. Ale tak naprawdę nigdy nie możesz kontrolować, który z nich wyjdzie, kiedy siadasz do pisania utworów, ponieważ nie jesteś tylko muzykiem. Przede wszystkim jesteś fanem metalu i zawsze nim będziesz. Jeśli twierdzisz, że grasz heavy metal i nie odnosisz się muzycznie do niektórych z jego prekursorów, takich jak ci kolesie powyżej, to coś jest nie tak. Mogę szczerze powiedzieć, że **Diviner** jest pod wpływem całego klasycznego gatunku metalu w jego złotej erze, a w "**Avaton**" można dostrzec większość naszych wpływów w brzmieniu naszego zespołu.

Czy za utwory na "Avaton" odpowiadasz sam, czy też pracowałeś nad nimi wraz z nowymi muzykami?
To ja jestem odpowiedzialny za teksty. Co do muzyki, skomponowałem większość utworów. Cztery napisałem z **Teo** a jeden z naszym perkusistą, **Lefterisem**.

Jak aktualnie pracujecie nad utworami. Każdy pracuje sam w zaciszu domowym, czy też spotykacie się na próbach?
Kiedy zaczęliśmy proces pisania utworów na "**Avaton**", każdy przedstawiał swoje pomysły zarówno do całej struktury kompozycji, jak i zapasowych riffów. Zazwyczaj tworzę całą strukturę wraz z partiami wokalnymi i najpierw razem z **Teo** zaaranżowaliśmy wszystkie moje pomysły, zaczęliśmy współpracować i napisaliśmy cztery kawałki. W przypadku "***Nemesis***" **Lefteris** wpadł na ten rewelacyjny riff w intro i podczas słuchania tego na okrągło, napisałem całą resztę tej piosenki.

Nagrania na "Avaton" dokonano w Devasoundz Studio, w nagrywaniu pomagał wam Fotis Benardo, opowiedz o tym miejscu i przebiegu samej sesji...
Znamy **Devasoundz Studios** bardzo dobrze, a **Fotis Benando** był z nami od początku. Nagraliśmy tam też "**Realms Of Time**", więc czuliśmy się tam bardzo komfortowo i cieszyliśmy się na kolejną współpracę z Fotisem. **Devasoundz** zapewnia wszystko, czego potrzebuje metalowy zespół, a **Fotis** jest jednym z niewielu producentów, którzy wiedzą, jak z ciebie wycisnąć sto procent.

Wspólnie z Fotisem Benardo dokonaliście również miksu, ale master powierzyliście George'owi Nerantzis'owi. Czy George to osoba spoza zespołu i czemu jemu zdecydowaliście powierzyć master?
George jest jednym z najbardziej obiecujących inżynierów muzycznych w Grecji. Pracował z wieloma świetnymi zespołami i muzykami, takimi jak **Dark Funeral**, **Pain of Salvation**, **Nightrage**, **Gus G.**, więc dlaczego nie miałby pracować z **Diviner**? Od pierwszej nuty perfekcyjnie zrozumiał, w którym kierunku ma pójść "**Avaton**" i jesteśmy bardzo zadowoleni z rezultatu!

Na początku wspomniałem o płycie Dio "Sacred Heart". Na poprzednich albumach muzykę Diviner można było kojarzyć z mieszanką Judas Priest, Iced Earth, Dio itd., teraz tego Dio jest jakby więcej. To chyba nie przypadek?
Ronnie James Dio jest inspiracją nie tylko dla mnie, ale też dla reszty chłopaków, a przynajmniej dla **Teo**. Są różne elementy z różnych inspiracji, ale co ma wypłynąć na powierzchnię, jest zależne od pisania utworów. Myślę, że tak sądzisz, bo "**Avaton**" jest najbardziej melodyjnym albumem ze wszystkich trzech, a porównując **Judas Priest** i **Iced Earth**, **Dio** zdecydowanie był najbardziej melodyjny. Ale, jak możesz usłyszeć, próbowaliśmy połączyć melodię z klasycznym heavymetalowym kopnięciem. "***Mountains High***", "***Dancing In The Fire***", "***Dominator***", "***Hope Will Rise***" są świetnymi przykładami.

Od początku twój głos porównywałem z Ronnie J. Dio i myślę, że nie zaprzeczysz jego wpływu na styl twojego śpiewania...
Zdecydowanie nie! Jak już wspomniałem, **Dio** jest jedną z moich największych inspiracji, wraz z **Bruce'em Dickinsonem**, **Robem Halfordem** i innymi.

Wrócę na chwile do kwestii personalnych. Większości zespołów heavy metalowych zdaje sobie sprawę, że granie w takiej kapeli to hobby, w dodatku czasochłonne i kosztowne. W zasadzie ciężko jest teraz wypromować

zespół, żeby z samego grania muzycy mogliby spokojnie żyć. A jednak bywa, że marzenia przysłaniają rzeczywistość. Czy częste zmiany personalne w zespołach heavy metalowych właśnie wynikają z takiego mylnego wyobrażeniu o byciu w rockowym zespole?
Niewątpliwie żyjemy w czasach, w których muzyka stała się hobby lub kosztowną przyjemnością dla większości zespołów, zwłaszcza ze względu na nielegalne pobieranie, które zminimalizowało dochody ze sprzedaży płyt, odtwarzania na antenie i tantiem. Jedynym źródłem finansowym pozostałym dla zespołu w naszych czasach jest trasa koncertowa, która w większości przypadków jest trudna lub niemożliwa, ponieważ członkowie zespołu wykonują codzienną stałą pracę w celach zarobkowych. W takim przypadku konieczne jest, aby zespół miał jasną wizję i członków, którzy będą za nią podążać. Myślę, że to dość oczywiste, że potrzeba przetrwania jest na pierwszym miejscu dla każdego.

Aktualnie współpracujecie z ROAR! Rock Of Angels Records w ich szeregach są m.in. Grave Digger, Mystic Prophecy, czy Ashes of Ares. Masz nadzieję, że tym razem Diviner w końcu zostanie odpowiednio wypromowany?
ROAR wykonuje kawał dobrej roboty od ostatniej dekady. Cieszymy się bardzo z tego, że jesteśmy z wytwórnią, która ma świetne zespoły i mamy nadzieję, że **ROAR** także nam pomoże w osiągnięciu celów.

Jestem zafascynowany Diviner od wydania pierwszej płyty "Fallen Empires" (2015). Niestety jest część krytyków, którzy mają pewnego obiekcje do waszej muzyki, przez co nie jesteście na miejscu, na którym powinniście być. Nie rozumiem tego, ale nie zmienię zdania i uważam, że należycie do grona jednych z ciekawszych współczesnych formacji grających tradycyjny heavy metal, które udowadniają swoja każdą płytą, że mam rację...
Dziękuję bardzo za twoje miłe słowa i wsparcie. Kiedy decydujesz się na występowanie publiczne, na granie dla publiczności, musisz też zmierzyć się z krytykami. Jasne, są krytycy, którzy oceniają dobrze i tacy, którzy nie są zbytnio przyjaźni. Staramy się cały czas rozwijać jako zespół i uczyć się na błędach. Tak, więc jeśli krytyk nie jest przychylny, ale recenzja jest udokumentowana, to też ją przyjmujemy.

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

ANGELUS APATRIDA

To tylko metal, a metal jest ponad wszystkim

Guillermo Izquierdo należy do grupy tych muzyków, z którymi chętnie napiłbym się piwa. Można z tym gościem porozmawiać na wiele ciekawych tematów, nie tylko tych związanych z muzyką. Kwestia ta z oczywistych względów zdominowała naszą rozmowę. Jednak ponadto mogliśmy się dowiedzieć, że w Hiszpanii nie zawsze było różowo.

HMP: Właśnie na rynek trafia wasz ósmy album studyjny zatytułowany "Aftermath". Kiedy zakładałeś ten zespół w 2000 roku, czy wyobrażałeś sobie, że będziecie w stanie dojść do punktu, w którym obecnie się znajdujecie?

Guillermo Izquierdo: Nie bardzo. Szczerze mówiąc nigdy nie myśleliśmy wówczas o naszej karierze w innych kategoriach niż granie naszych ulubionych coverów, tworzenie własnej muzyki i granie na koncertów. Wszystko zaczęło płynąć samo, a my po prostu daliśmy się temu ponieść. Każde osiągnięcie to skarb, każdy zdobyty cel to zwycięstwo. Teraz, patrząc w przeszłość, widzimy wszystko, co zrobiliśmy i jestem z tego cholernie dumny!

Foto: Javier Bragado

Trzeba przyznać, że przez te lata bardzo się rozwinąłeś.

Przy każdej nadarzającej się okazji staram się uczyć czegoś nowego. Potrafię czerpać inspiracje od wszystkich wokół mnie. Mam tu na myśli zarówno muzyków innych kapel jak i swoich kumpli z **Angelus Apatrida**. Podczas okresów intensywnego koncertowania nauczyłem się tworzyć muzykę w trasie. To dla mnie istotne, gdyż stworzony motyw potrafię zapamiętać i nie muszę go od razu zapisywać w komputerze. Zostaje on zapisany w mojej głowie. Zdobycie tej jakże przydatnej umiejętności to dla mnie naprawdę duży krok naprzód.

Ostatni album zatytułowaliście po prostu nazwą zespołu. Najnowszy krążek nosi tytuł "The Atermath" (ang. Następstwo - przyp. red). Czegóż to następstwem ma on być w waszym założeniu.

Następstwem dosłownie wszystkiego. Przeszliśmy przez niszczycielską globalną pandemię, której niektóre skutki odczuwamy do dziś, a także inne gówniane sytuacje na całym świecie.... Myślę, że to idealna koncepcja na dzisiejsze czasy.

Zauważyłem, że na albumie jest kilku gości. Todd La Torra jest bliskim przyjacielem naszego producenta **Zeussa** i odkrył muzykę **Angelus** dzięki naszemu poprzedniemu albumowi. Po prostu polubił zespół i był z nim związany przez ostatnie kilka lat. Kiedy napisałem ten kawałek, od razu pomyślałem, że jego głos może idealnie do niej pasować. Następnie po prostu zadzwoniłem do niego i zaproponowałem mu gościnny udział, a on bez zastanowienia przyjął propozycję. Jestem wielkim fanem **Queensryche** i samego **Todda**. Fajnie mieć taki głos na albumie. Jeśli chodzi o **Jameya Jasta**, jestem fanem hardcore'u od dziecka i uwielbiam **Hatebreed** od ich pierwszego albumu. Tak się złożyło, że dostaliśmy propozycję zagrania na legendarnym **Milwaukee Metal Fest** w Milwaukee w stanie Milwaukee, a tak się składa, że to właśnie **Jamey** jest odpowiedzialny za wskrzeszenie tego festiwalu. Okazało się, że lubi on także naszą muzykę, więc zaproponowałem mu zaśpiewanie na nowym albumie. Odwalił kawał dobrej roboty. **Pablo Garcia** gra na gitarze w jednym z najsłynniejszych hiszpańskich zespołów power metalowych, **Warcry**. Jest on popularny tutaj i w Ameryce Łacińskiej, a my jesteśmy przyjaciółmi od wielu lat. Najprawdopodobniej jest on jednym z najlepszych gitarzystów metalowych w Hiszpanii. **Sho-Hai** to natomiast osoba z nieco innej muzycznej bajki. Jest gwiazdą hiszpańskiego rapu, członkiem najważniejszego hiszpańskiego składu w historii, **Violadores del Verso**. Tak się składa, że jest także fanem metalu. Przyjaźnimy się od wielu lat i zawsze chcieliśmy zrobić coś wspólnie. Jestem również miłośnikiem hip hopu i rapu i, jak wiele zespołów w przeszłości, żartowaliśmy o robieniu coverów takich jak "***Bring the Noise***" **Anthrax** i **Public Enemy**. Łatwo zatem było stworzyć utwór z jedną częścią napisaną specjalnie dla niego. A co najlepsze, zaśpiewaną po hiszpańsku.

O swojej miłości do rapu mówiłeś już, jak rozmawialiśmy pięć lat temu. Czy nigdy nie myślałeś o stworzeniu projektu rapowego?

To nie dla mnie. Kompletnie nie umiem rapować (śmiech).

Słuchając "Aftermath" odnoszę wrażenie, że tak jak poprzednio stawiacie na ciężar, ale nie zapominacie też o melodii. Który z tych składników jest ważniejszy z Twojego punktu widzenia?

Oba wspomniane przez ciebie czynniki są ważne oraz są obecne na każdym albumie **Angelus Apatrida**. Myślę, że to jest coś, co czyni ten band wyjątkowym. Nie jesteśmy tylko kolejnym zespołem thrash metalowym. Jesteśmy czymś więcej. W dużej mierze dzięki tej mieszance prędkości, mocy, energii, melodii, chwytliwych refrenów, czystych i przesterowanych wokali, szalonych zagrywek i solówek, szybkiej perkusji, pięknych harmonii, groove'u. To jest to, co kochamy w metalu!

Podoba mi się riff w numerze "Snob". To prawdopodobnie najbardziej rockandrollowy moment na albumie. Czy nie myśleliście, by częściej podążać w tym kierunku?

Nigdy nie myślimy o konkretnym kierunku, kiedy piszemy nową muzykę. Po prostu idziemy z prądem i pozwalamy naszej kreatywności płynąć samej. Kochamy rock'n'rolla, nowego, starego, klasycznego... Więc to normalne, że od czasu do czasu gdzieś się pojawia, tak jak wiele innych riffów w utworach takich jak "***Serpents On Parade***", "***Rats***" itp.

Utwór "Fire Eyes" rozpoczyna się w dość intrygujący sposób. To wprowadzenie buduje napięcie. Co zainspirowało Cię do napisania tego kawałka?

Muzycznie David nadał utworowi dodatkową moc, która bardzo przypomina mi nasze pierwsze albumy. Mam tu na myśli bardzo chwytliwe, klasycznie thrashowe riffy. Lirycznie opowiada o tym, jak różnie ktoś postrzega i przeżywa daną sytuację w zależności od tego, po której stronie barykady się znajduje. To napięcie, o którym mówisz znajduje także odzwierciedlenie w tekście.

Jestem pod wrażeniem numeru "To Whom I May Concern". Moim zdaniem brzmi nieco nowocześniej niż reszta albumu. Zgadzasz się z tym?
To zależy od tego, co masz na myśli mówiąc "nowoczesny". Niektóre jego fragmenty przypominają mi dzieciństwo, kiedy po raz pierwszy słuchałem zespołów takich jak **Alice in Chains** czy **Faith No More**. Tak, można powiedzieć, że niektóre jego faktycznie brzmią niczym "nowoczesne" metalowe ballady, ale sam utwór jest super mocny, zawiera klasyczne i szybkie riffy z bardzo chwytliwy, piękny refren. To z pewnością jeden z moich ulubionych utworów.

Wydaje się, że thrash metal jest bardzo wyeksploatowanym gatunkiem. Czy uważasz, że jest jeszcze jakaś możliwość, aby tchnąć w niego nowe życie? Czy może jedyną rzeczą, jaka pozostała do zrobienia, jest oparcie go na klasykach gatunku?
Mam taką nadzieję! Nigdy nie przepadałem za zbytnim szufladkowaniem rocka czy metalu. Słucham muzyki metalowej od ósmego roku życia. To kawał czasu biorąc pod uwagę, że za nieco ponad miesiąc kończę 40 lat. Słucham niesamowicie różnorodnej muzyki, nawet spoza rockowo - metalowych klimatów. Uwielbiam tą różnorodnoąć. Daje mi to wiele inspiracji do tworzenia nowej muzyki. Wierzę, że można tworzyć nowe rzeczy i brzmieć inaczej, a nawet ewoluować, wciąż pozostając w thrash metalowej konwencji. Zresztą nie musisz szukać daleko. Robiły to zespoły takie jak **Death Angel**, **Testament**, **Exodus**, **Slayer**, **Megadeth** czy **Anthrax**. Jednocześnie podoba mi się też to, że wiele zespołów woli pozostać wiernymi oryginalnemu brzmieniu. Zarówno w thrashu, jak i na scenie heavy metalowej. To, że niektóre młode kapele brzmią tak, jakby grały ponad trzy dekady temu, również sprawia mi radość.

Z wiadomych powodów musiałeś odwołać trasę koncertową zaplanowaną na 2020 rok. Skupiłeś się na tworzeniu. Czy trudno było dostosować się do tej sytuacji?
W pierwszych tygodniach, tak. Myślę, że każdy był w szoku. Mimo to staraliśmy się utrzymać naszą pracę i zadowolić naszych fanów. Zrobiliśmy kilka streamów i umieściliśmy je za darmo w Internecie. Początkowo trudno było

Foto: Javier Bragado

myśleć o nowym albumie **Angelus Apatrida**, ale chyba dobrze wykorzystaliśmy ten czas. Wynik był niesamowity. Przez te miesiące wiele się o sobie nauczyliśmy.

Przygotowujecie się do trasy z Sacred Reich i Death Angel. Jakie są twoje odczucia?
Chciałbym być headlinerem. (śmiech) Jesteśmy gośćmi specjalnymi i jest to dla nas więcej niż niesamowite! To dwa z naszych ulubionych thrashmetalowych zespołów w historii. Są w swojej szczytowej formie. My zresztą też. To będzie thrashmetalowy set roku! Bardzo żałuję, że ta trasa nie odbędzie się w Polsce, ale może niektórzy z was będą mogli wziąć udział w koncercie w którymś z sąsiednich krajów. Nie przegapcie tego, jeśli możecie. Będzie niesamowicie!

Którą ze swoich tras wspominasz najlepiej?
Dziesiątki z nich. Powiedziałbym, że większość. Każda z nich ma w sobie coś wyjątkowego. Jedną z najlepszych może być pierwsza europejska trasa, którą odbyliśmy ze **Skeletonwitch** i **Warbringer** lub ostatnia w Ameryce Północnej.

W jednym z wywiadów powiedziałeś, że po śmierci generała Franco w Hiszpanii rozpoczęło się pewne odrodzenie. Dotyczy to również sceny metalowej. Czy ten reżim był aż tak restrykcyjny?
Po zakończeniu 40-letniej faszystowskiej i ultrakatolickiej dyktatury Franco, w Hiszpanii zaczęło się toczyć normalne życie. Podczas dyktatury wszystko z zagranicy było cenzurowane i ścigane. Oczywiście muzyka rockowa i metalowa również. Ludzie z długimi włosami lub ubierający się jak hipisi (Deep Purple, Led Zeppelin itp.) byli uważani za homoseksualistów (co również było zakazane), satanistów lub chorych psychicznie. Ich teksty były całkowicie zakazane z oczywistych powodów. Późno żeśmy się od tego uwolnili. Cóż, lepiej późno niż wcale!

Odnoszę wrażenie, że nie jesteś zbyt przychylnie nastawiony do prawej części sceny politycznej. Czy zależy ci na tym, by Angelus Apatrida był postrzegany jako zespół zaangażowany politycznie?
Szczerze mówiąc mam to w dupie. **Angelus Apatrida** nie jest zespołem zaangażowanym politycznie. Jesteśmy zespołem thrashmetalowym, a thrash metal, jako skrzyżowanie heavy metalu i punka, zawsze był bardzo związany z niższymi klasami społecznymi, był przeciwko niesprawiedliwości i stawał w obronie praw człowieka. Nie obchodzi mnie, co ludzie o tym myślą, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy wszyscy są tak spolaryzowani. Nie obchodzi mnie, czy jesteś postępowcem czy konserwatystą, lewicowcem czy prawicowcem, dla mnie wszystko jest dobre, jeśli szanujesz demokrację i wszystkie prawa człowieka. Tak czy inaczej, moja wizja świata i poglądy polityczne to moja prywatna sprawa i nie chcę, by była ona dla kogoś przeszkodą w słuchaniu naszej muzyki. To tylko metal, a metal jest ponad wszystkim.

To wszystko ode mnie. Ostatnie słowo należy do ciebie...
Bardzo dziękujemy za poświęcony czas i chcemy przesłać dużo dobrych wibracji naszym przyjaciołom w Polsce, graliśmy tam tego lata i mieliśmy super wspaniałe doświadczenie, mamy nadzieję, że będziemy mogli wrócić bardzo szybko. Trzymajcie się!

Bartek Kuczak

Foto: Javier Bragado

METALLUS

Być jak doomowe AC/DC

Doom ma się w naszym kraju coraz lepiej i można już mówić o powstaniu rodzimej sceny grających go zespołów. Teraz do Monasterium, Evangelist czy Rosary dołączyła kolejna grupa. Metallus zaczęli z tak zwanej grubej rury, bo nie dość, że grają nad wyraz stylowo i potężnie, niczym dawni mistrzowie gatunku z Candlemass na czele, to jeszcze ich debiutancki album "Funeral Of The Sun" trwa blisko półtorej godziny. Wygląda przy tym na to, że to dopiero początek ekspansji tego tria, bo muzycy podkreślają, że nie tylko mają materiał na dwa kolejne albumy, to myślą jeszcze o nagraniu EP, zainspirowanej "Władcą pierścieni".

HMP: Fajną wymyśliliście sobie nazwę, teoretycznie zajętą, ale na dobrą sprawę wolną. Miała być właśnie taka, surowa i archetypowa, a fakt, że nawiązuje również do tytułu debiutanckiego LP Candlemass pewnie tym bardziej was cieszy?

Doom Lord: Na początku było słowo... Słowo, które miało wyrażać ciężar. Następnie powstał utwór "***Metallus***" o wielkiej postaci, kolosie tak ciężkim, że sam siebie zgniótł. Moc i absurd. A fakt, że nazwa kojarzy się z thrashowym gigantem oraz "**Epicusem Doomicusem**" nam nie wadzi, a wręcz raduje. **Candlemass** to jedni z najważniejszych synów bogów z **Black Sabbath**.

Wygląda na to, że formuła klasycznego trio jest dla was tą najbardziej optymalną. To świadomy wybór, czy kwestia przypadku, bo nie udało się wam znaleźć drugiego gitarzysty?

Hell's Mage: Kwestia tego, że we trzech nam się dobrze grało i tak zostało. Szczerze to pierwotnie ja chciałem, żeby na gitarę wskoczył ktoś nieco bardziej kompetentny niż ja (śmiech). W początkowej fazie zaczęliśmy sobie grać we trzech na luzie i po prostu żeby zacząć ogrywać materiał, z tyłu głowy miałem schowane, że kiedyś tam może pojawi się "właściwy" gitarzysta. Ale im dłużej to trwało, tym bardziej czuliśmy, że w formie trio nam się dużo lepiej dogaduje i funkcjonuje a ściąganie osoby z zewnątrz by nam trochę ten ład zaburzyło.

Doom Lord: Świadomym wyborem było stawianie na srogie riffy, a nie rozbudowane solówki.

Macie za to dwóch wokalistów, co nie zdarza się tak często - braki kadrowe nadrabiacie wzmożoną aktywnością?

Doom Lord: Nie mamy braków. Wystarczy nas trzech, by wyzwolić pożądaną potęgę.

Hell's Mage: Obaj z **Doom Lordem** od lat lubiliśmy drzeć japy i oczywistym było od początku, że będziemy dzielić obowiązki wokalne. Bardzo ważne jest dla nas to, żeby te refreny wypadały jak swoiste hymny, więc wspólne ich wykrzykiwanie dodaje im tylko majestatu. No i takie wspólne śpiewanie łatwiej też podłapać ludziom na koncertach. Pod tym względem staramy się być jakby doomowym **AC/DC**. Ja z kolei staram się przemycać do Metallusa trochę harmonicznego bakcyla wokalnego. To reminiscencje jednego z moich poprzednich zespołów, **Grupy Kormorany**, gdzie uskuteczniane było dużo wokalu w harmonii na dwa głosy.

Foto: Łukasz Ragnus

Jak dzielicie się partiami wokalnymi, zależy to od aranżacji danego utworu, jego klimatu czy jeszcze innych czynników?

Doom Lord: Zasada jest prosta, główne partie śpiewa ten, który utwór napisał, a refreny razem.

Doom metal w najbardziej klasycznej postaci nie cieszy się w Polsce jakąś szczególną popularnością - nie zraża was to?

War Drum: Nie zraża nas to, wręcz przeciwnie! Ten brak popularności pozostawia nam niszę, którą swobodnie możemy sobie kreować, co daje nam dużą satysfakcję.

Hell's Mage: Jakbyśmy się przejmowali takimi rzeczami to byśmy tego nie robili. Taka muza jest w nas tak mocno zakorzeniona i tak długo chcieliśmy stworzyć coś w tym stylu, że jej popularność w Polsce stanowi dla nas kwestię drugorzędną. Chodzi przede wszystkim o urzeczywistnienie wizji muzycznej.

Pojawiają się jednak pierwsze oznaki tego, że młodsi fani odkrywają takie granie, a starsi sobie o nim przypominają, co dobrze rokuje na przyszłość nie tylko Metallus, ale też Monasterium i kilku innym zespołom?

Hell's Mage: Absolutnie tak, scena doomowa w ostatnich latach zaczyna działać coraz prężniej. Zauważyłem też, nawet pośród znajomych, że wielu fanatyków podziemnych, wcześniej skupionych głównie na ekstremie, zaczyna się bardziej otwierać na te dźwięki. Po prostu wszyscy w końcu sobie zdali sprawę z wielkości i istotności **Black Sabbath**.

Doom Lord: Mamy obecnie do czynienia z Nową Falą Polskiego Doom Metalu i nie da się temu zaprzeczyć. **Evangelist**, **Monasterium**, **Rosary**, **Crossroad**, **Metallus**... We're All Doomed!

We współczesnym świecie wszystko odbywa się bardzo szybko, ale wy nie spieszyliście się z debiutanckim materiałem. Co nagle, to po diable, swoje dołożyła też pewnie pandemia?

Hell's Mage: My działamy powoli, adekwatnie do naszej muzy. "*Slow as a mountain*" to nasza dewiza. A szczerze to sam proces nagrywania zajął nam łącznie cztery dni. Później trochę nam zeszło z miksami, ale chyba każda kapela ma podobne doświadczenia w tej materii. (śmiech)

Doom Lord: Nie śpieszyliśmy się, istotnie, bo dobrze nam się imprezowało podczas grania. Pandemia nie miała zatem żadnej władzy nad naszą muzą.

Paradoksalnie im więcej techniki, która teoretycznie ma nam ułatwiać życie, tym mamy mniej czasu - kiedyś wszystko miało większą wartość: spotkania z innymi ludźmi, odkrywanie i pozyskiwanie nowych płyt, etc.?

Doom Lord: Dlatego na przekór wszystkiemu wybieramy powolny niczym góra doom i żywe granie z kumplami. Ja próby traktuję jak wyzwolenie, a koncerty jak święta.

Wy również, mimo wyboru doomowej stylistyki, lubicie nieźle przyspieszyć, tak jak choćby w końcówce "Metallus" - nie ma co udawać, że w metalu od lat 70. i 80. nic się nie zmieniło?

War Drum: Może w muzyce metalowej nastąpił postęp, lecz ja uważam, że jesteśmy jego przeciwieństwem. Osobiście nie słucham za dużo doomu ze względu na częstą monotonię, ale Black Sabbath kocham, bo królowało w mieszaniu ciężkich riffów z szybszymi partiami, do których można było potupać nóżką

(śmiech) i to do tego się głównie odwołujemy.

Mamy rok 2023. Coraz częściej dochodzi do sytuacji, że nawet osoby bardzo interesujące się muzyką, niezależnie od wieku, nie słuchają już całych płyt, preferują pojedyncze utwory, playlisty, etc. Tymczasem wy, niejako wszystkim na przekór, debiutujecie podwójnym albumem "Funeral Of The Sun", trwającym blisko półtorej godziny. To wasz sprzeciw przeciwko całej tej sytuacji, dominacji Spotify, streamingu czy cyfrowych singli?

Doom Lord: To nasz manifest, długi, ciężki, wolny. Czyli 90 minut singli (śmiech). A materiału mamy jeszcze mnóstwo. Kompozycje na drugą i trzecią płytę powstały przed zarejestrowaniem "**Funeral Of The Sun**". A tydzień po nagraniach wpadliśmy na pomysł EP-ki opartej na "**Władcy pierścieni**". Jej większość jest skomponowana od dwóch lat. Finałowy numer o powrocie Nazgula będzie trwał grubo ponad 25 minut... taka to będzie EP-ka.

Płyta kompaktowa nie jest już tak ważna dla muzycznej sceny jak jeszcze 10 lat temu, nie brakuje zespołów, które wydają swoją muzykę tylko na winylu i w wersji cyfrowej. Wy postawiliście na 2CD - przy tej długości materiału wydanie 2LP nie wchodziło w grę, z racji kosztów, pewnie tym bardziej, że firmujecie ten album sami?

Hell's Mage: Postawiliśmy na CD na pierwszy ogień, bo tak było najprościej. Od samego początku oczywiście słyszymy pytania *"kiedy wyjdzie na winylu albo taśmie"*, a od niektórych bardziej upierdliwych "*kiedy wyjdzie w jewel casie zamiast digipacku*". Ja tam osobiście, jako zbieracz przede wszystkim winyli, nie przywiązuję do tego aż takiej wagi, natomiast na wszelkie kwestie tego typu odpowiadamy: wszystko w swoim czasie. Bardzo mi zależy, żeby album ukazał się też w innych formatach i myślę, że za jakiś czas poczynimy w tym kierunku konkretne kroki.

Od razu uznaliście, że wydacie go własnym sumptem, czy tak po prostu wyszło i okazało się to dobrym posunięciem, bo macie pełną samodzielność, kontrolę nad wszystkim, etc.?

Doom Lord: Tak miało być. Jeszcze przed pierwszą próbą wiedzieliśmy, że sami wydamy kiedyś podwójny debiut.

"Funeral Of The Sun" brzmi bardzo surowo, a zarazem klarownie - nie nadużywaliście tych nowomodnych efektów, miał to być materiał, który zdołacie bez trudu odtworzyć na żywo?

Doom Lord: Barbarzyński attitude determinuje większość naszych poczynań (śmiech).

Hell's Mage: Dokładnie, precz z subtelnością! (śmiech). A szczerze to do tego typu hermetycznego i barbarzyńskiego grania inny typ produkcji zwyczajnie nie pasuje. Ja osobiście w ogóle nie przepadam za współczesną produkcją metalową, zwłaszcza taką nadmiernie dopieszczoną, bo dla mnie zabija ona pierwotnego, dzikiego ducha tej muzyki, tępi jej pazur. Weźmy chociażby prosty przykład sprzed paru lat, "**Firepower**" **Judas Priest**. Album świetny pod względem kompozytorskim, ale drażni mnie na nim właśnie ta generyczna, współczesna produkcja. Bębny brzmią jak na płycie każdej kapeli thrashowej w dzisiejszych czasach, w gitarach z kolei to mięcho wydaje

Foto: Łukasz Ragnus

się jakieś takie syntetyczne. Może właśnie ten brak ogłady produkcyjno-sprzętowej z naszej strony jest naszym orężem (śmiech). Nawet "13" **Black Sabbath** brzmiała dla mnie trochę nienaturalnie ze względu właśnie na to współczesne brzmienie/produkcję. Muzyka metalowa wszelaka musi brzmieć trochę brudno, inaczej nie wypada autentycznie.

Za produkcję tej płyty odpowiada Paweł Dek, znany z Morthus i Truchła Strzygi. Tak na dobrą sprawę to jego debiut w tej roli - co sprawiło, że wybraliście właśnie jego?

Hell's Mage: **Deku** to nasz serdeczny kolega, znamy się od lat i uniwersa wszystkich naszych kapel się zawsze jakoś tak po części przenikały. Byłem w miarę na bieżąco przy tym, kiedy **Truchło Strzygi** wydawało pierwsze demka i wtedy się dowiedziałem, że za nagrywki odpowiada właśnie **Deku**. Lubimy kiedy wszystko zostaje w "rodzinie", a tym bardziej, że komuś znajomemu bliżej do skumania naszej wizji, zaproponowaliśmy mu nagranie "**Funerala**". Zadanie ułatwiło również to, że naszą salkę prób i salkę **Truchła** dzieli dystans jednej ściany. (śmiech)

Gracie sporo koncertów, jak na młody zespół z jedną płytą na koncie - studio studiem, ale to scena jest waszym prawdziwym żywiołem, czujecie się na niej niczym przysłowiowe ryby w wodzie?

Doom Lord: Nie. Czujemy się jak zwycięzcy. (śmiech)

Który z tych koncertów zapadł wam najbardziej w pamięci, był dla was czymś przełomowym?

Doom Lord: Każdy jest kolejnym ważnym krokiem. Już na pierwszym w ukochanych 2Kołach zobaczyliśmy jak ludzie śpiewają te nienagrane jeszcze numery, co stanowiło wygraną bitwę. Z kolei impreza w Katowicach w ultra swojskiej **Korbie**... kult. Na release party zagraliśmy z kolei cały album "**Funeral Of The Sun**" i jedyny raz bis numerem kolejnych mistrzów z **Reverend Bizarre**.

War Drum: Dla mnie najbardziej przełomowym koncertem był wcześniej wspomniany release party naszego albumu w **2Kołach**, był to test mojej wytrzymałości fizycznej i jedyny raz, gdy zagraliśmy nieautorski numer, "***Doom Over The World***" **Reverend Bizarre**. Dobrze wspominam też ostatni wspólny koncert z **Tower** i **Smoulder**, gdzie poznaliśmy świetne osoby zza oceanu.

Stopniowe poszerzanie bazy fanów i zwiększanie rozpoznawalności zespołu to proces długofalowy - starczy wam cierpliwości, bo to przecież praca na lata i nigdzie nie jest powiedziane, że zakończy się powodzeniem, to jest dotarciem do większej liczby słuchaczy?

Hell's Mage: Po pierwsze my gramy przede wszystkim dla siebie i dlatego, że kochamy taką muzę. Jesteśmy akolitami epickich dźwięków i naszym świętym obowiązkiem jest oddawać cześć naszym bogom m.in. poprzez granie własnych rzeczy. Po drugie nigdzie nam się nie śpieszy, tempo doomowe (śmiech). Jeśli jest zapisane w gwiazdach, że mamy stać się rozpoznawalni i zdobyć rzesze fanów to się tak stanie prędzej czy później. Jeśli nie, to trudno - i tak będziemy dalej grać!

Doom Lord: Doom jest powolny. Doom jest cierpliwy. A materiału mamy na lata, więc musimy jeszcze długo pograć. (śmiech)

Macie za sobą udany start, zwróciliście na siebie uwagę mediów, co zaowocowało pozytywnymi recenzjami oraz przede wszystkich fanów. Co dalej, będziecie chcieli w miarę szybko nagrać kolejną, chociaż może już nie tak długą, płytę, żeby podtrzymać owo zainteresowanie?

Hell's Mage: Materiał już jest gotowy i tak, będzie nieco krótszy. Z nagrywkami ruszymy pewnie jakoś na początku przyszłego roku. Klimat niezmiennie ten sam, choć będzie trochę więcej kombinowania z tempami i złożonością numerów. No i będzie trochę więcej solówek bo mi skill nieco podskoczył... ale tylko trochę (śmiech). Mogę też zdradzić co nieco odnośnie tekstów. Tematycznie zahaczymy miejscami o motywy biblijne w stylu **Candlemass**, będzie też jeden numer o Robin Hoodzie, ku czci kultowego serialu "**Robin z Sherwood**" z lat 80.

Doom Lord: Druga płyta będzie nagrana wolno choć... już niebawem. I będą szybsze numery (śmiech). Na zagładę nie ma mocnych. Hail!

Wojciech Chamryk

FUKKIN' VENGEANCE

Robić swoje bez względu na modę

Wydawca trochę nam namieszał, przysyłając do recenzji pliki opisane jako Vengenace, ale jak zwał tak zwał, bowiem ten warszawski kwartet naprawdę wie jak grać heavy/speed metal tak, że z jednej strony ma się poczucie obcowania z czymś na wskroś klasycznym, a z drugiej niebędącym jakąś archaiczną skamieliną. - Moda, czy nie moda, trzy osoby czy trzysta na koncercie, będziemy to robić dopóki nas to jara i czujemy, że ma to sens - podkreśla gitarzysta Galin i trudno się z nim nie zgodzić.

HMP: Vengeance to dobra nazwa dla metalowej kapeli, ale niesamowicie oklepana, żeby wspomnieć tylko warszawską grupę z lat 80., czy płocką z początków kolejnej dekady, albo bardzo znaną, dla odmiany holenderską, w której sławę zdobył Arjen Lucassen. Nie chciało wam się szukać jakiejś oryginalnej nazwy, wymyślać czegoś nowego, stanęło więc na Vengeance?

Galin: Pełną nazwą tej kapeli jest **Fukkin' Vengeance**. Chyba wyjdę na ignoranta na samym starcie, ale nie mam pojęcia kim jest **Arjen Lucassen** i czym się wsławił, wybacz. Warszawskie **Vengence** nie ma literki "a" i już nie istnieje, a płockie po prostu nie istnieje.

Foto: Fukkin' Vengeance

Nie obawiacie się, że ludzie będą was mylić z innymi grupami o tej nazwie? Sam w pierwszej chwili, póki nie sprawdziłem co i jak, pomyślałem, że "Sewer Surge" to jakiś nowy materiał reaktywowanego Vengence z Ladonem za mikrofonem, skoro firmuje go zespół z Warszawy...

Nie obawiamy się tego, ponieważ wierzymy, że jeśli zgnębiony takimi myślami słuchacz z dostępem do internetu zada sobie odrobinę trudu by to sprawdzić, rozwieje tym samym wszelkie wątpliwości.

Stolica, ale nie do końca - musicie lubić wyzwania, skoro zwerbowaliście perkusistę Bombera z Wrocławia, a basistka Lücifera do niedawna też grała w zespole z innego miasta. To niby nie tak daleko, ale jak radzicie sobie z próbami, generalnie z regularną działalnością?

Patryk i ja założyliśmy ten zespół. Po wielu latach znajomości i współpracy na gruncie wydawniczym oraz projektowym (First Wave Only, Diabolic Force, Fukk Records) padł pomysł, aby coś razem stworzyć. Początkowo mieliśmy wiele różnych pomysłów na to, jak chcemy, żeby to nasze granie brzmiało. Po kilku spotkaniach na sali prób mieliśmy pierwsze kawałki, w których z pierwotnych założeń zostały tylko zawrotne tempa. Odkąd skompletowaliśmy skład, to radzimy sobie lepiej, układamy nowe rzeczy, planujemy kolejne ruchy. Działamy intensywniej, bo mamy w końcu z czym wyjść z naszego ścieku.

W rok 2020 weszliście z debiutanckim demo "Fukkin' Vengeance", a tu proszę, rozpanoszyła się światowa pandemia i branża muzyczna, niezależnie od stylistyki, stanęła na jakieś półtora roku. Jak do tego podeszliście, na luzie, wykorzystując ten dodatkowy czas na tworzenie muzyki, pisanie tekstów, etc.?

Te wydarzenia mocno wpłynęły na nas i nasze najbliższe otoczenie. Pozbawieni możliwości promowania materiałów wypuszczonych w tamtym okresie pod szyldem **First Wave Only** w takiej formie, jak to robiliśmy dotychczas, zmuszeni byliśmy znaleźć sobie alternatywne formy spędzania czasu. Przewartościowało się wiele spraw, wypaczyły niektóre relacje, naprostowały inne. Wiele nowych rzeczy wtedy powstało, kilka starych rzeczy padło.

Vengeance dla 3/4 waszego składu nie jest jednym zespołem. Jak w związku z tym wygląda selekcja materiału, co sprawia, że akurat ten riff czy pomysł bierze na warsztat Vengeance, a inny trafia gdzie indziej?

To dość trudne do wyjaśnienia. Zazwyczaj decydują o tym pierwsze wrażenia towarzyszące powstaniu zalążka nowego kawałka, wstępna analiza, osobiste skojarzenia. Bywa i tak, że materiały przechodzą z jednego świata do drugiego. Przykładowo, "***Flattened Rats***" (Armagh, "Serpent Storm", strona AA, numer czwarty) pierwotnie było napisane do **Vengeance**, ale po czasie stwierdziliśmy, jeśli pamięć mnie nie myli, że konieczna jest tam druga gitara.

Armagh sfinalizował w ubiegłym roku nagranie i wydanie drugiego albumu "Serpent Storm" - kolejnym krokiem było poświęcenie czasu na debiutancki album Vengeance?

"**Serpent Storm**" to trzeci album **Armagh** (jeśli liczycie "Venomous Frost" jak album, to owszem - przyp. red). "**Sewer Surge**" było nagrywane równolegle, zostało ukończone nieco później, bo chwilę po ubiegłorocznej trasie z **Truchłem Strzygi** i **Siksą**.

Zanim jeszcze w drugiej połowie lat 80. rozpowszechnił się thrash, fani bardziej tradycyjnych i zarazem melodyjnych odmian metalu mówili o speed metalu, że to łomot czy pędzenie donikąd i surowe granie na jedno kopyto dla mniej wymagających odbiorców. Fakt, mało kto znał wtedy u nas Venom (śmiech), ale wydaje mi się, że ta surowość, agresja i prostota speed metalu jako takiego są dla was jego niezaprzeczalnymi atutami, stanowiąc zarazem o jego sile?

Lubimy **Venom**. Agresja i prostota w odpowiednim momencie i dawkach może być atutem w takim samym stopniu jak spokój i złożoność. Chodzi chyba przede wszystkim o wyczucie i timing.

Słyszalne w waszej muzyce wpływy Motörhead czy wspomnianego Venom są oczywiście ponadczasowe, ale tym, co odróżnia zawartość "Sewer Surge" od płyt z lat 80. są też pewne nawiązania do black metalu - zapewne nieprzypadkowe, bo przecież dorastaliście w czasach świetności drugiej czy nawet trzeciej jego fali, graliście również w blackowych kapelach?

Black metal to dla każdego z nas indywidualna sprawa. Co nas w tym łączy, to świadomość, że wszyscy odbieramy go trochę inaczej, na swój sposób, oraz to, że niespecjalnie się o tym gada.

To chyba również kwestia szczerości i wiarygodności, bo mało kogo zainteresowałaby propozycja może i świetnego, ale jednak w 100 % wyłącznie odtwórczego zespołu, tylko powielającego patenty sprzed wielu lat - gracie tu i teraz, co musi mieć wpływ na to, co tworzycie?

Odpowiedź jest prosta, największy wpływ na nas ma to, co jest tu i teraz, to co nas otacza. Gramy w dużej mierze tak jak gramy, bo na takich rzeczach się wychowaliśmy a nie innych i to z nas płynie. Nie dla nas myślę granie tego, czego nie czujemy.

Jak pracowaliście nad tym materiałem? To wybór spośród większej ilości utworów, czy mając ich już kilka skupiacie się na nich, nie tracicei czasu i energii na pomysły, które w

większości przypadków i tak trafiają później do kosza?
Z racji dzielącego nas dystansu nie tracimy czasu na kompozycje, które z nami nie zostaną.

To siedem numerów, z czego trzy powtórzone za demo "Fukkin' Vengeance" - uznaliście, że po rozstaniu z Dustem dacie im drugą szansę, stąd te nowe wersje?
Na żadnym etapie rozstanie z **Albertem** nie zaważyło na tym, by odrzucić te kawałki na albumie. Nie było mowy o dawaniu im drugiej szansy, bo zwyczajnie nigdy nie straciły pierwszej.

Jak Vengeance trafił do Dying Victims Productions, pewnie śladami Armagh?
Owszem. Na łamach rozmów dotyczących wydania **Armagh** wspomniałem **Florianowi** o niedawno ukończonym "**Sewer Surge**", byłem ciekaw jego opinii.

Kiedy w latach 80. Turbo podpisało kontrakt z bardzo liczącą się wtedy w Europie niemiecką wytwórnią Noise, czego efektem był LP "Last Warrior", była to sensacja. Teraz coś takiego to nic szczególnego, tylko Dying Victims ma w katalogu kilka polskich zespołów - macie możliwości, o których wasi poprzednicy mogli tylko pomarzyć, więc je wykorzystujecie?
Tak, wykorzystujemy. Nie wiem tylko po co ta próba wywołania w nas jakiegoś poczucia winy w związku z tym. (jakie poczucie winy, chyba jesteś przewrażliwiony - przyp. red.) Kapele z lat 80. miały w pewnych kwestiach trudniej, a w innych łatwiej. Czasy są jakie są, mimo internetu przebicie się nie jest proste, bo jest zalew wszystkiego z każdej strony. Mogę się mylić, ale od muzyków teraz oczekuje się chyba trochę więcej. Na wszystkim trzeba się znać, ze wszystkim być na bieżąco. Z jednej strony... Spoko, rozwój. Z drugiej natomiast, miarą muzyka nie jest już wyłącznie to, jak gra, jak pisze, jak aranżuje swoje partie, jak wykonuje je na żywo i w studio, czy to, jak się prezentuje na scenie i poza nią. Dochodzi wiele innych kwestii, związanych z cyfryzacją całego świata. Co łączy pokolenia zajmujących się tą całą profesją i wiąże z nią niezmiennie, to nadzieja na łut szczęścia, koniec końców o to się rozbija, przecież nie o jakieś tam umiejętności. Gdyby **Turbo** zaczynało karierę teraz, to pewnie problemy mieliby inne niż wtedy, a wszelkie decyzje podejmowaliby na miarę swoich możliwości, jak my wszyscy.

32 minuty muzyki na CD to dość skromna dawka muzyki, a wasz wydawca lubi dodawać bonusy na kompaktowych płytach - tym razem nie było jednak takiej opcji, debiutancki album to nie płyta typu dzieła zebrane?
"**Sewer Surge**" to płyta od samego początku nagrywana z myślą o analogowych nośnikach, jak niemalże wszystkie produkcje pochodzące z **Bestial Sound Studio**. Te wspomniane 32 minuty w naszym odczuciu są wystarczające.

Którą z tych trzech wersji "Sewer Surge": LP, CD czy MC kupilibyście, będąc tylko fanami metalu, nie muzykami zaangażowanymi w powstanie tej płyty?
Ja chyba taśmę, bo najwięcej muzyki słucham jeżdżąc samochodem w którym mam jeszcze odtwarzacz kasetowy. **Iga** najpewniej winyl, bo zbiera je namiętnie. **Patryk** chyba wolałby

Foto: Fukkin' Vengeance

pójść na ściankę wspinaczkową, a **Wiktor** zająłby się hodowlą mrówek i puszczał im jakąś stymulującą rozwój muzykę typu **Poison Idea** w międzyczasie pisząc wiersze do nowego tomiku poezji. Tak w ogóle, to jeśli potrzebujesz danych środowiskowych, to my wszyscy chyba mamy swoisty autyzm i nie jesteśmy zbyt miarodajni.

Osobiście oceniam to bardzo pozytywnie, że po pewnej przerwie wiele płyt jest obecnie dostępnych na kilku nośnikach, tak jak kiedyś. Wam daje to również satysfakcję, że nie wspomnę o możliwości powiększenia kolekcji o własne wydawnictwa?
Nic nie zastąpi pewnego rytuału, który towarzyszy odsłuchowi z winyla. Sama czynność wrzucania płyty, ostrożność z tym związana, delikatność, nastraja już w pewien sposób, nadaje "powagi sytuacji". No i trzeba obrócić. Większą uwagę, siłą rzeczy, dostaje wtedy ta muzyka, nawet jeśli w pewnym momencie leci sobie gdzieś tam w tle, to myślę, że bardziej wchodzi w podświadomość, jak wiesz, że musisz podejść i coś zrobić, żeby grało dalej jak przestanie. Powracając do pytania, tak, poszerzona możliwość wyboru sprawia nam wszystkim dużą satysfakcję.

Nie da się jednak nie zauważyć, że nakłady płyt spadają, to coraz częściej kolekcjonerski gadżet niż nośnik zawierający muzykę i traktowany przede wszystkim użytkowo - to również znak czasów i nie ma już przed tym ucieczki?
Nie wiem, możliwe, nie śledzę statystyk. W moim odczuciu boom na winyl nie mija, coraz więcej osób się tym interesuje, kanały na jutubie robią o tym, ludzie nawet to oglądają. Chyba trochę dramatyzujesz. (śmiech)

Jak więc postrzegacie przyszłość Vengeance, skoro nic nie jest pewne, publiczność zmienna i kapryśna, a muzyczne mody zmieniają się jeszcze szybciej niż w latach 80. i 90.?
Czas pokaże. Nowy materiał się tworzy, wychodzimy niebawem na scenę. Przetrwaliśmy mimo wielu niedogodności i całej masy życiowych spraw każdego z nas, chyba świadczy to o pewnej wytrwałości. Moda, czy nie moda, trzy osoby czy trzysta na koncercie, będziemy to robić dopóki nas to jara i czujemy, że ma to sens.

Wojciech Chamrk

Foto: Fukkin' Vengeance

Bulldozer

Ilona, jaskinia, herezja

Festiwal Black Silesia ma dla maniaków staroświeckiego i ohydnego metalu znaczenie wyjątkowe. W tym roku gród w Byczynie nawiedził Bulldozer. Ci włoscy libertyni i niegodziwcy w latach 80. stalli się pionierami zarówno black metalu jak i ekstremalnej odmiany tharshu. Bulldozer zagrał tego wieczoru set identyczny jak w czasie pamiętnego gigu w 1989 roku w Zabrzu, uzupełniony jeszcze odegraniem debiutanckiego "Day of Wrath". Alberto Contini, znany szerzej jako AC Wild napisał w tym roku autobiografię. Koncentruje się ona, jak na metalowca przystało, na religii i sprośności, toteż wokół tych dwóch zagadnień poruszaliśmy się w czasie pogawędki przed koncertem.

HMP: Zacznijmy od smutnej, ale istotnej wiadomości. 17 maja zmarł Algy Ward. Czytelnikom przypomnijmy, że był to basista i wokalista brytyjskiego Tank, który to zespół miał na styl Bulldozer gigantyczny wpływ. Ward był też producentem debiutu Bulldozer.

AC Wild: Powiem ci, że nie rozmawiałem z nim od czasu gdy nagrywał naszą płytę "**Day of Wrath**". To był jednak niesamowity facet. Mam w sercu wiele wspaniałych wspomnień z nim związanych.

Co sądzisz o płytach Tank bez niego? (Powieki AC opadają ciężko, twarz kapcanieje w wyrazie zażenowania).

Taaa. To bezsensowna reaktywacja. Widziałem ich w Barcelonie koło 2011r. To kompletnie inny zespół. Nigdy nie dowiesz się, co było prawdziwą przyczyną konfliktu miedzy **Algym**, a **Cliffem** i **Mickiem**

W swojej biografii określasz się jako heretyk. Możesz wyjaśnić czytelnikom, co się za tym kryje?

W naszych krajach koncept herezji inspirowany jest, czy raczej prowokowany jest od stuleci, przez filozofię scholastyczną. Według mnie jej prawdziwe przesłanie mówi, że ludzie muszą być instruowani, przestrzegać tylko jednej drogi, być posłuszni i oswojeni, wręcz upokorzeni. Religia, która tę filozofię stworzyła, jest potworem. Heretyk to osoba, która nie chce się poddać, jest prześladowany. W moim życiu też byłem tak traktowany, co dokładnie opisałem w książce.

Alberto, wiesz, że nawet fanatyk Deicide z odwróconym krzyżem w zębach, jeśli tylko nie spał na lekcjach historii, przyzna, że europejski indywidualizm i prawa człowieka zawdzięcza między innymi chrześcijaństwu?

Być może zbyt prosto to napisałem. Znamy mnóstwo tekstów jak te w jaskiniach Kumran, które napisane są po grecku i podważają to co dziś głosi kościół. Od czasów historycznego Chrystusa dzieli je sporo czasu. To nie chodzi więc tylko o to czy wierzę w jakiegoś boga, bo on może być tworem mitycznym, a ja nie walczę z mitami. Powiem ci coś, czego nigdy nie powiedziałem w wywiadach. Nie wiem, czy Bóg istnieje. Być może, czemu nie. Mój Bóg to nieznany los. Napisałem o tym dawno temu utwór - "***The Death of the Gods***". To moja wizja Boga. Ta wizja czerpie też z Koranu i buddyzmu. Znam tylko fragment wszechświata i nie wiem, co mnie czeka po śmierci. Moim ulubionym filozofem jest **Giordano Bruno**. On nie był ordynarnym nienawistnikiem kościoła. Był jego przeciwnikiem. Twierdził, że najważniejsza jest nasza niezależność, nasza dusza, umysł. Jego celem była zmiana kościoła, nie jego zniszczenie. Nie udało mu się, twierdził, że przegrał, ale w mojej opinii zrobił bardzo wiele, inspirując przyszłe pokolenia. Walczę z wszelkimi przejawami opresji. Nie jest fanatycznym antychrześcijaninem. Jestem heretykiem. Jestem indywidualistą i szanuję cudzą wolność. Jeśli krytykuję to nie w sposób scholastyczny, a artystyczny. Weźmy kawałek "***Misogynists***"...

Wspaniały. Wielu ludzi błędnie twierdziło, że propaguje nienawiść wobec kobiet.

To autoironia. Facet opisany w tym kawałku jest jak lis z bajki **La Fontaine'a** o lisie i winogronach. W naszym utworze nawet nie ma mowy o nienawiści, tylko o masturbacji, która według fikcyjnego bohatera ma być bezpieczniejsza i tańsza od seksu.

Jak głupi musiał być dziennikarz Chris Watts z Kerrang, aby napisać przy okazji tej płyty, że jesteście pedofilami i propagujcie gwałty?

Nawet nie chciał przeczytać tekstów. Może gdybym dziś z nim rozmawiał, to śmiałby się z tego co napisał przed 40. laty. Skoro sami w naszych tworzyliśmy zboczone obrazy tekstach, to on mógł stworzyć sobie dziwaczny obraz mnie. Czemu nie, wolno mu. Śmiałem się z tego. Ta recenzja dla mnie to żart, a nie prawdziwa opinia o płycie.

Tym sposobem dotarliśmy w okolice czerwonych latarni. W "Ilona the Very Best" śpiewasz o show słynnej Ciccioliny: "Pozwoliła moim palcom wśliznąć się do środka". Ile w tym prawdy?

(śmiech). To jedyne kłamstwo w tym utworze, ale takie niezbyt grube - bo wielu jej fanów w czasie tamtego występu dotykało ją i wsadzało jej palce do pochwy i ona na to pozwalała. Nawet wtedy starałem się zachować dla niej szacunek. Nie starałem się wykorzystać tej sytuacji po to, aby się zabawić tanim kosztem. Była dla wszystkich dostępna, ale nie chciałem mimo to traktować jej jak rzecz, obiekt. Kilka lat temu byłem na podobnym przyjęciu z inną gwiazdą porno i też nie zamierzałem skorzystać z okazji do dogłębnego pomacania jej. Wolałem z nią potem pogadać jak z normalną istotą ludzką, mimo że przed chwilą eksponowała wszystkie zakamarki swojego ciała.

Na debiucie znajduje się inny kawałek w tym klimacie: "Whiskey Time". Jest tam wers, który mówi, że striptizerce nie podobało się twoje zachowanie.

To prawdziwa historia ze szwajcarskich gór. Byłem tam z bliskim kumplem, który zainspirował mnie napisania utworu "***Ride Hard - Die Fast***". Był bowiem zapalonym motocyklistą. Facet zapierdzielał wyluzowany, mając 250 km na liczniku i mnie jako pasażera. Poszliśmy się po tej przejażdżce upić i pochodzić po pubach i klubach ze striptizem. Był wśród nich mały, biedny klubik. Grał tam najpierw jakiś zespół grający covery **Deep Purple**, a po nich odbyły się podwójny striptiz. "*Teraz czas na whiskey*" - to był hasło do rozpoczęcia występu. Na początku były dwie tancerki. Młoda blondynka i 40-klatka. Byłem już pijany, a ta starsza nie poruszała się z pasją, była znudzona i zblazowana, nie chciało jej się tańczyć, więc zacząłem zachęcać ją okrzykami. Nie po-

Foto: Bulldozer

dobało się jej to. Potem wyszła na solowy taniec murzynka. Była dość obfita, ale poruszała się w wielką pasją.

Pornograficzny cykl wieńczy utwór "The Cave". O kim to?
To prawdziwa dziewczyna z Kalifornii o imieniu Vicky, której niestety nigdy nie spotkałem. Opowiadał mi o niej mój kolega. Miała złą reputację. Rozmawiałem z nią tylko przez telefon, gdy ten kolega akurat był u niej. Dał ją do telefonu, bo koniecznie chciała ze mną porozmawiać. W pierwszym zdaniu wyszeptała od razu: "*Potrzebuję fiuta! Wsadzałam już sobie wszystko. Nie wiem już co zrobić*". Bardzo mi się spodobała i napisałem o niej utwór. Facetów wymieniała podobno raz w tygodniu - stąd w piosence znajduje się opis jej kolekcji dildosów.

Takie spotkania mogą się skończyć w mało apetyczny sposób. Powiem ci, że grupka metalowców z mojego miasta trafiła kiedyś do podobnej desperatki. Okazała się ona karmiącą matką, którą najbardziej jednak w tym momencie obchodził seks z przypadkowymi typami i słuchanie disco, a nie jej śpiące metr dalej dziecko.
Tak, byłem kiedyś w Amsterdamie z wizytą u prostytutki. Nie było to zbytnio inspirujące, nie jestem bowiem maniakiem seksualnym

Jak wasz perkusista "Klister"?
Tak (śmiech). Seks powinien mieć coś ze sztuki, a ta laska z Amsterdamu była najbardziej znudzoną i udręczoną osobą na świecie. Zagadałem do niej i po jakimś czasie wpadła w szloch, mówiąc, że pracuje tu tylko po to, aby nakarmić dziecko. Dałem jej podwójną stawkę - powiedziałem, aby dała wszystko dziecku i sobie poszedłem. Nie byłem w stanie jej posuwać w takim stanie.

W książce opisujesz swój stosunek do wojska poborowego. Wybrałeś służbę zastępczą, ale już Andy Panigada (g) i Rob "Klister" Cabrini (d) trafili w kamasze. Dlaczego?
Odmówiłem służby wojskowej z dwóch powodów. Po pierwsze włosy. Po drugie nie chciałem, aby ktokolwiek mówił mi co mam robić. Poszedłbym tam tylko w przypadku, gdyby mój kraj był zagrożony lub zaatakowany. W innym przypadku - nie. Nie godzę się, aby jakaś partia polityczna wysyłała mnie do Libanu

Foto: Bulldozer

lub Afganistanu. Nie zgadza się to z moim sumieniem. Stąd utwór "***Desert***" z płyty "**IX**". Tak na marginesie, przez lata wielu fanów myślało, że mówi o jakiejś pustyni. Tytuł woła jednak: dezerteruj! Wracają jednak do twojego pytania. **Aandy** i **Klister** nie czuli się jakoś specjalnie prześladowani w wojsku i nie skorzystali ze służby zastępczej. Być może dlatego, iż ja odrabiałem wojsko aż dwa lata.

Kim jest typ, który pomógł ci napisać teksty do "Cut Throat" i "Madman"?
To nie typ a dziewczyna z Kalifornii - jest przyjaciółką Vicky "Jaskini". Może pewnego dnia dzięki niej odnajdę "Jaskinię" i dowiem się co u niej.

Pisałeś, że w pierwszej połowie lat 80. w Mediolanie było tylko 50 lub 100 metalowców. Wielka, przemysłowa, ponad milionowa metropolia, środek cywilizacji zachodniej i tylko tylu?
Tak - tych prawdziwych. Niedzielnych fanów **Iron Maiden** było oczywiście więcej. Typów z naszywkami i katanami było bardzo mało. Przyczyna tego zjawiska jest banalna. We Włoszech zwyczajnie nie lubi się metalu. Gdy przyjechałem do Polski na **Metalmanię** w 1989r. byłem dość nieśmiały. Gdy konferansjer mnie zaanonsował i zaprosił na scenę, mówiąc, że zagramy tu w listopadzie, usłyszałem, że cała hala krzyczy: "*Bull-do-zer!, Bull-do-zer!*". To był szok. Do tej pory grałem w klubach maksymalnie na 100 osób. W Niemczech byliśmy znienawidzeni - nie przez fanów, tylko rynek muzyczny. Prasa w Europie nigdy nie wspierała **Bulldozer**, nawet w Anglii nazywano nas klonami **Venom** z dobrą produkcją - pisali tak tylko dlatego, że płytę wyprodukował Anglik **Algy Ward**. Uważali nas za ludzi gorszego sortu. Po raz pierwszy zostaliśmy zaakceptowani w Polsce i to na skalę masową. Wtedy stwierdziliśmy, że nagramy u was album koncertowy. Nigdy tego nie zapomnę i wasz kraj ma dla mnie znaczenie emocjonalne.

Widziałeś wtedy jak działa prawdziwy komunizm
Nasz poprzedni akustyk był komunistą…

W tym momencie do naszego stolika podchodzi obecny akustyk. Jest nim dziewczyna o egzotycznych rysach twarzy. AC Wild przedstawia ją i okazuje się, że jest córką AC. Witamy się i dumny ojciec kontynuuje:

…Zobaczył podwójną twarz tego systemu.
Pouczająca była już historia z pierwszego postoju w Czechosłowacji, gdzie w barze mieli tylko jedno jajko. Zobaczył biednie osiedla i był w szoku. Potem poszliśmy do sklepu w Polsce i nie wiedzieliśmy, jak wydać pieniądze, bo tu nic nie było. Gdy wróciliśmy do Włoch, porozmawiał z rodzicami i kolegami, co widział, i stwierdził, że nie mają pojęcia, co się u was wyprawia.

Podoba ci się współczesny metal?
Metal jest moją pasją, nie religią, Lubię metal na żywo i nie podoba mi się jego standaryzacja. Metal nie będzie już magiczny, bo cały proces produkcji płyt się ujednolicił i przez to zaczęły powstawać płyty brzmiące plastikowo. Na "**Neurodeliri**" eksperymentowaliśmy z syntezatorami. Było to nowatorskie podejście, ale potem wszyscy w ekstremalnym metalu zaczęli to robić. Nawet w naszym zespole nie ma stu procent zgody co do tego, jak zespół ma brzmieć na płycie - póki co zgadzamy się z tylko z tym jak **Bulldozer** ma grać na żywo.

Ostry

Foto: Bulldozer

Cruel Force

Iść za instynktem

Na początku poprzedniej dekady wydali dwa albumy, zdołali za ich sprawą zaistnieć, po czym szybko zawiesili działalność. Zbierali się do powrotu przez jakieś 10 lat, aż w końcu zdołali zgrać terminy, czego efektem jest, trzeci w dyskografii Cruel Force, długogrający materiał "Dawn Of The Axe", black/thrash jak się patrzy i do tego bez żadnych nostalgicznych wycieczek w przeszłość, bo ważne jest to, co dzieje się tu i teraz.

HMP: Można śmiało powiedzieć, że w roku 2012 byliście na fali wznoszącej, mając w dorobku dwie udane, dobrze przyjęte płyty - co sprawiło, że zawiesiliście działalność raptem po pięciu latach funkcjonowania Cruel Force?

Carnivore: Mieliśmy pewne problemy osobiste, które niestety przeszkodziły nam w utrzymywaniu się na powierzchni, więc zespół był w zawieszeniu. Chcę jednak podkreślić, że nigdy oficjalnie się nie rozstaliśmy.

Chyba nieźle nudziliście się w czasie kolejnych lockdownów, skoro w roku ubiegłym, po 10 latach przerwy, w końcu reaktywowaliście zespół?

Lockdowny nie miały na to takiego wpływu. Chcieliśmy powrócić z martwych od jakichś 10 lat, ale nigdy nie było na to odpowiedniego czasu. Zawsze były inne zobowiązania, muzycy zespołu przeprowadzili się do innych części Niemiec, itd. Po prostu wyszło na to, że końcówka 2021 roku była tym idealnym momentem.

Fakt, że "The Rise Of Satanic Might" i "Under The Sign Of The Moon" nie zostały zapomniane, ale przeciwnie, są regularnie wznawiane na wszystkich nośnikach był dla was dodatkową motywacją przy reaktywowaniu zespołu?

Powiem tak: fakt, że cały czas jesteśmy pytani o te albumy, że wciąż jesteśmy rozpoznawalni na koncertach, że ludzie mówią nam, jak wiele te płyty dla nich znaczyły w pewnych momentach ich życia, to wszystko było zdecydowanie aspektem motywującym. Jednak koniec końców robimy to, co chcemy, a nie to, co chcą inni. W przeciwnym wypadku po prostu nagralibyśmy "**Under The Sign Of The Moon Part Deux**", co byłoby łatwiejsze i udobruchałoby ludzi. Poszliśmy jednak za instynktem i w całości się tego trzymamy.

Skoro powróciliście w niemal oryginalnym składzie znanym z płyt można domniemywać, że przez te wszystkie lata nie straciliście ze sobą kontaktu, nie było mowy o jakichś personalnych niesnaskach czy konfliktach?

Nie, zawsze utrzymywaliśmy ze sobą kontakt. Jasne, że z ich utrzymywaniem bywało różnie, ale nigdy nie zerwaliśmy ich całkowicie. Jeśli były jakiekolwiek niesnaski między nami, to są one już dawno zażegnane. Jesteśmy dorośli, więc jeśli mamy problemy, to o nich rozmawiamy i je rozwiązujemy, nie dąsamy się jak małe dziewczynki.

Foto: Cruel Force

Wygląda jednak na to, że nie przepadacie za basistami (śmiech), bo zmieniają się oni w Cruel Force nader często - do czterech razy sztuka i liczycie, że Spider zagości u was na stałe?

Tak to pewnie wygląda z zewnątrz. Po prostu mieliśmy pecha co do basistów. **Necromors** odszedł, bo musiał w całości poświęcić się studiom, a **Evil Warrior** zmagał się z osobistymi demonami, które przestały być tolerowalne. Kiedy się zjednoczyliśmy, zapytaliśmy **Vomitora**, czy nie chciałby do nas dołączyć, ale pracuje na pełen etat w **Possession**. Nie żywimy jakichś negatywnych uczuć czy coś, wciąż jesteśmy przyjaciółmi tak jak z całym **Possession**. Pozdrowienia dla nich! **Spider** jest naszym starym przyjacielem i nie kwestionujemy jego lojalności wobec nas. Pasuje do tego zespołu jak ulał i mamy szczęście, że mamy go w składzie. Wątpię, żeby była kolejna zmiana w zespole na jakiejkolwiek pozycji.

Jak odnajdujecie się w popandemicznych czasach ery streamingu ze śladowymi nakładami płyt na fizycznych nośnikach? Fakt, kiedy zaczynaliście grać to również nie były już jakieś wielkie ilości, ale teraz jest jeszcze gorzej - warto męczyć się miesiącami/latami, tworzyć i nagrywać nowy materiał, który tak naprawdę będą w stanie docenić nieliczni, bo cała reszta będzie słuchać go z telefonu czy w najlepszym razie na głośniczkach laptopa?

Jak już mówiłem, robimy to dla siebie samych i zdecydowanie liczymy przede wszystkim na wydania fizyczne, przede wszystkim winyl. To samo z jakością produkcji. Produkujemy to tak, żeby brzmiało to dla nas dobrze, i tyle. Nie chcę demonizować streamingu. Też z tego korzystam od czasu do czasu, bo kiedy jedziesz gdzieś samochodem, to zabieranie ze sobą od groma płyt nie jest zbyt komfortowe, a kiedyś tak robiłem. Streaming ma swoje wykorzystanie, jednak jest to mniejsze doświadczenie osobiste niż trzymanie w rękach fizycznej wersji płyty. Mógłbym długo o tym mówić, ale byłoby to za dużo na ten wywiad. Powiedzmy, że zawsze wybierzemy winyl jako nasz ulubiony nośnik dźwięku.

Od razu założyliście, że jeśli macie wracać to z nowym materiałem, tylko jakieś wspominkowe odgrywanie starych numerów nie wchodziło w grę?

Tak. Nie jesteśmy zespołem tribute ani bandą starych pryków, którzy chcą wycisnąć ostatnie pieniądze ze stale odgrzewanego kotleta.

Trzeci album jest ponoć przełomowy, ale z waszym było trudno o tyle, że powstawał wiele lat po tym wcześniejszym, nie było więc mowy o jakiejś ciągłości. Było to dla was utrudnienie, czy przeciwne, ułatwienie, bo mogliście pracować bez żadnych obciążeń, można rzec na świeżo?

Zdecydowanie było łatwiej. Odkryliśmy, jak chcemy brzmieć już po kilku próbach, więc po prostu się skupiliśmy, nie odpuszczaliśmy i tyle. Jasne, że zastanawialiśmy się przez chwilę nad brzmieniem zbliżonym trochę do starego materiału, ale szybko doszliśmy do wniosku, że byłoby to zakładanie maski i podlizywanie się fanom. Na dłuższą metę, nie służy to fanom, ponieważ zespół wtedy dość szybko staje się nudny i mdły, kiedy robi się to samo przez cały czas. Na ten czas, wydaliśmy trzy albumy, które brzmieniowo różnią się od siebie i jest to dla nas powód do dumy.

Sięgaliście do jakichś starszych pomysłów sprzed lat, czy też tych osiem utworów to w 100% materiał premierowy, stworzony już po reaktywacji zespołu?

To drugie. Slaughter napisał melodie wszystkich kawałków w ciągu sześciu miesięcy od powrotu i on i ja napisaliśmy teksty do nich w tym samym czasie. Same nowości, żadnych staroci.

Metal ma wiele oblicz, ale was szczególnie fascynuje niemiecka scena lat 80., kiedy ekstremalna muzyka nie tylko promieniowała na wasz kraj, ale bez przesady na cały świat - jesteście pod tym względem lokalnymi patriotami, kultywując to, co przed laty zapoczątkowały Sodom, Deathrow, Iron Angel czy wiele innych zespołów?
Tak. Oczywiście inne kraje również miały wspaniałe sceny. Nikt z nas nie zaprzeczy znaczeniu Bay Area dla thrashu, to samo tyczy się Kanady dla speed i thrashu oraz Ameryki Południowej dla death i thrashu. Ale jak wspomniałeś, jesteśmy Niemcami i to naturalnie przyciąga nas do muzyki z tej części świata. Szczerość tych zespołów sprawia, że są absolutnie nie do podrobienia. Gówno ich obchodziło, czy spodobają się publiczności albo krytykom. Chcieli grać szybko, surowo i wkurzać ludzi, bez względu na to, czy oznaczało to, że nie będą grani w radiu czy MTV. Na przykład wiele amerykańskich rzeczy zawsze wydawało mi się zbyt mainstreamowych jak na mój gust, a tutaj była to muzyka klasy robotniczej dla fanów klasy robotniczej i tyle. Jeśli to jest to, co udało nam się odtworzyć w najmniejszym choćby stopniu, to jesteśmy z tego bardziej niż zadowoleni.

To również dlatego okładka singla "Across The Styx" jest bezpośrednim nawiązaniem do tej z LP "The Enforcer" Warrant?
Tak, to miało być takie oddanie hołdu temu klasykowi. Call For The Rack!

Grając tak klasycznie/archetypowo jesteście w tej dobrej sytuacji, że sięgacie do rozwiązań wypracowanych jeszcze w latach 80. A skoro wtedy speed, thrash i wczesny black metal zostały dopracowane do perfekcji i wyniesione na artystyczne wyżyny nie ma sensu próbować tego przebić, bo to zadanie po prostu niewykonalne, ale słyszę, na przykład w "Devil's Dungeon" czy "Realm Of Sands", że staracie się z powodzeniem dodawać również coś od siebie - bycie tylko odtwórcą jest na dłuższą metę nie do przyjęcia, tym bardziej, że fani szybko wyczuwają brak szczerości, czy zaangażowania?
Jaki jest sens w byciu tylko naśladowcą? Oczywiście zawsze będą jakieś "zasady gatunku", których musisz przestrzegać, jeśli chcesz pozostać w jego stylistycznych granicach. Ale tak naprawdę nie są one tak wąskie, jak ludzie myślą. Podam przykład spoza Niemiec: posłuchaj pierwszego albumu **Hallow's Eve**. Kawałek *"Hallow's Eve"* współistnieje na nim z *"Plunging To Megadeath"* i te utwory brzmią właściwie tak, jakby pochodziły od dwóch zupełnie różnych zespołów, a jednak to absolutnie działa, to stuprocentowy klasyk. Co nam to mówi? Mówienie, że utwór thrashmetalowy za każdym razem musi być jak *"Angel Of Death, część n-ta"* jest niczym innym, jak tylko wymówką. Zazwyczaj mówią tak ludzie, którzy są albo zbyt mało kreatywni, albo zbyt leniwi, by wpaść na ciekawe pomysły. Lenistwo jest tym, co słyszę w wielu nowszych utworach i jest dla mnie równoznaczne z nudą.

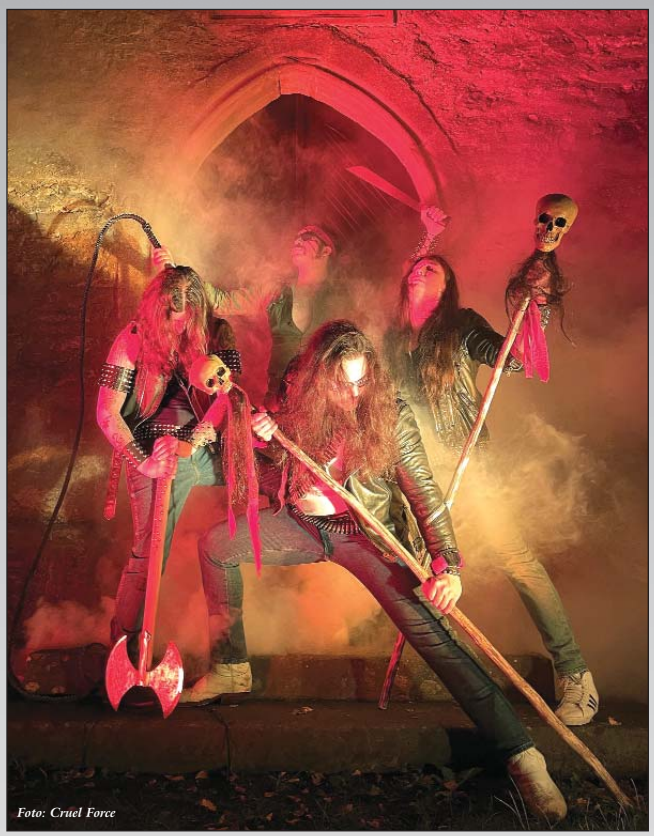
Foto: Cruel Force

Jeśli zdarza wam się słuchać własnych płyt w domowym zaciszu jaki format wybieracie? Zwycięża praktyczna cyfra, czy preferujecie analogowe nośniki, wliczając w to również poczciwą kasetę magnetofonową?
Gdybym miał wybierać, zawsze będzie to winyl, bez dwóch zdań. Mam zarówno płyty CD i kasety, ale gdybym mógł je wymienić na winyl, to prawdopodobnie bym tak zrobił. Jak już mówiłem, wersje cyfrowe są bardzo praktyczne podczas podróży albo kiedy organizujesz imprezę i nie chcesz, żeby goście zachlani w trupa rozwalili ci płyty, ale tylko wtedy.

Byliśmy już świadkami uśmiercenia przez fonograficznych decydentów płyt winylowych, a później kaset, jako nienowoczesnych, zbyt kosztownych, etc. Teraz to samo dzieje się z płytami CD, które nie są już technicznym objawieniem czy rynkową nowinką, ale czymś powszednim, tak jak czarne płyty w latach 80. Myślisz, że kompakt przetrwa na metalowej scenie i za jakiś czas będziemy obserwować jego triumfalny powrót, skoro należycie do zespołów, które z niego nie zrezygnowały?
Powiem tak. Dorastałem w latach 90. i preferowane nośniki to było jakieś 30 procent taśm, 70 procent płyt CD i zero winylu. Tak więc moje pierwsze doświadczenia były z płytami CD. Ich główną przewagą jest mały rozmiar i to, że nie musisz ich przewracać na drugą stronę, ale to tyle. To nie jest też coś, co mnie pociąga, bo preferuję duże winylowe krążki i przekładanie ich na drugą stronę, co dodaje coś do tego "rytuału" słuchania albumu. Rozumiem też, że sporo moich rówieśników ma nostalgiczne podejście do formatu CD, bo z nimi dorastali. Rozmawiałem niedawno z moim kumplem, który mówi, że jest to zdecydowanie jego preferowany nośnik właśnie ze względu na to i po części to rozumiem. I właśnie dlatego, że wciąż jest rynek na ten format, to będziemy to wspierali, bo dlaczego nie. Wkurza mnie ta gadka, że coś jest martwe. Tylko dlatego, że coś nie jest mainstreamowe nie znaczy, że jest martwe.

Foto: Cruel Force

"Dawn Of The Axe" ledwo co wyszedł, tak więc teraz przed wami gorący okres promocyjno-koncertowy - występów przed publicznością pewnie brakowało wam najbardziej, bo to jednak one są esencją metalu, możemy więc spodziewać się waszej większej scenicznej aktywności?
Zobaczymy na jakich koncertach będziemy grać, o ile w ogóle będziemy grać. Na ten moment mamy zarezerwowany na grudzień koncert upamiętniający naszego przyjaciela **Siggiego/Sicka** z **Hellish Crossfire**. Kiedy nas o to poprosili, nie mogliśmy odmówić. W związku z całą resztą, zobaczymy. Chcemy grać, ale nie chcemy też grać ze wszystkimi. Wybieramy występy mądrze, zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Wojciech Chamryk & Szymon Paczkowski

Triumph Of Death

Magiczne chwile

Końcówka października, zimny, deszczowy jesienny wieczór. Wydaje się, że nie mogłoby być bardziej sprzyjającej aury do rozmowy z Tommem G. Warriorem. Pretekstem naszej rozmowy jest wydawany niedługo koncertowy album Triumph of Death, na którym znajduje się materiał Hellhammer. Jak zawsze przy takich okolicznościach porozmawialiśmy o przeszłości, oszustwach wytwórni płytowych. Tom zabiera nas w świat Szwajcarii lat 80.

HMP: **Witaj, jak samopoczucie?**
Tomm G. Warrior: U mnie wszystko dobrze, a u ciebie?

Mam się ok. Jestem ciekawy, jaki dla ciebie był okres pandemiczny?
Było nudno, nic się nie działo. Nie czułem w sobie nawet pokładów kreatywności, po prostu siedziałem w domu. Nic się nie działo z zespołem i czekałem, aż to się skończy i będę mógł znowu cieszyć się z bycia na scenie.

Rozmawiamy dziś głównie z powodu koncertowego materiału Hellhammer, który ukaże się pod nazwą Triumph of Death. Jak obecnie wspominasz formowanie się tego zespołu?
Był to prawdziwie magiczny moment. Ja i mój najlepszy przyjaciel w tamtym okresie **Steve Warrior**, chcieliśmy grać o wiele cięższą muzykę niż tą którą znaliśmy. Wielbiliśmy takie zespoły jak **Venom** czy **Discharge**, a sami chcieliśmy grać coś jeszcze bardziej ekstremalnego. Pewnej nocy byliśmy w lesie i zdecydowaliśmy, że zakładamy zespół i nadamy mu nazwę **Hellhammer**.

Posiadaliście już w tym czasie instrumenty i jakiś warsztat techniczny?
Ja wcześniej grałem w zespole o nazwie **Grave Hill**, a **Steve** nie grał nigdy wcześniej. Chciał robić główne wokale i mówił, że jest bardzo zafascynowany gitara basową. Tak więc pozostało nam tylko znaleźć perkusistę. W Szwajcarii było bardzo ciężko go znaleźć, dlatego zajęło nam to trochę czasu. No ale głównym trzonem zespołu byłem ja na gitarze i wokalu oraz **Steve Warrior** na basie i wokalu.

No no ale ostatecznie udało wam się znaleźć perkusistę i legenda Hellhammera się rozpoczęła. A pamiętasz może kiedy w zespole pojawił się Martin?
Poznaliśmy go jakoś w momencie wydawania pierwszego demo, to było lato 1983, na heavy metalowym evencie. To była duża przyjaźń od początku, zaczął nam pomagać za sceną. Wysyłał flajery, pomagał na próbach. Sam w pewnym momencie zapragnął tworzyć muzykę i w wiosce obok założył swój zespół. Zaczął grać na basie, a my mu w tym pomagaliśmy. Pożyczaliśmy mu instrumenty i naszą salkę prób, a kiedy zaczęliśmy szukać nowego członka **Hellhammer**, było dla nas logicznym, żeby go poprosić o dołączenie.

Hellhammer to oczywiście ciężar i mrok płynący z muzyki, podkreślała to okładka waszego pierwszego demo. Wisielec na cmentarzu musiał szokować w tamtym czasie.
Oczywiście, że szokował, właśnie po to stworzyliśmy taką okładkę. Bogata skorumpowana Szwajcaria, gdzie politycy mieli wyjebane w ludzi, była idealnym miejscem, żeby zszokować ludzi.

Wasze teksty też mogły szokować w tamtym czasie. Pamiętasz może, jak one powstawały?
Byliśmy bardzo młodymi i niedoświadczonymi muzykami, nie byliśmy wtedy w stanie sami tworzyć swojego materiału. Chce przez to powiedzieć, że staraliśmy się kopiować inne zespoły, głównie **Venom**. Z czasem nabraliśmy doświadczenia i zaczęliśmy tworzyć nasz materiał, a teksty inspirowane były naszymi życiowymi doświadczeniami. Nie było to dla nas łatwe, wszyscy mieliśmy w sobie dużo złości, bólu i frustracji. Chcieliśmy to ubrać w słowa, tak żeby uzupełniło się z naszą muzyką.

A kto odpowiada za stworzenie słynnego sloganu: Only death is real?
Ja i **Martin** razem to wymyśliliśmy pisząc tekst do **Messiah**.

Pamiętam jak pierwszy raz zobaczyłem koszulkę Hellhammera właśnie z tą frazą. Wchodziłem powili w scenę metalową, i byłem w szoku. Od wszystkich też słyszałem o kultowości Hellhammera, dlatego byłem w szoku, że rozpadliście się przez krytykę mediów i wytwórni.
Absolutnie, wytwórnie płytowe, dziennikarze, ale też ludzie ze sceny metalowej nas nienawidzili. Byliśmy dla nich za ekstremalni i dzicy, mówili ze to nigdzie nie prowadzi. Zarzucali nam brak talentu, może i mieli rację. (śmiech) Graliśmy dla nich po prostu za bardzo anarchistyczną muzykę.

A pamiętasz, kiedy zaczęła się, że ludzie zaczęli się autentycznie jarać Hellhammerem i mówić, że to totalnie kultowy materiał?
Wydaje mi się, że było to po 10 latach od rozpadu. Wtedy kiedy skandynawska fala black metalu urosła w siłę. Wiele tych zespołów wymieniało nas jako swoję inspirację i wtedy ludzie zaczęli patrzeć na nas zupełnie inaczej.

A gdybyś mógł się cofnąć do tego 82 roku i spotkać tych młodych muzyków, jakie byś dał im rady?
Pewnie nie za dużo, nie chciałbym zmieniać nic. Nawet jeśli było w tym czasie było wiele problemów i upadków, to było to naprawdę magiczny okres. Byliśmy naprawdę bliskimi przyjaciółmi, co samo w sobie było bardzo wyjątkowe. Jedyne co bym im powiedział, to żeby nie podpisywali niekorzystnego kontraktu z wytwórnią, takiego, jaki podpisaliśmy w 84. Powiedziałbym im gdzie patrzeć w umowię, żeby nie zostać oszukanym z pieniędzy i praw autorskich. Nic więcej bym nie zmieniał.

Domyślam się jak bardzo musiało być to ekscytujące dla młodego zespołu, możliwość podpisania umowy z wytwórnią płytową. I nikt wtedy nie patrzy na mały druczek.
Oczywiście, wielu młodych muzyków w tamtym czasie marzyło o kontrakcie, który pozwoli wydać ich muzykę. Niestety to właśnie wykorzystywały wytwórnie, widziały, że podpiszemy wszystko, żeby tylko wydać album. Oni chcą tylko na nas zarobić.

A jak już poruszyliśmy temat wytwórni płytowych, to ostatnio wyszła książka o Noise Records. Nie miałem okazji jej jeszcze przeczytać, ale słyszałem że twój wątek jest dużą częścią tej książki.
To była bardzo problematyczna kolaboracja, ponieważ my mieliśmy wrażenie, że nas okradają a oni mieli problem z każdą decyzją, jaką podjęliśmy. Zmieniali nasze płyty, ingerowali w studia nagraniowe, niszczyli materiały promocyjne. Starali się niszczyć nasze trasy koncertowe. Jak dla mnie to straszny wstyd to co oni robili. Oryginalnie kiedy podpisaliśmy umowę, byliśmy bardzo podekscytowani, wierzyliśmy ze ta wytwórnia ma przed sobą wspaniałą przyszłość. Byliśmy im lojalni do samego końca, a oni nas traktowali. Po kilku latach musieliśmy walczyć w sądzie z nimi.

Czytałem gdzieś, że sabotowali wydawany przez was Into the Pandemonium. Z perspektywy czasu ciężko mi w to uwierzyć, bo przecież to genialny materiał.
Oni widzieli go jako nie za dobry album. Chcieli, żebyśmy nagrali coś zupełnie innego. Mówili nam, że nie jest wystarczająco ciężki i się nie sprzeda. Chcieli nam w pewnym momencie zakończyć sesję nagraniową, a kiedy był skończony olali promocję. Powodem tego było wynajęcie przez nas prawnika, żeby zobaczył kontrakt, a oni nie chcieli, żebym opuszczali wytwórnie. Chcieliśmy walczyć o nasze prawa do wolności artystycznej.

I wygraliście. Wydaliście jakiś czas temu box z wczesnymi materiałami Celtic Frost. Mówię tutaj o Danse macabre. Wydałeś też reedycje demo Hellhammera, a obecnie będzie premiera materiału koncertowego. Nie boisz się opinii o odcinaniu kuponów i braku pomysłu na nową muzykę?
Tworzę obecnie nowy materiał z **Triptykon**, to dalej jest aktywny zespół. Mogę robić dwie rzeczy naraz i jestem bardzo szczęśliwy, że te stare albumy się ukazały ponownie. **Noise Records** w tamtym czasie niszczył wiele artów, tekstów, zdjęć które chcieliśmy tam umieścić. Teraz mogę to wszystko umieścić w ponownych wydaniach. Mam pełną kontrolę nad tym jak to będzie wyglądać. A jeśli chodzi o to, że mam z tego zarobek, to nie widzę powodu, dla którego dla kogoś to jest problem. Każdy chce zarabiać na swojej pracy, a ja nie dostałem nigdy nic za **Hellhammera** i wczesny **Celtic Frost**. Ale podkreślę wydaje to z czysto artystycznych powodów a nie, finansowych. A co do internetowych komentarzy na temat odcinania kuponów, mam w to wyjebane, a jak ktoś chce mnie z krytykować, niech powie mi to w twarz.

Wspomniałeś o tym, że w przyszłym roku ukaże się nowy album Triptykon. Mógłbyś ujawnić jakieś pierwsze szczegóły?
Jesteśmy w połowie komponowania i prób materiału. Chcemy wejść do studia na początku przyszłego roku. Dodajemy kilka nowych elementów do naszej muzyki, ale tak to będzie typowy **Triptykon**. Będzie bardzo ciężko i mrocznie, a z drugiej strony melodyjnie i pojawią się eksperymenty.

Masz obecnie Triptykon, który wydał orkiestralny album, a z drugiej strony prosty piwniczny Triumph of Death, jak zamierzasz łączyć te dwa dualizmy?
Zespoły nie będą połączone i będą działać osobno. **Triptykon** to mój główny zespół, a **Triumph of Death** będę traktować jako projekt poboczny. Oczywiście okazjonalnie graliśmy na tych samych festiwalach, ale to był przypadek. Głównie chce się skupić na **Triptykon**. Oczywiście może któregoś dnia postanowi nagrać nowy materiał z **Triumph of Death**, ale na razie chce się skupić na graniu utworów **Hellhammer**, jest jeszcze sporo materiału, którego nie graliśmy. W przyszłym roku planuję zmienić setlistę na koncerty i będziemy grać tak długo jak ludzie będą tego chcieli.

A mógłbyś powiedzieć mi coś więcej o swoim innym projekcie - Masks of Death?
Zacząłem tworzyć maski w 2007 roku. Oryginalnie robiłem je tylko dla siebie, nie zastanawiałem się co z nimi zrobię. Jakoś po roku mój przyjaciel je zobaczył i pokazał komuś dalej. Dostałem zapytanie czy można je kupić. I tak powstało coś, co nie było do końca moim zamiarem, wystawiłem je na wystawie. Obecnie po dużej ilości wystaw jest to dla mnie zamknięty projekt. Zrobiłem wiele masek i było to interesujące, ale nie chce się powtarzać. Na chwilę obecną ostatnia wystawa była rok temu w Szwecji i było fantastycznie. Jeśli ktoś kiedyś będzie chciał mogę zrobić taką wystawę, ale dla mnie ten projekt jest już przeszłością. Nie będę robić więcej masek, zrobiłem ich około 60 i wystarczy mi do końca życia.

Na koniec chciałbym wspomnieć, że ostatni raz kiedy widziałem Triptykon na scenie powiedziałeś do publiczności; napisałem tyle dobrych utworów, a znacie mnie tylko z ughh. Czy jesteś już zmęczony byciem kojarzonym z tego?
(śmiech) Nie jestem zmęczony tym, to jest zabawne. Traktuje to jako żart. Jest to zawsze zabawne, bo gdzie nie gram koncertu, to zawsze jak wchodzę na scenę słyszę jak ludzie krzyczą to: Ughh!!! Oczywiście wiesz spędzasz wiele miesięcy pisząc dobre teksty, muzykę nagrywając to, a potem na scenie słyszysz jak ludzie skandują: Ughh!!! Traktuje to jako żart wszystko, ale oczywiście jestem wdzięczny wszystkim fanom, za tą szanse, że mogę stać na scenie i prezentować swoją muzykę. W ogóle to: Ughh!!! nie jest stworzone przeze mnie, słyszałem to lata temu u muzyków grających funk i soul w późnych latach 70. **Iron Maiden** chyba też mieli to, w każdym razie stwierdziliśmy ze jest to super i chcemy to wykorzystać. Nigdy nie sądziłem, że będę z tego znany.

Dziękuje bardzo za poświęcony czas i mam nadzieje ze widzimy się za rok na koncertach z nowym materiałem Triptykon.
Dziękuje i do zobaczenia.

Kacper Hawryluk

Satan's Fall

Robimy swoje bez patrzenia na to, co robią inni

Właśnie wydali swój kolejny studyjny album "Destination Destruction", a za chwil parę, bo w marcu 2004 roku zaprezentują się polskim fanom na Helicon Metal Festival IV. Myślę, że do tego czasu wszyscy będą mieli obsłuchany wspomniany krążek i nie tylko (mają jeszcze na koncie debiut "Final Day" i kompilację "Past Of"), aby później swobodnie bawić się wraz z zespołem na koncercie. Proponuję jeszcze zapoznać się z wypowiedziami gitarzysty Tomi Mäenpää, który mówi o inspiracjach, płycie i obiecuje dać w Warszawie czadu.

HMP: W przyszłym roku zagracie na Helicon Metal Festival, dla polskich fanów heavy metalu będzie to duże wydarzenie. Czy wy nadal każdy swoje show traktujecie jak coś wyjątkowego, czy w waszym wypadku koncerty stały się normą, czymś zwyczajnym?

Tomi Mäenpää: Głównie zmieniamy setlistę w zależności od naszych własnych preferencji i długości występów. Nigdy nie wiadomo, czy nie zdarzy nam się zaplanować jakiegoś występu w danym kraju. Zobaczymy.

Foto: Satan's Fall

Czego polscy fani mogą spodziewać się po waszym występie? Jak przeważnie wyglądają wasze koncerty? Jaką macie obecnie setlistę?

Zawsze staramy się zagrać na całego. Do tej pory zawsze otrzymywaliśmy dobre opinie z naszych koncertów. Ludzie chwalą, że dobrze nam się razem gra i widać, że lubimy być na scenie. Oczywiście to prawda. Inaczej nie byłoby sensu koncertować. Wspomniałem już o setliście, że zmienia się w zależności od sytuacji.

Na tym festiwalu będziecie mogli się spotkać z innymi zespołami tzw. młodszego pokolenia, jak Visigoth, Megaton Sword, Roadwolf czy Tailgunner. Generalnie te zespoły zaliczane są do nurtu NWOTHM, czy wy też czujecie się częścią tego nurtu?

Nie uważam, żebyśmy należeli do jakiegoś konkretnego ruchu. Tworzymy muzykę na swój własny sposób i wiązanie się z ruchem takim jak NWOTHM wydaje mi się bardzo ograniczające. I myślę, że tego rodzaju ruch oznaczałby również, że powinieneś być zaangażowany w inne zespoły. Jesteśmy dość odizolowani od wszystkiego i wszystkich tutaj w Finlandii. Oczywiście słuchacze i media zawsze mają kompulsywną potrzebę klasyfikowania rzeczy. Może to ułatwia im znalezienie muzyki, gdy istnieją takie kategorie. Osobiście postrzegam nas przede wszystkim jako zespół metalowy bez żadnych przedrostków. Jednak nie ma dla mnie znaczenia, czy ktoś chce nazywać nas po prostu zespołem metalowym, heavymetalowym czy NWOTHM.

Na tym festiwalu zagrają też polskie kapele takie jak doom metalowy Monasterium oraz heavy metalowe Ironbound i Hellhaim. Znacie jakieś polskie kapele grające klasyczne odmiany heavy metalu. Czy na Helicon Metal Festival będzie to wasze pierwsze zetkniecie się z polskim heavy metalem?

Tak, to pierwszy występ na polskiej ziemi. Nie możemy się go doczekać, ponieważ słyszeliśmy wiele dobrego od polskiej publiczności. Oczywiście polska muzyka metalowa również jest nam znana. Na przykład lubię takie zespoły jak **Kat** i **Turbo**. **Hellhaim** to znajoma nazwa, słuchałem też **Crystal Viper**. Muszę lepiej poznać te nowsze zespoły przed festiwalami.

Wcześniej wspominałem o takich zespołach, jak Roadwolf, Tailgunner, dorzuciłbym jeszcze Enforcer. Są to grupy, które kojarzone są z heavy/speed metalem, ale do swojej muzyki wpletli wiele znakomitych melodii, dzięki czemu ich muzyka jest bardzo przebojowa. To samo można powiedzieć o was i waszym najnowszym albumie "Destination Destruction". Co was skusiło, aby postawić na melodie?

Mieliśmy już melodyjne utwory na naszym poprzednim debiutanckim albumie "**Final Day**", więc nie było wątpliwości, w którym kierunku pójdziemy z drugim albumem. Kochamy melodyjny heavy metal, więc niech to wystarczy za wyjaśnienie. Świat i tak jest mrocznym miejscem, więc to uczucie ulgi, gdy możesz grać melodyjną muzykę, aby zrównoważyć bzdury, które musisz śledzić ze świata.

Jak myślicie, czy to bardziej przebojowe podejście do heavy metalu może spowodować powstanie kolejnej mody i kolejnego odłamu heavy metalu? Już takich kapel jak wasza jest kilka...

Nie wiem, nie interesuję się tym. Robimy swoje bez patrzenia na to, co robią inni.

Mimo przebojowości waszej muzyki jest ona także dynamiczna, zadziorna, drapieżna, porywająca i znakomicie oddaje charakter heavy metalu rodem z lat 80...

To też odzwierciedla naszą miłość do innych gatunków muzycznych, takich jak pop z lat 80. Lubimy chwytliwe refreny, tak jak w tym gatunku. **Abba** też ma takie refreny i chwytliwe piosenki.

Oprócz elementów charakterystycznych dla nurtu NWOTHM, w waszej muzyce jest wiele detali, które znamy z nurtu NWOBHM, na przykład w "Garden of Fire" i "Kill The Machine" odnajdziemy ślady Iron Maiden, a w "Monster's Ball" natomiast Saxon. Moje pytanie dotyczy waszych inspiracji, gdzie ich szukać, jakie zespoły i artyści mieli na was największy wpływ?

"*Garden of Fire*" jest bardziej w kierunku starych **Children of Bodom** niż tradycyjnego heavy metalu. Oczywiście zespoły heavymetalowe również miały na nich duży wpływ. Koło zamknięte. (śmiech) "*Kill The Machine*" może zawierać trochę starego ducha **Iron Maiden**. Nie jestem do końca pewien. Nigdy nie myślę, że chcę, aby utwór brzmiał jak ten czy inny zespół, który lubię. Po prostu biorę gitarę i zaczynam grać, a potem coś wychodzi lub nie. Często to drugie. Często te rzeczy są gdzieś w podświadomości. Oczywiście mogę od razu powiedzieć, że jesteśmy pod wielkim wpływem takich zespołów jak **Iron Maiden**, **Judas Priest**, **W.A.S.P.**, **Running Wild**, **Yngwie Malmsteen** itd. Inspiracja może przyjść z każdego miejsca. Ja sam często inspiruję się

sukcesami "młodszych" zespołów, takich jak **Enforcer**, o którym wspomniałeś.

Myślę, że inspiracje to ważna kwestia nie tylko dla fanów, ale i dla muzyków. Niema przed tym ucieczki. Jednak najważniejsze jest to, co się zrobi z tymi inspiracjami i jak się je wykorzysta. Wydaje mi się, że wam udało się nadać im własny charakter i własne cechy...
Nie ma muzyki bez inspiracji. Myślę, że wciąż szukamy swojego miejsca i pewnie będą to wieczne poszukiwania. Oczywiście mamy swoje własne brzmienie i styl robienia rzeczy, więc świetnie, jeśli słuchacze również to słyszą.

Staracie się też nadać utworom różnorodne cechy, nie tylko wykorzystujecie szybkie melodyjne ciosy, bogactwo melodii, ale także stosujecie niejednolite tempa oraz klimaty. Pod tym względem najciekawiej wyglądają utwory "Swines For Slaughter" i "Dark Star", gdzie bardziej lub mniej odnajdziemy bardzo klimatyczne momenty z epickim zacięciem...
Ważne jest dla mnie, aby każdy utwór na płycie różnił się od pozostałych. Każdy utwór musi być w stanie stać samodzielnie i pośród innych. To był już dobry koncept na naszym debiutanckim albumie, więc chcieliśmy podążać tą samą ścieżką. Zbyt wiele zespołów polega na pewnym stylu, którym często jest szybkie granie. Po pewnym czasie staje się to nudne, a sam nie mogę znieść słuchania nowych płyt, które dają tylko szybkość. "***Dark Star***" i tak jest dość eksperymentalnym utworem. Chciałem sprawdzić, jaki rodzaj piosenki mógłbym stworzyć, gdybym użył w niej tylko jednego riffu gitary rytmicznej. Tak więc utwór ma tylko jeden główny riff, a cała reszta jest zbudowana wokół niego.

W materiałach promocyjnych wspominacie również o wpływach black metalu i hard rocka. Hard rock to zrozumiała kwestia, bardzo blisko jest heavy metalu, ale gdzie szukać tych wpływów black metalowych?
Bardzo lubię **Bathory** i **Dissection**, więc poniekąd próbowałem to wkleić do "***Dark Star***".

Ciekawostką są dwa bonusowe utwory, które są tematami przewodnimi seriali telewizyjnych, pierwszy dotyczy sitcomu "Marienhof" drugi "Power Rangers". Dlaczego wybraliście właśnie te tematy i te seriale?
W połowie lat 90. niemiecka opera mydlana "**Marienhof**" była pokazywana w fińskiej telewizji. Jego motywem przewodnim była ta piosenka i uwielbialiśmy ją. Po szkole zawsze trzeba było jechać rowerem do domu w pośpiechu, aby usłyszeć te 30 sekund muzyki przewodniej. Sam program był do bani. (śmiech) Później graliśmy w miejscu prób, słuchaliśmy tej piosenki i bawiliśmy się pomysłem stworzenia własnej wersji. Potem gdy wytwórnia poprosiła nas o dwa bonusowe utwory, zdecydowaliśmy się wziąć tę piosenkę pod uwagę. "***Go Go Power Rangers***" wybraliśmy spośród kilku innych propozycji. To chwytliwa i dobra piosenka.

Jak dla mnie wskazuje to na pewną kwestię, a mianowicie, że w wielu muzyków inspirujecie się nie tylko muzyka heavy metalową z lat 80, ale są pod dużym wpływem całej kultury z lat 80.
Kochamy wszystko z lat 80. i 90. Gry, książki, filmy, muzyka itd. Wciąż lubię grać w te gry razem z naszym wokalistą **Miiką**. Osobiście jednak gram w bardziej retro gry niż w te nowe.

Płytę promują dwa teledyski/single "Lead The Way" i "Afterglow" dlaczego wybraliście właśnie te kawałki?
"***Lead The Way***" to utwór otwierający płytę i zarazem pierwszy, który na nią skomponowałem. Powstał zaraz po wydaniu naszego debiutanckiego albumu "**Final Day**", niemal za jednym posiedzeniem w ciągu dnia. Ma w sobie mentalność naszego powrotu, więc to było dobre otwarcie. Z drugiej strony "***Afterglow***" reprezentuje bardziej melodyjną część albumu

Foto: Satan's Fall

i ma dobry nastrój. Dobrze sprawdza się jako singiel.

Tematykę nowego albumu ustawił ostatni utwór z poprzedniej płyty "Final Day" i jest w zasadzie o upadku cywilizacji wykreowanej przez przepełnionych pychą przywódców politycznych i religijnych. Stoi to trochę w opozycji do waszej muzyki, która jest bardzo witalna, za to bardzo pasuje do okładki, która na początku wydaje się pewnym zgrzytem, bowiem pasuje bardziej do death metalowej formacji, niż do zespołu, który gra przebojowy heavy/speed...
Nasza okładka i nazwa albumu są nieco mroczniejsze niż nasza muzyka, to prawda. Ale mamy poważniejsze tematy do poruszenia w naszych utworach niż śpiewanie o piciu piwa i uganianiu się za kobietami.

W ogóle jak pracowaliście nad muzyką i tematyka albumu, co było pierwsze pomysły na historie i przesłanie płyty czy też muzyka? Jak pracujecie nad materiałem, każdy w zaciszu domu, wymieniając miedzy sobą pliki? Czy też w sposób oldschoolowy w sali prób?
Tak, stworzyliśmy album w taki sposób, że nigdy nie aranżowaliśmy kompozycji razem na próbach. **Ville** i ja wymienialiśmy się plikami gitarowymi i w ten sposób utwory nabierały kształtu. Następnie **Miika** stworzył własne aranżacje kawałków i teksty na podstawie własnych wizji. Upadek ludzkości stał się jednym z naszych głównych tematów. Myślę, że będziemy podążać tą samą ścieżką, ponieważ jest tak wiele rzeczy, z których możemy czerpać.

Partie gitary na "Destination Destruction" są niesamowite, długo nad nimi pracowaliście? W sumie o Tomi Mäenpää i Ville Koskinen można powiedzieć, że stworzyli kolejny niesamowity gitarowy i heavy metalowy duet...
Zrobiliśmy partie gitarowe z **Villem** w jakieś pół roku. Fajnie, że widzisz w nas dobry duet.

Na tle muzyki świetnie wypadł też głos Miika Kokko, to dzięki niemu melodie wydają się jeszcze bardziej ekscytujące...
Tak, głos **Miiki** też może pasować tym, którzy nie znoszą czystych wokali.

Podejrzewam, że album "Destination Destruction" nie tylko przez nas został dobrze przyjęty. Zastanawia mnie czy jesteście w stanie utrzymać ten poziom na następnej płycie? W ogóle myślicie już o kolejnym albumie, czy raczej skupiacie się na bieżącej promocji?
Zawsze staramy się, aby kolejny album był lepszy. Oczywiście decyzja należy do każdego słuchacza. Staramy się nie powtarzać w kółko tych samych rzeczy. Mam na myśli to, że staramy się dodawać nowe elementy do naszej muzyki i tym samym czynić ją interesującą. Komponujemy już utwory na kolejny album, ale ten proces jest jeszcze na wczesnym etapie. Teraz koncertujemy i czekamy na wydanie albumu. Z niecierpliwością czekamy również na przyszłoroczną trasę koncertową.

Dzięki za wywiad i do zobaczenia na Helicon Metal Festival 2024!
Dzięki wielkie!

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

Blazon Rite

Powrót do wymachiwania łapami i headbangingu

Teoretycznie Blazon Rite zadebiutowali wydawniczo w najgorszym momencie, bo w marcu 2020, ale paradoksalnie wyszło im to na zdrowie. Pierwszy materiał szybko zaowocował bowiem kontraktem na debiutancki album, a zespół nie oglądając się na nic, po niecałych dwóch latach, sprawnie nagrał jego następcę, jeszcze ciekawszy "Wild Rites And Ancient Songs", I fajnie, bo tak dobrego heavy nigdy za wiele.

HMP: Wiosna roku 2020. Wydajecie debiutancką EP-kę "Dulce Bellum Inexpertis", kiedy już było wiadomo, że zaczyna się dziać coś złego, ale nikt jeszcze tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy ze skali zagrożenia i następstw pandemii. Nie mieliście w związku z tym żalu do siebie, że nie pomyśleliście o wypuszczeniu tego materiału krótko po nagraniu, czy przeciwnie, dzięki lockdownom dotarł on do większej liczby słuchaczy, bo ludzie mieli czas na słuchanie muzyki i poznawanie nowych zespołów?

James Kirn: Tak, myślę, że zdecydowanie pomogło nam to, że ludzie byli w domu i mieli czas na szukanie nowej muzyki. Wiem, że tak było, bo poświęcili go na sprawdzenie nas i wczucie się w nasze klimaty, dzięki czemu nasza kaseta demo sprzedała się dość szybko.

Foto: Blazon Rite

Niewątpliwym plusem było również to, że winylową wersję tej EP wydała Gates Of Hell Records i jak rozumiem wyraziła też zainteresowanie waszym kolejnym, już długogrającym, materiałem?

Tak, zaczęliśmy już wtedy prace nad naszym kolejnym albumem, więc dobrze wyczuliśmy czas i jesteśmy bardzo wdzięczni **Gates Of Hell** za chęć wydania obu tych materiałów w tak krótkim czasie. Nigdy nie spodziewaliśmy się, że nasze demo doczeka się wydania winylowego, więc niesamowicie było otrzymać tę wiadomość i w końcu usłyszeć je na tym nośniku.

W jakiej atmosferze nagrywaliście "Endless Halls Of Golden Totem"? Sytuacja była wtedy bardzo zmienna, ograniczenia były znoszone i znowu wracały - udało się wam w takiej sytuacji skupić na twórczej pracy, nie myśleć o przyszłości, nie tylko w kontekście zespołu, ale też własnej?

Sesji nagraniowej używaliśmy w tym trudnym czasie jako sposobu ucieczki do naszego własnego świata. Po prostu zagłębiłem się w pisanie tekstów i szukanie inspiracji do nich w książkach i w mediach, na co miałem dodatkowy czas. Miałem szczęście, że pozostałem zdrowy i mogłem poświęcić się tworzeniu fantastycznego świata z niczego. Izolacja naprawdę może zdziałać cuda dla kreatywności.

Dobre przyjęcie tej płyty utwierdziło was w przekonaniu, że to, co robicie ma sens i warto poświęcić jeszcze więcej czasu i pracy na następny album, który w dodatku będziecie mogli zaprezentować na żywo?

Z pewnością. Po nagraniu "**Endless...**" byłem bardzo zmotywowany do wydania kolejnego materiału. Naprawdę chciałem nagrywać w odpowiednim studiu i sprawić, by następny album brzmiał jak najlepiej. Chciałem zaryzykować i trochę się sprężyć. Myślę, że chcieliśmy po prostu tworzyć i być kreatywni tak długo, jak to, co powstanie, będzie szczere i naturalne.

Przed rokiem 2020 chyba nie do końca docenialiśmy to, co mieliśmy, bo przecież koncerty, większe i mniejsze, były czymś oczywistym. A tu proszę, wystarczył jeden wirus i nie było już o nich mowy - powrót na scenę i możliwość pójścia na jakiś koncert tak dla przyjemności były pewnie dla was czymś niesamowitym, niczym łyk zimnej wody na pustyni?

Oczywiście. Każdy kolejny koncert był prawdziwym doświadczeniem, czymś więcej niż tylko wydarzeniem, ale czymś, co należy pielęgnować i cenić ponad wszystko. Właściwie nie ma nic lepszego niż ukochana muzyka dla poprawienia czyjegoś nastroju i myślę, że wszyscy tego potrzebowali: każdy potrzebował, dla własnego zdrowia psychicznego, powrotu do wymachiwania łapami i headbangingu.

Skomponowanie i nagranie utworów na "Wild Rites And Ancient Songs" nie zajęło wam zbyt dużo czasu - to pewnie nie tylko kwestia doświadczenia czy motywacji, ale też wpływ tego, że zmiany personalne jakoś was omijają, dzięki czemu zespół jest coraz lepiej zgrany?

Tak, było nam nieco łatwiej zebrać te kawałki. Kiedy przestaniesz pisać utwory, powrót do właściwego, twórczego rytmu może zająć trochę czasu, ale nie zatrzymywaliśmy się przez prawie dwa i pół roku, więc ciągle byliśmy w stanie pisać i dostosowywać kompozycje do założonych przez nas kształtów. Myślę, że jeśli chcesz być w zespole, powinieneś zawsze mieć gotowe pomysły na kolejne kompozycje i riffy, bez tego daleko się nie zajdzie.

To klasyczny w każdym calu, archetypowy, metal. Z mojego punktu widzenia jako słuchacza, obserwującego jego wzloty i upadki od początku lat 80., bardzo ważne wydaje się to, że obecnie jest on już czymś ponadczasowym, czego zmiany muzycznych mód i trendów nie są w stanie naruszyć, tak jak to działo się w przeszłości wielokrotnie, kiedy np. thrash usuwał w cień tradycyjne odmiany, po czym na początku lat 90. sam musiał ustąpić miejsca fali grunge'u. Ciekawi mnie jak oceniacie to zjawisko wy, nie tylko jako fani, ale również muzycy, a więc osoby z nieco szerszą perspektywą?

Wszystko porusza się w cyklach, prawda?

Fani, którzy kochają klasyczny metal zawsze będą go kochać, ale nowsze zespoły przyciągają też do tradycji więcej ludzi. Myślę, że zawsze wracają do pewnych rodzajów muzyki, a czysto śpiewany heavy metal jest czymś świetnym i łatwo dostępnym o każdej porze roku, bez względu na nastrój, który akurat masz. Trendy przychodzą i odchodzą i jestem pewien, że wkrótce coś innego zawładnie różnymi scenami. Ostatecznie heavy metal nigdy nie umrze.

Słuchając "Wild Rites And Ancient Songs" dostrzegłem nie tylko dużą dbałość o to, żeby materiał, który tworzycie był stylowy nie tylko muzycznie, ale żeby też brzmiał jak należy, to jest mocno, surowo i organicznie - lata świetności heavy metalu inspirują was pod każdym względem, a utwory tak klasyczne w warstwie muzycznej nie mogą brzmieć syntetycznie, to byłaby zbrodnia na muzyce?
Koniec końców chcesz pisać songi, które ludzie zapamiętają. Kawałki, które zostaną z nimi na dłużej, do których zawsze będą chcieli wracać i słuchać ich w kółko. Część z tego to produkcja i sposób, w jaki brzmią, a część to sama piosenka. Zdecydowanie dążymy do starszego brzmienia, nie do tego nowoczesnego i przetworzonego. Chcemy naśladować piękne dźwięki metalu późnych lat 70. i wczesnych 80.

Jednak wiele metalowych grup podchodzi do tego zupełnie inaczej, czego efektem są dziesiątki bliźniaczo brzmiących płyt, odartych z mocy i bardzo przez to tracących, nawet jeśli trafiają na nie ciekawe utwory - z czego to wynika, z braku dystansu do własnego dzieła, a może niemożności właściwego ocenienia brzmienia, co jest szczególnie widoczne teraz, gdy coraz rzadziej mamy do czynienia z kimś takim jak klasycznie pojmowany, czuwający nad każdym aspektem płyty, producent?
Tak, to trudna do osiągnięcia równowaga, ponieważ wiele osób oczekuje i chce, aby ich heavy metal był bardzo dopracowany i bardzo skompresowany. Chcą czystego, niemal perfekcyjnego studyjnego brzmienia. Czasami zespoły myślą, że tego właśnie potrzebują, aby "wejść na wyższy poziom" sukcesu. Z drugiej strony niektórzy ludzie lubią nasz styl, który sprawia, że jest on nieco bardziej surowy i organiczny, opierając na utworach, który zabierą cię na przejażdżkę. Dostrzegam zalety obu tych stron, ale myślę, że musi istnieć odpowiednia równowaga. Nasz producent, **Kevin Bernsten**, ma dla nas świetny sposób na osiągnięcie tej, naprawdę przyjemnej, równowagi.

To dzięki niemu udaje wam się uniknąć różnych pułapek, a drugi album jako całość jest zdecydowanie ciekawszy i bardziej dopracowany od debiutanckiego? Macie jakąś wypracowaną metodę, czy to bardziej kwestia dyscypliny i skupienia się na tym, żeby efekt końcowy był jak najlepszy?
Mieliśmy tym razem więcej pieniędzy i zasobów, aby stworzyć ten album (śmiech). Myślę, że to czuć na tej płycie. Pierwszy album został nagrany w mojej piwnicy podczas pandemii, więc zdecydowanie przyspieszyliśmy nagrywanie i prace nad kolejnym. Uwielbiamy brzmienie pierwszej płyty, a niektórzy nawet je wolą, ale myślę, że oba mają swoje miejsce. Myślę, że na drugim krążku bardziej skupiliśmy się na tym, czego brakowało na pierwszym, jeśli chodzi o pisanie kompozycji, eksperymentowanie i dopracowywanie partii gitarowych. Mieliśmy też więcej czasu, aby naprawdę uzyskać brzmienia i dźwięki, które wyobrażaliśmy sobie w każdym utworze, a których wcześniej nie mieliśmy.

Czyli też należycie do tych zespołów, które nagrywają muzykę taką, jaką lubią, a jeśli później przypadnie ona ludziom do gustu, to tym lepiej - żadnych chwytów pod publiczkę, 100 % szczerości to podstawa, co ludzie tym bardziej docenią?
Myślę, że zdecydowanie tak. Byliśmy zasko-

Foto: Blazon Rite

czeni, gdy **Gates Of Hell** zaryzykowało wydanie naszego materiału, ponieważ zdecydowanie mieliśmy podejście: kto to lubi, ten to lubi, a kto nie: kogo to obchodzi? Tworzyliśmy muzykę dla siebie i cieszymy się, że ludziom się podobało i kupili nasze albumy. Myślę, że jeśli artyści tworzą muzykę dla kogokolwiek innego niż dla siebie, to mają prawdziwy problem, bo nigdy nie będą w stanie zadowolić ludzi.

Płytę mieliście gotową już wiosną ubiegłego roku, ale musieliście czekać na jej premierę niemal 12 miesięcy - trudno pogodzić się z czymś takim, nawet jeśli ma się możliwość prezentowania części nowego materiału w postaci singli czy podczas koncertów?
Wiemy, że różne rzeczy dzieją się po drodze, gdy wychodzi album, więc trzeba być cierpliwym! Myślę, że jeśli pozostaniesz wdzięczny i skupisz się na byciu wdzięcznym, że ktoś chciał wydać utwory, nad którymi spędziłeś czas i które uwielbiałeś tworzyć, to naprawdę jesteś na dobrej drodze.

Wygląda więc na to, że terminy trzeba rezerwować z ogromnym wyprzedzeniem - niedługo może dojść do sytuacji, że zespoły będą zajmować kolejkę do tłoczni, nim zdążą wejść do studia (śmiech). Jednak warto było poczekać, bo macie teraz "Wild Rites And Ancient Songs" w aż trzech wariantach kolorystycznych, co pewnie bardzo was cieszy jako fanów i zarazem kolekcjonerów?
Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że mamy ten album i chociaż możemy nie być tak aktywni, jak byśmy chcieli, z powodu spraw związanych z naszym życiem osobistym, mamy nadzieję, że ludzie będą cieszyć się tą płytą. Chcemy tylko, by nadal jej słuchali! Zwłaszcza w zimnych miesiącach, kiedy w powietrzu czuć chłód.

Nowe numery mają według mnie duży potencjał koncertowy, a dopełniając je utworami z pierwszej płyty macie do dyspozycji bardzo konkretny, godzinny set - kiedy zamierzacie sprawdzić jego siłę uderzeniową w wydaniu koncertowym?
(śmiech) To byłoby szalone! Nie mamy planów na coś tak ambitnego, ale nigdy nic nie wiadomo!

Mając włoską wytwórnię myślicie o wyprawie do Europy, na przykład w sezonie letnim, kiedy w Niemczech i nie tylko odbywa się dużo festiwali, czy też dla niezależnego zespołu ze Stanów Zjednoczonych jest to zbyt skomplikowane, logistycznie i finansowo, przedsięwzięcie?
Powiedziałbym, że w tym momencie jest to dla nas trochę zbyt skomplikowane. Chcielibyśmy przyjechać pewnego dnia do Europy i wejść w ten cały wspaniały, festiwalowy obieg, ale teraz jest trochę zbyt gorąco w naszym życiu osobistym. Miejmy jednak nadzieję, że pewnego dnia nam się to uda!

Wojciech Chamryk & Szymon Tryk

ARCH BLADE

Noże, miecze, ostrze

Normalnie nie powinno się zadawać takich pytań, ale naprawdę nie mam nic do powiedzenia w temacie Arch Blade i dlatego postanowiłem oddać przestrzeń do wypowiedzi muzykowi. Perkusista Al Mayhem Mendez dwadzieścia lat temu grał w Dark Angel a od 2019 roku współtworzy całkiem nowy zespół heavy metalowy Arch Blade. Ostatnio ukazał się ich debiutancki longplay pt. "Kill the Witch". Sprawdźmy, czy miał nam coś ciekawego do przekazania.

HMP: **Proszę o kilka słów na temat Arch Blade tytułem wstępu. Co zainspirowało Was do stworzenia nowej kapeli heavy metalowej?**

Al Mayhem Mendez: To, co zainspirowało nas do stworzenia **Arch Blade**, to nasza miłość do heavy metalu i do muzyki w ogóle. Wszyscy w zespole chcieliśmy po prostu grać i oddać hołd metalowi. Dla nas wszystkich było to czymś naturalnym, ponieważ zdawało się, że uwielbiamy wiele tych samych zespołów i chcieliśmy po prostu robić różnorodny metal, od "*Barn Burners*" po balladę. Nie chcemy, żeby szufladkowano nas w jednym stylu, ponieważ lubimy łączyć wiele podgatunków.

Foto: Arch Blade

Jak wspominasz swoją rolę perkusisty w Dark Angel dwadzieścia lat temu?

Zostałem poproszony o wzięcie udziału w zjeździe **Dark Angel** w 2002 roku i **Jim Durkin** poprosił mnie o zagranie z zespołem, ponieważ powiedział mi, że **Gene Holglan** był wtedy zajęty **Strapping Young Lad**. Pracowałem z **Jimem Durkinem** w **Dreams of Damnation** oraz **Pagan War Machine** i on znał moje umiejętności jako perkusisty. Czułem się zaszczycony możliwością wzięcia w tym udziału, a **Jim** nawet zapytał mnie, czy pojadę później w europejską trasę, ale nigdy do tego nie doszło, ponieważ **Gene Holglan** ostatecznie wrócił na miejsce za perkusją - to było jego dziecko. Chciałem tylko pomóc, wiedząc, że w końcu wróci. I nigdy nie planowałem pozostania w zespole. Niemniej jednak było to wspaniałe doświadczenie. Jestem wdzięczny **Jimowi Durkinowi**, ponieważ zawsze we mnie wierzył i zawsze doceniał moją grę na perkusji. Pracowałem z **Jimem Durkinem** przez nieco ponad pięć lat w jego zespołach grających thrash i death metal. Nigdy nie zapomnę wszystkich wspaniałych chwil, które **Jim** i ja spędziliśmy grając z najlepszymi zespołami z całego świata. Wiele wspaniałych wspomnień. Spoczywaj w pokoju, bracie **Jimie Durkin**. Był jednym z najlepszych mistrzów thrash metalowych riffów.

Co zadecydowało o wyborze nazwy Arch Blade poza tym, że była wolna?

Wymyśliłem tę nazwę już w 1980 roku. Zastanawiałem się nad nazwą dla zespołu, który chciałem założyć, a który kilka lat później miał wystąpić na szkolnym pokazie talentów. Zajęliśmy pierwsze miejsce. Chciałem wymyślić nazwę, która brzmiałaby metalowo. Zawsze interesowałem się ostrzami, mieczami, nożami itp. i po prostu pomyślałem o ostrzu z łukiem, połączyłem te dwa elementy i wyszło **Arch Blade**. Kiedy dołączyłem do zespołu w 2019 roku, przyniosłem tę nazwę i wszyscy ją pokochali. Wiedziałem, że pewnego dnia użyję jej ponownie. Ten zespół, kiedy dołączyłem do niego po raz pierwszy, potrzebował dobrej nazwy heavy metalowej, i oto jesteśmy. **Arch Blade** według mnie symbolizuje heavy metal, ponieważ ta nazwa przyszła do mnie dawno temu i nigdy mnie nie opuściła.

Jak wspominasz same początki działalności Arch Blade?

Przyjechałem na przesłuchanie i spotkałem się z **Big Robem** i jego synem oraz **Nigelem**. Wydawało się, że od razu połączyło nas braterstwo. Wypiliśmy kilka piw i rozmawialiśmy o muzyce. Wszyscy wiedzieliśmy, że to magiczne, gdy wszyscy znaleźliśmy się w tym pokoju i graliśmy razem muzykę. To było naturalne uczucie i nie było wątpliwości, że to będzie ten zespół. Nasza miłość do heavy metalu i pomimo tego, że wszyscy lubimy różne zespoły i style, muzyka, którą wszyscy stworzymy, była po prostu naturalnym uczuciem, które wydawało się, że wszyscy mamy... muzyczną chemię, która była niezaprzeczalna. W tym momencie wszyscy już wiedzieli.

Co uważasz za największe wyzwanie, przez jakie Wasz zespół musiał przejść?

Najtrudniejszym wyzwaniem było znalezienie tego składu. Zanim dołączyłem do zespołu, przewinęło się przez niego kilku perkusistów, a nawet kilku basistów. Kiedy dołączyłem, **Nigel** pracował z nimi już od jakiegoś czasu, ale pojawiło się kilka wyzwań związanych ze znalezieniem odpowiednich muzyków. Kiedy objąłem stanowisko perkusisty, chciałem grać ciężej i szybciej, ożywić utwory, dodać im energii i mocy. Wiedziałem, że nadaję się do tej muzyki jeszcze zanim przyszedłem na przesłuchanie. Usłyszałem kilka próbek niektórych utworów i uznałem, że to jest to.

Jak Wasza muzyka ewoluowała na przestrzeni ostatnich czterech lat?

Wszyscy grają coraz mocniej, a poza tym staliśmy się bardziej zgrani jako zespół. W tym momencie, gdy wszyscy znajdujemy się w jednym miejscu, wszystko po prostu płynie. To prawie tak, jakby każdy wiedział, co wnosi. Każdy odrabia swoją pracę domową i zawsze jest przygotowany na każdą próbę. Nawet jako zespół grający na żywo zawsze dajemy z siebie 100% za każdym razem. Ewoluowaliśmy również jako koledzy, ponieważ wszyscy lepiej się dogadujemy, mamy mniej nieporozumień lub kłótni, ponieważ działamy demokratycznie i rozumiemy, że wszyscy w większości muszą się zgodzić, zanim cokolwiek

zrobimy.

W 2021 roku wydaliście trzy single: "Kill the Witch", "House of Dreams" i "Break the Silence". Co ciekawe, pomimo tego, że ukazały się one tylko w formie cyfrowej, otrzymały porządne okładki. Jaki był cel tych grafik? Może wypaliliście jakieś kopie na CD-R?
Tak, na początku wydaliśmy trzy single, ponieważ czuliśmy się nią podekscytowani. Kiedy jednak podpisano z nami kontrakt, zdecydowaliśmy się zrobić to po myśli wytwórni. Pierwotnie myśleliśmy o tym, by wydać to samodzielnie. Cieszymy się jednak, że podpisaliśmy umowę z **Rockshots Records**. Jeśli chodzi o grafikę, to był to pomysł wokalisty **Denysa**, aby umieścić zdjęcia z muzyką i wszyscy byliśmy z tego zadowoleni. I nie, nie wypalaliśmy żadnych płyt CD-R.

Wygląda na to, że przynajmniej niektóre utwory z Waszego niedawno wydanego debiutanckiego longplaya "Kill the Witch" (2023) były gotowe dawno temu...
Tak, niektóre utwory zostały wydane wcześniej. To było wtedy, gdy myśleliśmy o zrobieniu tego na własną rękę. Wszyscy zdecydowaliśmy, że chcemy podpisać kontrakt i wydać muzykę we właściwy sposób. Byliśmy trochę niecierpliwi, ale w sumie dobrze, że to zrobiliśmy, bo dzięki temu nasza nazwa zyskała rozgłos, ludzie już o niej mówią i otrzymaliśmy fantastyczny odzew.

Wydaliście wszystkie swoje najlepsze utwory na debiutanckim longplayu, czy dokonaliście selekcji?
Wierzymy, że wydaliśmy nasze najlepsze utwory w momencie wydania albumu. Mieliśmy dużo więcej materiału, który nie został wykorzystany. Nasz następny album będzie w całości nowym materiałem.

"Break the Silence" to prawdopodobnie Wasza najbardziej gniewna piosenka. W jakich okolicznościach wymyśliliście ten banger?
"*Break the Silence*" był właściwie pierwszym utworem, który napisaliśmy razem. Chcieliśmy zrobić coś ciężkiego i agresywnego. Tak po prostu wyszło, bo wiedzieliśmy, że po ustaleniu składu zespół pójdzie w cięższym kierunku.

Foto: Arch Blade

Co mógłbyś opowiedzieć mi o teledysku "Nightbreed"? Czy to przypadek, że wokalista Denys Podmazko nie nosi ani metalowej, ani motocyklowej kurtki, ale zwykłą żółtą kamizelkę? Dlaczego masz za sobą tyle telewizorów? Kto dostarczył list i dlaczego instrumentaliści Arch Blade zostawili Denysa samego z kontuzjowaną ręką? Tylko on chciał podpisać chirograf?
Teledysk do "*NightBreed*" został nakręcony na środku pustyni w Palmdale w Kalifornii. Kręcono go na prywatnym terenie wykorzystywanym do różnych wydarzeń specjalnych. Kurtka **Denysa** jest po prostu w jego stylu, ot tak. Wszyscy lubimy skórę i czarne dżinsy, ale **Denys** pochodzi z innej planety. Lubi robić własne ubrania, malować je itp. Jeśli chodzi o wszystkie telewizory stojące za mną, to podczas kręcenia było tam wiele rekwizytów i tak naprawdę była to tylko kwestia wizualna. Po prostu podobał nam się sposób, w jaki to wyglądało. Nie wymyśliliśmy tego, ale po przyjeździe spodobał nam się wygląd wszystkich tych telewizorów, które były już na terenie posiadłości. Używa się je w filmach, a nawet do modelowania tła, jak nam powiedziano. Jeśli chodzi o to, kto próbował nakłonić nas do podpisania cyrografu, cóż, był to diabelski motocyklista. Kiedy rzucił nóż, kazano nam podpisać się krwią. Jednak cały zespół odmówił i wstał, a **Denys** przypadkowo skaleczył się nożem, gdy go dotknął, a kiedy zaczął krwawić, przypadkowo podpisał kontrakt. Wtedy spojrzał w górę i powiedział: "*Fuck!!!*"

Foto: Arch Blade

Uwielbiam, jak bas wpływa na ogólne brzmienie. Bez basu muzyka heavy metalowa prawdopodobnie nie byłaby tak ostra i mocna. Jak Wasz basista Nigel Caicedo opisałby swoje podejście do grania na basie w heavy metalowym zespole?
Nigel Caicedo: Mogę powiedzieć, że moje nastawienie do grania jest całkiem autentyczne, ponieważ heavy metal, a konkretnie tradycyjny heavy metal jest czymś, co zawsze lubiłem grać. Próbowałem innych gatunków, takich jak alternatywny rock czy goth z lat 80., ale żaden z nich nie brzmiał tak, jak lubiłem. Metal, głównie Nowa Fala Brytyjskiego Heavy Metalu, zawsze stanowił mój ulubiony gatunek i za każdym razem, gdy podchodzę do utworu, zawsze staram się umieścić ten basowy pierwiastek w muzyce.

Jak idą przygotowania do Waszego drugiego albumu? Czy zamierzacie kontynuować obecny kierunek muzyczny?
Nasze przygotowania do kolejnej płyty idą świetnie. Mamy nowy ogień, a muzyka płynie. Jeśli chodzi o kierunek, to wiemy, że następna płyta będzie cięższa, ponieważ wydaje się, że jest to naturalny postęp w tym, co piszemy w tej chwili i nigdy nie chcemy stracić melodii, bez względu na ciężar. Jesteśmy bardzo zadowoleni z tego, że wszyscy odrabiają pracę domową i są przygotowani, by zawsze dawać z siebie 100%. Na następnej płycie pojawi się kilka niespodzianek. Zdecydowanie nie możemy się jej doczekać i wierzymy, że każdy, kto nas śledził lub widział na żywo, pokocha ją, ponieważ będzie zawierała mnóstwo energii i mocy. Kochamy to, co robimy i wierzymy w ten zespół. Dziękujemy wszystkim, którzy wspierali nas w jakiejkolwiek formie i kształcie. Pozdrowienia od **Arch Blade**.

Sam O'Black

Sentry

Nasz dług wobec Manilla Road został w pełni spłacony

Nie był to dla mnie łatwy wywiad do przygotowania, ponieważ nie wiedziałem jak podejść do tego zespołu. Z jednej strony Sentry to zupełny debiutant z raptem jedną EPką na koncie. W dodatku z EPką, na której są tylko dwa utwory... Poza tym zespół nie ma żadnych materiałów promocyjnych, trudno też znaleźć coś o nim w internecie. Z drugiej strony trzy czwarte zespołu to jest ostatni skład Manilla Road, który grał z Markiem Shelton'em aż do jego śmierci. O jednym zespole nic nie wiadomo, a o drugim wszystko. O co ich, w związku z tym, pytać i jak traktować? Czy chcą być kontynuacją Manilla Road czy też zupełnie niezależnym bytem? Czy pytać ich o bogatą przeszłość czy też o bardzo skromną teraźniejszość? Potem jednak pomyślałem, że przecież celem wywiadów, jest zadawanie pytań, żeby się czegoś dowiedzieć. Jak nie wiesz, to pytasz. A że pojawiło się dużo pytań o Manilla Road, które być może nawet zdominowały tę rozmowę to chyba nikogo nie powinno dziwić. Starałem się zachować odpowiednie proporcje jak tylko mogłem. Jak wydadzą pełny album, to wtedy będzie możliwość skupienia się tylko i wyłącznie na Sentry. Ostatecznie, jestem bardzo zadowolony z tego wywiadu, w czym duża zasługa Phil'a Ross'a, basisty zespoły, który w bardzo zgrabny i przemyślany sposób udzielił mi odpowiedzi.

HMP: Czy nazwa zespołu (Sentry - wartownik - przyp. red.) oznacza, że jesteście strażnikami dziedzictwa Manilla Road?
Phil Ross: Nazwę zespołu wybraliśmy z różnych powodów, ale żaden z nich nie był tak głęboki i przemyślany jak to, co podałeś. Pojawiła się myśl, że można to zinterpretować w ten sposób, ale tak naprawdę nie do końca to do nas pasuje. Nie jesteśmy jedynymi "*strażnikami dziedzictwa Manilla*". Myślę, że to przywilej dla wszystkich fanów i fanatyków, którzy pojawili się na przestrzeni lat na długo przed moją krótką współpracą z zespołem. **Sentry** nie istnieje po to, by być "*strażnikiem Manilla*" - wszyscy inni, fani, promotorzy, dziennikarze utrzymują przy życiu i chronią tę spuściznę. Uważam, że to jest wspaniałe!

Co skłoniło Was do podjęcia decyzji o utworzeniu nowego zespołu po zakończenia działalności Manilla Road? Zakładam, że Keep it True Festival 2019 był tego początkiem...
Tak, ten występ (na tym festiwalu odbył się specjalny tribute show poświęcony pamięci Marka Sheltona - przyp. red.) doprowadził do wielu relacji, które istnieją obecnie. Postanowiliśmy założyć razem nowy zespół, gdy opadły już emocje związane z tym koncertem, ponieważ wszyscy dobrze się dogadywaliśmy. Pomyśleliśmy: "*hej, dlaczego nie spróbować czegoś nowego z ludźmi, których kochamy?*". To była naprawdę prosta decyzja. Po kilku dyskusjach na temat tego, jaki rodzaj muzyki chcielibyśmy tworzyć, rozpoczęliśmy współpracę.

Jeszcze wracając do tego koncertu. Dlaczego nie zagraliście na nim w ogóle utworów z okresu po 2001 roku?
Przez kilka lat zespół miał dość prostą formułę występów na żywo - zagrać kilka utworów z najnowszej płyty, a potem klasyki. **Manilla Road** wydało więcej klasycznych albumów niż wiele innych zespołów, więc trudno było uwzględnić wszystko, co każdy chciał usłyszeć! Mieliśmy też bardzo mało czasu na przygotowanie wszystkiego, a zagranie materiału, o którym większość osób zaangażowanych w hołd już wiedziała, było kluczem do sukcesu koncertu. Nie mieliśmy czasu ani możliwości, aby odkopać utwory, które nie były grane na żywo od 10 czy 15 lat, jeśli w ogóle. Byłoby fajnie zamieścić kilka z tych piosenek, ale wtedy potrzebowalibyśmy na to kolejnych dwóch godzin!

Mówiąc o Sentry trudno będzie uniknąć porównań do Manilla Road. Czy próbowaliście znaleźć równowagę pomiędzy tymi wpływami a ustanowieniem własnej, unikalnej tożsamości jako zespoł? Czy zależy Wam w ogóle o własnej, unikalnej tożsamości?
Zdecydowanie zależy nam na własnej tożsamości, odrębnej od **Manilla Road**. Nie chcemy być zespołem "*podszywającym się*" pod **Manilla Road**. Chcemy twardo stanąć na własnym gruncie, własnymi nogami. Tak, będą porównania, ale niektóre z nich po prostu się nie sprawdzą. To nowe terytorium dla nas wszystkich, nowe role w grupie, nowe środowisko, w którym możemy prosperować i rozwijać się jako bracia, muzycy i przyjaciele, jednocześnie tworząc oryginalną muzykę.

W takim razie, jakie są Wasze długoterminowe cele i aspiracje? Jak wyobrażasz sobie rozwój zespołu w przyszłości? Czy zamierzacie być regularnym zespołem, wydawać albumy, grać koncerty itp....
Tak, chcemy działać jak każdy inny zespół. Nasz obecny sposób funkcjonowania jest w rzeczywistości bliski temu, jak **Manilla Road** funkcjonowała z **Neudim** od 2011 roku - próby w naszych krajach, do czasu przylotu do Europy i wspólnego odpalenia. Na przyszły rok mamy zaplanowanych kilka występów. Myślę, że wydanie albumu LP otworzy nam więcej możliwości do bycia w Niemczech i napisania większej ilości materiału, czego już wszyscy nie możemy się doczekać.

Jedną rzeczą, która zdecydowanie odróżnia Was od Manilla Road, jest częstotliwość wydawnicza. Zakładając, że zespół zaczął działalność w 2019 roku, wydanie w tym czasie dwóch utworów wydaje się dosyć skromnym osiągnięciem. Album zapowiadany jest na rok 2024, czyli po 5 latach istnienia...
Rzeczywiście zajęło nam dużo czasu, żeby

Foto: Sentry

napisać materiał na debiutancki album, oraz wymyślić taki cykl pracy, który będzie dobry dla wszystkich. Właśnie zbudowaliśmy w USA studio, które pomogło nam wszystkim zacząć działać szybciej. Wcześniej nie miałem dostępu do takiej infrastruktury, więc jest to proces stale ewoluujący. Sprawy wymagały czasu, zwłaszcza w obliczu pandemii poza tym wszyscy w zespole zajmują się życiem rodzinnym, pracą, innymi zespołami i tego typu sprawami. Następny LP powinien pojawić się dużo szybciej! Odległość między wszystkimi również była ogromnym problemem, ale mamy już świetny plan i sprzęt potrzebny do współpracy na odległość.

Jak wyglądał Wasz proces twórczy podczas pisania muzyki na debiutancki album?
Szczerze, to dużo wymiany filmów i plików. Regularnie utrzymujemy kontakt on-line. Pod koniec 2022 roku Kalli przyleciał do USA, żeby pomóc nam w produkcji niektórych ważniejszych elementów. Na początku 2023 roku, gdzieś tak pomiędzy jego studio a moją nową przestrzenią studyjną, zaczęliśmy wszystko kończyć. Ponieważ dosyć się niecierpliwiliśmy, udostępniliśmy wszystkim EPkę składającą się z dwóch utworów, żeby skrócić oczekiwanie na debiutancki LP. Nie wszystkie piosenki powstały w tym samym czasie, jest kilka, które powstały spontanicznie, i takie, które powstawały metodycznie wg planu. To bardzo interesująca mieszanka, i patrząc zza kulisy, jak to wszystko poskładaliśmy w całość, to te 5 lat pewnym sensie minęło dosyć szybko.

W Metal Archives można znaleźć informację, że to Kalli Coldsmith jest odpowiedzialny za komponowanie. Czy to prawda? Czyli muzykę w stylu Manilla Road komponuje jedyny członek Sentry, który nie grał w Manilla Road?
Tak, to prawda i dlatego ten materiał jest moim zdaniem wyjątkowy, a nie jest to kopia **Manilla**. Pod względem stylistycznym jest to nowe terytorium dla **Kalliego**, a współpraca z nim jest także dla mnie czymś nowym. **Manilla Road** to **Mark Shelton**, nigdy nie chcieliśmy naśladować jego stylu. Na płycie LP znajduje się jednak wkład muzyczny wszystkich osób - niezależnie od tego, czy są to teksty i melodie wokalne **Bryana**, czy też moja kolaboracja z **Neudie** przy kilku utworach.

A jak to wyglądało w Manilla Road? Mark odgrywał kluczową rolę w procesie pisania piosenek. Czy możesz opowiedzieć o współpracy Marka z resztą zespołu przy tworzeniu muzyki zespołu?
Kiedy dołączyłem do zespołu, "**To Kill A King**" był już nagrany. **Mark** miał już bas dla większości piosenek i wskazał mi elementy, który jego zdaniem powinienem zachować. Był na tyle fajny, że pozwolił mi dodać rzeczy, które mi się podobały i pozwolił mi nagrać każdą piosenkę oprócz "***In The Wake***". Linie i ton **Marka** w tym utworze lepiej pasują do gry kostką, więc je zachowaliśmy. Każdy z albumów "*okresu reformacji*" przebiegał inaczej. Oczywiście byłem w zespole tylko podczas nagrań "**The Blessed Curse**" i "**To Kill A King**", więc mogę mówić tylko o tych sesjach. **Mark** nagrywał większość pomysłów na gitarę z metronomem, po czym **Neudi** zaczynał marudzić, że powinno być prościej. Następnie **Mark** zmieniał części aranżacji, aby pasowały do tego, co robił Neudi, a potem wszystko łączył ze sobą. On i **Bryan** decydowali, co będzie najlepsze dla **Bryana**, jeśli chodzi o wokal i tak dalej. Całość nagrywaliśmy w **Midgard**, domowym studiu **Marka**. Moja robota w ramach tej struktury polegała tak naprawdę na pisaniu własnych linii basu do gitary **Marka**. "**To Kill A King**" zmiksował inaczej niż poprzedni album, ponieważ chciał, aby bas był bardziej podkreślony. To był dla mnie ogromny komplement, nigdy tego nie zapomnę!

W Manilla Road teksty i opowiadane przez nie historie były prawie tak samo ważne jak muzyka. Czy w Sentry jest tak samo? Czy możesz nam powiedzieć, o czym są "Heavensent" i "Black Candles"?
Bryan chciał opowiedzieć własne opowieści i tworzyć własne historie dla nowego zespołu, ale czasami nie można ukryć tego, kim jesteś i skąd pochodzisz. "*Duch Manilla Road*" jest nadal obecny w stylu pisania i śpiewania **Bryana**. Więc tak, są rzeczy w tekstach i sposobie, w jaki są napisane, które sprawiają wrażenie podobne do twórczości **Marka**. Nie chcę powiedzieć, że "*Sentry jest tak dobry jak Manilla Road*" czy coś w tym stylu, ale **Bryan** był u boku **Marka** od lat 90. Nie da się spędzić 30 lat z kimś takim, żeby się trochę nie nauczyć! "***Heavensent***" opowiada o ułożeniu gwiazd i różnych ciał niebieskich w noc śmierci **Marka**. "***Black Candles***" to częściowo fikcyjna opowieść, która również czerpie z prawdy, ale o znaczeniu tej opowieści pozwolę słuchaczowi samemu zadecydować. Wszystkie teksty znajdą się na debiutanckim albumie.

Dwa nowe utwory utrzymane są w klimacie albumów Manilla Road wydanych w XXI wieku, takich jak "Playground of the Damned" czy "Mysterium". Czy cały album będzie taki, czy też będą jakieś niespodzianki? Może jakieś space rockowe hymny?
Zdecydowanie na albumie będzie kilka niespodzianek i kilka różnych stylów. Uważamy, że nowi fani będą zachwyceni. Nie będzie to może space rock, ale są na tej płycie ciche, delikatne fragmenty, jak i takie miażdżąco ciężkie i brzydkie.

Macie już zaplanowany pierwszy koncert w ramach festiwalu Up The Hammers. Ale nastąpi to nie wcześniej niż w marcu 2024 roku. Nie śpieszy Wam się. Czy to część Waszej strategii promocyjnej? Nie chcecie grać koncertów przed wydaniem pełnego albumu?
Chcielibyśmy zagrać wcześniej, ale nie ma pośpiechu. Prace nad albumem trwały 5 lat, więc po co spieszyć się teraz z koncertami? A jakie jest lepsze miejsce na debiut zespołu niż jeden z najlepszych festiwali w Europie? Nie ma żadnej strategii, festiwal **Up The Hammers** po prostu pojawił się jako nasza pierwsza możliwość. Co to jest 6 miesięcy oczekiwania w porównaniu do 5 lat? A tymczasem ostrzymy miecze i przygotowujemy się do bitwy w Atenach! Działaliśmy w ten sam sposób przez długi czas, ćwicząc w Niemczech przed ważnymi występami z **Manilla Road**, więc jesteśmy pewni, że z łatwością poradzimy sobie z tym występem.

Czy będziecie grać tylko utwory Sentry, czy także Manilla Road?
Sentry to **Sentry**, **Manilla Road** to **Manilla Road**. Nasz dług wobec **Manilla** został w pełni spłacony, podobnie jak dług **Manilla** wobec fanów z Europy, również został spłacony. Rozumiemy, że fani oczekiwaliby piosenek **Manilla Road**, ale nie będziemy ich grać z szacunku dla **Marka** i tego, co dał nam i światu. Nie musimy się tym przejmować. Wiele zespołów koweruje **Manilla Road**, ale my nie będziemy jednym z nich. Chcielibyśmy z **Sentry** wytyczyć nowe możliwości i jeśli wam się to podoba, nie musicie w tym celu polegać na coverach. Kroczymy teraz własną ścieżką z **Sentry**.

Wydaliście 200 płyt CD i 100 kaset. Na rynek europejski trafiło 50 płyt CD i 30 taśm. Wszystkie zostały już wyprzedane i pewnie nie ma co się spodziewać kolejnej partii. Odbyło się w zasadzie bez żadnej promocji. Zastanawiam się, co kryje się za tak małą liczbą. Czy zrobiliście to celowo, bo chcieliście wydać coś wyjątkowego i niedostępnego dla śmiertelników, czy może nie doceniliście zainteresowania waszą muzyką?
Było to po prostu wydawnictwo promocyjne zapowiadające przybycie zespołu. Obydwa utwory znajdą się na debiutanckiej płycie LP, która będzie dystrybuowana na całym świecie na płytach LP i CD przez **High Roller** oraz w wersji kasetowej przez **Postmortem Apocalypse** - podobnie jak promocyjna EPka. Zatem każdy, kto przegapił promo, otrzyma ten sam materiał na płycie LP. Taki jest zamysł **High Roller**, że będzie dostępna w każdym sklepie w Europie i poza nią! Nie było więc żadnych złośliwych zamiarów z małym nakładem, chcieliśmy zrobić coś ręcznie robionego i niepowtarzalnego. Wykonałem sitodruk na okładkach każdej płyty CD i taśmy, więc tworzenie tysięcy nie miało sensu. Wydawało nam się, że to odpowiednia liczba na promocję, z której wiele nośników zostało rozdanych. W sumie obecnie są jeszcze dostępne te

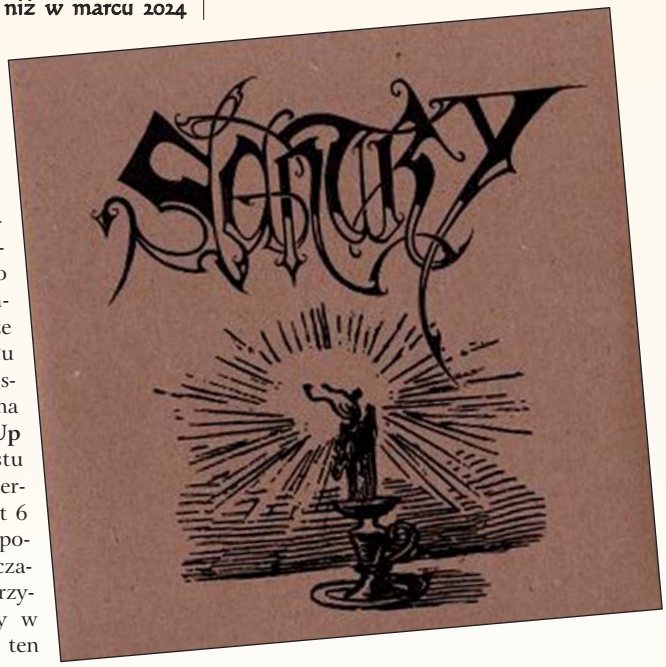

płyty u **Kalliego** i **Neudiego**! Krótko mówiąc, tak, nie doceniliśmy zainteresowania, ale piosenki będą łatwo dostępne dla nieśmiertelnych, śmiertelników i wszystkich pomiędzy...

EPka na CD i taśmę została wydany bez masteringu. Ale wersja cyfrowa, którą dostałem brzmi bardzo dobrze. Czy wersja promocyjna jest już ostateczną wersją albumu?
To te same wykonanie studyjne, ale masteringiem wersji LP zajął się **Patrcik Engel** z **The Temple of Disharmony**.

Wybraliście już wytwórnię?
Tak, **High Roller** wyda CD i LP, a **Postmortem Apocalypse** wyda kasetę.

Jako członkowie Manilla Road mieliście zaszczyt blisko współpracować z Markiem Shelton'em. Czy każdy z Was mógłby opisać swoje pierwsze spotkanie z Markiem i pierwsze wrażenia na jego temat jako muzyka?
Spróbuję pokrótce odpowiedzieć za każdego z nas. **Bryan** był nastolatkiem w latach 80. w Wichita i poznał **Marka** na występach/imprezach. **Kalli** poznała **Marka** poprzez **Roxxcalibur** i zaangażowanie Neudiego w ten projekt. Wydaje mi się, że **Neudi** poznał **Marka** na **Bang Your Head 2001**, choć mogę się mylić. Ja poznałem **Marka** w Wichita w sklepie z płytami, w którym pracowałem. Moja drukarnia znajdowała się za sklepem z płytami i **Derek** (inżynier, a teraz mój partner w Roadster Records) przedstawił mnie **Markowi**, który potrzebował koszulki na stronę internetową **Manilla Road**, a ja zarabiam na życie robieniem merchu. Moje pierwsze wrażenia na temat **Marka** były takie same, jak w przypadku wszystkich innych osób, o które pytałeś. Był super fajny i bardzo miły. Dla mnie, jako muzyka, totalnym szaleństwem było widzieć tę legendę amerykańskiego metalu grającą co tydzień lub codziennie podczas trasy koncertowej i wiedzieć, że to także zwykły facet z Kansas. Zawsze mnie rozwalał w ten czy inny sposób!

Manilla Road z pewnością ma status zespołu kultowego, cieszącego się dużym uznaniem. Jak myślisz, co jest tego przyczyną? Tylko muzyka? a może chodzi o charakter?
Kiedy **Mark** zmarł, wystarczyło spojrzeć w sieci na liczbę różnych hołdów. Każdy wstawiał jego zdjęcie i jakąś historię. Myślę, że pomogły w tym szlaki przecierane w Europie przez 20 lat. **Mark** był po prostu facetem z Kansas, miłym gościem, jeśli można tak powiedzieć. Zawsze miał czas dla każdego i to, moim zdaniem, dodało tej muzyce legendarnego statusu. Podczas gdy niektóre zespoły odbywają obecnie trasę koncertową lub odradzają się i mają tylko jedną EP-kę zawierającą pięć utworów lub zaledwie taśmę demo, **Manilla Road** tylko w samych latach 80. miała prawie osiem klasyków. Myślę więc, że powodem jest zarówno wyjątkowa i niesamowita muzyka, jak i fakt, że **Mark** był tak piękną osobą, że po spotkaniu z nim i zobaczeniu zespołu na żywo nie można było nie zakochać się.

Zawsze zastanawiała mnie jedna rzecz. Muzycznie i tekstowo twórczość Manilla Road nie jest raczej prosta i przystępna. Mimo to Wasi fani to często bezkompromisowi i radykalni metalowcy. Skąd to się bierze? Udało się Wam dotknąć najbardziej wrażliwych strun prawdziwych twardzieli?
Myślę, że metal w ogóle jest mniej dostępny niż większość sztuki "*głównego nurtu*". Naprawdę nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ nie jestem **Markiem**. Ale tak, zauważyłem, że wszyscy, od 14-letnich dziewcząt w Polsce po przerażających kryminalistów w więzieniu, kochają ten zespół (śmiech). Odkryłem, że każdy dobry metalowiec wie, gdzie jest Wichita i dlaczego.

Trzech z Was było członkami Manilla Road. Co dla Ciebie znaczy bycie częścią tak kultowego zespołu?
Dla mnie to wiele znaczy, ale moje doświadczenia zaczynają się dopiero wraz z końcem zespołu. Zawsze żartuję, że byłem w grupie jakieś 15 minut i potem **Mark** odszedł. To było bardzo słodkie i złote 15 minut, za które jestem wdzięczna każdego dnia. Zmieniło to moje życie na zawsze i jestem zaszczycony możliwością spędzenia tych 15 minut, które w rzeczywistości trwały około 2 lat, włączając w to dwie najdłuższe trasy koncertowe, jakie zespół odbył po USA i Europie.

Nie sposób nie poruszyć tematu śmierci Marka Sheltona. Minęło 5 lat, ale był postacią tak niezwykłą, że pewnie nadal pozostała po nim pustka. Czego Wam teraz najbardziej brakuje?
Wypowiem się w imieniu **Bryana** i innych mówiąc, że jammowanie w **Midgard** jest prawdopodobnie tym, czego najbardziej nam brakuje. Towarzystwo i braterstwo panujące w tym miejscu to coś, o czym zawsze będziemy pamiętać i za czym będziemy tęsknić. Jesteśmy już blisko dokończenia naszej nowej przestrzeni studyjnej, ale oczywiście już nigdy nie będzie tak samo! **Mark** miał swój sposób na powitanie każdego w swoim małym wszechświecie wykutym w piwnicznym kącie, w którym zawsze czułeś się mile widziany, nawet jeśli nie było gdzie usiąść!

Jak podsumowałbyś muzyczne dziedzictwo Marka Sheltona i to za co zostanie zapamiętany przez większość fanów metalu?
Niezwykle trudno jest podsumować coś, co zaczęło się zanim się urodziłem, nie mówiąc już o artyście tak płodnym jak **Mark**. Pod tym względem albumy mówią same za siebie i możemy podziękować ludziom takim jak **High Roller** za to, że utrzymali je przy życiu, a jednocześnie wspierali ich twórców i rodzinę **Marka Sheltona**. **Mark** był prawdziwym Amerykaninem, wielkim artystą wszechczasów amerykańskiego metalu i undergroundu w ogóle. Myślę, że tak zostanie zapamiętany - niepowtarzalny, amerykański król gitarowego shredu, wierny swojej sztuce aż do ostatniego dnia.

Dziękuję bardzo za rozmowę. Czy możemy liczyć na regularne europejskie tournée i wizytę w Polsce w przyszłym roku?
Nie wiem jeszcze nic o trasie koncertowej, ale każdy z nas bardzo chciałby wrócić do Polski. **Manilla Road** udało się być u was dwukrotnie zagrać i były to jedne z najlepszych koncertów. Bardzo podobało mi się zwiedzanie Warszawy i Gliwic - uwielbiam też polskie piwo, więc po prostu musimy wrócić!

Grzegorz Putkiewicz

HMP: Gratuluję debiutanckiego longplaya. To jeden z najlepszych epickich heavy metalowych debiutów, jakie ostatnio słyszałem. Co słychać po Waszej stronie?
Protean Shield: Sprawy mają się świetnie. W tej chwili pracujemy już nad naszym drugim albumem i staramy się ćwiczyć tak dużo, jak to możliwe, aby mieć gotowe utwory z debiutanckiego krążka, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Od razu po wysłuchaniu Waszego albumu zdałem sobie sprawę, jak doskonale pasowałby on wraz z okładką do polskiego labela Metal on Metal. Znacie jakieś kapele od nich?
Protean Shield: Jeszcze nie mieliśmy przyjemności. A może mieliśmy, ale nie zwróciliśmy uwagi na nazwę wydawcy. Nasz gitarzysta **Yannis Aktypis** prawdopodobnie miałby już wyrobioną własną opinię na ten temat. Niestety, z tymczasowych przyczyn osobistych, nie może on udzielić dziś odpowiedzi. Ale skoro o nich wspomniałeś, na pewno sprawdzimy **Metal on Metal**.

Dlaczego zdecydowaliście się wybrać No Remorse?
Protean Shield: Myślimy, że **No Remorse** to również bardzo odpowiednia wytwórnia dla naszej muzyki. W **No Remorse** mamy zaufane kontakty, co również było bardzo ważne.

Jak wygląda Wasza relacja z ateńską sceną epic heavy metalową?
Protean Shield: Uwielbiamy grecką, a co za tym idzie ateńską scenę, zwłaszcza następujące zespoły: **Triumpher**, **Sacred Outcry**, **Sacral Rage**, **Black Sword**, **Thunder Attack**, **Innerwish** i **Wardrum**. W ostatnich latach grecka scena eksploduje i nic nie jest w stanie jej okiełznać. Super.

Niektórzy zauważają, że Protean Shield od-

Protean Shield

Nie jesteśmy standardowym zespołem epic heavy metalowym

Jesteście z epic heavy metalem za pan-brat czy nie, Protean Shield podchodzi do tematu inaczej. Już na niedawno wydanej debiutanckiej płycie wniósł innowacje i świeże podejście do gatunku zarówno w warstwie lirycznej, graficznej, instrumentalnej, jak i wokalnej. Żaden inny zespół nie brzmi tak jak oni. Niektóre ich teksty nie opowiadają historii, za to kreują majestatyczną atmosferę. Z nieskrywaną ekscytacją zapraszam do przeczytania niniejszego wywiadu.

biega od standardów epickiego heavy metalu. W jakim zakresie czujecie, że robicie coś wyjątkowego?
Protean Shield: Komponowanie stanowi jedną z najważniejszych różnic. Nie tylko struktura utworów, ale także progresja melodii nie jest konwencjonalna. Kolejną rzeczą jest przywiązywanie ogromnej wagi do tekstów. Nasze liryki stoją na wysokim poziomie, a gdy słuchacz zwraca na nie uwagę, znacznie poprawia swoje wrażenia słuchowe.

Czy potrzebowaliście spędzić nieco czasu na dopasowaniu wokalu do partii instrumentalnych?
Protean Shield: Nie! Pasowało idealnie od razu.

Bardzo podoba mi się nazwa Protean Shield. Brzmi jak "moje mięśnie są twardsze od kamizelki kuloodpornej" (Proteins Shield), "snoby mają się nie zbliżać" (Pro-tean Shield) lub "bronimy metalu dla młodszych pokoleń" (Pro-teen Shield).
Protean Shield: Pleciesz. **Proteusz** należy przecież do kluczowych postaci greckiej mitologii. Był morskim bóstwem znanym z niesamowitego talentu do zmiany swej fizycznej postaci. Często mówiło się o nim "**Morski Starzec**". Był bardzo mądry, znał rozmaite sekrety oraz przepowiednie. Znamienna historia z udziałem **Proteusza** pojawia się w opusie **Homera**, czyli w **Odysei**, gdybyś chciał się douczyć. Nazwa **Protean Shield** nawiązuje do magicznych zdolności **Proteusza**, z uwzględnieniem bardzo inspirującego pomysłu tarczy przybierającej rozmaite formy w zależności od woli jej posiadacza. Jakiś czas dyskutowaliśmy o tym między sobą, padały też inne możliwe nazwy zespołu, jednak pamiętam, że odkąd padła "**Protean Shield**", zdecydowaliśmy się przy niej pozostać! Nie oznacza to, że koniecznie musieliśmy mieć człon "shield", niemniej bardzo poważamy tarcze, tak samo jak każdą inną średniowieczną broń. Każda ma swoje zastosowanie. Da się użyć tarczy zarówno do obrony, jak i do ataku, zupełnie tak jak miecz. Nie zastanawialiśmy się nad jej potencjałem obronnym. Protean **Shield** fajnie brzmi i jest dodatkowo uzasadnione naszym utworem o tej samej nazwie.

Jak ważne było dla Was ukazanie kobiety wojownika w centralnej części okładki Waszego albumu?
Protean Shield: Bardzo! Kobieta wojownik wygląda dokładnie tak, jaka powinna. Nie nosi roznegliżowanych ubrań, które byłyby bezużyteczne w walce! To kobieta wojownik w pełnej krasie. Wojowniczki fascynują mnie bardziej niż mężczyźni, że wymienię choćby **Belit**, **Valerię** czy **Red Sonię**. Poza tym nudzą nas ogromne, umięśnione chłopy na okładkach większości albumów w podobnym stylu. Nie chcieliśmy mieć okładki, która wygląda jak wszystkie inne.

Wasze teksty odznaczają się cudowną poetyckością. Kto w zespole jest największym poetą?

Foto: Protean Shield

Protean Shield: **Odysseas Pasipoularidis**, nasz perkusista, jest jak dotąd jedynym autorem tekstów. To zdecydowanie zmieni się na naszym drugim albumie. Wszyscy członkowie zespołu mają wiele do zaoferowania w tym zakresie.

Odysseas, Twoje teksty niekoniecznie skupiają się na opowiadaniu historii akcji. Czasami kładą większy nacisk na tworzenie atmosfery lub rozwijanie przed oczami wyobraźni zapierających dech w piersiach krajobrazów. Czy "The Pendulum" jest swego rodzaju wyznaniem Twoich pisarskich rozterek? Jak je przezwyciężasz?
Odysseas Pasipoularidis: Nie miewam pisarskich rozterek. Po prostu piszę to, co przychodzi mi do głowy. Historie akcji nie są moim ulubionym tematem, ale czasami zdarza mi się je popełnić. Tak więc moją "mocną ręką" jest "tworzenie atmosfery" i głównie odnoszenie się do spraw emocjonalnych oraz filozoficznych.

W "Mariner's Dream" stwierdzasz, że "sny to tylko koszmary w maskach". Czy To twoja wersja powiedzenia "uważaj, czego sobie życzysz", ponieważ może nie być drogi powrotnej? Czy doświadczyłeś czegoś takiego w swoim prawdziwym życiu?
Odysseas Pasipoularidis: Cóż, z pewnością tak. Życie polega na braku kontroli, a nie odwrotnie. Bycie pewnym tego, co chcesz, aby ci się przydarzyło w przyszłości, jest nieco aroganckie. Naprawdę nie wiesz, co jest dla Ciebie dobre. Ok, możesz mieć mgliste pojęcie. Więc tak, musisz uważać na to, czego sobie życzysz. Miałem podobne doświadczenia.

Oba Wasze dotychczasowe teledyski ("Protean Shields" oraz "Mariner's Dream") to lyrics videos. Nie korciło Was, żeby zrobić choć jeden standardowy klip?
Odysseas Pasipoularidis: Nie bierzemy obecnie pod uwagę opcji przygotowania teledysku w żadnej innej formie, ale niewykluczone, że zrobimy to w przyszłości.

Na jakim etapie komponowania założyłeś, że album zakończy się happy endem?
Odysseas Pasipoularidis: A czy w ogóle kończy się happy endem? Cały wszechświat nieodwołalnie skłania się ku krańcowi, po którym nie pozostanie już nic... Więc nie wiem, czy to aby na pewno happy end. Na pewno końcówka jest majestatyczna.

Czy planujecie utrzymać wszystko "w domu", czy może rozważylibyście zaproszenie gości z innych epickich zespołów heavy metalowych na kolejne albumy?
Protean Shield: Jesteśmy otwarci na sugestie!

Sam O'Black

Impending Triumph

Przestroga przed purytanizmem

Po ujrzeniu okładek starych książek, Belg z Francuzem zabrali się za epicki heavy metal z jakże aktualnym po 9 marca 2020 roku przesłaniem, że zbliżający się triumf może znieczulać na prowadzące ku niemu podłe czyny. Chroniąc się w studiu nagraniowym przed powszechną znieczulicą, duet François Blanc oraz Olmo "Déha" Lipani opowiada o debiutanckiej EP Impending Triumph. Mimo, że wcześniej owi muzycy zajmowali się bardziej ekstremalnymi odmianami metalu, od urodzenia uwielbiali tradycyjne ciężkie granie, co znalazło odzwierciedlenie w ich nowej formacji.

HMP: Opowiedzcie mi proszę o Waszej muzycznej przygodzie.

François: Wychowałem się na hard rocku i na heavy metalu. Jestem najmłodszy wśród mojego rodzeństwa, a gdy urodziłem się we Francji pod koniec lat osiemdziesiątych, obie moje siostry uwielbiały **Kiss**, **Manowar**, **Accept**, **Helloween** i **Running Wild**. Miałem szczęście, że od najmłodszych lat towarzyszyła mi tego typu muzyka. Z czasem moja muzyczna pasja tylko się umacniała. W dzieciństwie słuchałem tego samego, co siostry, a w późniejszych latach młodzieńczych wziąłem sprawy we własne ręce i zgłębiałem również inne metalowe gatunki. Na przestrzeni lat grałem w różnych zespołach. Pierwszy rozpocząłem w wieku siedmiu lat, ale w rzeczywistości generowaliśmy ze szkolnymi kumplami niesłuchalny hałas, nazywany tylko przez nas hard rockiem. Sprawy nabrały poważniejszego wymiaru w 2007 roku, gdy założyłem doom/gothic metalowy zespół **Angellore**. Cztery lata później dołączyłem do progresywno - blackmetalowej kapeli **Abduction**. Tam też spotkałem **Déha** - naszego producenta, a następnie również inżyniera studyjnego. Natychmiast się zaprzyjaźniliśmy i wspólnie sporo pracowaliśmy nad rozwojem moich technik wokalnych, jako że świetny z niego coach. Z czasem moja pewność siebie za mikrofonem znacznie rosła, a on odegrał znaczną rolę w tym procesie. Dziesięć lat temu nie byłbym w stanie śpiewać w zespole heavy metalowym, ponieważ czułem się zbyt nieśmiały, by wydobyć z siebie pełnię emocji. Obecnie jest bez porównania lepiej. Zaangażowałem się w wiele muzycznych projektów. Świetnie się czuję z ekspresją różnych odmian metalu.

Foto: Impending Triumph

Déha: Ja pochodzę z Belgii. Muzyką zajmuję się od piętnastego roku życia. Uwielbiam wszystkie style muzyczne, ale najbardziej black metal, tak na poziomie duchowym, jak i cielesnym. Jestem samoukiem, co nie daje mi przewagi formalnej, ale przez lata wyprodukowałem wiele płyt. Posiadam **Opus Magnum Studio** w mieście zagubionych, czyli w Brukseli. Muzykę uważam za wrota do innego świata.

W jakich okolicznościach ludzie zaczęli nazywać Ciebie François Blanc - "Walran", a Ciebie Olmo Lipani - "Déha"?

François: W okresie uczęszczania do liceum pisałem opowiadania i zmagałem się ze znalezieniem odpowiedniego imienia dla mojego głównego bohatera, który był w zasadzie lepszą, bardziej pewną siebie wersją mnie; facetem, którym chciałem być, a nie osobą, którą byłem. Przyjaciel zasugerował mi **Walran**, stare i niezbyt popularne imię z Bretanii, które bardzo mi się spodobało. Kiedy założyliśmy **Angellore**, nasz gitarzysta **Rosarius** i ja poczuliśmy, że lepiej będzie zmienić nasze imiona, aby stworzyć pewnego rodzaju "mistykę" i zdystansować się od prawdziwego świata. Nie ma to głębokiego znaczenia, ale utkwiło mi to w pamięci i nadal używam tego pseudonimu w **Angellore**, a także w innym projekcie, nad którym pracowaliśmy z **Déha** (poza Impending Triumph). W przypadku **Impending Triumph** używam po prostu mojego imienia: François.

Déha: **Déha** to pseudonim, którego ludzie zaczęli używać na forach internetowych, gdy miałem 18 lat, ponieważ D i A to inicjały mojego długiego, zapomnianego, gotyckiego pseudonimu (śmiech). Po francusku D A to "Dé Ah", więc zdecydowałem się dodać H dla łącznika i przeciwstawnego akcentu, aby nawiązać do świętej symetrii black metalu. Dwadzieścia lat minęło i nazywanie mnie **Déha** stało się całkiem naturalne. Z czasem przestałem odróżniać moje prawdziwe imię od **Déha**. Do diabła, to wręcz dziwne, gdy ludzie nazywają mnie **Olmo**!

Na ekranie wygląda na to, że Déh? wydajesz nowe longplaye tak często, jak The Beatles wydawali single sześćdziesiąt lat temu. Czy spędzasz każdy dzień w studiu nagraniowym? Jak wygląda Twoja codzienna rutyna?

Déha: Zazwyczaj poświęcam od jednej do dwóch godzin na wybudzenie się/odpowiadanie na e-maile/drobne obowiązki. Potem następuje zwykły dzień: albo witam zespoły i zaczynam z nimi pracować, albo po prostu pracuję (miksowanie, mastering, moja własna muzyka, itp.). Może to trwać tak długo, aż moje uszy przestaną działać. Gdy zawodowo zajmujesz się swoją pasją, nigdy nie wiesz, kiedy skończyć. Powiedziałbym też, że każdy dzień jest inny. W tym, co robię, jest wiele podrzędnych prac, takich jak testowanie nowych technik, ulepszanie moich obecnych, czyszczenie plików komputera, tworzenie kopii zapasowych, sprzątanie studia, testowanie kabli, kabin, mikrofonów... a nawet układanie lub prowadzenie kursów wokalnych/muzycznych. Nie nudzi mi się!

François, a jak idzie Ci kariera w Rock Hard France? Ostatnio z ogromnym zaciekawieniem przeczytałem Twój wywiad na ten temat na łamach metalorgie.com. Zastanawiam się, ilu Waszych czytelników pochodzi z mniej oczywistych francuskojęzycznych zakątków świata, czyli np. z Afryki? Czy odkryłeś jakieś ciekawe zespoły w świecie francuskojęzycznym, które pozostają kompletnie nieznane w kręgach kultury angielskojęzycznej?

François: Idzie mi dobrze, dzięki, że zapytałeś! Fajnie, że udało Ci się zapoznać z wywiadem na metalorgie.com, bo dość kompletnie przedstawia moją dziennikarską działalność.

Niestety, nasz magazyn nie ukazuje się w Afryce, ale ludzie z chyba wszystkich francuskojęzycznych krajów nas czytają i subskrybują. Posiadam mnóstwo ciekawych albumów w swojej kolekcji płyt CD oraz na dysku komputera. Wśród nich występują francuskojęzyczne kapele, które zasługują, aby je usłyszeć. Z heavy metalu wymieniłbym: **Tentation**, **Meurtrieres**, **Existance**, **Terrifiant** (z Belgii), **Herzel**, **Sacral Night**, **Tomo Vertigo** oraz **Hevius**. Sprawdź je!

Czy zgodzilibyście się, że sztuka wizualna jest dominującą formą sztuki we Francji?

François: Owszem, zgodziłbym się. Francja nie wykształciła odrębnej rockowej kultury. Przed pojawieniem się **Hellfestu** brakowało u nas festiwali. Wiele zespołów podczas europejskich tras gra tylko jedno show w Paryżu lub całkowicie omija Francję. Natomiast do sztuki wizualnej podchodzi się tu poważniej i lepiej się ją eksponuje. Możliwe, że jest to tylko moje subiektywne odczucie. Niewykluczone, że inny muzyk inaczej odpowiedziałby na postawione pytanie.

Jak często zdarza Wam się skomponować muzykę z nadrzędnym celem opowiedzenia jakiejś historii zainspirowanej wizualnym bodźcem?

François: My z **Déha** wybieramy zazwyczaj okładkę dopiero, gdy mamy ukończoną muzykę, w celu wizualnej ekspresji uczuć z nią związanych. Niemniej jednak wizualne bodźce często pobudzają naszą wyobraźnię. **Guillaume**, główny twórca muzyki **Abduction**, wybiera okładkę już na etapie robienia demówki i potrzebuje ją widzieć przez cały czas nagrywania w studiu, aby mieć pewność, że muzyka podąża we właściwym kierunku i perfekcyjnie pasuje do okładki. Myślę, że to interesujące i nietypowe podejście.

Czy założylibyście epic heavy metalowy zespół prędzej lub później, nawet gdyby nigdy żaden grafik nie opublikował okładek starych książek na Facebooku? Pali się wewnątrz Was epic heavy metalowy ogień, czy jesteście motywowani jedynie czynnikami zewnętrznymi?

François: Dobre pytanie. Sam je sobie kilkukrotnie zadawałem. Nie jestem do końca pewien, ale raczej musieliśmy w końcu powołać **Impending Triumph**. Odkąd pamiętam, niesamowicie uwielbiałem epicki heavy metal, jednak przed nagraniem trzeciego albumu **Abduction**, pt. "**Jehanne**" (2020), z wieloma czystymi partiami wokalnymi, nie sądziłem, że dysponuję odpowiednim głosem. Lecz gdy ujrzałem wspomniany post na Facebooku, coś we mnie drgnęło i zamiar stworzenia tradycyjnie grającej kapeli nabrał rozpędu. Wskoczyłem w to z ogromnym entuzjazmem. Po raz pierwszy grałem, pisałem i nagrywałem tego typu muzykę z **Déha**, ale od razu poczuliśmy wielki zapał. **Impending Triumph** na pewno nie zakończy się na jednej EP-ce. Oddaję tu hołd dźwiękom, na których dorastałem, a także korzystam ze wspaniałej okazji do artystycznej ekspresji na zupełnie nowych dla mnie zasadach. Dobrze się przy tym bawimy.

Jak wygląda Wasza współpraca w Impending Triumph? François, Ty jesteś wokalistą, a Ty Déh? multiinstrumentalistą i producentem? Kto komponuje więcej? Czy pracujecie zdalnie?

François: Odpowiadam za większość wokali, wszystkie teksty/koncepcje i większość linii wokalnych, podczas gdy **Déha** pisze dziewięćdziesiąt pięć procent muzyki (ja tylko dodaję kilka małych melodii lub sugestii tu i tam), śpiewa również niektóre partie (głównie chóry i wysokie krzyki) i gra na wszystkich instrumentach (ja zagrałem tylko połowę syntezatorów we wstępie do EP-ki). W przypadku tej EP-ki napisaliśmy i nagraliśmy wszystko w tym samym pomieszczeniu. Miałem tylko kilka pomysłów na teksty, które spisałem w domu przed wyjazdem do Belgii, a potem zebraliśmy się, posłuchaliśmy heavy metalu z lat osiemdziesiątych w poszukiwaniu inspiracji, wzięliśmy gitarę i poszliśmy dalej. Siedzę blisko **Déha**, gdy pisze i nagrywa - upewniamy się, że zawsze zgadzamy się absolutnie we wszystkim - a on mnie trenuje i sugeruje, kiedy powinienem śpiewać swoje partie. Zastosujemy tę samą metodę na nadchodzącym albumie. To bardzo spontaniczne, odświeżające podejście. Wspaniale jest pracować w ten sposób.

EP-ka Impending Triumph brzmi jak 100% prawdziwy epicki heavy metal. To świetnie, że macie jasny kierunek i wiecie, co chcecie grać jako Impending Triumph. Czy zamierzacie przesuwać granicę gatunku w przyszłości?

François: Dziękuję, o to nam chodziło: o granie prawdziwego epickiego heavy metalu, z naleciałościami hard rocka i power metalu. Myślę, że teraz, gdy pracujemy nad pełnym albumem, nasza tożsamość staje się coraz wyraźniejsza. Album będzie nieco bardziej zróżnicowany niż EP-ka, ale nie posunąłbym się do "przesuwania granic gatunku". Po prostu robimy muzykę, którą kochamy, tak jak chcemy. Nigdy nie odejdziemy zbyt daleko od świata epickiego heavy metalu, ale nie chcemy się ograniczać. Mamy nadzieję, że w odpowiednim czasie ludzie docenią nasze brzmienie i sposób pisania utworów. Ale nie jesteśmy tu po to, by wymyślać koło na nowo!

A więc pracujecie już nad longplayem?

Déha: Ano pracujemy. Longplay będzie taki, jakiego możesz się spodziewać: heavy fucking metalowy. Znajdą się na nim charakterystyczne dla nas elementy: nieświęte blasty, chwytliwe refreny, chóry, epickość prosto w twarz i power metalowe motywy, które zamienią każdego w smoka spoczywającego na zamku. Na pewno pojawi się więcej naszych znaków rozpoznawczych. Już jakiś czas nad tym pracujemy i nie możemy się doczekać, kiedy rozpoczniemy nagrywanie!

Fikcyjna postać Puritania jest głównym bohaterem wszystkich tekstów Impending Triumph. Czy zaczerpnęliście go z kawałka Dimmu Borgir "Puritania" (2001)? Czego możemy się nauczyć o radzeniu sobie z tyranią w prawdziwym świecie na podstawie jego słabości?

François: **Puritania** to właściwie "ona" - chwalebna cesarzowa fikcyjnego świata, w którym rozgrywa się akcja. Lubimy stare albumy **Dimmu Borgir** i byłem świadomy tego konkretnego utworu, ale nie, nie ma związku między jej nazwą a naszym wyimaginowanym

tyranem.

Wybrałem nazwę "**Puritania**" jako odniesienie do wszelkiego rodzaju purytanizmu, który można znaleźć we współczesnym społeczeństwie. Chodzi o każdy przypadek, gdy ludzie gardzą Tobą nie za Twoje czyny, ale za kolor skóry, przekonania, sposób życia, itp. Nasze tak zwane "postępowe", "tolerancyjne" społeczeństwo z pewnością uwielbia cenzurę, groźby, wykluczenie i zastraszanie! Pomyślałem, że ciekawie byłoby uczynić naszego głównego bohatera żołnierzem Purytanii, który chętnie wykonuje rozkazy swojego suwerena, nigdy ich nie kwestionując. Przesłaniem i radą dla słuchaczy jest to, aby mieli otwarty umysł i zawsze myśleli samodzielnie. Podobnie jak wielu tyranów, Purytania jest całkowicie zadufana w sobie, a jej nadmuchana duma może ostatecznie doprowadzić do jej zguby. To prawdopodobnie jej największa słabość.

Czy posunęlibyście się do rozwinięcia Purytanii w metaforę dysharmonii panującej między logos, thymos i eros w ujęciu Platona, bądź w metaforę gnostyckiego konfliktu pomiędzy dobrym spiritem a jego złą kopią - soulem?

François: Pod względem filozoficznym, nie zapuszczaliśmy się w tak zaawansowane rewiry. Możliwe, że da się znaleźć związek Purytanii z gnostyckim rozróżnieniem między spiritem a soulem. Ale to, co moim zdaniem jest ciekawe w naszym koncepcie, to psychologiczna strona głównego bohatera. Oczywiście, historia dzieje się w średniowieczu i jest zmyślona, ale jak ktoś mógłby czerpać dumę z zabijania ludzi, niszczenia całych wiosek bądź świątyń, tylko dlatego, że **Purytania** kazała mu to zrobić? W pewnym momencie zbrodniarz jest przekonany, że cel **Purytanii** uświęca środki i zupełnie nie uświadamia sobie ogromu wyrządzanego zła. Słuchacz powinien pomyśleć: gdy wykazuję się nadmierną agresją lub szerzę mowę nienawiści, czy naprawdę jestem wówczas obrońcą wyższych wartości? Niektórzy są tak mocno przekonani o swojej misji, że wygadują okropne i podłe bzdety, a nawet zachowują się jeszcze gorzej od swoich znienawidzonych przeciwników. Powinniśmy starać się poprawiać, zwłaszcza pod względem umiarkowania i krytycznego myślenia.

Sam O'Black

TASSACK

si-ka-la-fą

Crossoverowy Tassack z Budzynia działa na polskim rynku blisko dekadę. Ma na koncie trzy studyjne wydawnictwa i tyle samo oficjalnych koncertówek. Niestety do tej pory zespół ten nie znalazł się na łamy naszego magazynu. Dlaczego? Trudno na to odpowiedzieć. Prawdopodobnie po prostu nie trafiliśmy na siebie. Zmienia się to teraz, tym bardziej że w końcu dotarła do nas muzyka tej ekipy, a ich ostatni album studyjny "Ogień w szopie" (2022) osiągnął naprawdę przyzwoity poziom muzyczny. A z tej perspektywy trzeba patrzeć na Tassack jako na poważnego przedstawiciela polskiego crossovera. Z drugiej strony teksty opierają na dość bezpośrednim żarcie, co z kolei nie wszystkim w Polsce może się spodobać. Jak ktoś nie ma z tym problemu, zapraszam do wywiadu, gdzie lider (tak mi się wydaje - przyp. red.), basista, Lucy, wspomagany wypowiedziami aktualnego gitarzysty Dawida, ciekawie opowiada o karierze formacji.

HMP: Tassack pochodzi z Budzynia małego miasteczka z Wielkopolski i jesteście z tego bardzo dumni...

Lucy: Dokładnie tak! Duma rozpiera, szczególnie że praktycznie wszystkie kapele pochodzą z większych miast. Dla mnie przynajmniej jest to wyjątkowe, że założyliśmy kapele właśnie na wsi i przez wiele lat jej członkowie pochodzili z okolicznych miasteczek/wsi leżących dookoła Budzynia!

Jednak pochodzenie z prowincji nie jest żadną ujmą, a jak jest się komentatorem współczesnych wydarzeń i życia codziennego to z takiego zaścianka widać jeszcze wyraźniej i jest z czego kpić...

Lucy: Życie na wsi jest piękne na swój sposób. Tracisz na dostępności wszelakich dóbr jak chociażby zwykłe sklepy spożywcze, a nie wspomnę już o, chociażby Empikach. Śliniliśmy się jeżdżąc do Piły gdzie oglądaliśmy CD-ki. Zyskujesz jednak na spokoju, sielankowym klimacie, lasach, polach, łąkach i sąsiadach, którzy wszystkich znają i wiedzą lepiej od ciebie ile masz bejmów w portfelu. (śmiech)

Ale chyba teraz jesteście związani z większymi aglomeracjami?

Lucy: W 2022r. przenieśliśmy się z graniem prób do Poznania, wyszło to ze względów na nowy skład. Było to korzystniejsze, ponieważ mieszkał tutaj wówczas **Dawid**, **Miki** siedzi w Szamotułach, ja również przeprowadziłem się do Pozka i tak naprawdę jedynie **Sharec** został w Budzyniu. Można więc stwierdzić, że **Tassack** jest teraz z "P do N i kreska", ale zawsze będziemy kapelą z Budzynia!

Fot. Tassack

Prowadzenie kabaretu czy też bycie satyrykiem to nic łatwego, wszystkim wydaje się, że to łatwizna, wystarczy powiedzieć coś głupiego i przekląć parę razy i już skecz gotowy. Wydaje mi się, że wy jednak musicie trochę pogłówkować, aby wasz żart w miarę dobrze zabrzmiał?

Lucy: Hmmm… ciekawe spojrzenie. Nasz humor wychodzi jednak bardzo naturalnie i jakby nie patrzeć, nie zastanawiamy się długo nad tym czy to, co robimy, rozśmieszy ludzi, czy będzie kiczowate. Jeżeli uwaliliśmy się ze śmiechu "tworząc to" to puszczamy temat w świat.

Właśnie na płycie "Mega...dożynki" wasze dowcipy wyglądają na dość naturalne, spontaniczne i są odegrane na luzie. Natomiast na drugim krążku "Hieny Cmentarne" zaproponowaliście trochę inny klimat swoich żartów i nie do końca to zadziałało. Macie jakiś system sprawdzania, czy wasze kpiny są celne, czy wszystko opieracie na swoim poczuciu humoru?

Lucy: Nieee, wszystko opiera się na naszym poczuciu humoru. Można by powiedzieć, że muzykę, teksty, żarty tworzymy pod siebie, jednak wiadomo, jak pada coś wybitnego to, jesteśmy świadomi, jak ludzie pękną ze śmiechu, widząc to - przynajmniej dla mnie - jest to zajebiście satysfakcjonujące. "**Hieny Cmentarne**" miały być tą "mroczniejszą" płytą, nasi fani mega ją "kupili" i to chyba nawet bardziej, niż my sami. (śmiech)

Na debiucie wasze żarty są dość prostackie. Natomiast na "Ogniu w szopie" znajdziemy też bardziej subtelne formy żartu...

Lucy: Wiesz, zmienił się skład, każdy album był nagrywany z innym gitarzystą, to miało duży wpływ. Też nie ukrywam, jesteśmy trochę starsi i inaczej "kleimy" ten żart. Jednak nie twierdzę, że nie śmieszą nas już takie "durnoty" jak za czasów "**Dożynek...**". Nadal uwielbiam totalnie durne i głupie tematy!

Dawid: Akurat przy tworzeniu tekstów do najnowszego albumu czasami musieliśmy zastanowić się jak ująć dany temat, żeby przypadkiem nie przesadzić z żartem, bo momentami ocierało się to o dość poważne zagadnienia, jak chociażby bezdomność, uzależnienie od alkoholu ("Oko menela") czy środki odurzające ("Nitro").

Niekiedy walniecie "suchara", ale zdaje się, nie przejmujecie się takimi sprawami, prawda?

Lucy: "**Dożynki...**" to tak naprawdę zlepka kawałków powstałych przez pierwsze pięć lat istnienia grupy. Tworzyliśmy wiele kawałków na zasadzie "im durniej tym lepiej" niczym pierwsze płyty **Acid Drinekrs**. "**Ogień w Szopie**" miało już swój własny koncept. Z początku miała to być totalnie imprezowa płyta, chcieliśmy stworzyć coś pokroju "**The Art. of Partying**" **Municipal Waste**, czy coś w stylu kultowego "**The Morning After**" **Tankardu**. "**Ogień...**" jest imprezowy, jednak totalnie w swoim stylu.

Dawid: "Suchary" najczęściej są dość świadomym zabiegiem. Przy układaniu tekstu np. do "**Ognia w szopie**" staraliśmy się dobrać abstrakcyjne sytuacje i połączyć je tak, aby zachowały minimum logiki jako całość

Tematy utworów nakręcają różne sprawy, zupełnie lekkie typu imprezowanie ("Ogień w szopie"), ale też poważne, jak chociażby alkoholizm ("Oko menela"), bacznie też obserwujecie to, co porusza współczesną młodzież i np. komentujecie popularny serial ("Cobra Kai"), potraficie również pójść dalej i docenić dziewiątą muzę, wyrażając uwielbienie do ról filmowych Bogusława Lindy ("S.M.R")...

Lucy: Tak jak już wspomniałem, "**Ogień...**" miał być w całości imprezową, wręcz płytą koncepcyjną. Miał się tam znaleźć, chociażby kawałek "***Kac song***", który pisał **Labuch**. Zmienił się jednak skład i poluźniliśmy ten cały koncept. "***Cobra Kai***" wyszło przeze mnie, gdyż zachwyciłem się na maxa tym serialem. "***S.M.R.***" to chyba pomysł **Mikiego**, ale tutaj nie daje ręki uciąć, bo wszyscy siedzieliśmy przy tym kawałku. **Dawid** dał całą muzykę, **Miki** tytuł, ja pamiętam, że przed napisaniem tego tekstu z **Sharkiem**, obejrzałem wszystkie topowe filmy z **Lindą**, aby przypomnieć sobie ten kult i dobrze przenieść klimat do utworu. Jak doszło do "***Oko Menela***" nie pamiętam, czyi to był pomysł. Pewne jest, że każdy z nas uwielbia stare legendarne już durne "filmiki" z YouTube.

Foto: Tassack

Wygraliście crossover/thrash dlaczego? W takich krótkich formach czujecie się najlepiej? A może, dlatego że temu stylowi często przypisane jest również szyderstwo ze wszystkiego i wszystkich?

Lucy: Poniekąd to prawda! Gramy crossover, głównie dzięki kapeli **Tester Gier** (pozdro chopy!), bo to oni uświadomili mnie, że można grać szybko, ostro i zarazem z humorem. Otworzyli mi oczy na takie kapele jak chociażby **D.R.I.** czy **Suicidal Tendencies**, a te legendarne składy nie bały się trochę ponabijać w swoich tekstach. Crossover to styl, w którym czujemy się najlepiej i najbardziej elastycznie. Jest tam ogrom thrashu, jest ta tekstowa swoboda, nie zawsze musimy żartować w tekstach, ale są za to dodatkowe dodatnie punkty (śmiech), a i jest tam też dużo punkowego podejścia, które kocham. Żyć nie umierać! (śmiech)

No właśnie... Myślę, że w waszym wypadku dużym źródłem inspiracji jest też punk rock/hardcore, ale ten głównie polski...

Lucy: Chyba na przestrzeni wszystkich składów **Tassacka**, to ja najwięcej słuchałem punka i fakt, głównie tego polskiego. Uwielbiam **Zielone Żabki**, **KSU**, czy **Siekierę**. Od ponad roku mega wbiłem się, również w hardcore i zachwyciłem, chociażby takimi składami jak **Biohazard** czy **Sick of it All**, przez co wydałem ostatnio solową płytę właśnie w takich klimatach. Ja i **Sharec** uwielbiamy punkowe podejście do wielu spraw, na zasadzie: Coś nie stroi, wyjebane, gramy dalej, ma być ogień na scenie. Podskoki, piruety, itp. itd. Wiesz, chodzi o tę czystą prostą energię. Natomiast **Dawid** i **Miki** nie przepadają za punkiem i to oni podnoszą nam ten level i walczą, aby nagrania były lepiej zarejestrowane, czy kompozycja była bardziej "przemyślana". Powiedziałbym, że na ten moment to oni są tymi elementem thrashu w **Tassacku** i idealnie się to miesza z naszym punkowo/crossoverowym myśleniem.

Często też nawiązujecie do hip-hopu, w taki "anthraxowski" sposób...

Lucy: Znowu dzielimy obóz **Tassacka** na pół. (śmiech) Ja i **Sharec** uwielbiamy hip-hop. **Sharec** nawet kiedyś nagrywał raperów z Budzynia, współpracował z grupą **Chamsko-Chamsy**. Ja obecnie z moją ekipą mamy zajawkę na pseudo projekt **Obsrana Katana Szatana**, który jest mocno inspirowany kultową poznańską grupą **Nagły Atak Spawacza**. W **Tassacku** wszyscy uwielbiamy **Anthrax**, załoga **Scotta Iana** mega połączyła thrash z rapem, dzięki czemu i my postanowiliśmy spróbować zrobić taki mix. Kawałek z legendarny **Lechem Rochem Pawalakiem** (Pozdro Mordo!) to idealna "polska wersja Anthraxu z Public Enemy". (śmiech) Na horyzoncie jest też pomysł na wspólny ostry track ze wspomnianym **Nagłym Atakiem Spawacza**, szczególnie że przed nami wspólny głośny koncert w Poznaniu, ale zobaczymy, co życie przyniesie. Na pewno staramy się uważać z dodawaniem rapu do **Tassacka**, ponieważ wiemy, że większość naszych fanów raczej nie jara ten gatunek.

Na "Mega...dożynki" wasza muzyka jest mocno sytuacyjna i ociera się o chaos. Niemniej, żeby takie podejście zadziałało to, muzycy muszą być mocno obsłuchani i to nie tylko z thrashem, ale z szeroko pojętą muzyką. No i muszą mieć umiejętności, aby te nieoczywiste pomysły móc odegrać...

Lucy: (śmiech) Taaak "**Dożyłki**" to iście crossoverowy chaos. (śmiech) Mieliśmy wizje, byliśmy mocno zajarani różnymi kapelami z gatunku i mieliśmy za cel nagrać album. Udało się, przynajmniej według mnie, choć dla wielu (co mnie totalnie nie dziwi) ten LP to niezbyt udany zabieg. Chodzi głównie o wykonanie i produkcję, ale tak jak wspominałem, ja uwielbiam punka i według mnie jest dobrze. Jest brudno, oldschoolowo i wiejsko! Czego chcieć więcej? (śmiech)

W takich momentach bardzo łatwo popełnić plagiat. Staracie się uważać na takie sytuacje, czy też w ogóle nie zawracacie na to uwagi?

Lucy: Tak, bardzo uważamy, aby nie "ukraść" nikomu riffa, choć to czasami bardzo ciężkie w tym gatunku. Po latach mój przyjaciel **Czarek** z kapeli **Leprozorium** pokazał mi numer **Iron Maiden**, w którym wjeżdża riff, jaki można usłyszeć w naszym utworze pt. "***Grażyna***". Niezła zwała, myślałem, że się wówczas wywalę ze śmiechu. Więc to dosyć ciężkie zadanie, jednak wydaje mi się, że ogólnie udało nam się uniknąć niecelowego piractwa. Jesteśmy już na etapie, że kradniemy riffy samym sobie. (śmiech) Czasami coś brzmi jak kawałek z pierwszej lub drugiej płyty, to dosyć zabawne.

Jednak trafiają się wam skuchy, bo pomysł wykorzystania "Siała baba mak", czy cytatów z "Psów" wpadli już dawno inni thrasherzy...

Lucy: Z **Geisha Goner** skumałem też po fakcie, ale w przypadku **Quo Vadis**, to naturalna, taka sama inspiracja. Przecież nie ma zasady, że jak ktoś zrobi kawałek o jakimś filmie to, inny band nie może już o nich nic napisać.

Foto: Tassack

Dawid: Kierując się twoim tokiem myślenia trzeba by uznać większą część twórczości sceny black/death metalowej za plagiat lub pasmo skuch, bo tematyka utworów jest kreślona jakby przez kalkę na podstawie zagadnienia przeżutego już do znudzenia.

Na "Hienach Cmentarnych" podeszliście do muzyki zupełnie na serio. Wyszło wam to niezgorzej, ale oddaliliście się od waszego luzu, spontaniczności i naturalności, a tym samym niestety straciliście trochę na wiarygodności...

Lucy: O, naprawdę tak uważasz? To serio ciekawe. Na "**Hienach...**" było mrocznej i trochę poważniej, jednak nadal była ta głupota. Fani mega jarają się tym krążkiem, co nas czasami aż zaskakuje. Obecnie pracujemy też nad trochę poważniejszym materiałem, jednak bez obaw to nadal będzie **Tassack**! Jeżeli stracimy wówczas na wiarygodności, to spokojna głowa w przyszłości znowu rozśmieszymy was do łez! (śmiech)

Dawid: "**Hieny Cmentarne**" miały niejako wyśmiewać "eliciarskie" podejście do muzyki metalowej wręcz ostentacyjnie prezentowane przez ortodoksyjną część fanatyków ciężkiego brzmienia. Ale w dość subtelny, mało ofensywny sposób. Chociaż chyba średnio wyszło, bo szczerze mówiąc, przesłuchawszy pierwszy raz ten album, nie zrozumiałem, jakie chłopaki mieli założenie.

Ogólnie "Hieny Cmentarne" to bardzo krótka płyta, w zasadzie to MLP lub EP. Jednak lata 80. nie do takich rzeczy nas przyzwyczaiły. Niemniej mam wrażenie, że ten album, jakby był niedokończony, jakby zabrakło wam weny, albo jakbyście w trakcie pracy nad płytą zniechęcili do rezultatów waszej pracy...

Lucy: To też ciekawe spojrzenie na ten krążek. Wiesz co z reguły płyty crossoverowe są niestety bardzo krótkie, a **Tassack** (poza "Hienami...") raczej nie zalicza się do tych ram. Mamy dosyć długie płyty jak na ten gatunek. W przypadku "**Hien...**" tak po prostu wyszło, miało być krótko, zwięźle i na temat. Takie albumy też są czasami potrzebne, dostajesz szybkiego strzała, wstajesz, ogarniasz się i idziesz dalej, a jeżeli czujesz niedosyt to, możesz się zmierzyć z dłuższym krążkiem. (śmiech)

Trochę dziwi mnie dołączenie do tego krążka singla "Deszcz ognia". Pomijając kawałek tytułowy to "Ballada o Dawnej Bitwie" jest zbyt poważna jak na Tassack...

Lucy: "***Deszcz Ognia***" to specjalny singiel stworzony na potrzeby dodatku do gry "**Gothic 2 Archolos: Kroniki Myrthany**". "***Ballada...***" to numer, który w wersji instrumentalnej można usłyszeć, będąc w karczmie, grając w tę grę. Szkoda by było nie dorzucić go do płyty, chociażby jako bonus. A co do samej powagi w tekstach, to nigdy się jej nie baliśmy, od pierwszych prób graliśmy już numer "***Xardas***", który do humorystycznych nie należy.

Całe szczęście na trzecim albumie "Ogień w szopie" udało się wam wyjść z impasu i tym samym beztroskę z debiutu połączyliście z dojrzałością muzyczną drugiego krążka. Wyszło wam to tak, że teraz trzeba na was patrzeć, jak na poważą crossoverową ekipę...

Lucy: Ho ho! Dziękujemy bardzo! Według mnie "**Ogień w Szopie**" to takie nasze "**Master of Puppets**" oczywiście z naciskiem na słowo nasze! (śmiech) Fani są zachwyceni, my tak samo, więc chyba się udało!

Mówi się, że trzeci album w karierze jest najważniejszy, niemniej uważam, że czeka was jeszcze poważniejszy sprawdzian, bowiem na następnej płycie będziecie musieli udowodnić, że "Ogień w szopie" to nie był przypadek...

Lucy: Dlatego postanowiliśmy już nigdy w życiu nie nagrać żadnej płyty... (śmiech) Żartuje oczywiście i to, co mówisz to prawda, mamy to również na uwadze! Pracujemy jednak aby pokazać wszystkim, że Tassack to naprawdę srogi temat, więc myślę, że nikt się nie zawiedzie. Szczególnie jeżeli lubi stary thrash metal!

Moim zdaniem na "Oginiu w szopie" bardzo ważną rolę odegrał człowiek z zewnątrz, czyli Piotr "Mankover" Mańkowski. Dzięki niemu płyta brzmi i "gada" tak jak powinna. To, że zgłosiliście się do Piotra to przemyślana decyzja, czy po prostu przypadek?

Lucy: Jasne, że przemyślana! Mamy za cel z płyty na płytę być lepsi, więc **Piotr** był idealną

osobą do tego. Poza faktem, że genialnie zajmuje się dźwiękiem i potrafi wyciągnąć z surowych ścieżek złoto, to jest świetnym facetem. To bardzo sympatyczna osoba, ukłon dla niego!

Wszystkie albumy studyjne ozdabiają dość infantylne rysunki, ale to chyba nawiązanie do crossoverowej konwencji...

Lucy: Naszym celem były komiksowe okładki na wzór **Acid Drinekrs**, czy **Tankarda**. Z początku nie ja je rysowałem i to nie ja miałem być autorem okładki do "**Dożynek...**". Tak jednak wyszło, ponieważ w ostatniej chwili przed jej wydaniem nasza kumpela od poprzednich frontów z demówki i lajwa, dała ciała. Ku naszemu zdziwieniu namalowała obrazek niczym przedszkolak i pomimo naszych próśb o poprawkę nadal było kiepsko. Zostało nam do wyboru albo zdjęcie kapeli na front, albo mój szybki rysunek. Padło na mój art. I tak jak nie byłem tym faktem zbyt zachwycony, tak fani zmienili moje zdanie, ponieważ nie raz słyszałem, że te okładki są genialne, że wyglądają jak laurki dla mamy (śmiech), to mnie kupiło na maxa! Jednak nie twierdzę, że będę rysował wszystkie okładki do kapeli, na horyzoncie czeka wydawnictwo, do którego okładkę przygotował sam **Jerzy Kurczak**, ten co stworzył przody dla, chociażby **Kata**, czy **Turbo**!

Przez Tassack przewinęło się całe mnóstwo muzyków. Czym było to spowodowane i czy obecny skład osobowy gwarantuje jakąś tam stabilizację?

Lucy: Zaczęliśmy grać, jak miałem czternaście lat, chodziłem wtedy do gimnazjum i moi koledzy z kapeli również. Gdy się wykruszyli, przyszli kolejni koledzy ze szkolnej ławy i tak przez długi czas. To naturalna kolej rzeczy, wielu z nich stwierdziło, że nie chce poświęcać tyle siebie na rzecz grania, bo gramy czasami naprawdę dużo i **Tassack** pochłania sporo czasu i energii. Ludzie chcieli zająć się czymś luźniejszym, innym, z większością byłych muzyków mamy zajebiste relacje do dziś! W składzie z **Dawidem** i **Mikim** gramy już prawie trzy lata! To bardzo długo jak na nas, więc chyba się ustabilizowało. A co najważniejsze zaraz złamiemy pewną "zasadę", że każdy LP mamy nagrany z innym gitarzystą. (śmiech) Ja się jaram, to może ten klasyczny skład niczym **Mustaine** z **Menzą**, **Friedmanem** i **Ellefsonem**? (śmiech)

Foto: Tassack

Wspominałem o nietypowym kawałku w waszej dyskografii "Ballada o Dawnej Bitwie". Powiedzcie teraz trochę o coverze Kata "Dziewczyna w cierniowej koronie" wspólnym przedsięwzięciu Okrütnika i Tassacka. Czego jest w nim więcej, "dręczyciela" czy "siekacza"?

Lucy: Pomysł, aby to zrobić, był mój, szczególnie że mieliśmy zaraz zagrać wspólną trasę i stwierdziłem, że byłoby klawo grać ten kawałek na sam finał wspólnie na scenie. **Okrütnik** to świetni ludzie, mega się z chłopakami zaprzyjaźniliśmy! Ile w tym jest nas a ile ich? Chyba po równo, szczególnie że podzieliliśmy się po równo w nagrywkach. Bębny, bas, wokal **Marcina**, wstęp i drugie solo to **Okrütnik**, Gitary, mój wox, i pierwsze solo to już **TSCK**. Więc widzisz praktycznie pół na pół. Poza tym **Kat** to fajny mianownik naszej muzy. Oni już **Kata** kiedyś coverowali i byli też do nich nie raz porównywani. My się **Katem** również jaramy, mieliśmy też kiedyś grać razem gig, jednak **Kostrzewski** się rozchorował. **Kat** jest klawy.

Jakiś czas temu Lucy wydałeś książkę "Huta Agresji - Biografia Thrash Metalu lat 80.". Proszę o parę słów o tym wolumenie...

Lucy: Co to dużo mówić, kocham muzykę ponad życie, odkąd skończyłem trzynaście lat, mam świra na punkcie thrash metalu, ponadto uwielbiam czytać biografie muzyczne. Jak się dowiedziałem, że nie istnieje coś takiego jak biografia thrashu jako gatunek, postanowiłem być pierwszy! Cztery lata zajęło mi pisanie i twierdzę, że jest to ciekawa pozycja. Nie jest to jakiś kunszt, ale patrząc na to, że na ten moment nie ma czegoś takiego to, jest naprawdę spoko. Przynajmniej tak mi się wydaje. (śmiech) Fani mojej twórczości na pewno się zachwycą, bo do książki wrzuciłem sporo humoru i mojego spojrzenia na cały temat.

Lucy ostatnio wydałeś również solową płytę "Crossover". Moją uwagę przykuł cover Nagłego Ataku Spawacza, "Sekty". Ta punkowa ekipa zajmuje w waszych sercach specjalne miejsce, bo to nie pierwsza wasza przeróbka ich kawałków. Niemniej pomyślałem, że wy też jako zespół chcielibyście pisać takie teksty, poruszające poważne tematy, ale w dosadny i bezpośredni sposób. Taki przekaz bardzo pasuje do Tassacka...

Lucy: **Nagły Atak Spawacza** to wyjebista kapela w kosmos! Niby to hardcore-rap, a jednak ich teksty często doprowadzają do maksimum śmiechu, choć potrafią nawinąć również o poważnych tematach. Według mnie **Tassack** bardzo pasuje muzycznie do **Spawaczy**, lubimy sobie robić jaja, ale i potrafimy "ugryźć". Ich muzyka często spotykała się z ogólnym niezrozumieniem, szczególnie w ich środowisku i my mamy tak samo. Czy chcielibyśmy pisać takie poruszające, poważne, ale dosadne i bezpośrednie teksty, hmm... chyba tak, jednak dlatego nagrałem płytę solową, aby właśnie takie teksty tam zawrzeć, a w **Tassacku** spoko, jednak tematycznie to trochę inny temat.

Foto: Tassack

Jakie utwory sprawdzają się na koncertach? Których kawałków domagają się wasi fani?

Lucy: No to na pewno nawiązując do poprzedniego pytania, na każdym koncercie praktycznie słyszymy prośby o granie "***Anty Liroya***" **Spawaczy**, ponadto ludzie lubią "***Atak Skorpiona***", który w oryginale nagraliśmy z **Lechem Rochem Pawlakiem**. Poza tym "***Oko Menela***" i "***Nitro***" są też takimi naszymi hitami ostatnio.

Często koncertujecie i gracie tam, gdzie was

Foto: Tassack

zaproszą... czy granie na żywo to wasz żywioł?
Lucy: Od kilku lat praktykujemy raczej głównie organizowanie sobie samym grania, czyli robienia własnych tras koncertowych, bo to nam wychodzi najlepiej. Czasami nas ktoś zaprosi i to bardzo miłe, jednak to mniejsze strzały. Nie zapraszają Tassacka na supporty większych kapel, bo by się według nich ośmieszyli, a tak naprawdę zajebalibyśmy dość wysoką poprzeczkę na scenie, ponieważ granie na żywo to zdecydowanie nasz żywioł! W końcu to o nas mówili, że jesteśmy typową kapelą koncertową, że nagrania nie oddają tego powera. Nie wierzysz? Przekonaj się i przyjdź na koncert, gwarantuje "**Ogień w Szopie**"!
Dawid: Wydaje mi się, że koncertowanie to najistotniejszy aspekt dla każdego zespołu metalowego. Żaden inny rodzaj muzyki nie pozwala na tak efektywne wyładowanie emocji i przekazanie energii słuchaczom. Dobrze jest czasem popatrzeć na "jadącą wiarę". Ale na pewno nie gramy wszędzie na zawołanie, bo jednak zaczęliśmy zwracać uwagę gdzie, z kim i za ile. Niestety, nie jesteśmy już beztroskimi dziećmi, dla których liczy się tylko dobra zabawa, a czas nie istnieje.

Nigdy nie mieliście wpadki, że organizator nie przygotował sprzętu grającego albo sceny, tak że nie mogliście zagrać gigu?
Lucy: Taka sytuacja miała chyba miejsce ze dwa, max trzy razy i to raczej z naszej dezorientacji. Na naszych pierwszych trasach było więcej drobnych wtop, co często obfitowało w opóźnienia startu całego koncertu, jednak zawsze dawaliśmy radę i koncert się udawał. Teraz już wygląda to prawie profesjonalnie (śmiech), ale wiadomo czasami przez jakiś korek pół zespołu i sprzętu może tak szybko nie dojechać do klubu, a przeważnie jak nas zapraszają do grania to, warunki są "si-ka-la-fą"!

Granie koncertów to chyba aktualnie najlepszy sposób na promocję...
Lucy: Ja już sam nie wiem, jak najlepiej się promować. Tyle kombinowaliśmy z różnymi akcjami na wrzucanie postów, reklamy itp. itd. Jak coś ma w necie przynajmniej "zatrybić", to wyjdzie to samoczynnie. A koncerty to prawda dobra promocja, ale jeżeli zapraszają cię na granie przed jakimiś większymi kapelami, a nas chyba nie lubią, bo tego nie robią i najczęściej zderzaliśmy się ze ścianą, jak sami się o to upominaliśmy. Na scenie istnieje takie spierdolone "kolesiostwo", które często wyklucza dobry, pasujący suport na rzecz kolegi z innej kapeli. Taaa...

Oprócz albumów studyjnych w waszej dyskografii są też płyty "live": "Żelazne anomalie" (2018), "Kolej na nas!" (2020) i "Deszcz Metal Tour 22's" (2023). Wydaje mi się jednak, że są to zwyczajne bootlegi, które akurat uchwyciły jakieś udane wasze występy...
Lucy: Nie! Każdy z tych koncertów był celowo i planowo nagrywany, ja bardzo lubię płyty live i zawsze naciskałem, żeby się coś takiego pojawiało co jakiś czas.

Nagrywacie wszystkie wasze koncerty?
Lucy: Nie czujemy takiej potrzeby, poza tym to duża strata czasu na dodatkowe rozstawianie i panowanie nad sprzętem rejestrującym. Nagrywamy tylko zaplanowane wcześniej strzały.

Bardzo dużo udzielacie się też w mediach społecznościowych, pełno tam waszych teledysków, a nawet zorganizowaliście coś, co nazwaliście "Saga Tassuck Mowie" czy też "Chłopaki z Tussacków"...
Lucy: Za czasów jak grał z nami **Aruś** (gitara/wokal na "Mega...Dożynki"), postanowiliśmy, że będzie mega, jak będziemy mieli więcej filmów/filmików w **Tassacku** niż samych utworów. (śmiech) Ludzie uwielbiają zerknąć od kuchni, jak to wszystko wygląda, daliśmy to im i to w dużej ilości! Pięć części filmów "**Tassuck Mowie**" i dziewięć odcinków serialu "**Chłopaki z Tassacków**", w których pokazujemy wszystkim nasze życie, imprezy, fajne wypady. Różne zwariowane relacje wideo z tras koncertowych, czy materiały z nagrań płyt to coś, co jara naszych fanów, a i nie raz słyszałem, że najpierw ktoś z ciekawości obejrzał jakiś nasz film, dopiero później sięgnął po muzykę!

Wasze płyty wydaje wytwórnia Przyjaciel Wesołego Diabła, jednak mam przeczucie, że to fasada do działania na własny koszt. Wiem, że w dzisiejszych czasach łatwo sobie samemu poradzić z wydawnictwami, ale czy czasami nie chciałbyś, aby wydaniem, dystrybucją i częściowo promocją zajął się ktoś inny, nawet mała wytwórnia?
Lucy: (śmiech) **Przyjaciel Wesołego Diabła** to tylko zwała! Fakt chciałem kiedyś stworzyć taką wytwórnię i legalnie wydawać kapele, jednak w tym kraju to zajebiście trudny temat i tak fest trudny. Pierwszy raz użyliśmy logo **P.W.D.** na opakowaniu "**Dożynek**", tylko dlatego, że cały dizajn płyty był parodią/podróbą? Płyt **Metalliki** czy **Testamentu**. Spójrz, chociażby na fizyczne wydanie albumu "**Horrorscope**" **OverKilla**, od **Megafore/Atlantic** i porównaj z "**Mega...Dożynkami**", tutaj piraciliśmy i to bez oporu. (śmiech) A, że do teraz wykorzystujemy logo **P.W.D.** to dla pokazania, że to sami siebie wydaliśmy, zamiast pisać np. "wydane własnym sumptem", czy nie wiem, "tsckrecords0001". Wiesz co, kiedyś chcieliśmy, aby "**Hieny...**", wydała nam jakaś wytwórnia czy wydawca, pisaliśmy do wielu firm, nawet pamiętam, że poleciał list do **Rycha Peji** i jego **RPS Enterteyment**. (śmiech) Niestety znowu odbiliśmy się od ściany. Teraz gdy jesteśmy już na takim poziomie to, poszedłbym w to tylko, kiedy naprawdę warunki byłyby dla nas korzystne, a to nie Ameryka, żeby tak było. Lepiej wychodzimy na swoim, trzeba tylko latać do tego paczkomatu i wysyłać. (śmiech)

Jak pracujecie nad materiałem czy za to jest odpowiedzialny tylko lider, czy pozostali

Foto: Tassack

muzycy też przykładają się do roboty?

Lucy: Wszyscy pracujemy nad nowymi kawałkami/płytami. Wygląda to najczęściej tak, że np. **Dawid** przynosi cały kawałek, dobieramy do niego tytuł i ktoś pisze tekst, bądź go modyfikujemy razem, **Miki** doda jakiś riff, **Sharec** wpadnie na pomysł, aby coś zagrać wolniej, czy zrobić jakąś pauzę. Większość płyty to kawałki wspólne, ale na każdym albumie są numery w całości kogoś, bardzo lubię takie patenty, dzięki temu dany muzyk może wyrazić swoją wizję w stu procentach i staramy się wtedy zespołowo nie wjeżdżać mu pod giry z modyfikacjami.

Jako porządna undergroundowa kapela to pewnie nagrywacie we własnych domach, zgadza się? Całe szczęście, że ostatnio zdecydowaliście się oddać miks i mastering w ręce profesjonalisty...

Lucy: Dokładnie tak. Tworzenie muzyki bez wielkiej wytwórni to potworna inwestycja, pożerająca tysiące, dosłownie! Całe szczęście od pierwszej płyty zdecydowaliśmy się jednorazowo kupić cały sprzęt i nagrywać się osobiście, dzięki temu nie płacimy srogiej kwoty na studio. Jednak zawsze miks i master był robotą ludzi z zewnątrz.

Nawiązując do starych czasów, wy też nie tylko muzykujecie, ale jeździcie na desce czy też gracie w kosza...

Lucy: Na desce już niestety nie, a szkoda, bo bardzo to lubiłem i miałem mega zajawkę. Skończyło się to gdy przed naszym pierwszym oficjalnym koncertem, nasz ówczesny bębniarz Mojżesz, wyfrunął z rampy i zwichnął sobie rękę. Zagrał tylko pół koncertu. Postanowiłem, że albo muza, albo deska, choć czasami jeszcze wskoczę gdzie i gdzieś po świruje, jednak bardzo staram się robić to z głową. A kosz, całe szczęście nie jest tak niebezpiecznie kontuzyjny dla muzyków. Ogólnie aktywność poza domem i całym tym technologicznym zgiełkiem jest bardzo w dechę! Do teraz zdarza mi się na jakiejś imprezie nawet pobawić w chowanego, czy berka!

Wokół Tassacka dzieje się bardzo dużo, czy to wynika z tego, że korzystacie z nadarzających się okazji, czy raczej wszystko jest przemyślane i zaplanowane? Jakich wieści możemy się spodziewać z obozu kapeli w najbliższych czasach?

Lucy: No to prawda, jesteśmy mega aktywną kapelą na każdy sposób. (śmiech) Tu płyta, tu film, tu trasa, tu znowu płyta, tu serial, tu jakieś inne głupoty. Żyjemy trochę w biegu i większość jest zaplanowana, ale czasami wjeżdża jakiś fajny spontan! Za rok obchodzimy dziesięcioleci kapeli i planujemy zagrać trzy trasy koncertowe po kraju, dwie małe w pierwszej połowie roku i jedną duża po wakacjach wydając do tego czwarty album studyjny. Ponadto planujemy na sam dzień dziesięciolecia (2 sierpnia) wydać specjalny preorderowy box dla tych największych fanów! Ale o tym wszystkim powiemy więcej bliżej 2024r., śledźcie naszego Facebooka i Instagrama! Pozdroo i Stay Crossover!

Michał Mazur

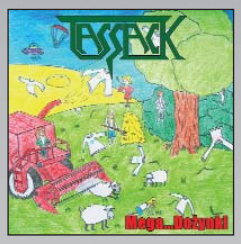

Tassack - Mega...dożynki

2019 Przyjaciel Wesołego Diabła

Rozpoczęcie działalności tego kwartetu datuje się na rok 2014. Jednak prawdopodobnie powinno mówić się o roku 2016, bo po tym roku ekipa zaczęła dość mocno dawać o sobie znać, wypuszczając w eter przeróżne wydawnictwa, od cyfrowych singli, poprzez nagrania demo i live, aż po albumy studyjne. Nie mało jest też różnej aktywności "filmowej" tak chętnie eksponowanej przez zespół w mediach społecznościowych. Nie mówiąc o koncertowaniu. Debiut **Tassacka** "**Mega...dożynki**" powstał w roku 2019. I jest zbiorem króciutkich tracków utrzymanych w konwencji crossover/thrash, wypełnionych eksplozją energii, spontanu, luzu i pastiszu. Tak zgadza się, Budzynianie kpią ze wszystkiego, począwszy od siebie, kończąc na wszystkim innym, co tylko nawinęło się im pod rękę. Choć łatwo się domyślić, że generalnie dotyczy to problemów środowiska, w którym obracają się muzycy. Kojarzy mi się to z takim kultem jak **Grópa Ymado**, czy chociażby z **Nocnym Kochankiem**. Tylko że do **Tassacka** nikt się z tego powodu nie czepia. A przecież ich dowcip nie jest najwyższych lotów, przynajmniej na debiucie. Za moich czasów mówiło się, że jest to żart na poziomie zawodówki. Ewentualnie można porównać go do gruboskórnych i żołdackich żartów **Zbójcerzy** z "**Kajka i Kokosza**". Muzyka wydaje się wymyślona ad hock oraz pełna improwizacji. Jednak muzycy bardziej działają intuicyjnie lub sytuacyjnie, dostosowując się do impulsu, do którego sami doprowadzili. I żeby nie było, aby coś takiego wymyślić, zorganizować, to jednak trochę wyobraźni, talentu, czy umiejętności trzeba mieć. I jak tego ostatniego brakuje muzykom **Tassacka** to, nadrabiają to animuszem, pasją, swadą i temperamentem. (3,5)

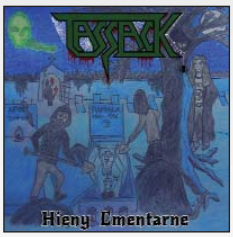

Tassack - Hieny Cmentarne

2021 Przyjaciel Wesołego Diabła

Wraz z "**Hienami Cmentarnymi**" **Tassack** stawia swój kolejny krok w crossoverowej karierze. Nie zmienia się ich "ciężar" dowcipu, ale jego klimat. No jakby nie było cmentarny temat to poważna sprawa. No dobra bardziej ponura. Zmienia się również podejście do samej muzyki. Kawałki nie są już tak bardzo krótkie, mają ręce i nogi oraz mają charakter. Czyżby muzycy dojrzali? Tak, jak najbardziej, ale ich potencjał było już słychać na debiucie, czyli na "**Mega...dożynkach**". Niemniej powiem szczerze, brakuje mi na tym albumie tego szorstkiego brzmienia, bezpretensjonalności oraz specyficznej dla tego zespołu naturalności. Właśnie taki **Tassack** wydaje mi się bardziej prawdziwy i wiarygodny. Ogólnie "**Hieny Cmentarne**" to bardzo krótka płyta, siedem kawałków, około 22 minut muzy. Bardziej to taki Mini LP, a może nawet EP-ka. Nie ratuje sytuacji dołożenie singla "**Deszcz ognia**", gdzie tytułowy utwór inspirowała gra "**Gothic 2 - Kroniki Myrtany**" i jest oczywiście zagrany w manierze "tassackowego crossoveru". Natomiast "***Ballada o Dawnej Bitwie***" to już część soundtracku wspomnianej gry. No i dziwnie jakoś wybrzmiewa ten folk rock/metal na tle dokonań Budzynian. Choć kawałek sam w sobie rewelacyjny, głównie za sprawa "sabbathowego" klimatu we tle. (3)

Tassack - Ogień w szopie

2022 Przyjaciel Wesołego Diabła

Rok po "**Hienach Cmentarnych**" pojawia się kolejny album studyjny **Tassacka** "**Ogień w szopie**". No i na tym krążku wszystko pięknie się zgrywa. I ta spontaniczność i naturalność z "**Mega...dożynki**" z tą dojrzałością z "**Hien Cmentarnych**". Brzmi i gra tu wszystko znakomicie. Utwory, ich konstrukcje, rozmieszczenie na płycie, riffy, tematy muzyczne, wykonanie, wszystko działa perfekcyjnie. Nawet przetrwałem "zawodzenie" w ukrytym kawałku. Muzycznie to crossoverowy majstersztyk. Jak dla mnie mogę tej płyty słuchać na okrągło. Dopasowały się też tematy satyryczne, a przecież bycie dyżurnym klaunem to nie łatwe zadanie. Bardzo fajnie brzmi całość krążka. Prawdopodobnie spora w tym zasługa **Piotra** "**Mankovera**" **Mańkowskiego**, który opowiadał z miks i mastering albumu. No nie ma co, chłopaki z Tassacka wyrobiły się i rośnie nam na polskim rynku całkiem niezła kapela crossover/thrash. Po prostu warto mieć na nich oko. Jednak płyty studyjne to nie tylko jedyne wydawnictwa Budzynian. Mają oni jeszcze wydawnictwa "live": "**Żelazne anomalie**" (2018), "**Kolej na nas!**" (2020) i "**Deszcz Metal Tour 22's**" (2023). Podejrzewam, że nie są to jakieś dopracowane albumy koncertowe, a po prostu bootlegi. Niemniej dla thrash-maniaków niekiedy takie krążki to rarytasy warte zachodu. Tak czy inaczej, zapamiętajcie sobie nazwę **Tassack**. (4)

\m/\m/

FARSCAPE

Zdalne zwlekanie zakończone sukcesem

Farscape nie odzywali się przez dobre 10 lat, co wokalista Witchcaptor tłumaczy zaangażowaniem muzyków grupy w liczne inne projekty oraz zwykłym lenistwem. Pandemiczne przerwy pozwoliły im jednak dokończyć czwarty album, który jest dobrym przykładem surowego, podziemnego thrashu, a wieńczy go zaskakujący, ukryty cover.

HMP: Milczeliście blisko 10 lat - co sprawiło, że ta wydawnicza przerwa okazała się aż tak długa?
Leonardo "Witchcaptor": Właściwie ten hiatus nie był planowany. Należy pamiętać, że członkowie **Farscape** nie próżnowali przez ostatnie 10 lat. **Victor** opublikował wiele wydawnictw i odbył z **Whipstrikerem** różne międzynarodowe trasy. Dodatkowo obaj **Victorzy**, czyli **Whipstriker** i **Poisonhell**, pracowali razem nad albumami **Atomic Roar**, **Diabolic Force**, **Virgin's Vomit** i **Kuld**. Mój brat **Pedro** jeździł w trasy i nagrywał materiał z **Apokalyptic Raids**. Nie próżnowaliśmy więc przez te dziesięć lat, ale zdecydowaliśmy się nadać priorytet innym projektom. Pamiętam, że zaczęliśmy pisać nowy album podczas europejskiej trasy w 2014 roku. Gitary rytmiczne i perkusję nagraliśmy w Rio de Janeiro w 2017 roku. W 2018 roku przeprowadziłem się do Czech i od tego czasu pracujemy nad albumem zdalnie. Przepraszam, mam na myśli zdalne zwlekanie. (śmiech)

Foto: Farscape

W jakim miejscu jesteście więc obecnie, czego się nauczyliście, jakich pułapek uniknęliście?
Szczerze mówiąc, nigdy tak naprawdę o tym nie myślałem. Wierzę, że zawsze pozwalaliśmy sprawom dziać się naturalnie, bez zbyt wielu zmartwień czy planów. Jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być, jesteśmy undergroundowym zespołem bez wielkich ambicji. Oczywiście czasami myślę, że mogliśmy nagrać więcej płyt, ale szczerze mówiąc, jestem zadowolony z aktualnego stanu rzeczy. Może nie zrobiliśmy zbyt wiele, ale wszystko co napisaliśmy przez te lata jest szczere i uczciwe. Pochodzi prosto z serca. Nauczyłem się, że najlepiej jest grać z najlepszymi przyjaciółmi. Nigdy nie postawialiśmy zespołu ponad naszą przyjaźń i nigdy nie wpadliśmy w pułapkę bycia "profesjonalistami". Pozostaniemy surowi i undergroundowi do samego końca.

Mamy w Polsce takie powiedzenie, że ciągnie wilka do lasu - wy też uznaliście, że w końcu warto przypomnieć fanom o istnieniu Farscape, tym bardziej, że pandemia sprzyjała, mimo wszystko, twórczej pracy w domowym zaciszu?
Chcieliśmy po prostu dokończyć coś, co zaczęliśmy w 2014 roku i bez wątpienia bardzo chcieliśmy pokazać rezultaty naszej pracy fanom na całym świecie. Ale zdecydowanie nadejście pandemii przyspieszyło ten proces. Ponieważ byliśmy mniej zajęci, wszyscy mogliśmy bardziej skupić się na tym projekcie. Pamiętam, że w tamtym czasie ustaliliśmy termin ukończenia albumu, co oczywiście nie wyszło. (śmiech) Skończyliśmy dwa lata później niż planowaliśmy.

Godne podkreślenia jest to, że od początku istnienia zespołu gracie w tym samym składzie, co w muzycznym świecie nie zdarza się często. Ta sytuacja również ma wpływ na to, że funkcjonowanie Farscape jest łatwiejsze, nawet jeśli wciąż jesteście grupą kojarzoną przede wszystkim przez największych fanów metalu?
Zdecydowanie, granie w tym samym składzie przez cały ten czas bardzo pomaga. Przyjaźnimy się od dzieciństwa i wiemy jak sobie ze sobą radzić. Jak wspomniałem wcześniej, przyjaźń jest dla nas najważniejsza i nie dbamy o nic innego. Fakt, że nie wydaliśmy nic przez 10 lat może być dużym problemem dla innych zespołów, ale nie dla nas.

Nie było też czasem tak, że przygotowaliście "Purged And Forgotten" poniekąd na specjalną okazję, 25-lecie zespołu?
Absolutnie nie! (śmiech). Wolelibyśmy wydać coś znacznie wcześniej. Ale i tak okazało się to szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

W końcu lat 90. coś takiego pewnie nawet nie przyszłoby wam do głowy, bo najdłużej istniejące brazylijskie zespoły, jak choćby Sepultura, funkcjonowały od jakichś 15 lat, co wtedy musiały wydawać się wam szmatem czasu?
Tak, 15 lat wydawało nam się wtedy wiecznością! Nie mieliśmy pojęcia, że po 25 latach nadal będziemy aktywni! W tamtym czasie skupialiśmy się tylko na nauce gry na naszych instrumentach. Byliśmy okropni!

Jak w Brazylii odbierane jest ponowne nagranie przez braci Cavalera najstarszych materiałów Sepultury? Ten zespół to prawdziwa wizytówka waszej sceny, ale czy nowe wersje "Bestial Devastation" i "Morbid Visions" były tak naprawdę potrzebne?
Odnośnie **Sepultury**. Myślę, że byli niesamowici aż do albumu "**Beneath The Remains**". Szczerze mówiąc, uważam, że szczyt **Sepultury** przypadł na okolice 1991 roku. Mieli wtedy duży wpływ, ale po albumie "**Arise**" stali się bardziej komercyjnym zespołem. Bracia **Cavalera** odegrali swoją rolę w latach 80. Obecnie wolimy słuchać klasyków lub nowych zespołów, które czerpią z brzmienia lat 80.

Czujecie się swoistymi kontynuatorami i sukcesorami tego, co wiele lat temu zapoczątkowały Sarcófago, MX, Vulcano, Mutilator, Chakal i wiele innych zespołów, czy też takie kwestie nigdy was nie interesowały, zawsze ważniejsze były kolejne nagrania, koncerty i związana z nimi frajda?
Nigdy o tym nie myśleliśmy. Zawsze z pokorą podchodziliśmy do naszego miejsca na scenie. Wiemy, że nigdy nie przewyższymy klasycznych zespołów z lat 80. Jesteśmy po prostu wdzięczni, że niektórzy ludzie wciąż interesują się naszą muzyką.

Ćwierć wieku robi wrażenie, ale w tym czasie wydaliście tylko cztery albumy - to tylko cztery, czy aż cztery duże płyty, zważywszy, że bliżej wam do podziemia niż do mainstreamu, duże wytwórnie nie mają was na celowniku?
Tak, rzeczywiście wyprodukowaliśmy niewiele płyt. Myślę, że to dlatego, że jesteśmy po

prostu leniwi. Zaczynaliśmy, gdy byliśmy bardzo młodzi i nie mieliśmy wielu obowiązków. W miarę jak dorastaliśmy, przybywało nam obowiązków. Minęło 25 lat, ale wydaje się, jakby to było wczoraj. Nie wierzę, że czas minął tak szybko. Chociaż nie jesteśmy już tak aktywni, zawsze staramy się dać z siebie wszystko. Uwielbiam wszystkie albumy, które napisaliśmy! Piszemy, gdy mamy coś do powiedzenia. Być może sekretem tych 25 lat jest podejście polegające na produkowaniu, kiedy mamy na to ochotę, bez mówienia nam, co mamy robić. Jesteśmy wolni i możemy robić co chcemy. Wytwórnie mainstreamowe nie są nami zainteresowane, ale to nie problem. Czujemy się komfortowo w podziemiu.

"Purged And Forgotten" ukazuje się pod szyldem Dying Victims Productions, można więc powiedzieć, że po latach odnowiliście kontakty z tą firmą, bo przecież firmowała już wasz split z Hellkommander?
W rzeczywistości **Victor Whipstriker** zawsze był blisko związany z **Florianem**. Wiele materiałów **Whipstrikera** zostało wydanych przez **Dying Victims Productions**. Gdy tylko "**Purged And Forgotten**" był gotowy, zaaranżował z Florianem wydanie albumu.

Można powiedzieć, że tymi splitami i innymi krótszymi wydawnictwami niejako nadrabiacie tę skromniejszą liczbę albumów w waszej dyskografii?
Nie sądzę, sprawy po prostu tak się potoczyły.

Trudniej pracuje się nad kolejną płytą po takiej długiej przerwie, czy przeciwnie, ma się świeży umysł, a wszystko, co jest związane z jej rejestracją cieszy podwójnie, bo dawno tego nie doświadczaliście?
Szczerze mówiąc, po tej dłuższej przerwie było o wiele łatwiej. Przygotowaliśmy ten album bez żadnego stresu. Mieliśmy ogromną ilość materiału do przekopania. Wybraliśmy tylko najlepsze rzeczy. Najlepsze było to, że większość z nich nagraliśmy w domu. Zero studyjnego stresu, wiesz co mam na myśli? Tylko perkusja została nagrana w studiu, ale **Pedro** poradził sobie z tym świetnie. Nie czuje żadnej presji. Gitary rytmiczne zostały nagrane w domu **Leona Manssura**, kiedy byłem jeszcze w Rio. Po przeprowadzce do Czech, dokończyłem swoje partie z domu. **Whipstriker** i **Poisonhell** nagrywali swoje partie u **Gabriela Cabrala**, który również miksował nasz album. Mieliśmy mnóstwo czasu na eksperymentowanie, popełnianie błędów i pracę nad koncepcją i produkcją albumu.

Dostrzegasz jako twórca jakieś znaczące różnice pomiędzy "Purged And Forgotten" a "Primitive Blitzkrieg", które mogłyby umknąć zwykłemu słuchaczowi, a z twojej perspektywy stanowią o sile nowej płyty, wnoszą nową jakość?
Tak, są duże różnice między "**Purged And Forgotten**" a "**Primitive Blitzkrieg**". "**Purged And Forgotten**" to najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiliśmy. Ma inny klimat w porównaniu do "**Primitive...**", który jest bardziej oczywisty, choć ma świetne riffy. Z drugiej strony "**Purged And Forgotten**" to odważny album z dziwnymi wokalami, które można albo pokochać, albo znienawidzić. Mieliśmy mnóstwo czasu na eksperymenty i jest to zdecydowanie nasz najlepszy album jak do tej pory.

Foto: Farscape

Ciekawe jest to, że gracie jeszcze szybciej niż kiedyś, ale zarazem wasze kompozycje stały się bardziej dopracowane aranżacyjnie, a przy tym zauważalnie melodyjne - lata grania procentują, nawet jeśli wciąż nikt nie określa was mianem metalowych wirtuozów?
Jak najbardziej! Pomimo tego, że nie jesteśmy wirtuozami, przez lata znacznie poprawiliśmy się pod względem pisania kompozycji. Tak naprawdę po raz pierwszy podeszliśmy do albumu z tak drobiazgową dbałością o szczegóły. Chodziło bardziej o spędzenie czasu na eksperymentowaniu i skupieniu się na produkcji. Na poprzednich albumach mieliśmy dość ograniczony czas studyjny, więc nie mogliśmy w pełni odkrywać i dopracowywać naszej muzyki.

Macie też na nowej płycie więcej dłuższych, rozbudowanych utworów, tak jak na dwóch pierwszych albumach - to też nie przypadek, mieliście sobie i fanom coś do udowodnienia, chcieliście pokazać, że mimo tej dłuższej przerwy rozwinęliście się również pod tym względem?
Nie sądzę, by długość utworu była istotna. Świetny kawałek może trwać zaledwie dwie minuty. Muzyka może być nieprzewidywalna. Nie chodzi o udowadnianie czegokolwiek, chodzi o proces twórczy i wyjątkową podróż, jaką odbywa każda kompozycja.

Finałowy "Vengeance Of The Forgotten" trwa blisko 10 minut, ale tu trochę zaszaleliście, dodając do niego ukryty bonus, "Grippin' A Heart" niemieckiego Living Death - skąd pomysł na coś takiego, bo nie jest to obecnie często stosowane rozwiązanie?
Poisonhell wpadł na pomysł nagrania wersji tego utworu z agresywnym wokalem. Pomyśleliśmy, że to świetny pomysł, a efekt końcowy okazał się całkiem interesujący. Zapytaliśmy wytwórnię, czy lepiej byłoby wydać go jako ósmy utwór na albumie, czy jako ukryty utwór bonusowy. Wytwórnia wolała wydać go jako ukryty utwór.

Covery, które nagraliście na przestrzeni tych lat świadczą, że nie ograniczacie się tylko do jednej stylistyki, bo był przecież i punk, i NWOBHM, i thrash, ale zauważalna była tu dominacja kapel brytyjskich, poza kanadyjskim Sacrifice - scenę niemiecką też darzycie sympatią, stąd ten wybór?
Masz rację. Nikt z nas nie ogranicza się do jednego stylu. Słuchamy w tym samym czasie zespołów z lat 70. i **Morbid Angel**. Pośrodku tego wszystkiego jest cały wpływ NWOBHM i punka. Pochodząc z Wielkiej Brytanii, mogę powiedzieć, że zespoły takie jak **Diamond Head**, **Venom**, **Warfare**, **Raven** i **Tank** mają na nas duży wpływ. Bardzo lubimy też angielski i szwedzki punk. **Discharge**, **GBH**, **Anti Cimex** i **Crude SS** również mają na nas duży wpływ. Doceniamy również niemiecką scenę i myślę, że jest to dość zauważalne w naszym brzmieniu. Pierwszym coverem jaki zrobiliśmy był "***Tormentor***" **Kreatora**. Jednak w tym konkretnym przypadku nie był to powód, dla którego wybraliśmy cover **Living Death**. Naszym zamiarem było po prostu stworzenie agresywnej wersji tego klasyka.

Wojciech Chamryk & Szymon Tryk

RECKLESS

Duch metalu wykracza poza etykiety

Bywa, że niekiedy muzyków trzeba ciągnąć za język, aby wydusić od nich jakieś sensowne odpowiedzi. Innym razem japa im się nie zamyka i ciężko zapanować nad ich potokiem słów. Takie coś przytrafiło się przy rozmowie z muzykami kolumbijskiego Reckless. Całe szczęście chłopaki ze swoim speed metalem są bardziej konkretni, wystarczy posłuchać ich debiutu "Sharp Magik Steel". Zdecydowanie warto!

HMP: Ostatnio na rynku pojawia się coraz więcej młodych zespołów speedmetalowych, wręcz powoli robi się z tego moda. Czy daliście porwać się tej modzie, czy raczej taka muzyka dawno zagościła w waszych duszach?

Metalbringer: Hej Michał, mam nadzieję, że masz się świetnie. Po pierwsze, dzięki za zaproszenie do HMP i pozdrowienia dla czytelników. Jeśli chodzi o mnie, mam 33 lata i myślę, że to nie jest dobry wiek na podążanie za trendami. Przez ostatnie 15 lat grałem w kilku zespołach thrash, speed i heavymetalowych, wliczając w to mój pierwszy zespół, wykonujący covery **Metalliki** i **Slayera**, aż do ostatniego przed **Reckless**, który był zespołem speed/heavymetalowym o nazwie **Hellroar**, ale grającym tylko w małych miejscach i posiadającym na swoim koncie kilka kaset demo. Myślę, że wielu metalowców zgodzi się co do tego, że pierwszymi zespołami, które pojawiły się w naszym życiu w czasach szkolnych, są być może te same klasyki! **Black Sabbath**, **Iron Maiden**, **Metallica**, **Judas Priest** itp. i w moim przypadku nie był to wyjątek. Kiedy miałem 15 lat, po raz pierwszy usłyszałem **"Show No Mercy" Slayera**, **"Screaming For Vengeance" Judas Priest** i **"Bonded by Blood" Exodusa**. To było dla mnie szokujące doświadczenie! Od tamtego momentu byłem zafascynowany thrash metalem przez szybkie uderzenia perkusji, ostre gitarowe riffy, agresywne wokale i ten świat, który został stworzony w mojej głowie, gdy przeczytałem tekst z całego **"Show No Mercy"** i oczywiście przez melodie, duety zharmonizowanych gitar, pamiętne gitarowe solówki, łańcuchy i skórę heavy i speedmetalowych zespołów takich jak **Exciter**, **Running Wild** i bogów **Judas Priest**... Więc tak! heavy, speed i thrash metal zadomowiły się w mojej duszy wiele lat temu. Myślę nawet, że to zainspirowało basistę, **Jawbrakera**, i mnie do napisania tekstu do "***Kneel Before The Gods***", ponieważ ten utwór jest hołdem dla **Judas Priest**. Jednak nigdy nie przeszkadzał mi fakt, że dany gatunek metalu staje się trendem lub modą. Patrzę na to pozytywnie! Pozwól, że to wyjaśnię. Metal w ogóle miał już tego typu "trendy" zespołów w przeszłości, stało się tak z death metalem i black metalem w latach 90., a także z black/thrashem we wczesnych latach 2000 i dziś, jeśli spojrzymy wstecz na te "trendy", kiedy wszyscy chcieli tworzyć death lub black lub black/thrash, w tamtym czasie mogło być nieco irytujące widzieć wielu bangerów próbujących stworzyć deathmetalowy zespół w latach 90., ale myślę, że to, co zostało osiągnięte to wzbogacenie metalu o wiele opcji do wyboru w zależności od różnych gustów... Myślę więc, że speed i heavy metal są w momencie, w którym stają się bogatsze na przyszłość. Możesz to nawet zweryfikować, jeśli wejdziesz na Metal Archives i poszukasz według gatunku, zobaczysz, że speed metal jest gatunkiem, który ma około 40 lat i jest tylko 3100 zarejestrowanych zespołów, w porównaniu do death metalu, który jest o 10 lat młodszy i ma ponad 56 000 zarejestrowanych zespołów. Myślę, że czas pokaże, kto gra i tworzy zespół na modłę, a kto nie, ale nie zwracam na to uwagi. Skupiam się na zespołach, które lubię i cieszę się ich muzyką.

Foto: Reckless

Jawbreaker: Jeśli się nad tym zastanowić, to większość zespołów, których słuchałeś, była w jakiś sposób zainspirowana speed metalem. Zdecydowanie zdajemy sobie sprawę z obecnego zainteresowania speed metalem, ale nasza pasja do tego gatunku tkwi głęboko w naszych duszach. Speed metal nie jest dla nas tylko trendem; to coś, co było obecne w naszym życiu, odkąd poznaliśmy metal i wywarło na nas głęboki wpływ.

Jakie stare kapele was inspirowały oraz jakie stare płyty najchętniej słuchacie? Ja w recenzjach waszego albumu znalazłem takie nazwy: Judas Priest, Accept, Running Wild, Jag Panzer, Laaz Rockit, Slayer, Megadeth, Paradox, Nucleatr Assault itd.

Metalbringer: Cóż, nawet nie znam **Laaz Rockit** i nie jestem fanem **Nuclear Assault**, ale jeśli chodzi o pozostałe to zdecydowanie tak! Jak wspomniałem wcześniej, odkąd byłem bardzo młody, byłem fanem **Slayera** i **Judas Priest**, te dwa świetne zespoły zawsze są w mojej głowie, kiedy jammuję, aby skomponować nowy utwór. Jest jednak wiele zespołów i albumów, o których zawsze pamiętam, gdy próbuję skomponować utwór, albumów, które inspirują mnie ze względu na jakiś riff, jakieś intro lub jakąś rzadką strukturę w utworze. Myślę, że bardziej niż wymieniać zespoły, chciałbym być konkretny, wymieniając kilka płyt, które moim zdaniem mogą dokładnie opisać to, co ludzie mogą znaleźć słuchając **Reckless**. Te albumy to: **"Skeptics Apocalypse" Agent Steel**, **"Gates to Purgatory" Running Wild**, **"Bonded by Blood" Exodus**, **"Show No Mercy" Slayer**, **"Sin After Sin"**, **"Screaming For Vengenace"** i **"Defenders Of The Faith" Judas Priest**, **"Heavy Metal Maniac"**, **"Violence and Force"**, **"Long Live The Loud" Excitera** i **"Ride The Lightning" Metalliki**. Chciałbym nawet wspomnieć o kilku płytach, które nie są związane z naszym stylem metalu, ale w pewien sposób zawierają wiele rzeczy, które również mnie inspirują, ponieważ nie jestem tylko fanem heavy, speed i thrash, lubię też niektóre zespoły deathmetalowe i blackmetalowe. Myślę, że moja kolekcja muzyczna jest niewielka, ale bardzo zróżnicowana. (śmiech) Więc chciałbym wspomnieć o czterech bardziej konkretnych klasycznych płytach, **"Leprosy" Death**, **"Seven Churches" Possessed**, **"Nifelheim" Nifelheim** i **"INRI" Sarcofago**... Kiedy słyszę te nagrania, zarażają mnie do pisania nowych kawałków, oprócz wielu NWOBHM, oczywiście! Wiele innych zespołów przewija się przez moją głowę, ale myślę, że te są dla mnie najważniejsze i wywarły na mnie największy wpływ.

Jawbreaker: Oldschoolowe zespoły takie jak **Judas Priest**, **Saxon**, **Accept**, **Sodom**, **Destruction** i **Running Wild** miały znaczący wpływ na nasze brzmienie i teksty. Poza tym niektóre nowe zespoły robią świetną robotę i z dumą możemy powiedzieć, że te nowe zespoły również nas zainspirowały.

A co powiecie o Exciter i Agent Steel?

Jawbreaker: Z pewnością szanujemy ich wkład w scenę speed metalu; wytyczyli ścieżkę dla kilku zespołów, a obecnie wciąż robią kopiący tyłki speed metal. Jeśli nie widziałeś koncertu **Exciter**, to gorąco polecam. Ich energia i występ to coś, czego nigdy nie zapomnisz.

Metalbringer: Jak najbardziej! Jak wspomniałem wcześniej, są jednym z naszych ulubionych zespołów i bardzo nas zainspirowali. Nawet wykonujemy na żywo utwór "***Under Attack***". Chociaż szkoda, że **John Ricci** nie jest już w zespole, to również szkoda, że nie wydali nowego albumu od ponad dekady. Myślę, że wszyscy fani **Excitera** czekają na jeszcze jeden album, nawet jeśli głos **Dana** nie jest już taki sam.

Które z młodych/współczesnych kapel was inspirują?

Jawbreaker: Oczywiście. Zespoły takie jak **Venator**, **Century**, **Acid Blade**, **Drifter**, **Deathhammer**, **Bütcher**, **Diabolic Night** i **Black Magic**, by wymienić tylko niektóre, wnoszą do gatunku świeże spojrzenie, a ich muzyka jest inspirująca. Współczesne zespoły metalowe naprawdę odcisnęły swoje piętno, prezentując niezwykłe połączenie nostalgii i innowacji. Nierzadko spotyka się entuzjastów, którzy pozostają wierni dźwiękom metalu z lat 80., przekonani, że dzisiejszej scenie muzycznej brakuje uroku tamtej epoki. Wierzę jednak, że ci sceptycy mogą być mile zaskoczeni, jeśli poświęcą chwilę na zbadanie niektórych ostatnich zespołów i ich wydawnictw. Weźmy na przykład szwedzki zespół **Century** i australijski **Venator**. Te niezwykłe zespoły z powodzeniem wypełniły lukę między urzekającym brzmieniem lat 80. a wymaganiami współczesnej muzyki. Umiejętnie nasycając swoją muzykę duchem przeszłości, jednocześnie przyjmując współczesną wrażliwość, oferują wrażenia słuchowe, które urzekają fanów wszystkich pokoleń. Ich zdolność do oddawania hołdu klasykom przy jednoczesnym przesuwaniu granic tego, co jest możliwe w metalu, pokazuje ekscytującą ewolucję gatunku.

Metalbringer: Jasne! Wspomnę o paru kolumbijskich zespołach, takich jak **Witchtrap**, **Savage Aggression**, **Legacy**, **Ironclad** i **Runner Hell**. Oczywiście są też zespoły z innych krajów, które mnie bardzo inspirują. Peruwiańska **Cobra**, chilijskie **Acero Letal**, meksykański **Voltax** (ci goście są cudowni!), fiński **Ranger**, norweskie **Black Magic**, **Töxik Death**, **Condor**, **Flight** i **Deathhammer**, szwedzki **Antichrist** (kocham ten zespół!), australijski **Trench Hell**, włoski **Baphomet's Blood**, kanadyjski **Traveler** i szwedzki **Ram**.

Dużo mówi się o nurtach NWOTM i NWOTHM, do którego z nich jest wam najbliżej? Czy w ogóle czujecie więź z tymi społecznościami?

Metalbringer: Czasami nazywam wszystko po prostu "heavy metal", więc nie sądzę, że potrzeba więcej trendów, aby odnieść się do konkretnego stylu, chociaż prawdopodobnie, ponieważ jesteśmy zespołem, który gra old-schoolowy styl speed/thrash w tych nowoczesnych czasach, łatwo jest ludziom odnieść **Reckless** jako zespół NWOTM i zgadzam się z tym. Ale szczerze mówiąc, jest to coś, co nie ma dla mnie znaczenia, co jest naprawdę ważne, to po prostu cieszyć się muzyką, niezależnie od tych trendów.

Jawbreaker: Rozwinęliśmy głęboką więź z metalem jako całością, niezwiązaną etykietami czy podgatunkami. Znajdujemy inspirację i radość w szerokim spektrum muzyki metalowej, obejmując różnorodność, jaką oferuje. Niezależnie od tego, czy chodzi o mroczne i klimatyczne królestwa black metalu, nieustępliwą moc death metalu, czy naładowane adrenaliną riffy thrash metalu, cenimy te doświadczenia tak samo, jak energię szybkości lub ponadczasowość heavy metalu. To wszechstronne uznanie dla metalu w jego różnych formach pozwala nam odkrywać nieograniczoną kreatywność i ekspresję artystyczną w ramach gatunku. Nie jesteśmy ograniczeni ograniczeniami jednego podgatunku, ale raczej napędza nas pasja do muzyki, która wymyka się konwencjom. Dla nas duch metalu wykracza poza etykiety, a jedność tej społeczności, oparta na wspólnej miłości do intensywnej, nieskrępowanej muzyki, naprawdę z nami rezonuje. To nieco zabawne być świadkiem toczących się debat między jednostkami na temat różnic między różnymi podgatunkami metalu. W społeczności, która rozwija się dzięki miłości do potężnej, nieskrępowanej muzyki, ważne jest, abyśmy pozostali zjednoczeni. Kilka lat temu, gdy wachlarz podgatunków był bardziej ograniczony, koncepcja tego, jaki "gatunek" metalu grasz, wydawała się mieć znacznie mniejsze znaczenie. Zespoły aspirowały do tego, by zaznaczyć swoją obecność, niezależnie od tego, czy festiwal, w którym uczestniczyły, prezentował głównie heavy, thrash czy death metal. Z perspektywy zespołu, rodzaj metalu preferowany przez jego fanów ma znacznie mniejsze znaczenie niż sam fakt, że są oni oddanymi słuchaczami. Najważniejsze jest to, że publiczność naprawdę cieszy się muzyką i chce się nią dzielić, przyczyniając się w ten sposób do widoczności zespołu. W tym sensie jest to przypomnienie, że istota metalu wykracza poza kategoryzację, a to, co naprawdę się liczy, to głęboka więź między muzyką a tymi, którzy się nią rozkoszują.

Foto: Reckless

Wasza muzyka to speed metal, ale pełno w niej odniesień do tradycyjnego heavy metalu, NWOBHM oraz thrash metalu. Czy dzięki tym dodatkom wasz speed metal wybrzmiewa pełniej?

Jawbreaker: Absolutnie, heavy i thrash metal są bardzo ważną częścią naszych wpływów. Osobiście uważam, że muzyka, której słuchasz, ma ogromny wpływ na to, co tworzysz.

Metalbringer: Kiedy zakładałem zespół, miałem na myśli połączenie dwóch rzeczy: szybkości i melodii, ponieważ jestem wielkim fanem wielu stylów metalowych. Nawet gdybym miał czas, chciałbym założyć kilka zespołów, od hard rocka inspirowanego zespołami z lat 70. do bardziej ekstremalnego zespołu inspirowanego **Vulcano** i **Sarcofago**, ale nawet posiadanie tylko jednego zespołu wymaga dużo czasu, więc z tego powodu zdecydowałem się połączyć rzeczy, które najbardziej lubię w metalu. Więc tak, nasza muzyka jest pełna tych odniesień, nie chciałem pozostać tylko przy zharmonizowanych gitarach w duecie i heavy metalowych melodiach, ale chciałem też włączyć agresywność i szybkość thrashu, ale nie chciałem jedynie podstawowych akordów mocy używanych w thrashu, więc starałem się komponować utwory, wykorzystując to, co najlepsze z obu światów. W porównaniu do wielu zespołów z lat 80., które były głównie pod wpływem NWOBHM i hard rocka z lat 70., dzisiejsze zespoły również czerpią z tych wpływów, a także z wielu innych różnych stylów heavy metalu. Jak wspomniałem wcześniej, czerpią z heavy, speed, thrash, a nawet death i black metalu, a to skutkuje stylem pełnym wielu odniesień z różnych stylów. Na przykład norweski **Black Magic** czerpie inspirację z hard rocka z lat 70., ale jednocześnie ma dużo speed metalu i lekki akcent z pierwszej fali black metalu. Świetna kombinacja! Spójrz też na chłopaków z belgijskiego **Bütchera**. Znajdujesz dużo heavy, speed, thrash i black metalu w tym samym zespole, to jest świetne. Żyjemy w czasach niesamowitego bogactwa muzycznego. Mamy ogromne szczęście!

Dość często napotykam na opinie, że speed metal to w zasadzie początki thrash metalu. Też tak uważacie?

Jawbreaker: Trudno zaprzeczyć wpływowi, jaki speed metal wywarł na późniejsze gatun-

ki. Bezlitosna prędkość i moc speed metalu są znane z niektórych klasycznych thrashowych albumów i zespołów. Nawet jeśli zapytasz muzyków thrashowych o ich wpływy, znajdziesz kilka zespołów speed metalowych w ich odniesieniach.

Spitfire: Chociaż istnieją inne style muzyczne, które miały wpływ na ten gatunek, takie jak punk czy hardcore, uważam, że to zależy od stylu zespołu. Nawet jeśli zespoły należą do thrash metalu, to zespół taki jak **Suicidal Tendencies** nie jest tym samym co na przykład **Destruction**. Oba zaliczają się do tego, co znamy jako thrash metal, ale nie są do siebie podobne, ani muzycznie, ani wizualnie. Myślę też, że zależy to od tego, skąd pochodzą, czy jest to Bay Area, Niemcy, Wielka Brytania itd.

Metalbringer: Zgadzam się ze **Spitfire**, spójrzmy na przykład **Slayera**. Jeff był fanem hardcore'a, a **Kerry** fanem **Judas Priest** i **Iron Maiden** i to połączenie zaowocowało świetnym zespołem thrashmetalowym. Myślę, że speed i thrash rozwijały się przez kilka lat, zanim zostały zdefiniowane jako konkretny gatunek, a nawet, że rozwijały się w tym samym okresie między 1978 a 1984. Ale to zawsze będzie dyskusja lub debata, na którą nie zwracam uwagi i nigdy nie znalazłem ważnego powodu, by dyskutować o tym, co było pierwsze lub kto na kogo wpłynął, a jeśli zespół jest speed lub thrash, to myślę, że taka rozmowa jest trochę nudna. Skupiam się na tym, że jeśli jest to dobry album, to trzeba go słuchać, cieszyć się nim i dzielić się nim z wieloma innymi ludźmi, i to wszystko.

Foto: Reckless

Jednak w waszym speed metalu jest też sporo melodii...

Jawbreaker: Rzeczywiście, melodia jest istotną częścią naszej muzyki. Melodie mogą być różnicą między dobrym kawałkiem, której słuchałeś raz, a utworem, który utknął ci w głowie i nie możesz go wyrzucić.

Spitfire: Chcę dodać, że nasz zespół tworzy speed metal, który był również pod wpływem heavy metalu, z harmonizowanymi i grzmiącymi gitarami, które przywołują dawną chwałę ważnych zespołów, takich jak **Judas Priest** (aby dać bardzo konkretny przykład), którzy rzeczywiście wpłynęli na nas w taki sposób, że nasza muzyka szukała tej ścieżki melodii, aby pokazać, że jest to dzieło, które zostało stworzone z próbami, czasem, inspiracją, a przede wszystkim z dużą pasją. To jest to, co chcemy przekazać naszej publiczności, aby dzięki naszej muzyce publiczność wiedziała, że metal się nie kończy, że pozostaje aktualny i będzie tak długo, jak długo współczesne zespoły będą podejmować dziedzictwo pozostawione przez stare legendy. Wierzę, że to istotna część naszego projektu.

W "Crimson Obsession" i "Behind the Mist" na początku używacie syntezatorów, co w ogóle myślicie o wykorzystywaniu klawiszy w tradycyjnym heavy metalu? Kojarzycie kawałek Judas Priest "Turbo Lover"? W momencie jego ukazania uważałem to za zdradę, a od wielu lat mało sobie karku przy nim nie urwę. Tak samo jest z ich najnowszym kawałkiem "Panic Attack"...

Jawbreaker: Wszystko zależy od sposobu, w jaki klawisze są włączone do muzyki. Każdy muzyk ma inny sposób na przeżywanie muzyki i przekazywanie tego uczucia publiczności. Klawisze w heavy metalu mogą być potężnym narzędziem do tworzenia atmosfery i dodawania głębi do utworu.

Metalbringer: Myślę, że jest wiele sposobów na wykorzystanie klawiszy w heavy metalu. Osobiście bardzo lubię, gdy klawisze są używane subtelnie w niektórych intrach lub w trakcie utworu, aby stworzyć atmosferę, ale nie wyróżniając się zbytnio i nie osiągając większego znaczenia niż gitary. Na przykład **Dio**, **Deep Purple**, **Rainbow** i pierwsze albumy **Ozzy'ego** mają idealną równowagę między gitarami i klawiszami, a także pierwsze dwa albumy brazylijskiego **Mystifier**, a nawet krążek **Black Magic** "**Wizzard's Spell**" przynosi ten niesamowity, niejasny klimat, który tak bardzo kocham w heavy metalu. Myślę, że wkrótce uzyskamy idealną równowagę między klawiszami i gitarami. W szczególności dwa utwory, o których wspomniałeś, "***Crimson Obsession***" i "***Behind The Mist***" są oparte na filmach. Ten pierwszy jest oparty na filmie z lat 80. "**Łowca**", a ten drugi jest oparty na adaptacji powieści "**Mgła**" **Stephena Kinga**, więc zdecydowaliśmy się dołączyć krótkie intro oparte na ścieżce dźwiękowej tych filmów (nagrał to Stefan Castevet), aby słuchacze poczuli kontekst tego, o czym jest utwór.

Wasz speed jest także szybki, ostry, agresywny, wściekły, ale oprócz melodii ma zaraźliwe i chwytliwe riffy oraz solówki, to też ułatwi słuchaczowi zatracić się w waszej muzyce...

Metalbringer: Przez większość czasu wersja, którą słyszymy na albumie, może być końcowym rezultatem kształtowania głównej idei przez wiele lub kilka kolejnych wersji, myślę, że tak dzieje się w większości zespołów, nawet dzieje się tak w scenach filmu lub na stronach książki, zawsze jest więcej wersji, których nigdy nie poznajemy. I w moim przypadku dzieje się w ten sposób. Czasami mogę pisać utwory w bardzo spontaniczny sposób, tylko z kilkoma zmianami tu i tam, i to wszystko! Mam kolejny kawałek, ale wiele razy zmieniam utwór wersja po wersji, aż zdecyduję, która będzie ostateczna. Jestem bardzo krytyczny wobec mojej muzyki z punktu widzenia słuchacza. Więc kilka dni nie gram lub nie słucham kompozycji, a następnie słucham jej jako bangera. Wtedy zdaję sobie sprawę, czy utwór naprawdę przykuwa moją uwagę, czy nie. W ten sposób zawsze komponuję i myślę o doświadczeniu publiczności, myśląc o tym, czy słuchanie utworu będzie interesujące dla słuchaczy. Często słyszę, jak niektóre zespoły mówią, że mają w dupie to, co inni ludzie myślą o ich muzyce, myślę, że boją się krytyki i ukrywają się w tej absurdalnej postawie. Chociaż uważam, że krytyka nie powinna mieć na nas wpływu, myślę, że ważne jest, aby brać pod uwagę publiczność, ponieważ słuchacze są fundamentalną częścią, są uzupełnieniem zespołów, są uzupełnieniem każdego artysty. Myślę, że sposób, w jaki komponuje się utwór, powinien być zawsze tworzony z myślą o słuchaczach, ciekawy riff lub melodia, ale jednocześnie prosta, chwytliwa, aby przyciągnąć słuchacza i ułatwić mu zatracenie się w muzyce utwór po utworze.

Brzmienie "Sharp Magik Steel" jest oldschoolowe znakomicie oddające minione lata 80. ale także jest brudne, szorstkie i undergroundowe, czy był to zamierzony i przemyślany efekt, czy też wynikało to z niedostatków studia, w którym nagrywaliście?

Metalbringer: Myślę, że było to spowodowane warunkami, w których nagrywaliśmy, ponieważ tylko perkusja została nagrana w profesjonalnym studiu nagraniowym; gitary, bas i wokale zostały nagrane w moim domu w zaimprowizowanym domowym studiu. Niestety nie jestem zadowolony z końcowych rezultatów brzmienia gitar. Na tym albumie popełniłem błąd używając **Impulse Response** przy nagrywaniu dźwięku ze wzmacniacza lampowego **Marshalla**. Prawdopodobnie nie dobrałem odpowiedniego **IR**... Słyszałem wiele płyt, gdzie wykorzystano **IR** i tam brzmią one świetnie. Zrobiłem to tylko ze względów praktycznych, ale to był duży błąd. Z drugiej strony, dla naszego pierwszego podwójnego singla, nagrałem gitarę w domu, używając tego samego wzmacniacza **Marshall**, tych samych gitar, ale tym razem używając trzech mikrofonów w tradycyjny sposób. Dwa z nich ustawiłem przed wzmacniaczem, a trzeci do uchwycenia pomieszczenia i byłem bardziej zadowolony z rezultatu. **M. Brinkmann**, czło-

wiek stojący za miksem i masteringiem "**Sharp Magik Steel**", dołożył wszelkich starań, aby poprawić brzmienie. Jest naprawdę dobry w tym co robi, uwielbiam wszystkie miksy, które wykonał na różnych albumach dla wielu zespołów, zwłaszcza jeśli chodzi o perkusję. Sposób, w jaki miksuje perkusję, daje dużo energii i mocy utworom. Ale tak, koniec końców takie brzmienie otrzymaliśmy, trochę szorstkie i brudne, ale mimo to, będę nagrywał gitary w domu, ale używając klasycznego zestawu mikrofonów **Shure sm57**. Nagrywam gitary w domu, nie dlatego, że w mieście nie ma dobrych studiów nagraniowych, robię to dlatego, że mogę być wrzodem na dupie dla studia. (śmiech) Mam na myśli wprowadzanie wielu zmian w ostatniej chwili, na przykład po kilku ujęciach mogę zdecydować się na usunięcie lub dodanie taktu w utworze, lub zmianę solówki gitarowej itp. Poza tym zwykle nagrywam w nocy po pracy lub w weekendy, więc jest to uciążliwe, aby iść do studia i polegać na dostępności czasu w studiu, myślę, że wygodniej jest to zrobić w domu, pijąc kilka piw i nagrywając w dowolnym czasie. Wreszcie, jeśli chodzi o perkusję, poprosiliśmy **Marco**, aby nie używał triggerów do werbla i kicka. Naprawdę chcieliśmy poczuć perkusję tak naturalnie, jak to tylko możliwe, z wyjątkiem niektórych efektów pogłosu i intro do "***Wake Up Screaming***". Ogólnie rzecz biorąc, podobał mi się ostateczny rezultat brzmienia.

Jak traktujecie swoje teksty, chcecie coś w nich przekazać, czy raczej podchodzicie do nich w typowy metalowy sposób?

Jawbreaker: Teksty zajmują fundamentalne miejsce w naszej muzyce. Od samego początku istnienia naszego zespołu postrzegaliśmy każdą kompozycję jako sposób na przekazanie naszej publiczności wyraźnego przesłania. Mocno wierzymy w zgodność melodii i tekstów; są to dwa nierozłączne elementy, które powinny harmonijnie się uzupełniać. Dla mnie każdy utwór jest opowieścią czekającą na opowiedzenie, a teksty służą jako narrator. Jestem jedną z tych osób, które czerpią ogromną radość nie tylko ze słuchania świetnego kawałka, ale także z zagłębiania się w jego tekst, aby rozszyfrować narrację artysty. Chociaż nie każda piosenka wymaga głębokiego lub transcendentalnego tekstu, aby była świetna, szczególnie pociągają mnie kompozycje, które łączą zaraźliwą melodię z niezwykłą głębią liryczną. W **Reckless** staramy się tworzyć teksty, które wywołują szereg emocji u naszych słuchaczy. Nie jest to łatwe, ale dążymy do tego, aby przenieść słuchaczy w czas i miejsce, w którym rozgrywają się nasze historie, pozwalając im zanurzyć się w wirze uczuć. Nasze teksty przepełnione są odniesieniami do klasycznych horrorów i głęboką miłością do metalu. Poprzez nie chcemy dzielić się naszym entuzjazmem dla klasycznego kina, literatury, naszego nieugiętego oddania muzyce i innym tematom, które rozpalają nasze dusze. Z każdym tekstem, który piszemy, naszą misją jest zabranie słuchacza w podróż przez nasze własne doświadczenia i inspiracje. Mamy nadzieję, że muzyka i słowa, które tworzymy, rezonują z naszą publicznością, pozwalając im odkrywać królestwa klasycznego horroru.

Metalbringer: Jest kilka tematów w naszych tekstach, jak mówi **Jawbreaker**, inspirowały nas książki, filmy i heavy metal. W moim przypadku bardzo lubię pisać teksty o heavy metalu oraz oparte na filmach lub po prostu osobistym punkcie widzenia na życie, na przykład jak wspomniałem wcześniej "***Kneel Before The Gods***", który jest hołdem dla **Judas Priest**, lub "***Sharp Magik Steel***", który jest inspirowany tym, czym jest heavy metal w moim życiu, a co najważniejsze, czym jest dla mnie gitara i uczucia, które budzi we mnie możliwość grania na gitarze, tworzenia muzyki i grania na żywo. To coś, co sprawia, że czuję się świetnie i jestem pewien, że wielu metalowców również się z tym utożsamia, mam na myśli to, co heavy metal reprezentuje w ich życiu. O tym właśnie mówi "***Sharp Magik Steel***". W ten sam sposób filmy również bardzo mnie inspirują. Pomysł zaadaptowania historii do utworu wydaje mi się naprawdę niesamowity. Fakt tworzenia historii w umysłach słuchaczy poprzez nasze teksty, którym towarzyszy wściekła i agresywna muzyka, to jest niesamowite! To sprawia, że pamiętam, kiedy po raz pierwszy przeczytałem teksty do "***Metal Storm/Face The Slayer***" i "***Tormentor***" **Slayera** podczas ich słuchania, do dzisiejszego dnia pozostawiły na mnie trwałe wrażenie.

Jakie w ogóle zbiera oceny wasz debiut "Sharp Magik Steel"?

Jawbreaker: To była ekscytująca podróż i jesteśmy wdzięczni za wszystkie pozytywne recenzje, które otrzymaliśmy. Większość komentarzy była pozytywna. Jednak naprawdę doceniamy szczerość recenzentów i bierzemy pod uwagę te dobre oraz te niekoniecznie dobre opinie, aby wiedzieć, co mamy poprawić.

Foto: Reckless

Dwójka z was Rites666 i Metalbringer używa pseudonimów, to też nawiązuje do lat 80. Jak to mamy rozumieć, to jest ich hołd do minionych czasów, czy te ksywki to wynik innych okoliczności?

Jawbreaker: Obecnie każdy członek ma swój pseudonim. **Metalbringer**, **Rites666**, **Spitfire** i **Jawbreaker**. Pseudonimy mogą być postrzegane jako alter ego, w niektórych przypadkach jako hołd dla muzyki lub zespołów, które lubimy.

Metalbringer: Używam mojego pseudonimu od czasu mojego poprzedniego zespołu **Hellroar**. Pamiętam, że w tamtych czasach słuchałem dużo japońskiego **Magnesium**, a szczególnie utwór "***Metalbringer***" przykuł moją uwagę, tym bardziej, gdy dostałem podwójną kompilację na 12-calowym winylu, który wydała wytwórnia **Metal Warning**, i w końcu mogłem przeczytać tekst, wcześniej szukałem tekstu w Internecie i nigdy go nie znalazłem. W tamtych czasach, czyli w 2013, zaczęliśmy od pierwszych prób **Hellroar** i widząc jak wiele z moich ulubionych zespołów, używało pseudonimów, pomyślałem, że oprócz mojej gitary, muszę wybrać pseudonim, a ten kawałek wciąż siedziała mi w głowie. Więc zdecydowałem się użyć jego tytułu jako mojego pseudonimu, więc myślę, że mój pseudonim jest czymś więcej niż hołdem dla **Magnesium** czy heavy metalu w ogóle, dla mnie nawiązuje do tamtych dni z moim poprzednim zespołem, cóż, mimo że wydaliśmy tylko taśmę demo, ale były to lata, w których nauczyłem się wielu rzeczy o tym, co robić, a czego nie robić, gdy masz zespół. Było to kilka lat, które bardzo mi się podobały! Bez wątpienia tamte czasy i tamten zespół miały głęboki wpływ na moje życie. Poza tym uważam, że używanie pseudonimów w zespołach heavy metalowych pomaga nadać więcej dramatyzmu temu, co zespoły chcą wyrazić swoją muzyką. Uwielbiam też, gdy w niektórych zespołach heavy-metalowych na tylnych okładkach pod zdjęciami, zamiast podawać instrument, na którym grają, używają krótkiego metaforycznego opisu odnoszącego się do ich instrumentu, to jest świetne.

Pochodzicie z Kolumbii, z waszego kraju pochodzi wiele kapel metalowych, ale chyba nie jest to najlepsze miejsce dla grania heavy metalu?

Jawbreaker: Kolumbia szczyci się kwitnącą sceną metalową, na której ludzie wspierają występy na żywo, nie tylko uznanych, znanych zespołów, ale także wschodzących lokalnych talentów. Scena metalowa w naszym kraju odnotowała znaczny wzrost w ostatnich latach i ten trend się utrzymuje. Dowodem na to jest rosnąca liczba koncertów organizowanych każdego miesiąca. Rosnąca publiczność w Kolumbii ma pozytywny wpływ na zespoły w ogóle. Liczba koncertów międzynarodowych zespołów wzrosła w ostatnich latach.

Nawet przed pandemią mieliśmy szczęście być świadkami kilku festiwali z udziałem międzynarodowych zespołów w tym samym miesiącu, co kiedyś było rzadkością. Pandemia zwiększyła uznanie ludzi dla koncertów na żywo. Dwa lata lockdownu, podczas których nie mogliśmy cieszyć się tym podstawowym aspektem metalowego świata, sprawiły, że fani jeszcze bardziej docenili wysiłki zespołów i organizatorów. Z drugiej strony warto podkreślić, że o ile międzynarodowy rynek koncertowy w naszym kraju się rozwinął, o tyle lokalne występy zespołów nie pozostają w tyle. Pod tym względem kluczową rolę odegrało indywidualne zarządzanie wśród lokalnych zespołów i niektórych wytwórni i organizatorów. Samo-

Foto: Reckless

organizacja odegrała kluczową rolę w promowaniu wschodzących koncertów metalowych. Lokalne zespoły włożyły wiele wysiłku w tworzenie małych festiwali metalowych, na których wschodzące zespoły mogą zaprezentować swoje brzmienie publiczności. To przedsięwzięcie okazało się owocne, a wiele wschodzących zespołów organizuje teraz swoje koncerty. Obecnie często można znaleźć lokalnie organizowane koncerty w każdy weekend. Najbardziej niezwykła jest gotowość publiczności do wspierania tych miejsc i występujących tam zespołów. Społeczność metalowców w Kolumbii jest wyjątkowo pomocna, a ich entuzjazm podsyca naszą pasję.

Metalbringer: Jestem trochę ciekawy, dlaczego tak uważasz? Chciałbym poznać, czym się kierowałeś, stawiając takie pytanie. Jeśli jednak mówisz o metalu w ogóle, to tak było! Oczywiście nie żyłem w tamtych czasach jako metalowiec, ale powiedziałbym, że tak, w latach 80. i 90. było ciężko dla pierwszego pokolenia metalowców w Kolumbii, zwłaszcza dla najbardziej ekstremalnego heavy metalu. Czytałem fanziny i oglądałem wywiady z niektórymi członkami zespołów takich jak **Reencarnación**, **Masacre**, **Parabellum**, **Witchtrap** i wieloma innymi. Opowiadają oni swoje anegdoty z tamtych czasów. Na przykład, kiedy **Reencarnación** nagrało swój pierwszy album "**Reencarnación**" w 1988 roku, musieli to zrobić w jedynym studiu, w którym nagrywano muzykę pop i inne rzeczy, z wyjątkiem heavy metalu. Nikt w tym studiu nie wiedział, jak nagrać ekstremalny zespół heavymetalowy. Opowiadają, że nawet usmażyli kilka channel stripów w konsolecie. (śmiech) Chłopaki z **Masacre** opowiadali, że zdobycie dobrego sprzętu było bardzo trudne i kosztowne! No wiesz, wzmacniacze, gitary, pedały FX, itp. Więc wiele zespołów robiło własne gitary i własne wersje FX. **Witchtrap** na początku ćwiczyli na domowej roboty perkusji. Należy również pamiętać, że nie tylko Kolumbia, ale cała Ameryka Południowa była jeszcze bardziej katolicka niż w dzisiejszych czasach, więc w jakiś sposób społeczność nie patrzyła przychylnie na tych chłopaków w tamtym czasie, więc wyobraź sobie tych ludzi bawiących się na ulicach ze swoimi długimi włosami i czarnymi koszulkami death i thrash, w mieście z wieloma wierzącymi. Na szczęście czasy się zmieniły i jak mówi **Jawbreaker**, dziś mamy bardzo silną scenę. Dziś dużo łatwiej jest kupić dowolny album do swojej kolekcji, ponieważ kilka wytwórni sprowadza muzykę z Europy i USA. Dziś łatwiej jest kupić dowolny instrument lub sprzęt dla zespołów, jest też wiele sal prób do wynajęcia, jest wiele profesjonalnych studiów nagraniowych, wielu promotorów organizuje masę koncertów zarówno undergroundowych, jak i z dużymi zespołami i dużymi festiwalami. Poza tym dzisiejsza technologia jest podstawowym narzędziem w każdym miejscu na świecie, każdy może nagrać demo, używając tylko gitary, laptopa i mikrofonu, a nawet tworząc własne domowe studio. Możesz nawet posłuchać najnowszych albumów **Witchtrap**, które nagrali, zmiksowali i zmasterowali we własnym domowym studiu. Myślę więc, że w dzisiejszych czasach prawdopodobnie nie jest najlepiej, ale jest dobrze! Kolumbia to dobre miejsce do grania heavy metalu i jest to również dobre miejsce dla innych zespołów, aby odwiedzić ten kraj.

Czy wielu kolumbijskim kapelom udaje się zaistnieć poza ojczyzną? Czy dla przykładu Reckless ma szansę zagrać w najbliższym czasie trasę w Europie?

Jawbreaker: W dzisiejszych czasach metalowcy na całym świecie mają dostęp do kolumbijskiego metalu. Kilka dekad temu było to naprawdę trudne, przynajmniej dla niektórych wschodzących zespołów. Platformy streamingowe pozwalają ci śledzić, gdzie twoja muzyka była odtwarzana. To niesamowite, że ludzie w Europie bardzo często grają kolumbijski metal. Nawet w niektórych krajach azjatyckich można zobaczyć maniaków cieszących się naszą muzyką. Kolumbijski metal jest coraz bardziej pożądany i nie jest niczym dziwnym widzieć kolumbijskie zespoły grające na międzynarodowych festiwalach na całym świecie. Jeszcze bardziej zdumiewający jest fakt, że fani w niektórych z tych krajów czekają od dziesięcioleci na występy naszych zespołów. Kilka kolumbijskich zespołów wyrobiło sobie międzynarodową markę. Zespoły takie jak **Witchtrap** i **Masacre** grały kilka razy w Europie, a **Cross Roar** odbędzie trasę koncertową w przyszłym roku. Granie w Europie jest naszym marzeniem i mamy nadzieję, że uda nam się je zrealizować w najbliższej przyszłości.

Metalbringer: Właściwie jesteśmy stosunkowo nowym zespołem, ale oczywiście! Mamy nadzieję, że uda nam się zacząć koncertować w niektórych krajach Ameryki Południowej, Europy, a także w USA. Nasz pierwszy album to dopiero pierwszy krok, ale mamy nadzieję, że będziemy kontynuować tworzenie muzyki i osiągniemy wszystkie nasze cele jako zespół.

Jakie będą wasze następne kroki, zaczniecie pracować nad nowym albumem studyjny, czy raczej będzie to EP-ka?

Metalbringer: Piszemy nowe utwory, ale nie mogę powiedzieć z całą pewnością, jakie będzie następne wydawnictwo **Reckless**, podoba mi się pomysł nowego albumu, zobaczymy ile utworów uda nam się napisać w ciągu najbliższych kilku miesięcy i wtedy zdecydujemy, czy wystarczy ich na drugi album, czy wydamy EP-kę, czy tylko singiel, nie wiem. Na razie jestem po prostu skupiony na pisaniu coraz większej ilości utworów.

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

IRON SAVIOR

Cieszę się, że nie jesteśmy tak znani jak Gamma Ray i Helloween

Iron Savior wypuścił właśnie nowy krążek, "Firestar". I choć już poprzedniej rozmowie Piet mówił, że ich ostatnia płyta jest tym właściwym "magnum opus", okazuje się, że najnowszy album wskoczył na jego miejsce w rankingu. Wygląda na to, że Pietowi udało się znaleźć dobry balans: z jednej strony kręci go obecna działalność kapeli, na koncertach chętnie gra kawałki z młodszej połowy istnienia zespołu, a z drugiej strony wciąż siedzi w przeszłości, bo nagrywa utwory z ery Noise na nowo.

HMP: Rozmawialiśmy trzy lata temu. Powiedziałeś wtedy, że "Scycrest" był jednym z najlepszych albumów Iron Savior. Co teraz powiesz o "Firestar"... jest jeszcze lepszy?

Piet Sielck: Tak, to prawda. Już wtedy mówiłem tak o "**Skycrest**" i nadal to podtrzymuję. Dla mnie to naprawdę wciąż wybitny album, ale co mnie zaskoczyło to fakt, że muszę szczerze przyznać, iż obecna płyta, "**Firestar**" okazała się jeszcze lepsza! Po "**Skycrest**" naprawdę nie pomyślałbym, że będę w stanie nagrać coś lepszego. Jednak drogi Panów Heavy Metalu bywają niezgłębione. To się naprawdę się dzieje i jest jeszcze lepiej!

Gdy tylko usłyszałam tytułowy utwór "Firestar", miałam wrażenie jakbym słuchała "Unification" lub "Iron Savior". Jest szybki, agresywny, ma dynamiczny refren. o Celowo nawiązujesz do starego Iron Savior?

Nie do końca, ten album ma kilka cech szczególnych. Jedną z nich jest to, że dla mnie dwa lub trzy najlepsze utwory na "**Firestar**" to "***In the Realm of Heavy Metal***" i "***Together as One***", które tak naprawdę powstały... pod sam koniec prac nad płytą. Tak naprawdę napisałem "***Firestar***" i "***In the Realm of Heavy Metal***" za pięć dwunasta. Album był już właściwie skończony, ale czegoś mi brakowało. Był naprawdę dobry, ale to nie było to. Utwory tak naprawdę nie chciały się ze sobą łączyć i brakowało jednego kawałka, takiego właśnie, jak "***Firestar***" i "***The Realm Heavy Metal***", więc nie była to celowe nawiązanie, ale właściwie... akt desperacji. Zdałem sobie sprawę, że coś tu nie działa i trzeba coś z tym zrobić. Wtedy po prostu usiadłem i powiedziałem, że spróbuję napisać jeszcze raz. I tak właśnie się stało. Po prostu! Jeśli więc chodzi o atmosferę, absolutnie się z Tobą zgadzam. Czy tak właśnie jest? Zdecydowanie jest to klimat "**Unification**" - "**Riding on Fire**" i tak dalej. Powiedziałbym, że jest też szczypta "**Landing**".

To słychać, ale wiesz, mam też inną obserwację. Okładka również przypomina coś starszego, najbardziej "Conditon Red" lub "Iron Savior".

To prawda. Taki był też zamiar. **Felipe** (Machado Franco - przyp. red.) złożył mi kilka ofert w różnych wersjach kolorystycznych. Jedna z nich była czerwona. Przypomniało mi to trochę "**Condition Red**" i stwierdziłem, że świetnie, niech tak będzie, bo "**Condition Red**" naprawdę nie był złym albumem. A jeśli nowa grafika przypomina Ci ten krążek, to dobrze.

Ogólnie rzecz biorąc, album "Firestar" jest mocniejszy i szybszy niż "Skycest". Rozumiem, że to spontaniczny efekt?

Tak, i szczerze powiem, że może tak właśnie jest. Ale muszę poruszyć jeszcze jedną kwestię. Jeśli chodzi o "**Skycrest**", na przykład już sam tytułowy "***Skycrest***", potem "***Ode to the Brave***", potem "***Legends***", potem "***Silver Bullet***" i "***Our Time has come***" to zdecydowanie szybkie kawałki. "**Skycrest**" nie jest w żaden sposób gorszy od obecnego albumu pod względem szybkości. Jednak zgodzę się z Tobą, że w jakiś sposób wydaje się jeszcze bardziej energiczny i prawdopodobnie dlatego można odnieść wrażenie, że kryje się za nim więcej ognia. Nie wiem dlaczego, szczerze mówiąc nie potrafię tego wyjaśnić. Czasami takie rzeczy po prostu się dzieją.

Foto: Iron Savior

Spontanicznie.

Na tym krążku jest naprawdę dużo spontaniczności.

Wspomniałeś o "In the Realm of Heavy Metal". Mam wrażenie, że jest to jednak coś jakby lżejszego, a i sam tekst jest jakby... humorystyczny?

Tak, dokładnie. Jednak co to znaczy - humorystyczny? To nie jest tekst, który po prostu opisuje miecze, rycerzy i walki. Myślę, że każdy kto słucha power metalu, lubi też fantasy, "**Władcę Pierścieni**" i tego typu rzeczy. Oczywiście nie mówię, że to jest norma, ale myślę, że często jest tak, że ludzie, którzy lubią ten rodzaj muzyki, naprawdę lubią oglądać "**Władcę Pierścieni**". A ten tekst jest tak naprawdę o tym, że istnieje taki właśnie świat fantasy, swego rodzaju przestrzeń, w której każdy może się jakoś odnaleźć. Każdy, kiedy słucha tej muzyki, może w pewien sposób od czasu do czasu trafić do "królestwa heavy metalu", gdzie są smoki, miecze i tym podobne. W prawdziwym świecie ich nie ma. Ludzie lubią się w takim świecie schronić. A ucieczka to nie jest właściwe określenie, bo ludzie wkraczają w ten świat po to, żeby się wyłączyć albo... pooglądać sobie latające smoki, ale potem ten świat opuścić. To właściwie podstawowa idea tego tekstu.

Od lat śpiewasz również o osobistych doświadczeniach. Które utwory mają takie przesłanie? Na pewno "Through The Fires Of Hell"... co jeszcze?

Dokładnie. "***Through the Fires of Hell***" po prostu jest o mojej żonie, którą bardzo kocham i wydaje mi się, że cała reszta zwyczajnie wynika z tekstu. Wystarczy go przeczytać, nie sądzę, żebym musiał to dalej wyjaśniać. A z "***Nothing is Forever***" jest tak: moja najstarsza córka ma 28, a najmłodsza 17 lat, oczywiście w pewnym momencie opuści dom. Pomyślałem sobie, że kiedy dzieci to robią, nie ma się już zajęcia. Bo przecież mam dzieci w domu od 30 lat! To będzie dla mnie prawdziwa zmiana. Będę musiał to przetrawić, kiedy ten ostatni żłobek nagle opustoszeje. Ci którzy są rodzicami mogą sobie to wyobrazić. Ten tekst jest właśnie o tym, że w końcu, nawet jeśli w danym momencie jest trochę ciężko czy coś, to nie jest to pożegnanie na zawsze, tylko, że dzieci po prostu idą swoją drogą. One odlatują - dorastają i idą własną ścieżką. Jest to dobra rzecz, ale jest to też bardzo wyraźna i radykalna zmiana, z którą trzeba się jakoś pogodzić.

Jesteś heavymetalowym ojcem (śmiech) Czy jest to coś, z czego Twoja córka może być dumna, a może coś zupełnie normalnego i powszedniego?

Cóż, oczywiście moje dzieci są ze mną od samego początku. Więc wszystkie moje od samego początku wiedzą, że robię muzykę i jest to dla nich oczywiście normalne. Teraz są dorosłe, ale pamiętają jak miały po 5 lat i tata puszczał muzykę w samochodzie. Jednak teraz, gdy są mniej lub bardziej dojrzałę, mogą same zdecydować, czy im się to podoba, czy nie. Moja najmłodsza lubi słuchać raczej rockowej muzyki. Może niekoniecznie metalu, choć słucha teraz czasem power metalu, albo takich rodzajów metalu, które są bardziej rockowe. Moja średnia też, ale najstarsza nie za bardzo. Jednak nadal wszystkie lubią przychodzić na moje koncerty i oczywiście mnie wspierać. Koniec końców jest tak, jakby wciąż miały pięć lat - "*Tato, ta muzyka jest świetna!*"

(śmiech) A jaki jest stosunek utworów o życiu, względem tych o SF?

W przybliżeniu? Cóż, powiedziałbym, że w przypadku tego albumu jest to około 1/3, 1/3, 1/3. Mamy więc 1/3, w której faktycznie chodzi o **Iron Savior**. Mamy 1/3, w której chodzi o te bardziej codzienne rzeczy lub sprawy z prawdziwego życia, a potem mamy 1/3, w której chodzi o coś zupełnie innego. Na przykład napisaliśmy tekst o "**Mrocznej Wieży**" **Stephena Kinga**, a potem ja napisałem tekst o "**Zorro**". Miałem na to ochotę, a potem tak po prostu przyszło mi to do głowy. Zawsze więc staram się znaleźć sensowną równowagę.

Foto: Iron Savior

Nie jestem pewna, ale mam wrażenie, że są też teksty postapokaliptyczne...

Tak, dokładnie. Jeden kawałek jest nieco apokaliptyczny. Nie jestem pewien, czy powinien być włączony do serii. Masz na myśli "***From from the Ashes***"? Raczej nie... masz na myśli ten numer?

Tak. Oraz "Across the Wastelands".

To **Stephen King**, "**Mroczna Wieża**". I jest dość specyficzna. To trzecia część, jedna z ośmiu książek. W oryginale nazywa się właśnie "**The Waste Land**". Opowiada o grupie ludzi przechodzących przez naprawdę apokaliptyczny scenariusz. Jeśli nie znasz "**Mrocznej Wieży**", to trudno mi jest to wyjaśnić, ponieważ "**Mroczna Wieża**" to typ epickiej literatury, jak "**Władca Pierścieni**" czy "**Diuna**". Nie da się tego ująć w dwóch zdaniach. Przeczytaj sobie, naprawdę polecam, to naprawdę super książka. Fantastyka, choć może raczej to fantasy z odrobiną horroru. Po prostu "**Stephen King**". I mogę ją gorąco polecić. Aż mi smutno, że już ją skończyłem i zastanawiam się nad przeczytaniem jej po raz drugi.

Czytałam coś Kinga, ale inne książki.

Jego styl jest bardzo charakterystyczny. Ma specyficzny sposób pisania i można go również znaleźć w książkach o "**Mrocznej Wieży**". I jest to coś, co przewija się przez całe jego życie, czuć to, gdy czyta się "**Mroczną Wieżę**", która jest właściwie jego głównym dziełem. Jeśli się nad tym zastanowić, najsłynniejsze z nich to oczywiście "**To**", ale tak naprawdę jego życiowym dziełem jest "**Mroczna Wieża**". Dlatego jest tak wiele podobieństw do poszczególnych historii, które napisał. Nic dziwnego, że zawsze tu i ówdzie pojawiają się nawiązania, a potem także postacie, które już skądś znasz i tak dalej. To naprawdę godne polecenia! Więc jeśli lubisz **Stephena Kinga** i lubisz fantastykę, to jest to najlepsza książka i najlepsza seria książek, którą można cieszyć się przez bardzo długi czas.

Widziałam setlistę Iron Savior i ku mojemu zaskoczeniu widzę, że gracie dużo utworów z "Kill or get Killed".

Ponieważ po prostu są dobre. A więc tak, kawałek tytułowy "***Kill or get Killed***", jest po prostu świetny i doskonale sprawdza się na żywo. Z kolei "***Roaring Thunder***" to prawdziwa miazga. Ten utwór zawsze sprawdza się live. A "***Nothing is Forever***" (Piet miał na myśli "Never stop Believing" - przyp. red.) jest dla mnie wyjątkowy, ponieważ jest jakby takim naszym popowym hitem, prawda? (śmiech) Tak, i jest trochę inny od pozostałych utworów i oczywiście jest też tu i ówdzie kiczowaty, ale jest też o rodzinie i tak dalej. I zawsze jestem naprawdę zaskoczony, gdy najtwardsi z twardych zatrzymują się, a my gramy... Gramy tę piosenkę, wiesz, którą mam na myśli (śmiech).

Tak... (usilnie próbuję przywołać w pamięci tytuł "Never stop Believing" - przyp. red).

Napisałem tyle kawałków w życiu, że plączą mi się tytuły. (po chwili) Już wiem! "***Never stop Believing***". To prawie popowa piosenka. Gdyby zagrać ją z klawiszami i bez gitar, mogłaby uchodzić za piosenkę pop. A ponieważ ma ten rodzinny motyw i wątek szczęścia, zawsze jestem naprawdę zaskoczony, kiedy go gramy. Naprawdę twardzi faceci, którzy chwilę wcześniej poszli na całość i machali banią, słyszą nagle "Never Stop Believing" i stają z wielkim uśmiechem radości, wznoszą toasty z kumplami. To niesamowite, jak ta piosenka działa. Może i jest wiele osób, które mówią, że to nie jest metal, ale tak nie jest! Ludzie kochają tę piosenkę i my też. Dlatego właśnie gramy te trzy utwory z "**Killed or get Killed**". Ale oczywiście będziemy musieli nieco zmienić set w przyszłym roku.

Wiesz, to moje zaskoczenie wynikało raczej z tego, że inne niemieckie zespoły, jak Grave Digger czy Doro lubią grać albo bardzo stare kawałki albo zupełne nowości, rzadko sięgają po kawałki "ze środka".

Ja mam tak, że uważam, iż każdy album, który nagraliśmy, jest na swój sposób dobry. Dlatego na każdym albumie jest dobry kawałek i zawsze staram się zrobić taki set. Oczywiście nie jest to łatwe, ale jeśli możesz zagrać tylko 15 numerów, to wypełnisz dwie godziny, a czasem troszkę więcej. Wciąż staram się upewnić, czy w danym secie mam tak dobrą średnią, jak to tylko możliwe - taki średni wynik ze wszystkich albumów. Na przykład staram się umieścić także "***Beyond the Horizon***" i "***Titankraft***". To dwa naprawdę świetne kawałki i zawsze czegoś mi brakuje, jak ich nie zagramy. Zdecydowanie trzeba też zagrać coś z "**The Landing**", jak "***Heavy Metal Never Dies***", "***Starlight***" i "***Hall of the Heroes***". Nie ma innego wyjścia. Właśnie dlatego mamy stosunkowo niewiele starych hitów. Do niedawna często graliśmy też "***Condition Red***" i "***Coming Home***", ale mamy naprawdę wiele dobrych nowych tytułów. To nie jest tak, że te kawałki nie sprawiają ludziom frajdy i ich nie akceptują. Ludzie naprawdę lubią fakt, że mogą posłuchać tych numerów na żywo. Oczywiście gramy też trochę starych rzeczy, ale dla mnie najważniejsza jest średnia z naszego "katalogu".

Jeśli mowa o starych kawałkach, chciałabym również zapytać o poprzedni album, o którym nie mieliśmy okazji porozmawiać. "Reforged - Ironbound", to druga nowa-stara płyta. Skąd w ogóle wziął się ten pomysł? Tworzenie nowych wersji starych utworów było Twoim pomysłem czy sugestią ze strony wytwórni?

A więc pomysł był dość konkretny i miał dwa powody. Po pierwsze myślę, że takie nowe wydanie starych kawałków, gdzie po prostu bierzesz stare albumy, a potem są one cyfrowo zremasterowane lub coś w tym stylu i tak naprawdę nie robi się wiele poza podkręceniem kilku wysokich tonów, nie jest dla nas. W rzeczywistości nie brzmi to tak, jakby wiele się działo i tak naprawdę jest to tylko ponowne wydanie czegoś, co już było. W porządku. To nie jest zła rzecz, ponieważ oznacza to, że albumy są nadal na rynku, dalej żyją i są w katalogu, nie mam nic przeciwko temu. Jedynym problemem jest to, że niestety nie mamy wszystkich praw do tych nowych produkcji. Ani my, ani **AFM**. Praw też nie można kupić. A potem było tak, że przez lata, a właściwie przez bardzo długi czas, w ogóle nic się nie

działo z tym zaległym katalogiem. Na tyle długo, że niektóre z nich nie były już dostępne i naprawdę leżały i zgniły w szufladzie **BMG**. I to było dla mnie siłą napędową. Pomyślałem, że jeśli nie zdobędę praw do starych rzeczy, tak, by je ponownie wydać i ponownie udostępnić fanom, będę musiał je ponownie nagrać, a następnie uczynić z tej konieczności zaletę. Wtedy podjęliśmy prawdziwy wysiłek i stworzyliśmy naprawdę ładne nowe wersje starego materiału, a całość nazwaliśmy "**Reforged**". Tak powstała cała koncepcja i zamierzam też nagrać trzeci album. Będziemy to robić, dopóki nie nagramy całego katalogu **Noise**.

Od "Riding on Fire" do "Ironbound" minęło 5 lat. Jaką widzisz różnicę między tymi dwoma albumami? Może zauważyłeś inne rzeczy, które chciałbyś później poprawić na "Ironbound"?

Oczywiście. W ciągu pięciu lat moja gra na gitarze nieco się zmieniła. Używałem też innego sprzętu i brzmi to po prostu trochę inaczej, choć samo podejście i metoda produkcji pozostały takie same. Zwyczajnie, zawsze próbuję. Nie chciałem po prostu skopiować brzmienia jedynki "**Reforged**" i użyć go na "dwójce". Podchodzę do tego tak, jakbym tworzył nowy album "**Reforged**" i musiał wymyślić brzmienie "na nowo", że tak powiem w cudzysłowie. I dlatego następny album z pewnością znów będzie brzmiał nieco inaczej. Wadą jest oczywiście to, że gdyby chcieć odtworzyć stare albumy, na przykład debiut, to te wersje brzmiałyby oczywiście nieco inaczej, gdyby je, że tak powiem, poskładać. Ale tak po prostu jest, bo inaczej musielibyśmy zacząć w inny sposób i iść album po albumie. Jednak ponieważ na początku nie wiedzieliśmy, dokąd zaprowadzi nas podróż z serią "**Reforged**", zaczęliśmy inaczej. Może i fanom taka koncepcja nie odpowiada, ale na samym początku już zdecydowaliśmy, że zaczniemy od tego, co jest najbardziej oczywiste. Stąd "**Riding on Fire**", "**Iron Savior**" i tak dalej.

Przyjaźnisz się z Kaiem Hansenem. Co myślisz o jego powrocie do Helloween? Pewnie widziałeś ostatnio go na koncercie?

Tak, dokładnie. Byli w Hamburgu kilka tygodni temu i wtedy ich widziałem. Tak, to naprawdę imponujące i świetna sprawa. Bardzo się cieszę, bo naprawdę na to zasłużył. Oczywiście trochę szkoda, że **Gamma Ray** w zasadzie już nie istnieje, co rzecz jasna wynika z faktu, że nie da się nią zajmować w tym samym czasie, co **Helloween**. Działanie w **Gamma Ray** jest naprawdę bardzo czasochłonne, a w **Helloween** jest jeszcze bardziej. Nie da się pogodzić tych dwóch rzeczy. Jednym słowem, wygląda na to, że to koniec. Chyba, że **Helloween** całkowicie się rozpadnie albo muzycy znów się rozejdą. Ale nie wydaje mi się, myślę, że znaleźli teraz dobrą ścieżkę i z pewnością będą nią razem kroczyć, dopóki nie będą na tyle starzy, żeby wyjść na scenę. I to również ma sens. Jest to dobre, ponieważ tego właśnie chcą fani, ale jest to też dobre dla zespołu. Jeśli chodzi o mnie, cieszy mnie to, co robi teraz **Kai**, ale nigdy nie zamieniłbym się z nim miejscami. Rozmawialiśmy o tym. Jestem rodzinny i naprawdę lubię być w domu. Lubię grać na żywo, ale jeśli miałbym sobie wyobrazić, że musiałbym całkowicie podporządkować swoje życie jednej rzeczy i zainwestować w nią tyle czasu, że nie byłbym w stanie spędzać go z rodziną i domowym życiem, które naprawdę lubię, ta cena byłaby dla mnie zbyt wysoka cena. Nie chciałbym jej płacić. Jestem więc zadowolony, że nie jesteśmy tak znani jak **Gamma Ray** czy **Helloween**.

Ciekawe! A jakie macie plany na najbliższy czas?

Oczywiście w przyszłym roku spróbujemy zagrać kilka koncertów klubowych oraz na różnych festiwalach. Taki jest plan. Teraz trzeba zobaczyć jak to wszystko zorganizować. Niestety mam obecnie kilka problemów zdrowotnych, jakiś czas temu zdiagnozowano u mnie nowotwór i jestem już w trakcie leczenia, więc nie mogę się teraz w to zaangażować. Zawsze mogę w międzyczasie zająć się rezerwacją terminów, ale trzeba po prostu poczekać i zobaczyć, co faktycznie wydarzy się w przyszłym roku. Tak więc mamy już pierwsze plany na marzec i myślę, że do tego czasu znów w pełni wskoczę na siodło. A potem znów ruszymy!

Katarzyna "Strati" Książek

Po prostu zamknij oczy i ciesz się muzyką

Jeśli chodzi o estetykę na "666" to nic się nie zmieniło, dziewczyny dalej łoją dziarski hard'n'heavy w glamowej oprawie i w klimacie lat 80. Śmiem nawet twierdzić, że z kawałkami na "666" osiągnęły nawet swoje kompozytorskie i wykonawcze szczyty. Założę się, że ci, którzy uwielbiają takie klimaty, gdy tylko odpalą sobie ten krążek, na długo z nim pozostaną. O płycie i o zespole opowiada nowa wokalistka Kristina Vega, która znakomicie wpasowała się w formację.

HMP: Dość niedawno odświeżyłem sobie płyty The Runaways i uświadomiłem sobie, że dziewczyny w rock'n'rollu czy hard'n'heavy miały zawsze trudniej niż faceci. Jakie problemy muszą przezwyciężyć dziewczyny w show-businessie, o których faceci nawet nie wiedzą, że istnieją?

Kristina Vega: Powszechnie wiadomo, że kobiety czasami nie są traktowane poważnie na scenie. Fakt ten miał miejsce bardziej w przeszłości, kiedy kobiety zazwyczaj musiały porzucić swoją karierę, muzyczną lub nie, ważne stanowiska w firmach itp., aby wychować dzieci i wyjść za mąż. Z drugiej strony, duża część tego problemu wynika z braku praktyki i determinacji. Muzyka to nie tylko ładna buzia czy zgrabne ciało, to coś znacznie więcej. Czasami jako kobiety możemy trochę zapomnieć o tym kierunku. Mamy też dużą presję związaną z tym, jak wyglądamy, ze względu na standardy urody, więc musimy być idealne, naciskać mocniej, ćwiczyć więcej i być ładniejsze, aby odnieść sukces. Mam kolegów, którzy są magikami ze swoimi instrumentami i nie mają nawet 500 obserwujących na Instagramie. Dlaczego? Bo nie są dziewczynami. Dla nich to też jest wada. Może mamy inny powód. W dzisiejszych czasach świadomość równości obu płci jest wyższa, ale wciąż daleko nam do ideału. Zależy to oczywiście od kraju, ale nadal mamy wiele do poprawy jako społeczeństwo.

Jednak dzisiejsze czasy są chyba bardziej przyjazne kobiecym zespołom grającym klasyczny heavy metal lub hard rock, bo takim kapelom jak Burning Witches czy Thundermother powodzi się całkiem nieźle?

Myślę, że obie płcie są w stanie zrobić wszystko. Po prostu zamknij oczy i ciesz się muzyką.

A jak z waszą determinacją? Jesteście nastawione, że przedrzecie się na sam szczyt?

Determinacja jest kluczem do sukcesu. Nawet jeśli twoim muzycznym sukcesem jest zagranie przed 100 czy 100 000 osobami, trasa koncertowa po świecie lub wydanie albumu, każdy ma swoje własne cele, ale oczywiście jestem zdeterminowana, aby dotrzeć na szczyt.

Foto: Cobra Spell

Uwielbiacie muzykę lat 80., świadczą o tym wasze dwie EP-ki i duży studyjny debiut "666", skąd wzięła się ta fascynacja?

Cobra Spell zostało stworzone przez miłość **Sonii** do lat 80., więc tylko ona może on tym mówić. Co ja mogę o tym powiedzieć to jedynie, że lata 80. były bardzo ważne w muzyce, grach wideo, ogólnej estetyce, filmach itd. Naszą misją jako zespół jest odtworzenie tego brzmienia i ducha w nowoczesny sposób, by złożyć oryginalny i świeży hołd dla najlepszej dekady w historii.

No właśnie, lata 80. to nie tylko muzyka, ale filmy, moda, sztuka itd. Co oprócz muzyki z tamtych lat was jeszcze fascynuje?

Gry wideo to moja absolutna obsesja z tamtych czasów. Gry takie jak **Super Mario Bros**, **Donkey Kong**, **Ghost'n Goblins**, **Contra**, **Street Fighter**... Konsole takie jak **NES**, **Sega Genesis**, **Atari**, **Commodore**... Jako wielka fanka gier retro, lata 80. były dla mnie fantazją, dekadą, w której narodziły się moje ulubione gry wideo i którymi inspiruję się obecnie.

Wasz image jest również związany z latami 80. Jak często zmieniacie swoje stroje? Za każdym razem jest to wymiana kolekcji, czy raczej staracie się wymieniać jedynie jakieś detale w ubiorze? Czy każda z was działa na własną rękę, czy też dążycie, aby wasze stroje były spójne? A może już zatrudniacie ludzi, którzy odpowiadają za stroje?

Staramy się często zmieniać stroje, ale wszystkie mamy swoje ulubione ubrania na scenę. W przypadku nowych teledysków i nowego albumu również starałyśmy się zmieniać jak najwięcej, ale wszystkie staramy się ubierać w coś pasującego do kolorów, tkanin itp.

Wasz debiutancki album zaczyna się naprawdę bardzo mocno. "S.E.X." to heavy metalowy ostry strzał podszyty rock'n'rollem i mainstreamowym soundem a la lata 80. "Satan is a Woman" i "Bad Girl Crew" to dynamiczne hardrockery zabarwione glam/hair metalem. Natomiast "The Devil Inside of Me" to melodyjny i chwytliwy heavy metal. W zasadzie cały album to właśnie killery hard'n'heavy...

Dzięki! Próbowaliśmy mieszać różne brzmienia w różnych stron lat 80. Mamy więcej cięższych kawałków, niektóre są bardziej groovy, bardziej melodyczne, itd.

Nie tylko muzyka, ale tytuły/teksty, a nawet okładka mają nas przekonać, że jesteście wściekłe, dzikie i zepsute do szpiku kości. Tak chcecie, żeby was odbierano?

Właściwie to nie. "**666**" to symbol rebelii, ale też mamy utwory romantyczne i miłosne. Pytanie raczej powinno brzmieć: jak ty chcesz postrzegać nas?

Za to ten przekaz bardzo psuje mi sam środek płyty. "Fly Away" i "Love = Love" to wolne i balladowe piosenki. "Love = Love" to wręcz pop-rockowy kawałek z saksofonem w tle. No moje Panie albo chcecie kąsać i drapacz pazurkami, albo chcecie, żeby was tulić i miziać. Zdecydujcie się...

Zrobiłyśmy tak, bo tak chciałyśmy. Saksofon w "***Love = Love***" pasuje idealnie, ta piosenka opowiada o miłości i problemach LGBT, a "***Fly Away***" jest o pewnym członku rodziny jednej z naszych dziewczyn. My wciąż możemy pokazać pazur i gryźć, ale też mamy serca, nieprawdaż?

Czy wśród utworów na płycie macie jakichś swoich faworytów? Pierwszy wasz singiel to "S.E.X.", to według was najbardziej reprezentatywny kawałek?

Moimi ulubieńcami są "***The Devil Inside of Me***", "***Love Crime***", "***You're a Cheater***" i "***Love = Love***".

Kto przygotował muzykę na ten album, która z was najwięcej się napracowała. Gdzie ogrywałyście utwory? Każda w zaciszu domu, czy spotykałyście się na próbach?

Sonia jest główną kompozytorką na "**666**" i pomysłodawczynią całościowego konceptu **Cobra Spell**. Później **Noelle** i ja pracowałyśmy z nią nad aranżacjami i tekstami niektórych utworów.

A propos prób, faceci jak się spotykali to, faktycznie większość czasu spędzali na ogrywaniu materiału starego i nowego, nie zapominali jednak o piwku, albo mocniejszych trunkach. Czy w wypadku dziewczyn bywa też, że próby przeradzały się w imprezę? W ogóle lubicie imprezować?
Zazwyczaj nie pijemy w pracy, więc próby są dla prób a imprezy do imprezowania. Lubimy imprezować, ale tylko wtedy, kiedy jest na to odpowiedni czas.

Gdzie i z kim nagrywałyście "666"?
Album wyprodukowali **Alejandro Gabasa** i **Sonia Anubis**. Nagraliśmy ten album z **Comeback Studios** w **PKO Studios** w Madrycie. Za miks odpowiedzialny jest **Jens Bogren** z **Fascination Street Studios**. Mastering zrobił **Toni Lindgren**, również z **Fascination Street Studios**.

Mimo wcześniejszych uwag bardzo cenie sobie wasz album oraz bardzo lubię go słuchać. Nawet jestem pewien, że długo się z nim nie rozstanę. A jak inni krytycy oceniają "666"? Czy doszły do was jakieś opinie od fanów?
Są recenzje dwóch pierwszych singli i jesteśmy zachwyceni! Oba teledyski mają sporą liczbę wyświetleń na kanale **Napalm Records** i wielu ludziom bardzo się podobają te single. Bardzo się z tego cieszymy!

No właśnie, wylądowałyście w Napalm Records, dlaczego tam?
Jako iż są jedną z największych wytwórni na tej scenie, wiedzieliśmy, że będą najlepszym wyborem dla nas i dla "**666**".

Jak wyglądają wasze koncerty? Staracie się grać jak najczęściej? Wolicie grać klubowe koncerty czy raczej na festiwalach? Jak znosicie życie w trasie?
Chcemy grać wszędzie! Uwielbiamy grać na każdym koncercie, nawet jeśli jest to małe miejsce lub duży festiwal. Wszyscy naprawdę kochamy grać na żywo i staramy się dać z siebie wszystko na scenie każdej nocy, kiedy jesteśmy w trasie. Ponieważ mieszkamy w różnych krajach, wszystkie musimy podróżować, aby zebrać się na koncerty. To najlepsza część tego wszystkiego, te chwile, które spędzamy razem. Oczywiście są wzloty i upadki, ponieważ wymaga to dużo energii i wszystkie pracujemy, aby być na to przygotowane, kiedy jedziemy w trasę. Dbamy o siebie i o resztę.

Atrakcyjne z was dziewczyny, z pewnością podczas koncertów zdarzały się wobec was obleśne zachowanie facetów, jak sobie dajecie radę w takich sytuacjach?
Ludzie są zazwyczaj mili wobec nas. Im bardziej są wspierający, tym bardziej odnoszą się do nas z szacunkiem. Jeśli jednak wystąpią jakieś problemy, to mamy nasz zespół i ochronę, żeby zajęli się wszystkim.

Jestem pewien, że kolejny wasz album będzie udany. Zresztą z wydawnictwa na wydawnictwo wasze hard'n'heavy jest coraz lepsze i coraz ciekawsze. Czy już myślicie o kolejnym albumie? Macie może jakieś nowe pomysły na kawałki?
Nawet nie myślimy, my już pracujemy nad nowym albumem! Mamy mnóstwo pomysłów i tworzymy kolejny rozdział **Cobra Spell**, więc jeśli polubisz "**666**" kiedy wyjdzie, to możesz śmiało oczekiwać więcej!

Do zobaczenia gdzieś na trasie!

Foto: Cobra Spell

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

ANGRA

Uniwersalny język metalu

Najbardziej znany power metalowy zespół z Brazyli wraca z nowym albumem. "Cycles of Pain" wydaje się zapisem stanu emocjonalnego grupy w trudnej, popandemicznej rzeczywistości. O procesie powstawania materiału, swoich muzycznych i kulturowych korzeniach a także długiej historii zespołu opowiadają Rafael Bittencourt (gitara, klawisze) oraz Felipe Andreoli (bas).

HMP: Angra jest zespołem z bardzo długą historią. Jak postrzegasz zmiany, które były waszym udziałem na przestrzeni lat?

Felipe Andreoli: Widzę to na dwa różne sposoby. Z jednej strony mamy 32-letni zespół ze swoim dziedzictwem, stylem i elementami, których fani oczekują. Dostarczamy tego na każdym albumie. Trochę klasyki, trochę muzyki brazylijskiej, trochę baroku i tak dalej. Ale jednocześnie lubimy mieć otwarte horyzonty na nowe wpływy i nowe sposoby robienia muzyki. Nie chcemy pisać w kółko tego samego albumu. Jako muzycy ciągle uczymy się nowych rzeczy, gramy nową muzykę, słuchamy nowości i tak dalej. Wnosimy te doświadczenia do **Angry**, aby uczynić muzykę bardziej interesującą. Przede wszystkim lubimy się przy tym dobrze bawić. Ze swoim stażem moglibyśmy popaść w lekką stagnację i czuć, że wydawanie kolejnego albumu jest obowiązkiem. Ale w naszym przypadku jest wręcz przeciwnie. Jesteśmy podekscytowani każdą nową rzeczą, którą wymyślimy i traktujemy możliwość pisania nowych albumów jako świetną okazję do odkrywania różnych dróg. Ale ważne jest też, aby nasz styl był zawsze rozpoznawalny.

W przypadku albumu "**Cycles of Pain**", inspiracja była szczególna. Chcieliśmy kontynuować działalność zespołu po pandemii i po prostu być razem. Mieliśmy mnóstwo wątpliwości, nie wiedzieliśmy jak będzie wyglądać przyszłość. Nie mieliśmy pojęcia kiedy koncerty i cały przemysł rozrywkowy wrócą, może za dziesięć lat? Ale potem, gdy już zaczęliśmy grać koncerty, było bardzo dobrze. Poczuliśmy, że mamy szczęście. Poszło łatwiej, niż się spodziewaliśmy, lepiej niż wcześniej. Zaczęliśmy się jakby na nowo poznawać i uczyć, jak ze sobą pracować. Staliśmy się dzięki temu bardziej wydajni, wszystko szło nam w łatwiejszy, bardziej przyjemny sposób. To stało się dla nas inspiracją, bo czasem bardzo trudno jest zbudować w zespole dobrą atmosferę, zwłaszcza po tak wielu latach. Dlatego nauczyliśmy się wyciągać z tego jak najwięcej.

Foto: Marcos Hermes

W jaki więc sposób utrzymujecie kreatywność po tych wszystkich latach?

Rafel Bittencourt: Inspiracja zazwyczaj przychodzi z zewnątrz, z naszego otoczenia. To życie powinno cię inspirować. W moim przypadku jest tak, że lubię czuć się zmotywowany do życia w ogóle, również do pisania muzyki.

Skoro tak ważne jest dla was funkcjonowanie w zespole, czy staracie się często spotykać fizycznie, grać ze sobą próby i tak dalej?

Felipe Andreoli: Krótka odpowiedź brzmi: nie. (śmiech) Mieszkamy daleko od siebie. **Fabio Lione** (wokal) mieszka we Włoszech. **Bruno Valverde** (bębny) w USA, **Marcelo Barbosa** (gitara) w Brazylii. **Rafael** i ja mieszkamy trochę bliżej siebie. Tak więc spotykamy się wszyscy, gdy mamy coś do zrobienia razem. Albo na trasie, albo gdy nagrywamy. Ale naprawdę cenimy sobie chwile, w których razem dobrze się bawimy. Mamy świetną atmosferę, świetne relacje między nami. Na przykład, praca nad ostatnim albumem rozkwitła dopiero wtedy, gdy zebraliśmy się w studiu razem, aby zagrać piosenki. Próbowaliśmy tworzyć muzykę przez Zoom lub coś podobnego, ale to tak naprawdę nie działało. Może jesteśmy staromodni. To znaczy, na pewno jesteśmy, w pewnym sensie, bo kiedy spotykamy się razem, dzieje się magia.

W takim razie jak przetrwaliście pandemię, kiedy ludzie w sporej części krajów musieli zostać w domu? Rafael w materiałach prasowych pisał, że było ciężko. Poza tym zmienił się w tym okresie przemysł muzyczny.

Rafel Bittencourt: Przede wszystkim, nasza chemia wymaga obecności fizycznej. Kiedy jesteśmy razem, jesteśmy bardzo produktywni. Dużo rozmawiamy, dyskutujemy, a potem czerpiemy z tych relacji. Tworzymy muzykę, zainspirowani w danym momencie. Pojawiają się akordy i pomysły muzyczne. Dlatego było ciężko. Był to również moment na zastanowienie się nad naszą organizacją, aby przemyśleć strukturę biznesowej Angry. Co powinniśmy zrobić lepiej, co możemy poprawić, jeśli chodzi o nasze zaplecze i produkcję. Więc taką korzyść odnieśliśmy. Ale było też źle, ponieważ nie mogliśmy być produktywni. Aby się inspirować, ciągle musimy być ze sobą w kontakcie.

W jaki sposób, z waszej perspektywy, brzmienie Angry ewoluowało przez lata? Od początku słychać było w waszej muzyce power metal i zacięcie symfoniczne. A jednak dzisiejsza Angra to inny zespół, niż z czasów pierwszych albumów.

Felipe Andreoli: Myślę, że główna zmiana jest w nas, jako ludziach bo jeśli posłuchasz na przykład "**Rebirth**" i "**Aurora Consurgens**", to są to bardzo różne albumy, chociaż stworzone przez tych samych ludzi. Jeśli posłuchasz "**Angels Cry**", "**Holy Land**" i "**Fireworks**" (pierwsze płyty grupy - przyp. red.), to są trzy zupełnie różne albumy, ale znowu, stworzone przez tych samych, lub w większości tych samych ludzi. Więc tak, zmieniamy się i lubimy odzwierciedlać te zmiany w muzyce. Niektóre z tych zmian nie są świadome. To po prostu sposób, w jaki piszemy muzykę. Ewoluuje ona na przestrzeni lat. Oczywiście jest też element ludzki w postaci nowych muzyków, którzy przychodzą i dołączają do procesu tworzenia. Zawsze byliśmy bardzo otwarci w procesie komponowania, więc każdy może przynieść pomysły, a do zespołu należy ocena i wybór tematów, nad którymi chcemy pracować. Ale często nie chodzi o to, że chcemy odkryć inne brzmienia. Chodzi po prostu o to, czego aktualnie słuchamy. Na przykład, mogę odkryć nowy zespół i ma wpływ na sposób, w jaki przedstawiam swoje pomysły zespołowi. Jeśli te utwory trafią na album, to oczywiście będzie tam ten nowy element słyszalny.

Rafel Bittencourt: Wiesz co? Kiedy byłem młody, byłem już fanem metalu i skończyłem szkołę średnią w Stanach Zjednoczonych. Od zawsze myślałem o założeniu zespołu metalowego. Kiedy tam byłem, zdałem sobie sprawę, że sama kultura jest bardzo, bardzo głęboko zakorzeniona w muzyce, nie tylko w metalowej. Ponieważ metal ma bardzo europejskie korzenie, czułem, że to nie jest środowisko, w którym się wychowałem. Więc zamiast próbować udawać, że "jestem stąd", postanowiłem zrobić coś innego. Mój ojciec zapytał mnie, czy chcę zostać i pójść do college'u muzy-

cznego w Ameryce. Odpowiedziałem, że nie, chcę wrócić do Brazylii i stworzyć zespół z Brazylijczykami. I tak właśnie się stało. Miałem obawy, dopóki nie znalazłem odpowiednich ludzi. Zawsze uważaliśmy, że musimy pokazać nasze pochodzenie - naszą zróżnicowaną muzykę, jej fakturę i niuanse. To właśnie jedna z oryginalnych koncepcji **Angry**. Możemy próbować się zmieniać, eksperymentować z różnymi elementami muzycznymi, ale zawsze zostaje poczucie dumy z tego, kim jesteśmy, z naszego pochodzenia i środowiska muzycznego. Środowiska, które w Brazylii jest bardzo bogate. Wyzwaniem jest łączyć odkrywać i łączyć te tradycje ze stylem, jakim jest metal.

Zgodzicie się z tym, że chcecie w swojej muzyce przemycić trochę brazylijskich tradycji muzycznych, mimo, że nie gracie przecież muzyki ludowej, folku czy czegoś takiego?
Felipe Andreoli: Tak, to naprawdę ważne, ponieważ to jest to, kim jesteśmy. Odróżnia nas, na przykład od zespołów europejskich czy amerykańskich. To coś, co jest dla nas naturalne. Słuchamy brazylijskiej muzyki, żyjemy brazylijską kulturą. Błędem byłoby unikanie lub stronienie od tych wpływów. Więc je przyjmujemy. I myślę, że przez lata nie tylko tworzyliśmy brazylijsko brzmiącą muzykę, ale nauczyliśmy się, jak subtelniej włączać lokalne elementy do piosenek w taki sposób, że czasami słyszysz rytm, harmonię lub melodię i nie jest to tak naprawdę oczywiste dla słuchacza nieświadomego muzyki brazylijskiej, ale jest tam i jest to wyjątkowy motyw, który odróżnia nas od innych zespołów.

Przytoczę zespół Sepultura, który w pewnym okresie wyważył niemal drzwi światowego metalu i na szeroką skalę zaprezentował mieszankę ciężkiej muzyki z brazylijskimi detalami. Niedługo potem poszliście ich śladami, chociaż ten element lokalny w waszej muzyce nie wydaje się być osadzony dosłownie, bardzo wyraźnie. Jak dziś prezentuje się brazylijska scena rockowa i metalowa?
Rafel Bittencourt: Myślę, że obecnie scena w Brazylii jest bardzo bogata. Oczywiście nie wszyscy łączą z nią naszą muzykę, ale widzę, że ludzie są bardzo dumni z tego, że pochodzą z Brazylii. Na przykład **Crypta** to zespół dziewczyn. Ciągle pokazują w swoich mediach społecznościowych i tak dalej, że ich styl życia jest brazylijski i są z tego bardzo dumne, mimo że ich metal brzmi uniwersalnie. To co lubię w metal to jest to, że często jest bardzo uniwersalny, międzynarodowy. Oczywiście, ma swoje przyprawy, specyficznie brzmią zespoły z Norwegii, Szwecji czy innych krajów, ale ludzie z całego świata potrafią się w tym odnaleźć. Jeśli chodzi o **Sepulturę**, to wszystko zaczęło się na albumach takich jak "**Chaos A.D.**" i "**Arise**". To wtedy odkryli, że pośród dżungli jest metal, prawda? To był szok. wiedzieliśmy, że ci faceci w ogóle potrafią grać muzykę. **Sepultura** przyszła z bardzo mocnym albumem i zmieniła krajobraz. Później jeszcze odważniej sięgali po brazylijskie wpływy. Było to bardzo odważne i jestem pewien, że wyznaczyli ścieżkę dla **Angry** i innych zespołów. **Sepultura** jest oczywiście pod wieloma względami pionierem brazylijskiego metalu.

Porozmawiajmy o "Cycles of Pain". Czy tytuł odnosi się do waszych konkretnych doświadczeń z ostatnich lat?
Rafel Bittencourt: Kiedy skończyliśmy pisać teksty, zdaliśmy sobie sprawę, że jest wspólny wątek, który je łączy - był to ból, który nosiliśmy w sobie przez ostatnie lata. Związane z tym jest również pozytywne przesłanie, chociaż ból jest czymś trudnym, to możemy go uniknąć i w związku z nim starać się zrobić coś pozytywnego. Wyciągnąć z niego jakieś doświadczenie. Jesteśmy konsekwencjami bólu, którego doświadczyliśmy w życiu. Zostaliśmy w ten sposób ukształtowani. Nie traktujmy tego jako choroby, czegoś złego.

Foto: Marcos Hermes

W muzyce heavy metalowej warstwa tekstowa jest często dość eskapistyczna, metaforycznie odnosi się do fantastyki i tym podobnych gatunków. Czy uważacie, że taka właśnie tematyka pozwala ludziom na odseparowanie się od trudów codzienności?
Rafel Bittencourt: Power i heavy metal rzeczywiście są bardziej metaforyczne, eskapistyczne, jak to ujałeś. Gatunki takie jak death czy thrash są za to bardziej realistyczne. Nie unikają polityki. Nasze aspiracje są podobne, od początku nie byliśmy zespołem poruszającym tylko fantastykę. Ze względu na nasze brazylijskie pochodzenie, fantastyka byłaby czymś niedorzecznym. Wolę być trochę jak **U2**, zespół, który śpiewa o świecie, w którym ludzie naprawdę umierają właściwie za nic. Dzieje się to tutaj, w naszej okolicy, wystarczy się rozejrzeć. Staramy się być realistyczni w tekstach. Liryki zespołów takich jak **Slayer**, **Testament** czy **Anthrax** inspirują mnie bardziej niż **Helloween** czy **Iron Maiden**, którzy jednak mają na mnie większy wpływ muzycznie. Więc mamy tu kontrapunkt - inspirujemy się ekstremalną muzyką, jeśli chodzi o treści, i nie tak ekstremalną, gdy mowa o muzyce.

Kto śpiewa na początku utworu "Vida Seca"? Ewidentnie nie jest to Fabio Lione.
Felipe Andreoli: To brazylijski piosenkarz **Lenine**. Jest zdobywcą wielu nagród Grammy, kimś, kogo bardzo podziwiamy i z kim zawsze chcieliśmy współpracować. Jesteśmy dumni z brazylijskiej kultury i muzyki. "***Vida Seca***" mówi o bardzo trudnej brazylijskiej rzeczywistości, ludziach walczących o utrzymanie i znalezienie równowagi między harówką a przyjemnością. I w wielu przypadkach, po prostu ledwo wiążącymi koniec z końcem. **Lenine** pochodzi z północno-wschodniej Brazylii, gdzie żyje się naprawdę ciężko. Wniósł swoją autentyczność do tej roli i wyszedł świetnie. Była to bardzo szczęśliwa współpraca. Sugeruję wszystkim, aby zapoznali się z jego twórczością bo jest genialna.

Jak uważacie, jakie cele istnieją jeszcze do osiągnięcia przez zespół Agnra i was, jako muzyków?
Felipe Andreoli: Chyba po prostu dalej robić swoje, to najważniejsze. Już samo to, że zarabiamy na życie grając power metal jest dla nas przywilejem. Jakie są szanse na to, że coś takiego się ludziom udaje? Nam się udało, jestem z tego powodu szczęśliwy i chcę robić to dalej. To powiedziawszy, oczywiście chcemy osiągnąć więcej. Chcemy być słuchało nas więcej ludzi. Chcemy grać dla większej publiczności. Staramy się być coraz lepsi. Nie mam złudzeń co do wielkości, że będziemy jak **Iron Maiden**. Takie oczekiwanie nie byłoby realistyczne. Ale robienie tego dalej jest przywilejem.

Jeżeli przyszliby do was jacyś młodzi brazylijscy muzycy po poradę, jak zaistnieć w świecie muzyki, co by usłyszeli?
Rafel Bittencourt: Najpierw trzeba się naprawdę zastanowić, co nowego można dodać do sceny. Sposobem na to powinna być duma z tego, kim jesteś i skąd pochodzisz. Wszyscy próbujemy jakoś dopasować się do świata, ale jest tak, że tym, co jest dla innych najbardziej interesujące jest to, czemu w samym sobie zaprzeczamy i chcemy ukryć. Dopasowywanie się powinno mieć swoje granice. Należy być szczerym i przejrzystym, odsłonić swoje odczucia i przemyślenia. Następnie przelać to w świeżą, interesującą muzykę.

Igor Waniurski

FIREWIND

Najcenniejsza rzecz

Droga z greckich Salonik na międzynarodowe sceny, była dla Kostasa Karamitroudisa wyboista i wcale nie usłana różami. Niezwykła determinacja muzyka pozwoliła mu jednak stanąć u boku samego Ozzy'ego Osbourne'a, a to przecież tylko epizod w trwającej ponad dwie dekady przygodzie muzyka. Jego główny zespół, Firewind, wydał niedawno rocznicowy album koncertowy i z tej okazji rozmawiamy z sympatycznym Grekiem.

HMP: Powodem naszej rozmowy jest premiera waszego nowego albumu koncertowego "Still Raging". Wydajecie go z okazji dwudziestolecia na scenie. Jak się z tym czujesz?

Gus G.: Tak, to w pewien sposób dziwne. To znaczy, z jednej strony, kiedy byłem młodszy, wyobrażałem sobie, że to jest to, co chciałbym robić przez całą moją karierę i tak dalej. A czasami, kiedy coś sobie wyobrażasz i masz do tego zapał, po prostu to robisz, więc z jednej strony to naturalne, że jesteśmy tutaj 20 lat później. Z drugiej strony, jest to niezwykłe, że udało nam się urzeczywistnić marzenia, ponieważ przez ostatnie lata widziałem wiele, jeśli chodzi o branżę muzyczną. Widziałem, jak wytwórnie płytowe przychodzą i odchodzą, jak ludzie z nich odchodzą. Widziałem upadek przemysłu muzycznego, w dużej mierze przechodzącego z fizycznego na cyfrowy. Zespoły się rozpadały, muzycy znikali. Wszyscy widzieliśmy wiele rzeczy w ciągu ostatnich kilku lat i jestem z tego dumny, że wciąż działamy. Oczywiście, nie jesteśmy wielkim zespołem. Jesteśmy raczej małą czy też średnią grupą. Ale jestem i tak dumny, że udało nam się przetrwać te wszystkie zmiany i fale.

Foto: Ioannis Livanos

Twoja działalność muzyczna jest bardzo bogata. Czy jesteś w stanie wskazać to, z czego jesteś najbardziej dumny?

Rzeczą, z której jestem najbardziej dumny, najbardziej dumnym osiągnięciem jest oczywiście **Firewind** i fakt, że byłem w stanie zespół założyć i utrzymać. Nigdy nie mieliśmy prawdziwych inwestorów ani tego typu ludzi dookoła siebie. Byliśmy bardzo DIY. Drugim ważnym rozdziałem w moim życiu i karierze jest **Ozzy Osbourne**. Mimo że byłem ostatnim facetem na jego liście gitarzystów, wciąż jestem dumny z tego, że w ogóle się na niej znalazłem. Miałem okazję zagrać z ojcem heavy metalu. To coś wielkiego. Wspaniałe osiągnięcie dla gitarzysty.

Interesują mnie twoje muzyczne korzenie. Kiedy zacząłeś się interesować grą na gitarze czy też muzyką w ogóle? Wiem, że twój ojciec był piosenkarzem, więc pewnie muzyka była wyraźnie obecna w twoim dzieciństwie.

Tato był odpowiedzialny za moje muzyczne wychowanie. Grał głównie grecką muzykę w domu i takie tam, ale miał kilka rockowych winyli. Nie dużo, ale kilka. Więc słuchałem takich rzeczy jak **The Beatles**, **Pink Floyd** czy **The Eagles**. Pamiętam album "**Hotel California**". Pamiętam, że słuchałem tej płyty, kiedy byłem dzieckiem i byłem zdumiony solówkami gitarowymi. Uwielbiałem **Petera Framptona** i jego album "**Frampton Comes Alive!**". Grał tam na efekcie talkbox, dla mnie to coś fascynującego. Myślałem, że to jakiś robot. Takie rzeczy wprowadziły mnie w ten świat i wolałem takie brzmienie od greckiego bouzouki. Ojciec puszczał mi też **Al'ego Di Meolę** - uwielbiałem go, wiesz, całe to "shredding fusion". W wieku 9 lub 10 lat poprosiłem tatę, żeby kupił mi gitarę i zacząłem brać lekcje. W pewnym sensie czułem powołanie do nauki muzyki, nauki gry na gitarze i już nigdy nie patrzyłem wstecz.

Kiedy poczułeś, że chcesz tym zajmować się zawodowo?

Myślę, że wtedy, gdy byłem nastolatkiem. Od kilku lat uczyłem się grać na gitarze klasycznej, miałem, tani instrument tego typu. Nie rozumiałem jednak zbyt wiele, jeśli chodzi o muzykę. Kiedy miałem 14 lat, mój tata kupił mi pierwszą gitarę elektryczną i wzmacniacz. Wtedy mogłem grać z przesterem i uczyć się riffów **Black Sabbath** i podobnych rzeczy. Następnie zainteresowałem się szybkograczami, takimi jak **Yngwie Malmsteen**, **Vinnie Moore**, **Paul Gilbert** i inni. Pamiętam, że w 1995 roku **Malmsteen** przyjechał do Grecji. Nie jestem z Aten, tylko z Salonik, oddalonych o jakieś 500 km od stolicy. Poprosiłem więc tatę, żeby mnie tam zabrał. Pojechaliśmy do Aten i zobaczyliśmy koncert. To był dla mnie wielki "moment wow". Już jako dziecko byłem jego wielkim fanem. Pamiętam, jak po koncercie wróciłem do domu i pomyślałem, że to jest to. Muszę to zrobić, muszę zrobić wszystko, by osiągnąć ten poziom. Wiedziałem, że nie mogę tego osiągnąć z moimi kolegami z klasy, moimi przyjaciółmi z sąsiedztwa, ponieważ uważałem, że są do bani. Pamiętam, że wróciłem do domu i zadzwoniłem do moich przyjaciół z lokalnego zespołu, w którym grałem i powiedziałem, że są do niczego i nigdy się nam nie uda. Nie ćwiczymy wystarczająco dużo. Miałem straszny tupet (śmiech). Ale byłem po tym wydarzeniu niezwykle zdeterminowany.

Czy to, że pochodzisz z Grecji, innej kultury, niż z której wywodzi się większość muzyki rockowej i metalowej, wpłynęło w znaczący sposób na to, jak potoczyła się twoja droga?

Na początku w Grecji nie było sceny heavy metalowej czy rockowej w szerszym znaczeniu. W latach 90. o niej nie słyszałem. Ledwo mogłem znaleźć muzyków w moim wieku do jammowania, wszyscy faceci, którzy grali w lokalnych zespołach byli o pięć, sześć lat starsi. Nie zawracali sobie głowy dzieciakami takimi jak ja i ostatecznie żaden z nich nie osiągnął zbyt wiele. Tak naprawdę niczego nie było. Mieliśmy magazyn Metal Hammer, ale to tyle. Była to era przed internetowa. Wszystkiego dowiadywałem się czytając międzynarodową prasę. W centrum miasta był jeden kiosk, do którego chodziłem co miesiąc i kupowałem magazyn Guitar World lub coś w tym stylu, jak Total Guitar czy właśnie Metal Hammer. Dzięki temu byłem na bieżąco z tym, co się działo. Stało się oczywiste, że w końcu będę musiał opuścić kraj i zrobić coś na poziomie międzynarodowym. Nigdy tak naprawdę nie myślałem o tym, że zostanę największym lokalnym muzykiem. Wiedziałem, że muszę pojechać do Ameryki, żeby coś osiągnąć.

Wejście do zespołu Ozzy'ego musiało być dla ciebie skokiem na głęboką wodę.

Tak, to był duży skok. To znaczy, nauczyłem się wielu rzeczy, ale byłem też przyzwyczajony do funkcjonowania w zespole. Przeszedłem od bycia swoim własnym szefem do pracy dla kogoś. Musiałem poprawić swoją grę, po prostu robić to lepiej. Ćwiczyłem o wiele więcej niż wcześniej. Musiałem zaktualizować

swoją garderobę. Moja prezencja sceniczna, wszystko, co musisz zrobić, musi być bardziej przemyślane, ponieważ grasz na znacznie większych scenach. Musisz więc wykonywać szersze ruchy, aby ludzie mogli cię zobaczyć. Więc nauczyłem się wielu rzeczy będąc z **Osbournami** przez te wszystkie lata. No i oczywiście bardzo miło było zobaczyć, jak wygląda praca w tak dużej organizacji - ilu ludzi jest w to zaangażowanych, jakie wyglądają relacje między nimi i tak dalej. Nauczyłem się wykorzystywać tę wiedzę również we własnym zespole. Po raz pierwszy też zarobiłem znaczące pieniądze jako muzyk. Przed **Ozzym** byłem dosłownie głodującym muzykiem. Nagle przeszedłem do całkiem wygodnego życia. Musiałem nauczyć się jak inwestować pieniądze. Jak inwestować je w zespół i siebie. Wcześniej nie miałem firmy, nie wiedziałem nic o takich sprawach. Musiałem zacząć myśleć nie tylko jako muzyk ale też w kategoriach biznesowych. W pewnym sensie wyrosłem na mężczyznę. (śmiech)

Przeskoczmy o kilka lat, jak wyglądało twoje funkcjonowanie w trakcie pandemii wirusa Covid-12, kiedy cała branża muzyczna zamknęła się na wiele miesięcy?

Szczerze mówiąc, przez pierwsze kilka miesięcy trochę mi ulżyło.

Naprawdę?

Tak, ponieważ byłem mocno zapracowany. Żonglowałem zbyt wieloma rzeczami, ponieważ w tym czasie **Firewind** ponownie przechodził poważne zmiany w składzie i czułem się bardzo zestresowany. Musieliśmy naprawdę szybko skończyć album i mieliśmy zamiar rozpocząć światową trasę koncertową z **Symphony X**. Spieszyłem się z nowym wokalistą, aby wszystko skończyć na czas. I faktycznie, pandemia położyła kres tym planom. Wszystkie trasy zostały odwołane. Wciąż tworzyliśmy album aż w końcu mieliśmy go w rękach. Przez pierwsze kilka miesięcy byłem trochę rozczarowany, nie wydając albumu i nie koncertując, ale jednocześnie trochę mi ulżyło. Myślałem sobie: okej, przynajmniej mogę się zrelaksować przez kilka miesięcy i naprawdę zastanowić się nad tym, co się w moim życiu dzieje. Potem faktycznie stałem się kreatywny. Nagrałem kolejny solowy album. Zdecydowałem się wydać płytę instrumentalną, co było świetną zabawą. Ale kiedy skończyłem, zacząłem popadać w depresję. Zacząłem myśleć, co teraz? Czy kiedykolwiek się z tego wydostaniemy? Przechodziłem przez bardzo różne fazy i nie było łatwo.

Po zakończeniu pandemii w świecie muzycznym nastąpiło mocne odblokowanie. Nagle wszyscy byli w trasie, przy czym bardzo skoczyły też koszty. Czasami słyszę od muzyków, że koncertowanie staje się nieopłacalne. Jak to postrzegasz?

Wszyscy zaczęli koncertować, a potem pojawiła się inflacja. Ludzie zrzucają winę na wojnę w Ukrainie czy cokolwiek innego. Faktem jest, że wszystko stawało się coraz droższe i ludzie zaczęli ponownie oceniać różne wydatki. Myślę, że teraz branża znów się stabilizuje. Byliśmy jednym z zespołów, które w ogóle nie planowały trasy koncertowej. Nie chciałem dokładnie planować kolejnych 18 miesięcy, ponieważ życie może się szybko zmienić. Nie robiłem więc żadnych długoterminowych projekcji. Nie przejmowałem się tak bardzo trasami koncertowymi. Ale dostaliśmy ofertę trasy po USA z **DragonForce**, właściwie w ostatniej chwili. Zrobiliśmy to w iście punk rockowym stylu. Wskoczyliśmy do kampera i pojechaliśmy prawie bez ekipy, bez niczego. Chcieliśmy wyrwać się z domu. Była to pierwsza naprawdę opłacalna trasa od samego początku i poszło bardzo dobrze. Z drugiej strony, byliśmy bardzo ostrożni. Bardzo kalkulujemy wydatki, nie szastamy lekkomyślnie gotówką. Nie mogę sobie pozwolić na to, aby zespół był na minusie. Nie chcę zapeszać, ale na razie udaje się jeździć w trasy i nie tracić pieniędzy, mimo, że koszty rosną. Nadal inwestujemy w rozwój, ale robimy rzeczy w określonym tempie.

Foto: Ioannis Livanos

Wspomniałeś, że gdy byłeś dzieckiem to w Grecji nie było rockowej sceny muzycznej. Dzisiaj muzycy utrzymują kontakt ze sobą i widownią w internecie. W jaki sposób wykorzystujesz media społecznościowe?

Korzystam z nich, mam sto tysięcy obserwujących na Instagramie. Żartowałem. (śmiech) Mnóstwo ludzi ma tam swoje konta, ale nie wszyscy są wpływowi. Musimy być w mediach społecznościowych, ponieważ w ten sposób komunikujemy się z naszymi fanami. W czasie pandemii dużo udzielałem się też na YouTube, staram się dalej rozwijać swój kanał. Co może być dziwne, znalazłem dzięki temu zupełnie nową publiczność.

Dzisiaj bycie gitarzystą youtuberem jest jednym z modeli kariery. Są ludzie, którzy nie grają w żadnych zespołach, ale realizują swoją pasję do grania właśnie w mediach społecznościowych i jeszcze są w stanie z tego się utrzymać.

To prawda, znam kilku gitarzystów - youtuberów. Wczoraj wieczorem brałem udział w transmisji na żywo z facetem z USA, który mówił, że jest moim wielkim fanem i zaprosił mnie na swój kanał. Powiedział mi, że zarabia naprawdę dobrze pracą youtubera. Streamuje każdego dnia. Ma około dwustu tysięcy subskrybentów, a kiedy prowadzi transmisję na żywo, ogląda go od 1000 do 2000 osób, co jest szalone. Twierdzi, że zarabia 1000 dolarów dziennie tylko na darowiznach. Usłyszałem od niego, że kupił dom, samochód, zrobił sobie studio nagraniowe. Ja na to: co jest kurwa? Ten gość przychodził dziesięć lat temu na nasze koncerty, jako dzieciak. Jak widzisz, bardzo wiele się dzisiaj zmieniło. To pokazuje, że są inne sposoby na realizowanie siebie. Jako muzyk możesz mieć wiele źródeł dochodu.

No cóż, wspomniany youtuber może zarabia tysiąc dolarów dziennie, ale nie miał okazji występować z Ozzym.

Nie, nie miał. Chciał być koncertującym muzykiem, ale mu nie wyszło. Powiedział, że udało mu się jednak zostać youtuberem. Wiem, że chce teraz nagrać album. Ma na to pieniądze, ale nie ma czasu, bo codziennie musi transmitować coś na żywo - to jest praca. Właśnie coś takiego od niego usłyszałem. Dla mnie najcenniejszą rzeczą jest pojechać w trasę koncertową ze swoim materiałem. To jest sposób, na nawiązywanie relacji z publicznością. Widzą cię przed sobą, grasz dla nich, możesz się z nimi spotkać. Nigdy bym tego nie chciał zastąpić.

Igor Waniurski

WISHBONE ASH

Moglibyśmy rozmawiać o tym godzinami

Wishbone Ash należy do jednych z najbardziej inspirujących zespołów w historii rocka i metalu. To właśnie ten brytyjski zespół na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych jako pierwszy rozpropagował granie na dwie gitary prowadzące, inspirując największe zespoły heavy metalowe świata. Pomimo wydania 28 albumów studyjnych o bardzo zróżnicowanym charakterze, Wishbone Ash jest jednak przede wszystkim zespołem koncertowym, ponieważ ich muzyka najlepiej prezentuje się na żywo a za najważniejszy krążek w dyskografii uchodzi "Live Dates" z 1973 roku. Z okazji pięćdziesiątego jubileuszu tej legendarnej płyty koncertowej, ukazuje się nowa wersja "Live Dates Live" a dowodzona przez Andy'ego Powella ekipa wyrusza w półroczną trasę koncertową dookoła świata.

Nie wiem, czy podobny wywiad ukazał się bądź ukaże w jakimkolwiek innym polskim medium, dlatego że w rozpisce koncertowej Wishbone Ash nie ma ani jednej polskiej daty, zespół jest szalenie zapracowany a ja specjalnie w celu przeprowadzenia niniejszej rozmowy i zobaczenia ich dwóch koncertów poleciałem samolotem do Anglii. Z Andy'm spotkałem się osobiście dnia 4 października 2023 w restauracji przy hotelu The Village w Basingstoke, tuż przed fenomenalnym występem w tamtejszym teatrze The Haymarket i w przeddzień równie cudownego koncertu w londyńskiej O2 Academy Islington.

HMP: **Co wyróżnia "Live Dates Live" (2023) na tle poprzednich trzech edycji "Live Dates" (1973, 1980, 2001)?**

Andy Powell: Poprzednie edycje powstały na bazie nagrań pochodzących z wielu koncertów. Mieliśmy większą kontrolę nad ich ostateczną postacią, ponieważ mogliśmy wybierać najbardziej udane momenty. Natomiast "**Live Dates Live**" wyszło o wiele bardziej surowo, jako że zawiera zapis tylko jednego spontanicznego występu **Wishbone Ash**, który odbył się w **Daryl's House Club** w Pawling, w Nowym Jorku. W praktyce oznacza to dla nas zupełnie inne podejście do wydawania płyt koncertowych. Wiele zespołów bluesowych i rockowych uwielbia grać właśnie w tym klubie ze względu na znakomite warunki akustyczne i profesjonalną ekipę dźwiękową.

Foto: Wishbone Ash

Mimo, że jest to album koncertowy, brzmi on wyraźnie, zdecydowanie, majestatycznie i pięknie. Zachowaliście oryginalne wykonanie, czy majstrowaliście przy nim w studiu?

Dziękuję. W zasadzie płyta brzmi tak, jak graliśmy na żywo. Nie dokonaliśmy żadnej korekty wokali ani gitar. Myślę, że trochę materiału zostało ucięte, ale tylko pojedyncze sekundy, dotyczące np. zapowiedzi czy gadania pomiędzy utworami. Zachowaliśmy odgłos bicia braw przez publiczność. Album szczerze oddaje atmosferę show.

"Live Dates Live" ukazuje się wyłącznie w postaci audio. Nie będzie DVD?

Niestety tylko audio. Żałuję, że nie nakręciliśmy tego na kamerach, zwłaszcza że dysponowaliśmy odpowiednimi warunkami technicznymi. Z drugiej strony, nie jestem pewien, jak obecnie wygląda popyt na DVD. Nie wydaliśmy żadnego w ciągu ostatnich lat.

Prawdopodobnie ostatnie, "Live In Paris 2015", ukazało się w 2016 roku. Wishbone Ash posiada w swej dyskografii niezliczoną ilość nagrań koncertowych z różnych okresów działalności zespołu, jednak wydaje się, że na formacie DVD skoncentrowaliście się najbardziej na początku XXI wieku. Zdarzało się Wam wtedy wypuszczać nawet trzy oficjalne DVD rocznie.

Wydanie profesjonalnego DVD z zastosowaniem ujęć z wielu kamer kosztuje mnóstwo pieniędzy. Dwadzieścia lat temu mieliśmy więcej kasy. (śmiech) Cieszę się, że wówczas chętnie się na to decydowaliśmy. Myślę, że fajnie byłoby zrobić kolejne.

Pięćdziesięcioletni jubileusz najpopularniejszego albumu Wishbone Ash, "Live Dates", stanowi ku temu doskonałą okazję.

Fakt.

A te koncerty, które gracie obecnie, stanowią oddzielną trasę, czy dla Ciebie to jest jeden niekończący się ciąg bycia całe życie w drodze?

Zdecydowanie jest to oddzielna trasa. Koncentrujemy się na graniu "**Live Dates**" w całości. Po dwudziestu ośmiu występach w Wielkiej Brytanii wybierzemy się do Ameryki Północnej, a następnie do Europy, znów do Ameryki, i jeszcze raz do Europy. Realizujemy sześciomiesięczny plan celebrujący jubileusz "**Live Dates**".

Dlaczego nie macie żadnych supportujących zespołów?

Nasz set trwa aż dwie godziny. Na niektórych występach pojawiają się supporty, ale w praktyce nie chcemy trzymać publiczności zbyt długo w pozycji stojącej a niektóre odwiedzane przez nas miejsca nie posiadają miejsc siedzących. Nie wyobrażam sobie, abyśmy oczekiwali od fanów, którzy są z nami od 1969 roku, żeby stali przez cztery godziny.

Przed trzema laty ogłosiliście trasę "Music & Stories" wraz z Uriah Heep i Nazareth. W ramach imprezy odbywały się również na scenie wywiady z każdym zespołem. Doszło wtedy do zaledwie trzech występów: w Lipsku, Frankfurcie i w Berlinie. Pozostałe daty zostały odwołane. Czy chciałbyś to kontynuować?

Nie bardzo. Uważam, że **Wishbone Ash** wypada najlepiej, gdy gramy koncerty w teatrach i dużych klubach bez żadnych supportów. Nie jestem przekonany do konfiguracji "**Music & Stories**". Możliwe, że niektórzy fani chcieliby zobaczyć dokładnie taki zestaw, ale generalnie posiadamy jednak odmienną publiczność. Wydaje mi się, że większość osób woli uczestniczyć w występie tylko jednej spośród tych trzech kapel.

Kiedy uświadomiłeś sobie, że Wishbone Ash wypada najlepiej bez supportów?
Bardzo wiele lat temu. Za każdym razem, gdy próbowaliśmy połączyć siły z innym zespołem, wychodziliśmy na tym gorzej. Każda kapela ma własną społeczność fanów i one się wzajemnie ze sobą nie zazębiają. W 2010 roku wybraliśmy się do Południowej Afryki z **Deep Purple**. Było fajnie, ale to wyjątkowa sytuacja. Zazwyczaj wolę występować bez supportów.

W autobiografii "Eyes Wide Open: True Tales Of A Wishbone Ash Warrior" pisałeś, że wyprawa Wishbone Ash do Południowej Afryki w 1987 roku wzbudziła kontrowersje z powodu apartheidu.
Apartheid oznacza rozdzielenie białej i czarnej rasy, praktykowane kiedyś (1948 - 1994, przyp. red.) w rasistowskim reżimie RPA. Pod koniec ery apartheidu postawiliśmy warunek w kontrakcie, że zagramy w Południowej Afryce tylko wtedy, gdy tamtejsza publiczność nie zostanie posegregowana. Niestety wielu ludzi nie zrozumiało właściwie naszej intencji i krytykowało nas.

W książce dzielisz się swoimi przygodami z wypraw również do innych egzotycznych miejsc, np. do Marakeszu, Indii, czy też do Rosji. Odnoszę wrażenie, że uwielbiasz podróżować. Czy byłeś kiedyś w kraju mojego zamieszkania, czyli na Islandii?
Nigdy nie byłem na Islandii, ale zapewniam Cię, że bardzo bym chciał, zarówno jako turysta, jak i w celu zagrania koncertu. Nie wiem, jak to zorganizować, ponieważ nikogo tam nie znam, chyba że teraz Ty mi powiesz, jak.

Mamy w Reykjaviku fantastyczne warunki koncertowe w siedzibie Opery Narodowej o nazwie Harpa. Na ich stronie internetowej można wynająć jedną z sal koncertowych, a do wyboru są pomieszczenia o różnej wielkości. Jethro Tull regularnie tak robi - Ian Anderson wyprzedał Harpę już kilkanaście razy.
Przyślij namiary do mojego promotora a na sto procent to sprawdzę. Na Islandii spędziłbym cały tydzień, bo ciekawi mnie jej niezwykła przyroda.

Zapis naszej rozmowy ukaże się w polskim czasopiśmie. Nie widzę w Waszej aktualnej rozpisce koncertowej żadnego show w Polsce.
Występowaliśmy w Polsce kilka lat temu. Co jakiś czas zaglądamy do Polski, pamiętam np. Poznań. Chętnie byśmy tam powrócili. Podziwiamy wielu polskich muzyków a Polacy niezwykle emocjonalnie reagują na **Wishbone Ash**. Uwielbiamy tam grać. Problem polega na tym, że nie otrzymujemy zbyt wielu zaproszeń na polskie imprezy.

Jak dziś odniósłbyś się do Twojego dawnego stwierdzenia, że stanowisz żywy przykład spełnionego marzenia o Ameryce?
(śmiech) Jestem pozytywną i bardzo optymistyczną osobą. Myślę, że wielu ludzi marzy o lepszym życiu w Ameryce, a mnie udało się tam z powodzeniem przeprowadzić prawie pięćdziesiąt lat temu. Od razu udzieliła mi się pozytywna wibracja kontynentu. Dzięki Stanom Zjednoczonym zmieniłem styl życia. Wyobraź sobie, że urodziłem się (1950, East End, Londyn - przyp. red.) w Wielkiej Brytanii tuż po II wojnie światowej. Panowały nieciekawe okoliczności. Dorastałem w latach pięćdziesiątych (w Hemel Hempstead, przyp. red.), oglądając amerykańską telewizję. Niesamowicie cieszyłem się, że w końcu mogłem osobiście się tam wybrać. Jako **Wishbone Ash**, odnieśliśmy w Stanach sukces. Nie zostałem bogaczem, ale zyskałem mnóstwo bezcennych doświadczeń.

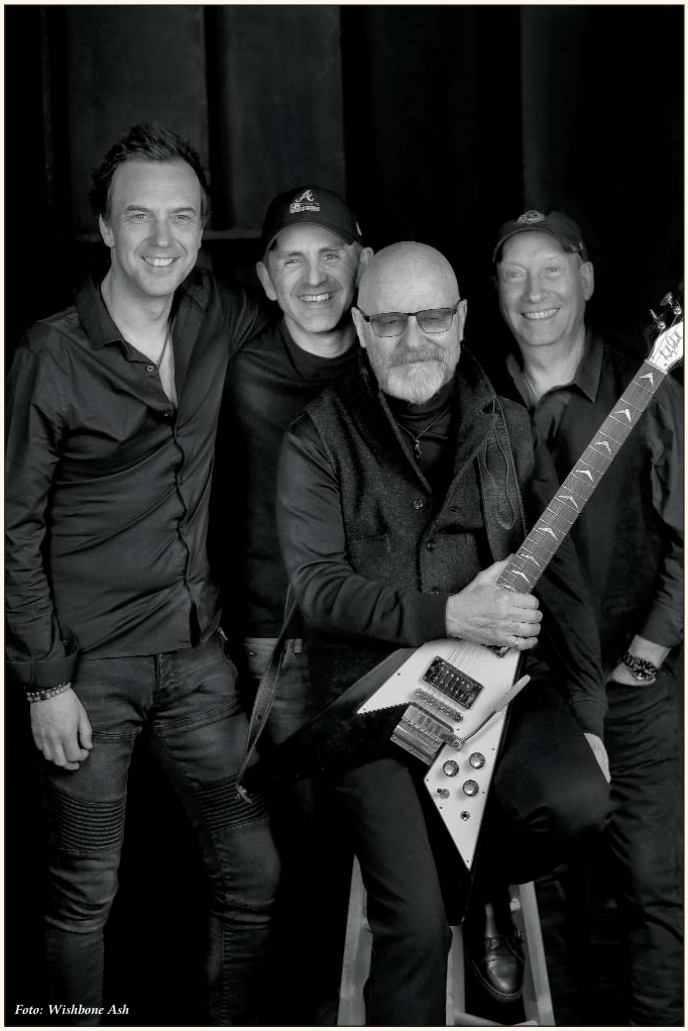
Foto: Wishbone Ash

Na ile idealizowanie Ameryki pozostaje obecnie aktualne?
(śmiech) Dziś nie nazwałbym USA miejscem marzeń. Ten kraj wpadł w głębokie kłopoty.

W utworze "American Century" z LP "Blue Horizon" (2014) krytykujesz emigrację do Stanów.
Mieszkam w regionie New England, a więc w północno - wschodniej części USA, z którym to regionem wiąże się sporo historii europejskiego osadnictwa. W "***American Century***" śpiewam o wydarzeniach amerykańskiej rewolucji. Gdybyś mieszkał w New England, gdziekolwiek byś nie pojechał, zobaczyłbyś ślady historyczne zderzenia Brytyjczyków z Amerykanami. Ale to już historia, bo teraz wzajemne relacje są pozytywne. Pochodzenie większości mieszkańców można określić jako anglo-saksońskie. Osobiście, wielką sympatią darzę Europę. Mówię trochę po francusku i trochę po niemiecku. Uwielbiam obie kultury. Od pięćdziesięciu lat często u nich bywam. Podobnie jak wielu rockowych muzyków, uważam się za obywatela świata. Myślę globalnie. Innym razem lecę do Japonii lub do RPA. Wszędzie jestem rockmanem.

Domyślam się, że chciałeś to podkreślić na okładce ostatniego albumu studyjnego Wishbone Ash "Coat of Arms" (2020).
O, tak. Znalazły się na niej symbole wyrażające naszą filozofię: podwójne gitary, światowe życie... Co tam jeszcze jest?

W herb wpisana jest kula ziemska, skrzyżowane gitary, syrenka i zaciśnięta pięść.
Pięść oznacza siłę. **Wishbone Ash** jest mocnym zespołem z silną etyką pracy.

Foto: Wishbone Ash

Moją uwagę zwróciły również liryki utworu "Back in the Day" z albumu "Coat of Arms", bo przywołujesz w nich wspomnienia z życia w trasie.
Ich wymowa jest przewrotna, dlatego że z jednej strony wskazują, jak sprawy ulegają zmianie, a jednak w pewnym sensie pozostają takie same. Śpiewam o ogromnej nostalgii za latami siedemdziesiątymi, lecz im głębiej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wychodzi mi, że tak naprawdę niewiele się zmieniło wewnątrz rockowego świata. Zachowujemy tą samą mentalność a na nasze koncerty przychodzi ta sama publiczność. Świat poza rockiem ewoluuje znacznie szybciej.

Foto: Wishbone Ash

Nie zaprzeczysz jednak, że technologia wykorzystywana w rockowym świecie się zmienia.
Jasne, że nie zaprzeczę. Z powodu zmian technologicznych rock obecnie brzmi o wiele cięższej. Metal też. Myślę, że **Wishbone Ash** ma silny związek z muzyką metalową, dlatego że mnóstwo młodszych zespołów metalowych inspirowało się naszymi podwójnymi gitarami, naszymi lirykami pełnymi mitycznych odniesień, jak również charakterystycznymi dla naszej muzyki emocjami i siłą rażenia dźwięku. Dla przykładu wymienię **Judas Priest**, **Thin Lizzy**, **Metallikę**...

...Iron Maiden.
Z całą pewnością. Oni wszyscy nawiązywali do **Wishbone Ash**.

Najbardziej do heavy metalu zbliżyliście się chyba na płycie "Twin Barrels Burning" (1982).
Na "**Twin Barrels Burning**" graliśmy całkiem heavy. Nie ukrywam, że miało to związek z modą na NWOBHM. Przyglądaliśmy się młodszym kapelom metalowym. Ale niezbyt długo. Wkrótce powróciliśmy do lirycznego, melodyjnego charakteru znanego z naszych wcześniejszych płyt.

Czy chciałeś wówczas pójść jeszcze bardziej w stronę heavy metalu?
Nie. Lubię metal, podoba mi się metalowa postawa, ale to nie jestem ja.

Czasami różnicuje się rock i metal na podstawie minorowych skal częściej występujących w metalu i majorowych skal bardziej rozpowszechnionych w rocku. Które są Ci bliższe?
Mogę grać i te, i te. Pierwsza strona naszego najpopularniejszego albumu studyjnego "**Argus**" (1972) jest zagrana po amerykańsku ze skalami majorowymi, ale już druga strona jest mroczniejsza i ma więcej wspólnego z podejściem brytyjskim i ze skalami minorowymi. Metal czerpał stąd wyraźne inspiracje.

Zdaje się, że robiliście to jeszcze wcześniej, bo w kawałku tytułowym "Pilgrimage" (1971) słyszę już te minorowe skale.
Zdecydowanie.

Graliście jakieś heavy metalowe kowery, np. podczas prób?
Wishbone Ash nie grało heavy metalowych kowerów, ale na albumie "**New England**" mamy bardzo heavy metalowy numer "***Runaway***" (1976).

Zadziorny charakter "Runaway" jest uwypuklony na "New England" poprzez kontrastujący z nim subtelniejszy utwór "Lorelei". Nie chciałbym Cię łapać za słówka, ale w autobiografii przyznałeś: "Nie ma ostatnio w składzie Wishbone Ash gitarzysty, który oddałby sprawiedliwość Lauriemu Wisefieldowi w "Lorelei", dlatego pomijamy "Lorelei" podczas naszych koncertów". Tymczasem, gitarzysta Mark Abrahams dołączył do Wishbone Ash w 2017 roku, a więc później, niż to napisałeś. Może nastała właściwa okazja do przypomnienia "Lorelei"?
Mark Abrahams jest świetnym gitarzystą i wielkim fanem **Laurie'go Wisefielda**. Doskonale się u nas spisuje. Ale cóż, powiedzmy, że "***Lorelei***" brzmi specyficznie i musielibyśmy go grać kompletnie inaczej w porównaniu do naszych pozostałych utworów. Nie chcemy włączać go w set.

Generalnie, w obecny skład Wishbone Ash wchodzą sami fenomenalni muzycy. Miałem dzisiaj okazję zamienić dwa słowa z Waszym basistą Bobem Skeatem (w Wishbone Ash od 1997 roku - przyp. red.). Wywarł na mnie wrażenie wyjątkowo miłej osoby. Co masz konkretnie na myśli, gdy czasami mówisz, że Bob Skeat jest postacią nie dość docenianą w kontekście obecnej formy i dalszego rozwoju Wishbone Ash?
Bob Skeat jest wszechstronnie uzdolnionym wirtuozem. Potrafi kapitalnie grać różne odmiany muzyki. Nie tylko daje dźwiękową podstawę dla całego zespołu, ale też interpretuje to, co robią pozostali. Nie rozpycha się łokciami na pierwszym planie, pozostaje jakby w naszym cieniu i możliwe, że krytycy nie zwracają uwagi na jego wkład i rolę. Gdybyś posłuchał tylko jego partii, to na poziomie muzycznym byłbyś oczarowany. **Bob Skeat** gra fantastycznie. Wszyscy obecni i byli instrumentaliści **Wishbone Ash** wykazywali się niesamowicie wysokimi standardami.

Jak dziś odniósłbyś się do Twojej dawnej wypowiedzi: "Pod wieloma względami, zastąpiliśmy wspaniałą inspirację żelazną etyką pracy"?
Od samego początku w 1969 roku **Wishbone Ash** cechował się i nadal cechuje bardzo silną etyką pracy. Ciężko pracuję nad zespołem. Nie wyobrażam sobie innej opcji, bo tylko za sprawą żelaznej etyki pracy da się kontynuować działalność zespołu.

Co poradziłbyś młodszym kapelom w kwestii etyki pracy?
Żeby nie czuli się uprawnieni do czegokolwiek, nie sądzili że ktokolwiek powinien ich utrzymywać i aby wykorzystywali każdą nadarzającą się okazję do dalszego rozwoju. Zaproponowałbym, by patrzyli na każdy dzień jako na nową okazję do zrobienia czegoś fajnego.

W zeszłym roku Mike Truscott zastąpił za perkusją Joe'go Crabtree'go (2007-2022), podczas gdy na "Live Dates 3" (2001) możemy usłyszeć Twojego syna Aynsley'a bębniącego w utworze "No Joke" (1996). Czy proponowałeś Aynsley'owi w zeszłym roku lub dawniej dołączenie na stałe do Wishbone Ash?
Brałem pod rozwagę taką opcję, ale nazywałoby się to "nepotyzmem", więc nie wiem, czy wyszłoby to nam obu na dobre. Niemniej, **Aynsley** jest bardzo utalentowanym perkusistą.

Czyli przyjęcie Twojego syna mogłoby zaszkodzić reputacji Wishbone Ash?
Nie, nie. Dołączenie **Aynsley'a** do **Wishbone**

Ash wiązałoby się z fantastycznym potencjałem na przyszłość. Zresztą, pomógł on nam napisać niektóre utwory z "**Coat of Arms**", tym samym stając się oficjalnym współkompozytorem naszego ostatniego studyjniaka. Myślę jednak, że ze względu na relację ojciec - syn nie żyłoby nam się zbyt dobrze w drodze. Należymy do różnych pokoleń. Rozumiem, że **Aynsley** potrzebuje sporo swobody w działaniu na własną rękę. Byłoby dziwaczne, gdyby całe życie dreptał tuż za własnym ojcem.

No dobra, nie drążę już. Powiem Ci, że uwielbiam "Argus", ale jeszcze wyżej cenię debiutancki longplay Wishbone Ash (1970). Więcej na nim ognia a moim ulubionym utworem Wishbone Ash jest "Phoenix". Jak na przestrzeni dekad zmieniał się Wasz sposób wykonywania "Phoenix"? Często eksperymentowaliście z alternatywnymi wersjami?

Liryki "***Phoenix***" składają się z niewielkiej liczby słów. Pomaga to nadać mu ponadczasowego charakteru. Śpiewam w nim o ponownych narodzinach, wskrzeszeniu feniksa z ognia. Napisaliśmy "***Phoenix***" w 1969 roku w pierwszej kolejności, aby przekonać się, jak dobrze nam się razem jammuje. Nadal "***Phoenix***" jest stałym punktem naszej setlisty. Wykonanie zmienia się wraz ze zmianą składu, bo nowi członkowie **Wishbone Ash** interpretują go po swojemu. Cokolwiek chcemy zagrać w trakcie "***Phoenixa***", gramy. Słowa i szkielet pozostają niezmienione, ale wykonanie zmienia się wraz z upływem lat. Zdarza się nawet, że ten sam skład dokonuje jego modyfikacji. Kiedyś wybraliśmy się z nim w rejony reggae, co zabrzmiało niesamowicie. Dzisiaj w Basingstoke zagramy go w niemal oryginalnej wersji, takiej jak na "**Live Dates**".

A gdy pod koniec lat osiemdziesiątych zaskoczyliście albumami electro - disco/techno, w rodzaju "Transe Visionary" (1998), zaaranżowaliście przy okazji "Phoenix" na dyskotekę?

(śmiech) Moglibyśmy spróbować. W pewnym sensie, oba kierunki stanowiły dla nas odważny eksperyment. Chętnie wydałbym w przyszłości jeszcze jedną płytę dance. Wiedziałem w Internecie, jak ludzie generują beaty techno organicznie, posługując się prawdziwymi instrumentami. Podobało mi się. Gdybyśmy zagrali w ten sposób na gitarach, efekt mógłby przejść nasze oczekiwania.

Foto: Bill McMenames

Wishbone Ash jest zespołem eklektycznym, nie dającym się zaszufladkować. Pamiętam, jak w wieku kilku lat, zanim wkręciłem się w jakąkolwiek muzykę rockową czy metalową, nie rozumiałem jeszcze twórczości Wishbone Ash, ale jeden utwór od razu do mnie przemówił, mianowicie "Everybody Needs A Friend" (1973).

Ciekawe, ja również go lubię. "***Everybody Needs A Friend***" odzwierciedla współczesny problem kryzysu uchodźców. Każdy człowiek potrzebuje mieć przyjaciela, co najwyraźniej widać w sytuacji, gdy ktoś nagle znajdzie się w obcym miejscu na ziemi. "***Everybody Needs A Friend***" mógłby być hymnem dla ludzi w tego rodzaju sytuacji. Tylko w 2023 roku uchodźcy przychodzą z Libii, Ukrainy, Maroka, Ameryki Południowej. Dochodzi ponadto do przymusowych przesiedleń po trzęsieniach ziemi. Wszyscy potrzebują zdrowych związków z innymi ludźmi.

Foto: Wishbone Ash

Wraz z przesiedleniami, zdarzają się porwania nieletnich dzieci, bo niekiedy dorośli ufają fałszywym przyjaciołom.

To jest niesłychanie okropne. Trzeba uważać, kogo nazywamy przyjaciółmi.

Jak zabrzmi następny album studyjny Wishbone Ash?

Chciałbym zrobić więcej niż jeden: cały instrumentalny, cały dance/techno, cały bluesowy oraz cały folkowy. Jeszcze w tym roku przystąpimy do komponowania i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Już macie w dotychczasowym repertuarze sporo wyśmienitego bluesa i folku.

Ale nie posiadamy całego albumu utrzymanego w takim charakterze od początku do końca. Moglibyśmy zagłębić się w te klimaty o wiele głębiej.

Napisaliście już coś nowego?

Zawsze mamy świeże pomysły. Nie stanowiłoby dla nas zbyt wielkiego wyzwania, żeby złożyć fragmenty w całe kompozycje, tylko musimy znaleźć dwa wolne tygodnie i je przygotować. Pod względem emocjonalnym jesteśmy gotowi, ale liryki i muzyka mogą wymagać nieco pracy. Po to działamy jako zespół, żeby wspólnie zebrać się w jednym pomieszczeniu i wzajemnie wesprzeć się w realizacji poszczególnych pomysłów.

Czy istnieje coś, o czym nigdy nie zaśpiewałeś, ale chciałbyś przekazać to słuchaczom?

Wiele spraw chciałbym przekazać. Moglibyśmy rozmawiać o tym godzinami. Ogólnie zależy mi, żeby ludzie starali się myśleć pozytywnie. Mógłbym zapędzić się w bardzo polityczne rejony i powiedzieć np.: "nie ufajcie mediom". Jednak najlepsze, co mógłbym zrobić jako kompozytor, to napisać o tym nowy utwór.

Mógłbyś również napisać kontynuację książki "Eyes Wide Open: True Tales Of A Wishbone Ash Warrior".

Jak najbardziej. Bardzo przyjemnie mi się ją pisało.

Sam O'Black

Foghat

Będę rock'n'rollował do upadłego

Foghat to ikona hard rocka/blues rocka, która działa od roku 1971. W bieżącym roku wydali znakomity album "Sonic Mojo", a jego zawartość to zdecydowanie wyśmienity blues rock. Niemniej fani hard rocka słuchając tego krążka, będą czuli się również komfortowo. Miejmy nadzieję, że ta formacja pociągnie jeszcze parę ładnych lat, bo w tej kondycji warto mieć ich na uwadze. Jednak za nim sięgniecie po wspomniane wydawnictwo zapraszam do rozmowy z jedynym oryginalnym muzykiem Foghat, perkusistą Rogerem Earlem.

HMP: Z pierwszego składu Foghat pozostałeś tylko ty. Czy muzyka zrosła się z tobą aż tak mocno, że nie możesz przestać jej tworzyć i grać?

Roger Earl: Tak, muzyka dojrzewała razem ze mną. Mam zamiar grać do końca świata i jeszcze dłużej! Będę rock'n'rollował do upadłego. Kocham grać w tym zespole i kocham grać tę muzykę i to są zawsze najlepsze momenty mojego życia, kiedy to robię!

Musisz być w bardzo dobrej formie fizycznej i psychicznej, żeby ciągle dzierżyć w dłoniach sztandar Foghat.

Tak, mam dwie pałeczki perkusyjne w rękach. Staram się mówić, że jestem sprawny, ponieważ gra na perkusji jest bardzo fizyczna! Tak, wymyślasz coś i to potem wychodzi z twoich rąk i stóp! Kocham to, co robię, więc ćwiczę prawie codziennie, spaceruję i staram się zdrowo odżywiać.

Jednak nie jesteś niezniszczalny, dość niedawno doznałeś urazu ręki i jeszcze przed operacją z bólem nakrywałeś swoje partie perkusji, które znalazły się na "Sonic Mojo". Czy z twoją ręką jest już w porządku, będziesz mógł dalej swobodnie grać i komponować?

Tak naprawdę kontuzji uległ mój lewy bark. Ale nagrałem perkusję zeszłej jesieni w naszym studiu na Florydzie, kiedy odczuwałem ból, a następnie w grudniu przeszedłem operację barku. Przeszedłem również wiele operacji na obu dłoniach i dostaję zastrzyki w palce od stóp! W 2008 roku złamałem obojczyk i kręgosłup, a w 2010 roku ponownie kręgosłup! Skleili mnie z powrotem i otaśmowali. Teraz mam się zupełnie dobrze. (śmiech)

Foto: Jay Jyllka

Przed Foghat w latach 1968 - 1970 udzielałeś się Savoy Brown, także twoja kariera muzyczna trwa grubo ponad pięćdziesiąt lat!

Właściwie to od 1967 do końca 1970 i początku 1971 roku. I tak gram od 15 roku życia. Teraz mam 77 lat! Moja kariera trwa więc ponad 60 lat!

W końcówce lat 60. miałeś też dość fajny epizod, bowiem brałeś udział w przesłuchaniach do Jimi Hendrix Experience. Czy mogłeś nie tylko pograć, a także porozmawiać z Hendrixem?

Tak, byliśmy w klubie jazzowym tuż przy Piccadilly Circus w Londynie, który nazywał się **Birdland**. Padało jak zwykle w Londynie. **Jimmy** podszedł do mnie i zaczął rozmawiać o utworach, które napisał poprzedniego wieczoru. Potem poszliśmy do klubu i byłem mniej więcej szósty w kolejce do grania. **Jimmy** poświęcił mi bardzo dużo czasu. Na początku nie miałem pojęcia, co gra, ale potem zagrał powolnego bluesa i wszystko było w porządku. Prawdopodobnie grałem z nim przez ponad pół godziny, to było absolutnie fantastyczne. Miałem również okazję zagrać z nim kilka razy w późniejszym okresie mojej kariery, kiedy dołączyłem do **Savoy Brown** w klubie w Nowym Jorku o nazwie **Steve Paul's Scene**, by zagrać tylko jeden kawałek, a potem zagrałem również w klubie w Los Angeles. Zagrałem song, który śpiewał **Eric Burdon**. To była świetna zabawa.

Foghat kojarzę z hard rock/blues rock jednak na "Sonic Mojo" zafundowaliście nam sentymentalną podróż do lat 70., a nawet i dalej, gdzie blues rock świecił trumfy. Świadczą o tym również wykorzystane covery "She's Dynamite" (B.B. King), "Promised Land" (Chuck Berry) oraz "Let Me Love You Baby" (Willie Dixon)...

Tak, **Foghat** i jego członkowie zostali wychowani tak, by doceniać naszych muzycznych bohaterów. Amerykańska muzyka jest w naszym DNA. Blues, jazz, rock'n'roll, be-bop, muzyka country, gospel, muzyka wiejska i folkowa. To wszystko jest częścią amerykańskiej sceny muzycznej.

Niemniej w waszym blues rocku odnajdziemy wiele odcieni muzycznych, bowiem możemy w nim usłyszeć wyraźne odniesienia do hard rocka, ale także do białego bluesa, rhythm and bluesa, southern rocka, boogie, rock'n'rolla, rockabilly, a także country czy folku. A jak padły już te wszystkie style to z pewnością znajdziemy w waszym blues rocku też echa jazzu, gospel, soulu itd.

Moim zdaniem Ameryka dała muzykę światu, a my ją wessaliśmy. Mamy to we krwi. Jest w naszym DNA. To jeden z powodów, dla których tu mieszkam.

Bardzo ważnymi dla was były również utwory "She's a Little Bit of Everything", "Drivin' On", "Time Slips Away", które współtworzył Kim Simmonds zmarły muzyk Savoy Brown i wasz serdeczny przyjaciel...

Tak, **Kim** grał na naszym ostatnim studyjnym albumie "**Under the Influence**". Zagrał mniej więcej w czterech utworach. Po tym, jak skończyliśmy nagrywać ten album, a **Tom Hambridge** był producentem, **Kim** powiedział mi, że chciałby napisać kilka kawałków dla **Foghat**, a ja odpowiedziałem, że byłoby świetnie, pod warunkiem że zagrałby w nich z nami na gitarze. Niestety, **Kim** nie mógł dołączyć do nas tym razem, ponieważ zachorował i zmarł w grudniu ubiegłego roku, ale wysłał mi cztery utwory. Nagraliśmy trzy z nich, "***Drivin' On***", "***She's a Little Bit of Everything***" i "***Time Slips Away***", które moim zdaniem są po prostu stworzone dla tego zespołu. **Kim** był fantastycznym gitarzystą bluesowym i fan-

tastycznym tekściarzem. Napisał tak wiele piosenek. Każdego roku wydawał płytę z oryginalnym materiałem. Byliśmy bardzo blisko przez całą moją karierę, pracując z nim w **Savoy Brown** i kiedy założyliśmy **Foghat**. Oczywiście kontynuował pracę z **Savoy Brown**. Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek mieli jakieś scysje. Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi i bardzo za nim tęsknię.

Utwory, które znalazły się na "Sonic Mojo", a najbardziej kojarzą mi się z obrazem Foghat, który mam w głowie to, hardrockowo-rock'n'rollowy "I Don't Appreciate You" oraz soczysty blues rock/hard rock w postaci "Black Days and Blue Nights". Nie będę ukrywał, że dla mnie to najlepsze kawałki na tej płycie...

Cóż, masz swoje zdanie na temat tego, jakie utwory lubisz, prawda? Tak jak wszyscy powinniśmy. To jest ważne! "***Black Days & Blue Nights***" jest jedną z moich ulubionych kompozycji. Została napisana jako hołd dla zmarłego, wspaniałego **Roda Price'a**, naszego pierwszego gitarzysty slide, który był ogromną częścią **Foghat** i muzyki, którą tworzyliśmy. "***I Don't Appreciate You***" to również jeden z moich ulubionych utworów na albumie. Zacząłem od tytułu i miałem kilka słów, a potem dałem go **Scottowi Holtowi**, który przeniósł go na inny poziom. "***I Don't Appreciate You***" jest o kimś, kogo bardzo nie lubisz, ale mówisz to w najbardziej uprzejmy sposób. Może to być była dziewczyna, były chłopak lub polityk, którego nie darzysz szczególną sympatią, ale to prawdziwy rockandrollowy kawałek. Zgadzam się, to również jedna z moich ulubionych piosenek!

Znalazłem też dwie ciekawostki, pierwszą jest utwór "Mean Woman Blues", który utrzymany jest w konwencji bluesowo/latynoskiej. Bardzo kojarzy mi się z Santaną oraz Peterem Greenem...

Z wyczuciem, Michale. Tak, kiedy po raz pierwszy usłyszałem ten utwór, była to strona B bardzo wczesnej płyty **Jerry'ego Lee Lewisa**. Został nagrany po raz pierwszy w latach 50. **Scott Holt** również uwielbiał ten kawałek, ale chcieliśmy zrobić z nią coś nowego. Użyliśmy oryginalnego tekstu, który został napisany do tej pieśni, a także wykorzystaliśmy niektóre słowa, które **Jerry Lee Lewis** wymyślił dla tego utworu. I tak to jazzowy, bluesowy kawałek i granie go było świetną zabawą! Myślę też, że **Bryan Bassett** wcielił się tu trochę w **Carlosa Santanę**, co nie jest łatwe! Uwielbiam tę piosenkę.

A drugą ciekawostką jest kawałek "I Wish I'd Been There", taki stylowo zagrany country-rock...

Tak, mój brat **Colin Earl**, który był klawiszowcem w **Mungo Jerry** ("In the Summertime") napisał tę piosenkę! Jest to hołd dla nieżyjącego wielkiego **Hanka Williamsa**, który był jednym z największych artystów country, jacy kiedykolwiek żyli i napisał piosenki, które są klasykami nawet do dziś! I tak kocham **Hanka Williamsa** tak samo jak mój brat **Colin**!

Jednak, żeby nie było, bardzo podoba mi się blues rockowy charakter "Sonic Mojo". Jak dla mnie wasze kolejny płyty też mogą być utrzymane w takim klimacie, pod warunkiem że kompozycje będą równie udane co teraz.

Dziękuję Michał. Tak, świetnie się bawiliśmy,

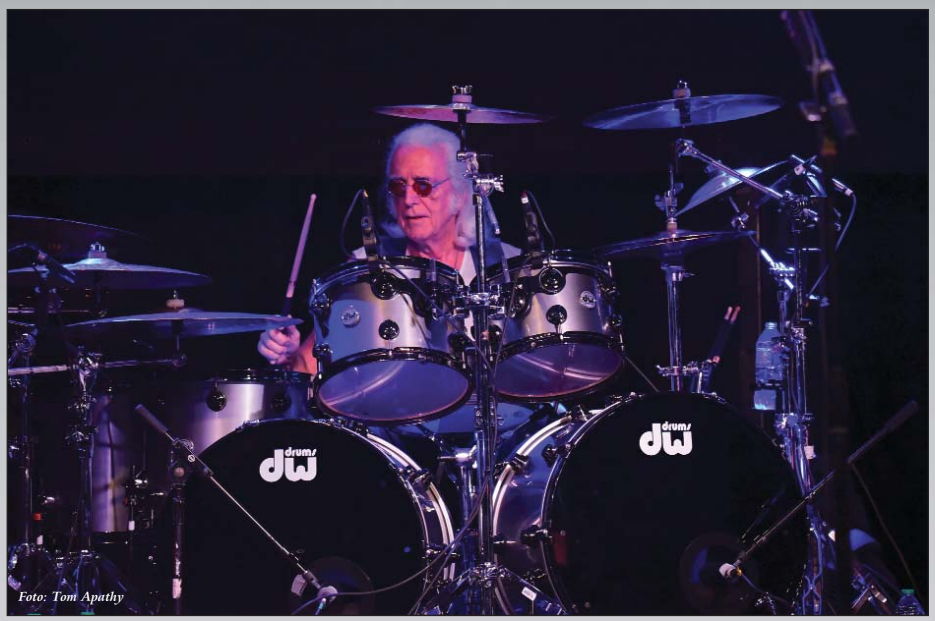

Foto: Tom Apathy

nagrywając tę płytę! To było bardzo spostrzegawcze z Twojej strony, że zawarliśmy na niej wszystkie wpływy, które każdy z członków tego zespołu ma w bluesie, jazzie, rock'n'rollu, country i gospel. Wszystko tam jest. Dziękuję Michał, to jedna z moich ulubionych płyt!

Jak powstał pomysł i utwory na "Sonic Mojo". Czy to były jakieś głębsze przemyślenia na temat kierunku albumu, czy po prostu pisaliście kawałek po kawałku?

Zaczęliśmy pracować nad tym albumem jakieś trzy lub cztery lata temu, ale dopiero jakieś dwa lata temu, tuż po koszmarze związanym z Covid, naprawdę zaczęliśmy słuchać niektórych kompozycji, które nagraliśmy i zaczęliśmy naprawdę składać album w całość. Tak naprawdę wszystko poszło całkiem łatwo. Większość utworów powstała na żywo w studiu. **Scott Holt** i ja graliśmy razem, aby uzyskać podstawowe podstawy niektórych utworów, ale ta płyta była świetną zabawą i tworzenie jej przyszło nam z łatwością. Zrobiliśmy też może sześć lub dziesięć dodatkowych kawałków, których nie wykorzystaliśmy. Wybraliśmy najlepsze naszym zdaniem utwory na tę płytę i osobiście jestem bardzo zadowolony z tego, jak to zabrzmiało, a tak przy okazji, **Bryan Bassett**, nasz gitarzysta prowadzący, jest absolutnym geniuszem! Jest również naszym inżynierem i producentem. Nie wiem, gdzie byśmy byli bez niego.

Bardzo dobrze wypadliście jako muzycy, zagraliście wyśmienite partie, a wasze zgranie jest wręcz rewelacyjne. Myślę, że jakoś specjalnie nad tym nie pracowaliście, bowiem lata doświadczeń spowodowało, że wychodzi to wam naturalnie i organicznie...

Dobrze spostrzeżenie Michale, widać, że słuchałeś tych płyt. Dziękuję, masz dobry gust. (śmiech) I tak, chemia w tym zespole jest fantastyczna!

Jak wspominałem, w czasie sesji nagraniowej walczyłeś z bólem ręki, czy w czasie jej trwania mieliście jakieś inne problemy?

Tak, bolały mnie ręce, ale tak naprawdę bolało mnie lewe ramię. To był prawdziwy problem. Naderwałem mięśnie barku i nie funkcjonowały najlepiej. Musiałem je otaśmować, by grać, ale i tak byłem sprawny przez może dwie lub trzy godziny i po prostu grałem z bólem. Granie w zespole rock'n'rollowym to świetna zabawa! Ból? Jaki ból?! W każdym razie po tym, jak skończyłem partie perkusyjne na płycie, udałem się do chirurga w Nowym Jorku, który w rzeczywistości ponownie przyłączył mięśnie mojego ramienia i teraz mam się dobrze, dziękuję!

Wspominałeś, że Bryan Bassett odpowiada za nagrywanie waszej płyty, a może ktoś jeszcze spoza zespołu wam pomagał?

Nie, to wszystko tylko zespół i wspaniałomyślność naszego producenta i gitarzysty **Bryana Bassetta**. Gdyby nie jego geniusz, bylibyśmy zgubieni.

Jak aktualnie podchodzicie do koncertowania, do niedawna była to wasza bardzo intensywna aktywność...

Uwielbiam grać na żywo tak jak reszta zespołu! I tak pewnego dnia skończyliśmy grać, byliśmy za kulisami i rozmawialiśmy ze **Scottem**. **Scott Holt** powiedział do mnie: "*Czy to nie jest fantastyczny sposób na zarabianie na życie? Kiedy kończymy pracę, ludzie wstają, wiwatują i klaszczą dla nas! Ile innych zawodów tak wygląda?*". Mamy wielkie szczęście, że gramy w tym zespole. Wszyscy dbają o to, co robią. Każdy się stara, kochamy to, co robimy! To nigdy nie jest praca... Ciężka praca to podróżowanie. Podróżujemy samolotami, samochodami, pociągami. Kochamy to, co robimy i żartujemy z faktu, że tak naprawdę płacą nam za podróżowanie. Mamy szczęście, że mamy pracę, którą naprawdę kochamy. Chodzi o ludzi i o muzykę. **Foghat** zawsze miał fantastycznych fanów, a my zawsze mieliśmy świetnych muzyków w zespole. Zawsze grałem z fantastycznymi muzykami. Wiem, że wielu z nich było przed tym składem, ale myślę, że obecny zespół będzie istniał jeszcze przez jakiś czas, jeśli będę miał z tym cokolwiek wspólnego! Dziękuję za twój wkład, twoje pytania, Michale i dziękuję za to, że podoba ci się ta płyta.

Czasu nie da się zatrzymać, wszystko wcześniej czy później się kończy, niemniej liczę, że jeszcze posłucham kilku nowych płyt Foghat, czego sobie i wam życzę.

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

ANTIOCH

Trzeba mieć do siebie dystans, kiedy śpiewa się o pterodaktylach i mieczach

Na scenie metalowej znajdzie się miejsce dla każdego: od pretensjonalnych artystów z misją po obszczymury szukające dobrej zabawy przy głośnej muzyce. Bohaterowie niniejszego wywiadu zdecydowanie reprezentują to bardziej zabawowe oblicze metalu. Będzie jednak w błędzie ten, kto weźmie ich za parodystów udających muzyków. Za dowód niech zresztą posłuży najnowszy, świetny album Kanadyjczyków zatytułowany "Antioch VI: Molten Rainbow". O tym i owym opowie wyluzowany wokalista Antioch, Nick Allaire.

HMP: **Cześć, Nick! Pozdrowienia z Polski. Dzięki za możliwość rozmowy. Powiedz, jak spędzacie lato w Kanadzie?**

Nick Allaire: Cześć. Możliwe, że pracujemy właśnie nad nowym albumem **Antioch**, ale za nic nie zdradzę szczegółów! Prócz tego staramy się dobrze bawić i trzymać z dala od Internetu.

Gratuluję wydania "Antioch VI: Molten Rainbow"! Już sam tytuł brzmi jak epicka metalowa podróż. Wyjawisz nam, o co chodzi z tą "stopioną tęczą"?

O tak, cały ten album jest epicką podróżą. Wiesz, wiele naszych utworów zaczyna się od pomysłu, tematu lub tytułu. Jednym z takich działających na wyobraźnię tytułów było właśnie "***Molten Rainbow***". Wyobraź sobie płynną lawę o wielu kolorach. Pomyśleliśmy, że warto byłoby zrobić coś fajnego z tą wizją. Myślę, że nam się udało. Interpretacje wolimy natomiast pozostawiać słuchaczom.

Często podejmujecie w tekstach tematykę fantastyczną. Jak myślisz, dlaczego teksty o mieczach, smokach i czarodziejach tak dobrze pasują do heavy metalu?

Zawsze lubiliśmy te klimaty i świetnie się w niej odnajdywaliśmy. Tematyka magii i mieczа jest stałą częścią historii **Antioch**. Dostarcza mnóstwa szablonów potrzebnych do opowiedzenia najróżniejszych historii, bo fantastyka to przecież: romans, polityka, bitwy, gigantyczne stworzenia, herosi i wiele więcej. Myślę, że ta tematyka doskonale pasuje do heavy metalu, ponieważ jest ona równie różnorodna jak ten gatunek muzyczny. No a prócz tego, połączenie epickiej muzyki z epickimi tekstami wydaje się słusznym rozwiązaniem. Nie ma przecież nic bardziej epickiego niż walka z demonami oraz zdobywanie zamków.

Ludzie w bezkresnych przestrzeniach Internetu powiadają, że 2022 był rokiem, w którym fantastyka umarła, gdyż to właśnie wówczas ukazała się gówniana trójca: "Pierścienie Władzy", "Willow" oraz "Wiedźmin: Rodowód krwi". Co o tym sądzisz?

Wydaje mi się, że tym, co nawet wcześniej poderznęło gardło serialom fantastycznym, był ostatni sezon "**Gry o Tron**". Dla mnie filmowa trylogia "**Władcy Pierścieni**" **Petera Jacksona** jest perfekcyjna! Obejrzałem natomiast zwiastun "**Pierścieni Władzy**", ale serial zupełnie mnie nie zainteresował. Nie mogę się wypowiadać o "**Willow**", ponieważ nie widziałem oryginalnego filmu. Nie spodobał mi się

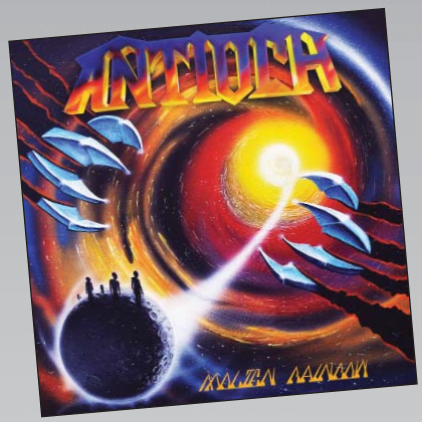

"**Wiedźmin**" produkcji **Netfliksa**, bo nie był wierny materiałowi źródłowemu. Tymczasem jestem wielkim fanem książek **Sapkowskiego** oraz uwielbiam gry na ich podstawie. Smutno patrzeć, jaki los spotkał tę franczyzę na małym ekranie. Nie mogę się natomiast doczekać, by zobaczyć, jak **Henry Cavill** poradzi sobie w świecie "**Warhammera 40000**"!

Jakie zespoły miały największy wpływ na muzyków Antioch? Słuchając waszych płyt mam wrażenie, że zdecydowanie lubicie niemieckie zespoły power metalowe, co jednak, jak wynika z mojego doświadczenia, jest raczej nietypowe dla zespołów spoza Europy (z uwagi na niegdysiejsze problemy z dystrybucją europejskich albumów za oceanem).

Często nas porównują co niemieckich zespołów metalowych takich jak **Accept** czy **Grave Digger**. Poczytujemy to sobie za zaszczyt! Potrafię śpiewać ochrypłym głosem, co doskonale pasuje do niemieckiej szkoły metalu. Niemniej jednak do moich największych inspiracji należą: **Devin Downsend**, **Manowar**, **Judas Priest**, **Mercyful Fate** i **Alice Cooper**. Przy czym każdy z członków **Antioch** lubi trochę co innego.

Skąd wzięliście nazwę Antioch? Mam taką teorię, że skoro starożytną Antiochię założył jeden z generałów Aleksandra Wielkiego, a ten przeszedł do historii jako postać z utworu Iron Maiden, zatem nosząc tę nazwę składacie hołd Brytyjczykom.

Zawsze byłem pasjonatem historii, ale akurat naszą nazwę zawdzięczamy **Świętemu Granatowi Ręcznemu** z **Antiochii**, którym zwyciężono **Królika** z **Caerbannog** (nawiązanie do filmu Monty Python i Święty Graal - przyp. red.). Ale fakt, kochamy **Iron Maiden**. **Jordan** (Rhyno, basista i gitarzysta - przyp. red.) i ja mieliśmy przyjemność zobaczyć **Blaze'a Bayleya** na żywo kilka lat temu.

Jesteście młodym zespołem. Jak myślisz, pod jakim względem łatwiej funkcjonuje się Wam niż zespołom, które zaczynały podboje na przełomie lat 70. i 80.?

Wiesz, z jednej strony postęp technologiczny zdecydowanie ułatwił nagrywanie i wydawa-

nie muzyki. Dużo łatwiej nam też dotrzeć z naszą twórczością do ludzi na całym świecie. Ale z drugiej strony, współcześnie znacznie trudniej się przebić i przyciągnąć uwagę słuchaczy, bo konkurencja jest tak ogromna.

Brendan i Jordan są braćmi. Kto kogo wprowadził w świat heavy metalu i w jaki sposób?
Wysłałem **Jordanowi** faks. Oto, co odpowiedział: "Jestem kilka lat starszy od **Brendana**, więc to ja zaszczepiłem w domu heavy metal. Razem poszliśmy na koncert **Judas Priest** i **Anthrax**, kiedy w 2005 roku grali w Londynie w prowincji Ontario. Wcześniej nie miał do czynienia z heavy metalem, ale od tamtej pory kocha tę muzykę".

W 2023 roku mija dziesięć lat odkąd założyliście Antioch. Czy obchodziliście tę rocznicę w jakiś szczególny sposób?
Jesteś pierwszą osobą, która zwróciła mi na to uwagę! Wcześniej nie myślałem o tym. Nie wiem, może **Jordan** ma coś w planach. Za to prawdopodobnie w przyszłym roku zrobimy coś szczególnego z okazji dziesiątej rocznicy wydania "**Antioch I**".

Kontynuując kwestie historyczne, przez te dziesięć lat co było najwyższym wzlotem, a co najniższym upadkiem w waszej karierze muzycznej?
Najwyższym wzlotem było otwieranie koncertu przed **Thorem** kilka lat temu. Zdecydowanie był to szczytowy moment naszej kariery. Co się tyczy momentów nieszczególnych, to było to nagrywanie wokali na "**Antioch I**" oraz "**Antioch II**". W jednym i drugim wypadku musiałem to zrobić w jeden dzień. Cieszę się, że nigdy więcej się to nie powtórzy.

A propos koncertów, co porabiacie bezpośrednio przed wyjściem na scenę?
Ja rozgrzewam struny głosowe i próbuję pozbyć się tremy. Czasami modlę się też do **Kinga Diamonda**. Nigdy nie traktowaliśmy siebie zbyt poważnie i pokazujemy to na scenie. Myślę, że trzeba mieć poczucie humoru i dystans do samego siebie, kiedy śpiewa się o

Foto: Antioch

pterodaktylach i mieczach.

W jaki sposób uatrakcyjniacie wasze występy dla publiczności?
Lubię wychodzić do publiczności, stawiać na bezpośrednią interakcję, bo sam pamiętam, jak czułem się będąc na koncercie, kiedy muzyk ulubionego zespołu poświęcał uwagę fanom. Zawsze sprawiało mi to radość i chcę robić to samo dla naszych słuchaczy. Niby to nic szczególnego, ale bardzo lubię, kiedy tłum skanduje razem ze mną. Aha, i była jeszcze taka sytuacja w Toronto, kiedy udało mi się namówić kilka osób do rozpoczęcia tackle pit, czyli młyna, ale takiego z łaskotaniem zamiast popychania. Być może to był szczytowy moment mojej kariery!

Czy podzielisz się z nami kilkoma najbardziej niezapomnianymi wspomnieniami z trasy koncertowej?
Jordan przesłał mi kolejnego faksa: "Po koncercie w Toronto przez cztery godziny z rzędu rozmawialiśmy o założeniu zespołu o nazwie **Shit Wizards**. Naszemu gitarzyście nie było wtedy do śmiechu, ale pozostałym humor dopisywał. Co jeszcze… Podczas nagrywania naszego pierwszego EP byliśmy bardzo zmęczeni. W środku nocy obudziłem się i krzyknąłem: "Wypierdalaj stąd!" Myślałem, że po pokoju kręci się duch albo złodziej. Kiedy doszedłem do siebie, zdałem sobie sprawę, że to tylko Alex (Dupuis, były gitarzysta - przyp. red.) lunatykuje. Powiedziałem: "Sorki. Myślałem, że jesteś duchem". Po czym wróciłem do snu". Mogę potwierdzić, że czterogodzinna dyskusja o **Shit Wizards** była świetna. Zaczęło się od wymyślania wulgarnych imion dla postaci z **Harry'ego Pottera**, co ostatecznie przerodziło się w burzę mózgów na temat nowej muzycznej sensacji. Z kolei epizod z lunatykowaniem mnie przeraził. Nie miałem pojęcia, co się dzieje.

Kto twoim zdaniem był lub jest najlepszym rockowym frontmanem?
Rob Halford! Wszystko w nim uosabia heavy metal: głos, wygląd, zachowanie sceniczne.

Gdybyś mógł rzucić zaklęcie na swoich fanów, jaką specjalną zdolnością byś ich obdarzył?
Jestem łaskawy. Dałbym im idealne tyłki.

Kilka słów na pożegnanie?
Nasz najnowszy album, "**Antioch VI: Molten Rainbow**", jest już dostępny do odsłuchu na każdej platformie z muzyką. Jeśli chcecie nas wesprzeć, kupcie go na naszej stronie na Bandcamp. Nagrywanie tego albumu trwało trochę dłużej niż się spodziewaliśmy, ale było warto. Na "**Antioch VII**" i "**Antioch VIII**" nie będziecie musieli tyle czekać.

Adam Nowakowski

Foto: Antioch

By Fire & Sword

Cała sala śpiewa z nami

Czy nie brakuje wam co niedzielnego, heavy metalowego kazania? Nic prostszego, zamiast wizyty w lokalnej świątyni, włączcie sobie płytę By Fire and Sword, aby oddać się duchowej uczcie. Przez historię i doktrynę Pierwszego Kościoła Dzieci Światła poprowadzą was wielebny Tim Thomas Jones (wokal) i brat Jeff Black (gitara).

HMP: Podzielcie się z nami historią powstania By Fire and Sword.

Thomas Newby: **Jeff** zwrócił się do mnie w sprawie założenia zespołu. Miał jasno sprecyzowany pomysł na kierunek muzyczny. Ale treść naszych kawałków wyszła ode mnie. Pomyślałem, że energia będzie fajna na żywo. I oboje postanowiliśmy, że tematyka charyzmatycznych przywódców oraz myślenia grupowego, będzie dobrym spoiwem tekstów zespołu.

Jeff Black: Napisałem materiał, który miał stać się EP-ką "**Freedom Will Flood All Things with Light**" w moim domowym studiu i zdecydowałem, że chcę to zrealizować zespołowo. Przyszedłem z tym do **Toma** i reszta jest historią, jak to mówią. Zebraliśmy kilku lokalnych kumpli, z którymi graliśmy w innych zespołach i nagraliśmy ten materiał. Odbyliśmy małą trasę koncertową i zagraliśmy kilka lokalnych sztuk, aż wybuchła pandemia.

Foto: By Fire And Sword

Jakie były wpływy muzyczne, które ukształtowały formację i brzmienie zespołu?

Thomas Newby: **Jeff** może powiedzieć więcej o swoich inspiracjach. Jeśli chodzi o melodie wokalne to staram się uhonorować i rozwijać zarówno wkład **Jeffa**, jak i energię pozostałych członków zespołu. Lubimy, gdy cała sala śpiewa razem z nami.

Jeff Black: Jestem wielkim fanem power metalu, więc kiedy zakładałem zespół, słuchałem takich rzeczy jak **Ensiferum**, **Wintersun**, **Unleash The Archers**, **Stormwarrior**, **Blind Guardian**, **Iron Fire**, **Dragonforce**, **Orden Ogan**, **Iron Mask**. Dużo europejskich kapel. Chciałem pisać muzykę, która byłaby jednocześnie ciężka, ale też melodyjna i łatwa do śpiewania.

Jak muzyka zespołu ewoluowała od czasu jego powstania i jakie czynniki miały na to wpływ?

Thomas Newby: Produkcja na nowym albumie jest czystsza niż na EP-ce, a rezultatem jest cięższe brzmienie. Dla dla mnie, zarówno narracyjnie, jak i muzycznie, nowy album wyjaśnia, buduje i rozszerza pomysły z naszej EP-ki.

Jeff Black: Na EP-ce początkowo po prostu pisałem muzykę i nie miałem jasnego celu, czy jakiejś mapy drogowej. W przypadku "**Glory**", **Thomas** i ja mieliśmy znacznie wyraźniejszy kierunek, więc pisałem z dużo bardziej konkretnym zamiarem. Chciałem, aby muzyka stała się dobrą platformę do budowania narracji i wokalu. Muzycznie wpływy są w większości takie same, wystarczy dorzucić do nich kilka amerykańskich zespołów, takich jak **Visigoth** i **Eternal Champion**.

Wspomnieliście o temacie tekstów zespołu, co kryje się pod tym opowieściami?

Thomas Newby: Ten album w szczególności przedstawia wielebnego **Tima Toma Jonesa**, przywódcę drapieżnego kultu chrześcijańskiego i jego światopogląd. Zarówno EP-ka, jak i album mogą być można interpretować jako osobne kazania wygłaszane przez wielebnego **Tima Jonesa**. To są podstawy naszej opowieści, a jeśli ktoś chce dowiedzieć się więcej, powinien sięgnąć po teksty.

Jakie są najbardziej dumne osiągnięcia i kamienie milowe zespołu w waszej muzycznej podróży?

Thomas Newby: Nie wiem, czy to się liczy, ale odbiór "**Glory**" był czymś, z czego jestem naprawdę. Słyszeliśmy od ludzi z całego świata. Nigdy wcześniej nie czułem takiego wsparcia dla muzycznego wydawnictwa. Ktoś wysłał nam zdjęcie tatuażu z nazwą zespołu, który zrobił sobie kilka dni temu. To było niesamowite.

Jeff Black: Ten tatuaż to coś szalonego, nigdy nie myślałem, że czegoś takiego doświadczymy. Podpisanie kontraktu z **No Remorse** było dla mnie osobiście sporym wydarzeniem. Podobnie granie na festiwalu **Legions of Metal** w Chicago czy wydanie albumu w ogóle. Zespół jest dość młody i to dopiero nasza pierwsza płyta, więc myślę, że najlepsze rzeczy są jeszcze przed nami.

Ciekawi mnie, jak, we własnych słowach wyróżnia się wasz zespół od innych grup grających tę muzykę?

Jeff Black: Czujemy się częścią odrodzenia heavy metalu. To nie jest nabożeństwo, na jakie chodzi twój dziadek, ale spokojnie możesz przyprowadzić go na nasze koncerty. Jesteśmy tradycyjnym zespołem heavy metalowym z silnymi wpływami power metalu i szczyptą doomu, tak dla zabawy. Pod względem estetycznym są zespoły, które robią coś podobnego. **Ghost** jest najbardziej oczywistą i udaną odpowiedzią z ich pokręconym katolicyzmem. **Church of the Cosmic Skull** to kolejny świetny zespół z Wielkiej Brytanii. Wspaniały, nawiązujący do klimatów "flower power". Wracając do nas, sposobu, w jaki w jaki łączymy prozelityzm i popowe wokale z metalowy-

mi riffami, nie słyszałem jeszcze u nikogo innego.

Czego możemy oczekiwać od was w przyszłości?
Thomas Newby: Właśnie zaczęliśmy rozmawiać o kolejnym albumie. Znamy jego ogólny zarys ale szczegóły są wciąż dość mgliste. Mamy również nadzieję na trasę koncertową w przyszłym roku. Wielebny ma wielkie plany dla swojej trzody. To pewne.

Przed jakimi wyzwaniami stanęliście jako zespół i jak udało wam się je przezwyciężyć na waszej drodze?
Jeff Black: Wciąż jesteśmy tak stosunkowo "nowym" zespołem na scenie, że nasze trudności były tak naprawdę ograniczone do pandemii, która położyła kres niektórym planom, które mieliśmy zaplanowane na 2020 rok. **Thomas** mieszka po drugiej stronie kraju ode mnie, więc nagrywanie albumu było nieco trudniejsze. Ale wiedzieliśmy, jaki mamy wyjątkowy album i pracowaliśmy z producentem, który pomógł nam utrzymać się w ryzach.

Jak postrzegacie obecny status sceny heavy metalowej w USA?
Jeff Black: Żyje, ma się dobrze, wręcz lepiej niż kiedykolwiek. Codziennie odkrywam nowe zespoły. Zwiększona ilość treści dostępnych dla nas w Internecie oznacza, że trzeba trochę oddzielić ziarno od plew ale jest tam mnóstwo dobrej muzyki.

Czy są jakieś szczególne trendy lub zmiany na scenie metalowej, które uważacie za ciekawe i godne uwagi?
Jeff Black: Widzę rewolucję techniczną. Zespoły mądrze wykorzystują technologie takie, jak cyfrowe wzmacniacze modelujące i monitory douszne. Od lat jestem zwolennikiem tych rozwiązań i mogę o nich rozmawiać całe wieki, z każdym chętnym. Uwielbiam prawdziwe wzmacniacze do nagrywania w studiu, ale nie podczas koncertowania. No i pamiętajcie o swoim słuchu. Proszę o noszenie zatyczek, na miłość wielebnego! Przez kilka lat zespoły i gitarzyści starali się po prostu pisać "najszybsze" utwory, aby się popisać, ale brakowało im kompozycji i wydaje się, że to się trochę uspokoiło a przynajmniej przeniosło się poza naszą, heavy metalową scenę.

Foto: By Fire And Sword

Czy możecie rzucić światło na proces pisania piosenek przez wasz zespół?
Thomas Newby: Ogólne pomysły zespołu na kilka następnych albumów są już ustalone, ale szczegóły nadal wymagają dopracowania. Byliśmy od siebie odizolowani podczas nagrywania ostatniej płyty z uwagi na Covid. **Jeff** wysyłał do mnie muzykę, a ja pisałem teksty. Wątpię, abyśmy chcieli zastosować ten sposób pracy następnym razem. Szczerze mówiąc, jest to żałosny sposób współpracy.
Jeff Black: Pisanie jest dla mnie jak otwieranie tamy i powódź. Kiedy mam już na myśli cel końcowy, po prostu spędzam kilka godzin w studiu każdego dnia, przez około 6 tygodni i piszę. Następny proces będzie prawdopodobnie nieco inny, z uwagi na izolację, podczas której powstawała "**Glory**".

Czy macie jakieś swoje rytuały podczas pracy nad materiałem?
Thomas Newby: Rutynowo palę zioło podczas pracy nad kreatywnymi projektami. Przypuszczam, że większość sesji tworzenia tekstów rozpoczynam po prostu od swobodnego pisania na temat piosenki.
Jeff Black: Staram się unikać słuchania dużej ilości metalu podczas pisania. Łapanie pewnych wpływów jest dla mnie naturalnie i prawdopodobne, że podchwycę coś z radia lub **Apple Music**. Słucham dużo muzyki celtyckiej i world music, co pomaga mi wyjść z mojej "metalowej strefy" i daje mi inną perspektywę. Dużo ćwiczę przed takimi sesjami, aby upewnić się, że moje umiejętności są na właściwym poziomie.

Czy mieliście okazję występować lub kontaktować się z fanami metalu poza USA?
Thomas Newby: Nie występowaliśmy jeszcze poza Ameryką. Ale mamy nadzieję to zmienić w przyszłym roku. Jeśli chcielibyście zobaczyć nas na lokalnym festiwalu, dajcie znać zarówno nam, jak i im. Wielebny może zorganizować pielgrzymkę.

Czy istnieją konkretne narzędzia lub platformy technologiczne, które uważasz za szczególnie korzystne dla zespołu w dzisiejszej erze cyfrowej?
Thomas Newby: Wydaje mi się, że częścią pracy współczesnego niezależnego muzyka jest dbanie o doświadczenia online swoich fanów. Nie innego widzę sposobu na dotarcie do ludzi spoza bezpośredniego kręgu przyjaciół i rodziny. Oprócz kont w mediach społecznościowych używamy Bandcamp jako naszego głównego sklepu internetowego. Świetnie się bawimy kręcąc propagandowe filmiki dla kościoła na naszych telefonach komórkowych.

Jakiej rady udzielilibyście aspirującym zespołom heavy metalowym, które dopiero zaczynają swoją przygodę w branży muzycznej?
Thomas Newby: Zastanów się, co chcesz robić, jaki rodzaj muzyki chcesz tworzyć i dlaczego chcesz to robić. dlaczego chcesz ją tworzyć. Im bardziej konkretne, tym lepiej. Kiedy już wiesz, jaki jest twój cel, zrób wszystko, co w twojej mocy aby stał się rzeczywistością. Znajdź odpowiednich ludzi do współpracy i zainwestuj czas potrzebny do osiągnięcia jak najwyższej jakości. tak wysokiej jakości, jak to tylko możliwe. A kiedy już to zrobisz, wyślij mi link, abym mógł to sprawdzić.
Jeff Black: Amen

Igor Waniurski

Foto: By Fire And Sword

Mace 'n' Chain

Spróbować czegoś nowego

David Nilsson wyszedł z puszki ekstremalnego metalu. Jak się okazało fanem jego bardziej tradycyjnych odmian jest od lat, co potwierdza na debiutanckim albumie swego solowego projektu Mace 'N' Chain. I co ważne dla fanów takiego grania pracuje już nad następcą "Among Ancient Pillars", a do tego zwerbował perkusistę, dzięki czemu będzie mógł zapomnieć o automacie perkusyjnym, pasującym do metalu tak, jak gumofilce do fraka.

HMP: Jesteś kojarzony przede wszystkim jako wokalista i gitarzysta/basista zespołów grających ekstremalne odmiany metalu. Skąd ten zwrot w kierunku tego najbardziej tradycyjnego w twoim solowym projekcie Mace 'N' Chain?

David Nilsson: Wszystkie projekty, w które byłem zaangażowany, przynajmniej jako stały członek, a nie tylko gość, brzmiały bardzo różnie od siebie. Nie widzę sensu w posiadaniu kilku zespołów, które brzmią podobnie, a zawsze byłem fanem tradycyjnego heavy metalu, więc w końcu nadszedł czas, aby to zrobić.

Co sprawiło, że nie zacząłeś grać go od razu? Death czy black metal pociągały cię w tym formatywnym okresie bardziej, czy po prostu nie miałeś jeszcze wtedy wystarczających umiejętności do grania klasycznego heavy?

Trudno powiedzieć, ale dorastałem w niewielkim miasteczku i nie było tam zbyt wielu ludzi zainteresowanych muzyką, więc założenie zespołu nie było łatwym zadaniem. Kiedy byłem nastolatkiem, przeprowadziłem się do miasta, gdzie spotkałem więcej ludzi, którzy chcieli grać w zespole, a wtedy byłem już zainteresowany bardziej ekstremalnymi formami metalu i chciałem zacząć grać takie rzeczy. Większość moich kolegów, z kilkoma wyjątkami, interesowała się death i black metalem, a nie jego tradycyjnymi odmianami.

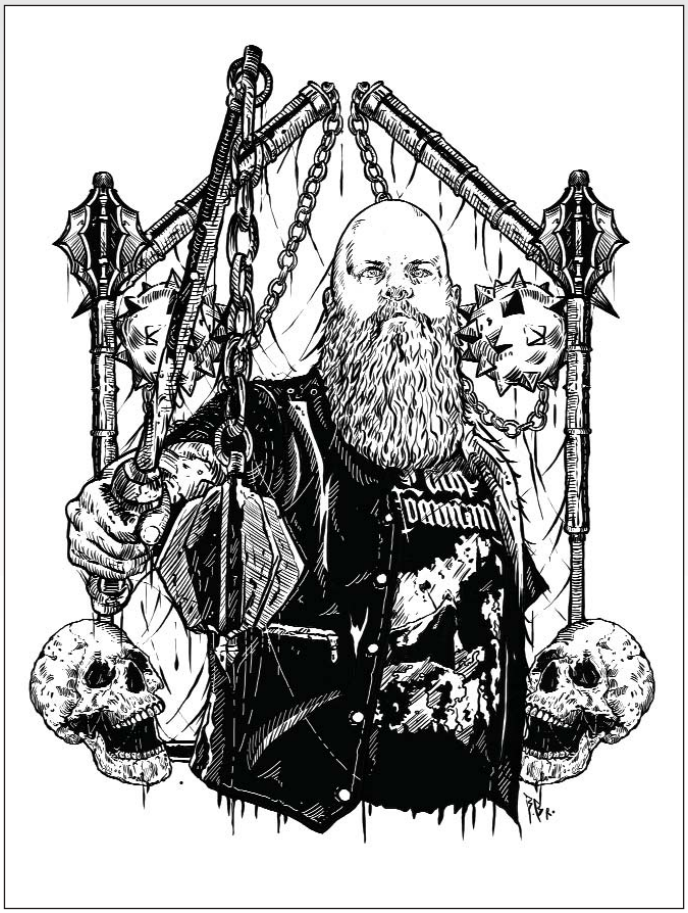

Pandemia większości naszej populacji podarowała też sporo wolnego czasu - też uznałeś, że nie ma co siedzieć z założonymi rękami, warto stworzyć coś samodzielnie, w dodatku w stylistyce, której mało kto się po tobie spodziewał?

Tak, dokładnie tak. Zespół, z którym zwykle ćwiczyłem i grałem koncerty, miał przymusową przerwę z powodu pandemii. A mnie bardzo trudno jest wyzbyć się kreatywności, muszę pisać muzykę i nad czymś pracować, bo inaczej zwariuję. To doprowadziło mnie do spróbowania czegoś nowego.

Kumple oczywiście wiedzieli, że jesteś fanem klasycznie grających kapel, ale dla reszty świata premiera pierwszego demo Mace 'N' Chain "Upon The Anvil Formed" była nielichym zaskoczeniem - lubisz takie akcje, nie chcesz być szufladkowany wyłącznie na podstawie tego, co stworzyłeś i osiągnąłeś do tej pory?

Myślę, że moi przyjaciele również byli zaskoczeni, mimo że wszyscy z pewnością wiedzieli, że uwielbiam tego typu zespoły. Ale tak, jeśli mam zamiar założyć nowy zespół lub projekt, to chcę, aby wniósł on coś nowego. Pomimo tego, że jest to stary i tradycyjny gatunek muzyczny, to było dla mnie czymś nowym, aby spróbować pisać takie rzeczy.

Łącznikiem pomiędzy dwoma światami twych muzycznych fascynacji wydaje się na tym demo przeróbka "Pleasure To Kill" - Kreator i akurat ten utwór były dla ciebie oczywistym wyborem, czy lista potencjalnych coverów była znacznie dłuższa?

Myślę, że pomysł na ten cover powstał w moim mózgu przez historię, że **Kreator** zaczerpnął nazwę swojego zespołu z tekstu piosenki **Manowar** "***Mountains***". Chociaż wydaje mi się, że później powiedzieli, że ta historia była nieco przesadzona. Ale tak czy inaczej, pomyślałem, że to naprawdę zabawne, jak różne gatunki wpływają na siebie nawzajem i jak różne gałęzie metalu wywodzą się z tych samych korzeni. Postanowiłem więc wyobrazić sobie, jak utwór "***Pleasure to Kill***" brzmiałby, gdyby znalazł się na albumie **Manowar** "**Hail to England**", który moim zdaniem, z utworami takimi jak "***Kill with Power***" i "***Bridge of Death***", jest już dość ekstremalny . Nie wiem, czy w pełni mi się to udało, ale dobrze się przy tym bawiłem.

Sukces tego demo zaskoczył cię? Spodziewałeś się aż tak pozytywnego odbioru tego materiału?

Zdecydowanie! To był niezły szok. Fizyczne kopie sprzedały się bardzo szybko, a wieść o tym szybko się rozniosła. Myślę, że wszystkie egzemplarze rozeszły się w ciągu tygodnia, a dwa tygodnie później byłem już w trakcie rozmów z **No Remorse Records**.

Nie miałeś więc wyboru, trzeba było zakasać rękawy i pisać kolejne utwory - poszło łatwo, czy przeciwnie, trochę się nad nimi namęczyłeś, bo jednak album to nie demo z dwoma numerami i coverem na finał?

Właściwie pracowałem już wtedy nad kolejnym materiałem, ponieważ produkcja dema zajęła sporo czasu. Nowe piosenki były już gotowe, kiedy zdecydowałem się stworzyć odpowiednią okładkę, logo na demo i wyprodukować kasety. Więc podczas gdy wszystkie te rzeczy były w produkcji, pracowałem nad tym, co uważałem za materiał na drugie demo, a może nawet na album. Kiedy demo zostało wydane, jedynym utworem, który nie był jeszcze napisany, był "***The Key to Ancient Riddles***", a "***Bloodied Talons***" i "***Mound of Ashen Skulls***" były już nagrane, a może nawet coś więcej.

Zawartość "Among Ancient Pillars" potwierdza, że musisz wielbić dokonania takich klasyków, jak choćby Manilla Road, Cirith Ungol czy wspomniany Manowar, ale też szwedzkich gigantów, by wymienić choćby Gotham City czy Heavy Load. Czujesz dumę, że Szwecja jest kojarzona nie tylko jako kraj Abby, Europe i Roxette, a z drugiej strony death metalu, ale też miała w latach 80. jedną z najsilniejszych scen tradycyjnego hard 'n' heavy?

Oh, na pewno! Szwedzki underground heavy-

metalowy miał wiele perełek, od tych, o których wspomniałeś tutaj, aż po kompilacje i single wydane przez **Pang Records**, ale też zespoły takie jak **Universe**, **Torch** i **Axewitch**. Chociaż mam wrażenie, że większość szwedzkich zespołów była bardziej pod wpływem NWOBHM niż epickiego power metalu z USA, który głównie wpłynął na mnie podczas pisania materiału **Mace 'N' Chain**. Jednak **Gotham City** i przede wszystkim **Heavy Load** z pewnością odcisnęły na mnie swoje piętno.

Czekasz na powrotny album Heavy Load, liczysz, że 40 lat po poprzednim "Stronger Than Evil" zdołają nas czymś na "Riders Of The Ancient Storm" zaskoczyć, albo przynajmniej nawiązać do dawnych, klasycznych dokonań?
Jestem bardzo podekscytowany! Myślę, że utwór, którego teaser wydali w 2018 roku, "***Walhalla Warriors***", jest niezwykle mocny. A jeśli reszta materiału na nowym albumie będzie do niego zbliżona, to z pewnością te numery będą godnymi następcami ich klasyków! Myślę, że wkrótce się o tym przekonamy.

Ponownie zaprosiłeś do nagrania solówek gości, tym razem aż sześciu gitarzystów, w tym oczywiście Markusa Lindahla z Feral - sam nie czujesz się solistą/wirtuozem, wolałeś więc oddać tę robotę fachowcom, żeby efekt końcowy był jak najlepszy?
Nigdy nie byłem zbyt dobrym gitarzystą prowadzącym, po prostu nie potrafię grać wystarczająco szybko i czysto. Był to również fajny sposób na włączenie do pracy kilku moich przyjaciół, a jednocześnie na to, by ten projekt był wciąż czymś dla mnie. Wszyscy pochodzą z tej samej części Szwecji co ja, więc był to fajny sposób na pokazanie talentów z naszego rodzinnego miasta, tym bardziej, że wszyscy są świetnymi instrumentalistami. Zawsze byłem bardziej zainteresowany komponowaniem i pisaniem niż samym graniem, więc może to być powód, dla którego nigdy nie stałem się solistą. W utworze "***Fountain of Voices***" jest mała, prosta partia zagrana przeze mnie, ale na tym kończą się moje umiejętności.

Sam wybierałeś dla nich utwory, określałeś o jaki efekt ci chodzi, czy też mieli całkowicie wolną rękę, zdałeś się na ich talent, wyczucie i doświadczenie?
Wybrałem utwór, w którym każdy z nich miał zagrać, starając się zapewnić im coś, co moim zdaniem pasowałoby do ich stylu gry. Ale poza tym dałem im wolną rękę w robieniu tego, co uważali za stosowne. Wiem, że są dobrzy w tym co robią i czułem, że mogę im całkowicie zaufać.

W opisie płyty nie widzę jednak perkusisty. Zagrałeś również na bębnach, czy wykorzystałeś automat?
Użyłem automatu perkusyjnego. Grałem trochę na perkusji w szkole, ale to było lata temu i nawet u szczytu moich umiejętności nie byłbym w stanie zagrać na takim poziomie, jakiego chciałem na albumie. Poświęciłem jednak wiele godzin na zaprogramowanie tych partii tak dobrze, jak to tylko możliwe, aby nie brzmiały zbyt sztucznie. Nie wiem, czy ktokolwiek dał się na to nabrać, ale przynajmniej nikt nie narzekał. Są albumy, na których zaprogramowana perkusja brzmi okropnie, a ja nie chciałem by mój należał do jednego z nich.

Jednak od niedawna skład Mace 'N' Chain to już duet, bo zwerbowałeś perkusistę Joey'a Mancaruso z Gravesword. To współpraca nastawiona wyłącznie na to, żeby nowy album zabrzmiał w warstwie rytmicznej jak należy, czy również początek werbowania stałego, koncertowego składu?
Bardzo się cieszę, że **Joey** jest teraz na pokładzie! Nie powiem "nigdy", ale w tej chwili nie ma planów grania na żywo. Czułem, że dodanie prawdziwego perkusisty do składu było ostatnim brakującym elementem, a posiadanie kogoś, z kim można współpracować, zamiast zatrudniać na każdą sesję nagraniową perkusistę sesyjnego, było najlepszym rozwiązaniem. **Joey** i ja bardzo dobrze się dogadujemy i jesteśmy ze sobą w niemal w stałym kontakcie, mimo że mieszkamy na różnych kontynentach. I szczerze mówiąc, gdybyśmy nie zaprzyjaźnili się tak szybko, prawdopodobnie nadal programowałbym perkusję, pomimo, że **Joey** jest fenomenalnym perkusistą, bo chemia jest niezwykle ważna.

Przy coraz rzadszym zatrudnianiu klasycznie pojmowanego producenta to obecnie częsta praktyka, że zespoły konsultują się z różnymi ludźmi, do których mają zaufanie, jak ma wyglądać lista utworów na płycie i ich kolejność, ale mało kto oddaje im honor w podziękowaniach czy opisach - ty nie pominąłeś roli, jaką odegrał Per-Ola Nilsson, bo pomógł ci w odpowiednim zestawieniu tych ośmiu numerów, kiedy już nie miałeś do nich dystansu, bardziej obiektywnie spojrzał na ten materiał?
Per-Ola jest moim starszym bratem, wielkim kolekcjonerem heavy metalu i nerdem. Jego pomoc nie powinna zostać przeoczona. Lista utworów na albumie jest niezwykle ważna, nawet jeśli ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. Był idealną osobą do konsultacji w tej sprawie, ponieważ jest pasjonatem tego tematu, nawet jeśli sam nie jest zaangażowany w żaden zespół. W ramach hobby czasami zmienia kolejność utworów na albumach, które jego zdaniem zyskałyby w ten sposób i częściej niż rzadziej ma rację. W rzeczywistości bardzo trudno jest zrobić to dobrze samemu, ponieważ kiedy skończysz pisać i nagrywać album, masz po prostu dość swoich utworów, a często ostatnia piosenka, którą napisałeś, jest tą, którą lubisz najbardziej. Tak więc posiadanie świeżej pary uszu do słuchania pomaga zapewnić perspektywę, której samemu brakuje.

Kontrakt z No Remorse Records to dla ciebie duża sprawa? Wolisz, żeby produkcją i dystrybucją zajął się ktoś doświadczony, bo już samo ogarnięcie sprzedaży wysyłkowej merchu i płyt zajmuje ci zbyt wiele czasu?
Absolutnie! **No Remorse Records** to obecnie najfajniejsza wytwórnia i tylko w najśmielszych fantazjach wyobrażałam sobie, że będą mną zainteresowani. Byłem więc niesamowicie szczęśliwy, gdy sami się ze mną skontaktowali, a nie na odwrót. Nadal sam zajmuję się sprzedażą merchu i tym podobnymi rzeczami, ale to, że oni zajmują się generalną dystrybucją albumu, jest spełnieniem moich marzeń. Moim zdaniem są jedną z najsilniejszych obecnie wytwórni

Jako miłośnika płyt winylowych pewnie cieszy cię, że "Among Ancient Pillars" ukazała się również w takiej postaci, a do tego jest

jeszcze edycja kasetowa, ze zmienioną okładką, czyli kolekcjonerzy mogą czuć się tu podwójnie usatysfakcjonowani?
Absolutnie, kolekcjonowanie płyt jest jedną z moich pasji i bez tego aspektu prawdopodobnie nawet nie zawracałbym sobie głowy wydawaniem czegokolwiek w formie fizycznej. Zwłaszcza w Szwecji i wielu częściach Europy sprzedaję w zasadzie tylko płyty. Zdaję sobie jednak sprawę, że płyty CD są popularne w innych częściach świata i jako kolekcjoner uważam, że ten aspekt jest bardzo ważny. Ostatnie odrodzenie kaset również jest naprawdę fajne i cieszę się, że mogę je również wydawać.

Ten materiał powstał już jakiś czas temu, a ukazał się na wiosnę, tak więc pewnie pracujesz już nad jego następcą, skoro o koncertach Mace 'N' Chain nie ma, póki co, mowy?
Ciężko pracowałem nad kontynuacją, odbijając z **Joeyem** pomysły w tę i z powrotem. Jesteśmy już całkiem daleko na tej drodze. Z mojej strony około połowy albumu jest już nagrana, a kolejna ćwiartka jest napisana. Muszę więc jeszcze trochę napisać i nagrać, zanim **Joey** będzie mógł nagrać swoje partie perkusji. Tym razem można spodziewać się szerszego wachlarza utworów, ale oczywiście nadal będzie dużo szybkich temp i energii znanej z "**Among Ancient Pillars**".

Jeśli wszystko dobrze pójdzie możemy spodziewać się jego premiery jeszcze w tym roku, czy bardziej prawdopodobny wydaje się następny, bo byłoby to jednak zbyt szybkie tempo?
Jeśli sprawy nadal będą toczyć się w dotychczasowym tempie, to szacuję, że być może uda nam się zakończyć nagrywanie na początku przyszłego roku, ale potem wszystko musi zostać zmiksowane i zmasterowane oraz dopasowane do harmonogramu wydawniczego wytwórni, więc tak naprawdę nie odważę się składać żadnych obietnic ani niczego przewidywać. Mogę tylko powiedzieć, że pracujemy nad tym albumem i być może ukaże się on pod koniec przyszłego roku lub na początku 2025 roku.

Wojciech Chamryk & Szymon Tryk

Sodom

Chcieliśmy żeby nas nienawidzili

Ostatnimi laty Sodom pracuje na dużym luzie, od poprzedniego dużego albumu wydali dwie EP-ki i kompilację. Nie znaczy, że jakoś się obijają, bowiem nie schodzą ze swojego wysokiego artystycznego poziomu. Zresztą jak to określił Tom, wolałby nagrać kilka EP-ek kosztem dużej płyty, bo tak mu łatwiej się pracuje. Niemniej w planach mają też pełny album, piekielnie dobry album. Zresztą o tym wszystkim możecie poczytać poniżej, a pretekstem do rozmowy z Angelripperem była oczywiście najnowsza EP-ka "1982"...

HMP: Zalążkiem EP-ki "1982" w zasadzie był dodatkowy dysk załączony do specjalnej edycji "40 Years at War - The Greatest Hell of Sodom". Czy tamta wersja "1982" z dodatkowego dysku była już po remiksie? Czymś w ogóle różniły się te nagrania, od tych, co znalazły się na EP-ce "1982"?

Tom Angelripper: Ponowne wydanie tego singla na winylu było dla nas bardzo ważne. W tym celu ponownie zmiksowaliśmy utwór i dodaliśmy kawałek "*Equinox*" jako bonus. Wersja "*1982*" z boxu brzmi oczywiście inaczej. Ale myślę, że remiks jest lepszy i mocniejszy.

Foto: Mumpi Kuenster

Sam utwór "1982" to hołd oddany tamtym czasów, gdy zaczynałeś przygodę z profesjonalnym muzykowaniem? Czy raczej to sentyment nie tylko do dawnych czasów, ale przede wszystkim do tamtych pełnych nadziei dzieciaków?

Utwór przypomina dawne czasy. Tekst opowiada o naszych początkach. To była rewolucja. Chcieliśmy żeby nas nienawidzili. Buntowaliśmy się przeciwko naszym nauczycielom, trenerom i mało wyrozumiałym rodzicom. W tamtym czasie chcieliśmy pokazać, że jesteśmy inni i niekompatybilni z systemem. Sama muzyka jest napisana w typowym stylu lat 80. i ucieleśnia ducha starych dobrych czasów.

Na płytce odświeżyliście utwory "Witching Hour" z pierwszego demo Sodom z 1983r., "Victims Of Death" z drugiego demo z 1984r., oraz "Equinox", który znalazł się na pierwszym albumie Sodom "Obsessed By Cruelty" (1986). Wielokrotnie podkreślałeś, że aktualnie jesteście dużo lepszymi muzykami niż na początku kariery, poza tym pracujecie w dużo lepiej wyposażonych studiach i jakość nagrań jest zdecydowanie lepsza. Jednak są fani, którzy uważają, że nie powinno się ingerować w stare nagrania, bo to one oddają prawdziwe wartości i dokumentują dawne czasy. Jakie masz zdanie na ten temat?

To po prostu retrospektywa ostatnich czterech dekad. Kto by pomyślał, że po tak długim czasie wciąż będziemy na scenie? Pierwotnie planowaliśmy album live na naszą rocznicę. Ale nie było możliwe zrobienie odpowiednich koncertów z powodu Covidu. Wpadliśmy więc na pomysł, aby wybrać kawałek z każdego albumu i nagrać go ponownie. Naszej wytwórni również bardzo spodobał się ten pomysł, więc wróciliśmy do starego materiału. Wszystkie utwory nagraliśmy w naszej sali prób. W ostatnich latach urządziliśmy tam małe studio. Nasz perkusista **Toni** jest bardzo obeznany z technologią i nagrał wszystko. Wyprodukował również nasz ostatni album studyjny. Jednak ponowne zmierzenie się ze starym materiałem było bardzo dobrym doświadczeniem i dobrą zabawą. Jeden lub dwa utwory trafią następnie do setlisty koncertowej.

Jak po latach wspominasz okoliczności powstania demówek "Witching Hour" oraz "Victims Of Death"?

To było wszystko tak bardzo nieprofesjonalne. Nasze pierwsze demo, "**Witching Metal**", nagraliśmy w sali prób za pomocą radio-magnetofonu. Nie było nic więcej, ale to po prostu odzwierciedla rzeczywistość, czyli dokładnie tak, jak chcieliśmy, żeby brzmiało.

Dlaczego postawiliście na "Let's Fight In The Darkness Of Hell"? Coś specjalnego jest w tym utworze?

Był to ostatni utwór, który napisaliśmy przed odejściem **Franka Terstegena** z zespołu i pierwszy utwór, który ćwiczyliśmy z nowym gitarzystą **Grave Violatorem**.

Ogólnie mam wrażenie, że od momentu gdy zmieniłeś skład w roku 2018, kiedy powrócił Frank Blackfire i zatrudniłeś młodszych muzyków, a Sodom stał się kwartetem, tak jakbyś nabrał dystansu do kariery, wyluzował, a nawet trochę spoważniał. Nie zapomniałeś, kim jesteś, ale w twoich poczynaniach jest więcej naturalnej mocy, więcej swobody, no i unosi się nad tym nutka nostalgii. Czy to taki twój czas na podsumowania?

Zatrudnienie drugiego gitarzysty było słuszną decyzją pod każdym względem. Oczywiście trio jest zawsze bardziej ikoniczne, ale możliwości muzyczne są bardziej zróżnicowane. Lubiłem też **Motörhead** jako trio z **Eddiem** i **Philem**, podobnie jak cały późniejszy zespół. Ale **Sodom** nie zmienił swojego stylu, wręcz przeciwnie. Po 40 latach coraz bardziej doce-

niamy to, skąd pochodzimy i dokąd zmierzamy.

Z pewnością "40 Years at War - The Greatest Hell of Sodom" był takim podsumowaniem i rozliczeniem z przyszłością. Najbardziej imponującym wydaniem tego tytułu był jednak wypasiony box. Czy jest w tobie jeszcze fan, który kupował i kolekcjonował wydawnictwa swoich ulubionych zespołów? Lubisz gadżety? Jakie nośniki cenisz bardziej, winyle, płyty CD, czy też kasety?
Uwielbiam winyle, ale ich nie kolekcjonuję. Uważam, że interesujące jest, gdy w głośnikach wybrzmiewają niewydane lub koncertowe nagrania. Jest to zalecane dla fanów. Osobiście mógłbym się obejść bez dupereli, które często są dołączane. Muzyka jest najważniejsza...

Bardzo podoba mi się, że ostatnio często wypuszczacie krótsze płyty (EP-ki). Nie dość, że przypomina mi to dawne czasy, to szybko i konkretnie ładują moje akumulatory. Czy spotkałeś się z podobnym traktowaniem waszych EP-ek przez innych dziennikarzy lub fanów?
Naprawdę lubię te EP-ki. Gdyby to ode mnie zależało, wolałbym wydać cztery EP-ki niż album. Wtedy można skoncentrować się tylko na trzech, czterech kawałkach podczas nagrywania i skończyć z trzema lub czterema różnymi okładkami. Ale niestety nie jest to możliwe w ramach kontraktu... Ale pomysł jest genialny.

Poprzedni studyjny album "Genesis XIX" wydaliście w 2020 roku, także wydaje mi się, że czas na kolejny wasz studyjny album. Czy rozpoczęliście pisanie i zbieranie materiału na nowy album? Czego tym razem możemy się po was spodziewać?
Mamy już ukończone cztery utwory. Ale robimy to wszystko bez żadnej zewnętrznej presji. Kiedy album będzie gotowy, porozmawiamy z wytwórnią o jego wydaniu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ukaże się w 2024 roku, jeśli nie, to w 2025r. Ale to będzie piekielnie dobry album, bądźcie czujni...

Czy od powrotu Franka Blackfire i przyjęcia młodych muzyków sposób pisania utworów w jakiś sposób się zmienił? Czy pod tym względem Yorck Segatz i Toni Merkel wnieśli coś nowego?
Nic się nie zmieniło. Wszystko jest wspólnie zaaranżowane w sali prób. Tak było zawsze. Oczywiście każdy ma pomysły, które może nagrać w domu, ale ostatecznie wszystko dopieszczamy razem na sali prob.

Foto: Mumpi Kuenster

Toni Merkel odpowiadał za nagrywanie materiału, miksowanie, a także był współproducentem "1982". Mam wrażenie, że całkiem dobrze mu to wyszło. Zamierzacie wykorzystać jego umiejętności przy okazji nagrywania następnych płyt?
Oczywiście. Dokładnie wie, co jest dla nas ważne, a także ma dobre pomysły, jeśli chcemy wejść na nowy grunt. Będzie również produkował i nagrywał nasze nowe kawałki. **Toni** jest również bardzo utalentowanym kompozytorem i ma już kilka pomysłów na nowe utwory.

"Obsessed By Cruelty" wydaliście w Metal Blade, ale od "Persecution Mania" trzymacie się Steamhammer/SPV. Nie odeszliście od nich nawet gdy mieli pewne problemy biznesowe. Co was tak długo trzyma z tą wytwórnią?
Znamy się bardzo dobrze po tych wszystkich latach i jesteśmy teraz przyjaciółmi. **SPV** i **Sodom** zawsze działali razem. I tak powinno pozostać.

W zasadzie nieprzerwanie koncertujecie, więc jakichś szczególnych kroków nie musicie podejmować, aby przygotować sobie show. W listopadzie nawet zrobiliście sobie wypad do Ameryki Łacińskiej, także życie na walizkach i w ciągłej podróży to dla was codzienność?
Uwielbiam pokazy, ale nienawidzę podróży, lotnisk i hoteli. Niestety nie da się tego uniknąć. Ale nasi fani rekompensują nam te wszystkie trudy.

W przyszłym roku czeka was występna na 70000 Tons Of Metal. Wiem, że ta forma festiwalu, koncertów przyjęła się wśród metalowej braci, ale u mnie ciągle wzbudza pewne rozbawienie. Jakie masz podejście do tego festiwalu?
Uwielbiamy tam grać. To jest wielka impreza z fanami. Ale dla nas to koncert jak każdy inny, tylko w innym środowisku. Prywatnie nie wsiadłbym na taki statek. Niemniej nie wydaje mi się już aktualne.

Jak w ogóle podchodzisz do samych koncertów? Nie łapiesz się na tym, że czasami zachowujesz się za bardzo rutynowo? Próbujesz wpleść jakieś nowinki w swoje zachowanie albo w tekstach, które wygłaszasz do publiczności?
Każdy koncert jest czymś specjalnym. Nigdy nie powinien być rutynowy. Zawsze staramy się, aby każdy koncert był wyjątkowy, zmieniając kilka utworów w setliście. Nasze koncerty nie są dokładnie określone w czasie, więc zawsze jest dużo miejsca na improwizację.

Mam nadzieję, że wkrótce będziemy cieszyć się waszym nowym wydawnictwem (krótkim czy długim, nieważne). Ja wam życzę, aby było ich jak najwięcej i równie udanych co do tej pory...
Dziękuję bardzo. Pozdrawiam i do zobaczenia!

Interviewer: Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

Foto: Mumpi Kuenster

BLIND ILLUSION

Nasza muzyka zawsze była ciężka

Blind Illusion na nowo rozpoczął działalność w roku 2009. Do tej pory nagrali dwa pełne albumy "Demon Master" (2010), "Wrath of the Gods" (2022), EP-kę "2018" (2019) oraz dwie kompilacje ze starymi nagraniami demo. Nowe nagrania nie wzbudzają jakiegoś wielkiego zainteresowania, chociaż lider formacji, kompozytor, gitarzysta i wokalista Marc Biedermann jest zupełnie innego zdania. Niemniej fanów oldschoolowego metalowego grania współczesny los Blind Illusion powinien zainteresować, tym bardziej że ostatni album "Wrath of the Gods" jest całkiem, całkiem. Oczywiście podany jest w dość pokręcony sposób jak to w wypadku Pana Biedermann i spółki jest całkiem normalne.

HMP: Zaczynaliście w roku 1978, czyli mniej więcej w podobnym czasie, gdy eksplodował nurt NWOBHM, co was inspirowało do założenia zespołu i jaką muzykę wtedy graliście?

Marc Biedermann: Ja już wtedy od kilku lat grałem w naszym zespole, gdy nazwa i obsada kilka razy się zmieniała. W moje 15 urodziny w 1978 roku moja mama podarowała mi mojego Gibsona Black Beauty i mniej więcej w tym czasie mój starszy brat nazwał nas **Blind Illusion**. Graliśmy głównie własną muzykę oraz covery takich zespołów jak **Black Sabbath**, **Led Zeppelin** i wczesnych **Scorpions**. Byliśmy zdecydowanie progresywno metalowym zespołem i po tym jak radio **KUSF** puściło nasze demo "**Kamakazi/On Death's Bed**", zaczęliśmy słuchać **KUSF** i od tamtej pory wszystkie rodzaje metalu były w moim uchu.

Foto: www.antha.at

Zanim dotarliście do thrash metalu i wydaliście swój album "The Sane Asylum" (1988) to musieliście przejść pewną drogę muzyczną. Jak przez tę dekadę zmieniała się wasza muzyka? Które zespoły was bardziej inspirowały te z Europy czy też kapele z lokalnych amerykańskich scen?

Nasza muzyka zawsze była ciężka, ale miała łagodne intro i zawierała trochę klasyki jazzowej i bluesa, które do dziś definiują nasze brzmienie, ale kiedy pojawiły się zespoły takie jak **Motörhead**, **Exodus** i **Metallica**, zdałem sobie sprawę, że potrzebujemy więcej metalu niż miałkości, więc około 1983 roku zacząłem pisać cięższe riffy i namawiałem resztę zespołu, aby również takowe pisali. Wszystkie zespoły z Ruthie's miały na nas wpływ, a także grupy, które wydały płyty. Zawsze byłem zdecydowany, jeśli chodzi o kierunek kapeli, ale jednocześnie nigdy nie staraliśmy się uchwycić brzmienia innego zespołu. Na dłuższą metę zdajesz sobie sprawę, że wszyscy gramy te same skale i akordy, więc będą kompozycje, które odzwierciedlają inne utwory lub brzmią bardzo blisko czegoś innego. Kiedy natkniesz się na formację, która naprawdę mnie porusza, wtedy życie jest wspaniałe!

Gdyby wam udało się wydać płytę na początku lat 80. to co byście grali? Klasyczny heavy metal? Amerykański power metal? Pozostalibyście przy tej stylistyce, czy też przeszlibyście taką samą drogę ewolucji, co w czasie "demówkowym"?

Cóż, to zależy od roku, bo myślę, że ścieżka do przebycia zbytnio by się nie różniła. Wiesz, "***Death Noise***" i "***Kamakazi***" pochodzą z późnych lat 70. i te dwa utwory znalazły się na "**The Sane Asylum**". To powiedziawszy, czuję, że za każdym razem, gdy piszemy muzykę, szukamy czegoś nowego, ale nie chcemy też całkowicie oderwać się od tego, co robiliśmy w przeszłości.

W tym roku Cult Metal Classics Records wydało kompilację "The Demos Ultimate Anthology Vol. 2 (1980-1986)". Czy na tym wydawnictwie znajdziemy wszystkie wasze nagrania demo?

To nie wszystkie dema, ale tylko te z przedziału lat 1980-1986. Pozycja obowiązkowa dla wszystkich miłośników metalu.

W ogóle lata 80. to był kipiący kocioł jeśli chodzi o heavy metal, jak z perspektywy czasu wspominacie tamte czasy, koncerty, muzykę, przemysł muzyczny, fanów?

Proponuje obejrzenie filmów "**Murder in the Front Row**" i "**Bay Area Godfathers 2**", ich oglądanie jest fantastyczne, ponieważ te dokumenty przywołują te wszystkie wspomnienia, które są spełnieniem snów. Kiedy idę na koncert w dzisiejszych czasach, czuję się tak samo jak wtedy, ponieważ tak wielu ludzi na widowni jest tam od zawsze, a młodsze zespoły, które się pojawiają i ich zwolennicy sprawiają, że scena się rozwija! Branża zmieniła się drastycznie i to jest ogromny plus!

W czasie wydania "The Sane Asylum" album zdobył uznanie wśród krytyków, fani również przychylnie o nim się wypowiadali. Przyznam się, że wtedy byłem też pod ogromnym wpływem technicznego/progresywnego thrash metalu i wówczas uważałem go za najlepszą formę heavy metalu, to jednak okazało się, że fani mimo pięknych słów o techno-thrashu tak naprawdę woleli prostszy i bezpośredni thrash albo bardziej agresywny thrash czy też death metal. Także ten bardzo ciekawy odłam thrashu nie miał faktycznie wsparcia w fanach. Myślisz, że to była główna przyczyna, że wtedy wiele technicznych/progresywnych thrash metalowych kapel bardzo szybko zniknęła ze sceny?

Cóż, dużo zespołów rozpada się i znika bez względu na typ sceny, to nic nowego. W przypadku **Blind Illusion** zawsze muzycy przychodzili i odchodzili i to głównie ze względu na intensywność muzyki.

Za "The Sane Asylum" odpowiadasz osobiście. Niemniej jakie role w jego powstaniu odegrali Les Claypool i Larry LaLonde. Myślę, że bez nich debiut Blind Illusion brzmiałby zupełnie inaczej...

Les wprowadził bardziej progresywną stronę, a **Larry** tą cięższą. To była świetna obsada z mnóstwem chemii. Perkusista **Mike Miner** potrafił grać i thrash i speed metal, więc pisaliśmy różne dzikie rzeczy.

Niedługo po wydaniu "The Sane Asylum" zespół się rozsypał. Niemniej ty się nie poddałeś i przygotowywałeś kolejny album, który miał nosić tytuł "The Medicine Show". Mało tego wydaniem jego był zainteresowany label CBS. Opowiedz o tamtym czasie, z kim wtedy tworzyłeś zespół? W którym kierunku zmierzała twoja muzyka? Jaki przekaz miała ona nieść? No i dlaczego cała sprawa nie wypaliła?

Skład zespołu był następujący: **Vern McElroy** na basie, **Mark Strausberg** na gitarze i **Wes Anderson** na perkusji. Zespół istniał bardzo krótko, ale wykonaliśmy "***The Medicine Show***" i prawie cały "***Espionage in Hell***", a także kilka klasyków z "**The Sane Asylum**". Kierunek naszej muzyki był zawsze w górę i do przodu. Wszystkie rodzaje metalu. Kiedy **Sony** wykupiło **CBS**, porzucili wszystkie młode zespoły, a nawet te starsze miały trudności ze zrobieniem czegokolwiek. Na całe szczęście technologia poczyniła ogromne postępy w dziedzinie nagrywania, a media społecznościowe złagodziły wiele problemów, z jakimi borykają się zespoły.

W tym czasie Les Claypool założył Primus, wciągnął w zespół także Larry LaLonde. Nie czułeś wtedy zazdrości, że im się udało a tobie nie?
Nie mogłem znaleźć żadnych muzyków na odpowiednim poziomie, którzy chcieliby grać thrash, więc skierowałem ponownie **Blind Illusion** na stare progresywno-metalowe brzmienia z czasów, gdy mieliśmy jeszcze głównego wokalistę. Brzmieliśmy jak **Led Zeppelin**, który lubi sobie zjeść **Red Hot Chili Peppers**, ale z naszym cięższym sznytem! Następnie w 2000 roku założyłem **Ghost Kings**, grający southern hard rock z domieszką bluegrassu i country. Muzyka, do której nawet ruszała się stopa mojej mamy.

Na nowo do życia przywróciłeś Blind Illusion w roku 2009, co było przyczyną, że podjąłeś właśnie taką decyzję?
Mój przyjaciel odpalił "**The Sane Asylum**" i wtedy zrozumiałem, że porzuciłem moich ludzi i moje życie. Od razu się napędziłem i obiecałem sobie, że już nigdy więcej nie opuszczę tej sceny.

Niestety mimo wydania kolejnych płyt, w tym źle przyjętej "Demon Master" (2010), nie udało ci się odzyskać statusu Blind Illusion z okresu wydania debiutu. Jak myślisz dlaczego? Zmieniłeś się jako człowiek i muzyk? Zmienili się fani i spostrzeganie niełatwej muzyki, którą grasz?
Śmiem wątpić w to co mówisz. Wielu ludzi okazuje nam sympatie, na każdym naszym koncercie, tu, jak i w samych Niemczech jesteśmy witani przez przedstawicieli trzech pokoleń! Mówię tu o ludziach w moim wieku i starszych, którzy mają dzieci i wnuki!

Mimo że po reaktywacji nie osiągnąłeś z zespołem jakiegoś spektakularnego sukcesy, to na spokojnie, bez spiny możesz kontynuować karierę. Czy to, co proponują dzisiejsze czasy ułatwia prowadzenie takiej formacji jak Blind Illusion? Lata 80. i początek lat 90. pod tym względem były dużo gorsze?
Media społecznościowe mają to do siebie, że wiadomość rozprzestrzenia się natychmiastowo. Na ten moment jesteśmy nastawieni bardziej biznesowo i nasza strona internetowa oferuje dużo produktów.

Wraz z zespołem trochę koncertujesz, kto chodzi teraz na koncerty Blind Illusion?
Na rynku pojawiło się wielu muzyków, zwłaszcza gitarzystów. Jak powiedziałem wcześniej, na nasze koncerty chodzą trzy pokolenia fanów plus muzycy i ich dziewczyny. Jedna wielka metalowa rodzina.

Na "Wrath Of The Gods" przeważa thrash metal, a raczej twoja muzyka przekazana jest przez pryzmat tego gatunku, ale przez kompozycje z tej płyty przewijają się również elementy znane z hard rocka, heavy metalu, speed metalu, power metalu czy też progresywnego metalu, tak jakbyś chciał przekazać słuchaczom wszystko to, co było dla ciebie ważne i miało na ciebie wpływ w latach młodzieńczych...
Zawsze tak samo. Jednak w dzisiejszych czasach my inspirujemy się sobą nawzajem niż zespołami i muzykami z przeszłości. Mamy unikatowy styl thrashu, który jest melodyjny i ma więcej basu i oczywiście nasz perkusista ma supermoce.

Jak wspominałem, swoją muzykę opierasz na thrash metalu. Najbardziej słyszymy to w kawałku "Straight as the Crowbar Flies", który klimatem mocno nawiązuje do czasów Bay Area. W latach 80., które thrashowe kapele robiły na ciebie największe wrażenie?
Oczywiście **Exodus** i **Metallica**, ale bardzo lubiłem **Death Angel**, **Angelwitch** i oczywiście **Motörhead**. Jeśli chodzi o speed metal, byliśmy progresywnym metalem, ale w miarę jak czuliśmy się coraz bardziej komfortowo, grając nasze trudne utwory, byliśmy w stanie przyśpieszyć tempo. Wtedy speed metal stał się rzeczywistością, ponieważ wszyscy byliśmy podekscytowani, a tempa odzwierciedlały nasz stan fizyczny i psychiczny!

W "Behemoth" mamy za to sporo progresji, czemu nie zdecydowałeś się, aby wszystkie utwory z najnowszego krążka były progresywne, w takim sensie jak przygotowałeś wspomniany utwór?
Dla mnie "***Lucifer's Awakening***" "***Wrath of the Gods***" i "***Spaced***" to również prawdziwy progresywny metal. "***Spaced***" jest bardziej groove' owy, ale w sumie "***Behemoth***" obejmuje wiele obszarów. Odcienie **Iron Maiden**, **King Crimson**, **Queen**, **Sabbath**, a nawet **Chicago** i **Beatlesów**, jeśli o mnie chodzi. **Tom Gears** jest głównym autorem muzyki do "***Behemoth***", ale każdy utwór ma mnóstwo wkładu od wszystkich członków zespołu.

Foto: www.antha.at

Sporo na "Wrath Of The Gods" jest tradycyjnego heavy metalu i chyba najbardziej udana kompozycja w tej konwencji to "No Rest Until Budapest"...
Ta kompozycja miała być takim naszym hymnem do śpiewania. Przechodziła przez trzy lub cztery różne sygnatury czasowe i jest klasykiem, który w przyszłości może stać się najbliższy naszemu brzmieniu z 1978 roku.

Ważnym aspektem twojej twórczości są teksty, co tym razem było motywem przewodnim na "Wrath Of The Gods"?
Cóż, co dziwne, "**Wrath...**" ma teksty, które zapowiadają nadejście pandemii. Rozwiewając wszystkie plotki, przełamując formę, 1000-letnie zaklęcie złamane przez wirusowy chwyt duszenia... To było miesiące przed ogłoszeniem pandemii. Teraz rozpoczął się koniec dżihadu, jesteśmy gniewem bogów. Oznacza to, że moce zła tracą swoje poparcie, koniec panowania diabła. Cały album ma silny aspekt buddyjski. Pod koniec albumu "***Lucifer's Awakening***" jest niesamowite. Widzisz, mój przyjaciel mnich wykładał w Berkeley w Instytucie Religii Świata i powiedział: "*Nawet diabeł ma naturę Buddy*", a w mojej głowie usłyszałem głos wyjaśniający tę teorię! Więc jeśli diabeł spojrzy w siebie i stanie się Buddą, oznacza to, że powróci do swojego pierwotnego stanu bycia, którym był Lucyfer, czyli pięknego anioła, który przyniósł światło, prawda? Nie cytuj mnie, ale myślę, że mam rację. Był ulubieńcem Boga, ale zbuntował się i został wyrzucony z Nieba wraz ze swoimi zwolennikami. Teraz gdy Lucyfer się przebudza, oznacza to, że Armagedon jest zwalczany tylko w umysłach ludzi, a wszystkie te przerażające rzeczy z Księgi Objawienia stają się nieważne. Zależy mi na tym, ale jestem gotów podjąć ryzyko związane z ostrzeżeniem w Księdze Objawień, które mówi, że każdy, kto doda lub odejmie od tego proroctwa, Bóg uczyni mu wszystkie plagi wymienione w nim. Napisałem "***Death Noise***", nigdy nie czytając Biblii, a po tym, jak moja mama przestraszyła się moich przekonań, przeczytałem Księgę Objawień i od razu wiedziałem, że ostrzeżenie nie dotyczy mnie, ponieważ byłem pod wpływem tego, co było wokół mnie, a moje teksty

nie były zaczerpnięte z Księgi Objawień, więc całe założenie Przebudzenia polega na tym, że świat jest uratowany przed przepowiedniami z Biblii. Wciąż dzieje się sporo chaosu, ale przed tym, co wydaje się być końcem, Bóg wzywa Gabriela, aby przystopował, co oznacza, że nie dmucha w róg, który oznacza początek końca, Armageddon.

Za nagranie płyty odpowiadacie sami jako zespół. Czy poszczególne ścieżki nagrywaliście w domowych studiach, czy raczej w profesjonalnych studiach? Pytam się, bo w brzmieniach i produkcji jest coś, co nie do końca mi odpowiada. Czy teraz chcielibyście zmienić coś w miksach albo w masteringu?
Czy to się komuś podoba, czy nie, bez basu to wszystko nie byłoby z wysokiej półki, nie wspominając o wszelkim rodzaju badziewia dodanego we współczesnych produkcjach, a to jest to, czego większość metalowych głów potrzebuje, czegoś innego. Tak, bas jest wyeksponowany. Nie, bęben basowy nie klika jak w wielu współczesnych zespołach. Powinien mieć swoje miejsce w twoich trzewiach, a gitary prowadzące powinny być wyraźne, powinieneś również usłyszeć i zrozumieć niektóre teksty, co rekompensuje moje umiejętności śpiewania! Nie jestem Robertem Plantem czy Ianem Gillanem, ale z drugiej strony je-stem wystarczająco silnym wokalistą. Staram się nie śpiewać zbyt melodyjnie, ładnie lub tak ciężko, aby było to komiczne, chociaż niektóre z naszych tekstów są całkiem zabawne. Wielu słuchaczy dało do zrozumienia, że nasze brzmienie jest bardzo zbliżone do tego, jak brzmią oldschoolowe nagrania analogowe. Nagrania po latach 80. tak bardzo zaangażowały się w forsowanie przekonania, że metal to tylko gitary, że straciły z oczu prawdziwą moc perkusji i basu! Daj sobie kilka lat słuchania i możesz zdać sobie sprawę, że sound jest znacznie bliższy ziemi niż większość nagrań głównych wytwórni, gdzie dodaje się tony puchu. Dla przypomnienia, faceci tacy jak Harold O nie mogli uwierzyć, jak w naszych najnowocześniejszych domowych studiach Pro Tools u Douga i Toma byliśmy w stanie wydobyć wszystkie oldschoolowe dźwięki za pomocą dzisiejszej technologii komputerowej. Gdybyśmy musieli zapłacić stawkę godzinową w komercyjnym studiu, ten album byłby do bani. Przede wszystkim żaden inżynier nie ma tyle cierpliwości, by zrobić to, do czego Doug i Tom są zdolni. Oni są właścicielami tej muzyki i wiedzą czego szukają. Spędziliśmy dużo czasu nad wszystkim, nic nie było robione w pośpiechu i zastosowaliśmy techniki, których nauczyliśmy się od wielkich. Pracowałem ramię w ramię z Sandym Perlmanem i inżynierami Blue Öyster Cult przy płycie "**Imaginos**". Wiele się od nich nauczyłem, nie wspominając o tym, że **Doug** pracował ramię w ramię z **Montrose**, więc czuję, że nie potrzebujemy żadnych drogich, znanych producentów, którzy tłumią twoją kreatywność ze względu na koszty. Oczywiście mamy też na pokładzie **Damiena Rasmussena**. Jest świetnym inżynierem i dzięki jego doświadczeniu w dziedzinie nagrywania, miksowania itp. czuję, że osiągnęliśmy to, co miałem nadzieję usłyszeć.

Porozmawiajmy o twojej grze na gitarze. Jak sam oceniasz swoją grę, jakie są twoje atuty jako gitarzysta, a nad czym powinieneś popracować?
Jestem przede wszystkim kompozytorem. Jednak znam teorię bardzo dogłębnie, gram ze słuchu i wyczucia, ale znam każdą nutę, którą gram i widzę ją w moim umyśle i na progach. Moje gitary są odpowiedzialne za dużą część moich umiejętności, czasami uderzając nuty tam, gdzie spodziewałem się odpoczynku. Bez względu na to, jak szybko i precyzyjnie grasz, ważniejsze jest to, co masz muzycznie do powiedzenia. Według mnie i wielu innych **Doug Piercy** jest jednym z najlepszych gitarzystów na świecie, a ja piszę muzykę dostosowaną do jego kreatywnych umiejętności. Również utwory, które piszę, podkreślają przepływ i kreatywne możliwości niegodziwego wycia, płonącego shreddingu, brzydkich, pięknych, nieśmiertelnych dźwięków!

Wspierają cię dość znani muzycy, perkusista Andy Galeon, który swego czasu był związany z The Organization i Death Angel oraz gitarzysta Doug Piercy, który udzielał się w Anvil Chorus. Jedynie basista Tom Gears wydaje się mało znany. Niemniej dbasz, aby współpracować z muzykami, którzy posiadają dobry warsztat?
Tom jest bardzo dobrze znany ze swojej pracy z wybitnym tribute bandem **Iron Maiden** o nazwie **Ancient Mariner**. W ten sposób **Doug** go znalazł.

Czy ogrywasz muzykę z nimi na próbach? Pracujecie wspólnie nad ostatecznym wizerunkiem kompozycji, czy też wszyscy odgrywają swoje partie ustalone z tobą?
Wszyscy gramy to, czego wymaga Wielki Duch Muzyki. Piszemy głównie indywidualnie, a następnie przynosimy nasze kawałki do studia. Początkowo staram się dostarczać kompletne utwory! Dość często każda kompozycja, którą przynoszę ze sobą, ma zbyt wiele tekstów, zbyt wiele riffów, przebiegów i progresji lub na odwrót, jest ich za mało. **Doug** i **Tom** oddzielają utwory od siebie, a następnie dodają swoje riffy, aby uzupełnić i podkreślić to, co napisałem.

Poprzedni pełny studyjny album wydałeś dwanaście lat temu. Czy na następcę "Wrath Of The Gods" też będziemy czekali tak długo?
Mam nadzieję, że nie. Nasz plan zakłada przerwę świąteczną, a następnie powrót do studia, aby nagrać kontynuację "**Wrath of the Gods**", którą będzie "**Crushing the Universe**"!

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

HMP: Sądząc po "Black as Coal" wasze uwielbienie do Bay Area się nie zmieniło. Dlaczego wy jako Niemcy nie poszliście w ślady swoich ziomków z Kreator, Sodom, Destruction, Protector czy też Assassin itd. i nie gracie teutońskiego thrash metalu?
Klaus "Heiner" Ullrich: Cóż próbujemy grać jak **Vendetta**. (śmiech) Dorastaliśmy z thrashem i metalem z Bay Area, więc nie potrafię wybrać między tymi wszystkimi gatunkami metalu. To jest po prostu metal.

Już dwa pierwsze utwory "Shoot To Kill" i "Stranglehold Of Terror" z nowego albumu "Black As Coal" akcentują wasze muzyczne ukierunkowanie. Pierwszy mocno wskazuje na Annihilator a drugi na Exodus... Ale w "Shoot To Kill" są fragmenty, które mogą kojarzyć się z innymi kumplami z niemieckiej sceny, a mianowicie Risk...
Tak myślisz? Dziękuję. Myślę że ten album jest cięższy i mocniejszy niż pozostałe i jest więcej gitar. Mamy znowu dwóch gitarzystów na albumie, podczas gdy na "**Hate**" i "**Extermination**" był tylko jeden. My się nie rozglądamy dookoła, my po prostu gramy.

Ogólnie bardzo podoba mi się początek płyty jak i jej koniec. Poza tym wspomniane powyżej utwory oraz "Beast In Her Eyes" uważam za najlepsze na płycie...
Dziękuję. Myślę, że nie ma zapchajdziur na albumie, ale każdy ma swoich ulubieńców, również w zespole. Ale, masz rację. Na teledyski wybraliśmy "***Stranglehold of Terror***" i "***Black as Coal***".

Środek albumu też jest całkiem niezły, o czym świadczą kawałki "Time To Change" czy "Death Means Relief". Który dla was utwór jest tym najlepszym na "Black As Coal"?
O kurczę... "***Stranglehold of Terror***", "***Black as Coal***", "***Death Means Relief***", "***No Hands but a Gun***"... Chyba zgadza się to też z twoimi wyborami. (śmiech)

Natomiast w utworze "Cheap Death" wkrada się trochę nudy, głównie w jego końcówce. Jak podchodzicie do samego tworzenia, jak sprawdzacie, czy każda z kompozycji osiąga swoją optymalną wersję? Co decyduje, że akceptujecie daną kompozycję?
Zawsze tworzymy sporo tekstów, kawałków i ich różnych wersji. Zapomniałem wspomnieć o "***Cheap Death***" jako jednej z moich ulubionych kompozycji. W tym utworze spróbowaliśmy wykorzystać jego przystępną długość, większą intensywność całej kawałka i partii wokalnych. Słuchamy wszystkiego na okrągło, również w studiu. "***No Hands but a Gun***" kończy się tekstem po niemiecku, a to z tego powodu, że nagrywaliśmy ten utwór podczas pandemii, a **Mario** nie miał wtedy tej najświeższej wersji, by się przygotować, więc zaczął gadać bez sensu po niemiecku. Zmienił ten kawałek, a nam się to spodobało, więc potem nagrał prawdziwą partię wokalną po niemiecku.

Utwory na "Black As Coal" są dość długie, konkretne, dzieje się w nich sporo i trzeba mieć niezłą wyobraźnię, żeby to wszystko sprytnie poukładać. Czy po latach, jakimś czasie, a może nawet po wydaniu płyty macie odruch, że ten fragment można było lepiej zagrać albo zastąpić go tym, co wcześniej się próbowało? Czy nie męczy was taki swoisty perfekcjonizm, który zmusza do ciągłego do-

VENDETTA

Nigdy nie wiesz, co się wydarzy!

Starzy i nowi fani Vendetty mocno cenią sobie wczesne wydawnictwa zespołu z lat 80., mam na myśli albumy "Go and Live... Stay and Die" (1987) i "Brain Damage" (1988). Bardzo by chcieli, aby współczesne wcielenie kapeli też tak brzmiało. Niemniej zapominają, że to już nie te czasy, zmieniło się spostrzeganie muzyki, a z pierwszego składu pozostał jedynie Klaus Ullrich. Szkoda tylko, że Heiner nie okazał się zbyt rozmowny, ale jak sam stwierdził, jego angielski nie należy do najlepszych...

skonalenia i wprowadzania zmian?
Masz rację, to jest niekończąca się historia. Ale kiedyś musi się skończyć. Po latach się śmiejemy, bo zauważamy, że pewne elementy można było zrobić lepiej w taki czy inny sposób. Na przykład, kiedy gramy utwory z albumu "**Hate**", **Mario** czasami albo wprowadza krzyki, albo melodie, których nie ma na albumie. Nigdy nie wiesz, co się wydarzy!

Płyta trwa blisko godzinę, to nie za dużo dla przeciętnego słuchacza? Nie mieliście problemu z podziałem utworów na strony winyla? Tak mi się wydaje, że winyl to dla was bardzo ważny nośnik?
Niektórzy mówili, że "**Hate**" jest za krótki, a "**Black as Coal**" za długi. (śmiech) Masz jednak rację, to pasuje na longplay lub winyl, ale nie można było umieścić jeszcze jednego kawałka. Winyl jest istotny, bo starsi fani go kupią. Z roku na rok, sprzedaż winylu wzrasta.

Trochę czasu minęło od wydania nowego albumu, więc z pewnością zdarzyło się wam czytać recenzje lub wysłuchać opinii innych. Jak oceniają fani "Black As Coal", a jak krytycy? Jakie najczęściej padają zarzuty, a za co was chwalą?
Recenzje są dobre. Nie wszystkie, oczywiście, ale myślę, że ten album brzmi dobrze dla fanów. Dla niektórych nie brzmi to zbyt oldschoolowo, ale kiedy brzmimy oldschoolowo, to niektórzy piszą, że nie posuwamy się do przodu. Wychwalane są gitary i brzmienie. **Jan**, **Michael** i **Dominik** zrobili kawał świetnej roboty. **Dominik** był z nami od dwóch albumów i jest odpowiedzialny za brzmienie. Ciekawostka, jego wujkiem jest **Thomas Krämer**, nasz dawny perkusista.

Teksty dotyczą kwestii socjalnych, co was ostatnimi czasy mocno wkurzyło jakie problemy społeczno/polityczne zwróciły waszą uwagę?
Teksty są zawsze o życiu, o tym, co się dzieje dookoła i na świecie. Są tematy społeczne, o uchodźcach, wojnie i naszym konsumpcjonizmie.

Od momentu reaktywacji filarem Vendetty jest Mario Vogel. Jakim jest człowiekiem Mario, jak się z nim współpracuje i co sądzicie o jego wokalu? Pytam się, bo znalazłem opinie, w których nie najlepiej oceniają walory wokalne Mario?
Mario to porządny facet z ogromnym poczuciem humoru. To mój przyjaciel, któremu ufam. Zawsze się bardzo dobrze wspólnie bawimy. Na przykład podczas pandemii kiedy byliśmy w studiu, próbujemy partii wokalnych i po paru piwach, pizz i rozmowach zagraliśmy jeszcze raz następnego dnia. **Mario** potrafi śpiewać, ale nie brzmiał wtedy jak **Vendetta**.

Foto: Uwe Kintopf

Wysoki wokal nie miałby sensu, to musi być surowe i agresywne. Pojawiły się porównania do **Jamesa Hetfielda** na albumie "**Hate**". Kiedy na "**Feed The Exterminator**" bardziej krzyczał i growlował, porównano go z **Kreatorem**. No cóż... Praca z nim to była zawsze czysta przyjemność i to zespół decyduje, jak brzmimy. Pracujemy razem od ponad 20 lat!

Mnie bardzo podobają się gitary na "Black As Coal", jeśli chodzi o brzmienia, riffy i solówki. Po prostu Michael Opfermann i Jan Schubert dają radę...
Cieszę się, że nie muszę już grać gitary rytmicznej jak na piątym albumie. Mieliśmy teraz dużo czasu i wykonali naprawdę świetną robotę. Mogłem więc się skupić w całości na basie na "**Black as Coal**". **Jan** i **Michael** pasują do siebie idealnie. **Jan** jest od nas młodszy, ma dobry styl gry, to samo **Dominik**! Wszyscy sprawili się świetnie.

Radę daje również sekcja rytmiczna, jest dość ciekawa i kreatywna, ba nawet pozwalacie, żeby bas mocniej zaistniał. Czy to wynika z tego, jesteś niekwestionowanym liderem kapeli? Jak oceniacie zespoły, które zasłaniają albo w ogóle wycinają bas w czasie produkcji?
Ta silniejsza obecność basu nawet dla mnie jest czasami przytłaczająca. (śmiech) To **Dominik** zdecydował, by tak to zmiksować. I mamy to, co mamy. Nie jestem dyktatorem. Jesteśmy zespołem i razem decydujemy. Chyba większość zespołów tak robi.

Jak myślicie, czy o "Black As Coal" można mówić, że to najlepszy album Vendetty od jej reaktywacji?
Zdecydowanie. Wielu ludzi mówi, że jest to najlepszy album od czasów "**Go and Live...**" i "**Brain Damage**". Dłuższa praca w studiu miała sens, bo wtedy podczas pandemii nie było możliwe zagranie próby z pięcioma osobami w studiu.

Co z promocją "Black As Coal", co z tego co zaplanowaliście, wam wyszło? A jak wygląda kwestia koncertów i trasy, to ciężki temat dla was, czy nie macie z tym problemów?
Oczywiście chcemy grać w 2024, ale najpierw **Mario** musi wrócić do zdrowia. On miał nowotwór i operację z tego powodu, więc nie mogliśmy zbytnio promować naszej muzyki od lipca. Mamy nadzieję, że znów zobaczymy fanów w przyszłym roku i wrócimy na scenę z **Mario** w pełni sił.

Dlaczego Achim "Daxx" Hömerlein i Michael Wehner nie chcieli pracować przy reaktywacji Vendetty? Zapału do grania nie stracili, jakby nie było wspólnie współtworzą zespół Brain Damage. Masz z nimi kontakt? Wiesz, co u nich słychać?
Daxx napisał wszystkie piosenki ze mną i wszystkie teksty z **Mario**. Wciąż z nami współpracuje, ale nie chce grać na żywo. To nie jest nic nowego, on nie grał na żywo też w innych zespołach. **Daxx** jest jednym z najlepszych songwriterów i mieszkamy w tej samej wsi. Znam go od zawsze i właśnie pracujemy nad kompozycjami do nowego albumu. Dzięki za wywiad!

Michał Mazur
Tłumacz: Szymon Paczkowski

SORCERER

Nowi liderzy epickiego doom metalu?

W ostatnich kilkunastu latach byliśmy świadkami reaktywacji niejednego zespołu, którego początki sięgają lat 80., ale który z takich czy innych względów nigdy nie zrobił kariery i popadł w niebyt. Czasami były to powroty udane, jak choćby Angel Witch, ale przeważnie jednak niewarte uwagi, przedstawiające wartość głównie sentymentalną. Szczęśliwie szwedzki Sorcerer należy do tej pierwszej grupy. Od 2015 roku zdążyli wydać cztery świetne albumy, zawierające rasowy epicki doom metal. Co więcej, moim skromnym zdaniem, spośród zespołów aktywnie działających na tej scenie, nie wiem, czy ktokolwiek może się obecnie z Sorcerer równać. Warto więc zapoznać się z ich dyskografią, a tymczasem zapraszam Was do lektury zapisu mojej rozmowy z wokalistą, Andersem Engbergiem, który jest na tę chwilę ostatnim oryginalnym członkiem zespołu.

HMP: Anders, mam nadzieję, że nie będziesz mieć nic przeciwko, jeśli zaczniemy od pytania o początek waszej działalności? Jak zaczęła się muzyczna droga Sorcerer?

Anders Engberg: Cześć, nie ma sprawy. **Sorcerer** założyli w 1988 roku **Johnny Hagel** i **Peter Furulid**. Przyjaźniłem się z **Johnnym** i śpiewałem już we własnym zespole, więc kiedy poprosił mnie, żebym zaśpiewał na ich demówce, to oczywiście się zgodziłem. Płytkę wydaliśmy w 1989 roku i spotkała się ona z naprawdę dobrym przyjęciem w metalowym podziemiu. Udało nam się sprzedać jakieś dwa tysiące kaset, co było niemałym sukcesem. Każdą jedną osobiście przegraliśmy na magnetofonie i wysłaliśmy pocztą tradycyjną. To było szaleństwo (śmiech)! Potem zagraliśmy parę koncertów, po czym zespół zapadł w letarg.

Foto: Marieke Verschuren

Zebraliśmy się znowu w 1992 roku, z nowym perkusistą **Richardem Evensandem**, i nagraliśmy drugie demo. Mieliśmy nadzieję, że zapewni nam ono kontrakt płytowy, a tymczasem skończyło się na lunchu. (śmiech) W rezultacie **Sorcerer** przestał istnieć. Ja miałem swój własny zespół, grający raczej w stylu klasycznego heavy metalu i hard rocka, a **Johnny** dołączył do **Tiamat**. W 1995 roku z **Johnnym** skontaktował się **John Perez** z **Solitude Aeturnus**, który był zainteresowany remasteringiem i wydaniem obu demówek na jednej kompilacji. Tak też się stało. Nie pociągnęliśmy jednak tematu dalej. Ja byłem wówczas zajęty z innymi zespołami (heavy metalowym Lion's Share i progresywnym Beyond Twilight - przyp. red.). Potem, w latach dwutysięcznych, sporo koncertowałem z **Therion**, a także urodzili mi się synowie, dlatego postanowiłem skończyć z jeżdżeniem w trasy, bo chciałem skupić się na spędzaniu czasu z nimi. Nieoczekiwanie w 2010 roku zadzwonił do mnie **Johnny**. Okazało się, że festiwal **Hammer of Doom** jest zainteresowany ugoszczeniem nas na swojej scenie. Odmówiłem mu. (śmiech) Ale ta myśl nie dawała mi spokoju. Znam wielu znakomitych muzyków, więc pomyślałem, czemu by nie skrzyknąć zespołu i nie zagrać tego koncertu. Oddzwoniłem do **Johnny'ego**, zebraliśmy ekipę i wystąpiliśmy na **Hammer of Doom**. To było wspaniałe doświadczenie! Nie spodziewaliśmy się, że ktokolwiek będzie wiedział, kim jesteśmy. Przecież byliśmy podziemnym zespołem, który prawie nigdy nie grał na żywo. Tymczasem wszyscy śpiewali razem z nami! Po powrocie do Szwecji dostaliśmy kolejne zaproszenie, tym razem na festiwal **Up The Hammers** w Atenach. Wystąpiliśmy tam w 2011 roku i ten koncert również okazał się wielkim sukcesem. Pamiętam, że kiedy siedzieliśmy na lotnisku i czekaliśmy na lot powrotny, zaczęliśmy się zastanawiać nad nagraniem albumu. Wtedy **Johnny** powiedział, że ma kilka gotowych kawałków. Tak powstał "**In the Shadow of the Inverted Cross**", który ukazał się w 2015 roku.

Od tamtej pory jesteście wzorem produktywności. Najnowszy album, "Reign of the Reaper", jest waszym czwartym w przeciągu ośmiu lat. Jak udaje się wam utrzymać to tempo?

Wiesz, może sekret tkwi w tym, że nie jeździmy w trasy? W ciągu roku gramy zaledwie dziesięć, może piętnaście koncertów, co pozwala nam się skupiać na pisaniu nowej muzyki. Nigdy nie brakowało nam natchnienia. Zawsze dużo komponowaliśmy, a prace nad kolejnymi albumami szły gładko. W przyszłości chcielibyśmy grać na żywo więcej, ale trochę nie widzę takiej możliwości, bo blokują nas sprawy rodzinne, kredyty, życie zawodowe. Może jednak uda się podnieść liczbę koncertów do dwudziestu? Przy czym wiesz, sytuacja ekonomiczna też nie pomaga. Przemysł muzyczny bardzo ucierpiał w dobie pandemii i nadal nie podniósł się z kryzysu. Ale cóż, chociaż niedawno skończyłem 55 lat, chcę utrzymać **Sorcerer** przy życiu tak długo, jak mi zdrowie na to pozwoli. Jestem już ostatnim oryginalnym członkiem zespołu w składzie, więc na mnie spoczywa ta odpowiedzialność. **Sorcerer** to w końcu moje dziecko. Poza tym naprawdę lubię muzykę, jaką tworzymy.

Wracając jeszcze do kwestii finansowych, to rok temu w listopadzie Uriah Heep miał wystąpić w Polsce w ramach świętowania pięćdziesięciolecia istnienia zespołu. Musieli odwołać trasę z powodu ciągle rosnących kosztów paliwa.

No tak. Odpowiedzialność spoczywa nie tylko na muzykach, ale też organizatorach. My mieliśmy zagrać na świetnym festiwalu w Anglii, ale odwołali go z powodów finansowych. Matematyka musi się zgadzać. Koszty stale rosną, organizator chce, żeby impreza mu się zwróciła, ale przecież jak przesadnie wywinduje ceny biletów, to publiczność się nie stawi. Jest ciężko…

Jak porównałbyś "Reign of the Reaper" do waszych poprzednich albumów?

Wiesz, pisaniu "**In the Shadow of the Inverted Cross**" nie towarzyszył szczególny namysł. Zależało nam tylko, żeby zachować esencję starego **Sorcerer**, ale przenieść ją w XXI wiek. Do tworzenia drugiego albumu, "**The Crowning of the Fire King**", podeszliśmy bardziej świadomie. Produkcja była bardziej klarowna i nowoczesna. Za muzykę odpowiadali nasi nowi gitarzyści, **Peter Hallgreen** i **Kristian Niemann**, ale także **Johnny Hagel**, który wciąż jest honorowym członkiem **Sorcerer**. Współtworzy muzykę, jest zaangażowany w działalność zespołu, ale nie występuje już z nami na żywo. Każdy nasz album przynosi postęp, przynosi zmiany. Nie chcemy stać w miejscu. Nie chcemy być jak **AC/DC** i nagrywać w kółko tej samej płyty. Nasza trójka, "**Lamenting of the Innocent**", była z kolei albumem koncepcyjnym. Wreszcie kiedy zaczynaliśmy pracę nad "**Reign of the Reaper**", założyliśmy sobie, że będzie to album nieco oldschoolowy. Napisaliśmy go z myślą o winylu, ma więc stronę A i B, na każdej są po cztery utwory, całość trwa mniej niż 50 minut. Kompozycje są różnorodne: epickie, szybkie, inspirowane klasycznym heavy metalem. Chcieliśmy stworzyć album dynamiczny, bez żadnej mielizny, bez zbędnego dźwięku. Napisaliśmy aż piętnaście utworów, ale w toku selekcji zostaliśmy przy ośmiu.

Czy nagrywanie "Reign of the Reaper" przebiegało sprawnie?
Tak, pracowaliśmy w studiu z tą samą ekipą, z którą nagraliśmy "**Lamenting of the Innocent**". Mamy już wypracowany system. **Peter** i **Kristian** nagrywają demówki z automatem perkusyjnym i wysyłają je nam przez Internet, a potem ja i nasz producent **Conny Welén** wymyślamy linie melodyczne. Z kolei **Justin** (Biggs, basista - przyp. red.) jest utalentowanym tekściarzem i piątym elementem tej układanki. Ja i **Conny** decydujemy, o czym mniej więcej będzie mówił dany utwór, wymyślamy tytuł i jakieś pojedyncze frazy, układamy do nich melodie, a **Justin** wszystko wykańcza. Dopiero kiedy spotykamy się w studiu, po raz pierwszy zbieramy te elementy w całość. Jedynym zawirowaniem podczas tej sesji było to, że **Richard** odszedł z zespołu po nagraniu "**Reign of the Reaper**". Wkrótce jednak zastąpił go na perkusji **Stefan Norgren**.

Czy masz jakichś faworytów na nowym albumie? Wiesz, utwory, które mają dla ciebie szczególne znaczenie.
Trudno mi wskazać jeden, bo każdy jest wyjątkowy. Zawsze staramy się tworzyć muzykę emocjonalną, teatralną, pełną dramatyzmu. Teksty nigdy nie są oczywiste, pozostawiamy ich interpretację słuchaczom. Dla mnie chyba "***Eternal Sleep***" jest faworytem, bo pozwala mi zaprezentować całe spektrum moich możliwości głosowych.

Swoją drogą mimo wieku nadal brzmisz rewelacyjnie. W czym tkwi twój sekret?
Nie ma żadnego sekretu (śmiech)! Słyszę, że z czasem mój głos się zmienia, obniża się i staje się bardziej chropowaty, co mi się akurat podoba. Nie ćwiczę codziennie skali, choć może powinienem. Widzę natomiast, że z wiekiem coraz lepiej radzę sobie z emocjonalnym aspektem śpiewania. Kiedy byłem młody i grałem w zespołach progresywnych, to po prostu śpiewałem wysoko. Tymczasem doom metal wymaga innego podejścia. W **Sorcerer** mogę skupić się na emocjach, na dramatyzmie.

Przypomniało mi się, że kiedyś Ronnie James Dio, zapytany, dlaczego jego późne albumy solowe są takie powolne, odpowiedział, podobnie do ciebie, że taka muzyka jemu, wokaliście, daje więcej swobody, gdy idzie o emocjonalną interpretację tekstu.
Dokładnie! A wiesz, kiedy śpiewałem w **Lion's Share**, pojechaliśmy na trasę z **Dio**, **Motorhead** i **Manowar**. **Dio** był niepowtarzalnym wokalistą, więc pewnego razu zadałem mu to samo pytanie, które ty zadałeś mi. Odpowiedział, że przed wyjściem na scenę zawsze wypija piwo i bierze jednego bucha (palił marihuanę). Na tym polegał jego sekret (śmiech). Każdy ma więc swoją metodę.

Robert Lowe z Solitude Aeternus ma identyczną rutynę. W każdym razie, wspomniałeś wcześniej o Connym Welénie. Współpracujecie tak ściśle, że chyba jest one jeszcze jednym honorowym członkiem Sorcerer. Opowiesz skąd się znacie?
Tak, nasza współpraca zaczęła się jakieś dwadzieścia lat temu, a znam go nawet dłużej. Mieliśmy okazję pracować razem, kiedy śpiewałem w zespole **Section A**. Szybko zorientowaliśmy się, że tak samo myślimy o muzyce. Co więcej, **Conny** to wokalista, multiinstrumentalista, a do tego świetnie ogarnia wszystko w studiu muzycznym. Jest dla mnie idealnym partnerem. Jego wkład w brzmienie **Sorcerer** jest nie do przecenienia.

Jeśli się nie mylę, Conny ma też swój projekt popowy. Nie to, że Sorcerer brzmi popowo, ale wyróżniają was chwytliwe melodie. Czy są one zatem głównie jego zasługą?
To nasza wspólna zasługa. Śpiewałem w przeróżnych stylistycznie zespołach, a dobra melodia zawsze była dla mnie priorytetem. Nawet pierwszą demówkę **Sorcerer** cechowała pewna chwytliwość. Wiesz, nie ma dobrego utworu bez fajnej melodii. Mamy rewelacyjnych gitarzystów, basistę, perkusistę i… w miarę przyzwoitego wokalistę, ale nasze możliwości techniczne nic nie znaczą, jeśli nie potrafimy ich przekuć w dobry utwór.

Faktem jest, że szwedzka tradycja muzyczna bazuje na dobrej melodii.
Dokładnie.

Jeśli się nie mylę, na "Reign of the Reaper" nie zaprosiliście żadnych gości, ale za to przy okazji "Lamenting of the Innocen"t dołączył do was Johan Längquist z Candlemass. Jak doszło do tej współpracy?
To proste. W moim pierwszym zespole na gitarze grał młodszy brat **Johana**. Dorastaliśmy w tej samej okolicy. Znam go od jakichś czterdziestu lat i jesteśmy przyjaciółmi. Może nie rozmawiamy codziennie, ale jesteśmy blisko. Kiedy zaczynaliśmy z **Sorcerer**, **Johan** był dla mnie wzorem. Już nie był wtedy w **Candlemass**, ale miał swój zespół **Jonah Quizz**. Odbywaliśmy próby w tym samym budynku. Byli od nas pięć lat starsi, więc traktowaliśmy ich jak bogów. A kiedy poznałem **Johana**, okazał się świetnym facetem. Kiedy zaś zaproponowałem, żeby zaśpiewał ze mną w duecie na "**Lamenting of the Innocent**" (konkretnie w utworze "Deliverance" - przyp. red.) zgodził się momentalnie. Wyszło świetnie.

Wspomniałeś wcześniej, że rzadko koncertujecie, ale też planujecie trochę to zmienić. Znasz już jakieś szczegóły?
Tak i nie. Odwiedzaj nasz profil na Facebooku, bo wkrótce nastąpi tam wysyp dat koncertów. Niedługo wrócimy do Niemiec na **Hammer of Doom**. Chyba już po raz czwarty będziemy headlinerem. Potem zagramy w Göteborgu, a następnie… przyjedziemy do Polski, do Goleniowa, razem z naszymi braćmi z **Doomocracy**. Natomiast wiosną czekają nas cztery koncerty z **Blind Guardian** w Danii, Norwegii, Szwecji. Będzie się działo, więc bądź czujny!

Sorcerer i Blind Guardian, czarodzieje i bardowie. Co za pasująca kombinacja (śmiech).
Co racja, to racja (śmiech).

Nikt nie zaprzeczy, że nie ma doom metalu bez Black Sabbath. O ile jednak większość zespołów doomowych bije pokłony przed albumami z Ozzym, to Sorcerer wydaje się być bliski stylistyce Black Sabbath z Tonym Martinem na wokalu. Zgodziłbyś się?
W zupełności! Nasze muzyczne korzenie sięgają lat 70. i 80., a konkretnie muzyki **Black Sabbath**, **Rainbow**, **Pink Floyd**, ale też zespołów późniejszych, w tym również późniejszych wcieleń **Black Sabbath** - z **Ronniem Jamesem Dio** i **Tonym Martinem**. Niedawno wydaliśmy EP-kę "**Reverence**" zawierającą covery **Rainbow**, **Saxon**, **Ozzy'ego** oraz **Black Sabbath** (konkretnie utworu "When Death Calls" z rewalcyjnego "Headless Cross" z Tonym Martinem - przyp. red.), która dobrze pokazuje, skąd czerpiemy inspiracje. Przy czym lubimy bardzo różną muzykę. Dlatego na płytach **Sorcerer** okazjonalnie pojawia się growl i podwójna stopa. Lubimy urozmaicać naszą twórczość, ale jej esencją są emocje i dramatyzm.

Swoją drogą, czy nie koncertowałeś też kiedyś z Tonym Martinem?
Tak, miałem zaszczyt śpiewać w chórkach na jego koncertach.

Na koniec mam jeszcze jedno pytanie o Black Sabbath, a konkretnie… "Forbidden". Jestem ich fanem od zawsze, ale ten album dodałem do swojej kolekcji dopiero parę lat temu. Wcześniej mnie do niego nie ciągnęło, bo wydaje się panować konsensus, że jest to bezapelacyjnie najgorszy album Black Sabbath. I wiesz co? Dałem mu szansę i… spodobał mi się. Jasne, to nie klasyk, ale moim zdaniem jest solidny. W ich dyskografii są moim zdaniem mniej przekonywujące pozycje. A ty jak uważasz?
Uch, powiem ci, że "**Forbidden**" słyszałem raz w życiu (śmiech)! Mam go na winylu w swojej płytotece, ale nigdy nie sięgam po niego. Rozumiem jednak, co mówisz. Może trzeba dać mu kilka szans?

Moim zdaniem warto spróbować. W każdym razie, ten winyl to nie lada okaz! Albumy Black Sabbath z Tonym Martinem są dziś trudne do zdobycia, przez co potrafią kosztować niemałe pieniądze.
Tak, mam je wszystkie na winylu i na kompakcie. Są ozdobą mojej kolekcji!

Zasłużenie… Anders, z mojej strony to wszystko. Chciałbyś coś przekazać swoim polskim fanom?
Tak. Spotkajmy się w Goleniowie. (śmiech) Jesteśmy wam bardzo wdzięczni za wsparcie i pozytywne komentarze w mediach społecznościowych. Bądźcie z nami. Nasz kontrakt z **Metal Blade** przewiduje jeszcze dwa albumy, więc na pewno będzie więcej muzyki **Sorcerer**.

Adam Nowakowski

Uwielbiam sztukę, gdy nie jest oczywista

Nie wiem, jak to skomentować. Słowa przedstawiciela norweskiego zespołu Flight mówią same za siebie: "Nie ma żadnego konkretnego "znaczenia" do "zrozumienia". To sztuka. Jeśli z kimś rezonuje, sam się przekona, co dla niej lub dla niego znaczy". Okoliczności wynurzeń: premiera longplay'a Flight "Echoes of Journeys Past" zaplanowana na dzień 28 lipca 2023 roku.

HMP: Jaki jest właściwie obecny skład zespołu Fight? W zależności od źródła widzę, że albo Jonas Bye, albo Eirik Wojtko Nilsen gra na basie, Ty śpiewasz i grasz na gitarze/basie, Arild Torp na perkusji. Czy mógłbyś to zweryfikować?

Christoffer Brathen: (śmiech) Prawie się zgadza. Namówiliśmy **George'a Costanzę**, żeby zagrał na basie, tak jak **Fenriz** marzył dawno temu.

W skali od zera do dziesięciu, jak bardzo jesteś introwertyczny/ ekstrawertyczny? Czy wykonywanie muzyki czyni Cię bardziej towarzyską osobą?

Jestem introwertyczny na osiem punktów. Potrzebuję przestrzeni, własnego hobby i czasu dla siebie, aby nabrać energii. Jeśli tego nie mam, wszystko idzie w dół. Ale czasami muszę też spotykać się z ludźmi - szok! Tworzenie muzyki nie czyni mnie bardziej towarzyskim. Sprawia, że jestem bardzo zamknięty w sobie, albo inaczej: zawsze taki byłem, a muzyka idealnie nadaje się do wykorzystania tej energii. Nie wierzę, że granie na żywo zmienia moją osobowość. To byłoby dziwne. Może w momencie, gdy jestem na scenie, staję się na swój sposób "towarzyski", ale to dziwny rodzaj towarzyskości. Myślę, że publiczność bardziej socjalizuje się podczas koncertów.

Zadałem poprzednie pytanie, ponieważ nie mogę znaleźć żadnych zdjęć z ostatnich występów ani teledysków Flight.

Byłoby magicznie, gdybyś znalazł ostatnie zdjęcia lub video **Flight**! Nakręciliśmy wiele osobistych wideoklipów, ale nie dla **Flight**. Raz poszedłem skakać na nartach. Było naprawdę wysoko, około sześć do siedmiu metrów na małej, profesjonalnej skoczni. Wszystko wyglądało całkiem nieźle. Wylądowałem stylowo, a kiedy zszedłem do miejsca, w którym zatrzymujesz się, aby zawrócić, po prostu potknąłem się o widok nieba. Moja rodzina wszystko sfilmowała. Najprawdopodobniej uwzględnimy to w następnym teledysku **Flight**.

Foto: Flight

Czy uważasz muzykę za sposób na ucieczkę od fizycznej rzeczywistości?

Uważam muzykę zarówno za ucieczkę, jak i za nową drogę do rzeczywistości. Używam muzyki, aby uciec, zbliżyć się, zrozumieć, namalować nowe emocje, zranić siebie, uratować siebie, zranić innych, wspierać ludzi. Zawsze jest jakaś konkretna muzyka, która może Cię uratować. To jest właśnie wspaniałe w muzyce. Ona nigdy się nie kończy. Tworzy nowy świat, w którym możesz żyć wiecznie po jej usłyszeniu. Zmienia twoją rzeczywistość.

Ile przestrzeni na improwizacje pozostawia wykonywanie utworów Flight?

Jeśli chodzi o te z "**Echoes of Journeys Past**", niezbyt wiele. Zawsze instrumenty pozwalają na lekkie modyfikacje, żeby uczynić całość bardziej interesującą, a wiele elementów płyty powstało za sprawą zabawnych, małych błędów. Jeśli chcesz improwizacji, sprawdź **Lennie Tristano** "**Descent Into the Maelstrom**" (1978). Toż to metal.

Dlaczego przestawiłeś się z Gibsona na Fendera między "Flight" (2015) a "A Leap Through Matter" (2018)? Czy dokonałeś jakiejś drastycznej zmiany w instrumentarium lub w sprzęcie między "A Leap Through Matter" (2018) a "Echoes of Journeys Past" (2023)?

Ponieważ brzmi dobrze i ma sprężynowe ramię vibrato/tremolo, znane również jako "**Wham-Club-Tropicana**", które dodaje gitarom ruch i charakter. Używam go często w określonych miejscach na "**Echoes of Journeys Past**", ale chcieliśmy na albumie zbyt wiele pogłosu, więc nie jest to tak słyszalne w ostatecznym miksie. Niektóre radykalne zmiany to: **Herman** użył swojego starego vintage' owego zestawu perkusyjnego z 1044 roku p.n.e., jest też trochę syntezatorów. Na pierwszych dwóch albumach używaliśmy wzmacniaczy Marshalla. Na tym albumie użyliśmy Vox AC30 i starego combo Fendera, a także małego, podniszczonego Peaveya do niektórych gitar. Zmieniłem głos na dziecioła.

Czy w okresie 2018-2023 napisałeś więcej niż siedem utworów z nowej płyty?

Napisałem znacznie więcej, ale nie dla **Flight**. Z okresu 2012/2013 zachowałem dwa dodatkowe kawałki, ale wydają nam się zbyt generyczne i nudne, więc je odrzuciliśmy. Zależało nam, by materiał na "**Echoes of Journeys Past**" był przede wszystkim unikalny i zagrany z sercem.

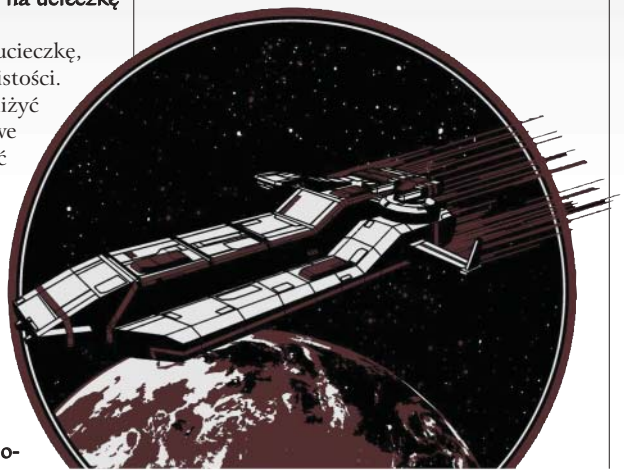

Jak należy rozumieć tytuł "Echoes of Journeys Past"?
Dokładnie tak, jak chcesz. Myślę, że dobrze jest go nie rozumieć. Nie ma żadnego konkretnego "znaczenia" do "zrozumienia". To sztuka. Jeśli z kimś rezonuje, sam się przekona, co dla niej lub dla niego znaczy.

Kim jest kobieta w sukni ślubnej na okładce "Echoes of Journeys Past" i dlaczego nikt jej nie towarzyszy? Czy tylko single mogą przekroczyć portal astralny?
(śmiech) A czy to suknia ślubna? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Dla mnie to biała suknia, która może symbolizować wiele rzeczy. A jak wszyscy wiemy, tylko albumy muzyczne mogą przekroczyć astralny iluminator.

Przy okazji, czy okładka "A Leap Through Matter" została zainspirowana okładką Crimson Glory "Transcendence" (1988)?
Nie, bezpiśrednio okładką **Teena Marie** "**Wild and Peaceful**" (1979).

Co okazało się dla Ciebie największym wyzwaniem podczas prac nad "Echoes of Journeys Past"?
Zajmowanie się pewnego rodzaju muzyką okazuje się zbyt czasochłonne. Największe wyzwanie polegało na tym, że czasem trzeba coś zjeść, przespać się i posprzątać po sobie. Gdybym nie musiał tego robić, byłbym bardziej produktywny i pomocny dla świata.

Co najbardziej podziwiasz w Hypatii?
Nie sądzę, abyśmy wiedzieli, kim była **Hypatia**, tak jak niewielu wie, kim ja naprawdę jestem. Myślę, że stała się zmieniającym się symbolem, a ja również kształtuję ją, gdy tworzę ją w muzyce. Łatwo dostrzec, co można podziwiać w takiej osobie. Ale to, co przykuwa moją uwagę, to jej wrażliwość.

Niektórzy fani po wysłuchaniu "Path to Nowhere (Elysian Fields)" mogą dojść do wniosku, że nie lubisz Paryża. Wygoogolowałem jednak, że Elysian Field to miejsce z mitologii greckiej, gdzie bohaterskie dusze znajdują ostateczny odpoczynek. Jak ważna jest znajomość mitów i mitologii w zrozumieniu Waszych tekstów?
To naprawdę świetna interpretacja, ponieważ z mojego doświadczenia wynika, że w Paryżu

Foto: Flight

spaceruje się godzinami i nigdzie się nie dociera (śmiech). Znajomość podstaw pewnych pojęć z mitologii pomaga wyciągnąć więcej z naszej muzyki, ale używamy również symboli w ich współczesnym znaczeniu kulturowym i nie trzeba być starożytnym Grekiem, aby je zrozumieć. Platon wyciągnąłby z naszego utworu o Polach Elizejskich co tylko by chciał, a bazując na jego pismach o sztuce, nasza muzyka niestety zostałaby uznana za okropną. Mówiąc poważnie, nasz nowy album zaprasza do otwarcia umysłu, bycia pod wpływem nowych sił, dostrzegania nowych rzeczy i uczenia się. Uwielbiam sztukę, gdy nie jest oczywista. Mam za to duży problem z "oczywistą" sztuką, gdyż jest całkowicie bezużyteczna. Dobra sztuka jest szokująca, szalona i dziwna. To, że nie "rozumiesz" czegoś swoim umysłem, nie ma nic wspólnego z artystycznym wpływem na Ciebie.

Podejrzewam, że nigdy nie chciałeś grać w ramach Flight viking metalu?
Pewne motywy na nowej płycie oraz wiele inspirujących do ich tworzenia emocji, posiada silne korzenie wikingowskie. Osobiście jednak, nigdy nie uznam za viking metal muzyki, do której ów gatunek ewoluował. Viking metal jest i na zawsze pozostanie stylem **Quorthona**.

Czy czujesz jakąś szczególną presję związaną z faktem, że trzeci album jest przełomowy dla wielu zespołów?
"**Echoes of Journeys Past**" to prawdopodobnie nasza ostatnia płyta, więc mam nadzieję, że dokonamy przełomu!

Nie jest tajemnicą, że zdobywacie pozytywne recenzje.
Dać naszej muzyce pozytywną recenzję jest równoznaczne z załatwieniem się na grobach prawdziwych artystów. My nie sprzedajemy gówna, co sprawia problem ludziom wkładającym pieniądze w nasze sesje nagraniowe. Jeśli zawartość "**Echoes of Journeys Past**" sprzeda egzemplarze wyprodukowane przez **Dying Victims Productions**, nie możemy prosić o więcej.

Czy spotkałeś się z przejawami dyskryminacji w przemyśle muzycznym ze względu na wiek? Nie.

Twoje miasto, Oslo, słynie z Pokojowej Nagrody Nobla. Dyrektor Instytutu Badań nad Pokojem, Henrik Urdal, powiedział, że tegoroczna lista osób branych pod uwagę do Pokojowej Nagrody Nobla "odzwierciedla skupienie się na obrońcach i aktywistach praw człowieka" (źródło: prio.org, czyli Peace Research Institute Oslo - przyp. red.). Którzy muzycy hard'n'heavy, Twoim zdaniem, zasługują na Pokojową Nagrodę Nobla?
Nie znam ludzi branych pod uwagę i nie przychodzą mi na myśl żadni konkretni muzycy metalowi, którzy się na tym polu wyróżniają, więc nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Odnoszę wrażenie, że większość ludzi chce pokoju, a niektórzy przywódcy oraz kapitaliści chcą śmierci. Ludzie, którzy powinni otrzymać pokojową nagrodę to ci, którzy umierają próbując zabić masowych morderców. Życzę miłego!

Sam O'Black

Foto: Flight

WITHERING SCORN

Nie jesteśmy żadną supergrupą

Ale jak Withering Scorn za takową nie uznawać, skoro w jej skład wchodzą goście znani m.in. z Megadeth, Eidolon, Fates Warning, King Diamond, Testament, Gus G., Queensryche, Metalium, Brainstorm, Firewind i Gamma Ray? Nawet, jeśli przyjmiemy, że Withering Scorn jest całkiem nową formacją, to i tak przyciąga uwagę głównie ze względu na nazwiska. Na pytania odpowiada perkusista Shawn Drover.

HMP: Niedawno potwierdziłeś, że "Act of Defiance rozpadł się po przerwie spowodowanej dołączeniem Chrisa Brodericka do In Flames". Dlaczego Wasze drogi z pozostałymi muzykami Act of Defiance, czyli z Matthew Bachandem i Henrym Derekiem, nie skrzyżowały się w Withering Scorn?
Shawn Drover: Cóż, mój brat **Glen**, który jest właścicielem studia nagraniowego w Kanadzie, w pewnym momencie zaczął ze mną rozmawiać o możliwości nagrania nowej płyty z innym składem w ramach zupełnie nowego zespołu. Zrobiliśmy tak, przy czym **Henry** zaśpiewał gościnnie na płycie. Super, że to zrobił, ponieważ jest świetnym wokalistą, a także wspaniałą osobą.

Co konkretnie JoeDiBiase i Henning Base wnieśli do Withering Scorn, czego nie wnieśli Matthew Bachand i Henry Derek?
Oni są po prostu innymi ludźmi. Każdy muzyk wnosi coś innego do każdej sytuacji w zespole. **Glen** i ja chcieliśmy stworzyć zupełnie nowy projekt zamiast łączyć siły **Matta**, **Henry'ego** i moje.

Wielu metalowców uzna Withering Scorn za supergrupę składającą się z herosów, którzy grali w kilku wielkich zespołach. Jak to wygląda z Waszej perspektywy? Czy połączyliście siły organicznie w oparciu o czysty potencjał twórczy i wspólną wizję muzyczną?
To wyłącznie opinia ludzi w Internecie, która nie ma dla mnie większego znaczenia. Nie starałem się na siłę robić supergrupy. Po prostu zawsze tworzę muzykę, którą lubię z muzykami, którzy chcą robić to samo, co ja. Nie ma to nic wspólnego z żadną supergrupą, jak sugerujesz.

Jak opisałbyś naturę zespołu Withering Scorn?
Jesteśmy heavy metalową kapelą tworzącą nowe heavy metalowe utwory i to tak naprawdę wszystko.

W Withering Scorn jesteście bardziej zorientowani na etykę pracy i jakość dźwięków czy na rock'n'rollowe bądź metalowe szaleństwo?
Zawsze chodzi o jakość muzyki i o właściwą etykę pracy. Robię to już od prawie trzydziestu lat, ale moja muzyczna wizja się nie zmieniła. Chodzi o tworzenie najlepszych heavy metalowych utworów, jakie w danym momencie mogę stworzyć.

Foto: Todd Dean

Aczkolwiek pracowaliście nad "Prophets of Demise" aż trzy lata z powodu innych, być może ważniejszych, muzycznych zobowiązań.
Zaczęliśmy pracować nad tą płytą w 2020 roku. Wszyscy mamy rodziny i inne rzeczy do zrobienia, więc nie spieszyliśmy się, a chcieliśmy upewnić się, że utwory brzmią odpowiednio. Działaliśmy w różnych studiach na całym świecie, więc zajęło nam to trochę czasu, ale jesteśmy bardzo zadowoleni z rezultatu.

"Prophets of Demise" brzmi bardziej groove'owo i bardziej doom'owo niż większość albumów heavy metalowych. W jakim stopniu jest to dla Was nowy obszar do eksploracji?
Nie sądzę, żeby to było coś nowego. Lubię różne rodzaje muzyki heavy metalowej, więc czasami niektóre utwory wychodzą szybsze, a inne wolniejsze.

Czy Waszym zdaniem większość muzyki na "Prophets of Demise" jest przeznaczona do grania tylko na jednej gitarze? Który utwór brzmiałby najlepiej, gdyby został zaaranżowany w harmonii na dwie gitary?
Myślę, że naszą płytę można zagrać na żywo zarówno na jednej, jak i na dwóch gitarach, ale w studiu wszystko zrobił Glen, więc nie zaistniała potrzeba zatrudniania kolejnego gitarzysty.

Co to za ruiny, które ukazujecie w teledysku "Dethroned"?
Ruiny, o których wspomniałeś w teledysku, to tylko różne lokalizacje, które nasz reżyser umieścił w teledysku. Nie jestem pewien, z których miejsc pochodzą.

Zgodziłbyś się, że powszechna odmowa posłuszeństwa fałszywym prorokom i władzom wystarczyłaby, aby uchronić ludzkość przed zagładą?
Zdecydowanie tak.

Oglądałem ostatnio Twoją rozmowę z bardzo cenionym przeze mnie dziennikarzem Robertem Cavuoto i zauważyłem, że siedzisz na podłodze, mimo że za Twoimi plecami stała porządna, pusta kanapa. Często siadasz na podłodze? Pomaga Ci to wzmacniać kręgosłup i w konsekwencji lepiej znosić wymagający harmonogram koncertowy?
Siedziałem na podłodze tylko dlatego, że w tej pozycji wyglądałem lepiej.

Wasz longplay trwa czterdzieści minut. Gdyby przyszło Wam zagrać dłuższy koncert, co jeszcze znalazłoby się w Waszej setliście? Sięgnęlibyście po jakieś utwory z poprzednich zespołów, zaprezentowalibyście niezarejestrowane pomysły Withering Scorn, skowerowalibyście coś innego, a może byście improwizowali?
Prawdopodobnie wykonalibyśmy kilka coverów innych zespołów, które uwielbiamy.

Jak skomentowałbyś niedawny incydent na koncercie Megadeth - kilku huliganów uznających samych siebie za ochroniarzy pobiło fana uniemożliwiając mu wskoczenie na scenę?
Nic o tym nie wiem. Nie śledzę mojego poprzedniego zespołu.

Pracujecie już nad drugim albumem Withering Scorn?
Właściwie to tak. Glen i ja pracujemy już nad nowymi utworami. Brzmią one bardzo ciężko.

Sam O'Black

EXCLUSIVE DISCOUNT FOR READERS OF

HMP
HEAVY METAL PAGES

Use code 'HMPROCKS'
at checkout for 25% off!

Offer applies to ALL products & is valid until January 31, 2024

PITCH BLACK RECORDS

www.pitchblackrecords.com

Tanith

Muzycznie mamy nasze serca na wierzchu

Tanith ma na koncie dwa pełne albumy i wyrobioną markę. Aktualnie rzadko kiedy zdarza się, że tak szybko jakiś zespół przebija się na oficjalną scenę. Z pewnością pomogło w tym brzmienie kapeli, które jest dość archaiczne i nawiązuje do starych czasów, za to charakteryzuje go duża przystępność. A jak wiadomo scena vintage i retro rockowa, a tym samym protometalowa jest dość spora, wiec formację może czekać niezła kariera. Nie mam nic przeciwko, a wręcz czekam na więcej. A że udało się zaprosić Cindy Maynard na krótką rozmowę tym bardziej zapraszam was do zapoznania się z nowym albumem Tanith "Voyage" oraz do przeczytania tego, co Cindy miała do powiedzenia na jego temat.

HMP: Obie wasze płyty, najnowsza "Voyage" (2023) i ta wcześniejsza "In Another Time" (2019) otrzymują dobre recenzje i to u krytyków, jak i fanów. Co jest w waszym protometalu, że tak ludziom się podoba?

Cindy Maynard: Kawałki są chwytliwe, oryginalne i dobrze zrobione. Myślę, że ludzie, którzy lubią naszą muzykę, czują coś nostalgicznego i ciepłego, kiedy go słuchają i to czyni ich szczęśliwymi. Nasze wpływy są wyraźne, ale wciąż brzmimy jak my.

Mnie najbardziej rzuca się w uszy optymizm i ciepło waszej muzyki...

Tak, zdecydowanie obieramy ten kierunek w naszych tekstach i muzycznym kolorycie.

Oddani jesteście muzyce archaicznej, ogólnie starej szkole metalu i hard rocka. W czytanych przeze mnie recenzjach pada bardzo wiele nazw m.in. Thin Lizzy, Black Sabbath, The Who, Rainbow, Uriah Heep, Blue Oyster Cult, Iron Maiden, Angel Witch. Czy te porównania według was są trafne, które ze starych kapel miały na was największy wpływ? Które stare płyty i zespoły słuchacie najchętniej?

Tak, kochamy wszystkie te zespoły i z niektórych czerpiemy więcej niż z innych. Osobiście słucham wszystkich tych zespołów. Naprawdę uwielbiam wczesne dokonania **Uriah Heep**, ale też **Ozzy'ego**, oczywiście **Rush**, **Wishbone Ash** itd... Muzycznie mamy nasze serca na wierzchu. Nie trzeba kopać zbyt głęboko, by wiedzieć, skąd pochodzimy.

Rozpoczynający nową płytę "Snow Tiger" zdradza, że na waszą muzykę mają też wpływ inspiracje folkowe. Niektórzy wręcz porównują je z wczesnym Jethro Tull, ja jednak stawiałbym pod tym względem na Thin Lizzy...

Czy to dlatego, że jest tam gitara akustyczna?

Foto: Ryan Weibust

"***Snow Tiger***" to całkiem metalowy kawałek! Bardziej w stylu **Thin Lizzy**; w jakiś sposób przypomina mi ich piosenkę "***Emerald***".

Dlaczego wybraliście "Snow Tiger" na pierwszy singiel promujący "Voyage"?

Uznaliśmy, że to dobre otwarcie. Wchodzi mocno, jest świetnym utworem i pokazuje, że nie wygłupiamy się z tym albumem. Chcieliśmy przyciągnąć uwagę ludzi, zwłaszcza po tym, jak nie wydaliśmy nic przez cztery lata.

Natomiast "Falling Wizard" konkretnie stawia na mocny hardrockowy akcent...

Tak, to jest bardzo hardrockowe. Ten kawałek jest bardzo fajny.

Z kolei "Adrasteia" można kojarzyć się z brytyjskim Satan i nurtem NWOBHM, czyżby Russ Tippins trochę się zagalopował, albo podkradł ten kawałek kolegom?

Zabawne, bo nigdy bym nie pomyślał, że to brzmi jak **Satan**. Ale lubię ten zespół, więc spoko. To była jedna z pierwszych kompozycji, nad którą pracowaliśmy z **Russem**. Teraz próbuję sobie wyobrazić **Briana Rossa** śpiewającego tę piosenkę... Zawsze myśleliśmy o niej jako o czymś w rodzaju samby w kosmosie. (śmiech)

Wyróżnia się również "Seven Moons (Galantia Pt. 2)" swoją progresją, majestatem oraz epickością. Część krytyków zestawia ten utwór z Rush z okresu "Farewell to Kings", mnie za to kojarzy się z wczesnymi dokonaniami Wishbone Ash...

Zgodzę się z **Rush**, ale nie do końca z **Wishbone Ash**. Uwielbiamy "**Farewell to Kings**", to jest naprawdę świetny album.

Za to "Flame" jest bardzo prosty w porównaniu do innych kompozycji z "Voyage". Chcieliście przypomnieć wszystkim, że w prostocie też drzemie siła porównywalna do hard rocka i heavy metalu?

Jasne. Myślę, że chcieliśmy napisać coś znaczącego, żeby było to coś w rodzaju hymnu dla tych czasów.

Jak do tej pory w wywiadzie pojawiało się sporo różnych nazw starych kapel, jednak nie sądzę, żebyście siadając do pisania muzyki, zakładali, że ten kawałek będzie brzmiał jak Thin Lizzy , a kolejny jak Satan. Po prostu siadacie i korzystacie z tego, co jest waszych duszach i sercach, doprawiacie to swoim talentem oraz umiejętnościami i powstaje muzyka Tanith, a nie jakichś innych kapel...

Tak, piszemy to, co do nas przychodzi, co brzmi dobrze i brzmi jak kawałek **Tanith**. Możemy więc być kreatywni z liniami melodycznymi itp. Czasami potrzeba prób i błędów, aby znaleźć właściwą rzecz. Kluczem jest upewnienie się, że to się uda.

Co możesz powiedzieć o tekstach, czy korespondują one z waszą muzyką?

Teksty są oparte na postaciach i często refleksyjne. Wiele utworów opowiada o czyimś życiu wewnętrznym, więc nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydają się być tekstami fantasy, w większości są zakorzenione w prawdziwym życiu.

Wyróżnikiem Tanith jest damsko-męski dwugłos i świetne harmonie wokalne. Czy ten element wykorzystaliście świadomie, czy też dochodziliście do niego metodą prób i błędów?

Odkąd zaczęliśmy grać razem muzykę, **Russ** i ja śpiewaliśmy harmonie. **Tanith** jest tego przedłużeniem i rozwinięciem. Zawsze zamierzaliśmy być zespołem, w którym na zmianę śpiewamy i wykonujemy razem harmonie.

Niesamowita jest praca gitar. Myślę, że inni gitarzyści, słuchając gry Russa Tippinsa na "Voyage" nie będą w stanie nic powiedzieć, jedynie będą się ślinić...

Super, myślę, że się ucieszy!

Nie mogę pominąć sekcji rytmicznej. Jej

kreatywność można porównać do najlepszych momentów Iron Maiden czy też Rush. Wspomnę jeszcze, że wielu krytyków pochody basowe porównuje nie tylko do Steve'a Harrisa, ale także do Geezera Butlera...
(śmiech) Dzięki! Kocham **Steve'a Harrisa**. Uwielbiam też **Geezera Butlera**, ale szczerze mówiąc, prawdopodobnie nie myślałam o nim podczas tworzenia linii. Raczej **Gary Thain**, **Joe Bouchard** czy nawet **Bob Daisley**.

Brzmienie Tanith jest dość archaiczne i nawiązuje do starych czasów, za to charakteryzuje go przystępność. Niektórzy wręcz wspominają o jego bajkowości. Czy takie brzmienie trudno jest osiągnąć we współczesnych studiach i przy pomocy współczesnej techniki nagraniowej?
Jak zapewne wiesz, nie korzystamy z nowoczesnych technologii, ponieważ oba albumy zostały nagrane analogowo na taśmę, a następnie zmiksowane i zmasterowane. Nie wiem, czy brzmiałyby tak samo, gdybyśmy nagrali je w całości cyfrowo.

Czy wiecie co oznacza skrót NWOTHM? Czy uważacie się za część tego nurtu?
Jasne, że wiemy, co to oznacza. Myślę, że tak, chociaż **Russ** jest również częścią ruchu NWOBHM. On rozciąga się w czasie. (śmiech)

Wkrótce ruszacie w trasę, jesteście podekscytowani, czy to już dla was rutyna?
Nie jest to rutyna, ale robiliśmy to już wcześniej. W rzeczywistości właśnie wylądowaliśmy w Dublinie w drodze do Newcastle na naszą jesienną trasę koncertową **Voyage** i jesteśmy bardzo podekscytowani możliwością ponownego grania, tym razem z **Dino Destroyerem** z zespołu **Natur**, który dołączy do nas na gitarze.

W zasadzie Tanith to projekt. Podejrzewam, że z tego powodu tak długo czekaliśmy na następcę "In Another Time". Czy jest szansa, aby Tanith stał się bardziej regularnym zespołem, a tym samym, nagrywał albumy częściej niż cztery lata?
Nie, jesteśmy zespołem z krwi i kości! Pandemia nas spowolniła tak jak większość zespołów. Ale to nie jest tylko jakiś projekt, zamierzamy zrobić więcej i więcej ukaże się wkrótce.

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

Girlschool

Oto kim jesteśmy! Po co coś tu zmieniać?

Wywiad z Girlschool jest taki jak ich twórczość. Prosto, krótko i na temat... lub trochę obok tematu, jeżeli dziewczyny nie mają ochoty się nad czymś zbyt zastanawiać. A myślę, że miałyby o czym opowiadać i to dużo i ciekawie, jako świadkowie niezwykłych wydarzeń na scenie muzycznej, której były częścią. Starałem się je paroma pytania trochę sprowokować do dłuższych wywodów, ale nie udało mi się. Przesłanie jest jedno - Panie nagrały całkiem fajna płytę i cały czas są sobą - Girlschool. I tyle wystarczy i nie licz na nic więcej, bo tak jak śpiewają w singlu promującym płytę: It is what it is, so what ya' gonna do about it?

HMP: "WTFortyfive?"... tytuł nowego albumu sugeruje, że jesteście bardzo zaskoczone szalonym upływem czasu. Czy w Waszych wczesnych latach kiedykolwiek myślałyście to tym, że dotrzecie do tego punktu w Waszej karierze?
Girlschool: Nie, nawet przez myśl nam to nie przeszło... (śmiech). Wszystkie poszłyśmy tą samą ścieżką, ponieważ chciałyśmy być w zespole rock'n'rollowym. Chciałyśmy nie pasować, być innymi i zbuntować się. Ale tak naprawdę nie spodziewaliśmy się, że to będzie trwało tak długo.

Jak czujecie się jako najdłużej i nieprzerwanie istniejący zespół rockowy z samymi kobietami w składzie? Jesteście dumne ze swojego osiągnięcia, czy też trochę smutne, że nie macie żadnej większej konkurencji?
Oczywiście, że jesteśmy dumne z tego co osiągnęłyśmy, tym kim jesteśmy i co sobą reprezentujemy. Dawniej przykładano dużą wagę do łatki "dziewczęcego zespołu". Nienawidziłyśmy tego, jak ciągle nas pytano "*jak to jest grać z samymi dziewczynami w składzie?*". Jakby tylko to miało znaczenie... Całe szczęście nikt już nas o to nie pyta.

Patrząc na nieprzerwanie istniejące zespoły, to co jest dla nich charakterystyczne to jeden, niekwestionowany lider. To nie musi być koniecznie frontman ale musi to być osoba, która niezależnie od okoliczności motywuje cały zespół do działania. Powoduje, że rzeczy się dzieją i nadaje wszystkiemu odpowiedni tor. Czy tak też jest w Waszym przypadku? Kto jest u Was liderką? A może wbrew tej zasadzie wszystkim zarządzacie kolektywnie?
Wszystkie dorzucamy coś od siebie i wspólnie wymieniamy się swoimi pomysłami. Nie mamy ustalonej, jednej liderki.

Przy okazji, słowa uznania za bardzo fajny album. Po tylu albumach wciąż macie pomysły na takie rock&rollowe hymny jak "Party; It Is What It Is czy Are You Ready"...
Dziękujemy. **Kim** i **Jax** napisały większość piosenek. One zawsze mają pełno pomysłów i tworzą nowy materiał na długo przed nagraniem płyty. Czerpią inspiracje z najróżniejszych źródeł.

Wszystko od okładki, przez teksty do muzyki, wyraźnie nawiązuje do Waszego dziedzictwa. Czy doszłyście do wniosku, że nie ma sensu kombinować i proste, wypróbowane sposoby są najlepsze?
Oto kim jesteśmy - **Girlschool**! Po co coś tu zmieniać?

To w takim razie jak oceniacie Was poprzedni album "Guilty as Sin" w porównaniu z nowym?
Ogólnie myślę, że "**WTFortyfive?**" jest cięższe i bardziej wredne... (śmiech)

To, co łączy "WTFortyfive?" z poprzednim albumem, to produkcja. Trochę zbyt czysta i

Foto: Adam_Kennedy

cyfrowa jak na mój gust. Czy nie kusiło Was, żeby brzmieć bardziej brudno i surowo?
Nagraliśmy ten album w studiu **Tima Hamilla** w Walii - **Sonic One Studio**. Uwielbiamy pracować z **Timem**, ponieważ wie dokładnie jak wydobyć z nas to, co najlepsze i podoba mu się nasz styl.

Utworem wyróżniającym się na tle innych jest "Cold Dark Heart". Mroczny, gotycki z fajnym refrenem, ale już gitary to zupełnie nie moja bajka. Dlaczego wybrałyście do promowania albumu piosenkę, która w najmniejszym stopniu przedstawia waszą aktualną muzykę?
To piosenka, z której jesteśmy naprawdę dumne. Jest o wiele cięższa niż większość pozostałych. Jesteśmy naprawdę dumne z tego utworu i uważamy, że to świetna piosenka zarówno dla starych, jak i nowych fanów, aby mogli poczuć przedsmak tego, co potrafi **Girlschool**.

O ile rozumiem, utwór "Invisible Killer" opowiada o Covid-19. Wszyscy wiemy, że pandemia mocno uderzyła w przemysł muzyczny. Ale chciałbym zapytać o coś innego. Czy nie uważacie, że dzisiejsze czasy są tak dynamiczne i zmieniają się tak szybko, że pewne tematy stają się nieaktualne? Wydaje się, że pandemia była wieki temu a teraz mamy już inne kłopoty. Piosenka opowiadająca o czymś, co zakończyło się niecałe 2 lata temu, a już jest mało aktualna.
Rzeczywiście tę piosenkę nagrałyśmy bliżej tamtego czasu. Jednak nie zgadzam się z tym, że pandemia już dawno minęła, ponieważ konsekwencje jakie wywołała, wszystkie wybory dokonane przez tych tak zwanych polityków, niosą za sobą wiele ludzkich blizn i będą je jeszcze nosić przez długi czas.

Chciałbym zatrzymać się na chwilę przy kawałku "Party". Poza tym, że jest to świetna imprezowa piosenka, to opowiada ona również o Waszych inspiracjach. Mamy więc z jednej strony Ramones, T-Rex i Davida Bowiego, z drugiej Queen, Motorhead i Rainbow. Mimo tego, że byłyście przypisane do sceny metalowej, to ciężko Was tak jednoznacznie określić. Czy na początku Waszej kariery Wasza publiczność była zróżnicowana czy zawsze byłyście wyłącznie kojarzone z metalem?
Byłyśmy nowym zespołem w epoce punka i media oraz fani nie mogli się zdecydować, czy jesteśmy zespołem punkowym, czy też rockowo-metalowym. Pewien dziennikarz z Wielkiej Brytanii stworzył wtedy sformułowanie NWOBHM i nas też w nim umieścił, a my się na to zgodziłyśmy. (śmiech)

Czy nadal lubicie imprezować? Przez te lata na pewno przeżyłyście mnóstwo epickich imprez. Z jakimi zespołami miałyście najlepszy ubaw?
Oh, jest ich trochę (śmiech)... Cóż, na myśli przychodzi mi oczywiście Motorhead... ale co wydarzyło się w trasie, zostaje w trasie.

Czas płynie nieubłaganie i niestety wielu muzyków już nie ma wśród nas. Nie będę pytał za kim tęsknicie, więc zapytam w inny sposób. Jeżeli miałybyście zorganizować wielką imprezę i zaprosić zarówno żyjących jak i nieżyjących, to kto byłby Waszymi gośćmi?
Jedną z najbardziej niesamowitych osób, z którymi mieliśmy szczęście spędzać czas, była **Kelly** (Kelly Johnson, zmarła w 2007 roku gitarzystka Girlschool - przyp. red.) - niezwykle utalentowana, piękna i autentyczna istota ludzka. Wszyscy za nią bardzo, bardzo za nią tęsknimy. Przyjęcie byłoby na jej cześć... no i oczywiście **Lemmy'ego**.

Mówiąc o sprawach towarzyskich, to udało się Wam zebrać całkiem niezłą bandę, żeby nagrać Born to Raise Hell. Z Saxon and Motorhead, znacie się od zawsze ale kiedy poznałyście Duff'a McKagan'a? Jak przebiegała sesja nagraniowa tego kawałka?
Chciałyśmy nagrać piosenkę **Motorhead**, jako swego rodzaju hołd dla **Lemmy'ego** i zdecydowaliśmy, że "***Born to Raise Hell***" będzie do tego idealne. Zapytałyśmy więc **Biff'a** (Saxon) i sensowne było zapytać **Phila Campbella**, ponieważ grał to w oryginale. Chciałyśmy mieć także zabójcze linie basu, więc **Kim** wpadła na pomysł, aby zapytać **Duff'a**. No i zapytała go, wszyscy znamy się z dawnych czasów. Byłyśmy naprawdę szczęśliwe, że się zgodził. Jeśli chodzi o nagrania, wszyscy nagrali swoje części osobno i wymienili się plikami, a następnie dokończyliśmy prace w studio z **Timem**.

Oglądając nagrania z Waszych tegorocznych koncertów widzę, że jesteście w świetnej formie. Okazuje się, że rock and roll jest najlepszy środek odmładzający. Jakie macie plany koncertowe? Na razie Wasza strona pokazuje jedynie koncert na Rising Fest w Dijon. Tylko tyle? Powinnyście teraz cały czas koncertować z nowym materiałem.
Jesteśmy teraz dość zajęte. W październiku mamy odbyć trasę po Finlandii, a w listopadzie wybieramy się z **Alcatrazz** do USA. Potem wracamy do Wielkiej Brytanii i na początku przyszłego roku gramy z **Alcatrazz** i **Raven**.

Ogólnie rzecz biorąc koncept Girlschool powinien być gotową receptą na sukces. Grupa zadziornych, szukających kłopotów dziewczyn w skórzanych kurtkach, grających chwytliwego, bezpretensjonalnego rock&roll'a. Zastanawiam się dlaczego nie doczekałyście się setek naśladowczyń?
Och, myślę, że mamy naśladowców, ale nie jest to łatwa podróż. Zwłaszcza w czasach, gdy wszystkie zespoły składały się głównie z mężczyzn. Trzeba było być wtedy o wiele twardszą.

Dziękuję bardzo za rozmowę i mam nadzieję, że do zobaczenia w Polsce. Gdy już dotrzecie do nas, wypatrujcie mnie tuż pod sceną...
Dziękujemy i do zobaczenia na trasie. (śmiech)

Grzegorz Putkiewicz

HMP: **Gratuluję bardzo udanej płyty. Jak wpadnie już w głowę to nie można się uwolnić.**
Łapa: Cześć, dzięki! Nawet nie wiesz jak się cieszę, że dźwięki nowego **Extinkta** zapadają w pamięć!

Czym jest dla Ciebie Extinkt? Według Metallum działacie 11 lat, a tu dopiero druga płyta.
Extinkt był na początku side projectem. Sam band został stworzony już jakiś czas temu z ex-członkami **Terrordome**. Spotykamy się zwykle okazjonalnie i robimy materiał. Tym razem trochę zeszło (śmiech), ale pocieszam - z kolejnym będzie już szybciej! Drugi krążek bardzo nas bardzo zaangażował i chcemy więcej.

Trzymam za słowo. Mógłbyś przybliżyć sylwetki Waszej trójki?
Skład **Extinkt** stanowi **Tomek** (znany wcześniej z Terrordome, obecnie z Rites of Daath oraz Throat), który udziela się na wokalu i basie. **Filip** aka **Dziad** (bębnił dotychczas w Psychopath) oraz ja (dotychczas udzielający się również w Terrordome, Distrüster oraz Topór)

Co narodziło się pierwsze? Chęć grania tro-

Foto: Extinkt

Opowieści z postnuklearnej rzeczywistości

Muzyka jaką proponuje Extinkt jest bardzo intensywna, jednocześnie zamknięta w dość krótkie ramy czasowe. Wywiad jaki udało mi się przeprowadzić ze śpiewającym gitarzystą jest podobny. Wypowiedzi Uappy pomimo oszczędzania słów okazują się bardzo treściwe. Oprócz zebrania informacji o samym zespole oraz muzyki jaką prezentuje udało nam się pogadać o popkulturze nuklearnej apokalipsy mającej olbrzymi wpływ na powstanie tego ciekawego zespołu na mapie Polski. Zapraszam do czytania.

chę bardziej przystępnej muzyki do której dołożyłeś teksty czy w drugą stronę? Najpierw myśl o bandzie w klimatach postapo a dopiero potem szukanie odpowiedniego środka wyrazu?
Idea **Extinkt** pojawiła się na jakiejś imprezie podczas zagranicznej trasy **Terrordome**. Było to gdzieś w czasie rozmów na temat filmów postapo oraz literatury. Wpadliśmy na pomysł, że można uderzyć w te rejony z thrash metalem, aby nawiązać do **Carnivore**. Do tej pory w Polsce nie znaliśmy takiego zespołu, więc chcieliśmy skoczyć w bok, poświęcając tematykę tylko i wyłącznie opowieściom w postnuklearnej rzeczywistości. Chcieliśmy też grać wolniej niż w **Terrordome**, aby wydobyć więcej soczystości z riffów i zwolnień (tutaj chyba szybkość mamy we krwi, bo zwolnień jest niewiele).

Dajecie radę grać razem w miarę regularnie tworząc powoli nowe rzeczy czy spotkaliście się parę razy i od razu muzyka powstała?
Działamy na co dzień z muzyką, piszemy głównie w domu. Spotykamy się potem w Krakowie raz na jakiś czas i zwykle przez dwa dni wspólnie gramy.

Oprócz zabawy w sali prób / studio macie okazję pograć razem w klubach pod tym szyldem czy tylko jako Terrordome?
Extinkt nie zagrał jeszcze ani jednego koncertu. Grając na żywo, zwykle gramy ze swoimi macierzystymi zespołami.

Według informacji od wydawcy materiał zaczęliście nagrywać prawie rok temu. Dlaczego dopiero teraz płyta jest dostępna w sprzedaży?
Sama muzyka zaczęło powstawać w okolicy 2017 i 2018. Bębny zarejestrowaliśmy rok temu, a cała reszta dopiero teraz. Z niczym się nie śpieszymy, ale chcemy też aby wszystko co robimy było przemyślane.

Może za wcześnie by pytać o współpracę z Ossuary, ale kto kogo wypatrzył?
Ossuary wydało już wcześniej **Distrüster**. Bardzo lubię współpracę z tym labelem, dlatego uderzyliśmy bezpośrednio do **Mateusza**, wiedząc że dba o jakość i każdy swój band.

Co Was zainspirowało do postapo? Jakieś gry filmy, muzyka? Pytam, ponieważ jesteśmy w podobnym wieku. Sam zagrywałem się w Fallouta lata temu i słuchając tej płyty wracają wspomnienia.
Miło to czytać! Czyli jednak niesiemy pochodnię, wzbudzając wspomnienia. Zdecydowanie jara nas "**Fallout**", "**Mad Max**", "**Wodny Świat**", "**Listonosz**" albo "**Planeta Małp**". Oraz masa innych rewelacyjnych filmów klasy B czy literatura - tutaj powieści oraz opowiadania; "**Głowa Kasandry**" **Marka Baraniec**kiego czy "**Droga**" **Cormaca McCarthiego** to moim zdaniem absolutny must have każdego funboya postapo.

Foto: Extinkt

Film, literatura, a kojarzysz komiks internetowy "Gone with Blastwave". Pod wpływem muzyki wróciłem do niego po ponad 10 latach na "ente" czytanie. Płyta robi do niego świetny soundtrack.
Totalnie nie kojarzę, ale warto sprawdzić skoro tak mówisz.

Mam przypuszczenia, że ta muzyka świetnie sprawdziła by się nie tylko strzegąc bunkra, ale również przemierzając pustkowia w stylu "Mad Maxa" lub totalnej rozpierduchy samochodowej z "Doomsday". Myślałeś o takim kierunku liryków?
Uwielbiam "**Doomsday**", to chyba jeden z najbardziej niedocenionych filmów po 2005r. Jak najbardziej - myślę, że uda mi się przy kolejnym albumie rozwinąć wątki pościgów samochodowych. Sam zagrywam się w "Twisted Metal" czy "Carmageddon" i uwielbiam ten zgrzyt gorącego metalu.

Jest szansa na jakieś koncerty promujące materiał?
Chcemy na pewno zaprezentować się kiedyś koncertowo, przy okazji jakiegoś festiwalu czy nawet mini trasy. Wszystko przed nami. Czekamy tylko aż muzyka bardziej wypłynie i będzie zainteresowanie ze strony słuchaczy. Będziemy nad tym powoli pracować.

Taka mała apokalipsą dla rynku muzycznego była pandemia, która zakończyła się wraz z początkiem wojny. Jak przetrwaliście ten czas? Czy w jakiś sposób pandemia zostawiła swój ślad na was jako muzykach?
Dla mnie okres pandemii to była bardzo dobrą okazją do pisania muzyki, ćwiczeń na gicie i na siłowni. Dobrze wspominam ten czas, ale wiem że wielu osobom ten okres dał całkiem w kość.

Ten rok to wielka koncertowa odwilż. Sprzedaż płyt spada, łatwiej ściągać gwiazdy do Polski. więcej sami gracie (nie chodzi mi tylko o Extinkt) czy uczestniczycie po drugiej stronie sceny?
Racja, więcej bandów zza granicy (co akurat na plus dla nas), ale mniej wsparcia dla lokalsów (musimy sobie radzić sami). Udało mi się zrzucić z siebie kilka zajmujących obowiązków i mam więcej czasu - staram się częściej chodzić na koncerty, aby czerpać inspiracje, wspierać scenę i kupować merchandise zespołów, które lubię. W skrócie - robię tak, jakbym chciał aby inni nas traktowali. Staram się też jakoś promować fizyczne nośniki muzyki. Jeżeli chodzi o granie na żywo, to gramy o wiele mniej koncertów niż kiedyś, ale na pewno nie narzekamy - mamy pełne ręce roboty. Dzięki za wywiad. Zachęcam do osłuchania "Trinity Redux"!

Również dzięki. Do następnego spotkania na koncercie lub przy okazji kolejnej płyty.

Łukasz Ragnus

THEOCRACY

Nasz styl to po prostu Theocracy

Faktem jest, że aktualnie nie ekscytuję się melodyjnym power metalem, ale nie dlatego, że jest on wyjątkowo słaby, a z powodu, że jego formuła jest już mocno wyeksploatowana, a nowe propozycje w zdecydowanej większości nie potrafią tchnąć w tę muzykę najmniejszego powiewu świeżości, pozostając przy schematach. Nie znaczy, że zupełnie odciąłem się od melodyjnego power metalu. Szukam go przede wszystkim w takich zespołach jak Theocracy, które z pomysłem podchodzą do takiego grania, często mieszając go z bardziej bezpośrednimi wpływami prog-poweru i progresywnego metalu. W ten sposób zdecydowanie podnoszą jego walory, a żeby o tym się przekonać, wystarczy sięgnąć po nowy krążek Theocracy "Mosaic". Zanim jednak to zrobicie, posłuchajcie, co ma do powiedzenia wokalista, gitarzysta, kompozytor, tekściarz, ogólnie lider tej amerykańskiej formacji.

HMP: Theocracy rozpoczął swoja działalność w roku 2002, także na rynku jest ponad dwadzieścia lat. Niestety przez ten czas nagraliście jedynie pięć studyjnych albumów. Nie uważasz, że to za mało, aby zdobyć uznanie i szerszą publiczność?

Matt Smith: Nie. Poradziliśmy sobie. Za każdym razem budowaliśmy reputację najwyższej jakości muzycznej i to mi się podoba. Wiele moich ulubionych zespołów, gdy byłem dzieckiem, wydało pięć świetnych albumów, a potem albo zaczęło tracić jakość i popularność, albo drastycznie zmieniło kierunek. Pięć albumów było moim celem, gdy zaczynałem i jest to właściwa liczba. Wolę to niż większą ilość albumów z utworami, które są tylko w porządku.

Foto: Ron Carson Jr.

Debiutancki album "Theocracy" nagrałeś sam, kiedy tak w zasadzie Theocracy przestało być projektem, a stało się pełnoprawnym zespołem?

Gdy nagraliśmy drugi album, "**Mirror of Souls**", byliśmy już trzyosobowym zespołem, a od tamtej pory gramy w pełnym pięcioosobowym składzie z dwoma gitarzystami, wokalistą, basistą i perkusistą. Z czasem to się rozrosło, ale od "**As the World Bleeds**" gramy w pełnym składzie.

Twoją długoletnią podporą jest gitarzysta Jonathan Hinds. Przez wiele lat tworzyłeś z nim udany duet gitarowy. Do nagrania waszej ostatniej płyty zaprosiliście jednak gitarzystę Taylora Washingtona. Ciężko było ci śpiewać oraz grać na gitarze i klawiszach, czy po prostu Taylor to bardzo zdolny gitarzysta i dlatego go zatrudniliście?

Nie grałem na gitarze na żywo od 2008 roku, więc przez ostatnie 14 lat mieliśmy dwóch gitarzystów na wyłączność. Taylor zastąpił naszego poprzedniego gitarzystę prowadzącego, a znałem go dzięki nagraniom jego zespołu **Paladin**. Jest niesamowicie utalentowanym gitarzystą i wokalistą i idealnie pasuje do tego, czego szukaliśmy.

Na "Mosaic" znajdziemy mieszankę melodyjnego power metalu w europejskim stylu, ambitnego melodyjnego power metalu, prog-poweru oraz progresywnego metalu. Czy zgodzisz się z tym opisem?

Brzmi całkiem trafnie, choć nigdy nie myślę o stylach czy kategoriach. Zrobiliśmy już wystarczająco dużo, by nasz styl brzmiał po prostu jak **Theocracy**. Jeśli ktoś pyta, zwykle mówię po prostu melodyjny metal, ponieważ wydaje się to w większości pokrywać.

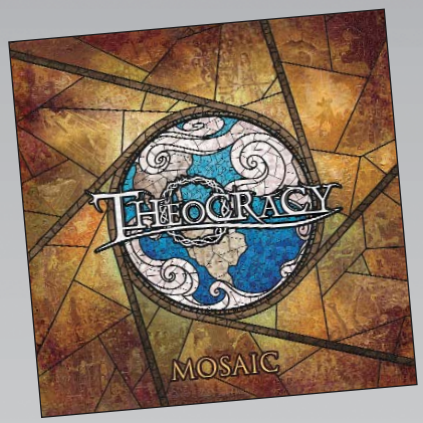

A czy z porównaniami Theocracy do Sonata Arctica, Avantasia, Kamelot, Pagan Maind, Symphony X i Dream Theater również się zgodzisz?

Jasne, myślę, że to słuszne. Niektóre z tych zespołów zdecydowanie miały na mnie wpływ we wczesnych latach, więc traktuję to jako komplement. Chociaż zauważyłem zabawną rzecz: ludzie mogą dokonywać porównań tylko do swojego punktu odniesienia. Zdałem sobie z tego sprawę lata temu, gdy grałem kilka naszych kawałków dla pewnego członka rodziny, a on powiedział: "*Wow, brzmicie dokładnie jak Metallica!*". Oczywiście nie brzmimy dokładnie jak **Metallica**, choć oczywiście mieli na nas duży wpływ, ale dla tego krewnego był to jedyny punkt odniesienia do metalu, więc dla niego dokładnie tak brzmieliśmy.

Z jednej strony reprezentują was utwory takie jak "Flicker", rozbrykany, radosny, dynamiczny, melodyjny nawiązujący do melodyjnego power metalu, z drugiej takie kawałki jak "Anonymous" gdzie więcej jest prog-poweru i progresywnego metalu. Nie obawiasz się, że fani bardziej melodyjnych brzmień nie zrozumieją waszych ambitniejszych momentów muzycznych, a fani progresu będą rozczarowani tymi zbyt melodyjnymi fragmentami?

Nie, naprawdę nie obchodzi mnie, co myślą o tym fani. Piszę tę muzykę, ponieważ ją kocham i ponieważ tego potrzebuję. Jeśli inni chcą wziąć udział w tej przejażdżce, to świetnie, a jeśli z niej wyskoczą, to też jest w porządku. Mam nadzieję, że fani docenią jakość, którą staramy się włożyć w każdą sekundę każdego albumu, ale poza tym zawsze piszę to, co przychodzi naturalnie i czego chcę słuchać na albumie. Jest wystarczająco dużo muzyki, by każdy mógł znaleźć coś dla siebie.

Dla mnie taki "Return to Dust" to najmocniejszy fragment na "Mosaic". Ten kawałek to takie swoiste status quo między waszą bardziej melodyjną a bardziej progresywną odsłoną, który w dodatku ma mrok, ma klimat, ma pomysł i jest chwytliwy.

Dziękuję! Myślę, że był to ostatni utwór napisany na album i jedyny przypadek napisania czegoś w określonym celu: podczas słuchania utworów zdałem sobie sprawę, że nie mamy klasycznego hymnu w średnim tempie, więc napisałem "***Return To Dust***", aby uczynić całą podróż albumu bardziej kompletną i zrów-

noważyć dłuższy i szybszy materiał.

Bardzo sobie cenię również "The Sixth Great Extinction", ten utwór jednak skierowany jest do fanów ambitnego prog-poweru i progresywnego metalu...
I to był właściwie pierwszy utwór, jaki napisaliśmy na ten album. (śmiech) Oczywiste punkty odniesienia, które przychodzą mi na myśl w przypadku tego utworu, to **Metallica** i **Nightwish**, ale kiedy już go zagramy i zaśpiewam, wszystko brzmi po prostu jak **Theocracy**.

Nie bardzo rozumiem, co robi na albumie "The Greatest Hope", melancholijna, mocno rozmarzona i podniosła ballada. Pod względem muzycznym nie pasuje mi do reszty albumu. No, ale być może to moje uprzedzenie, bo nie przepadam za wolnymi utworami balladowymi...
Zabawne, bo inni mówili mi, że to ich ulubiona piosenka. Ta muzyka pochodzi z bardzo osobistego miejsca, w którym przechodziłem przez głęboką stratę i myślę, że inni z wystarczającym doświadczeniem życiowym odnieśli się do niej. Pewnego dnia usiadłam nad wodą i zaczęłam pisać. Myślę, że był to dla mnie trochę potrzebny proces uzdrawiania, ponieważ nie planowałem tego i przyszło to dość szybko. Myślę, że to piękna piosenka, a ja uwielbiam dobre ballady.

Za to bardzo dobrze bawiłem się przy "Red Sea", blisko dwadzieścia minut pomysłów i znakomitej muzyki. Ile jest wyrafinowania, a ile naturalnego procesu w komponowaniu takich długich kompozycji?
Dziękuję! To interesujące pytanie i przypuszczam, że odpowiedź jest po trochu z obu. Jest to głównie naturalny proces. Długie epopeje takie jak ta dają ci swobodę wrzucania niemal każdego muzycznego pomysłu, jaki możesz wymyślić, który służy fabule. Ale doświadczenie lub wyrafinowanie również odgrywają w tym rolę, głównie w wiedzy, które części dobrze ze sobą współpracują i sprawiają, że całość płynie. W wielu długich epikach można usłyszeć niedojrzałość lub lenistwo. Po prostu wcinają jedną część w następną, nie myśląc o tym, by wszystko razem płynęło i wydawało się spójne. Uzyskanie płynności w długim

Foto: Ron Carson Jr.

utworze wymaga dużego doświadczenia i instynktu.

Jak dużą wagę przywiązujesz do tekstów, co przeważnie starasz się przekazać słuchaczom poprzez liryki?
Dla mnie teksty są tak samo ważne jak muzyka i czuję to, coraz bardziej im jestem starszy. Ciężko jest mi się teraz wkręcić w jakiś przypadkowy metalowy zespół, jeśli jego teksty brzmią jak "*Hej, tu są jakieś nudne bzdury o piramidach*" czy cokolwiek innego. Lubię trochę więcej treści i to właśnie staramy się wnieść. Dla mnie istnieje cała gama tematów związanych z ludzką kondycją, o których można śpiewać i myślę, że nasi słuchacze doceniają tę prawdziwość. Podchodzę do tego z chrześcijańskiej perspektywy, więc ten światopogląd jest zawsze obecny w taki czy inny sposób, ale rzeczywista tematyka waha się od osobistej, przez historyczną, po bieżącą i aktualną.

Jestem pod dużym wrażenie pracy gitar na "Mosaic". Myślę, że współpraca między Hindsem a Washingtonem udała się wybornie i w przyszłości można spodziewać się po nich wiele dobrego...
Dziękujemy! Tworzą świetny tandem. **Taylor** był fanem **Theocracy** od lat przed dołączeniem, więc dokładnie wiedział, co robimy muzycznie i idealnie pasował. Pozyskanie nowego członka zawsze jest kopniakiem w spodnie, ale on naprawdę przeniósł nas na wyższy poziom. Myślę, że różnorodność i jakość solówek na "**Mosaic**" jest naprawdę wyjątkowa. Każda z nich pasuje do utworu i ma swój unikalny styl.

Nie ma co ukrywać, ale twój głos jest zawsze ozdobą wydawnictw Theocracy. Nie inaczej jest na "Mosaic"...
Dziękuję, bardzo mi miło. Ludzie wypowiadają się z takim zachwytem o moim wokalu, podczas gdy ja sądzę, że jest on po prostu w porządku. Może to dlatego, że wiem, jak trudno jest mi się tam czasem dostać, więc jest w tym trochę syndromu oszusta. Myślę, że mój głos spełnia swoje zadanie, ale nie mam niesamowitego tonu, którego słucha się z przyjemnością, jak niektórzy naturalnie urodzeni niesamowici wokaliści w historii metalu. Myślę o sobie bardziej jako o kompozytorze, a śpiew jest po prostu tym, co robię w zespole, ponieważ nikt inny tego nie zrobi. (śmiech)

Między wydaniem "Ghost Ship" a "Mosaic" jest prawie siedem lat, czy przez ten cały czas pracowaliście nad materiałem na "Mosaic"? A może prace nad albumem trwały krócej i wzięliście się za nie przed samym nagrywaniem? Jaki wpływ miała pandemia na "Mosaic"?
Trudno uwierzyć, że minęło już tyle czasu. Zrobiliśmy sobie przerwę po "**Ghost Ship**", ponieważ byłem naprawdę wypalony i potrzebowałem trochę czasu. Tak więc już wcześniej zapowiadało się, że będzie trochę przerwy, ale potem wybuchła pandemia, zmieniliśmy skład, a potem wytwórnię płytową, więc wszystkie te rzeczy się nałożyły i nagle minęło o wiele więcej czasu, niż zamierzaliśmy. Więc w pewnym sensie wydaje mi się, że album jest gotowy od tak dawna i cieszę się, że ludzie w końcu go usłyszą! Mam nadzieję, że warto było czekać. Dzięki za pytania!

Michał Mazur
Translator: Szymon Paczkowski

Foto: Wilkinson

SLOWBURN

Klasyczny heavy metalowy zespół

Slowburn to ekipa z Hiszpanii, a dokładnie z Madrytu, która powstała w roku 2015. Zadebiutowali albumem "Rock 'n' Roll Rats"(2020), natomiast w bieżącym roku przyszedł czas na ich drugi studyjny krążek "FireStarter". Znajdziecie na nim klasyczny heavy metal, z pewnymi elementami hard rocka, ale w bardzo ciekawym wydaniu. Czy ta ekipa zaistnieje w szerszej świadomości fanów, trudno powiedzieć, jak wiadomo, zalewani są oni całą masą nowych wydawnictw i coraz ciężej mogą wybrać z tego coś dla siebie. Za "FireStarter" przemawia wiele, ale zanim zadecydujecie, czy warto go przesłuchać, poczytajcie trochę, najpierw to, co ma dopowiedzenia basista zespołu Jorge "Serra" Serrano, a później recenzje ich albumu.

HMP: W recenzji użyłem takich słów: Hiszpanie grają klasyczny, przestrzenny, bardzo różnorodny oraz plastyczny heavy metal ze sporymi odniesieniami do hard rocka. Czy ten opis jest dla was do przyjęcia?

Jorge "Serra" Serrano: Bardzo. Koncept na to, że gramy "klasyczny heavy metal", który łączy wiele stylów i brzmień, był ustalony od samego początku. Metal lat 80. ze smaczkiem hard rocka lat 70. Nigdy nie chciałem skupiać się tylko i wyłącznie na jednym gatunku, takim jak NWOBHM, speed metal itd. Możemy uwzględnić te podgatunki w naszych utworach.

Foto: Slowburn

W różnych źródłach odnalazłem informacje, że przyznajecie się do inspiracji dokonaniami Queensryche i Judas Priest, oraz że zaczynają się one również od muzyki Blackfoot i Van Halen z lat 70. a kończą na Judas Priest i Megadeth z okresu lat 80. Kto naprawdę należy do waszych muzycznych bohaterów i które z ich płyt uwielbiacie najbardziej?

Prawie wszyscy w zespole są po czterdziestce, więc mamy pewne doświadczenie w rocku i metalu... Każdy ma bardzo zróżnicowane wpływy. Osobiście uważam, że Slowburn ma wiele wpływów z amerykańskich zespołów takich jak **Armored Saint**, **Metal Church**, **Riot**, **Queensryche**, **Van Halen**, **Megadeth**. Nie możemy zaprzeczyć wpływom **Maiden** czy **Judas Priest** jak prawie każdy metalowy zespół! Co do albumów, ostatni album **Armored Saint** "**Punching the Sky**" miał duży wpływ na brzmienie naszego albumu. To naprawdę świetna płyta. Nie będę zbyt oryginalny jeśli chodzi o muzycznych bohaterów, czyli **Eddie Van Halen**, **Hetfield**, **Phil Lynnot**, **Mustaine**, **Iommi**, **Led Zeppelin**, **Dave Lombardo**...

Wasze utwory są przeważnie szybkie i dość złożone, uwielbiacie w nich mieszać tematami muzycznymi, zmianami temp, ale nie zapominacie o chwytliwych melodiach i bezpośredniości swoich utworów. Coś byście jeszcze dodali do tego opisu?

Dzięki za bardzo szczodry opis! Istnieje kompromis pomiędzy technicznym popisem a pisaniem chwytliwych kawałków. Wolimy myśleć, że jeśli muzykowi podoba się to, co gra, to publiczności też się spodoba. Oczywiście jest pewna granica. Staramy się pisać najfajniejsze riffy gitarowe, linie basu i partie perkusji, ale jeśli nie ma chwytliwej melodii wokalnej, utwór jest jakby niekompletny. Stworzenie prostej metalowej kompozycji jest łatwe, ale stworzenie prostego, ale chwytliwego utworu jest najtrudniejsze.

Wasza nowa płyta zaczyna się i kończy szybkimi i bezpośrednim kawałkami "Psycho War" i "The Price Of Liberty". To one najbardziej was prezentują, czy raczej po prostu dobrze jest takimi kawałki zacząć i skończyć płytę?

"***Psycho Wars***" jest najprostszym heavymetalowym utworem na albumie. Przy pierwszym przesłuchaniu jest to utwór, który metalowa publiczność może cieszyć się bardziej niż na przykład "***I'm Revenge***", z jego sygnaturą 5/4. Jest to utwór otwierający nasze koncerty. Po prostu pasuje jako pierwszy utwór na płycie. "***The Price Of Liberty***" jest najbliższy speed metalowi na tej płycie. Osobiście lubię kończyć płyty z pełną mocą!

Dla mnie najlepszym utworem na "FireStarter" jest "The Beast", jest to kompozycja trochę inna od wszystkich na tej płycie, bo oprócz tego, że atakuje nas wyśmienitymi riffami, znakomitą melodią to, ma niezwykły trochę mroczny klimat. A dla was, który utwór jest najlepszy?

Nie da się wybrać jednego, ale myślę, że "***The Beast***" reprezentuje nasz styl lepiej niż jakikolwiek inny utwór. Niedługo ukaże się do niego teledysk. Niektóre z ulubionych utworów zespołu to "***Exiled***", "***Touch The Sky***" czy "***Two Years***".

Na początku wspominałem, że w waszej muzyce jest sporo odniesień do hard rocka. Najbardziej jest to słyszalne w "Touch the Sky", gdzie sporo jest inspiracji Led Zeppelin, w "Two Years" za to słyszę trochę amerykańskiego hair i glam metalu, natomiast w "Falling" jest troszkę klimatu starego Whitesnake. Myślę, że właśnie te naleciałości hard rocka nadają waszemu heavy metalowi wyjątkowego i indywidualnego brzmienia...

Zdecydowanie! Bardzo lubię hard rocka z lat 70., southern rocka i oczywiście trochę lat 80. Nasz wokalista **Guillermo Munoz** również śpiewa w zespole hard rock / A.O.R. i dodaje zespołowi tego smaku. Muzykę do "***Touch The Sky***" napisałem wiele lat temu i nie miał to być kawałek **Slowburn**, ale kiedy pokazałem go zespołowi, pomyśleliśmy, że może się sprawdzić w naszym zestawie utworów. Bardzo się cieszę, że taki utwór znalazł się w naszym zestawie, zawiera on również pewne wpływy lat 90. "***Two Years***" riffy zostały napisane przez naszego gitarzystę **Miguela Coello**, ale w sali prób perkusista **Jorge** i ja wpadliśmy na pomysł tego rytmu "Shuffle", który brzmi jak **Van Halen**. Naprawdę zabawny utwór do grania; nie mogę się doczekać, aby zagrać go na żywo. Tekst i melodia "***Falling***" zostały stworzone przez **Guillermo**, nadając całości klimat lat 80.

Poza tym oprócz tego, że gracie dynamiczny i zadziorny heavy metal to dbacie, aby wasze utwory były chwytliwe i bezpośrednie, tak aby fani mogli z wami pośpiewać na koncertach?

Bycie chwytliwym zawsze było najtrudniejsze dla zespołu metalowego. Wiemy, jak grać, jak pisać riffy, ale "chwytliwość" zależy w dużej mierze od melodii wokalnych. Myślę, że nasze melodie wokalne znacznie się poprawiły w stosunku do naszego pierwszego albumu "***Rock'n'Roll Rats***". Wzięcie **Guillermo** była tu kluczowe.

Ogólnie wasza muzyka jest bardzo różnorodna, na "FireStarter" nie znajdziemy ani je-

dnej takiej samej kompozycji. Po prostu nie lubicie zanudzać ewentualnych słuchaczy, ani siebie?
To był mój cel, kiedy zakładałem zespół. W rzeczywistości nie chodzi o zanudzanie nas samych, uważam, że klasyczny heavy metal może być wykonywany na wiele sposobów. Nie zwykłem lubić zespołów, które przyjmują "brzmienie jednego zespołu" jako wzór dla swojego stylu. Coś jak zespoły, które brzmią jak **Maiden/Pantera/Running Wild** (żeby nie było, uwielbiam tę trójkę). Zawsze myślę o pójściu na koncert zespołu, którego kawałków nie znam. Jeśli wszystkie utwory brzmią dokładnie tak samo, prawdopodobnie będę się nudzić. To mój sposób myślenia, nie musi być taki sam jak większości metalowców!

Jak jest z tekstami, w takim "Last Chance" poruszacie tematy eksploatacji Ziemi z naturalnych zasobów oraz zmianach klimatycznych. Czy wszystkie wasze utwory poruszają ważne sprawy, czy też jest w nich trochę rock'n'rolla?
Większość naszych utworów porusza tematy społeczne, ale zawsze jest w nich coś z heavymetalowego feelingu. Kilka przykładów, "***Last Chance***" opowiada o ekologii i niewielkich możliwościach, jakie mamy, by zmienić obecną złą sytuację, ale musimy to zrobić. "Psycho Wars" jest o tym, jak media pokazują tylko wystarczającą ilość informacji, by ludzie się nie buntowali. "Exiled" opowiada historię hiszpańskiego Emerytowanego Króla... No co, niech będzie trochę lokalnych rzeczy! (śmiech) "***The Price of Liberty***" mówi o tym, że zawsze jest wystarczająco dużo pieniędzy dla kraju, aby iść na wojnę, zamiast przeznaczyć zasoby na spełnienie podstawowych praw człowieka. Utwory takie jak "***Falling***" czy "***Touch the Sky***" są introspektywne lub osobiste... Wreszcie "***On Fire***" *i* "***Two Years***" to rockowe/heavymetalowe hołdy!

Na "FireStarter" znajdziemy znakomite partie gitary, niekiedy rewelacyjne riffy czy też popisy solowe. Jest w nich sporo wirtuozerii, ale są one bardziej nastawione na feeling. Poza tym bardzo podobają mi się przemycane bluesowe brzmienia...
Miguel Coello jest wyjątkowym gitarzystą... Naprawdę nie chce popisywać się swoimi umiejętnościami, i czasami jego podejście jest bardziej zorientowane na kompozycje. Osobiście uważam, że tworzenie dobrych riffów czyni gitarzystę bardziej ekscytującym niż wirtuozerskie solówki.

Znakomicie prezentuje się także sekcja rytmiczna, jest ona bardzo kreatywna, ale głównie skupia się na napędzaniu muzyki...
Jesteśmy czteroosobowym zespołem... Ważne jest, aby każdy instrument mógł dostarczyć swoją część. Z tylko jedną gitarą jest tak wiele miejsca dla basu i perkusji. I oczywiście lubimy tworzyć utwory, które są zabawne i przyjemne do grania! Grałem z **Jorge Saezem** przez wiele lat w **Rancor**, klasycznym undergroundowym zespole thrashowym z Madrytu. Znamy się bardzo dobrze. On jest nauczycielem perkusji, więc jest w stanie zagrać prawie każdy materiał... Jako kompozytor staram się to wykorzystać.

Niesamowity jest głos Guillermo Munoz, który ma mocny, wysoki, wrzaskliwy i lekko zachrypnięty głos. Można go zaliczyć do klasycznych głosów rockowych, w każdym razie jest mocnym punktem Slowburn...
Guillermo nie śpiewał w metalowym zespole przed dołączeniem do nas... Naprawdę uwielbiam "zatrudniać talenty" do metalu. (śmiech) Myślę, że zaadaptował się w zespole, znacznie lepiej niż się spodziewałem. Jest również bardzo dobrym frontmanem! Jest bardzo wszechstronny... Potrafi śpiewać bluesowe melodie, melodyjne AOR i oczywiście wrzeszczący metalowy styl wokalny...

Wasza nazwa to Slowburn, ale wasza muzyka buzuje niczym ogień w potężnym pożarze...
Wymyślenie dobrej nazwy dla zespołu to zawsze problem. To, co powiedziałeś, jest w pewnym sensie zamierzonym żartem... Chcieliśmy po prostu fajnej nazwy z heavymetalowym brzmieniem.

Gdzie nagrywaliście "FireStarter"? Co możecie powiedzieć o samej sesji na ten album?
Nagrywaliśmy w **Traste Cero** w Madrycie z **Gonzalo Vivero** jako inżynierem nagrań. Nagraliśmy całą muzykę w ciągu siedmiu dni pełnych sesji. To było dobre, ponieważ w tym tygodniu skupiliśmy się tylko na muzyce. Później **Guillermo** zachorował na grypę i musieliśmy poczekać kilka tygodni, aby dokończyć wokale. To było intensywne doświadczenie i staraliśmy się być tak perfekcyjni, jak to tylko możliwe. Nasza pierwsza płyta była bardziej jak "pięciu facetów grających na żywo", ale tutaj chcieliśmy spróbować bardziej profesjonalnego podejścia do "**FireStarter**"

Jakie opinie zdobywa "FireStarter"?
W tej chwili bardzo pozytywne. Niektórzy słuchacze są zaskoczeni niektórymi utworami i otrzymujemy dobre recenzje. Spodziewam się, że ta płyta zyska większe uznanie niż nasza pierwsza.

W roku 2020 wydaliście swój duży studyjny debiut. Jakie są różnice między "Rock 'n' Roll Rats" a "FireStarter"?
Jak powiedziałem wcześniej, pomysł na "***Rats***" brzmiał jak żywy zespół z lat 80. Szukaliśmy bardziej surowego brzmienia, z dwiema gitarami grającymi różne rzeczy na każdej stronie. Mieliśmy dwóch gitarzystów prowadzących, z których każdy grał jedną solówkę w każdym utworze. "***FireStarter***" jest bardziej zróżnicowany z lepszymi melodiami, ale prawdą jest, że podejmuje więcej ryzyka. Niektóre aranżacje są trochę nietypowe dla "klasycznego zespołu metalowego z lat 80." ("The Price Of Liberty", "I'm Revenge").

Oba albumy wydała wytwórnia Fighter Records. Jak się z nimi współpracuje?
To jest bardzo przyjemna współpraca. Powinno istnieć więcej takich wytwórni jak **Fighter Records**, które dają możliwości nowym zespołom.

Często koncertujecie? Udało się wam zagrać poza Hiszpanią? Jak wyglądają wasze koncerty?
Nie mieliśmy okazji dużo koncertować. "***Rats***" został wydany w tym samym tygodniu, w którym rozpoczęła się kwarantanna w Hiszpanii... Przynajmniej zagraliśmy dwa koncerty w zeszłym roku z naszymi przyjaciółmi z **Hitten**. Mam nadzieję, że uda nam się zagrać kilka koncertów poza Hiszpanią. Na naszych koncertach postaramy się zagrać jak najwięcej utworów z "**FireStarter**". W przeszłości zawsze graliśmy covery "znaczących utworów" takich zespołów jak **Mercyful Fate**, **Tony Martin's Sabbath**, **Annihilator**, **Savatage**, Dio... Nie jesteśmy pewni, czy zrobimy to samo na nadchodzących koncertach.

Foto: Slowburn

Co dalej, jakie macie plany?
Promujemy naszą muzykę tak bardzo, jak to możliwe i cieszymy się graniem na żywo wszystkich nowych utworów. Wkrótce ukaże się nowy teledysk. Chciałbym również wydać wersję winylową "**Fire Starter**". Dziękuję bardzo za wywiad i wiadomość dla fanów metalu: jeśli lubisz takie zespoły jak **Armored Saint**, **Metal Church**, **Van Halen**, **Savatage**, **Queensryche** czy **Judas Priest**, polecam Ci posłuchać "**FireStarter**" od pierwszego do ostatniego utworu... Nie zawiodę!

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

TERMINATION FORCE

Naszym celem jest proste metalowe brzmienie

Tak deklaruje gitarzysta Jamie Brooks nowej formacji Termination Force. Niemniej na ich debiutanckiej EP-ce "Netherworld" już tak prosto nie jest. Za to jest bardzo ciekawie, oldschoolowo i blisko US metalu. Myślę, że fani dobrego heavy metalu powinni zapamiętać tę nazwę, aby przy okazji dużego debiutu sprawdzić, czy Brytyjczycy spełnili pokładane w nich nadzieje. Ja liczę, że podołają temu zadaniu.

HMP: Dość niedawno wydaliście swoją debiutancką EP-kę "Netherworld". Znalazło się na niej pięć utworów, które są utrzymane... No właśnie, mnie wasza muzyka najbardziej kojarzy się z Fates Warning i ich dwoma pierwszymi albumami "Night on Bröcken" i "The Spectre Within". Nie był to jeszcze progresywny metal, ich muzyka bardziej nawiązywała do NWOBHM i starała się odcisnąć swoje piętno w US metalu. Co myślicie o takim porównaniu?

Jamie Brooks: Jesteśmy zaszczyceni takim porównaniem! Naszym celem jest proste metalowe brzmienie, które nawiązuje do tamtej epoki, w której zespoły rozwijały wypróbowaną i przetestowaną metalową formułę, ale popychały ją do przodu pod względem kompozycji i ambicji w pisaniu piosenek. Wiele zespołów NWOBHM grało na takim schemacie: wers - refren - powtórz - solówka - wers - refren, co nie jest niczym złym, ale zawsze oddzielne intra, wydłużone środkowe sekcje i pokręcone solówki są bardziej interesujące. Trudno jest mieć te elementy bez utraty powściągliwości, utrzymując utwory spójnie oraz nie gubiąc słuchacza w niezliczonych riffach.

Szukając informacji w sieci o waszym zespole, napotkałem na kilka recenzji, w których porównywano was do dokonań kapel thrashowych jak Testament, Death Angel czy Flotsam And Jetsam. Ja nie odnalazłem wpływu tych zespołów na waszą muzykę. No może są ich jakieś daleki echa. Za to uważam, że wasze inspiracje można bardziej zestawić ze speed metalem Agent Steel i ich płytą "Skeptics Apocalypse"...

Zdecydowanie czerpiemy wpływy ze wszystkich wymienionych zespołów, ale nigdy nie było naszym zamiarem, aby brzmieć jak jakikolwiek inny zespół. Styl wokalny **Richa** jest bardzo podobny do **Cyriisa** (John Cyriis wokalista Agent Steel - przyp. red.), to oczywiste, ale nie sądzę, byśmy mieli taką prędkość i intensywność jak wczesne płyty **Agent Steel**. Oczywiście, gdy gramy na żywo, to zapuszczamy się na terytorium speed metalu! Było wiele riffów, które napisałem, a które podświadomie kończyły się niemal dokładną kopią riffów używanych wcześniej przez te starsze zespoły, co jest naprawdę frustrujące. Zawsze staram się wymyślać nowe, ekscytujące riffy, a sprawienie, by brzmiały wyjątkowo, jest zawsze wyzwaniem, przy jednoczesnym zachowaniu podobnego brzmienia do naszych bohaterów.

Foto: Termination Force

Niemniej Ty (gitara) i perkusista Neil Anderson mają wiele wspólnego ze sceną speed/thrashową. Wspólnie graliście w grupie Terror Drone, a Ty aktualnie współtworzysz speed/thrashowy Desolator...

Zgadza się! I to właśnie stąd pochodzi wiele wpływów speed metalu. Celowo staram się powstrzymywać od speed metalu w **Termination Force** i używam go bardziej oszczędnie niż w **Desolator**, nie tylko po to, by dać **Richowi** więcej miejsca na jego wokal, ale także, by pozwolić na obecność dużej ilości melodii. Poza tymi dwoma zespołami wszyscy w **Termination Force** znamy się od lat, co sprawia, że bycie razem w zespole jest bardzo łatwe, a posiadanie tego solidnego fundamentu sprawia, że wszystko jest o wiele lepsze dzięki koleżeństwu i chemii na scenie, co myślę, że jest widoczne podczas naszych występów na żywo.

Ogólnie nie jest łatwo sklasyfikować waszą muzykę, niby najbardziej kojarzy mi się ona z US metalem to, jednak w waszych kawałkach można również odnaleźć wpływy zespołów europejskich takich, jak Iron Maiden, Judas Priest, Accept, Raven, Grave Digger czy Scanner...

Traktujemy to jako komplement! Jestem wielkim fanem niemieckiego thrashu, a będąc angielskim zespołem, nie możemy nie wnosić trochę tego brytyjskiego sznytu do naszego brzmienia. Istnieje niewielka liczba amerykańskich zespołów, które naprawdę osiągnęły brzmienie, do którego dążymy, czyli power thrash z odpowiednimi wokalami, ale ta niewielka liczba zespołów osiągnęła ten poziom z takim zaangażowaniem, że wyróżniają się na tle większości swoich europejskich odpowiedników. Nie mówię, że są lepsi od europejskich zespołów, po prostu są bardziej rozpoznawalni przez wielu. Każdy słyszał o **Agent Steel** czy **Savatage**, ale ilu z nich jest zapalonymi słuchaczami **Gravestone** czy **Artch**? Nie wspominając o ogromnej liczbie niesamowitych nowych zespołów, które przewyższają te starsze zespoły pod wieloma względami!

Każdy z pięciu utworów EP-ki "Netherworld" różni się od siebie, ale każdy jest dobry w swoim rodzaju. Ja mam problem ze wskazaniem tego najlepszego, a czy wy jako ich twórcy macie swoich faworytów wśród tych kawałów? Jakie są najmocniejsze momenty każdej z tych kompozycji?

Dzięki! Naszym celem było stworzenie pięciu odrębnych utworów, z których każdy ma swój własny smaczek. Oczywiście nie są one tak skrajnie różne, że brzmią, jakby nie pochodziły od tego samego zespołu, ale czuję, że każdy z nich ma swój własny nastrój. "***Termination Force***" i "***Target Locked***" są najbardziej podobne, prawdopodobnie dlatego, że oba zostały napisane w tym samym czasie i mają bardziej nastrojowy klimat, ale pozostałe wyróżniają się na tle tych dwóch. "***Target Locked***" wydaje się być faworytem wśród naszych fanów, biorąc pod uwagę dane streamingowe, ale większość osób twierdzi, że "***Heart Racer***" jest ich ulubionym utworem. Być może dlatego, że jest to najbardziej optymistyczny i energiczny z pięciu oferowanych utworów. Moim ulubionym utworem jest "***Netherworld***", ponieważ jest bardzo przyjemny do grania i zawiera wiele fajnych elementów, które są bardzo zróżnicowane. Świetnie się bawiłem, pisząc ten utwór. Główny motyw jest inspirowany grą Commodore 64 o tej samej nazwie! "***After the Fall***" to utwór, który od razu przykuwa uwagę i został napisany właśnie w tym celu i jest naszym otwieraczem na koncertach wyłącznie ze względu na podejście, jakie ma ten utwór.

Bardzo dużym atutem EP-ki "Netherworld" jest jej brzmienie i klimat. Nawiązują one bezpośrednio do tego, co działo się w latach 80. w Stanach. Czy to celowy zabieg, czy też jest to zupełnie naturalna sprawa z waszej strony?

To po prostu nasze naturalne brzmienie. Nigdy nie staraliśmy się brzmieć jak żaden konkretny zespół czy epoka. Wydaje mi się, że nasz proces nagrywania jest podobny do tych zespołów, ponieważ używana przez nas technologia jest bardzo podstawowa, czyli te wszystkie wzmacniacze, bez modulacji i z dużą ilością mikrofonów. Nie ma żadnych cyfrowych ulepszeń, z wyjątkiem niektórych efektów panoramicznych i pogłosów na perkusji. Zdecydowana większość tego, co słyszysz, jest tym, co wychwytuje mikrofon. To rzadkość w dzisiejszych czasach, gdy zespoły polegają na cyfrowej modulacji, wyzwalaczach i innych niepotrzebnych dodatkach. Tracisz całe serce i duszę, gdy się z tym bawisz, a czystość zostaje utracona.

Ten klimat bardzo dobrze podkreśla również wokal Richa Ruttera (niektórzy znają go z Toledo Steel). Czy Richa trzeba było nakierować na ten styl śpiewania, czy też automatycznie sam odnalazł się w realiach epoki lat 80.?
Rich jest mistrzem metalu i ma absolutną pasję do oldschoolowego metalu. **Rich** zapoznał mnie z wieloma nieznanymi zespołami i nieustannie poszukuje nowych kapel. Wspaniałą rzeczą w jego wokalu jest to, że bardzo stara się nie naśladować żadnego ze swoich idoli, a zamiast tego rzeźbi swój własny styl i zawsze wypada bez wysiłku. Jeśli posłuchasz pierwszych wydawnictw **Toledo Steel**, możesz usłyszeć, jak bardzo poprawił się w ciągu ostatniej dekady. Od czasu rozpoczęcia działalności w **Termination Force**, **Rich** miał okazję bardziej wyeksponować swój wokal i przejść do bardziej agresywnego brzmienia, do czego zawsze go zachęcam! Nagraliśmy demo starego utworu **Metal Church**, z którym może coś zrobimy, a może nie, ale można usłyszeć, jak ciężki może być **Rich** przy odpowiednim ustawieniu.

Jak pracujecie nad muzyką. Każdy z was robi to w zaciszu domu i się wymieniacie pliki, czy raczej robicie to w stary oldschoolowy sposób, spotykając się w sali prób?
Po trochu jednego i drugiego - nie ma jednego sposobu, aby to zabrzmiało interesująco! W większości przypadków mam częściowy lub pełny pomysł, który nagrywam w domu, rozsyłam go między nami, gdzie Rich zwykle dogrywa trochę wokali, omawiamy to i przedstawiamy sugestie. Kiedy jesteśmy w sali prób, sprawdzamy, co działa, a co nie, pracujemy nad tym, dopóki nie będziemy zadowoleni z wyniku. Jest to całkiem standardowy, ale dobry system. Odkąd dołączył **Sam**, wnosi wiele pomysłów i jestem podekscytowany tym, jak będą brzmieć kolejne utwory.

Co decyduje, że dana partia utworu zostaje zaakceptowana jako ta ostateczna? Tę decyzję podejmuje jedna osoba, czy robicie to zespołowo?
Jak wspomniałem wcześniej, wszyscy pracujemy, dopóki nie będziemy zadowoleni. W każdym zespole, w który byłem zaangażowany, zawsze tak było. Nie chciałbym grać czegoś, z czego nie jestem zadowolony i nie oczekiwałbym, że inni zrobią to samo. Jeśli wszyscy nadajemy na tych samych falach, to będziemy się lepiej bawić, co przełoży się na scenę i ostatecznie damy lepsze show!

Już na początku wywiadu chciałem zadać wam to pytanie. W roku 1988 zespół Sanctuary wydał swój debiut "Refuge Denied". Jest to jedna z ważniejszych płyt amerykańskiego heavy/power metalu lat 80. A na niej jest utwór "Termination Force"...
Tak, nazwa zespołu pochodzi bezpośrednio od tego utworu! To świetna nazwa. Kiedy po raz pierwszy napisałem utwór "***Termination Force***" i wysłałem go do **Richa**, to było tylko dla osobistej przyjemności, nie planowałem zrobić z niego nic więcej (było to podczas lockdownu spowodowanego Covidem). Po tym, jak skończyłem "***Target Locked***" i poprosiłem Neila o nagranie do niego perkusji, zaczęło to nabierać tempa i byłem naprawdę podekscytowany brzmieniem, które uchwyciliśmy, więc zgodziliśmy się, że powinniśmy pchnąć to do właściwego zespołu i dobrze się przy tym bawić! Nazwa w pewnym sensie utkwiła. Nie sądzę, żebyśmy mieli wiele wspólnego muzycznie z Sanctuary, poza tym, że brzmimy podobnie do zespołów z tamtej epoki.

Foto: Termination Force

Co ogólnie skłoniło was do zainteresowania się starym heavy metalem? Jaką drogę przeszliście jako fani, zanim zaczęliście muzykować?
Rich i ja niezmiennie kochamy oldschoolowy metal, i to odkąd tylko pamiętamy. Tak naprawdę nie słuchamy zbyt wiele innych rzeczy poza tym. **Rich** jest fanem rocka z lat 70. i tym podobnych. **Neil** jest nieco starszy od nas, był nastolatkiem, gdy Metallica była popularna we wczesnych latach 90., więc mógł doświadczyć tego wszystkiego w tamtym czasie i grał w oldschoolowych zespołach metalowych przez całe swoje życie (Shallow Grave i Eternal Torment). Sam ma tak szeroki zakres zainteresowań muzycznych, a oldschoolowy metal jest tylko niewielką częścią tego spektrum. Dopiero gdy wpadłem na **Sama** na koncercie **Razor** w Londynie, byłem zaskoczony, widząc go tam, ponieważ nigdy nie wiedziałem, że interesował się tym rodzajem metalu (znamy się z Samem od lat i był zaangażowany w death metal). Porozmawiałem z nim o graniu na basie w **Termination Force**, był bardzo chętny i od tego momentu poszliśmy dalej!

W sieci nie znalazłem waszych teledysków, za to na kanale "NWOTHM Full Albums" można wysłuchać waszą całą EP-kę. Co sadzicie o takim kanale jak ten oraz co sądzicie o całym nurcie NWOTHM?
Do czasu wydania EP-ki zagraliśmy tylko jeden koncert, jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy zagraliśmy kilka koncertów w naszej okolicy, więc jest już trochę materiału na żywo do obejrzenia! To wspaniałe, że jest tak wielu zwolenników oldschoolowego metalu, czy to ludzie, którzy prowadzą kanały You Tube, blogi, strony internetowe, magazyny i ludzie tacy jak ty! Pomaga to potwierdzić to, co robimy i rozpowszechniać informacje, umożliwiając nam dotarcie do nowych metalowców i dalsze eksponowanie zespołów. Wiele zespołów polega w dużej mierze na mediach społecznościowych (nie my, ponieważ zwrot z inwestycji nie jest tego wart), więc posiadanie ludzi bezinteresownie poświęcających się metalowej sprawie jest naprawdę inspirujące. Będąc w zespole, poświęcasz się temu w całości i ta pasja jest również widoczna u innych, którzy nie grają w zespole, ale nadal są ważną częścią społeczności.

Jak zapatrujecie się na szanse namieszania na scenie NWOTHM?
Nie wiem, globalnie nie za bardzo. W naszym kraju nie ma prawie żadnych zespołów robiących to samo co my, więc trochę się wyróżniamy, chociaż nie ma na to dużego popytu, ale jest mała nisza w szerszej społeczności metalowej, która kopie to, co robimy. Mamy nadzieję, że będziemy mieli okazję przekroczyć kanał i zagrać kilka koncertów w Europie, gdzie czuję, że zostaniemy lepiej przyjęci, ponieważ w miejscach takich jak Niemcy i Hiszpania jest silniejsza scena, której byłem świadkiem z pierwszej ręki w moim innym zespole.

Jednak żeby zaistnieć w szerszym wymiarze trzeba zacząć koncertować, a zdaje się, że Brexit wam w tym nie pomaga? Pewnie w Brytanii nie macie z tym większych problemów, wiec jakie macie pomysły, żeby zagrać na kontynencie?
Tak! To naprawdę utrudniło życie zespołom. Nie tylko trudno jest organizować koncerty

poza Wielką Brytanią ze względu na biurokrację związaną z Brexitem, ale jeszcze trudniej jest zespołom przyjeżdżać do Wielkiej Brytanii na koncerty, więc mamy mniej możliwości wspierania koncertujących zespołów. Oczywiście nie jest to niemożliwe, jest wiele zespołów przeskakujących przez kanał na festiwale i małe trasy koncertowe, jednak te zespoły mają silne wsparcie ze strony wytwórni i agencji bookingowych, których my nie mamy, wszystko będzie finansowane i organizowane z naszej kieszeni. To nie jest problem, zawsze byłem zwolennikiem podejścia "zrób to sam", ale czasami jest to po prostu niemożliwe, czy to ze względów finansowych, czy po prostu logistycznych.

EP-ka "Netherworld" to bardzo dobry początek kariery. Co zamierzacie zrobić dalej? W którym kierunku chcecie wybrać się ze swoją muzyką? Może już poczęliście pierwsze kroki i zaczęliście pisać materiał na duży album?
Dziękujemy, doceniamy to! Mamy mnóstwo rzeczy, które są albo pracami w toku, albo pełnymi utworami, które już wprowadziliśmy do naszego setu, odkąd **Sam** zajął pozycję basisty po odejściu **Dave'a** z zespołu. Następnym wydawnictwem będzie album, może kilka utworów wydanych w międzyczasie, ale zdecydowanie wydamy pełny album. Najnowszy materiał będzie rozwinięciem EP-ki, będzie w nim więcej agresji i trochę progresywnych elementów, jak również odchodzimy trochę od tematów sci-fi, ale nie całkowicie! To, czy wytwórnia będzie nas wspierać, czy nie, nie ma znaczenia, jeśli tak, to świetnie, ale w poprzednich zespołach nigdy nas to nie powstrzymywało. Czasy zmieniły się w ciągu ostatnich 30 lat i wytwórnia nie jest całkowicie wymagana do wydawania muzyki. Oczywiście bardzo pomaga, ale nie jest niezbędna.

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

Foto: Destructor

HMP: Patrząc z perspektywy czasu to, lata 2000. są bardziej dla was łaskawe niż lata 80. zeszłego wieku. Chyba kariera Destructor rozkwitła?
Dave Overkill: Zgadzam się. Dobrze się bawiliśmy w latach 80., ale pewna tragedia sprawiła, że dobra zabawa się skończyła w roku 1988 (basista Dave Holocaust, a tak naprawdę David James Iannicca został wtedy zadźgany nożem - przyp. red.). Trudno było pokonać przeciwności losu, ale daliśmy radę i idziemy dalej.

W latach 80. ustaliliście swój muzyczny status, wydając album "Maximum Destruction" i jesteście wierni jemu do dzisiaj. Nie zależy wam na jakichś eksperymentach i zmianach muzycznych? Wystarczy wam wasz własny thrash metal podszyty speed metalem, power metalem i klasycznym heavy metalem?
Myślę, że nasze brzmienie i styl są takie, jakie zawsze chcieliśmy, żeby były. Power/thrash to nasza bajka i w niczym nas to nie ogranicza. Nigdy nie mieliśmy problemu z tworzeniem zróżnicowanych utworów. Nie chcemy tworzyć czegoś, z czym nie czulibyśmy się komfortowo lub na siłach, by grać.

Album jest bardzo spójny, choć budują go kawałki różnorodne to, jednak właśnie one tworzą klimat bardzo mocnego i jednolitego krążka.
Dziękuję.

W utworach dzieje się bardzo wiele, jednak nie brakuje im też bezpośredniości i melodii, podsyca je twój charakterystyczny wrzaskliwy wokal...
To się nie zmieniło przez te lata. Czuję się komfortowo w moim stylu śpiewania.

Ogólnie omawiając utwory z "Blood, Bone, and Fire" można o nich napisać, że znajdziemy w nich szybkie tempa, ciekawe pomysły muzyczne, cięte riffy, wściekle sola, niewielkie, ale słyszalne zabawy tempami i klimatem oraz kreatywną, ale miażdżącą sekcją rytmiczną. Coś byście jeszcze dodali?
To jest całkiem fajny i trafny opis.

"Blood, Bone, and Fire" jest ogarnięta old-schoolową furią i atakuje nas frontalnym atakiem, ale kompozycje są tak napisane, że chłonie się je właśnie w całości. Uwielbiam albumy, które słucha się w całości, a ten właśnie taki jest...
Dziękuję za komplement. Jesteśmy dumni z tego albumu i mamy nadzieję, że kolejny zostanie odebrany w taki sam sposób. Staraliśmy się, aby ten album był tak spójny, jak to tylko możliwe, upewniając się, że wszystko płynie i wydaje się pasować do siebie. Wierzę, że udało nam się to osiągnąć własnie dzięki "**Blood, Bone, and Fire**".

Od początku do końca bawicie się graniem i każdym dźwiękiem zarażacie słuchaczy swoją pasją. Z tego powodu, oraz wcześniej wymienionych przyczyn, nie mogę wyróżnić żadnej kompozycji. Wszystkie są równie udane. A może wy potraficie wskazać, który z utworów z nowej płyty jest najlepszy, albo wam podoba się najbardziej?
Trudne zadanie. Szczerze to jestem zadowolony z nich wszystkich. Gdybym miał wymienić kilku faworytów, powiedziałbym, że "***Heroic Age***", ponieważ jest to nieco bardziej przystępny utwór i "***Hammering The Steel***", który jest czystą thrashową, melodyjną energią.

Uwielbiam "Blood, Bone, and Fire". Jak inni krytycy oceniają wasza nową płytę? Czy fani bardzo różnią się w ocenie?
To wciąż jest bardzo świeży materiał i będzie mieć premierę dopiero 24 listopada, więc czas pokaże, jak zostanie on przyjęty.

DESTRUCTOR

...jestem metalowcem na wskroś...

Tak deklaruje Dave Overkill, którego było ciężko wciągnąć w rozmowę. Całe szczęście im było bliżej końca tego wywiadu, Dave się rozkręcał. Tak czy siak, warto sobie poczytać to co ma do powiedzenia Dave, tym bardziej że ich najnowszy krążek "Blood, Bone, and Fire" wart jest poznania. Jestem pewien, że zadowoli on fanów US metalu i power/thrash metalu. Zapraszam do przeczytania zapisu rozmowy...

O produkcji można powiedzieć, że jest bardzo staroszkolna, undergroundowa oraz zatopiona w latach 80. Powiedzcie, gdzie i z kim nagrywaliście materiał na "Blood, Bone, and Fire"? Kto pomógł wam uzyskać właśnie takie brzmienie?
Ten album został nagrany w studiu **Mercinary Recording**, które jest własnością gitarzysty kapeli **Midnight** i został wyprodukowany przez **Noah Buchanana**, który jest niesamowitym inżynierem, a także gitarzystą zespołu **Nunslaughter**. Dostaliśmy dokładnie to, czego potrzebowaliśmy, aby ta płyta była jedną z naszych najlepszych do tej pory. Praca z naszymi przyjaciółmi była prawdziwą przyjemnością, a oni są najlepsi w tym co robią.

W jaki sposób powstały utwory na nową płytę? Kto z was najwięcej przy nich się napracował?
Większość utworów jest mojego autorstwa, napisałem je z pomocą **Tima Fredericka** i **Nicka Ginnakosa**. **Matt** pomógł z koncepcją "***Heroic Age***", a nasza ukochana przyjaciółka, która niestety zmarła, **Sandy Kruger** ze starego zespołu z lat 80. **Sacred Few**, pomogła również z tekstami do "***Heroic Age***".

Do niedawna współpracowaliście z Pure Steel Records przy nowej płycie podjęliście współprace z Shadow Kingdom Records? Skąd ta zmiana i dlaczego wybraliście Shadow Kingdom Records ma siedzibę w Cleveland w stanie Ohio i wydawało się idealnie pasować do wydania tego albumu. Moja umowa z Pure Steel Records dobiegła końca i chciałem bardziej zaangażować się w "Blood, Bone, and Fire". Shadow Kingdom ma świetny zespół i dobrze współpracuje z Destructor.

Nowa wytwórnia zapewniła wam wydanie płyty na wszystkich nośnikach, więc jest kaseta, CD oraz płyty winylowe w kilku kolorach. Który z tych nośników cenicie najbardziej?
Dla mnie winyl jest najlepszy, ale to fani, którzy kupują produkt, decydują, który jest ich ulubionym.

Kolekcjonujecie nadal płyty winylowe, macie w swoich zbiorach płyt winylowe kupowane za młodu? A może wolicie CD albo nie daj panie Boże, słuchacie muzyki ze streamingu?
Osobiście uwielbiam płyty winylowe, ale nie jestem "kolekcjonerem", jak niektórzy moi znajomi. Zazwyczaj kupuję różne rodzaje nośników, które w danym momencie mi odpowiadają. Dla wygody w domu słucham muzyki z serwisów streamingowych, ale najbardziej lubię słuchać płyt CD i winyli. Wciąż posiadam wszystkie płyty z moich młodszych lat, a także kupuję używane płyty, których nie posiadałem w tamtym czasie, a które odwołują się do tego, co lubię. Nie zawsze jest to metal, ponieważ kocham różne formy muzyki. Powiedziawszy to, jestem metalowcem na wskroś i to jest to, co stymulowało mnie przez te wszystkie lata.

Zagraliście na Keep It True Rising 2023 jakie macie wrażenia po tym wydarzeniu? Graliście tam utwory z "Blood, Bone, and Fire"? Jak były przyjęte?
Keep It True Rising było wydarzeniem, na które czekaliśmy od wielu lat. Festiwal został przeprowadzony perfekcyjnie, a fani, którzy w nim uczestniczyli, byli bardzo otwarci na nasz występ i ogólnie uważam, że wywarł on ogromny wpływ na **Destructor**, biorąc pod uwagę miejsce, w którym obecnie się znajdujemy i to, co staramy się osiągnąć dzięki naszej nowej płycie. Zagraliśmy jeden nowy utwór, "***Iron Clad***", a także oparliśmy się na naszym starym katalogu, aby dać fanom to, co chcieli usłyszeć. W miarę upływu czasu z pewnością będziemy grać więcej z nowej płyty, ale musimy uhonorować klasyki, a fani zdawali się kochać każdą minutę tego wszystkiego. Jesteśmy wdzięczni za gorące przyjęcie na każdym naszym koncercie.

Foto: Destructor

Jak będziecie promować dalej "Blood, Bone, and Fire"?
Promocja właśnie się rozpoczęła. Oficjalna premiera albumu zaplanowana jest na połowę listopada, ale mając to na uwadze, ciężko pracujemy nad tym, aby fani dowiedzieli się, że rzeczywiście mamy zupełnie nowy album i kontynuujemy rezerwację jak największej liczby koncertów w nadchodzącym roku, aby promować to wydawnictwo. Każdy, kto poważnie chce zarezerwować koncerty z Destructor, powinien się z nami skontaktować. Jesteśmy otwarci na wszystkie oferty i dokładamy wszelkich starań, aby jak najskuteczniej organizować koncerty i festiwale na całym świecie.

Poprzedni album wydaliście pięć lat temu, skąd taka długa przerwa? To kwestia pandemii czy innych kwestii również? Czy na następcę "Blood, Bone, and Fire" będziemy czekać kolejne pięć lat?
Stworzenie świetnego produktu zawsze wymaga czasu i pieniędzy. Z powodu problemów z dostawami każdy zespół, który miał nowe wydawnictwo, musiał czekać rok, zanim produkt został wyprodukowany. Wszystko wydawało się być opóźnione. Jest to niefortunny wynik wielu okoliczności, które się na siebie złożyły. Niektóre całkowicie poza naszą kontrolą. Zapewniamy, że **Destructor** pracuje nad kolejnym albumem, a zimowe miesiące poświęcamy na pisanie i nagrywanie nowego materiału. Staramy się utrzymać jak największą dynamikę. Pandemia nie była łaskawa dla nas wszystkich, ale pamiętając o tym, nie ma wymówki, aby nie mieć planu na przyszłość. Będziemy kontynuować z kolejnym świetnym albumem i dziękujemy wszystkim za cierpliwość i ciągłe wsparcie, które otrzymaliśmy z "**Blood, Bone, and Fire**". Szukajcie i kupcie najnowszy album **Destructor**. Obiecujemy, że nie będziecie zawiedzeni. **Destructor** są gotowi, aby dostarczać towar w nadchodzących latach. Dziękujemy za wywiad i wsparcie.

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

HUNTER

Musimy krytykować religię, politykę i popkulturę

Gdy dowiedziałem się, że przyjdzie mi poprowadzić wywiad z zespołem Hunter, pomyślałem od razu o istniejącej od 1985 roku polskiej ikonie młodzieżowego heavy / thrashu. Może innym razem przeniesiemy się do Szczytna, ale tym razem zajrzyjmy do Belgii. Nie będę nawet próbować Was przekonać, że nastał czas, aby przestawić się z jednego Huntera na drugiego. Myślę jednak, że właśnie ze względu na takie kapele sięgacie do "Heavy Metal Pages", bo nowy krążek "Rebel Angels Rise" zawiera porządny heavy metal najczystszej krwi. Na pytania odpowiada wokalista David Walgrave.

HMP: **Wiesz, że już istnieje...**
David Walgrave: ...Nie Ty pierwszy i nie ostatni mówisz nam o polskim **Hunterze**. Wielu wspomina również, jak ciężko odnaleźć informacje na nasz temat w Internecie lub wyszukać nas na YouTube czy Spotify. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ktoś przed nami musiał już tak się nazwać. Szyld **Hunter** doskonale pasuje jednak do obranej przez nas konwencji oraz do tematów poruszanych w naszych lirykach. Cóż, tytułem wstępu chciałbym powiedzieć, że jesteśmy metalowymi muzykami, grającymi wspólnie od początku obecnego millenium. Jako **Hunter** od 2016 roku staramy się tworzyć heavy metal w najbardziej tradycyjnym tego terminu znaczeniu. Nie pasujemy do żadnego podgatunku. To po prostu metal. Początkowo zamierzaliśmy stosować półtoraroczne okresy pomiędzy kolejnymi albumami, ale nie doszło do realizacji tego zamiaru i dziś nie czujemy już presji, by mu sprostać.

Foto: Gino Van Loocker

Czy powiedziałbyś, że Hunter jest najbardziej dojrzałym zespołem ze wszystkich, w których kiedykolwiek grałeś?
Tak. Dojrzały w tym, jak traktujemy siebie nawzajem i jak piszemy razem utwory. Nasza dojrzałość tkwi w tym, że każdy świadomie pełni swoją rolę w pisanej przez nas muzyce. Nie mogę sobie wyobrazić, że jeden z nas zostałby zastąpiony przez kogoś innego. To byłby inny zespół, ponieważ miałby inne brzmienie, a to spowodowałoby, że pisalibyśmy inną muzykę. Wiele zespołów trapią dramaty i ego, a **Hunter** jest pierwszym wolnym od bzdur zespołem w mojej trzydziestoletniej karierze wokalnej.

Czy mógłbyś przedstawić mi reprezentowany przez Was fragment belgijskiej sceny heavy metalowej?
Belgijska scena metalowa ma dość bogatą historię. W latach osiemdziesiątych istniały takie kapele, jak **Cyclone**, **Killer**, **Ostrogoth**, **Warhead**, **Crossfire** i **Acid**. W latach dziewięćdziesiątych **Channel Zero**, **Enthroned** i **Ancient Rites** były dość dobrze znane. Kiedy myślę o bardziej współczesnych zespołach, wszyscy słyszeli o **Evil Invaders**. Możliwe, że również o **Serpant's Oath** i **Carnation**. Ale po latach osiemdziesiątych nie grało się u nas zbyt wiele heavy metalu, za wyjątkiem kapel **Double Diamond** i **Crusader**. Mnóstwo zespołów death i black metalowych, a teraz także folkowych i metalcore'owych itp., ale "tradycyjny heavy metal starej szkoły" - nie jest ich zbyt wiele. Przepraszam, jeśli o kimś zapomniałem, w Belgii w ciągu każdej dekady działa ponad 100 zespołów metalowych, co jak na tak mały kraj to dużo.

Jak bardzo flamandzka publiczność heavy metalowa różni się od walońskiej?
Początkowo chciałem powiedzieć, że w Walonii ludzie są bardziej zaangażowani w występ i żywiej w nim uczestniczą. Ale myślę, że we Flandrii też tak może być, wszystko zależy od tego, gdzie grasz i co tak naprawdę publiczność przyszła zobaczyć. Więc nie sądzę, żeby istniała duża różnica. Jeśli grasz w odpowiednim miejscu dla odpowiednich ludzi, wszyscy będą się dobrze bawić. Jeśli grasz na festiwalu i wszystkie inne zespoły to covery i tribute bandy, to bez względu na to, gdzie to jest, reakcja będzie inna.

Według notki prasowej, Hunter opowiada się przeciwko kategoryzacji podgatunkowej oraz stereotypom.
Nie chcemy deklarować, że np. "gramy speed metal", bo by nas to niepotrzebnie ograniczało. Nie chcemy doprowadzić do sytuacji, że wszyscy oczekują od nas wyłącznie jednej nuty. Zależy nam natomiast na zachowaniu wolności czerpania z szerokiego spektrum muzyki metalowej bez konieczności tłumaczenia się z dobieranych rozwiązań.

...ale niezależnie od nazwy miejsca, w którym zaplanowaliście koncert na 20 stycznia 2024 roku w Antwerpii, nie zamierzacie nagle grać dziecięcego rhythm 'n' bluesa?
(śmiech) "***Kid's Rhythm 'n' Blues Kaffee***" to tylko nazwa baru w Antwerpii. Nie jest duży i nie jest tylko metalowym barem, można w nim usłyszeć różne rodzaje muzyki. Ale to świetne miejsce do grania, publiczność jest gotowa na muzykę na żywo i na dobrą zabawę.

A jak skomentowałbyś niezaprzeczalny fakt, że w ramach każdej dziedziny sztuki style ewoluują w rozpoznawalnej trajektorii wraz z upływem czasu, jeśli nie w kontekście dekad, to na pewno na przestrzeni wieków? Bezprecedensowa globalizacja ostatnich czasów stoi na drodze dalszej ewolucji sztuki, czy wręcz nadaje jej impetu?
Słucham amerykańskiego black metalu i nie dowierzam, co słyszę. Brzmi jak black metal, ale wyraźnie wzbogacony specyficznym wpływem i znamieniem kulturowym. Nazywam to black metalem, bo pędzi na zabój i zgrzyta, jest zimne i brutalne. Ale ponieważ kompozytorem byli jacyś goście z amerykańskiej pustyni, to amerykańskie pochodzenie daje się we znaki. Uważam, że to niesamowicie ciekawe. Znamy Hindusa, który zajmuje się metalem w Indiach, a nie wpadłbyś na jego pochodzenie, gdyby nikt Ci nie powiedział. Czujesz jednak, że autor czuje metal jakoś inaczej. W każdym razie, globalizacja wzmacnia ewolucję stylów muzycznych i poszerza horyzonty. Dzięki Internetowi, zapoznaję się z ogromną liczbą zespołów z całego świata. Zdarza się, że kapela istnieje od lat osiemdziesiątych, ale tylko na swojej lokalnej scenie.

Bazując na swoich doświadczeniach, czy uważasz, że muzycy heavy metalowi są zachęcani do stawania się bardziej niezależnymi, kreatywnymi, dziwacznymi i innowacyjnymi jednostkami?
Myślę, że bycie dziwacznym przyciągnęło mnie do metalu, ponieważ tam byli inni dziwaczni ludzie. Jako dziecko bardzo lubiłem

Kiss i **Alice Coopera**, a kiedy death metal zaczął się rozwijać pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych, tak bardzo przypadł mi do gustu, że czułem się, jakbym w końcu wrócił do domu. Ja i kilku przyjaciół byliśmy kompletnymi odmieńcami społecznymi, ale odnaleźliśmy się w metalu i to jest jedna z największych zalet metalu. Banał i nuda, ale sama prawda. Nie wiem, czy metal czyni nas bardziej dziwacznymi, czy jesteśmy w metalu, bo już tacy byliśmy. To debata o tabula rasa. Ale tak, czuję też, że zawsze pełniliśmy tę rolę, w której musimy krytykować religię, politykę, popkulturę. A jak inaczej możemy to zrobić, niż udowadniając, że można to zrobić inaczej?

Skąd wiesz, że "Steel Panther wyróżnili Hunter jako jeden z najbardziej obiecujących zespołów w podziemnym heavy metalu"? Co czuliście, gdy otrzymaliście ich rekomendację?
Kilka lat temu zgłosiliśmy nasz debiutancki album do konkursu organizowanego przez **Steel Panther**, tak dla żartu. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się zbyt wiele. O dziwo, najwyraźniej wygraliśmy i chłopaki ze **Steel Panther** udostępnili nasz debiutancki album na Twitterze, mówiąc *"ci kolesie są dobrzy"* (śmiech). Dla mnie to duża pochwała, bo ci kolesie, nowatorscy czy nie, naprawdę potrafią grać i wiedzą co nieco o metalu. (śmiech).

Wasza dyskografia składa się głównie z dwóch longplay'ów: debiutu (2019) oraz "Rebel Angels Rise" (2023). Zdaje mi się, że debiut opowiadał historię Lorda Sotha z książek Dragonlance?
Raczej jego konceptem było ogólnie polowanie. **Lord Soth** z **Dragonlance** pojawia się tylko w jednym utworze z debiutu, pt. "***The Knight of The Black Rose***", który jest kontynuowany na najnowszej płycie w postaci "***The Knight of The Black Rose (Part 2)***".

O co chodzi z niezapomnianym, gościnnym występem w Larian Studios' Panel From Hell, podczas którego wykonaliście metalową wersję "Wheeping Dawn" z "Baldur's Gate 3" oraz "Knight of the Black Rose"?
Pracuję w studiu **Lariana**. Nasza gra "**Baldur's Gate 3**" już się ukazała, ale w tamtym momencie znajdowała się w fazie wczesnego dostępu na **Steam** oraz **GOG**. Co kilka miesięcy robimy update tej gry, a latem 2022 roku zaprezentowaliśmy klasę "**Barda**". Przy okazji każdego update'u organizujemy show on-line, podczas którego wyjaśniamy graczom detale i pokazujemy, jak wyglądają nowe funkcje. Nasza firma wiedziała, że śpiewam w zespole muzycznym, w związku z czym spytali mnie czy moglibyśmy zagrać jeden utwór z gry. Mieli przygotowany cały plan, w którym nasz gitarzysta rozrywa głowę aktora swoją gitarą. Wykorzystaliśmy również "***Knight of the Black Rose***", ponieważ doskonale pasuje do RPG. W przyszłości stworzymy "***Knight of the Black Rose (part 3)***".

Dość krótkie macie te longplay'e, trwają pół godziny lub krócej.
Nagrywamy, co mamy gotowe. Niektóre nasze utwory są ze sobą powiązane tematycznie, ale całe krążki nie stanowią konceptów. Skoncentrowaliśmy się na wydaniu fajnej muzyki, bez dorzucania wypełniaczy, z których nie bylibyśmy zadowoleni. Nie widzieliśmy też potrzeby, żeby czekać, aż skomponujemy więcej materiału.

Foto: Gino Van Lancker

Odniosłem wrażenie, że zadbaliście o to, aby nowy album był dopracowany na wielu różnych poziomach. Co zainspirowało Was do tak skrupulatnej pracy?
Dziękuję. Uważamy, że ważne jest, aby w pełni zoptymalizować czas spędzony w studiu i upewnić się, że jesteśmy zadowoleni z efektu końcowego. Chcieliśmy zrobić krok naprzód między tym albumem a naszym poprzednim, przynajmniej z perspektywy produkcyjnej. Myślę, że nam się to udało, choć mały zespół ma ograniczone zasoby, budżet i czas na nagranie i wyprodukowanie takiego albumu, a podczas gdy twórcza praca nigdy nie jest tak naprawdę skończona, powinniśmy dążyć do jak najlepszego efektu. Mieliśmy szczęście do ludzi, z którymi pracowaliśmy, np. do inżyniera dźwięku, miksera, masterera czy grafika. Mieliśmy też czas na dopracowanie utworów, niektóre z nich gramy już od trzech lat.

Komponujesz tylko w związku ze zbliżającą się sesją nagraniową, czy nieustannie?
Cały czas, przy czym nasze kompozycje są efektem pełnej współpracy całego kwintetu. Spowalnia nas to, ale właśnie dzięki wspólnemu działaniu numery **Hunter** brzmią jak brzmią. Wszyscy posiadamy różne punkty widzenia i odmienne pomysły. Ktoś proponuje riff i na jego podstawie cały zespół rozbudowywuje utwór.

Dlaczego ponownie nagraliście "Dominion" na "Rebel Angels Rise" i jak ten kawałek znalazł się w filmie o wyścigach motocyklowych "Rookie" (2021)?
Uznaliśmy, że jest to najmocniejszy, najbardziej rozpoznawalny utwór na naszym debiutanckim albumie i zdaliśmy sobie sprawę, że może skorzystać na ponownym nagraniu, skoro nasze brzmienie jest teraz lepsze niż dawniej. Nagraliśmy go więc ponownie jako bonus. Belgijska ekipa pracująca przy filmie "**Rookie**" skontaktowała się z nami kilka lat temu, aby zapytać, czy mogliby uwzględnić "***Dominion***" w ścieżce dźwiękowej. Szukali czegoś ciężkiego, ale oldschoolowego i przystępnego.

Interesujące, że już w utworze numer dwa na "Rebel Angels Rise", a mianowicie w utworze "the Forge", mamy do czynienia z końcem czasów. Czy podzielasz nadzieję, że koniec rzeczywistości postrzeganej przez pięć ludzkich zmysłów oznacza w rzeczywistości koniec iluzji? Skoro ludzie mogą wykrywać dźwięki w zakresie częstotliwości od 20 Hz do 20 kHz, to musi istnieć nieskończenie więcej muzyki, niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić?
Ludzie biegają ze znakami mówiącymi "koniec jest bliski" od zawsze. Co dekadę coś innego miało być naszym końcem. Myślę, że coraz bardziej się do niego zbliżamy i Ziemia wkrótce nas odrzuci. Często śpiewam o apokalipsie i o śmierci. To może być metalowy banał, ale najwyraźniej to właśnie zajmuje mój mózg. Nie wierzę w ideę "życie może być programem komputerowym", ale równie dobrze może być iluzją. Najbardziej obawiam się, że nigdy nie usłyszę tego jednego albumu, który na pewno bym pokochał, bo na świecie istnieje zbyt wiele muzyki.

Sam O'Black

PS: Podziękowania dla Grzegorza Cygi za pomoc przy tłumaczeniu odpowiedzi na pytanie o grę "Baldur's Gate 3".

SPECTRE

Radość i satysfakcja

Australijski Spectre nie jest jeszcze szerzej znany, ale po wydaniu debiutu "Lonesome Gambler" przez Dying Victims Productions ten stan rzeczy powinien ulec zmianie. "Lonesome Gambler" to formalnie EP, ale w wersjach kompaktowej i kasetowej zawiera aż pięć utworów dodatkowych, co daje blisko 40 minut muzyki - lider grupy Will Spectre opowiada czyj był to pomysł i zdradza swoje plany na przyszłość.

HMP: Kiedy przychodziliście na świat tradycyjny heavy metal właśnie ustępował pola jego bardziej ekstremalnym odmianom, ale muzyczne mody i trendy zdają się nie mieć dla was żadnego znaczenia, po prostu gracie to, co uwielbiacie i tylko to się liczy?

Will Spectre: Piszę i nagrywam własną muzykę z różnymi zespołami od jakichś 20 lat i zawsze po prostu pisałem utwory, których lubię słuchać, na podstawie moich umiejętności w danym momencie. Kiedy zaczynałem, miałem obsesję na punkcie doom metalu, który był chyba wtedy modny; rzeczy takie jak **Reverend Bizarre** były znane w podziemiu, ale nawet wtedy grałem tego rodzaju muzykę tylko dlatego, że ją kochałem i chciałem się w nią w pełni zanurzyć. Interesuję się wieloma różnymi stylami muzycznymi i prawdopodobnie dlatego na przestrzeni lat grałem w tak wielu zespołach. Nie jestem pewien, dlaczego czuję potrzebę tworzenia własnej muzyki, którą lubię. Myślę, że to mandala, w którą wolałbym się zbytnio nie zagłębiać.

Foto: Spectre

Nietrudno zauważyć, że najbardziej fascynuje was ciężka muzyka z przełomu lat 70. i 80., kiedy zainspirowane dokonaniami gigantów hard rocka młode zespoły zaczynały tworzyć coś własnego, choćby nurt NWOBHM w Wielkiej Brytanii - działo się wtedy tyle, że źródeł inspiracji wystarczy dla każdego?

Bardzo interesuję się tym okresem w heavy metalu i hard rocku. Uwielbiam połączenie tego, co było wcześniej, wspaniałych i przesuwających granice dźwięków z lat 70. z ostrzejszymi brzmieniami, które pojawiły się na początku lat 80. Uwielbiam zespoły takie jak **Saracen**, **Quartz**, **Hell**, **Truffle** itp., które świetnie wykorzystywały syntezatory, a także ciężkie gitarowe riffy. Myślę też, że estetyka tej ery jest trudna do przebicia: proste, ale skuteczne projekty, fajne zdjęcia zespołów, zabójcze loga itp. To jest właśnie to! Myślę, że to trochę dziwne czuć nostalgię do czasów, które istniały, zanim jeszcze się urodziłem, ale tak właśnie czuję.

Dostrzegam tu podobieństwa nie tylko muzyczne, bo jak wiele debiutujących grup z lat 70. i 80. zaczynaliście od singli - to dobry patent na start, bo niezbyt kosztowny, ale pomagający dotrzeć do tych najbardziej zaangażowanych w scenę, fanów kolekcjonujących jeszcze płyty?

Poniekąd tak. Uwielbiam ideę prostego oświadczenia złożonego przez zespół jako siedmiocalowy singiel - dwie lub trzy piosenki, które oddają istotę chwili, w której zostały nagrane. Było to oczywiście wielką rzeczą we wczesnych latach 80. z tymi niezliczonymi wspaniałymi singlami pochodzącymi z Wielkiej Brytanii, Szwecji itp., ale mam też wielki podziw dla zespołów, które kontynuowały to długo po tym, jak stało się to wykonalnym lub skutecznym sposobem dystrybucji muzyki. Myślę o japońskich zespołach metalowych w latach 90., jak **Gorgon**, **Magnesium**, **Headlight**... Ci kolesie są zajebiści! Udało im się stworzyć bardzo fajną atmosferę ciemności i przekonania o własnej wartości, wydając muzykę w taki właśnie sposób.

Trzymacie też jednak rękę na pulsie, dlatego "Hard Attacks" to tak zwany digital single - nie mieliście numeru na stronę B, dlatego ukazał się tylko w sieci?

Zarówno "**Hard Attacks**", jak i "**Silver Invaders/Stand Alone**" zostały pierwotnie "wydane", jeśli tak to można nazwać, jako CD-R, które rozdawałem za darmo ludziom, którzy zamawiali coś w wytwórni płytowej, którą wówczas prowadziłem. Owa wytwórnia i sklep są nadal aktywne, ale nie w takim stopniu jak wtedy, bo moja własna muzyka i inne zobowiązania mają obecnie pierwszeństwo. Umieściłem "***Hard Attacks***" w sieci, ponieważ miałem wiele próśb od ludzi, którzy pytali jak mogą go posłuchać. Nie jestem zwolennikiem klasyfikowania utworu na Bandcampie jako cyfrowego singla, nie sądzę, by to określenie wiele znaczyło. Tak naprawdę nie istniało, dopóki Discogs i Metal Archives nie zaczęły klasyfikować ich jako prawdziwych wydawnictw. Dla mnie prawdziwe wydanie to coś, na co można wylać piwo podczas słuchania z przyjaciółmi, a nie coś, co istnieje tylko na serwerze i może zniknąć, jeśli ktoś zapomni opłacić subskrypcję Amazon Web Services.

Święte słowa! W erze przedinternetowej najwięksi rocka byli dla fanów postaciami nierzadko mitycznymi, które po koncercie natychmiast wsiadały do limuzyn i odjeżdżały. Teraz wszystko wygląda inaczej, każdy może napisać w sieci do swego idola, skontaktować się z nim w taki czy inny sposób - jest łatwej, ale nie ma już w tym tej dawnej magii.

Myślę, że wiele z mistycyzmu dawnych czasów zostało utraconych w czasach natychmiastowej gratyfikacji, w których obecnie żyjemy. Oczywiście korzystanie z nowoczesnych środków komunikacji ma swoje miejsce i stało się niezbędnym sposobem działania w dzisiejszych czasach i chociaż zawsze jestem wdzięczny i doceniam, że fani docierają do mnie, tak naprawdę nie lubię angażować się w media społecznościowe. Dla mnie jest to dość cyniczny model, który traktuje fanów jako paliwo do zwiększania "zasięgu" artystów, zwiększania zaangażowania, aby więcej osób zobaczyło twoją stronę na Instagramie lub cokolwiek innego - to z kolei traktuje obie strony jako produkt, który jest sprzedawany firmom reklamowym i marketingowym. Taka jest prawdziwa funkcja wszystkich mediów społecznościowych. Gdyby technologia istniała w tamtych czasach, nie wyobrażam sobie zespołów takich jak **Black Sabbath** wskakujących na TikToku i mówiących rzeczy w stylu "*oto zabawne wideo Billa - wymień swoich ulubionych perkusistów w komentarzach*" - o nie, nie, to naprawdę zbyt groteskowe, by nawet o tym myśleć. Rozumiem, że tak to dziś działa, ale osobiście wolałbym

mieć z tym jak najmniej wspólnego. Spotkam się więc z ludźmi w połowie drogi i staram się odpowiedzieć, jeśli ktoś wyśle mi e-mail!

Niedługo stuknie wam siedem lat istnienia, więc jak na tak dość długi okres raptem pięć piosenek to niezbyt wiele - stąd pomysł, żeby wydać w końcu coś dłuższego, ale stanęło na EP, czyli etapie pośrednim między singlem a albumem?
Zawsze pisałem muzykę dla **Spectre**, gdy czułem do tego inspirację. Nigdy tak naprawdę nie miałem sprecyzowanego celu co chcę osiągnąć z tym zespołem; jest to dla mnie głównie ujście dla możliwości zamknięcia się w moim studiu i nagrywania. Myślę, że pewnego dnia nagram album, jeśli piosenki będą nadal powstawać i będzie mi się to podobać, ale niekoniecznie jest to moim celem. Może następnym wydawnictwem będzie kolejna siedmiocalówka, split, EP-ka lub pełny, 40-minutowy album. Czas pokaże!

Wytwórnia Dying Victims Productions firmowała wcześniej wasze 7" single, w tym również split z Tension, tak więc bez wahania oddaliście w jej ręce EP "Lonesome Gambler"?
Tak, **Dying Victims** jako pierwsi usłyszeli o moim pomyśle nagrania EP-ki, więc bardzo się ucieszyłem, gdy byli podekscytowani tym pomysłem i zaproponowali mi jej wydanie. To świetna wytwórnia, która koncentruje się na wysokiej jakości wydawnictwach i przykłada dużą wagę do drobnych szczegółów wszystkiego, co wydaje. Wspaniale było obserwować, jak przez lata rozwijali się i stali się tym, czym są dzisiaj.

Wcześniej byliście jednoznacznie zespołem metalowym, nowe utwory, na przykład "Turning The Wheel", mają zaś więcej elementów charakterystycznych dla rocka progresywnego - to zapowiedź waszego przyszłego kierunku, stylu, który chcecie rozwinąć?
Jak wspomniałem wcześniej, nie jestem zafiksowany na **Spectre** jako jednym konkretnym stylu i nie jestem pewien, co przyniesie przyszłość. Myślę, że chciałbym na następnym wydawnictwie spróbować czegoś innego, ponieważ lubię zespoły, które potrafią zmieniać style, zachowując przy tym własną tożsamość. **Black Sabbath**, **Manilla Road** i **Blue Oyster Cult** są tego dobrymi przykładami, tej powolnej ewolucji od jednego brzmienia do drugiego, ale zawsze od razu można powiedzieć, kto to jest. W tej chwili myślę, że na następne wydawnictwo chciałbym spróbować czegoś nieco cięższego, z bardziej surową produkcją... Może coś, jak pierwszy album **Dark Quarterer**, chociaż są to wzniosłe wyżyny, do których można sięgnąć. Powiedziawszy to, jestem miłośnikiem podłączania kabli i kręcenia gałkami na syntezatorach, więc jestem pewien, że na następnym nagraniu wciąż będzie trochę syntezatorów!

Słychać też, że bardzo dużą wagę przywiązujecie do melodii, tak jak te wszystkie klasyczne zespoły sprzed lat - to nie sztuka zawrzeć w jednym utworze ileś riffów czy motywów, trzeba zapewnić mu również spoiwo, dające jednocześnie słuchaczom szansę na zapamiętanie tej piosenki?
Myślę, że dobry motyw muzyczny jest bardzo ważny dla tego rodzaju muzyki, wręcz niezbędny. Dla mnie dobra, zapadająca w pamięć, melodia jest tak samo skuteczna w przekazywaniu emocji i uczuć jak tekst, jest więc czymś, co zawsze jest na pierwszym planie, gdy piszę piosenkę. Według mnie melodia pomaga opowiedzieć historię utworu, a jeśli jest wystarczająco chwytliwa, pozostanie ze słuchaczem na długo po ostatniej nucie.

"Lonesome Gambler" w wersjach kompaktowej i kasetowej to swoiste the best of Spectre, ponieważ zawierają one pięć utworów bonusowych, znanych już z waszych wcześniejszych singli. To pomysł wasz czy wytwórni, żeby mieć na jednej płycie cały dotychczasowy dorobek, jednocześnie dać szansę posiadania ich na fizycznym nośniku tym, którzy w pierwszych latach istnienia zespołu jeszcze was nie znali?
To był pomysł wytwórni, aby dołączyć nasze poprzednie utwory jako bonusy, myślę, że to fajny pomysł, ponieważ nie każdy lubi kupować siedmiocalówki, zwłaszcza w dzisiejszym świecie, w którym ceny przesyłek międzynarodowych są bardzo wysokie. Pomimo tego, że utwory zostały nagrane w różnych sesjach i są w różnych stylach, myślę, że całkiem dobrze do siebie pasują i zapewniają ciekawe spojrzenie na ewolucję naszego dotychczasowego brzmienia. Zleciliśmy **Temple of Disharmony** remastering starszych utworów, aby brzmiały spójnie i pasowały do siebie; jak zawsze wykonali świetną robotę, sprawiając, że są głośne i mocne, zachowując jednocześnie dynamikę tych nagrań.

Wygląda na to, że Spectre to wciąż projekt - takie było twoje założenie, czy też nie udało się zwerbować pełnego składu i działacie we dwóch niejako z konieczności?
Nie powiedziałbym, że to z konieczności, po prostu lubię tak pracować. **Spectre** to ostatni zespół, w którym w zasadzie wszystko robię sam, więc miło jest mieć możliwość pracy w ten sposób. Z reguły piszę piosenki z zarysowaną gitarą basową, a następnie pokazuję je **Dave'owi**, który wymyśla jakiś fajniejszy bas w swoim stylu. Chciałbym jednak w przyszłości zatrudnić innego perkusistę, kogoś bardziej kompetentnego ode mnie, kto byłby w stanie wymyślić bardziej interesujące partie perkusyjne, myślę, że dodałoby to zespołowi nowego wymiaru. Gwiazdy ustawiły się w jednej linii i myślę, że następne wydawnictwo będzie zawierało ten bardziej poszerzony skład. Miejcie na to oko!

Wokalista Jake Glas zasilił was tylko gościnnie, czy też liczyliście na dłuższą współpracę, ale nie doszło do jej kontynuacji i skończyła się ona na jednym singlu?
Uważam, że Jake ma obecnie najlepszy głos w heavy metalu. Dla mnie jest on jedyną osobą, która naprawdę oddaje ducha wokalistów z lat 70. i 80., którzy śpiewają z prawdziwą pasją. Można to również usłyszeć na nagraniach, które nagrał z **Teuton** i **Outcast**, świetne rzeczy, których każdy powinien posłuchać. Mieszkamy w różnych stanach, co nieco utrudnia współpracę, ale mam nadzieję, że w przyszłości będziemy mogli ponownie pracować razem.

W studio to nie problem, gorzej jest przy ewentualnych koncertach - nie korci was, by znaleźć odpowiednich muzyków i wokalistę, i w końcu wypróbować ten materiał na żywo?
Tak bardzo, jak chciałbym zebrać pełny zespół i grać koncerty na żywo, nie jest to obecnie możliwe, ponieważ nie ma wystarczająco dużo godzin w ciągu dnia lub dni w tygodniu, aby to zrobić. W tym roku skupiłem się na nagrywaniu i miksowaniu nowego albumu **Tarot**, który był najbardziej angażującym projektem nagraniowym, nad jakim kiedykolwiek pracowałem. To będzie monstrualny album. Dużo ćwiczyliśmy, więc nie mieliśmy czasu na występy na żywo. Często to powtarzam, gdy mówię o Spectre: nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć w przyszłości, więc może pewnego dnia **Spectre** przyjedzie do twojego miasta!

Debiutancki album będzie waszym kolejnym celem, skoro to, co tworzycie cieszy się coraz większym zainteresowaniem fanów metalu z całego świata?
Jakkolwiek samolubnie by to nie brzmiało, moim jedynym celem związanym z **Spectre** jest radość i satysfakcja, jaką czerpię z pisania i nagrywania tych piosenek. Tak długo, jak dobrze się przy tym bawię, będę wydawał muzykę w dowolnej formie. Mam nadzieję, że innym również spodoba się to, co robię, a ja będę to robił tak długo, jak długo będzie mi towarzyszyć inspiracja!

Wojciech Chamryk & Szymon Paczkowski

DUNGEON

Coś szalonego i ciekawszego

Brytyjska scena metalowa nie jest już takim monolitycznym kolosem jak przed laty, ale wciąż jest w stanie wiele zaoferować. Jednym z jej młodszych stażem i zarazem ciekawszych reprezentantów jest londyński Dungeon, grający nieoczywisty speed metal. Gitarzysta Daragh Markham wyjaśnił nam dlaczego preferują krótsze materiały, nie lubią hipisów i wolą nagrywać w berlińskim bunkrze niż u siebie.

HMP: Wiosną roku 2018 wydaliście debiutancki MLP "Purifying Fire", po czym zrobiło się o Dungeon cicho. Na ile było to efekt tego, że udzielacie się również w innych zespołach, a ile dołożyła do tego pandemia, bo być może planowaliście kolejne wydawnictwo nieco szybciej?

Daragh Markham: Częściowo zawiniły nasze inne projekty, ale tak, pandemia zdecydowanie utrudniała nam pracę przez kilka lat. **Chris** i ja prowadziliśmy również bary rockowe i lokale, które jak wszyscy inni próbowaliśmy prowadzić w trakcie lockdownu, ponownym otwarciu, powrocie do lockdownu itp. To pochłaniało mnóstwo czasu i energii. Wszyscy ucierpieli podczas pandemii, ale Wielka Brytania była wtedy, i nadal jest, bardzo dziwnym, irytującym miejscem do życia. Nie musimy się w to zagłębiać, ale całe podejście do tego przez rząd spowodowało wiele stresu i zmęczenia psychicznego u wielu z nas. Tak jak mówię, pochłonęło to mnóstwo czasu i energii. W związku z lockdownem czuliśmy się też bardzo odsunięci od **Olivii**, która mieszka w Berlinie. Bardzo za nią tęskniliśmy, a dynamika zespołu zdecydowanie ucierpiała, ponieważ nie mogliśmy być razem przez kilka lat. Przez większość czasu naprawdę chcieliśmy wyrwać się z Wielkiej Brytanii i po prostu zostać z nią w Berlinie, pisać, żyć i oddychać **Dungeon** przez jakiś czas. Bardzo tęskniliśmy za trasami koncertowymi i generalnie za Europą. Ale oczywiście podróżowanie było ograniczone, finanse były napięte itp. Był to więc frustrujący czas. Na szczęście podczas pobytu w domu **Luke** był w stanie dużo pisać, co zaowocowało powstaniem "**Into The Ruin**".

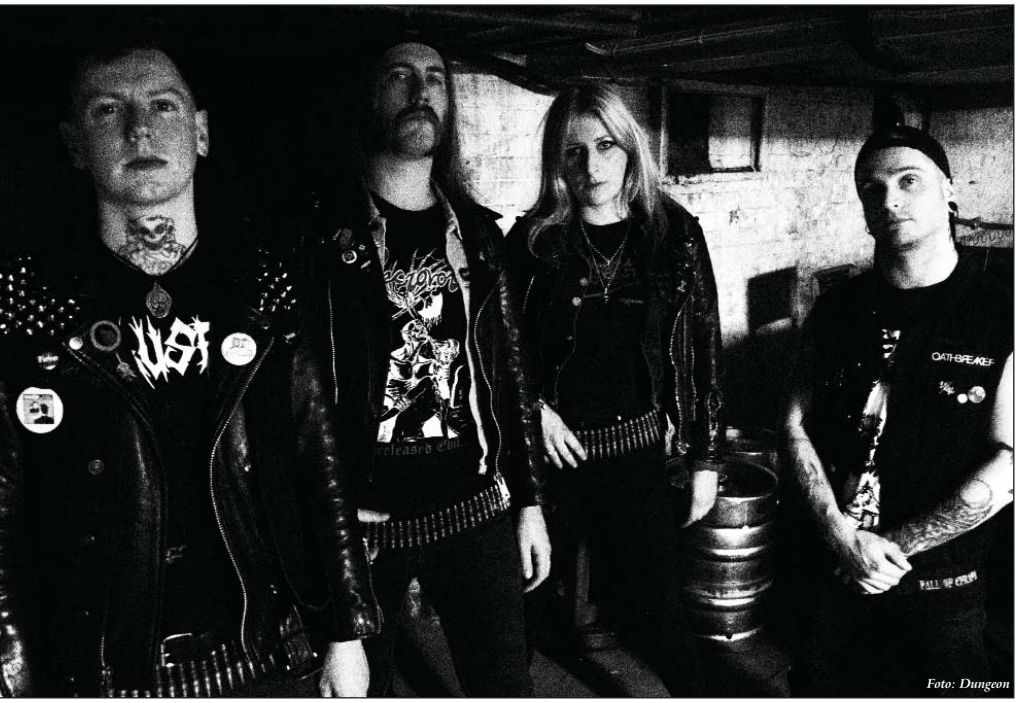
Foto: Dungeon

Nie masz wrażenia, że ten dziwny, pandemiczny czas przewartościował stosunek do muzyki nie tylko jej odbiorców, ale również twórców, bo wielu artystów miało różne blokady, nie mogło skupić się na tworzeniu, etc.?

Każdy zespół jest inny. Pod pewnymi względami utknięcie w domu było pozytywne - w końcu odpocząłem od pracy w barach i mogłem w pełni skupić się na gitarze i muzyce, po raz pierwszy od lat. I jak wspomniałem wcześniej, **Luke** był w stanie napisać mnóstwo tekstów. Ten czas wolny zdecydowanie uświadomił mi, że nie mogę dłużej poświęcać całego swojego czasu na gównianą pracę, że muszę bardziej skupiać się na muzyce, bo inaczej zwariuję. Pozytywną zmianą w nastawieniu było to, że ogólnie rzecz biorąc, ludzie ponownie docenili branżę artystyczną i eventową, nawet jeśli rządowi Wielkiej Brytanii było w zasadzie obojętne, czy te branże żyją, czy umierają. "*Pierwsza branża, która się zatrzyma, ostatnia, która wróci*", jak powiedzieliby weterani branży eventowej. Oczywiście brytyjscy artyści pracujący w sektorze publicznym w pełnym wymiarze godzin, według ostatnich raportów, nie zarabiają nawet płacy minimalnej, więc przed nami jeszcze długa droga w walce z wyzyskiem.

Rozumiem, że was to nie dotyczyło, czego efektem jest kolejny w waszej dyskografii MLP "Into The Ruins"?

Cóż, nie przejmowaliśmy się zbytnio czasem, woleliśmy udoskonalić (na tyle, na ile można to udoskonalić pod kątem naszego hałasu), niż spieszyć się z czymkolwiek w celu wydania kolejnej płyty. Naszą kontynuacją "**Purifying Fire**" zainteresowały się różne wytwórnie, a **Luke** miał już wiele napisanych tekstów, musieliśmy więc uzbroić się w cierpliwość, robić próby, kiedy tylko mogliśmy, dawać dziwne występy tu i tam, aż w końcu mogliśmy ukryć się w bunkrze w Berlinie i nagrać "**In The Ruins**".

To przypadek, czy też celowe działanie, że po kasetach demo wydajecie krótsze płyty, zdając sobie sprawę z tego, że słuchacze preferują takie wydawnictwa, albo więcej, mają streamingowe playlisty pojedynczych utworów i coś takiego jak album nie jest większości z nich potrzebny?

Tak naprawdę nie obchodzą nas nawyki ludzi co do słuchania albumów, te rzeczy przychodzą i odchodzą. U nas jest to bardziej praktyczne, że często nie mamy czasu lub logistyki, aby angażować się w pełnometrażowe materiały. Ale to zależy od tego, co uważasz za LP, bo "**Purifying Fire**" jest prawie tak długi, jak "**Reign In Blood**", a "**Into The Ruins**" jest dłuższy niż niektóre z najlepszych hardcore'owych albumów. (śmiech)

Można więc mówić o czymś takim jak stały zanik popularności albumowego formatu, czy to raczej chwilowa zadyszka, bo trudno wyobrazić sobie świat rocka bez długich wydawnictw, będących czymś więcej niż tylko zbiorem 8-10 przypadkowych numerów?

Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Słucham zespołów, które wydają 14-minutowe wydawnictwa i nazywają je albumami. Ale wiem, że twierdzenia gówniarzy pokroju **Gene'a Simmonsa**, którzy mówią, że "album rockowy umarł", są błędne - oni nie napisali przyzwoitego LP od dziesięcioleci i właśnie dlatego nikt nie zawraca sobie głowy nowym albumem wydanym przez nich, a nie dlatego, że "*Internet rujnuje uwagę ludzi*" lub cokolwiek innego, co myślą.

Debiutancki album będzie więc waszym kolejnym krokiem, a na razie skupiacie się na promowaniu "Into The Ruins"?

Czekamy najpierw na kolejną pandemię. Ale tak, na ten moment skupiamy się na "**Into The Ruins**".

"Nagasaki Sunrise" jako pierwszy singiel był waszym oczywistym wyborem? To według was kompozycja najbardziej reprezentatywna dla tego materiału i to od niej powinien zacząć was słuchać ktoś, kto nie miał jeszcze ku temu okazji?

To jeden z tych utworów, w których świadomie i wyraźnie wykorzystaliśmy blasty. Kiedy zagraliśmy go na żywo po raz pierwszy na **Desertfest** w zeszłym roku, otwierając nim set, rozerwał ludziom pieprzone głowy. Uznaliśmy więc, że będzie to dobry utwór otwierający

"Into The Ruins".

Poranek, a właściwie przedpołudnie, 9 sierpnia 1945 roku w Nagasaki, apokalipsa i hekatomba w jednym. Dlaczego odnieśliście się w "Nagasaki Sunrise" właśnie do tego drugiego atomowego ataku Stanów Zjednoczonych na Japonię, nie do wcześniejszego na Hiroszimę? Poruszyła was jego bezsensowność i zarazem niezrozumiała postawa japońskiego rządu, który zlekceważył możliwość kolejnego uderzenia tego typu, kładąc na szali życie kolejnych kilkudziesięciu tysięcy Japończyków?

Wszyscy zawsze wspominają Hiroszimę, ponieważ było to pierwsze użycie bomby atomowej i oznaczała poważną zmianę w technologii, działaniach wojennych, polityce i moralności. To nic innego jak zbrodnia wojenna i przerażający przełomowy moment we współczesnej historii. Hiroszima rzuciła cień na Nagasaki. Ale Nagasaki było równie niszczycielskie, choć zwykle jest pomijane. Po zapoznaniu się z wynikami Hiroszimy wielu Amerykanów, zarówno polityków, wojskowych, jak i cywilów, było przeciwnych kolejnemu takiemu atakowi; wielu zaangażowanych w Nagasaki, a także Hiroszimę, później żałowało, że tak pochopnie i bezwzględnie zrzucono drugą bombę. To nie była tylko bezsensowna decyzja japońskiego rządu. Ameryka stworzyła, rozwinęła i wykorzystała bombę i nie była usatysfakcjonowana jednym okrucieństwem. Jeśli ktoś chce argumentować, że Hiroszima była konieczna, aby sparaliżować Japonię i zakończyć wojnę, która prawdopodobnie przeciągnęłaby się znacznie dłużej i kosztowała niezliczoną liczbę istnień ludzkich, istnieje linia myślenia, która się do tego stosuje, bez względu na to, jak możemy nie zgadzać się z użyciem broni jądrowej. Ale nie ma i nie było żadnego uzasadnienia dla Nagasaki.

Widać też, że demony przeszłości wciąż naznaczają nasze współczesne życie, bo w trzeciej dekadzie XXI wieku świat wciąż nie jest wolny od zbrojnych konfliktów, a wojna obecnie toczy się nawet w Europie, co zakrawa już na paradoks?

Przeszłość jest stała i czeka na każdym rogu, by kopnąć cię w dupę, jeśli na to pozwolisz. Historia jest ważna. I tak długo, jak podtrzymujemy imperialistyczne rządy, czy to Rosji, czy USA, i przestrzegamy arbitralnych linii na mapach sporządzonych przez polityków, konflikt będzie nieunikniony. Z pozoru wojna we współczesnej Europie może wydawać się paradoksem. Ale Europa nie uporała się w pełni z problemami faszyzmu i tyranii kapitału. Nie potrzeba wiele, by pojawił się populistyczny, prawicowy przywódca, jak dzieje się to obecnie na całym świecie, i wysłał młodych ludzi na śmierć w bezsensownych wojnach.

Jesteście klasyfikowani jako zespół grający speed metal, ale słyszę w waszej muzyce znacznie więcej wpływów i odniesień - wczesny black, thrash, tradycyjny heavy, ale też punk/D-beat też były dla was ważne i inspirujące?

Kiedy zespół zaczynał, chcieliśmy grać bardziej jak **Razor** i wczesne **Bathory**. W miarę rozwoju wnieśliśmy o wiele więcej metal/punkowych wpływów, D-beatu i tym podobnych. Na "**Unholy Speed Attack**" dzięki grze **Chrisa**, na samym początku, mieliśmy D-beat. Thrash, black, death i heavy metal to podgatunki, które wszyscy lubimy, no może z black metalem to przesada (śmiech), podobnie co do punka, hardcore'a, crusta itp. Ścisłym punktem odniesienia dla naszych inspiracji jest nieświęta brytyjska trójca **Venom**, **Discharge** i **Judas Priest**. Szybko zdaliśmy sobie sprawę, że bylibyśmy bardzo znudzeni, gdyby **Dungeon** siedział tylko w jednym gatunku lub stylu, więc podchodzimy do utworów w sposób, który uważamy za interesujący, a nie zbyt hołdowniczy lub pastiszowy. **Luke** może mieć prawdziwy black lub deathmetalowy riff, ale **Chris** podłoży pod niego mniej przewidywalny rytm, ja spróbuję zgrać **Anti Cimex** z leadami, a **Olivia** zrobi najbardziej paskudną linię basu, jaką kiedykolwiek słyszałeś. Wtedy to wszystko staje się **Dungeon**.

Gracie zwykle w małych klubach czy pubach - możliwość zaistnienia podczas festiwalu, tak jak w ubiegłym roku na wspomnianym Desertfest, jest więc dla was czymś nie do przecenienia, daje bowiem szansę dotarcia do tej publiczności, która inaczej pewnie by o Dungeon nie usłyszała?

Foto: Dungeon

Przez lata graliśmy na wielu festiwalach, ale tak, festiwal doom/stoner, jak **Desertfest**, to zawsze dobry sposób na przerażenie niewtajemniczonych. Sala była wypełniona po brzegi, weszliśmy na scenę z głośnym sprzężeniem zwrotnym, ćwiekami i w skórach, ludzie nie byli pewni, czego się spodziewać. Krzyknęliśmy "*bongosy na bok, jebani hipisi!*" i rozpoczęliśmy maniakalny, destrukcyjny set, podczas którego ludzie z przodu dosłownie mówili "*Co to kurwa było?*", gdy schodziliśmy ze sceny. Chociaż prawdopodobnie dlatego, że gramy tak głośno, byli po prostu ogłuszeni. Ale niektórzy łaskawi palacze powiedzieli nam, że byliśmy najlepszym zespołem weekendu, co oczywiście było prawdą.

Raport ISM nie pozostawia złudzeń: blisko połowa brytyjskich muzyków z powodu Brexitu straciła część koncertów na kontynencie, a jedna czwarta nie zagrała tam od tego momentu ani razu. Dla was wyższe ceny kosztów podróży czy formalności związane z przekraczaniem kolejnych granic też okazały się nie do przejścia, straciliście jakieś szanse pokazania się na przykład w Niemczech?

Brexit to żałosna, żenująca parodia i tak, artyści bardzo na tym ucierpieli. Wizy i karnety mogą być poważną przeszkodą. Kryzys kosztów utrzymania i ceny paliwa również nie pomagają budżetom tras koncertowych. Na szczęście nie przegapiliśmy zbyt wielu okazji z powodu Brexitu, właściwie to bardziej dlatego, że byliśmy zajęci pracą z innymi zespołami lub utknęliśmy w domu, pracując, aby przetrwać. Pod pewnymi względami niezależnym artystom jest trudniej, ale jeśli znasz odpowiednie metody DIY, nadal możesz koncertować. Przepaść w możliwościach wydaje się powiększać, między niezależnymi artystami, zespołami na średnim poziomie z odrobiną wsparcia, takimi jak wytwórnia lub bookerami tras koncertowych, a następnie głównymi artystami. Jak wspomniano powyżej, Brexit nie jest jedynym problemem, ale jest on znaczący i należy go zaniechać. "*Bollocks to Brexit*", jak mówimy tutaj.

W prasowej notce wytwórni jesteście opisani jako zespół brytyjsko/niemiecki, chociaż w składzie nie macie Niemców. Mam rozumieć, że niedawno przeprowadziliście się do tego kraju, a nie tylko zarejestrowaliście w Berlinie "Into The Ruins"?

Nie miało to sugerować, że jesteśmy brytyjsko-niemieccy, ale że stacjonujemy w Londynie i Berlinie. Powiedzieliśmy tak, ponieważ **Olivia** mieszka w Berlinie od pięciu, sześciu lat. Jej dom stał się drugim domem **Dungeon**. Kochamy Berlin. Za każdym razem, gdy go odwiedzamy, aby zobaczyć koncerty lub je zagrać, odżywamy duchowo. Wysiadamy z samolotu z Londynu i czujemy się, jakby spadł z nas ciężar. W powietrzu Berlina jest niezaprzeczalne, całkowicie wyczuwalne poczucie wolności. Zawsze spędzamy tam niesamowity czas, ludzie, kultura i możliwości są niezrównane. A potem, gdy tylko siedzimy w barze na lotnisku Schönefeld, na kacu i popijamy nasze ostatnie niemieckie piwa, bojąc się lotu powrotnego do Wielkiej Brytanii, powraca niewątpliwe przygnębienie.

Od pierwszego odsłuchu zwróciłem uwagę

na organiczne, bardzo naturalne i surowe brzmienie tego materiału, po czym we wspomnianej notce znalazłem informację, że nagraliście go w studio live, czyli na tak zwaną setkę. Było to dla was wyzwanie, czy wcześniej też już tak nagrywaliście?
Myślę, że pierwszy ze wszystkich trzech dni nagrywania był wyzwaniem, ponieważ dopiero co przyjechaliśmy do Berlina, zjednoczyliśmy się i poważnie upiliśmy, a potem musieliśmy zacząć nagrywać cały zespół na żywo, chociaż wokale, dogrywki gitarowe i solówki zostały na szczęście dodane w późniejszych dniach. Często nagrywaliśmy w ten sposób ścieżki perkusji i gitary prowadzącej, ale nigdy w pełnym składzie. Ale było to coś, co wszyscy uznaliśmy za potrzebne, aby właściwie uchwycić w nagraniu naszą niesamowitą energię na żywo. Niektóre fragmenty utworów były trudne, ale było to wspaniałe doświadczenie i coś, co powinniśmy byli zrobić już dawno temu. **Max**, producent/inżynier, okazał się nieocenionym dodatkowym zestawem uszu, ponieważ słyszał rzeczy, których my nie słyszeliśmy, więc skupiliśmy się na tym, żeby niczego podczas grania nie spieprzyć. Jego osłuchane uszy podniosły poziom nagrań z tego, co mogło być fajne, ale niechlujne, do ciekawszego i szalonego.

To wasz kolejny hołd dla czasów świetności metalu z lat 80., a zarazem chęć stworzenia pod każdym względem spójnej całości, bo nie ma nic gorszego od sytuacji, kiedy brzmienie nie pasuje do muzyki, jest zbyt syntetyczne, za nowoczesne, czy po prostu nienaturalne?
Nie zależy nam na dniach chwały ani świadomym składaniu hołdu czemukolwiek, pomimo naszych dobrze znanych wpływów. Ale tak, nie ma nic gorszego niż dźwięk nagrania niepasujący do stylu i intensywności występu. Co do "**Into The Ruins**", myślę, że w końcu wydaliśmy ostateczną metal/punkową deklarację **Dungeon**, a duża część tej deklaracji polega na uzyskaniu dźwięku, dzięki **Maxowi**, który pasuje do zespołu i jego gry w tym momencie historii **Dungeon**.

Preferujecie krótsze i zwarte kompozycje, ale nie unikacie też dłuższych i bardziej rozbudowanych. Na "Into The Ruins" jest to przekraczający sześć minut numer "Beneath The Church" - lubicie zrobić coś nieoczywistego, pokazać, tak jak Venom na trzecim LP, że stać was na więcej?
Szczerze mówiąc, osobiście wolę krótsze i bardziej zwarte kompozycje (śmiech). Przyznaję, że zajęło mi trochę czasu, aby zrozumieć "**Beneath The Church**". Ale **Luke** powtarzał nam: "*Bądźcie cierpliwi, zrozumiecie, kiedy wszystko połączy się w całość*". I w Berlinie, kiedy słuchaliśmy nagrań, w których po raz pierwszy usłyszeliśmy wokale do tego utworu, po tym, jak kompozycja była tworzona przez ponad dwa lata, rzeczywiście w końcu zrozumiałem. Ale ten utwór nie jest po to, by pokazać, że możemy dać z siebie więcej, to po prostu odzwierciedlenie tego, jak bardzo twórczość **Luke'a** rozwinęła się i ewoluowała To szalona kompozycja ze zwrotami akcji, ale jest to zdecydowanie kawałek **Dungeon**.

Wojciech Chamryk &
Szymon Paczkowski

Foto: Under Attack

HMP: Co słychać dwa miesiące po premierze "Fury of the Thunder God"?
Björn Thorup: Mamy się dobrze. Próbujemy zgrać się z naszą nową sekcją rytmiczną. Nowy skład zapowiada się obiecująco.

Przyjęliście Martina Karlssona na stałe?
Pytaliśmy **Martina Karlssona**, bo grał na perkusji na "**Fury of the Thunder God**", ale odpowiedział, że nie ma czasu na nic poza swoim innym zespołem. Zbyt dobry z niego kolega, żeby pozostawił znajomych na lodzie - w efekcie akceptuje wszystkie propozycje lokalnych formacji, nawet jeśli brakuje mu czasu na pełne zaangażowanie. Poza tym, zazwyczaj woli grać na basie, a nie na perkusji. W międzyczasie **Kristian Wallman** z zespołu **Lechery** próbował z nami grać na perkusji, ale to nie wypaliło. Potrzebujemy dobrze się ze sobą dogadywać, chcemy żeby każdy muzyk **Under Attack** był w stanie nauczyć się własnych partii instrumentalnych z całej płyty. Następny album może okazać się wolniejszy, jeszcze nie wiemy jaki będzie, ale wszyscy muzycy muszą sobie z nim poradzić. Na chwilę obecną odbywamy próby z dwoma nowymi osobami, więc skład jest kompletny. Nie ogłosimy więcej szczegółów personalnych na ich temat, dopóki nie będziemy mogli zaoferować nowego materiału do posłuchania.

Czy uważasz Under Attack za Twój główny zespół?
Tak. Przynajmniej dzisiaj. Mój drugi zespół **Nidhöggr** nie jest ostatnio zbyt aktywny, bo brakuje mu perskusisty, ale również istnieje.

Co możesz powiedzieć o każdym z członków Under Attack? Kim jesteście? Jak się odnaleźliście i jak się ze sobą dogadujecie?
Zacząłem to lata temu z moim starym kolegą **Gustafem** z zespołu **Styggelse**, aby wykorzystać riffy i pomysły, które nie pasowały do naszego ówczesnego zespołu. Nie traktowaliśmy **Under Attack** zbyt poważnie, ale czekaliśmy długo z nagraniem dema. Uznaliśmy, że fajnie coś zrobić bez umawiania się na konwencję prawdziwego zespołu. Kilka lat później spróbowałem zebrać pełny skład, ale nie wyszło tak, jak chciałem. Nagraliśmy demo zatytułowane "**Wither in Darkness**" (2014). Potem zostałem sam w **Under Attack** i minęło jeszcze kilka lat, zanim obecny gitarzysta **Niklas Mattisson** dołączył. **Niklas** jest naprawdę dobrym muzykiem i cieszę się, że jest ze mną. Obaj jesteśmy już po czterdziestce i znamy się od lat dziewięćdziesiątych. Dobrze nam się współpracuje. Naszym wokalistą jest **Lars Hietala**. Dołączył po nagraniu "**Where the Axeman Laughs**" (2019), czyli drugie demo przyniosło pozytywny efekt. **Lars** pomagał wcześniej z wokalami mojemu drugiemu zespołowi **Nidhöggr**. Widocznie przeznaczone jest nam, aby wszyscy wokaliści, z którymi działamy, mieszkali w Grängesbergu, czyli daleko od reszty. Ale póki co nie stanowi to problemu. **Lars** posiada domowe studio, w którym rejestruje swój wokal i wysyła go do mnie, w związku z czym pozostaje aktywny bez częstych podróży. Jesteśmy zupełnie innymi ludźmi, ale spotykamy się przy tym, co wszyscy kochamy, czyli przy heavy metalu. Reszty składu nie przedstawiam. Trzymamy to na razie z dala od publicznej wiadomości.

Czy identyfikujecie się z göteborgską sceną?
Nie przepadam za göteborgskim brzmieniem ani za melodyjnym death metalem. Wyjątkowo coś mi się spodoba. Ale pod względem geograficznym, jak najbardziej tak. Göteborg ma więcej do zaoferowania niż tylko typowe brzmienie, z jakim miasto jest powszechnie kojarzone. Uwielbiam uczestniczyć w lokalnych koncertach. Nie mieszkamy od miasta zbyt daleko - w razie potrzeby możemy się do niego

UNDER ATTACK

Furia grzmiących bogów

Czasami fajnie wyszukać sobie jakiś niepozorny zespół, który z pasją gra surowy heavy/speed/thrash metal w piwnicy. Szwedzki gitarzysta i współzałożciel Under Attack udzielił nam wywiadu w związku z premierą debiutanckiej płyty "Fury of the Thunder God".

dostać w ciągu godziny.

Głos Waszego wokalisty, Larsa Hietali, przypomina mi trochę głos Olli'ego Kärki z fińskiego zespołu Coronary. Czy podobieństwo może wynikać z jego akcentu?
Nie mam pojęcia, czy **Lars** kiedykolwiek mieszkał w Finlandii, ani czy rozmawia po fińsku z członkami własnej rodziny. Jeśli tak, to może coś w tym być (śmiech). Na pewno teraz nie mieszka w Finlandii. W rzeczywistości nie znamy się osobiście, poza współpracą nad utworami.

Co w praktyce oznacza, że koncerty są Waszym głównym celem? Z jakimi zespołami chciałbyś dzielić scenę?
Od czasu założenia **Under Attack** w 2012 roku nie wyszliśmy na scenę ani razu. Nigdy. Musimy dopiero przygotować się do przyjmowania ofert i grania na żywo. Na tym się skupiamy. Nawet jeśli jednocześnie pracujemy nad drugim albumem. Mógłbym zagrać koncert z wieloma zespołami. Na myśl przychodzą mi teraz: **Ram**, **Portrait**, **Armory**, **Bullet**, **Stormdeath**, **Assassins Blade**, **Gauntlet Rule** i **Warhawk**, ale jest ich zbyt wiele, aby je wszystkie wymienić. A przecież istnieje wiele świetnych zespołów również poza Szwecją, np. **Vulture** z Niemiec. Oni są kulą do niszczenia. Chciałbym zagrać z nimi kilka koncertów.

Zanim przesłucham całą Waszą płytę, sprawdziłem tytułowy numer "Fury of the Thunder God". Czy to Wasz hołd dla Manowar?
Cóż, równie dobrze może być hołdem dla **Manowar**. **Niklas** ją napisał, ale ja również czuję, że pochodzi z mojego serca. Chciałbym im to zadedykować, ale nie jestem pewien, co myśli **Niklas**. Bardzo lubię ich muzykę.

Ale gdy już wysłuchałem całej płyty, uświadomiłem sobie, jak wiele jest w niej old schoolowego speed metalu. Wychodzi na to, że uwielbiacie podejście "szybciej, głośniej, dziczej"?
Tak. W ogóle, **Under Attack** miał być na początku tributem do kanadyjskiej szkoły speed metalu, a więc dla zespołów pokroju **Exciter**, **Razor**, **Anvil**, itp. Ale w praktyce zbyt wiele dobrej muzyki mnie inspiruje, żebym ograniczał się do tylko jednego kierunku. **Under Attack** jest tym czym jest. W znacznej mierze odzwierciedla, czego sam na co dzień słucham, czyli speed, thrash, heavy metal. Swoją drogą, wszystko i tak ostatecznie gramy szybciej, niż początkowo planowaliśmy. Gdy zwalniam, czuję utratę energii, więc pędzimy na złamanie karku.

Styl Waszych partii instrumentalnych przywodzi mi czasami na myśl kapitalny kolumbijski zespół Revenge. Czy oni również Ciebie inspirują?
Nie słuchałem nigdy **Revenge** na tyle intensywnie, by uznać ich za swoją inspirację. W każdym razie, jeszcze nie miałem na nich fazy. Możliwe, że teraz się to zmieni. Ojacie... Nieźle wymiatają.

O czym jest "Where the Axeman Laughs"?
Uwielbiam filmy "**The Chainsaw Massacre**", "**The Hills Have Eyes**", itp. "**Where the Axeman Laughs**" to moja własna historia z podobnym motywem. Kiedyś nasz poprzedni basista, **Anders Hvitman**, po prostu odciął głowę swojemu kogutowi, więc wypadało użyć jego zakrwawionego topora w charakterze demonstracji. Pisałem teksty, kiedy to się stało, stąd siekiera. Tekst opowiada o kimś, kto jedzie przez kraj i jest zagubiony, pytając kogoś o drogę, a następnie kończy jako kolacja dla obłąkanego gościa w lesie. Wzgórza mają oczy, jakże by inaczej.

Co wywołuje furię grzmiących bogów?
Furia grzmiących bogów jest metaforą intensywnego metalu. Nikt nigdy nie powinien uznawać metalu za umarły gatunek, bo w ten sposób chowa tylko głowę w piasek. Metal ma się świetnie i donikąd nie odchodzi.

Gdybyś musiał ułożyć wszystkie utwory z "Fury of the Thunder God" w kolejności od najmniej do najbardziej udanej, jakie przyjąłbyś kryteria?
Musiałbym przemyśleć wiele kryteriów: aranżację, energię, czy po prostu jak się przy czymś czuję... "***Meatgrinder***" jest dla mnie numerem jeden, bo idealnie wszystko podsumowuje. Tak powinna być napisany metalowy kawałek. Wszyscy się do niego przyłożyliśmy. Naprawdę trudno jest je uporządkować utwory **Under Attack** od najlepszego do najgorszego. Możesz mnie zapytać za około dziesięć lat.

Jak opisałbyś najlepszy kawałek Under Attack, który jeszcze nie został wydany?
Och, nie wiem, czy taki mamy. Cóż, mamy nowe. Kilka właśnie aranżujemy, ale żaden nie jest jeszcze ukończony. Mój własny opis debiutu też nie byłby do końca dokładny, bo zawiera więcej gniewu i szybkości niż zwykłego heavy metalu. W każdym razie, następny album będzie metalowy. Prędkość/ heavy metal.

Jak bardzo Wasz drugi longplay będzie się różnił od pierwszego?
Za wcześnie na to pytanie. Prawdopodobnie będzie on bezpośrednią kontynuacją pierwszego, jeśli w ogóle powstanie.

Sam O'Black

Foto: Under Attack

BLESSED CURSE

Żadnych promili we krwi

Derek Bean - perkusista thrashowego Blessed Curse to człowiek dość wygadany. Dokładnie opowiedział nam o powstaniu nowego dzieła tej kapeli noszącego tytuł "Pray For Armageddon", co nieco o historii tego bandu oraz o tym, że rockendrollowy styl życia wcale graniu nie służy.

HMP: Cześć. Właśnie wydaliście swój drugi długogrający album zatytułowany "Pray for Armageddon". Poważnie spieszycie się na koniec świata?

Derek Bean: Na początek pragnę podziękować za chęć przeprowadzenia wywiadu z naszym zespołem. Jestem ogromnie wdzięczny za możliwość omówienia tej ważnej dla nas części naszego życia. Właśnie w piątek, 13 października tego roku wydaliśmy nasz drugi pełny album. Okazało się, że z wielu względów był to idealny dzień na premierę, ponieważ pewne motywy twórczości **Blessed Curse** idą w parze z serią horrorów związaną z tym samym dniem i zjawiskami nadprzyrodzonymi, które możemy w nim obrjrzeć. Tytuł "**Pray for Armageddon**" ma na celu wywołanie natychmiastowego skojarzenia z masową zagładą i końcem świata. Jest to częstym tematem pojawiającym się w twórczości wielu kapel metalowych. Nasza perspektywa jest taka, że jeśli świat w obecnym kształcie zostanie zniszczony, w jego miejsce powstanie coś nowego. Może być to szansa dla wszystkich ludzi, którzy są pokrzywdzeni przez system kierowany przez światowe mocarstwa.

Foto: Blessed Curse

Czy ten wilkołak na okładce jest czymś w rodzaju maskotki owego Armagedonu?

Okładka przedstawia naszą maskotkę **Larry' ego** (nazwanego tak w hołdzie dla wilkołaka Larry'ego Talbota z filmu "Wilkołak") wraz z dwoma innymi wilkołakami-prorokami dopełniającymi rytuału, który doprowadzi obecny świat do końca. Autor tej grafiki, **Marc Sasso** został również zatrudniony do stworzenia okładki naszego debiutanckiego albumu z 2012 roku, na której **Larry** również znalazł się w centralnym miejscu. Pomysł posiadania wilkołaka jako maskotki ma na celu kilka różnych rzeczy ponieważ wilkołak wiąże się bezpośrednio z nadprzyrodzonym światem horrorów. To były klimaty, w których **Tyler** i ja dorastaliśmy. Motyw wilkołaka w wielu opowieściach polega na tym, że dana osoba zostaje dotknięta klątwą wilka i przekształca się wbrew swojej woli w niszczycielską bestię o nieludzkich mocach. Zazwyczaj nie jest jednak tajemnicą, kim jest ta osoba. Ta idea idealnie pasuje do tego, co lubimy w horrorach, a także świetnie pasuje do charakteru grania szybkiej, intensywnej, głośnej muzyki. Ucieleśnienie esencji zespołu jest pokazane przez **Larry'ego**, który przynosi koniec znanego czasu i zapoczątkowuje nowy świat.

Jestem osobą fascynującą się zjawiskami paranormalnymi, zatem proponuję pociągnąć ten temat.

Teksty na płycie nawiązują do zjawisk paranormalnych, są one jednak wykorzystane do stworzenia dłuższej historii związanych z końcem czasów. Motyw ten pojawia się w takich utworach, jak "***Pray for Armageddon***", "***Graveyard World***", "***Into the Dark***" i "***Street Freaks***". Każdy z tych utworów jest częścią opowieści o Armagedonie wywołanym przez kapłanów, którzy chcą przyśpieszyć spełnienie się przepowiedni o końcu czasów i doprowadzają do upadku świata swoimi działaniami. Wynikająca z tego apokalipsa niszczy świat. Przeżywają tylko nieliczni.

Skąd wziął się pomysł na przerywnik w postaci numeru "Aftermath"? To doskonały moment wytchnienia od nawałnicy thrashowych riffów.

Pomysł umieszczenia "***Aftermath***" na albumie nawiązuje bezpośrednio do pierwszego albumu, na którym znalazł się utwór "***Carpathian Mist***". W obu przypadkach jest to łagodny przerywnik między dźwiękowa miazgą.

Moją uwagę przykuły też zmiany tempa w kawałku "Into the Dark".

"***Into the Dark***" to utwór, nad którym zaczęliśmy pracować bardzo dawno temu. Mówiąc "dawno", mam na myśli rok 2007 lub 2008, kiedy nasz zespół występował jeszcze pod nazwą **Devastator**. Mimo że to numer z tamtego, został on nieco przerobiony i dostosowany do obecnego materiału. Szczerze mówiąc, to **Tyler** podsunął pomysł dołączenia go do nowej płyty. Powróciły wspomnienia pewnego wieczoru sprzed piętnastu lat, kiedy pracowaliśmy nad "***Into the Dark***" w moim domu, gdzie w piwnicy graliśmy próby. Wtedy czasy były zupełnie inne. Obecnie jesteśmy starsi i mądrzejsi, ale nie zmienia to faktu, że wciąż jesteśmy zagorzałymi metalowcami.

Album został wydany przez M-Theory Audio. Przyjaźnicie się z założycielem wytwórni Marco Barbieri.

Ponownie nawiązaliśmy współpracę z **Marco** po tym, jak przez dziesięc lat, począwszy od 2008 roku, współpracowaliśmy z jego poprzednią firmą wydawniczą **Salem Rose**. Miało to miejsce przy wydaniu naszego albumu z 2012 roku. Wydanie naszego debiutanckiego albumu z nim pomogło w założeniu jego wytwórni **M-Theory Audio**, która od tego czasu stała się tym, czym jest dzisiaj. Po wygaśnięciu naszego kontraktu wydawniczego w 2018 roku rozstaliśmy się. Niestety była to konieczność spowodowana wieloma czynnikami . Pozostawaliśmy jednak w kontakcie przez kilka następnych lat. W międzyczasie każdy z nas uporządkował swoje życie prywatne. Jednocześnie udało nam się wprowadzić odpowiednie zmiany w zespole. Gdy **Tyler** i ja zabraliśmy się za tworzenie nowego albumu, nie mieliśmy kontraktu z żadną konkretną wytwórnią. Chociaż zobowiązaliśmy się do nagrania i wydania albumu bez względu na wszystko, decyzja o wydaniu go za pośrednictwem wytwórni również została podyktowana wyższą koniecznością. Po prostu nie byliśmy w stanie zadbać o odpowiednią dystrybucję naszej muzyki.

Od wydania Waszej ostatniej EP-ki minęło sześć lat. Jak wykorzystaliście ten czas?

Czas pomiędzy naszą EP-ką "**Beware of the Night**" z 2017 roku a naszym nowym albumem spędziliśmy dość typowo dla siebie. To znaczy grając koncerty, dostosowując się do zmian w składzie, promując zespół itp. To właśnie w 2020 roku zobowiązaliśmy się do

stworzenia nowego albumu, a jednocześnie stanęliśmy przed wyzwaniami związanymi z pandemią i dostosowaniami, które trzeba było wymyślić, aby go ukończyć, nie będąc w stanie spotkać się osobiście.

Jak długo tworzyliście materiał, który możemy usłyszeć na albumie "Pray for Armageddon"?

Kawałki, które usłyszymy na albumie zostały ukończone w ciągu około półtora roku. Nagrywaliśmy je indywidualnie, miesiąc po miesiącu w **Pus Cavern Studios** w Sacramento. Pomiędzy sesjami studyjnymi pracowaliśmy nad ukończeniem kolejnych utworów. W sumie było to około 2,5 roku pracy włożonej w nowy album, biorąc pod uwagę pisanie, próby, nagrywanie, miksowanie i mastering.

Jak oceniasz pozycję, którą osiągnęliście od debiutu w 2012 roku?

Podczas gdy niektóre rzeczy uległy poprawie, jednak pewne kwestie pozostawiają jeszcze wiele do życzenia. Współpraca między **Tylerem** i mną znacznie się poprawiła. W dużej mierze uwolniliśmy się podczas Covidu od ograniczeń związanych z koniecznością przebywania razem w pokoju i pracowania nad utworami. Czasem fajnie jest się spotkać, jednak doświadczenie w pracy nad utworami osobno jest czymś, co bardzo się przyda. Obszarem, nad którym chcemy pracować najbardziej w przyszłości, jest front występów na żywo poprzez budowanie silniejszych relacji z promotorami, lokalami i zespołami, z którymi gramy.

Podczas Waszej stosunkowo krótkiej działalności miałeś kilka zmian w składzie. Jak radzicie sobie z takimi sytuacjami?

Zawsze uważaliśmy, że zespół rozpoczął faktyczną działalność w 2001 roku pod nazwą **Atrosity** - ci sami członkowie, ta sama wizja, ten sam styl muzyczny. W ciągu pierwszych pieciu lat zmieniliśmy nazwę z **Atrosity** na **Devastator**, a następnie na **Blessed Curse**. W rzeczywistości mieliśmy do czynienia ze zmianami składu od 2010 roku pod nazwą **Devastator**. Biorąc pod uwagę okoliczności, brak zmian w składzie przed 2010 to swego rodzaju sukces, ponieważ zespół był wcześniej aktywny przez dziewięć lat. Głównym motto **Tylera** i moim zawsze było "*robimy to, co jest najlepsze dla zespołu i muzyki, którą gramy*". Równoważenie tego sposobu myślenia i przyjaźni, które, miejmy nadzieję, rozwijają się między poszczególnymi osobami w składzie, może być czasami bardzo trudne. Każdy ma swoje własne życie i różne rzeczy dziejące się każdego dnia, co sprawia, że posiadanie wspólnego, skoncentrowanego sposobu myślenia przez cały czas jest bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe do osiągnięcia, zwłaszcza im dłużej zespół pozostaje aktywny. Dodatkowo, za każdym razem, gdy dochodzi do zmiany członka zespołu, następuje okres, w którym pewne sprawy muszą zostać wstrzymane, a nowy muzyk musi zapoznać się ze swoją rolą i naszą twórczością. Jest to również trudne i czasochłonne. Zwłaszcza, gdy nowy członek wymaga dodatkowej pracy, aby przyspieszyć, gdy nie jest w pełni przygotowany do rozpoczęcia grania z nami. Zawsze staraliśmy się, aby każdy nowy muzyk pozostał z nami tak długo, jak to tylko możliwe. Powody zmian w składzie często miały charakter osobisty...

Foto: Blessed Curse

Jakie wydarzenie podczas można uznać za przełomowe dla Blessed Curse?

Jest kilka wydarzeń, które można uznać za kamienie milowe dla zespołu, a które zazwyczaj mieszczą się w kategorii biznesowej. Rozpoczęcie współpracy z **Marco** w 2008 roku poprzez umowę wydawniczą było jednym z nich. To przeniosło zespół z podziemia na powierzchnię muzycznego biznesu. Kolejnym było wybranie nazwy **Blessed Curse**, która według mnie jest dla nas idealna. Ma w sobie więcej głębi niż poprzednie nazwy i jest bardziej uniwersalna. Z bardziej osobistej mogę stwierdzić, że było to ponowne dołączenie do zespołu w 2014 roku po dwóch latach przerwy, Moje odejście w 2012 wszystkim się przysłużyło oraz skłoniło mnie do przemyśleń. Jeśli czegoś chcę, to ode mnie zależy, czy to osiągnę. Bez względu na to, jak duże może to być wyzwanie. Bycie realistą w kwestii tego, co jest potrzebne i ustalenie niezbędnych obszarów, które należy objąć, aby móc osiągnąć i utrzymać cel, było dla mnie również dużą zmianą, skutkującą prawdziwym wymiernym wzrostem.

Czy kiedykolwiek grałeś na żywo poza Ameryką? Jeśli nie, to może najwyższy czas?

W tym momencie nie graliśmy poza Stanami Zjednoczonymi, ale zdajemy sobie sprawę, że poza tym krajem ludzie również kochają metal. Na ten moment taki wyjazd do na przykład Europy to dla nas wciąż zbyt duże wyzwanie logistyczne. Co będzie w przyszłości? Czas pokaże

Zagrałeś już sporo koncertów. Czy któryś z nich jest dla Ciebie szczególnie ważny?

To prawda, zagraliśmy wiele koncertów na przestrzeni lat i niektóre z nich mają dla mnie szczególnie znaczenie. Naprawdę ważnym dla mnie było zagranie pierwszego koncertu po całkowitym odstawieniu alkoholu. Chociaż miejscem był mały klub w Bay Area i graliśmy w towarzystwie zespołów z zupełnie innej bajki, których nazw nie jestem nawet w stanie przytoczyć, był to pierwszy koncert, który zagrałem na trzeźwo od ponad dekady. Niesamowite było dla mnie to, że mogłem grać naszą muzykę na żywo bez żadnych promili we krwi. Niesamowite doświadczenie po tym jak przez wiele lat prowadziłem rockandrollowy styl życia. Utwierdziło mnie to tylko w przekonaniu, jak ten zespół jest dla mnie ważny.

Bartek Kuczak

Foto: Blessed Curse

Critical Thrash

Critical Defiance doczekali się właśnie winylowych wznowień obu swoich albumów, co jak podkreślają muzycy bardzo ich cieszy. Faktycznie analogowe nośniki są dla metalu jako takiego, nie tylko thrashu, czymś idealnym, ale kolejna dobra wiadomość jest taka, że ta pochodząca z Chile grupa pracuje już nad trzecim albumem, tak więc fani siarczystego grania na najwyższych obrotach już mogą zacierać ręce.

HMP: Czasy mamy niezbyt ciekawe, delikatnie mówiąc: nasilenie ruchów i tendencji prawicowych, ustawicznie narastająca groźba katastrofy ekologicznej, pandemia, teraz do tego wszystkiego wojna w Europie - świat jest coraz mniej przyjaznym miejscem. To co gracie jest formą waszego buntu i zarazem odreagowaniem tego wszystkiego, bo jakie czasy, taka muzyka?

Critical Defiance: Myślę, że to nieuniknione, aby być pod wpływem czasów, kiedy pracujesz w czymś tak szczerym jak muzyka; dla nas naprawdę łatwo jest przelać nasze frustracje i refleksje w szybkie i agresywne utwory, są one dla nas katharsis, pomagają nam przekazać i podzielić się naszymi uczuciami co do życia w tak burzliwych i nieprzyjaznych czasach, pomaga nam to również połączyć się z innymi ludźmi, którzy to podzielają. A że jako jednostki jesteśmy silniejsi, a energia płynie mocniej niż wtedy, gdy jesteśmy sami, niosąc te wszystkie frustracje.

Świat zmienił się więc już całkowicie, do sytuacji sprzed pandemii nie da się już powrócić i możemy tylko zastanawiać się co nasz czeka: koniec gatunku ludzkiego, a może jednak jego odrodzenie, bo może jednak w obliczu rychłej zagłady przejrzymy w końcu na oczy?

Jako gatunek zawsze będziemy poddawani zmianom, są one nieuchronne, a kiedy stajemy w obliczu zmian, musimy szukać sposobu na naukę i kontynuację. Życie jest pełne wyborów i to, czy uczymy się na błędach, czy powtarzamy te same schematy, zależy od nas, indywidualnie i zbiorowo.

Debiutancki album "Misconception" wydaliście na początku roku 2019, tak więc mogłoby wydawać się, że pandemia w jego przypadku niczego wam nie utrudniła, ale chyba jednak tak, bo myśleliście na pewno o kolejnych koncertach. W czasie lockdownów ich zabrakło, tak więc koniec końców wasz pierwszy album, chociaż doczekał się kilku wznowień na wszystkich nośnikach, nie miał chyba takiego odzewu, jakiego oczekiwaliście, co mogło być dla was rozczarowaniem?

"**Misconception**" przekroczyło nasze oczekiwania pod każdym względem, a tutaj w Chile nie mamy takich samych możliwości, jakie mają inne kraje, zwłaszcza gdy pomyślisz, że nasz zespół pochodzi z podziemia chilijskiej sceny. Zawsze mieliśmy wiarę w to, co robimy, "**Misconception**" reprezentował wszystkie nasze marzenia w tamtym czasie i z każdym krokiem zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza muzyka zasługuje na to, aby ją usłyszeć i żeby cieszyła się nią szersza publiczność. W tym sensie umowa, którą zawarliśmy z **Unspeakable Axe Records** pomogła nam dotrzeć do tej szerszej publiczności, a teraz po zawarciu umowy z **Dying Victims** debiutancki album wciąż przekracza nasze oczekiwania, a do tego zestarzał się wystarczająco dobrze, dzięki czemu możemy nadal tworzyć muzykę, którą cieszy się cały świat.

Foto: Critical Defiance

Oczywiście to żaden problem wysłać komuś zamawiającemu płytę CD czy niewielką kasetę, nawet na drugi koniec świata, ale przy kolejnych lockdownach funkcjonowanie placówek pocztowych też było problematyczne; sam odbierałem pocztę ze skrytki tak co 10 dni, bo było to bardzo utrudnione, przy wysyłaniu też były utrudnienia, kolejki większe niż zwykle. Na szczęście mamy to wszystko, póki co, za sobą, tak więc wy również wróciliście do gry?

Zdecydowanie wróciliśmy do gry! Byliśmy w stanie pracować o wiele więcej, grać koncerty, rezerwować trasy i zacząć pracować nad tym, co ma nadejść.

Musiał doskwierać wam brak wersji winylowych waszych albumów, stąd deal z Dying Victims Productions na wznowienie "Misconception" i "No Life Forms" na tym nośniku jest dla was pewnie sporym powodem do radości, tym bardziej, że ta niemiecka firma ma znacznie lepsze możliwości dystrybucyjne niż Nube Negra Productions, która również wydała wasz debiut na winylu?

Zawsze chcieliśmy wydać nasz debiutancki album na winylu, odkąd się ukazał, więc kiedy zawarliśmy umowę z **Dying Victims**, to było spełnienie marzeń, jesteśmy niezmiernie wdzięczni **Florianowi**, bardzo nam pomógł z dystrybucją i ma głębokie zaufanie do tego, co możemy zrobić; myślę, że spotkaliśmy go we właściwym czasie, jesteśmy dumni, że pierwsze tłoczenie winylowe naszych dwóch albumów zostało wykonane i rozprowadzone przez **Dying Victims**.

Niemiecka wytwórnia to również znaczne poszerzenie kręgu odbiorców, nawet jeśli dostęp do muzyki jest obecnie nieporównywalnie łatwiejszy od tego, czym dysponowaliśmy w latach 80., 90., czy nawet na przełomie wieków, sprzedaż wysyłkowa też jest znacznie łatwiejsza. Marzą wam się koncerty w Europie czy w innych regionach świata, czy też to wciąż zbyt drogi interes dla podziemnego zespołu z Chile?

Nawet jeśli jest to drogi biznes, jesteśmy gotowi podjąć ryzyko, bo zawsze mieliśmy nadzieję dzielić się naszą muzyką z jak największą liczbą ludzi. Ostatnio mieliśmy kilka doświadczeń w trasie poza naszym krajem i to była najlepsza rzecz na świecie! Energia jest wtedy nierealna i żyjemy tym wszystkim. Byłoby wspaniale zagrać we wszystkich miejscach, do których dotarła nasza muzyka; mamy nadzieję, że wkrótce podzielimy się naszą pasją z naszymi fanami w Europie, jestem pewien, że takie koncerty byłyby niesamowite.

Obecnie nie ma już w tym niczego dziwnego, że różne wydania tej samej płyty firmuje kilka wytwórni, ale przecież Unspeakable Axe Records ma w swym katalogu nie tylko płyty CD, ale również winylowe i kasety - jesteście dla nich mniej istotnym zespołem, skoro nie pokusili się o wypuszczenie waszych płyt na CD, LP i MC, tak jak w przypadku innych grup?

Nasze relacje z **Erikiem** zawsze były świetne,

nie sądzę, żeby uważał nas za gorszy zespół, myślę, że jedynym powodem, dla którego zostaliśmy wydani przez jego wytwórnię tylko na CD, jest to, że zawarliśmy umowy w ten sposób. Dla nas te umowy były w tamtym czasie najlepsze, dopiero zaczynaliśmy wydawać nasze albumy, więc bycie częścią wytwórni było dla nas wystarczające, musieliśmy najpierw wyrobić sobie markę, aby zostać wydanym w innych formatach, bez pomocy naszego przyjaciela **Erica** nie bylibyśmy w stanie osiągnąć tego, co osiągnęliśmy.

Jest to również ciekawe w tym kontekście, że skoro wasze wydawnictwa są regularnie wznawiane, to jest na nie zapotrzebowanie, nawet jeśli mówimy o nakładach typowo kolekcjonerskich, nieporównywalnych z tymi z lat 70. i 80. Zyski z tego typu działalności są więc coraz mniejsze, albo nie ma ich wcale - jest sens dzielenia się nimi z innymi wydawcami?
Tak długo, jak nasza muzyka dociera do uszu i dusz ludzi, którzy ją lubią, nie mamy nic poza wdzięcznością dla wszystkich ludzi, którzy pomogli nam w naszej drodze.

Wyobrażacie sobie świat, gdzie muzyka jest przede wszystkim dostępna w sieci, a fizyczne nośniki będą prawdziwymi unikatami, wydawanymi w jeszcze mniejszych, już totalnie symbolicznych, nakładach niż obecnie, już dla tych największych fanów, pasjonatów i kolekcjonerów?
Cóż, muzyka w dzisiejszych czasach jest głównie udostępniana i konsumowana w cyfrowych wydaniach, tylko prawdziwi fani są tymi, którzy utrzymują fizyczne nośniki przy życiu, są nie tylko zainteresowani muzyką, ale także artystycznym wysiłkiem, jaki zespoły wkładają w album jako całość, tak długo, jak fizyczne wydania są wystarczająco interesujące dla kolekcjonerów, powinniśmy być w porządku. (śmiech)

Znikomy nakład i trudniejsza dostępność takiej pozycji to oczywiście wyższa jej cena. Kolega zapytał mnie ostatnio, ile byłbym w stanie zapłacić za interesującą mnie płytę - też miewacie takie myśli czy rozmawiacie o tym między sobą, planując kolejne posunięcia związane z działalnością wydawniczą Critical Defiance?

Foto: Critical Defiance

Jako że zaczynamy naszą karierę jako zespół, jesteśmy zainteresowani tylko dotarciem do naszej publiczności, z czasem jestem pewien, że będziemy bardziej brać pod uwagę cenę naszych wydawnictw i mamy nadzieję, że przygotujemy kilka ekscytujących reedycji naszych albumów, gdy staną się już klasykami gatunku.

Cyfrowe single to już obecnie standard, z którego również korzystacie, ale może nadeszła już pora na waszego 7" singla lub EP, bo fani metalu wciąż lubią takie mniejsze i krótsze wydawnictwa?
Byłoby niesamowicie wydać 7", to zdecydowanie jeden z naszych planów na przyszłość. Ale na razie pracujemy tylko nad naszym trzecim albumem.

Niektórzy z was grali w zespołach wykonujących bardziej ekstremalny metal, na przykład black, inni preferowali lżejsze, bardziej tradycyjne czy stricte thrashowe klimaty, ale w Critical Defiance połączyło was zamiłowanie do siarczystego thrash metalu starej szkoły. Rotację w składzie macie sporą, niedawno zmienili się obaj gitarzyści, ale pasja do akurat takiej stylistyki jest w was niezmienna?
Myślę, że najlepszą rzeczą w **Critical Defiance** jest to, że wszyscy członkowie zawsze wkładali w zespół swoją duszę i oryginalne podejście oraz swoje inspiracje. Z czasem ludzie zdadzą sobie sprawę, że **Critical** to nie tylko thrash metal, ale znacznie więcej, dzielimy pasję do tego stylu, ale bardziej niż etykietka jest to manifestacja naszej wspólnej energii i uczuć.

Zawartość waszych płyt potwierdza, że nieobce są wam wpływy zarówno sceny amerykańskiej, jak też niemieckiej z lat 80. Od tych klasycznych wpływów nie da się uciec, nawet jeśli nie było was na świecie w czasach, gdy thrash był najbardziej popularny?
Zespoły, które zapoczątkowały i reprezentowały scenę thrashową w latach 80. są dla nas głównymi inspiracjami. Kiedy odkryliśmy te zespoły coś w nas zapłonęło, można powiedzieć, że każde ich dzieło to ponadczasowe klasyki, które będą w stanie inspirować kolejne pokolenia, tak jak zrobili to z nami. Będziemy im za to dozgonnie wdzięczni.

Drugi album wydaliście już ponad rok temu, a nagraliście jeszcze wcześniej, więc pewnie pracujecie już nad jego następcą?
Właśnie nad nim pracujemy! Wiążemy duże nadzieje z tym albumem, tak jak w przypadku poprzednich, staramy się pracować nad czymś, co podsyca naszą pasję i sprawia, że głęboko odczuwamy rzeczy, którymi ostatnio żyjemy, wciąż się rozwijamy, wciąż żyjemy; twórcze wybory wciąż nadchodzą, poszukiwania nie ustają.

Liczycie, że to wydawnictwo, było nie było ten trzeci, ponoć przełomowy, album w waszej dyskografii, ugruntuje pozycję Critical Defiance na podziemnej scenie, a może stanie się nawet punktem wyjścia do zaistnienia poza nią, bo tego, co chwyci i zainteresuje słuchaczy, nie da się teraz absolutnie przewidzieć?
Powiedziałbym, że najważniejszą rzeczą przy nagrywaniu płyty jest sprawienie, abyś coś poczuł, album będzie tak wspaniały, jak emocje i ogień, który sprawi, że go poczujesz. Pracujemy nad czymś bardzo ważnym dla nas, więc spodziewajcie się po nas świetnej płyty. Critical Thrash Metal!

Wojciech Chamryk & Szymon Tryk

Foto: Critical Defiance

RAZGATE

Długa droga na szczyt

Ten włoski kwartet miał powody do frustracji, bo pandemia właściwie zniweczyła jego pracę włożoną w stworzenie i nagranie trzeciego albumu. Razgate jednak nie są mięczakami, nie odpuścili, czego efektem jest kolejna duża płyta. O wszystkim opowiada nam wokalista i gitarzysta Giacomo James Burgassi - od razu widać, że żyjący thrashem 24/7.

HMP: Kiedy w marcu 2020 roku zaczęła się pandemia wydawało się, że pierwszy lockdown to kwestia dwóch tygodni, góra miesiąca, po czym sytuacja wróci do normy. Też tak myśleliście, dlatego "After The Storm... The Fire!" ukazał się zgodnie z zapowiedziami, pod koniec tego miesiąca?

Giacomo James Burgassi: Tak, mieliśmy nadzieję, że tak będzie! Planowaliśmy premierę kilka miesięcy wcześniej i to tego również europejską trasę koncertową, ale wtedy wszystko zaczęło się sypać, musieliśmy odwołać trasę i wszystko inne, to był trudny czas!

To wasz trzeci, ponoć przełomowy dla każdego zespołu, album. Co czuliście, kiedy z każdym kolejnym miesiącem perspektywa jego koncertowej promocji stawała się już nawet nie odległa, ale po prostu nierealna?

Czuliśmy się bardzo źle! Byliśmy bezradni. Granie na żywo jest dla nas najważniejsze, a nie wiedzieliśmy kiedy i czy w ogóle będziemy mogli koncertować, to wszystko było nierealne. Był to również ważny test, aby pozostać razem i skupić się na zespole i naszej muzyce.

Foto: Razgate

Dwa lata koncertowej przerwy jednak was nie załamały - nie było prób, były różne ograniczenia, ale nowy materiał cały czas powstawał, dalsze istnienie Razgate nie było zagrożone?

Jak powiedziałem, to był trudny okres. Ale ja i **Iago** zawsze skupiamy się na nowej muzyce, zawsze chcemy stworzyć kolejny album, który w stu procentach będzie reprezentować nasze emocje i naszą dojrzałość. Napisałem riffy i nagrałem je na telefonie lub komputerze, a potem rozmawialiśmy o nich przez Zoom lub Facetime, a później stały się utworami! Walczyliśmy z tą sytuacją najlepiej jak potrafiliśmy, więc istnienie **Razgate** nigdy nie było zagrożone. Zawsze planujemy coś na przyszłość.

Ubiegłoroczna trasa "Violence in the East" musiała być dla was w tej sytuacji czymś wyjątkowym, naładowaniem akumulatorów i jednocześnie powrotem do naturalnego dla każdego zespołu rytmu?

O tak! Trasa była niesamowita, a publiczność była świetna! Po raz pierwszy graliśmy w tych krajach i było to fantastyczne doświadczenie. Potrzebowaliśmy kontaktu z ludźmi, usłyszenia tego ryku. Myślę, że robienie czegoś takiego jest główną nagrodą dla każdego zespołu. Mamy nadzieję, że w przyszłym roku wrócimy do Europy, aby rozkręcić jeszcze więcej thrashowego szaleństwa!

Graliście już wcześniej we wschodniej Europie, czy była to wasza pierwsza wizyta w Chorwacji, Rumunii i na Węgrzech? Przyjęcie pewnie mieliście dobre, bo fani też byli spragnieni koncertów?

Jak już mówiłem, wszystko było absolutnie świetne! Ludzie byli fantastyczni, prawdziwi metalowcy. Chcemy tam wrócić i zagrać więcej koncertów, zasługują na to.

Po czymś takim aż chce się pracować nad nowym materiałem, dlatego proces rejestracji nowego albumu nie sprawił wam większych trudności, tym bardziej, że Iago wpasował się już w skład, co w przypadku perkusisty jest niezwykle ważne?

Myślę, że perkusiści są niezbędni w każdym zespole. Nie wyobrażam sobie napisania utworu bez perkusisty, bez Iago, dla mnie to druga połowa. Jest niesamowitym bębniarzem, utalentowanym, solidnym i zawsze gra z pasją i oddaniem. Każdą kompozycję piszemy razem: Ja piszę riffy i teksty, a on swoje partie perkusji. Mamy to samo podejście i ten sam sposób wyobrażania sobie i myślenia o danym utworze, nigdy nie mogłoby być łatwiej. Chcieliśmy zrobić album jeszcze agresywniejszy, pójść krok naprzód w porównaniu z tym poprzednim.

Masz poczucie, że kiedy nowa płyta jest już gotowa uwolniłeś się od niej w jakiś sposób, że to już zamknięty rozdział i wobec tego spokojnie możesz brać się za kolejny materiał, czy przeciwnie, jest to ciągły proces twórczy, a kompozycje na kolejną płytę zawsze wybieracie z większej ilości?

Dla mnie to ciągły proces, nigdy nie przestaję pisać riffów i innych rzeczy. Może to przekleństwo, nie wiem! Mam już teraz kolejne pomysły na nowy album. Każdego dnia gram na gitarze i coś piszę, dla mnie to terapia, to nieuniknione. Myślę, że to jest to, co muzyk powinien robić: tworzyć muzykę, pisać utwory i w tym celu grać na instrumentach. Nie po to, by pokazać swoje umiejętności, ale by pokazać swoją duszę, swoje przesłanie.

Który z utworów zamieszczonych na "Born To Rot In Hell" jest według ciebie najbardziej reprezentatywny dla tego albumu i to od niego powinien zacząć was słuchać ktoś, kto nie miał jeszcze ku temu okazji?

To dobre pytanie, bo codziennie zmieniam swój ulubiony kawałek! Myślę, że najbardziej reprezentatywnym dla nas i dla albumu jest "*Violence, Vengeance, Chaos*". Jest w nim wszystko charakterystyczne dla nas i mogę powiedzieć, że wkrótce ukaże się do niego teledysk!

"The Holy Grail" jako pierwszy utwór promujący nową płytę był waszym pierwszym i oczywistym wyborem, czy trochę się nad nim natrudziliście ?

To idealny utwór pomiędzy ostatnim albumem a tym nowym. To pierwsza kompozycja, którą napisaliśmy latem 2020 roku, więc jest to idealny punkt wyjścia. To przyszło tak naturalnie i szybko, jak kawałek z już napisanego albumu!

Thrash w waszym wydaniu jest dość nieoczywisty, mimo tego, że zarazem jednorodny stylistycznie i stylowy - lubicie różne odmiany metalu, od tradycyjnego, przez doom aż do blacku, co jest również słyszalne w muzyce Razgate?

Na naszych albumach można usłyszeć nasze korzenie i styl muzyczny, ale mamy różne pochodzenie. Myślę, że główne wpływy, które można usłyszeć, to hardcore i black metal, ale zmienia się to z każdą osobą, która nas słucha. Osobiście jestem thrasherem i słucham thra-

shu przez większość moich dni, więc nie jestem idealną osobą do odpowiedzi na to pytanie. (śmiech)

Edoardo Natalini stworzył dla was dwie bardzo charakterystyczne, wyróżniające się okładki, ale wygląda na to, że postanowiliście poszukać czegoś nowego, stąd nawiązanie współpracy z Roberto Toderico?
Roberto zrobił niesamowitą okładkę! Weszliśmy na inny poziom. Chcieliśmy, żeby to zrobił i to był idealny wybór. Jest świetnym artystą i wspaniałą osobą do współpracy. Mamy nadzieję, że nie będzie to ostatnia okładka, którą dla nas stworzy.

Nie da się nie zauważyć, że to już dość znany artysta, mający w swym CV sporo dużych nazw, co zdaje się świadczyć również o tym, że wasza pozycja jest już nieco lepsza niż jeszcze kilka lat temu?
Dla nas to zaszczyt pracować z nim, jego CV mówi samo za siebie. Oprawa graficzna jest na naszych albumach bardzo ważna, więc chcieliśmy, aby zajęła się nią odpowiednia osoba. Oczywiście pomaga nam to uzyskać lepszą pozycję w podziemiu i odróżnić nas od innych zespołów.

Jednak Punishment 18 Records wydaje waszą muzykę tylko na CD - o kasetową edycję poprzedniego albumu musieliście zatroszczyć się sami, o płytach winylowych też nie ma mowy, a przecież niektóre zespoły z tej wytwórni mają taką możliwość, czyżbyście więc nie byli dla wydawcy priorytetem, a może wasi fani po prostu preferują kompakty?
Nie tym razem! Mogę powiedzieć, że wydamy "**Born To Rot In Hell**" w każdym formacie. CD, MC i w końcu na winylu. Jesteśmy dumni, że możemy to zrobić, zaoferować wszystko naszym fanom na całym świecie.

Sporo już osiągnęliście, szczególnie jak na tak młody zespół, nasuwa się więc pytanie co dalej, bo macie pewnie określone ambicje i nie zamierzacie poprzestać na obecnym status quo? Liczycie, że "Born To Rot In Hell", było nie było już czwarty album w waszej dyskografii, ugruntuje pozycję - Razgate na podziemnej scenie, a może stanie się nawet punktem wyjścia do pewnego zaistnienia poza nią, bo tego, co chwyci i zainteresuje słuchaczy, nie da się teraz absolutnie przewidzieć?
Każdy album jest nowym punktem wyjścia, dla nas i dla fanów. Tak, można powiedzieć, że to koniec procesu, obraz statusu zespołu w danym momencie, ale zawsze patrzymy w przyszłość i nie zamierzamy się zatrzymywać. Uważamy, że nasze nowe brzmienie jest bardziej kompletne i zabójcze! Jestem pewien, że nowi fani będą w stanie to docenić, a starzy będą mogli je porównać. Droga przed nami wciąż jest bardzo długa, ale mamy ambicję i odpowiednią wiedzę, aby robić wszystko lepiej niż w przeszłości.

Wojciech Chamryk & Szymon Tryk

ATONEMENT

Przyjazne grono ekstremalnych wielbicieli metalu

Trzech młodziaków ze Szwecji, używających nazwy Atonement, potwierdza, że na granie siarczystego black/thrash metalu nigdy nie jest za wcześnie. O debiutanckim demo sami mówią, że nie było udane, ale pierwszym albumem "Sadistic Invaders" zacierają to wrażenie, a przecież jeszcze wszystko przed nimi, jeśli tylko nie zabraknie im zapału do dalszego grania.

HMP: Młodzi ludzie mają teraz multum możliwości, jeśli chodzi o własny rozwój, wybór hobby i szeroko rozumianą karierę, jednak wy założyliście metalowy zespół - skąd akurat taki wybór?
Niklas Saari: Szczerze mówiąc, to nie mam pojęcia; może jesteśmy pokręceni wybierając właśnie tę drogę. Grając w zespole masz okazję robić bardzo dużo ekscytujących i fajnych rzeczy oraz poznawać niesamowitych ludzi.

Szwecja ma pod tym względem ogromne tradycje, sięgające jeszcze końca lat 80., ale nie gracie death metalu, wybraliście black/thrash - bliższe wam są dokonania Bathory i Gehennah niż Grave czy Edge Of Sanity?
Wydaje mi się, że jest nam bliżej do **Bathory** i **Gehennah**. Ten rodzaj death metalu z początku lat 90. jest zbyt nudny. Złotym wiekiem dla nas w **Atonement** jest wczesny death metal z lat 1985-88. Obejmuje to oczywiście **Bathory**, ale również **Merciless**, **Treblinka** i **Obscurity**; to naprawdę są świetne zespoły.

Nie da się też nie zauważyć, że musicie też lubić Venom i generalnie starsze kapele, kładące na początku lat 80. podwaliny pod ekstremalny metal - wolicie sięgać do klasyków niż do ich naśladowców, jak dobrze by nie grali?
Ci którzy ich imitują są świetni, do materiału **Venom** dodają swoje osobiste nuty i smaczki. Jednak **Venom** był i jest do dziś zespołem, który zdecydowanie wyprzedzał swoje czasy.

Skąd wzięła się ta fascynacja? Natrafiliście na takie dźwięki przypadkowo, czy może dzięki komuś z rodziny, bo tata lub wujek był fanem mocnej muzyki, więc towarzyszyła wam ona od najmłodszych lat?
My w Szwecji mamy całkiem niezłą scenę, zarówno jeśli chodzi o muzykę, jak i ludzi, którzy za nią stoją. Jakimś cudem udało nam się znaleźć w przyjaznym gronie ekstremalnych wielbicieli metalu.

Pochodzicie z muzykujących rodzin, mieliście pod tym względem jakieś muzyczne geny i dobre wzory do naśladowania?
Niekoniecznie. Mój tata słuchał heavy metalu od wczesnych lat 80. i myślę, że to otworzyło mi drogę do tej muzyki.

W waszej ojczyźnie łatwo można nauczyć się grać czy założyć zespół, dzięki różnym centrom kultury, są też szkoły muzyczne. Też z tego korzystacie, czy wolicie być samodzielni, macie własną salkę prób w garażu czy w piwnicy?
Jesteśmy przede wszystkim niezależni. **Ludvig** i **Mille** studiują teraz na akademii muzycznej, poza tym nie bierzemy żadnych lekcji.

Ten podziemny etos zdaje się być dla was bardzo ważny - to dlatego pierwsze demo "Merciless Blasphemy" zaraz po wersji cyrowej wypuściliście na kasecie?
Być może. Nie obmyślaliśmy wydawania demo, po prostu je nagraliśmy i wypuściliśmy. To nie było dobre demo (śmiech). Nagraliśmy też drugą demówkę, znacznie lepszą, ale nigdy jej nie wydaliśmy.

Foto: Atonement

Foto: Atonement

Nie jest to oczywiście odosobniony przypadek, ale też nie tak częsty, że młody, raczkujący zespół doczekuje się tego, że jego debiutanckie demo jest kilkakrotnie wznawiane, i to na wszystkich nośnikach - domyślam się, że to dla was nie tylko powód do satysfakcji, ale również niezły doping, żeby podnieść tę przysłowiową poprzeczkę jeszcze wyżej?
Regain Records zapytało nas czy chcielibyśmy u nich wydać kilka rzeczy, co było dla nas świetne. Jesteśmy bardziej niż usatysfakcjonowani współpracą z tą wytwórnią.

Zakładając zespół w samym środku pandemiczej zawieruchy nie mogliście liczyć na koncerty. Kiedy już jednak pojawiła się możliwość grania na żywo tej starszej części fanów metalu nie szokował wasz młody wiek, odbierali was pozytywnie, przypominając sobie swoje własne, szczenięce lata?
Niektórzy czuli nostalgię widząc nas grających ten prymitywny rodzaj muzyki w tak młodym wieku. Przypominało im to wczesne death-metalowe dema (śmiech). Faktycznie! Pewien facet podszedł do mnie i powiedział, że bardzo nas lubi, bo widzi w nas siebie. To był basista legendarnej **Treblinki**.

Gracie w trzech, niczym Venom, Hellhammer, Sodom czy Destruction za najlepszych lat - to nie przypadek, tylko celowe nawiązanie, ta formuła odpowiada wam najbardziej?
Myślę, że dobrze to do nas pasuje.

Poświęciliście "Sadistic Invaders" sporo czasu - zależało wam na tym, żeby nie okazał się falstartem, za dużo jest metalowych zespołów i debiut w tych okolicznościach musi trzymać poziom, a do tego mieć to coś, co zwróci na niego uwagę, od muzyki do okładki?
Myślę, że ogólne wrażenia związane z całą oprawą wizualną i samą muzyką okazały się świetne i absolutnie takie, jak chcieliśmy.

Wam udało się to również w tym sensie, że zainteresowała się wami wytwórnia Dying Victims Productions - to również coś na kształt kolejnego, spełnionego marzenia?
Oczywiście! **Dying Victims Productions** i **Florian** z wytwórni są zajebiści, wydaje się, że wypuszczają obecnie ogromną część tej prawdziwej muzyki.

CD, dwie wersje LP - do kompletu brakuje tylko kasety. Myślicie o wydaniu "Sadistic Invaders" również na tym nośniku?
Umowa z wytwórnią zakładała, że nie będziemy produkować żadnych kaset. Nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo, ale myślę, że to świetne medium do wypuszczania demówek debiutantów jedynie na kasetach. Zamiast pełnometrażowego albumu na CD można kupić winyl.

Muzyka wydawana w fizycznej postaci, szczególnie na taśmach, jest czymś ważnym, czy to już tylko gadżet, bo większość ludzi i tak preferuje praktyczny streaming i mało kto, poza kolekcjonerami, ma jeszcze w domu odtwarzacz, gramofon czy magnetofon?
Wolę uczucie, które kryje się za trzymaniem w rękach płyty winylowej. To naprawdę ekskluzywne uczucie mieć taką wersję świetnego albumu; czasami zawiera on również dodatki, które nie są dostępne bez płyty.

Wróciliście do czterech numerów z demówki - uznaliście, że szkoda, żeby pozostały tylko w tych pierwszych surowych wersjach, bo teraz jesteście w stanie przedstawić je w ciekawszych wersjach?
Myślę, że demo ma swój urok, ale nie jest zbyt dobre. Album jest znacznie lepszy.

To niespełna 40-minutowy, ale bardzo konkretny i całkiem dojrzały materiał - jak na tę chwilę jesteście usatysfakcjonowani, początkowy cel został osiągnięty?
Jak wspomnieliśmy wcześniej, jesteśmy bardzo zadowoleni z tego albumu. I w ogóle z tego, że mieliśmy okazję go stworzyć!

Myślicie już o kolejnych wyzwaniach i nowym materiale, czy na razie zaprzątają was koncerty i promowanie pierwszej płyty, więc za kolejną zabierzecie się we właściwym dla niej czasie?
Nie mamy jeszcze aż tylu klepniętych dat; kiedy to piszę planujemy sporo fajnych rzeczy, ale zobaczymy gdzie skończymy…

Wojciech Chamryk & Szymon Tryk

HMP: Niemal 15 lat od momentu założenia zespołu do wydania debiutanckiego albumu - co sprawiło, że trwało to aż tak długo, nawet jeśli pandemia spowolniła wszystko na dobre dwa lata?
Fist Banger: Wiele rzeczy wydarzyło się na przestrzeni tych lat, kilku ze starych członków opuściło zespół z powodów osobistych, a trwało to naprawdę długo. Pandemia z pewnością też nas powstrzymała nas przy wydawaniu tego albumu, ale w końcu udało nam się to zrobić i myślę, że było to najlepsze dla nas, ponieważ nasze brzmienie było w stanie dojrzeć z biegiem czasu.

Dobrze wnioskuję na podstawie daty premiery singla "Witch Hunt", że gdyby nie te wszystkie zawirowania, to "Into The Void" ukazałby się szybciej? A tak mogliście tylko zaakcentować wiosną 2020 roku, za sprawą "Insanity", że coś jest na rzeczy, ale trzeba było uzbroić się w cierpliwość?
Zgadza się, wydaliśmy dwa single, zanim puściliśmy album, te single były gorszej jakości, więc zadaliśmy sobie trud, aby je odpowiednio nagrać i dopracować, aż w końcu trafiły na album.

Wielu muzyków podkreślało, że była to jakaś pociecha, że ta sytuacja dotyczy całej muzycznej branży, niezależnie od stylistyki, ale nie kryło też swego rozczarowania, etc. W waszym przypadku było ono chyba jeszcze większe, bo w końcu miał to być debiutancki album Trastorned, wytęskniony i powstający na dobrą sprawę od lat?
Rzeczywiście, pomimo opóźnienia w wydaniu tego albumu, jesteśmy naprawdę zadowoleni z rezultatu, jest to dokładnie takie brzmienie i jakość, jakich szukaliśmy, więc osobiście uważam, że to opóźnienie wyszło zespołowi na dobre, ponieważ byliśmy w stanie dopracować wiele jego aspektów.

Plusem jest tu chyba również to, że w tak zwanym międzyczasie nawiązaliście współpracę z Dying Victims Productions, a to firma wiele znacząca w świecie podziemnego metalu, a poza tym mogliście pocieszać się, że zawartość waszej płyty nie zdezaktualizuje się za szybko, bo to jednak granie zakorzenione w metalowych kanonach?
Dzięki **Florianowi** z **Dying Victims** udało nam się osiągnąć ten cel i doceniamy przyjęcie naszego metalu w tych wszystkich krajach z wielkim entuzjazmem; poza tym **Florian** wspiera także inne projekty, w których uczestniczę, takie jak **Hellpossession**.

Chile słynie z ekstremalnej sceny metalowej

Trastorned

Jak młotem w głowę

Trastorned lubią szybkie tempa, co dla zespołów pochodzących z Chile jest swoistą normą, ale z wydaniem debiutanckiego album wcale się nie spieszyli. Wokalista Fist Banger wyjaśnia powody aż tak długiego poślizgu i zdradza kilka ciekawych szczegółów, dotyczących funkcjonowania swego zespołu.

- ta fascynacja nie ominęła również i was, a siarczysty black/thrash okazał się wymarzoną stylistyką?
Fascynacja dark metalem w Chile zawsze jest standardem, świetne zespoły wciąż wydają materiały w tym stylu i jestem dumny, że tak wysokiej jakości metal wychodzi z mojego kraju. Z drugiej strony nawet nam jako zespołowi udało się ocalić pewne aspekty w naszym brzmieniu, takie jak surowość i szybkość.

Fakt, że jesteście ze stolicy był pewnym ułatwieniem, w sensie, że mieliście nieco większe możliwości, choćby w kontekście promocji czy większej liczby koncertów?
Z pewnością bycie ze stolicy bardzo nam pomogło, dzięki temu, że jesteśmy na tej scenie od ponad 20 lat wiele osób nas zna i zawsze chciało usłyszeć nasz metal w odpowiednim formacie i jakości.

Mocny metal w rodzimym wydaniu cieszy się w waszym kraju jakąś popularnością, czy przeciwnie, chilijskie grupy są doceniane przede wszystkim przez słuchaczy zza granicy?
W Chile tworzy się doskonały metal, to dzięki temu zespoły wysokiego kalibru wychodzą z tego zakątka świata, bądź pewien, jeśli chodzi o ten gatunek to możesz zawsze na nas liczyć!

Wygląda na to, że w roku 2014, kiedy wypuściliście trzeci materiał "Witching Demo!", byliście już na tym bardziej zaawansowanym etapie, skoro wszystkie trzy utwory z tej kasety nagraliście ponownie na "Into The Void". Słuchając tej płyty zwróciłem uwagę na fakt, że lubicie ostrą jazdę, a perkusista Adrian GSC zdaje się mieć co najmniej dwie ręce więcej (śmiech), ale jednocześnie nie unikacie też melodii, a do tego kombinujecie z aranżacjami - chodziło o to, żeby poszczególne utwory nie zlewały się w jedną, soniczną magmę?
Na początku mieliśmy wiele pomysłów na długość i kolejność utworów na tym albumie, ale dzięki dużej ilości wytężonej pracy udało nam się osiągnąć spójny efekt, dzięki czemu ta płyta wciąga podczas słuchania.

Potwierdzeniem tego podejścia jest również instrumentalna kompozycja "Dreadful Fate (Interlude)", która w żadnym razie nie sprawia wrażenia numeru, który pozostał bez śpiewu, bo nie było tekstu czy pomysłu na linie wokalne - to od początku miał być instrumental, dający chwilę wytchnienia przed intensywną końcówką płyty?
Pierwotnie ten utwór był szybki i znacznie bardziej gwałtowny, a jego tytuł brzmiał "*Raise From The Fog*", ale ponieważ nigdy nie mogliśmy go naprawdę ukończyć, zdecydowaliśmy się przekształcić go w instrumentalne interludium, aby dać albumowi oddech. Mamy nadzieję, że za jakiś czas przywrócimy starą wersję tego utworu, powracając do jego oryginalnej i lepiej dopracowanej formy.

"Into The Void" nie trwa nawet pół godziny, tak więc jesteście w tej dobrej sytuacji, że nawet kiedy macie do dyspozycji tylko 30-40 minut, możecie zagrać ją w całości, dorzucając do listy w razie potrzeby coś ze starszych czy najnowszch mumerów?
Tak jak jest, ale pomimo wspomnianej długości tego albumu, obecnie uzupełniamy nasze występy o nowe kompozycje, utwory takie jak "*Speeding Raw Madness*" i "*Death Ray*", to prawdziwe młoty uderzające w głowę!

Foto: Trastorned

Nie pomylę się wiele zakładając, że scena to dla was wymarzone miejsce i muzyka Trastorned wydaniu koncertowym tylko zyskuje, zwłaszcza kiedy trafi się sensowny realizator i dobre nagłośnienie?
Dla nas posiadanie dobrego brzmienia i produkcji jest wszystkim; w dawnych czasach nie miało to dla nas większego znaczenia, ale obecnie chcemy brzmieć najlepiej jak potrafimy, mieliśmy szczęście, że często byliśmy wspierani przez dobrego producenta i dobry sprzęt.

Duże koncerty, na przykład festiwalowe, czy klubowe, niewielkie imprezy - co preferujecie, skoro obie te formy występowania mają niewątpliwe atuty. Plusem koncertów jest też to, że to bezpośrednia forma promocji danego zespołu, łącznie ze spotkaniem z fanami, a do tego możliwość bezpośredniej sprzedaży płyt, kaset czy koszulek, z czego zapewne również skwapliwie korzystacie?
Zawsze wolimy grać na koncertach o średniej pojemności, ponieważ publiczność ma wtedy tendencję do większej koncentracji, a mosh i headbanging są bardziej zauważalne. Jednak zawsze byliśmy otwarci na granie na większych scenach i przed większą publicznością, mieliśmy szczęście promować nasz materiał w takich sytuacjach i mamy nadzieję, że nadal będziemy to robić, aby pokazać naszą muzykę jak największej publiczności.

Teraz wasze stoisko jest pewnie jeszcze obficiej zaopatrzone, bo "Into The Void" ukazał się również w dwóch wersjach na winylu, jest też CD. Zabrakło jednak kasety, a zdaje się, że jesteście zwolennikami również i tego nośnika, tak charakterystycznego dla całej, niezależnej muzyki, nie tylko dla metalu?
W rzeczywistości istnieją dwie wersje kasetowe, pierwsza została wydana przez czeską wytwórnię **Tapes Of Terror**, a druga wersja została wydana przez chilijską wytwórnię **Alcoholic Distro**, czekamy również na wydanie trzeciej wersji, we współpracy z europejską wytwórnią, którą wkrótce ogłosimy!

Zdradzicie na koniec tej pogawędki ile macie już gotowych utworów na drugi album i kiedy możemy spodziewać się jego premiery?
Obecnie komponujemy nowy materiał i mamy już wiele nowych utworów w pewnym stopniu już gotowych, niektóre z nich zostały już opublikowane w naszych mediach społecznościowych. Na ich podstawie można spodziewać się więc czegoś znacznie ciekawszego niż "**Into The Void**". Dla przykładu podam kilka utworów: "*Speeding Raw Madness*" i "*Death Ray*".

Wojciech Chamryk & Szymon Tryk

THE RODS

Rozmowa z "Rockiem" o historii rocka

Już dawno wkroczyliśmy w czasy, kiedy rozmowa z niektórymi muzykami prezentuje nie tylko wartość rozrywkową i poznawczą, ale także historyczną. Można lubić The Rods lub nie; nie jest też plamą na honorze przyznanie, że nigdy się o nich nie słyszało. A mimo to zdecydowanie warto rozmawiać z takim Davidem "Rockiem" Feinsteinem. Facet na scenę rockową wkroczył końcem lat 60., dzielił scenę z największymi, był krewnym samego Ronniego Jamesa Dio. Przy tym wszystkim gra naprawdę solidny i szczery heavy metal, który właśnie utrwalił na nowej koncertówce zespołu.

HMP: Cześć David! Jak się masz tego lata?
David "Rock" Feinstein: Mam się dobrze. Dziękuję ci za troskę. Lato tutaj, w północnej części stanu Nowy Jork, było piękne. Mieliśmy świetną pogodę, choć nie zabrakło też deszczu. Naprawdę nie możemy narzekać, zwłaszcza że wiele miejsc na świecie zmaga się z okropnymi burzami, powodziami, pożarami itp. Ogólnie rzecz biorąc, lato było dla nas łaskawe.

Dziękuję, że znalazłeś czas, by odpowiedzieć na moje pytania. Pretekstem do naszej rozmowy jest nowa płyta The Rods, "Live at Rose Hall". Powiedz, skąd pomysł wydania teraz koncertówki?
Nie ma sprawy, to czysta przyjemność! Wiesz, początkowo nie planowaliśmy wydawać koncertówki. Zaproszono nas do tego miejsca, Rose Hall, które kiedyś było kościołem, ale obecnie przekształcono je w salę koncertową. Jest naprawdę piękne, a przy tym ma znakomitą akustykę, co cieszy zarówno muzyków, jak widzów. Zagraliśmy tam jeden z naszych pierwszych koncertów z nowym basistą w składzie, **Freddym Villano**, więc byliśmy podekscytowani. Zawsze staramy się nagrywać nasze występy na żywo, żeby po fakcie przekonać się, jak nam poszło i co jeszcze możemy usprawnić. Tamta noc była naprawdę magiczna. Po odsłuchaniu nagrania byliśmy zaskoczeni, jak świetnie wszystko zabrzmiało. Spojrzeliśmy na siebie i powiedzieliśmy: "*To trzeba wydać*". Wyszło więc przypadkiem, ale jesteśmy bardzo zadowoleni z efektu.

Fajnie, że dwie trzecie setlisty stanowią kawałki z albumów wydanych po waszym powrocie w 2010 roku. To pokazuje, że w nie wierzycie i nie musie podpierać się wyłącznie żelazną klasyką.
Każdy fan **The Rods** ma swoje ulubione kawałki, które chciałby usłyszeć na żywo. Niestety, w ciągu godziny zdążymy zagrać tylko kilkanaście sztuk. Wsłuchujemy się w głosy naszych sympatyków, ale nie możemy przecież uszczęśliwić każdego. Polegamy na wielu starszych utworach, ale również bardzo wierzymy w nowy materiał. Zwłaszcza, że słuchają nas ludzie w bardzo różnym wieku, a my chcemy trafić w oczekiwania zarówno tych młodych, jak i starych. Co nie jest proste.

Foto: The Rods

Moim zdaniem "Live at Rose Hall" to bardzo dobry album, który najlepiej można opisać przymiotnikiem: szczery. Nie brzmicie na nim cyfrowo i sterylnie, nie próbujecie udawać, że jesteście nieomylni. Łatwo uwierzyć, że na żywo wypadacie dokładnie tak, jak na albumie.
Zgadzam się z tobą! Absolutnie nic nie poprawialiśmy i nie dopieszczaliśmy w studiu. Uważam, że album nagrany na żywo powinien być po prostu... nagrany na żywo. Jeżeli próbujesz cokolwiek zmieniać po fakcie, to nie masz już do czynienia z koncertówką. Oczywiście to tylko moje zdanie. "**Live at Rose Hill**" to w stu procentach my. Nasze brzmienie jest niepodrabialne, gdyż gramy tylko we trzech, podobnie jak **ZZ Top** lub **Jimi Hendrix**. Nasza tożsamość zawiera się w naszym brzmieniu. Są zespoły, które rozpoznajesz po kilku dźwiękach. Wierzę, że należymy do tego zaszczytnego grona.

"Live at Rose Hall" to wasz drugi album koncertowy. Pierwszy, Live, wydaliście w 1983 roku, czyli równo czterdzieści lat temu. Jak byś porównał te dwa wydawnictwa?
To szalenie trudne zadanie! Minęło tyle lat, a w tym czasie inżynieria dźwięku dokonała milowych postępów. W 1983 roku koncerty rejestrowało się z pomocą taniego magnetofonu, chyba że miało się szczęście i wytwórnia płytowa godziła się zapłacić za profesjonalny wóz nagraniowy. Nam nigdy się tak nie poszczęściło, dlatego "**Live**" musieliśmy nagrać praktycznie samodzielnie, a przy tym bardzo tanio. Jeśli wziąć poprawkę na standardy sprzed czterdziestu lat, to album brzmi w porządku, ale nie umywa się do "**Live at Rose Hall**". Oddzielne brawa należą się naszemu dźwiękowcowi, **Natowi Hortonowi**, który doskonale zna nasze brzmienie i świetnie radzi sobie na naszych koncertach.

Na czym twoim zdaniem polega magia występów na żywo? Dlaczego po przeszło pięćdziesięciu latach w branży muzycznej nadal ciągnie cię na scenę?
Moim zdaniem koncertowanie to marzenie każdego muzyka. Nie ma na tym świecie nic lepszego niż uczucie, które towarzyszy ci, kiedy stojąc na scenie, grasz własne kompozycje, które specjalnie zgromadzona na tę okazję publiczność zna i lubi. Granie na żywo sprawia, że czuję się świetnie. Widok zadowolonych fanów mnie uszczęśliwia. O to w tym wszystkim chodzi! Koncert jest udany, jeśli zarówno publiczność, jak i zespół dobrze się bawi. My zawsze dajemy z siebie wszystko, niezależnie od tego, czy przyszło nas posłuchać sto osób, czy tysiące.

Podzielisz się z nami swoimi najciekawszymi wspomnieniami z trasy?
Och, tyle ich było! Niektóre są zabawne, inne smutne. Wiele z nich jest niezapomnianych. Przykładowo, kiedy razem z moim kuzynem **R.J.D.** (Ronniem Jamesem Dio, rzecz jasna - przyp. red.) graliśmy w **Elf** i pojechaliśmy na trasę koncertową z **Deep Purple**. To byli nasi idole! Osobiście podziwiałem zwłaszcza **Ritchiego Blackmore'a**, dlatego dzielenie z nim sceny było czymś absolutnie wyjątkowym. Świetnie się dogadywaliśmy, co zresztą potwierdza późniejsza kariera **Ronniego** w **Rainbow** oraz jego udział w innych projektach muzyków **Deep Purple** (Dio śpiewał między innymi na "The Butterfly Ball and the Grasshopper's Feast" Rogera Glovera - przyp. red.). Oglądałem ich każdej nocy, zawsze stojąc za kulisami tak, żeby mieć przed sobą **Blackmore'a**. Tamte dni spędzone z **Ronniem** i resztą składu **Elf** były wspaniałe! Granie z **The Rods** też przyniosło mi dużo świetnych wspomnień. Nigdy nie zapomnę tras z **Iron Maiden** oraz **Judas Priest**. Mam nadzieję, że wiele magicznych chwil na trasie wciąż

jest przede mną.

Kto był najlepszym metalowym frontmanem jakiego widziałeś w akcji?
Nie zaskoczę cię, że moim zdaniem najlepszy był **Ronnie James Dio**. Miał wszystko: prezencję sceniczną, świetne pióro, talent kompozytorski oraz prawdopodobnie najlepszy głos wszech czasów. Przy tym był człowiekiem uprzejmym, szczerym i serdecznym, zarówno wobec swoich fanów, jak i ludzi tak w ogóle. **Ronnie** zawsze dawał z siebie sto procent. Nawet chorując na raka wychodził na scenę i śpiewał jak gdyby nigdy nic, tylko po to, żeby uszczęśliwić fanów. Jak już mówiłem, było w nim coś absolutnie wyjątkowego. Choć oczywiście w muzyce metalowej nie brakuje innych świetnych frontmantów. **David Lee Roth** jest znakomity. Trudno go przebić. **Rob Halford** to także fenomen.

A propos prezencji scenicznej i generalnie zachowania na scenie, to czy masz jaką wypracowaną rutynę?
Nie, nie mam żadnej rutyny. Po prostu wychodzę na scenę i zachowuję się naturalnie. Daję się porwać muzyce i liczę, że pociągnę za sobą publiczność. Na scenie czuję się jak ryba w wodzie. Nikogo nie udaję, tylko zapraszam fanów do wspólnej zabawy. Próbuję stać się częścią publiczności. Chcę, żeby uwierzyli, że jestem jednym z nich. Wykorzystuję w tym celu zarówno słowo, jak i gesty.

No właśnie, słowo. Zauważyłem, że wiele waszych utworów ma teksty, które wydają się być stworzone do angażowania publiczności; jedne poprzez solidarnościowe wątki, a inne poprzez idealnie nadające się do skandowania refreny. Czy to świadomy zabieg z waszej strony?
Tak jest! Celowo piszę swoje teksty tak, żeby były one mostem pomiędzy mną a publicznością. Muzyka to uniwersalny język i z jego pomocą staram się dotrzeć do słuchaczy. Niektóre kawałki są radosne, inne ponure, ale generalnie przesłanie jest zawsze uniwersalne: wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Tym łatwiej utożsamić się więc z tym, o czym śpiewam.

Ciągnąc temat tekstów, to czy w latach 80. byliście na celownikach konserwatywnych obrońców moralności? A może byli oni zbyt skupieni na tropieniu satanistów?
Wiesz, w latach 80. powstało mnóstwo piosenek, które mówiły o kobietach i rockowym stylu życia. To był znak tamtych czasów. Raczej nie mieliśmy problemów z konserwatystami. No, wyjątek stanowi afera, jaka rozpętała się wokół okładki "**Let Them Eat Metal**" (przedstawiającej kobietę w negliżu - przyp. red.). Wtedy nam się trochę oberwało, chociaż w tamtych czasach to była norma w świecie rocka i metalu. Co się tyczy posądzeń o satanizm, to nigdy nie mieliśmy z tym problemu. Zawsze byliśmy zespołem, który po prostu chciał się dobrze bawić.

Andrew Doyle pisze, że żyjemy w dobie nowego purytanizmu. Tylko że współcześnie żądania cenzury na gruncie moralnym najgłośniej słyszy się nie po prawej, lecz po lewej stronie politycznego spektrum. Czy ktoś z progresywnej lewicy próbował dobrać się wam do skóry, chociażby za tekst do "Violation" (rzecz mówi o zrobieniu dziecka siedemnastolatce - przyp. red.)?
Nie, na ile mi wiadomo, to nikt nie próbował odsądzać nas od czci i wiary z takich powodów. I całe szczęście. Teksty piosenek podlegają przecież różnym interpretacjom. To, jak je odczytasz, niekoniecznie musi pokrywać się z intencją autora. Nie zapominajmy też o gatunkowych konwencjach.

"Hollywood" ukazał się cztery lata po "Vengeance", a "Brotherhood of Metal" - cztery lata po "Hollywood". Czy to oznacza, że wkrótce możemy spodziewać się nowego albumu studyjnego od The Rods?
Owszem, pracujemy nad nowym albumem studyjnym. Nie mogę ci teraz zbyt wiele o nim powiedzieć, ale osobiście uważam, że będzie to jeden z najlepszych, a może nawet najlepszy album w dyskografii **The Rods**! Powinien wyjść początkiem przyszłego roku. Nie mogę się doczekać, aż wszyscy go usłyszycie! Napisaliśmy świetne kawałki, wszystko świetnie brzmi i niesie ze sobą pozytywny przekaz. Będę czekał na twoją recenzję!

Czy najlepsza pizzeria w Nowym Jorku to… John's of Bleecker Street?
Pizza (śmiech)! Nie mieszkam już w Nowym Jorku, ale każdy ma tam swoją ulubioną pizzerię. Nie znam tej, o której mówisz, ale odwiedzę ją, kiedy następnym razem będę w mieście. Obecnie mieszkam 400 km na północ od Nowego Jorku, na wsi, a mimo to wszędzie są tu pizzerie.

David, dziękuję ci za rozmowę. Czy chciałbyś coś przekazać polskim fanom The Rods?
Również dziękuję! Grałem w wielu krajach, ale nigdy w Polsce. Mam nadzieję, że pewnego dnia to nadrobię. Dziękuję tobie oraz wszystkim naszym polskim fanom za ten wywiad. Chciałbym kiedyś poznać was osobiście. Obecnie koszty podróży są strasznie wysokie, ale zawsze jest nadzieja, że jednak uda nam się dotrzeć do waszego kraju. Nie mogę się doczekać tego dnia.

Adam Nowakowski

Foto: The Rods

RASCAL

Im szybciej, tym lepiej!

Cztery lata od powstania zespołu upłynęło do wydania pierwszej pełnej płyty przez Rascala. Pomimo że wydana wcześniej EP mi umknęła to, po zapoznaniu nowym materiałem z nieukrywaną radością zabrałem się do przygotowywania wywiadu. Stacjonujący w Warszawie zespół przygotował bardzo inteligentnie skomponowany speed metal, wzbogacony o całe morze niuansów i urozmaiceń. Muzycy dołączają do twórców udowadniających, że nurt tradycyjnego grania metalu ma się bardzo dobrze w naszym kraju. O powstaniu materiału czasie lockdownu, inspiracji i planach koncertowych bardzo wyczerpująco opowiedzieli Kacper z Maćkiem.

HMP: Cześć. Minęło dwa i pół roku od kiedy ostatnio byliście przepytywani na temat Waszych muzycznych wojaży. Sytuacja na świecie mocno się zmieniła przez ten czas. Jak przetrwaliście pandemię? Czy odcisnęła się jakoś na zespole?

Rascal: Pandemia zleciała całkiem twórczo. Przerwa od koncertowania i więcej siedzenia w domu oznaczały więcej czasu na tworzenie nowej muzyki. Tak naprawdę w czasie pandemii powstała większość materiału, który trafił na nową płytę. Powrót na scenę był dzięki temu jeszcze przyjemniejszy - mieliśmy dużo nowych rzeczy do pokazania. Pierwszy koncert, jaki zagraliśmy po poluzowaniu restrykcji to również nasze pierwsze spotkanie z **Mateuszem** z **Ossuary**, u którego teraz wydajemy już drugi album. Można powiedzieć, że pandemia nie wyrządziła **Rascalowi** żadnej krzywdy i w ostatecznym rozrachunku wyszła nam na dobre.

Foto: Rascal

Bieżący rok to natomiast wielka koncertowa odwilż. Częściej gracie czy oglądacie?

Częściej gramy. Nie są to wielkie trasy, ale koncertujemy regularnie, a dzięki graniu mieliśmy też okazję do obejrzenia i posłuchania paru naprawdę dobrych koncertów. Warto wspomnieć choćby o wspólnym graniu z kanadyjskim **Strikerem**, czy indyjskim **Kryptosem**, ale równie cenna była możliwość dzielenia sceny z wieloma mniej znanymi a zdecydowanie wartymi poznania rodzimymi perełkami, których inaczej pewnie byśmy nie poznali. Oczywiście dalej chodzimy na większe koncerty i festiwale, żeby od czasu do czasu, posłuchać jak to robią fachowcy. Oglądanie wybitnych ludzi na scenie budzi pewien pozytywny rodzaj zazdrości pchający do tego, żeby po powrocie do domu brać gitarę do ręki i próbować dalej.

Które utwory z "Lost Beyond Reason" zdążyliście już ograć na żywo? Jak z ich przyjęciem?

Prawie wszystkie. Granie ich na żywo od dłuższego czasu pozwoliło nam osłuchać się z nimi, to i owo poprawić i dopracować. Oswojenie z własnym materiałem pozwoliło zdystansować się i ocenić wszystko na chłodno. Co ciekawe, na płycie wylądował nasz najstarszy numer - "***Conquest***". Napisaliśmy go jeszcze zanim powstał **Rascal**, ale nie zmieścił się na EP-ce. Jeśli chodzi o granie live, zostawiliśmy sobie jeden premierowy utwór, czyli tytułowy "***Lost Beyond Reason***", który po raz pierwszy zabrzmi na scenie podczas naszego koncertu z okazji wydania płyty. Nowy materiał dodaje koncertom energii i tempa, ale też znacznie urozmaica całość.

Jesteście zadowoleni z frekwencji na Waszych koncertach? Wierni fani dominują czy widzicie dużo nowych twarzy?

Z frekwencją bywa różnie. Grywaliśmy w salach, przez które ciężko się było przecisnąć, ale zdarzało nam się też słuchać echa własnych gitar odbijającego się od pustych ścian paru klubów. W Warszawie zawsze możemy liczyć na sporą frekwencję, sporo znajomych twarzy przewija się pod sceną i na niej. Nawet koncerty w tak szalone dni jak środa czy poniedziałek, gdy spodziewaliśmy się raczej próby na scenie, okazywały się świetnymi imprezami. W innych miastach sporo zależy od składów, z którymi gramy. Zwykle potrzebny jest ktoś, kto ściągnie lokalsów do klubu znajomym logiem. Cieszy fakt, że nawet w bardziej kameralnych sytuacjach odzew publiki jest naprawdę pozytywny.

Za kilka dni premiera Waszej pierwszej pełnej płyty. Kiedy tworzyliście muzykę, jak wspominacie sesję nagraniową?

Większość muzyki powstała w 2020 i 2021 roku. Najstarszy utwór pamięta czasy przed pandemią, kiedy większość z nas grała jeszcze w zupełnie innym zespole. Zaś najnowszy, tytułowy numer powstał niecały rok temu. Przy odrobinie pośpiechu płyta mogłaby realnie ukazać się nawet pod koniec 2022 roku, ale woleliśmy zrobić to na spokojnie i wydać materiał, którego jesteśmy pewni. Sesje nagraniowe były rozrzucone w czasie. Ścieżki gitar powstały w zaciszu własnych czterech ścian, więc klimat studyjnych sesji mogliśmy poczuć tylko przy okazji bębnów i wokali. Najciekawsze były sesje nagraniowe **Kacpra** - dawały najwięcej miejsca na poczucie studyjnego flow i odkrywanie nowych możliwości w dobrze znanym materiale.

Muszę przyznać, że EP-ka uciekła mi dwa lata temu i przesłuchałem ją dopiero teraz, przygotowując się do wywiadu. Już na niej znalazł się bardzo dobry materiał, ale na pełniaku bez problemu słychać spory progres. Zmienialiście coś w procesie tworzenia muzyki czy to naturalny rozwój?

W procesie tworzenia muzyki nie zmieniło się nic. Tutaj działają mechanizmy stare jak świat. Pomysł pojawia się nie wiadomo skąd, jeśli trafia w dobry moment trzeba iść za flow tak długo jak trwa, przespać się z efektem i ocenić czy nadaje się do **Rascala**. Potem zostaje jeszcze trochę żmudnej roboty przy aranżu et voila. Materiał na LP jest rzeczywiście bardziej rozbudowany i nieco odważniejszy niż na EP-ce. To chyba naturalna kolej rzeczy. Kilka numerów z płyty istniało lub zaczynało istnieć już w czasie wydawania EP-ki, ale wtedy dobraliśmy materiał o wiele bardziej zachowawczo, nie wiedząc, czy to, co gramy spotka się z jakimkolwiek zainteresowaniem. Tym razem wiemy, że to, co wydamy, rzeczywiście trafi do paru osób i skupiliśmy się na tym, żeby zapakować w płytę wszystko, co mieliśmy w tym momencie do zaoferowania.

Jaki jest wkład każdego z Was w tworzenie muzyki?

Całość muzyki niezmiennie tworzy **Maciek**. Reszta musi oczywiście zaakceptować pomysł i może do niego wnieść cokolwiek, choć to zdarza się niestety rzadko. Nadal czekamy, aż

Adrian wydobędzie z siebie pokłady swoich świetnych pomysłów na riffy, których efektem jest choćby "***Don't Look Back***" z EP-ki.

Słuchając Was, nie mam wrażenia, że gracie speed metal. Dla mnie to metal, w którym prędkość jest bazą, środkiem przekazu, ale nie celem. Podczas odsłuchu mignął mi kosmiczny thrash Vectora, trochę Turbo z okresu "Ostatniego Wojownika", ale także sporo naleciałości stylistyki klasycznego heavy. Jak to sami czujecie, co chcecie osiągnąć na koncertach czy w studio.

Bardzo cieszą nas te skojarzenia, **Vektor** to być może największy wspólny mianownik tego czego słucha się w **Rascalu**. Speed metal to stylistyka, którą traktujemy jako wyznacznik ogólnego kierunku i pomoc w zachowaniu spójności. A o tę czasem jest ciężko. Inspiracje płyną z thrashu, blacku, speedu, heavy, a nawet progrocka i progmetalu a powstający z nich amalgamat potrzebuje wyznaczonych ram, żeby uniknąć efektu przesolonej metalowej zupy. Naszym zdaniem speed metal najlepiej do tego pasuje, bo łączy w sobie oldschoolową stylistykę i energię thrash metalu pozostawiając miejsce dla wokalisty, który nie jest tylko smutną koniecznością a piątym instrumentem. Jeśli pojawia się dobry pomysł, który nie wpisuje się stuprocentowo w gatunek, nie chcemy go odrzucać, bo ostatecznie chcemy po prostu robić jak najlepszą muzykę, która się nam podoba. Ale będziemy próbować pokierować go tak, żeby pasował do całości.

Jaka tematyka przewija się w lirykach. Kto za nie odpowiada?

No nie jest wesoło. Za warstwę liryczną w pełni odpowiada **Maciek**. Jest trochę przemyśleń o polityce, społeczeństwie, i przywarach ludzkiej natury. Jest też parę wycieczek w głąb ludzkich lęków i zmartwień. Przewijają się takie tematy jak uciekający czas, "weltschmerz", nostalgia, ale też złość i niechęć wobec mechanizmów kierujących ludzkością. Mamy jeden numer, który nie jest nacechowany negatywnie i opowiada o pasji do tworzenia muzyki. Otwiera on płytę, a potem robi się już tylko gorzej. Naszym zdaniem taki depresyjny zestaw tekstów całkiem ciekawie kontrastuje z szybką, energiczną muzyką.

Czy Kacper odpowiada za cały śpiew? Pytam głównie w kontekście mieszanie styli w "Soldiers of Hell"

Tak, za całość wokali niezmiennie odpowiada **Kacper**. Krzyki reszty zespołu można usłyszeć jedynie w dwóch czy trzech miejscach w ramach "gang vocals". Rzeczywiście, **Kacper** miał parę okazji do zaprezentowania innej strony swojego wachlarza wokalnych pomysłów w "***Soldiers of Hell***" czy "***Conqueście***". Podjęliśmy pewne ryzyko, idąc w taką stronę i jesteśmy ciekawi, z jakim odbiorem się to spotka. Naszym zdaniem takie wokale najlepiej pasowały do klimatu tych utworów.

Kto odpowiada za okładkę nowej płyty. Muszę powiedzieć, że przyciąga uwagę detalami.

Za ogólny projekt okładki odpowiada dla odmiany… **Maciek**, a cudowne wykonanie zawdzięczamy **Dawidowi Boldysowi** ze **Shred Perspectives Works**. Chcieliśmy, aby nasza okładka zachęcała potencjalnego słuchacza wyglądem i pasowała do stylu muzyki (jednocześnie próbując uniknąć przesadnego kiczu), ale zarazem dobrze współgrała z warstwą liryczną i tytułem płyty. Nazwa albumu, tekst tytułowego numeru i zawartość okładki były trzema ostatnimi składowymi, które musiały ze sobą zagrać, zanim podjęliśmy decyzję o wydaniu. Przy okazji scena z okładki nowej płyty miała być pewnego rodzaju kontynuacją i rozwinięciem motywu z okładki EP-ki.

Ponownie powierzyliście wydanie Ossuary Records. Z tego co wiem, pierwszy nakład EP-ki został wyprzedany. Jak przebiega Wasza współpraca z Mattem?

Jesteśmy bardzo zadowoleni ze współpracy z **Mateuszem**. Służy radą, opinią i kontaktami kiedy trzeba, ale nie ingeruje w to co i jak mamy grać, więc z perspektywy muzycznej jest to dobry, zdrowy układ. Ma jeden znaczący wkład w treść wydawnictwa, bo wyperswadował nam, że nie ma już lat osiemdziesiątych i nazywanie wstępu do płyty po prostu Intrem to nie jest najlepszy pomysł. Tak jak poprzednim razem, **Ossuary** odpowiada za dystrybucję albumu w internetach i realizację wersji fizycznych. Niebawem planujemy pomyśleć też z Mateuszem o wydaniu płyty na winylkach. Do tego całkiem często razem koncertujemy.

Foto: Rascal

Czy ktoś jeszcze pomaga Wam w promocji Waszej muzyki, czy sami organizujecie wszystko?

Możemy oczywiście liczyć na pomoc **Mateusza**, który działa jako promotor naszej "sztuki" podsyłając nasze wypociny do recenzji lub podrzucając nas do zagrania z kimś koncertu. Ale gigantyczne wsparcie mamy też od przyjaciół, którzy są o wiele bardziej obeznani od nas czy to w polskiej scenie metalowej, czy w świecie social mediów i pomagają nam w promocji koncertów, oraz tak jak ostatnio, w promocji nowej płyty. Pomoc, jaką dostaliśmy na samym początku, chociażby od **Maćka Uby** jest nieoceniona. Współpracujemy też z **Helicon Metal Promotions**, które pomogło nam załapać się na kilka większych koncertów. Sami również staramy się promować nasze granie, chociaż wszyscy wciąż powtarzają, że powinniśmy bardziej bezwzględnie spamować wszędzie swoim contentem. Póki co, jednym z większych przedsięwzięć promocyjnych będzie release party z okazji wydania albumu.

Gracie razem cztery lata, dla młodych zespołów taki czas często obfituje w rotacje. Łączy Was coś więcej prócz wspólnego granie co pomaga w stabilizacji?

Jesteśmy specyficzną mieszanką ludzi, którzy z jakiegoś powodu tworzą całkiem fajną paczkę, w której każdy wnosi inną energię. Jesteśmy zbieraniną losowych ludzi z bardzo odmiennymi backgroundami, ale mamy wspólną zajawkę i po tylu latach tworzymy już zaskakująco zgraną ekipę. Koncerty i próby to jedno, ale całkiem często spotykamy się też zupełnie "nieformalnie". Niewykluczone, że dobrze zrobiła nam pandemia. **Maciek**, **Krystian** i **Adrian** urządzali sobie wielogodzinne sesje w **Heroes 3** okraszone wszelkimi rodzajami szeroko pojętych kocopołów, ale i sensownych przemyśleń administracyjnych. Traktujemy się bardziej jako taką dziwną i dysfunkcyjną, ale jednak rodzinę. Taką z bardzo niekorzystną pulą genów. A jak wiadomo, rodzinę ciężko zmienić.

Jakie macie plany na najbliższe miesiące?

Na razie koncentrujemy się na wszystkim, co dzieje się wokół premiery płyty i towarzyszącego jej koncertu. Nie możemy się doczekać, ale jednocześnie zajmuje to prawie całą uwagę. Kiedy około premierowe emocje w końcu opadną, będziemy mogli wrócić do sedna całej sprawy, czyli tworzenia nowego materiału - a tego nagromadziło się już całkiem sporo. Nie zwalniamy i chcemy robić muzykę dalej. Może tym razem trochę sprawniej nam to pójdzie. Liczymy też, że premiera płyty stworzy okazje do ciekawych koncertów w nowych miejscach.

Łukasz Ragnus

Nawałnica

Nie da się ukryć, że Szwedzi słyną z wyczucia melodii. Sam dawniej do tych melodii podchodziłem jednak sceptycznie. Przy rozmaitych okazjach starałem się brać poprawkę, że nie wychowałem się na melodyjnym euro power metalu i doceniać wyobraźnię oraz kunszt wykonawczy, zamiast psuć innym zabawę. Moje nastawienie zmienił dopiero Perpetual Etude, który wydawniczo zadebiutował pod koniec 2021 roku. Teraz zaś wkręciłem się na maksa w najnowszą propozycję Lancer "Tempest". O związanych z nim perypetiach opowiedział nam gitarzysta Frederik Kelemen.

HMP: Jaka atmosfera panowała w Lancerze zaraz po wydaniu Waszego poprzedniego albumu, "Mastery" (2017)? Jak ona się miała do obecnej sytuacji?

Fredrik Kelemen: Cóż, "**Mastery**" został wydany w tym samym dniu, w którym rozpoczęła się nasza pierwsza europejska trasa, razem z **Hammerfall** i **Gloryhammer**, więc była to zarówno atmosfera "spełnienia marzeń", jak i ogromna nerwowość przed trasą. Naprawdę nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać i chcieliśmy po prostu wystąpić jak najlepiej.

Foto: Erik Hansen

Zaczęliśmy trochę chwiejnie podczas kilku pierwszych koncertów, ale bardzo się rozwinęliśmy jako zespół na żywo i pod koniec trasy byliśmy niesamowici (śmiech). Nastrój w zespole zawsze był dobry - to nie powód, dla którego dwóch członków odeszło z **Lancer** w 2018 roku. Ale i tak obecna atmosfera jest lepsza niż kiedykolwiek. Nowa krew w zespole zawsze oznacza nową energię. Czujemy się podekscytowani, że możemy wydać "**Tempest**" na całym świecie!

W jakich okolicznościach Isak Stenvall opuścił Lancera?

Jak już wspomniałem, czuliśmy dużą presję, by dać z siebie wszystko podczas trasy, a przede wszystkim **Isak**, ponieważ to on pełnił funkcję frontmana. Wchodzenie na scenę każdego wieczoru było emocjonalnym rollercoasterem, pracą nad sobą z nadzieją, że wszystkim się spodoba. Myślę, że po trasie **Isak** stracił pasję i przestał czerpać radość z zespołu. Wypalił się i zapragnął robić w życiu inne rzeczy. Nie żywimy do siebie urazy. Po prostu potrzebował zmiany w tamtym momencie.

Isak Stenvall był nie tylko Waszym wokalistą, ale także głównym kompozytorem. Jak bardzo chcieliście kontynuować działalność Lancera po jego odejściu?

Nie myśleliśmy o niczym innym niż o znalezieniu nowego wokalisty i o kontynuowaniu podróży. Isak napisał wiele naszych utworów, ale nie wszystkie. Reszta z nas musiała zacząć dostarczać więcej materiału. Po tym, jak dostaliśmy wiadomość od Isaka, że chce odejść, natychmiast zacząłem szukać nowych wokalistów i testować, jakiego rodzaju głosu chcę dla zespołu. Proces komponowania "**Tempest**" był już w toku. "***Purest Power***", "***Eye For An Eye***" i "***Out Of The Sun***" napisaliśmy w 2018 roku. "***Out Of The Sun***" był właściwie ostatnim utworem napisanym przez **Isaka**. Zdecydowaliśmy się zachować go na albumie, ale poza tym wszystkie utwory zostały napisane przez resztę z nas.

Jak komponowało Wam się nowe utwory Lancera od zera bez Isaka?

Właściwie nie było żadnej różnicy. Pracujemy w ten sam sposób. Jeden z nas przychodzi z nowym pomysłem na utwór, ale zawsze pracujemy nad nim i kształtujemy go razem w sali prób. Obecnie w tym procesie tak naprawdę gitarzysta **Ewo Solvelius** jest muzycznym mózgiem **Lancera**. Jego muzyczne ucho do aranżacji, dynamiki i szczegółów w muzyce zdecydowanie przewyższa resztę z nas. Bez niego byłby to o wiele prostszy album.

Czy odchodząc, Isak spakował Nuclear Blast do swojego plecaka?

Nie, zostaliśmy porzuceni przez **Nuclear Blast**, zanim **Isak** odszedł. Myślę, że byliśmy najmniejszym zespołem na ich liście i po prostu nie rozwinęliśmy się na tyle po "**Mastery**", by opłacało im się wydawać nasz kolejny album. Ale co ciekawe, ten sam facet, który podpisał z nami kontrakt dla **Nuclear Blast**, jest również właścicielem naszej obecnej wytwórni **Fireflash Records** i to on podpisał z nami obecny kontrakt. **Markus Wosgien** jest niesamowitym facetem i jednym z najlepszych w całym biznesie. Kiedy dowiedzieliśmy się, że odszedł z **Nuclear Blast** i założył własną wytwórnię, był to nasz pierwszy i jedyny wybór, aby skontaktować się z nim po ukończeniu "**Tempest**". Na szczęście wykazał zainteresowanie ponowną współpracą.

W jakich okolicznościach połączyliście siły z Jackiem L. Stroemem? Czy braliście pod uwagę innych wokalistów?

Znalezienie Jacka zajęło nam dwa lata. Od pierwszej chwili, gdy go usłyszeliśmy, wiedzieliśmy, że idealnie do nas pasuje. Ale zanim do tego doszło, rozmawialiśmy z wieloma innymi wokalistami. Kilka dni po odejściu **Isaka** zwróciliśmy się do **Christiana Erikssona** (ex - Twilight Force), ale wtedy dopiero do publicznej wiadomości miała zostać podana wieść o powstaniu **NorthTale**, w związku z czym uprzejmie odrzucił naszą propozycję. Próbowaliśmy z innymi, ale ciężko było znaleźć idealnego kandydata. W pewnym momencie mój znajomy, basista death metalowego zespołu **Deals Death**, powiedział mi o **Jacku**. Z jakiegoś powodu zapomniałem go sprawdzić. Rok później ktoś inny również polecił **Jacka** i wówczas przypomniałem sobie, że o nim zapomniałem. Jack bardzo chętnie spróbował. Okazało się, że nadajemy na identycznych falach.

Czego nauczyliście się od Jacka? Co on wniósł do Waszego zespołu?

W przeszłości często porównywano nas do gigantów gatunku, takich jak **Helloween** czy **Edguy**. Schlebiało nam to, ale jednocześnie nas to irytowało. Oczywiście, że sami się do tego przyczyniliśmy, ale od początku istnienia **Lancer** chcieliśmy brzmieć po swojemu, unikaliśmy cliché. Myślę, że udało nam się wypracować własny styl, po części właśnie dzięki **Jackowi**. Nowy głos zawsze oznacza nowe brzmienie, tym bardziej że dopuściliśmy do mikrofonu inną osobowość. **Jack** nie jest typowym wokalistą power metalowym, co bardzo mi odpowiada. Uważam go raczej za klasycznie rockowego śpiewaka, ale takiego, który potrafi wzbić się na najwyższe rejestry. W jego głosie słychać duszę i wyjątkowy charakter. Koniecznie musimy to uwydatnić na następnych albumach.

Co chciałbyś nam powiedzieć odnośnie kolejnej zmiany w Waszym składzie, czyli o nowym perkusiście, Pontusie Andrénie?

Pontus był pierwszym kandydatem na nowego perkusistę **Lancer**, ponieważ grał z nami wcześniej kilka pojedynczych koncertów i zawsze przychodził perfekcyjnie przygotowany. Mieliśmy więc okazję, by przekonać się o jego talencie. Można na nim polegać. Gra z fantastycznym groove'm. Pochodzi z jednej ze stolic szwedzkiego metalu, Göteborga, gdzie nabył doświadczenie w rozmaitych formacjach. Przy okazji wspomnę, że on w dalszym ciągu bębni w lokalnej kapeli o nazwie **Sacred**. Wydaje mi się jednak, że **Lancer** to największy zespół, w jakim kiedykolwiek występował. Ostatnio po raz kolejny otwieraliśmy show **HammerFall** u nas, w Karlstadzie. **Pontus** zachwycał się przejściami ich perkusisty, **Davida Wallina**, ale moim zdaniem, w niczym mu nie ustępuje.

Z czego, oprócz zmian w składzie, wynika sześcioletnia przerwa pomiędzy Waszymi dwoma longplayami: "Mastery" i obecnie promowanym "Tempest"? Przecież nowi muzycy dołączyli do Was już w 2019 roku.

O ile pamiętam, **Pontus** faktycznie dołączył w 2019 roku, ale **Jack** dopiero w 2020 roku. Wkrótce potem przystąpiliśmy do komponowania nowego materiału. W marcu 2021 zaczęliśmy rejestrować perkusję, a następnie wydarzyło się wiele rzeczy, które opóźniły prace nad płytą. **Jack** zaśpiewał całość, po czym stwierdził, że jego partie nie są wystarczająco dobre i ponowi je (śmiech). Nasz inżynier dźwięku cierpiał z powodu pewnego tragicznego zdarzenia w jego osobistym życiu - w skrócie chodzi o to, że zmarło dwóch członków jego rodziny. W związku z tym musieliśmy bardzo długo czekać na miks i mastering. Doszedł jeszcze okres uzgadniania warunków współpracy z nową wytwórnią **Fireflash Records**. Tak uciekły nam dwa lata. Szalona sprawa.

Czy dedykujecie cały album wokaliście Europe, Joeyowi Tempeście?

(śmiech) Osobiście uwielbiam **Europe** i **Jeoya Tempestę**. **Europe** to jeden z moich ulubionych zespołów. Niemniej, tytuł "**Tempest**" odnosi się do nawałnicy przedstawionej na okładce. Ale na japońskiej edycji debiutanckiego albumu **Lancer** zamieściliśmy kower utworu **Europe** "***Stormwind***" (1984). Prawdopodobnie możesz odnaleźć go gdzieś na You Tube. Sam nie posiadam tego nagrania w domu. Od lat go nie słyszałem.

Z drugiej strony, tytuł "Tempest" wydaje się nawiązywać do tytułu Waszej drugiej płyty "Second Storm" (2015).

Na samym początku nie planowaliśmy w żaden sposób tych płyt do siebie upodabniać. Określenie "**Nawałnica**" po prostu wydawało się świetnie pasować do naszej sytuacji - powróciliśmy niczym burza z nowym brzmieniem i składem. Ostatnio doszły do nas opinie, że: "**Tempest**" brzmi jak naturalna kontynuacja "**Second Storm**", podczas gdy "**Mastery**" odstaje jak czarna owca dyskografii; "**Mastery**" to raczej propozycja dla fanów **Enforcer** lub "ekstremalnego" power metalu; pozostałe nasze płyty są utrzymane w stylu bardziej tradycyjnego euro power metalu. Do pewnego stopnia zgadzam się. Możliwe, że powinniśmy nieco inaczej podejść do "**Mastery**". Szczerze mówiąc, bardziej zapatruję się w przyszłość i z ekscytacją oczekuję odpowiedniego momentu, gdy zabierzemy się za tworzenie następnego albumu. Wybierzemy się z naszym brzmieniem jeszcze bardziej poza standard.

Opowiedz proszę o Waszej współpracy z Olofem Wikstrandem z Enforcer.

Zarówno **Enforcer**, jak i **Lancer**, zrodziły się w tym samym niewielkim miasteczku, Arvika (na mapie to wygląda, jakby Arvika leżała dwa razy bliżej Oslo niż Sztokholmu - przyp.red.). W dawnych czasach nie znaliśmy się. **Olof** uczył się inżynierii dźwięku na lokalnej akademii muzycznej, gdy ja uczyłem się tam gry na gitarze. On kojarzył, że **Lancer** istnieje, ale nigdy nie mieliśmy okazji porozmawiać, zanim wspólnie nie zrobiliśmy teledysku "**Entity**". **Olof** jest przemiłym gościem i prawdziwym fachowcem w swoim zawodzie. Łatwo się z nim współpracuje. Nieszczególnie przepadam za kręceniem video, dlatego że zazwyczaj proces przeciąga się w nieskończoność, więc trzeba uprawiać headbanging wiele razy do tego samego kawałka, przez cały dzień lub dwa. Na szczęście, **Olofowi** wystarczyło zaledwie kilka ujęć. Jestem mu za to niezmiernie wdzięczny. Z wielką chęcią ponowiłbym z nim współpracę.

Foto: Erik Hansen

Podobnie jak nieśmiali i introwertyczni ludzie potrzebują czasu, aby stać się najlepszymi przyjaciółmi, tak moim zdaniem "Tempest" potrzebuje trochę czasu, aby zostać zrozumianym przez słuchaczy. To rodzaj albumu, który nie urzeka od razu, ale jest wyrafinowany i wspaniały na swój własny, unikalny sposób.

Zgadzam się z Twoją konkluzją. Potrzebuje czasu. Moim zdaniem tego typu albumy są najlepsze, ponieważ mają o wiele więcej głębi i pozostają interesujące o wiele dłużej niż te, które są bardziej bezpośrednie i łatwe do słuchania. Ale nie było powiedziane, że chcemy to zrobić w ten sposób. Wszystko przychodzi naturalnie. Możemy napisać tylko to, co czujemy. Ale to powiedziawszy, napisałem już refren na następny album, który jest bardzo bezpośredni i bardziej popowy (śmiech). Nie patrzę z góry na zespoły, które piszą tylko bezpośrednią muzykę. Wszystko pozostaje kwestią gustu.

Jakie myśli i przesłania przekazujecie w tekstach na "Tempest"? Jest w nich więcej światła czy mroku?

Na pewno więcej mroku. W przeszłości **Isak** pisał wszystkie teksty i wszystkie były lżejsze, z epickimi bitwami, potworami, demonami, aniołami i tym podobnymi rzeczami. Teraz musieliśmy to przejąć, a ja mogę pisać tylko teksty, które przychodzą mi naturalnie. Nie jestem mroczną osobą, ale muszę pisać o rzeczach, które są prawdziwe. A wtedy automatycznie stają się to rzeczy o chorobach psychicznych, życiowych zmaganiach czy tragediach świata. Moje teksty muszą coś dla mnie znaczyć, być ważne dla mnie osobiście. Przeciętny fan metalu może w ogóle nie zwracać uwagi na teksty, ale ja przynajmniej mogę powiedzieć, że włożyłem w nie dużo wysiłku.

Jak nazywacie swoją maskotkę z okładki "Tempest"? Czy to ta sama maskotka, czy inna od tej z debiutu (2013) i drugiego albumu?

Nie wiem, czy to w ogóle jest maskotka, ale kiedy rozmawialiśmy o okładce albumu, chcieliśmy ponownie wybrać ptaka. Naprawdę czujemy się jak **Lancer**. Może mamy dziwne poczucie humoru, którego nikt nie rozumie, ale struś, którego użyliśmy na naszych dwóch pierwszych albumach nie został zbyt dobrze przyjęty (śmiech). Więc po prostu się go pozbyliśmy i poszliśmy w stronę bardziej poważnego podejścia na albumie "**Mastery**". Demoniczny kruk na "**Tempest**" symbolizuje zmiany w zespole. Widać, że przyciąga gigantyczną burzę nad pięknym krajobrazem, pozostawiając za sobą tylko pustkowia. Jest to również silny centralny element obrazu, łatwy do rozpoznania. Więc nie, to nie jest ten sam ptak i nie spodziewam się, że struś powróci. Wiele osób wzięło nas za zespół komediowy, a nie tak chcemy być postrzegani.

Które kawałki z "Tempest" zamierzacie wykonywać na żywo?

Z pewnością każdy utwór z "**Tempest**" spraw-

dziłby się w wersji koncertowej. Sęk w tym, w jakiej kolejności umieścilibyśmy coś w setliście, no i oczywiście o jakiego rodzaju show mówimy. Ostatnio, gdy graliśmy w klubie, dostaliśmy siedemdziesiąt minut. Wykonaliśmy sześć lub siedem numerów z "**Tempest**", włącznie z tytułową balladą, by je wypróbować w warunkach bojowych. Znakomicie sprawdziły się przed lokalnymi fanami. Ale na festiwalu lub podczas supportowania większego zespołu, staralibyśmy się dobrać jak najbardziej energiczny repertuar od początku do końca. Odpowiadając na pytanie, wskazałbym na single "***Fan The Flames***" i "***Entity***", jak również na "***Purest Power***", "**Out of the Sun**" oraz "***Blind Faith***". A więc na utwory z potężnymi refrenami.

Czy zdarzyło już Wam się wyjechać z obecnym składem na jakąś imprezę poza domem?
Wcześnie podjęliśmy decyzję, że zaczekamy z koncertową działalnością, aż zakończymy prace nad "**Tempest**". Potrzebowaliśmy się skupić. Lecz gdy pojawiła się ponowna okazja supportowania **HammerFall**, nie mogliśmy odmówić. Aby upewnić się, że Jack porządnie się rozgrzeje, zorganizowaliśmy wpierw mały klubowy koncert. Poza tym, z ekscytacją spoglądamy w przyszłość. Wkrótce zrobimy release show w Szwecji, a następnie wybierzemy się do Europy (tak jakby Skandynawia nie była częścią Europy - przyp.red.)! Ostatnim razem byliśmy tam dawno temu i bardzo nam tego brakuje. Nie wiemy jeszcze dokładnie, kiedy ani z kim, ale musi się to wydarzyć. Nasz poprzedni koncert w Polsce odbył się w warszawskiej Progresji. Istne szaleństwo! Mieliśmy u Was prawdopodobnie najlepszą publiczność na całej trasie. Od pierwszej chwili rozpętała się stuprocentowa nawałnica. Podczas grania "***Behind the Walls***" (2015) zobaczyliśmy nasz pierwszy i jedyny mosh pit. Niesamowite! Serio, musimy do Was powrócić.

Sam O'Black

Foto: Hitten

HMP: **W ostatnim wywiadzie dla Heavy Metal Pages powiedziałeś, że najlepsze czasy dla muzyki to przełom lat 80. i 90. Słucham "While Passion Lasts" i mam wrażenie, że to się nie zmieniło.**
Alexx: Ani trochę! W przypadku tej płyty włożyliśmy wiele wysiłku, próbując zbadać, a następnie odtworzyć, lub przynajmniej zbliżyć się możliwie jak najbardziej, do specyficznych produkcji z końca lat 80. i początku 90. powiedzmy do okresu 1989-1992... oczywiście wciąż zdając sobie sprawę, że jesteśmy w 2023 roku. Zwłaszcza jeśli chodzi o brzmienie gitar, szukaliśmy znaleźliśmy stary sprzęt, który sprawił, że te nagrania brzmiały tak, jak brzmiały, na przykład legendarny preamp ADA MP1 i multiefekt Yamaha SPX90.

W utworze tytułowym słyszę dźwięki, który przypominają mi saksofon. Pamiętam, że był on popularny w muzyce rockowej na początku lat 90. Rozumiem, że to celowe nawiązanie do tamtego okresu?
O tak, uwielbiamy saksofon i uznaliśmy, że idealnie by się tam sprawdził, i myślę, że trafiliśmy w punkt! Ponieważ jesteśmy miłośnikami AOR, saksofon można znaleźć na kilku płytach, które cenimy, większość z nich ukazała się dokładnie na początku lat 90., czyli prawdopodobnie w szczytowym momencie AOR. Ale nie tylko, jeśli chodzi o czysty heavy metal, inną moją ulubioną płytą i w sumie ogólnie całego zespołu, jest "**The Privilege of Power**" **Riot**, gdzie można znaleźć pełną sekcję dętą w prawie każdym utworze, swoją drogą nagranym przez nikogo innego, jak potężny **Tower of Power**, i zgadnij, kiedy to się ukazało? W 1990! (śmiech).

Miałam nosa (śmiech). Utwór poprzedza ciekawe elektroniczne syntezatorowe intro zatytułowane "Prelude to Passion". Kto jest jego autorem?
Gitarzysta, **Dani**. Spoko jest, no nie?

Tak! W ogóle gdybym nic o was nie wiedziała, pomyślałabym, że Hitten to zespół z drugiej połowy lat 80. Jaki szczegół zdradził, że jesteście zespołem z XXI wieku? (śmiech)
Oby nic, ale nasze dowody osobiste mogłyby nas zdradzić. (śmiech)

Istniejecie od ponad 10 lat, macie na koncie pięć albumów. Gdybyście zaczęli grać w latach 80.tych... byłyby już lata 90. Myślisz, że nadal gralibyście w tym samym stylu?
To fajne pytanie, na które jednak nie mam odpowiedzi. Często myślę o tym, że czas w przemyśle muzycznym biegnie inaczej teraz niż wtedy. W latach 80. **Led Zeppelin** byli już starzy i skończeni... w latach 90. to samo działo się z każdym zespołem NWOBHM z lat 80., który pojawił się w pierwszych latach dekady. Mógłbym wymienić **Angel Witch**, **Satan** lub... praktycznie każdy inny zespół, o którym tylko można by pomyśleć. W dzisiejszych czasach my, podobnie jak wiele innych zespołów z naszej ery, z ponad 10-letnim stażem, pięcioma albumami i wszystkimi dobrze po trzydziestce, wciąż jesteśmy nazywani "nowicjuszami" i "młodymi" zespołami (śmiech). Wracając do głównego pytania, wydaje mi się, że to co odróżnia nas i zespoły naszego rodzaju, od większości zespołów z tamtych czasów, to fakt, że robimy, to co robimy, bo naprawdę to lubimy i jesteśmy pasjonatami heavy metalu i hard rocka, podczas gdy większość zespołów z tamtych czasów robiła to, bo było to popularne i można było na tym zarobić, a kto wie, może nawet zostać multimilionerami rocka! Z jednej strony powiedziałbym, że tak, prawdopodobnie będziemy robić to, co robimy najlepiej i to, co lubimy najbardziej, czyli klasyczne hard'n'heavy... Z drugiej strony, kto wie, czy gdybyśmy żyli w tamtych czasach i byli muzykami, dla których granie byłoby głównym zajęciem, a wytwórnia płytowa, która żywi i karmi, mówiła nam żebyśmy zrobił bardziej aktualny album z wpływami grunge'u, aby sprostać wymaganiom rynku.... to nie jest łatwa odpowiedź. Niektóre zespoły próbowały w latach 90., większość z nich splajtowała, a następnie rozwiązała się lub ostatnio powróciła do swoich pierwotnych korzeni. Czy naprawdę można ich winić? Inni, jak **Pantera**, całkowicie zmienili gatunek i sprzedali mnóstwo płyt! Choć prawdą jest, że ten ruch był prawdopodobnie zamierzony, a nie wymuszony przez stronę trzecią.

Oczywiście nastąpiły zmiany w waszym brzmieniu. Kiedyś graliście nieco szybciej i ciężej, dziś wasze brzmienie jest bardziej

HITTEN

W przemyśle muzycznym czas biegnie inaczej niż kiedyś

Jeśli Wam, tak jak mi, cudownie się słucha nowej płyty Hitten, koniecznie czytajcie poniższą rozmowę z wokalistą kapeli. Jeśli czujecie, że płyta powstała w 1990 roku, to nie postradaliście zmysłów - to ulubiona era muzyków Hitten, a "While Passion Lasts" to po prostu manifestacja tej miłości.

hard rockowe. To prawdopodobnie wasz najbardziej "melodyjny" album. Czy to jest również wasz kierunek na nadchodzące lata?
Czas pokaże! Jak komponujemy, nie siadamy przy stole i nie decydujemy wcześniej, w którym kierunku musimy podążać. Po prostu zapisujemy pomysły i pracujemy nad nimi tak długo, dopóki nie jesteśmy całkowicie zadowoleni z rezultatów, a rezultat jest po prostu naturalną ewolucją naszego brzmienia, na którą wpływ ma nasz obecny stan w danym momencie. Oczywiście nie chcemy się powielać, więc staramy się nadać każdemu albumowi nieco inny charakter. Zawsze jednak zachowujemy znak firmowy, który jest podstawą brzmienia **Hitten**. Niemniej jednak może się okazać, że następnym razem zrobimy cięższą płytę... albo i nie! Zobaczymy, co będzie siłą napędową, gdy nadejdzie ten czas.

Poprzedni album zawierał długi, epicki utwór tytułowy. Na ostatniej płycie wszystkie utwory są kilkuminutowe. Czy próbowaliście nagrać coś takiego jak utwór "Triumph & Tragedy"? Już wiem, że raczej celowo nie decydowaliście, że skupicie się na krótkich i "lekkich", chwytliwych kawałkach.
Nadal jestem bardzo dumny ze utworu tytułowego "***Triumph & Tragedy***" i uważam, że jest to jeden z najlepszych utworów skomponowanych kiedykolwiek przez zespół. "*T&T*" powstał naturalnie, dzięki pomysłowi gitarzysty, **Johnny'ego**, który na początku brzmiał nieco szalenie, ale potem okazał się niesamowity! Jak już mówiłem, wszystko co piszemy, wychodzi naturalnie i bez wcześniejszego scenariusza, więc tym razem "mini-suita" po prostu się nie pojawiła. Poza tym, z pewnością "***While Passion Lasts***", która jest jak dotąd naszą najbardziej melodyjną płytą, jest bardzo mocno napędzana chwytliwymi refrenami i zapadającymi w pamięć riffami, więc jej struktura najwyraźniej wyszła naturalnie, tak aby było na niej więcej utworów w klasycznym formacie.

Na okładce znów pojawiła się kobieca postać. Czy tak jak na poprzednim albumie jest to bogini Ananke?
Tą grafiką chcieliśmy pokazać ciągłość z okładką "**Triumph & Tragedy**", która przedstawia grecką boginię **Ananke** w wersji science-fiction. **Ananke** jest boginią **Przeznaczenia** i **Losu**, a u jej stóp widać trzy tajemnicze ciemne bramy i kilku ludzi przed bramami, podczas gdy za nią widać z jednej strony świat w ruinie (reprezentujący Tragedię) i rozwinięte i dobrze prosperujące miasto po drugiej stronie (reprezentujące Triumf)... Koncepcja jest taka, że możesz wybrać własną ścieżkę, ale nie wiesz, co czeka na ciebie za bramą... tylko **Ananke** (przeznaczenie) może zdecydować. W "***While Passion Lasts***" zdecydowaliśmy się ponownie na postać bogini sci-fi, tym razem reprezentującą indyjską boginię **Saraswati** wiedzy, sztuki i muzyki. Dzika roślinność i ruiny z tyłu przedstawiają świat, który skończył w ruinach, w Tragedii... ale błyszcząca złota bogini wyłaniająca się z dziczy przynosi nadzieję, ponieważ muzyka jest tym, co prowadzi nas przez dzień i utrzymuje nas przy życiu!

A co oznacza siedzący za nią łabędź?
Saraswati jest zwykle przedstawiana jako postać dosiadajaca łabędzia niczym wierzchowca, a ten w hinduizmie jest świętym ptakiem, który symbolizuje duchową doskonałość i transcendencję, moc rozróżniania dobra od zła, tego co właściwe, od tego co niewłaściwe, a także wartości od bezużyteczności.

Foto: Hitten

Kręcicie klasyczne teledyski. Zastanawiasz się czasem, czy miałyby one jakąkolwiek "siłę przebicia" w latach 80. i 90., kiedy były emitowane w telewizji?
W latach 80. teledyski były czymś, co decydowało o sukcesie lub porażce, trzeba było mieć naprawdę dużo szczęścia, żeby zostać wybranym i trafić do puli klipów **MTV Headbangers Ball**. Tak niemal z dnia na dzień można było stać się prawdziwą gwiazdą rocka. W tej chwili teledysk to narzędzie promocji, takie samo jak każde inne. Lubimy jednak robić 2-3 teledyski na każdy album, żeby nadać szczególną wagę singlom, które pojawiają się przed faktycznym wydaniem płyty.

Alex, jesteś jednym z założycieli Cobra Spell. Najwyraźniej nie byłeś w stanie połączyć śpiewania w dwóch zespołach i pracy na pełen etat. A może od początku Sonia wolała, żeby Cobra Spell był zespołem wyłącznie żeńskim (śmiech)?
Hitten jest oczywiście moim głównym projektem, ale nawet teraz mam więcej niż jeden zespół, ponieważ śpiewam również w **Burning Starr Jacka Starra** i mam własny projekt, który jeszcze się nie ukazał. Chodzi jednak o to, że w pewnym momencie **Cobra Spell**, który narodził się jako projekt poboczny muzyków, stał się głównym zespołem **Sonii**. Ja w tej sytuacji nie miałem wystarczająco dużo czasu, aby poświęcić się projektowi tej wielkości, ponieważ większość mojego wysiłku i zaangażowania była już w **Hitten**. Nie chciałem ich spowalniać, więc odszedłem. Już później **Sonia** zdecydowała, że będzie to wyłącznie żeński zespół. Szczerze mówiąc, nie znam jej przemyśleń na ten temat. Czy uważała, że był to właściwy ruch pod względem marketingowym, czy po prostu czuła się bardziej komfortowo pracując z innymi kobietami? Pomyślałem, że fajnie jest mieć zespół mieszany pod względem płci i szczerze mówiąc nigdy nie wierzyłem w zespoły kierowane przez osoby jednej płci... Typowym tematem, który pojawia się, gdy ktoś mówi o zespołach składających się wyłącznie z kobiet, jest równość i cóż... myślę, że nie ma nic mniej "równego", niż definiowanie zespołu przez jego płeć i ograniczanie się do jednej płci, bycia kobietą, mężczyzną lub czymkolwiek innym. Oczywiście jakoś nie mówi się o kapelach składających się wyłącznie z mężczyzn (śmiech). Niemniej jednak, radzą sobie dobrze, więc chyba się udało!

Katarzyna "Strati" Książek

SKULL & CROSSBONES

...niezależny zespół z pewną przeszłością

Liczyłem, że na przygotowane pytania odpowie Jürgen Wannenwetsch albo Marc Oppold. Jednak za odpowiedzi wzięła się "młodzież" w osobach gitarzysty Tobiego Kippa i wokalisty Tobiego Hübnera. Niestety panowie zaklinali rzeczywistość i za wszelką cenę chcieli rozdzielić Skull & Crossbones od Stormwitch, co bardzo dziwnie brzmiało w momentach, gdy wspominali o tym, że na koncertach grają utwory z pierwszych czterech albumów Stormwitch, albo kawałki z "Bound to the Witch" (ostatniego jak na razie albumu Stormwitch). Jak na to nie patrzeć są oni związani z tą legendą niemieckiego heavy metalu i to żadna ujma, tym bardziej że na debiutanckim albumie Skull & Crossbones "Sungazer" grają już swoje i z pewnością wraz z kolejnymi krążkami spokojnie wyrobią swoją markę. Tak czy inaczej, jak ktoś lubi dobry europejski heavy/power metal powinien zainteresować się tą formacją oraz ich debiutanckim albumem. A teraz zapraszam do zapisu rozmowy z obydwoma Tobiasami.

HMP: Czy ze względu, że czwórka z was to byli muzycy Stormwitch, można mówić, że Skull & Crossbones to kontynuacja Stormwitch?
Tobi Kipp: Nie, nie uważam tego za kontynuację **Stormwitch**. Jest to niezależny zespół z pewną przeszłością.

No właśnie, jak słucham waszego debiutanckiego albumu "Sungazer" mam wrażenie, że słucham Hammerfall?
Tobi Hübner: Tak, słyszeliśmy takie porównania raz czy dwa. Myślę, że to z powodu melodyjności, utworów hymnów i chwytliwych refrenów. Kawałki tak naprawdę nie brzmią jak **Hammerfall**.

OK, już na poważnie. Już sama nazwa jest informacją, że jednak chcecie kontynuować to, co zaczęliście w Stormwitch, bo na debiucie tego zespołu "Walpurgis Night" jest właśnie utwór "Skull & Crossbones"...
Tobi Kipp: Niektórzy pewnie wiedzą, że "*Skull & Crossbones*" jest kompozycją z pierwszego albumu **Stormwitch** "Walpurgis Night". Ten tytuł nam pasował i oprócz nowego materiału gramy też na żywo utwory z pierwszych czterech albumów **Stormwitch**. Jednak to z czasem zejdzie na dalszy plan, ponieważ chcemy skupić się na nowym materiale.

Foto: Michael Vetter

Czy w muzyce Skull & Crossbones odnajdziemy jakieś elementy Stormwitch?
Tobi Kipp: Nie zależało nam, aby dodawać jakieś elementy znane ze **Stormwitch**. Jeżeli takowe są to, zbieżność jest przypadkowa. Styl pisania utworów i wokale są całkowicie inne.

W kilku recenzjach waszej płyty znalazłem zestawienie muzyki Skull & Crossbones z dokonaniami Dio, Accept, Saxon, Iron Maiden itd. Moim zdaniem takie informacje wprowadzają w błąd ewentualnych fanów/słuchaczy, bowiem gracie heavy/power, ale zdecydowanie łagodniej. Stąd moje wcześniejsze pytanie o Hammerfall...
Tobi Hübner: Cóż, zawsze pojawią się takie porównania, gdy grasz melodyczny metal z czystymi wokalami. Osobiście nie lubię takich porównań z innymi zespołami. Chcemy zrobić coś własnego i stanąć na własne nogi. Ale, oczywiście, każdy słyszy coś innego i inaczej interpretuje rzeczy w utworach oraz ogólnym brzmieniu i to jest najważniejsze.

Jednak nie można odebrać waszej muzyce miejsca na scenie tradycyjnego metalu. Riffy, solówki, mocna sekcja rytmiczna, struktura utworów, znakomite melodie oraz rockowy śpiew wokalisty to wszystko lokuje was na tej scenie...
Tobi Hübner: Tak, dokładnie tego chcieliśmy i nadal chcemy. Chcemy przetransportować tradycyjny metal z lat 80. do dzisiejszych czasów. Klasyczny metal z nowoczesnym brzmieniem.

Na płycie znalazło się dziesięć kawałków, każdy dobry, każdy inny, każdy na wysokim poziomie. Natomiast na single promujące wybraliście dynamiczne utwory "Sungazer" i "Nature's Legacy" oraz balladę "Live Your Dreams". Dlaczego wybraliście właśnie te kompozycje? Czy to dla was najlepszy kawałki na krążku?
Tobi Hübner: Nie powiedziałbym, że są to najlepsze kawałki na albumie. Każdy utwór jest dobry sam w sobie. Wybraliśmy tytułową kompozycję z albumu "**Sungazer**" jako debiutujący singiel zespołu, ponieważ zawiera wszystko, do czego chcemy dojść jako zespół. Tak jak "***Nature's Legacy***", ten kawałek ma wszystko, co według nas powinna mieć klasyczna piosenka metalowa. Pomyśleliśmy też, że będzie dobrym pomysłem wypuszczenie ballady "***Live Your Dreams***", by pokazać zróżnicowanie w naszym brzmieniu.

Ogólnie "Sungazer" brzmi chwytliwie i przystępnie i później trudno oderwać się od niej...
Tobi Hübner: Myślę, że chwytliwe refreny są naszą główną cechą. Chcemy wejść w umysły słuchaczy i już tam pozostać. (śmiech)

Jednak podejście do tekstów, trochę łączy was z Stormwitch, są one przesycone pewnym mrokiem, a czasami nawet pewnego rodzaju czarną magią...
Tobi Hübner: Zdecydowanie się nie zgadzam. Jestem jedynym członkiem bez żadnego epizodu w **Stormwitch** i to ja jestem odpowiedzialny za pisanie tekstów. I szczerze mówiąc, nie orientuję się zbytnio w tekstach **Stormwitch**. Podejście i kontekst są od siebie niezależne.

No tak, szczególnie sam początek tekstu ze wspominanego "Nature's Legacy" - "Have you always been intrigued by the occult?" - zdecydowanie odcina was od Stormwitch. A propos, ze Stormwitch odeszliście w 2019 roku. Czy od razu podjęliście decyzję o kontynuowaniu wspólnego muzykowania, czy potrzebowaliście na to trochę czasu?
Tobi Kipp: Po opuszczeniu **Stormwitch** szybko podjęliśmy tę decyzji. Bardzo chcieliśmy nadal grać razem, wydać album i grać koncerty. I tak w wyniku tej decyzji narodziło się **Skull & Crossbones**.

Praktycznie zespół był gotowy od razu, jednak brakowało wam wokalisty. Długo szukaliście Tobi Hübnera? W jakich okoliczno-

ściach go poznaliście?
Tobi Kipp: **Tobi Hübner** sam się z nami skontaktował. Zagraliśmy razem kilka prób i po tym, jak on napisał pierwsze melodie do "***Midnight Fyre***", nie było wątpliwości, że to właśnie on powinien być nowym głosem **Skull & Crossbones**.

Na tę chwilę Tobi to wasze bardzo ważne ogniwo...
Tobi Kipp: Oczywiście, że tak. Jest świetnym muzykiem i wokalistą. Wniósł dużo idealnych melodii do albumu i, poza tym, jest naprawdę kochaną osobą. Wszyscy czerpiemy dobrą zabawę z tego, co robimy.

Jak pracujecie nad muzyką? Kto jest głównym dostarczycielem pomysłów. Czy idziecie z duchem czasu i pracujecie każdy osobno w zaciszu domu, czy też działacie old-schoolowo i spotykacie się na próbach?
Tobi Hübner: Na początku **Volker** (Schmietow - przyp. red.) i **Tobi Kipp** zaczęli pisać muzykę i wymieniać się pomysłami. Nie było żadnej z góry ustalonej koncepcji. Następnie **Wanschi** (Jürgen Wannenwetsch - przyp. red.) opracował swoją aranżację basu, **Marc** (Oppold - przyp. red.) swoją perkusję, a potem ja zrobiłem całą aranżację wokalną, w tym cały chórki. Proces ten trwał do końca marca 2023 roku, kiedy to wszystkie dziesięć kompozycji było gotowych. W rezultacie powstały utwory demo, które zostały następnie wysłane do studia **Marca Ayerle'a** w celu dalszej obróbki.
Tobi Kipp: Nie mogę pisać utworów, kiedy jestem zestresowany. Czasami mam jakiś pomysł w głowie i wtedy zbieram pomysły na riff lub na przykład refren, a potem wszyscy razem rozmawiamy o tym pomyśle. Na koniec wszyscy razem decydujemy, czy chcemy zrobić kawałek z tymi pomysłami.

Kiedy podjęliście decyzję o nagraniu albumu? Gdzie i z kim go narywaliście?
Tobi Kipp: Po tym jak **Marc**, **Jürgen**, **Volker** i ja opuściliśmy **Stormwitch**, byliśmy pewni, że chcemy nagrać album jako **Skull and Crossbones**. Kiedy większość partii instrumentalnych została ukończona, zdecydowaliśmy się poinformować ludzi na platformach społecznościowych, że będzie album **Skull & Crossbones**.

Dlaczego wybraliście Massacre Records?
Tobi Kipp: Album **Stormwitch** "**Bound to the Witch**", który ukazał się w 2018 roku, został wydany przez **Massacre Records**. W tamtym czasie byliśmy bardzo zadowoleni, podobnie jak wytwórnia, więc nic nie stało na przeszkodzie, aby ponownie współpracować.

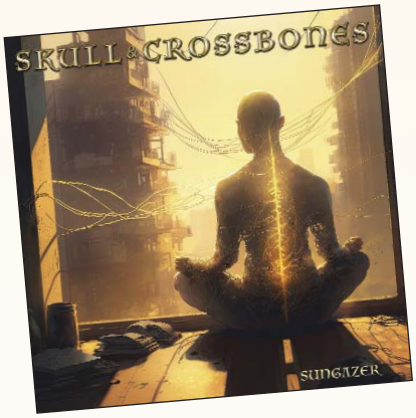

Czy pandemia miała jakikolwiek wpływ na wczesny etap działalności waszego zespołu?
Tobi Kipp: Jedynym problemem podczas pandemii było to, że nie mogliśmy występować na żywo. Ale dzięki temu mieliśmy więcej czasu na pisanie muzyki.

Wróćmy na chwilę do waszego starego zespołu Stormwitch. Na posterunku pozostał w zasadzie wokalista Andy Aldrian. Czy ma on szansę, aby dalej poprowadzić tą zasłużoną i kultową grupę? Słyszałem plotki, że jego żona/manager jest sporą przeszkodą w kontynuacji udanej kariery tego zespołu...
Tobi Kipp: **Stormwitch** nadal gra koncerty z **Andym** i innymi muzykami. Moim zdaniem ostał się tam już tylko charakterystyczny oryginalny głos zespołu. To bardzo smutne widzieć, co stało się z zespołem. Oczywiście management był i jest dużą przeszkodą w rozwoju zespołu. Do dziś nie mogę zrozumieć decyzji i odrzucenia nas ze strony wspomnianego kierownictwa.

Czy gdy rozpoczniecie koncertować na waszych występach będziemy mogli usłyszeć niektóre z utworów Stormwitch?
Tobi Hübner: Na początku mieliśmy jeden lub dwa klasyki **Stormwitch** w naszym secie na żywo. W międzyczasie stwierdziliśmy, że chcemy skupić się całkowicie na naszym własnym materiale. Gramy więc tylko utwory z naszego albumu "**Sungazer**" wraz z kilkoma wybranymi utworami z wydanego w 2018 roku "**Bound to the Witch**", w którym kluczową rolę odegrało czterech instrumentalistów aktualnie grających w **Skull & Crossbones**.

Ale nie tylko Jürgen Wannenwetsch jest u was weteranem, bowiem Marc Oppold oprócz tego, że od jakiegoś czasu wspierał Stormwitch a teraz Skull & Crossbones to w latach 80. współtworzył inny ważny niemiecki zespół heavy metalowy, Tyrant. Od jakiegoś czasu zespół jest ponownie aktywny, czy w niedługim czasie możemy spodziewać się nowości, tj. nowego albumu Tyrant?
Tobi Hübner: Rozmawiałem z **Markiem** o tej kwestii. Jedyne co teraz może powiedzieć to, że nowy album **Tyrant** jest w planach. Aczkolwiek to się przeciąga w czasie, więc nie jest w stanie powiedzieć coś bardziej konkretnego.

A może tak jak w wypadku Stormwitch zespół przypomni stare albumy, wydając ich ciekawe reedycje uzupełnione o bonusy?
Tobi Hübner: **Marc** na ten moment nie myśli o tym, ale oczywiście, nigdy nie wiadomo co przyniesie przyszłość.

Foto: Michael Vetter

Wróćmy do Skull & Crossbones. Czas na wzmożoną promocje zespołu i debiutanckiej płyty "Sungazer", a najlepszym sposobem na to są koncerty. Jakie macie w tym temacie plany? Jakaś duża trasa?
Tobi Hübner: Na ten moment nie planujemy większej trasy. Jednak oczywiście chcemy grać koncerty i prezentować naszym fanom nowy materiał na żywo. Tuż po wydaniu albumu, zagraliśmy dwa koncerty, na których zagraliśmy ponad połowę utworów z nowego albumu i bardzo ciepło się one przyjęły. Nie możemy się doczekać więcej.

Jestem przekonany, że o "Sungazer" w najbliższym czasie będzie głośno. Jestem również pewien, że wy też podobnie myślicie, więc z pewnością nie marnujecie czasu i pracujecie już nad następcą debiutu...
Tobi Hübner: Zgadza się, pracujemy na ten moment nad drugim albumem. Mamy już pierwsze pomysły i do końca roku chcemy nagrać pierwsze dema. Więc tak, nadchodzi więcej nowego materiału.

Michał Mazur
Tłumaczenie: Szymon Paczkowski

THE UNITY

Bezwarunkowy optymizm

Dawno nie leciałem linią Pacific Airlines, ale z tego co pamiętam, nowy album The Unity pasowałby jak ulał na ich playlistę "easy listening". Jeśli potrzebujecie czasami zrelaksować się przy możliwie jak najbardziej przystępnym hard rocku z elementami melodyjnego power metalu, to zapraszam do przeczytania wywiadu z grającym na "The Hellish Joyride" perkusistą Michaelem Ehré. Nic dziwnego, że wyznaje on bezwarunkowy optymizm, skoro w jego CV znajdują się tak wielce zasłużone nazwy, jak Firewind, Metalium czy Starchild, a obecnie pełnoetatowo gra w aż trzech czołowych niemieckich zespołach: Primal Fear, Gamma Ray oraz The Unity.

HMP: Ostatnio zespół U.D.O. grał w amerykański futbol, teraz Wy gracie w siatkówkę. Jak tam Wasz mecz z SV Nordenham? Kto zdobył trzy punkty w secie dla Waszej ekipy?

Michael Ehré: (śmiech) Szczerze mówiąc, nie udało nam się zdobyć ani jednego punktu w meczu z siatkarkami SV Nordenham. Nie mamy pojęcia jak się gra w siatkę, za wyjątkiem klawiszowca **Sascha Onnena**, który zajmował się tym sportem w młodości. Niemniej, rozgrywki przyniosły nam sporo zabawy i cieszymy się, że dziewczyny zgodziły się na udział w naszym video. Świetnie się zaprezentowały.

Foto: Michael Stammwitz

Podobno uznajecie bezwarunkowy optymizm za główną maksymę zespołu The Unity.

A czy mamy jakąś sensowną alternatywę? Wydaje mi się, że nie. W obecnych czasach zewsząd jesteśmy otoczeni wieloma problemami. Gdzie się nie wybierzesz i gdzie nie spojrzysz - same złe wieści. Ale dlaczego mielibyśmy pozwalać, by negatywne wiadomości psuły nam humory? Moim zdaniem, nie powinniśmy. Warto pozostawać dobrej myśli i znajdować w sobie optymizm, ale jednocześnie na poważnie traktować wydarzenia na świecie.

Wasz nowy album "The Hellish Joyride" jest reklamowany jako zróżnicowany i wywołujący wrażenie. Ja jednak powiedziałbym, że jest raczej bezpośredni i przystępny. Bazując na Waszych bogatych doświadczeniach muzycznych, co myślisz o zależności ilości wysiłku wkładanego przez muzyków w nagranie albumu i łatwości jego słuchania przez docelowych odbiorców?

Mam nadzieję, że część "**The Hellish Joyride**" faktycznie okaże się przystępna, ale np. utwór "***Saints And Sinners***" jest dość progresywny - nie łatwo się go komponowało, za to bardzo przyjemnie się go gra i słucha. Tak naprawdę nie jestem pewien, czy stworzenie łatwej w odbiorze muzyki wymaga więcej wysiłku, natomiast spore doświadczenie kompozytorskie pomaga. Sam się o tym przekonałem na przestrzeni lat. W młodości przykładałem się do nadawania kawałkom wyjątkowej aranżacji i podobały mi się efekty, ale tylko do momentu, gdy orientowałem się, że tylko mnie się one podobają (śmiech). Nauczyłem się, że czasami mniej oznacza więcej. Oczywiście, wszystko zależy również od gatunku wykonywanej muzyki.

Podczas słuchania utworu Primal Fear "Stealmelter" (2023) pozytywnie zaskoczyło mnie, jak bardzo jesteś zorientowany na korzyści dla całego zespołu. Doskonale wyczuwasz, gdy lepiej wycofać perkusję na dalszy plan a kiedy utwór może zyskać na Twoim milczeniu. Teraz, gdy słucham "You're Not Force To Stay", dostrzegam, że w pewnych sytuacjach pozwalasz zastąpić żywą perkusję komputerowymi samplami. Czy wobec tego uważasz, że w pewnych sytuacjach sample brzmią lepiej niż człowiek potrafiłby zagrać?

Cieszę się, że zwróciłeś uwagę na ten element. W ostateczności liczy się nie mój indywidualny wkład, tylko całokształt utworu, jego charakter i towarzysząca mu atmosfera. Jeśli jakiś kawałek potrzebuje zapętlonego sampla lub elektronicznego uderzenia, używamy go. Dla mnie to żaden problem. W "***You're Not Force To Stay***" potrzebowaliśmy właśnie komputerowej pętli w zwrotkach. Nie byłoby sensu, żeby nawet próbować tam zagrać na prawdziwym instrumencie. Natomiast w refrenach gram już sam, co buduje fajny kontrast i doskonale pasuje. Zespołowe myślenie podczas gry na instrumencie wynika z nabycia uprzedniego doświadczenia.

Oglądanie wschodu słonca nad Elbphilharmonią Hamburg w połączeniu ze słuchaniem piosenki "Golden Sun" mogłoby okazać się niezapomnianym przeżyciem. Może znalazłoby się ono nawet na liście marzeń niektórych Waszych fanów? Czy kiedykolwiek rozważałeś zaaranżowanie symfonicznej wersji "Golden Sun" z orkiestrą?

Nigdy nie rozmawialiśmy o zrobieniu czegoś z orkiestrą... ale czemu nie? Wiosną miałem przyjemność być perkusistą na "**Rock Meets Classic**", co okazało się niesamowitym doświadczeniem. Po raz pierwszy grałem z prawdziwą orkiestrą. To dla mnie czysta zabawa. Naprawdę nie mogę doczekać się kolejnej trasy "**Rock Meets Classic**" w 2024 roku.

Na nowym albumie znajdują się dwa krótsze utwory: "One World" i "Awakening". Jasne, "One World" to dobry wstęp, bo kreuje nastrój, ale szczerze mówiąc, nie jestem pewien co do "Awakening". Jaka logika stoi za oddzieleniem "Awakening" od "Golden Sun"?

Rozumiem Twój punkt widzenia. Pomysł oddzielenia "***Awakening***" od "***Golden Sun***" nie jest oczywisty, ale całkiem prosty: album ukazał się na CD i na winylu. A w przypadku winylu musieliśmy podzielić utwory na dwie płyty z czterema stronami. Może brzmi to trochę głupio i nie jest konieczne, ale moim zdaniem oprawa graficzna jest istotną częścią albumu. Dzięki takiemu podziałowi mogliśmy mieć po trzy utwory na każdej stronie, co wygląda znacznie lepiej na tylnej stronie okładki. Ale hej, dla mnie to ważne a nikt na tym niczego nie traci.

Wielokrotnie mówiłeś w innych wywiadach, że do gry na perkusji ponad trzydzieści lat temu zainspirowała Cię muzyka duetu gitarowego: Christian Stöver i Stefan Ellerhorst, z zespołu Crossroads. Jak to się stało, że oni obaj tworzyli poprzednią inkarnację The Unity, czyli Love.Might.Kill, ale w obecnym składzie jest tylko Stefan? Nie wolałbyś mieć trzech gitarzystów, oczywiście włącznie z Henjo Richterem?

Fajnie, że jesteś tak dobrze poinformowany. Zgadza się: **Christian** ze **Stefanem** grali po-

nad trzydzieści lat temu w **Crossroads**. Gdy zobaczyłem ich po raz pierwszy w akcji na scenie w 1988 roku, moje życie kompletnie się odmieniło. Wywarli na mnie piorunujące wrażenie. Od tego momentu zapragnąłem zostać profesjonalnym muzykiem. **Christian** zdecydował się porzucić gitarę w 2016 roku, więc nie widzę już opcji, żeby **The Unity** miało trzech gitarzystów.

Ale gdyby jednak Christian przyłączył się do prac nad "The Hellish Joyride", jak wyobrażasz sobie jego wkład?
On jest niesamowitym gitarzystą, więc na pewno pozytywnie wpłynąłby na "**The Hellish Joyride**". Niemniej, w pełni szanujemy i akceptujemy jego decyzję. We współczesnych czasach bez pełnego zaangażowania i szczerej pasji by się nie obeszło.

A co czyni Waszego włoskiego wokalistę, Gianbattistę Manentiego, wyjątkowym artystą, oprócz tego że świetnie posługuje się swoim barytonem? Podejrzewam, że musiał wygrać z mocną konkurencją, skoro wybraliście go do śpiewania najpierw w Love.Might.Kill, a następnie w The Unity.
Gianba jest piekielnie uzdolnionym wokalistą. Według mnie, nawet jednym z najlepszych na świecie. Ale także jest naszym zaufanym przyjacielem i bardzo sympatycznym kolesiem. Twardo stąpa po ziemi. Przepełnia go pasja wobec naszej muzyki. Bardzo wiele nauczył się podczas naszych tras, stając się fenomenalnym frontmanem. Fani uwielbiają go za autentyczność oraz za to, że jest prawdziwym dżentelmenem.

Dlaczego i do kogo Gianbattista Manenti śpiewa: "learn the lesson / stay the fool" w utworze "Stay the Fool"?
Stefan napisał ten tekst. Nie jestem pewien, czy miał na myśli konkretną osobę. Myślę, że wszyscy znamy ludzi, którzy nie uczą się na popełnianych błędach. Każdy słuchacz może odnieść te słowa do swoich osobistych doświadczeń. Wszystkie nasze teksty dotyczą rzeczy, które mogą się wydarzyć lub faktycznie wydarzyły się w naszym życiu. Nie piszemy o lochach czy mieczach - szczerze mówiąc lubię to, ale nie pasowałoby to do naszego zespołu.

Foto: Michael Stammwitz

W czerwcu 2023 roku miałem zaszczyt przeprowadzić pierwszy i jak dotąd mój jedyny wywiad z Ralfem Scheepersem. Ani razu nie wspomniałem o Judas Priest. Wybacz, ale teraz nie mogę się powstrzymać by nie zapytać Cię o Helloween. Czy to jest tak, że ostatnio byłeś bardziej skupiony na The Unity niż na Gamma Ray, ponieważ Kai Hansen w stu procentach angażował się wyłącznie w Helloween? Które utwory The Unity z "The Hellish Joy" mogłyby zostać wydane pod szyldem Gamma Ray?
Odkąd **Kai** ponownie dołączył do **Helloween**, **Gamma Ray** jest na lodzie. Naprawdę cieszą mnie sukcesy **Kaia** i chłopaków z **Helloween**. Oczywiście to trochę dziwne, że zespół taki jak **Gamma Ray** nic nie robi, ponieważ my również odnieśliśmy sukces, ale jeszcze raz podkreślę, że rozumiem **Kaia**. Nie jestem pewien, czy jakikolwiek utwór **The Unity** zostałby wydany pod szyldem **Gamma Ray**. Prawdopodobnie nie, ponieważ zawsze staraliśmy się nie imitować **Gamma Ray**.

Dirk Schlächter pracował w 2021 roku jako przewodnik turystyczny w Parku Narodowym na Contoy Island w północnej części meksykańskiego miasta Cancún. Podczas przerwy w pracy powiedział dla naszego magazynu (wywiad w HMP 80 na str. 26 - przyp. red.), że istnieje szansa na nowy album Gamma Ray w 2022 roku. Do dziś zastanawiam się, czy ukrył ten materiał przed światem na jakiejś meksykańskiej wysepce?
Przez ostatnie lata snuliśmy plany, żeby wreszcie się spotkać i zebrać nowe pomysły, ale póki co efektów brak. Nie mam pojęcia, czy ani kiedy do tego dojdzie... Dopóki **Kai** jest zajęty z **Helloween**, nie będzie nowej płyty **Gammy Ray**.

The Unity przygotowuje się do nadchodzącej wspólnej trasy z Primal Fear. Czy zamierzacie zagrać tylko kilka koncertów w Niemczech i Szwajcarii, czy też szukacie możliwości przeniesienia tej trasy także do innych części świata?
Byłoby świetnie, ale w tej chwili mamy uzgodnione występy tylko w Niemczech i w Szwajcarii. Zobaczymy, co się wydarzy...

Jakie jest prawdopodobieństwo wspólnej trasy Helloween i Gamma Ray?
Puh... Myślę, że to się nie wydarzy. Zrobiliśmy to w 2013/2014 roku, ale nie sądzę, że zrobimy to ponownie.

Ostatni koncert The Unity zagraliście dnia 24 października 2020 roku wraz z Rhapsody of Fire oraz SkeleToonem. Jak zapamiętałeś tą imprezę i co sprawiło, że to właśnie do Czech, a nie do Polski tak często ostatnio wracacie (prawdopodobnie 10 lub 11 razy w historii The Unity).
Cała trasa, w tym polski koncert, wypadły wyśmienicie! Super się bawiliśmy. Mamy nadzieję, że powrócimy do Polski jak najszybciej, ale to nie zależy tylko od nas. Potrzebujemy, aby zabukował nas lokalny promotor. W Czechach dostajemy duże wsparcie od **Jiriego "George'a" Darona**, który zaprosił nas na wszystkie swoje festiwale, a także na kilka występów w charakterze headlinera. Niestety nie posiadamy podobnego wsparcia w innych krajach, ale miejmy nadzieję, że wkrótce się to zmieni. Chcemy występować na całym świecie! Im prędzej, tym lepiej!

Sam O'Black

Foto: Michael Stammwitz

ANKHARA

Za każdym razem, gdy się starzejemy, stajemy się cięższi

Ankhara należała do czołowych reprezentantów hiszpańskiej sceny na przełomie millenium, później zrobiła sobie przerwę, by kilka lat temu powrócić z bardzo wysoką formą wykonawczą oraz, jak się okazuje, również twórczą. Ich dwa ostatnie longplay'e "Sinergia" (2018) i "Premonicion" (2021) zawierają mnóstwo świetnych kawałków. Mówi się na to power metal, choć mocno nawiązuje do niemieckiego heavy / poweru. Okazję do rozmowy z gitarzystą Alberto Marinem stworzyła premiera EP "De Aqui A La Eternidad" (2023).

HMP: **W sieci nie ma zbyt wielu informacji na temat Ankhary w języku polskim ani w angielskim, podczas gdy w Hiszpanii jesteście prawdopodobnie uważani za pionierski zespół gatunku power metal. Jak to było, założyliście Ankharę w 1995 roku z zamiarem rozszerzenia euro power metalowej fali na Półwysep Iberyjski?**

Alberto Marín: Zaczęliśmy w 1995 roku jako bardzo młody zespół. Graliśmy w samych małych lokalach, aż do momentu, gdy nas odkrył nasz manager **Pedro**. Dzięki niemu supportowaliśmy na żywo duże hiszpańskie zespoły, takie jak **Baron Rojo**, **Obus**, **Mediana Azahara**, **Muro** itp. W 1998 roku dostaliśmy wspaniałą okazję zagrać wraz z legendarnym Saxon! W tamtym czasie myśleliśmy tylko o graniu heavy metalu i tyle. Potem zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy częścią drugiej fali odrodzenia heavy metalu w Hiszpanii wraz z m.in. **Saratoga**, **Mago de Oz**, **Avalanch**, czy **Tierra Santa**.

Foto: Ankhara

Czy z dzisiejszej perspektywy można pokusić się o stwierdzenie, że Ankhara jest tym dla Hiszpanii, czym Enforcer dla Szwecji, Scala Mercalli dla Włoch, Primal Fear dla Niemiec a Cage dla USA?

Nie wiem. W **Primal Fear** doszukiwałbym się najwięcej podobieństw do nas, zwłaszcza że mój kolega **Ralf Scheepers** fantastycznie zaśpiewał po hiszpańsku na naszym singlu "***Tu Verdad***" (2023). Jesteśmy mu za to bardzo wdzięczni.

Śpiewacie w języku hiszpańskim, zapytam więc, jak dużą bazę fanów posiadacie w innych hiszpańskojęzycznych krajach na świecie? Utrzymujecie zażyłą relację z Ameryką Południową?

Tak, zawsze śpiewamy po hiszpańsku, z wyjątkiem coveru **Fight** "***Into the Pit***" (1993). Swoją drogą, bardzo się cieszę, jak nam on wyszedł, bo postaraliśmy się, żeby jak najlepiej zabrzmieć tam w języku angielskim. W Ameryce Środkowej i Południowej jest sporo fanów **Ankhary** i mamy nadzieję, że w ramach nadchodzącej trasy uda nam się powrócić do naszego ukochanego Meksyku, a także odwiedzić więcej krajów Ameryki Łacińskiej...

Co pomogło Wam utrzymać prawie ten sam skład przez te wszystkie lata?

Rozstaliśmy się na kilka lat, ale odkąd w 2014 roku wróciliśmy na scenę, jesteśmy bardziej ze sobą zgrani niż kiedykolwiek. Znamy się doskonale od wielu lat, więc wiemy, czego nie robić, żeby nie iskrzyło (śmiech). Jesteśmy znacznie dojrzalsi niż wtedy, gdy zaczynaliśmy! Obecnie cieszymy się najlepszą formą w historii zespołu.

Co myślicie i czujecie dzisiaj odnośnie Waszych pięciu studyjnych longplay'ów? Są zbyt do siebie podobne, a może wręcz przeciwnie, zbyt różne? Podeszlibyście do ich realizacji inaczej, gdybyście dostali szansę nagrać je ponownie?

Cóż, prawda jest taka, że czujemy się bardzo dumni ze wszystkich albumów, które do tej pory wydaliśmy! Wszystkie mają swoje mocne strony i wszystkie brzmią jak **Ankhara**. Nie jestem wielkim fanem ponownego nagrywania albumów. Myślę, że fajną rzeczą jest to, że słuchasz ich i przenoszą Cię do tego momentu, w którym je nagrałeś, a ponowne nagranie całkowicie odebrałoby ich esencję. I tak naprawdę nigdy nie zmieniliśmy radykalnie naszego stylu, zawsze tworzyliśmy heavy metal z naleciałościami niemieckiego power metalu, co jeszcze wzmocniliśmy na powrotnym albumie "**Sinergia**" (2018).

Ankhara doświadczyła przerwy między 2004 a 2013 rokiem. Zdarza się to wielu zespołom z różnych powodów. Patrząc wstecz na te czasy, uznajesz zespół Mysteria za kontynuację Ankhary pod inną nazwą, czy też za coś kompletnie innego?

Postrzegam je jako dwa zupełnie różne zespoły. Wokalista **Pacho** zdecydował się wtedy kontynuować działalność z **Mysterią** i przewijali się tam również muzycy **Ankhary**, ale tak naprawdę myślę, że po zakończeniu pierwszego okresu działalności **Ankhary**, esencja naszego własnego stylu zaniknęła. To zabawne, bo po ośmiu lub dziewięciu latach rozłąki, pierwszego dnia, gdy oryginalny skład spotkał się na próbie, zagraliśmy jakiś utwór i natychmiast stwierdziliśmy, że znów brzmimy jak **Ankhara**.

Nie wydaliście żadnego nowego materiału zaraz po reunionie. Ukazała się natomiast kompilacja "Acordes Magicos" (2013) przygotowana przez Waszą nową wytwórnię Foque, mimo że Wasza poprzednia wytwórnia Lokomotive wydała już "Pack Vital" (2007) i "Lo Mejor De Ankhara" (2007) podczas nieobecności Ankhary na scenie. Czy doświadczyliście jakiegoś rozczarowania, wrogości lub problemów prawnych z Lokomotive?

To fakt, że po reunionie nie wydaliśmy od razu nowego albumu. Spędzaliśmy czas w drodze, występowaliśmy na festiwalach i spotykaliśmy się z fanami. Dopiero później nadszedł właściwy czas na wejście do studia. Płyta "**Sinergia**" (2018) spotkała się ze świetnym przyjęciem i sukcesem wśród naszych fanów, co z kolei sprawiło, że przyciągnęliśmy nowych, młodszych fanów, czyli osiągnęliśmy sukces! Jeśli chodzi o kompilacje typu "greatest hits", to są one w porządku, aby o zespole nie zapomnieć, choć to bardziej strategia komercyjna dla wytwórni płytowych próbujących uzyskać zwrot z grupy, nawet kiedy nie byliśmy aktywni. **Locomotive** znienacka zniknęło i myślę, że nie spodobało się to wszystkim zespołom, które były w tej wytwórni... Musiał mieć ku temu powód!

Wszystkie Wasze ostatnie albumy zostały wydane przez różne wytwórnie. Czy jesteście w pełni zadowoleni z ich fizycznych postaci, promocji i dystrybucji? Jeśli tak, to czy bylibyście otwarci na przedyskutowanie nowych zremasterowanych wersji z bardziej przyszłościową wytwórnią?

Tak, jesteśmy w pełni usatysfakcjonowani fizycznymi edycjami. Zarówno w przypadku "**Sinergii**" (2018), jak i "**Premonicion**" (2021) wiele uwagi poświęcono prezentacji graficznej. **Fighter Records** wydało kilka bardzo atrakcyjnych czarnych oraz srebrnych edycji winylowych wraz z koncertowymi wersjami niektórych utworów. W przypadku "**Premonicion**" (2021) dystrybucja również była dobra. Choć niektóre kwestie pozostawiały nieco do życzenia, udało je się rozprowadzić w USA i w Meksyku. Obecnie całkowicie ufamy naszej firmie **Art Gates**. Wiemy, że wykonują świet-

ną robotę i liczymy na solidną dystrybucję i promocję w naszym kraju oraz poza nim, co jest dla nas bardzo ważne - poszerzamy horyzonty.

Co najbardziej podoba Wam się w Waszym najnowszym longplayu "Premonicion" (2021), a czego nie było na poprzednich albumach?
To dobre i trudne pytanie (śmiech). Najbardziej podoba nam się to, jak bezpośredni, agresywny i jednocześnie melodyjny jest ten album. Ale tak naprawdę, jak powiedziałem wcześniej, zespół zawsze miał precyzyjnie zdefiniowaną markę i styl. Już poprzedni album "**Sinergia**" (2018) wyznaczył ten bardziej agresywny kierunek, a na "**Premonmicion**" (2021) jeszcze go wzmocniliśmy. Za każdym razem, gdy się starzejemy, stajemy się cięższi.

Opowiedz mi proszę o Waszej nowej EPce "De aqui a la eternidad" (2023). Co zainspirowało Was do wydania czterech nowych utworów i koweru akurat teraz, zamiast poczekać, aż zbierze się materiał na pełnometrażowy album?
Cóż... Naprawdę chcieliśmy wydać nowy materiał tak szybko, jak to tylko możliwe. Minęło zbyt wiele czasu między albumami, a dysponowaliśmy kilkoma ciekawymi numerami. Pospieszyliśmy się więc z ich ukończeniem i weszliśmy do studia z **Raulem Abellanem** z **The Mixtery**. Rezultat nie mógł być lepszy! Jak mówią w Hiszpanii, jeśli krótkie i dobre, to dwa razy lepsze.

O czym są teksty na EP-ce "De aqui a la eternidad"?
Teksty mówią o sprawach osobistych, zazwyczaj o przezwyciężaniu trudnych sytuacji i uświadamianiu sobie, że nie ma co ufać ludziom. Powiedzmy, że każdy próbuje pokonywać przeszkody, jakie życie rzuca na ludzi.

Jak wyglądała współpraca z Ralfem Scheepersem w kawałku i w teledysku "Tu Verdad"? Dlaczego wybraliście dla niego akurat "Tu Verdad"?
Współpraca z **Ralfem** okazała się niesamowita. Znam go od wielu lat, bywaliśmy w Hiszpanii na wielu festiwalach na przestrzeni lat i mamy bardzo dobre relacje. Prawda jest taka, że najpierw myśleliśmy o tym, żeby wykonał wersję **Fight**, ale on wolał zaśpiewać nasz własny utwór. Myśleliśmy, że ze względu na charakter utworu jego głos świetnie zabrzmi w "***Tu Verdad***" i faktycznie - super wyszło. Co więcej, wydawało nam się bardzo egzotyczne, że zaśpiewał to po hiszpańsku, ale chętnie spróbował. Słyszałem już bardzo udaną wersję "***Heroes del Silencio***". Prawda jest taka, że głosy **Pacho** i **Ralfa** uzupełniają się idealnie. Wysłaliśmy mu nagraną linię głosu **Pacho**, a on zrobił to, co chciał. **Ralf** wykonał świetną robotę, jest jednym z najlepszych głosów heavy metalowych na świecie, więc rozpiera nas szczęście, że słychać go na tej płycie, a także w pierwszym teledysku nakręconym do tego nowego wydawnictwa!

Foto Alejandro Penedo

Po przesłuchaniu "Tu Verdad" spojrzałem na następny utwór zatytułowany "Into The Pit" i spodziewałem się usłyszeć więcej thrashu w postaci koweru Testament. Zdziwiłem się, że kowerowaliście jednak Fight "Into The Pit". Dlaczego spośród niewiarygodnie bogatego repertuaru Roba Halforda zapragnęliście nagrać właśnie ten jeden utwór?
W przeszłości kowerowaliśmy **Judas Priest** na żywo, mianowicie "***The Ripper***" (1976) i "***Night Crawler***" (1990), a przy tej okazji doszliśmy do wniosku, że warto przypomnieć znakomity utwór **Roba Halforda** z lat dziewięćdziesiątych, zamiast zabierać się za jakiś często grany klasyk **Judas Priest**. Myślę, że kower wyszedł nam bardzo dobrze, bo brzmi jeszcze wściekliej. Jeśli **Rob** go usłyszy, z pewnością zachwyci się pracą, jaką **Pacho** wykonał za mikrofonem.

Według oficjalnej strony Ankhary na Facebooku, w 2024 roku wyruszycie w specjalną trasę koncertową. Co przygotowujecie? Czy zagracie w innych krajach niż Hiszpania?
Nie ogłosiliśmy jeszcze nic oficjalnego, ale w przyszłym roku będziemy świętować wyjątkową rocznicę zespołu i z tej okazji planujemy specjalną trasę koncertową. Rozpoczniemy ją w Hiszpanii, ale już teraz pracujemy nad wyjazdem do Meksyku i innych krajów Ameryki Łacińskiej i dlaczego by nie zrobić też dat w Europie?

A przy okazji. W styczniu 2023 miałem ogromną przyjemność zwiedzić Madryt, Toledo i Lizbonę. Wszystkie te miejsca są dla mnie równie niesamowite i pełne wspaniałych atrakcji. Nie da się jednak ukryć, że Portugalia i Hiszpania rywalizowały ze sobą przez ostatnie stulecia. Dzięki naszemu polskiemu magazynowi miałem okazję przeprowadzić osobisty wywiad z dwoma portugalskimi muzykami: Rickiem Thorem i Mario Figueirą (HMP 86, str. 60, przyp.red.). Podzielili się oni ze mną pozytywnymi opiniami na temat zarówno portugalskiej, jak i hiszpańskiej sceny metalowej. Czy teraz Ty mógłbyś powiedzieć coś dobrego o portugalskim metalu?
Bardzo się cieszę, że miałeś tak dobre doświadczenia w naszym Madrycie. Toledo jest również bardzo wyjątkowym miastem, a Lizbona to wspaniałe miasto. Osobiście miałem okazję grać w Portugalii z innymi zespołami i zawsze traktowali nas fenomenalnie. Obecnie odbywają się tam duże festiwale metalowe, takie jak **Vagos Open Air**, **Milagre Metaleiro**, **Brroselas** czy **Evil Live**. Widziałem na nich **Panterę**, **Alter Bridge** oraz **Elgeant Weapons**! Portugalia to wspaniały kraj z wielką kulturą muzyczną i mamy nadzieję, że wkrótce tam wystąpimy! Ale portugalskim zespołem, który najbardziej śledziłem i który zawsze najbardziej lubiłem był **Moonspell**. Mam szczęście przyjaźnić się z ich wokalistą, **Fernando**.

Sam O'Black

Foto: Ankhara

Fortress Under Siege

Jakość muzyki świadczy o inteligencji

Uch, jak gorąco. Widocznie Grecy zaczekali z premierą płyty, aż zabójcze upały trochę zelżeją... Fortress Under Siege jest pierwszym power - prog metalowym zespołem z Grecji. Powstał w 1996 roku, lecz aktywniejszy wydawniczo stał się dopiero w drugiej dekadzie obecnego wieku. Ich nowy longplay "Envy" to granie dla słuchaczy ceniących klimaty typu Kamelot, Evergrey, Dream Theater czy też Fates Warning. Pozostałym osobom polecałbym zacząć od wcześniejszej pozycji pt. "Atlantis" (2020), gdyż jest mniej skompresowana i zawiera trochę więcej naturalnego uroku. Na pytania odpowiada założyciel i gitarzysta formacji o imieniu Fotis.

HMP: *W Atenach upał sięga dziś 43 stopni Celsjusza. Jak ludziom udaje się przetrwać w takiej męczarni?*

Fotis Sotiropoulos: Dzięki klimatyzacji. Osoby przebywający wewnątrz mają szczęście, bo mogą sobie ochłodzić powietrze. Cierpią ci, którzy z jakiegoś powodu potrzebują spędzać czas na zewnątrz bądź pracują na budowie lub w fabryce. Nie zapominaj jednak, że najwyższe temperatury panują w dużych miastach, rzadziej w ośrodkach morskich oraz na terenach rolniczych. Greckie lato nad morzem należy do wspaniałych. Sam, szczególnie z okresu dzieciństwa, posiadam wspaniałe wspomnienia greckiego lata na plaży.

Foto: Fotis Benardo

Wasz debiutancki longplay, "the Mortal Flesh of Love" (2011), ukazał się w lipcu. Czy ze względu na uwarunkowania lokalnego klimatu, wyciągając wnioski z doświadczenia, czekaliście z publikacją kolejnej płyty, "Phoenix Rising" (2014), aż do grudnia?

Nie do końca. O ile pamięć mnie nie myli, uzgodniliśmy szczegóły ze **Steel Gallery Records** latem 2014 roku, więc naturalnie musieliśmy dać im kilka miesięcy czasu na skrupulatne przygotowanie się do premiery. Niemniej jednak, zdecydowanie lepiej wydawać nową muzykę o mniej gorących porach roku.

Zarówno "Atlantis" (2020), jak i "Envy" (2023) to październikowe albumy. Co ciekawe, w prawie trzydziestoletniej historii zespołu Fortress Under Siege nigdy nie było tak krótkiego okresu między dwoma longplayami. Możecie być postrzegani jako zespół wysokiej jakości, na który fani długo czekają. Czy jesteście perfekcjonistami w życiu i w muzyce?

Jak zapewne wiesz, mieliśmy długą i burzliwą historię. Bycie greckim zespołem metalowym nigdy nie ułatwiało nam funkcjonowania, ale sami odpowiadamy za rozpad kapeli na długie dwanaście lat. W rezultacie przerwy straciliśmy szansę na zrobienie większego kroku. Po naszym powrocie w 2010 roku, musieliśmy dostosować się do nowych realiów biznesu muzycznego. Bardzo staraliśmy się zrozumieć zasady gry. Znów byliśmy niemowlęcym zespołem, bez doświadczenia ani wiedzy o tym, co robić i jak się poruszać. Bycie dobrym muzykiem i pisanie dobrej muzyki nigdy nie wystarcza, jeśli chcesz podjąć profesjonalny kurs w tak konkurencyjnym środowisku. Krótko mówiąc, te ostatnie trzy lata uświadomiły nam wiele rzeczy dotyczących działalności profesjonalnego zespołu metalowego. Po raz pierwszy dopiero teraz czujemy, że znajdujemy się na właściwej drodze. W rezultacie nasi fani już nigdy nie będą czekać na nas tak długo. A kim tak naprawdę jest perfekcjonista? Dla mnie to określenie brzmi raczej negatywnie niż pozytywnie. Kiedy kończymy utwór, kończymy go. Nie zastanawiamy się, czy już, czy jeszcze nie. Jeśli nie możemy go skończyć, to znaczy, że nie jest jeszcze gotowy. Natomiast kiedy jesteśmy zadowoleni z utworu, jest on gotowy i wiemy o tym. Dotyczy to również mojego życia.

Kiedy w 2020 roku przeprowadzaliśmy z Tobą wywiad (HMP 79, str. 142, przyp.red.) na temat "Atlantis", powiedziałeś nam, że następca "Atlantis" znajdował się już w fazie preprodukcji. Co, oprócz nowego składu i kontraktu z Rock of Angels Records, zainspirowało Cię w tamtym okresie do skomponowania tak wielu kawałków?

Tworzenie nie ma nic wspólnego ze składami czy kontraktami. Komponuję od najwcześniejszych dni muzykowania. Przypływ ciekawych pomysłów to prawdopodobnie powód, dla którego w ogóle gram muzykę. Narodziny czegoś nowego, co naprawdę Cię porusza, to zapierające dech w piersiach doświadczenie. Co więcej, czuję się teraz na tyle doświadczony, by rozwijać pomysły w kompletne utwory o wiele łatwiej niż wcześniej. Tak więc, podczas poprzedniej rozmowy, następca "**Envy**" był już w fazie pre-produkcji. Jedyne, co zmienia się podczas komponowania muzyki, to okresy czasu, w których decyduję się zająć formalną procedurą. Nigdy nie wyznaczam limitów i pozwalam, by w chwili inspiracji muzyka płynęła bez przeszkód.

Gdy już wydawało się, że skład Fortress Under Siege ustabilizował się, Stevens Kopanakis zastąpił na basie Alexa Stavrakasa. Jednak to Alex zagrał na obu albumach: "Atlantis" oraz "Envy". Jak bardzo zależało Wam, aby utrzymać identyczne brzmienie gitary basowej? A może dokonaliście całej rejestracji podczas tej samej sesji?

Za brzmienie i tak ostatecznie odpowiada producent, czyli w naszym przypadku **Fotis Benardo**. Oczywiście, że zawsze słychać wpływ muzyka na charakter dźwięku. Im lepiej ktoś gra, tym lepszy efekt końcowy. **Alex** jest fenomenalnym basistą. Do dziś udziela się w tribute bandzie **Iron Maiden**, **Maidenance**. Ale ponieważ przez osiem miesięcy w roku gra zawodowo na statku wycieczkowym, **Stevens** musiał zastąpić go w **Fortress Under Siege**. Na zawsze pozostanie dla nas ważną postacią. Będzie nam go brakować. Natomiast, jeśli chodzi o **Stevensa**, on również chałturzy w rozmaitych składach personalnych, ale nie na statku, i ma czas, żeby w pełni zaangażować się w **Fortress Under Siege**.

"Envy" udowadnia, że progresywne metalowe utwory nie muszą wcale być długie. Czy skracaliście je poprzez wycinanie niektórych motywów?

Absolutnie nie, nie robimy takich rzeczy. Dbamy, by nie brzmieć pretensjonalnie. Skracanie czy wydłużanie utworu świadczy o tym, że coś idzie w złym kierunku. Jeśli utwór nie płynie swobodnie, to nie jest dobry. Zostawiamy go na później. A później może być jutro, za miesiąc lub za dziesięć lat. Nie ma znaczenia. Nie zapominaj, że trudniej stworzyć coś krótkiego i wyczerpującego niż długiego i rozwlekłego. Zwięzłość jest duszą dowcipu, jak powiedziałby pewien Spartanin.

Moim zdaniem wyjątkowo dobrze wychodzi Wam aranżowanie muzyki. W jaki sposób udaje Wam się zachować płynność utworów pomimo wielu zmian dynamiki i tempa?

Sekret polega na tym, że trzeba myśleć o muzyce, a nie tylko ją pisać. Myśleć o niej i śpiewać ją w myślach w kółko, aż nabędziesz pewności, że płynie jak bieżąca woda, bez niczego, co mogłoby jej przeszkodzić. Robię tak latami. Procedura ta przyszła do mnie natural-

nie wraz z doświadczeniem. Ułatwia mi życie i tworzenie muzyki. Nie polegam wyłącznie na napływie inspiracji. Używam również swojego mózgu, aby wspomóc tę procedurę. Uważam, że jakość muzyki świadczy o inteligencji.

Dlaczego nazwaliście płytę "Envy" (w wolnym tłumaczeniu: zazdrość, zawiść, zazdrościć, być przedmiotem zazdrości, przyp. red.) Nie obawiasz się, że tytuł może prowokować mylne skojarzenia u niektórych słuchaczy?
Na upartego każde słowo mogłoby zostać mylnie zinterpretowane, nic na to nie poradzę. Napisaliśmy numer o zazdrości, która jest bardzo silną i negatywną emocją, a w studiu **Yiannisa Koutrikasa** zobaczyłem obraz olejny, który bardzo mi się spodobał i od razu pomyślałem, że idealnie pasuje i stanowi silną alegorię zazdrości. To było to. Nasza nowa płyta miała już tytuł i okładkę.

O czym jeszcze traktują liryki na albumie?
Jak zwykle, postawiliśmy na różnorodność. Mamy dwa historyczne utwory: "***Straits of Glory***" o słynnej starożytnej bitwie morskiej w Salamis, oraz "***Bring out Your Dead***" o czarnej śmierci w średniowiecznej Europie. "***Distant Voices***" został zainspirowany ostatnią sceną słynnego filmu science fiction "**Blade Runner**" (1982) z udziałem **Rutger'a Hauer'a** i **Harrison'a Ford'a**. W "***Disobey***" wzywamy do patrzenia władzom na ręce. W "***Look At You***" zmieniamy finał starożytnego mitu o Meduzie i Perseuszu - wolimy, by Meduza dumnie dzierżyła ściętą głowę Perseusza, a więc by zemściła się za odwieczną opresję kobiet. "***Ride the Thunder***" dotyczy podejmowania ciężkiego wysiłku, siły woli, samoświadomości, ale także umiarkowania. Gwałtowniejsze emocje przekazujemy w "***Burning Fleshes***", gdyż przyglądamy się tu reakcjom gościa obozu koncentracyjnego drugiej wojny światowej - Dahau, który sam wcześniej był w nim uwięziony. "***Envy***" opisuje zazdrosną osobę, zaś "***Broken And Torn***" osobę, która przypadkowo zauważa swojego byłego partnera bawiącego się w klubie w innym towarzystwie. W "***Decaptor***" opowiadamy się po stronie tych, którzy domagają się szacunku wobec ważnych i świętych atrybutów kultury.

Foto: Fortress Under Siege

Powiedziałeś, że "Disobey" wzywa do patrzenia władzom na ręce.
Dokładnie. Ludzie zawsze powinni kwestionować autorytety. Niekwestionowanie autorytetów jest bardzo niebezpieczne.

LP "Atlantis" został opatrzony trzema teledyskami: "Love Enforcer", "Atlantis", "Seventh Son". Czy wybrałbyś inne kawałki, gdybyś mógł podjąć decyzję ponownie?
Zawsze trudno wybrać, ale jest jak jest, nie żałuję. Gdybym mógł, przygotowałbym teledyski do wszystkich kompozycji.

Wkrótce LP "Envy" też doczeka się trzech wideo. Co mógłbyś o nich powiedzieć?
Że będą prezentować "***Ride the Thunder***", "***Distant Voices***" oraz "***Disobey***". Ukażą się w sierpniu, we wrześniu i w październiku, w wymienionej kolejności. Wykona go nasz stały wideomistrz **Bob Katsionis** wraz z nowym współpracownikiem **Alexandrem Haritakisem**. Wierzymy, że staną się naszym najlepszym dokonaniem.

Foto: Fortress Under Siege

Czy wykonywaliście już na żywo utwory z "Atlantis" lub "Envy"? Jak publiczność reaguje na Wasz nowy materiał?
Graliśmy prawie wszystkie utwory z albumu "**Atlantis**". Publiczność świetnie na nie reagowała. Wykonamy "***Ride the Thunder***" z naszego nowego albumu po raz pierwszy na żywo dzień po premierze albumu na **Rock Castle Festival** w Czechach.

Jakie jeszcze plany wiążecie z przyszłością Fortress Under Siege?
Wiele oczekujemy od premiery "**Envy**". Liczymy, że **Rock of Angels Records** wesprze sprzedaż. Nasze zadanie polega na komponowaniu dobrej muzyki i występowaniu tak często, jak to możliwe. Będziemy to robić.

Fotis, czy mógłbyś jeszcze powiedzieć nam kilka słów o prowadzonej przez Ciebie galerii sztuki?
Mój ojciec i wujek mieli galerię sztuki w centrum Aten od 1963 roku. Przejąłem rodzinny biznes w 1996 roku. Nieco później, w 2000 roku, otworzyłem nową galerię w Piraues, którą nadal prowadzę. Zajmuje się ona wyłącznie malarstwem, a nie grafiką ani innymi formami sztuki.

Perkusista Illusory, Costas Koulis, powiedział (HMP 80, str. 60, przyp.red.) o Was: "Znam ich. Dzieliliśmy scenę w 2015. To znakomici muzycy o odpowiednim podejściu. Mam na ich temat jak najlepsze zdanie. Przykładają się, są oddani metalowej scenie. Podziwiamy ich za to, co robią". Pamiętasz Illusory?
Oczywiście. **Costas** jest naszym przyjacielem. Często widuję go na metalowych koncertach. Za każdym razem spędzamy świetnie czas. Dzieliliśmy scenę z **Illusory** w kwietniu 2016 na imprezie **Wreck Athens**. Mam nadzieję, że wkrótce ponownie wspólnie zagramy.

Sam O'Black

animations

Kuć żelazo, póki gorące

Nie przepadam za nowoczesną muzyką metalową także staram się unikać szerokim łukiem te wszystkie metalcory oraz alt-nu-groove metale. Niemniej ostatnio muzycy kapel progresywnych bardzo chętnie sięgają po taką estetykę. Może bez większego entuzjazmu, ale przebrnąłem i zaakceptowałem sporą część takich wydawnictw. Na nowym krążku Animations "Contemporary Guide To Modern Living" musiałem przeżyć jeszcze większą dawkę takiego grania. Okazało się, że muzycy z Jaworzna zaadoptowali nowy metal na własne potrzeby i czują się w tym zdecydowanie dobrze. Całe szczęście nie zapomnieli o technicznym i progresywnym graniu, w ten sposób dali mi możliwość odnalezienia pewnego punktu odniesienia, co na początek zdecydowanie ułatwiło możliwość wysłuchania muzycznej propozycji Animations, a później docenienia całości albumu. A że "Contemporary Guide To Modern Living" jest zdecydowanie udaną propozycją, jestem teraz bardziej niż przekonany. Zresztą poczytajcie, co ma dopowiedzenia gitarzysta Animations Kuba Dębski, może jemu bardziej uwierzycie...

HMP: "Contemporary Guide To Modern Living" to wasz pierwszy concept-album i jest on pewnym komentarzem obecnego świata. Co was wkurza w dzisiejszym świecie i życiu, co chcielibyście wyeliminować lub zmienić jakbyście mieli tylko ku temu okazję? Czy są to rzeczy o wymiarze globalnym, czy też te bliższe was lokalne?

Foto: Animations

Kuba Dębski: Najbardziej denerwuje, a zwłaszcza przeraża nas to, że w dzisiejszym świecie praktycznie nie ma miejsca na cywilizowany dialog. Świat wręcz podzielił się na plemiona, które zamiast ze sobą rozmawiać, skaczą sobie do gardeł, przekonani o własnej nieomylności. Wszystko zgodnie z zasadą "*kto nie z nami, ten przeciwko nam*". Mówię tutaj o praktycznie wszystkich aspektach życia, ale przede wszystkim tych światopoglądowych. O polityce nie wspominam nawet, bo tego szamba nie chcę w ogóle tykać. Może się mylę i świat zawsze tak wyglądał tylko ja, patrząc na niego z perspektywy człowieka młodszego, miałem innej podejście? Tego do końca nie wiem.

Czy przed ludzkością i naszym światem jest jeszcze jakaś nadzieja, czy raczej zmierzamy ku naszemu upadkowi i końcowi?

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nawet fizyka mówi, że jeśli wahadło wysunięte jest zbytnio w jedną stronę to, siłą jej praw musi w końcu polecieć w drugą. Pytanie tylko jak bardzo teraz jest wysunięte i jak bardzo jeszcze będzie można przesunąć granicę tego co jest społecznie akceptowalne.

Czy forma concept-album usatysfakcjonowała was jako twórców, czy będziecie starali się w przyszłości powtórzyć ten pomysł? Czy pomogło to w odkryciu nowych możliwości artystycznych w wyrażeniu waszych emocji i rozwoju was jako zespołu?

Muszę tutaj od razu wyklarować jedną rzecz - nie podchodziliśmy do tworzenia tej płyty z założeniem, że stworzymy concept album. Nie mieliśmy tytułu, nie mieliśmy za bardzo pomysłów na teksty. Dopiero po napisaniu całej muzyki, zarejestrowaniu śladów instrumentalnych, gdy zaczęliśmy pisać teksty, całość zaczęła się nam fajnie spinać. Całości dopełniła grafika **Maćka Zielińskiego**, która stanowi okładkę albumu.

Kojarzę was z progresywnym metalem, ale w waszej muzyce jest też wiele nowoczesnego metalu typu metalcore czy groove metal, ba, czasami stanowi on stronę przeważającą. Nie jest to nic nietypowego, jeśli chodzi, o muzyków i zespoły wywodzące się z progresywnego metalu. Niemniej mnie ciekawi co jest tak kuszącego w tym współczesnych brzmieniach, jak one mogą wpłynąć na emocje słuchacza? Czy są one równie atrakcyjne, co te znane z progresywnego metalu?

Przyznam się szczerze, że ja na wiele lat zakopałem się po uszy w progmetalu i jakoś ciężko mi było z niego wyjść na zewnątrz. Dopiero gdy do zespołu dołączył **Frantz** (wokalista) to on przytargał ze sobą trochę innych wpływów muzycznych i nakręcił nas na nie. Szwedzki melodeath, amerykański metalcore itp. To nie jest tak, że nie znaliśmy tej muzy, ale nie kręciła nas tak strasznie jak właśnie prog. No i to się dość mocno pozmieniało od tamtego czasu, czego najlepszym dowodem była nasza trzecia płyta "**Private Ghetto**" z 2013 roku. To praktycznie melodeathowy album. Jedyne co go może odróżniać to wplecione w kilku miejscach elementy właśnie progu - jakieś łamańce rytmiczne. Nie zrezygnowaliśmy też na "**Private Ghetto**" z solówek gitarowych.

Niemniej jak bardzo byście się zagalopowali w stronę nowoczesności to, zawsze gdzieś tam wyjdzie progresywny metal. Stara miłość nie rdzewieje?

Tak jak wspomniałem wcześniej. W okolicach 2000 roku moja młodsza siostra przytargała do domu "**Scenes From a Memory**" **Dream Theater**. Mnie ta płyta poskładała i składa praktycznie do dzisiaj. To absolutne arcydzieło. Od tej pory byłem kompletnie nakręcony na prog, zwłaszcza na to co robi **Petrucci** i spółka. Soundtracku lat nastoletnich się nigdy nie zapomina i zawsze ma on specjalnie miejsce w sercu. Na pewno się ze mną zgodzisz.

Wasza muzyka jest także bardzo techniczna...

To też taka pozostałość z naszych początków. Gdy pisaliśmy utwory na nasz debiutancki album to, robiliśmy absolutnie wszystko, żeby całość była maksymalnie skomplikowana i trudna technicznie. Do tego stopnia, że wiele fragmentów rozpisywaliśmy w postaci wręcz matematycznych wzorów i dopiero potem dokładaliśmy do tego riffy. No cóż, młodość rządzi się swoimi prawami. (śmiech)

Do którego świata muzycznego wam bliżej do tego progresywnego czy do tego bardziej współczesnego metalowego?

Ze stuprocentową pewnością mogę stwierdzić, że idealnie odnajdujemy się właśnie gdzieś pomiędzy, a to też pozwala nam czerpać i z jednej i z drugiej strony. To znowu chyba fajnie wpływa na dynamikę albumu oraz ogranicza ewentualne ryzyko znużenia słuchacza.

Na nowej płycie wasze stare "ja" można znaleźć w instrumentalnej kompozycji "Broken Clock"...

A tu znowu zaskoczę Cię, bo tego utworu też nie planowaliśmy jako instrumentalnego, ale jak go skończyliśmy i posłuchaliśmy we czwórkę to, uznaliśmy, że dobrze brzmi tak,

jak jest, a poza tym będzie takim fajnym ukłonem w kierunku najstarszych fanów, którzy pierwszą styczność z naszą muzyką mieli właśnie przy okazji naszej debiutanckiej płyty.

Za to świetną równowagę między progresywnym metalem a nowoczesnym metalem utrzymujecie w utworze "Ashwagandha Propaganda". Moim zdaniem taki balans w waszym wypadku bardzo się sprawdza...
Jest mi bardzo miło to słyszeć. To jeden z moich ulubionych numerów na płycie i z tego co słyszę od ludzi - podobno refren i motyw przewodni mocno wgryzają się w świadomość słuchacza i nie chcą wyjść. To dobrze!

Pewną nowością jest utwór "Visions", który zaśpiewany jest po polsku. Przekaz tekstu był na tyle ważny dla Polaków, że postanowiliście wyśpiewać go po polsku?
"***Visions***" to taki trochę eksperyment. Na etapie tworzenia demówek albumu Frantz postanowił nagrać ten numer właśnie po polsku. Fragmenty tekstu wytargał z szuflady, w której przeleżały sporo lat. Posłuchaliśmy, spojrzeliśmy na siebie i uznaliśmy, że w sumie czemu nie? Czemu nie zostawić tej piosenki po polsku? I chyba dobrze zrobiliśmy, bo również dostajemy sporo wiadomości, że to dobry zabieg. Przy okazji też sporo pytań czemu nie zdecydowaliśmy się zrobić całości po polsku.

Mimo że nie przepadam za nowoczesnym metalem, to uważam, że utwory, które znalazły się na "Contemporary Guide To Modern Living" są szalenie udane i stanowią wyjątkową całość. Oczywiście różnią się pod względem muzycznym, emocji i klimatu, ale razem budują ciekawy i spójny album. I to jest właśnie siła tego krążka.
To bardzo budujące. Dziękujemy.

Niemniej gdybym musiał wskazywać na najlepszy utwór z tej płyty, wymieniałbym kawałek "Ashwagandha Propaganda" z wiadomych powodów, a dla was który utwór wydaje się tym najlepszym na "Contemporary Guide To Modern Living"?
Tutaj zdania w zespole są podzielone. Jeśli pytasz o moje zdanie to, ja jestem wiecznie niezdecydowany, bo w zasadzie siedzą mi wszystkie - tak, wiem, okropny przejaw narcyzmu (śmiech). Jednak, jeśli miałbym wskazać jeden z nich to, byłby to "***Donor of Consciousness***".

W "Ashwagandha Propaganda" jest też wiele melodii, ogólnie to też jest wyróżnik tej płyty...
Faktycznie tym razem postawiliśmy na większość melodii, ale chciałbym zaznaczyć, że nie jest to oznaka starości, a jedynie celowy zabieg artystyczny (śmiech).

Autor: Maciej Zieliński

Na tym polu ma wiele do powiedzenia wokal Frantz Wołocha, jednak potrafi on krzyknąć, wrzasnąć, a także za growlować...
Oj potrafi, potrafi. Jestem przekonany, że jeszcze nieraz się o tym przekonacie. Zwłaszcza że już powoli zabraliśmy się za tworzenie nowego materiału. Odzew po "**Contemporary Guide To Modern Living**" jest tak budujący, że postanowiliśmy kuć żelazo, póki gorące.

Na singiel/video wybraliście utwory "Visions" i "Modern Suicide" dlaczego?
"***Visions***" ponieważ jest po polsku i dobrzy ludzie nam to zasugerowali. "Modern Suicide" dlatego, że to szybki, metalowy numer, który najbardziej nawiązuje do płyt "**Private Ghetto**" i "**Without The Sun**".

Foto: Animations

Czy będą kolejne single? Ogólnie od jakiegoś czasu single/video stały się bardzo ważne w promocji metalowych wydawnictw. Macie podobne wrażenie? A jeszcze nie tak dawno była to sfera zarezerwowana jedynie dla muzyki tanecznej i pop...
Na pewno będą. Już w planach mamy nagranie kilku wideo i na pewno pojawią się one w przeciągu najbliższych miesięcy. Mamy też kilka filmów nagranych z instrumentalnymi playthrough. To teraz jest też taki standard wśród zespołów metalowych. Wideo jest niezmiernie istotne obecnie. To taki znak czasów. Mam jednak nadzieję, że nie u wszystkich ludzi okienko zainteresowania tematem ogranicza się do tik-tokowych kilkudziesięciu sekund.

Okładka jest autorstwa Maćka Zielińskiego, rysunek wyhaczyliście z jego serii "Maski". Dlaczego wybraliście właśnie ten obraz, jak łączy się on z waszą muzyką i przesłaniem płyty?
Napisałem do **Maćka** z pytaniem, czy byłby zainteresowany stworzeniem grafiki do kolejnego albumu. Odpowiedział, że nie bardzo się już tym zajmuje, ale jeśli wybierzemy sobie coś z jego prac to, jak najbardziej udzieli nam zgody na jej wykorzystanie. Zaczęliśmy przeglądać i faworyta mieliśmy praktycznie po kilkudziesięciu sekundach. Już wtedy mieliśmy zarejestrowane praktycznie 99% materiału wraz z wokalami, więc ten rysunek idealnie wręcz spiął nam całość albumu. Nie wyobrażam sobie, żeby okładkę "**Contemporary Guide To Modern Living**" mogło zdobić jakakolwiek inna grafika.

To nie jest wasza pierwsza współpraca z Maćkiem, jedynie "Without the Sun" zdobi obrazek kogoś innego, najwidoczniej jego ekspresja, emocjonalność, wrażliwość i ogólnie talent najlepiej współgra z waszą muzyką?
Miałem z **Maćkiem** przyjemność pracować kilkanaście lat temu w jednej z krakowskich agencji reklamowych. Wtedy byliśmy na etapie wydania pierwszego albumu i to **Maciek** zaproponował nam stworzenie oprawy graficznej. Od razu byliśmy zachwyceni i tak zostaliśmy praktycznie stałymi współpracownikami przez kilka następnych lat.

Brzmienie "Contemporary Guide To Modern Living" jest bardzo dobre, świetnie są wypozycjonowane wszystkie instrumenty, każdy słychać wyraźnie wręcz naturalnie. Gdzie i z kim nagrywaliście ten album?
Album nagraliśmy w całości we własnym studio domowym, a materiał zmiksowałem ja, więc tym bardziej jest mi miło słyszeć, że brzmienie, które udało nam się osiągnąć "siedzi". Inną sprawą jest to, że miks całości zajął mi dość sporo czasu oraz zapewnił mi niezłą ilość frustrujących momentów, ale w końcu udało się całość doprowadzić do końca. Łatwo nie było i były momenty, w których mieliśmy ochotę zaniechać dalszej pracy. Szczęśliwie skończyło się tak, jak skończyło.

Ta kwestia nie dotyczy tylko zespołów progresywnych, ale także metalowych i ogólnorockowych. Większość z nich działa jako hobby, pasja, w dodatku dość drogie zainteresowanie. Jak sobie z tą sprawą radzicie, jak organizujecie sobie życie zespołu i jak staracie się wpasować je w codzienność, pracę czy też rodziny?
Kilka ostatnich, trudnych dla nas wszystkich

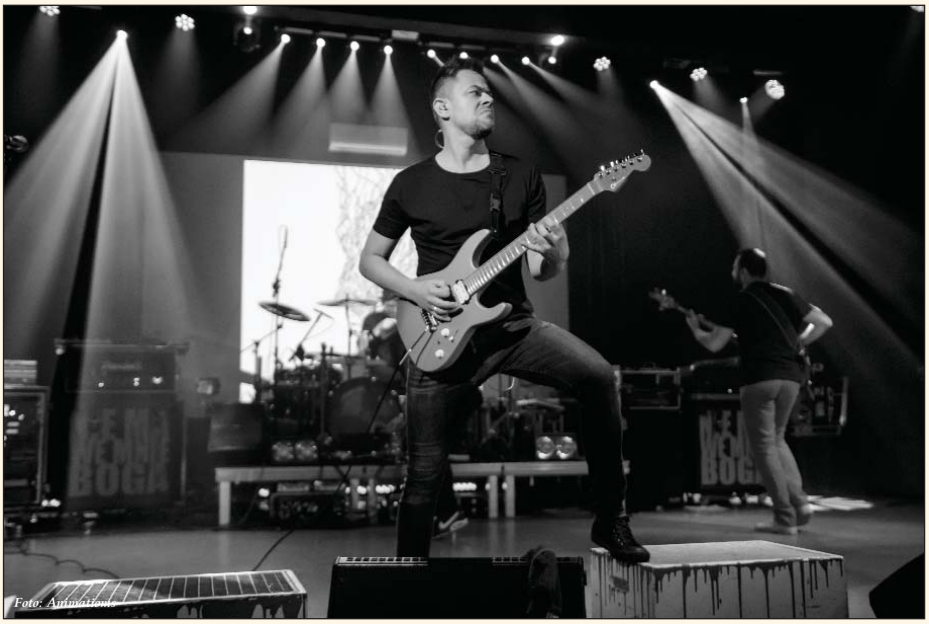
Foto: Animations

lat to trochę okres takiego zastoju. Dopiero od zeszłego roku zaczęliśmy mocniej i intensywniej pracować nad ukończeniem materiału. Dzieci mamy już trochę starsze, więc udaje nam się to wszystko połączyć w całość. Oczywiście są momenty, w których doba jest za krótka, ale i z tym staramy się sobie radzić. Jeśli chodzi o poruszone kwestie finansowe to, potwierdzam - to potrafi być droga zabawa. My mamy i tak na tyle szczęścia, że w większości przypadków wychodzimy na zero, a to w tej branży na tym poziomie i tak bardzo dużo.

Przeważnie wasze wydawnictwa firmuje Sonic Maze Records, de facto jest to wasza firma, wiec wydajecie się własnym sumptem. Dlaczego zdecydowaliście się na taki typ działalności, jakie są jej pozytywy, a jakie są jej braki? Dlaczego nie decydowaliście się na współpracę nawet z małą wytwórnią?
To było najprostsze rozwiązanie, które sprawdza się u nas od lat. Na samym początku naszej drogi faktycznie mieliśmy spore trudności logistyczno-finansowe, ale od tej pory rynek i my zmieniliśmy się na tyle, że jest nam najprościej ogarnąć wydawnictwo samemu. Jeśli chodzi o małe wytwórnie to, tutaj też mamy kilka przykładów wśród znajomych, często już nieistniejących kapel, w których dość mocno wtopili, godząc się na tego typu współprace.

Na polskiej scenie progresywnej działa sporo kapel, jednak większy rozgłos uzyskały pojedyncze zespoły. Dlaczego pozostałym zespołom jest tak trudno przebić się na międzynarodowy rynek?

Wydaje mi się, że bardzo często to jest kwestia znalezienia się w dobrym miejscu w dobrym czasie. Plus odrobina szczęścia również nie zaszkodzi. Niemniej jednak jedna sprawa pozostaje niezmienna - jeśli nie będziesz mieć dobrego materiału muzycznego to, choćbyś dwoił się, troił i wydał niebotyczne sumy na promocję to, nic z tego nie wyjdzie. Zasada "fake it til' you make it" wydaje się na dłuższą metę nie działać. Zwłaszcza w przypadku muzyki dla bardziej wymagającej publiki.

Ważną rolę w promocji odgrywają koncerty, jak sobie radzicie w tej kwestii?
W tym roku udało nam się trochę pograć i po wszystkich koncertach mieliśmy bardzo pozytywny odbiór. W przyszłym mamy nadzieję również trochę pojeździć, ale to nie jest takie proste z kilku powodów. Po pierwsze miejsc, w których można zagrać koncert jest coraz mniej. Wiele świetnych klubów poznikało z mapy Polski i wiele z tych luk nie zostało do dzisiaj zalepionych. Będziemy jednak robić wszystko, co w naszej mocy, żeby maksymalnie wypromować "**Contemporary Guide To Modern Living**".

Czy oprócz koncertów macie jakiś pomysł na wypromowanie "Contemporary Guide To Modern Living"?
Dość intensywnie działamy prasowo. Praktycznie od kilku tygodni nie ma dnia, w którym nie udzielilibyśmy jakiegoś wywiadu itd. To się fajnie przekłada np. na statystyki na Spotify i daje nam pozytywnego kopniaka do dalszego działania. Jak wspominałem, spróbujemy też uderzyć z warstwą wizualną i to już w przeciągu najbliższych miesięcy.

Między poprzednim waszym albumem "Without the Sun", a obecnie promowanym "Contemporary Guide To Modern Living" jest sześć lat przerwy. Czy na następcę będziemy czekali też tak długo, a może będzie to trwało jeszcze dłużej?
W 2017 po premierze "**Without The Sun**", na którą trzeba było czekać cztery lata, dostałem dokładnie takie samo pytanie. Wtedy żachnąłem się, że na pewno już tak nie będzie. Życie znowu postawiło nas do pionu, więc tym razem nie będę się w ogóle w tej kwestii odzywać. Wybacz. (śmiech)

Michał Mazur

HMP: Patrząc na waszą historię, widzę, że wydaliście swoje pierwsze demo w już oku założenia zespołu. Czy czuliście, że to odpowiedni moment na taki krok?
Jerry: Zdecydowanie był to idealny czas na ten krok. Materiał już w momencie wydania przyciągnął wiele uwagi. Otrzymaliśmy pozytywne opinie z całego świata. Zespół istniał około pół roku, a już udało nam się zdobyć kontrakt płytowy.

Jak oceniasz wspomniane demo "Discharge" z perspektywy lat, które minęły od jego wydania?
To esencja heavy metalu. Były to inne czasy, skład zespołu również się różnił. Byliśmy młodsi i znacznie mniej doświadczeni, ale to był dobry krok na rozpoczęcie faktycznej działalności. Obecnie wielu fanów **Voltax**, podobnie jak my, uważa, że demo ma więcej energii niż pierwszy album. Bez wątpienia nadal słucha się go z przyjemnością.

Przed założeniem Voltax, niektórzy z was współtworzyli thrash/speed metalowy zespół Thaurval. Nie tęsknicie za tym stylem?
Rzaem z **Hectorem** założyliśmy **Thaurval** gdy mieliśmy po 16-18 lat. Nasze podejście do metalu polegało na szybkim i agresywnym graniu, teraz w **Voltax** wciąż wplatamy wiele z tych wpływów, posłuchaj na przykład naszego utworu otwierającego nowy album. Element szybkości zawsze będzie obecny w **Voltax**. Nie oznacza to jednak, że chcemy wracać do thrashu.

Gracie razem od dłuższego czasu. Czy czujecie się czasem jak weterani lokalnej sceny?
Ostatnio zastanawiałem się nad tą kwestią, widząc tak wiele nowych zespołów zdobywających sławę tutaj w Meksyku. Mamy inny punkt widzenia. Jesteśmy postrzegani jako inspiracja dla wielu z nich. Mamy ogromny szacunek na lokalnej scenie, jednak dalej pracujemy nad sobą, by grać jeszcze lepiej.

Jak ogólnie wygląda obecna scena w Mexico City? Czy uważasz, że jakieś zespoły są na-

Voltax

Dziwny gość

Kogo Jerry, wokalista Voltax określił tym mianem... Nie zdradzę wam w tym momencie, ale miałem z tym facetem okazję rozmawiać i trudno mi nie podzielać jego opinii. Porozmawialiśmy również sporo o nowej produkcji Voltax zatytułowanej "Ardentis" oraz o meksykańskiej scenie metalowej.

prawdę warte polecenia?
To świetny moment dla muzyki metalowej w Meksyku, chociaż pandemia spowolniła jej rozwój. Możemy jednak powiedzieć, że lokalne i międzynarodowe koncerty są ogłaszane nieustannie, obejmując każdy gatunek, jaki możesz sobie tylko wyobrazić. Kiedy byłem dzieciakiem, nie było to zbyt powszechne. Narzekaliśmy na brak zespołów przyjeżdżających do Meksyku. Teraz młodzież narzeka, na nadmiar dużych festiwali z międzynarodową obsadą. Młode kapele zwracają większą uwagę na produkcję. Niedawno mieliśmy koncert w Mexico City prezentujący nasz nowy album "**Ardentis**" i trudno było nam wybrać zespoły do uzupełnienia programu. Zdecydowaliśmy się zaprosić ekstremalne zespoły metalowe, aby dodać więcej różnorodności. Były to **Profanator** (thrash metal) i **Horrid Sight** (death metal). Koniecznie sprawdźcie.

Przywołałeś już nowy album "Ardentis". Jak wam się go tworzyło?
To prawdopodobnie najbardziej satysfakcjonujący album, jaki kiedykolwiek zrobiliśmy. Wyciągnęliśmy wnioski z poprzednich doświadczeń. Najlepszym sposobem na osiągnięcie brzmienia, które lubimy, jest posiadanie całkowitej kontroli nad produkcją, bez udziału wytwórni płytowych czy menedżerów. Wiele riffów i pomysłów pochodziło od nowych chłopaków w kapeli, czyli **Andy'ego** i **Victora**. Czuliśmy się prawie tak, jakby byli częścią **Voltax** od pierwszego dnia istnienia naszej formacji. Zdecydowaliśmy się również nagrać wszystko na żywo w studiu, z wyjątkiem wokalu i klawiszy. Ten "eksperyment" wyszedł całkiem nieźle. Co więcej, chcieliśmy podkręcić całą formułę poprzez umieszczenie wszystkich tekstów w języku hiszpańskim. Ten album łączy w sobie intensywność dwóch pierwszych albumów z bardziej progresywnymi i psychodelicznymi wpływami z trzeciego i czwartego albumu.

No właśnie, wszystkie teksty są po hiszpańsku. Jaki jest powód tego kroku?
Na początku był to tylko mglisty pomysł, ale po miesiącach rozmów na ten temat i biorąc pod uwagę komentarze, które otrzymywaliśmy przez lata od ludzi w Meksyku i innych krajach, powiedzieliśmy "*pieprzyć to!. Do tej pory zrobiliśmy prawie wszystko po angielsku, zobaczmy, co się stanie, jeśli użyjemy naszego ojczystego języka*". Po prostu poszliśmy na całość. Rezultat każdy może usłyszeć.

Chociaż teksty są w języku hiszpańskim, odnoszę wrażenie, że album jest bardzo popularny w niehiszpańskojęzycznej części świata. Choćby ten wywiad jest tego dobrym dowodem. Czy jesteś zadowolony z ogólnego odbioru tego albumu?
Tak! Cieszymy się, że otrzymujemy pozytywne komentarze z krajów, które nie mają nic wspólnego z językiem hiszpańskim. Ludzie mogą poczuć emocje, które chcemy przekazać w bardziej naturalny sposób, nawet lepiej niż w przypadku naszych kawałków śpiewanych po angielsku. Nadal chcemy dotrzeć do jak największej liczby osób, a ten wywiad bardzo nam w tym pomaga!

Foto: Voltax

Co oznacza tytuł albumu?
Nasze poprzednie płyty miały długie tytuły. Jak wspomnieliśmy wcześniej, tą płytą chcieliśmy nieco zmienić całą formułę. Chcieliśmy jednego słowa, które oddałoby klimat płyty, "**Ardentis**" to łacińskie słowo, które ma związek z płonięciem, ogniem lub oświeceniem.

Bardzo podoba mi się to zwolnienie na końcu utworu "La Bestia Interior".
To tutaj pojawiły się nasze progresywne wpływy. Motyw ten powstał po wielokrotnym jammowaniu. Improwizacja odegrała w tym kluczową rolę. Powoli nadawaliśmy temu momentowi głęboką i nastrojową atmosferę, która kontrastuje z agresywnym riffem przewodnim. Była to również idealna okazja do użycia klawiszy, na których gra **Hector**.

Jestem pod wrażeniem utworu "Abismo". To prawdopodobnie najcięższy moment na albumie. Czy nagranie takiego utworu było zamierzone, czy po prostu wyszło to podczas procesu tworzenia?
Chociaż w naszych poprzednich utworach mieliśmy powolne i ciężkie fragmenty, tym razem chcieliśmy stworzyć w pełni doom metalowy numer. To jeden z tych gatunków, które kochamy. Było to również wyzwanie, ponieważ uważamy, że pisanie wolnych utworów jest trudniejsze niż wymyślanie szybkich. Mamy również specjalnego gościa w tym utworze wykonującego solówki gitarowe **Jonny Nesta** (ex-Skull Fist, a obecnie w Thunderor), nasz wieloletni przyjaciel.

Najmocniejszym utworem na albumie jest "Sentencia". Ma bardzo chwytliwy riff. Jak ogólnie oceniasz rolę melodii w heavy metalu?
To prawdopodobnie najbardziej intensywny utwór na albumie. Po tym jak skończyliśmy riffy i strukturę utworu, chcieliśmy zrównoważyć końcowy efekt bardziej melodyjną linią wokalną i refrenem. Chociaż jesteśmy zespołem, który preferuje intensywność i ciężkość, zawsze staramy się znaleźć odrobinę melodii, która może pozostać w mózgu słuchacza przez dłuższy czas. To kluczowy element naszej muzyki i ogólnie gatunku heavy metal.

Miałeś epizod w Savage Grace.
To było spontaniczne, zabawne i nieco pośpieszne doświadczenie. **Chris Logue** jest miłym i nieco dziwnym gościem. Mieliśmy tylko kilka prób przed występem, na szczęście 60% zespołu również było w **Voltax**, więc łatwo było nauczyć się kawałków. Poza tym rozumieliśmy się doskonale na scenie. Gdybyśmy mieli więcej czasu na przygotowanie, występ, który razem zrobiliśmy, wyszedłby znacznie lepiej.

Nie zaproponowali ci stałej współpracy?
Nie, nigdy o tym nie rozmawialiśmy

Bartek Kuczak

ICARUS WITCH

Przestrzeń między nutami

Minęło 18 lat od momentu, kiedy Icarus Witch wraz z "Capture the Magic" pojawił się jako sensacja w heavymetalowym światku. Taka klasyczna, świetnie brzmiąca płyta, znikąd! Oni się obejrzeliśmy, a Amerykanie mają już sześć płyt na koncie. O ostatniej z nich, "No Devil Lived On" rozmawialiśmy z Jasonem Myersem - nikim innym, a czarodziejem odpowiedzialnym za wspaniałe linie basu, które są jednym ze znaków rozpoznawczych Icarusów.

HMP: Jeśli wierzyć www.metal-archives.com w tym roku kończycie 20 lat. Ja wciąż Was postrzegam jako całkiem młody zespół.
Jason Myers: Powiedziałbym, że my to taki "metal w średnim wieku" (śmiech). Zespół zaczął się formować około 2003 roku, czyli 20 lat według mnie najlepszym roku dla metalu, 1983. A teraz jesteśmy razem od 20 lat. Więc dzieciaki, które teraz zakładają zespoły grające tradycyjny metal, są tak odległe od naszej daty powstania, jak my byliśmy od roku, w którym ukazały się albumy takie jak "**Holy Diver**", "**Bark At The Moon**", "**Piece Of Mind**", "**Headhunter**", "**Mean Streak**", "**No Parole From Rock 'N' Roll**", "**Fastway**" czy "**See You In Hell**".

Foto: Icarus Witch

Uwielbiam takie porównania, w punkt! Pamiętam, kiedy wychodziły Wasze dwie pierwsze płyty. Wtedy taki klasyczny heavy metal nie był tak popularny jak dziś. Nie było takiej społeczności, typowo heavymetalowych festiwali, ani całego tego heavymetalowego ruchu. Jak wspominasz tamten czas?
To prawda, to była zupełnie inna scena. Nawiązaliśmy więź z zespołami naszej generacji, takimi jak **Twisted Tower Dire**, **Widow**, **Bible Of The Devil** i **Goat Horn**, który przekształcić się później **Cauldron**. Zaprzyjaźniliśmy się również i graliśmy z kilkoma tradycyjnymi zespołami, które istniały od lat 80., takimi jak **Attacker**, **Deadly Blessing** i **Trouble**, które wzięły nas pod swoje skrzydła, ponieważ kontynuowaliśmy ich tradycję. Jeśli chodzi o festiwale, było kilka małych w Stanach, takich jak **Alehorn Of Power** w Chicago i **Warriors Of Metal** w Ohio. Ale żeby zagrać przed większą publicznością, musieliśmy podróżować za ocean na festiwale takie jak **Headbangers Open Air** w Niemczech. Wróciliśmy na **H:O:A** w zeszłym roku po 16 latach i byłem zdumiony tym, jak bardzo festiwal się rozwinął. Nic dziwnego, że ten festiwal i wiele innych, które pojawiły się od tego czasu, zyskują na popularności, biorąc pod uwagę, jak wiele jest teraz młodszych zespołów grających tradycyjny heavy metal. Szczerze mówiąc, trudno jest nadążyć za tymi wszystkimi nowymi zespołami, ale to dobrze, o ile każdy zespół stara się wnieść coś wyjątkowego do sceny, tak aby muzyka ewoluowała i nie stała się czerstwa czy banalna.

Poza Headbangers Open Air, w tym roku zagraliście też na małym festiwalu w Szwajcarii. Opłaca Wam się przyjeżdżać do Europy na jeden występ?
W tym roku zagraliśmy również na festiwalu **Storm Crusher** w Niemczech, gdzie wystąpiły również takie zespoły jak **Riot**, **The Crown**, **Seven Sisters** i **Bullet**. Według nas warto było przyjechać do Europy na ten festiwal.

Co jest takiego w tych europejskich festiwalach, że amerykańskie heavymetalowe zespoły tak chętnie do nas przyjeżdżają?
Nie mogę wypowiadać się za inne amerykańskie kapele, ale dla nas jest to szansa na zagranie dla fanów metalu z różnych krajów, którzy jeżdżą na festiwale. Daje nam to także możliwość poznania trochę świata, zwiedzania i nawiązywania kontaktów z innymi członkami muzycznej społeczności.

"Capture the Magic" to moja ulubiona Wasza płyta. Słuchasz jej czasem?
Dzięki, to była dla nas ważna płyta i wiele osób wciąż ma z nią miłe wspomnienia. Zazwyczaj nie słucham zbyt często naszej starej muzyki, ale kiedy to robię, myślę, że niektóre z naszych krążków dobrze się trzymają. Przywołują wiele wspomnień. Zaczęliśmy ponownie grać "***Storming The Castle***" na żywo.

A odnosisz się do tej płyty komponując nowe kawałki?
Jeśli chodzi o odwoływanie się do naszej wcześniejszej twórczości podczas komponowania nowych numerów, to powróciłem do jednej z postaci z naszego debiutanckiego wydawnictwa. "***Ice Maiden***", o której pisaliśmy na EP "**Roses On White**", pojawiła się w nowym utworze "***Shadow Chaser***".

Nowa płyta, "No Devil Lived On" to kontynuacja Waszego muzycznego stylu, ale za to zaskakujecie tematyką. Już kawałek singlowy zapowiadał tematykę science-ficion. Kto z Was wpadł na taki pomysł?
To ja wpadłem na pomysł koncepcji tekstu, już na wczesnym etapie pisania.

Szukałeś czegoś totalnie nowego?
Tak, szukaliśmy jakiegoś nowego obszaru do eksplorowania. Chciałem pisać o tematach, które pozostaną wierne naszej fantastyce i okultyzmowi, ale nadadzą nam świeżego spojrzenia, czegoś, czego nie mieliśmy w przeszłości.

Jaka jest główna idea tekstów na tym albumie?
Na poziomie ludzkim jest to opowieść o buncie, obronie, ucieczce, konfrontacji, poświęceniu i transcendencji. To historia o przeciwstawianiu się chciwym, opresyjnym tyranom. Na poziomie metaforycznym historia rozpoczyna się w niedalekiej przyszłości i rozgrywa się na tle niepokojów społecznych, wojny oraz Ziemi na skraju katastrofy ekologicznej spowodo-

wanej w dużej mierze przez chciwość niektórych korporacji, polityków i fałszywych przywódców religijnych. Pewna młoda czarownica-rebeliantka, która ukryła się na ich skazanym na zagładę statku kosmicznym, musi ścigać się z czasem, ponieważ chce powrócić na sabat, który ma się odbyć na Ziemi. Próbując znaleźć drogę do domu, spotyka pozaziemskiego czarodzieja, który zawiera z nią układ. Pozostawia jej ciało zamrożone na odległej planecie, ale uwalnia jej umysł i transcendentalnie przesyła przez kosmos, i tam może uczestniczyć w sabacie. Główna bohaterka przeszła drogę od młodej buntowniczki przez odważną męczennicę do mądrej bogini, a teraz niesie swoją uniwersalną mądrość i przesłanie pokoju nowemu pokoleniu, które wykorzystuje starożytną technologię do nauki i sztuki czarów.

Znakiem rozpoznawczym i atutem Icarus Witch jest linia basu i jego brzmienie. Świetnie brzmi także i na "No Devil Lived On".

Dziękuję, bardzo to doceniam. Z moimi liniami basowymi staram się osiągnąć dwie rzeczy. Po pierwsze i co najważniejsze, to bas powinien służyć utworowi. Powinien być impulsem, który napędza dźwięk, spaja się z perkusją i wprawia ciało w ruch. Po drugie, lubię dodawać dodatkowe melodie do utworu, a w niektórych fragmentach harmonizować z gitarą lub wokalem, jednocześnie utrzymując rytm. Jest to swego rodzaju balansowanie, ale z biegiem lat stało się bardziej instynktowne, zwłaszcza że nauczyłem się, że przestrzeń między nutami może działać skuteczniej, niż same nuty.

Masz jakąś specjalną receptę na pisanie tak dobrych linii basu? A może to one powstają na początku, a utwory powstają później?

Jeśli chodzi o to, czy partie basu pojawiają się najpierw, czy później, to w dużej mierze zależy to od tego, kto jest głównym autorem muzyki w danym utworze. Jeśli jest to kawałek, który ja wnoszę do zespołu, jak "***No Devil Lived On***" czy "***A Heartbeat Away***", to są to zwykle kawałki bardziej skoncentrowane na basie, a partie gitar są napisane niejako wokół linii basu. W utworach, do których **Quinn** pisze większość muzyki, takich jak "***Shadowchaser***", to riff gitarowy jest gwiazdą i w takiej sytuacji czuję, że lepszy efekt daje schowanie się za kulisami z prostym groove'em i pozwolenie gitarze oraz wokalowi mocniej zabłysnąć.

Charakteryzuje Was naturalne, ciepłe i przejrzyste brzmienie. Z jednej strony bardzo klasyczne, z drugiej strony we wczesnych latach 80. wiele zespołów mogłoby tylko pomarzyć o takim brzmieniu. Co stawiacie sobie za wzór gdy pracujecie nad brzmieniem?

Jeśli chodzi o ogólną produkcję dźwięku i miks, myślę, że **Quinn** i ja zawsze uważaliśmy, że "**Empire**" **Queensryche** postawił wysoką poprzeczkę, według której należy oceniać klasyczne produkcje metalowe. Każdy instrument jest krystalicznie czysty, a każdy niuans idealnie osadzony w miksie. To ciężki album, ale słucha się go z przyjemnością. Nie katuje uszu. Za każdym razem, gdy zaczynamy produkować nowy album, pierwszym krokiem jest zwykle przywołanie w pamięci sesji z poprzednich albumów i sprawdzenie, jak możemy poprawić to, co uważaliśmy za najlepsze, co mogliśmy zrobić, gdy album został wydany. Więc w tym sensie wzorujemy naszą nową muzykę na poprzedniej i szukamy sposobów, aby ją ulepszyć. Ponieważ traktujemy produkcję bardzo poważnie, nie skąpimy pieniędzy na miks i mastering. Doszliśmy do punktu, w którym możemy nagrywać we własnym zakresie. Gitarę i bas nagrywa **Quinn** w swoim studiu, a wokale i perkusję **Andrew** w jego studiu. Następnie wysyłamy te pliki do **Brada Coxa**, który jest światowej klasy inżynierem miksu, który pracował nad wielkimi platynowymi albumami w najlepszych studiach w kraju. Posiadanie takiego świeżego spojrzenia, to mądre posunięcie, jeśli chce się dopracować efekt.

Foto: Icarus Witch

Właśnie słyszałam, że obecnie mieszkacie w różnych miastach. Już wiem, że na komponowanie nie ma to dużego wpływu, ale na próby i koncerty pewnie już tak?

Quinn i ja mieszkamy w różnych częściach Pittsburgha w Pensylwanii, niecałą godzinę drogi od siebie. **Andrew** i **Noah** mieszkają niedaleko siebie w Ohio, ale dzieli ich nieco ponad godzina drogi, więc nie jest to dla nas aż tak duży problem, żeby móc się spotkać i zrobić próbę. Kiedy mieszkałem w Los Angeles, dojazd do pracy i z powrotem zajmował mi godzinę dziennie, więc dla czegoś tak ważnego jak próby zespołu ta odległość nie stanowi dużego problemu.

Ostatnio tempo wydawnicze Ironflame prześcignęło tempo Icarus Witch. Co sprawiło, że dla Andrew ten drugi zespół stał się ważniejszy?

Ironflame był solowym projektem **Andrew**, na którym skupił się na lata przed dołączeniem do **Icarus Witch**. Sam pisze utwory, sam nagrywa i produkuje, a poza solówkami gitarowymi sam gra na wszystkich instrumentach. Jest więc w stanie tworzyć albumy dla tego projektu w dowolnym tempie, ponieważ nie polega na harmonogramie innych, podczas gdy **Icarus Witch** wymaga nieco więcej koordynacji i opiera się bardziej na grafikach kilku osób. Niemniej jednak, pomimo obecności w **Ironflame**, **Brimstone Coven** i **Nechochwen**, **Andrew** zawsze znajdował czas dla **Icarus Witch** zarówno w studiu, gdzie pracuje niezwykle wydajnie, jak i w trasie. Nigdy nie był powodem, dla którego produkcja płyt **Icarus Witch** trwała dłużej, w rzeczywistości zwykle najpierw kończy swoje partie i czeka, aż reszta z nas nadrobi zaległości. Praca z **Andrew** to czysta przyjemność i wszyscy jesteśmy zadowoleni z tego układu.

Foto: Icarus Witch

Dzięki za poświęcony czas dla Heavy Metal Pages!

Dziękuję, to zaszczyt znaleźć się w waszym magazynie. Doceniam wasze nieustające wsparcie dla **Icarus Witch** i wsparcie dla podziemnej sceny heavy metalowej przez tak wiele lat. (po polsku) Dziękuję.

Katarzyna "Strati" Książek

PRIMORDIAL

Głos buntu

Oto wywiad, który prawie się nie odbył. Z wokalistą irlandzkiego Primordial, Alanem Averillem, znanym też jako A.A. Nemtheanga, byłem umówiony na rozmowę dzień przed jego wyjazdem na trasę koncertową. Wówczas jednak do spotkania nie doszło z uwagi na nagromadzenie innych obowiązków. Potem z kolei gwałtowna ulewa sparaliżowała komunikację miejską w Dublinie, przez co Alan nie połączył się ze mną na czas. Ale cóż, za trzecim podejściem się udało, z czego bardzo się cieszę. Nemtheanga jest bowiem jednym z najbardziej oryginalnych głosów w muzyce metalowej. I nie mam tylko na myśli jego niepodrabialnej maniery wokalnej, ale raczej artystyczną wrażliwość i inteligenckie zapędy. Przekonajcie się zresztą sami, co miał do powiedzenia na temat najnowszego albumu Primordial, "How It Ends", a także kilku innych jakże interesujących kwestii.

HMP: **Alan, wielkie dzięki, że zgodziłeś się na ten wywiad. Rozmawiamy parę dni po tym, jak skończyliście trasę promującą "How It Ends". Podzielisz się swoimi świeżymi wciąż wrażeniami?**

Alan Averill: Jasne. Są one głównie pozytywne. Tak w dziewięćdziesięciu procentach było super. Nawiązaliśmy świetne, głębokie relacje z zespołami, z którymi graliśmy (Paradise Lost, Omnium Gatherum i Harakiri for the Sky - przyp. red.) Publiczność dopisała, stawiła się tłumnie. A co mogło wypaść lepiej? Cóż, zawsze, kiedy nie śpiewam na sto procent, rozczarowuję samego siebie. Głos to mięsień, domaga się ćwiczeń, a tymczasem my nie graliśmy przez całe lato. Prócz tego z wiekiem coraz rzadziej gra się próby. Czuję więc, że mogłem dać z siebie więcej. Przy czym generalnie wypadłem dobrze, za wyjątkiem ostatniego koncertu, kiedy moja wydajność spadła do, powiedzmy, sześćdziesięciu, siedemdziesięciu procent. Abstrahując od tego, trasa była świetna. To wygodne, kiedy po prostu wchodzisz na scenę i grasz, nie musisz samodzielnie rozstawiać sprzętu i się stroić. Prócz tego, tym razem nie byliśmy headlinerem, ten zaszczyt przypadł **Paradise Lost**, więc nie musieliśmy się tak martwić o frekwencję i stronę finansową przedsięwzięcia, bo wiedzieliśmy, że dzięki nim bilety się sprzedadzą.

Czy mieliście okazję przetestować na żywo nowe utwory? Czy zapowiada się na to, że któryś zagości w waszej setliście na dłużej?

Foto: Fergal Flannery

Tak, zaczęliśmy od grania trzech, ale szybko zorientowaliśmy się, że to przekłada się na prawie połowę setlisty - dwadzieścia pięć minut muzyki, którą publiczność słabo jeszcze kojarzy. Zeszliśmy więc do dwóch nowych utworów. Przy czym rotowaliśmy nimi. Wiesz, potrzeba czasu, by utwór stał się koncertowym szlagierem. Zazwyczaj, kiedy jesteśmy headlinerem trasy, gramy przez sto minut, co pozwala nam zaprezentować pięć, może sześć świeżynek. Tym razem mieliśmy tylko pięćdziesiąt minut do dyspozycji, stąd większa selektywność. Nowy materiał wypadł dobrze, ale trudno mi teraz powiedzieć, czy będziemy do niego wracać częściej.

Wiem, że dla ciebie trasa koncertowa to nie tylko muzyka, ale także odkrywanie świata. Miałeś okazję zwiedzić Wrocław?

Tak, przed koncertem wyszedłem na miasto. Ma bardzo ciekawą historię, a wrocławski Rynek jest piękny. Miejscowi zadbali o stylistyczną, architektoniczną spójność. Po raz pierwszy byłem we Wrocławiu, ale zrobił on na mnie duże wrażenie.

A jak dobrze masz zwiedzoną Polskę?

Przez te wszystkie lata byłem tu i ówdzie: w Warszawie, w Gdańsku, jeszcze w paru miastach. Na pewno powinienem poświęcić więcej czasu na eksplorację Polski, ale wiesz, zimą chce się pojechać w ciepłe miejsce. Zwłaszcza, gdy jesteś z Irlandii, gdzie zimy są nie tylko mroźne, ale do tego bardzo wietrzne. Polska o tej porze roku nie jest więc dla mnie miejscem docelowym, chociaż może powinna być. To fascynujący historycznie i architektonicznie kraj. Różnice choćby między Gdańskiem i Katowicami są ogromne!

Zdecydowanie! Wracając do tematu grania na żywo, to niestety tym razem nie dałem rady dotrzeć do Wrocławia na wasz koncert, ale widziałem was w Czechach w 2012 roku, kiedy byliście na trasie z While Heaven Wept i Alcest. Pamiętam, że uderzyła mnie wtedy twoja teatralna prezencja sceniczna. Czy pracowałeś nad nią specjalnie?

Nie, moja prezencja sceniczna to po prostu suma mojej osobowości oraz doświadczenia grania na żywo. Z czasem zaczynasz rozumieć, o co chodzi w byciu frontmanem i czego wymaga od ciebie ta rola. Jasne, w black metalu, czy generalnie heavy metalu, drzemie pierwiastek teatralności, ale ja występując na żywo skupiam się na tym, by nawiązać więź emocjonalną z widzami i zostawić ich z poczuciem, że doświadczyli czegoś wyjątkowego. A przynajmniej to jest mój cel.

Powiedziałeś kiedyś, że koncerty Primordial mogą być rozrywkowe, ale nie są rozrywką, ponieważ tworzycie sztukę, a ta powinna być przede wszystkim poruszająca.

Jesteśmy artystami, tworzymy sztukę. Jeśli dobrze bawiłeś się na naszym koncercie, to się cieszę, ale moim zdaniem muzyka zasadniczo jest sztuką, więc stawiamy sobie inne cele niż czysta rozrywka. Przede wszystkim zależy nam na budowaniu więzi z publicznością. Nie mam nic przeciwko zespołom, które grając, chcą się przede wszystkim bawić, ale **Primordial** jest inny. Chociaż oczywiście nie jest tak, że zupełnie ignorujemy rozrywkowy element grania na żywo. To mimo wszystko koncert. Powiedzmy jednak, że inaczej stawiamy ak-

centy.

W kontekście muzyki metalowej jako sztuki, od dłuższego czasu chodzi mi po głowie pewne pytanie. Nie sposób przypisać Primordial do konkretnego gatunku, ale wyrośliście ze sceny black metalowej. To oczywiście bardzo pojemny termin, ale zastanawia mnie, dlaczego właśnie ten gatunek często jest pierwszym wyborem dla aspirujących artystów. Wiesz, zespoły thrash metalowe zwykle nie elaborują na temat swojego artystycznego przekazu, tymczasem black metal to wizja, to estetyka, to performance. Jak myślisz, dlaczego tak jest?

Bardzo ciekawe pytanie! Wiesz, jeśli cofniesz się do lat osiemdziesiątych, to zobaczysz, że prekursorzy gatunku, czyli **Mercyful Fate**, **Bathory**, **Venom** oraz **Hellhammer**, wyróżniali się estetyką. Było w nich coś "obcego", w pewnym sensie ezoterycznego. Mnie zawsze do takich zespołów ciągnęło bardziej niż do grup ubranych w zwykłe jeansy i koszulki. Przykładowo nigdy nie byłem fanem **Testament** ani **Sacred Reich**. Ja w muzyce poszukiwałem czegoś teatralnego, wykraczającego poza tylko warstwę dźwiękową. Te cztery zespoły zasiały ziarno. Potem zaś przyszła druga fala black metalu, która kontynuowała ich dzieło. Estetyka mroku, ta ezoteryczna, tajemnicza, satanistyczna otoczka jednak pozostała i dalej jest gwiazdą przewodnią tej sceny. Chyba to ona sprzyja artystycznej ekspresji niedostępnej innym gatunkom metalu. Oczywiście to nie tak, że mam coś przeciwko thrash metalowi. Lubię stary thrash. Tylko że tę muzykę napędza agresja i prymitywizm (podobnie zresztą jak to było w przypadku Hellammer). Wyraża się to nawet w riffach. Tymczasem black metal, chyba właśnie dzięki swojemu ezoteryzmowi, może przyjmować najróżniejsze formy, pozostając przy tym black metalem. Nie ma przecież czegoś takiego jak typowe black metalowe brzmienie; **Mystifier** nie brzmi jak **Immortal**, a **Blasphemy** - jak **Master's Hammer**. Zespoły drugiej fali tworzą bardzo różnorodną muzykę. Do tego dochodzi estetyka black metalu, która jest kulturowym fenomenem, którego rozpoznawalność wykracza daleko poza naszą subkulturę. Możesz nawet znaleźć płyty hiphopowe czy industrialne ewidentnie inspirowane estetyką black metalu. Podsumowując, jeśli weźmiesz ezoteryzm i tajemniczość, połączysz z uderzającą estetyką, to otrzymasz muzykę, która intryguje i inspiruje do tworzenia własnej.

Ciekawe. Sam upatrywałem przyczyny w tym, że black metal rzekomo nie ma żadnych zasad, więc możesz z nim zrobić cokolwiek chcesz.

Trochę tak jest, ale moim zdaniem serce tej muzyki musi pozostać niezmienione. Fakt, to paradoks, ale tak to widzę: wędruj ze swoją muzyką dokąd chcesz, ale nigdy nie zapominaj skąd wyszedłeś.

Wracając jeszcze do artyzmu Primordial, to muszę tu wspomnieć swoją mamę, która ma 66 lat, ale uwielbia waszą muzykę. Nie zna angielskiego, więc nie ma pojęcia, o czym śpiewasz, ale wasza twórczość, a zwłaszcza twoja maniera śpiewania, po prostu do niej przemawia.

No proszę (śmiech). Nie musisz znać języka i rozumieć tekstów, żeby muzyka cię poruszyła. Smutna piosenka to smutna piosenka.

Foto: Fergal Flannery

W końcu wiele norweskich zespołów black metalowych śpiewa w swoim ojczystym języku, dostępnym niewielu.

Dokładnie.

Wróćmy do "How It Ends". Zauważyłeś kiedyś, że nagrywanie waszych parzystych albumów zawsze idzie gładko, podczas gdy nieparzyste są prawdziwą zmorą. "How It Ends" ma numer dziesiąty w waszej dyskografii. Czy więc dopisała wam dobra passa?

O dziwo tak! Klątwa się nas trzyma. Poszczęściło nam się ze studiem, nagrania poszły szybko, owocnie i bezproblemowo. Po jakichś dwóch tygodniach mieliśmy gotowy album. W przeszłości praca w studiu bywała faktycznie drogą przez mękę, bo a to ktoś zachorował, a to sprzęt zawiódł, a to pogoda nie dawała nam żyć. Nie tym razem.

Miejmy więc nadzieję, że kolejnym, nieparzystym albumem, przełamiecie klątwę.

Może. Zobaczymy!

O czym mówią teksty na "How It Ends"?

Zasadniczo tematem przewodnim albumu jest wolność, a zwłaszcza zmagania klasy robotniczej na drodze ku wolności. Rozważałem, w obliczu jakich sytuacji ludzie są gotowi postawić na szali własne życie. Przy czym interesowały mnie nie tylko ostatnie lata, lecz minione dwa stulecia. W przeszłości poruszałem temat przesuwających się granic. Tym razem wziąłem pod lupę ludzi mieszkających w obrębie tychże, stawiających czoło kolonizatorom, obcej władzy. Można powiedzieć, że "**How It Ends**" to także album o buntownikach i powstańcach.

Jest to więc album przerażająco aktualny. Wpierw pandemia, potem wojna na Ukrainie, a podczas gdy byliście na trasie, wybuchł kolejny konflikt, tym razem na Bliskim Wschodzie.

Nie chciałem pisać o pandemii, ale myślę, że ten czas uświadomił nam dobitnie, jak bardzo ludzie polegają na myśleniu plemiennym i jak łatwo godzą się na władzę autorytarną i składają swoją wolność w jej ręce. Chyba taka jest ludzka natura. Co się zaś tyczy trwających obecnie wojen, to mam wrażenie, że świat staje się coraz bardziej mroczny i zdesperowany. Powtórzę jednak, że przede wszystkim intere-

Foto: Fergal Flannery

Foto: Fergal Flannery

sowała mnie wolność. To najważniejsze słowo w każdym języku, bo wszystkie ludy do niej aspirują. Moim zdaniem jest ona nawet ważniejsza od miłości, gdyż możesz niewłaściwie ulokować uczucia, a tymczasem wolność jest wartością najwyższą. Nie chcę zabrzmieć arogancko, ale wydaje mi się, że metal potrzebuje teraz takiego albumu. W dobie pandemii wiele zespołów metalowych ugięło karku przed władzą instytucjonalną. My natomiast wynosimy na sztandary bunt.

Skąd czerpiesz inspirację dla swoich tekstów?

W tym konkretnym wypadku interesowali mnie pisarze z przełomu XIX i XX wieku. Nazwałbym ich romantykami, albo mistykami Zachodu. Byli to ludzie, którzy upatrywali w I wojnie światowej zmierzchu Europy, gwoździa do trumny cywilizacji grecko-rzymskiej. Przy czym "**How It Ends**" nie jest albumem eurocentrycznym. Idea buntu przeciwko imperiom przemawia przecież także do mieszkańców Haiti, Peru, Singapuru… Jest uniwersalna.

To co prawda autor zupełnie nam współczesny, ale czytujesz może Douglasa Murraya (autora między innymi "Przedziwnej śmierci Europy" oraz "Wojny z Zachodem" - przyp. red.)?

Owszem. Przy czym staram się nie mieszać **Primordial** w sprawy bieżące. Nawet jeżeli wymuszony przez pandemię lockdown sprowokował mnie do przemyśleń na temat ludzkiej natury, to nie napiszę tekstu, który będzie ewidentnym nawiązaniem do tych wydarzeń. Wolę polegać na odwołaniach do wydarzeń z odległej przeszłości. Ale tak, jestem fanem **Douglasa Murraya**. Uważam, że mówi elokwentnie i brutalnie o naszej rzeczywistości. Chociaż wiesz, ludzie pisali o upadku cywilizacji Zachodu już ponad sto lat temu, w przededniu I wojny światowej. Tamte teksty rezonują dziś silniej niż kiedykolwiek. Żyjemy w czasach, kiedy Zachód wstydzi się swojego dziedzictwa i nie wierzy we własne wartości, jak choćby wolność słowa, wolność zrzeszania się, prawo do protestu przeciwko władzy. Ciągle widzimy próby ograniczenia naszych wolności, a tymczasem przedstawiciele lewicy, czy raczej nowej lewicy, zamiast stać po stronie buntowników, wspierają władzę instytucjonalną. Takie zjawiska jak kultura unieważnienia (czasami też nazywana w polszczyźnie z angielska - cancel culture - przyp. red.) lub kultura woke są tego przejawem. Jesteśmy zaślepiani, bo podczas gdy my spieramy się o bzdury, tracimy czas na problemy rozwiniętego świata, to gdzieś tysiące kilometrów dalej spadają bomby, a wielka korporacja zarabia dwieście miliardów euro na kryzysie energetycznym. Wartość akcji zbrojeniowego giganta, **Lockheed Martin**, rośnie w astronomicznym tempie, a my prowadzimy w mediach społecznościowych wojenki sami ze sobą. Czy tym wszystkim steruje jakaś niewidzialna ręka? Może (śmiech). To skomplikowane. Ale powtórzę, że nie chcę, aby **Primordial** był moją tubą światopoglądową. To nie jest zespół polityczny, aktywistyczny. Piszę o męczennictwie bojowników o wolność i tragedii buntów skazanych na niepowodzenie, a więc czymś uniwersalnym, rezonującym z ludźmi lewicy i prawicy, Europejczykami i nie tylko. Każdy, komu droga jest wolność, znajdzie na tym albumie coś sobie bliskiego.

Foto: Fergal Flannery

Nasz czas dobiega końca, ale pozwól, że zadam ci ostatnie pytanie, które wyrasta bezpośrednio z tego, co powiedziałeś. Otóż od pewnego czasu prowadzisz swój własny podcast, "Agitators Anonymous", który choć był odpowiedzią na lockdown, to wciąż ma się dobrze. Jak rozumiem, zapewnia ci on dodatkową formę ekspresji?

Tak, chciałem po prostu dzielić się swoimi przemyśleniami ze słuchaczami. W podcaście poruszam tematy historyczne i kulturowe, wyrażam opinie nieobecne w mediach głównego nurtu. Zrodził się on w odpowiedzi na działania niektórych przedstawicieli sceny metalowej w trakcie pandemii. Wiesz, dawno temu muzycy, artyści rozliczali władzę, głosili niewygodną prawdę, a tymczasem obecnie wielu o tym zapomniało. Jeżeli jesteś po tej samej stronie, co oligarchowie, skorumpowani politycy i przemysł zbrojeniowy, a więc ludzie, którzy mają cię gdzieś, to chyba powinieneś przemyśleć swoje stanowisko wobec kultury i polityki. "**Agitators Anonymous**" jest moją skromną próbą powrotu do buntowniczego dziedzictwa artystów. Jestem sceptykiem i wierzę w odcienie szarości. Do mediów głównego nurtu przebijają się tylko głosy skrajne, a tymczasem prawda jest skomplikowana i zawsze leży gdzieś pośrodku. Nie boję się stawiania trudnych pytań i wyrażania niepopularnych poglądów, może na temat historii Afganistanu, a może życia Aleistera Crowleya. Oczywiście w Internecie nie brak takich, którzy odsądzają mnie od czci i wiary, chociaż nie wysłuchali nawet minuty mojego podcastu. Nagrałem ponad 180 odcinków, łatwo więc zweryfikować, co powiedziałem, a czego nie. Ale cóż, w takim to żyjemy świecie. W każdym razie, miło mi, że podcast spotkał się z odzewem. Przynosi mi on frajdę, daje satysfakcję i gdyby jeszcze mógł opłacić mój czynsz, to byłoby świetnie (śmiech). Nie chcę jednak udawać prezentera telewizyjnego, ani uginać karku przed algorytmem YouTube'a, więc mój zasięg jest ograniczony. Mimo to zapraszam wszystkich zainteresowanych. Nowe odcinki wychodzą w piątki w południe.

Adam Nowakowski

MUSTANG

Portal czasoprzestrzeni

W ciągu ostatnich dwóch, trzech lat coraz częściej trafiają mi się intrygujące albumy młodych kapel z Indii. Mustang jest kolejną kapelą znad Gangesu, której warto się przyjrzeć. Dlaczego? Posłuchajcie sobie ich debiutu "Beyond Raging Thunder".

HMP: Powiedz mi proszę, jakie to uczucie trzymać w ręku kopię swojej debiutanckiej płyty?
Arijit "Piercer" Dutta: To niesamowite uczucie w końcu trzymać fizyczną kopię albumu "**Beyond Raging Thunder**", na który tak ciężko pracowaliśmy. Utwierdziło nas to w przekonaniu, że to wszystko ma sens. Z całego serca dziękujemy **Dave'owi** z **Fighter Records**, który dotrzymał słowa, wykazał się wyjątkowym profesjonalizmem oraz zapewnił wszelką pomoc i wsparcie, jakiego potrzebuje nowy zespół. W większości wszystkie utwory, które usłyszysz na "**Beyond Raging Thunder**" są nowe z wyjątkiem "***Terror Striker***". Tak się składa, że jest to nasz pierwszy singiel, który wydaliśmy w 2018 roku.

Jednym z utworów na płycie jest cover tytułowego utworu z albumu "Ram it Down" wiadomo kogo. Myślę, że jest to najbardziej niedoceniany album tego zespołu. Zgadzasz się ze mną?
"**Ram It Down**" to świetny album. Ma wszystkie składniki doskonałej heavy/speed metalowej płyty. Utwory takie jak "***Ram It Down***", "***Heavy Metal***", "***Come and Get it***" i oczywiście mrożący krew w żyłach "***Blood Red Skies***" są moimi ulubionymi z tego albumu. Ludzie często pomijają ten album i przeskakują od razu do "***Painkillera***", ale myślę, że jest to płyta, od której **Priest** rozpoczął kolejny etap swojej ewolucji.

Widzę, że bardzo lubisz Judas Priest. Utwór "Realm of Madness" przypomina mi ich twórczość z lat siedemdziesiątych.
Uwielbiam lata siedemdziesiąte i wczesne osiemdziesiąte. Mam fioła na punkcie takich zespołów jak **Uriah Heep**, **Thin Lizzy**, wczesne **Judas Priest**, wczesne **Scorpions** (era Uli Rotha) itd. Oprócz tego jest wiele zespołów, które wywarły na nas bardzo silny wpływ. Zespoły takie jak **Mercyful Fate**, **Agent Steel**, **Crimson Glory**, **Manilla Road** to tylko kilka z nich. Wszyscy po prostu kochamy stary heavy metal i klasykę.

Jak powstał ten charakterystyczny wstęp do wspomnianego "Realm of Madness"?
Ten utwór został napisany przez naszego gitarzystę - **Scorchera**, gdy był w liceum. Pewnego dnia po dołączeniu do zespołu zagrał mi tę melodię, a ja natychmiast ją pokochałem i powiedziałem mu: "*dopiszmy do tego tekst i nagrajmy to*". Tak więc **Scorcher** jest autorem intro i całego utworu.

"Queen of the Red Light" jest poniekąd Charlotte Harlott i 22 Acacia Avenue. Co zafascynowało cię w historii Charlotte?
Przyznam się, że zawsze fascynowały mnie prostytutki. Do tego stopnia, że po prostu musiałem napisać o nich piosenkę. Zazwyczaj są to kobiety bardzo intrygujące i tajemnicze. Chciałemm przedstawić zarówno ciemne, jak i przyjemne strony ich profesji. To jest powód, dla którego pokochałem Charlotte i złożyłem jej hołd w postaci utworu "***Queen of Red Light***".

Wasze logo zostało zaprojektowane przez byłego basistę Subhadeepa Sarkara. Czy jest on profesjonalnym grafikiem?
Nie, nie jest profesjonalnym grafikiem, ale ma świetny gust (śmiech).

Odnosząc się do okładki albumu, skąd właściwie wyskakuje ten rumak?
Ten koń wychodzi z portalu, który przenosi w czasie oraz w przestrzeni. Ma to metaforyczne znaczenie, gdyż jesteśmy w 2023 roku, ale wykonujemy styl muzyczny, który był bardzo popularny w latach osiemdziesiątych.

Twoje teksty są pełne odniesień do świata magii. Czy masz jakieś konkretne źródła inspiracji? Co jest najbardziej fascynującą częścią świata, który stworzyłeś?
Uwielbiam pisać na każdy możliwy temat, który wykracza poza naszą wyobraźnię. Więc jeśli przyjrzysz się uważnie, zobaczysz, że moje teksty opowiadają o niestabilnym psychicznie facecie, który jest na skraju utraty zdrowia psychicznego ("Realm of Madness"), o prostytutce ("Queen of Red Light"), o człowieku szukającym sensu życia ("Saphire"), oraz ataku obcych na Ziemię ("Cosmic Rage"). Nie jesteśmy zatem kapelą monotematyczną.

Indie to bardzo rozległy kraj. Czy nie było to problemem logistycznym podczas organizowania trasy?
Oczywiście, że tak i to nie dlatego, że to bardzo duży kraj. To dlatego, że w Indiach jest bardzo mało miejsc, w których istnieje scena metalowa, a odległości między tymi miejscami są ogromne. Na przykład jedno miasto znajduje się na południu Indii, a inne na skrajnym północnym wschodzie. Więc jest to bardzo trudna trasa. Jeśli jedziesz pociągiem lub autem, to taka podróż zajmuje nawet 2-3 dni. Przy naszym budżecie podróżowanie samolotem póki co odpada.

Pozostając w temacie, czy takiemu zespołowi jak wy trudno jest zorganizować koncert w Indiach?
Podziemie metalowe istnieje u nas każdym większym mieście. Organizujemy więc własne imprezy i choć nie są to duże festiwale, to pewną popularnością się one cieszą. Odbywa się również kilka dużych festiwali, a największym z nich jest **Bangalore Open Air**, który jest czymś w rodzaju odnogi niemieckiego **Wacken Open Air**. W tym roku były takie zespoły jak **Kreator**, **Decapitated**, **Burning Witches**, **Watain**, **In Flames** itd. Jest to więc obecnie największy festiwal metalowy w Indiach.

Waszym pierwszym zagranicznym występem był Thrashmandu 2 w Nepalu. Może najwyższy czas odwiedzić Europę?
Zawsze marzyłem o występie w Europie. Można powiedzieć, że to jedno z moich największych marzeń. Naprawdę nie możemy się doczekać występu w Europie. Większość naszych słuchaczy stamtąd pochodzi. Myślę, że ten dzień nadejdzie prędzej czy później.

Kiedy widzę słowa Indie i metal razem, moim pierwszym skojarzeniem jest Kryptos. Czy Mustang będzie kolejnym indyjskim zespołem, który podbije świat?
Kryptos jest z pewnością największym zespołem heavy metalowym pochodzącym z Indii i odnoszącym największe sukcesy. Jeśli chodzi o twoje pytanie, czy zdobędziemy popularność, czy nie… Cóż, już zostaliśmy zauważeni przez zagraniczną publiczność. Osobiście wierzę w jedną rzecz, że to, co człowiek może zrobić, to dać z siebie wszystko podczas wykonywania pracy i pozostać wiernym sobie i swoim celom. Rezultat jest poza jego zasięgiem. Będziemy więc nadal robić to, co wychodzi najlepiej, czyli pisać muzykę i dawać publiczności dobre show. Reszta rzeczy nie jest poza naszą kontrolą.

Pozostaje mi tylko podziękować za rozmowę.
Dziękuję za możliwość udzielenia wspaniałego wywiadu. To zaszczyt. Pamiętajcie, że macie tylko jedno życie, więc zrób coś, co zostanie zapamiętane po tym, jak opuścisz tę ziemię. Nie bójcie się marzyć o wielkich rzeczach, miejcie wiarę, walczcie i nigdy się nie poddawajcie!

Bartek Kuczak

GAMA RECORDS

Wiele nut zostało już odegranych w olbrzymim metalowym uniwersum. Chyba każda możliwa kombinacja tych kilku podstawowych dźwięków. Na szybko i na wolno, w otoczce mrocznej lub bardziej na wesoło. Ten, kto od początku śledzi "*cały ten zgiełk*" ma pełniejszy obraz odróżnienia, tego co "*już kiedyś było*" od "*odgrzewanego kotleta*". Nowicjusz, który nie znając "*koła historii*" (a te co rusz od nowa zatacza swoje cykle) i "*sinusoidy trendów*" pomyśli, że to właśnie on żyje w ciekawych czasach, a tymczasem w historii... "*wszystko już było*". Jednak czy można "*czepiać*" się dziecka za to, że cieszy się słońcem, swoim "*tu i teraz*", zamiast razem z dorosłymi zamartwiać się ukazywaną w telewizorze sytuacją na jakimś "*środkowym Pacyfiku*" czy innym "*bliskim wschodzie*" - bo tak zasugerowała "*pani z wiadomości*" swoim dramatycznym tonem. Czasem życie w nieświadomości błogosławieństwem bywa...

Nie można powiedzieć, że we wspomnianym uniwersum zawsze "*wszystko już było*"! Upomniał mnie ostatnio człowiek, fan metalu, czytający serię "**Metalowiec gawędziarz**", że nadużywam tego zwrotu, a przecież - jak kontynuował swoją ripostę - we wczesnych latach 80-tych tak dużo jeszcze "*nie było*" i wcale tak wiele nie zostało wtedy jeszcze powiedziane na temat ostrego grania. Tym bardziej - napomknął - wytwórnia **Gama** wydawała po prostu dobre zespoły w nurcie w jakim się wtedy grało - "*a, że Ty poznajesz niektóre z nich dopiero dzisiaj, po trzydziestu latach od ich oryginalnego wydania*", to musisz się z tym pogodzić. Kiedy jednak oni nagrywali swoje płyty, to "*tego jeszcze nie było*". Przynajmniej nie w takiej ilości - dodam. Tak czy siak, Czytelnikowi muszę przyznać rację - zobaczcie jak wiele wnosi w dyskusję obcy niezależny "*głos*" - warto swoje tezy skonfrontować z innym "*myślicielem metalu*", by nie zejść na manowce "*autobezkrytycyzmu*" a w konsekwencji wysnuć teorie rozmijające się z prawdą dziejów.

***

To teraz kolejna teza... W karierze niektórych powszechnie cenionych zespołów metalowych pojawiają się takie etapy twórczości, które przez ich najgorliwszych fanów są ledwo tolerowane, przyjmowane jako zło konieczne, tudzież jako wypadek przy pracy a czasem uważane wręcz za jakąś zdradę! Płyta "**Cold Lake**" **Celtic Frost** czy okres **Black Sabbath** bez **Ozziego**, czy **Rainbow** po odejściu **Ronniego Jamesa Dio**. Moim zdaniem, były to po prostu kolejne wspaniałe rozdziały twórczości tych grup, ale nie każdy tak uważa. W końcu tego co **Metallica** nagrała po "**Black Album**" i ja sam nie uważam (może jeszcze nie dorosłem...).

W sztuce im "*głodniej i chłodniej*", tym jest ona prawdziwsza. Jak słusznie apelował niegdyś **Dee Snider** - paradując z nadgryzionym udźcem w przebraniu przerośniętego transwestyty-ludojada: "**Stay Hungry**"!

Nierzadko zespoły, które pospadały z "*pudła*" (używając terminologii sportowej) czyli przestały "*załapywać się*" na listy przebojów, odnalazły się na nowo i w zgodzie z samym sobą dalej tworzyły ponadczasowe albumy. To nie zawsze pokrywało się z gustami "*starych*" fanów, którzy w owczym pędzie krzyczeli jedynie, na wzór kibiców sportowych: szybciej, mocniej, ostrzej. Przyznam, że potrafię postawić się w każdej z tych sytuacji, bo jak wielu z Nas, byłem i tu i tu. Nie sugeruję też schematycznie postrzeganego rozwoju, że najpierw była rozczochrana "*gupia małpa*" (fan słuchający "pierwotnego" metalu) a na końcu człowiek w garniturze i pod krawatem z włosami spiętymi w kucyk (metal ambitny - cokolwiek to znaczy). W metalu ten schemat na szczęście nie działa, bo bez pierwiastka "*małpoluda z maczugą*" nie zadziała nawet najbardziej techniczny metal. Graficzny wykres rozwoju słuchacza metalu byłby chyba nieco bardziej skomplikowany i nieprzewidywalny niż nudna prosta; to sinusoidy i cykle zataczające coraz szersze orbity a na końcu coś przypominającego "*gwiazdę południa*" czyli pentagram. Idąc dalej, patrząc szerzej i kończąc już ten wywód: żadna muzyka nie utrzyma się bez jednego czynnika, a mianowicie: szczerości. Moim zdaniem tego właśnie brakuje w owej "*późniejszej*" twórczości Metallica, której się tak czepiam, ale to przecież od Wielkich oczekiwać się powinno "*czegoś więcej*", ale i na setkach innych "*wybrakowanych*" płyt, nagranych na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat; każdemu zdarzyło się, w takie coś wdepnąć i doświadczyć braku "*tego czegoś*".

Szczerości na pewno nie zabrakło we wspomnianych na początku "*opuszczonych przez główny nurt fanów*" płytach **Black Sabbath**, **Rainbow** czy na "**Cold Lake**". Jak dla mnie, te "*niechciane*" płyty to po prostu kolejne wspaniałe rozdziały... wielkiej metalowej księgi, która o ile korzeniami sięga okolic roku 1970 to, (dziękować za to - kto tam komu chce) jej końca nie widać. A jednak... czyżby? Dziś, kiedy na horyzoncie pojawia się sztuczna inteligencja (Ai) i ostrzy swoje silikonowe zęby na odebranie ludzkim artystom kolejnych dziedzin sztuki, kto wie czy za kilka lat nie utoniemy pod lawiną wygenerowanych w jedną sekundę po kliknięciu enter całych albumów. Algorytm wymyśli nazwę grupy i tak zmyślnie "*przetasuje*" najczęściej przewijające się słowa (death, blood, gore, dead) a nawet całe zwroty (ashes to ashes, dust to dust) że w tej samej sekundzie co muzyka, powstaną też tytuły, teksty no i cała gotowa płyta. Okładki już dziś są w ten sposób generowane, tak jak i twarze ludzkie - osób nigdy nie istniejących na przykład na stronie www.thispersondoesnotexist.com - gdzie każde odświeżenie ekranu to: "*nowa twarz nieistniejącego człowieka w sekundę*"! Można je sobie do

woli generować i potem używać - czy to na profilu mediów społecznościowych czy hurtowo jako żałobne listy rzekomych ofiar wojen - na których jak obserwujemy nie ma rannych a jedynie trupy.

Wracając do muzyki... to moim ostatnio ulubionym nurtem w metalu jest podążanie przez zespoły "*wąskimi uliczkami*" stylu, który pojawił się tylko na jednej płycie innego klasycznego zespołu, czy to przez przypadek, czy jako zamierzony eksperyment - swoisty muzyczny spin-off za sprawą brzmienia, techniki gry i klimatu. Taką płytą jest death-metalowa "**Infernum In Terra**" (2015) polskiej grupy **Betrayer**, która jest świetną kontynuacją "**Blessed Are The Sick**" **Morbid Angel**. Taką płytą nagrali inni amerykańscy death metalowcy **Gruesome**, oddając swoim album "**Twisted Prayers**" z roku 2018 hołd płycie **Death** "**Spiritual Healing**". Takim nurtem podąża zespół **Det Gamle** z Bytomia, kontynuując styl *Kat* z najlepszych lat twórczości tego zespołu - wychodzi im to świetnie! Trzeba tu mocno zaznaczyć, że zjawisko, które opisuje nie ma nic do czynienia z również występująca dzisiaj bardzo powszechnie "*epigonią*". ("Epigon - osoba, która w sposób pozbawiony oryginalności naśladuje styl tworzącego wcześniej artysty lub nieaktualny prąd artystyczny bądź intelektualny", definicja z wsjp.pl). Każdy z wymienionych wcześniej zespołów robi to w swój autorski i artystyczny sposób.

Metalowy spin-off, jak w wielkim skrócie myślowym określam ten nurt, to też nie jest wymysł ostatnich lat. Druga płyta szwajcarskiego zespołu **Sergeant** pod tytułem "**Streetwise**" (1986) oddaje (w sposób zamierzony lub nie) hołd późnemu obliczu grupy **Rainbow** (z wokalistą Joe Lynn Turnerem). Dla przypomnienia "*późny Rainbow*" to aż trzy albumy spośród siedmiu najważniejszych dużych płyt **Rainbow** - to te wydane w latach 80. - jak dla mnie najlepsze. Szwajcarskie **Sergeant** jest o tyle lepszy, że na jego "*dwójce*" każdy utwór jest hitem, podczas kiedy "*Późnym Rainbołom*" się one tylko przytrafiały.

O samym zespole **Sergeant** nie miałem pojęcia dopóki nie zabrałem się za książkę o **Gama Records**. W internecie mało jest również informacji o **Steve Whitney Band** - prekursorze, a potem, po ich rozpadzie, także następcy **Sergeant** (pierwszy utwór na debiucie Sergeant to przerobiony utwór SWB). W moich poszukiwaniach "*domniemanego lidera*" z nazwy grupy, to jest: **Steve'a Whitneya**, dotarłem do ciekawostki: otóż **Steve Whitney** okazał się postacią wirtualną i powstał ze zlepku dwóch ksywek ojców założycieli: **Rolfa** "**Steve'a**" **Schulpa** oraz **Christiana** "**Whitney'a**" **Wiedemeiera** - ludzi z **Sergeant**.

Muzycznie "*jedynka*" **Sergeant** to okolice innych szwajcarskich czy szwedzkich grup **Krokus**, **Europe**. Hard rock i AOR z klawiszami. Trudno tu coś zróżnicować, wyodrębnić, do tego wszystkiego dochodzą "*zachowawcze*" i bardzo "*w konwencji*" teksty, ale ta spójność stylistyczna i brzmieniowa obu płyt stanowi chyba o sile tego materiału. Całość elegancko zmielona i doprawiona wchodzi jak dobra niemiecka kiełbaska - bez żył, ścięgien i innych niespodzianek. I trudno byłoby tu coś więcej pisać i wykazywać się "*kronikarstwem kreatywnym*", gdyby nie moje odkrycie trzech wideoklipów **Sergeant**. Wszystkie trzy do utworów z płyty "**Streetwise**". Na marginesie, jak dla mnie, okładka tego albumu to istna "*żyleta*" w połączeniu z tytułem płyty, który to przymiotnik oznacza coś pomiędzy "*mądry wiedzą uliczną*" a "*uzdolniony adaptacyjnie*", żeby nie rzec po prostu "*cwany*". Do tego bohaterką okładki jest "dobrze ubrana" kobieta, drogi klasyczny samochód i być może ten przymiotnik dotyczy jej właśnie... Opowieść układa sie sama, a muzyka to jakby ścieżka dźwiękowa do tej nieco komiksowej ilustracji w stylu "*lata 20./ lata 30.*". Wracając do teledysku w reżyserii **Mario Abatiego** (można go obejrzeć na YouTube: "Sergeant Lonely Nights", kanał - "Kevin Burchett"), to mamy tu klasyczny scenariusz rodem z kina akcji. Do sklepu z płytami i kasetami VHS w małym szwajcarskim miasteczku wchodzi niepozornie wyglądająca para, proszą o video-kasetę **Sergeant** a kiedy sprzedawca podaje towar, ci wyjmują rewolwery, zawłaszczają taśmę i uciekają. Sklepikarz dzwoni po pomoc do grupy operacyjnej **Sergeant**! Rozpoczyna się interwencja, samochód na sygnale, helikopter, akcja przenosi się nawet na zaśnieżone szczyty szwajcarskich gór. Sami obejrzyjcie jak kończy się ta historia. Na video zobaczyć możemy muzyków **Sergeant** i lata 80. w Szwajcarii. Dla kopaczy staroci i heavy-metalowych "*błyskotek*" - bezcenne. Drugi wideoklip* "***Living in a Fast Lane***" (Życie na szybkim pasie) to typowe zarejestrowane studyjnie odegranie utworu na żywo, wizja i fonia plus kolorofony dla bardziej wymagających widzów szwajcarskiej "*telewizji obiadowej*". Trzeci teledysk* jest do kawałka "***Movin'***", nakręcony jeszcze bardziej profesjonalnie. Jak dla mnie za dużo jest w nim marynarek i obnoszenia się z klawiszami, co jakoś odziera moje złudzenia, że jest to wciąż heavy metal (bardzo chciałem w to wierzyć). Po prawdzie **Sergeant** to hard rock i AOR, ale muzyka w ogóle dzieli się przecież tylko na dobrą i złą. (* Do obejrzenia na kanale YT "kenji libra").

RK

Zelazna Klasyka

Savatage - Streets: A Rock Opera

1991 Atlantic

Niejeden raz słyszałem już pytanie: "*co ty widzisz w tej swojej muzyce?*", hałas, jazgot, jakieś wrzaski i nawet nie można zrozumieć o czym śpiewają. O ile kwestie muzyczne zostawię na boku to z zarzutami o teksty muszę się zgodzić. Nawet dodam, że nie mam pojęcia o czym jest większość piosenek, które znam. Teksty od zawsze są dla mnie tylko dodatkiem do muzycznej przygody. Jednocześnie uwielbiam wsłuchiwać się w linie wokalu, jego ton preferując czyste, czytelne wokalizy niż skrzek czy growl. Zdecydowanie większość tekstów w muzyce metalowej jest infantylna lub głupia. Spora część łączy oba te elementy. Gdyby brać na serio to o czym muzycy śpiewają trzeba by samemu wypisać sobie skierowanie do szpitala psychiatrycznego i na pewno bym nie lubił **Manowara**.

Są oczywiście zespoły, które mają coś do przekazania i siłą się na ambitniejsze wersety, a recenzenci zachwycają się przesłaniem. Ja jakoś zawsze pozostawałem obojętny na ten aspekt. Pisząc te słowa odpaliłem "**Operation: Mindcrime**" uważany za ambitny projekt albumu koncepcyjnego w warstwie lirycznej. Uwielbiam tę płytę **Queensryche**, w skali 10-stopniowej ma zapewnioną 10. Znam na pamięć układ utworów i aranżację, przy czym nie mam pojęcia o czym jest ta historia. Słuchałem jej dziesiątki razy, może setki i nigdy nie zaintrygowała mnie na tyle by wejść nie tylko w muzykę, ale również w opowieść. Bardzo przystępne i angażujące lirycznie są horrory stworzone przez **Kinga Diamonda**. Niemniej to tylko sprawne opowiastki bez głębszej refleksji. To takie historie, które wciągają, ale w mojej głowie na dłużej nie zostają.

Na te wszystkie tysiące płyt z którymi zapoznałem się lepiej lub gorzej tylko jeden album wciągnął mnie tak mocno, że poświęciłem mnóstwo czasu na próbę zrozumienia o czym jest. Gdy w 2017 zmarł **Paul O'Neill** byłem załamany. Nie wszystkie płyty współtworzone przez tego producenta są w moim odczuciu jednak wybitne. Większość płyt **Trans-Siberia Orchestra** uważam za przekombinowane i zbyt rozwleczone by nawet wrzucić je na prywatną listę zakupową. O ile za najsprawniejszego producenta muzycznego uznaję od zawsze **Martina Birch**a (głównie: Deep Purple, Rainbow, Black Sabbath, Iron Maiden), to niekwestionowanym i niedoścignionym wizjonerem chyba już na zawsze pozostanie dla mnie **Paul O'Neill**. **Savatage** był, gdyż niestety pomimo najszczerszych chęci nie mogę napisać "jest", zespołem wyjątkowym. Pełniący główną rolę w zespole bracia **O'Neil** mieli dość duże parcie na osiągnięcie sukcesu. W starych wywiadach czy analizach tekstów można się doszukać wzmianek, że czuli się niedostatecznie docenieni - zwłaszcza komercyjnie. O ile pierwsze dwie płyty należy uznać za rewelacyjne, ale niestety lekko zapomniane, tak trzecia okazała się ślepym zaułkiem w drodze ku sławie. Czwarta jako pierwsza stworzona we współpracy ze wspominanym producentem to już skończone arcydzieło.

Paul O'Neil pomógł wznieść się na wyżyny duetowi braci. Uwypuklił talent wokalny **Jona** oraz umiejętności gry na gitarze **Chrisa**. Całość została bardzo dobrze wyprodukowana z odpowiednim uwzględnieniem również sekcji rytmicznej. Podczas prac nad kolejną płytą **Chris** znalazł w mieszkaniu **Paula** skrypt sztuki napisanej przez producenta z myślą o wystawieniu jej na Brodwayu zatytułowanej "**Gutter Ballet**". Braciom tak spodobał się zarys historii, że na jej podstawie stworzyli utwór "***When the Crowds Are Gone***" oraz wykorzystali tytuł sztuki jako tytuł płyty. Chyba czas skończyć już wstęp opisujący drogę do powstania, moim zdaniem, jednej z najambitniejszej płyty w historii muzyki.

"**Streets: A Rock Opera**" nie jest dziełem dającym się łatwo zaszufladkować. Nie jest to płyta po prostu metalowa. Na pewno jak na dzisiejsze standardy jest zbyt grzeczna, lekka. Można powiedzieć, wręcz rozwleczona. Jednak jej trzonem ciągle są świetne metalowe riffy i w 1991 można było włożyć ją w metalowy katalog wydawniczy. Płyta w wielu recenzjach wywołuje dość skrajne opinie, jak na dzieło wybitne przystało. Skłania do analiz, refleksji czego najlepszym przykładem jest moja próba zebrania o niej myśli po jakiś 20 latach od zakupu.

Szósty album **Savatage** pochłonął mnie totalnie w swojej historii. Kupiłem w ciemno (brak znajomych posiadających płytę czy jej brak w lokalnych sklepach uniemożliwiał zapoznanie się przed zakupem) wtedy świeżą reedycję z dość obszernym opisem historii powstawania oraz szczątkowym samej opowieści. Słuchając jej raz za razem w 2003r., kiedy nie miałem jeszcze stałego łącza internetowego, siedziałem na łóżku ze wzrokiem wtopionym w książeczkę by zrozumieć jak/po co "***Jesus Saves***". Żaden inny booklet nie był tak często wyciągany z pudełka jak ten. Pomimo, że uwielbiam słuchać płyt z fizycznego nośnika, a streamingi uważam za półśrodek i zło wcielone, to nie wszystkie swoje płyty traktuję z takim namaszczeniem jak "**Streets**".

Ograniczony budżet, miesiące spędzone w studio, dążenie do perfekcji mogły przynieść zarówno sztampę jak i arcydzieło. Powiem więcej, taki jest dokładnie odbiór tej płyty. Część pada przed nią na kolana, a część nie jest w stanie przebrnąć przez istny miks doznań i środków przekazu uznając ją za zbyt niekonsekwentną w wyrazie. Ostre, speedowe czy też powerowe w amerykańskim stylu riffy mieszają się z delikatnymi dźwiękami pianina. Pełen wściekłości i szaleństwa śpiew współgra (lub walczy) z nastrojowym pełnym pasji i zadumy. Na płycie może momentami brakować sprawnej sekcji rytmicznej. Duet **Middleton/Wacholz** niestety poszedł w odstawkę przez przeciągającą się sesję nagraniową. Obaj muzycy mogą się wykazać, są wyraźnie zarysowani w kluczowych momentach, ale często główną rolę przejmuje tylko gitara, pianino i wokal. Dla mnie to nie problem, gdyż **Jon** zajmuje czwarte miejsce na mojej liście ulubionych wokalistów, a ta płyta to jego dzieło życia. Wchodząc w rolę postaci jest przejmujący, prawdziwie chwytający za serce. On nie tylko śpiewa, on odgrywa zupełnie inną rolę. Część osób doszukuje się analogii w życiorysie wokalisty i fikcyjnego głównego bohatera, może dlatego ten śpiew jak tak prawdziwie przejmujący. Niemniej niedobór mięcha na pewno skreśli ten album z listy zainteresowań wielu osób.

Ta płyta jest oczywiście naznaczona tragedią jaka miała spotkać niedługo **Crisa**. **Jon** rezygnując po niej tymczasowo ze śpiewania nie mógł wiedzieć, że to ostatni album nagrany razem z bratem. Gitarzysta jeszcze zachwycał na kolejnej "**Edge of Thorns**" z **Zakiem** na wokalu, by zginąć tragicznie w wieku raptem 30 lat. Dzięki talentowi i ciężkiej pracy zyskał oczywiście nieśmiertelność, ale takich dzieł chciałoby się otrzymywać więcej. O ile gitarowo "**Streets**" nie dorównuje "**Hall of the Mountain King**" i tak zawiera zapadające w pamięć riffy, majestatyczne solówki i przeróżne wstawki/zagrywki, których można słuchać bez końca. Większy nacisk został w produkcji został położony na opowiedzenie historii niż na spektrum instrumentów. To ona pełni siłę napędową, a umiejętności muzyków mają podkreślać wydźwięk emocjonalny.

Narratorem opowieści jest przypadkowy nowojorczyk snujący opowieść o swoim znajomym z przeszłości. Znajomym, który przeszedł długą i trudną drogę od biednego chłopa do gwiazdy sceny. Gwiazdy, która jaśniała mocno, ale skrywała mrok własnych demonów. Zachwyt nad własnym sukcesem rzucił głównego bohatera w pułapkę narkotycznej samotności. Tracąc powoli zdrowe zmysły odnalazł ratunek w muzyce wracając z martwych do grania na scenie. Niestety demony tak łatwo nie dają o sobie zapomnieć doprowadzając pośrednio do śmierci jego przyjaciela. Szukając odpowiedzi

na pytania o sens tego wszystkiego bohater przemierza ulice Nowego Yorku, nie znajdując ani tam ani w Bogu odpowiedzi na swoje wątpliwości zaczyna analizować nie tylko sens własnej egzystencji, jak i również tego co widzi w swoim otoczeniu. Zniechęcony, opuszczony i załamany psychicznie kolejny raz zatraca się w narkotycznym seansie. W finale opowieści spotyka bezdomnego, samotnego, umierającego człowieka. Pomimo odrazy jaką czują dla niego wszyscy inni sam postanawia towarzyszyć mu w ostatnich chwilach. Dokonując tego aktu miłosierdzia, sam doznaje objawienia i spokoju swojej duszy. Nabiera przeświadczenia, że nigdy nie jest za późno na ratunek. Każdy zasługuje na drugą i kolejną szansę, niezależnie od swoich czynów. Oczywiście nie wystarczy po prostu stwierdzić ok już taki nie będę i wszyscy mu wszystko wybaczą. Wyrządzone zło już nigdy nie zniknie, będzie tliło się w jego sercu, prześladowało, męczyło i ciężyło. Jednakże to co było nie przesądza tego co będzie. Przyszłość ma przynosić nadzieję, spokój i zbawienie.

Kiedy kupowałem płytę we wstępie zostało wspominane, że różne wersje poszczególnych utworów zaginęły gdzieś w archiwach wydawcy. Muzycy wyrażali nadzieję, że kiedyś uda się odzyskać chociaż narracje, które zostały nagrane, ale nie umieszczone na pierwszej wersji płyty. Niestety ograniczenia trwania fizycznego nośnika wymogły duże cięcia w opowieści, sporo materiału poszło w odstawkę - co ciekawe część z tego materiału wróciła na kolejnych wydawnictwach jako fragmenty nowych utworów. Po latach przeszukiwań starych taśm udało się odzyskać naprawdę dużo treści i wydać na wznowieniu z 2013r. Wersja zatytułowana **Savatage** "**Streets A Rock Opera Narrated Version**" zawiera zupełnie inna wersja utworu "***Jesus Saves***". Oficjalnie to odzyskana, utrzymana w klimacie gospel jest wersją podstawową, a metalowa z pierwszego wydania wersją alternatywną. Która jest lepsza nie stwierdzę. Kocham obie. Dodatkowo zgodnie z nowym podtytułem na tym wznowieniu utwory są poprzeplatane narracjami ułatwiającymi poruszanie się po opowieści. Wszystkie wstawki narratora mają żywy podkład nagrany na ulicach NY, także czuć serce tego miasta. Niby ta sama płyta, a jakże inna w odbiorze.

Nad tym wszystkim góruje fenomenalny "***Belive***" kończący płytę. Cudowne aranżacje, wyżyny możliwości wokalnych **Jona** dały piorunujący efekt. Słuchałem tej kompozycji co najmniej setki razy. Ciary mam zawsze. To nie tylko najlepszy utwór jaki skomponował **Savatage**, ale jeden z najwspanialszych utworów w historii. Oczywiście nie można wszystkich utworów porównywać ze sobą, bo nie są porównywalne, ale nie wyobrażam sobie prywatnego top 10 bez tej kompozycji. Tak jak nie słucham pojedynczych utworów, to jest jeden z nielicznych, który w różnych sytuacjach życiowych przynosił mi spokój i ukojenie.

Łukasz Ragnus

Historia Quo Vadis 666 opowieści Tomasz "Skaya" Skuza

No to się stara gwardia doczekała... Może to jeszcze nie wysyp, ale parenaście pozycji książkowych traktujących o polskich zamierzchłych czasach metalowych lub zespołach powstających w tamtej epoce, można już w swojej biblioteczce mieć. Moda? Nie sądzę. Raczej potrzeba. I wcale nie w mainstreamowych ilościach, ale tyle, żeby zaspokoić apetyt fanów, którzy nie tylko z rozrzewnieniem wspominają, ale i dalej - na bieżąco "*są w temacie*".

Tym razem dostajemy **Quo Vadis**, który przecież od 1988 nieprzerwanie gra, bez rozpadów, przerw i powrotów. Robią swoje w głębszym lub płytszym undergroundzie pod dowództwem **Skayi** i chyba nie ma "*Metalucha*", który przynajmniej raz nie byłby na ich koncercie, nie posiadł którejś z kaset, płyt, czy w ostateczności, któremu ani razu nie obiła się o uszy nazwa zespołu....

Trochę inna to książka niż te, które czytamy zazwyczaj w ramach biografii kapeli. Rzecz w chronologii. Występuje ona, a w poszczególnych rozdziałach historia pisana jest od nowa, ale pod innym aspektem. Mamy tu rozdziały o płytach, o ludziach, koncertach czy konkretnych wydarzeniach, są również instrumenty i wspomnienia z nimi związane. Wszystko spisane przez **Skayę**, a kto człowieka zna, wie, że wesoły gość, więc czyta się to bardzo na luzie (mimo, że nie wszystkie historie są do końca wesołe). Szacun za "*wizytówki*" każdego z muzyków, nawet tych którzy nie zagrzali w zespole zbyt długiego czasu, oraz za przedstawienie paru osób związanych z zespołem, które miejscami pomagały budować jego historię, czy były w jakiś sposób pomocne. Na pewno jest to pozytywnie zauważalne a nieczęsto mamy do czynienia z taką sytuacją w "*odpowiednikach*" innych kapel. Koncepcyjnie książkę odbierając, przychodzi porównanie do wydawanych kiedyś książeczek z dowcipami - w każdej chwili można było taką odłożyć, by za jakiś czas otworzyć na przypadkowej stronie i jechać dalej. Problem z "*jakimś czasem*" jest taki, że książka bardzo wciąga. Język jest "*mówiony*", a więc czyta się to, jakby słuchało się autora na żywo. Zresztą do książki dodany jest audiobook (płyta CD) - czyta sam **Skaya**. Inne porównanie tego "*zbioru opowiadań*" to udana impreza przy stole; pełna anegdot, dobrej zabawy - tudzież zdarzy się i "*suchar*" na zagryzkę - jako wyjątek potwierdzający regułę! Z dodatków mamy też gadżet - okolicznościową kostkę gitarową. Niegrający mogą jej użyć jako zakładki. Kilka słów o samym wydaniu. To, co wszyscy chyba lubią, czy to w booklecie CD, czy LP - to duża ilość zdjęć. Nie tylko kolorowe "*wkładki*", ale i sporo czarno-białych - przeplatających treść. Spośród tych drugich kilka jest "*wątpliwej*" rozdzielczości, podkreślających reporterski charakter owych ilustracji, czasem uchwyconych chyba "*komórką z lat 90-tych*" w "*czasie rzeczywistym*". Zdjęcia tym cenniejsze, że unikatowe. Podsumowując, mamy tu treść nie tylko "*werbalną*", ale i "*wizualną*", a atrakcje organoleptyczne urozmaicają odbiór - twarda okładka i złote tłoczone litery, jak podawał jakiś flejer: "*ponoć z przetopu złotych zębów*". Wizualnie książka prezentuje się niczym droga whisky, ale prawdziwe przygody zaczyna się dopiero na jej kartach. Książka do czytania, do przeglądania, ale i do... obcowania z nią. Tytuł obiecuje "**666 opowieści**", ale po skrupulatnym przeliczeniu, okazuje się, że finalnie jest ich chyba nieco mniej. W końcu historia wciąż się piszę i oby tak pozostało jak najdłużej...

Ta biografia to kawał historii - tak zespołu, jak i osoby. Fajny przewodnik do poznania **Quo Vadis**, dla tych którzy jakoś rozminęli się z ich twórczością, lub zachęta do odświeżenia muzycznej znajomości. Polecam zatem gorąco i starym i, być może, nowym fanom. A zespołowi życzę kolejnych ciekawych historii, które miejmy nadzieję kiedyś uda się ponownie wydać - na przykład jako wydanie uzupełnione.

Farram

Wacken Open Air, 2-5 sierpnia 2023

Wyjazd na tę edycję **Wacken** to było szaleństwo! W północnych Niemczech padało od dobrych kilku dni. Na **Wacken** od deszczu zawsze robi się błoto, a tysiące drepczących przez nie nóg nie pomagają mu ani zaschnąć, ani utrzymać w jakimkolwiek stabilnym stanie. W Niemczech padało, a festiwal zbliżał się wielkimi krokami. Tuż przed samym wydarzeniem organizatorzy wypuścili komunikat, że warunki pogodowe tworzą korki, samochody grzęzną, coś z tym trzeba zrobić: jak je rozładujemy, to damy sygnał do wjazdu, póki co, nie ruszajcie do **Wacken**, bo utkniecie. Korki były, a deszcz nie przestawiał padać. Niektórzy utknęli i nocowali w okolicznych gospodarstwach (podobno były świetne imprezy). Ekipa Heavy Metal Pages grzecznie dostosowała się do komunikatu, tym bardziej, że i tak planowaliśmy przyjechać dopiero na środowy koncert **Doro** (tak, w tym roku festiwal miał być 4-dniowy). Niestety korków nie udało się rozładować. Zdecydowano się na radykalny krok. Auta grzęzną, nie da się ani dojechać, ani wjechać na pola namiotowe: nie przyjeżdżajcie wozami w ogóle. Weźcie pociąg, autobus, taxi, przyjdźcie pieszo. W tym czasie już się pakowaliśmy i z samego rana mieliśmy wyruszać. Komunikat dla prasy na szczęście był sprzyjający: możecie wjechać autem, ale licho wie, na jakim polu namiotowym wylądujecie. Pola są zalane, wjazdy zabłocone, niczego konkretnego nie możemy Wam obiecać. Obiecująca dla nas na szczęście była relacja zaprzyjaźnionej ekipy z Metalside. Chłopaki przyjechały wcześniej i wysłały nam absurdalnie pozytywną fotkę "*rozbici na zielonym polu, pijemy browara, przyjeżdżajcie!*". Gdyby nie oni, nasz wyjazd stanąłby chyba pod jeszcze większym znakiem zapytania. W nocy **Wacken** ogłasza, że nie wpuszczają już w ogóle. Autobusy są przeładowane, nie ma jak dojechać do **Wacken**. Nie przyszedł jednak żaden komunikat prasowy. Hej przygodo, jedziemy!

Pojechaliśmy. Pod samym *Wacken* nie było w ogóle korków. Kto miał przyjechać - wjechał. Kto przeczytał komunikat, wrócił. Albo i nie, bo mam podejrzenie, że nikogo fizycznie nie zawracano spod **Wacken**. Liczono na subordynację uczestników, że po prostu nie przyjadą. W mediach tymczasem wrzało o katastrofie na wielkim metalowym festiwalu w Europie. Wiadomości czytali nawet ci, którzy pierwszy raz w życiu o jakimś **Wacken Open Air** słyszeli. Naszą podróż wypełniała mieszanina radości z wyjazdu na festiwal z niepewnością i z poczuciem lekkiego szaleństwa. Gdzie znajdziemy nocleg, jak nas nie wpuszczą? W Hamburgu już chyba wszystko zajęte! Niestety Wacken jest na odludziu, w małej wsi wśród pastwisk bydła. Jakaż była nasza radość jak "*jak gdyby nigdy nic*" podążając za strzałkami wjechaliśmy w dobrze znaną aleję prowadzącą do check inu. Tam bez najmniejszego problemu zostaliśmy zaopaskowani i pokierowani na pole namiotowe. Rzeczywiście pole prasowe było nieprzejezdne, ale skierowali nas niemal vis a vis tego pola - na miejsce w normalnym trybie przeznaczone na postój dzienny, bez noclegu. I tak zaczęła się nasza przygoda z **Wacken**. Kalosze były grane cały czas, ale płaszcz przeciwdeszczowy wyjęłam tylko dwukrotnie na 20 minut łącznie. Pogoda była nawet ładniejsza, niż na niejednym poprzednim **Wacken**. Pola jednak były zalane. Ci, którzy nie dotarli i widzieli relację w internecie, pewnie pomstowali na piękną pogodę. Pola namiotowe były jednak naprawdę zalane. Organizatorzy nie mieliby gdzie pomieścić tych tysięcy uczestników festiwalu.

W.O.A. zareagował na sytuację błyskawicznie też z innej strony. Ci, którzy byli na festiwalu, mogli poczuć jedność wspólnego doświadczenia. W sprzedaży dostępne były koszulki z napisem "**WOA 2023 Traffi-cjam. I was there!**" oraz "**WOA 2023 Mudfighters**". Osoby, które nie wjechały na edycję AD 2023 nie tylko dostały - co zrozumiałe - zwrot kosztów biletów ale i prawo pierwokupu biletów na kolejną edycję. Nie wiem czy starczyło na otarcie chociaż kilku łez tym, którzy zapłacili krocie za samolot z Brazylii lub dojazd kamperem z Finlandii.

Dla nas tegoroczna edycja **Wacken** też przyniosła kilka nowości. Co prawda wprowadzono je już poprzednio, ale my dopiero teraz z racji przerwy mieliśmy okazję ich doświadczyć. Z teren festiwalu wycofano całą gotówkę. Może gdyby w Niemczech karty płatnicze były bardziej popularne, dałoby się to rozegrać po prostu przy ich użyciu. Sęk w tym, że wbrew pozorom nie jest to tak powszechna technologia, jak u nas, dlatego wprowadzono mini karty przymocowane do festiwalowych opasek, na które można było przelać pieniądze (kartą lub gotówką). Generalnie łatwe rozwiązanie, acz miałam jedną przygodę z zassaną przez maszynę gotówką. Wielki Brat jednak patrzy skrupulatnie i kasę odzyskałam, bo moje zeznania (nazwisko, godzina, kwota) zgadzały się z tym, co wyskoczyło pani z obsługi w jej systemie. Zresztą obsługa w tym roku była bardzo uczynna i sympatyczna. Druga wielka - dla nas - zmiana to nowy rozkład mniejszych scen. Alleluja, przecież przyjechaliśmy tu na koncerty!

Wielkie dwie główne sceny stały, tak gdzie stały. Opoka **Wacken**. Mała scena, dawniej **Party Stage**, od lat już **Louder Stage** została przesunięta w lepsze akustycznie miejsce. Byłam na niej tylko raz. Jedna z najmniejszych scen, "**Wasteland Stage**" straciła nieco na uroku, bo nie była już tą maleńką scenką wciśniętą między pojemnikami na toksyczne odpady, a barem dla **Mad Maxa**. Stała się regularną sceną w posntuklearnym miasteczku. Jak się zaraz okaże - i tak skradła moje serce. Najlepszym rozwiązaniem było pozbycie się wielkiego namiotu. Dwie namiotowe sceny - **W.E.T.** i **Headbanger** stały się pomniejszonymi głównymi scenami. Dzięki temu nie było problemu z brakiem miejsca w namiocie, dostęp do scen był łatwiejszy i dużo chętniej szłam oglądać "*coś przy okazji*", bo sceny po prostu można było minąć, chodząc po terenie festiwalu.

Środa 2 sierpnia

Zalogowaliśmy się na polu i ruszyliśmy na podbój **Holy Land**. Pierwsza refleksja: **Wacken** jak sprzed wielu lat - nie ma monstrualnych tłumów ludzi. Jest za to błoto. Festiwal ledwie się zaczął, a błoto wygląda jak z dawnych błotnistych lat z ostatniego dnia imprezy. Do ostatnich godzin losy festiwalu się ważyły. Czy wszystkim zespołom uda się wjechać? Czy nie będzie zmian w składzie i czasówce? Organizatorzy zapowiadali, że postarają się dać nam najlepszy festiwal, jaki tylko uda im się ogarnąć. Czyli jednak coś wisiało w powietrzu. Mój pierwszy koncert to **Battle Beast**. Im bliżej sceny, tym, więcej ludzi (co by było, gdyby byli tutaj jednak wszyscy?) Już dawno przestałam interesować się tym zespołem, wszak erę "*Accept meets 80s disco*" ma już za sobą. Mimo tego, że ten pierwszy element uleciał i zespół coraz bardziej oddala się od heavy metalu, lubię czasem na nich popatrzeć, jak na ciekawe show przywołujące lata 80. To wychodzi im naprawdę spektakularnie. A sama **Nora**, która zmiata scenę głosem jak dzwon, kapitalnie podkreśliła klimat czarno-żółtym kostiumem rodem z jakiegoś show z końca lat 80. Niestety **Battle Beast** nie gra już starych kawałków, które przyciągnęły mnie do tego zespołu. Koncert opierał się głównie na dwóch ostatnich płytach.

Koncert **Doro** był naszą motywacją do przyjazdu na **Wacken** już pierwszego dnia, czyli w środę. Nie tylko dlatego, że to **Doro**, ale także dlatego, że miał być to koncert na 40-lecie działalności wokalistki. Wbrew hasłu przewodniemu nie spodziewałam się jakiejś szczególnej rewolucji w setliście (tak to bywa na rocznicowych koncertach Doro), za to spodziewałam się wielu niespodzianek w postaci ciekawych gości, zwłaszcza, że na fanpage'ach muzyków pojawiały się tu i ówdzie interesujące zapowiedzi. Rzeczywiście, setlista opierała się na stałym repertuarze koncertowym

Doro, ale z naciskiem na dynamiczne kawałki. Nie było oszczędzania się - już od samego początku koncert rozpędził się z "*górki na pazurki*". Ze sceny wystrzeliły energiczne kawałki **Warlock** takie jak "***I rule the Ruins***", "***Earthshaker Rock***", a po przerywniku w postaci kawałka z nowej płyty (niemniej witalnego "Time for Justice") "***Burning the Witches***". Kawałki **Warlock** pojawiały się jeszcze później, przetykane nowszymi numerami z ostatnich płyt oraz garścią coverów. **Doro** nie zaśpiewała nic własnego z "*środkowej*" części kariery (między płytami Warlock i najnowszymi krążkami). W sumie idea dobra do zobrazowania 40-lecia działalności. Najlepsze jednak do uczczenia takiej solidnej działalności okazało się wystąpienie gości, którzy mniej lub bardziej związani byli i są z wokalistką. Już w pierwszej części koncertu na "***Rock Till Death***" wyskoczył **Hansi Kürsch** i darł się, aż miło. Słychać było, że nie jest akurat w trasie i może sobie na taki jednorazowy wybryk pozwolić. Na scenie pojawił się też **Chris Caffery**, z którym **Doro** nie raz koncertowała. Zaczął od absolutnie magicznego, płynącego solo w "***Für Immer***" i został na scenie przez kilka kawałków. "***Für Immer***" był obok "***Love me Forever***" jedyną balladą podczas tego energicznego koncertu. "***Love me Forever***" nie był dziełem przypadku, a chęcią oddania hołdu **Lemmy' emu**, z którym **Doro** była bardzo blisko związana - kawałek zagrali muzycy **Motörhead** - **Mikkey Dee** i **Phil Campbell**. Ci zagrali później także "***Ace of Spades***", w którym za "*sitkiem*" stanął perkusista **Doro**, **Johnyy Dee**. Działo się! Na scenie pojawili się też **Joey Belladonna**, który zaśpiewał z **Doro** cover **Trust** "***Antisocial***" (znany z koncertów Anthrax) i "***Raise Your Fist in the Air***", **Udo**, który wtórował wokalistce w "***Breaking the Law***" (to w ogóle był jakiś odlot, cover Judas Priest grany przez Uliego Jona Rotha i zaśpiewany w duecie z Doro), **Michael Rhein** z **In Extremo** oraz jakiś nieumiejący śpiewać gościu z **Broilers**. W szeregi zespołu **Doro** trafił za sprawą przyjaźniogennych wspólnych korzeni i wspólnych salek prób w Düsseldorfie. Działo się wiele, choć wyglądało to trochę tak, jakby **Doro** nie brała udziału we wspólnych próbach wraz z gośćmi. Sama nie do końca ogarniała kto i kiedy ma wyjść. W swojej radosnej ekspresji dała temu wyraz wołając do niewyłączonego mikrofonu: **Mikkey**, myślałam, że wyjdziesz na "***Ace of Spades***"! Przynajmniej nie można zarzucić, że koncert był sztywny, niespontaniczny i teatralnie wystudiowany. Na koniec na niebie pojawiło się oszałamiające zjawisko, które zagościło później na dobre w wackeńskich wieczorach. Rój podświetlonych dronów formował się nad sceną w znaki i logotypy kapel. Debiut spektaklu przypadł właśnie na koncert **Doro** i co ciekawe, choć koncert promował 40-letnią działalność wokalistki, nad sceną aż dwukrotnie pojawiły się znaki oddające hołd **Motörhead** i **Lemmy'emu**.

Czwartek 3 sierpnia

Mój **Wacken** rozpoczął się pod znakiem kobiet. W środę wieczorem **Battle Beast** i **Doro**, a czwartek zaczynam koncertem żeńskiej formacji **Vixen**. Cieszyłam się, że zobaczę na żywo ten zespół, choć 20 lat wcześniej na pewno przeżyłabym go o wiele mocniej. Skład, który zagrał na **Wacken** nie był oryginalny, co miało swoje wady... i zalety. Wadą jest fakt, że z oryginalnego zespołu została tylko perkusistka, **Roxy Petrucci**. Zaletą, że na wokalu jest obecnie **Lorraine Lewis**, którą też zawsze chciałam zobaczyć. Dwie pieczenie na jednym ogniu! **Vixen** mają **Lorraine** i nie zawahały się jej użyć, bo zaraz po tym, jak ze sceny popłynął "***Rev it Up***", babeczki zagrały "*hicior*" **Femme Fatale**, "***Waiting for a Big One***", a **Lorraine** puszczając oko do publiczności uderzyła ręką o pośladek, nawiązując do klasycznego teledysku z 1988 roku. Rety, ależ ja się fajnie bawiłam na tym koncercie! Było wczesne popołudnie, ludzi nie za wiele, niby średni nastrój na koncertowe szaleństwo. Nie słuchałam **Vixen** od dawna, a tu jak gdyby nigdy nic okazało się, że znałam wszystkie kawałki. Kobiety wyglądały na scenie świetnie, najwięcej uwagi starałam się skupić na **Roxy**, ale całe show skradła jak dla mnie **Lorraine**, która okazała się świetną frontmanką. Pod koniec koncertu rzuciła się nawet w tłum do crowdsurfingu! Choć **Vixen** miały - jak większość zespołów z lat 80. - w latach 90. potrzebę odwrotu od estetyki hard rocka lat 80. oraz stylistyki hard rockowego wizerunku tamtych lat, obecnie wróciły pełną gębą - pewnie za sprawą powrotu mody na tę dekadę. Nie zagrały nic z płyty "**Tangerine**" z 1998 roku, a ich sceniczny wizerunek obracał się wokół klasycznego hardrockowego image, który w latach 90. uchodziłby za przestarzały, a dziś wyznaczył po prostu kanon takiej estetyki. Nie sądziłam, że kiedykolwiek je zobaczę. Mogę pomachać teraz do Strati sprzed dwóch dekad i powiedzieć jej, że takie małe marzenia też się spełniają

Strefa prasowa to naprawdę błogosławieństwo! Można usiąść, odpocząć, nabrać mocy. A wszystko dwa kroki od głównych scen. W tym roku kładka prowadzącą na teren koncertów prowadziła - jak za dawnych lat - wprost pod sceny, nie trzeba było przechodzić przed dodatkową kontrolę i brnąć przez błoto. Strefa wciąż się rozrasta i mam wrażenie, że coraz bardziej dąży do "*ekskluzywnego*" wizerunku. Wydzielona jest też dodatkowa strefa VIP, dla osób, które wykupiły dodatkowy pakiet. Ale i dla nas, zwykłych pismaków były niespodzianki. Był nim kameralny koncercik... **Rage**. Niemcy w ostatniej chwili dołączyli do programu festiwalu, mieli zagrać w klubie na terenie wsi **Wacken**. Myślałam, że nie będzie szans ich obejrzeć w obliczu bogatego składu i logistyki przemieszczania się między koncertami. A tu bam, mini koncert dla grupki osób w namiocie prasowym. A na nim same "*klassikery*" **Rage**. Dla mnie, która nigdy nie pcha się pod barierki i nigdy nie widzi kapel z bliska - była to naprawdę sympatyczna niespodzianka.

Riot City był jednym z moich magnesów do tegorocznej edycji **Wacken**. Uwielbiam absolutnie obie płyty, a koncert we Wrocławiu był dla mnie dowodem, że ten zespół niesie kaganek heavy metalu. Muzycy wcześniej wypuścili grafikę z okazji **W.O.A.** na której widnieje ich mechaniczny orzeł, który szponami rozwala krowią czaszkę stojącą między dwoma scenami. Grafika dumnie wołała "*gramy na Wacken!*". Drobnym maczkiem nie było napisane, że na jednej z najmniejszych scen. Za to sceny, która doskonale pasowała do awanturniczej prezencji Kanadyjczyków, na **Wasteland Stage**. Ten zespół to czysty heavy metal, rozpędzone riffy, rozkręcające się solówki, szalone wokale. A największy ich atut to fakt, ze to całe heavymetalowe szaleństwo doskonale przekłada się na koncerty. Ich występy to to, co dzieje się na płycie, tylko razy dwa. Albo trzy. Muzycy grali całymi sobą, wokalista, **Jordan Jacobs**, biegał po scenie śpiewając, machając banią, poił kolegów browarem, a wymachując ręką nawoływał do szaleństwa pod sceną. Mimo tego obłędu, muzycznie wszystko się zgadzało, kawałki **Riot City** były tak samo kapitalne, jak na płytach. Biję pokłony przed tym zespołem i oczywiście chce jeszcze! Płyt! Koncertów! Cieszę się, że miałam okazję znów przeżyć to "*stare Wacken*", na który zapraszani byli heavymetalowi młodzi, uzdolnieni debiutanci lub posiadacze dwóch płyt. Dziś ten patent mają inne festiwale i raduję się, że ta koncepcja znów wróciła w progi **W.O.A.**

Ponieważ scena **W.E.T.** i **Headbangers** jest teraz niejako "*po drodze*" między peryferiami terenu festiwalowego, a głównymi scenami, wiele kapel można zobaczyć, przechodząc. I nie chodzi tu w ogóle o jakieś umniejszanie tym zespołom. Gdyby nie tak usytuowane sceny, prawdopodobnie w ogóle odpuściłabym te kapele. Tak ustawione sceny działają zdecydowanie na korzyść, dzięki nim zobaczyłam kawałek m.in. **Immolation**. To niesamowity zespół. Grają ogromne ilości koncertów na całym świecie, a moją sympatię budzą tym, że potrafią przy tym zwiedzać miejsca, w których występują i sami poznają mniejsze zespoły (to rzadkość u muzyków "dużych" formacji). Na **Wacken** widziałam tylko dwa kawałki, ale i one potwierdziły, że ten zespół po prostu się nie wypala. Każdy ich występ to precyzja. Riffy chodzą jak w szwajcarskim zegarku, a wygrywający je **Robert Vigna** ze swoimi niesztampowymi ruchami wygląda jak maszynista jakiejś kosmicznej maszyny. **Ross Dolan** niczym pan Jeckyll i Hyde zmienia się z ryczącego demona, w sympatycznego gościa z Nowego Jorku, który zapowiada kolejne kawałki. Widziałam ich wiele razy i wiem, że jeszcze nie raz będzie okazja, poszłam więc na dalszy podbój festiwalu.

Poszłam do stoiska merchu po koszulkę **Riot City** i złapał mnie deszcz. Ten deszcz, który synoptycy tak namolnie wieszczyli od kilku dni i który miał przewrócić całe **Wacken Open Air** do góry nogami. Założyłam pelerynę, ustawiłam się w kolejce do merchu, obróciłam w kierunku scen i obejrzałam fragment koncertu **Hammerfall**. Koncert był identyczny jak ten, który widziałam w Katowicach przed **Helloween**. I identyczny, jaki widziałam we Wrocławiu przed pandemią. Kawałki te same, taka sama konferansjerka, u **Cansa** ta sama katana w czerwone gwiazdki. Zdarza się tak na jednej trasie. W międzyczasie trasa się zmieniła, a **Hammerfall** znów robi dokładnie to samo. Dodatkowo mam subiektywne wrażenie, że ten zespół już nie jest na serio. Obserwując ich od lat nabieram coraz mocniejszego wrażenia, że to trupa teatralna zabawiająca fanów metalu, jak dzieci na balu karnawałowym (ja oczywiście bardzo lubiłam bale karnawałowe jako dziecko). W międzyczasie doszłam do końca kolejki, kupiłam koszulkę z orłem atakującym płonącą "*krowę*" i poszłam odpocząć na pole namiotowe. Przed nami intensywny wieczór!

Kreator niemal nigdy nie zawodzi (niemal, ponieważ raz mu się zdarzyło na Wacken za sprawą cichego nagłośnienia). Nie ukrywam, że obecnie koncerty Niemców sprawiają mi dużo większą frajdę niż przed laty, od kiedy zespół przekierował swoją stylistykę

w bardziej heavy niż thrashmetalowym kierunku. Ten koncert mógł zaspokoić fanów **Kreatora** wszelkiej maści, bo setlista była bardzo przekrojowa i demokratyczna. Oczywiście z naciskiem na ostatnią płytę, z której grupa zagrała trzy kawałki. Świetny na koncert "***Strongest of the Strong***", zupełnie niepotrzebny - ale zagrany pewnie ze względu na opcję wystąpienia z wokalistką w roli gościa - "***Midnight Sun***" oraz tytułowy, mocny i mega chwytliwy "***Hate Uber Alles***". To trzeba przyznać Niemcom - tytułowe kawałki wybierają bardzo świadomie. Z łatwością płyta po płycie inkorporują je do stałego setu i zawsze są entuzjastycznie przyjmowane przez publikę. Generalnie było widowisko, był ogień dosłownie i w przenośni. Wszystko super, tylko... co to za koncert **Kreator** bez "***Phobii***"?

Człowiek się przyzwyczaja do dobrego. Dawniej możliwość zobaczenia **Kiske** śpiewającego kawałki **Helloween** budziła szalone emocje. Jakiś strzępek z **Unisonic**, jakiś duet podczas koncertu "**Hansen and Friends**". Teraz idziemy "*po prostu na Helloween*" czasem zapominając jaki gigantyczny "*upgrade*" ten zespół przeszedł. Łatwo jest przejść na tym do porządku dziennego, a nawet marudzić, że powtarzają się żarty czy setlista. A tymczasem **Helloween** gra obecnie świetne koncerty i tak było też tym razem. Dużo działo się na scenie, były typowe dla **Helloween** dialogi (dość zabawne było spontaniczne, chyba nie do końca ustalone żonglowanie angielskim i niemieckim), były mniej lub bardziej poważne przebieranki. Niemcy nie bali się rozpocząć koncert długim, ale za to manifestującym obecne oblicze zespołu "***Skyfall***". Fajną niespodzianką był niesłyszany od lat (przeze mnie na koncercie Helloween chyba nigdy) "***Save us***"... choć "*spoiler*" mieliśmy już o 10 rano, kiedy nuty "***Save us***" niosły się z próby na nasze pole namiotowe.

Piątek 4 sierpnia

Niespodziewanie dostaliśmy wiadomość prasową o porannej konferencji z **Doro** w namiocie prasowym. Trzeba przyznać, że konferencje nie cieszą się jakimś szaleńczym powodzeniem - o ile nie są z wyjątkowymi gośćmi. Tym razem było odmiennie, **Doro** przyciągnęła masę wszelkiej maści pismaków, a i pytania do wokalistki sypały się jak z rękawa. Nieczęsto się to zdarza. Dla mnie była to o tyle gratka, że - choć kibicuję **Doro** od lat i rozmawiałam z nią przez telefon kilka razy - nigdy nie miałam okazji spotkać jej osobiście, czy nawet zobaczyć z bliska. Niestety porozmawiać oko w oko się nie dało, a zrobienie z nią zdjęcia graniczyło z cudem. **Doro** weszła w towarzystwie "*wastelanderów*" przez korytarz między ławkami, a że siedziałam prawie na skraju ławki przy korytarzu, to było najbliższe spotkanie, jakie udało mi się wykroić. Wokalistka wyglądała naprawdę pięknie, dużo efektowniej, niż na koncercie dnia poprzedniego, gdzie światła nie działały na jej korzyść. Zanim padły pytania, **Doro** prezentowała kawałki z nowej płyty "**Conqueress - Forever Strong and Proud**". Ponieważ była atmosfera ekscytacji, kawałki były puszczane dość głośno, obok **Doro** stali srogo wyglądający wojownicy post-apokaliptycznego świata, a my sami byliśmy w festiwalowej atmosferze - bawiliśmy się świetnie i płytę odebraliśmy bardzo pozytywnie. Atmosferę podkręcał fakt, że **Doro** chętnie dośpiewywała w niektórych kawałkach, a kiedy z głośników popłynął cover **Judas Priest** zaśpiewany z **Halfordem** - "***Living after Midnight***", cały namiot śpiewał razem. To było jedno z fajniejszych przeżyć tego **Wacken**. **Doro** chętnie odpowiadała na pytania, od merytorycznych typu "*Kto pisze Ci kawałki*" (i tu padło nazwisko choćby Andreasa Bruhna), po czysto inspiracyjne. Dziewczyny z Ameryki Południowej pytały o radę, jak przebić się w świecie metalu będąc kobietą. Jedna z nich miała koszulkę **Warlock**, więc od razu zawiązała się więź powodująca potok słów. Między innymi słowa o tym, że czasy są inne i trudno jest porównać pionierską rolę **Doro** z przetartymi szlakami przez wiele wokalistek. Kiedy konferencja się skończyła, **Doro** została "*wyciągnięta*" przez obsługę za kulisy, choć na jej twarzy malowała się wielka chęć pozostania z nami. Nie wiem na ile to umówiona gra w serdeczną gwiazdę i złego managera, a na ile odzwierciedlenie relacji, jakie panują wokół zespołu **Doro**. Dzięki cierpliwości i wytrwałości kolegom z Metalside udało się złapać **Doro** chwilę później na szybkie selfie. Szkoda się było rozstawać z **Doro**, ale cóż... za jakiś czas czekał na nas koncert **Megadeth**. Nie traciliśmy więc wiatru w żaglach.

Zarówno **Kreator**, jak i **Megadeth** widziałam chwilę przed **Wacken** w Katowicach na **Triple Thrash Triumph**. O ile koncert **Kreator** różnił się nieznacznie (mała korekta setlisty, dużo efektów specjalnych), o tyle koncert **Megadeth** na **Wacken** był gratką nie lada. Węszyliśmy wokół tematu **Marty' ego Friedmanna** ostrożnie, Ma grać na **Wacken** dzień później, więc pewnie jest na miejscu i może pojawić się gościnnie. Ale nie, przecież jak miał występować z **Mustainem** w Japonii, to ogłaszano to z wielką pompą. Tak bez ogłoszenia, to nie ma szans. I bam! W drugiej połowie koncertu, zaraz po gremialnie odśpiewanym "***A Tout le Monde***" na scenie pojawia się **Marty**. My rozdziawiamy oczy, a on sobie gra. Potem "***Tornado of Souls***". To jakieś czary! **Marty** jak gdyby nigdy nic sobie gra. Potem zostaje jeszcze na "***Symphony of Destruction***", a **Dave** bez żadnych ceregieli macha ręką w kierunku gitarzysty i go przedstawia. **Marty** wychodzi, a koncert toczy się dalej. **Wacken** słynie z wielkich koncertów z gośćmi, ale zazwyczaj zapowiedzi grzmią już od dawna. Tutaj treść przerosła formę, doświadczenie było naprawdę jedyne w swoim rodzaju. Koncert był naprawdę kapitalny, zwłaszcza, że i setlista była przekrojowa. Co ciekawe, mimo tego, że koncert jest częścią trasy "**The Sick..., the Dying... and the Dead!**" z nowej płyty **Megadeth** gra tylko jeden kawałek, "***We'll be Back***".

Magia **Wacken**: jednego wieczora **Kreator**, **Megadeth** i zaraz potem **Iron Maiden**. Co z tego, że był to ten sam koncert, co w Krakowie. Co z tego, że **Maideni** "*odgrywają*" koncert niczym aktorzy w teatrze. Co z tego, że widziałam ich wiele razy. Koncert był wspaniały! Mam takie samo odczucie, jak po trasie "**The Book of Souls**" - ten sam koncert oglądany na **Wacken** odbieram dużo lepiej, niż w hali czy na stadionie. Może to kwestia większej ilości telebimów albo większej przestrzeni, a zatem możliwości znalezienia dobrego punktu do obserwowania sceny na żywo. Lepiej widzę, mogę ogarnąć całościowo scenę, więc odbieram koncert o niebo lepiej. Kiedyś usłyszenie na żywo "***Alexander the Great***" było jakimś nierealnym marzeniem, w roku 2023 zobaczyłam ten utwór dwa razy. Myśl o usłyszeniu "***Caught Somewhere in Time***" i "***Stranger in a Stranger Land***" graniczyła z cudem. Nic dziwnego, że koncert odebrałam jako wielkie przeżycie. "***Alexander the Great***" na żywo to naprawdę prawdziwy majstersztyk. Sam **Dickinson** jest w kapitalnej formie wokalnej i fizycznej, co podbija energię koncertu (wtedy jeszcze żaden ptaszek nie ćwierkał tak wyraźnie o nowej solowej płycie). Jedyne klocki, które bym poprzestawiała, to skomponowanie setlisty. Na poprzedniej trasie kawałki z nowej płyty **Maideni** zagrali na początku, za przeproszeniem - odhaczyli. Można było delektować się "*właściwym koncertem*". Wackeński koncert ratował jednak fakt, że rewelacyjna forma **Bruce'a** przekładała się także na lepsze, mocniejsze i bardziej ekspresyjne zaśpiewanie kawałków z nowej płyty, dzięki czemu były dla mnie lepiej przyswajalne. Pomysł z kończeniem setu optymistycznym "***Wasted Years***" wydaje się dziś jakimś manifestem czy dewizą **Maidenów**. Mam wrażenie, że tym kawałkiem nakręcają samospełniającą się przepowiednię - dla nich każdy moment to właśnie

ten właściwy czas. Ogromnie mnie to cieszy i mam nadzieję, że refren "***Wasted Years***" będzie im jeszcze przyświecał przez wiele lat.

Po największych gwiazdach robi się luźniej. Jest ciemno, a ludzi jest tyle, co na występach wczesnopopołudniowych. Ale koncerty toczą się dalej. I tak po bombie emocji, jaką już zgotował nam piątkowy wieczór, przyszedł czas na szamańską **Vardrunę**. Zespół, który gra metal bez metalu. Nie ma w nim ani grama metalowego instrumentarium, ale mrok, nastrój, swoista moc i narracja muzyką wydają się być blisko świata metalu, z którego zresztą wywodzą się muzycy. Pod sceną ludzie gadali, łazili, chichotali, zataczali się po zalanym dniu. A na scenie działa się totalna magia. Dekoracją były tylko taśmy z koronek i gra świateł. Tyle wystarczyło, żeby szamański folk inspirowany islandzkimi sagami hipnotyzował słuchaczy. Kiedy na scenie pojawiły się monumentalne lury, wydawało się, że rozstępują się niebiosa. **Vardruna** była jednym z niewielu zespołów, które na tym **Wacken** miałam okazję zobaczyć po raz pierwszy (oczywiście z tych, które chciałam obejrzeć, w przeciwnym razie lista byłaby arcydługa). Było to niesamowite wrażenie, bardzo chętnie zobaczę ich na samodzielnym koncercie.

Nie sądziłam, że dotrę na ten koncert. Kto to widział organizować koncert o 11 rano! Dotarłam przez morze błota. Podziwiam tych, którzy na **Wacken** nie noszą kaloszy. Bez nich każdy krok to walka o nieutonięcie, a w kaloszach można góry przenosić. Stojąc na koncercie obserwowałam gościa, któremu noga utknęła w błocie, wyjął ją z buta, chciał włożyć z powrotem, balansował tak, żeby nie wsadzić skarpety w błoto. Wsadził i mimo to poszedł dzielnie pod barierkę. Mam nadzieję, że Masterplan mu zrekompensował bolesną wyprawę. Zespół obchodził 20-lecie, więc zdecydowanie najwięcej kawałków zagrano z debiutu - i wspaniale, bo to naprawdę piękna płyta. Zaczęło się od zwiewnego "***Enlighten me***" (zawsze mi się ten kawałek wydawał taki... niosący w powietrzu), a pod koniec ze sceny popłynął świetny "***Soulburn***". Poza innymi kawałkami z "***Masterplan***", z każdej płyty (nie liczymy "Pumpkings", nie?) **Masterplan** zagrał jakiś utwór - jak na świętowanie jubileuszu przystało. **Rick Altzi** nie jest tak magicznym wokalistą jak **Jorn Lande**, ale pociągnął koncert bardzo poprawnie i solidnie. W roli gościa na dwóch kawałkach wystąpił też ściągnięty z sąsiedztwa pewien grający kiedyś w **Masterplan** hamburczyk - **Jan-Soren Eckert**!

Mała scena, jedna z dwóch, które onegdaj były pod namiotem. Zdecydowanie było się na nie dostać i z nich korzystać, zwłaszcza, że pogoda dopisywała. **Marty Friedman** przyjechał ze swoją japońską ekipą, do której w przerwach zwracał się właśnie po japońsku. Muzyk od 20 lat mieszka w wyspiarskim kraju, ale płynny japoński w ustach Amerykanina u mnie naprawdę wciąż budzi wielki podziw. Koncert, jak na solową twórczość **Friedmana** przystało - był głównie instrumentalny. Kiedy przedstawiał muzyków mikrofon na chwilę przejęła basistka śpiewając słodkim głosem refren "***We will rock you***". Jej uroczy wokal zestawiony wraz z dziewczęcą aparycją sprawił, że - nie wiem jakbym się zapierała - przed oczami stanęła mi stereotypowa Japonka rozczytana w mangach.

Prawda taka, że występ Gitarzysty był tylko preludium do wyprawy na sąsiedni występ, jakim miał być **Jag Panzer**. Już na wstępie można się było poczuć jak w klubie na małym koncercie, bo z każdej strony otaczały mnie osoby odziane w katany z klasycznymi - starymi i zupełnie nowym zespołami. Zupełnie jakby wołały - "*doceniam scenę NWoTHM, jesteśmy w tym razem*"? Przede mną stał gościu, którego zestaw na katanie sprawiał, że wyglądał, jakby miał zalajkowany nasz profil na Facebooku. Koncert był świetny. **Conklin** śpiewa mocno, czysto i nie ma grama starości w strunach głosowych. Przeżywa każdy kawałek dodając do wokalu gesty i pozy. Stojący po lewej stronie **Mark Briody** w drugiej części koncertu zerwał się ze swojego statycznego posterunku i pojawił się z gitarą w fosie. Efekt witalności i klimat potęgowali też fani, którzy cały czas śpiewali i wznosili ręce. Pewnie entuzjazm byłby jeszcze większy, jakby set **Jag Panzer** był bardziej oldschoolowy (na wzór choćby warszawskiego koncertu z początku roku), w setliście dominowały jednak głównie kawałki z ostatniej płyty, która była motywem przewodnim koncertu.

Zaraz po **Jag Panzer** niejako z ciekawości poszłam rzucić okiem na **Burning Witches** - z wewnętrzną obietnicą, że zostanę na dłużej, jeśli koncert tej żeńskiej ekipy mi się spodoba. Wystarczyły mi dwa kawałki, już pod koniec drugiego, "***Wings of Steel***" przestępowałam z nogi na nogę. Zespół ma świetną prezencję i moc energii na scenie, ale kawałki są pozbawione pomysłu i brakuje w nich dobrej ręki do kompozycji. Dla samej energii pewnie bym i została, gdyby nie był to **Wacken**. Festiwal, na którym można wybierać, przebierać i grymasić. Coś nie podeszło? Zaraz znajdziemy coś innego!

A coś innego, coś na co szczególnie czekałam miało zagrać tego samego dnia późnym popołudniem. Dawniej **Wacken** był dla mnie taki festiwalem, na którym mogę nadrobić zaległości poznawcze i spełnić marzenia o zobaczeniu tego, czy innego zespołu. Obecnie mamy tak fajne czasy, że koncertów jest wiele, w tym wiele kapel, które właśnie mi wskoczyły do listy "*nowych ulubionych*" przyjeżdża albo do Polski, albo blisko naszej granicy. Wacken przestał być taką gratką, ale trafiła się perełka. Kilka miesięcy wcześniej wsiąkłam w **The Night Eternal**. O ile mój pierwszy duży magnes, **Riot City** znam od dawna i raz widziałam, o tyle **The Night Eternal** było moim niedawnym odkryciem. Za to takim, które od razu wezbrało we mnie zew koncertu. Ich druga płyta, "**Fatale**" to świetny heavy metal, z du-żym wyczuciem "*muzykalności*", klimatem i wysmakowaną dawką przebojowości. Ma jakąś niepokojącą nutę brytyjskiego gotyku, ale ona tylko dodaje mu smaku. Kiedy zachwycona "*dwójką*" sprawdziłam ich pierwszą płytę, okazało się, że już wiem, dlaczego nie poznałam ich wcześniej. Nawet jeśli "*obili mi się o uszy*", to mogłam ich nie zauważyć. Gorzej zrealizowane wokale, mniej heavymetalowe brzmienie, jakaś nuta lat 70., za którą nie przepadam. Na koncercie zaś wszystko się pięknie skomasowało. Niemcy brzmieli świetnie i mimo że nie operowali taką awanturniczą prezencją, jak **Riot City**, odebrałam ich koncert na podobnym poziomie. Oni też grali całymi sobą, a muzyka rezonowała z publiką. Energia, wiarygodność, moc świeżego, młodego heavy metalu. Wokalista, **Ricardo Baum**, skradł nasze dusze charyzmą, śpiewał z pasją, kiedy nie śpiewał, wpadał w szał "*szamańskich tańców*". Fajnie się też obserwowało perkusistę, który lubi uderzać dwoma pałeczkami naraz, co świetnie daje się wychwycić w muzyce **The Night Eternal**. Taka "*ilustracja muzyki na żywo*" tylko podbija walor koncertu. Ja bawiłam się świetnie, zwłaszcza - co zrozumiałe - na kawałkach, które znałam. Ich kawałki znali też inni zgromadzeni pod **Wasteland Stage**, a takie wspólne śpiewanie numerów mało znanego zespołu zawsze dodaje skrzydeł. Nie straszna była nam gigantyczna kałuża pod sceną. Przynajmniej świetnie było widać scenę, kiedy stało się na jej krawędzi.

Po bombie jaką był **The Night Eternal** rzuciłam okiem na **Evergrey**. Chwała wygodnie rozplanowanym scenom na **Wacken**! Kilkanaście lat temu koncert Szwedów byłby jednym z moich koncertowych celów. Tymczasem zespół tak przebudował swoje brzmienie, kompozycje i wizję zespołu, że nie jest to już "*ten*" **Evergrey**. Dla mnie to już inny zespół - **Evergrey 2.0**. Gdyby jeszcze ekipa **Englunda** grała na żywo stare kawałki - przynajmniej tak utrzymywałabym więź z **Evergrey**. Nie grają. Podczas koncertu na **Wacken** zagrali same kawałki z ostatnich płyt (czego nie widziałam, dopatrzyłam w setliście, którą momentalnie ktoś wrzucił do sieci), jedynie na koniec zagrali świetny, dynamiczny "***A Touch of Blessing***". Przyszłam w dobrym momencie!

Po strzale energii z jaką pozostawiła mnie końcówka koncertu **Evergrey**, z dobrą myślą postanowiłam zobaczyć kawałek występu **Voivod**. Przyznaję, że w ogóle nie znam tego zespołu, ale że - z opowieści, recenzji czy innej wiedzy przyjmowanej drogą szeroko pojętej osmozy - grają thash/prog, uznałam, że będzie to na tyle ciekawe, że przynajmniej zobaczę. Już po pierwszym kawałku odniosłam wrażenie, że to zespół nie dla mnie. Zamiast przystępniejszej wersji **Meshuggah** (tak to sobie w swojej naiwności wyobrażałam) zobaczyłam jakiś cięższy zespół o prezencji **Raven**. Takim niedopasowanym do mojego gustu akcentem zakończyłam przygodę z 32. edycją **Wacken Open Air**.

Ogromnie się cieszę, że mieliśmy na tyle odwagi i pozytywnej lekkomyślności, że mimo obaw ruszyliśmy w drogę. Tegoroczna edycja obfitowała w wiele świetnych muzycznych przeżyć!

Katarzyna "Strati" Książek

Possessed, Poznań, 6 sierpień 2023.

Zniszczenie, pożoga, wrzaski opętanych!

Amerykańska legenda death/thrash, **Possessed**, nawiedziła poznański klub **2Progi**

i doprowadziła do absolutnego amoku zebranych w tym dość kameralnym miejscu. Jak tylko skończył grać ostatni z trzech przedskoczków (na szczęście…) na sali wytworzyło się napięcie. W końcu nawet muzyka z taśmy musiała uznać wyższość miarowego skandowania nazwy zespołu i na ostatnie minuty umilkła.

Na scenie pojawili się punktualnie. Najpierw, przy dzikim aplauzie, na swoim rydwanie wjechał wokalista **Jeff Becerra**. Od razu zrobił sobie fotkę z maniax kłębiącymi się najbliżej. Uśmiechnięty, wyraźnie zadowolony z przyjęcia czekał, aż pozostali muzycy zajmą swoje pozycje. Za perkusją usiadł **Chris Aguirre II**. Jego towarzyszem w sekcji był **Robert Cardenas**, gitarami natomiast zajęli się **Daniel Gonzalez** i **Claudeous Creamer**. I poszli.

Ło jeżu wszechmocny cóż się działo! Wystarczyło kilkanaście sekund żebym był mokry, a przecież stałem i próbowałem zrobić parę zdjęć! Czy to po bokach, czy na środku - pod sceną gęsto. Duszno. Gorąco. Jak w piekle! Języki ognia wydobywające się z głośników smagały dupska. Kolejne numery rozrywały na pół. Na sali totalny rozgardiasz. Młyn nie zwalniał ani na momencik. Wiadomo, że krew bulgotała najmocniej przy klasykach, których tego wieczoru naturalnie nie zabrakło. Grupa postawiła na przekrój repertuaru, więc obok strzałów z debiutu "**Seven Churches**" (pięć), dwójki "**Beyond The Gates**" (dwa) oraz EP "**The Eyes Of Horror**" (trzy) zaserwowali również solidną dawkę utworów z współczesnego albumu "**Revelations Of Oblivion**" z 2019 roku. Przez cały koncert nie zwalniali. Miarowo dokładali do pieca, z wyraźnym zadowoleniem podkręcając już i tak karkołomne tempo. Riffy z mocą piły tarczowej ucinały głowy. Ludzie, nakręceni do granic, decydowali się na stage diving. Niektórzy barierki traktowali jako podwyższenie, by wychylić się tak, by prawie stać się członkiem Possessed. Totalny bzik, pot i krew.

Nie żałuję ani minuty. Miałem na ten koncert nie jechać, ale wdzięczny jestem kumplowi, który w swoim stylu zdopingował przez telefon. Mimo, że nie nazwałbym się szalikowcem grupy, wyszedłem z klubu usatysfakcjonowany w 666%!

Adam Widełka

Evildead, Powerstroke, Poznań, Klub Pod Minogą, 9 sierpiń 2023r.

Po prostu… Annihilation Of Poznań!

Zanim kalifornijski **Evildead** urwał mi łeb, na scenie pojawił się zespół z kraju grubszych frytek czyli belgijski Powerstroke. Piątka sympatycznych mężczyzn postanowiła dać mi po uszach mieszanką groove'u i jakiegoś czegoś -core, co na dłuższą metę smakowało średnio. Kompletnie nie mój świat, choć starali się mocno, abym występ zapamiętał - basista i wokalista ochoczo zeskakiwali ze sceny z zamiarem sprokurowania mosh pitu. Instrumentalnie to fragmentami mógłbym przymknąć ucho, ale za te rozmarzone wokale do ciężkich (powiedzmy) gitar to powinni bez ostrzeżenia wywalać korki. Mimo wszystko jednak sporo osób bujało się w tych rytmach, więc zawsze istnieje ewentualność, że to ja się nie znam.

Na szczęście czas biegnie w swoim

tempie. Kiedy wskazówki ustawiły się w pozycji mała na dziewiątce, a duża na dwójce, zapaliły się światła i Belgowie zaczęli zbierać swoje klamoty robiąc miejsce dla amerykanów. W końcu przyszedł ten moment - pierwszy raz w Polsce **Evildead** rozpoczęło swój show! Od pierwszych sekund czuć było niesamowitą atmosferę. Klimat na sali zmienił się o 180 stopni i przyniósł uderzenie bezlitosnego, thrashowego huraganu, połączonego z gradem wielkości kapusty! Podmuchy riffów wyginały karki - gitarzyści **Juan Garcia** i **Albert Gonzales** cięli równo. Ich partie szatkowały powietrze wprawiając w ruch młyn, którego moc już na samym początku koncertu przekroczyła bufor bezpieczeństwa! Bardzo aktywny i uśmiechnięty **Karlos Medina** na gryfie swojego basu wyczyniał cuda doprowadzając czasem palce do iście gimnastycznych układów. Głównie jednak wtórował gęstym akompaniamentem dla schowanego z tyłu **Roba Alaniza**, którego szybkie uderzenia wprawiały w ruch tłoki maszyny. No i **Phil Flores** wykrzykujący linijki tekstów z mocą potężnego, stolarskiego takera, wyraźnie poruszony przyjęciem przez opętaną thrashem publikę.

Repertuar opierał się na klasykach i garści kawałków z świetnego powrotu po latach, jakim niewątpliwie jest "***United States Of Anarchy***". Usłyszeć można było też premierowy singiel "***Bathe Of Fire***", który utrzymany w dość nietypowym rytmie zapowiada zbliżający się wielkimi krokami najnowszy materiał. Każdy numer wystrzeliwany ze sceny przeszywał na wylot, druzgocąc po drodze narządy i układ nerwowy. Do tego jeszcze ten kameralny klimat panujący w klubie. Muzycy nie są tu na wyciągnięcie ręki, a raczej na dotknięcie palcem, co znacznie zacieśnia przestrzeń, dając możliwość absolutnie wyjątkowych przeżyć.

Po wczorajszej dawce energii i totalnej dziczyzny, ale również szczerej serdeczności członków zespołu, nie mogę się już doczekać kolejnego spotkania z **Evildead**. Ze znajomymi ucięliśmy sobie rozmowę z **Albertem Gonzalesem**, w której między innymi napomknął, że z przyjemnością wrócą do Polski. Pozostaje więc tylko czekać!

Adam Widełka

XXXX-Lecie Vader
Vader. Frontside, Dopelord, Tama, Poznań, 3 września 2023

Do dusznej sali poznańskiego klubu Tama wpadłem przy dźwiękach otwierającego stawkę **Dopelord**. Pochodzący z Lublina zespół, najmłodszy tego wieczoru stażem, zrobił na mnie o wiele lepsze wrażenie niż ostatnio

U Bazyla. Być może wtedy w powietrzu był jakiś dziwny fluid, wczoraj natomiast żarło niesamowicie. Posępny stoner/doom metal wypełniał przestrzeń co do centymetra. W sumie nie dało się umknąć przed "sabbathowym" klimatem - obszerne fragmenty pachniały jak zaginione nagrania z sesji do "**Master Of Reality**". Jednak dwa razy nie musieli powtarzać - z przyjemnością poddałem się nastrojowi grozy otulonego w oparach narkotycznych riffów. Tworzyli specyficzną aurę gdy miarowo posuwali się do przodu, zgrabnie jednak potrafiąc przyspieszyć. Wtedy to panowie wpadali w swoisty trans, rażąc publiczność zaraźliwą motoryką. Finalnie odebrałem koncert na tyle dobrze, że postaram się szerzej zainteresować dorobkiem formacji i nie wykluczam odwiedzin na kolejnych występach!

Po chwili przerwy scenę klubu wziął we władanie **Frontside**, którzy to na tej trasie obchodzili własną rocznicę trzydziestu lat działalności. Z tej okazji w pewnym momencie mikrofon przejął pierwszy wokalista Astek i wyraźnie natchniony sytuacją bardzo przekonująco rozprawił się ze swoimi numerami. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie byłem fanem twórczości ów dżentelmenów, więc wczorajszy występ przyjąłem dość obojętnie. Publiczność natomiast żywo reagowała na to, co działo się na scenie. W pewnym momencie nawet rozkręcił się młyn, co tylko napędzało muzyków do wykrzesania z siebie jeszcze kilkunastu procent energii. Dla sympatyków sosnowieckiej formacji wieczór ten (jak i trasa) na pewno zapisze się wyraźnie w pamięci przez sięgnięcie po sporo, jak dobrze wychwyciłem, starszego materiału. Ja natomiast skorzystałem z okazji do zapoznania się z muzyczną propozycją **Frontside** i zaakceptowałem dźwięki dochodzące do moich uszu. Mimo wszystko jednak podziękuję, ale życzę kolejnych trzydziestu aktywności zawodowej!

Gdzieś piętnaście po dwudziestej pierwszej rozpoczął się ostatni akt wieczoru. Najpierw intro - tym razem słynna melodia **Jerzego Matuszkiewicza** z serialu "**Stawka większa niż życie**" wprowadziła do spotkania z olsztyńską machiną wojenną. Przy snopach iskier zaczęli z impetem jakby trasę właśnie zaczynali, a nie kończyli. Czterdzieści lat kariery zamknięte w jakichś dwóch godzinach absolutnie energetycznego koncertu. To był

prawdziwy poligon! Słupy dymu, żywy ogień i rozpędzony do granic death metal. Pełen profesjonalizm w każdej sekundzie sztuki. Panowie skoncentrowani, choć nie unikający zabawnych min czy gestów. Pierwotnie po prawej stronie operującego w centrum **Generała Petera** na gitarze **Pająk**, bardzo aktywny, ruchliwy, a po lewej bardziej statyczny, ale punktujący precyzyjnie basem **Hal**. Z tyłu, na podwyższeniu swoje królestwo miał **Michał Andrzejczyk**, nokautujący nuklearnymi uderzeniami. W życiu nie widziałem słabego koncertu **Vader**, a ten od początku do końca chłonąłem tak, jakby był moim pierwszym! **Peter** w krótkich przerwach opowiadał o kolejnych ważnych etapach w karierze grupy, wprowadzając do muzycznych ilustracji. Utwory ułożyli chronologicznie, więc można było odnieść wrażenie uczestnictwa w przyspieszonej lekcji historii opartej na prawie wszystkich studyjnych wydawnictwach. Po rozprawieniu się z wczesnymi kompozycjami przyszedł czas na rzeczy z lat 1997-2006, kiedy gitarzystą był **Maurycy "Mauser" Stefanowicz**, który w tym obszernym fragmencie pojawił się na scenie podczas polskich koncertów. Widać było, że ponowne odegranie tych kawałków sprawiło mu to dużo frajdy. Drugim gościem pod koniec pełnego setu okazał się... **Titus**! Z właściwym sobie luzem i manierą zakomunikował klasykę - "***Overkill***" **Motorhead**, w którym czuć było procent kwasowości… Po tym co się działo można było zacząć wątpić w siły muzyków, ale właściwy finał nastąpił chwilę później, gdy wybrzmiało prehistoryczne "***Tyrani piekieł***" z pirotechniką w stylu **Kiss**.

Formę **Vadera** idealnie podsumowuje linijka tekstu z słynnej, tytułowej piosenki pewnego serialu: "*I chociaż czas pogania, śmiej się z tego drania, Ciebie na wiele jeszcze stać*".

Stać, oj stać… Kolejnych czterdziestu w zdrowiu, chylę czoła!!!

Adam Widełka

Smoulder, Tower, Sagittarius, Klub Alive, Wrocław, 5 września 2023

Igor Waniurski: Gdyby czasy sprzyjały tradycyjnym odmianom heavy metalu, mógłbym przysiąc, że **Tower** szturmem i na złotej karocy wjedzie do panteonu sław tej muzyki. Prawda jest jednak taka, że tym pochodzącym z Nowego Jorku zespołem interesuję się garstka zapaleńców, czego dowiodła mizerna frekwencja, zarówno na wrocławskim, jak i odbywającym się dzień wcześniej w Warszawie koncercie grupy. A szkoda, bo jeśli we współczesnym, młodym stażem heavy metalu płyną gdzieś soki witalności, to właśnie w grupach takich jak **Tower**. Dowodzi tego ostatnie studyjne dokonanie grupy, znakomity album "**Shock to the System**". Dowodem ich przekonywującej energetyczności był również koncert, jakiego świadkiem była niezbyt licznie zgromadzona w klubie **Alive** publiczność.

Najjaśniejszym elementem zespołu jest bez wątpienia wokalista **Sarabeth Linden**. Z wyglądu przypomina nieco **Amy Winehouse** (to chyba kwestia podobnego makijażu) i to porównanie również może tyczyć się jej warunków głosowych. **Sarabeth** to po prostu fenomenalna wokalistka, która, w dodatku, świetny śpiew potrafi wzmocnić charyzmą i sceniczną wyrazistością. Wokalistka sprawiała wrażenie opętanej, wcielającej się jakby w rolę kapłanki rodem z dawnego horroru, odprawiając jakieś, sobie tylko zrozumiałe rytuały. Nie zrozumcie mnie źle, to sceniczne szaleństwo nie było żadnym pozorem, który mógłby przykryć brak przemyślanego wizerunku. Jednocześnie, było w niej, podobnie jak w całym zespole, tyle spontanicznej wybuchowości, że przekonałoby to bodaj największego przeciwnika takiej muzyki.

Nie byłoby jednak uczciwy, gdybym twierdził, że Sarabeth skradła występ swoim towarzyszom. Wszyscy muzycy **Tower** na scenie czują się jak ryby w wodzie i wydawało się, że zaraz rozniosą ją na kawałki. Gitarzyści **James Danzo** i **Zak Penley** (ten drugi wygląda jak podrośnięty Dustin Henderson ze "Stranger Things") grali niczym nawałnica, co rusz przyjmując pozycję "*plecy w plecy*", niczym ich dawni herosi z **Iron Maiden**. Grający na basie **Phillipe Arman** wygląda jak urodzona gwiazda rocka, nawet nieco przegięta, co tylko dodaje jego scenicznej personie uroku. **Keith Mikus** za perkusją jest po prostu zwierzęciem. Muzyka **Tower** stawia ekspresję i dzikość ponad nadmierną precyzję wykonania (proszę nie czytać tego, jakoby coś w tym graniu się nie zgadzało!) i dla mnie jest to wzorzec, jakim należałoby rozumieć czym jest heavy metal. Nie chciałbym porównywać muzyki, ale czuję, że podobna atmosfera, jak w **Alive**, panowała pod koniec lat siedemdziesiątych w pubach londyńskiego East Endu, gdzie wykuwały się klasyczne dla tego nurtu zespoły.

W repertuarze dominowały utwory z ostatniego, drugiego zarazem albumu, w tym mój ulubiony "***Prince of Darkness***". Powroty do starszego materiału były bodaj dwa, "***Elegy***" i "***Dead or Alive***". Ciekaw jestem, co przyszłość przyniesie Tower i czego jeszcze będą nam w stanie dostarczyć. Choć wiem, że w najbliższym czasie może nie okazać się to łatwe, gdy tylko będziecie mieli okazję zobaczyć ten zespół na żywo, nie wahajcie się ani chwili. Jeśli się na to zdecydujecie, będziecie ów koncert wspominać bardzo długo.

Strati: W ostatnim wywiadzie dla Heavy Metal Pages **Sarah Ann**, wokalistka **Smoulder**, wyznała, że przed koncertem na **Helicon Metal Festival** ogarnęła ją lekka trwoga. Oceniła nasz kraj jako konserwatywny i religijny (zgaduję, że gremialne śpiewy "Hallelujah!" podczas występu Evangelist nie pomogły w zmianie nastawienia), mężczyzn jako narzucających się, a publikę wrogo nastawioną.

Nie wiem czy fakt, że w czasie samego koncertu zaklęcie "*wrogości*" zaczęło opadać, czy sprawiły to czary chłopaków z **Helicon**, ale **Sarah** odważyła się ponownie zaśpiewać dla polskiej publiki. Dwa razy! Zaśpiewać to jedno, ale... odegrać koncert, to drugie! **Sarah** występuje na scenie całą sobą. Wznosi ręce z niewidzialnym mieczem, omdlewa niczym w transie, strzela oczami, okręca się kablem od mikrofonu, odczynia czary. Wszystko w rytm epickich hymnów z repertuaru **Smoulder**.

Nie inaczej było podczas wrocławskiego koncertu w **Alive**. Zespół zaprezentował kawałki z obu dotychczas wydanych płyt, czego zwieńczeniem były dwa najpotężniejsze "*hiciory*" zespołu. O ile "***Ilian the Garathorm***", moim zdaniem najlepszy utwór formacji, ma w sobie coś szalenie koncertowego, coś, co składania publikę do wspólnego śpiewania i wznoszenia pięści, o tyle "***Sword Woman***" to piękny fenomen. Kawałek narracyjny, bez nachalnie powracającego refrenu, a jednak w swojej majestatyczności urósł do rangi koncertowego klasyka **Smoulder**. Z jednej strony świadczy to o świetnie rezonujących z zespołem odbiorcach. Właśnie tego - epickiego, wzniosłego, nietandetnego heavy metalu oczekujemy. Z drugiej strony zaś, przypomina, jaką totalnie niszową muzykę gra **Smoulder**.

Ile fanów heavy metalu da się złapać na tę narracyjną, nienachalną estetykę? Niewielu. Na wrocławskim koncercie było naprawdę skromne grono słuchaczy. Dobrze, że koncert się odbył w takim mikroklubie jak **Alive**, bo kameralna scenka niewiele pewnie różniąca się od salek prób, w których ćwiczą kapele, i niewielki parkiet idealnie otulił publiczność niwelując efekt pustki. Może i grono skromne, ale nieprzypadkowe. Widziałam kilka tych samych twarzy, co na festiwalu **Helicon**. Ludzie znali teksty, śpiewali, a z koncertu wychodzili z merchem i płytami (a przecież kilka, kilkanaście lat temu takie zjawisko było marginalne). Na domiar dobrego - koncert brzmiał bardzo dobrze, odbył się - to już wyznacznik **Helicon Metal Promotions** - punktualnie. Ja ten **Smoulder** odebrałam lepiej niż kiedy grali w marcu. Tylko ta reklama koncertu **Łydki Grubasa** wyświetlana podczas potężnego "***Ilian the Garathorm***"!

Igor Waniurski & Strati

Summer Dying Loud XIV, Aleksandrów Łódzki, 7,8,9 września 2023

Rozpoczął się nowy tydzień. Myśli zaczynają krążyć spokojniej, a kurz ostatecznie został zmyty z butów. To dobry moment by na spokojnie podsumować wydarzenia tegorocznej edycji **Summer Dying Loud**.

Trzy dni zamknięte w dość krótkim tekście? Próba karkołomna, ale nie niemożliwa! To naturalnie tylko szkic, nakreślenie grubą kreską tego, co podczas 7, 8, 9 września już

po raz czternasty opanowało Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji im. Włodzimierza Smolarka w Aleksandrowie Łódzkim. Nie wszystko da się przekazać, nie wszystko można przekazać i, co chyba zrozumiałe, wszystkiego nie da rady zobaczyć w pełnym wymiarze czasu. Kolejna odsłona festiwalu - kolejne przygody, spotkania, emocje. Czy to był najlepszy odcinek tej serii wyprodukowany przez niezłomną ekipę **Tomasza Barszcza**? Szybko odpowiem, że nie, bo dla mnie każdy jest tym naj! Chylę czoła i zdejmuję kapelusz przed ludźmi, którzy co roku stają na rzęsach dopinając wszystko na ostatni guzik. Wiadomo - są pewne niedociągnięcia, ale przy ogromie pozytywów giną jak łza na deszczu. W porządku, zgodzę się, że linia toj-tojów mogłaby być bliżej, że mogłoby być ich więcej. Że w **Krypcie**, czyli małej scenie, przydałaby się jakaś wentylacja. Że... To w sumie tyle. Reszty się nie czepiam, bo to wszystko kwestia indywidualna. Zresztą skupiłem się na muzyce, a nie wyszukiwaniu błędów - jasne, tak najłatwiej, ale zostawię to innym. A, jeszcze zamykając temat, to bardziej niż za ciepła **Krypta** problemem, dla mnie oczywiście, byli ludzie nie umiejący uszanować, na przykład, zakazu palenia pod sceną. Pety odpalane bez litości i chuchanie tym smrodem dookoła... Dobra. Koniec. Kurtyna. Teraz muzyka.

Z dużej sceny widziałem 28 z 30 zespołów. Rzadziej pojawiałem się we wspomnianej już **Krypcie**. Nie tyle z powodu temperatury, a tego, że w podobnym czasie grało coś dla mnie ciekawszego. No i też chciałem chwilę usiąść pod namiotem, odpocząć, spotykać się z ludźmi, pogadać. Ten festiwal to przede wszystkim przyjaźnie, znajomi - co roku odlicza się ekipa, z którą te trzy dni mijają jak pstryknięcie palcami, a dźwięki płynące ze sceny często są niczym soundtrack do tętniącego życia wśród rozbitych apartamentów...

W czwartek ruszył stawkę **Misguided**. Równo o 13:00 na scenę weszło toruńskie trio proponując mieszankę death/hardcore. Pograli całkiem spoko, ale to jeszcze był czas aklimatyzacji, zresztą dla mnie festiwal zaczął się godzinę później. Mimo, że widziałem ich już kilka razy to zawsze chce się więcej - **Gallower**. Klasyczny thrash/black z domieszką speedu rozruszał zebranych. Widać było, że część publiki przyszła o tak wczesnej porze specjalnie dla trójki młodzieńców, którzy bezwzględnie rozprawili się z krótkim czasem. Zaserwowali to, co najlepsze i zeszli ze sceny zostawiając bezwładną publikę. Szkoda, że nie mogli grać trochę później, ale... Nie ma co już kruszyć kopii. Harmonogram był i tak mocno napięty. Zaraz po nich **Czerń**. Jak się miało okazać, pierwsze podejście podczas **SDL**. Po trzech kawałkach ociekających sludge/post metalem wysiadła aparatura nagłaśniająca i grupa zmuszona była czekać na reakcję techników. W tym czasie wokalista zamienił się w kabareciarza, próbując sił w swoistym standupie. Niestety usterka pokonała muzyków, jednak dostali szansę drugiego występu w sobotę. Ładny gest. Dłuższą przerwę wykorzystałem więc na sytuacje towarzyskie, a około 16:00 miała zacząć swój show **Hostia**. Kompletnie nie kumam tematu, więc tylko stałem przysłuchując się i obserwując co się dzieje. Publiczność wydawała się jednak zachwycona, zespół pruł ostro do przodu, także chyba ten punkt programu musiał się udać. Spoko - może kiedyś też się skuszę. Natomiast kolejna propozycja - **Entropia** - okazała się bardzo klimatyczna, lekko kosmiczna. No, przynajmniej te fragmenty, w których uczestniczyłem. Kciuk w górę i leciałem zajrzeć pierwszy raz na małą scenę, gdzie działał już **Trup**. Całkiem nieźle sobie panowie poczynali racząc zebranych sludge/black metalem. Stamtąd udałem się szybko na dużą scenę gdzie pojawił się **Squash Bowels**. Oj, to był srogi cios! Działająca od 1994 roku białostocka załoga zaproponowała solidną dawkę goregrind. Energia, moc, szaleństwo. Ciało stopniowo przepuszczane przez istną maszynkę do mięsa. Wszystkiego dopełniały wizualizacje mocno powiązane z tematami tekstów, co przekładało się na absolutnie smaczną sztukę!

Po nich przyszedł czas na skrzyżowanie **Joy Division**, **Killing Joke**, **Sisters Of Mercy** i **Roxy Music** czyli **Grave Pleasures**. Bardzo melodyjne, ale zagrane z pazurem kawałki. Natchniony śpiew i otulające, klawiszowe pasaże. Bardzo specyficzny koncert, generalnie muzyka nie dla każdego, ale mogąca jak najbardziej się podobać. Z uwagi na rozwijające się sprawy towarzyskie zrezygnowałem z wycieczek na małą scenę i skupiłem się na wydarzeniach bliżej pola namiotowego. Wieczór robił nastrój, na scenie właśnie instalowali się Norwegowie z **Enslaved**. Nigdy nie byłem fanem, więc może dlatego okropnie się wynudziłem, zwłaszcza, że oparli swój set o nowsze dokonania. Brzmiało to wszystko jak w dyskotece, kompletnie mi się nie podobało, więc poszliśmy z kumplami do strefy gastro, żeby nabrać sił przed niekwestionowaną gwiazdą pierwszego dnia.

Wybiła 22:30 i na scenę wkroczył **Coroner**. **Ron Royce** (bas/wokal), **Tommy T. Baron** (gitara) - 2/3 klasycznego składu w mega formie z towarzystwem bębniarza **Diego Rapacchiettiego** (od 2014 roku) i odpowiedzialnego na żywo za sample i klawisze **Daniela Stossela**. Ścisłe Top festiwalu. Koncert perfekcyjny w każdym calu. Wszystko zagrane w punkt. Gitara cięła jak piła. Bębny i bas wgniatały w ziemię. Dobór kawałków - idealny. Cztery z "**Grin**", trzy z "**Mental Vortex**", reszta z pozostałych dokonań, nawet zahaczając o najwcześniejsze. Absolutne mistrzostwo świata i okolic nie tylko dla mnie. Wiele twarzy tym technicznym thrash metalem było rozpromienionych aż do samego końca **Summer Dying Loud**... Kończących dzień panów z **Blindead 23** słuchałem już leżąc w namiocie, ale nie spowodowali, żebym nagle ubrał buty i pobiegł pod scenę. Zresztą tego dnia szwajcarska maszyna była bezkonkurencyjna.

Piątek miał być niby najspokojniejszy, ale jak się okazało, przyniósł również parę pięknych momentów i na koniec rozłupał czaszkę. Od 13:00 swój czas miała młodzież z **.bHP**. Szturmem zdobywają uznanie publiki, choć do mnie żaden dźwięk z ich półgodzinnego koncertu nie trafił. Rzecz dla lubiących numetal i metalcore - fani oldschool metalu nie mają czego szukać. Za to już kolejny zespół - **Mag** - zgodnie z nazwą przyniósł trochę okultyzmu i magii. Ich stoner/sludge/doom wyróżniał się śpiewanymi po polsku tekstami dotyczącymi powyższych. Wypadli nieźle, zwalniając miejsce dla katowickiego **Planet Hell**, którzy zaprosili publiczność do uczestnictwa w gwiezdnych misjach okraszonych progresywnym death metalem. Całkiem w porządku, choć w domu bym tego za często nie słuchał. Po nich na scenie zameldował się **Distruster** z ultra szybką mieszanką crust/speed/death metalu wprawiając młyn na najwyższe obroty. W stu procentach nie przekonali, ale fragmenty z typowo motorheadowym traktorem były pyszne! Po chwili dla techników zmiana klimatu na space stoner/hard rock w wykonaniu Szwedów z **Motorowl**. Przyjemne granie z próbą przeniesienia w lata 70. Bez szału, lecz przyzwoicie, miła odskocznia od gęstych i ciężkich dźwięków. Jednak chwilę po 18:00 na wypoczęte uszy spadły ich tony! Francuskie **Fange** wręcz wbiło w kostkę brukową pod sceną. Industrial/sludge/death w totalnie ekspresyjnym przekazie wszystkich muzyków - co ciekawe grali bez perkusji, opierając potężne brzmienie na gitarach, basie oraz tajemnych maszynach. Po tak zwalistej muzyce przydał się oddech. Ukojenie znalazłem w **Krypcie** słuchając przepięknego koncertu trzech islandzkich dziewczyn - **Kaelan Mikla**. Fenomenalne brzmienie i lekkość. Przestrzeń, chłód i absorbujące zmysły wykonania. W pewnym momencie zamknąłem oczy i poddałem się cudownej muzyce, relaksując duszę.

Kiedy wracałem na dużą scenę w środku swojego koncertu była już **Furia**. Frekwencyjnie chyba ścisłe top festiwalu. Podobno dawno nie grali koncertów czy coś. Nie wiem - nie mój klimat. Też nie jestem blackowy, nie czuję fenomenu **Nihila** i kolegów.

Rzuciłem uchem i udałem się do obozu zjeść smażoną kiełbasę. Katatonia też nie należy do moich ulubionych zespołów. Możliwe, że starsze albumy mogłyby mi się podobać, natomiast współczesne dokonania Szwedów to po prostu dobre piosenki. Nic ponadto. Ich pobyt na scenie umilał czekanie na **Dismember**. W końcu death metalowa maszyna ruszyła, bez litości zabierając po drodze publiczność razem z ziemią. Zagrali cały debiut plus kilka kawałków lat 90. Konkretny, szorstki strzał z naleciałościami heavy metalowymi. Absolutny amok i dziczyzna. Mimo, że nie jestem die hardsem śmierć metalu to ten koncert porwał mnie wysoko. Grupa nakręciła tak mocno, że nie miałem dość. Udałem się do **Krypty** by się pysznie dobić - po sobie grały tam dwa wulgarne składy. Najpierw **Authopagy** (widziałem tylko niecałe pół koncertu, bo dojście zajęło mi trochę) a później totalne zniszczenie zafundował **Sedimentum**. Tego było potrzeba, by lepiej się spało. Wściekły, gęsty death metal z black sabbathowskimi elementami. Perfekcyjne zamknięcie drugiego dnia festiwalu i na pewno odkrycie z całej stawki.

Wszystko co dobre szybko się kończy. Na szczęście pogoda nie zepsuła pożegnania - sobota miała być bardzo intensywna. Najpierw drugie podejście grupy **Czerń**. W samo południe zaprezentowali się ponownie przyciągając publiczność mimo prażącego słońca. Później uszy zaatakowała **O.D.R.A.** ze swoim posthardcore/sludge, przyciskając dusznym klimatem. Dalej poprawiła **Gorycz** fundując wycieczkę w rejony awangardowego black metalu… Panowie wyglądali jak z przeglądu piosenki aktorskiej, pięknie prezentując się w identycznych garniturach, za to muzycznie wystawili mój organizm na próbę - chyba było to zbyt smutne i cierpkie… Jeszcze tylko chwila z deathcore/metalcore krakowskiego **Drown My Day** i człowiek powoli mógł się szykować na główne dania wieczoru. Tego dnia tylko raz zawitałem na małą scenę by chwilę zawiesić ucho w klimatach drone/ambient jakie proponowała grupa **Arrm**. Muzyka na pewno wymagająca skupienia i podejścia "*na spokojnie*". W pędzie festiwalowym coś mogło umknąć - postaram się gdzieś zetknąć z ich dokonaniami.

Year Of The Cobra. Słuchając ich przed **SDL** uznałem, że dam szansę. Czymś mnie **Amy** i **Johanes Barrysmith** zaciekawili… Natomiast na żywo było to co najmniej średnie. Wykonawczo - jasne - bardzo dobrze, ale repertuarowo odczuwałem wrażenie jednego i tego samego utworu. Widocznie postawili na snujące się takie stonerowo/doomowe klimaty, rezygnując z motoryki. Szkoda, że w pełnym secie nie zagrali coveru "***Have A Cigar***" **Floydów** wybrzmiewającego przez moment na próbie, bo podeszli do niego w sposób co najmniej intrygujący… Dzień wchodził w decydującą fazę. O 17:00 Niemcy z **Attic** rozniecili kadzidło i solidny heavy metal z szczyptą black. Można było mieć z nimi zagwozdkę, bo wizerunkowo i brzmieniowo strasznie przypomina to **Mercyful Fate**. Mimo niezłego warsztatu jawili się trochę jak naśladowcy bez własnego pomysłu. Z drugiej jednak strony grupa składa tym hołd dla duńskiego pierwowzoru. Tak czy siak dobry koncert. Bawiłem się znakomicie. Chyba było to też jedyne na **SDL** tak osadzone w klasyce heavy granie.

Potem ludzi zebrało się multum. Chyba rekord frekwencji z całego festu. **Owls Woods Graves** przyłożyli konkretnie rozkręcając gigantyczny młyn. Black/punk oparty gdzieś na fundamencie chociażby **Misfits** zachęcał momentami do tańca. Panowie młócili ostro, trzymając szybkie tempa od początku do końca występu. Ja jednak pod sceną zabawiłem raptem chwilę. Niekoniecznie w tym momencie aż tak mnie to porwało. O 20:00 natomiast porządek przyszli zrobić Brytyjczycy z **Benediction**. Kolejny znakomity, death metalowy strzał prosto w twarz. Bez taryfy ulgowej, bez patrzenia się na cokolwiek. Szli jak po swoje, na luzie rzucając wygłodniałej publiczności przekrój dyskografii z ciut szerszą reprezentacją "**Scriptures**" (2020), pozostającego jak na razie ostatnim albumem. Ludzi pod sceną nie ubywało. Trochę czasu na przygotowanie sceny i swój koncert mógł rozpocząć **My Dying Bride**. Dla wielu był to piękny wieczór, bardzo wzruszający. Dla mnie, mimo dobrego brzmienia, okazał się jednak ciut za smutny, więc żeby nie zrobić nic głupiego poszedłem coś zjeść. Chciałem być w pełni sił kiedy na scenie pojawi się legendarny **Candlemass**. Szwedzi przyłożyli tak, że odbiła się cola z komunii. Totalny konkret, moc i swoboda. Set złożony tylko z trzech pierwszych albumów - istna petarda. Numery **Marcolina** zaśpiewane z estymą. Po prostu trzeba było to przeżyć, bo pisać o tym jest zbyt karkołomnie… Podium tej edycji bez zbędnego wyjaśniania.

Jeszcze tylko **…And Oceans** ze swoim metalem w pięciu smakach i można było iść spać. W sumie za długo nie zabawiłem pod sceną, bo czułem potężne zmęczenie. Reszty koncertu Finów słuchałem już pod namiotem rozmawiając z kumplem, ale nie czułem w tym nic nadzwyczajnego. Trudno, może się nie znam… W niedzielę szybkie śniadanie, zwijanie obozu i udanie się w drogę do domu by uporządkować myśli, porządnie się wykąpać i, naturalnie, zacząć odliczanie do kolejnej, piętnastej, jubileuszowej edycji **Summer Dying Loud**!

Adam Widełka

Blind Guardian, Scardust, Centrum Koncertowe A2, Wrocław, 25 wrzesień 2023.

Iggy: Blind Guardian nie jest nazwą, którą wypadła sroce spod ogona. Jest to mój ulubiony niemiecki zespół power metalowy. Reprezentujący to, co w tym gatunku uważam za najlepsze - energię, świetne melodie, epicki i baśniowy klimat, jednocześnie niepopadający w nieznośną śmieszność (a przynajmniej, robiący to bardzo rzadko). Chociaż w formatywnych dla tego stylu latach, grupa wydawała się funkcjonować w cieniu tuzów, takich jak **Helloween**, **Running Wild** czy **Rage**, to prawdziwie rozbłysnęła wtedy, gdy tamte zaczęły przygasać. Owi muzycy zaczynali swoje kariery miej więcej w podobnym okresie, z wyjątkiem nieco starszych weteranów z **Running Wild**, a jednak, na swój otwierający karierę album długogrający, **Guardiani** czekali aż do 1988 roku. Być może to późniejszy debiut spowodował, że swoje najlepsze dokonania zespół wydawał, wtedy, gdy pionierzy gatunku dostali zadyszki. Myślę, że zgodzicie się ze stwierdzeniem, że połowa lat dziewięćdziesiątych nie jest najlepszym okresem w twórczości **Helloween**, **Running Wild** czy dla metalu w ogóle. A jednak to wtedy bo-

haterowie niniejszego tekstu, przed wyruszeniem w drogę zebrali drużynę, co zaowocowało najciekawszymi przygodami, zebranymi w dziełach takich jak "**Imaginations From the Other Side**", "**Nightfall in Middle-Earth**" czy "**Somewhere Far Beyond**".

Blind Guardian w trasie po Europie byli już rok temu, z okazji trzydziestej rocznicy wydania ostatniego z wymienionych przed momentem albumów. Niestety, choć występowali w okolicy - mieliśmy okazję zobaczyć ich znakomity koncert w Dreźnie, ominęli wtedy Polskę. Tym razem nadrobili to z nawiązką, występując u nas aż dwa razy. W tym, po raz pierwszy we Wrocławiu. Zespół zapowiedział, że nie będzie powtórki z rozrywki. Mieliśmy przecież być świadkami trasy promującej, póki co najnowszy krążek, "**The God Machine**". Wybierając się do **A2**, zastanawiałem się, czy grupa sprosta oczekiwaniom, które tak rozbudził zeszłoroczny koncert? Odpowiadając krótko, tak się stało, choć nie było się również bez drobnych wpadek technicznych. Jakich? To znajdziecie już w tekście mojej redakcyjnej koleżanki.

Strati: Zeszłoroczny koncert, na którym zespół grał całe "**Somewhere far Beyond**" nadał nieco ton obecnej trasie. **Guardiani** mają ograną całą wspomnianą płytę i mogą cwaniakować. We Wrocławiu z tego albumu zagrali "***Bard's Song***" i "***Ashes to Ahes***". Dzień później, w Warszawie zamienili sobie "***Ashes to Ashes***" na "***The Quest of Tanelorn***". Swoją drogą nie można im zarzucić sztywnego wystudiowania, bo jak się poczyta o obecnej trasie to i znajdzie się koncert w Krefeld, na którym zagrali... "***Barbara Ann***" czy "***Brian***". Cóż, w rodzinnym mieście, wśród swoich najwyraźniej mogą sobie na takie szaleństwa pozwolić.

Obecna trasa jednak przebiegała pod hasłem "**The God Machine Tour**". Niemal do końca nie było wiadomo, co zespół na niej zagra, bo choć Niemcy grali już festiwale, zespół "*udawał*", że "**The God Machine**" jeszcze pełną gębą nie wyszła i nie wychylali się zbytnio z kawałkami z najnowszego krążka. My mieliśmy już okazję liznąć tej płyty na wspomnianym przez **Yggy'ego** koncercie w Dreźnie, kiedy ze sceny zagrzmiał "***Violent Shadows***". Tak było i tym razem. Prócz tego kawałka, który wypadł naprawdę mocarnie i

spójnie wybrzmiał po "***The Script for my Requiem***", Niemcy zagrali także "***Deliver us from Evil***" oraz "***Blood of the Elves***". Przy "***Deliver...***" odczułam mały zgrzyt, ponieważ mam wrażenie, że dynamikę refrenu w tym kawałku tworzą chórki, które na żywo w zasadzie zginęły. Za to "***Blood of the Elves***" został okraszony sympatycznym wstępem, w którym **Hansi** nawiązał do polskich korzeni sagi o "**Wiedźminie**" (już teraz tematyka kawałka była dla wszystkich jasna, ale ja rok temu, w pierwszej chwili, gdy zespół wypuścił singla, nie "*połączyłam kropek*". Elfy? Nic nadzwyczajnego, **Guardian** lubi pisać o elfach!).

Choć motywem przewodnim trasy była ostatnia płyta, **Guardiani** zagrali tyle samo kawałków z - ich zdaniem najlepszej płyty - "**Nightfall in the Middle Earth**". Ta płyta to punkt odniesienia dla wielu fanów... ale i właśnie też dla samego zespołu, który wciąż ma na oku azymut tego albumu, nie planuje jednak nigdy go kopiować ani nagrywać "*part II*". Niektóre płyty zostały w setliście pominięte, a niektóre bardzo ciekawie rozegrane. Na przykład jeśli chodzi o "**A Twist in the Myth**", Niemcy odpuścili sobie długo forsowany na przebój kawałek "***Fly***". Zamiast niego zagrali "***Skalds and Shadows***". Jak usłyszałam samą zapowiedź kawałka od razu ucieszyłam się, że "***A Twist in the Myth***" najpewniej mamy już odhaczone. Nie jest to najlepsza ballada **Blindów** w ich karierze, ale wybór tego kawałka jako reprezentanta tej płyty był chyba całkiem pomysłowy i sprytny, zwłaszcza, że ludzie naprawdę domagają się tego wspólnego bardowskiego śpiewania z **Hansim**. Oczywiście śpiewanie było też na większą skalę - na szczęście nie zabrakło wspominanego "***The Bard's Song***", który już tradycyjnie w dużej mierze odśpiewują za **Hansiego** oraz absolutnie magicznego "***Lord of the Rings***". Rzecz jasna **Blind Guardian** zaspokoił także nasze zapotrzebowanie na stare, agresywne kawałki: zmyślnie "***Valhalla***" poszła pod koniec koncertu, bo fani czasem potrafią nie dojść do głosu **Hansiemu**, kiedy wielokrotnie śpiewają refren "*w pętli*", a granie "***Majesty***" w Polsce to już tradycja. Jako jeden z tak zwanych bisów Niemcy zagrali "***Sacred Worlds***". Ten kawałek, podobnie jak "***Fly***" był promowany na koncertach jako kolejny "hit" **Guardianów**. O ile z "***Fly***" nie do końca się udało, to "***Sacred Worlds***" dostał to miano przez zasiedzenie... ale też przez swoją guardianową klasyczność. Wspominany przez **Iggy'ego** ten guardianowy "*epicki, baśniowy*" klimat też zrobił swoje. Fani śpiewali refren, aż miło słuchać!

Pomijam genialną muzykę. Ten zespół nigdy nie robi wizualnie nadzwyczajnego show, ale kradnie serce swoją szczerością, autentycznością i wrażeniem prawdziwego zespołu-grupy kumpli grających metal od garażowych lat szczenięcych. Na scenie były dwa banery, najpierw z wielkim logo kapeli, później z kreaturą z okładki ostatniej płyty. Ciekawie też rzucało się okiem na oświetleniowca, który sterował światłem przy użyciu pałeczek imitujących perkusyjne: każde uderzenie to mignięcie światła na scenie. Jedyną wadą koncertu było płaskie brzmienie, które towarzyszyło nam przez kilka pierwszych kawałków. Na szczęście poprawiło się w drugiej połowie występu na dobre i nie zepsuło odbioru koncertu rzeszy fanów. A w klubie **A2** było naprawdę tłumnie! **Blind Guardian** zagrał w Polsce dwa koncerty i na każdym klub był wypełniony po brzegi. Dla takiej publiki na pewno warto grać, więc trzymam kciuki za kolejne koncerty w naszym kraju!

Igor "Yggy" i Katarzyna "Strati" Książek

Wishbone Ash, Burning Witches, Paul Di'Anno, KK's Priest
Anglia, Październik 2023

Przepiękna muzyka **Wishbone Ash** towarzyszy mi prawie od tego samego momentu, w którym zainteresowałem się w dzieciństwie muzyką metalową. Stanowi ścieżkę dźwiękową do wielu wspomnień z mojego burzliwego okresu dojrzewania. Uzupełniała pustkę po gwałtownych i zbyt częstych przeprowadzkach całej mojej najbliższej rodziny, na jakie w wieku niepełnoletnim nie miałem wpływu, a które mocno mnie dołowały. Największą tragedią, jaka przydarzyła mi się jako nastolatkowi, była przeprowadzka z żywego Wrocławia do pogrążonej we śnie Częstochowy. Straciłem kontakt ze szkolnymi znajomymi. Dla mnie wtedy Częstochowa oznaczała praktycznie koniec świata kresów wschodnich. Buntowałem się w rytm **Metalliki**, koiłem nerwy wraz z melodiami **Wishbone Ash**.

Z dzisiejszej perspektywy bardzo łatwo jest spojrzeć na historię muzyki rockowej i stwierdzić, że **Wishbone Ash** był pionierem harmonii na dwie gitary i wyróżniał się w nie mniejszym stopniu charakterystycznymi harmoniami wielogłosowymi. Niby każdy to wie, ale nie zdziwiłbym się, gdyby bezpośredni świadkowie tamtych wydarzeń wskazali na jakieś kontrprzykłady. Zdaje się, że **The Yardbirds** miało dwóch gitarzystów prowadzących już w 1966 roku, **Fleetwood Mac** w 1967 a **Wishbone Ash** powstało w 1969 roku. Byłbym jednak skłonny uznać, że **Wishbone Ash** stanowił swoisty pomost pomiędzy latami sześćdziesiątymi a tym, co obecnie nazywamy heavy metalem.

Andy Powell to mój idol. Gdy dnia 11 sierpnia 2023 roku otrzymałem propozycję poprowadzenia wywiadu z **Wishbone Ash** na podstawie nowej płyty koncertowej "**Live Dates Live**", natychmiast spojrzałem na ich rozpiskę koncertową i pomyślałem, że koniecznie muszę zrobić to osobiście, choćbym musiał w tym celu wsiąść w samolot.

Sprawdziłem jeszcze, jak brzmi ta koncertówka. Okazało się, że rejestracja płyty podczas koncertu w ogóle nie wpłynęła negatywnie na jej walory dźwiękowe, brzmi soczyście i świetnie mi się jej słucha. Z jednej strony składa się na nią repertuar powtórzony z "**Live Dates**" (1972), ale trudno odmawiać komuś prawa do celebrowania pięćdziesiątego jubileuszu znaczącego dokonania artystycznego. Poza tym, w obecnym składzie tylko **Andy Powell** jest oryginalnym muzykiem **Wishbone Ash**, podczas gdy pozostali dołączyli później. Materiał został więc wykonany przez inny line-up i w kompletnie innej epoce. Mamy do czynienia z odświeżeniem, a nie tylko z powtórzeniem formuły.

Najpierw chciałem udać się na występ **Wishbone Ash** w Gloucester we wrześniu 2023, dlatego że pozwoliłoby mi to wybrać się przy okazji też na wykład **Davida Icke** w Leicester. Nie znam lepszego kandydata na Pokojową Nagrodę Nobla, ale obawiam sie, że siedemdziesięcioletni **David** może nie doczekać się tego za życia, bo zbyt mała liczba wpływowych osób dojrzała do docenienia jego wkładu w szerzenie pokoju na świecie. On jest pionierem, wyprzedza swój czas i zdobywa coraz większe uznanie, ale powoli. Niestety, zanim zaklepałem sobie transport, ten wykład był już wyprzedany. No cóż, musi mi wystarczyć, że wziąłem udział w wykładzie **Davida Icke** w 2017 roku w islandzkiej **Harpie**. Jego książki były w moim domu odkąd pamiętam i zawsze jednak bardziej interesowało mnie czytanie jego książek niż oglądanie jego show.

Inną ciekawą opcją było połączenie koncertu **Wishbone Ash** w Londynie dnia 5 października 2023 z koncertem **Burning Witches + Paul Di'Anno + KK's Priest** dnia 7 października w Birmingham. Promotor przestrzegł mnie jednak, że ochrona w londyńskiej **O2 Academy** może być zbyt ostra a miejscówka zostanie posprzątana natychmiast po zakończeniu show, aby zamienić się w wielką gejowską dyskotekę. To było ostatnie spośród ponad dwudziestu angielskich show tej częściej trasy **Wishbone Ash**, a ja już opłaciłem bilety na samolot na wcześniejszy dzień. Co zrobiłem w tej sytuacji? Na szczęście wyszło mi, że dam radę dotrzeć również na występ **Wishbone Ash** dnia 4 października 2023 w pobliskim Basingstoke. Czasami nazwa tej miejscowości pojawia się w brytyjskiej telewizji w żartobliwym kontekście, bo brzmi jak zlepek kilku słów. Planowo wylądowałbym na lotnisku London Gatwick około godziny 13, koncert zaplanowano na 19, potrzebowałem jednej godziny żeby dojechać taksówką na miejsce, więc ostatecznie uzgodniliśmy wywiad na godzinę 17.

Aby jak najlepiej przygotować się do rozmowy, na której niezmiernie mi zależało, przeczytałem autobiografię **Andy'ego Powell'a** pt. "**Eyes Wide Open: True Tales Of A Wishbone Ash Warrior**" oraz poprosiłem pewnego amerykańskiego dziennikarza muzycznego o feedback pod każdym przygotowanym przeze mnie na piśmie pytaniem. Polecam każdemu, żeby w pierwszej kolejności zapoznał się ze źródłem, bo książka jest ciekawa, przy współudziale autora **Colina Harpera** została napisana lekkim i przyjemnym językiem. Proponuję dopiero w drugiej kolejności sięgnąć do lektury mojego wywiadu. Udało mi się tam uzupełnić wybrane wątki, które w moim odczuciu nie zostały wyczerpująco wyjaśnione w książce, a także dopytałem o sprawy z okresu po jej opublikowaniu w 2015 roku.

W nocy z wtorku na środę 4 paź-

dziernika 2023 roku pojechałem na jedyne islandzkie lotnisko międzynarodowe Keflavík. Mieści się ono kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Reykjavíku a przejazd busem kosztuje około 90 złotych lub 120 złotych z opcją podwózki pod jeden z wielu adresów do wyboru (czyli bliżej domu). Normalnie nie ma sensu przeliczać koron islandzkich na złotówki, ale tak orientacyjnie Wam podaję. Chciałbym przy okazji wspomnieć, że o ile obawiam się chuligańskiego traktowania pasażerów przez ochronę celną Stanów Zjednoczonych, to akurat personel islandzkiego lotniska zachowuje się profesjonalnie i w miarę uprzejmie. Czasami biorą na stronę przypadkowe osoby i trzy razy sprawdzają wszystkie zakamarki bagażu, ale zawsze z zachowaniem dobrych manier i kultury osobistej. Tu na turystów się nie krzyczy ani - w przeciwieństwie do historii rodem z USA - nikt tutaj nie traktuje z góry gości jak dzikich terrorystów. Akurat ja miałem inny problem, bo z powodu silnych wiatrów tablica wskazywała na godzinne opóźnienie mojego lotu. Niezwłocznie dałem znać zespołowi, że mam kilka godzin w rezerwie na dotarcie na wywiad, ale może wystąpić opóźnienie samolotu. Czekając, zakupiłem cztery tradycyjne czekolady islandzkie, produkowane od 1933 roku, dla czteroosobowego zespołu **Wishbone Ash**. Uznałem, że nikogo w ten sposób nie obrażę, a może być im przyjemnie dostać po czekoladzie z miejsca, w którym prawdopodobnie jeszcze nigdy nie grali. I faktycznie, **Andy** ucieszył się i potwierdził, że lubi takie czekoladki.

Po dotarciu do teatru **The Haymarket** w Basingstoke miałem jeszcze godzinkę, więc najpierw zameldowałem się w moim, odległym o dosłownie dwieście metrów, hotelu **The Red Lion**. Po drodze chętnie zjadłem szybki posiłek w McDonald's. U mnie na Islandii nie ma ani jednego McDonald'sa, więc czasami śmieje się, że za granicą chętnie u nich jadam. W drzwiach teatru zobaczyłem zawsze szeroko uśmiechniętego basistę **Boba Skeata**. Pomachałem mu i wpuścił mnie do środka, ale tylko w celu wyjaśnienia, że właśnie otrzymałem e-mail z przesunięciem wywiadu o pół godziny później i rozmowa nie odbędzie się w miejscu koncertu, tylko w restauracji hotelu **Village Basingstoke**. Żaden problem. Po prostu zafundowali mi tego dnia przyjemny spacer przez miejscowy park z jeziorkiem. **Bob Skeat** zażartował, żebym tylko nie pytał o **Andy'ego Powell'a**, bo to tak popularne nazwisko, że prawdopodobnie ten drugi **Andy Powell** też jest gitarzystą. Musiałem sam odnaleźć i rozpoznać swojego idola z wyglądu.

Dotarłem trochę przed czasem. **Andy Powell** jadł lunch z żoną a gdy wyświetliłem mu się ze znacznej odległości, spojrzał nerwowo na swój noszony na nadgarstku zegarek. Widząc to, wycofałem się. Wolałem nie wchodzić mu między nóż a widelec i zaczekać, aż wskazówki przesuną się na właściwe pole. **Andy** sam mnie jednak rozpoznał i podszedł się przywitać. Odbyliśmy niezapomnianą rozmowę, trwającą jakieś trzydzieści do czterdziestu minut. Zrobiliśmy sobie też pamiątkowe zdjęcie.

Wishbone Ash zagrało fenomenalnie w oba wieczory. Celowo nie piszę standardowej relacji z koncertu, ponieważ zupełnie nie czuję takiej formy wypowiedzi. Starałem się napisać kilka relacji na łamach Heavy Metal Pages w przeszłości, ale niezbyt mi to wychodziło. Zazwyczaj, gdy pytam muzyków o jakiś pojedynczy występ, to też nie otrzymuję dziesięciominutowej odpowiedzi, tylko krótko mówią, że świetnie się bawili, publiczność dopisała i organizatorzy dali radę. Nie bardzo potrafiłbym oddać wiernie słowami, co zobaczyłem i usłyszałem. Zainteresowanych, jaka atmosfera może panować na koncercie **Wishbone Ash**, odsyłam do DVD, np. "**Live In Paris 2015**".

W dziennikarstwie muzycznym zdecydowanie bardziej cenię informacje dotyczące kontekstu społeczno-historycznego oraz okoliczności, w jakich dane dzieło powstało. Może dlatego odpowiadała mi wycieczka z przewodnikiem o nazwie "Rock 'N 'Roll Soho", zorganizowana przez firmę "London With A Local" dnia 6 października 2023, czyli w ciągu mojego jedynego dnia wolnego. W ogóle, najważniejsze atrakcje Londynu poznałem solidnie podczas wczasów w maju 2023, a w październiku skoncentrowałem się tam na muzyce. Korzystając z wolnego dnia, wziąłem udział w wycieczce z przewodnikiem po Brytyjskim Muzeum oraz w tym "Rock 'N 'Roll Soho". Nie dowiedzieliśmy się tam zbyt wiele o samej muzyce a najfajniejszą atrakcją była zewnętrzna fasada Palladium. Grunt, że otrzymaliśmy solidne wprowadzenie w kontekst społeczno - historyczny najbardziej rozrywkowej dzielnicy Londynu o nazwie Soho. Sam nigdy bym nie wpadł na to, w którym barze odbyła się pierwsza na świecie publiczna transmisja telewizji, ani gdzie **Jimmy Hendrix** regularnie występował. Warto poznawać świat w ramach podróżowania po świecie. Gdyby ktoś mnie pytał, najbardziej polecam jednak wycieczki rowerowe z angielskojęzycznym przewodnikiem po dużych zachodnich miastach.

W sobotę 7 października pojechałem autobusem z Londynu do Birmingham. Niedawno zbankrutowane miasto wywarło na mnie wrażenie raczej brzydkiego, z mnóstwem wąskich uliczek o wysokiej zabudowie. Może i powstało tam **Judas Priest** i **Black Sabbath**, ale nie wpadłem w zachwyt, gdy je zobaczyłem. Nie miałem też za bardzo czasu na solidne zapoznanie się z jakimiś symbolicznymi miejscami, czy ze starówką, o ile w ogóle tam takowa jest. Do południa byłem w drodze, po południu liczył się dla mnie już tylko koncert. Myślałem, że mój hotel Ibis Budget znajduje się obok **O2 Academy**. Tak faktycznie było, ale w Birmingham jest więcej niż jedno **O2 Academy**, więc moje docelowe miejsce wymagało krótkiej przejażdżki taksówką typu Bolt. Dotarłem chwilę przed czasem.

Ku mojemu zdziwieniu, kolejka do wejścia ciągnęła się przez kilka przecznic. Na domiar złego, ochrona zaczęła sprawdzać bilety stanowczo zbyt późno. Mnóstwo osób przegapiło krótkie show **Burning Witches**. Ja zdążyłem tylko na dwa utwory. Wystarczająco, by przekonać się, jak energia roznosi dziewczyny. Nie występowały statycznie jak typowe starsze kapele heavy metalowe, tylko cały czas emanowały potężną dawką adrenaliny i dawały niesamowitego czadu. Mówiąc dosadniej, ruszały się tak żywiołowo, jakby od tego zależała cała ich przyszłość. Ich set trwał tylko pół godziny. Fajnie, że po imprezie czekały na fanów przy stoisku z merchem i udało mi się z nimi zrobić pamiątkowe zdjęcie.

Paul Di'Anno nie wjechał na scenę na wózku, tylko został na nią podniesiony,

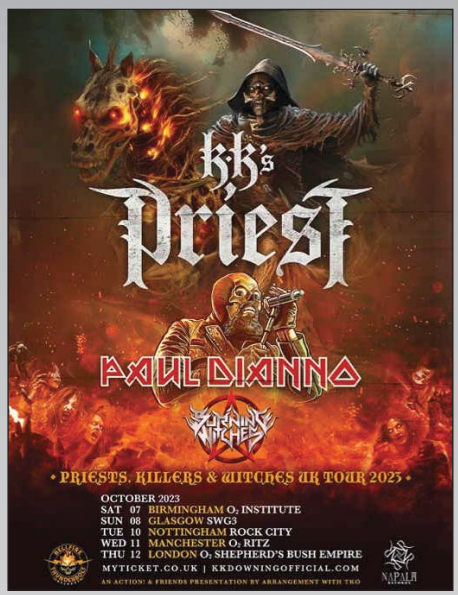

wraz z wózkiem, przez ekipę. Zauważyłem, jak uczynił znak krzyża przed tym karkołomnym procesem. Nie oceniam jego występu. Starałem się ze wszystkich sił cieszyć na maksa jak tylko potrafiłem, cokolwiek miał nam do zaoferowania. Uwielbiam jego dokonania w **Iron Maiden**. Skupił się mocno na kawałkach z drugiej płyty "**Killers**" (1981) a mnie zawsze bardziej podobały się hiciory z debiutu (1980), ale tak naprawdę ze sceny poleciało mnóstwo fantastycznej muzyki. Towarzyszący mu instrumentaliści rzetelnie wywiązali się ze swojej roli. Większość moich znajomych (już nawet nie wspomnę, którzy muzycy) dało się nabrać, jak im słałem zdjęcia prawdziwego **Paula Di'Anno** i zaraz poniżej moje selfie z jego sobowtórem, jedno po drugim. Mój sekret polega na tym, że udało mi się wyhaczyć gościa, który wyglądał bardzo podobnie.

KK Downing zapisał się złotymi literami w historii heavy metalu jako współtwórca najwspanialszego zespołu heavy metalowego wszech czasów, **Judas Priest**. Pierwsza płyta wydana pod szyldem **KK's Priest** "**Sermons of the Sinner**" (2021) brzmi jak **Judas Priest** z jedną nerką, ale już "**The Sinner Rides Again**" (2023) to według mnie w pełni udany album. Bardzo mi się podoba.

KK's Priest zaprezentowało spektakularny spektakl wizualny. Produkcja nie z tej ziemi. To nie jest tylko pięciu biegających metalowców z wybornym repertuarem, ale przede wszystkim zapierające dech w piersiach monstrualne doświadczenie na styku oszałamiających bodźców i metafizycznej alchemii. Totalny odlot i szok. Z **Judasów** poleciało oczywiście "***Victim Od Changes***" (1976), "***The Ripper***" (1976) czy "***Beyond The Realms Of Death***" (1978), ale np. wybrali "***Night Crowler***" (1990) i "***Hell Patrol***" (1990) zamiast "***Painkiller***" (1990). Super, że usłyszeliśmy "***Burn In Hell***" (1997), śpiewane przecież oryginalnie w **Judas Priest** przez **Owensa** podczas nieobecności **Roba Halforda**. Ale największe wrażenie wywarł na mnie nieludzko długi scream na końcu "***Victim Of Changes***". Sami instrumentaliści patrzyli na **Tima** z niedowierzaniem.

W drodze powrotnej na Islandię nabyłem egzemplarz 104. numeru angielskojęzycznego czasopisma "**Fireworks**", które dumnie głosi na samej górze okładki z **Black Stone Cherry**, **Doro**, **Alicem Cooperem** i **When Rivers Meet**: "*180 pages with more interviews &*

reviews than any other music mag!". No, nie jestem pewien, czy oni mają tego więcej niż Heavy Metal Pages. Ale na pewno pismo pomogło mi przetrwać lekki stres związany z lotem. W okresie 2020-2022 miałem dwuletnią przerwę od latania, dawniej nie bałem się wcale, ale teraz podczas podrywania się maszyny do lotu obawiam się, żeby licho nas nie trzasnęło. W każdym razie, warto czytać zamiast siedzieć bezczynnie.

Nikt mi tego nie odbierze. Już zawsze będę mógł powiedzieć tak trzy razy: tak, widziałem **Wishbone Ash** na żywo w ich własnym kraju; tak, widziałem **KK Downinga** na żywo w jego własnym kraju; tak, widziałem **Paula Di'Anno** na żywo w jego własnym kraju.

Sam O'Black

Metal Church, TytanRampa, Goleniow - 6 październik 2023

Kurdt Vanderhoof zapytany dlaczego do tej pory jego zespół nie wystąpił w Polsce kurtuazyjnie odpowiedział, że nie wie, ale wróci na kolejny koncert wkrótce. Niech to pozostanie niewyjaśnioną tajemnica dlaczego tak utytułowany zespół koncertujący regularnie w Europie nigdy nie trafił na **Metalmanię** czy większego klubu pomiędzy występami na niemieckich bądź czeskich festiwalach. Faktem jest, że koncert był bardzo wyczekiwany przez prawie pół tysiąca maniaków dając organizatorom satysfakcję z napisu "*Sold Out*" na plakacie. Pomimo nienajlepszego skomunikowania Goleniowa z resztą kraju i ubogiej lokalnej bazy noclegowej klub "**Rampa**" został wypełniony do granic dopuszczalnego poziomu.

6 października o 20 w pięknie zrewitalizowanym budynku kolejowym rozległy się brytyjskie dźwięki. Nie wiem jaka jednostka była odpowiedzialna za rewitalizację, ale takie wydawanie pieniędzy z UE to trzeba szanować. Pustostan został nie tylko elegancko przygotowany wizualnie, ale wyposażony w sprzęt muzyczny i oświetleniowy wysokiej klasy. Podczas pierwszego koncertu pozwoliłem sobie na krążenie po sali i z wielką radością odkryłem, że praktycznie wszędzie wszystko bardzo dobrze słuchać. Na wielu klubowych koncertach trzeba wybierać czy chce się lepiej słyszeć czy widzieć. Czasem zdarzają się miejsca, gdzie dobrze słychać instrumentalistów, a wokal potrafi zniknąć. W "**Rampie**" nic takiego nie miało miejsca. Tytan otrzymał od akustyka bardzo dobre warunki, które w moim odczuciu wykorzystał na przedstawienie dobrej sztuki.

Tytan to zespół prowadzony przez **Keva Riddlesa**, oryginalnego basisty bardziej znanego **Angel Witch**. **Kevin** współtworzył demówki, ale zakończył współpracę z zespołem po wydaniu pierwszej płyty. Jego nowa formacja nagrała jedną płytę by zaprzestać działalności na kolejne 30 lat. Korzystając z boomu na tradycyjne granie heavy metalu **Riddles** dokonał reaktywacji w formule jednego gitarzysty wspieranego przez klawiszowca. Na koncercie prym wiódł **Chris Borsberry**, uzupełniany przez lekko schowane klawisze. Panowie zaprezentowali grzeczny dziadzia metal nie wychodzący poza ramy NWOBHM. Niemniej sprawili, że publiczność obecna na sali szybko włączyła się do wspólnej zabawy. Pod koniec występu basista nawet nie próbował kryć swojego wzruszenia. Oczywiście poruszył temat **Angel Witch**, ale nie został on znacząco podłapany pod publikę. Czy zespół był gotów zagrać klasyka bardziej utytułowanego zespołu? Nie sposób teraz tego się dowiedzieć.

Po godzinnym występie nastąpiła lekko wydłużona 40 minutowa przerwa, która została zakończona przez znane wszystkim dźwięki, a z mojego gardła poleciał ryk "***Tons of Brick***". Świetny otwieracz z niesamowicie chwytliwym riffem nie zawiódł również tym razem. Pełna ekscytacja i już po pierwszych sekundach wiadomo, że zespół dotarł w wyśmienitej formie. Pełne jadu wersety wyrzucane z prędkością karabinu maszynowego potwierdzają, że **Marc** jest najlepszą osobą by stawać za mikrofonem **Metal Church**. **David Wayne** śpiewał w bardzo charakterystyczne sposób. Słuchając go można było albo pokochać albo nienawidzić stylu, ale na pewno nie sposób było go z nikim pomylić. Nie słyszałem drugiej osoby, która dysponuje takimi warunkami by z taką łatwością wykonywać utwory śpiewane oryginalnie przez **Davida**. Już na "**Congregation of Annihilation**" wokalista wybornie się zaprezentował zbliżając do tego stylu, ale to koncerty dają prawdziwy pogląd na możliwości i umiejętności.

Kolejny "***Start the Fire***" również nie daje wytchnienia. Ogień płynący ze sceny rozpala krew w żyłach, a czysta energia krąży pomiędzy zespołem i publicznością. Za niesamowite przyjęcie muzycy odwdzięczają się pełnym szaleństwem, a pot zaczyna szybko spływać z ich twarzy. Trzecim utworem ekipa **Kurdta** zostawia świętujący tego dnia 37. rocznicę wydania "**The Dark**" i nie zwalniając sięga po "***Battalions***" z debiutu. Dopiero czwarty "***Gods of Wrath***" przynosi krótkie spowolnienie pędzącego do tej pory amerykańskiego power metalu.

Po czterech nieśmiertelnych klasykach przyszła kolej na nowy materiał z wydanej w tym roku płyty. Muszę przyznać, że "***Pick a God and Prey***" nie zachwycał mnie podczas odsłuchów w domu. Zupełnie inaczej odebrałem go podczas występu. W końcu podczas bliskiego wystrzału riffów wprost na twarz dałem radę docenić i polubić kompozycję promującą płytę. Żadnych problemów nie miałem z kolejnym, moim ulubionym kawałkiem z "**Congregation of Annihilation**". Zagrany jako następny "***Me the Nothing***" miał podobno premierę live tego dnia. Wspaniała niespodzianka.

Kolejne trzy utwory należały ponownie do jubilata. Najpierw "***Burial at Sea***", przejście do "***Psycho***" i wieki finał tej części w postaci "***Watch the Children Pray***". Ostatni utwór to mój osobisty top topów nie tylko zespołu, ale ogólnie pojętej muzyki. Zbudowany podobnie jak "***Gods Of Wrath***" daje chwilowe wytchnienie by w drugiej części zaangażować publiczność do wspólnej zabawy i śpiewania. Ciężko ukryć wzruszenie, a skandowanie nazwy zespołu nie ma końca. Do głosu prosząc o chwilę spokoju próbuje dojść równie wzruszony **Kurdt Vanderhoof**. Wszyscy fani wiedzą jak ciężkie dla zespołu były ostatnie lata. Dwa lata odszedł **Mike Howe**, a w tym roku oryginalny perkusista **Kirk Arrington**. Po wspomnieniach **Kurdt** przedstawił swoją załogę i zaczął grać "***Fake Healer***". Otwierający numer z trzeciej płyty, a pierwszej z **Mikem** był dla mnie wielką niewiadomą. **Howe** śpiewał zupełnie inaczej niż **Wayne** i bałem się czy **Marc Lopes** udźwignie ten ciężar. Jeszcze zanim wybrzmiały pierwsze dwa wersety wiedziałem, że nie było czego się bać. Odprężenie i uczucie ulgi wprowadziło w wyborny nastrój pozwalający rozkoszować się przystawką.

Może trudno nazywać przystawką tak wyborny utwór jakim jest "***Fake Healer***", ale magia popłynęła dopiero później. Podczas nastrojowego intro **Steve Unger** chwycił telefon jednego z organizatorów by nagrać skandującą publiczność oraz porobić zbliżenia na wszystkich muzyków. Nie wiem jak inni uczestnicy koncertu, ale pomimo potu ja czułem na całym ciele "*arctic cold*". Słyszeć w takich warunkach jeden z najważniejszych dla mnie utworów w historii muzyki metalowej to przeżycie, którego nie da się opisać słowami. Delikatniejsze wokalizy sprawiły, że przymykając oczy opuściłem "**Rampę**" i poczułem samotność pustkowi. Nie każdy muzyk potrafi tak intensywnie oddziaływać na swoją publiczność jak uczył to w tych chwilach **Metal Church**. W dalszej części utworu Marc przeszedł na swój styl śpiewania paląc w niebyt wcześniejszą nastrojową wrażliwość.

Po zakończonym "***Baldands***" pozostał tylko maraton z debiutu. Ani "***Hitman***", ani "***Beyond The Black***" ani tym bardziej kończący koncert "***Metal Church***" nie biorą żadnych jeńców. Chcąc dolać oliwy do ognia wokalista zeskoczył do fosy i zaczął przybijać piątki z publicznością gotową wynieść go na metalowy ołtarz. Kilka minut później zastępuje go **Steve** wystawiając swoją pięść z metalowymi sygnetami do przybijania żółwików dla odważnych. Niestety osiemdziesiąt minut koncertu dobiega końca. Długie skandowanie przez wypełniony klub nie przynosi żadnego efektu. Nie ma znaczenia, że na plakacie widniał napis "*Sold Out*". **Metal Church** jest zespołem, który nie bawi się w schodzenie ze sceny przed finałem. Zawsze gra do końca i nie uzależnia dodatkowych kawałków od decybeli owacji.

Gdy światła sceniczne zostają zamienione na zwykłe klub zaczął pustoszeć. Po około 10 może 15 minutach do sali koncertowej na spotkanie z fanami wracają **Marc** i **Rick**. Pozostali muzycy dołączyli dopiero godzinę później, ale dla każdego mieli czas na rozdanie autografów, zapozowanie do zdjęcia czy krótką pogawędkę. Dzięki sile muzyki **Rampa** stała się kościołem, scena ołtarzem, a muzycy kaznodziejami. Całe koncert jawi się

jako wspaniałe nabożeństwo odprawione ku czci amerykańskiego power metalu.

Łukasz Ragnus

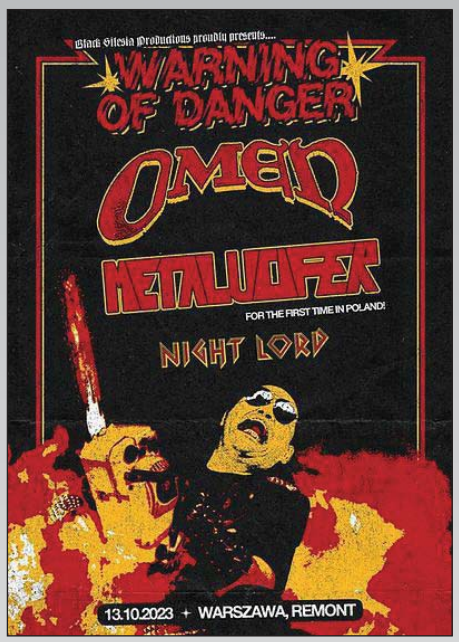

Omen, Metalucifer, Night Lord, Metallus - Warszawa - 13 październik 2023

Zaledwie tydzień po koncercie **Metal Church** w Goleniowie inna legenda USPM zawitała do Polski. Nie planowałem tego, ale zdecydowałem się na spontaniczny zakup biletu oraz samotną podróż w piątek 13 października do Warszawy na koncert organizowany przez **Black Silesia Promotion**. Cała wyprawa przebiegała planowo do przedostatniego skrzyżowania na którym źle skręciłem. Przez wymagany objazd myślałem, ze stracę pół występu **Metallusa**. Jednakże ten warszawski zespół gra epicki doom i nigdzie im się nie spieszy. Trio nawet poczekało aż wszedłem, przywitałem ze znajomymi, kupiłem piwo i dopiero wtedy zaczęli grać **Devil's Demon**. Jak przystało na spadkobierców **Candlemass** czy **Solitude Aeturnus** cała trójka celebrowała każdy dźwięk dając mu wybrzmieć i dotrzeć w każde miejsce niewielkiego klubu.

Wielkie brawa dla akustyka, który pozwolił z każdą chwilą na wzrost monumentalnej muzyki. Samotny wstęp na basie zwiastował tytułowy utwór z debiutanckiej płyty. Jeśli zdarzy się "***Pogrzeb Słońca***" w takt takiej muzyki jestem skłonny żyć w ciemnościach. Kolejny "***Burning Man***", może nie jest aż tak dobry, ale na żywo i tak sprawiał kolosalne wrażenie. Nie wiem czy to zamierzony efekt, ale "***Beyond Light and Darkness***" lekko odszedł od klasycznego epickiego doom metalu i skręcił w bardziej nowoczesną formę prezentowaną przez takie zespoły jak **Atlantean Kodex**.

Mimo, że perkusista miał już dość i wyszedł ze swojego plexiboxu obaj śpiewający szarpacze strun kazali mu wracać na ostatni kończący utwór. Z nadzieją chwyciłem mocniej trzonek mojego młota bojowego by uniesiony spuścić go na wrogów prawdziwego metalu oddając należny hołd w "***Great Hall of the Battle Hammer Cult***". Niestety najlepszy, najlepiej skomponowany utwór z debiutanckiej zespołu nie mógł zostać zagrany tego dnia. **Metallus** zmobilizował nas raczej do odpięcia bawolego rogu od pasa, napełnienia miodem pitnym i wypicia zawartości za poległych wojowników prowadzonych ku chwale Odyna przez Walkirie do Valhalli. Piękne i godne zakończenia krótkiego występu.

Organizator koncertu chcąc dogodzić słuchaczom różnych styli zaprosił na scenę naspeedowanych niczym bywalcy dyskotek z lat 90-tych muzyków **Night Lord**. Chłopcy tak śpieszyli się by zacząć zawrotną prędkością wielbić szatana, że nie zdążyli nawet ubrać się do końca. Diabeł oczywiście zawsze się cieszy jak człowiek się śpieszy, czemu dał upust podczas rozkręcania największego pogo tego wieczoru. Całkiem spora grupa jego wyznawców zaczynała młyn przy samej scenie dając mu rosnąć aż do konsolety akustyka. Kto próbował przez niego przejść mimowolnie wpadał w wir. Gdyby nie drobne problemy techniczne z okablowaniem mikrofonów tornado mogłoby pochłonąć wszystkich obecnych.

Zaskakujący znowu okazał się dźwięk. Przedstawić selektywnie speed metal nie jest łatwo, ale dostępne głośniki miały wystarczające dużo przestrzeni by nadążać za rwaniem strun, co nie jest oczywiste podczas koncertów klubowych. Po występie bardzo dużo osób chwaliło wybór miejsca oraz pracę ekipy nagłośnieniowej twierdząc, że "***Odessa***" jest bardzo dobrym miejscem na organizację kameralnych, ale zróżnicowanych koncertów.

Czy można bawić się przy generycznych riffach napędzających najbardziej sztampowe teksty przy których wersety **Manowar** zasługując na co najmniej literackiego Nobla? Tak! Jedyny wymóg, że zabawę będzie prowadził **Metalucifer**. Zespół wariatów z Japonii dowodzony od ponad 20 lat przez **Gezola** doskonale bawi się konwencją. Ta zabawa natychmiast udzieliła się niemalże wszystkim obecnym. Nie sposób pozostać obojętnym na hymny nazwane "***Heavy Metal (Jakieś-bardziej-lub-mniej-epickie-słowo)***". Wystarczyło usłyszeć zapowiedź i już można było zdzierać gardło krzycząc "***Heavy Metal Chainsaw/ Warrior/ Samurai/ Ninja/ Drill/ Bulldozer/Tank....***". Dla naprawdę wielu osób był to występ wieczoru, który powinien wystąpić jako headliner. W ramach odmiany od konwencji nazywania swoich kompozycji zespół zagrał również "***Born to play Heavy Metal***" oraz "***Heavy Metal Is My Way***". Ja tu ich nie kochać? Wszystko to przy w dalszym ciągu bardzo selektywnemu wybrzmieniu pojedynczych instrumentów.

Black Silesia Promotion na gwiazdę wieczoru wskazał jeszcze dłużej grający, epicki "**Omen**". Prowadzony od 40 lat przez **Powella** amerykański zespół nie wybrzmiał najlepiej. Podobno to zasługa samego gitarzysty, który lubi mieć przesunięte poziomy głośności do góry. Owszem było głośno, każdy utwór można było rozpoznać, ale szczegóły muzyki tonęły w delikatnym brudzie. Niektórzy sugerują, że to jego sposób na ukrycie niedociągnięć. To jednak mi nie przeszkadzało w sentymentalnej podróży w lata 80-te. Wszystkie utwory prócz pochodzącego z 2018 "**Evil Seductress**" były oryginalnie śpiewane na trzech pierwszych płytach zespołu przez nieżyjącego już **J.D. Kimballa**.

Moim zdaniem aktualny wokalista jest zbyt mocno krytykowany za swój występ. On nie próbuje być taki jak legendarny poprzednik, swoim występem starał się oddać mu hołd. O ile na studyjnym utworze sprzed 5 lat wybrzmiał bardzo źle to występ przed publicznością był poprawny. Barwa głosu dobrze komponowała się z muzyką, a techniczne umiejętności dawały sposobność do wspólnej zabawy. Zabawy, która z każdą chwilą rozpędzała się coraz bardziej. Podczas ostatnich utworów wbieganie na scenę i skoki w publikę czy śpiew fanów do mikrofonu nikogo nie zaskakiwały. Kto poczuł odwagę miał sposobność realizacji swoich marzeń. 8 utworów z debiutu, 5 z "**Warning of Danger**" oraz 2 z "**The Curse**" tworzyły razem wyśnioną setlistę.

Oczywiście głównym bohaterem całego występu był półnagi, pijący wódkę prosto z butelki **Powell**. Gitarzysta co rusz udowadniał, że jego palce są w wyśmienitej formie i mogą zagrać wszystko czym zachwycał komponując przed laty. Czasem kompozycje przeplatały się ze sobą, były odrywane w inny sposób niż na płytach. Dla purystów to karygodne, ale patrząc na wydruk setlisty chyba zamierzone. Na sam koniec zdecydował się na bardzo długi crowd surfing, a po samym koncercie bez chwili na odpoczynek pozował do zdjęć, podpisywał co tylko mógł i odpowiadał na pytania fanów. Kvlt Eternal! Hail!

Łukasz Ragnus

Decibels' Storm

recenzje płyt CD
1 - dno, 2 - słaba, 3 - przeciętna, 4 - dobra, 5 - bardzo dobra, 6 - wybitna

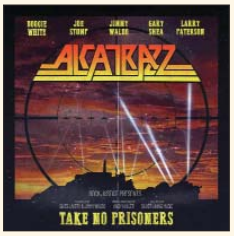

Alcatrazz - Take No Prisoners

2023 Silver Lining Music

Celowo w wywiadzie nie wspominałem **Doogiemu** o **Grahamie**, bo doszedłem do wniosku, że moją rolą nie jest stanie okrakiem jedną nogą po stronie angielskiej a drugą po szkockiej. On sam chlapnął, że **Graham Bonnet** zwiał z **Alcatrazz**, ale w odpowiedzi na pytanie o różnicę pomiędzy "**V**" (2021) a "**Take No Prisoners**", a więc pomiędzy obiema płytami, na której zaśpiewał już **Doogie White**. Tytuł najnowszego longplaya może, choć wcale nie musi, sugerować, że **Alcatrazz** nie zamierza trzymać nikogo na siłę ani z nikim się męczyć. Panowie najwyraźniej wzajemnie się nie dogadali, co jednak wyszło słuchaczom na dobre. Z zeszłorocznego albumu **Graham Bonnet Band** "**Day Out Of Nowhere**" wiemy, że głos najbardziej metalowego garnituru w historii estrady załamuje się, a dla słuchaczy powinno być najważniejsze, że "**Take No Prisoners**" został zaśpiewany na wysokim poziomie. Oczywiście, mało kto ma równie bogate doświadczenie w zastępowaniu legendarnych wokalistów, co **Doogie White**. Pod tym względem, śmiało uznałbym go za mistrza na równi z **Timem Ripperem Owensem**, **Ronniem Romero**, **Jornem** czy **Davidem Reecem**. **Alcatrazz** jest większym zespołem niż legenda któregokolwiek pojedynczego muzyka i nie ma ludzi niezastąpionych. Skład **Alcatrazz** zasilają znakomici instrumentaliści, którzy naprawdę pokazują klasę. Oryginalny basista **Gary Shea** tworzy solidną sekcję rytmiczną z nowym perkusistą **Larrym Petersonem**, klawiszowiec **Jimmy Waldo** wybornie im wtóruje a gitarzysta **Joe Stump** wykazuje się biegłością w przebieraniu palcami po gryfie, nawet gdy przyjdzie mu to robić z młotkiem w ręku. Teledysk oraz promująca wydawnictwo kompozycja "***Battlelines***" należy do ze wszech miar udanych i nawiązanie do **Black Sabbath** jeszcze z czasów **Ozzy' ego Osbourne'a**, lecz zespół wybrał na singla bardziej przebojowy "***Don't Get Mad... Get Even***". Dla niektórych takie granie może uchodzić za sztampowe, ale w mojej opinii **Alcatrazz** prezentuje złoty środek pomiędzy hard rockiem a heavy metalem: kunsztowny, ale też po prostu interesujący i wiecznie świeży balans obu gatunków. Dwa fenomenalne utwory znajdujące się w dalszej części albumu, mianowicie motorycznie heavy metalowy "***Power in Numbers***" oraz w pewnym sensie bliskowschodni "***Salute The Colours***" niesamowicie mi się podobają. Gdyby całość na nich się kończyła, pozostałbym pod ogromnym wrażeniem. Niestety "***Bring on the Rawk***" zaniża loty, tak jakby **Alcatrazz** próbowało udowodnić, że są bardziej power/speed metalowi niż w rzeczywistości. Obecnie 63-letni **Joe Stump** wydał w ciągu swojej kariery m.in. kilkanaście shreddujących albumów solowych, a ponieważ na "***Take No Prisoners***" nie mamy do czynienia z przerostem formy nad treścią, to jego neoklasyczne sekwencje w solówce "***Bring on the Rawk***" dodają utworowi urozmaicenia. Alcatrazz miał coś do udowodnienia po trzydziestu czterech latach przerwy pomiędzy "**Dangerous Games**" (1986) i "**Born Innocent**" (2020), a następnie po zmianie wokalisty na "**V**" (2022). Obecnie nie powinno już ulegać wątpliwości, że jest zespołem z przyszłością. (5)

Sam O'Black

Amorphia - Lethal Dose

2022 Awakening

Z przyjemnością donoszę, że w **Amorphia** bez zmian. Muzycy z Indii nadal preferują świetny old-schoolowy thrash metal, rozpędzony, dziki, wściekły i pełen zaraźliwej energii. Ba tej intensywnej agresywności jest jakby więcej. Niemniej nie przytłacza ona słuchacza, a wręcz cały czas utrzymuje go w euforii. Najwidoczniej intro plus osiem kawałków, które trwają ledwie 35 minut to idealny czas, aby taki wigor i moc przekazać fanom thrashu. Może niektórzy będą się czepiali do samych utworów, ale jak dla mnie mają one optymalne formy, które znakomicie pasują do przekazu i preferowanego thrashu przez muzyków **Amorphia**. Niby są one proste, ale też muzycy dbają, aby nie nudziły, wprowadzają pewną różnorodność, niewielkie zmiany w tempach czy też indywidualne melodie. Poza tym krążek wydaje się zwarty, spójny i nastawiony na konkretny cel, który w sumie muzycy i fani wspólnie osiągają. Oczywiście Hindusi nie odkrywają thrashu na nowo, a wręcz wprost wskazują na swoje inspiracje, ale robią to z taką pasją, że raczej nikt na to nie będzie zwracał uwagi. Tego zapału nie brakuje muzykom przy odgrywaniu swoich partii. Po prostu robią to znakomicie, czy to przy riffowaniu, czy naparzaniu w perkusję, czy też w czasie wrzeszczenia do mikrofonu. Myślę, że fani starego thrashu i NWOTM powinni znać dokonania **Amorphia**. (5)

\m/\m/

Animations - Contemporary Guide To Modern Living

2023 Self-Released

Na początku **Animations** proponowało nam ciekawy progresywny metal, z czasem to zainteresowanie przechylało się na stronę groove metalu, czy też innego metalcore'a. Rozpoczynający utwór "***Ashwagandha Propaganda***" z piątego pełnego krążka tej formacji, właśnie wprowadza nas w świat, gdzie oba muzyczne style znakomicie ze sobą koegzystują. Czasami bywa, że tego nowoczesnego metalu jest zdecydowanie więcej, czuć, że jest formą dominującą. Zaczyna się od "***Visions***" gdzie zespół po raz pierwszy śpiewa po polsku i następnego "***Donor Of Conciousness***". Niemniej gdy te mocarne brzmienia i nowa estetyka przeważa, to elementy progresywnego grania ciągle są obecne i ciągle je słychać. Dlatego sama muzyka oraz kompozycje pozostają bardzo ciekawe, intrygujące, różnorodne, poruszające różne emocje, uczucia i klimaty. Sporo w nich dysonansów, zmian temp i nastrojów. Poza tym muzycy **Animations** nie tylko odnoszą się do progresywnego metalu, metalcore'a czy groove metalu, jako dodatkowe elementy aranżacyjne pojawiają się również inspiracje innymi stylami muzycznymi. Na "**Contemporary Guide To Modern Living**" odnajdziemy również spore dawki melodii. Najbardziej podoba mi się, jak je wykorzystano w instrumentalnym "***Broken Clock***". Nie dość, że niesamowita techniczna kompozycja w stylu pierwszego albumu, to niesamowicie melodyjna i z bardzo ciepłą aurą. Nie przepadam za współczesnymi metalowymi brzmieniami, ale Jaworzanie znakomicie wymyślili i opracowali swoje utwory, tak że chce się ich słuchać oraz za każdym kolejnym odtworzeniem można odnaleźć zupełnie coś nowego. Dlatego nie tylko poszczególnych kawałków słucha się świetnie, ale przede wszystkim całego krążka. Tę kwestię ułatwia również fakt, że "**Contemporary Guide To Modern Living**" w historii tego zespołu jest pierwszym koncept-albumem i będący pewnym komentarzem obecnego świata. Innym ułatwieniem jest sama gra instrumentalistów, niesamowita, pełna techniki, zaangażowania i emocji. W dodatku wszystkie instrumenty brzmią wybornie i są odpowiednio wyeksponowane. Słyszymy je bez problemu i dokładnie. Niebagatelną rolę odgrywa także wokal, szczególnie w eksponowaniu melodii, której na tym krążku jest sporo. Niemniej **Frantz Wołoch** potrafi także krzyknąć, wrzasnąć jak i zagrowlować. Świetna pozycja dla prog-metalowców (przede wszystkim), jak i tych, co lubią bardziej współczesny metal. (5)

\m/\m/

Angra - Cycles of Pain

2023 Atomic Fire

Pochodząca z tętniącej życiem Brazylii **Angra** ugruntowała swoją pozycję jako siła, z którą należy się liczyć w dziedzinie melodyjnego i progresywnego metalu. Ich

najnowsza propozycja, "**Cycles of Pain**", stanowi kolejny krok w bogatej karierze zespołu. Nie znajdziecie tutaj zaskoczenia, **Angra** płynnie łączy swój charakterystyczny power metalu z elementami symfonicznymi. Jest to grupa o dużej muzykalności, z łatwością wyrażająca się w złożonych melodiach, ekspresywnej rytmice i świetny partiach wokalnych w wykonaniu **Fabio Lione** (dawnej m.in. w Rhapsody i Labyrinth). Efektem jest kolekcja utworów, które są zarówno znajome, jak i oryginalne, umacniając ich pozycję jako jednego z najbardziej wpływowych zespołów w gatunku. Wspomniałem o **Fabio** i wypada on na "**Cycles of Pain**" świetnie. Jego emocjonalne wykonanie dodają warstwie głębi i ekspresji do muzyki, oczarowując od pierwszych chwil. Ciekawostką jest utwór "***Vida Seca***", w którym część partii wokalnych należy do brazylijskiego wokalisty **Leninego** - jego wokal wypada autentycznie i poruszająco. Muzycznie jest w znanym, progresywnie zabarwionym stylu zespołu. **Angra** płynnie przechodzi od ognistych power metalowych hymnów, takich jak "***Gods of the World***" i "***Generation Warriors***", do bardziej subtelnych utworów, jak "***Tide of Changes***" i "***Tears of Blood***". "***Cycles of Pain***" to podróż emocjonalna, która eksploruje tematy odporności na przeciwności losu, nadziei i ludzkiego doświadczenia. Wedle słów muzyków grupy, jest zapisem ich emocjonalnego stanu z czasu, który zapoczątkowała pandemia. Cieszę się, że doświadczenia te zespół przekuł w tak udany krążek. (4,7)

Igor Waniurski

Ankhara - De Aqui A La Eternidad

2023 Art Gates

Kiedyś mogło się wydawać, że **Ankhara** wykazywała potencjał na wejście do pierwszej ligii euro poweru. Kapela ta pod względem stylistycznym doskonale wstrzeliła się w dominujący na przełomie wieków trend na powrót do właśnie takiego grania, od początku śpiewał u nich charyzmatyczny wokalista **Pacho Brea** a wszyscy muzycy byli ze sobą świetnie zgrani, skoro do dziś pozostają w składzie (zmiana nastąpiła tylko na stanowisku perkusisty). W latach 1999, 2001 i 2003 kapela wydała udane trzy longplay'e, hiszpańskojęzyczne liryki utrudniały jej jednak dotarcie do szerokiej europejskiej publiczności a w okresie 2004-2013 już nie istniała. Dekada przerwy spowodowała, że uciekła im konkurencja, tzn. zaczynające działalność w tym samym czasie i w tej samej niszy **Tierra Santa**, **Avalanch** oraz **Dark Moor** dorobiły się znacznie bogatszych dyskografii. Nie zmienia to faktu, że wszystkie płyty **Ankhary** reprezentują solidny poziom i nie są tylko ciekawostką z równoległego świata a raczej fajną muzyką angażującą do słuchania. Oczywiście fani **Helloween** czy **Gamma Ray** znajdą tu coś dla siebie, ale nie tylko oni, bo w krwioobiegu Madrytczyków płynie więcej niż kilka promili tradycyjnego heavy metalu. Na albumach "**Sinergia**" (2018) i "**Premonicion**" (2021) znalazło się również nieco progresywnych nut. Natomiast "**De Aqui A La Eternidad**" (2023) to EP-ka z pięcioma zwartymi utworami, z czego jeden to kower (Fight "Into the Pit", 1993), jeden został zaśpiewany przy współudziale **Ralfa Scheepersa** ("Tu Verdad"), a jeszcze inny zagrany przy współudziale gitarzysty **Andy'ego LaRocque** ("Soy El Fuego"). Sporo w tym repertuarze się dzieje, nie wkrada się weń żadna chwila monotonii a wręcz czasami dynamika sięga zenitu za sprawą efektownych kontrastów. **Pacho Brea** śpiewa rasowo, instrumentaliści wykazują się wyczuciem, pomysłowością i udanie balansują melodie z ciężarem. Świetnie, że przypomnieli oryginalnie wykonywany przez **Roba Halforda** "***Into the Pit***", ale nie stanowi on jedynej atrakcji, gdyż jego słuchaniu nie towarzyszy takie odczucie, że kower to klasyka i geniusz, a własne numery nie mają startu do inspiracji. **Ankhara** też oferuje udane kompozycje. Jako mojego faworyta wskazałbym "***La Tierra De Los Suenos***" za groove i wspomniane kontrasty, od hard rocka aż po thrash. Z jednej strony motyw przewodni zwrotek wydaje się przyjemnie stonowany, ale tuż obok niego perkusja tłucze jak oszalała a refren eksploduje z ogromnym, zaraźliwym entuzjazmem. EP-ce towarzyszą aż trzy single: "***Tu Verdad***", "***Into the Pit***" i "***Soy El Fuego***", czyli akurat mój faworyt nie został wyróżniony przez autorów, co tylko potwierdza, że różnym ludziom co innego może się na recenzowłoby się nawet **Judas Priest**. (-)

Sam O'Black

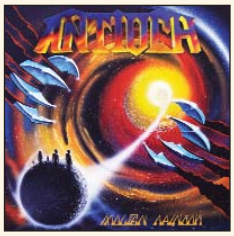

Antioch - Antioch VI: Molten Rainbow

2023 Iron Shield

Parafrazując klasyka, najlepsze w heavy metalu jest to, że ja się starzeję, ale ta muzyka pozostaje wiecznie młoda. Bo faktycznie tak jest! Pomijając nawet kwestię nagrań, które siłą rzeczy trwają zamrożone w czasie, szczęśliwie nie brakuje nowych, młodych zespołów, gotowych dzierżyć sztandar heavy metalu. Można się oburzać i przyklejać im łatkę epigonów, albo też cieszyć się z dokonań zdolnej młodzieży. Takie to myśli nasunęły mi się, gdy słuchałem czwartego długograja Kanadyjczyków z **Antioch** (a szóstego ich wydawnictwa tak w ogóle - stąd tytuł). Panowie nie odkrywają tu nowych horyzontów, ale za to z niezwykłą śmiałością i swadą poruszają się po dobrze znanych nam wodach. Jest to więc przede wszystkim klasyczny heavy metal spod znaku **Judas Priest**, co słychać zwłaszcza w solówkach i pracy gitar, ale pozostający także pod przemożnym wpływem dokonań znad Renu, co jest dosyć oryginalną mieszanką w przypadku zespołu zza Oceanu. Chóralnie odśpiewane refreny, chwytliwość i bijąca z tej muzyki radość grania przywodzą na myśl zwłaszcza najlepsze albumy **Running Wild**. A że piracka banda **Rock 'n' Rolfa** od przeszło dwudziestu lat tkwi na mieliźnie, tym bardziej łakomym kąskiem jest zespół godnie kontynuujący jej dokonania. Przy czym dodajmy, że Kanadyjczycy nikogo nie kopiują, a tylko inspirują się. Jest więc czego słuchać, a słucha się z prawdziwą przyjemnością. Cały album znajdziecie na oficjalnym kanale **Antioch** na YouTubie. Sprawdźcie przede wszystkim bardzo piracki kawałek "***Molten Rainbow***", judasowy hymn "***Dodeskaden***" oraz maidenową galopadę "***The Harvest Tale***", a pewnie się wciągniecie i zechcecie zacieśnić znajomość z dyskografią zespołu. Warto chłopakom kibicować. (5)

Adam Nowakowski

Antipod - Eveil

2023 Wormholedeath

Niewiele wiem o **Antipod**, jedynie to, że to francuska formacja z Lionu. Wytwórnia pisze, że zespół powinno zaliczać do sceny

progresywnego metalu. Ja natomiast po przesłuchaniu ich debiutanckiego albumu "**Eveil**" zaliczyłbym ich, co najwyżej, do sceny melodyjnego symfonicznego power metalu. Owszem w ich muzyce odnajdziemy elementy progresywnego metalu, niemniej bardziej wyeksponowane są detale znane z ambitniejszego melodyjnego power metalu i symfonicznego metalu. Cecha charakterystyczną tego ansamblu jest duet wokalistki i wokalisty, **Jeminy Robineau** i **Stephane'a Monserrata**, działającego na tych samych prawach. Raz śpiewa jedno, raz drugie, bywa, że ich głosy współbrzmią tak jak w kawałku "**Naufrage**". Oboje śpiewają nieźle, w języku ojczystym, czyli francuskim, pani częściej uderza w operowe tony. Niestety nie jest to jakieś wybitne śpiewanie. Nie pomaga też ozdabianie growlem ("Affronter ses idées noires") czy też blackowym skrzekiem ("Berzerkir"). Nie najlepiej jest w muzyce i kompozycjach. Owszem panowie stawiają wiele, od kreatywności poprzez talent po własne umiejętności, to jednak w żaden sposób nie potrafią unieść się na poziom najwybitniejszych przedstawicieli melodyjnego symfonicznego power metalu. Mało tego bywają momenty, które nudzą. Może to niesprawiedliwe, zbyt wiele obcowałem z takim graniem i teraz nie dość, że ma takiej muzyki powyżej dziurek od nosa, to jeszcze byle co mnie nie zachwyci. Teraz, aby grać ciekawie melodyjny symfoniczny power metal to, nie wystarcza talent, wyobraźnia czy znakomity warsztaty. Trzeba mieć iskrę bożą albo dotyk geniuszu, a tego francuskiej ekipie brakuje. Wystarczy posłuchać "***La vie au temps***" w wersji symfonicznej i przekonać się jak bardzo to uboga orkiestracja. Niestety nie mogę zachwali **Antipod** i ich płyty "**Eveil**". Oczywiście fani melodyjnego symfonicznego power metalu mogą mieć inne zdanie. (3)

\m/\m/

Apostolica - Animae Haeretica

2023 Scarlet

Apostolica to włoski zespół, który prawdopodobnie rozpoczął działalność w roku 2021, bowiem wtedy wydali kilka singli i debiutancki album "**Haeretica Ecclesia**". Natomiast w tym roku Wło-

si zaproponowali nam swoje kolejne wydawnictwo zatytułowane "**Animae Haeretica**". Jak już przy poprzedniej płycie zauważono **Apostolica** to taka kopia **Powerwolf**. Znalazłem opinie, gdzie obie formacje stawiano na równi, ale ja nie odniosłem takiego wrażenia. Przynajmniej mam tak słuchając "**Animae Haeretica**". Poza tym w muzyce Włochów odnajdziemy jeszcze wpływy **Sabaton**, **Bloodbound**, **Orden Ogan** itd. W dodatku power metal **Apostolica** oprócz tego religijnego zacięcia, jest bardziej mroczny, zagadkowy i przepełniony aurą tajemniczości. Podkreśla to także image zespołu z zamaskowanymi twarzami, mnisimi kostiumami oraz poprzez używanie jedynie pseudonimów przez muzyków, ale to z kolei przypomina zrzynkę z **Ghost**. Ponadto na krążku znajdziemy głównie rozpędzony lub witalny w średnich tempach oraz przebojowy power metal. Mnie najbardziej podobają się przeważnie te szybsze kawałki ("Angel Of Smyrna" i "Gloria"), bowiem oprócz owej witalności i energii wyposażone są w znakomite podniosłe refreny. Chociaż "***Veritas***" to niestety słaby utwór, ale zawarte w nim refreny jeszcze się bronią. Bardzo dobrym kawałkiem jest jeszcze wolniejszy i motoryczny "***Black Prophets***", przesiąknięty hard rockiem i niesamowitym klimatem. Podejrzewam, że fanom melodyjnego power metalu przypadną do gustu dość proste, ale bezpośrednie "***Rasputin***" i "***Skyfall***". Na mnie jednak nie zrobiły wrażenia. Bardzo słabym momentem tej płyty są dwa zupełnie nijakie kawałki następujące po sobie "***Tomorrow Belongs To Mei***" i "***Fire***". Ogólnie pod względem kompozycji i samej muzyki jest bardzo średnio. Za to jeśli chodzi o brzmienia, wykonanie i produkcję jest zgoła inaczej, czyli dobrze, a nawet bardzo dobrze. Nie wiem, jak odbiorą "**Animae Haeretica**" maniacy melodyjnego power metalu, ale dla mnie ta płyta nie wywarła pozytywnego wrażenia, a na pewno nie widzę w niej zagrożenia do tego co robi **Powerwolf**. No, ale jak ktoś chce może sprawdzić ten krążek i samemu się przekonać. (3)

\m/\m/

Arch Blade - Kill the Witch

2023 Rockshot

Debiut zupełnie nowego kalifornijskiego zespołu **Arch Blade** można posłuchać, ale mnóstwo podobnych heavy/US - powerowych płyt przepadło w latach osiemdziesiątych bez echa. Bardzo generyczne to granie, ze znikomą inwencją twórczą i przeciętną ilością energii. Można wziąć poprawkę na to, że oni tak na dobrą sprawę dopiero zaczynają i podążają w słusznym kierunku, ale "**Kill the Witch**" nie jest demówką, tylko dużym albumem studyjnym, eksportowanym z Los Angeles do Europy. Na plus wyróżnia się w moim odczuciu jedynie banger "***Break the Silence***", gdzie wymiatają z takim zapałem, jak gdyby buntowali się przeciwko zasianiu martwej ciszy. Poprzedza go stosunkowo udana ballada "***House of Dreams***", mogąca kojarzyć się np. z balladami **Metal Church**. Reszta materiału nie ma za bardzo czym przykuć uwagi słuchacza. Leci sobie, nic z niego nie wynika i tyle. Album brzmi old schoolowo, otrzymał trochę przytłumione brzmienie, nie na miarę dzisiejszych możliwości realizatorskich, ale może chodziło o zbliżenie się do jakichś kultowych wzorców. Że brakuje im przekonującego pomysłu na siebie, widać już po spojrzeniu na kiczowatą i rażącą dziwnymi kolorami okładkę - trudno byłoby mi wyobrazić sobie, że grafik ukończył osiemnaście lat, a tymbardziej, że cały zespół świadomie ją zaakceptował. Pierwsze koty za płoty, zobaczymy czy zespół się rozwinie i jeszcze nas czymś pozytywnym zaskoczy, choć przeczucie podpowiada, że na już zapowiadanej drugiej płycie zadowoli się realizacją swoich małych ambicji. (2,5)

Sam O'Black

Atonement - Sadistic Invaders

2023 Dying Victims Productions

Trzech nastolatków ze Szwecji zajęło się czymś, co ich rówieśnicy i zarazem krajanie czynili na przełomie lat 80. i 90. masowo - założyli metalowy zespół. Wybór mieli całkiem spory, ale zrezygnowali z hard 'n' heavy czy death metalu, zdecydowali się na black/thrash. Demo na początek było czymś oczywistym, teraz zaś mają już pierwszy album, którego

jakość potwierdza też logo wydawcy. "**Sadistic Invaders**" zachwyci wszystkich zwolenników prawdziwego metalu starej szkoły, gdzie riffowa moc walczy o plamę pierwszeństwa z ekstremalnymi tempami, a nad tym wszystkim góruje wściekły skrzek wokalisty. Poza oczywistymi szybkimi, konkretnymi strzałami ("Hellish Delight" i "Evil Disaster" to dobre przykłady). **Atonement** ma też jednak na podorędziu coś więcej. Czasem zadbają więc o większą dozę melodii ("Await The Command"), zróżnicują tempa (singlowy "Death Merchant"), a do tego nie boją się też pokombinować z dłuższym utworem ("Unholy Sorcery"). "***Evil Minds***" jest od niego znacznie krótszy, ale również potwierdza, że **Ludvig Rosth**, **Niklas Saari** i **Mille Lundstrom** mają, tak zwane, papiery na granie i warto sprawdzać co zaproponują za jakiś czas. (4,5)

Wojciech Chamryk

Bad Rain - Room To Breathe

2023 FastBall Music

Bad Rain to hard rockowy kwartet, który za swoją bazę przyjął Niemcy. Odpalając ich EP-kę, przed moimi oczami pojawiły się najpierw lata 80. zeszłego wieku i dokonania takich grup jak **Mr.Big**, **Extreme**, **Winger**, a także czasy trochę późniejsze kolejno **Black Crowes**, **Black Label Society**, aż w końcu czasy bardziej współczesne **Greta Van Fleet**. Zaczyna się bardzo solidnie, dynamicznie i wręcz archetypowo, choć z pewną nutką nowoczesności. Prawdopodobnie właśnie taki wyraz ma dominować w muzyce **Bad Rain**. Tytułowy "***Room To Breathe***" jest bardziej klasyczny, natomiast "***Afterlife***" jest leciutko bardziej nowoczesny. Trzeci kawałek "***Your Chains***" jest wolny, bardziej klimatyczny z wpływami i aurą bluesa. Wraz z "***Kingdom***" wracamy do dynamicznego hard rocka, z pewnymi zwolnieniami, ale ze świetnym riffem i chwytliwym tematem. Natomiast płytkę kończy kawałek "***Twisted Love***", w którym muzycy **Bad Rain** kontynuują mieszanie wpływów dynamicznych i tych wolniejszych. Tym samy zaprezentowali bardzo solidną dawkę hard'n'heavy, po którą warto sięgnąć, mimo wspomnianej nutki nowoczesnego brzmienia. Kawałki są świetnie wymyślone, bardzo dobrze zagrane, i bardzo przyzwoicie wybrzmiewają. Także czego chcieć więcej. Ciekaw jest co zrobią muzycy **Bad Rain** dalej i jak zabrzmi ich pierwszy duży studyjny album, czy będą w stanie powtórzyć to, co zaprezentowali na "**Room To Breathe**", a najlepiej przeskoczyć o kolejny level. (4)

\m/\m/

Bifrost - Her Den

2022 Self-Released

Bifrost powstał w Hiszpani w roku 2000. Do tej pory nagrali EP-kę i dwa pełne albumy, gdzie zeszłoroczny "**Her Den**" jest tym drugim krążkiem. Oceniając po jego zawartości, Hiszpanie upodobali sobie amerykański odpowiednik progresywnego metalu. Ich muzyka w sporych momentach kojarzy mi się ze współczesnymi dokonaniami **Fates Warning**, choć w większych fragmentach wybrzmiewa to bardziej anonimowo. Co może świadczyć, że hiszpańscy muzycy pod tym względem są bliscy własnego pomysłu na progresywny metal. Innymi wpływami w muzyce Hiszpanów to tzw. US power metal, a czasami wręcz melodyjny thrash metal, wiec co jakiś czas przewijają się brzmienia w stylu **Vicious Rumors** czy też **Megadeth**. Inspiracje tym ostatnim są nieraz bardzo wyraźne. Niemniej Hiszpanie świetnie radzą sobie z samą budową kompozycji, są złożone, ciekawe, wielowarstwowe, klimatyczne i nastrojowe, ale ogólnie dążą do wrażenia przystępności. Także "**Her Den**" wypełnia osiem stanowczo dobrych i wartych wysłuchania utworów. Zdecydowanie w dobrym odbiorze pomaga im znakomite wykonie. Naprawdę panowie muzycy wiedzą, co zrobić ze swoimi instrumentami. Dobrze sprawdza się głos gitarzysty **Ovi Abascala**. Z pewnością nie można go stawiać na najwyższej wokalnej półce, ale nie ma też jakiegoś przeciętnego głosu. Bardzo dobre są również brzmienia o raz produkcja płyty. Także

hiszpański **Bifrost** i jego zeszłoroczny krążek "**Her Den**" warty jest polecenia. (4,5)

\m/\m/

Black Stone Cherry - Screamin' At The Sky

2023 Mascot

Jeszcze nie tak dawno **Black Stone Cherry** grali we własnej lidze, jednak to już przeszłość. Aż odświeżyłem sobie ich pierwsze płyty, na których w perfekcyjny sposób łączyli elementy hard rocka, grunge i stoner rocka, ale na najnowszej, już ósmej, "**Screamin' At The Sky**" nie ma o tym mowy. To album z jednej strony bardzo dopracowany, wręcz wychuchany, zaś z drugiej przeraźliwie nijaki, wyraźnie skrojony pod masowego odbiorcę. Z trzech singlowych numerów broni się tylko tytułowy, dynamiczny i surowy; "***Nervous***" to jakiś mdły pop, a "***Out Of Pocket***" traci moc już na wysokości pierwszej, balladowej zwrotki. Smutne to, ale zespół, który kiedyś był swego rodzaju odnowicielem takiego grania, teraz zapożycza się u **Alter Bridge** czy **Red Hot Chili Peppers** ("Here's To The Hopeless"), albo próbuje połączyć w jednej piosence elementy typowe dla **Pearl Jam** i **The Beatles** ("You Can Have It All"). Efekty tych zabiegów nie są specjalnie porywające; dobrze przynajmniej, że wśród 12 zawartych na tym krążku utworów mamy kilka mocniejszych, brzmiących tak jak kiedyś, z "***When The Pain Comes***" i "***R.O.A.R.***" na czele, ale to zbyt mało, by wystawić "**Screamin' At The Sky**" jako całości wyższą notę. (3)

Wojciech Chamryk

Blade - Joker And Clowns

2023 Inverse

Blade to fiński zespół hard rockowy, który debiutuje albumem "**Joker And Clowns**". Fajną sprawą jest to, że Finowie mocno inspirują się brytyjskim hard rockiem lat 70. (Thin Lizzy, Deep Purple, Whitesnake), chociaż najwięcej ich odniesień można szukać w dokonaniach niemieckiego **Scorpions**. I tak rozpoczynający, zadziorny i dynamiczny "***Never Stop Rocking***" jasno deklaruje, gdzie zakorzeniona jest muzyka **Blade** (oczywiście chodzi o Scorpions). **Scorpionsów** wyraźnie słyszymy też w coverze "***Maniac***" (w oryginale kawałek niejakiego Michael Sembello), w nim to nawet pobrzmiewa heavy metal. Natomiast w tytułowym "***Joker And Clowns***" i "***Tell Me***" wyraźnie słyszymy wpływy **Deep Purple**. Oczywiście, że zespół również ucieka w inne rejony i tak w "***Burning Eyes***" słychać coś z power metalowej **Sonaty Arctiki**. Jak ktoś uwielbia takie porównania, to może zasadzić się na dźwięki i brzmienia z tego krążka i jestem pewien, że każdy coś jeszcze upoluje. Ogólnie w kawałkach **Blade** jest trochę pomysłów, ale głównie opierają się o stare szablony, całe szczęście Fińscy muzycy są na tyle plastyczni i solidni, że wybrzmiewają one całkiem ciekawie i świeżo. No i chwali się ich za to, że zbytnio nie marudzą i praktycznie przez całą płytę jest ogień (jedyny wolniejszy kawałek to "Alone"). Bardzo fajnie na "**Joker And Clowns**" pracują gitary, niektóre sola są wręcz rewelacyjne. Także ukłony dla panów **Pekka Viljanen** i **Jaakko Paljakka**. Równie dobrze sprawdza się wokal **Pepe Tamminen**, to mocny punkt tego zespołu. Brzmienia instrumentów oraz całego albumu też trzeba dodać do plusów tego wydawnictwa. Ogólnie "**Joker And Clowns**" to dobry krążek, skierowany do fanów starego hard rocka. (4)

\m/\m/

Blazon Rite - Wild Rites And Ancient Songs

2023 Gates Of Hell

Stany Zjednoczone nie przestają zaskakiwać - tradycyjne odmiany metalu nie cieszą się tam szczególnym wzięciem, od lat królują hip-hop i country, a tu proszę, światu objawił się kolejny, nieźle grający, amerykański zespół. **Blazon Rite** są z Filadelfii i po debiutanckiej EP "**Dulce Bellum Inexpertis**" oraz pierwszym albumie "**Endless Halls Of Golden Totem**" sprawnie przygotowali i zarejestrowali jego następcę. "**Wild Rites And Ancient Songs**" będzie miodem na serce i uszy tych wszystkich, dla których termin metal jest równoznaczny z tym, co powstało i przybrało niemal doskonałą formę w końcu lat 70. i na początku 80., bez obcych stylistycznie wpływów. W zasadzie każdy z tych siedmiu utworów można by śmiało puścić przeciętnemu metalowcowi z tamtych lat i myślę, że nie byłby rozczarowany ich poziomem. Jest to bowiem granie w każdym calu archetypowe, teraz wręcz już ponadczasowe czy klasyczne, nawet jeśli zespół zbytnio, tak jak choćby w openerze "***Autumn Fear Brings Winter Doom***", za bardzo inspiruje się wczesnymi dokonaniami **Iron Maiden**. Można jednak przymknąć na to oko, ponieważ chłopaki zadbali o każdy detal tego albumu, grając nie tylko stylowo i zarazem porywająco, tak jak w "***Salvage What You Can Of The Night***", "***Mark Of The Stormborn Raiders***" czy "***The Coming Tide Of Yule***", ale kładąc też nacisk na mocne i surowe brzmienie. Nie mógł też zabraknąć patetycznej ballady, ale "***The Fall of A Once Great House***" nieźle się w końcówce rozpędza, tego tempa nie powstydziłaby się grupa grająca speed metal. Utrzymana w podobnej stylistyce kompozycja "**Wild Rites And Ancient Songs**" jest już bardziej konwencjonalna, ale moim faworytem na "**Wild Rites And Ancient Songs**" jest utwór numer sześć, zatytułowany "***Troubadours Of The Final Quarrel***": nie tylko dynamiczny i potężnie brzmiący, ale też chwytliwy i ozdobiony melodyjną solówką. W roku 1984 mo-

Blessed Child - Monolith

2021 Self-Released

Blessed Child został założony w Brunszwiku w roku 2019. Zespół zaliczany jest do sceny thrash metalowej, choć ja po przesłuchaniu "**Monolith**" w muzyce usłyszałem mieszankę wpływów brytyjskich (Raven, Avenger) i niemieckich (Rage, Grave Digger). Gdzieś tam też pomykają inspiracje **Judas Priest** czy **Iron Maiden**. Może to chciejstwo i pewne oczekiwania wobec tego zespołu, ale nie jest to aż tak ważne, bowiem niemieccy muzycy przygotowali sześć wyśmienitych, wpadających w ucho kawałków, że ciężko się od nich oderwać. Także czy to fan tradycyjnego heavy metalu, czy też thrash metalu powinien zainteresować się tą płytą. Poza tym w każdym utworze znakomicie pracuje sekcja rytmiczna oraz gitary, a szorstki i krzykliwy wokal świetnie podkreśla ich klimat. Oprócz tego każdy kawałek zawiera swój charakter oraz elementy znane z dokonań innych niemieckich kapel, czyli pewna solidność i toporność. Dodatkowo Niemcy zadbali także o dobre brzmienia oraz produkcję, także czego więcej od nich wymagać? (4)

Blessed Child - The Burning Shade

2022 Self-Released

Rok po wydaniu EP-ki "**Monolith**" Niemcy promują swój pełny studyjny album "**The Burning Shade**". Już rozpoczynający "***Timid***" mówi nam, że muzyka otrzymała mocniejszą oprawę i w wypadku **Blessed Child** AD 2022 w zasadzie można mówić o power/thrashu. W kilku kompozycjach, a w zasadzie w większości, tych utrzymanych w średnich tempach, można doszukiwać się podobieństw do **Megadeth**. Natomiast w takim tytułowym "***Burning Shade***" usłyszymy również elementy zaczerpnięte z teutońskiego thrash metalu. Oczywiście wszystkie pozostałe elementy znane z "**Monolith**" również usłyszymy, także muzyka pozostaje w tej samej sferze, ale jest jednocześnie ciekawsza i atrakcyjniejsza. Niemniej najważniejsze jest to, że muzycy **Blessed Child** z wyczuciem i bardzo udanie sprawdzają się w pisaniu swoich kompozycji. Właśnie te zgrabnie napisane utwory, naszpicowane wieloma świetnymi i różnorodnymi tematami, wybornymi riffami i solówkami oraz nośnymi melodiami, są główną atrakcją tej formacji. Do tego dopasowuje się również wokal, który sprawia wrażenie jeszcze ostrzejszego, ale w żaden sposób nie rezygnuje z melodii. Znakomita sprawa. Tak jak to się potocznie mówi "**The Burning Shade**" to strzał prosto w między oczy lub konkretny kop w krocze. Fani heavy metalu i thrashu powinni być zadowoleni z "**The Burning Shade**". W każdym razie nazwa **Blessed Child** powinna być na ich radarze. (4)

\m/\m/

że ukazałby się na 7" singlu, a może nawet i w 12" formacie, ale i tak cieszy, że niemal 40 lat później młode zespoły wciąż kultywują dawne tradycje i nagrywają tak udane płyty. (6)

Wojciech Chamryk

Blind Illusion - Wrath Of The Gods

2022 Hammerheart

Blind Illusion to kapela gitarzysty, basisty, wokalisty, songwritera itd. czyli człowieka orkiestry, **Marca Biedermanna**, który przewodzi formacji od roku 1978. Niestety wraz z kolegami nie potrafił zbytnio zainteresować większego grona odbiorców, a tym bardziej wydawców. Być może to kwestia pewnego szalonego podejścia do muzyki **Biedermanna** i spółki. Całkiem możliwe. W latach 80. formacja wydała kilka demówek i dopiero w 1988r. opublikowali krążek "**The Sane Asylum**". Album został przyjęty dość przychylnie przez fanów, jak i krytyków. Do tej pory uważa się go za jedną z ważniejszych pozycji w rozwoju sceny progresywnego thrash metalu. Myślę, że w tym wypadku to nie tylko zasługa **Marca**, który napisał wszystkie utwory, ale również wsparcia basisty **Lesa Claypoola** (powinniście znać go z Primus). Niestety techniczny thrash, czy też progresywny thrash nigdy nie osiągnął popularności, na którą zasługiwał. Prawdopodobnie z tych powodów w roku 1992 zaprzestał działalności. **Marc Biedermann** powrócił do pomysłu **Blind Illusion** gdzieś w roku 2009. Do tej pory wydał kilka nowych wydawnictw i kompilacji. Niestety nowe płyty zespołu **Biedermann**a nie zyskują dobrych ocen. No niestety, jak to mówią, nie można wejść do tej samej rzeki i ciężko jest odtworzyć dawne czasy. No cóż, muzyka **Blind Illusion** nadal kręci się wokół thrash metalu. Najdobitniej świadczy o tym rozpoczynający kawałek "***Straight as the Crowbar Flies***", który klimatem mocno nawiązuje do czasów Bay Area. Jednak w muzyce tego zespołu sporo jest też hard rocka, heavy metalu, speed metalu, power metalu czy też progresywnego metalu. Także słuchacz mimo wszystko może odbierać ten muzyczny miszmasz jak coś trochę szalonego. Drugi utwór "***Slow Death***" nadal trzyma thrashowy klimat, za to jest intensywniejszy i bardziej żwawy. Natomiast "***Protomolecule***" skręca już w kierunku speed metalu. Z kolei w "***Spaced***" usłyszycie klimat i brzmienia bardziej współczesnego hard rocka z elementami bluesa i sounthern rocka. W tym momencie ja sam mam lekki zawrót głowy od takiego melanżu, a zespół się nie hamuje i dąży dalej. Tytułowy "***Wrath Of The Gods***" powraca do thrashu, ale z progresywnym posmakiem. Tego progresu jest jeszcze więcej w kolejnej kompozycji "***Behemoth***", niestety momentami wlecze się ona jak przysłowiowe flaki z olejem. Wraz z "***Lucifers Awakening***" następuje zwrot w stronę tradycyjnego heavy, ale tak trochę bez wyczucia, ale może za dużo wymagam od **Marca** i jego ekipy. Podobnie jest z "***Amazing Maniacal Monolith***". Za to wieńczący płytę kawałek "***No Rest Until Budapest***" w końcu łapie ten heavy metalowy charakter i może się nawet podobać. Ciężko jest przyswoić pomysły **Marca Biedermanna**, jednak są momenty, które przyciągają do tej muzyki. Niemniej wydaje się, że chwil, które wzbudzają niezrozumienie, jest trochę więcej. Do zagrania swoich pomysłów **Biedermann** zmontował całkiem zacną ekipę, bowiem za perkusją usiadł **Andy Galeon**, który swego czasu był związany z **The Organization** i **Death Angel**. Drugim gitarzystą został **Doug Piercy** były współpracownik **Anvil Chorus**. Najmniej znany jest za to basista **Tom Gears**, którego lider **Blind Illusion** wyczaił w jednym z coverbandów **Iron Maiden**. Także wykonanie jest na niezłym poziomie. Nie do końca podobają mi się brzmienia, szczególnie gitar, ale wydaje mi się, że to wizja **Marca** i do niej się dostosowano. "**Wrath Of The Gods**" to niezły album, jednak myślę, że od tej ekipy trzeba wymagać więcej. (3,7)

\m/\m/

Blind Man's Gun - Beyond The Darkness

2016 Alster

To nie pomyłka, debiutancki album tej niemieckiej grupy faktycznie ukazał się ładnych kilka lat temu. Wygląda jednak na to, że **Blind Man's Gun** pracują już od jakiegoś czasu nad kolejnym pełnowymiarowym wydawnictwem, ponieważ publikują cyfrowe single i dwa ostatnie dołączyli do promocyjnych plików z "**Beyond The Darkness**". To całkiem udany materiał, czerpiący zarówno z hard rocka (Sabbathowy "Purple Parachute"), jak też tradycyjnego metalu lat 80. ("Helldorado" i kilka innych utworów). Tu wyróżniłbym totalnie archetypowy dla tamtej dekady "***Inside Out***", mroczny "***Evil Eyes***" i piekielnie dynamiczny "***Hands Off***". Zwłaszcza ten ostatni numer to prawdziwy popis wokalistki **Naddy Gunn**, obdarzonej mocnym, niskim, momentami nawet złowieszczo brzmiącym głosem. Nowsze utwory, "***Fireblade***" sprzed dwóch lat i świeższy "***44 Seconds***", są jeszcze ciekawsze; słychać, że zespół dopracował obraną formułę hard'n' heavy starej szkoły, tak więc warto czekać na drugi album **Blind Man's Gun**. (4,5)

Wojciech Chamryk

Blood Star - First Sighting

2023 Shadow Kingdom

No i mamy kolejnych debiutantów, których karierę po prostu wypada śledzić. Świat miał okazję po raz pierwszy usłyszeć o **Blood Star** w roku 2020, kiedy światło dzienne ujrzał singiel "***The Fear***" z dwiema bardzo obiecująco brzmiącymi kompozycjami. Już pobieżny research nt. składu dawał statystycznemu metaluchowi do myślenia - za wiosłem mamy tu bowiem **Jamisona Palmera**, który przyłożył przecież rękę do potężnych albumów **Visigoth**. Kolejne single z coverami zdradzały nie całkiem oczywiste inspiracje, wśród których znalazł się m.in.... **Lee Clayton**. Mieliśmy więc wizerunek typowej heavy hordy, wiedzionej przez całkiem już doświadczonego epigona sztuki metalu epickiego oraz niepozorną (choć urodziwą) dzierlatkę na wokalu, a biorącej na sztandary klasyków nie spod znaku **Jag Panzer** lub **Chastain**, ale **Dokken** i **Uriah Heep**. Ciekawość co z tej mikstury wyjdzie została wreszcie zaspokojona po długich 3 latach. Przepis na "**First Sighting**" nie jest niby skomplikowany, ale składników jest bardzo dużo, bo muzycy finalnie czerpią z bardzo różnych zakątków tradycyjnego metalu. Po pierwsze hard n' heavy - większość numerów ma bujający, przebojowy charakter i taki np. "***Going Home***" nasuwa mi skojarzenia z **Blackie'm Lawless'em** z **WASP**, gnającym na motocyklu ku zachodzącemu słońcu (tu, ze względu na klimat i warstwę tekstową jedzie przez opuszczoną planetę w stronę kilku przyświecających jej księżyców), w podobny vibe wprowadza otwierający "***All or Nothing***". Z kolei fantastyczne, hymnowe wręcz refreny "***Fearless Priestess***" i "***Cold Moon***" to wielki ukłon dla sceny NWOB HM. Wieńczący album "***Wait to Die***" niemal speed metalowo gna na złamanie karku i raczy - ponownie - potężnym refrenem, który na długo wryje się w pamięć. Zupełnie inną, quasi-balladową funkcję spełnia tu odróżniający się od reszty, mroczniejszy, bardzo klimatyczny "***The Observers***", gdzie za główny mikrofon chwycił **Jamison Palmer**, wspomagany nastrojowym zawodzeniem **Madeline Smith**. I tej uroczej blondynki też tu nie można pominąć, bo Pani **Madeline** to kawał mocnego, charyzmatycznego głosu, przywodzącego na myśl - jakżeby inaczej - **Doro** (skądinąd Warlock to przecież również mistrzowie fantastycznych refrenów). I tak sobie myślę, że w zasadzie **Blood Star** osiągnął na debiucie dokładnie tyle, ile obecnie po prostu da się osiągnąć w temacie heavy metalu - czyli świetne, zapamiętywalne kompozycje, odegrane przez muzyków do których przywalić się ni jak, do tego z młodzieńczą energią i entuzjazmem (choć stuprocentowych nowicjuszy w składzie zespołu brak) i odrobiną tego kosmicznego, "gwiezdnego" klimatu. Szczerze mówiąc, liczę na jego uwypuklenie w przyszłości - aż się prosi o pogłębienie tego konceptu nie tylko w tekstach i na okładkach, ale i w samej muzyce. A jeżeli do tego poziom kompozycyjny mógłby jeszcze wzrosnąć, to mamy nową - nomen-omen - gwiazdę sceny! (5)

Piotr Jakóbczyk

Bonafide - Are You Listening?

2023 Black Lodge

Bonafide to szwedzki zespół hardrockowy, założony przez wokalistę/gitarzystę **Pontusa Snibba** w Malmö w 2006 roku. Ich hard rock to pochodna **AC/DC**, **Rose Tatoo**, **Airbourne** i wszystkich tych kapel, na których swoje piętno odcisnęli bracia **Young**. Natomiast "**Are You Listening?**"

to siódmy studyjny album Szwedów (jeżeli nie pomyliłem się w liczeniu). Wypełnia go dziesięć kawałków i w zasadzie można byłoby na tym zakończyć recenzje, ale utwory te mają tyle dynamiki i witalności, że aż trudno przejść obok nich obojętnie. Mimo że muzycy **Bonafide** czerpią z tego, co najlepsze w **AC/DC**, to udanie przemycają własne cechy. Przede wszystkim głos pana **Snibby**, ani nie kojarzy się z **Bonem Scottem** (no może trochę), czy **Brianem Johnsonem**, za to ma znakomity szorstki i mocny rockowy głos, który bardzo pasuje do takiego grania. Bardziej **AC/DC** przypominają same chórki. Gitary pracują podobnie jak u Australijczyków, ale bywają momenty, że słychać indywidualne cechy szwedzkich gitarzystów, głównie w solówkach. Oczywiście same utwory niosą indywidualne cechy, ale tak samo jak w wypadku **AC/DC** można mówić, że Szwedzi ciągle grają to samo. Za to w żaden sposób nie da się podrobić ich ogromnej pasji i witalności, to właśnie one niosą cały "**Are You Listening?**". Także jak ktoś lubi **AC/DC** i ciągle mu mało, może spokojnie sięgnąć po ten krążek. (3,7)

\m/\m

By Fire and Sword - Glory

2023 No Remorse

Pochodzący z Boise w stanie Idaho zespół **By Fire And Sword** stworzył unikalną tkaninę muzyczną, której fani heavy metalu nie powinni przegapić. Ich debiutancki pełnoprawny album "**Glory**", stanowi rozwinięcie stylu znanego z EPki "**Freedom Will Flood All Things With Light**". Muzycznie mieszanka tradycyjnego metalu, power metalu i elementów rocka progresywnego, podana z ekscentrycznym humorem. Religijna tematyka grupy może kojarzyć się nieco ze szwedzkim **Ghost**, ale nie jest to jednak aż tak głęboki poziom kreacji. Tym, co zespół wyróżnia, są wokale enigmatycznego **Wielebnego** (Reverend), dość czyste i klarowne, nie kojarzące się w pierwszej chwili z typowo heavy metalowym śpiewem. Facet ma jednak w sobie specyficzny urok, który może się podobać. Sporo utworów ma tutaj chwytliwą przebojowość, na przykład "***The Feast***", "***The Money Song***" czy "***Glory, Love and Light***". Gdzieniegdzie rozbrzmiewają kojarzące się z muzyką lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku organy lub mellotron. "**Glory**" to album, który powinien spodobać się fanom bardziej progresywnego podejścia do muzyki metalowej (proszę nie mylić z metalem progresywnym w stylu Dream Theater), którzy nie mają nic przeciwko nieco żartobliwej czy też pastiszowej tematyce tekstów. (4)

Igor Waniurski

Chamelion - Legends & Lores

2023 Rockshots

Chamelion to melodyjno-symfoniczno-filmowo-epicki power metalowy projekt fińskiego multiinstrumentalisty **Marco Snecki**. Natomiast tegoroczny "**Legends & Lores**" to ich duży studyjny debiut. Znajdziecie na nim wszystko to, o czym wspomniałem na samym początku. Nie odstaje to od tego co proponują wszystkie inne zespoły tego pokroju. Także wybrzmiewa to jak **Rhapsody**, albo R**hapsody of Fire** i ich sukcesorzy. **Marco Sneck** i jego koledzy zaangażowali wszystkie swoje umiejętności oraz wyobraźnię, aby muzyka była interesującą dla ewentualnych fanów. Dużo w niej serca, emocji, talentu, a także umiejętności, klimatu, melodii, wirtuozerii, ciekawych tematów muzycznych, metalowych akcentów, wielowarstwowych chórów, orkiestracji oraz aury renesansu i baroku. Zadbano również, aby każda kompozycja zawierała historię, która łączy się z następną. Tym samym mamy do czynienia z pełną opowieścią fantazy, którą spina również muzyka. Dlatego album powinno słuchać się w całości, wtedy daje on możliwość uzyskania pełni doznań. Niestety w moim wypadku to całe zaangażowanie **Marco** i spółki nie zrobiło żadnego wrażenia. Po prostu z odsłuchem tego krążka nie trafiłem w odpowiedni moment i bardzo szybko się nim znudziłem. Pewnie, gdybym nie musiał napisać recenzji to, w połowie albumu bym go wyłączył, a przecież musiałem przesłuchać tę płytę przynajmniej kilka razy. Smutno, ale efekt końcowy był zawsze taki sam. Jeśli chodzi o wykonanie, brzmienia i produkcję trzeba oddać sprawiedliwość Finom i wszystkie te elementy są utrzymane na najwyższym poziomie.

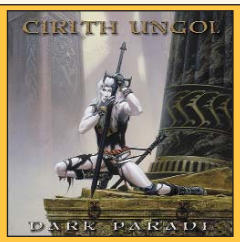

Cirith Ungol - Dark Parade

2023 Metal Blade

W tym numerze trafiło mi się parę dobrych prawdziwków, jeżeli chodzi o wywiady i recenzje. I to właśnie uświadomiło mi, że wbrew obiegowej opinii, heavy metal jest muzyką bardzo zróżnicowaną i każdy z klasycznych zespołów definiuję go na swój własny sposób. **Cirith Ungol** jest tego najlepszym przykładem, ponieważ ich muzykę trudno przypisać do jakiegokolwiek nurtu, sceny czy też szkoły. Panowie prawie pięć dekad temu stworzyli swoją własną niszę, w której z powodzeniem działają po dziś. I robią to cały czas naprawdę dobrze, a nawet znakomicie. Po świetnie przyjętym "**Forever Black**" zespół nie spuszcza z tonu i uderza z jeszcze większą siłą. Właśnie siła, moc i ciężar łamiący kości są znakiem rozpoznawczym tego albumu. Nie jest to tylko moja opinia, sam **Rob Garven** w wywiadzie potwierdza, że zespół położył szczególny nacisk na brzmienie, ponieważ na poprzedniej płycie trochę brakowało im tych ciężkich dołów. Dlatego też "**Dark Parade**" miażdży czaszki niczym uderzenie młotem bojowym i wysadza głośniki w powietrze. Jestem zachwycony jak ta płyta brzmi - czysto i potężnie, ale też rasowo, rdzenie i szlachetnie, bez żadnych nowoczesnych sztuczek. Nie tylko dźwięk czyni tę płytę wielką ale przede wszystkim kompozycje, które same w sobie są doskonałe. Ta płyta nie ma słabszych fragmentów, każdy dźwięk wydaje się dopracowany i głęboko przemyślany, nic tu nie zostało pozostawione przypadkowi. Płytę rozpoczyna najszybszy w zestawieniu "***Velocity***", który w materiałach promocyjnych jest określany, jako utwór będący pod wpływem NWOBHM. Nie ukrywam, że również dałem się zwieść tym sugestiom, ale im dłużej słucham tego kawałka, coraz bardziej dochodzę do wniosku, że jest to po prostu szybki kawałek **Cirith Ungol**, w ich własnym unikalnym stylu. Mocna i przebojowa (oczywiście jak na standardy nihilistycznych wizji muzycznych) piosenka na początek. Następnie zespół zwalnia i już do końca płyty pozostaje w wolno - średnich tempach. "***Relentless***" sunie przed siebie nieustępliwie niczym walec lub buldożer niezważający na żadne przeszkody. Chociaż orientalizmy pojawiające się w tym kawałku zasługują na jakieś barwniejsze porównanie niż maszyny budowlane. Może zamiast walca bardziej odpowiedni będzie wielki kamienny blok ciągnięty przez niewolników do budowy piramidy. Biada nieszczęśnikom, którzy opadną z sił - czeka ich straszliwa śmierć pod belami, na których przetaczany jest kilkunastotonowy ciężar. Trzeci w kolejności "***Sailor on the Seas of Fate***" to jeden z moich faworytów na płycie. Pięknie rozwijający się majestatyczny utwór z transowych klimatem i galerniczymi bębnami, zainspirowanymi przez klasyczny film "**Ben Hur**". W połowie utworu mamy zmianę tempa i nagłe przyśpieszenie. Fajny, szybki fragment pobity brzmieniem organów urozmaica i daje chwilę wytchnienia. Po czym wszystko znowu wraca do katorżniczego rytmu, żeby przejść na końcu w emocjonalne solo gitarowe. To jednak nie koniec udręki, nie oczekujcie litości ni wybawienie. Z galerniczego piekła dostajecie się wprost w sam środek krwawego szaleństwa "***Sacrifice***". Dzięki temu utworowi dowiedziałem się, że istnieje coś takiego jak aztecki gwizdek śmierci. To dźwięk tego instrumentu usłyszycie na początku. Najpierw myślałem, że to popis wokalny **Tima Bakera**, dopiero podczas wywiadu zostałem wyprowadzony z błędu. Ten poręczny gadżet plus intro z hiszpańskiej gitary i kastanietów zwraca moje myśli w kierunku mrocznych wizji znanych chociażby z "**Apocalypto**" **Mela Gibsona**. Bezlitosna rzeź napędzana ludzkim obłędem i doskonałymi solówkami. Tu chciałbym zwrócić uwagę na wyśmienite gitary na tym albumie, zarówno jeżeli chodzi o riffy jak i właśnie solówki, które czasami wznoszą się wręcz na poziom geniuszu. Tak jest chociażby w następnym w kolejności "***Looking Glass***", w którym w połowie mamy do czynienia z progresywną, Floydowską solówką, pod którą mógłby się spokojnie podpisać **David Gilmour**. Zresztą kompozycyjnie cały kawałek jest doskonały, to klasyczny **Cirith Ungol**, przywodzące na myśl takie kawałki jak "***Join the Legion***" czy "***War Eternal***". "***Looking Glass***" to wstęp do koncepcyjnej części albumu po którym następuje triumwirat: "***Dark Parade***", "***Distant Shadows***" i "***Down Below***". Ja traktuję te utwory jako trzy akty jeden opowieści o upadku ludzkości. Wzajemnie się uzupełniają i tworzą całość, co najlepiej pokazuje przejście pomiędzy "Distant Shadows" i "***Down Below***". Z tego powodu jeszcze do tej pory nie słuchałem ich osobno, w przeciwieństwie do 5 pierwszych utworów, które zdarzało mi się słuchać oddzielnie. To bezlitosny, wściekły i niszczycielski doom w stylu **Ungol** urozmaicony co jakiś czas nietypowymi wstawkami, jak na przykład stoner rockowe zagrywki w "**Dark Parade**" czy niepokojące chórki w niszczycielskim "***Down Below***". Ten kawałek naprawdę rządzi i jest doskonałym zakończeniem doskonałego album. Tak, jest to album doskonały. To jest prawdziwy metal a jednocześnie prawdziwa sztuka. Może nie jest to najbardziej techniczny zespół na świecie, ale to nie umniejsza im jako artystom. **Cirith Ungol** są wybitnymi i unikatowymi muzykami, mimo że niektórzy mogą traktować ich muzykę jako prostą czy nawet prymitywną. A może właśnie to stanowi o wielkości tego zespołu, że potrafi dotrzeć do najgłębszych, pierwotnych ludzkich emocji i wciągać swoich maniaków do transowego, rytualnego korowodu podczas mrocznej parady. (6)

Grzegorz "Greg" Putkiewicz

Fani melodyjnego symfonicznego power metalu, tym razem z męskim wokalem, powinni sprawdzić "**Legends & Lores**" sami i wtedy wystawić odpowiednią notę. Tak jak pisałem, ja nie trafiłem w przesłanie tego albumu, dla mnie jest zwyczajny i jednym z wielu. (3)

\m/\m/

Children Of Reptile - Heavy is the Head

2023 Self-Released

Children Of Reptile pochodzą z Północnej Karoliny a "**Heavy is the Head**" jest ich trzecim albumem. Gdybyśmy mieli czasy, w których heavy metal cieszyłby się większą popularnością, zaryzykowałbym stwierdzenie, że to płyta, po której zespół mógłby się w końcu wybić lub przepaść. Przypuszczam jednak, że życie ekipy dowodzonej przez **Ozziego Dardena** niewiele się zmieni, a nowy krążek sympatycznych Amerykanach zainteresuje raptem garstkę dotychczasowych odbiorców. Bynajmniej nie życzę grupie takiego scenariusz, gdyż nowe dokonanie grupy jest dziełem świetnym. Mamy tu do czynienia z gorącym heavy metalem, w którym pobrzmiewają echa wczesnego **Iron Maiden** - dodajmy, że inkarnacji z **Paulem DiAnno** za mikrofonem. A więc jest surowo, ale jednocześnie melodyjnie i przebojowo. Refreny zaśpiewane na otwartym gardle, z energią i radością. Posłuchajcie tylko "***Burner***" czy następującego po nim "***Silent Circle***". Ten drugi brzmi jakby był wyjęty z dyskografii wspomnianych Brytyjczyków i przechrzczony z... **Baroness**. Tę drugą nazwę przywołuję w kontekście barwy wokalnej **Ozziego**, która bardzo kojarzy mi się z **Johnem Baizleyem**. Świetną robotę wykonują gitarzyści, grając ekspresyjnie i błyskotliwie. Wśród porywających riffów i solówek znalazło się miejsce i dla bardziej balladowego utworu, który, momentami, prezentuje liryczne oblicze grupy. "***Fear The Old Blood***", jest z jednej strony melancholijny, a z drugiej nie traci impetu. Z kolei "***Seven Days of Fire***" zwalnia tempa i zahacza o, wybaczcie oksymoron, trochę szybszy doom. W tym królestwie dominuje jednak czysty i bezpretensjonalny heavy metal. Życzyłbym sobie więcej takich płyt, a **Children of Reptile**, aby moje krakanie ze wstępu się nie spełniło i album ten stał się przełomem w ich karierze. (4,7)

Igor Waniurski

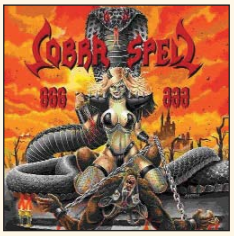

Cobra Spell - 666

2023 Napalm

W końcu doczekaliśmy się pełnego albumu **Cobra Spell**. Jeśli chodzi o estetykę to, nic się nie zmieniło, dziewczyny uwielbiają dziarski hard'n'heavy w glamowej oprawie, w dodatku w nawiązaniu do lat 80. Także skojarzenia z **Vixen**, **Madam X**, **Lita Ford**, **Doro**, a nawet **Runaways**, są jak najbardziej na miejscu. Śmiem nawet twierdzić, że z kawałkami na "**666**" osiągnęły nawet swoje kompozytorskie i wykonawcze szczyty. Zaczynają z pazurem, choć najpierw musimy przebrnąć przez krótkie klawiszowe intro "***666***" Wspomniany "***S.E.X.***" to heavy metalowy ostry strzał podszyty rock'n'rollem i mainstreamowym soundem a la lata 80. Kocice pokazały pazurki. Drapią nimi również w "***Satan is a Woman***" i "***Bad Girl Crew***", dynamicznych hardrockerach zabarwionych glamem i hair metalem. Wrażenia nie psuje kolejne klawiszowe intro "Hotline 666", które wciśnięto miedzy oba kawałki. Wraz z "***The Devil Inside of Me***" przechodzimy do melodyjnego i chwytliwego heavy metalu. Dodatki glamu i lat 80. generalnie są na każdym kroku tego albumu. Jednak jak spojrzycie na tytuły, pewnie dojdziecie do wniosku, ze babki za wszelką cenę pokazać, jakie one są wściekłe i zepsute do szpiku kości, no takie "badbadgirlsy". No ale po "***The Devil Inside of Me***" następuje katastrofa, która objęła dwa kolejne songi. Niemniej o tym za chwile. Za tą wpadką mamy utwory, które kontynuują klimat z początku albumu. Rozpoczyna się od ostrego, ale melodyjnego hard'n'heavy "***Love Crime***". Następny "***Warrior From Hell***" to melodyjny heavymetalowy hymn, z mocnym akcentem na końcu. Po nim przechodzimy do "***You're a Cheater***" bardziej melodyjnego hard rocka, ale mocno akcentowanego glam metalem. Album kończy się utworem "***High on Love***" dynamicznych hardrockerem w komitywie z glamem, czyli tym w czym dziewczyny czuja się najlepiej. Gdyby tak wyglądał tak ten krążek, byłby dla mnie rewelacją. Niestety w samy środku Panie zrobiły coś, czego się nie spodziewałem. Wraz z "***Fly Away***" naprawdę zaliczają odlot. To zamroczenie podkreślają kolejną pieśnią "***Love = Love***". Ja rozumiem, ballada/ballady były wpisane w heavy metal lat 80. Niemniej te ballady muszą mieć charakter, a wspomniane pieśni nie mają go za grosz. A ta "***Love = Love***" to wręcz pop-rockowa piosenka z saksofonem w tle. Poza tym jak to odebrać. Ostre babki, wściekłe kocice, a tu mdłe, wolne i balladowe kawałki. Moje Panie albo chcecie kąsać i drapać, albo pragniecie miziania. Chyba nigdy nie zrozumie tych kobiet. Mimo wszystko "**666**" to udany duży debiut **Cobra Spell**, dla fanów hard'n'heavy, glam/hair metalu i ogólnie lat 80. pozycja do bezwzględnego zapoznania. Tym bardziej że większość albumu jest świetnie wymyślona, przygotowana i zagrana. (4,5)

\m/\m/

Critical Defiance - Misconception

2023/2019 Dying Victims Productions

Wiele wznowień nie ma najmniejszego sensu, ale akurat ponowne wydanie debiutanckiego albumu tej chilijskiej grupy jest jak najbardziej na miejscu, bo to kawał świetnie zagranego thrashu, takiego w stylu Bay Area z lat 80. Do tego rzecz ukazała się dotąd tylko na CD i MC; LP nie było, ale jak urodzaj to urodzaj i winylowa wersja "**Misconception**" pojawiła się jednocześnie dzięki dwóm firmom. Oczywiście **Critical Defiance** nie odkrywają na tej płycie Ameryki, ale grają nad wyraz sprawnie, proponując surowy, ekstremalny thrash na najwyższych obrotach. Nie boją się przy tym, a to przecież jeszcze młodziaki mające po dwadzieścia kilka lat, urozmaicić bezlitosnej łupanki delikatniej brzmiącym zwolnieniem ("Spiral Of Hatred"), albo klimatyczną, balladową wstawką ("Misconception"), solówki Felipe Alvarado też są niczego sobie, a przede wszystkim dobrze skonstruowane i melodyjne. Gitarzysta prowadzący dobrze też radzi sobie w instrumentalnym "***507***", który wcale nie jest w tej ósemce jakimś wypełniaczem, a do tego dochodzi też dwukrotnie do głosu w najdłuższym i jak dla mnie najciekawszym "***Onset***" - mogę więc tylko powtórzyć, że wznowienie "**Misconception**" to bardzo dobra decyzja, po czym odpalić tę płytę ponownie. (5)

Wojciech Chamryk

Cruel Force - Dawn Of The Axe

2023 Shadow Kingdom

Zamilkli na ponad 10 lat, ale jak widać ciągnie metalowców do grania, nawet jeśli są już stateczniejsi i dorobili się rodzin, domów czy kredytów hipotecznych. Ale żarty na bok, bowiem powrót **Cruel Force** to całkiem dobry news, skoro ich pierwsze albumy "**The Rise Of Satanic Might**" i "**Under The Sign Of The Moon**" wciąż robią wrażenie i są regularnie wznawiane. Do tego zespół wrócił w niemal oryginalnym składzie, co jeszcze bardziej przełożyło się na jakość jego trzeciego albumu. Nie ma tu przy tym mowy o jakichkolwiek półśrodkach, **Cruel Force** naparzają naładowany agresją speed, thrash i wczesny black metal niczym w latach 80., że aż mam obawy o stan narażonych na tak bezwzględny atak kolumn. Jasne, przez lata przyszło znosić im wiele, ale jednak ekipa **Michaela Dalla** podniosła poprzeczkę pod tym względem niezwykle wysoko. Mamy tu więc intro, instrumentalną miniaturę i cztery bezlitosne ciosy, z których właściwie każdy może stać się zespołowym klasykiem. Na drugim biegunie są trzy dłuższe kompozycje, z których zwłaszcza "***Devil's Dungeon***" i "***Realm Of Sands***" pokazują, że nawet w dziedzinie ekstremalnego metalu można łoić z głową, proponując coś siarczystego, a przy tym nieoczywistego. Ja to kupuję, chociaż zdaję sobie sprawę, że słuchając tej płyty raczej szybciej niż później będę też potrzebować nowych kolumn... (5,5)

Wojciech Chamryk

Damage SFP - Punished By The System

2023 Samsara

Damage SFP powstał w Finlandii w roku 1989. W pierwszej fazie działał w latach 1989 - 1996, w następnej w latach 2018 - 2022 i w aktualnej, która trwa od tego roku. W roku 2019 Finowie wydali swój debiut "**Damage S.F.P.**". Krążek dość przeciętny, którego przesłuchanie nie pod-

nosiło ciśnienia. Aktualnie zespół tworzą basista **Antti Remes** (gra również w Poisonblack), perkusista **Tero Lipsonen** oraz wokalista i gitarzysta **Jarkko Nikkilä**. To oni odpowiadają za materiał, który powstał na potrzeby "**Punished By The System**". Muzycznie kojarzy się on z mieszanką heavy metalu i thrash metalu z okolic "czarnego albumu" **Metalliki**, z naciskiem na thrash. Kompozycje są trochę lepiej napisane niż na debiucie, ale raczej nie udaje się im uciec ze strefy przeciętności. Ich wyróżnikiem jest ogólna melodyjność. Może być to ich atut, może być to wada. Lubię melodie, ale w wypadku "**Punished By The System**" nie przekonały mnie one do siebie. Myślę, że lepiej przyjąłbym ostrzejszy wyraz muzyki tego zespołu. A, że ta melodyjność nie bardzo się sprawdza wystarczy posłuchać coveru **Motorhead** "***Iron Fist***". Oryginał ma melodie i zadziora, Finowie jedynie melodyjność. Wykonanie, brzmienia i produkcja tego albumu, jak dla mnie jest na dobrym wysokim poziomie. Oczywiście dopasowane są one do ogólnego i aktualnego obrazu **Damage SFP**. Jedynie można trochę przyczepić się do wokalu **Jarkko**. Jest po prostu za bardzo zwyczajny. Jak chcecie to, sprawdźcie tę płytę, może wam ta melodyjność przypadnie do gustu. Dla mnie Finowie to propozycja jedna z bardzo wielu podobnych. (3,5)

\m/\m/

Demonik - Demon

2020 Self-Released

Demonik powstał w słonecznej Hiszpanii w roku 2007. W roku 2010 wydali swój pełny debiut zatytułowany "**Demon**", trzy lata później kolejną studyjną płytę "**Las cenizas de la Tierra**" (2013) i w końcu koncertówkę "**Directo al infierno**" (2014). Wszystkie wydawnictwa śpiewane były po hiszpańsku. Później nastąpiły roszady personalne i w roku 2018 z nowym składem wydali płytę "**Rise From Chaos**". Krążek został przyjęty dość ciepło, co prawdopodobnie skłoniło muzyków do nagrania na nowo dwóch pierwszych wydawnictw, ale tym razem używając języka angielskiego. Także w roku 2020 można było przesłuchać nowych wersji dwóch pierwszych krążków "**Demon**" i "**Ashes of the Earth**", z wykorzystaniem nowego składu personalnego i liryków w języku angielskim. Z tych płyt dotarła do mnie ta pierwsza, poprawiony debiut. Niestety nie słyszałem, żadnych z wymienionych wcześniej krążków, więc nie bardzo wiem, czym te nagrania się różnią. Natomiast to, co można usłyszeć na anglojęzycznej wersji "**Demon**" to całkiem solidny i sympatyczny thrash metal, w którym można odnaleźć echa **Annihilator**, **Testament**, **Death Angel** itd. Muzyka i kawałki niczym specjalnie się nie wyróżniają. W aktualnych warunkach są jednymi z wielu podobnych. Można powiedzieć, że skompilowano je konkretnie i solidnie, ale sporo im brakuje, aby zabrzmiały naprawdę ciekawie. Bywa jednak, że jest całkiem nieźle, ale wydaje mi się, że to dzięki niezłym umiejętnościom instrumentalistów. No cóż, nie każdy musi być mistrzem, dobrze, że Hiszpanom się chciało i włożyli w to serce, bo zaangażowania nie mogę im odmówić. (3,5)

\m/\m/

Depulsor - Walking Among The Undead

2021 Self-Released

Depulsor to niemiecki przedstawiciel NWOTM, który działa od roku 2012. Do tej pory wydał dwa tytuły, EP-kę "**Nightmare of Humanity**" (2017) oraz pełny album "**Walking Among The Undead**" (2021). Okres covida przyniósł im trochę zamieszania, ale ogólnie formacja nadal funkcjonuje. Na "**Walking Among The Undead**" znajdziecie dość sprytną mieszankę thrash metalu inspirowanego amerykańskimi zespołami takimi jak **Metallica** czy Slayer. Ale także Niemcy sięgają po wzorce od starszych kolegów, czyli **Kreatora**, lub przeskakują do innej Ameryki, wspierając się **Sepulturą**. Od czasu do czasu przemknie coś z crossovera w stylu **D.R.I**. Pomysłowość Niemców polega na tym, że dość ciężko jest oddzielić, który kawałek więcej czerpie z **Metalliki**, a który ze **Slayera** czy też **Kreatora**, tudzież **Sepultury**. Tak jak z początku słuchania wydawało mi się, że taki "**Failed Treachery**" opowiada się bardziej za **Metallicą**, a "***Violent Tendencies***" za **Slayerem**, to po iluś tam razach przesłuchania takiej pewności nie mam. W każdym razie Niemcy mają smykałkę, do pisania całkiem niezłych bezpośrednich, pełnych energii, a zarazem różnorodnych kawałków. W dodatku wyśmienicie grają te swoje pomysły, także maniakom thrash w ich wykonaniu może się spodobać. Ogólnie można powiedzieć, że Niemcy w swojej muzyce połączyli wszystko, co najlepsze w thrash metalu i podali go w optymalny sposób, ograniczając się jedynie swoją wyobraźnią oraz umiejętnościami. Trzeba też podkreślić dobre brzmienia i produkcję, co udanie domyka całość "**Walking Among The Undead**". Jeśli jesteś fanem thrashu rodem z lat 80., ale w wykonaniu młodzieży to powinieneś sięgnąć po ten krążek. (4)

\m/\m/

Destructor - Blood, Bone, and Fire

2023 Shadow Kingdom

Wraz z wydaniem swojego debiutu "**Maximum Destruction**" (1985) Amerykanie ustalili swój muzyczny status. Był to i jest gniewny oraz zbuntowany thrash metal podszyty speed metalem, power metalem i klasycznym heavy metalem. Czyli wszystko to, co lubią fani US metalu. Na "**Blood, Bone, and Fire**" można usłyszeć też echa epickiego metalu, albo to tylko moje wyobrażenia. Wszystkie dziewięć kawałków to mocne i bezpośrednie strzały w twarz, oparte na brudnym, szorstkim i wściekłym oldschoolowym metalu, gdzie kipią wspomniane wcześniej różne heavy metalowe wpływy. Każdy kawałek, choć inny, jest równie mocny i znakomicie buduje spójność całego albumu. Wiele w nich też się dzieje, jednak nie brakuje im bezpośredniości i melodii, podsycanych przez charakterystyczny wrzaskliwy wokal **Dave'a Overkilla**. W utworach znajdziemy szybkie tempa, ciekawe pomysły muzyczne, cięte riffy, wściekle sola, niewielkie, ale słyszalne zabawy tempami i klimatem, kreatywną, ale miażdżącą sekcją rytmiczną. Generalnie jest bardzo intensywnie, headbanging na całego. Jednak w kawałkach jest też pewna chwytliwość, która powoduje, że całego albumu słucha się z lekkością. Po prostu muzycy **Destructora** od początku do końca bawią się graniem i każdym dźwiękiem zarażają nas swoją pasją. Dzięki czemu nie widzę żadnego słabego momentu na tym krążku. Wiele razy przy różnych albumach podkreślałem, że uwielbiam płyty, których słucha się w całości. Przeważnie były to te z ambitniejszą muzą. Muzyka na "**Blood, Bone, and Fire**" jest ogarnięta oldschoolową furią i atakuje nas frontalnym atakiem, ale kompozycje są tak napisane, że chłonie się je właśnie w całości. Także ten krążek jest wręcz kapitalny. Jego charakter podkreślają brzmienia i produkcja, bardzo staroszkolna, undergroundowa oraz zatopiona w latach 80. Gdy skończycie słuchać tego albumu i się ockniecie, to wokół was będą tylko zgliszcza. (5,5)

\m/\m/

Diviner - Avaton

2023 ROAR!

Pierwszą myśl, jaką miałem po przesłuchaniu "**Avaton**" była taka, że podobne odczucia towarzyszyły mi przy pierwszych odsłuchach trzeciego albumu **Dio** "**Sacred Heart**". Dwa pierwsze krążki Mistrz wydał potężne i dzikie, a przy okazji trójki złagodniał, a zarazem zaserwował sporo przebojowości. Podobnie jest z Grekami, ich dwa pierwsze albumy są potężne i preferowały tradycyjny heavy metal, ale w wyprodukowany we współczesny sposób. Natomiast ich trzeci album, właśnie omawiany, zawiera tradycyjny heavy metal, ale już łagodniejszy i bardziej przebojowy. Już na poprzedniku "**Realms of Time**" (2019) melodie odgrywały ważniejszą rolę, jednak tym razem stanowią pierwszoplanową rolę. Nie oznacza to, że Grecy zrezygnowali z dynamicznego heavy metalu. Nie, wręcz odwrotnie, tego oldschoolowego heavy metalu z lat 80. jest jeszcze więcej. Wydaje się, że kosztem współczesnego brzmienia. Tradycjonaliści powinni być zachwyceni. Owszem **Diviner** nadal brzmi jak współczesny heavymetalowy band, ale stara szkoła w muzyce i

brzmieniu płyty przechyliła szalę na swoją korzyść. Być może na tę sytuację miał wpływ fakt, że po wydaniu wspomnianej płyty "**Realms of Time**" w zespole pozostał w zasadzie sam wokalista **Yiannis Papanikolaou**. Być może nowi muzycy wprowadzili swoje wizje i preferencje, które skierowały się w stronę heavy metalu lat 80. Wszystkie kompozycje są naprawdę znakomite, niby wszystko w tym samym stylu, ale każda ma swój własny charakter. Jedyne czego żal to, że o żadnej nie można myśleć o jako super hiciorze. Akurat tej płycie przydałby się i to bardzo. Chociaż taki "***Dominator***" ma do tego predyspozycje. Może jak jeszcze go parę razy przesłucham to, w końcu zaskoczy. Z melodii Grecy nie rezygnują nawet w dwóch potężnych i bardzo epickich kompozycjach "***Hall Of The Brave***" i "***The Battle Of Marathon***". Znalazły się one praktycznie na końcu i jak dla mnie stanowią najciekawszy fragment "**Avaton**". Chociaż pozostała część krążka, tym utworom zupełnie nie ustępują. Jak to wydawca napisał ma on wszystkie cechy klasycznego heavy metalu, który jest potężny, melodyjny, epicki, mroczny, duchowy, klimatyczny, intensywny, agresywny, surowy i różnorodny jednocześnie. Jak już zaznaczyłem, w brzmieniu pojawiła się lekka zmiana, więcej jest w nim oldschoolu, jednak Grecy nie rezygnują też ze współczesności. Wykonanie jest niesamowite. Ten zespół ma niesamowite szczęście, bo kto by mnie przyszedł, gra wręcz rewelacyjnie. Życzyłbym jednak żeby złapał trochę stabilności no i aby liznął trochę popularności, dzięki której muzycy mogliby jakoś realnie patrzeć w przyszłość. Jeśli chodzi o treść to też nieźle. Tym razem wydawca napisał, że teksty zapowiadają zapierająca dech w piersiach podróż z okrutnego, dystopijnego świata do naszych najgłębszych marzeń, w poszukiwaniu prawdziwych tajemnic życia i nie tylko. Wypełnia ją moc przygód, emocji i czystej magii, która skradnie serce każdego nienasyconego i oddanego fana metalu. "**Avaton**" to kolejny bardzo dobry album Greków. Mam nadzieję, że w końcu dostrzegą to inni. (5)

\m/\m/

Dokken - Heaven Comes Down

2023 Silver Lining Music

Aż się nie chce wierzyć, do jakich powrotów dochodzi ostatnio w pierwszej lidze hard & heavy. **Scorpions** pokazał klasę za sprawą nawiązującego stylistycznie do swych najwybitniejszych dokonań "**Rock Believer**" (2022). **Victory** powróciło po dekadzie

ciszy z bardzo udanym "**Gods of Tomorrow**" (2021). Należący do tej samej parafii **Dokken** również wzbił się na wyżyny swoich możliwości i raz jeszcze zrobił fenomenalny użytek z muzycznych talentów, tym razem dobrze dopasowanego personalnie zespołu. Poprzedni krążek "**Broken Bones**" (2012) rozczarowywał, więc smutno byłoby, gdyby okazał się ostatnim. Na szczęście sprawy potoczyły się tak, że minął kawał czasu, w składzie pojawiła się nowa sekcja rytmiczna i ekipa wreszcie dobrze się ze sobą dogaduje. W efekcie powstał jeden z najlepszych w całej dyskografii **Dokken** album pt. "**Heaven Comes Down**". Oczywiście, to już nie to samo, co kiedyś. Wraz z wiekiem głos **Dona** uległ znaczącej zmianie. Śpiewa niżej, ale dzięki temu z powodzeniem stosuje swoje siedemdziesięcioletnie dziś struny głosowe. Mógłby nie dać rady w wyższych rejestrach, a w ten sposób ciekawie pokazał się z zaskakującej strony i wniósł coś świeżego. Moim zdaniem brzmi dojrzale, tkliwie, ale i przyjemnie. Niestety, z powodu sparaliżowanego prawego ramienia nie gra już na gitarze, choć upierałbym się, że na teledysku "***Fugitive***" widzę, jak podpisuje autografy prawą ręką, więc może jednak potrafi nią poruszać. Z racji długiego stażu, **Jona Levina** należy wskazać i docenić jako głównego gitarzystę **Dokken**. Jego partie są podporządkowane melodiom oraz strukturom utworów, nie popisuje się i gra w sam raz, czyli idealnie. Album "**Heaven Comes Down**" cechuje raczej ściana dźwięku niż jazzowe wygibasy. Bywa ostro, słychać mocne przesterowane wibracje, ale generalnie te utwory są ciepłe, mają pozytywny przekaz i nie skłaniają do metalowego szaleństwa, tylko wywołują radosny nastrój lub melancholię. Można wychwycić inspiracje wspomnianym **Scorpions** ("I'll Never Give Up"), **Victory** ("Is It Me Or You"), jak również **Led Zeppelin** ("Saving Grace"), ale za każdym razem zespół wykazuje się ogromną wyobraźnią. Wszystkie bez wyjątku utwory są niezwykle pomysłowe i bardzo mi się podobają. Do moich faworytów należy jednak "***Just Like A Rose***", który przemyka niepostrzeżenie, może uchodzić za stonowany, ale warto się wsłuchać i wczuć w jego wysmakowane harmonie. Pozostawiony na koniec, zupełnie niemetalowy, za to obłędnie klimatyczny utwór autobiograficzny "***Santa Fe***" również korzystnie wyróżnia się z całego zestawu. Choć akustyczny, został wykonany głośno, zdecydowanie i z rockowym zacięciem. W dniu premiery "***Heaven Comes Down***" basista **Chris McCarvill** powiedział (w swobodnym tłumaczeniu) na oficjalnym fejsbukowym profilu **Dokken**: "*Słuchaj, jeśli nie kupisz tej płyty Dokken, zwalę Ci się na chatę, dowiem się kim jesteś, wskoczę Ci do sypialni i uduszę tam siedem osób. Kup albo Cię dorwę, dosłownie*". Normalnie padłaby piątka, ale odejmuję połowę punktu za niesportowe zachowanie. (4,5)

Sam O'Black

Dungeon - Into The Ruins

2023 Dying Victims Productions

Dungeon są z Londynu, grają speed metal, zaczynali od kasetowych demówek, a po kilku latach milczenia dorobili się drugiego MLP. "**Into The Ruins**" niby czerpie z lat 80., ale jednocześnie sporo tu odniesień do black metalu, co dodaje "***Nagasaki Sunrise***" i "***No Light***" intensywności, również dzięki temu, co za mikrofonem prezentuje jeden z gitarzystów **Luke Drew**. W innych utworach nie jest już tak bezkompromisowo, chociaż w "***Put Them In Their Graves***" i "***Ruins***" dziewczyna i chłopaki łoją nader konkretnie, sięgając przy tym do bardziej tradycyjnie metalowych inspiracji. I przysłowiowa wisienka: zespół preferuje krótsze i zwarte kompozycje, ale "***Beneath The Church***" trwa ponad sześć minut, rozwijając się stopniowo i łącząc elementy klasycznego i speed metalu w bardzo interesującą całość. Jeśli więc **Dungeon** kiedykolwiek nagrają album, warto będzie dać mu szansę. (5)

Wojciech Chamryk

D'Virgilio/Morse/Jennings - Sophomore

2023 InsideOutMusic/Sony Music

Panowie **Neal Morse**, **Nick D'Virgilio** oraz **Ross Jennings** to muzycy z najwyższej półki i mogą pracować w różnych konfiguracjach personalnych, a także grać z powodzeniem każdy rodzaj muzyki. Jednak najciekawsze w tym wszystkim jest to, że mimo nawału obowiązków w rodzimych formacjach, mają czas na współpracę w różnych projektach, a w dodatku sami zakładają poboczne grupy. Takim zespołem jest właśnie **D'Virgilio/Morse/Jennings**. Panowie w tym roku wypuścili swoje drugie wydawnictwo "**Sophomore**". Oczywiście muzyka, która znalazła się na nim, jest blisko rocka progresywnego, ale pełno w niej odniesień do rocka, folku, muzyki akustycznej itd. Wyróżnia się ona beztroską, lekkością, delikatnością, filigranowością, a nawet rachitycznością. Niemniej kompozycje są świetnie napisane, znakomicie zaaranżowane oraz perfekcyjnie uwypuklają melancholijny klimat całego albumu. Jedyny bardziej dynamiczny utworem jest "***Mama***", który niesie klimat amerykańskiego ambitniejszego rocka z lat 70. Także muzycy udowadniają, że są w niesamowitej kondycji muzycznej. Inna sprawa, że w tej ogólnej subtelności mieści się niesamowita siła, która obezwładnia i podporządkowuje ewentualnego słuchacza. Po prostu jest to bezwzględna i okrutna pułapka, która z taką swobodą zastawiają wspomniani muzycy. W dodatku pysznie przy tym się bawią. Miłośnicy talentów panów **D'Virgilio**, **Morse'a** i **Jenningsa** oraz ogólnie rocka progresywnego nie powinni przegapić tego albumu. (5)

\m/\m/

Dyecrest - Once I Had A Heart

2023 Rockshots

W 2018 roku do żywych powrócił fiński zespół **Dyecrest**. Wydali wtedy album "**Are You Not Entertained?**". Nie bardzo pamiętam, żeby ktoś z nas o nim pisał. Nie ważne, bowiem mamy do czynienia z kolejnym studyjnym albumu tej ekipy. Ale niestety grupa nie ma czym się zbytnio pochwalić. Nadal grają power metal, ale nie taki radosny i rozbrykany jak na początku lat 2000., jest bowiem w nim trochę sensu. Poza tym muzycy lubią sięgać po niewielkie progresywne elementy

oraz bardziej współczesne brzmienia, co nadaje muzyce **Dyecrest** pewnej nowoczesności. Generalnie słychać, że muzycy starają się znaleźć patent, aby zainteresować odbiorcę. Czasem pojawia się ciekawy motyw, innym razem całkiem nieźle zagrają gitary, no i dobrze prezentuje się nowy wokalista **Heidie Aaltonen**. Czasami to wychodzi jak w "***Redy My Mind***", jednak przeważnie nie przynosi to rezultatów. Po prostu muzyka nie budzi jakich większych reakcji. Przynajmniej u mnie. Teksty są dość ciekawe, jak ktoś chciałby się zagłębiać. Dla przykładu rozpoczynający utwór "Sacred Sleep" jest o sekcie Świątynia Ludu Uczniów Chrystusa. Brzmienia nie wszystkie mi pasują, ale myślę, że takie były założenia zespołu. Wykonanie też mogę określić jako niezłe, a do produkcji raczej się przyłożono. Niemniej tak jak pisałem, jak dla mnie "**Once I Had A Heart**" nie potrafi przebić się poza solidność. (3)

\m/\m/

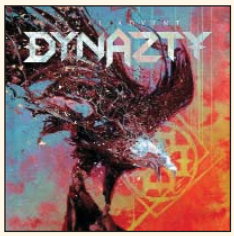

Dynazty - Final Advent
2022 AFM

"Modern melodic metal" i wszystko jasne. Na dobrą sprawę mógłbym nawet nie słuchać tej płyty, żeby napisać jej recenzję, ale jakieś zasady jednak obowiązują. Straciłem oczywiście 40 minut cennego czasu, ale teraz to nadrabiam, słuchając prawdziwej muzyki, a poza tym co się uśmiałem, to moje. "*Game plan: no fillers, all killers*" obwieszcza wokalista **Nils Molin**, ale to tylko czcze przechwałki i obietnice bez pokrycia, **Dynazty** nie mają w ręku nawet jednego asa, a co mówić o 10... "***Power Of Will***" zaczyna się niczym kawałek... techno, a dalej wcale nie jest lepiej: to jakieś łupu-cupu bez krzyty polotu, a jak już robi się ciekawiej, tak jak w symfoniczno-orientalizującym "***Achilles Heel***", to niestety, żadna w tym zasługa **Dynazty**, bo **Led Zeppelin** wymyślili coś takiego jeszcze w pierwszej połowie lat 70., czyli już niemal 50 lat temu. Na wysokości albumu "**Titanic Mass**" przeszkadzało mi, że numery ewidentnie dobre i zarazem metalowe Szwedzi dopełniają jakąś mdłą papką, ale na najnowszym te proporcje są jeszcze gorsze. Zespół ma więc niewątpliwe atuty w postaci świetnego frontmana oraz gitarzysty solowego, ale cała reszta... (2)

Wojciech Chamryk

Eldritch - Innervoid
2023 Scarlet

"**Innervoid**" to już trzynasty album Włoskiego **Eldritch**. Krótkie intro, a jednocześnie utwór tytułowy wprowadza nas do zasadniczej zawartości płyty. Już pierwsza kompozycja "***Handful of Sand (Right or Wrong)***" przypomniała mi, za co tak bardzo polubiłem progresywny metal/progresywny power metal na przełomie lat 90. zeszłego wieku i lat 2000. Niesamowita moc spleciona z niezwykłymi melodiami oraz urozmaicona rozlicznymi motywami muzycznymi, rewelacyjnie technicznie zagrana, zaśpiewana z polotem, bogato zaaranżowana, przemycająca nieprzebrane ilości emocji i klimatów. W dodatku niesamowity warsztat muzyków oraz ich nieograniczona wyobraźnia i talent, ocierająca się o geniusz. Właśnie tym śladem, tą drogą podążaj muzycy **Eldritch** na swojej najnowszej płycie. Każda kompozycja ma swój charakter, swój pomysł, indywidualne melodie i niesamowite wykonanie W zasadzie nie słyszę, żadnego słabego momentu i cały czas trwania płyty jestem "*pod prądem*". Nie zmienia tego nawet wolniejszy i bardziej balladowy "**Wings of Emptiness**" czy bardziej rytmiczny "**From the Scars**". Po prostu chłonę dźwięki z "**Innervoid**" jak zaczarowany. Nie wiem, czy pisać o wykonaniu, bo wcześniej napomknąłem, że jest ono wyborne. Gitary pracują z całą mocą, wspierają je klawisze i wcale nie jest to plumkanie. Sekcja rytmiczna jest równie mocna i kreatywna, a wokal **Alexa Jarusso** jest wręcz imponujący. Ogólnie muzycy **Eldritch** są w doskonałej kondycji. Brzmienia doskonale dobrane, a produkcja zdecydowanie ułatwia dobry odsłuch całego albumu. No cóż, nie wiem kiedy się oderwę od tego krążka. (5)

\m/\m/

Elle Tea - Fate Is At My Side
2023 Self-Released

A tu przyjemne zaskoczenie: okładka sugerująca ringwear na starej okładce winylowej płyty, a na samym krążku równie klasyczne dźwięki. **Elle Tea** to solowy projekt włoskiego muzyka **Leonardo Trevisana**. Muzyka, ale już niekoniecznie wokalisty, bo już początek tytułowego openera potwierdza, że żaden z niego **Plant**, **Dio** czy inny **Gillan**. Później jest już na szczęście nieco lepiej, zwłaszcza kiedy ratuje się nakładkami i dublowaniem ścieżek w refrenach, ale warstwa muzyczna "**Fate Is At My Side**" jest znacznie ciekawsza. To niewiele ponad 30 minut muzyki, ale słychać w niej, że **Trevisan** jest wręcz zakochany w takich zespołach jak **Rush** ("Voice Of Time") czy **Manilla Road** ("Burning Soul"); ceni też **Rainbow** czy wczesne dokonania **Iron Maiden**. Jest to szczególnie zauważalne w dłuższych kompozycjach "***Part Of The Devil***" i finałowej "***The Wanderer***", ale na dobrą sprawę bronią się wszystkie utwory z tej płyty: może i trochę naiwne, ale stworzone i nagrane z prawdziwej pasji. (4,5)

Wojciech Chamryk

Endgame - Serpent Whispers
2022 Self-Released

Amerykański **Endgame** działa od roku 2013. "**Serpent Whispers**" to ich druga EP-ka w całej dyskografii zespołu. W Metal Archives obok ich nazwy widnieje: southern/groove metal. Niemniej według mnie najważniejszymi składowymi w ich muzyce to doom i groove metal. To właśnie ta mieszanka nadaje charakteru tej formacji. Owszem ten doom czasami przeradza się w pulsujący stoner, a może nawet southern, ale doom to doom. Tym bardziej że w wykonaniu amerykanów jest bardzo potężny. W ich muzyce odnajdziemy również naleciałości klasycznego thrashu, a także pewne elementy heavy metalu i hard rocka. Muzycy zespołu mają niezłe pomysły na swoje utwory, znajdziemy tam niezgorsze partie instrumentalne, ale również chwytliwe melodie. Niestety wymowa muzyki **Endgame** jest bardziej nowoczesna i myślę, że zdecydowanie lepiej odnajdą się w niej fani **Pantery**, **Corrosion of Conformity** czy **Crowbar**. Strzeliłem trochę na oślep, ale mam nadzieję, że ów strzał nie padł zbyt daleko od celu. Także jak ktoś szuka czegoś nowego w nowocześniejszych odmianach metalu, to może spróbować z "**Serpent Whispers**". (-)

\m/\m/

Eradikated - Descendants
2023 Indie Recordings

Szwedzki **Eradikated** wyewoluował w roku 2021 z formacji **The Generations Army**, która rozpoczęła swoja działalność w roku 2014. **The Generations Army** pozostawiła po sobie jedynie debiut "**Still Screaming**" (2017), a teraz **Eradikated** debiutuje krążkiem "**Descendants**" (2023). Wypełnia go jedenaście intensywnych, dynamicznych i wściekłych kawałków, utrzymanych w stylu tradycyjnego thrash metalu, który wywodzi się gdzieś z mieszanki dokonań **Exodusa**, **Slayera** i **Dark Angel**. Są też elementy słyszane we wczesnych nagraniach **Megadeth**. Cechą szwedzkich muzyków jest świetne techniczne podejście do samej budowy kompozycji oraz wykonania partii instrumentalnych. W połączeniu z gniewnym i agresywnym muzycznym przesłaniem daje to wyśmienity efekt. Utwory są dość krótkie i działają, jak szybkie konkretne strzały w twarz. Po prostu aż chce się słuchać "**Descendants**". Jedynym momentem, który można uznać, za wahniecie formy to trochę wolniejszy i nijaki "***Dead Heaven***". Przy pozostałych kawałkach głowa sama się kiwa, aż kark nie nadąża. A przy zamykającym płytę speedmetalowym "***Coffin***" wręcz się urywa. Prym wiodą świetne gitary, które atakują nas niesamowitymi riffami, od czasu do czasu podkreślając swój prymat solem. Gitarom oczywiście sekunduje dość kreatywna sekcja rytmiczna, bez niej gitary by tak dobrze nie zabrzmiały. Na tle instrumentów znakomicie prezentuje się również głos wokalisty, mocny, konkretny, wrzaskliwy, ale też melodyjny. **Eradikated** niby opiera się na oldschoolowym thrashu, ale ogólnie krążek "**Descendants**" brzmi dość świeżo. Myślę, że thrasherzy będą mieli z niego pociechę. (4)

\m/\m/

Eunomia - The Chronicles of Eunomia Part 2

2023 Rockshots

Melodyjny symfoniczny power metal nie odpuszcza, co chwila wpada nam propozycja właśnie z takim graniem. Tym razem przyszła ona aż z Norwegii. **Eunomia** powstała w 2011 roku w Molde. Swój debiut wydali w roku 2018 i oczywiście była to pierwsza część "**The Chronicles of Eunomia**". Muzycy **Eunomii** preferują szybki i skoczny power metal, z wyraźnie słyszalnymi elementami symfonicznymi. Bywają zwolnienia jak w rozmarzonym, balladowym i nieco podniosły, kawałek "***My King***", czy w podobnym mu "***Riding Towards the Sunset***". Może to kojarzyć się z **Rhapsody Of Fire**, **Freedom Call** czy też **Avantasią**. Także nie ma w tym jakiejś wielkiej oryginalności, niemniej podejrzewam, że nie o to chodziło Norwegom. Bardziej postawili na niezłą zabawę i solidne wykonanie. Z tego wywiązali się z nawiązką. Kompozycje utrzymane są w konwencji, także trochę się dzieje, ale to generalnie melodie wciągają słuchaczy. Momentami bywa bardzo popowo, tak jak na początku "***Another Dimension***" czy w "***My Heart***", ale ogólnie jest bardziej archaicznie i oldschoolowo. Fani melodyjnego power metalu z przełomu lat 90. i 2000. z pewnością zbytnio nie będą narzekać. W miarę dobre muzyczne wrażenie podkreśla również dobre wykonanie, konkretne brzmienie i niezła produkcja. Także "**The Chronicles of Eunomia Part 2**" jest bardzo solidne. Prawdopodobnie gdyby ta płyta wyszła na początku lat 2000., dałbym się jej porwać, a taki "***Clash of Steel***" byłby moim osobistym hitem. Niestety te czasy dla mnie minęły, może nie bezpowrotnie, ale minęły. (3,5)

\m/\m/

Evilcult - The Devil Is Always Looking For Souls

2023 Awakening

Brazylijczycy z **Evilcult** wraz z "**The Devil Is Always Looking For Souls**" bez krępacji, z wielkim animuszem i zapałem kontynuują obraną przez siebie drogę kariery. Na albumie znajdziemy siedem rozpędzonych i witalnych kawałków w konwencji staroszkolnego speed/thrash metalu, podlanego siarką i złem. Jak to oni głównie szaleńczo mkną do przodu, zdarzają się jakieś zwolnienia lub bardziej klimatyczne momenty, ale to obłąkańcza gonitwa jest ich znakiem rozpoznawczym. Za przykład może posłużyć utwór tytułowy "***The Devil Is Always Looking For Souls***". Chociaż w takich "***Call Of Evil***" i "***Die In Hell***" jakby obie muzyczne strony szukały między sobą pewnego status quo. Jednak wszystko wraca do normy wraz z jadowitym kawałkiem "***Speed Metal Fire***". Natomiast w "***The Witch***" znowu instrumentaliści oddają więcej pola dla muzyki, zachowując swe speedowe zapędy. Instrumenty brzmią wciąż staroświecko swoim brudnym i szorstkim soundem. Ich oldschoolowość podkreśla ta sama dudniąca produkcja oraz podany ze sporym pogłosem wrzaskliwy wokal. Niemniej ogólnie mam wrażenie, że jakościowo "**The Devil Is Always Looking For Souls**" jest trochę lepszy od poprzedniczki. Także fani dawnych lat i wściekłego black speed/thrashu mogą się cieszyć, bo ich faworyt ich nie zawiódł. (4)

\m/\m/

Exmortus - Necrophony

2023 Nuclear Blast

Pięć lat od wydania poprzedniej płyty "**The Sound of Steel**" trzeba było czekać na nowy krążek **Exmortus**. Co prawda jeszcze w międzyczasie pojawiła się EP-ka "**Legions of the Undead**", ale i tak niektórzy mogli być zniecierpliwieni. Czy "**Necrophony**" przynosi coś nowego? Generalnie wszystko to, co znajdziemy na tym albumie, w muzyce Amerykanów już było, jednak tym razem przygotowane jest z większą precyzją i pasją, a na dodatek tak jakby thrash tym razem ma więcej do powiedzenia. Gdybym miał opisać "**Necrophony**" jednym zdaniem użyłbym takich słów: gęsty, techniczny, neoklasyczny heavy-power-speed-thrash metal z wykorzystaniem melodyjnego growlu. Ten growl może sugerować też wpływy melodyjnego black/death metalu, jeżeli tak jest to i tak moim zdaniem przykrywają je inne detale wspomnianych stylów, począwszy od tradycyjnego heavy metalu, US power metalu i speed metalu rodem z lat 80. Oczywiście z odpowiednią dozą melodyjności. Muzycy **Exmortus** nie unikają też ekstremalnych thrashowych wycieczek, także w muzyce tej formacji dzieje się bardzo wiele. Kompozycje są bardzo bujne i obfite w muzyczne pomysły, melodie, aranżacje, riffy, solówki, nastroje, kontrasty i wszystkie inne akcenty nawiązujące do klasyki heavy metalu. I to wszystko bez wyjątku, czy to krótsza instrumentalna kompozycja "***Masquerade***" pełniąca rolę intro, czy to w bardziej bezpośrednim "***Oathbreaker***", czy też dłuższej ponad ośmiominutowej, bardzo gęstej muzycznie kompozycji "***Darkest of Knights***". Dzięki temu ciężko też wyszukać słabego momentu tego albumu, a jednocześnie nie sposób wskazać na najlepszą jego część. Może to przekleństwo współczesnych czasów, ale coraz więcej dostajemy płyt, które nie dość, że są spójne, mimo różnorodności muzyki to, są również niezwykle mocne jeśli chodzi o ich zawartość. Mnie to nie przeszkadza, bardzo lubię słuchać płyt w całości. Poza tym łączy go klimat, mroczny, który wiąże się z tekstami tym razem w klimatach horroru i fantazy. Ze względu, że muzyka jest gęsta to, równie szczelnie grają instrumenty. Wystarczy posłuchać sekcji rytmicznej jak pomysłowo i kreatywnie wypełniają powierzaną im przestrzeń muzyczną. I nie jest to chaos, zresztą bardzo wyraźnie słychać poczynania perkusji i basu. Jednak niesamowitą pracę wykonują gitarzyści, nie mają oni ani chwili wytchnienia, co rusz zaskakują nas riffami, harmoniami współpracujących gitar czy też solówkami. Pełno w nich wirtuozerii i nawiązań do neoklasyki (posłuchajcie, chociażby "Storm of Strings") jednak brzmi to z klasą i nie budzi jakichś obronnych odruchów w słuchaczu. **Jadran "Conan" Gonzalez** (również gitara) głównie używa melodyjnego growlu, nie przepadam za taką ekspresją, ale w wypadku **Exmortus** i ich muzyki bardzo pasuje. Niemniej jak sięgniecie po nagranie bonusowe, cover **Iron Maiden** "***Moonchild***" zorientujecie się, że **Jadran** potrafi zaśpiewać czysto niczym rozwścieczony **Dickinson**, także śmiało oraz częściej może wykorzystywać te umiejętności w dokonaniach **Exmortus**. Zresztą ten cover dobitnie pokazuje, że Amerykanie znakomicie czują się w klasycznych heavy metalowych konwencjach. Zawsze jakoś po drodze było mi z **Exmortus**, a "**Necrophony**" jest wyjątkowo udany, także z czystym sercem polecam maniakom ten krążek. (5)

\m/\m/

Extinkt -Trinity Redux

2023 Ossuary

Może wyjdę na ignoranta, ale tydzień przed pisaniem recenzji nie słyszałem o zespole/projekcie Extinkt. Formacja istnieje ponad dekadę, ale to dopiero ich drugi album - stąd mój dylemat czy jest to pełnoprawny zespół. Nie miałem też okazji poznać do tej pory żadnej muzyki stworzonej przez członków zespołu. Niemniej nuklearna magia zadziałała i już od pierwszego odsłuchu nie ma dnia by "**Trinity Redux**" nie zakręci się u mnie co najmniej dwa razy w ciągu każdej doby. Z trójki zaangażowanych osób najbardziej aktywny muzycznie na pewno jest śpiewający gitarzysta **Mateusz**, który i na tej płycie zdaje się grać główną rolę. Nie chcę oczywiście umniejszać roli sekcji rytmiczne, ale bogate partie gitarowe i zróżnicowane wokale są tym co zachwyciło mnie od pierwszych odsłuchów. **Mateusz** z **Filipem** zyskali moje uznanie dopiero przy kolejnych obrotach i bardziej wnikliwym słuchaniu. Jeden rzut oka na okładkę by mimowolne skojarzenia z teutońskim, pełnym sodomi thrashem, zalęgły się w umyśle. Jako fan starych Falloutów słuchając tekstów doświadczyłem podróży w czasie. Muzyka idealnie oddaje klimat tamtych gier. W szybszych kawałkach czujemy wręcz w żyłach gniew bitewny. Złość i agresja wylewającą się z głośników, podczas słuchania dwóch pierwszych utworów, mogą dać niezłego kopa adrenaliny. Z drugiej strony "***Fed with Disease***" świetnie oddaje samotność i chłód pustkowi. Pochłaniając kolejne obroty krążka doświadczam zagrożeń radioaktywnego świata wzmagających zarówno strach, czujność jak i wyostrzających zmysły. Jednocześnie by samemu nie zwariować w szalonym świecie musimy pozwolić sobie na pełen luz i zabawę podczas patrolu czy walki. Muzykę najłatwiej zaszufladkować jako staroszkolny thrash. Agresywne partie gitarowe dominują, zwłaszcza podczas śpiewanych części utworów. Chwilowe zwolnienia

dają wytchnąć głównie podczas instrumentalnych motywów. Płyta jest niesamowicie treściwa, gęsta od gitarowej nawałnicy i perkusyjnej kawalkady. Przez większą część płyty nie ma problemów by docenić również grę basisty, cały czas pilnuje rytmu i nadaje ciężaru. Na całej płycie tylko jeden utwór z czasem trwania ponad 6 minut wyłamuje się z konwencji bardzo krótkich, trwających raptem po 2-3 minuty kompozycji. W wyniku tego dziesięcio-utworowy album kończy się po raptem 31 minutach, ale przy swojej intensywności stwierdzam, że to idealny czas pozwalający wielokrotnie wciskać replay. Nikt jednak nie lubi szufladkowania i moim zdaniem **Extinkt** stylowo wybronił się przed tym zabiegiem. Dokładając do thrashowego pieca trochę heavy metalowych wynalazków oraz rock and rollową zabawę, a nawet wplecione sekundy podniosłych hymnów możemy doświadczyć iście atomowej wycieczki do świata bez żadnych reguł. Inspiracji innymi gatunkami można by się doszukiwać, tak samo próbować odszukać jaki patent był już wykorzystany przez kogoś innego. Nie ma to jednak żadnego znaczenia dla odbioru muzyki. Pomimo wielkiego mrugnięcia okiem do lat 80. w żadnym momencie nie mam wrażenia sztampy, kopiowania czy grania na siłę. Nie tylko same utwory są bardzo przemyślane, ale cały układ płyty wręcz hipnotyzuje. Całość została tak poukładana by maksymalnie skopać tyłki nie powodując żadnego zmęczenia. Jeśli mam się czegoś czepiać to jakość solowych partii na gitarze sprawia wrażenie nierównych. Na całej płycie znalazło się miejsce dla raptem pięciu, ale do dwóch z nich nie mogę się jeszcze przekonać. "**Trinity Redux**" to płyta, której nie spodziewałem się usłyszeć ani wiedziałem, że jest mi potrzebna. Wpadła w moje ręce przez zupełny przypadek, ale mam szczerą nadzieję, że zostanie szerzej zauważona i doceniona przez szersze grono. Muszę tylko zweryfikować czy można jej bezpiecznie słuchać w samochodzie, wizja zjechania z asfaltu na bezdroża może wydawać się zbyt kuszącą. (5)

Łukasz Ragnus

Farscape - Purged And Forgotten
2023 Dying Victims Productions

Prawie 10 lat to szmat czasu, ale **Farscape** w końcu zmobilizowali się, czego efektem jest ich czwarty album. Jak na 25-letni staż nie jest to zbyt wiele, nawet jeśli poboczna dyskografia brazylijskiego kwartetu liczy sporo demówek,

EP i splitów, ale **Farscape** stawiają najwyraźniej nie na ilość, lecz na jakość. Dlatego "**Purged And Forgotten**" reprezentuje jako całość wyrównany poziom, uderzając już tytułowym openerem; całkiem intensywnym, ale też niepozbawionym melodii, i do tego trwającym niemal siedem minut. Nie znaczy to rzecz jasna, że zespół poszedł w kierunku techno thrashu: chłopaki nadal potrafią przyłoić, tak jak w niespełna trzyminutowym, szaleńczym "***The Curse Of The Last Solstice***" czy "***Captivity Of Souls***", a **Leonardo** też nie oszczędza strun głosowych. Z kolei "***Miss Violence***" pokazuje ich najpierw w wolniejszej, bardzo mrocznej odsłonie, by oczywiście rozkręcić się z czasem. Równie zróżnicowany, zamykający płytę "***Vengeance Of The Forgotten***" trwa blisko 10 minut, ale to tak naprawdę dwa utwory, bowiem **Farscape** nagrali utwór-niespodziankę, "***Grippin' A Heart***" niemieckiego **Living Death** i świetnie im to wyszło, aż przypomniałem sobie LP "**Metal Revolution**". Brazylijczycy raczej nigdy nie będą cieszyć się tak kultowym statusem jak **Living Death**, ale grają na tyle dobrze, że jeśli ktoś lubi taki podziemny thrash, to "**Purged And Forgotten**" na pewno go nie rozczaruje. (4)

Wojciech Chamryk

Fifth Angel - When Angels Kill
2023 Nuclear Blast

Dotychczas uważałem, że **Fifth Angel** to taki niszowy zespół z pogranicza heavy i US power metalu, który gra trochę lepiej niż brzmi ich nazwa. Po bliższym zapoznaniu się z ich najnowszym albumem studyjnym nie zmieniłem zdania, ale też nie stałem się zagorzałym fanem. Możliwe, że nie dojrzałem do docenienia ich sztuki, dlatego nie stwierdzam, że "**When Angels Kill**" jest denne, ale to płyta nie dla mnie. Nudzę się przy jej słuchaniu, dłuży mi się (trwa 69 minut) a zamiast wsłuchiwać się w koncept, wolałbym poczytać przedstawioną historię w postaci powieści. Skoro liryki nawiązują do tekstów starszych kawałków **Fifth Angel** a zespół też ma swoją historię, to przyjemnie byłoby wziąć książkę do ręki. Muzycy chcą być cenieni za potężne refreny i udane połączenie melodii z ciężarem. Te elementy wcale nie rzucają mi się w uszy podczas słuchania. Owszem, bywa melodyjnie, ciężko i jakieś pomysłowe refreny też tam się gdzieś pojawiają, ale generalnie całość określiłbym jako mało wyrazistą i bez charakteru. Problem w moim odczuciu nie dotyczy struktur ani aranżacji kompozycji, tylko niemrawego wykonania - brakuje mi u nich hard rockowego drive'u, przebojowości, czadu oraz żywych wibracji. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek miał w przyszłości okazję zobaczyć koncert Amerykanów, ale nawet gdyby, to zależałoby mi na usłyszeniu tylko jednego nowego utworu, mianowicie "***The End Of Everything***", gdyż wyróżnia się on dramatyzmem i nawet zapadającym w pamięci motywem przewodnim. Z drugiej strony, wydawnictwo zostało bardzo pieczołowicie opracowane i spotkało się z przychylnym odbiorem ze strony dawnych fanów jak również niektórych recenzentów, więc chciałbym podkreślić, że oczywiście nowy **Fifth Angel** może przypaść komuś do gustu. Wydaje mi się też, że taka muzyka sprawdziłaby się jako tło do gier komputerowych typu RPG. (3)

Sam O'Black

Firewind - Still Raging
2023 AFM

Kiedy w 1998 roku **Gus G.** zakładał **Firewind**, miał w sobie ambicje dużo większe niż zostać lokalną, grecką gwiazdą heavy metalu. Rozpoznawalność przyniosła mu zwłaszcza kilkuletnia przygoda w zespole **Ozzy'ego Osbourne'a**, ale gitarzysta w sercu zawsze miał swój macierzysty zespół. "**Still Raging**" to album koncertowy nagrany w Grecji, w 2002 roku. Zespół anonsował koncert jako wydarzenie rocznicowe, na dwudziestolecie istnienia grupy. Matematyka się tu trochę nie zgadza, ale jeśli liczyć od roku wydania debiutu, to już wszystko jest ok. **Firewind** od początku znani byli z energetycznych koncertów oraz popisowych umiejętności **Gusa**, którego uważam za niezwykle solidnego gitarzystę heavy metalowego. Chociaż tutaj drugą gwiazdą jest dla mnie **Herbie Langhans**, nowy wokalista, współpracujący z zespołem dopiero od trzech lat. Wypada na żywo bardzo przekonywująco. W marcu 2024 roku, będzie można o tym przekonać się na żywo, jako, że **Firewind** pojawi się w naszym kraju obok **Masterplan**. Aby uczcić rocznicę, Firewind zanurzył się w swoim muzycznym archiwum, ponownie odwiedzając ulubione utwory fanów z prawie każdego albumu, z wyjątkiem "***Forged By Fire***" z 2005 roku. Setlista była starannie dobraną mieszanką starego i nowego, co nieźle pokazuje ewolucję zespołu i jego atuty. "**Still Raging**" to dobry album koncertowy, który oddaje energię i charakter zespołu. Dla jego fanów będzie to zapewne pozycja obowiązkowa, a jednocześnie zachęcam do sięgnięcia po nią tych, którzy chcieliby się przekonać czym **Firewind** jest. (4)

Igor Waniurski

Flight - Echoes Of Journeys Past
2023 Dying Victims Productions

Norwegowie milczeli dość długo, bo blisko pięć lat, ale nie zmarnowali tego czasu, nagrywając kolejny, bardzo udany album. Sporo na nim elementów charakterystycznych zarówno dla metalu przełomu lat 70. i 80., hard rocka, jak też rocka progresywnego, ale są one zestawione tak umiejętnie, że nie ma mowy o żadnym dysonansie. Bywa więc mocniej (otwierająca całość "Hypatia"), ale i klimatycznie/lżej ("Comet Of Gold", instrumentalny "Moondance"), a subtelnie zaznaczona przebojowość stanowi o sile kompozycji tytułowej i hardrockowego "***Path To Nowhere***". Są też dwa killery, "***Valley Of The Moon***" i trwający blisko 10 minut, finałowy "***Mystic Mountain***". To **Flight** w wydaniu progresywnym, z klasycznie brzmiącymi syntezatorami, partiami chóralnymi i tym jedynym, jakże dla zespołu **Christoffera Brathena** charakterystycznym, sznytem. Trudno mi na tę chwilę wyrokować o tym, czy "**Echoes Of Journeys Past**" to najlepszy, jak dotąd, album Flight, ale wiele za tym przemawia. (5)

Wojciech Chamryk

Flitcraft - House At The Centre Of The Universe

2023 Pitch Black

"**House At The Centre Of The Universe**" to drugi album australijskiego tria, łączącego różne odmiany metalu z rockiem progresywnym. Zaczynają co prawda bardziej hardrockowo ("Error Era (2137)"), by jednak z każdym kolejnym utworem potwierdzać, że nie lubią wąskich szufladek. "***Earth Is Not A Perfect Sphere***" jest więc bliższy mocnemu graniu przełomu lat 70. i 80., kiedy NWOBHM była nowym zjawiskiem elektryzującym fanów, więcej jest też klimatycznych ballad, jak choćby "***The Pyre Of John McDonald***". Są też wątki progresywne ("Galactic Road Trip (Wayworn Travellers)"), a nawet thrashowe (kilkuczęściowy "The House (Entering, Redintegration, Mother Reprise, Era's End)"). **Phillip T. King** nie jest co prawda jakimś wybitnym wokalistą, ale jako gitarzysta i klawiszowiec prezentuje już znacznie wyższy poziom, podobnie jak jego koledzy z sekcji rytmicznej, tak więc warto się z tym wydawnictwem zapoznać. (4)

Wojciech Chamryk

FlowerLeaf - Dreamerie: The Prelude

2023 Self-Released

No i bam! Kolejny melodyjno-symfoniczny power metal z kobiecym a la operowym wokalem tym razem w międzynarodowych brazylijsko-niemieckich barwach. Intro i sześć kompozycji składa się na debiutancką EP-kę. W latach 80. można byłoby zastanawiać się nad mini-LP lub nawet o LP. Każdy utwór jest inny, choć utrzymany w konwencji, z pewnością dla znawców tematu będzie wiele ekscytacji. Tym bardziej że muzycy zaangażowali sporo swoich umiejętności, pasji i serca, żeby program tej płytki był atrakcyjny. Muzyka jest dość eteryczna, refleksyjna i pełna melancholii, jednak ten efekt budowany jest na mocniejszych akcentach i strukturach utworów. Jej wyraz nawiązuje bezpośrednio do tematu, który poruszany jest w tekstach, a dotyczy podróży poprzez sny, koszmary i marzenia, gdzie problemy dotykają pragnień serc i lęków dusz. W dodatku wszystko jest znakomicie zagrane, także nie bardzo można czepiać się do muzyki i zespołu. Niestety ta propozycja nie przekonała mnie. Na "**Dreamerie: The Prelude**" patrzę jak na kolejny, podobny produkt z tej sceny, który w dodatku zlewa się w jakąś mało rozpoznawalną formę. Niestety nie pałam do melodyjno-symfoniczny power metalu, w dodatku z panią za mikrofonem, jakimś dużym uznaniem, co ma wpływ na ocenę. Wiem, jest to mało sprawiedliwe, niemniej zespoły z tej sceny muszą faktycznie mnie czymś zaskoczyć, żeby wystawić jakąś lepszą notę. Niestety formacji **Flower Leaf** takiej nie wystawię, bo wykorzystali jedynie pomysły, które są dość mocno oklepane w tej stylistyce. W taki sposób obecnie powstaje bardzo wiele wydawnictw. Podejrzewam, że fanom tej stylistyki wystarczy i na ogół są usatysfakcjonowani i w zasadzie to oni będą głosowali na te kapele, zakupionymi nośnikami lub liczbą odtworzeń, dając możliwość przetrwania tym najlepszym. Dodam jeszcze na koniec, że "**Dreamerie: The Prelude**" to dopiero początek czegoś większego. Na przygotowywanym dużym studyjnym albumie kwestie muzyczne i historia mają być rozwinięte, no i może wtedy mnie czymś zaskoczą. Szanse na to zawsze mają. (3)

\m/\m/

Foghat - Sonic Mojo

2023 Metalville

Foghat działa od roku 1971, także można byłoby mówić o ponad pięćdziesięcioletniej karierze, ale w latach 1984-1993 zespół ma przerwę w życiorysie. Generalnie od zawsze kojarzę ten zespół z hard rockiem i blues rockiem. Mniej więcej jest także na "**Sonic Mojo**", jednak szala jest przechylona na stronę blues rocka. Zresztą nie jest to sam blues rock, bowiem odnajdziemy w nim także wyraźne odniesienia do hard rocka, ale także białego bluesa, rhythm and bluesa, southern rocka, boogie, rock'n'rolla, rockabilly, a także country czy folku. A jak padły te wszystkie style to z pewnością znajdziemy echa jazzu, gospel czy soulu. Zresztą muzycy **Foghat** zrobili w zasadzie sentymentalną podróż, która dość głęboko dotknęła tematu. Niech świadczą o tym trzy covery, a mowa o utworach "***She's Dynamite***" (B.B. King), "***Promised Land***" (Chuck Berry) oraz "***Let Me Love You Baby***" (Willie Dixon). Każdy świetnie wykonany i oddający stary bluesowy klimat. W kolejności, w pierwszym natraficie na zawadiackiego bluesa z posmakiem roock'n'rolla, w drugim mieszankę rock'nrolla i rockabilly, ale zagraną w duchu bluesa, natomiast w trzecim natraficie na rasowego bluesa w soulowej okrasie i z zadziornymi akcentami rock'n'rolla. Bardzo ważnymi dla muzyków **Foghat** są utwory, gdzie współautorem był ich były kolega, zmarły **Kim Simmonds**. Tym razem chodzi o następujące kompozycje, dość dosadny blues rock/hard rock "***She's a Little Bit of Everything***", "***Drivin' On***", który wyśmienicie opisał **Scott Holt**, że jest to hołd oddany bagienno-funkowemu bluesowi w stylu **Slim Harpo** i boogie **Johna Lee Hookera**, no i stylowego i klimatycznego bluesa "***Time Slips Away***". Najbliżej hardrockowego wcielenia, z którym najbardziej kojarzy mi się z **Foghat** jest kawałek "***I Don't Appreciate You***", który właśnie rozsiewa hardrockowo-rock'n'rollową aurę. Bliski niemu jest soczysty blues rockowy/hard rockowy "***Black Days and Blue Nights***". Ciekawostkami tej płyty są dwa utwory "***Mean Woman Blues***", który utrzymany jest w konwencji bluesowo/latynoskiej, a ta może kojarzyć się z **Santaną** oraz **Peterem Greenem**, oraz song praktycznie utrzymany w klimacie country-rocka "***I Wish I'd Been There***". Do opisu całego krążka brakuje jeszcze kawałków "***How Many More Years***" i "***Song for the Life***", oba są utrzymane w klimacie blues rocka, pierwszy z nich jest bardziej oldschoolowy, drugi jest lżejszy i przemykają przez niego nawet nutki pop rockowe. Wykonanie tych wszystkich kompozycji jest wzorowe, no ale czego oczekiwać po profesjonalistach. Tym bardziej że przy tym w żaden sposób nie potrafią wyzbyć się specjalnego feelingu, emocji oraz serca. No i te gitary slide. Ogólnie na "**Sonic Mojo**" jest spora dawka muzyki, z naprawdę dobrymi kawałkami utrzymanymi na konkretnym poziomie, także jak macie serce do starego blues rocka to ten album jest dla was. (5)

\m/\m/

Fortress Under Siege - Envy

2023 Rock of Angels

Zanim zapoznacie się z moją opinią, chciałbym, żebyście uwzględnili, że według moich poglądów, gdyby **Dream Theater** nauczyło się komponować... to nie miałoby dalekiej drogi do pokonania, zanim osiągnęłoby poziom **Fortress Under Siege**. Kilkanaście lat temu wziąłem nawet udział w trzygodzinnym koncercie **Dream Theater**, chyba w katowickim Spodku - naprawdę chciałem zrozumieć i docenić, ale nigdy nie trafili w mój gust. Mam zimny stosunek do ich odłamu muzyki progresywno - metalowej. **Fortress Under Siege** wywodzi się z tego samego nurtu i istnieje z przerwą od 1994 roku w Grecji, w związku z czym powszechnie uważa się go za pioniera progresywnego power metalu na Bałkanach. Posiada cztery longplay'e w dyskografii. Najnowszemu spośród nich o tytule "**Envy**" bliżej stylistycznie do poweru niż do progu. Zawiera dziesięć zwartych, pomysłowych i dynamicznych numerów, solidnie zagranych i wyprodukowanych. W sieci mocno go chwalą, ale ja akurat lubię muzykę z duszą, a Ateńczycy zainwestowali tutaj w drogą produkcję, uzyskując coś, co oni nazywają profesjonalnym soundem, a co dla mnie zatraca ducha samego zespołu. Mianowicie instrumenty brzmią, jakby przeszły przez miks i mastering przy użyciu cutting edge technologies, a wokale jakby śpiewała sztuczna inteligencja. Lubię, jak "**Envy**" chodzi na porządnych słuchawkach, z całą swoją przestrzenią i wielowarstwową harmonią, ale brakuje mi w nim poczucia obcowania z ludzkim rękodziełem. Tam gdzieś w naszym wywiadzie można wyczytać, że ostateczna postać płyty stanowi wynik przemyślanego procesu intelektualnego. Z pewnością ma to też swoje zalety, bo jak najbardziej można traktować słuchanie progresji jako ćwiczenie intelektualne, a nawet zachwycać się artystyczną inteligencją struktur muzycznych. Zwłaszcza, że mamy tutaj do czynienia ze sprawnie napisanymi i wirtuozersko zagranymi kawałkami, a i solówki gitarowo - klawiszowe mogą się podobać i trwają dokładnie tyle, ile potrzeba, bez przynudzania. Numery "***Distant Voices***", "***Disobey***" oraz tytułowy należą do moich faworytów pod

względem formalnym. Nie oferują one mi niestety większych wrażeń, albo inaczej - nie ekscytują, nie porywają, nie wzbudzają we mnie emocji. Nie czuję tego. Chyba jednak w przyszłości chętniej będę sięgać po inną muzykę, a tą mogę pośrednio zarekomendować na podstawie ogromnej ilości pozytywnych recenzji fanom takich wynalazków, jak **Kamelot**, **Evergrey**, **Dream Theater**, **Fates Warning**, itp. (3,5)

Sam O'Black

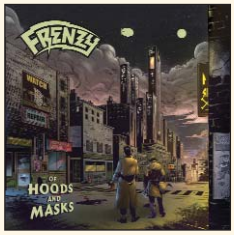

Frenzy - Of Hoods and Masks

2023 Fighter

Frenzy to hiszpański zespół odwołujący się do klasycznego hair metalu lat 80, tyle, że zamiast śpiewać o dziewczynach i imprezach, upodobali sobie tematykę komiksów. Przyznam, że rzadko kiedy trafiam na dobrą współczesną muzykę w takim stylu. Osobiście uważam, że temat nostalgii za wspomnianą epoką doskonale zamyka **Steel Panther**, ze swoją komiczną postawą. Jednak **Frenzy** chcą iść tę drogą, stojąc nieco w rozkroku pomiędzy powagą a zabawą. "**Of Hoods and Masks**" to kontynuacja ich debiutanckiego albumu z kilka lat temu, ale tym razem bardziej skondensowana i chyba lepsza. Materiał nie jest długi, autorskich utworów jest tu raptem osiem (mamy jeszcze średni cover Ricka Spring-fielda) a całość trwa niemal równo 35 minut. Jak każe scenariusz tego gatunku, utwory zawarte na "**Of Hoods and Masks**" są chwytliwe i trochę wygładzone. Przebojowość wychodzi grupie całkiem dobrze, w czym pomagają niezłe riffy i wokal **Anthonego Stephena**, kojarzący mi się z tym, jak **Tony Martin** brzmiał na albumach **Black Sabbath** nagranych w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Posłuchajcie tylko "***Spectre Of Love***" albo "***The Doomsday***". Z kolei riffami kojarzącymi się z albumami **Ozzy'ego Osbourna** zaczyna się niezły "**Uncompromised**". Wspomniana chwytliwość i odwołania do trendów z poprzedniej epoki, choć urocza i wpisująca się w gatunkowe normy, wydaje mi się też sporą wadą grupy. Muzyki tej słucha się zupełnie dobrze, momentami **Frenzy** potrafią nawet błyszczeć, problem w tym, że słyszeliśmy już tego typu grania wiele razy. I prawie za każdym razem było lepsze. Nie chciałbym jednak być zbyt surowym. W końcu nie każdy album musi być przełomowym, a talent zespołu, a przede wszystkim ich uwielbienie do muzyki, są tu jednak słyszalne. Tak więc, jeśli tęsknicie takim graniem, możecie spokojnie sięgnąć po "**Of Hoods and Masks**". (3,5)

Igor Waniurski

Front Row Warriors - Wheel Of Fortune

2023 ROAR! Rock Of Angels Records

Znowu niemiecka grupa, od której takie **Dynazty** mogłoby uczyć się tego, jak powinien brzmieć prawdziwy hard rock/heavy metal, a nie jakieś popłuczyny. **Front Row Warriors** tworzą, bez wyjątku, doświadczeni instrumentaliści, a za mikrofonem stoi **Elkie Gee**, znana z **Ampyre** i **Antares**. Czas pokazał, że zaczynając działalność w roku 2019 wystawili się na ciężką próbę, ale jak widać nie zamierzali odpuszczać, nie dali się pandemii i doczekali się debiutanckiego albumu. "**Wheel Of Fortune**" zachwyci fanów stylowo zaśpiewanego i zagranego hard'n'heavy starej szkoły. Zaraz po intro Niemcy uderzają więc świetnym "***Chasing Shadows***", "***Fantastic***" ma w sobie nie tylko coś z tytułu, ale też z dokonań **Black Sabbath** ery **Ronniego Jamesa Dio**, a "***Deadly Sins***" to szybka, ostra jazda z klawiszowymi ozdobnikami. "***Hell Invaders***" to, wypisz, wymaluj, **Dio** z wczesnych płyt, kompozycja tytułowa jest jedną z najciekawszych na tej płycie, bo to totalny old school lat 80., ale podany ze sporą świeżością, żadna skamielina, ładniutka jest też finałowa ballada "***Wasted Life***". Wydawca zadbał nie tylko o brzmienie czy okładkę, ale też o haczyk dla fanów, bowiem w "***Dystopian Time***" można też usłyszeć **Todda Michaela Halla**, wokalistę znanego z **Jack Starr's Burning Starr** czy **Riot V**, ale mnie **Front Row Warriors** kupili znacznie wcześniej, już gdzieś w połowie płyty. (5)

Wojciech Chamryk

Fukkin' Vengeance - Sewer Surge

2023 Dying Victims Productions

Zaczęli udaną demówką "**Fukkin' Vengeance**", by wejść na kolejny poziom za sprawą tegorocznego albumu "**Sewer Surge**", w dodatku firmowanego przez **Dying Victims Productions**. Jakoś mnie to jednak nie dziwi, bo mimo młodego wieku **Vengeance** to już doświadczona ekipa, a jej muzycy udzielają się również w innych zespołach by wymienić choćby **Armagh**. Owszem, wybrana przez nich nazwa jest oklepana niesamowicie, ale muzyka robi wrażenie - to heavy/speed metal naprawdę wysokich lotów. Akurat mnie, pewnie z racji wieku, najbardziej przypadły do gustu utwory najbardziej zakorzenione w latach 80., jak "***Attack From The Gutter***", piekielnie wręcz chwytliwy "***Vengeance...***" czy "***Another Fukkin' Day***", ale te z wpływami black metalu, jak "***Brain Damage***", też są niczego sobie. No i "***Disappointing Parking Lot Sex***", "***Dregs Of Society***" i "***U.G.H.***", ze słyszalnymi wpływami **Motörhead** i **Venom**, kolejne perełki - co prawda żona już od jakiegoś czasu odgraża się, że z racji nadmiaru płyt w mieszkaniu w końcu mnie z niego wyeksmituje, ale raz się żyje, zaryzykuję zakup LP "**Sewer Surge**". (6)

Wojciech Chamryk

Girlschool - WTFortyfive?

2023 Silver Lining Music

Zwykle mam tendencję do rozwlekania i zbytniego rozpisywania się, dlatego postanowiłem niczym Juliusz Cezar ćwiczyć lapidarność stylu. Idealną sposobnością ku temu, jest z pewnością recenzja najnowszej płyty **Girlschool**. Elaboraty w tym przypadku raczej są nie na miejscu, gdyż same dziewczyny raczej preferują zwięzłą formę wyrazu artystycznego. Mamy więc na tym albumie parę fajnych, bezpretensjonalnych rock&rollowych hymnów takich jak "***Bump In The Night***"; "***Party***"; "***It Is What It Is***" czy "***Are You Ready***"... Prosto i na temat, pasują zarówno do samochodu jak i na imprezę. Mamy lekko bluesujące w stylu **AC/DC** "***Believing In You***", mamy też trochę przynudzania w "***Barmy Army***" i "***Invisible Killer***" - to według mnie najmniej udane piosenki. Zespół czasami próbuje coś urozmaicić, np. w "***It's a mess***" słyszymy ciekawą linię wokalną w zwrotce w popowo - punkowym duchu. Intersująco prezentuje się też singlowy "***Cold Dark Heart***". Ten kawałek wyróżnia się na tle reszty albumu prezentując bardziej mroczny, gotycki klimat z bardzo fajnym i melodyjnym refrenem. Niestety trochę nu metalowe gitary psują całokształt tego kawałka. Ogólnie, to co mnie trochę razi w tym albumie to produkcja, zbyt czysta i cyfrowa jak na taki typ muzyki. Jest to przypadłość niestety paru doświadczonych zespołów, które w taki sposób definiują "nowoczesne" brzmienie. Ale dla mnie, w czasach kiedy w cenie jest to co rdzenne, to jest takie "boomerskie" pojęcie nowoczesności. Mamy też bardzo udany cover "***Born to Raise Hell***", który naprawdę kopie tyłek. Pewnie duża zasługa w tym mocnej grupy gości, ale dla mnie głównych atutem tego kawałka jest duet wokalny **Kim McAuliffe** z **Biff'em Byford'em**. Tak powinno się robić covery **Motorhead**. Podsumowując, na plus tego albumy jest na pewno utrzymanie charakteru **Girlschool**, jest dobry rock&rollowy klimat podbity mocnym kobiecym wokalem i zadziornymi, lekko bezczelnymi dziewczęcymi chórkami. Jest tu parę kawałków, które naprawdę skradły moje serce. Ale są też niestety minusy, takie jak już wspomniane brzmienie oraz pewna nierówność tego albumu. Niektóre kawałki mają fajne fragmenty, ale jako całość się już nie bronią. Może gdyby zamiast 12 kawałków, dziewczyny wypuściły 8 najlepszych, ten album byłby perełką. A tak jest solidnym punktem w dyskografii, na pewno o niebo lepszym niż poprzednia płyta "**Guilty as Sin**". Mimo, że nie jest to żadne wybitne dzieło, to szczerze polecam ten album, zwłaszcza jeżeli ktoś, tak jak ja, jest amatorem zadziornego, kobiecego rocka. (4)

Grzegorz "Greg" Putkiewicz

Great Master - Montecristo

2023 Underground Symphony

W bardzo krótkim czasie przesłuchałem kilka pozycji z melodyjnego symfonicznego power metalu. Niby każda podobna, a jednak każda ekipa pokazała swoja własną wizję takiego grania. **Great Master** to, a jakże, włoski zespół, który powstał w roku 1993 roku. "**Montecristo**" to ich szósty album studyjny, więc biorąc również dwadzieścia lat

działalności to, formacja ma bardzo duże doświadczenie. Ich power metal jest blisko R**hapsody Of Fire**, **Avantasia**, **Kaledon**, **Derdian** itd. Także nic odkrywczego. Niemniej muzycy **Great Master** mają coś takiego, że ich muzyka potrafi przemówić. Może to kwestia dobrego doboru tematów muzycznych i melodii. Może to kwestia wyobraźni i talentu muzyków, a może umiejętności budowy ciekawych kompozycji i ich atrakcyjnych aranżacji. Mnie najbardziej urzekają wolniejsze momenty w ich muzyce, są tak wymyślone, że aż człowiekowi same brwi idą ku górze. Ich muzyka wydaje się do tego bardziej dojrzała i przemyślana, nie ma w niej niepotrzebnego rozbrykania, co dla mnie jest sporym atutem. Do tego włoscy muzycy znakomicie odgrywają swoje partie, a głos **Stefano Sbrignadello** na tle muzyki wybrzmiewa bardzo majestatycznie. Oczywiście "**Montecristo**" to album koncepcyjny, oparty na powieści "**Hrabia Monte Cristo**" autorstwa **Aleksandra Dumasa** ojca z 1844 roku. Przeważnie takie grupy jak **Great Master** budują własne historie fantazy, ale tym razem wykorzystano klasykę. Z tego powodu kompozycje oraz cały album jest zwarty i spójny, choć oczywiście każdy utwór ma swój charakter. Nie widzę też, aby, któryś z kawałków jakoś się wyróżniał, ale to jest atutem tej płyty. Sprzyja to odsłuchu całości krążka i nie będę ukrywał, że właśnie tak lubię najbardziej. No cóż, aktualnie nie jest mi po drodze z melodyjnym symfonicznym power metalem, ale "**Montecristo**" przesłuchałem z zainteresowaniem. (3,7)

\m/\m/

Gross Reality - Return To Ruin

2023 Divebomb

Dziwna sprawa z tym zespołem, bo w pierwszych latach istnienia **Gross Reality** niczego nie wydali, ale jeśli grali wtedy thrash, to do roku 1996 faktycznie mogli zapomnieć o czymś takim jak jakakolwiek kariera. Wrócili w roku 2009, a od mniej więcej 10 lat zaczęli się realizować również wydawniczo. "**Return To Ruin**" to już ich trzeci album, można więc mówić o czymś na kształt stabilnego funkcjonowania tej grupy, znaczonej kolejnymi płytami. To materiał na niezłym poziomie, dopracowany i robiący wrażenie: słychać, że grają zawodowcy, ale mający jeszcze sobie i innym coś do udowodnienia, głodni nowych wyzwań i podnoszący sobie poprzeczkę, a nie odcinający kupony od dni dawno minionej chwały. Panowie niezgorzej tu łoją, ale nie unikają też melodii, a już prawdziwym majstersztykiem jest finałowy, trwający blisko 9 minut, "***Solitary Hypnosis***": w sporej części klimatyczno-orientalny, ale też z konkretnym przyspieszeniem i ciekawie zaaranżowany. (4,5)

Wojciech Chamryk

Grymheart - Hellish Hunt

2023 Scarlet

W latach 2001 - 2018 działał sobie power metalowy węgierski zespół **Wisdom**. Nagrał on dwie EP-ki i cztery pełne studyjne albumy i w dodatku cieszył się jakimś tam uznaniem. Niestety w roku 2018 jego muzycy **Mate Molnarm** oraz **Anton Kabanen** przenieśli się do **Beast in Black**, w ten sposób pieczętując rozpad **Wisdom**. Niemniej lider formacji **Gabor Kovacs** obecnie używający pseudonimu **Gabriel Blacksmith** nie odwiesił instrumentów na kołku. Po paru latach w roku 2022 zaangażował się w nowy projekt, który nazwał **Grymheart**. W ten sposób w bieżącym roku możemy posłuchać ich dużego debiutu "**Hellish Hunt**". Na krążku znajdziemy intro i dziesięć kompozycji utrzymanych w stylu melodyjnego power metalu. Jest w nim coś z **Wisdom**, ale generalnie odnajdziemy tam wiele odcieni melodyjnego power metalu kojarzonego z wieloma i w dodatku różnymi zespołami, jak **Running Wild**, **Blind Guardian**, **Elvenking**, **Powerwolf**, **Children of Bodom** itd. Węgrzy dość zgrabnie skompilowali swój power metal w równie zręczne, przemyślane, gęste oraz dynamiczne kompozycje. Są w nich pomysły, technika, jakość, aura oraz przebojowość. Klimatu dodaje im leciutko growlujący wokal lidera, którego czasami wspomagają wycieczki w stronę melodyjnego death metalu. Album mimo różnorodności kawałków jest bardzo spójny. Fanom takie granie może się podobać, mnie już niekoniecznie. Mojego podejścia nie zmieni nawet fakt, że do wykonania, brzmień i produkcji nie ma co się czepiać. Wiem, maniacy melodyjnego power metalu mogą być zachwyceni "**Hellish Hunt**", ja jednak ten krążek traktuję jako jeden z wielu. (3)

\m/\m/

Helestios - Your Pain Tastes Good

2020 Self-Released

Helestios to formacja powołana przez emigrantów zakotwiczonych w Londynie w roku 2020. Do tej pory wydali dwa albumy "**Your Pain Tastes Good**" (2020) i stosunkowo niedawno "**Road to Ecstasy**" (2023). Ich muzyka to mieszanka melodyjnego death metalu i groove metalu, więc co ta grupa robi na łamach HMP? Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, co mam odpowiedzieć. Może chodzi o melodie, które faktycznie są całkiem niezłe. Może dotyczy się to tych bardzo nielicznych wędrówek w stronę thrashu lub melodyjnego power metalu? Jednak te naleciałości nie odciągają muzyki **Helestios** od głównego nurtu ich stylu. Death i groove na "**Your Pain Tastes Good**" rządzą! Kolejny problem to taki, że nie bardzo wiem, jak w ogóle tę płytę ocenić. Kompozycje wydają się napisane ciekawie, melodie przyciągają uwagę, wykonanie czasami bywa wręcz wyśmienite, brzmi to też całkiem nieźle. Niestety muzyka w żaden sposób nie chce wejść do głowy, omija mnie szerokim łukiem. Nic nie poradzę, że kieruję się zupełnie innymi emocjami. Rozwiązania nie przyniosło też kilkukrotne przesłuchanie płyty - na więcej się nie zdobyłem - także ten krążek trzeba oddać w ręce fanów bardziej nowoczesnej muzyki, niech oni zadecydują. (-)

\m/\m/

Hellion - The Magic Within

2023 Awakening

Hellion to formacja, która pochodzi z Kolumbii, działa od roku 2014, a "**The Magic Within**" to

ich trzeci album studyjny. Ekipa zaliczana jest do sceny thrash/black metalowej. Niemniej muzycy **Hellion** bardziej stawiają na rozpędzony i melodyjny black metal, co ma swój urok, choć ja wolę ten bardziej toporny, diabelski i siarczysty bazujący na dokonaniach **Venom**. Przez takie podejście do black metalu ten ich thrash też jest rozmyty, często przechodzi on w speed metal, a niekiedy nawet zahacza o tradycyjny heavy metal. Co najdziwniejsze brzmienia i produkcja są na poziomie, jak nie z Ameryki Łacińskiej. Niemniej Kolumbijczycy ciągle preferują surowe, undergroundowe i agresywne granie. W takich kawałkach jak "***A Touch of Hellfire***" i "***Black Beast***" stawiają głównie na agresję, podkreślając ją wyraźną linią basu i pracą podwójnej stopy. W "***Headbang Earthquake***" stawiają na czysty klimat z lat 80. Natomiast w "***Behead the Angels***" próbują przeforsować elementy thrash metalu. Ogólnie kawałki są przyzwoite, każdy ma pomysł, poza tym czuć w nich zaangażowanie i pasje muzyków. Fakt mierzi mnie trochę to melodyjne podejście Kolumbijczyków, ale nie zaprzeczę, że w utwory i ich realizację włożyli oni wiele wysiłku i pracy. Myślę, że fani thrash/black metalu będą mocno zainteresowani **Hellion** i ich "**The Magic Within**". (3,7)

\m/\m/

Hitten - First Strike with the Devil - Revisited

2023 High Roller

Kiedy dostałem do zrecenzowania płytę **Hitten** rzuciłem tylko okiem na Metallum by dowiedzieć się, że pochodzący z Hiszpani zespół wydał "**First Strike with the Devil**" w 2014r. Nie wczytując się w dostępne recenzje chciałem sam wyrobić pierwsze wrażenie by zobaczyć jak ten band daje radę w heavy metal. Pierwszy na płycie "***Demons***" rozpoczynamy nieco niemrawym wstępem by płynnie przejść do podwójnej gitarowej galopady.

Bardzo dobrze zagrane i wyprodukowane gitary przyjemnie ciągną się ukazując siłę zespołów NWOTHM. Nostalgia za latami w których muzycy byli zbyt młodzi by słuchać metalu jest wręcz namacalna. Zwolnienie, przyspieszenie bardzo fajna zadziorność. Dopiero w okolicy połowy tego najdłuższego utworu pojawia się wokal, który niestety jest tylko przyzwoity. **Aitor Navarro** śpiewa bez grama charyzmy i zainteresowania odbiorcy. Drugi na liście "***Evil Power***" to automatycznie skojarzenie z "***Killers***" **Iron Maiden**. Tyle, że **Paul Di'Anno** śpiewał lepiej. Instrumentaliści dwoją się i troją, ale ten materiał jest niespójny. Części instrumentalne pozwalają ponownie cieszyć się kunsztem wykonawców. Możemy podziwiać zarówno dobrą prędkość jak i umiejętne zgranie całego zespołu. Następny "***Lookin' For Axxion***" również nie przynosi żadnych zmian. Ostre solówki wwiercają się w głowę, szybkie riffy ukazują inspirację, bas pulsuje pod skronią, a perkusja nadaje rytm. Wokal... jest, chyba idzie się do niego przyzwyczaić, ale czas poszukać czemu płyta ma dopisek "**Revisited**". Chwila grzebania w Internecie przynosi odpowiedź. Zespół zdecydował się w tym roku na ponowne nagranie dla **HRR** swojej debiutanckiej płyty. Z informacji do jakich można dotrzeć dowiadujemy się, że nie tylko instrumenty zostały ponownie nagrane, ale również częściowo inaczej zaaranżowane. Z oryginalnych taśm pozostały tylko ścieżki wokalne. Mi po takich zabiegach nóż otwiera się w kieszeni. Nieważne, że kolejne utwory kontynuują sprawne poruszanie się po heavy metalowej stylistyce przyprawionej lekko w kierunku szybszych rejonów. Mam alergię na takie majstrowanie przy wydawnictwach. Nie interesują mnie motywy i tak odrestaurowanych płyt nie jestem w stanie ani kolekcjonować ani słuchać z przyjemnością. Czasami brakuje umiejętności, czasu czy pieniędzy na stworzenie materiału w 100% zgodnego z wizją, ale muzyka metalowa nie musi być idealna. Dla mnie ona musi być prawdziwa i oddawać daną chwilę, dany czas. Jeśli jednak fraza "*Only first press is real*" wywołuje u Was uśmiech politowania możecie spróbować sięgnąć po ten materiał Hiszpanów. Może na "*debiucie*" nie ma odkrywczej muzyki. Może to tylko powielający standardy hołd młodzieży dla lat minionych, ale w przesłuchanej przeze mnie wersji czuć zalążek pasji. Na pewno scena NWOTHM przez ostatnie lata dała słuchaczom lepszy, bardziej kreatywny materiał niż "**First Strike with the Devil**", ale

Heavy Load - Riders Of The Ancient Storm

2023 No Remorse

W 1999 roku w studio **Thunderload**, być może znany Wam, zespół **Hammerfall** nagrał cover **Heavy Load** "***Run with the Devil***" na składankę "**Power From The North - Sweden Rocks The World**". Po latach w książce "**Krew, Ogień, Śmierć - historia szwedzkiego metalu**", **Joacim Cans**, wokalista **Hammerfall** i fan **Heavy Load**, tak wspominał tamto wydarzenie: "*Zaśpiewałem refren z Ragne i Styrbjörnem. Zmiksowali utwór przy pomocy swojej starej drewnianej konsolety, wykonanej zapewne na technice w szkole. Chcieliśmy posłuchać nowej płyty Heavy Load, o której chodzą już słuchy od dziesięciu lat. Nie udało się nam. Nadal się zastanawiam, czy rzeczywiście był kiedykolwiek jakiś album, czy tylko rozpowszechniali te plotki, aby pozostać na fali. Jeśli coś takiego powstało, powinno już być gotowe*". Dlaczego w ogóle o tym wspominam? Ten cytat doskonale pokazuje to, jak długo czekano na ten album. W książce z 2011 roku, facet opowiada, że już w 1999 roku o nowej płycie **Heavy Load** mówiło się od dziesięciu lat. Na tyle długo to trwało, że powoli zaczęto traktować te opowieści jako bujdy starszych panów. Ale w końcu stało się. Nie po 10, nie po 20 ani nawet nie po 30, ale po 40 latach ukazał się nowy, studyjnym, długogrający i oficjalny album prekursorów szwedzkiego metalu - "**Riders Of The Ancient Storm**". Jaki jest ten album? Czy jest na tyle mocny, że wytrzyma presje oczekiwań? Przecież coś na co czekało się 40 lat powinno być wyjątkowe. I pod tym względem cel został osiągnięty. Jest to na pewno wyjątkowe wydawnictwo - nietypowe i bardzo oryginalne. Dodatkowo bardzo zróżnicowane i w jakiś sposób uzależniająco wciągająca. W moim przypadku, nie była to jednak miłość od pierwszego usłyszenia. Na początku moja relacja z tą płytą była nieco toksyczna. Kawałki były dla mnie dziwne i wchodziły mi do głowy po czym nie mogłem ich się stamtąd pozbyć. Znacie to uczucie kiedy nie możecie zasnąć bo męczy Was jakaś piosenka? To właśnie spotkało mnie i to nie z jednym kawałkiem ale z prawie całą płytą. Był to soundtrack do mojej bezsenności i nocnej gonitwy myśli. Po paru dniach chodzenia niewyspanym musiałem sobie zrobić przerwę z tą płytą. I to był przełom, bo mogłem nabrać pewnego dystansu. Teraz uważam, że jest to świetna płyta, która już nie męczy mnie po nocach, a której fragmenty podśpiewuję sobie z radością przez całe dnie. Mógłbym słuchać jej na okrągło. Ale dobrze, przejdźmy do konkretów. Tak jak już pisałem jedną z główną cech tej płyty jest różnorodność. I tak pierwszy "***Ride the Night***" to kawał dobrego, szwedzkiego heavy metalu. Co prawda pierwsze 10 - 15 sekund, co poniektórych może przestraszyć, czy przez przypadek **Heavy Load** nie zainspirował się wspomnianym wcześniej **Hammerfall**. Ale spokojnie mamy tu do czynienia z rasowym kawałkiem wspartym smyczkami z doskonałym, harmonijnym i bardzo wysokim wokalem **Ragne**. A' propos smyków, jest to rzecz dosyć charakterystyczna dla tego albumu. Chyba każdy kawałek w jakiś stopniu jest wsparty przez klasyczne instrumenty. W niektórych utworach są nowe bardziej znaczące, w pozostałych są pewnym dodatkiem - wzmocnieniem i podbiciem brzmienia. Dla mnie nie jest to żadna wada a wręcz bardzo duża zaleta. Dodaje to pewniej unikalności tej muzyce. Drugi w kolejności to kawałek autorstwa **Styrbjörna**, "***We Rock the World***". To akurat kawałek, który może się od razu spodobać. Pulsujący, rytmiczny hard rock z orkiestracją w stylu **Deep Purple**. Wokalnie **Styrbjörn** też daje czadu niczym **Coverdale** w "***Still the Night***" **Whitesnake**. Jak dla mnie to piosenka z radiowym potencjałem, mogąca stawać w szranki, jeżeli nie ze współczesnymi gwiazdami jak **Greta Van Fleet**, to już na pewno z singlami z "***Walk the Earth***" **Europe**. "***Walhalla Warriors***" to bardziej oryginalne i złożone w smaku danie, które nie od razu może zasmakować. Coś dla prawdziwych koneserów. Bombastyczny kawałek, z jednej strony mocno orkiestrowy, z drugiej ultra old schoolowy. Klimat jeszcze podbija produkcja i miks z 1987 roku, kiedy to ten kawałek został nagrany. To niezwykła hybryda melodyjności i harmonii z surowością i nieokrzesaniem. Do tego niesamowity dialog wokalny pomiędzy **Ragne** a chórkami. Kawałek, przy którym na koncercie pobiegnę pod samą scenę, żeby zaciśnięte pięści wznieść ku niebu i wyśpiewywać "*We are the Walhalla Warriors, we're gonna sail for ever and more*". "***Angel Dark***" to jedyny kawałek na tej płycie, do którego się nie przekonałem. Tu akurat wokal bywa dla mnie nieco irytujący, szczególnie ten zaśpiew "*An angel white is another dark*". Też zwyczajnie trochę mnie on nudzi i z reguły od razu przeskakuję do kolejnego "***Slave No More***". To drugi utwór **Styrbjörna** i również on od razu podbił moje serce. Sabbath'owski kawałek z Purple'owską orientalizującą orkiestracją. Ale jest to **Sabbath** z lat 80-tych z niepokojącymi klawiszami w tle dla ponurych, miarowych riffów. Wokalnie **Styrbjörn** do **Coverdale** dorzucił trochę **Tony'ego Martina** co dla mnie jest mieszanką wybuchową. Świetny, bardzo emocjonalny kawałek. Instrumenty smyczkowe i klawisze zostają również w następnym "***Raven is Calling***", w którym robią pompatyczny wstęp. To jest jeden z tych nowszych kawałków, co zresztą słychać po wokalach **Ragne**. Jeżeli chodzi o barwę znacznie odróżnia się od jego głosu w pozostałych kawałkach. Jest trochę niżej i bardziej chropowato. Kawałek się super rozwija i myślę, że to taka perełka jeżeli chodzi o kompozycję. Nie jestem muzykiem, ale wydaje mi się, że reprezentuje on najwyższy poziom warsztatu. Muzycznie dzieje się tu bardzo dużo, ale wszystko ze sobą idealnie współgra i się uzupełnia. Potem znowu mamy rarytas dla wytrawnych smakoszy jakim jest "***Sail Away***". To już jest zupełny odlot w kierunku muzyki klasycznej. Posłuchajcie wokali i powiedzcie mi czy słyszeliście kiedyś coś takiego w heavy metalu? Kawałek niesamowicie się rozwija "*malując wszystkimi kolorami, od najdelikatniejszych po najpotężniejsze*" jak to poetycko określił **Ragne** w wywiadzie. Płytę kończy suita gitarowa "***Butterfly Whispering***". Ładne to, ale nie robi na mnie aż tak dużego wrażenia. Gdyby to był krótszy przerywnik gdzieś pośrodku płyty, na pewno byłby miłym urozmaiceniem. A tak to trochę niepotrzebny wypełniacz, bez którego ta płyta mogłaby się obyć. W sumie to tylko bonusowy kawałek do wydania CD, więc nie trzeba się jakoś specjalnie do niego przywiązywać. Ta płyta jest doskonała, chociaż na pierwszy rzut ucha może wydawać się niezbyt spójna i uchodzić za zbiór przypadkowych kawałków. Ale jak przekonują bracia jest to celowy zabieg i różnorodność ten album wzbogaca. Ja to uzasadnienie kupuję. Ale też z dużą ciekawością patrzę w przyszłość bo Ragne zapowiedział już następcę. Jak będzie brzmiał materiał komponowany w podobnym czasie? Przypuszczam, że w pełni pokaże on obecne umiejętności kompozytorskie nietypowego rodzeństwa, ponieważ Panowie prawdopodobnie przewietrzyli już wszystkie szuflady. Bylebyśmy tylko nie musieli na to czekać kolejnych 40 lat... (5,5)

Grzegorz "Greg" Putkiewicz

to może być tylko kwestia braku doświadczenia. Ta wersja jest wypełniona bardzo dobrze wyprodukowanym materiałem i pomimo dysonansu między wokalistą i zespołem podejrzewam, że są osoby, które mogą spędzić kilka satysfakcjonujących odsłuchów. Przesłuchany materiał trochę motywuje mnie do sprawdzenia normalnej wersji debiutu oraz kolejnych, wydanych później płyt. Do "Revisited" już nigdy nie wrócę, ale pojawiła się u mnie ciekawość, którą będę musiał zaspokoić. Może taka miała być rola tego wydawnictwa.

Łukasz Ragnus

Hitten - While Passion Lasts

2023 High Roller

Ta płyta to uosobienie wszystkiego, co najbardziej charakterystyczne w hard rocku przełomu lat 80. i 90. Są linie wokalne a la **Whitesnake**, chórki jak w **Alice Cooper**, refreny jak w **Dokken**, a nawet szczypta saksofonu. I choć Hiszpanie nie siadają z kartką, żeby zaplanować rozkład nowej płyty, otwarcie mówią, że ta epoka jest ich ulubioną, jeśli chodzi o muzykę. A to upodobanie odbija się w ich muzyce. **Hitten** zaczynał jak klasyczny heavymetalowy zespół, z czasem coraz chętniej zagłębiał się w lżejsze hardrockowe (czy nawet "pudlowe") rejony, aż w końcu nagrał swoją najbardziej melodyjną i lekką płytę, "**While Passion Lasts**". I choć średnie tempa i nie za gęste riffy dominują na krążku, trafiają się też momenty w starszym dla **Hitten** stylu, jak dynamiczny, heavymetalowy "***Crimetime***" czy urozmaicony "***Dark Stalker***" z maidenowym przyspieszeniem. Ten album jest tak szalenie w stylu muzyki sprzed 35 lat, że spokojnie można komuś "wkręcać", że to zaginione nagranie z tego okresu. Wszystko się na nim zgadza, nie tylko sama muzyka, ale klimat, rozwiązania kompozycyjne czy ozdobniki wokalne. Co więcej, żeby uwiarygodnić efekt, zespół użył elementów sprzętu z epoki. I wszystko to, bez cienia topornośći i kiczowatego łopatologicznego kopiowania. Tej płyty słucha się naprawdę świetnie! (4,5)

Strati

Hunter - Rebel Angels Rise

2023 Self-Released

Ostatnio podczas zwiedzania Belgii przechadzałem się wokół rynku w Antwerpii. Zwróciłem uwagę, że w jednej z bocznych uliczek głównego placu miasta znajduje się kawiarnia o nazwie Kid's Rhythm 'n' Blues Kaffee, w której dnia 20 stycznia 2024 roku belgijski zespół **Hunter** zagra koncert promujący ich drugi album pt. "**Rebel Angels Rise**". Siedząc na zewnątrz pod parasolem, można stamtąd obserwować odnowione fasady okolicznych budynków po zmasowanym ataku ikonoklastów w 1576 roku, a także renesansowy ratusz z niezliczoną liczbą flag oraz rzeźbą Maryi. Dziwne, prawda? Nie często zdarza się, żeby na budynku ratusza znajdowała się rzeźba Maryi, a tym bardziej nie spodziewalibyśmy się tego w kupieckiej osadzie najbardziej liberalnej części świata. Motyw religijny pojawia się również w lirykach płyty świeckiego zespołu **Hunter**, przy czym wśród zagadnień poruszanych w ich utworach można odnaleźć potępienie wykorzystywania słabszych w niesprawiedliwym świece doczesnym oraz refleksję, że ludzie nie są wybrańcami chronionymi przez bogów i po śmierci mogą zstąpić z raju do piekła. Święte Cesarstwo Rzymskie tak naprawdę nigdy nie zdołało w pełni podbić Antwerpii i choć dziś zaliczamy ją do zachodniego kręgu kulturowego, część leżąca po przeciwnej stronie Skaldy należała historycznie do pozostającego pod wpływem francuskiego królestwa Flandrii, co oznacza, że nie była ona miejscem podporządkowanym religii chrześcijańskiej. U wrót przypominającej z wyglądu zamek średniowiecznej fortecy Het Steen (z niderlandzkiego na angielski nazwę tłumaczymy jako "the Rock") znajduje się jednak rzeźba przedstawiająca tajemniczą postać Lange Wappera. Według jednej z legend, ów demon siał postrach wśród mieszkańców, ale sam bał się tylko jednej rzeczy - wizerunku Maryi. W związku z tym najpierw mieszkańcy zaczęli stawiać maryjne posągi u drzwi wejściowych do swoich domów, aż w końcu władze miasta postanowiły zrobić to samo po zewnętrznej stronie ratusza. Wynika stąd wniosek, że nawet pozornie stroniąca od religii społeczność może być zainteresowana duchowymi aspektami religijnych fundamentów, jeżeli dostrzeże płynącą z nich korzyść. Jednocześnie nigdy nie dowiemy się jednoznacznie, czy powstanie zbuntowanych aniołów wywoła pozytywny czy negatywny efekt. Liryki utworów heavy metalowych pozostają na ogół otwarte na interpretacje i mogą skłaniać do indywidualnego zastanowienia się nad ich znaczeniem w kontekście osobistych doświadczeń słuchaczy. Wypada mi jeszcze dodać kilka słów o wrażeniach zmysłowych po kontakcie z recenzowaną płytą. Belgijski zespół **Hunter** podkreśla w materiałach promocyjnych, że nie gra stereotypowego heavy metalu, tylko czerpie z różnych odmian muzyki metalowej. I faktycznie, niektóre motywy ośmiu (licząc wraz z powtórzonym utworem "Dominion" z debiutu) zawartych na niej kompozycji nawiązują a to do speed metalu, a to do thrashu, zdarza się też że do doomu, a nawet do klasycznego rocka. Moim zdaniem jednak są to niuanse, nie ma ich wiele i osobiście odbieram "**Rebel Angels Rise**" jako stuprocentową garażową produkcję heavy metalową ze zróżnicowanym repertuarem, lecz z typowo heavy metalową atmosferą. Odnajduję w niej więcej wyrazów pasji do tradycji gatunku niż dźwiękowych innowacji. Wychodzi to kapeli na dobre, dlatego że bardzo mocno udziela się jej szczery zapał i zamiłowanie do takiego grania. Pomimo surowej produkcji słychać wyraźnie, że muzyków to jara i roznosi ich chęć podzielenia się ze światem swoimi pomysłami. Ewidentnie czują i uwielbiają heavy metal. Każdy numer jest solidny i zagrany z życiem, co nie oznacza, że ów materiał poraża agresją - nie odnajdziemy tu zbyt wiele brutalnej nawalanki, ani zabójczo szybkich temp, niemniej kapela wypada dość prężnie i dynamicznie. "**Rebel Angels Rise**" brzmi bardzo old schoolowo, posiada ludzki element naturalnej ekspresji. Albumowi zdecydowanie bliżej do klimatu spontanicznego występu w pubie niż do technologicznej doskonałości. Zachowano na nim trochę koncertowego niechlujstwa. Także pod względem przesłania, longplay daje wiele do myślenia, zaś pod względem czysto muzycznym zapewnia konkretną rozrywkę słuchaczom zainteresowanym tradycyjnym heavy metalem w undergroundowej odsłonie. (4,5)

Sam O'Black

Icarus Witch - No Devil Lived On

2023 Cleopatra

Jeśli lubicie **Icarus Witch** za przejrzyste, naturalne brzmienie gitar oraz nośne linie basu, to na pewno "**No Devil Lived On**" sprawi Wam frajdę. Jeśli lubicie **Icarus Witch** za dwie pierwsze płyty, to... nie bardzo. Ale to przecież nihil novi - od dawna już w muzyce Amerykanów nie ma tego błyskotliwego ducha, co na pierwszych krążkach. Co więcej, od dawna nie ma już z nimi nietuzinkowego, obdarzonego "demoniczną" barwą **Matthew Bizilia**. Obecny wokalista śpiewa dobrze, ale w odróżnieniu od pomysłowego **Bizilli**, wypada blado. Jego wokal w połączeniu ze zwyczajnymi kawałkami sprawia, że album nie ma swojego wyrazu. Płyta w dużej mierze utrzymana jest w średnich tempach, niesie trochę schedę rodaków z **Queensryche**, a to, co jest jej atutem to dopieszczone brzmienie i operowanie przestrzenią między dźwiękami (sam basista przyznaje, że czasem pauza między nutami działa większe cuda, niż same dźwięki). Spostrzegawczych może zaskoczyć tematyka płyty, która przenosi typowe dla Icarusów wiedźmy w świat SF, a okładka doskonale oddaje tę kosmiczno-transcendentalną przygodę głównej bohaterki tekstów. Koncepcja jest ciekawa, a sam fakt, że zespół próbował wyjść ze swojej czarodziejskiej strefy komfortu przemawia za tym, że Amerykanie wciąż szukają drogi dla **Icarus Witch**. (3,8)

Strati

Ignited - Cradle Of The Wicked

2023 Self-Released

Wydanym cztery lata temu "**Steelbound**" niezbyt mnie zachwycili, ale zasygnalizowali pewien potencjał. Na drugim albumie "**Cradle Of The Wicked**" brazylijski **Ignited** poczynił jednak postępy, tradycyjny heavy w stylu lat 80. jest teraz w ich wydaniu znacznie bardziej przekonujący.

Owszem, wokalista **Denis Lima** zdaje się czasami zapominać o tym, że jednak nie jest **Robem Halfordem**, ale też częściej śpiewa niżej, agresywniej, co pasuje do numerów takich jak "***The Overflow***", którym bliżej do speed metalu niż tego tradycyjnego, a w wyższych rejestrach też potrafi niekiedy uwolnić się od wpływów wokalisty **Judas Priest**, na czym bardzo zyskuje choćby "***Bloody Satisfied***". Cała płyta, podobnie jak debiutancka, nie jest jednak wyrównana i do końca jednorodna stylistycznie, bo zaraz po niemal thrashowym "***Tearing Down The Walls***" mamy surowy, kojarzący się z **Black Sabbath**, "***Abyss Of Fear***", ale postępy **Ignited** są słyszalne, co warto docenić. (3,5).

Wojciech Chamryk

Immortal Guardian - Unite and Conquer

2023 M-Theory Audio

Ich poprzedni album "**Psychosomatic**" z roku 2021 był całkiem udany, więc ucieszyłem się, że będę mógł posłuchać jego następcę. Trochę się zaniepokoiłem deklaracjami muzyków, że podeszli do pisania materiału w inny sposób. Jednak po przesłuchaniu nowego krążka doszedłem do wniosku, że jak jakieś zmiany nastąpiły to, co najwyżej w podejściu do samych tekstów. Niemniej one też mają podobne przesłanie, co na poprzedniej płycie i w zasadzie dotyczą bieżących wydarzeń na świecie, jak i w życiu samych muzyków. **Immortal Guardian** to przede wszystkim przedstawiciele mieszanki progresywnego power metalu oraz progresywnego metalu. Oczywiście znajdziemy też elementy ambitnego melodyjnego power metalu oraz bardziej oldscholowego melodyjnego power metalu. Często bywa, że są to różne konfiguracje tych wszystkich składowych, co jest nie dość, że ekscytujące to, pobudza każdą cząstkę wyobraźni i emocji ewentualnego słuchacza. Nie brakuje też melodii, które w zasadzie nadają wyraz całej muzyce z tego krążka. "**Unite and Conquer**" zaczyna się kompozycją "***Ozona***", która jest mieszanka bardzo dynamicznego i melodyjnego prog-poweru oraz progresywnego metalu. Takich utworów na tej płycie jest najwięcej, bo zaliczyć można do tej grupy "***Perfect Person***", "***Lost in the Darkness***" (z wykorzystaniem kobiecego wokalu) oraz zamykającą płytę kompozycję "***Rise of the Phonix***" (z nutką nowocześniejszych gitar). Tak jak wspominałem, mamy też takie utwory jak "***Echoes***", który jest mieszanką progresywnego power metalu i melodyjnego power metalu. Po nim następuje "***Roots Run Deep***", gdzie progresywny power metal miesza się z power metalem, ale już w stylu **Primal Fear**. Pozostałe utwory to też różne konfiguracje wspomnianych stylów. I tak "***Divided We Fall***" to trochę wolniejszy ambitny melodyjny power metal. Natomiast "***Southern Rain***" to taki lekki song w klimacie prog-poweru. W utworze tytułowym "***Unite and Conquer***" za to znajdziemy mieszankę ambitnego melodyjnego power metalu z progresywnym power metalem oraz elementami neoklasycznymi. Z kolei "***Un Dia A La Vez***" to bardzo klimatyczna i rozmarzona kompozycja oparta na fortepianie i orkiestracji. Także wielobarwność, emocjonalność, klimat, a zarazem dojrzałość tej muzyki jest przeogromna. Jej walory podnosi również bardzo ambitne podejście muzyków do samych kompozycji, jak i wykonania muzyki. Jest ono porównywalne do najlepszych produkcji znanych ze sceny progresywnego metalu. Partiami muzycznymi z "**Unite and Conquer**" można się wręcz zachwycać. Takiego odbioru muzyki **Immortal Guardian** nie byłoby bez wspomnianych niesamowitych melodii, które podkreślają gitary, ale przede wszystkim głos wokalisty **Carlosa Zema**. Ogólnie dobra płyta z niszy melodyjnego i ambitnego prog-poweru. Immortal Guardian udowodniło, że mają potencjał i warto się nimi interesować. (4,7)

\m/\m/

Impending Triumph - Impending Triumph

2023 Jawbreaker

Nie będę wybredny, bo to dopiero debiutanckie EP, w dodatku wydane przez belgijsko - francuski duet, a nie pełen zespół. Dostajemy tu badziewne intro oraz cztery całkiem pomysłowe kompozycje, zagrane ze szczerym entuzjazmem, przekazujące ważne życiowe wartości i z szacunkiem odnoszące się do kanonu gatunku epicki heavy metal. Największy potencjał **Impending Triumph** tkwi moim zdaniem w przekazie lirycznym, bo o ile nie zanosi się na wybitne walory muzyczne, to formacja ma na pokładzie doświadczonego poetę z lekkim piórem i głową pełną zajmujących pomysłów. Lekko przytłumione brzmienie EP zapewne sprawdziłoby się w doom/black metalu, ale nie pozwala w pełni cieszyć się bardziej tradycyjnym graniem, także solidniejsza produkcja wyszłaby ich następnemu materiałowi na dobre. Jeśli odrobinę bardziej urozmaicą swoją propozycję, żeby nie wybrzmiewała tak generycznie, to możemy spodziewać się ciekawego longplaya. Nie znam jednak zbyt wielu kapel parających się we Francji czy w Beneluxie epickim heavy metalem i podejrzewam, że lokalsi zwrócą uwagę na **Impending Triumph**, a to może otworzyć ich na opcję uzupełnienia składu i późniejszego udziału w festiwalach. Póki co, odnotowujemy jako wydawniczą ciekawostkę, a czas pokaże, czy będzie z tego coś więcej. (-)

Sam O'Black

Infernal Tyrant - Summer EP

2023 Self-Released

OK, wydanie czegoś wyłącznie w wersji cyfrowej nie jest do końca prawdziwym wydaniem, a do EP brakuje tu jeszcze jednego utworu, ale w porównaniu z fatalnym, długogrającym debiutem "**Fallen From Grace**" **Mike Smith** nieco się ogarnął. Oczywiście nie ma tu mowy o jakichś artystycznych wzlotach: nadal łoi prościutki, typowo podziemny thrash, ale już nie tak wtórny i monotonny jak na rzeczonym albumie. Opener "***On Valkyries Wings***" jest z tej trójki najsłabszy - może dlatego, że porywanie się na tak długie kompozycje lepiej zostawić lepszym aranżerom, ale już instrumentalny "***Virus With Shoes***" i "***The Final Chapter***" są znacznie ciekawsze; oczywiście z zastrzeżeniem, że to wciąż III liga takiego grania i o awansie do wyższej klasy rozgrywkowej raczej nie mam mowy. (2)

Wojciech Chamryk

Intent - Exile

2022 Self-Released

Amerykański **Intent** powstał na bazie zespołu **Varkan** w roku 2016. W roku 2018 nagrali album "**Vox Populi**", cztery lata później kolejny "pełniak" "**Exile**", a w bieżącym roku wydali EP-kę "**Sins of the Past**". Na "**Exile**" znajdziecie gęsty, agresywny i brutalny oldschoolowy thrash oparty na dokonaniach **Slayera**, **Exodusa**, **Testament** i **Metalliki** itd. Każdy z ośmiu utworów napisany jest bardzo intrygująco, pomysłowo, wielowarstwowo, podkreślając techniczne granie instrumentalistów. Całość napędza gęsta, wściekła, a zarazem bardzo kreatywna i precyzyjna sekcja rytmiczna. Równie zwarte, intensywne i rozpędzone są gitary, które głównie z impetem siekają nas swoimi riffami. Bezlitości są również partie solowe, choć te potrafią też zaciekawić. Uroku dodaje również wrzaskliwy głos wokalisty, który jednak momentami potrafi zbudować znakomitą atmosferę. Mocarne i szybkie utwory wciągają nas od samego początku, ciągle podnosząc nam adrenalinę i nasze zaciekawienie. Muzycy głównie stawiają w nich na różnorodność, dzięki czemu wręcz z łatwością przesłuchujemy całość zawartości "**Exile**". Traktuję ten krążek jak jeden z tych, który trzeba słuchać w całości. Trzeba się delektować poszczególnymi momentami, utworami, ale przede wszystkim całością, inaczej stracimy niesamowity przekaz i atmosferę, którą wykreowali Amerykanie. Chociaż przyznam się, że taki "**Primal Instinct**" odkąd zacząłem go słuchać, strasznie mnie prześladuje. Brzmienie płyty jest wyśmienite, choć przygniata ono nas swoją mocą i gwałtownością, to wszystkie instrumenty wybrzmiewają selektywnie. To tylko podkreśla wartość i walory "**Exile**". No cóż, maniacy thrashu mają kolejny tytuł i zespół, nad którymi muszą się pochylić i zadecydować, czy warty jest on zachodu. (4,5)

\m/\m/

Ironborn - After The Flood

2023 Self-Released

Gdzieś od 2017 roku w Belgii działa sobie ekipa **Ironborn**.

Postawiłem na ten rok, bo w tym, że roku formacja wydała swoją debiutancką EP-kę "**Ironborn**". Za to teraz wypuścili wydany własnym sumptem pełny album "**After The Flood**". Znajdziecie na nim osiem kompozycji utrzymanych w stylu tradycyjnego heavy metalu. Niestety jest on mało oryginalny często oparty na schematach. Owszem bywają momenty ciekawie zagrane, ale nie odsuwają one ogólnego wrażenia, że taką muzykę gdzieś już słyszeliśmy. Najciekawsze utwory to rozpoczynający "***Bloodbound***" dość szybki z fajnym riffowaniem oraz z kilkoma zwolnieniami, oraz typowy, wolny, balladowy, ale w ciekawym klimacie "***Into Darkness***". W pozostałych kawałkach też odnajdziemy zaangażowanie muzyków, ale tak jak pisałem ugrzęźli oni w odniesieniach do starych pomysłów. Po prostu Belgowie potrzebują większej elastyczności w swoich pomysłach. Natomiast jeśli chodzi o brzmienia i produkcję, można powiedzieć, że wykonano dobrą robotę. **Ironborn** opiera się o tradycyjny heavy metal rodem z lata 80., ale wykorzystał współczesne techniczne możliwości. Z tego powodu instrumenty brzmią świeżo i miło dla ucha. Dość dobry jest wokalista, ma fajny tembr głosu, choć czasami wykorzystuje coś a la growl (np. we wspomnianym już "Into Darkness"), co dla mnie jest niezrozumiale i zupełnie niepotrzebnie. Muzycy **Ironborn** mają potencjał, ale muszą się postarać, aby wzbudzić swoją muzyką zainteresowanie. Na razie jest po prostu zwyczajnie i średnio. (3)

\m/\m/

Ironflame - Compendium
2023 Divebomb

Andrew D' Cagna od pierwszej płyty "**Lightning Strikes The Crown**" oddaje hołd tradycyjnemu metalowi starej szkoły i czyni to naprawdę na wysokim poziomie, tak więc chętnie włączyłem jego kolejny album. I dopiero po którymś odsłuchu doczytałem się, że nie jest to wydawnictwo z premierowym materiałem, ale kompilacja. Warto jednak podkreślić, że 10 składających się na nią utworów tworzy nad wyraz spójną całość, mimo tego, że to bonusy z europejskich edycji winylowych płyt **Ironflame**, z 7" splitu z **Comaniac** czy dotąd niepublikowane. Tu wyróżnia się akustyczna wersja "***Marching On***", znanego z pierwszej płyty, ale na dobrą sprawę broni się każdy utwór, niezależnie od tego, czy mowa o ocierającym się o speed metal "***Vision In Flames***" czy "***Wolfen***", czerpiącym zarówno od **Thin Lizzy**, jak też od grup nurtu NWOBHM. "**Compendium**" wyszło, póki co, tylko na CD, ale liczę, że ktoś pokusi się również o wydanie wersji winylowej, bo ten materiał jest tego warty. (5)

Wojciech Chamryk

Johan Kihlberg's Impera - Scandinavium Alive
2023 Metalville

Impera działa od roku 2012 i jest prowadzona przez perkusistę **Johana Kihlberga**. Do tej pory nagrała pięć studyjnych albumów "**Legacy of Life**" (2012), "**Pieces of Eden**" (2013), "**Empire of Sin**" (2015), "**Age of Discovery**" (2018), "**Spirit Of Alchemy**" (2021). "**Scandinavium Alive**" jest ich szóstym krążkiem, ale tym razem jest to tzw. koncertówka. Koncert **Impera**, który odbył się 22.06.2022 w **Scandinavium Arena** w Göteborgu był dla zespołu wielkim wydarzeniem, a szczególnie dla szefa tej ekipy **Johana Kihlberga**, wielkiego fana **Kiss**. Właśnie wtedy formacja dostała możliwość zaprezentowania się przed swoimi idolami. Zespół wykorzystał tę okazję z nawiązką, bowiem zagrał rewelacyjnie. Zaprezentowali oni głównie nagrania z "**Spirit Of Alchemy**" swojego jak dotychczas ostatniego albumu studyjnego oraz kilku utworów z "**Age of Discovery**". Wspomniane utwory zabrzmiały znakomicie, skojarzły mi się one z mieszanką **Alcatrazz** i **Magnum**. Akurat ostatnio słuchałem tych kapel, więc może dlatego. Niemniej coś z tego jest, bowiem **Impera** na tym koncercie gra znakomite hard'n'heavy z pewnym posmakiem AOR-u, a nawet progresu. Technika wykonania muzyków **Impera** jest wyśmienita, w ogóle ciężko się zorientować, czy to nagrania "live". No, chyba że muzycy później trochę majstrowali z dogrywkami itd. Historia rock'n'rolla zna przecież takie przypadki. Nagrania z koncertu uzupełnia jeden utwór nagrany w studio, mowa o utworze "***Fighter***", który był nagrany na potrzeby filmu fabularnego (ponoć jego premiera jeszcze w tym roku). Słuchając go miałem przed oczami **Survivor**, ale tym razem muzykom **Impera** nie poszło tak dobrze jak Amerykanom. Kawałek znajdziecie jedynie na dysku audio. A no tak "**Scandinavium Alive**" była też zarejestrowana na taśmie filmowej, także ten występ będzie można również obejrzeć. Niestety nic na ten temat nie napiszę, bo promo nie zawiera tej wersji. Tak czy siak, jak ktoś jest fanem hard'n'heavy, ambitnego AOR-u to powinien poszukać tego wydawnictwa. Natomiast ja już wiem, że następnego studyjnego krążka **Impera** nie odpuszczę. (4)

\m/\m/

L. A. Project - Electric Life
2023 Self-Released

L. A. Project powstał jako jednoosobowy instrumentalny projekt gitarzysty **Luisa Amaro**. Z czasem **Luis** pomyślał, aby utwory, które przygotował przearanżować na normalne piosenki. Dokonuje to z różnymi muzykami, aby w końcu ustatkować skład, w postaci wokalisty i gitarzysty **Lukky Sparxxa**, basisty **Richa Gray'ego** i perkusisty **Fabio Alessandrini**. Muzycznie to melodyjny rock/metal oraz AOR, taki dość solidny i prosto do radia. Jednak utwory wydają się zbyt jednostajne, prawdopodobnie wynika to z mało plastycznego wokalu. Jedyną pozostałością po pierwotnym wcieleniu **L. A. Project** jest utwór "***Full Electric***", który mocno przypomina solowe popisy **Ediego Van Halena**. Niemniej formacja ma potencjał, instrumentaliści posiadają umiejętności, czuć zaangażowanie muzyków, ale brakuje im tej iskierki geniuszu, która pozwoliłaby przeskoczyć wyżej z poziomu zwyczajności i solidności. Także przed **Luisem Amaro** i kolegami sporo roboty jeżeli chcą zaistnieć szerzej w swojej niszy, a tam jak wszędzie jest bardzo ciasno. (3,5)

\m/\m/

Lalu - The Fish Who Wanted To Be King
2023 Frontiers

Lalu to kompozytor i wirtuoz klawiszy, wiec jego progresywny rock/metal zbudowany jest na

bazie właśnie tego instrumentu. Na "**The Fish Who Wanted To Be King**" jest ich naprawdę wiele, gdyż na klawiszach wspomaga go jeszcze **Matt Daniel** (syntezatory, pianino, organy Hammonda). Dominują one w aranżacjach, strukturze kompozycji, atmosferze, solówkach i w kreowaniu melodii. Poza tym w zespole zameldowali się perkusista **Jelly Cardarelli**, gitarzysta i basista **Joop Wolters** oraz znakomity wokalista i autor tekstów **Damian Wilson**. O nich również można pisać w superlatywach. Mimo że klawisze wypełniają większość przestrzeni, pozostałe instrumenty wcale nie giną pod ich natłokiem, są słyszalne i wyraźnie akcentują swoja kreatywność. **Cardarelli** i jego perkusja znakomicie podkreśla muzyczne walory całego albumu. **Wolters** jak zawsze czaruje grą na gitarze i czasami nawet przemyca dźwięki a la **Gilmour**. O **Damianie Wilsonie** nie bardzo chcę mi się pisać, po prostu to geniusz melodii i śpiewu. Muzyka **Lalu** jest bardzo melodyjna, często radosna, a na pewno klimatyczna i bogata w emocje. Generalnie jest to szerokie spectrum progresywnego rocka/metalu od **Yes**, **Genesis** (wczesnego), poprzez **Flower Kings**, **Ayreon**, do **Transatlantic** i **Dream Theater**. Tak jak wspominałem, na całym albumie przeważają instrumenty klawiszowe, jednak najciekawiej zostały wykorzystane w "***Forever Digital***", "***Deoxyribonukleic Acid***" oraz w instrumentalu "***A Reversal Of Fortune***". Bardzo podobają mi się przemycane aranżacje w stylu jazzu i fusion, które znajdziemy w kilku momentach, ale najlepiej wybrzmiewają one we wspomnianym niedawno "***A Reversal Of Fortune***". Na uwagę zasługują również rewelacyjnie napisane kolosy muzyczne, jedenastominutowy utwór tytułowy "***The Fish Who Wanted To Be King***" i czternastominutowy "***Amnesia 1916***". Niemniej "**The Fish Who Wanted To Be King**" należy do krążków, których najlepiej słucha się w całości, tak chyba tworzą najlepsi twórcy nie tylko w progresie, więc nie ma co szukać jakiegoś swojego ulubionego momentu, a po prostu oddać się zawartości muzycznej tej płyty i czerpać z niej radość. Oczywiście brzmienia, wykonanie i ogólnie produkcja również trzyma wysoki standard współczesnego progresu.

Poza tym myślę, że fanów rocka i metalu progresywnego nie będzie trzeba namawiać do nowej pozycji z dyskografii Lalu. (5)

\m/\m/

Lancer - Tempest

2023 Fireflash

Po ukazaniu się trzeciego longplay'a "*Mastery*" (2017), szwedzki zespół **Lancer** został odrzucony przez **Nuclear Blast**, opuszczony przez wokalistę i głównego kompozytora **Isaka Stenvalla**, zawiesił działalność koncertową i zamilkł na lata. Ani przez myśl nie przeszło im jednak, by zakończyć. Potrzebowali czasu na przegrupowanie, aby wraz z nowym liderem w postaci dwudziestosześcioletniego **Jacka L. Stroema** stworzyć jak na razie mój ulubiony album heavy metalowy roku 2023. Analogicznie jak w przypadku szóstkowanej przeze mnie płyty **Iron Allies** "**Blood In Blood Out**" (2022), aby dojść do takiej konkluzji, potrzebowałem bardzo solidnie się wsłuchać. Oba wydawnictwa nie wywarły na mnie zbyt wielkiego wrażenia przy pierwszych próbach zbratania się z nimi. Zamiast wprawiać znienacka w osłupienie, wymagają, by dać im mnóstwo czasu. Co gorsza, zarówno okładka, jak i zdjęcia towarzyszące "**Tempest**", wydawały mi się mało autentyczne, bo wali po gałach stopień, w jakim poddano je obróbce komputerowej. Muzyka na samym początku zupełnie do mnie nie przemawiała. Płynęła sobie obok. Nie nadawaliśmy na tej samej fali. Zacząłem uznawać, że cóż, nic specjalnego w niej nie ma. Ale później wracałem, witałem wraz z nią poranek, kończyłem z nią dzień. Stawała się coraz większą częścią moich bieżących doświadczeń. W końcu wkręciłem się na maksa. Dostrzegłem, jak doskonale jest zbalansowana, jak wykwintna, ile w niej harmonii i jak niepostrzeżenie potrafiła znaleźć własną drogę do mojego serca. To, co dawniej wydawało mi się w niej zwykłe, teraz przyprawia mnie o dreszcz. Do tego stopnia, że nie chcę poddawać krytycznej ocenie analitycznej jej poszczególnych walorów. W moich uszach jest idealna. Pomimo niezliczonej liczby spotkań i zetknięć, płyta **Lancer** "**Tempest**" jeszcze nie odkryła przede mną wszystkich swych niuansów. Jeszcze odnajduję w niej fantastyczną świeżość i czerpię z niej nieopisaną satysfakcję. Życzę Wam wszystkim, aby podobne doświadczenie stało się również Waszym udziałem. (6)

Sam O'Black

LiveWire - Under Attack!

2022 Self-Released

Enforcer, **Tailgunner**, **Roadwolf**... następnym w kolejności może być australijski **LiveWire**,

KK's Priest - The Sinner Rides Again

2023 Napalm

Na pewno wszyscy znacie "**Profesora**" z filmu "**Poszukiwany, poszukiwana**", który prowadził badania nad zawartością cukru w cukrze. Jak tłumaczył Marysi, cukier z jednego sklepu pod wpływem promieniowania ziemskiego może mieć 80% cukru w cukrze, z drugiego sklepu ma 90% cukru w cukrze, a sacharyna to ma w ogóle 500% cukru w cukrze. I gdyby słowo cukier zamienić nazwą **Judas Priest** to płyta "**The Sinner Rides Again**" **KK's Priest** byłaby właśnie taką sacharyną. Syntetycznym, skondensowanym ekstraktem muzyki **Bogów Metalu**. Nie tylko muzyka, ale też jawne nawiązania do tytułów piosenek jak i wizerunek zespołu mają udowodnić i podkreślić to, że **K.K.** jest jednym z założycieli **Judas Priest** i ma pełne prawo do korzystania z dziedzictwa zespołu. Mamy tu więc wszystko czego tylko moglibyśmy oczekiwać po płycie napisanej przez **Downing'a**. Bo mimo deklaracji pozostałych członków, że **KK's Priest** to prawdziwy zespół, nikt nie może mieć żadnych wątpliwości czyja to muzyka. Nawet to, że drugi gitarzysta **A.J. Mills** współtworzył kawałki "***Strike Of The Viper***" i "***Wash Away Your Sins***" nie zmieni tego, że ta płyta jest w 100% dziełem legendarnego gitarzysty. Nie liczcie tu na żadną subtelność, to jest tak bezpośrednia i intensywna płyta, że dla niektórych może być wręcz przeładowana, przerysowana i zbyt dosadna. Jest niczym **Judasi** na sterydach i ma tylko jeden cel - wyrwać słuchacza z butów. I nie przebiera w środkach, żeby to osiągnąć. Już rozpoczynający płytę "***Sons of Sentinel***", pokazuje że tu nie ma lekkiej gry. Po króciutkim gitarowo - klawiszowym wstępie wspomaganym przez chór metalowych mnichów z komputera, mamy perkusyjną kanonadę i gitarową zagrywkę zwiastującą burzę. W ułamku chwili muzyka narasta niczym ciemne niebo od gradowych chmur, które nagle przecina błyskawica w postaci przeciągłego, wysokiego krzyku **Ripper'a**. Żywioł rozszalał się na dobre i nic go nie zatrzyma. Są supersoniczne, tnące niczym brzytwa riffy oraz niesamowite wysokie ale też chropowate wokale **Owensa**, brzmiące niczym hybryda jego samego, **Halforda** i **Udo**. Jest szybko, porywająco i przebojowo. Mamy do czynienia z niezwykle dobrze przemyślaną kompozycją. Kiedy trzeba jest lekki oddech, zmiana wokalu w bardziej melodyjnym fragmencie i doskonale solówki gitarowe. Idealny kawałek na otwarcie. Znacie powiedzenie **Alfreda Hitchcocka**, że film powinien zaczynać się od trzęsienia ziemi, potem zaś napięcie ma nieprzerwanie rosnąć? Taka jest właśnie ta płyta, ponieważ drugi w kolejności "***Strike Of The Viper***" to cios prosto w szczękę. Znowu **Ripper** popisuje się pełną paletą swoich wokalnych umiejętności, a muzycznie dzieje się tak dużo, że trudno uwierzyć, że to wszystko zmieściło się w niecałych dwóch i pół minutach. Dwie i pół minuty! Rzadko kiedy zespół heavy metalowy ma tak krótkie kawałki. "***Reap The Whirlwind***" to kolejny killer, może nie aż tak intensywny, z klasycznymi judas'owymi gitarami z lat 80., ale tu znowu różnicę robi **Owens**. Boże ale ten facet jest w formie! Jestem absolutnie zniszczony wokalami na tej płycie. Powodują ciarki i przyśpieszenie serca, a ręce zaciśnięte w pięści same wznoszą się ku niebo. Co jest pewnym problemem kiedy słuchasz tego album w trakcie prowadzenia samochodu. No chyba, że stoisz w korku, wtedy tylko inni uczestnicy ruchu drogowego patrzą na ciebie jak na wariata. Ale taka jest ta płyta, to istne metalowe szaleństwo. Czego potwierdzeniem jest również "***One More Shot At Glory***", który przybiera formę hymnu bojowego, który galopującym rytmem zagrzewa do walki metalowe kohorty czy też inne legiony. Po czterech pierwszych utworach, płyta nieco zwalnia ale na pewno nie traci mocy. Muzycznie cały czas miażdży, ale już w inny sposób. Jest wolniej, ale ciężej i bardziej epicko. Jedyne co mnie trochę razi w rozpoczynającym tę część płyty "***Hymn 66***" to komputerowo przetworzone deklamacje, które jak dla mnie brzmią nieco tandetnie. Jak z gry komputerowej albo jakiegoś kawałka techno. Na takim poziomie, trzeba było sięgnąć po jakiegoś aktora żywcem z **BBC** o pięknym głosie. To jedyny zarzut. Poza tym ten kawałek kompozycyjnie miażdży i znowu wokale **Owensa** są nie do przeceniania. Te dwugłosy, wysokie krzyki w refrenie. To po prostu rozwalają mnie na drobne kawałki. "***The Sinner Rides Again***" już tak nie masakruje, ale wyróżnia się dużą różnorodnością podbijaną przez Rippera, to raz wrzeszczącego, to raz śpiewającego czysto i ultramelodyjnie, niczym w jakiś słodkim, komercyjnych power metalu. Kolejne "***Keeper Of the Graves***" i "***Pledge o Souls***" już nie robią na mnie takiego wrażenia. Może dlatego, że przy tak intensywnej płycie, gdzie co chwilę coś się dzieje to różnorodność zamienia się w przewidywalność i schemat. Jest to dla mnie najsłabszy fragment płyty, ale cały czas są to dobre kawałki, które inne zespoły brałyby w ciemno na swoje albumy. Finał płyty to najbardziej epicki "***Wash Away Your Sins***", który niestety też został pokalany komputerowym lektorem rodem z progressive trance techno electro rave. To ulubiony kawałek **Rippera** na całej płycie. Czy mój? Niekoniecznie. Na pewno jest on najbardziej emocjonalnie zaśpiewany, ale mój prosty gust został w pełni zadowolony fajerwerkami z poprzednich kawałków, więc pewnie nie wyczuwam jego finezji. Ale kto wie, może z czasem go zrozumiem, bo na pewno jest to płyta, której będę słuchał regularnie. I myślę, że to jest clou tej recenzji. Będę często powracał do "**The Sinner Rides Again**", ponieważ sprawia wiele radości i dostarcza wspaniałej rozrywki na najwyższym poziomie. Jest to płyta doskonała pod względem kompozycyjnym, przemyślania i dopracowana w najmniejszym szczególe. Ale nie wiem czy jest to płyta wybitna, patrząc na nią w kryteriach artystycznych. W każdym razie ja ją uwielbiam i myślę, że to mocny kandydat do płyty roku w wielu rankingach. I nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek z naszych czytelników po tę płytę nie sięgnął.
(5,5)

Grzegorz "Greg" Putkiewicz

który preferuje bardzo melodyjny oldschoolowy speed metal. Przynajmniej to odnajduje na zeszłorocznym debiucie "**Under Attack!**". Znajdziecie tam jedenaście bezpośrednich, klasycznych, pełnych polotu i przebojowości utworów (siedem to album podstawowy, cztery to bonusy), a także gęsto siekających riffów i solówek, znakomitej, pędzącej na złamanie karku sekcji rytmicznej oraz skrzekliwo-wrzaskliwego, ale staroszkolnego heavymetalowego wokalu. Są momenty, gdzie zespół lekko zahacza o thrash metal, np. w takim "***Insecticide***" można usłyszeć echa **Megadeth**. Jednak najwięcej tych odniesień jest w ostatnim utworze płyty "***Lockjaw Death Roll***" oraz w czterech bonusowych utworach, którymi są na nowo zremiksowane utwory singlowe. Niemniej te naleciałości nie przebijają sedna muzyki **Live Wire**, czyli rozgorączkowanego melodyjnego speed metalu. Jak wspomniałem, razem z bonusami album zawiera jedenaście kompozycji i niestety trudno jest wybrać tą najlepszą. Co zaczniesz słuchać nowej, to podoba ci się bardziej od poprzedniej, a przynajmniej podobają się tak samo. Całe szczęście, mimo że całość wydaje się z jednego "pieca" to osobno utwory niosą różne smaki. Przynajmniej ja tak je, odbieram. Poza tym mimo dość sporej dawki muzyki, krążek przemija szybko i chce się posłuchać go jeszcze raz, więc może coś w nim faktycznie jest. Oczywiście pod względem brzmieniowo-realizatorskim "**Under Attack!**" też jest zrobiony na dobrym poziomie, także oldschoolowcy mają kolejny doby album do rozkminienia. (4,5)

\m/\m/

Lordi - Screem Writers Guild
2023 Atomic Fire

Mr. Lordi wciąż z dużym upodobaniem eksploruje świat filmowych horrorów z lat 30. i 40. ubiegłego wieku. Oko do słuchacza puszcza już w tytule płyty, nawiązującym do zrzeszającego autorów scenariuszy związku **Screen Writers Guild**, po czym zaczyna się muzyczna jazda z różnymi potworami i dziwolągami w roli głównej. Nie wiem czy ma to związek z odejściem gitarzysty **Amena**, zastąpionego przez **Kone'a**, ale kompozycje **Lordi** zyskały na przebojowości, a środek ciężkości przesunął się w nich z partii gitarowych na klawiszowe. **Hella** występuje więc w głównej roli już w ultrachwytliwym openerze "***Dead Again Jayne***", dynamicznym i niezwykle nośnym - kto wie, może to nowe "***Hard Rock Hallelujah***" grupy? A to tylko jeden z potencjalnych przebojów na "**Screem Writers Guild**", bowiem singlami śmiało mogłyby też być, kojarzące się z dokonaniami **Ozzy'ego** z lat 80., "***Unliving Picture Show***" i "***Heavengeance***"; niczego pod tym względem nie brakuje również, wręcz popowemu, "***Vampyro Fang Club***" czy również kojarzącemu się z dekadą 80's "***Lycantropical Island***". Na riffowej mocy nie zbywa za to "***Inhumanoid***" czy "***In The Castle Of Dracoolove***", ale i w nim **Hella** ma spore pole do popisu. Podobnie jak w balladach "***The Bride***" i bardzo osobistej "***End Credits***", które sprawdzają się w warstwie muzycznej czy tekstowej, ale już nie wokalnej, ponieważ śpiewający czystym głosem **Mr. Lordi** brzmi nieco groteskowo. O tym fani **Lordi** wiedzą jednak doskonale, a poza tym "**Screem Writers Guild**" to i tak jeden z najciekawszych albumów w dorobku fińskich potworów od dawna, tak więc powody do radości mogą mieć i jedni, i drudzy. (4,5)

Wojciech Chamryk

Lynch Mob - Babylon
2023 Frontiers

Nie pamiętam kiedy, ale ze dwa - trzy lata temu pisałem recenzje o kilku płytach **Lynch Mob**, które były zebrane w boxie "**Elektra Years 1990-1992**" albo jakoś tak. Założycielem tej ekipy był gitarzysta **George Lynch**, który startował u boku innego wielkiego amerykańskiego gitarzysty **Dona Dokkena**. Ba później na jakiś czas wrócił do niego, a teraz ponownie zadział działać na swoje konto. Niestety ponoć to ma być ostatnia płyta **George'a Lyncha**, przynajmniej tak wyczytałem w wywiadzie, który udzielił nam sam **Dokken**. No cóż, czas mija, a nikt nie młodnieje, chociaż do chłopaków z **Rolling Stones** trochę im brakuje. Jednak wróćmy do nowej płyty **Lynch Mob** "**Babylon**". Oczywiście muzycy skupieni są wokół dynamicznego hard'n'heavy, który tym razem jest podany przede wszystkim w nowoczesnej stylistyce. Kawałki są ciekawe, różnorodne, pełno w nich delikatnych amerykańskich odniesień typu blues, rock'n'roll, southern rock itd. Najciekawsza kompozycja z tego sporego bloku, to tytułowy utwór "Babylon", który zamyka album. Jest w nim ciekawy klimat i czytelne nawiązania do **Led Zeppelin**. Niemniej jeśli chodzi o nastrój to, na tej płycie prym wiedzie ballada "***Million Miles Away***", jest ona też bardzo oldschoolowa. No właśnie nawiązań do starszych lat, czyli lat 80. zeszłego wieku jest więcej i jak dla mnie są to najciekawsze momenty. Takie kawałki jak "***Time After Time***" i "***I'm Redy***" to bardzo chwytliwe i dynamiczne hard'n' heavy w starym wydaniu. W tej samej manierze jest heavy rockowy, a może nawet heavy metalowy "***How You Fall***". Muzycy **Lynch Mob** to bardzo doświadczeni instrumentaliści, więc wykonanie jest wręcz perfekcyjne. Oczywiście główną uwagę skupia **George Lynch** i jego solówki. Pasują one do utworu, trzymają się ram zespołu i nie znajdziecie wirtuozerii typu **Malmsteen**. Nie przepadam za współcześnie brzmiącym hard rockiem, pewnie dlatego wole te kompozycje utrzymane w bardziej staroświeckim stylu, ale wspomniany "**Babylon**", który w zasadzie łączy stare z nowym również brzmi wyśmienicie. Nie ma co ukrywać ten album to kawał solidnego hard-rockowego wydawnictwa. (4,5)

\m/\m/

Mace 'N' Chain - Among Ancient Pillars
2023 No Remorse

David Nilsson jest kojarzony jako przedstawiciel ekstremalnych odmian metalu, choćby za sprawą obsługiwania mikrofonu w deathowym **Feral**. Jednak w czasie pandemicznej zawieruchy wrócił do fascynacji tradycyjnym heavy metalem również w kontekście twórczym, nie postrzeganym wyłącznie z perspektywy fana. Zaowocowało to powstaniem projektu **Mace 'N' Chain**, a **David** rychło po wypuszczeniu demo "**Upon The Anvil Formed**" zaczął prace nad debiutanckim albumem i więcej, znalazł też zainteresowanych jego wydaniem. Wcale mnie to nie dziwi, ponieważ "**Among Ancient Pillars**" to surowe, archetypowe dźwięki, typowe dla końca lat 70. i początku 80. Można rzec typowy old school, ale jednocześnie kipiący życiem i autentyczny - słychać, że tych gości, bowiem lidera wspiera kilku gitarzystów solowych, w tym **Markus Lindahl**, kumpel z **Feral** - takie granie naprawdę fascynuje i sprawia im mnóstwo frajdy. Przekłada się to również na wrażenia odsłuchowe, a od "***The Key To Ancient Riddles***", "***Labyrinthian Black***" czy "***Among Ancient Pillars***" naprawdę trudno się uwolnić. Reszta materiału w niczym im nie ustępuje, tak więc: (5)

Wojciech Chamryk

Marquis De Sade - Chapter II
2023 Golden Core/ZYX Music

W latach 80. chyba połowa Brytyjczyków udzielała się w jakiś zespołach. Dość szybko niestety odpuścili oddając grunt innym krajom. Oczywiście zostali i do dziś grają najwięksi, ale cała masa mniej lub bardziej wartościowych zespołów popadła w niepamięć. Maniacy, szczególnie organizatorzy wielkich koncertów, co chwila próbują wyszukiwać różne perełki. Jednym z takich zapomnianych zespołów jest **Marquis de Sade**. Założony w 1979 pozostawił po sobie demo i singla by zadebiutować dopiero w 2023. Zespół rozpadł się kiedy najbardziej znany **Pete Gordelier** odszedł do **Angel Witch** by mieć okazję nagrać drugą i trzecią płytę tego bardzo utytułowanego zespołu. Jego śpiewający brat bez powodzenia chciał zastąpić w **Samson** samego **Dickinsona**. Podczas reaktywacji kilka lat temu dołączył do nich z gitarą w ręku trzeci brat oraz wrócił perkusista. Składu dopełnia nowy klawiszowiec, który nie jest tylko na doczepkę, ale pełni równoważną funkcję co gitarzysta. Naprawdę w wielu momentach instrumenty klawiszowe są bardzo mocno wyeksponowane. Mając na uwadze ich ilość oraz słysząc organy Hammonda nie sposób uniknąć skojarzenia z **Deep Purple**. Pozytywnie zaskoczył mnie fakt, ż na płycie cały czas słuchać dobrą synergię dwóch nowych muzyków. Nie można powiedzieć, że gitara albo klawisze dominują. Obaj artyści wymieniają się miejscem, komunikują ze sobą za pomocą swoich instrumentów. Współpraca jest na tyle

owocna i udana, że płyta zachęca do kilku odsłuchów. Muzycy nie mają może imponującego dorobku muzycznego, niosą za to emocjonalny bagaż swojego życia, przekłada się to na klimat i konstrukcję utworów. Bez gonienie za prędkością czy pokazywania niewiarygodnych umiejętności. Postawili raczej na duże urozmaicenie całej płyty. Utwory różnią się od siebie, każdy jest trochę inny od pozostałych, a przy tym tworzą razem spójny materiał. Pomysłów mieli dużo, także doświadczamy wielu zmian, wstawek czy też ciekawych zagrywek. Całość nie jest imponująca i nie zapisze się jako najlepszy debiut dziadków, ale to udana przygoda w lata 80. Otwierający płytę "***Belvedere***" bardzo dobrze spełnia swoją rolę. Dokładnie pokazuje czego będziemy się spodziewać po płycie. Nie rzuca obietnic bez pokrycia, raczej mówi słuchaczu oto prawie godzinna wyprawa w świat hard rocka okraszona dobrymi klawiszami. Drugi "***Now I Lay Me Down***" zaczyna się świetnie szybkim riffem z mocną podbudową gitarą basową, ale później jakoś rozmywa się nie zostając w pamięci. "***Border Wall***" dla odmiany zaczynamy znacznie spokojniej. Za pomocą użycia dzwonów przechodzi w bardzo monumentalny klimat. Po czym schodzi coraz niżej dając wrażenia najcięższego utworu na płycie. Może nie w całości, ale kilka fragmentów przywołują najlepsze czasy **Black Sabbath**. W drugiej części wokalista daje się porwać szaleństwu, a jego koledzy próbując go dogonić ciągnąc ze sobą ten cały ołów. Muzycznie to najbliższy memu sercu utwór. Nostalgiczny "***Fortress of Solitude***", sprawia wrażenie intymnego wyznania człowieka dojrzałego, spełnionego i szczęśliwego. Po szybkim rzucie oka na tekst okazuje się, że muzyka bardzo dobrze koresponduje z przekazem lirycznym. Muzycznie może i nie jest idealnie, chociażby styl solówki niestety zupełnie do mnie nie trafiła. Kilka razy do niej podchodziłem, ale nie potrafi mnie kupić. Zupełnie odwrotnie niż delikatny riff niosący tę przyjemną opowieść, który intryguje i zachęca do śledzenia tej opowieści. Sama muzyka płynie powoli, ale prawdziwą siłą tego utworu jest pełna pasji opowieść z zaskakującym podsumowaniem dotyczącym śmierci. Śmierci człowieka, który osiągnął to co najważniejsze i wie, że nawet najpiękniej zrealizowane marzenia nie będą trwały wiecznie. "***Marquis de Sade***" któremu dość blisko do klimatu "***Perfect Strangers***" **Deep Purple** to podobno najstarszy utwór zespołu, oczywiście dotychczas niepublikowany. Może to miał być hołd, ale niestety sama kompozycja przelatuje nie pozostawiając zbyt wiele w pamięci. Po dwóch wolniejszych kawałkach czas na przyspieszenie z klawiszami w roli głównej. Refren mocno zapada w pamięć z wykrzyczanym "*I can't control my anger*". Nie jest to oczywiście złość młodych adeptów thrash metalu lat 80., ale złość człowieka przeklętego, który nie chce by klątwa (prawdopodobnie likantropii patrząc na tytuł "The Moon's Glow") przejęła nad nim kontrolę. Do tego chyba najlepsza na płycie solówka. Klasycznie płynąca i przyjemnie współgrająca z pozostałymi instrumentami. "***Suspended Animation***" pokazuje dużo zgrabnego patataj. Fani klasycznego NWOBHM powinni być ukontentowani. "***Last Survivor***" urzeka wręcz mistycznym wstępem. Delikatne dźwięki wywołują zaciekawienie spowodowane niepokojem. Uczucie paranoi strachu pozwala odczuć pustkę przestrzeni kosmicznej. Dźwięki, słowa malują bardziej przerażającą i namacalną samotność niż najlepszy film s-f. Do tego kolejna bardzo dobra solówka na gitarze i syntezatorze. Na sam koniec kwintet zachował najdłuższa 9-minutowo wycieczkę do epoki lodowcowej. "***Living in the Ice Age***" pozostawia jednak niedosyt jakościowy. Kompozycja znowu ukazuje dużo pomysłów, ale samo ich połączenie nie jest tak dobre jak w innych lepszych utworach. Czy warto posłuchać? W ramach dostępnego czasu każdej płycie warto dać szansę. Ta płyta nie powstała by porwać tłumy. Powstała by zrealizować młodzieńcze marzenia o wielkiej muzycznej karierze. Karierze, która nie nadeszła, ale nikt tu nie ma o to żalu. Cała piątka bawi się konwencją. Domyślam się tylko jakim wspaniałym przeżyciem musiało być dla nich skomponowanie nowych i zarejestrowanie tego całego materiału w studio. Zdecydowanie moje ulubione to "***Belvedere***", "***Border Wall***", "***Fortress of Solitude***", "***The Moon's Glow***" oraz "***Last Survivor***". A jeśli ktoś jest fanem klasycznego brzmienia organów Hammonda to nawet nie powinien zastanawiać się tylko udać się w nostalgiczną podróż. (4,5)

Łukasz Ragnus

Megaton Sword - Might & Power

2023 Dying Victims Productions

Też macie wrażenie, że nowa płyta Szwajcarów jest bardziej przystępna niż poprzednia? Jeśli tak, to dobrze odbieracie ducha, o którego zespołowi chodziło. Chłopaki dołożyli jeszcze jedną gitarę, popracowali nad spójnością i jakością kompozycji i voli?! Otrzymaliśmy tak samo nietuzinkowy **Megaton Sword**, jak poprzednio, ale jednocześnie - bez utraty tego charakteru - lepiej przyswajalny. Mimo tego, że na krążku pojawiły się jeszcze bardziej klasyczne epic metalowe utwory, nadal nie ma w nich cienia ani kiczu, ani tandety. Momentami zespół w pas kłania się **Manowar** (posłuchajcie "The Raving Light of Day"), momentami odlatuje w jakieś totalnie abstrakcyjne rejony (choćby na "Babe Eternal"). Czasem jest surowo i gęsto jak w "Might", a czasem aż zdumiewająco przestrzennie i przejrzyście jak w "***Power***". **Megaton Sword** nie boi się eksperymentować, a sam wokalista już w ogóle "*nie boi się niczego*" (tak określił go kolega z kapeli, basista Simon). To słychać, bo śpiewa urozmaicenie i tym samym kreuje skrajnie różnorakie nastroje (z braku nadmiaru empatii nie pokuszę się o ich analizę, ale naprawdę - dzieje się!). Słuchając "**Might & Power**" odnoszę wrażenie, że wchodzę do jakiegoś niedostępnego, dziwnego świata. To wrażenie odbieram zresztą na dwóch poziomach. Jednym muzycznym - nie czuję się tu tak bezpiecznie i swobodnie, jak przy nawet najlepszym, ale odtwórczym i sprawdzonym gatunkowo heavy metalu. Drugim - wokalnym i tekstowym. Autorski świat **Uzzy'ego** i jego interpretacja wokalna jest naprawdę namacalna i słychać, że zespół swobodnie się w tym świecie porusza. Pewnie wzmacniającą ten efekt rolę gra niepokojąca okładka, będąca olejnym obrazem namalowanym przez **Paolo Girardiego** na podstawie koncepcji wokalisty **Megaton Sword**. Płyta jest naprawdę ciekawa, choć na tyle specyficzna, że nie skradnie serca jednomyślnie wszystkim fanom heavy epic metalu. (4,5)

Strati

Metallus - Funeral Of The Sun

2023 Self-Released

Dzięki takim płytom jak "**Funeral Of The Sun**" można zafundować sobie gratisową podróż w czasie, nie tylko z tego powodu, że to wydawnictwo dwupłytowe i trwające blisko półtorej godziny, co w czasach streamingu i cyfrowych singli zakrawa na herezję. Mamy tu bowiem doom metal w wydaniu najbardziej klasycznym z możliwych, wypadkową dokonań ojców założycieli **Black Sabbath**, ich chyba najbardziej pojętnych uczniów **Candlemass** czy w końcu **Pentagram**, którzy swą doomową krucjatę zapoczątkowali ponad 50 lat temu. Debiutancki album warszawskiego tria jest jednak przemyślany pod każdym względem, nawet jeśli jakieś 95% tego, co na nim słyszymy, wymyślono w latach 70. i 80. ubiegłego wieku, a do tego chłopaki grają z niesamowitą pasją, tak jakby faktycznie, zgodnie z tytułem, ich pierwsza płyta miałaby być jednocześnie tą ostatnią. To doom metal archetypowy, by nie powiedzieć archaiczny, mocarny, surowy i potężnie brzmiący, gdzie w poszczególnych utworach dzieje się naprawdę sporo. Choćby utwór tytułowy nieprzypadkowo otwiera dysk numer dwa, a zrywu w jego drugiej części nie powstydziliby się blackowcy. Balladowy "***Beyond Light And Darkness***" też jest niczego sobie, podobnie jak następujący zaraz po nim "***Great Hall Of The Battle Hammer Cult***", prawie 12 minut doom metalu wzbogaconego elementami patetycznego metalu spod znaku **Manowar**. Z kolei "***Odin's Call***" ma w sobie coś z epickich płyt **Bathory**, co też brzmi całkiem efektownie, szczególnie, że kompozycja z czasem rozkręca się. Dużym plusem jest też na pewno to, że **Metallus** ma dwóch wokalistów, śpiewających również razem, co daje ciekawy efekt. Na dobrą sprawę mógłbym tu wymienić każdy z 12 utworów, bo na "**Funeral Of The Sun**" wypełniaczy nie uświadczymy, co też świadczy o potencjale zespołu, który wcale nie porwał się z przysłowiową motyką na słońce, ale przygotował dopracowany, robiący wrażenie i bardzo udany materiał - przy takim potencjale na pewno warto więc czekać na kolejne wydawnictwo **Metallus**. (5,5).

Wojciech Chamryk

Michael Catton - Point Of No Return

2023 Mighty Music

Michael Catton to dość uznany rockowy wokalista pochodzenia brytyjsko-duńskiego. Przez lata współtworzył formację **Tainted Lady**, ale jej kariera w końcu zakończyła się i **Michael** postano-

wił działać na własną rękę. Do współpracy namówił równie utytułowanego producenta i gitarzystę **Sorena Andersena** i w ten oto sposób powstał debiut **Michaela Cattona** "**Point Of No Return**". Muzyka, która znalazła się na tym albumie odzwierciedla fascynacje **Cattona** i nawiązuje do melodyjnego rocka, AOR-u, trochę do hard'n'heavy, hair metalu, oczywiście tych z lat 80. Dlatego utwory z "**Point Of No Return**" mogą wam kojarzyć się z **Bryanem Adamsem**, **The Babys**, **Aerosmith**, **Whitesnake**, **Van Halen** itd. Mnie mocno zadziwiło jak panowie bardzo udanie zdołali odwzorować same kawałki jak i brzmienie, w dodatku dołożyli też swojej wrażliwości oraz trochę współczesnego brzmienia. Także kompozycje z tej płyty nie dość, że są bardzo wiarygodne, to zachwycają witalnością, chwytliwością, energią oraz potężną i mocną produkcją jak na ten rodzaj muzyki. Oczywiście są dość proste, ale za to świetnie zaaranżowane i mega bezpośrednie, a to wszystko dzięki niezwykłym i chwytliwym melodiom. Nie zabrzmiałby one tak dobrze gdyby nie głos **Michaela Cattona**, bardzo ciepły, ale z rockową chrypką, dzięki czemu bardzo łatwo przekazuje przeróżne odcienie emocji. Swoje zrobili również instrumentaliści, a że w takim graniu bardzo ważne są gitary, to na nie najwięcej zwraca się uwagę. No cóż, **Soren Andersen** zrobił to wyśmienicie, ze smakiem, klasą, wyczuciem, ale też z pewnym wyrafinowaniem. Mnie najbardziej spodobały się kawałki mocno dynamiczne takie jak "***Armageddon Again***", "***Lights Out***", ale tak naprawdę wszystkie utwory z tej płyty są chwytliwe i każdy może być radiowym hitem. Chociaż taki "***Redy For The Takin***'" ma chyba najwięcej przesłanek na wspomniany przebój. No, ale to moje subiektywne odczucie. Podobnie jak w wypadku ballad, no nie przepadam za takimi formami muzycznymi. Niemniej dla innych "***Never Say Goodbay***" i "***Brother***" mogą być również przebojami jak pozostałe kawałki. Zresztą w melodyjnym rocku, AOR-u itd. ballady są bardzo cenione. Trochę zrecenzowałem podobnych płyt do tego numeru, klika z nich się wyróżnia. Myślę, że "**Point Of No Return**" **Michaela Cattona** do nich również należy. Płyta tylko dla wielbicieli i znawców tematu. (5)

\m/\m/

Mourn The Light/High Priest/Ice Howl/Archdruid - Mourn The Light/High Priest/Ice Howl/Archdruid

2023 Self-Released

12" split czterech amerykańskich zespołów, od doświadczonych do na dobrą sprawę debiutujących. Wszystkie grają heavy/doom metal, ale nie są do siebie bliźniaczo podobne, nawet jeśli stylistyka jest zbliżona, a **Ice Howl** i **Archdruid** mają w składach wokalistki. Zaczyna **Mourn The Light**, zespół z jednym albumem i licznymi pomniejszymi wydawnictwami na koncie. I tak, jak muzycznie ten ich metal, raz bardziej pod doom, gdzie indziej pod power/heavy, jest nawet niczego sobie, zwłaszcza w drugim utworze "***No One Gets Out Alive***", to wokalista jest zdecydowanie najsłabszym frontmanem na tym wydawnictwie - nie pomoże tu nawet polsko brzmiące nazwisko **Stachelek**, bo **Andrew** po prostu nie radzi sobie za mikrofonem. **High Priest** to już zupełnie co innego, być może dlatego mają na tym splicie aż trzy utwory. Prezentują się w nich jako zespół totalnie doommetalowy, wypadkowa **Black Sabbath** i **Candlemass**, ale brzmi to nad wyraz świeżo, szczególnie najciekawszy z tego tria mroczny i posępny "***Old Men And Their Lies***". **Ice Howl** mogą z tego towarzystwa pochwalić się największym dorobkiem, nagrali już bowiem trzy albumy, ale utwory z niniejszego splitu są pierwszymi zarejestrowanymi z nową wokalistką **Zebah Latifi**. Poczyna sobie ona całkiem nieźle, a zespół dokłada do tego warstwę instrumentalną spod znaku heavy/doom: surową i posępnie brzmiącą, raz szybszą ("Silent Resistance"), a w drugim przypadku ("Final Stand Of The Third Age") już zdecydowanie wolniejszą. Płytę zamykają "***Green Outlaw***" i "***Niseag***" **Archdruid**; również bardzo archetypowe, surowe i monumentalne, zakorzenione w latach 70., z dynamicznymi partiami **Emily Sordid Waltz**. Całość tego materiału zasługuje więc na solidne (4), ale nie ukrywam, że zamiast **Mourn The Light** chętniej posłuchałbym w większej dawce **Ice Howl** i **Archdruid**.

Wojciech Chamryk

Neptune - Rebirth

2022 Self-Released

W latach 80. nie zdołali szerzej zaistnieć, wydając tylko kilka kaset demo, mimo tego, że przez skład **Neptune** przewinęło się kilku muzyków znanych nieco szerzej, choćby z **Gotham City**. Po latach zespół został jednak doceniony za wkład w rozwój szwedzkiego heavy metalu, co zaowocowało nie tylko retrospektywną kompilacją "**Land Of Northern**", ale też reaktywacją i premierowym albumem "**Northern Steel**" sprzed trzech lat. Zespół doczekał się też kolejnych kompilacji, w tym kolekcjonerskiego, kasetowego boxu, a w ubiegłym roku sprezentował fanom cztery nowe-stare nagrania. Nowe, ponieważ zostały zarejestrowane niedawno, a stare, ponieważ to materiał z lat 1984-1987. I tak, jak można mieć sentyment do tych starych, nierzadko nieszczególnie brzmiących, nagrań, bo to jednak cenny dokument z dawnych lat, to jednak w wydaniu z "**Rebirth**" archiwalny i zarazem klasyczny materiał z lat 80. nabrał mocy i blasku. Rozpędzony "***Enemies***" to perfekcyjny opener, mocny i melodyjny z solówkami klawiszowca i gitarzysty, "***Ready To Fight***" jest bardziej dostojny i zarazem surowszy brzmieniowo, podobnie jak "***Protector***". W finałowym "***Hard To Be Right***" mamy zaś kroczący rytm, sporą dozę przebojowości i balladowe zwolnienie - po czymś takim aż chce się czekać na drugi album **Neptune**, zatytułowany roboczo "**Mother Land**"; oby tylko zespół był w stanie napisać obecnie coś tak dobrego jak 35-40 lat temu... (4)

Wojciech Chamryk

Night Ranger - 40 Years and Night With Contemporary Youth Orchestra

2023 Frontiers

Night Ranger istnieje od roku 1982 i ma się zdecydowanie dobrze. Muzycy tego zespołu od dawna marzyli, aby wystąpić z orkiestrą symfoniczną. Udało się im to 9 listopada 2022r. w Cleveland, a orkiestrą okazała się **Contemporary Youth Orchestra**, która składa się z ponad osiemdziesięciu młodocianych muzyków (12-18 lat). Jednak niech was nie zwiedzie młody wiek symfoników, bowiem ta orkiestra ma na koncie współpracę już z kapelami i artystami jak **Styx**, **Pat Benatar**, **Kenny Loggins** czy **Jefferson Starship**. Bardzo podoba mi się wkomponowanie orkiestracji w muzykę **Night Ranger**. Tam, gdzie symfoniczne brzmienie sprzyja muzyce, tam jest bardziej słyszalne, tam, gdzie wymaga się od niego dyskrecji to, słyszymy go w tle. Oddaje to klasę młodych muzyków oraz nadaje wyższe standardy kompozycjom Amerykanów. Na omawianej koncertówce znalazło się jedenaście kompozycji, które wprowadza krótkie intro. Można powiedzieć, że album ten to swoisty zbiór przebojów tej formacji, ale w wersji live, dzięki czemu słucha się go wyjątkowo dobrze. Oczywiście utwory są różnorodne, wielobarwne, przebojowe, podkreślające wyjątkowość melodyjnego rocka, hard'n'heavy i AOR-u, który wybrał sobie **Night Ranger**. Można byłoby napisać coś o każdym kawałku, ja jednak wolę ich słuchać, tym bardziej że na tej płycie wybrzmiewają fantastycznie. Jedynie mogę podkreślić, że wyjątkową oprawę dostał tu sztandarowy utwór kapeli, czyli "Night Ranger". W latach 70. i 80 zespoły rockowe na koncertach często wykorzystywali popisy perkusisty, aby w ten sposób rozbudować jakiś utwór. Miało to swój urok, jak i zwolenników. W tym wypadku muzycy również wykorzystali ten patent, ale do pałkera zespołu dołączyli bębniarz/bębniarze orkiestry. Nie ma w tym wyszukanej techniki, ale za to wykorzystano fajny wciągający rytm. Po prostu wszyscy się bawią, muzycy **Night Ranger**, orkiestra jak i widzowie. Całe szczęście tę atmosferę znakomicie uchwycono na "**40 Years and Night With Contemporary Youth Orchestra**", dlatego chce się z niej korzystać, a nie analizować poszczególne kawałki czy też ich wykonanie, chociaż to ostatnie jest wyśmienite. Mam wrażenie, że to wyjątkowa płyta, ale jedynie dla zagorzalszych fanów amerykańskiego melodyjnego rocka i hard'n'heavy, a także AOR-u. A i jeszcze jedno, jest również wersja wideo tego wydawnictwa i myślę, że w tym wypadku sprawdza się ono jeszcze lepiej niż sam zapis audio. Może kiedyś będzie mi dane to zweryfi-

kować. (4,5)

\m/\m/

Oblivion Protocol - The Fall Of The Shires

2023 Atomic Fire

Richard West to klawiszowiec i podpora brytyjskiego **Threshold**. Niemniej **West** postanowił odpalić swój solowy projekt, który nazwał **Oblivion Protocol**. Natomiast iskrę, która zainicjowała ten indywidualny ruch odnajdziemy w albumie **Threshold** "**Legends Of The Shires**". **West** opracował kontynuację historii, która znalazła się na wspomnianym albumie. Niestety koledzy nie chcieli podjąć tematu, więc po latach **Richard** postanowił urzeczywistnić pomysł osobiście. Do współpracy zaprosił gwiazdorską obsadę, czyli gitarzystę **Ruuda Jolie** (Within Temptation), basistę **Simona Anderssona** (Darkwater) oraz perkusistę **Darby'ego Todda** (Devin Townsend). A żeby było bardziej swojsko, **West** zaprosił także **Karla Grooma**, gitarzystę z **Threshold** do zagrana kilku gitarowych solówek. Także na "**The Fall Of The Shires**" jest bardzo "thrsholdowo". Niemniej na płycie znajdziemy również dźwięki, które będą nam kojarzyły się z **Pink Floyd**, **Rush**, **Ayreon**, **Dream Theater** itd. Generalnie zbiór brzmień, które przypominają najlepsze momenty w progresywnym rocku/metalu, ale wymyślone i zagrane po swojemu. Ogólnie album jest wyśmienity. Kompozycje są wręcz rewelacyjne, każda inna, ale równie ekscytująca i perfekcyjna, pełno w nich emocji, zmian nastroju, muzycznych pomysłów, ale także nie brakuje rozmachu, urzekających melodii, chwytliwych refrenów, podniosłej i epickiej atmosfery, wykwintnych orkiestrowych aranżacji. Wszystko to podparte jest niesamowitym warsztatem muzyków oraz ich bezbłędnym wykonaniem. Z pewnością historia też jest niebłaha i daje do myślenia, tak jak to w progresie bywa. Każdy utwór ma to "coś", które mimo dość trudnego podejścia do muzyki i tematu, może spowodować, że łatwo może zostać radiowym hitem. Z osobna kompozycje mogą zostać przebojami, ale zdecydowanie wolę słuchać "**The Fall Of The Shires**" w całości. Myślę, że tylko tak można w pełni, docenić piękno tego krążka. Podejrzewam, że **Richarda Westa** zostanie doceniona w środowisku progresywnym, a może nawet sięgnie swoim zasięgiem dalej. Poza tym West staje przed dylematem, czy kontynuować swój pomysł, czy też pozostać przy **Threshold**. Oczywiście najlepiej byłoby gdyby pilnował interesy jednej i drugiej ekipy. (5)

\m/\m/

Octavus Lupus - Octavus Lupus

2023 M&O Music

Dzięki albumowi "**Another Place**" formacji **Edenya** akcje francuskiej wytwórni M&O Music poszły u mnie nieco w górę, ale nie trwało to długo, bowiem kolejna promówka firmowana jej nazwą przywróciła dawny stan rzeczy. **Octavus Lupus** są z Francji, istnieją od ponad 10 lat i grają ponoć symfoniczny metal. Napisałem "ponoć", ponieważ na podstawie debiutanckiego albumu tej grupy wnoszę, że bliżej jej do power metalu, nawet jeśli w kilku utworach pojawiają się symfoniczne akcenty. Zresztą wątpliwości budzi też rozbieżność między ilością wilków: w nazwie jest ich osiem, na okładce tylko dwa, chociaż ujęte podwójnie, tak więc wyraźnie widać, że zastosowano wariant oszczędnościowy. Z muzyką jest podobnie. I to mimo tego, że muzykom **Octavus Lupus**, zwłaszcza pianiście **Stéphane**'owi **Cleret** i wokalistce **Karen Hau**, nie zbywa na umiejętnościach - słychać, że to osoby z wykształceniem, zwłaszcza frontwoman, często śpiewająca lirycznym, dobrze postawionym sopranem. Nic z tego jednak nie wynika, bo poszczególne kompozycje, zwłaszcza "***Castle Of Sand***", to co najwyżej popłuczyny po **Nightwish** czy **Epice**, i to tego gorszego sortu. Są też nawiązania do klasyki, jak w fortepianowej partii "***Vampire's Masquerade***", pojawiają się również partie bliższe ekstremalnemu metalowi, ale nic z tego nie wynika - "**Octavus Lupus**" jako całość to niemal godzina nudnych, wymęczonych i na dobrą sprawę niepotrzebnych dźwięków, co dobrze podsumo-

Powerhead - Raise Hell
2017 Self-Released

Powerhead to niemiecki zespół powołany w roku 2014. Zaliczany jest do formacji heavy/power/thrashowych, choć ze względu na pochodzenie i podejście muzyki charakteryzuje się ona wszystkim tym, co większość niemieckich kapel heavymetalowych, czyli solidnością oraz pewną topornością. Bardzo mocno słychać to na EP-ce z 2017 roku "**Raise Hell**". Mało tego w kawałkach z tej płytki słychać sporo schematów, a w kwestii brzmieniowo-producenckiej nawet odczuwamy pewne amatorstwo. Z drugiej strony słychać również drzemiący w kapeli potencjał, niezły warsztat muzyków, a kompozycjach obok ewidentnych zrzynek można wyłowić całkiem niezłe pomysły. Ogólnie "**Raise Hell**" słucha się nieźle, ale niewiele zostaje w głowie, nawet jak da się płytce kilkakrotnie szanse. (3)

Powerhead - Curse of Stone
2021 Self-Released

"**Curse of Stone**" to już znacznie lepiej dopracowana płyta. Pierwsze co rzuca się w uszy to zdecydowanie lepsze brzmienie, pełne, soczyste, podkreślające gęstą pracę sekcji rytmicznej oraz znakomitą pracę gitar. Być może dzięki tym brzmieniom wyraźniej słychać również jakość poszczególnych kompozycji. Jednak mnie wydaje się, że tym razem niemieccy muzycy znacznie lepiej przyłożyli się do materiału i udało się im przygotować dziesięć całkiem niezłych kompozycji, gdzie wybrzmiewa rasowy dynamiczny oldschoolowy power metal, podrasowany równie udanym thrash metalem. Kojarzy się to głównie z niemieckim graniem typu wczesnego **Rage** czy **Grave Digger**, ale można też doszukiwać się wpływów US power metalu. Bywa też, że Niemcy zahaczą też o klasyczny heavy metal tak jak w "***Ill Believe in You***". Od czasu do czasu przemknie również ozdobnik, który może kojarzyć się z death metalem. Oczywiście te typowo teutońskie wpływy, czyli solidność i toporność też odnajdziemy. Niemniej w tym wypadku występują one jako dodatkowe elementy aranżacyjne, w bardzo kreatywnej strukturze ciekawego i wpadającego w ucho power metalu. Kompozycje, choć jednolite stylistycznie, to są bardzo ciekawie i różnorodnie napisane oraz równie znakomicie zagrane. Dzięki czemu album zdaje się bardzo spójny, a jednocześnie umiejętnie podtrzymujący ekscytację i zainteresowanie słuchacza. Przynajmniej ja tak odbieram ten album. No i w sumie najlepiej słuchać go w całości. Być może ktoś wyłowi swoje ulubione kawałki, dla mnie każdy z nich może zostać heavymetalowym hymnem. Także jest z czego wybierać. Ważnym elementem tego albumu jest głos wokalisty, szorstki i krzykliwy, znakomicie pasujący do tego co prezentuje **Powerhead** na "**Curse of Stone**". Także tylko kupować płytę i słuchać. (4)

\m/\m/

wuje tytuł ostatniego utworu, zwącego się "Tragedy". (1)

Wojciech Chamryk

Odinfist - Remade In Steel
2023 Self-Released

Odinfist nieźle kombinują, dodając do tradycyjnego heavy szczyptę power i czasem nawet thrash metalu. Efekt końcowy to wysokooktanowa mieszanka wybuchowa, zawarta w sześciu utworach składających się na CD "**Remade In Steel**". Dynamiczny "***Riffmaster***" pewnie nieprzypadkowo otwiera tę płytę, bo to świetne połączenie hard rocka spod znaku **Deep Purple** i **Rainbow** z bardziej epickim, surowym brzmieniem lat 80, a kilkuczęściowa solówka na finał to godne i zarazem efektowne zwieńczenie tego świetnego numeru. "***Metalmancer***" jest ostrzejszy, to już lata 80. w pełnej krasie, podobnie jak utwór tytułowy, surowy i z zadziornym śpiewem **Tylera Andersona**, ale też z balladową, nieoczywistą wstawką. "***Allfather***" znowu jest bardziej epicki w klimacie, można tu też mówić o nawiązaniach do stylistyki **Iron Maiden** z początku naszego wieku, ale w następnym w kolejności "***Deadline***" **Odinfist** dla kontrastu nieźle się rozpędzają, niczym thrashowa kapela tak z 1983/84 roku. Wieńczy dzieło najdłuższy - ponad osiem i pół minuty - "***Masquerade***": balladowo-epicki, z podniosłym refrenem i lżejszymi zwrotkami, kolejny już na tym albumie numer z wyższej półki, dopracowany i robiący wrażenie. W dodatku tych 37 minut mija naprawdę niczym kwadrans, a to najlepiej świadczy o jakości "**Remade In Steel**". (5)

Wojciech Chamryk

Okrutnik - Krwawy Pontyfikat
2023 Ossuary

Nie wiem, czy twórczość Panów z formacji **Okrutnik** można nazwać mroczną. Na pewno sama muzyka ma swoje korzenie daleko i głęboko zakopane we wczesnych dokonaniach szeroko pojmowanej metalowej sceny skandynawskiej. Na drugiej studyjnej płycie, teksty napisane są w dalszym ciągu w języku ojczystym, czyli po polsku. Tutaj nie będę się zgłębiał i rozkładał ich na części pierwsze. Większość z Was, która sięgnie po ten album, sama dokona oceny i wgłębi się w teksty na płycie, to konieczny zabieg. Pokrótce, tak czy inaczej **Okrutnik** swoimi utworami/tekstami idzie na krucjatę i to niekoniecznie z niewiernymi, a wręcz przeciwnie. Ta krucjata dotyczy kościoła katolickiego. Zespół chce udowodnić, że kiedyś coś poszło nie tak z nawróceniem pogan na wiarę chrześcijańską. Ciężki to temat, bo ludziom nie łatwo uwierzyć w to co latami ba, wiekami wpajano im od maleńkości. To tak, jakbyśmy chcieli teraz udowodnić że Kubuś Puchatek nie był misiem, a panienką Misiową. Bo przecież takową jest, a jej imię to Winnie-the-Pooh. Amen. Sama płyta to niespełna 40 min grania, osiem utworów plus początkowe intro "*1978*". Nie do końca można muzykę **Okrutnika** wrzucić do jednej szuflady, a i nie o to chodzi. Szufladki, jak sami wiemy, wymyślają dziennikarze, tak po prostu dla ułatwienia sobie życia. Oczywiście można w muzyce **Okrutnika** znaleźć dużo porównań oraz zapożyczeń. Jak to kiedyś ktoś powiedział, wszystkie dźwięki zostały już zagrane. Może i tak, ale wiem doskonale, że powstanie jeszcze ogromna ilość wspaniałej muzyki i to dla każdego. Jestem pewien że **Okrutnik**, choć z niedługim stażem na metalowej scenie, nie odpuści. Pomimo nie do końca spójnej produkcji całej płyty, jest ona świeża i dostarcza dużej dawki muzyczno-słownej, plującej jadem, wściekłości. (4)

AndziA

Pattern Seeking Animals - Spooky Action at a Distance
2023 InsideOut Music

Większość muzyków **Pattern Seeking Animals** związana jest ze **Spock's Beard**, ma to swoje muzyczne konsekwencje, ale nie można im zarzucić, że za każdym razem starają się szukać własnych środków wyrazu i przekazu. Może zbyt mocno optymistycznie podchodzę do najnowszej płyty tej formacji, ale wydaje się ona, najbardziej dojrzała z dotychczasowej czwórki studyjnych albumów oraz że w końcu dopracowali się własnego brzmienia i klimatu. W każdym razie są bardzo bliscy, aby to osiągnąć. Muzyka **Pattern Seeking Animals** jest tą z pogranicza progresywnego rocka i metalu, tym razem jednak muzycy bardziej postawili na progresywny rock i art rock. Zdarza się im też płynnie przeskoczyć w stronę melodyjnego rocka. Niemniej nawet w takim momentach czuć klasę i poziom. "**Spooky Action at a Distance**" wypełnia dziesięć różnorodnych kompozycji, jedne są krótkie inne bardzo długie. Najkrótsza to prawie czterominutowa "***Window to the World***" z rytmem a la **Police**, ale w przekazie art-rockowym, najdłuższa to ponad dwunastominutowa i kunsztowna "***He Once Was***" napisana z rozmachem, wypełniona wieloma strukturami i pomysłami muzycznymi, zmianami temp, niesamowitymi aranżacjami, jednak rewelacyjnie poukładana. Poza tym znajdziemy takie utwory jak "***The Man Made of Stone***", który przemyca elementy spaghetti westernu, bardzo emocjonalną balladę "***Underneath the Orphan Moon***", "***Clouds That Never Rain***", który z kolei czerpie z epoki lat 80., a także "***Somewhere North of Nowhere***" ten to natomiast nawiązuje do **Spock's Beard**. Niemniej co by muzycy **Pattern Seeking Animals** nie wymyślili to, dostarczają materiał wysokiej jakości, starannie i z uczuciem wykonany, dodatkowo two-

rząc bardzo spójny album. Po prostu Amerykanie znowu zaproponowali nam dobre progresywne wydawnictwo i fani takiego grania powinni zainteresować się tym krążkiem. (4,5)

\m/\m/

Patriarch - Demonic Heart

2023 Wormholedeath

Patriarch to belgijski zespół, który zaczynał jeszcze w latach 80. W samej końcówce, ale zawsze. Dodatkowo muzycy tej ekipy muzykowali wcześniej, ale wtedy tworzyli formację **Pariah** (było to w latach 1983-1988). Z tamtych czasów pozostał jedynie gitarzysta **Freddy Mylemans**. Świat muzyczny Belgów to technicznie zagrany dość agresywny thrash, lub jak kto woli power/thrash, z domieszką groove metalu, ba słyszę nawet elementy djent. Natomiast "**Demonic Heart**" to ich piąty studyjny album. Znajdziemy tam dość masywne i intensywne kompozycje, w których łączą się niezłe i ciężkie riffy, potężna perkusja, a także całkiem trafione sola gitarowe. Są to utwory porównywalne, acz mające swoje własne cechy. Niemniej zdołałem nawet wyłowić swój ulubiony kawałek, "***In The Cold Hands Of Time***". Moim zdaniem właśnie w nim najlepiej wybrzmiewają atuty **Patriarch**, poza tym jest najbardziej bezpośredni. Wcześniej wspominałem o wykorzystywaniu przez zespół detali groove i djent. Wybrzmiewa to naprawdę ciekawie, tym bardziej że jest wszystko zagrane ze sporym kunsztem. Niestety wrzask wokalisty **Mario Cesara** wzorowany na wrzaskach śpiewaków kapel groove metalowych (a także djent) jest, jak dla mnie, nie do przyjęcia, a szczególnie jego jednowymiarowy wymiar. Mojego zdania nie zmienia fakt, że w ostatnim kawałku, z elementami ballady "***Words Unspoken***", próbuje on a la normalnego śpiewu. Po prostu to jednostajne ryczenie sprowadza wysiłki pozostałych muzyków, co najwyżej do wymiaru rzetelności i pewnej przyzwoitości. Może znajdą się tacy, którym nie będzie przeszkadzał ten aspekt. Niestety dla mnie to duża przeszkoda. Szkoda, tym bardziej że wszystko inne Belgowie z **Patriarch** na "**Demonic Heart**" zrobili bardzo dobrze. (3,7)

\m/\m/

Paweł Weiss - Pulp Tunes

2023 Self-Released

"**Pulp Tunes**" to debiutancka płyta młodego, liczącego zaledwie 23 lata, gitarzysty **Pawła Weissa**. Jego nazwisko na pewno nie jest obce miłośnikom rocka: nie tylko z racji udzielania się w progresywnym zespole **Dispelled Reality**, ale też dzięki rodzinnym powiązaniom, ponieważ jego ojciec jest redaktorem naczelnym "**Teraz Rocka**", w którym **Weissowi** juniorowi również zdarzało się publikować. Teraz popisał się w pełni autorskim materiałem, albumem instrumentalnym i bardzo zróżnicowanym, na którym zagrał na wszystkich instrumentach, poza najpewniej programowaną perkusją, bo we wkładce CD nie ma żadnych informacji na ten temat. Płyta potwierdza, że **Paweł Weiss** jest już na tym etapie znakomitym i uniwersalnym gitarzystą, a do tego świetnym kompozytorem i aranżerem. "**Pulp Tunes**" nawiązuje tytułem do "**Pulp Fiction**"; nie tylko dlatego, że opener "***Ears Wide Shut***" może kojarzyć się z klimatem wiodącego tematu filmu **Quentina Tarantino** "***Misirlou***", ale też kształt płyty, złożonej z odmiennych stylistycznie kompozycji, może kojarzyć się z tym, co zaproponował reżyser, ze scenami bez chronologii i widocznego związku, ale gdzie w końcu wszystko do siebie pasuje, tworząc spójną całość. Mamy tu jednocześnie związek z innym filmem, mianowicie tytuł "***Ears Wide Shut***" nawiązuje do równie popularnego i kultowego obrazu "**Oczy szeroko zamknięte**" **Stanleya Kubricka**. Warto jednak nadstawić uszu na te niewiele ponad pół godziny, bowiem "**Pulp Tunes**" ma rozmach, niczym dobry soundtrack. Do tego **Paweł Weiss** nie epatuje słuchacza umiejętościami, nie przytłacza go lawiną dźwięków i shredderskimi partiami - oczywiście takowe efektowne popisy są, na przykład w "***El Toro***", ale dozowane z umiarem. Dopełniają je ciekawe melodie, tak jak w "***Red Apple***", tak więc brak partii wokalnych nie jest tu żadnym problemem - kiedyś **Steve Vai** gadał gitarą, teraz **Paweł Weiss** nią śpiewa. Mamy tu też nieco orientu ("Last Ride"), elementy flamenco ("Trick Score"), mocarny riff i klimaty balladowe w jednym ("Mourning Coffee"), a na finał rozbudowany, trwający blisko osiem minut i nieco progresywny w formie "***Palace Of Memories***", zaś całość nie ma słabych punktów - może poza tym, że przydałby się jeszcze utwór lub dwa, bo "**Pulp Tunes**" zdecydowanie kończy się zbyt szybko. (5)

Wojciech Chamryk

Phil Campbell And The Bastard Sons - Kings Of The Asylum

2023 Nuclear Blast

Były gitarzysta **Motörhead** wciąż jest w formie, zresztą żaden z niego wiekowy weteran, tylko raptem 62-latek. Ma teraz w zespole nowego wokalistę i **Joel Peters** pasuje do tego składu doskonale - nie wiem czy wychowywał się na tych samych zespołach co **Campbell**, ale słychać, że rock'n'rolla ma we krwi, co potwierdza już w pierwszym numerze "***Walking The Circles***" i w ostatnim "***Maniac***". Pomiędzy nimi znajdziemy zaś sporo siarczystego, ostrego grania, którego nie powstydziłby się **Lemmy** ("Too Much In Never Enough", "The Hunt", "No Guts! No Glory!"), znajdzie się też coś dla fanów **AC/DC** ("Strike The Match"). Cieszą też nawiązania do bluesa w utworze tytułowym, a do tego **Campbell** potwierdza, że wciąż ma talent do pisania fajnych, zapadających w pamięć melodii ("Hammer And Dance") oraz nader konkretnych riffów ("Schizophrenia"). Jeśli więc ktoś jakimś cudem przeoczył poMotörowe życie gitarzysty, to "**Kings Of The Asylum**" wydaje się całkiem dobrym pretekstem do zmienienia owego stanu rzeczy. (5)

Wojciech Chamryk

Pnuk - Goat Civilization

2023 Rock CD

Niedawno w recenzjach pisałem o hiszpańskim **Demonik**. Wpadli oni na pomysł, aby nagrać na nowo swoje dwa pierwsze krążki, ale z anglojęzycznymi lirykami. W ten sposób fani **Demonik** mogli zorientować się, jak to by było, gdyby ich zespół wystartował, jak wszystkie inne formacje z młodej sceny thrashowej. Do podobnych wniosków doszli muzycy z innego hiszpańskiego gangu, a mianowicie **Pnuk**. W tym roku wydali dwupłytowe wydawnictwo "**Goat Civilization**". Jest to nic innego, jak zbiór dwóch pierwszych krążków, ale zaśpiewanych, a raczej wykrzyczanych w języku angielskim. Także fani **Pnuk** mogą wysłuchać "**Fin de la civilización**" (2016) i "**Pnuk**" (2018) w wersjach anglojęzycznych. Muzycy chcieli tak zrobić, więc to zrobili. Mnie to jakoś nie ruszyło, bo słyszałem ich hiszpańskojęzyczny "**Pnuk**" i wtedy zupełnie mi to nie przeszkadzało. Niemniej w różnicy do **Demonik** muzycy **Pnuk** dograli jedynie angielskie wokale, a muzyka pozostała taka sama. No, może dało się zrobić jakiś remaster, ale i tak kawałki pozostały takie same, solidne z przebłyskami, w stylu thrash/crossover. Lepiej było na trzecim dużym krążku "**Ashes of the Earth**", który wydali w roku 2020. Także może, zamiast na nowo grzebać w minionych czasach lepiej przygotować coś nowego. Fakt w roku 2021 wydali pięcio-utworową EP-kę "**EPidemic**", niemniej nie zmienia to potrzeby przedstawienia fanom większej całości. Myślę, że to najwyższy czas. Dla mnie pierwsze krążki **Pnuk** to niezmiennie. (3)

\m/\m/

Popiór - Pomarlisko

2023 Szataniec

"**Popiór**" **Kata Romana Kostrzewskiego** ukazał się wiosną 2019 roku. Nie bez powodu ta bardzo udana płyta zebrała świetne recenzje, dla wielu starych fanów **Kata** będąc najlepszym dokonaniem byłego frontmana tej formacji od wielu lat. Kolejne koncerty również potwierdzały wysoką formę zespołu, była mowa o kolejnym albumie, ale wtedy gruchnęła wieść, że lider jest chory, a sprawa jest poważna. **Roman Kostrzewski** przegrał walkę z nowotworem, a świat polskiego metalu stracił jedną ze swych najbardziej wyrazistych i zarazem zasłużonych dla niego postaci, bo trudno wyobrazić sobie rodzimy thrash, death i black bez wpływów jego dokonań i charyzmy. Pozostał jednak materiał, który wokalista zaakceptował jako kolejny album swego wcielenia **Kata**,

nie zdążywszy już jednak napisać tekstów. Gitarzysta i zarazem jego autor **Jacek Hiro** oraz perkusista **Jacek Nowak** postanowili do niego wrócić, zakładając nowy zespół. Nazwa **Popiór** była, można rzec, w tej sytuacji oczywista, a po zwerbowaniu basisty **Grzegorza Feliksa** i wokalisty **Chrisa Hoflera**, również autora tekstów, zespół zarejestrował ten album, nadając mu wymowny tytuł "**Pomarlisko**". Muzycznie nie ma tu większych zaskoczeń, ta płyta mogłaby spokojnie stanąć pod względem poziomu materiału obok "**Popióra**", łączy bowiem klasyczny thrash z tradycyjnie metalowym posmakiem w bardzo efektowną, pod każdym względem dopracowaną całość. Mamy tu więc z jednej szybkość, moc i ciężar (świetny, singlowy opener "Międzyświat", mocarny "Zabierz mnie do piekła", rozpędzający się do blastów "Cień starych, cmentarnych drzew"), zaś z drugiej piękne ballady "***Astralne wrota gwiazd***" i symboliczne "***Requiem***", drugi utwór promujący płytę. Co ważne **Chris Hofler** sprostał wyzwaniu: owszem, momentami jego partie mogą kojarzyć się z **Kostrzewskim**, co może mieć jednak związek z tym, że przecież był to materiał pisany z myślą o tym właśnie wokaliście. Frontman **Popióra** dysponuje jednak innym głosem, potrafi też różnicować swoje partie i bez kompleksów robi swoje, za co należy mu się szacunek, bowiem mierzy się z legendą. W tekstach jego autorstwa nie brakuje nawiązań do tego, co pisał przed laty **Kostrzewski** ("z ciemności woła głos", "diabelski dom woła mnie", etc.) co odbieram jako hołd dla **Romana Kostrzewskiego** i zarazem kolejne potwierdzenie tego, jak ogromny miał wpływ na rodzimą scenę metalową. Fani starego i nowego wcielenia **Kata** powinni więc sprawdzić tę płytę; jeśli nie z ciekawości, to chociażby z sentymentu, inni słuchacze też nie powinni być rozczarowani jej zawartością. (5)

Wojciech Chamryk

Prime Creation - Tell Freedom I Said Hello

2023 ROAR!

W roku 1992 na szwedzkiej ziemi powstał zespół **Morifade**. Zdarzało się pisać o tej ekipie i jej płytach w HMP. Na koncie ma cztery pełne albumy oraz dwie EP-ki. Niestety w okolicach roku 2015 po cichutku zespół przestał istnieć. Równie niezauważalnie w tym samy roku pojawiła się formacja **Prime Creation**. Tworzyli ją instrumentaliści **Morifade**, basista **Henrik Weimedal**, perkusista **Kim Arnell** oraz gitarzyści **Robin Arnell** i **Rami Tainamo**. Uzupełniał ich nowy wokalista **Esa Englund**, który wspiera również grupy **Silverdollar** i **Hellshaker**. Aktualnie **Tainamo** zastąpił nowy gitarzysta **Mathias Kamijo**. Do tej pory wydali trzy studyjne krążki "**Prime Creation**" (2016), "**Tears of Rage**" (2018) i w bieżącym roku "**Tell Freedom I Said Hello**". Dla mnie zetknięcie z **Prime Creation** jest dziewicze i co ciekawe nawet bardzo miłe. Odpalając "**Tell Freedom I Said Hello**" usłyszycie bardzo solidny melodyjny power metal, głównie utrzymany w średnich tempach, mroczny, intensywny, z nutą nowoczesności, z potężnymi gitarami oraz sekcją. Zespół nie boi się lekkich zmian tempa czy nastroju, bogatych aranżacji, generalnie podchodzi do swojej muzyki dość ambitnie. **Esa Englund** unosi się nad muzyką wyraźnie, dumnie i majestatycznie, oczywiście nie zapomina o melodyce, która odgrywa w muzyce **Prime Creation** ważną rolę. Mimo tej nowoczesności słucha mi się tego albumu bardzo dobrze. Ta nowoczesność daje moc całej muzycy, ale głównie gitarom, które miło adorują uszu słuchacza. W składzie zespołu nie ma klawiszowca, bo to gitary w **Prime Creation** rządzą, ale czasami coś przemknie z klawiszy, aby lekko urozmaicić i tak dość gęstą muzykę. Album jest bardzo równy, kompozycje są bardzo dobrze i ciekawie napisane, jak pisałem, każdy jest inny, ale ma swoje znakomite melodyjne refreny, niekiedy bardzo hymniczne. Można by wyróżnić pod tym względem "***State Dominion***", ale tak naprawdę każdy kawałek może być dla kogoś tym ważniejszym i bardziej wpadającym w ucho. Także "**Tell Freedom I Said Hello**" należy słuchać w całość, tak jak ostatnio lubię. Tym bardziej że jest to też pewien konceptualny kompleks. Na plus są także wykonanie, brzmienia oraz produkcja. Niespodziewanie miałem możliwość przesłuchania melodyjnego power metalu na poziomie. Jeżeli ktoś lubił melodyjny power metal, namawiam, aby sięgnął to ten krążek, bo tych, co nadal za nim przepadają, nie muszę namawiać. (4)

\m/\m/

Programmed - Ctrl + Alt + Delete

2023 Self-Released

Przypadkowo zamiast na pierwszy plik z muzyką kliknąłem na ten opisany band photo, wskutek czego okazało się, że zespół to raptem jeden osobnik z bardzo nieszczęśliwą miną. Przeszedłem więc do biografii, bo niektórzy wykonawcy/wydawcy wciąż je załączają. Dzięki tej lekturze uzyskałem potwierdzenie, że **Programmed** to jeden człowiek plus automat perkusyjny, a do tego znacznie poprawił mi się humor. Trudno jednak, żeby było inaczej, skoro **Daniel Mills**, muzyk "*z bogatym doświadczeniem, zdobytym przez lata doskonalenia swojego rzemiosła, teraz wkracza w światło reflektorów pod szyldem Programmed, nieustraszenie eksplorując nowe wymiary gatunku*", a do tego ów projekt "*pokazuje jego ogromny talent*" i jest "*potężną siłą w świecie thrash metalu*".Tymczasem thrashu mamy tu tyle, co kot napłakał: to bardziej surowy black czy black/death, czasem podszyty nawet post-rockiem, tak jak w instrumentalnym openerze "***Self Nemetic***" czy punkiem ("Put It Down"), prostacki i fatalnie brzmiący. **Mills** najwidoczniej nie wie, że nie każdy, kto sięga po gitarę powinien brać się również za komponowanie tudzież próby wokalne - może sprawdziłby się w innym zespole jako gitarzysta rytmiczny, ale jako lider poległ na całej linii, nagrywając jakiś cybernetyczny pseudo metal. Tytułowa fraza wydaje się więc dobrym rozwiązaniem, nawet w sensie kompletnego restartu, to jest zmiany branży, bo w muzycznej jakoś nie dostrzegam miejsca dla tego "*ogromnego talentu*". (1)

Wojciech Chamryk

Prong - State Of Emergency

2023 SPV/Steamhammer

Do momentu rozpadu w roku 1997 **Prong** był związany kontraktem z Epic, wydając w latach 1990-1996 dla tego fonograficznego giganta aż cztery albumy. Dwa z nich, "**Cleansig**" i "**Rude Awakening**" odniosły nawet pewien komercyjny sukces, lokując się w czołówce drugiej setki notowania "**Billboardu**", zespół jednak nie wytrzymał ciśnienia, zawieszając wkrótce działalność. **Tommy Victor** nie potrafił jednak żyć bez muzyki, reaktywując **Prong** w roku 2002 i od tego czasu regularnie wydając kolejne albumy i krótsze materiały. Na najnowszym "**State Of Emergency**" Amerykanie łączą thrash i crossover z klasycznym i alternatywnym rockiem, co daje całkiem interesujący efekt, zwłaszcza w openerze "***The Descent***" i kolejnych singlowych numerach, "***Breaking Point***" i "***Non-Existence***". Surowizny i sonicznej agresji też nie brakuje ("Who Told Me" i "Back (NYC)", od których odstaje jednak "***Disconnected***", ni to pop, ni to punk z czystymi wokalami i lżejszym brzmieniem. Zespół rehabilituje się jednak mocną, dociążoną tak, jakby została nagrana przez **Black Sabbath**, wersją klasyka **Rush** "***Working Man***", dlatego końcowa nota to: (4) - tym bardziej, że w czasach streamingu i biedniutkich eco-packów digi "**State Of Emergency**" jest wydany bardzo starannie, zawierając oprócz książeczki również duży, rozkładany na dwanaście, dwustronny plakat.

Wojciech Chamryk

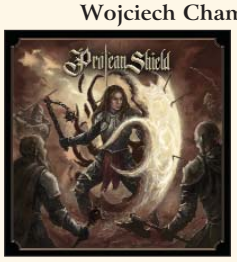

Protean Shield - Protean Shield

2023 No Remorse Records

Nowy ateński zespół **Protean Shield** proponuje epicki heavy metal, w pełni utrzymany w konwencji gatunku i posiadający jego najwspanialsze atrybuty, jak również wnoszący coś nowego do płytotek odbiorców. Debiutancki longplay jest więc mocarny i monumentalny, brzmi potężnie i przenosi słuchaczy w fantastyczny świat. Nie znajdziemy na nim miałkich klawiszy ani naiwnej podniosłości, za to konkretny, zagrany z pełnym przekonaniem metal. Niektóre motywy są owszem podniosłe, ale osiągnięto to poprzez staranne konstrukcje kompozycji i na bazie umiejętnie wprowadzonego klimatu. Poszczególne utwory zawierają mnóstwo gęstej pracy gitar oraz wybrzmiewających hardo, posępnie i miejscami wręcz miażdżąco partii sekcji rytmicznej. Bogata praca instrumentów doskonale harmo-

nizuje z barbarzyńskim wokalem. Teksty nie opisują historii, raczej zostały ukierunkowane na opis magicznych miejsc i niezwykłych stanów emocjonalnych, a wobec tego całość nie sprawia wrażenia dźwiękowego podkładu pod wykład z mitów greckich. Mnie to akurat pasuje, bo w szkole się przy nich tylko męczyłem, a słuchając **Protean Shield**, specyficzna atmosfera zdecydowanie mi się udziela. A skoro tak, to znaczy, że z powodzeniem udało im się oddać część nietuzinkowej duszy kolebki współczesnej cywilizacji. Cały album jest spójny i konsekwentnie zaaranżowany. Utrzymuje równy poziom. Kapela intensywnie pracuje już nad następnym, budując swoją reputację nie tylko na lokalnej scenie, ale też stopniowo wkraczając w świadomość fanatyków gatunku na całym świecie. Ciekawie się zapowiada, dlatego warto zwrócić na nią uwagę i wysłuchać całej płyty. Od razu po odpaleniu krążka dowiadujemy się o jego charakterze, ale w dalszej części wiele się dzieje i potrzeba nieco uwagi oraz czasu, żeby popływać w jego przestrzeni. Najlepsze w **Protean Shield** nie są pojedyncze riffy czy rozwiązania muzyczne, tylko sposób i kierunek, w jakim dryfuje po dźwiękowej nawałnicy. Nie sądzę, żeby jakaś inna załoga robiła to identycznie. Z jednej strony bardzo łatwo byłoby zaszufladkować to cudo jako "true epic heavy metal", a z drugiej mamy do czynienia ze świeżą twórczością, która nie ogranicza się do toczenia pospolitego koła. (5)

Sam O'Black

Rascal - Lost Beyond Reason

2023 Ossuary

Rascal to założony w 2019 roku zespół stacjonujący w Warszawie. Dwa lata temu wydali EP z pięcioma utworami. Muszę przyznać, że przegapiłem premierę, a udane CD zostało wyprzedane. Zaległości nadrobiłem dopiero podczas przygotowywania się do tej recenzji. Jeśli ktoś zna i lubi "**Headed Towards Destuction**" to nie powinien zwlekać z nabyciem pierwszej długogrającej płyty. Ten czas wystarczył aby podnieść poziom muzyczny pod każdym względem. Jeśli Tobie, tak jak mi umknął, dotychczas ten zespół zachęcam do przeczytania recenzji oraz zapoznania się z zespołem. Wydawca **Ossuary Records** nadał płycie etykietę speed metal, ale w moim odczuciu to zbytnie uproszczenie muzyki oferowanej przez zespół. Ten podgatunek dominuje, jest wszechobecny, ale na płycie dzieje się tak dużo, że nie mogę zgodzić się na jednoznaczne ograniczanie ram. Dla mnie prędkość nie jest tu celem, a raczej jednym ze środków wyrazu. Umiejętne wkomponowanie charakterystycznych elementów dla heavy/power/thrash pokazuje rozwój świadomości muzycznej. Bardzo mnie cieszy, że prowadzony przez **Maćka** zespół utrzymał od początku istnienia niezmieniony skład. Daje to duże nadzieje, że my jako słuchacze będziemy mogli stale obserwować wzrost nie tylko umiejętności kompozytorskich, ale również aranżacyjnych całego zespołu. Dziewięć utworów oraz dwa intra zapewniają optymalny czas 44 minut wspólnej zabawy. Zapewniam, że często ciężko poprzestać na jednym odsłuchu. Kompozycje zachęcają zarówno do puszczania muzyki w tle jak i uważnego wsłuchiwania celem analizy szczegółów. Lekko orientalne intro zaczyna szaloną przygodę, wśród której ciężko wskazać ulubionego faworyta. Podczas kolejnych obrotów już prawie mogę wskazać te najjaśniejsze punkty, ale przy takim ogromie fonograficznego złota chyba się nie da. Rozpędzona od początku do końca muzyczna wyprawa dzięki gitarowym pojedynkom, ozdobnikom czy zwolnieniom, które dają wybrzmieć sile basu nie nudzi, a angażuje. Najdłuższy "***Running Out of Air***" został stworzony z tylu pomysłów, że za każdym razem jestem zdziwiony jak sprawnie udało się połączyć te wszystkie elementy i przejścia. Przy słuchaniu tytułowego kawałku można dać się oczarować wokalom. **Kacper** zaśpiewał go wolniej niż rozpędzoną resztę płyty, kolejne wersy otrzymują pewnego rodzaju szlachetnego sznytu. Jego głos jest w tym utworze wyjątkowo mocny i spokojny na tle gnających szaleńczo gitar **Maćka** i **Adriana**. Mnie ten kontrast urzeka, dokumentując bardzo szybki wzrost jego umiejętności od czasów EP. W kolejnym "***Conquest***" oraz "***Soldiers of Hell***" słyszymy natomiast kilka wersów bardziej surowej, zbrutalizowanej formie. Duże brawa za różnorodność i odwagę. Również pod względem produkcyjnym otrzymaliśmy materiał bardzo dobrze opracowany. Pomimo prędkości oraz intensywności dźwięk jest bardzo selektywny. Nawet na przeciętnej klasie sprzęcie muzycznym wszystkie niuanse są zaakcentowane. Jestem zachwycony, ze na szybkiej płycie znalazło się miejsce dla dociążonych i połamanych fragmentów w "***Slow Burner***", które również dzięki produkcji zostają w głowie na dłużej. Póki będą powstawały takie płyty klasyczny metal będzie trwał mocno. Myślę, że nie ma sensu na siłę doszukiwać się w której sekundzie jaki zespół był inspiracją. Coraz trudniej w takiej muzyce stworzyć coś odkrywczego, na szczęście to nie zamyka drogi rozwojowi. Tworząc pełną pasji muzykę, dającą radość ze słuchania i grania na pewno znajdą się zapaleńcy chodzący na koncerty i kupujący płyty. Jeżeli muzycy już swój debiut nagrywają w tak świadomy i inteligentny sposób rosną nadzieję na wielki zespół z Polski w niedalekiej przyszłości. Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości uda mi się zobaczyć zespół na żywo by zweryfikować czy w klubie ta muzyka może porwać jeszcze lepiej. Parafrazując koncertowy, klasyczny okrzyk: "*Panowie, uprzejmie proszę grać szybko*". (5)

Łukasz Ragnus

Rudra - Eight Mahavidyas

2022 Awakening

Rudra została założona w Singapurze w połowie 1992 roku i na początku działała pod nazwą **Rudhra**. W 1994 roku **Rudhra** wydaje swoje pierwsze demo "**The Past**". Niestety z początkiem roku 1996 zespół rozpadł się, aby pod koniec tego samego roku wokalista i basista **Kathi** doprowadził do rekonstrukcji grupy. Wtedy też została zmienioną nazwa na **Rudra**. Grupa pod koniec 1997 roku nagrywa swój debiutancki album "**Rudra**", który zostaje wydany w czerwcu roku następnego. Zawiera on dość prosty, ale dobrze technicznie zagrany death metal. Jest on dość czytelny i wolny, co niekiedy można poczytać za wpływy doom metalowe. Wykorzystali oni również wpływy z kultury Azji Południowej, głównie indyjskie nawiązujące do muzyki i religii wedyjskiej. I właśnie ten wątek przyciągnął mnie do tej formacji. Chciałem się przekonać, czy muzycy **Rudry** potrafili te egzotyczne wpływy wykorzystać, jak chociażby Tunezyjczycy z **Myrath** swój rodzimy folklor. Według mnie nie udało się im, choć wyobraźni im nie zabrakło. Może to też wpływ tego, że death metalu słuchałem z zainteresowaniem jedynie na przełomie lat 80 i 90., a później raczej nim się nie interesowałem (ewentualnie bardzo sporadycznie). Ba, z perspektywy przesłuchania ich kilku płyt wręcz uważam, że pod względem muzycznym w **Rudra** właśnie najwięcej dzieje się w sferze folkowej. Oczywiście wraz z nabieraniem doświadczenia lepiej idzie im również z graniem death metalu. Z czasem potrafią grać gęściej, technicznie i znacznie szybciej. Dzięki temu ich death metal nabiera charakteru i niekiedy wydaje się nawet ciekawy. Wystarczy zajrzeć do ich najnowszego wydawnictwa "**Eight Mahavidyas**". Gdyby wziąć pod uwagę samą muzykę metalową, to można byłoby się pokusić o opinię, że Singapurczycy byliby w stanie stworzyć dość zajmującą płytę z pogranicza death, black i thrash metalu. O dziwo sporo w ich muzyce również melodii i nie mówię tu o wpływach wedyjskiego folku. Jak na prawdziwy zespół metalowy przystało w muzyce **Rudry** rządzą riffy oraz dynamiczna, acz ciekawie wymyślona sekcja rytmiczna, która znakomicie wpisuje się w rytmikę folkowe brzmienia indyjskie, jak i mantry. Myślę, że właśnie w tej sferze istnieje najwięcej punktów wspólnych, dzięki którym tak udanie koegzystują death metal i orientalna muzyka wedyjska. Także koloryt muzyki **Rudry**, jak na death metal jest mało spotykany. I chyba dzięki niemu taki dyletant jak ja, jeśli chodzi o death metal, może spokojnie, a nawet z zainteresowaniem przesłuchać blisko godzinę intensywnej i ekstremalnej muzyki. Dlatego też najlepiej słucha się mi kompozycji "**Awakened and Skyclad**", która najciekawiej zaadoptowała wszystkie wspomniane detale. Jeśli chodzi o pomysł płyty, wykonanie, brzmienia oraz produkcję, wydaje się, że "**Eight Mahavidyas**" wydaje się jak najbardziej w porządku. Niemniej ze względu na brak doświadczenia i osłuchania się z takimi brzmieniami, ciężko jest mi opiniować o tym albumie. Wolałbym, aby zrobił to ktoś, kto przynajmniej jest osłuchany z taką muzyką. W każdym razie ja nie uważam spotkania z **Rudrą** za czas stracony. Na koniec jeszcze przypomnę, że **Awakening Records** oprócz najnowszej płyty **Rudry**, przypomniał jej pierwsze sześć albumów: "**Rudra**", "**The Aryan Crusade**", "**Kurukshetra**", "**Brahmavidya: Primordial I**", "**Brahmavidya: Transcendental I**", "**Brahmavidya: Immortal I**". Takie oto uczczenie 30-lecia tego singapurskiego zespołu.

\m/\m/

Razgate - Born To Rot In Hell

2023 Punishment 18

Trudno nie pokiwać z uznaniem głową, kiedy ma się do czynienia z kolejnym takim przypadkiem, gdy chęć grania metalu jest silniejsza od przeciwności i tak zwanej prozy życia. Dlatego, chociaż **Razgate** w żadnym razie nie są jakimiś prekursorami, poruszając się po dawno odkrytych i do tego dokładnie już spenetrowanych terytoriach thrashu, to jednak łoją go z ogromną pasją, prezentując przy tym na czwartym już albumie niezły warsztat i kilka całkiem udanych kompozycji. Przeważają rzecz jasna szaleńcze tempa, tak jak w mającym niewiele ponad dwie minuty "***More I See, More I Hate***" czy niewiele dłuższym "***Nail To The Crossfire***", nie brakuje też blastowych zrywów ("The Holy Grail", "Fill Up The Grave"), ale to tylko jedna ze stron **Razgate**. Są więc na tej płycie również utwory bardziej techniczne, a do tego również całkiem melodyjne ("Tyrants Of Depravity"), pojawia się mroczna półballada ("The Thing At The Edge Of Sanity"), a bywa i tak, że intensywne, thrashowe naparzanie jest zestawione z rozwiązaniami typowymi dla tradycyjnego, albo nawet doom metalu ("Cursed Blood"), co jest całkiem ciekawym dopełnieniem, tej może i nie odkrywczej, ale całkiem niezłej płyty. (4)

Wojciech Chamryk

Rebellion - X - Live in Iberia

2023 Massacre

Album "**X - Live in Iberia**" zabiera nas w podróż przez dwie dekady muzycznej przygody, jaka jest udziałem zespołu **Rebellion**. Nagrany podczas koncertu w Walencji 15 maja 2022 roku, album nie kryje swojej surowości, przekazując nam nie tylko dźwięki, ale również emocje i atmosferę tego wyjątkowego występu. Sami zainteresowani mówią, że to właściwie bootleg i muszę się zgodzić - materiał brzmi w sposób nieoszlifowany nadmiarową produkcją. Rozpoczynając od "***Voices Of War***" i "***Liberté, Égalité, Fraternité***", **Rebellion** daje wyraźny sygnał, że są koncertową machiną, która nie pozwoli nam oderwać się od głośników. Te kompozycje dają kopa adrenaliny i zachęcają niejako do walki, co nie odbiega zresztą od tematyki podejmowanej przez grupę w swoich utworach. Moimi faworytami są tu chyba majestatycznie brzmiące "***Odin***" i "***Verdun***", przynoszące opowieści z epoki wikingów i I wojny światowej. Możliwe, że nie są to największe hity grupy, ale mają w sobie dostojność, która musi robić porządną robotę na żywo. To budujące, że zespół nie tylko utrzymał się na scenie przez dwie dekady, ale również zdobył lojalną rzeszę fanów na całym świecie. Ich twórczość nie tylko pozostała wierna duchowi metalu, ale również eksplorowała różnorodne tematy historyczne i kulturowe, co dodaje jej głębi i znaczenia. Album "**X - Live in Iberia**" to doskonałe podsumowanie tej muzycznej podróży i dowód na to, że odważne kroki byłych muzyków **Grave Digger** zaprowadziły ich na właściwą drogę. Dla fanów **Rebellion** to również hołd dla tych muzycznych bohaterów, którzy zaryzykowali wszystko, by podążać za własnymi przekonaniami i tworzyć muzykę, która trwa przez lata.)4)

Igor Waniurski

Reckless - Sharp Magik Steel

2023 Dying Victims Productions

Reckless to zespół, który został założony w kolumbijskiej Bogocie w roku 2020. Formacja reprezentuje szybki, ostry, agresywny oraz wściekły speed metal w old-schoolowej odsłonie nawiązującej do lat 80. Jednak nie jest to jednowymiarowy speed metal, niech świadczą o tym nazwy, które znalazłem w recenzjach tego zespołu, a były to m.in. **Judas Priest**, **Accept**, **Running Wild**, **Jag Panzer**, **Laaz Rockit**, **Slayer**, **Megadeth**, **Paradox**, **Nuclear Assault**. Także oprócz typowego speed metalu znajdziecie w nim odniesienia do tradycyjnego heavy metalu oraz thrash metalu. Niemniej w kompozycjach jest sporo melodii, które również mocno wciągają słuchacza. O dziwo mają one też zaraźliwe i chwytliwe riffy oraz solówki, co jeszcze bardziej podkreśla bezpośredniość kawałków **Reckless**. Gitary są mega ostre i tną niemiłosiernie, nakręca je rozszalała perkusja, ale o dziwo bas nie gnie zupełnie w tym szaleństwie, ale od czasu do czasu wybrzmiewa dość wyraźnie. Wokal **Metalbringera** również znakomicie pasuje do tego dzikiego speed metalu. Natomiast old-schoolowość i klimat lat 80. podkreśla brudne, szorstkie i underground owe brzmienie. Także dla mnie pozycja znakomity, którą chłonę od pierwszej do ostatniej nuty. Już rozpoczynający kawałek "***Kneel Before the Gods***" komunikuje nam, z czym będziemy mieli do czynienia, czyli z szorstkim i wściekłym speed metalem. "***Crimson Obsession***" rozpoczyna się krótkim syntezatorowym wstępem, podobny zabieg zastosowano jeszcze w "***Behind the Mist***". Niemniej "***Crimson Obsession***" oprócz bezpośredniego speed metalu niesie echa początków thrash metalu. Kolejny "***Glittering Death***" bardziej operuje klimatem lat 80. Za to w tytułowym "***Sharp Magik Steel***" usłyszymy echa thrash metalu a la **Slayer**. Coś podobnego znajdziemy w "***Wake Up Screaming***", ale tym razem bohaterem jest **Megadeth**. Wspomniany wcześniej "***Behind the Mist***" wyróżnia się również znakomitym riffem. Z kolei w "***Neutralized***" góruje chwytliwy refren, a w kończącym płytę "***Unholy Odyssey***" odnajdziemy łagodniejszą główną melodię. Także "**Sharp Magik Steel**" jest nie tylko dla fanów speed metetalu, ale także dla thrasu i tradycyjnego heavy metalu. (4,7)

\m/\m/

Remedy - Something That Your Eyes Won't See

2022 S-Rock Music Production

Zespół **Remedy** pochodzi ze Szwecji i został założony w 2022 roku przez gitarzystę, autora tekstów i producenta **Rolanda "Rolli" Forsmana**. Wcześniej współpracował z taki zespołami jak **Crazy Lixx** czy **One Desire**, aż zapragnął realizować swoje pomysły na własne konto. Do współpracy zaprosił klawiszowca **Jonasa Öijvalla**, wokalistę **Roberta van der Zwana**, perkusistę **Fredrika Karlberga** oraz basistę **Jonasa Dicklo**. Tak o to powstało **Remedy**. Jak mogliście się domyślić formacja gra coś z pogranicza melodyjnego rocka, hard rocka i heavy metalu w połączeniu z AOR-em itd. W takim graniu ciężko jest o oryginalność, niemniej Szwedzi w swojej muzyce nie marudzą, ani nie uciekają do bardziej współczesnych odmian hard rocka. Po prostu grają bardzo motorycznego, dynamicznego, melodyjnego i ciężkiego rocka rodem z lat 80. Co ciekawie robią to z ogromną witalnością i chwytliwością, że trudno obok ich debiutu "**Something That Your Eyes Won't See**" przejść obojętnie. Jak wspomniałem, każdy kawałek jest bardziej lub mniej dynamiczny, niemniej na wskroś przebojowy. W latach 80. w Stanach wszystkie bez wyjątku z nich "latały" by w radiowym eterze. I o to w takiej muzyce chodzi. Utworach rządzą melodie, kretowane przez znakomite wokale i chórki, niemniej riffy i gitary są również ważne. Sekcja wspiera te wysiłki, a klawisze je uzupełniają, ale robią to bardzo dyskretnie. Majstersztyk jak na takie granie. Oczywiście są pewne wyjątki niewielkie, ale są. I tak "***Marylin***" jest ciut bardziej popowy, a "***Sunday At Nine***", "***Lifeline***" zawierają wyraźne elementy balladowe. Nie oznacza, że są lepsze czy też gorsze, wyróżniają się na tle innych kawałków, które również ukazują swoją różnorodność. Po prostu "**Something That Your Eyes Won't See**" zawiera dziesięć znakomitych melodyjnych hitów. I już! Oczywiście takie kwestie jak wykonanie, brzmienia i produkcja są nienaganne a wręcz absolutnie perfekcyjne. Takie granie i takie zespoły jak **Remedy** nie są za bardzo popularne. Jednak jest garstka fanów, która uwielbia takie brzmienia i właśnie ci melomani powinni zapoznać się ze Szwedami i ich dokonaniami. (5)

\m/\m/

Reveal - Still Alive

2023 Art Gates

O **Reveal** nie wiem zbyt wiele. Jedyne co udało się ustalić to fakt, że za jego powstaniem stoi hiszpański gitarzysta **Tino Hevie**, który w latach 2002 - 2018 udzielał się w innym hiszpańskim power metalowym projekcie **Darksun**. Aktualnie status **Darksun** jest nieznany, więc być może **Hevie** kontynuuje swoją karierę właśnie z **Reveal**. Do zespołu zaproszeni zostali szwedzki woka-

lista **Rob Lundgren**, który swoją popularność zdobył na swoim kanale YouTube, gitarzysta **David Figueiras** kolega **Tino** z **Darksun**, kolejnym jest basista **Jorge Ruiz**, obsługująca klawisze **Helena Pinto** oraz perkusista **Dani Cabal**. Muzycznie jest to typowy melodyjny heavy/power metal, lecz na konkretnym i solidnym poziomie. Przynajmniej jest tak na "**Still Alive**". Nie ma w nim zbyt wiele słodzenia i natrętnych klawiszy, jak już to w odpowiednich proporcjach, które nie niszczą przywództwa gitar. Kompozycje są dość ciekawe, każda ma swój pomysł i melodie, ale też trochę się w nich dzieje, niemniej nie przekracza to pewnej bezpośredniości i witalności. Słuchacz nie łapie się na tym, że chętnie przyjrzałby się strukturze kompozycji, jak to jest w progresywnych produkcjach. Najciekawszym momentem wydaje mi się doskonale wymyślony i zagrany "***World Full Of Wonders***". Naprawdę piękna chwila tego krążka. Natomiast przy "***Not Look Back***" muzyka wydaje się dość niemrawa. No ale mogę się mylić, bowiem muzycy **Reveal** wybrali go na jeden z singli. Niestety nie ma w tych utworach iskry, która by słuchacza porwała, dlatego jednie wspominałem o solidności i rzetelności tego albumu. Taką ocenę podtrzymuje nie najlepsza jakość plików promo, nie brzmią one najlepiej i mogą zakłamywać na niekorzyść muzyki ze "**Still Alive**". Niestety ostatnimi czasy tak bywa. Niemniej mam przekonanie, że na płycie będzie to brzmiało dobrze. Podobną pewność mam co do wykonania, instrumentaliści na tej płycie wykonują znakomitą robotę. Produkcja ułatwia to docenić, bowiem każdy instrument słyszymy doskonale. Niestety nie wiem, w czym tkwi sekret sukcesu **Roba Lundgrena**, owszem ma niezły głos, dobrze nim się posługuje, ale nie słyszę jakiś wokalnych fajerwerków. Po prostu kolejny dobry wokalista na melodyjnej power metalowej scenie. Myślę, że fani **Powerwolf** czy **Orden Ogan** itp. powinni zainteresować się **Reveal**. (3,5)

\m/\m/

Rogue Male - Hard Case

2021 RM2K

Rogue Male powstał w roku 1983 w Londynie i wywodzi się z nurtu NWOBHM. Do tej pory wydał następujące płyty: "**First Visit**" (1985), "**Animal Man**" (1986), "**Belfast**" (1986), "**Nail It**" (2009), "**Hard Case**" (2021). Na "**Hard Case**" odnajdziemy współczesne podejście do dość specyficznego nastawienia do muzyki Brytyjczyków, bowiem ich

muzyka to dość prosta mieszanka hard rocka, glam rocka/metalu, punk rocka i heavy metalu. Dziwna to mikstura, ale powiem szczerze przy dobrym nastawieniu, całkiem fajna do słuchania. Wszystko niby od czapy, ale w tych dziesięciu kawałkach każdy element kompletnie siedzi na miejscu. Surowe i dość hałaśliwe riffy miło chlastają uszy, ciężka, ale prąca do przodu sekcja rytmiczna, sprawnie napędza całość, a wrzaskliwy głos **Jim Lyttle** wciąga w zabawę niczym rozgorączkowany wodzirej na weekendowej potańcówce. Najciekawsze z tego wszystkiego jest to, że te kawałki to różne odrzuty i single, a sprawiają wrażenie, jakby były specjalnie przygotowane na ten konkretny krążek. Generalnie nie mogę się przyczepić do żadnego z nich, każdy ma w sobie to coś. Nawet leżą mi covery "***Motorbikin'***" i "***Rawhide***" (motyw przewodni do serialu telewizyjnego, westernu z 1959 roku). Ten drugi prześwietnie zaaranżowany. Poza tym mimo tak wielkiej różnorodności album jest bardzo spójny, nie tylko pod względem programu płyty, ale także pod względem brzmieniowym. Dość dziwna sytuacja, bo "**Hard Case**" naprawdę mnie wciągnął i w sumie chcę więcej. Mam nadzieję, że muzycy tworzący **Rogue Male** sprostają wyzwaniu i w najbliższym czasie zaskoczą nas przynajmniej kilka razy nowymi albumami. (4,7)

\m/\m/

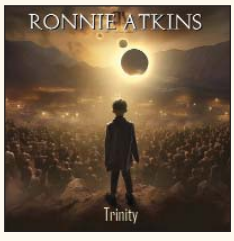

Ronnie Atkins - Trinity

2023 Frontiers

Wokalista **Pretty Maids** walczy z chorobą i nagrywa kolejne płyty. Co ważne, głos ma wciąż jak dzwon: szkoda tylko, że świetne utwory, takie jak kojarzący się z jego macierzystą formacją "***Ode To A Madman***", dynamiczny "***Godless***" czy kojarzący się z **AC/DC** "***If You Can Dream It***", przedziela popowymi potworkami. Numeru tytułowego po prostu nie da się słuchać, a otwiera on płytę - tyle, że głos nadal jak żyleta, bo cała reszta poniżej krytyki. Na szczęście te inne, lżejsze kawałki, które przeważają w drugiej części płyty, są znacznie bardziej udane, by wspomnieć tylko "***Sister Sinister***" czy "***The Unwanted***", ale i tak jak dla mnie to part 2 "***Trinity***" to przede wszystkim orientalizujący "***Shine***" i piękna ballada "***What If***". Dlatego, chociaż uwielbiam **Pretty Maids** i głos **Atkinsa**, to jednak tę płytę odpuszczam, bo nie zadbano o jego należytą, muzyczną oprawę. (3)

Wojciech Chamryk

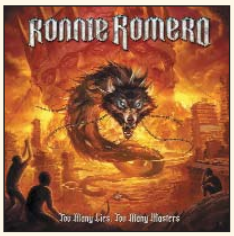

Ronnie Romero - Too Many Lies, Too Many Masters

2023 Frontiers

Ronnie Romero znamy ze znakomitego heavy/power metalowego **Lords of Black**, który współtworzy do dzisiaj. Niemniej rozgłosu dała mu współpraca z **Ritchie Blackmorem** i współtworzenie nowego wcielenia **Rainbow**. Co prawda do tej pory **Rainbow** zarejestrował z nim tylko albumy koncertowe, ale nadzieja na płytę studyjną ciągle się tli. Poza tym **Ronnie** zaangażował się w projekt **Elegant Weapons**, gdzie udziela się również **Richie Faulkner** (aktualnie Judas Priest). Poza tym wspierał **Adriana Benegasa**, projekt **Destinia** i wiele innych gdzie śpiewał głównie gościnnie. Oprócz tego zaczął nagrywać muzykę pod własnym imieniem i nazwiskiem. Zaczęło się w roku 2022, wtedy **Froniers Records** wydało krążek "**Raised on Radio**" zbioru hardrockowych coverów w interpretacji **Ronniego**. W początku bieżącego roku na światło dzienne wyszła kompilacja z coverami, "**Raised on Heavy Radio**", na której to **Romero** skupił się na klasykach heavymetalowych. No i w końcu doczekaliśmy się w pełni autorskiego albumu omawianego właśnie "**Too Many Lies, Too Many Masters**". Znalazło się na nim dziesięć kompozycji utrzymanych w konwencji melodyjnego i trochę lżejszego heavy metalu, gdzie możemy odnaleźć sporo odniesień do hard rocka z lat 70. Odnoszę wrażenie, że **Romero** nie zależało na jakimś bardzo chwytliwym i bezpośrednim krążku, a raczej na kompilacji dobrze wymyślonej i zaaranżowanej muzyki, tam, gdzie coś się dzieje, zmieniają się tempa, klimaty i emocje. Dlatego wszystkie utwory są różnorodne i inne w przekazie. Owszem **Ronnie** nie zapomina o melodii, które zresztą zapadają w pamięci, ale tym razem położono nacisk, aby znaleźć pewną równowagę z innymi elementami muzyki granej pod szyldem **Ronnie Romero**. Płytę rozpoczyna szybki, przestrzenny i bardziej heavymetalowy, w klimacie lat 80. i z lekkimi naleciałościami **Rainbow**, "***Castaway On The Moon***". Za nim następuje wolniejszy i bardziej hard rockowy "***Mountain Of Light***". Sporo w nim aury **Dio**. Natomiast "***I've Been Losing You***" to już bardziej balladowy, melodyjny rock z pewnym AOR-owym odniesieniem. Tytułowy "***Too Many Lies, Too Many Masters***" to już dynamiczny kawałek, wręcz heavy/power metalowy w klimacie lat 80. Sporo w nim odniesień do **Dio** i **Rainbow**. Za nim mamy "***Girl, Don't Listen To The Radio***" dynamiczny hard'n'heavy, bardzo mocno uwodzi swoimi riffami. "***Crossroad***" to wolniejszy utwór, acz ciągle dynamiczny i oparty na bluesie. Bardzo mi to kojarzy się z **Davidem Coverdale** i **Whitesnake**, ale tego z lat 70. Wraz z "***Not Just A Nightmare***" wracamy do kawałka szybkiego, chwytliwego i bezpośredniego w konwencji heavy metalu a la lata 80. Chyba najlepszy moment na tej płycie. Niestety zaraz za nim jest chyba największe rozczarowanie na tym krążku, a mianowicie chodzi o song "***A Distant Shore***", który jest bardzo popowy i utrzymany w stylu melodyjnego rocka/metalu oraz AOR-u. Całe szczęście następna jest kompozycja "***Chase By Shadows***", chyba najbardziej pomysłowa, hard rokowa, wolniejsza, mroczna i w klimacie **Dio**. Album zamyka najszybszy, motoryczny, bardzo heavy i z pazurem "***Vengeance***". Bardzo mocny i wyraźny akcent na koniec. Wykonanie jest niezłe, fakt czasami instrumentaliści zahaczą o schematy, ale ogólnie brzmi to dobrze. Śpiew **Ronnie Romero** jest ciągle na poziomie, choć słyszałem go w lepszej formie. Także fani głosu **Ronnie Romero** mogą spokojnie sięgnąć po "**Too Many Lies, Too Many Masters**" (3,7)

\m/\m/

Ross The Boss - Legacy of Blood, Fire & Steel

2023 AFM

Nie mam pojęcia, po co komu ta kompilacja. **Ross The Boss** wydał cztery albumy studyjne, a nie czterysta. Fani powinni zaopatrzyć się w egzemplarze "**New Metal Leader**" (2008), "**Hailstorm**" (2010), "**By Blood Sworn**" (2018) oraz "**Born of Fire**" (2020). Fizyczne wydania są dostępne. Skoro chcemy

posłuchać dwunastu utworów wskazanych przez **Rossa** jako jego ulubione, to słuchajmy tych kawałków z oryginalnych longplayów, a po co je słuchać z opłaconej kompilacji? Zwłaszcza, że owa kompilacja ukazuje się przede wszystkim w postaci cyfrowej, a egzemplarze winylowe są limitowane. Za praktycznie te same pieniądze co kompilacja na winylu, można dostać cztery oryginały na CD. Co mam oceniać w tej recenzji? Przecież nie będę punktować kompilacji na podstawie muzyki, bo ta muzyka pochodzi z pełnych albumów, a tutaj została tylko powtórzona. To trochę tak, jakby ktoś już został oceniony za kreatywną pracę, a następnie z tą samą pracą, ale podpisaną inaczej, przyszedł do oceny ponownie. **Yngwie Malmsteen** chociaż udaje, że cokolwiek zmienia. Poza tym, "**New Metal Leader**" i "**Hailstorm**" zostały nagrane przez zupełnie inny zespół niż "**By Blood Sworn**" i "*Born of Fire*" - obie formacje łączy jedynie postać gitarzysty, a więc ta składanka to nic niewnoszący split. Rozumiem, że nie pojawił się żaden niepublikowany dotąd utwór, dlatego że **Ross** wybrał najlepsze, co posiadał i prawdopodobnie uznał, że jeszcze nie nadszedł właściwy czas na pokazanie światu jedynego ukończonego kawałka skomponowanego z obecnym składem. Nie ma premierowego materiału, to nie powinno być płyty. Jak na składankę, ta jest przeciętna, czyli wystawiam: (3)

Sam O'Black

Royal Hunt - Dystopia Part 2
2022 NorthPoint

Duńczycy nie elektryzują już słuchaczy tak wybornymi płytami jak choćby "**Paradox**" czy kilka innych z przełomu wieków, ale wciąż mają coś do powiedzenia. W ubiegłym roku nagrali część drugą koncepcyjnego albumu, opartego na klasycznej powieści science-fiction "**Fahrenheit 451**" **Raya Bradbury'ego**, u nas wydanej pod tytułem "**451° Fahrenheita**". Jej dystopiczną wymowę zespół podkreśla już w tytule płyty, ale część druga jako całość jest słabsza od poprzedniczki. Poszczególnym kompozycjom brakuje rozmachu, są zbyt schematyczne, mimo oczywistego tu wysokiego poziomu wykonawczego, bo jednak **Royal Hunt** to marka sama w sobie. Zespół za bardzo bazuje jednak na ogranych powerowo/progresywno/symfonicznych patentach, coraz bardziej grzęznąc w rozwiązaniach ogranych do bólu na iluś innych płytach, tych z logo **Royal Hunt** również, czego najlepszymi przykładami są 14-minutowy "***Scream Of Anger***" czy patetyczna ballada "***Left In The Wind***". Nie chciałbym być źle zrozumiany: to wciąż poziom nieosiągalny dla wielu innych zespołów, ale gdyby nie kilka zapamiętywalnych melodii z "***Live Another Day***" na czele, porywające solówki gitarowo-klawiszowe (tu wyróżnia się "Thorn In My Hearts") czy ponowny udział w tym projekcie gościnnie śpiewających **Matsa Levéna**, **Marka Boalsa**, **Henrika Brockmanna**, **Kenny'ego Lübcke** i **Alexandry Andersen**, "**Dystopia Part 2**" nie miałaby czym się bronić, bo i wokalista **D.C. Cooper** zdaje się być w słabszej niż zwykle formie. Liczę jednak, że to chwilowy spadek formy, bez związku z długim stażem i związanym z nim wypaleniem. (3)

Wojciech Chamryk

Sadistic Messiah - Dehumanizing Process
2022 Thrash Or Death

Sadistic Messiah powstał w roku 2018 w brazylijskim Sao Paulo. Kierowany jest przez gitarzystę **Rhodz Costa** i wokalistę **Hellish Angelcorpse**. Ten duet odpowiada za dwa pierwsze albumy "**High Voltage Demons**" (2019) i "**Dehumanizing Process**" (2022). Aktualnie to prawdopodobnie zespół działający w pełnym składzie, czyli kwartet. Na "**Dehumanizing Process**" mamy osiem kawałków i 35 minut muzyki, która oparta jest o brazylijski thrash (albo thrash/death, jak kto woli) z drugiej połowy lat 80. z **Sepulturą** na czele. Znajdziemy też wpływy Europejskie w postaci **Kreatora**, a także **Venom**. Niestety płyta mnie bardziej umęczyła, niż zainteresowała. Brazylijczycy dość dobrze trzymają się swoich old-schoolowych inspiracji, czasami nawet czymś tam zabłysną, ale jak dla mnie zbyt wiele wszelkiej maści kopii, a za mało własnego charakteru. Niemniej nie mogę odmówić im zaangażowania, woli i determinacji. Myślę, że trzeba bardziej się przyłożyć, aby zaistnieć na tym poletku. Konkurencja jest ogromna i zdaje mi się, że w swych poczynaniach jest lepsza od **Sadistic Messiah**. Przynajmniej kilka kapel. Niemniej przypuszczam, że najbardziej szaleni maniacy nie odpuszczą tej kapeli i z upodobaniem będą katować "**Dehumanizing Process**". No cóż, ich małpy, ich cyrk. (3)

\m/\m/

Satans Fall - Destination Destruction
2023 Steamhammer/SPV

Fiński **Satans Fall** to ekipa z nurtu NWOTHM, która przede wszystkim stawia na heavy/speed metal. A po przesłuchaniu ich najnowszego "**Destination Destruction**" mam przeświadczenie, że skierowali się w podobnym kierunku, co **Enforcer**, **Tailgunner** itd. czyli formacje, które pozostały wierne swojej stylistyce, ale postawiły na melodyjność i przebojowość. Już rozpoczynający "***Lead the Way***" komunikuje nam, z czym będziemy mieli do czynienia, czyli z razowym heavymetalowym hitem utrzymanym w klimacie lat 80. Zresztą ten kawałek to singiel, który ogólnie wprowadzał "**Destination Destruction**" na rynek. Kolejny "***Garden of Fire***" wydaje się jeszcze bardziej przebojowy i melodyjny, ale jest równie dynamiczny. Oprócz klimatu lat 80. i bardziej współczesnego NWOTHM sporo w nim odniesień do **Iron Maiden**. W następny "***Swines For Slaughter***" sporo się dziej, ma też on swój klimat, taki leciutko epicki, ale za nic nie rezygnuje z melodii. Najdłuższa kompozycja "***Monster's Ball***" to już heavymetalowe dzieło utrzymane w średnim tempie, w którym mieszają się elementy epickie i balladowe. W tym wypadku mocno kojarzy mi się on z dokonaniami **Saxon**. "***Afterglow***" to w miarę prosty i szybki kawałek, z fajnymi riffami, jednak wciąż jest to melodyjny hicior. "***No Gods, No Masters***" również epatuje oldschoolem i latami 80. Natomiast "***Kill The Machine***" przypomina rozpędzone kawałki **Iron Maiden** z początku ich kariery. Podstawowy album zamyka kompozycja "***Dark Star***", mocno klimatyczna z posmakiem epiki. Płytę zamykają dwa utwory bonusowe. Pierwszy "***Es Wird Viel Passieren***" to cover, który był tematem przewodnim niemieckiego serialu telewizyjnego "**Marienhof**". Natomiast "***Go Go Power Rangers***" to temat przewodni innego serialu, tym razem amerykańskiego, "**Power Rangers**". O dziwo oba covery są zrobione według muzycznej wizji "**Upadłegoszatana**" i bardzo pasują do zespołu i w ogóle do płyty "**Destination Destruction**". Album jest zagrany wyśmienicie, w warstwie instrumentalnej słychać niesamowitą pasję i znakomity warsztat. Gitary zachwycą fanów lat 80, panowie **Tomi Mäenpää** i **Ville Koskinen** stanowią bardzo zgrany duet. Myślę, że bez takiego podejścia Finów utwory na tej płycie tak dobrze by nie zabrzmiały. Wokal **Miika Kokko** dodaje pikanterii, jego szorstki, drapieżny, czasami krzykliwy, ale cały czas melodyjny głos można zaliczyć do jednych z ciekawszych w nurcie NWOTHM. Produkcja też jest wyśmienita, jakby nie było za mastering odpowiadał sam **Mika Jussila** i jego **Finnvox Studios**. Trochę nietypowa jest sama okładka, bardziej pasuje ona do jakieś kapeli death metalowej. Niemniej biorąc pod uwagę tematykę albumu, którego początek bierze się z wątku ostatniego utworu poprzedniej płyty "**Final Day**" wiele wyjaśnia genezę tego obrazka. No cóż, "**Destination Destruction**" to wyśmienita sprawa dla fanów NWOTHM oraz ogólnie oldschoolowego heavy metalu. (4,5)

\m/\m/

Scarecrow - The Plague Parade
2021 Scream

Niemiecki **Scarecrow** postał w 2015 roku. Założyli go gitarzysta **Matthias Schorp**, basista **Simon Schorp**, perkusista **Tobias Wehrle** i wokalista **Damon Fry**. Wystartowali w roku 2016 EP-ką "**A Murder Of Crows**". Album "**The Plague Parade**" jest wydawnictwem z roku 2021, na którym formację wspiera już nowy perkusista **Tommy Hauser**. W tym roku ukazała się kolejna publikacja grupy, EP-ka "**Welcome to the Family**". Na "**The Plague**

Parade" znajdziecie mieszankę, rocka, hard rocka i heavy metalu, leciuchno podsypanego rock'n' rollem czy innym post punkiem. Kompozycje choć zgrabne, konkretne, głównie dynamiczne to, są zbyt schematyczne, mało urozmaicone i powielają pomysły, które już wielokrotnie sprawdziły się w takiej muzyce. Sytuację trochę ratuje, bardziej współczesne podejście do trzech aspektów: tworzenia kawałków, nosowego śpiewania oraz brzmienia. W ten sposób przynajmniej fani obecnych odmian hard rocka mogą być zadowoleni. Niestety taki gościu jak ja, jest dość obojętnie nastawiony do propozycji muzyków **Scarecrow**. Odbioru płyty nie ratuje przystępnie napisany kawałek "***Cruel Summer***" czy w miarę intrygujący i trochę wolniejszy "***Childhood's End***". Nie pomaga też sprawne odegranie partii instrumentów, czy ogólnie dobra produkcja. Także jakby ktoś szukał w **Scarecrow** starych dobrych hard rockowych klimatów to, niech omija ten zespół z dala. Natomiast ci, co wolą bardziej współczesne podejście do takiego melodyjnego rockowo/hard rockowego grania to, mogą spróbować sprawdzić dokonania tej ekipy. (3)

\m/\m/

Sentry - Promo 2023
2023 Self-Released

Nieważne jak bardzo Panowie z **Sentry** staraliby się zaznaczyć swoją niezależność i dystansowaliby się od twórczości **Manilla Road**, to i tak pewnie nigdy nie uciekną od takich porównań. W dodatku, że wydana przez nich EP-ka póki co raczej nie przecina pępowiny łączącej ich z tym kultowych zespołem. Albowiem w **Sentry** gra trzech muzyków z ostatniego składu **Manilla Road**: wokalista **Bryan Patrick**, basista **Phil Ross** oraz perkusista **Neudi**. Jedynym członkiem, który tam nie grał jest gitarzysta **Kalli Coldsmith**. Co ciekawe kompozytorem w **Sentry** jest właśnie on, więc przynajmniej w teorii ich muzyka powinna się różnić do twórczości **Sheltona**. Przejdźmy teraz do podstawowej kwestii dotyczącej tego wydawnictwa. To tylko dwa kawałki - trudno więc jest na tej podstawie jednoznacznie określić tożsamość zespołu. Na pewno powie nam więcej pełna płyta, która ma się ukazać w pierwszej połowie 2024. Teraz trudno jest cokolwiek stwierdzić oprócz tego, że w nasze ręce wpadły dwa całkiem udane utwory. Pamiętajmy o tym, że jest to promo, i taki jest właśnie cel tego wydawnictwa. To jak puszczenie wici do wytwórni, promotorów i dziennikarzy, że coś się dzieje. Być może nawet coś wielkiego, ale coś co póki co zostaje tylko w strefie domysłów. Oczywiście warto posłuchać tych kawałków, żeby zobaczyć co tam chłopaki wykombinowali, w dodatku, że zajmie to tylko niecałe 12 minut z waszego życia. Kolekcjonerzy demówek i unikatowych wydawnictw, pewnie nawet połakomią się na wersję fizyczną, ponieważ zespół wypuścił tylko 200 CD i 100 kaset z czego większość pewnie zostało wysłane do ludzi z branży na całym świecie. Dobrze, a jakie są te dwa kawałki? Pierwszy to "***Heavensent***" opowiadający o ułożeniu ciał niebieskich w noc śmierci **Marka Sheltona**. Dobry, elegancki wręcz dystyngowany utwór stosowny do swojej tematyki. Drugi to "***Black Candels***", rytmiczny, powolny i złowieszczy z bardzo ciekawym przyśpieszeniem na końcu, gdzie **Neudi** daje imponujący popis swoich perkusyjnych umiejętności. Myślę, że jeżeli chodzi o muzykę **Sentry** będziemy mądrzejsi w przyszłym roku kiedy wyjdzie pełna płyta. Na niej też będę znajdować się te dwa utwory i wtedy usłyszymy je w pełnym kontekście. Teraz póki co mamy małą zajawkę, taki amuse-bouche przed głównym posiłkiem. Bo nie jest to nawet przystawka tylko właśnie takie czekadełko, które ma nam zapełnić i uprzyjemnić czas czekania. Póki co bez punktacji, dopiero jak będzie pełna płyta to wtedy pokuszę się o ocenę.

Grzegorz "Greg" Putkiewicz

Silverfeet - Take This
2023 Self-Released

Mamy na tej niby EP-ce istny groch z kapustą: różne odmiany metalu, alternatywny rock, punka, nawet pop. Nie za bardzo dostrzegam sens w nagrywaniu takich materiałów, tym bardziej, że warsztat muzyków jest taki sobie, a wokalista **Marcus Spencer** po prostu słaby. Potwierdza to już na samym początku, w na poły balladowym "***In Flames***" oraz w koślawej próbie grania metalu z lat 80., zatytułowanej "***My Dark Room***". Utwór tytułowy na tym tle nawet ujdzie, ale co z tego, kiedy w następnym z kolei "***I'll Never Know***" **Silverfeet** dokonują artystycznego samobójstwa, "wzbogacając" dynamiczny, metalowy numer akcentami pop/alt rock. Dlatego najciekawszy z tych pięciu utworów "***Bipolar***" nie jest tu niczego w stanie zmienić, według mnie ten zespół nie ma żadnych perspektyw. (1)

Wojciech Chamryk

Sinheresy - Event Horizon
2023 Scarlet

Sinheresy to włoska ekipa ze sceny melodyjnego symfonicznego power metalu z panią za mikrofonem. Zespół działa od roku 2009, a "**Event Horizon**" jest ich czwartym pełnym studyjnym albumem. Muzyka niczym się zbytnio nie wyróżnia na tle dziesiątków, setek albo i większej ilości podobnych kapel. Do swojej muzyki wprowadzili trochę więcej nowoczesnych brzmień, głównie chodzi o gitary i sekcję, a panią **Cecilie Petrini** i jej piękny głos wspiera **Stefano Sain**, a to zwykłym śpiewem, a to growlem. Oczywiście patent nie jest nowy i dość często wykorzystywany przy właśnie takiej muzie. Muzycy **Sinheresy** dość sprytnie lawirują między wspomnianą nowoczesnością, a bardziej tradycyjnym podejściem do symfonicznego power metalu. Daje to nawet ciekawy efekt. Zresztą w muzyce Włochów, dzieje się dość sporo, od zmian temp i klimatów po łączenie różnych tematów muzycznych i melodii. Bywa, że takie zabiegi mają posmak progresywnego melodyjnego metalu. Dużo w tym zaangażowania, pomysłowości, talentu, emocji oraz umiejętności. Także kompozycje nie dość, że są melodyjne i bezpośrednie, to jeszcze niosą w sobie wiele różnorodności i inwencji. Wszystko to podkreśla spory potencjał tego zespołu, a fani takiego grania mogą nawet zachwycić się zawartością "**Event Horizon**". Zresztą zachęcam ich do sprawdzenia tej płyty samemu, bowiem ja, ze względu na moją przypadłość, jakoś nie potrafię ekscytować się takimi dźwiękami i brzmieniami. Po prostu większość takich krążków jest dla mnie taka sam i nie wychodzi poza przeciętność. (3,5)

\m/\m/

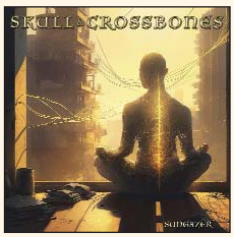

Skull & Crossbones - Sungazer
2023 Massacre

Informacja o debiucie **Skull & Crossbones** mocno mnie zainteresowała, a to dlatego, że grupę tę współtworzy czterech byłych muzyków **Stormwitch**. Ze starego zaciągu basista **Jürgen Wannenwetsch** oraz z nowszego perkusista **Marc Oppold**, a także gitarzyści **Volker Schmietow** i **Tobi Kipp**. Z tym że **Marc Oppold** to żaden młodzieniaszek, bo w latach 80. działał w innej niemieckiej legendzie **Tyrant** (reaktywowała się w roku 2020). Po drodze kątem oka zauważyłem porównania zespołu do **Dio**, **Accept**, **Saxon**, **Iron Maiden**, więc nawet lekko się podekscytowałem. Niestety to był błąd, że uwierzyłem w te opinie. Nie powiem, z pewnością inspiracje i skojarzenia wędrują w stronę wspomnianych kapel, ale muzycy **Skull & Crossbones** mają inne podejście do takiego grania, zdecydowanie łagodniejsze, co bardziej ich muzykę zestawia z heavy/power metalem w stylu **HammerFall** niż herosów heavy metalu. Nie jest to zarzut, ale przez to nieporozumienie straciłem parę odsłuchów, zanim muzyka **Skull & Crossbones** z ich debiutu "**Sungazer**" zdołała przemówić do mnie. A jak człowiek wie, z czym się mierzy to zupełnie inaczej, bardziej pozytywnie, podchodzi do całej sprawy. Dostrzega wtedy świetne riffy i nie najgorsze gitarowe partie, faktycznie mające wiele wspólnego z tymi z klasycznej zaszłości. Łatwiej jest spostrzec znakomicie skonstruowane kawałki, które są dość proste, ale za to potrafią zahaczyć pazurem, wciągnąć nośnym tematem i zauroczyć ciekawą melodią. Bardzo dobrze też wypada świeży nabytek, czyli wokalista **Tobi Hübner** (aktualnie współpracuje również z ekipą Forensick), który swoim tembrem i bardzo plastycznym podejściem do melodii znakomicie sprawdza się w melodyjnym heavy/powerze proponowanym przez **Skull & Crossbones**. Ogólnie **Tobi** stał się ważnym ogniwem tej grupy. Po prostu muzyka na "**Sungazer**" brzmi chwytliwie i przystępnie i później nie jest łatwo się od niej oderwać. Zaczyna się od melodyjnego, acz zadziornego "***Midnight***

Fire", co ogólnie dobrze nastawia do całego albumu. Tytułowy "***Sungazer***" zdaje się ciut agresywniejszy i bardziej konkretny. Za to "***Manhunter***" bardzo kojarzy się z klimatami lat 80. Może dlatego tak łatwo zagościł w mojej głowie. Natomiast w "***The Invisble Man***" znajdziemy więcej hard rocka. "***Tyrant's Rule***" zaczyna się niepozornie, lecz przechodzi w miły klasyczny ciężar. Podobne w wymowie są "***Nature's Legacy***" i "***Inner Self***", choć ten ostatni ma niesamowicie nośny temat. Natomiast "***Live Your Dreams***" to prawie "scorpionowska" ballada. "***The Drowned***" rozpoczyna się ciężkim riffem, przeskakuje w szybsze tempo i na nowo nastawia nas na konkretny klimat albumu. Zamykający utwór "***The Traveller***" zaczyna się jak heavy metalowy klasyk, ale z czasem przeradza się w charakterystyczną dla **Skull & Crossbones** łagodniejszą formę tego stylu, akcentując, z czym naprawdę teraz mamy do czynienia. W każdym momencie albumu instrumenty pracują naprawdę znakomicie, czuć zaangażowane instrumentalistów i próby pokazania się z najlepszej strony. Są to zdecydowanie udane partie. Nie inaczej jest z wokalistą, który oddaje charakter całego muzycznego przesłania "**Sungazer**". Ważnym detalem z pewnością jest fakt, że teksty dotykają "szczególnego rodzaju czarnej magii". No i brzmienia oraz produkcja są również dopasowane do ekspresji i wymowy całości albumu. Słowem **Skull & Crossbones** notuje udany debiut. (4,5)

\m/\m/

Sky Empire - Shifting Tectonic Plates of Power The - Part One

2023 ViciSolum Productions

Sky Empire to Brytyjski zespół, który swoją działalność rozpoczął w roku 2016. Do tej pory wydał dwa pełne albumy "**The Dark Tower**" (2018) i tegoroczny "**Shifting Tectonic Plates of Power The - Part One**". Muzyka zespołu opiera się na miksie metalu progresywnego i klasycznego prog-rocka, w dodatku podanego w bardzo techniczny sposób. Nie brakuje w nim też wirtuozerii. Niemniej formacja nie unika melodyjności i muzycznej otwartości także mimo gęstej i skomplikowanej muzyki kompozycje **Sky Empire** słucha się nie tylko z satysfakcją, a wręcz z przyjemnością. Można skusić się o stwierdzenie, że Brytyjczycy bardzo umiejętnie balansują na granicy właśnie tych dwóch wpływów. Przypomina to przede wszystkim **Dream Theater** i **Symphony X**, jednak jakby co inspiracji jest cała masa i dotyka wielu gigantów progresywnego grania i nie tylko. Utwory są głównie długie lub bardzo długie, pełno w nich różnych tematów muzycznych, melodii, zmian temp i nastrojów, nie brak w nich pasji, emocji, kontrastów, ale także kunsztu, umiejętności, no i ogólnie wyobraźni i geniuszu. Zresztą wystarczy odpalić pierwszą kompozycję, blisko piętnastominutową "***Prolegomenon: The Encomium Of Creation***", gdzie dzieje się tyle, że niektóre kapele nie wymyślają tyle pomysłów na płytę, a może na dwie. Jeszcze większy kolos jest na zakończenie, "***House Of Cards***" trwa ponad szesnaście minut, a ma się wrażenie, że trwa standardowe pięć minut i udanie utrzymuje przez cały czas ekscytacje i zainteresowanie słuchacza. Między tymi suitami są te krótsze kompozycje, jednak jeśli ktoś myśli, że mniej tam się dzieje to, jest w dużym błędzie. Technika, wariacje, pomysłowość, przeróżne i nie najłatwiejsze muzyczne konstrukcje, kłębią się w każdej chwili. Całe szczęście jest w tych utworach dużo melodii, co nie dość, że nadaje wyrazu całej muzyce, to jeszcze nadaje jej energie i witalność, także daje się tego słuchać. Najwięcej poczynają sobie tu gitary, gęste, mocne, metalowe, ale też subtelne progresywno rockowe. **Drazic Lecutier** prezentuje cały arsenał umiejętności gry na tym instrumencie, przy czym stara się nie gwiazdorzyć, choć zdarzyły się momenty, gdzie jego gra zalatuje **Malmsteenem**. Ważne dla gitary są klawisze, bywa, że oba instrumenty odważnie wchodzą w interakcję, ale ogólnie określiłbym, że gra **Toma Hobsona** na klawiszach należy do tych dyskretniejszych. Słychać go tam gdzie trzeba. Pisałem, że gitary są gęste, za to perkusista **Inaldo Ramos** to chyba nie potrafi zdzierżyć ciszy, a gdy gdzieś ją usłyszy, musi wtedy, choć szturchnąć któryś ze swoich bębenków. Także wraz z basistą **Tony'm Snowem** buduje bardzo kreatywną i wypasioną sekcję rytmiczną. Dużym atutem "**Shifting Tectonic Plates of Power The - Part One**" jest również śpiew nie byle kogo, bowiem samego **Jeffa Scotta Soto**. Swoim mocnym, acz ciepłym głosem oraz znakomitymi melodiami równoważy przepych dźwięków wytwarzany przez instrumentalistów. Oczywiście dobór brzmień oraz produkcja całego albumu jest na poziomie, na pewno te kwestie ułatwiają odbiór całej płyty. Generalnie to wydawnictwo jest dla maniaków technicznego grania i progresywnych dźwięków. (5)

\m/\m/

Slowburn - FireStarter

2023 Fighter

Slowburn to ekipa z Hiszpanii, a dokładnie z Madrytu, która powstała w roku 2015. W roku 2020 zadebiutowali albumem "**Rock 'n' Roll Rats**". Natomiast w bieżącym roku przyszedł czas na drugi studyjny krążek "**Fire Starter**". Ponoć muzycy **Slowburn** przyznają się do inspiracji **Queensryche** i **Judas Priest**. Gdzie indziej znalazłem, że ich inspiracje są szersze i zaczynają się od dokonań **Blackfoot** i **Van Halen** z lat 70. i sięgają po **Judas Priest** i **Megadeth** z okresu lat 80. Generalnie wszystkie te odniesienia są prawdziwe, bo Hiszpanie grają klasyczny, przestrzenny i bardzo różnorodny oraz plastyczny heavy metal ze sporymi odniesieniami do hard rocka. Przeważają szybkie i dość złożone kompozycje, w których muzycy uwielbiają mieszać tematami i zmianami temp, ale nie zapominają o chwytliwych melodiach i bezpośredniości swoich utworów. Bardzo dobrze nastawia nas do "**FireStarter**" pierwszy szybki i hałaśliwy utwór "***Psycho War***". W podobny sposób kończy się też cały album, równie szybkim i bezpośrednim "***The Price Of Liberty***". W miarę szybki, ale z wyraźnym pomysłem i niezłym riffem jest "***Exiled***". Z jeszcze lepszymi riffami atakuje nas "***The Beast***", ale utwór zakasuje głównie niesamowitym i dość mrocznym klimatem. W żwawym tempie utrzymany jest jeden z bardziej bezpośrednich kawałków tej płyty "***On Fire***". Utwór ten też bardzo dobrze nadaje się do skandowania na koncercie. Natomiast "***I'm Revenge***" należy do kompozycji, gdzie bezpośredniość ściera się z motywami, w których coś się zawsze dzieje. "***Two Years***" zaczyna się w klimacie dynamicznego rock'n'rollowego hair metalu, ale utwór przeradza się w rasowy heavy metalowy czadzior, choć do końca nie wyzbywa się tej glamowej estetyki. Natomiast w "***Touch the Sky***" odnajdziemy jasne inspiracje **Led Zeppelin** i te bardziej folowo-akutyczne i te dynamiczne hard rockowe. Innym może to kojarzyć się z **Kingdom Come**. Z "***Last Chance***" miałem najwięcej kłopotów, mimo że zawiera wszystkie walory muzyki **Slowburn**, to ciągle wydaje mi się kawałkiem co najwyżej przeciętnym. A w takim "***Falling***" choć rządzi heavy metal to przedziera się hardrockowy klimat **Whitesnake**. Tak jak zauważyliście, cały czas coś na "**FireStarter**" się dzieje, więc muzycznie jest bardzo dobrze. Wszystkie te pozytywy wyśmienicie podkreślone są poszczególnymi partiami muzycznymi. Partie gitary swoim warsztatem ocierają się o wirtuozerię, ale bardziej niż na technice opierają się na feelingu, talencie i wyobraźni. Na swojej inwencji oraz kreatywności swoje partie buduje również sekcja rytmiczna. Co ciekawe bas i bębny mają swoje brzmienie, ale cały czas zachowują wyrazistość. Bywa, tak jak w "***I'm Revenge***", że te instrumenty dostają swoje króciutkie indywidualne chwile. No i wokalista **Guillermo Munoz**, który ma mocny, wysoki, wrzaskliwy i lekko zachrypnięty głos ostatecznie nadaje kolorytu całej muzyce z "**Fire Starter**". Myślę, że **Guillermo** mógłby aspirować do grona najlepszych klasycznych śpiewaków. Niestety, mimo że nowe wydawnictwo Hiszpanów jest dobre, to nie mam pewności, że jakoś powojuje na scenie klasycznego heavy metalu. Niestety nowych płyt jest zatrzęsienie. (4,5)

\m/\m/

Sodom - 1982

2023 Steamhammer/SPV

Od momentu, gdy **Tom Angelripper** zdecydował się na zmianę składu w roku 2018, kiedy powrócił **Frank Blackfire** i zatrudnił młodszych muzyków. Tak jakby **Tom** nabrał dystansu do kariery, wyluzował, a nawet trochę spoważniał. Nie zapomniał, kim jest, ale jego poczynania mają więcej naturalnej mocy, więcej swobody, choć nie znaczy to, że pozbawione są zupełnie kontroli. No i unosi się nad tym nutka nostalgii. Tę nostalgię można było wyczuć w singlu "**1982**", który **Tom** zdecydował się wypuścić w 2022r. Teraz doszło do remiksu i ta wersja rozpoczyna nową EP-kę **Sodom**. "***1982***", to w zasadzie taki "motorhedowy-sodomowy"

heavy metal, który dopiero w końcówce nabiera thrashowego rozmachu. Odświeżone zostały "***Witching Hour***" z pierwszego demo **Sodom** o tym samym tytule z 1983r., "***Victims Of Death***" tym razem z drugiego demo o tym samym tytule z 1984r., oraz "***Equinox***", który znalazł się na pierwszym albumie **Sodom** "**Obsessed By Cruelty**" (1986). Wszystkie te kawałki to różne wcielenia tego samego zła, które zdradzają wielką fascynację od samego początku **Venom** oraz wyjaśniają, dlaczego **Sodom** poważają również fani death i balck metalu. Uzupełnieniem tej EP-ki jest utwór "***Let's Fight In The Darkness Of Hell***", który po raz pierwszy usłyszeliśmy na dodatkowym dysku "**40 Years at War - The Greatest Hell of Sodom**". Jest on w zasadzie takim pierwowzorem omawianej EP-ki, brakuje mu jedynie kawałka "***Equinox***". Brzmienie jest świetne, współczesne, ale oddają też dawny old-schoolowy klimat, tworząc dodatkowy atut tego wydawnictwa. Także zawartość omawianej EP-ki jest bardzo zacna. Poza tym bardzo mi odpowiadają te krótsze propozycje **Sodom**, zawsze dają w łeb, a człowiek się uśmiecha jak głupi do sera. (4)

\m/\m/

Sons Of Cult - Back to the Beginnings

2023 Fighter

"**Powrót do początków**" to osobliwy tytuł jak na album debiutantów. Coś musi być jednak na rzeczy, bo **Sons Of Cult** to mężczyźni (oraz jedna kobieta, grająca na basie Vicky Offidani) w sile wieku, a nie podlotki, które dopiero poznają uroki zapoconej salki prób. Niemniej jednak, mimo, że mamy do czynienia z debiutem, taryfy ulgowej nie będzie. Zespół pochodzi z Hiszpanii, konkretnie z Wysp Balearskich (to tam gdzie Ibiza). Grają, jakżeby inaczej, skoro trafili do naszego magazynu, heavy metal. Początek jest obiecujący, "***Fighters***" zagrzewa serduszko do boju, choć z frazesów w tekstach można się pośmiać. Bo czyż fragmenty w stylu "*fighters of metal, united hearts, fighters of metal, we'll never fall*" nie mają w sobie naiwnego uroku? W muzyce Hiszpanów jest sporo hard rocka i umiarkowanego, bujającego tempa. Wydaje mi się, że celem było to, aby propozycja grupy zabrzmiała majestatycznie. Momentami się to udaje, jak chociażby w "***Evil Trail***", w którym to utworze słychać echa grania w stylu **Grand Magus**. Odnoszę jednak wrażenie, że **Synowie Kultu**, mimo biegłości warsztatowej, nie zawsze trafiają we właściwe struny emocjonalne. Część zawartych na krążku utworów, brzmi w sposób wygładzony i za bardzo letni. Heavy metal powinien porywać szaleńczą energią albo skłaniać do zadumy. Tutaj udaje się to tylko momentami - mógłbym jeszcze wskazać na "***Always***" z "saxonowym" riffem i fajną solówką, trochę kojarzący się z **Dio** "***The Farewell Song***" czy nośny "***The Power of the Music***". Nie jestem jeszcze w stanie zająć stanowiska w sprawie głosu wokalisty. **Jaume Vilanova** niektórym kojarzy się z barwą jaką posiada **Ozzy Osbourne**. Osobiście nie słyszę wyraźnych podobieństw, ale przyznaję, że **Jaume** ma specyficzne, nieco przygaszony i "spokojny" tembr głosu. Nie jest to wokalista, którego wrzaski rozsadzą wasze głośniki. Jego styl może kojarzyć się z emocjonalnym chłodem, co jednak niekoniecznie musi być wadą. Śpiew **Jaume** dodaje muzyce **Sons Of Cult** sporo melancholii, która nawet jeśli niekoniecznie jest tym, czego w takim graniu poszukuję, pozwala traktować się jako atut. Reasumując, "**Back to the Beginning**" sprawia wrażenie płyty, której intencje są szczere, ale pozostaje nieco "*niedogotowana*". Znajduje się na niej jednak kilka na tyle satysfakcjonujących utworów, że jestem gotów ją polecić fanom mniej brawurowego heavy metalu. (4)

Igor Waniurski

Spectre - Lonesome Gambler

2023 Dying Victims Productions

Ta płyta ma dwa oblicza. Pierwsze nader pozytywne, mamy tu bowiem tradycyjny heavy metal całkiem niezłej jakości, muzykę niczym z przełomu lat 70. i 80. "**Lonesome Gambler**" to formalnie EP, ale w wersjach kompaktowej i kasetowej mamy aż pięć utworów bonusowych, znanych już z wcześniejszych singli tego australijskiego projektu. "***Hero Of The Illusion***" nieprzypadkowo otwiera całość - trademarkowe unisona, dyskretne klawiszowe tła, dynamiczna sekcja, fajna solówka - aż przypominają się dawne czasy, kiedy chłonęło się taką muzykę przy każdej okazji, z fal eteru, przegrywanych, a później pirackich kaset czy nielicznych longplayów. Niczego sobie jest też numer tytułowy, a "***Turning The Wheel***" to całkiem udana wariacja na temat **Black Sabbath** A.D. 1973, czyli tego wciąż hard, ale też i nieco progresywnego. Z dodatków zaciekawił mnie "***The Black Jewel***", ni to heavy rock, ni doom metal, z kolei "***Silver Invaders***" ma w sobie coś z dynamiki **Motörhead**, a całość "**Lonesome Gambler**" jest też po prostu bardzo melodyjna, co również zapisuję na plus. Minus jest jeden, ale znaczący: **Will Spectre** radzi sobie z gitarą i nie tylko, ale o śpiewaniu powinien zapomnieć jak najszybciej, bo nie ma do tego żadnych predyspozycji. Aż dziwne, że nikt mu tego nie powiedział, nawet jeśli sam jest tak w siebie zapatrzony, że tego nie dostrzega. Byłoby znacznie lepiej, ale za całość tylko: (3)

Wojciech Chamryk

Starmen - Starmenized

2023 Melodic Passion

To już czwarty album szwedzkich rockerów i w widniejącym na jego okładce haśle "swedish hardrock sensation" nie ma nawet cienia przesady. Starmen z każdą kolejną płytą udoskonalają formułę melodyjnego hard'n'heavy; inspirują się co prawda **Kiss**, **Whitesnake** czy **Def Leppard**, ale czynią to z wdziękiem, wręcz klasą. Teraz dorzucili do tej palety również **Rainbow** - ultraprzebojowy opener "***Liar***" mógłby spokojnie trafić na któryś z longplayów tej formacji z lat 80. Zdecydowanie przeważają jednak wpływy **Kiss**, nie tylko z racji podobieństw w sferze image, bo słuchając "***Rockstar***", "***Tears Never Dry***" czy "***Black Moon Rising***" naprawdę można zastanawiać się, czy aby nie śpiewa w nich **Paul Stanley**, tylko o jakieś 40 lat młodszy. Utworów jest tu 10 i praktycznie każdy z nich to potencjalny przebój, bo nośnych refrenów i chwytliwych melodii w nich nie brakuje, tak jak w piekielnie przebojowym "***Just A Stranger***" czy w balladzie "***I Die For You***". Niektórym, jak "***Word Up (We All Bleed Red)***" czy "***Radioactive***" z charakterystycznym motywem syntezatora, bliżej do popu/AOR lat 80., ale są też wycieczki w stronę klasycznego rocka, jak w mocniej brzmiącym utworze tytułowym. Tak czy owak, płyta to warta uwagi. (5)

Wojciech Chamryk

Starstrike - Legacy Or Destiny

2022 Golden Core

Starstrike to nowa nazwa na niemieckim rynku tradycyjnego heavy metalu. Oczywiście ze względu na pochodzenie zespołu mocno nawiązuje on do old-schoolowego niemieckiego power metalu, ale równie istotnie odnosi się do heavy metalu typu **Judas Priest**, **Saxon**, **Iron Maiden** czy **Accept**. Jest także sporo hard rocka, rock'n'rolla, a także odniesień do rocka. Zmiękcza to ostateczny wyraz muzyki **Starstrike**, co przypomina trochę młode zespoły, jak **Roadwolf** czy **Tailgunner**. Także bardziej powinno pisać się o tym projekcie jako o przedstawicielach heavy/power metalu nawiązującego do lat 80. Muzycy tworzący tę ekipę mają już doświadczenie, dwóch z nich współtworzy aktualnie **Mass** (perkusista Andreas Gmeinwieser, wokalista Matthias "Wauxl" Pfaller), a trzeci przez jakiś czas wspierał **Paradox** (gitarzysta Martin Buchmann). Dlatego nie powinno nas dziwić, że potrafią oni zapodać całkiem fajny riff, zagrać wpadające w ucho solo czy ciekawie popracować gitarami. **Wauxl** również daje sobie radę, potrafi swoim głosem przykuć uwagę, ba czasami zabrzmi jak **Dickinson** czy **Sammet**. Jednak z kompozycjami nie jest już tak dobrze. Jest w nich potencjał, jest pomysł, są różnorodne, jednak brakuje tego ostatecznego rysu czy piętna. Mimo że znajdziemy w nich sporo melodii, bezpośredniości, a nawet takiej fajnej prostoty to, żadna jakoś nie porywa. Nawet te kawałki, które mi wpadły w ucho, a mam na myśli "***Time***" z "saxonowsko-malsteenowskim" posmakiem, czy "***Serching For a Sign***" z wyeksponowanym zarysem germańskiego power metalu. Mam też wrażenie, że płyta nie jest do końca dobrze zmiksowana. Być może przez to jest ten nie najlepszy odbiór kawałków, które znalazły się na "**Legacy Or Destiny**". Niemniej chciałbym, żebyście sprawdzili ten zespół i ich debiut, szczegól-

nie fani bardziej melodyjnego, acz bezpośredniego i dynamicznego tradycyjnego heavy metalu (z różnymi niewielkimi wpływami). Myślę, że **Starstrike** trzeba dać szansę. (3,7)

\m/\m/

Stygian Fair - Aradia
2023 Rockshots

Stygian Fair pochodzi ze Szwecji i działa od roku 2013 a "**Aradia**" jest ich czwartym albumem studyjnym. Znajdziemy na nim dziesięć kompozycji utrzymanych w stylu hard'n'heavy. Powiem szczerze, pierwsze zetkniecie z ich muzyką, przyniosło wręcz negatywne wrażenia. Na "**Aradia**" od samego początku Szwedzi nastawieni są na posępne, ponure, jednostajne, jednorodne kompozycje, które zlewają się w jedną masę, w której z trudnością rozeznać się jakiego utworu właśnie słuchamy. Ma to klimat, który może kojarzyć z kompozycjami **Dio**, tymi późniejszymi, ale **Dio** i jego kumple byli mistrzami w budowaniu takiej atmosfery. Z każdym odsłuchem album zyskuje, ale nigdy do końca nie pozbywamy się tych pejoratywnych odczuć. Zmiana nastawienia do "**Aradia**" przychodzi dość późno, bo dopiero w siódmym kawałku "***Unto Oblivion***", który ma w sobie trochę błysku heavymetalowego, przez co utwór jest bardziej otwarty oraz nie jest tak ponury i jednostajny jak te wcześniejsze. Bardziej przyjazny jest również "***Tainted Dream***", w którym pojawiają się pewne folkowe echa oraz zamykający płytę "***Devil in the Details***", gdzie muzykom udało się przełamać schemat obowiązujący przy konstrukcjach utworu na tym krążku. Dzięki wspomnianym kompozycją jasno widać, że muzycy mają wiedzę jak napisać dobry kawałek hard'n'heavy, jak go dobrze zagraci i zaśpiewać. Dzięki nim wiemy, że **Andreas Stoltz** nie tylko ma ciekawą barwę, ale także umie ciekawie śpiewać. Natomiast co do partii gitarowych, dzięki wspomnianym utworom wiadomo, że gitarzyści **Emil Holmqvist** i **Andreas Stoltz** nie tylko potrafią grać solówki, ale ogólnie zagrać ciekawe i urozmaicone partie rytmiczne. Czego po początkach płyty nie mogliśmy oczekiwać. Do końca nie wiem, jak ugryźć tę sytuację, bowiem muzycy są doświadczeni albo bardzo doświadczeni, jak wspomniany **Andreas Stoltz**, który udziela się również w **Hollow**. Bo albo coś im nie wyszło w trakcie opracowania założeń na ten album, albo uzyskali to co chcieli, ale ich wizja najzwyczajniej mnie nie odpowiada. Co do brzmień czy produkcji nie mam jakichś większych uwag. Największa dotyczy samych kompozycji, myślę, że ich forma powoduje, że człowiek od początku źle nastawia się do "**Aradia**". To się trochę zmienia z czasem, ale nie musi. Zanim jakiś fan hard'n'heavy zdecyduje się na tę płytę, niech koniecznie przesłucha ją na jakichś serwisach strumieniowych, aby upewnić się, czy ta muzyka trafia w jego gusta. (3)

\m/\m/

Subsignal - A Poetry Of Rain
2023 Gentle Art Of Music

Dobrze się stało, że zdecydowałem się odpalić nowy album **Subsignal**. Bardzo potrzebowałem takiej melancholijnej, rozmarzonej, klimatycznej, nostalgicznej, subtelnej, kojącej, urokliwej, delikatnej, pełnej zadumy muzyki. Na "**A Poetry Of Rain**" członkowie tej niemieckiej ekipy osiągają w tej dziedzinie mistrzostwo. Są to kolejni artyści, którzy bardzo naturalnie i bardzo ciepło, a zarazem z pełną paletą wyobraźni i talentu, potrafili za pomocą dźwięków namalować wszelkie odcienie szarej barwy. Niewielu muzykom udawało się osiągnąć taki pułap muzycznej wrażliwości. Oczywiście gdzieś tam przemkną jakieś mocniejsze akcenty, wszak muzyka **Subsignal** to nie tylko nawiązania do rocka, rocka progresywnego i art rocka, ale także odniesienie do metalu progresywnego. Jednak jest tego naprawdę niewiele, zdecydowanie przeważają brzmienia emocjonalne, finezyjne, dyskretne i akustyczne. Ta specyficzna atmosfera "**A Poetry Of Rain**" bardzo mocno wciąga, a wręcz hipnotyzuje słuchacza. W takim odbiorze muzyki bardzo pomagają dobrze napisane kompozycje, które umiejętnie rozmieszczone na płycie, potrafią do końca utrzymać zaciekawienie odbiorcy. Dlatego też krążek należy do tych, których należy słuchać w całości. Myślę, że jakiekolwiek inne podejście do "**A Poetry Of Rain**" spowoduje jego nieodpowiedni odbiór i przekaz. Zresztą dzieje się na nim tak wiele, że za każdym razem odkrywa się coś nowego. Dość ciekawie jest również w samych tekstach. Jak sam **Markus Steffen** mówi, mają one poetyckie aspiracje, niosą nostalgię oraz "kultywację smutku". Tę ostatnią zestawia z dokonaniami poetów epoki renesansu, ale zaznacza, że nie popadają w beznadzieję i rozpacz. Kwestie wykonania, brzmień i produkcji można zamknąć w jednym słowie: perfekcja. Nie powiem, dałem porwać się dźwiękom i atmosferze tego albumu. Myślę, że sprawdzi się w deszczowe jesienne wieczory. (5)

\m/\m/

Sublind - The Cenosillicaphobic Sessions
2023 Self- Release

Sublind pochodzi z Luksemburga i działa od roku 2005. Z ekipy, która rozpoczęła karierę pod tym szyldem pozostał jedynie wokalista **Luca Tommasi**. Pod jego wodzą powstał najnowszy album "**The Cenosillicaphobic Sessions**". Usłyszycie na nim mieszankę wściekłego thrashu w dwóch stylach (niemieckim i amerykańskim) oraz równie ognistego crossoveru. Niemniej Luksemburczycy od czasu do czasu potrafią zagrać również zwolnieniami. Ogólnie kawałki są bardziej niż solidne, bezpośrednie, nasycone po brzegi energią, prące niepowstrzymanie do przodu. Oczywiście sekcja "napitala" praktycznie non stop, stale napędzając całość, wtórują jej cięte gitary, a nad wszystkim króluje wrzask wokalisty. Przynajmniej tak odbierałem muzykę **Sublind** przy pierwszych odsłuchach. Niemniej z czasem coraz częściej miałem odczucie, że takich zespołów jak ten jest wiele, w dodatku niektóre z nich są nawet ciekawsze od Luksemburczyków. Niestety może to przytrafić się w każdym odłamie sceny heavy metalowej. Aktualnie rynek jest tak nasycony muzyką, wielością działających zespołów oraz niekończącymi się nowymi publikacjami, że każdy może poczuć przesyt i być może w moim przypadku właśnie trafiło na najnowszą płytę **Sublind**. Także na wszelki wypadek spróbujcie sami posłuchać "**The Cenosillicaphobic Sessions**", może wzbudzi u was zupełnie inne odczucia niż moje. Dodam jeszcze, że produkcja jest bardziej oldschoolowa, szorstka i pikantna, także maniakom może się spodobać. (3)

\m/\m/

Telomyras - Telomyras
2023 Self-Released

To właściwie debiutanci, ale radzą sobie na debiutanckim mini całkiem nieźle. Podstawą jest tradycyjny heavy metal z lat 80. i ze zdjęcia zespołu wnoszę, że niektórzy z muzyków **Telomyras** mogą pamiętać czasy jego największej świetności w swojej ojczyźnie, to jest Stanach Zjednoczonych. Zaczynają ostro, od "***Cambion***", a wokalistka **Sammie Gorham** ma niczego sobie, ostry głos. "***Colorless***" mimo zwolnień jest równie dynamiczny, podobnie jak surowa brzmieniowo "***Hydra***". Pomiędzy mamy dwie ballady: pełną patosu, podniosłą "***First Blood***" z dwiema solówkami i nieźle rozpędzającą się w końcówce "***Throne Of Ruin***", która wieńczy dzieło. I chociaż nie ma tu żadnych fajerwerków, to jednak **Telomyras** z powodzeniem wskrzesza tego klasycznego ducha lat 1982-85, za co mają u mnie sporego plusa. (4)

Wojciech Chamryk

Termination Force - Netherworld
2023 Self-Released

Niedawno, bo w roku 2021 w angielskim Southampton pojawiła się ekipa **Termination Force**. Tworzą ją gitarzysta **Jamie Brooks** i perkusista **Neil Anderson**. Panowie znają się ze speed/thrash metalowego **Terror Drone**. Aktualnie **Jamie Brooks** pogrywa również w speed/thrashowym **Desolator**. Ze sporym zaangażowaniem wspomaga ich również wokalista **Rich Rutter**, którego miłośnicy współczesnych odmian tradycyjnego metalu znają z **Toledo Steel**. A na omawianej EP-ce "**Netherworld**" bierze udział jeszcze basista **David Lovell**. Płytkę wypełnia pięć znakomitych utworów utrzymanych w stylu i klimacie oldschoolowego heavy/power metalu rodem z lat 80. Najbardziej kojarzy mi się on

z dwoma pierwszymi albumami **Fates Warning** ("Night on Bröcken" i "The Spectre Within"). Heavy metal Amerykanów dopiero zaczynał ewoluować w progresywny metal, bardziej był skupiony na brytyjskich heavy metalowych inspiracjach i przystępował do odciśnięcia swojego piętna w US metalu. Utwory były już wtedy gęste, ciekawe i przykuwały uwagę. Takie samo wrażenie wywarły na mnie kompozycje Anglików z **Termination Force**, które znalazły się na krótkim debiucie, choć po prawdzie wydają się ciut prostsze. Najciekawsze z tego jest to, że brzmienie tej płyty (muzyki) jest naprawdę old-schoolowe i nawiązuje do tego, co działo się w latach 80. w Stanach. Robiąc research, widziałem wiele opinii, które porównywały muzykę **Termination Force** do thrashu typu **Testament**, **Death Angel** czy **Flotsam And Jetsam**. Znalazłem też zestawienia z **Sanctuary** czy **Anvil**. Jednak ja niewiele z tego usłyszałem, są co najwyżej jakieś dalekie echa dokonań tych formacji. Za to - moim zdaniem - jest trochę więcej speed metalu w stylu wczesnego **Agent Steel**, szczególnie z płyty "**Skeptics Apocalypse**". Także większe lub mniejsze inspiracje głównie płytą z US metalu. Jednak żeby nie było łatwo, są również dalekie odniesienia do twórczości **Iron Maiden**, **Judas Priest**, **Accept**, **Raven**, **Grave Digger** czy **Scanner**. Także muzycznie jest naprawdę ciekawie. Podkreślają to same kompozycje, których konstrukcje oraz zdecydowanie ciekawe tematy muzyczne również przykuwają uwagę odbiorcy. W żaden sposób nie zadziałoby to, gdyby nie świetnie wykonanie Anglików. Ich partie są naprawdę wyśmienite, wliczając w to głos i chwytliwe linie melodyczne **Richa Ruttera**. Poza tym brzmienia ustawiono tak, że doskonale słyszymy każdy instrument. Dla mnie to kolejny element, który podnosi walory tego krążka. Czy łatwo jest wybrać któryś z kawałków tej EP-ki? No nie bardzo, bo jak tu wybrać między ciekawie zróżnicowanym "***After the Fall***", rozpędzonym "***Termination Force***", prawie hymnem US heavy/power metalu "***Target Locked***", najbardziej heavy metalowym "***Heart Racer***" czy najbardziej melodyjnym i tradycyjnym "***Netherworld***"? Zdecydowanie ciężka sprawa. Ogólnie muzycy bardzo udanie odtworzyli dawne czasy, oczywiście przekazując je nam ze zdecydowanie zaznaczonym własnym spostrzeżeniem takiej muzyki. Dobry debiut i stanowczo zalecam go do wysłuchania fanom tradycyjnego metalu. (4)

\m/\m/

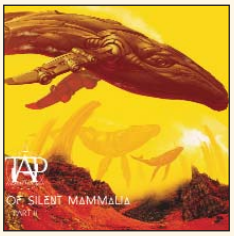

The Anchestry Program - Of Silent Mammalia - Part II

2023 Progressive Pormotion

Pod nazwą **The Anchestry Program** kryje się kilku przyjaciół owładniętych pasją do muzyki progresywnej. I szczerze powiedziawszy, niech tak zostanie na długo, bo ich świat jest wręcz zjawiskowy i niezwykły, a słuchacza pochłania do reszty. Przynajmniej tak stało się w moim przypadku. "**Of Silent Mammalia - Part II**" to ich trzeci krążek i jest to, moje pierwsze zetkniecie z muzyką Niemców. Dla formalności wcześniej wydali płyty "**Tomorrow**" (2019) i "**Mysticeti Ambassadors Part I**" (2021). Pierwsze skojarzenia w trakcie słuchania "**Of Silent Mammalia - Part II**", to efektowne zaadaptowanie wrażliwości z **Pink Floyd** w dość częstym zestawieniu z pięknem i rachitycznością brzmień i melodii z **Talk Talk**. To nawiązanie do **Talk Talk** nabiera jeszcze większego znaczenia, gdyż muzycy **The Anchestry Program** bardzo chętnie też nawiązują do jazzu tego miłego dla ucha jak i tego bardziej awangardowego. Dokładnie tak jak potrafiło to zrobić **Talk Talk**. Nawiązań do muzyki new wave czy też new romatic jest zdecydowanie więcej, myślę, że fani **Ultravox** czy takiego **Spandau Ballet** znajdą też coś dla siebie. Niemniej więcej znajdziemy inspiracji klasykami ze sceny progresywnej, jak chociażby **Jethro Tull**, **Mike Oldfield**, **Marillion**, **Rush**. Nie brakuje również progresywnego metalu w stylu **Vanden Plas** czy **Dream Theater**. Ogólnie wpływów jest znacznie więcej, ale i tak najważniejsze jest to jak niemieccy muzycy zaadoptowali je do swoich potrzeb. A talent, wyobraźnię, emocjonalność, kunszt, warsztat, umiejętności muzycy tej formacji mają wręcz nieograniczone. Natomiast ich plastyczność, lotność, błyskotliwość w budowie samych kompozycji, ich klimatu, aranżacji i wyrazistości na początku zapiera dech w piersiach, a później porywa i wprawia w euforie. Jak dla mnie "**Of Silent Mammalia - Part II**" to coś muzycznie wysmakowanego, doskonałego i dopracowanego do perfekcji. Zachwycać można się praktycznie każdym z dziesięciu utworów. Weźmy, chociażby ten, co mnie ujął jako pierwszy, a mowa "***Path of Inspiration***", niby snuje się lekko i jedwabiście, a jednak co jakiś czas przeszywają go jazzowe wtręty, albo bardziej dynamiczne prog-metalowe monumentalne muzyczne dygresje. A jak wspomniałem, pomysłów na inne utwory Niemcom nie brakuje i gwarantuję, że do samego końca tego albumu, będziecie z wypiekami śledzili ich poczynania. Te artystyczne doznania wsparte są niesamowitym wykonaniem. Aktualnie **The Anchestry Program** tworzy sześciu muzyków: **Andy Lind** (perkusja, wokal), **Mani Gruber** (gitara, wokal), **Mike Voglmeier** (gitara, wokal), **Ben Knabe** (główny wokal, lap steel - inaczej gitara hawajska), **Marco Osmajic** (gitara basowa) i **Thomas Burlefinger** (klawisze, wokal). Dokładnie wszyscy zasługują na jednakowe pochwały, bez ich talentu i zaangażowania nie mielibyśmy możliwości posłuchania tak doskonalej muzyki. To właśnie oni zabierają nas w niezwykłą muzyczną podróż i tylko od nas zależy, czy z tego skorzystamy. Ja gorąco do tego namawiam. (5,5)

\m/\m/

TSA MNKWL - Niezwyciężony

2023 Black Mustache

Co starsi fani **TSA** doskonale pamiętają sytuację sprzed lat, kiedy istniały dwa wcielenia tego zespołu: jedno jako **TSA**, drugie pod nazwą **TSA-Evolution**. Teraz mamy powrót do przeszłości: pod nazwą **TSA Dream Team** występują **Piekarczyk**, **Machel** i **Kraszewski**, zaś sekcja rytmiczna legendy rodzimego hard'n'heavy używa nazwy **TSA Michalski-Niekrasz-Kapłon-Wester-Lekki**. Owa sytuacja budzi wiele nieporozumień - tym bardziej, że **TSA Kapłona** i **Niekrasza** wykorzystuje to samo logo, co dawni koledzy, a do tego również niesmak, że dorośli przecież ludzie nie mogą się porozumieć, co na początku lat 2000. było przecież możliwe i wyszło **TSA** na zdrowie. Czas pokaże jak się to wszystko zakończy, a póki co w wymiarze fonograficznym na prowadzenie wysuwa się formacja **TSA MNKWL**, firmując debiutancki album. **TSA** milczy od roku 2004, tak więc takie wydawnictwo na pewno cieszy, tym bardziej, że "**Niezwyciężony**" trzyma poziom. Podstawowy materiał to dziewięć numerów, zakorzenionych w ciężkim graniu przełomu lat 70. i 80., a do tego brzmiących tak jak stare, dobre **TSA**. Ten dawny duch zespołu jest szczególnie odczuwalny w surowym, napędzanym świetną sekcją utworze tytułowym, openerze "***Jak jest?***", dynamicznym "***Ostatnim pociągu***" oraz balladowym "***Tylko***", ale pozostałe w niczym im nie ustępują. Gitarowy duet **Maciej Wester/Piotr Lekki** również poczyna sobie niezgorzej, zwłaszcza w "***Żarłaczu***", słowa uznania należą się też wokaliście **Damianowi Michalskiemu** (ten wyżyłowany wokal w "Na śmierć!"). Nie zabrakło też nawiązań do klimatów **AC/DC** w "***Ciężarze czasu***", tak więc zwolennicy podszytego hard rockiem rock'n'rolla też znajdą na tej udanej płycie coś dla siebie. Ten efekt psuje jednak bonus, wersja orkiestrowa "***Jak jest?***", bowiem w opisie płyty mamy co prawda informację "*aranżacja orkiestry: Szymon Chybalski*", ale zabrakło już jej składu, co pozwala domniemywać, że to jakiś samplowany syntetyk, powstały bez udziału żywych muzyków. Podstawowa dziewiątka, dopełniona okładką w 3D, jednak zasłużenie na: (5)

Wojciech Chamryk

The Dead Daisies - Best Of - A Decade Of Rock!

2023 SPV

The Dead Daisies to taka hard rockowa super grupa, w której szeregach znaleźli się muzycy **Motley Crue**, **Whitesnake**, **Dio**, **Foreigner**, **Ozzy Osbourne** itd. Formacja działa od dekady, stąd ten podtytuł tej kompilacji. Na dwóch dyskach zebrano 20 kawałków, wśród których znalazły się ulubione kawałki muzyków, a także te z żelaznej koncertowej setlisty oraz dwa niepublikowane nagrania z ostatniej sesji ("The Healer", "Let It Set You Free"). O dziwo muzyka **The Dead Daisies** utrzymana jest w klimatach starego hard rocka, co mnie cieszy, a nie było to zbyt oczywiste, bowiem wokalistę **Johna Corabiego** kojarzyłem z nowoczesnym amerykańskim hard rockiem. Tak jak wspomniałem **The Dead Daisies** pisze kawałki w starym stylu

amerykańskiego hard'n'heavy, które lubię posłuchać od czasu do czasu. Słychać w nich lata 80. i chyba dlatego niekiedy zahaczają o hair czy glam metal. Niestety nie słucham regularnie dokonań Amerykanów, z tego powodu z jeszcze większym zaciekawieniem przystąpiłem do przesłuchania "**Best Of**". I nie zawiodłem się. Całego zestawu słucha się rewelacyjnie, ktoś dobrze pomyślał o całym zestawieniu. Jednocześnie uświadomiło mi to, że po prostu warto byłoby poznać w pełni cała dyskografię **The Dead Daisies**. O grze poszczególnych muzyków nie będę pisał, bo to bez sensu. Każdy z nich to profesjonalista i muzyk z najwyższej półki. Jak zawsze, gdy słucham tej ekipy jestem pod dużym wrażeniem **Johna Corabiego**, który wywiązuje się z obowiązków wręcz rewelacyjnie. Myślę, że jego czas w **The Dead Daisies** to dla niego najlepszy okres jako wokalista i ogólnie jako artysta. "**Best Of**" to fajna sprawa, ale tak jak zaznaczyłem wcześniej lepiej znać wszystkie pozycje z dyskografii **The Dead Daisies** i do tego trzeba dążyć.
(-)

\m/\m/

The Unity - The Hellish Joyride

2023 Steamhammer

Zdecydowanie bardziej podoba mi się muzyka **The Unity** od ostatniego albumu **Helloween**. Nie chodzi o to, że więcej tu zwykłego rocka a mniej europoweru, tylko te piosenki bardziej zapadają w pamięci a barwa głosu **Gianbattisty Manentiego** wywiera na mnie większe wrażenie niż ostatnio **Andi Deris**, **Kai Hansen** oraz **Michael Kiske** razem wzięci. Utwory z "**The Hellish Joyride**" mają piosenkowy charakter, czyli są bardzo rozśpiewane, a sekcja instrumentalna wydaje się być w nich często ograniczona do roli aranżacji tła. Z tego względu jeszcze chętniej słucham progresywno - heavy metalowy krążek **Odd Dimension** "**The Blue Dawn**" (2021), któremu kiedyś postawiłem na łamach HMP ocenę 4/6, ale dzisiaj dałbym wyższą notę. **Gianbattista** znakomicie wypada w okiełznanych motywach rockowych, lecz dopiero w bardziej złożonym wymiataniu na wzór **Dream Theater** w pełni rozwija skrzydła. Mając to na uwadze, przyznam, że "**The Hellish Joyride**" często mi ostatnio towarzyszy, choć czuję, że zaangażowanych muzyków stać na coś bardziej wyrafinowanego. W obranej konwencji na duży plus zasługuje z pewnością zwartość i pomysłowość poszczególnych kompozycji. Każdy numer odznacza się jakimś ciekawym rozwiązaniem i żaden się nie dłuży. Płyty słucha mi się lekko i przyjemnie, w czym z pewnością pomaga dopieszczone, buzi warte brzmienie. W mięciutkich momentach robi się wręcz przytulnie, jednak nieszczery uśmieszek wyłazi na jaw w słodko-skocznym "***Always to Ways to Play***". Może Pacific Airlines wstawi "**The Hellish Joyride**" na playlistę z serii "easy listening"? Nie oszukujmy się - metalowcy spodziewający się **Gammy Ray** w przebraniu NWO BHM zawiedliby się, ale na odpoczynek po intensywnym dniu taka pozycja nadaje się w sam raz.
(3,5)

Sam O'Black

The Vintage Caravan - The Monuments Tour

2023 Napalm

Gdybyście mieli posiadać tylko jedną płytę **The Vintage Caravan**, ta jest tą właściwą, ponieważ zawiera najlepsze utwory w najlepszym możliwym wykonaniu. Islandzki zespół zdecydowanie korzystniej wypada na żywo niż na płytach studyjnych. Scena to ich żywioł. Fantastycznie władają publicznością i wprawiają tłumy w ekstazę, ale też potrzebują kontaktu z fanami, żeby wzajemnie potęgować rock'n'rollową akcję. Słuchając dopracowanych longplay'ów studyjnych **The Vintage Caravan**, można odnieść wrażenie, że to po prostu taki ostrzejszy **Jimmi Hendrix** z wycieczkami w stronę progresji, dlatego że one nie zawierają tego, co najważniejsze, czyli niesamowitej, wybuchowej energii chwili. Jasne, retro rocka i progu u nich sporo, delikatne partie też im się zdarza zagrać, ale wszystko sprowadza się do porywającego doświadczenia, które rozpala w duszy transformujący ogień. Uczestniczyłem w ich kilkunastu występach i wyobrażam sobie, że dla mnie to jest kompletnie inna kapela niż dla kogoś, kto zna tylko dyskografię, chociaż o ich pełnej ekspresji można się było wielokrotnie przekonać również w Polsce, bo chłopaki często i regularnie tam grają. Zresztą, właśnie wrócili z długiej, dwuczęściowej trasy po świecie, promującej jeszcze LP "**Monuments**" (2021). Pisaliśmy o tym sporo na łamach Heavy Metal Pages, bo uparcie o to zabiegałem. Proponuję np. wywiad z **Alexandrem**, zamieszczony na stronie 97 w HMP 85, przeprowadzony w przeddzień finałowego koncertu pierwszej części tej samej trasy. Bardzo dobrze się stało, że na niej nie poprzestali, zorganizowali drugą część i w końcu wyszła pierwsza oficjalna płyta koncertowa **The Vintage Caravan**. Doszło do tego w perfekcyjnym okresie, tak komercyjnie, jak i pod względem formy wykonawczej. Idealnie opracowane nagrania wybornie brzmią i prezentują dokładnie to, co trzeba było utrwalić. Oddają atsmoferę i ducha sprawy. Koniecznie postawcie je sobie na półce tuż obok **TSA** "**Live**" (1983), **Deep Purple** "**Made In Japan**" (1972) czy **Wishbone Ash** "**Live Dates**" (1973). Wokalista i gitarzysta **Oskar**, basista **Alexander** oraz perkusista **Gudjón** niniejszym przypieczętowują dzieło życia. Spędzają młodość w sposób, o jakim większość współczesnych muzyków mogłaby tylko marzyć. Są młodymi królami szos i estrady. "**The Monuments Tour**" stanowi świadectwo ich spektakularnego sukcesu. (-)

Sam O'Black

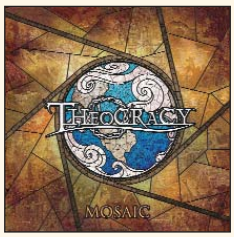

Theocracy - Mosaic

2023 Atomic Fire

Theocracy to amerykańska formacja, która powstała w roku 2002. Przez te ponad dwadzieścia lat ekipa nagrała jedynie pięć albumów studyjnych. "**Mosaic**" jest tym ostatnim. Znajdziemy na niej specyficzną mieszankę melodyjnego power metalu w europejskim stylu, ambitnego melodyjnego power metalu, prog-poweru oraz progresywnego metalu. Można ją porównywać do dokonań **Sonata Arctica**, **Avantasia**, **Kamelot**, **Pagan Maind**, a nawet **Symphony X** i **Dream Theater**. Płytę rozpoczyna rozbrykany, radosny, dynamiczny, melodyjny i dość prosty "***Flicker***". Może wpaść w ucho fanom melodyjnego power metalu. Natomiast "***Anonymous***" to wejście w buty świetnego prog-poweru w oprawie progresywnego metalu i pewnymi, ale niewielkimi elementami melodyjnego power metalu. Utwór ma ciekawszą budowę, trochę się w nim dzieje, więcej ma mocy, partie instrumentów są wyborne, szczególnie popisy solowe. Takie podejście bardziej mnie absorbuje. Utwór tytułowy "***Mosaic***" rozpoczyna się mocno rozmarzonym, balladowo-akustycznym wstępem, który rozwija się, w rozbrykany melodyjny power metal, zaakcentowany podniosłymi i chwytliwymi refrenami. Moją uwagę przyciąga w końcowej fazie mocna praca gitar poprzedzająca równie udane solo gitarowe. W "***Sinsidious (The Dogs of War)***" ponownie wpływy prog-poweru i progresywnego metalu są mocniej zaakcentowane, ale power metal nie odpuszcza. "***Return to Dust***" ma mrok, ma klimat, jest chwytliwy i jak dla mnie plasuje się pomiędzy ambitniejszym power metalem i jego bardziej melodyjnym odłamem. Po prostu jest mocnym punktem tego krążka. Natomiast "***The Sixth Great Extinction***" to bardzo dobry i ciekawy utwór utrzymany w konwencji ambitnego power metalu i prog-poweru. Jak dla mnie świetna sprawa. Wraz z "***Deified***" wracamy do rozbrykanego i radosnego melodyjnego power metalu, fani takiego grania znowu z przychylniejszym okiem spojrzą na **Theocracy**. "***The Greatest Hope***" to melancholijna, mocno rozmarzona i podniosła ballada. Ogólnie nie przepadam za balladami, a ta na dodatek jakby nie miała nic do przekazania. W "***Liar, Fool, or Messiah***" dochodzi do zderzenia tego rozbrykanego power metalu z prog-powerem i chyba ten utwór nie usatysfakcjonuje żadnej ze stron. Album zamyka prawdziwy muzyczny kolos. Kompozycja "***Red Sea***" to prawie dwudziestominutowa suita, która kumuluje wszystko to, czym **Theocracy** jest napędzany. Wysłuchałem ją z uwagą i mnie nie znudziła. Muzycy stanęli na wysokości zadania, szczególnie podoba mi się praca gitarzystów **Jonathana Hindsa** i **Taylora Washingtona**. Potrafią oni zagrać fajne riffy, ciekawe motywy i znakomite solówki. Ozdobą jest też wokal **Matta Smitha**, bardzo ciepły, liryczny, śpiewający wysoko, emocjonalnie, ale z pasją. Wielokrotnie podkreślałem, że melodyjny power metal już nieco zbrzydł, ale jak trafiają się takie płyty jak ta, to słucham ich zdecydowanie chętniej, bo muzyka nie tylko galopuje nie wiadomo gdzie, refreny nie słodzą aż do mdłości, a hity ocierających się pop brak, po prostu dzieje się w nich wiele i można w to się wsłuchać. "**Mosaic**" nie jest jakaś wyjątkowa, ale zawiera fajną muzykę do słuchania. Podejrzewam, że bardziej spodoba się fanom ambitnego melodyjnego power metalu. Natomiast fani melodyj-

nego power metalu będą oczekiwać jednak na więcej chwytliwości i przebojów. (3,7)

\m/\m/

Timechild - Blossom & Plague

2023 Target

W materiałach promocyjnych czytamy o drugim albumie **Timechild**, że na "**Blossom & Plague**" młodzi Duńczycy udowadniają, iż "*rock wciąż może zaskakiwać i rzucać słuchaczom wyzwania*". Cóż, to odważne słowa, ale po części zgodziłbym się z nimi, bo faktycznie mnie zaskoczyli. Otóż zaproponowali tu bardzo ciekawą i atrakcyjną mieszankę. Rockowy luz i przebojowość udanie łączą z doom metalowym ciężarem i melancholią, a także ocierającymi się o muzykę progresywną aranżacjami. Efektem jest bardzo udany album, który połyka się na raz, i to nie tylko dlatego, że trwa zaledwie trzydzieści cztery minuty. Tego materiału po prostu rewelacyjnie się słucha! Nie ma tu żadnych mielizn czy dłużyzn. Nie wnikam, czy to zasługa kompozytorskich talentów zespołu, czy doświadczonej ręki producenta (Sorena Andersena, znanego ze współpracy choćby z Glennem Hughesem oraz Philem Campbellem), ale każdy utwór jest bardzo konkretny i trafia w dziesiątkę; od razu "kupuje" słuchacza mięsistym riffem, chwytliwą gitarową melodią, czy momentalnie zapadającym w pamięć refrenem. Na "***Blossom & Plague***" dzieje się tak dużo, że z zaskoczeniem odkryłem, jak krótki jest to album. Duńczycy potrafią w zwięzły sposób przekazać dużo treści - to nie lada sztuka zasługująca na pochwałę! Gorąco zachęcam Was do poświęcenia nieco ponad dziesięciu minut i posłuchania przynajmniej "***The Dying Tide (Part 2)***", "***Call of the Petrichor***" oraz "***The Sign***", bo są to chyba najlepsze kawałki, a przy tym reprezentatywne dla całości albumu. Myślę, że taka przystawka zostawi Was ze sporym niedosytem i ochoczo sięgniecie po resztę. Na koniec dodam, że piszę te słowa w połowie września i z tej perspektywy mogę już zawyrokować, iż "**Blossom & Plague**" znajdzie się na liście moich ulubionych wydawnictw 2023 roku. To naprawdę świetna rzecz! (5,5)

Adam Nowakowski

Traitor - Teutonic Slaughter

2023 Self-Released

Traitor hołdują latom 80. kompleksowo, nie tylko pod względem muzycznym czy image, ale też nawet w takim kontekście, że po czterech albumach studyjnych wypuszczają koncertowy, swoiste podsumowanie ostatnich 10 lat. Bo nawet jeśli na początku kariery wydali już materiał live, to było to coś na kształt ciekawostki czy wydawnictwa kolekcjonerskiego. "**Teutonic Slaughter**" to już płyta z prawdziwego zdarzenia, zarejestrowana podczas Schlichtenfest 2022. Zespół promował wtedy najnowszy album "**Exiled To Surface**", materiał nad wyraz solidny i bardzo energetyczny, co znajduje też potwierdzenie w koncertowych wykonaniach "***Into The Nightosphere***", numeru tytułowego czy "***Total Thrash***". Set jest jednak przekrojowy, zaczynają bowiem od "***Thrash Command***" z debiutu, by później sięgnąć też po "***Traitor***", "***F.U.A.D.***" oraz "***Ebola***", "***Reactor IV***" i "***Mad Dictator***" z kolejnych wydawnictw. Nie mogło też zabraknąć, świetnie przyjętego przez publiczność, "***Teutonic Storm***", swoistej deklaracji światopoglądowej członków **Traitor** nie tylko jako muzyków, ale też fanów germańskiego thrashu, z czym słuchacze najwyraźniej się utożsamiają. Fani zespołu mogą więc śmiało zainteresować się tym materiałem, a cała reszta może go sprawdzić jako reprezentatywną próbkę dokonań **Traitor** w wersji live. (4,5).

Wojciech Chamryk

Triskelyon - Downfall

2022 Moribund

Geoff Waye zaczął swą przygodę z **Triskelyon** od trzyutworowego maxi opublikowanego na Bandcampie. Odzew na ten materiał był tak dobry, że już po dziewięciu miesiącach jego projekt miał już na koncie debiutancki album, na który złożyły się utwory z "**Triskelyon**" oraz sześć nowych, w tym zamykający całość cover. Używam określenia projekt nie bez przyczyny, ponieważ ten kanadyjski twór to tak naprawdę rzeczony gitarzysta, plus odpowiedzialny za programowanie perkusji **Raul Marques** oraz kilkoro udzielających się gościnnie instrumentalistów i wokalistów. Wpływa to na pewno korzystnie na urozmaicenie tego materiału, chociaż lider radzi sobie jako basista i gitarzysta nad wyraz sprawnie. Muzycznie to taki swoisty konglomerat, od wpływów **Metal Church**, przez **Megadeth** aż do **Testament**, ale power/thrash **Triskelyon** broni się - choćby dużą dynamiką poszczególnych utworów i słyszalnym zamiłowaniem **Waye'a** do melodii. Fakt, taki "***Find A Way***" nie porywa niczym szczególnym, podobnie jak zamordowany brzmieniem automatu i pozbawiony mocy "***Willful Ignorance***", ale już "***Odyssey (Blessed By Steel)***", ostry, ale melodyjny, to jest już coś, tak jak równie dynamiczny "***Apex Predator***" - oba ze świetną **Marlee Ryley** (Hyperia) za mikrofonem. W "***Balance of Terror***" równie dobrze poczyna sobie **Amanda Marie Jackman** (Category VI), ale finałowy cover **Billy'ego Idola** "***Nobody's Business***" to już **Pete Healey** (Marshall Law) w całej krasie, a o wokalne wycieczki w stronę blacku zadbał w "***Indifference***" **Ellim**. Dlatego, chociaż w żadnym razie nie określiłbym "**Downfall**" mianem jakiegoś objawienia, jest to materiał na poziomie i warty uwagi. (4)

Wojciech Chamryk

Triskelyon - Artifical Insanity

2023 Moribund

Jak widać w Kanadzie również znane jest powiedzenie, że należy kuć żelazo, póki gorące. **Triskelyon** szybko uwinął się więc z drugim albumem, bo od wydania "**Downfall**" nie minął nawet rok. Zasady pozostały niezmienne: rządzi i dzieli **Geoff Waye**, wspierany przez liczne grono zaufanych już współpracowników, z wokalistami **Amandą Marie Jackman** i **Pete'm Healey'em** na czele. Na pewno wyszło "**Artifical Insanity**" na zdrowie zaangażowanie do części nagrań perkusisty **Alexandra Raykova**, bo jednak power/thrash z automatem to nie jst to, nie czarujmy się. Opener Tektyranny uderza więc z pełną mocą, a w następującym zaraz po nim, singlowym "***At War With Demons***" pojawiają się nawet blasty, co tylko dodaje muzyce **Triskelyon** intensywności. Ognia nie brakuje też "***Obsolescence***", "***One Blood***" czy "***Celtic Creatures***" (tu z kolei mamy wokalne odniesienia do blacku), ale są też i zaskoczenia. Największe to idący w stronę tradycyjnego heavy, zróżnicowany "***Bringers Of Chaos***" oraz mający coś z punkowej zadziorności, szybki "***Beyond The Past***" oraz oczywiście cover. Znowu nieoczywisty, tym razem ukłon w stronę rodaków z pop-rockowego **Platinum Blonde** "***It Doesn't Really Matter***" (oryginalnie "Doesn't Really Matter") sprzed, bagatela, 40 lat. Może zbyt przypominający wersję pierwotną, ale zagrany z nerwem, szczególnie w końcówce, dzięki czemu przypomniałem sobie po wielu latach **Platinum Blonde**, a to już coś, kiedy doba ma tylko 24 godziny i nie wie się co włączyć jako pierwsze z płyt oczekujących na pierwszy odsłuch. (4,5)

Wojciech Chamryk

Under Attack - Fury of the Thunder God

2023 Lake of Fire Productions

Gdzieś na uboczu göteborgskiej sceny metalowej bardzo powoli dojrzewał niepozorny zalążek zespołu. Zrodzony w 2012 roku jako niebowiązujący projekt, **Under Attack** dorobił się w 2023 roku pierwszego longplay'a w swej dyskografii. Tuż po jego premierze zebrał skład przynoszący nadzieję na dalszy rozwój wydarzeń. Muzyka zawarta na płycie wydaje się jednorodna i mało wyszukana, ale zawiera porządny kawał grubo ciosanego metalu. Jeśli ktoś ceni proto - speed metal w amerykańskim ujęciu, to zachodzi duże prawdopodobieństwo, że polubi **Under Attack**. Należy mieć jednak na uwadze, że utrzymanemu w średnim tempie, marszowemu kawałkowi tytułowemu bliżej do epic heavy metalowego hymnu, a cały album rozpoczyna się od mało ciekawego numeru. "***Torture's Too Kind***" wybrzmiewa nijako i nie zachęca do dalszego słuchania. Dopiero później robi się ciekawiej. "***Burning Metal***", "***Dawn of Fire***" czy "***Meatgrinder***" to porywające speedowe killery, oczywiście pod względem dynamiki, występujących w nich riffów i energii, lecz z poprawką

na surową produkcję. W tym ostatnim utworze **Lasse Hietala** z rozpędu krzyknął w wyjątkowo wysokim rejestrze, podczas gdy słychać tą furię i te grzmoty. "***Night of the Sniper***" również przekonuje szalonym drivem, a "***Stabbed With A Knife***" sprawdziłby się na najlepszych krążkach **Exciter** sprzed czterdziestu lat. Niektóre inne fragmenty, które z perspektywy instrumentalistów są dość żwawe, wypadają mniej drapieżnie z powodu pozostawienia w miksie zbyt wąskiego pasma dźwięku. Słuchając np. "***The Beast Shall Rise***" odnoszę wrażenie, jakbym słuchał fińskiego **Coronary**, u których doszukiwałbym się elementów heavy/doom metalu. Szwedzi grają z wyczuciem i z pasją, sypią świetnymi zagrywkami, ale ewidentnie potraktowali wykończenie całości po macoszemu. Niektórzy fani gatunku tak wolą, tylko że niestety, **Under Attack** jest na obecnym etapie skazane na granie w malutkich spelunach z dywanem zamiast sceny a w najlepszym razie na piętnamostominutowe otwieranie festiwali, gdzie publiczność schodziłaby się zwabiona tytułowym kawałkiem. Do odtwarzacza można jednak "**Fury of the Thunder God**" wrzucić, czemu nie? (3,5)

Sam O'Black

Vendetta - Black As Coal

2023 Massacre

Vendetta powstała w 1984 roku i istniała do roku 1990. Przez ten czas wydali dwie niesamowite płyty "**Go and Live... Stay and Die**" (1987) i "**Brain Damage**" (1988). Oba albumy obrosły statusem kultu i większość fanów tego zespołu tęskni za tamtymi czasami. Niestety od powrotu kapeli do żywych tj. od roku 2002 jedyny oryginalny członek ekipy, basista **Klaus Ullrich** nie potrafi sprostać oczekiwaniom swoich wyznawców. Wydane krążki w latach 2000. nie zyskały większego uznania. Myślę, że "**Black As Coal**" również to się nie uda, niemniej ma szansę uzyskać tytuł najlepszego współczesnego wydawnictwa **Vendetty**. Album wypełnia jedenaście solidnych i dynamicznych kompozycji, które w sumie trwają blisko godzinę. Utrzymane są w ulubionym przez muzyków stylu Bay Area. Już rozpoczynający "***Shoot To Kill***", bezpośredni, z zacznymi siekającymi i gęstymi riffami przypomina **Annihilator**. Natomiast drugi kawałek "***Stranglehold Of Terror***" wprowadza nas w reminiscencje o **Exodusie**. Także zdecydowana większość muzyki z tego krążka kręci się wokół właśnie takiej atmosfery. Niemniej od czasu do czasu możemy natknąć się na teutoński metal, tak jak we wspomnianym już "***Shoot To Kill***", gdzie odnajdziemy momenty zagrane w stylu **Risk**. Przez kompozycje przewija się przeważnie kilka pomysłów. Nie zawsze są one ze sobą udanie skompilowane, niemniej uważam, że tworzą bardzo solidne konstrukcje. Jeśli chodzi o bezpośredniość i klimat tychże kawałków, jest różnie. Bywają momenty, że muzyka trochę przynudza. Na płycie najbardziej podoba mi się jej początek, czyli wspomniane powyżej kawałki oraz koniec, czyli utwór "***Beast In Her Eyes***". Niemniej środek bywa też udany, wymieńmy, chociaż "***Time To Change***" czy "***Death Means Relief***". Niemniej najsłabszym momentem płyty wydaje mi się "***For Dear Life***". Za to podobają mi się gitary, ich brzmienie, riffy i partie solowe. Może często są rzemieślnicze, ale bardzo solidne. Niczego sobie jest sekcja rytmiczna, wyraźna, mocna, dość kreatywna, z od czasu do czasu wybijającym się basem. **Vendetta** nigdy nie miała szczęścia do wokalistów, ani **Achim Hömerlein** i **Michael Wehner** z początków kariery, ani obecny śpiewak **Mario Vogel** nie mieli i nie mają jakichś wybitnych głosów i umiejętności wokalnych. Da się je przeżyć i przyzwyczaić się do nich, ale niekiedy ich dziwaczność zdecydowanie psuje ogólny efekt. Tak też jest w utworze tytułowym "**Black As Coal**". Kompleksowo płyta bardzo solidna, na pewno najciekawsza z wydanych przez Vendettę w latach 2000. (3,5)

\m/\m/

Veritas - Silent Script Master

2023 Sliptrick

Od wydania poprzednika "**Threads Of Fatality**" mięło trzy lata. Nowy krążek w zasadzie nie przynosi żadnych zmian, mamy więc swoiste status quo. Jednych to ucieszy, innych trochę rozczaruje. Ta sytuacja zadowoli tych, którzy dobrze przyjęli debiut **Veritas**, bo po co zmieniać coś, jak te coś jest dobre. Innych - w tym mnie - przyniesie zawód, bo ogólnie oceniał dokonania Amerykanów jako coś niezłego, ale przeciętnego. Ewentualne dobre zmiany mogłyby polepszyć status formacji, bowiem posiada ona potencjał, a w jej skład wchodzą utalentowani muzycy w tym świetny wokalista **Denny Anthony** i wyjątkowy perkusista **Mark Zonder**. Muzycznie zespół pozostaje w strefie nowoczesnego technicznego hard rocka z pewnymi wpływami heavy metalu i progresywnego metalu. Niestety zagranego bardzo schematycznie i bez polotu. Przy okazji "**Threads Of Fatality**" porównywałem to do solowych poczynań solowego **Geofa Tate'a**, no cóż, wypadku "**Silent Script Master**" jest to nadal aktualne. Jednak w odróżnieniu od debiutu na nowym krążku mogę wskazać moment, w którym jest wyjątkowo dobrze, a mowa o kompozycji "***Somniloquy***". Utrzymana jest ona w stylu i klimacie US prog-power rodem z lat 80., choć z takim bardziej bezpośrednim przesłaniem. Jakimś trafem wszystko układa się w niej wręcz rewelacyjnie. Bardzo chciałbym, aby właśnie w tym muzycznym kierunku powędrowała ta kapela. Na płycie dalej przeważają krótkie formy, większość utworów mieści się w granicach 3 - 4 minut. Jedyna dłuższa kompozycja to "***Modulate***" i co mogę powiedzieć, że to toporne podejście do muzyki w tej kompozycji nabiera trochę innego wymiaru. Więcej jest w niej progresu, więcej luzu (może ze względu, że jej spora część to improwizacja na perkusji), ale nie namawiam ich do obrania tej drogi. Gra muzyków jest całkiem niezła, podobnie jest z brzmieniami i produkcją. Niestety w kwestii utworów ciągle pozostajemy w przeciętnym wymiarze, chociaż istnieje jeszcze jedna opcja, trzeba się do takiego muzycznego wyrazu przyzwyczaić. Ja na razie dziękuję. (3)

\m/\m/

VooDoo Kiss - VooDoo Kiss

2022 Self-Released

W roku 1995 w powiecie Ostalb pojawił się **VooDoo Kiss**, zespół preferujący granie hard'n'heavy. Muzycy tej ekipy mocno pracowali i często koncertowali. W ten sposób zdobyli całkiem niezłą lokalną reputację. Niestety zespół rozwiązano w roku 2000. Prawdopodobnie bezpośrednią przyczyną rozpadu było zaangażowanie perkusisty **Achima Ostertaga** w organizację festiwalu **Summer Breeze Open Air** (który działa od roku 1997). Jednak ciągnęło wilka do lasu i po wielu latach w roku 2022 od nowa zorganizowano **VooDoo Kiss**. Tworzą go starzy muzycy grupy, gitarzysta **Martin Beuther**, basista **Klaus Wieland**, perkusista **Achim Ostertag** oraz "nowy" wokalista **Gerrit Mutz**, którego znamy głównie z **Sacred Steel**. Na "**VooDoo Kiss**" znalazło się osiem dynamicznych kawałków utrzymanych w oldschoolowym stylu hard'n'heavy. Mocno jest on inspirowany niemieckim heavy metalem (Accept) oraz nurtem NWOBHM (Iron Maiden, Saxon). Dobrymi przykładami będą tu "***The Beauty and the Beast***" i "***Nice Guys***". Niemniej mimo ogólnego pazura i znakomitych riffów to ich kawałki nie epatują jakąś wielką mocą. Czego głównym powodem jest wykorzystywanie pomysłów rodem z hard rocka i rockowej melodyki (znakomity "The Eagle in the Sky"). Bywają też momenty, gdzie jest sporo rock'n'rolla ("The Killer"), czy jakichś tam naleciałości punk rocka ("Bat An Eye"). Utwory są dopracowane, proste, bezpośrednie oraz nieźle zbilansowane. Niemniej uważam, że mimo wszystko przeciętny fan tradycyjnego heavy metalu oczekiwałby trochę więcej czadu. **VooDoo Kiss** ma potencjał, ma swoją tożsamość, zobaczymy, dokąd ich to zawiedzie. (3,7)

\m/\m/

Whalesong - Leaving A Dream

2023 Old Temple/Zoharum

Michał Kiełbasa już na "**Radiance Of A Thousand Suns**" potwierdził, że nie wizjoner z niego nie lada, proponując długą, urozmaiconą i trudną do zaszufladkowania muzykę, wypadkową industrialnego rocka, metalu, free jazzu i psychodelii. Na tegorocznym "**Leaving A Dream**" lider **Whalesong** eksperymentuje jeszcze bardziej, potwierdzając, że nie ma dla niego żadnych barier i ograniczeń. To ponownie dwa krążki CD, tym razem już ponad dwie godziny (sic!) nieoczywistych, robiących ogromne wrażenie dźwięków, gdzie partie instru-

mentalne dopełniają męskie i kobiece partie wokalne, te ostatnie będące dziełem nowej w składzie **Elise Aranguren**. Dysk numer jeden zawiera krótsze kompozycje, z których osobiście wyróżniam tytułową, "***Struggle***" i finałową miniaturę "***Drinking From The Gutters Of Descension***", w których industrialne podstawy pięknie łączą się ze swobodną, iście jazzową formą. Drugi krążek to już absolutna jazda bez trzymanki, pasów bezpieczeństwa i wytyczonej trasy: trzy pierwsze, krótsze utwory są tu niejako wprowadzeniem do dwóch ostatnich, gdzie "***From The Ashes***" trwa ponad 27, a wieńczący album "***Shekissedmewithhervenomouslips***" blisko 22 minuty. Pierwszy jest bliższy free jazzu i szeroko pojmowanej muzycznej awangardy, drugi bardziej industrialny, minimalistyczno-transowy, z odniesieniami do ambientu. Łatwo zresztą można przekonać się o tym osobiście, odpalając rzeczony materiał na Bandcampie zespołu. Jeśli zaś do kogoś nie przemówi niezaprzeczalna wartość artystyczna tego iście wizjonerskiego materiału, może przekonać go lista gości, obejmująca, między innymi, **Attilę Csihara** (Mayhem), **Steve'a Blanco** (Imperial Triumphant), **Wukira Suryadi** (Senyawa) czy naszych rodaków-wirtuozów, wibrafonistę **Tomasza Herisza** i znanego z licznych składów i projektów saksofonistę **Aleksadra Papierza**. (6) i zakup obowiązkowy dla wszystkich otwartych na nieszablonową muzykę.

Wojciech Chamryk

Vanish - The Insanity Abstract

2017 Fastball

Ich poprzedni album "**Come to Wither**" w roku 2014 wydała niemiecka **Massacre Records**. Nie bardzo mogę skojarzyć sobie tego faktu, więc oprę się wyłącznie na omawianej właśnie, "**The Insanity Abstract**". **Vanish** to niemiecki zespół grający melodyjny power metal z progresywnym sznytem. Może nawet to za dużo powiedziane, ale muzycy tej kapeli pewną muzyczną ambicję zdradzają. Niemniej wszystkie cechy (i grzechy) melodyjnego power metalu znajdziemy na tej płycie. Pewnym wyróżnikiem są brzmienia instrumentów, które bardziej kojarzą się z progresywnymi odmianami. Tam ostatnio gitarzyści bardzo chętnie stroją gitary nisko, bardziej nowocześnie. Tak właśnie jest w tym przypadku. Swoją moc ma również sekcja rytmiczna. Na korzyść - choć niewielką - brzmią też klawisze. Sporo jest partii w estetyce progresywnego grania, ale w zdecydowanej przewadze są to typowe dla melodyjnego power metalu syntezatorowe plamy dźwięków. Największym plusem jest wokal **Bastiana Rose**, ma mocny, głęboki, a zarazem bardzo ciepły głos, bez problemu śpiewa również wysoko. Niestety jego partie są zbyt jednostajne i niekiedy trochę nużą. Pochwalić można też solowe popisy gitarzystów. Niezłe są kompozycje, choć nie porywają, to są urozmaicone i próbują re konfigurować nastrojami i emocjami. Trochę ciekawiej jest z aranżacjami, to znowu te ambitniejsze ciągotki Niemców. Część muzyki jest rozpędzona, ale zespół najlepiej czuje się w bardziej statecznych, dość mocno patetycznych fragmentach. Brzmienie dopracowane, bardziej nowoczesne, ostatecznie może być. Najwięcej pozytywów - jak dla mnie - muzycy gromadą w utworze "***Make-Believe (Sleepstream Part1)***". "***The Insanity Abstract***" trwa ponad godzinę, choć muzyka **Vanish** jest bezpośrednia, to dla słuchacza jest jej za dużo. Najbardziej odczuwalne jest to w ostatniej ponad dziesięciominutowej kompozycji. Trudno wytrzymać do jej końca. Przesłuchałem całe mnóstwo albumów z melodyjnym power metalem, "**The Insanity Abstract**" na ich tle nie jawi się jako ten najgorszy, ale do samej czołówki dość daleko mu. Album zyskuje po wielokrotnym przesłuchaniu, dla fanów takiego grania nie będzie to czas stracony, moim zdaniem powinni **Vanish** i ich albumowi dać szanse. (3,7)

Vanish - Altered Insanity

2020 FastBall

Vanish to przedstawiciel niemieckiego melodyjnego power metalu w przestrzennej, syntezatorowej scenerii, przypominającej wręcz uniwersum. Kapela również chętnie wykorzystuje wycieczki w stronę nowocześniejszych odmian metalu. Robią to bez przesady i z dużym wyczuciem, co daje dość przyjemny efekt. Takie też kompozycje znalazły się na omawianej płytce. Zresztą znane z poprzednich wydawnictw. Bowiem "**Altered Insanity**" to jedynie antrakt, czyli EP-ka, gdzie wyeksponowane są utwory, w których udzielali się goście. W "***The Pale King***" możemy usłyszeć świetny głos **Alicji Mroczka**. W kolejnym "***We Become What We Are***" muzycznego obieżyświata **Tima "Rippera" Owensa**. Z kolei w "***Disbelief***" usłyszymy **Bena Galstera**, aby w "***The Grand Design***" cieszyć się z obecności **Ralfa Scheepersa**. Płytkę domyka ciekawe wykonanie utworu **Black Sabbath** "**Heaven And Hell**", który został nagrany na płytę będącą tributem dla **Ronnie J. Dio**. Mimo że krążek to ciekawostka, uzupełnienie do dyskografii **Vanish**, to zainteresowanie nim jest warte gry, bowiem nie dość, że zawiera niezłą muzykę to, wykonana jest w ciekawych interpretacjach.

\m/\m/

Dio - The Atudio Albums - 1996 - 2004

2023 BMG

Rozpędzająca się machina **BMG** przypominająca nam co lepsze momenty w hard rocku i heavy metalu ma się coraz lepiej. W roku 2020 na rynku pojawiły się reedycje czterech albumów z ostatniego okresu **Dio** (dokładnie z lata 1996-2004). Były nimi "**Angry Machines**" (1996), "**Magica**" (2000), "**Killing The Dragon**" (2002) i "**Master Of The Moon**" (2004). Były to wydania w wersjach płyt winylowych i CD. Oprócz zremasterowanego materiału zawierały one rzadkie i niepublikowane wcześniej utwory. Wśród nich znalazły się "**Man On The Silver Mountain**", na którym zapisano na-grania koncertowe z trasy promującej płytę "**Angry Machines**". Następnie "**Lord Of the Last Day**" z nagraniami z trasy promującej krążek "**Magica**". "**Holy Diver**" z nagraniami powstałymi w czasie trasy "**Killing The Dragon**". No i "**Heaven and Hell**" z nagraniami będącymi zapisem części trasy "**Master Of The Moon**". Remasteringiem całości zajął się długoletni współpracownik **Dio**, **Wyn Davis**. Natomiast artysta **Marc Sasso**, który był autorem okładek do dwóch ostatnich albumów **Dio**, przygotował ich uaktualnione wersje. Nowe wydania winylowe były wytłoczone w wersjach 180g. Ich dodatkowo limitowane edycje zawierały oryginalne "soczewkowe" druki okładkowe. A do placka albumu "**Magica**", dołączono singiel "**Electra**", jedyny ukończony kawałek na tworzoną przed śmiercią **Dio**, niewydaną płytę "**Magica 2**". Manewr ten powtórzono w tym roku, z tym że wydania CD i winylowe zapakowano w gustowne boxy, którym nadano tytuł "**The Atudio Albums - 1996 - 2004**". Dodatkowo winyle dostały kolorów, a są nimi: halloween orange w połączeniu z black marble, transparent yellow w połączeniu z black marble, electric blue w połączeniu z milky clear marble, transparent blood red w połączeniu z black smoke oraz cobalt blue. Jak ktoś chce niech sobie to spróbuje rozszyfrować, albo po prostu kupi box z winylami, tak jak to zrobią najwięksi winylowi maniacy. I wszystko stanie się jasne. Jeśli chodzi o muzykę to, podejrzewam, że wszyscy fani tradycyjnego heavy metalu doskonale ją znają. "**Angry Machines**" było albumem, w którym **Dio** mocno próbował zaznaczyć swoją dość niedawną i ponowną przygodę z **Black Sabbath** i wydaniem krążka "**Dehumanizer**" (1992). W zasadzie do każdego kawałka dodał doomowego ciężaru, tak jakby rościł sobie prawo na wyłączność do tej estetyki. Na kolejnym krążku "**Magica**" jest tego mniej, ale **Dio** nigdy z tego doomowego klimatu w zasadzie nie zrezygnował. Zawsze gdzieś tam przemknął. A "**Magica**" przywróciła trochę świeżości. Na płycie jest więcej starego soczystego **Dio**, a tym samym więcej jest przestrzeni i fantazji. No i tę wersję zamyka utwór "***Electra***". Szkoda, że **Dio** nie zdołał ukończyć tej sesji, myślę, że byłaby wspaniała płyta. Natomiast "**Killing The Dragon**" trzeba nawet rozpatrywać jako jeden z najlepszych krążków w dyskografii tego niesamowitego wokalisty. Jest na niej więcej szybszych kawałków, w których jak to określił mój redakcyjny kolega, zespół powrócił do: "*gitarowego szarpania, kąsania riffami i większych obrotów sekcji rytmicznej*". Na "**Master Of The Moon**", który okazał się ostatnim albumem **Dio**, artysta podtrzymał swój wigor, choć nie utrzymał wysokiego poziomu poprzedniczki. Niemniej to wahniecie formy, nie jest jakoś szczególne i dzisiaj wydaje się, że "**Master Of The Moon**" wybrzmiewa bardziej niż solidnie. Co by nie pisać **Dio** jest nie do zastąpienia i każdy fan hard rocka i heavy metalu powinien znać i mieć płyty Mistrza. A jest o to bardzo łatwo, bowiem w takiej czy innej formie jego albumy są ciągle dostępne. W dodatku **BMG** mocno dba, aby ich reedycje były solidnie i estetycznie wydane.

\m/\m/

old metal mania

old, classic, forgotten...

Ampyre - Ampyre

2022 Golden Core/ZYX Music

Tym razem **Neudi** postawił na niemiecki melodyjny rock/metal z początków lat 90. Zespół pochodzi z Reutlingen (niedaleko Stuttgartu). Metal Archives informuje o demo "**Everything Changes**" z roku 1994. Natomiast okazuje się, że w roku 1991 powstały inne nagrania, które nigdy nie zostały opublikowane. Było ich pięć, a za mikrofonem stanęła pani **Elke Grötzinger**. Właśnie one rozpoczynają omawiane wydawnictwo. Można je porównać do **Europe**, **Whitesnake** z końcówki lat 80., **Scorpions**, **Dokken**, **Heart** czy też **Journey**. Utwory jak dla mnie wyjątkowo udane, ze świetnymi tematami i pomysłami muzycznymi, w dodatku znakomicie zagrane. Czuć w nich pewien posmak progresywnego metalu. Jest też w nich trochę tego niemieckiego sztywniactwa, ale ogólnie te kawałki wybrzmiewają znakomicie. Bardzo dobrze wypadła także **Elke**. Wiem, że to był nieodpowiedni czas na takie granie, ale wielka szkoda, że zespołowi nie udało się przetrwać tego czasu. Ostatnimi trzema utworami są te, które pochodzą ze wspomnianego dema "**Everything Changes**". Podstawową różnicą jest fakt, że tym razem za mikrofonem staną facet, **Francis Soto**. Jakoś na jego tle pani **Grötzinger** nie wypada najgorzej, po prostu oboje byli dobrymi wokalistami. Nie zmieniło się nic jeśli chodzi o muzykę, utwory utrzymane były w tym samym stylu, podobne było podejście do nich, no może ciut więcej położono nacisk na progres, także kawałków słucha się naprawdę dobrze. Obie sesje były nagrane na bardzo dobrym poziomie, także pod względem brzmieniowo/produkcyjnym praktycznie się nie zestarzały. Kwestia **Ampyre** to dość mało znana sprawa, ale tym razem na tyle dobra, ze warto się nią zainteresować, szczególnie przez tych, co preferują dobrze wykonany melodyjny rock/metal czy też inny AOR.

\m/\m/

Cirith Ungol - Frost And Fire

2021/1981 Metal Blade

Pierwszy krążek amerykanów wydany w 1981 roku to niejako fundament pod późniejsze dokonania słynnej grupy. Nie znaczy to jednak, że "**Frost And Fire**" jest jakoś diametralnie słabszy czy zawiera mało interesujący materiał. Siedem kawałków na debiutanckim krążku **Cirith Ungol** to w pełni absorbujące granie spod znaku epickiego heavy metalu, jeszcze bez aż tak widocznego pierwiastka doom metalu, ale każdy może usłyszeć to, co podpowiedzą mu własne uszy. Na pewno uwagę zwracają te bardziej żwawsze rytmy, nawet troszkę przywodzące na myśl hard rocka czy, nawet, blues rocka. Czuć, że grupa była na początku swojej drogi, lecz zaznaczała swoją obecność w sposób absolutnie wyrazisty. Od razu wpadają do głowy gitarowe solówki czy też ogólne nastroje kreowane przez duet **Jerry'ego Fogle'a** i **Grega Lindstroma**. Ten drugi zajmował się również klawiszami, basem czy wspierał w chórkach zawadiackie wokale **Tima Baker'a**. Gdzieś z tyłu przebijały się gęste podkłady bębnów **Roberta Garvena** dopełniając smacznie całości. Album "**Frost And Fire**" to bezsprzecznie jedna z ikonicznych pozycji gatunku, będąca drogowskazem dla wielu naśladowców ale i punktem wyjścia dla samego **Cirith Ungol**. To nie miało prawa się nie udać - oprócz świetnej muzyki klimat robiła kapitalna okładka autorstwa **Michaela Whelana** wykorzystana wcześniej w książce fantasy **Michaela Moorcrocka** "**Stormbringer**".

Adam Widełka

Corrosive - I'm Bleeding

2023/1994 Awakening

Corrosive to niezbyt znana amerykańska formacja, która działała w latach 90. Pozostawiła po sobie jedyny album "**I'm Bleeding**", który był wydany w roku 1994. Płyta jest dość krotka, zawiera siedem kompozycji i trwa jakieś 35 minut. Zawarta na niej muzyka do death/thrash, gdzie death jest stroną dominującą. Niemniej bez tych ewidentnych elementów thrashowych muzyka Amerykanów nie byłaby tak atrakcyjna. Kompozycje są dość długie, ciekawie napisane, z ciągłymi zmian temp i charakteryzuje się, gęstymi i rwanymi riffami, co czasami można kojarzyć jazzowym podejściem do muzykowania. Już w takim klimacie utrzymany jest otwierający utwór "***Asphyxiater***". Później następuje rozwinięcie tego pomysłu w różnych wariantach. I tak mamy z pokręconymi riffami w lekko psychodelicznym klimacie utwór tytułowy "***I'm Bleeding***", bliższy starej szkoły death metalu "***Skull Fucker***", pokręcony i mocno złożony "***The Factory***", z większą ilością thrashu "***Nick***", świetny do machania głową "***No Suprise***" i w końcu z pewną nutą progresu/technicznego grania "***Death Dream***". Oczywiście wokalista dokłada swoje, budując swoim wrzaskiem death-metalowy klimat. Brzmienia i sama produkcja jest na przyzwoitym poziomie. Nie mniej nie bez przyczyny ta formacja nie zdobyła większego rozgłosu. Podejrzewam, że w tej materii jest wiele lepszych tytułów, które wtedy i teraz przyciągają uwagę death maniaków. Niemniej bazując na nostalgii, którą z pewnością odczuwają wspomniani fani, można powrócić do "**I'm Bleeding**" jak ekipy z miejscowości Otto ze stanu Missouri.

\m/\m/

Gary Moore - Back to the Blues

2023/2001 BMG

Dość niedawno opisywałem box **Gary Moore** "**The Sanctuary Years 1999-2004**" wydany przez **BMG**. Znalazły się tam następujące płyty opublikowane pod imieniem i nazwiskiem **Gary'ego Moore'a**: "**A Different Beat**" (1999), "**Back to the Blues**" (2001), "**Power of the Blues**" (2004) oraz płyta zespołu **Scars** "**Scars**" (2002), której filarem był **Gary Moore**. A teraz **BMG** wróciło do albumu "**Back to the Blues**", ale wydała go na winylu i jest to pierwszy raz gdy, tę płytę można posłuchać na tym nośniku. Mało tego, nagrania rozdzielone są na dwa "placki" i umieszczone w rozkładanej okładce tzw. gatefold. Przy słuchaniu "**Back to the Blues**" mam takie same odczucia, gdy pierwszy razem słuchałem "**Still Got the Blues**". Potęga blues-rocka **Gary'go Morre'a** nie podlegająca dyskusji również na tym wydawnictwie. Album jest bardzo spójny artystycznie i słucha się go w całości z zapartym tchem. Wiele w graniu **Gary'go** jest dynamiki, a nawet zadziorności, wystarczy posłuchać pierwsze z brzegu utwory "***Enough of the Blues***" i "***Cold Black Night***". Niemniej w bardziej klimatycznych kawałkach, chociażby w takim "***Stormy Monday***" tego dynamizmu też nie brakuje. Jednak gitarzysta potrafi wydobyć również bardziej rzewne dźwięki, tu za przykład niech posłuży "***Picture of the Moon***". Poza tym **Moore** nie unika sięgania po klasyki, tym razem wybór padł na kompozycje **B.B. Kinga** "***You Upset Me Baby***" i **Johnny'ego** "**Guitar**" **Watsona** "***Looking Back***". No i tak można byłoby wymieniać do końca. No cóż, tak jak pisałem "**Back to the Blues**" to świetna płyta. Na wydawnictwie znalazły się również trzy bonusowe utwory. Wersja singlowa "***Picture of the Moon***" i dwa nagrania live ze studia **VH1** "***Cold Black Night***" oraz "***Stormy Monday***". Cała trójka znalazła się na stronie D winyla. Gdyby jednak ktoś był zatwardziałym kolekcjonerem płyt CD, tak jak ja, to też może się cieszyć, bo wydawnictwo jest też wytłoczone na tym nośniku, choć zapakowane w digi-packa. Ogólnie trzeba się delektować tym, że te mniej popularne albumy **Gary'ego Moore'a** wreszcie zaczynają być wznawiane i na nowo przypominane. Są po prostu tego warte.

\m/\m/

Jack Starr's Burning Starr Metal Generation 1985-2017

2023 Global Rock/Cherry Red

Cherry Red Records postanowił uraczyć fanów współzałożyciela **Virgin Steele** zbiorczym wydawnictwem dość zróżnicowanego materiału. "**Jack Starr's Burning Starr Metal Gene-ration 1985-2017**" to zestaw 7 CD z książeczką zawierającą całą masę zdjęć, teksty teksty wprowadzającego: głównego bohatera tego wydawnictwa oraz jego basisty **Neda Meloniego**. Dodatkowo książeczka zawiera krótką notkę o każdym wydawnictwie zawartym w boxie. Niestety nie uświadczymy tutaj żadnych teksów, chcąc zapoznać się z lirykami potencjalny nabywca będzie musiał niestety skierować swoje kroki do Internetu. Gdyby ktoś sięgał po raz pierwszy w życiu po twórczość **Jacka Starra** korzystając z tego boxa może poczuć się zawiedziony. Dumny napis "**Metal Generation**", nie jest wykładnią stylu zespołu, a tylko nazwą utworu z trzeciej płyty sprytnie użytą na okładce z nadzieją przyciągnięcia nieświadomego klienta. Wkładając pierwszą płytę do odtwarzacza początkowo nie uświadczymy początkowo żadnego metalu, a raczej zgodnie z tytułem płyty jest to mocno nastawiony na komercjalizację amerykański rock lat 80. Wyśpiewany przez **Franka Vestriego** materiał broni się tylko niektórymi solówkami. Podczas słuchania płyty mam wrażenie, że **Jack** był sfrustrowany brakiem sukcesu swoich poprzednich płyt i chciał pójść w inną stronę. Dopiero ostatni na "**Rock the American Way**" utwór" "***Fight the Thunder***" zapowiada zmianę w dobrą stronę. Wpadający w ucho riff, ostrzejszy śpiew, ciekawa struktura utworu wzbudzają zainteresowanie. Może i dobrze, że wydawca na CD z 30 minutowym debiutem wytłoczył też drugi album. "**Fight the Thunder**" jawi się jako intro do znacznie ciekawszej płyty. Ostrzejsza z całkowicie wymienionym składem płyta płynie po morzu przystępnego, wpadającego w ucho heavy metalu, wypełnionego mnóstwem stylowych solówek gitarowych. Warto odnotować, że jednym z muzyków występujących na tej płycie jest wokalista **Virgin Steel**. Skupia się on jednak tylko na instrumentach klawiszowych oddając miejsce za mikrofonem **Mike'owi Tirelliemu**. Współpraca obu panów okazała się na tyle owocna, że Mike zaśpiewał łącznie na trzech kolejnych płytach **Burning Starr** oraz pobocznym projekcie "**Strider**". CD 2 również zawiera dwa pełne albumy zespołu. "**Blaze of Glory**" oraz "**Jack Starr's Burning Starr**", które zostały nagrane w prawie identycznym składzie. Jedyna różnica to dołączenie na ostatnim albumie przed zawieszeniem działalności klawiszowca. Album nie zawiera wyróżniających się czy wybitnych momentów. Próżno szukać pereł. Jednak wspólne 35 minut schowane w 10 utworach mijają bardzo szybko. Mnóstwo niemęczących solówek, dobre riffy, całość utrzymana na niezłym poziomie. Wielka szkoda, że po wybrzmieniu ostatniego utworu zaczyna się od razu czwarta płyta. Taka oszczędność plastiku niestety utrudnia wciskanie przycisku replay. Zwłaszcza, że ostatni materiał przed dwudziestoletnią przerwą wydawniczą przejawia już oznaki znużenia. Kompozycje podobnie jak na debiucie odchodzą od szybkich rockerów do delikatnej, niewyszukanej muzyki radiowej. Oczywiście muzyka radiowa nie musi być zła, ale powinna chociaż zapadać w pamięć. Nie musi być ciężka, ale mogłaby bronić się dobrymi melodiami. Na tej płycie ciężko doszukać się czegoś do czego warto wracać. Trzeci krążek to pochodzący z 2003 "**Under a Savage Sky**" wydany oryginalnie pod szyldem "**Guardians of the Flame**". Muzycy, którzy tym razem wystąpili z **Jackiem** mieli już w 1985 okazję spotkać się z nim w studio by razem nagrać trzy niskobudżetowe albumy. **Devil Childe**, **Phantom Lord** oraz projekt **Joe Hasselvandera** są osobowo połączone przez **Jacka**, **Joe** oraz **Neda Meloniego**. W 2003 skład uzupełnił nad wyraz dobrze śpiewający **Shmoulik Avigal**. Kwartet stworzył bardzo udany album. Osadzony głównie w heavy metalowej stylistyce, nierzadko delikatnie wykracza poza ramy zagłębiając się w speedowej, epickiej, neoklasycznej formie nie zapominając o delikatnych ukłonach w stronę US power metalu. Przerwa kompozytorska oraz doświadczenie pozostałych muzyków (chociażby z Raven czy Pentagram) zaowocowały żywym, bardzo spójnym materiałem. Mnogość rifów, wirtuozerskich solówek wspartych przez ponadprzeciętną grę sekcji rytmicznej zachęca do tuptania nóżką, poruszania z uznania głową oraz co najważniejsze wciśnięcia replay po zakończonym odsłuchu. Niestety w przypadku tego konkretnego wydawnictwa odzywa się księgowy aka "Excel", który sprawił, że zamiast normalnej ciszy na koniec albumu zaczyna się pięć utworów projektu **Strider**. Żeby jeszcze utrudnić życie pozostałe utwory są na końcu 4 CD. Podział płyty na dwa krążki na pewno nie ułatwia odsłuchu, a muzyka? Tu jest jeszcze gorzej. Po wybornym "**Under a Savage Sky**" te utwory brzmią jak totalne nieudane odrzuty. Wygładzone, pozbawione ja-kiegokolwiek charakteru sprawiają wrażenie nieudanych piosenek do radia. Może słuchając tej płyty w całości po "**Jack Starr's Burning Starr**" można by dojść, że taka była naturalna kolej rzeczy w 1991, wynikła z potrzeb zmieniającego się rynku czy serca. Niestety dziwaczne pomysły wydawnicze skłaniają do szukania wytłumaczenia tego absurdu zamiast skupiać się na tym co najważniejsze. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu czwarta płyta nie zaczyna się nagranym w 2009 "**Defiance**", a od razu przechodzi do "**Land of the Dead**" z 2011. Nie wiem czy to problem z prawami autorskimi czy jakaś niechęć kogokolwiek do powrotnej płyty, ale faktem jest, że całe wydawnictwo nie jest w wyniku tego kompletną dyskografią **Burning Starr**. Dodatkowo obie wspominane płyty oraz kolejna zostały nagrane w tym samym składzie, także moje zdziwienie jest naprawdę duże. Do **Jacka** i **Neda** dołączył **Todd Michael Hall** znany chociażby ze śpiewania w **Riot** oraz **Rhino**, który unieśmiertelnił swój pseudonim bębniąc na "**The Triumph of Steel**" **Manowar**. Może płyta nie jest aż tak dobra jak "**Under a Savage Sky**", ale ciągle porusza się w podobnej, sprawdzonej stylistyce. Możemy usłyszeć trochę więcej epickich hymnów, wirtuozeria **Jacka** została mniej uwypuklona dając obraz albumu delikatnie skręcającego w kierunku **Manowar**. Wrażenie to potęguje gościnny występ **Ross the Bossa** oraz okładka stworzona przez **Kena Kelliego** znanego właśnie z prac dla **Manowar**. Płytę zamyka cztery utwory **Stidera** pozostawiając takie samo wrażenie jak na poprzednim płycie. Osoba odpowiedzialna za ten układ zrobiła wielką krzywdę tym kompozycjom. Nie mają szans się ani obronić ani zainteresować. Mogę jedynie zdenerwować, jeśli ktoś na czas ich nie wyłączy. Kolejna płyta wieńczy współpracę **Jacka** z **Toddem**. Trochę szkoda, że nie udało się nagrać razem jeszcze jednego albumu, gdyż ten jest zdecydowanie najciekawszym wydawnictwem spod szyldu "**Jack Starr's Burning Starr**". Odejmując trochę stylu **Manowar**, a dodając więcej **Riot** czy **Jag Panzer** słyszymy najwięcej USPM ze wszystkich dotychczasowych wydawnictw. Płyta trwa ponad godzinę, dzięki czemu żaden księgowy nie pokusił się o dodanie jakiegokolwiek bonusu. Pomimo, że tylko jeden utwór kończy się szybciej niż 5 minut płyta w żadnym momencie nie dłuży się podczas odsłuchu. Utrzymana w szybkich tempach, momentami zwalnia by lepiej zaakcentować jakąś część utworów i nadać nutę epickości. Oprócz wpadających w ucho solówek Jack urozmaicił kompozycje o różnorodne gitarowe ozdobniki, które zdają się prowadzić konwersację z wokalistą. Obaj stworzyli niesamowitą synergię w tych dyskusjach i razem są głównymi aktorami tego przedstawienia. Oczywiście nie mogę powiedzieć złego słowa o sekcji rytmicznej. Muzycy nie wychylają się, ale zapewniają trafiające w punkt dociążenie całego krążka. Przedostatnia muzyczna wyprawa prowadzi nas w 2013 rok do naszych zachodnich sąsiadów. To wtedy został zarejestrowany, choć wydany dopiero w 2018, jedyny album koncertowy zespołu. Poprzez 10 przekrojowych kawałków zespół sięgnął nie tylko po najnowszy w tamtym czasie "**Land of the Dead**" (2 utwory), starsze płyty: "**No Turning Back**" (2), "**Blaze of Glory**" (3), ale również pominięty w boxie "**Defiance**" (1) oraz po "**Under a Savage Sky**" (2). W wersjach koncertowych brzmią bardzo spójnie, dość trudno wyłapać różnicę okresu powstania poszczególnych kompozycji. Trzeci w trakcie występu "**Blaze of Glory**" został wzbogacony o wirtuozerską solówkę. **Todd** natomiast zachęca do wspólnego śpiewania, stara się prowadzić dialog z publicznością. Odpowiedzi najczęściej słychać jako dość ciche okrzyki pomiędzy utworami, co raczej nie umożliwia przeniesienie atmosfery koncertu do domu. Niemniej jako best of z urozmaiceniami słucha się tej płyty przyjemnie. Po zakończonym koncercie znalazło się jeszcze miejsce na 5 studyjnych bonusów z różnych okresów działalności. Wszystkie już gdzieś się pojawiały, także nie jest to premierowy materiał. Premierowe wersje bonusów znalazły się na ostatniej płycie. Totalny miszmasz wyciągnięty z głębokich kieszeni **Jacka**. Pierwsze trzy to pełni mocy remastery z jego solowego debiutu. Przekonujemy się tutaj, że świat muzyczny jest bardzo mały i ściśle ze sobą połączony. Za wokal odpowiadał inny muzyk **Riot**. O ile na "**Born In America**" i "**Restless Breed**" **Rhett Forrester** nie pokazał się z najlepszej strony, tak u **Starra** jest mocniej z niezłą zadziornością. Kolejny utwór to alternatywna wersja "***Winds Of War***" pochodzącego z zeszłego roku "**Souls of the Innocent**". **Alex Panza** bardzo dobrze wpasował się w zespół i można czuć niedosyt, że płyta z nim wykracza data wydania poza podtytuł boxa. Kolejne utwory demo zabierają nas na wycieczkę do 1985 razem by spróbować rozeznać się jak Jack zagrał wtedy z **Nedem** i **Joe** wspomaganym wokalnie przez nieznanego mi **Toniego Pietro**. Wszystko brzmi oczywiście bardzo surowo i naturalnie z przeróżnymi sprzężeniami. Utwory są dość zróżnicowane z wysuniętą na pierwszy plan perkusją. Kolejne dwa to instrumentalne kompozycje dające głównie wgląd w umiejętności rzeźbienia solówek **Jacka**. Po nich otrzymujemy dużo koncertowej surowizny. W jednym kawałku wokalnie został zarejestrowany **Rhino**, a w kolejnych **Alex**. Nagrania niestety brzmią jakby były nagrywane smartfonem i dla mnie są tylko ciekawostką. Płytę kończą dwie wstępne, ale już pokazujące epicki potencjał, wersje utworów z 2006. Mam mocno mieszane uczucia co do całości. Zestaw zawiera cztery albumy, które warto mieć w kolekcji lubiąc dobrze skomponowany klasyczny heavy metal z amerykańskim zacięciem. Ja niestety należę do tych, którzy nie przepadają za łączeniem czy dzieleniem płyt. Bonusy traktuję jako ciekawostki i zwykle nie wracam do nich. Tutaj mamy łącznie osiem albumów, koncert oraz bonusy. Te lepsze już gdzieś były, nowe niestety są nagraniami bardzo niskiej jakości. Wszystko to w dziwacznym upakowaniu na siedmiu płytach. Dodatkowo nie jest to pełna kolekcja płyt studyjnych, co obniża w mojej ocenie wartość całego projektu. W Japonii **Starr** ma status kultowego i na pewno znajdą się maniacy, które kupią chociażby dla nowych bonusów. Sama forma jest bardzo budżetowa i zakup nie nadwyręży portfela. Dla osób nie tolerujących wszelkich streamingów, ale nie mających zacięcia kolekcjonerskiego to może być niezła oferta by przekrojowo zapoznać się z bogatą historią **Jacka Starra**.

Łukasz Ragnus

Hammers Rule - Show No Mercy
2022 Golden Core/ZYX Music

Hammers Rule to amerykańska grupa, która działała w latach 1980 - 1988. Przez ten czas wydali dwa pełne albumy "**Show No Mercy**" (1984) i "**Spontaneous Human Combustion**" (1987) oraz jedną EP-kę "**After the Bomb**" (1985). **Neudi** wraz z **Golden Core** postanowili przypomnieć debiut tej formacji. Uzupełniony jest on dwoma nagraniami "***Kamikaze - Mission Of Death***" oraz "***Stop The World***". Są to utwory, które znalazły się na EP-ce "**After the Bomb**", a jednocześnie nie były powieleniem nagrań z debiutu. Także za jednym podejściem mamy wgląd w dwa pierwsze wydawnictwa **Hammers Rule**. Zespół zalicza się do sceny heavy metal. Niemniej wydanie **Golden Core** ma adnotacje: **Classic US-Metal from 1984/1985**. Może to być pewnym wprowadzeniem w błąd, bo przynajmniej w moim wypadku, pomyślałem sobie od razu o takich kapelach jak **Helstar**, **Jag Panzer**, **Omen**, **Liege Lord** itd. A to jest niepoprawny tok myślenia, bowiem **Hammers Rule** jest bliżej do heavy metalu spod znaku NWOBHM. Niemniej nie są to bezpośrednie inspiracje **Iron Maiden**, **Saxon**, **Tygers Of Pan Tang**, owszem pewne elementy twórczości tych zespołów odnajdziemy w muzyce **Hammers Rule**, tak jak detale z US power metalu, jednak tak naprawdę Amerykanie bardziej czerpią z tych Brytyjskich kapel, które jeszcze mocno tkwiły w epoce hard rocka. Ba niekiedy - rzadko, ale zawsze - może to kojarzyć się ze sceną hair metalową. I jak dla mnie daje to bardzo fajny efekt, bo niby to lata 80. (to specyficzne brzmienie), a pełno odniesień do lat 70. W dodatku zrobione jest to z wyczuciem oraz z otwartą głową, także muzykom **Hammers Rule** nie można odebrać pewnej oryginalności. Kompozycje niby proste, ale w każdej dzieje się sporo, także jest czego słuchać. Już rozpoczynający "***After The Bomb***" informuje nas o specyficznym połączeniu heavy metalu z hard rockiem. Kończy się on klimatycznym zwolnieniem, taką mieszanką progresu i psychodelii rodem z lat 70., które skojarzyło mi się z wczesnym **Budgie**. Być może ten kawałek to najciekawszy moment tego wydawnictwa. Niemniej później pomysły są rozwijane i cały czas album jest pod "prądem". Jedynym w pełni heavy metalowym można nazwać kawałek "***Stop The World***", który zaraża swoją bezpośredniością. Do tego albumu trzeba mieść odpowiednie podejście, bo jak będziecie chcieli usłyszeć **Irom Maiden**, **Saxon**, czy też **Helstar** tudzież **Jag Pancer**, to od razu odrzucicie propozycje **Hammers Rule**. A tak jak pisałem będzie to trochę trudno bowiem wspomniany slogan "**Classic US-Metal from 1984/1985**" czy sam tytuł krążka "**Show No Mercy**" nastawia nas na zupełnie inną muzykę. Jeśli chodzi o wykonanie, uważam, że jest utrzymane na odpowiednim poziomie i sprawdza się przy tym co grają Amerykanie. Wyróżniłbym głównie zmarłego gitarzystę **Spunkiego Mechlinskiego**, oprócz niezłych solówek, świetnie wpasowywał się gitarą w klimat utworów. Całkiem nieźle wypadł również wokalista **Blade Duncan**, choć do samej czołówki amerykańskich wokalistów trochę mu brakuje. Brzmienia oraz produkcja też jest na niezłym poziomie. Oczywiście zdradzają czas powstania płyty, ale w tym wypadku jest to bardziej atut niż jakiś tam defekt. **Hammers Rule** oraz ich debiut "**Show No Mercy**" przyjąłem z dużym zainteresowanie i jak będzie okazja, z pewnością wrócę do tego albumu. Ciekaw jestem, jak wam pójdzie z tym krążkiem, bowiem jak wspominałem, nie jest on zupełnie oczywisty.

\m/\m/

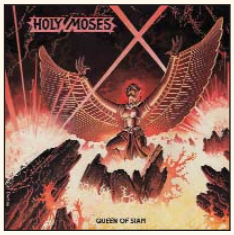

Holy Moses - Queen Of Siam
2023/1986 High Roller

Ukazała się w końcu niedawno reedycja tego niemieckiego klasyka. Dzięki **High Roller Records** możemy pod strzechy ponownie wpuścić plugawe **Holy Moses**, zgrabnie łączące speed z thrashem na swoim debiucie "**Queen Of Siam**" z 1986 roku. Dzieje się w niecałe czterdzieści minut. Dziewięć numerów, w których rządzi charyzmatyczna **Sabina Classen** przy mikrofonie. Słuchając jej wokali można odnieść wrażenie czy nie jest czasem potrzebny egzorcysta… Przyciąga uwagę swoją głosową ekwilibrystyką. Do tego tnące riffy **Andy Classena** i motoryka sekcji **Ramona Brusslera** (bas) oraz **Herberta Dregera** na perkusji. Połączenie ich wszystkich daje efekt zniszczenia, szybkości, ale i posępności, chropowatości i nieraz monumentalnego kształtu kompozycji. Album "**Queen Of Siam**" mimo pewnej szufladki okazuje się produkcją różnorodną. Nawet rzec można, że to dziewięć stopni do samego piekła. Powoli, smagani ogniem, schodzimy coraz niżej i niżej by w końcu dać się pochłonąć eksplodującej sile całokształtu tego krążka. Niewątpliwie debiut ma wszelkie argumenty by zatrzymać na dłużej przy nazwie grupy i choć może okazać się, iż nie jest to, z perspektywy czasu, najciekawsza propozycja w dyskografii niemieckiego składu, to i tak nie da rady przejść obojętnie obok namacalnej agresji wypluwanej w każdej sekundzie tego materiału.

Adam Widełka

Holy Moses - Finished With The Dogs
2023/1987 High Roller

Kolejna reedycja **High Roller Records** przynosi drugą płytę niemieckiej załogi **Holy Moses**. Jak zwykle przygotowana precyzyjnie i gustownie - w ładnym etui, plakatem i książeczką. Aż chce się "**Finished With The Dogs**" słuchać. Mimo, że grupa nie należy jakoś specjalnie do moich ulubionych i nie sięgam po nią zbyt często (choć może to dla niektórych błąd) to przy okazji tych wznowień przyjemnie było odpalić dawno nie słuchany materiał. Krążek z 1987 roku jest osadzony na tych samych fundamentach, co debiut, jednak wyczuwalna jest tutaj jakby większa swoboda i trochę więcej agresji. Numery zdecydowanie są szybsze i odegrane z większym animuszem. Być może to efekt roszad w składzie - pojawili się **Andre Chapelier** na basie i **Uli Kusch** na perkusji. Na froncie niezmordowana **Sabina Classen** swoim gardłowym śpiewem wprowadza w odpowiedni klimat, a wtórują jej rozdzierające riffy **Andy Classena**. Album to krótki, liczy sobie jakieś 36 minut z bonusem, jednak pełen ekspresji. Nie ma żadnych wypełniaczy, muzyka pruje do przodu bez chwili wytchnienia, choć momentami grupa wciąga słuchacza w posępne, szorstkie tempa. To zdecydowanie jedna z ciekawszych pozycji niemieckiej sceny speed/thrash lat 80.

Adam Widełka

Iris - Iris
2023/1981 Golden Core/ZYX Music

Zainteresowania **Neudiego** są bardzo szerokie. Zorientować się można po zespołach i tytułach, które przypomina nam wraz z wytwórnią **Golden Core**. Ciekawostką w jego płytach jest niewątpliwie krążek zespołu **Iris**, który należy przede wszystkim do grona kapel krautrock. Oprócz tego typowego niemieckiego rockowego soundu w muzyce **Iris** odnajdziemy wpływy hard rocka, rocka progresywnego, art rocka, jazzu i po prostu melodyjnego rocka rodem z lat 70. Prawdopodobnie to, że **Neudi** chciał przypomnieć tę kapelę, wynika z faktu, że w niektórych momentach sporo w niej wpływów hard rocka. Niemniej zdumiewającym jest fakt, że pierwotnie płyta ta ukazała się w roku 1981, a nie w latach 70. W momencie wydania musiał być to spory dysonans. Przecież nawet w PRL-u w latach 70. było sporo takich ekip i wielu udało się wtedy wydać płytę. Mało tego polskie zespoły proponowały zdecydowanie bardziej złożoną i ambitniejszą muzykę. Natomiast Niemcy z **Iris** proponują nam dość proste formy kolarzu wspomnianych powyżej wpływów. Kolejną ciekawostką jest fakt, że muzycy wykorzystują swój rodzimy język, co dla mnie **Iris** bardziej stawia na równi w rzędzie z kapelami z NRD, gdzie wschodnio-niemieckie kapele nie stoją na przegranej pozycji. Myślę, że album **Iris** to pozycja dla zagorzałych fanów niemieckiego rocka. W dodatku dla tych, którzy aktywnie uczestniczyli w niemiecki rockowym życiu na przełomie lat 70. i 80. Niestety dla innych pewnie to niezbyt ciekawa historia

\m/\m/

Jack Starr - Out Of The Darkness
2023/1984 High Roller

"**Out of the Darkness**" to pierwsza płyta gitarzysty pod jego własnym imieniem i nazwiskiem z roku 1984. Niemniej **Jack** jakoś nigdy nie chciał w pełni nagrać stricte wirtuozerskiego wydawni-

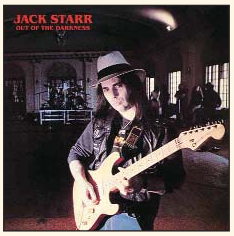

ctwa. Praktycznie zawsze stawiał na dokonania zespołowe. Nie inaczej jest na "**Out of the Darkness**". Fakt, znajdziemy na nim instrumentale takie jak "***Scorcher***" (króciutki, mocno przypominający ekspresje Eddiego VanHalena), wolny i melancholijny "***Odile***" czy "***Amazing Grace***", który nie dość, że jest bonusem to w zasadzie pełni rolę outra. Pozostałe kompozycje to w pełni zespołowe granie, którego nie powstydził się żaden z ówczesnych amerykańskich zespołów. Stylistycznie muzyka przede wszystkim obija się o power i heavy metal, ale także o hard rock czy inny glam rock/metal. Generalnie to świetna dynamiczna mieszanka, która nie ma problemu z dotarciem do odbiorcy. Tym bardziej, jak okaże się fanem tradycyjnego heavy metalu i hard rocka. Trafił się też jeden wolniejszy utwór, taki balladowy, "***Can't Let You Walk Away***". Niestety dość trywialny. Niemniej nie tylko muzyka jest atrakcją tego krążka, ale również są nimi wykonawcy całego przedsięwzięcia. Bowiem oprócz animatora tego krążka **Jacka Starra**, którego głównie znamy z pierwszych płyt **Virgin Steele**, a później z działalności w **Burning Starr**. Mamy jeszcze wokalistę **Rhetta Forrestera**, który współpracował przy płytach **Riot** "**Restless Breed**" (1982) i "**Born in America**" (1983). Czy wreszcie sekcje rytmiczną znaną z **The Rods**, czyli perkusistę **Carla Canedy** i basistę **Garry'ego Bordonaro**. Panowie zapewnili znakomite wykonawstwo, które przyciąga uszy nawet teraz. Także jak ktoś jest fanem US metalu, nie powinien odpuścić "**Out of the Darkness**".

\m/\m/

Jackal - A Safe Look In Mirrors

2023/1994 Jolly Roger

Duński **Jackal** powstał w roku 1987 i swoją działalność zaczął od wysokiego pułapu, wydając debiutancki album "**Rise**" (1990) we wsparciu nie byle kogo, bo labela **EMI**. Album zrobił trochę szumu w Japonii i Europie, ale nie na tyle, aby włodarze giganta chcieli kontynuować współpracę. Niestety to nie były już dobre czasy dla niezłego melodyjnego, acz ambitnego heavy metalu. Muzycy postanowili nie odpuszczać, zeszli do undergroundu i tam starali się kontynuować swoją karierę. Nawiązali współpracę z **Rising Sun Records**, gdzie wydali dwa albumy "**Visions**" (1993) i "**A Safe Look in Mirrors**" (1994). Niestety rezultaty działania pod szyldem **Jackal** nie bardzo zadowoliły muzyków, a szczególnie wokalistę **Briana Richa**, który w roku 1996 opuszcza ekipę. Na jego miejsce przychodzi **Carsten Olsen**. Dochodzi również do wymiany na stanowisku basisty, nowym muzykiem zostaje **Jesper Bang**, jednocześnie muzycy zmieniają nazwę na **Encore**. Pod tym szyldem nagrywają krążek "**Free in Chaos**" (1998), na którym odnajdziemy bardziej hard rockowe granie. Na początku lat 2000. muzycy **Jackal** podjęli próbę reaktywacji, czego rezultatem jest album "**IV**" (2009) wydany pod banderą **Pure Steel Records**. Niestety jest to też koniec działalności tej formacji i nie ma szans, aby muzycy podjęli kolejną próbę odrodzenia **Jackala**, bowiem w roku 2013 samobójstwo popełnił wokalista **Brian Rich**. Na "**A Safe Look in Mirrors**" to już w pełni uformowany zespół, który wie, czego chce i jak to osiągnąć. Ich muzyka wywodzi się z głównego nurtu melodyjnego i tradycyjnego heavy metalu, ale odniesień jest więcej, bowiem słychać echa kultury brytyjskiej, ale i europejskiej, a także amerykańskiej. Poza tym duńscy muzycy mieli ambicje tworzyć ciekawą muzykę, przez co często kojarzono ich z progresywnym metalem. Dlatego też najczęściej **Jackal** zestawiano z **Iron Maiden**, **Queensryche** oraz **Heavens Gate**. I są to bardzo trafne porównania. Niemniej muzycy potrafili wykreować muzykę, która miała własny charakter, choć nie odcinała się od nurtu, z którego się wywodziła. Duńczycy mieli również ogromny talent do budowania znakomitych kompozycji. Przynajmniej te z "**A Safe Look in Mirrors**" są wręcz wyśmienite. Duńczycy charakteryzują się również wysoką kulturą wykonania, do tego stopnia, że ich muzyki słucha się bardzo komfortowo nawet dzisiaj. W utworach można podziwiać nie tylko ich konstrukcje, ale także świetną pracę gitar, wyraźną, ale i kreatywną sekcję rytmiczną, ciekawe tematy muzyczne, no i znakomite melodie. Na dużą uwagę zasługuje również głos i umiejętności wokalisty **Briana Richa**. Jak dla mnie to podobna półka śpiewaków, co **Geoff Tate** i **Bruce Dickinson**. Album, choć bardzo różnorodny jest spójny i bardzo wyrównany, dlatego trzeba go traktować jako całość, a nie szukać jakichś naj-lepszych albo najsłabszych jego punktów. Także obojętne czy szybki "***A Safe Look in Mirrors***", czy trochę cięższe "***When The Light Is Comin' Down***", "***What's It Gonna Be***", czy bardziej melodyjne "***Just a Little Closer***", "***Dream On***", "***The Lonely***" to całość repertuaru "***A Safe Look in Mirrors***" decyduje, że ten album jest taki dobry. Przy albumie współpracowali **Charlie Bauerfeind** i **Sascha Paeth**, więc już wiecie, że przy brzmieniach i produkcji nie było fuszerki, co w sumie tylko dopełnia wysoki poziom całego krążka. "**A Safe Look in Mirrors**" to głównie propozycja dla fanów melodyjnego progresywnego metalu i ambitnego równie melodyjnego heavy metalu, ale fani tradycyjnego heavy metalu także mogą rzucić uchem.

\m/\m/

Jag Panzer - Decade Of The Nail-Spiked Bat-20th Anniversary Edition

2023/2003 Golden Core

Jag Panzer zadebiutował już 1984, ale kolejne lata nie były dla załogi **Marka Briodiego** zbyt szczęśliwe. O ile debiut jest żywym pomnikiem amerykańskiej szkoły power metalu. Materiałem, który można analizować na uniwersytetach i poświęcać mu prace naukowe tak na wydanie godnego następcy przyszło czekać aż 13 lat. Bynajmniej przez ten czas zespół nie próżnował. Cały czas komponował, nagrywał dema, EP oraz wydał jeden album. Ten album zatytułowany "**Dissident Alliance**" ukazał się tak czy inaczej dopiero 10 lat po debiucie, ale nie zyskał przychylności odbiorców. Część z pozostałego materiału ukazała się znacznie później, część na różnych wydawnictwach została natomiast nagrana ponownie. W wyniku tego wszystkiego przebrnięcie przez chronologię dyskografii i próba jej ogarnięcia to prawdziwa droga przez mękę. Jedną z takich pozycji, czerpiących z przeszłości dorobku zespołu, jest "**Decade of the Nail-Spiked Bat**" z 2003r. Podwójny album zawierający aż 20 utworów został w tym roku zremasterowany i wydany ponownie z podtytułem "**20th Anniversary Reissue**". Przyznam szczerze, że mam dziś olbrzymi problem z tym wydawnictwem. Nie przepadam za powtórnym nagrywaniem utworów niezależnie od przyczyny. Czy to problemy z dostępem do taśm matek, walka o udziały muzyków/wytwórni czy też chęć poprawienia dźwięku - ja osobiście zawsze będę próbował zdobyć jak najstarszą wersję dostępną wersję albumu. Tutaj nie dość, że mamy głównie 40-letni materiał nagrany ponownie 20 lat temu to poddany remasterowi w 2023. Istny koszmarek. Sama płyta to miks utworów z pierwszych lat. Muzycy umieścili tutaj 7/9 kompozycji z debiutu - pomijając "***Harder than Steel***" oraz "***Cardiac Arrest***". Następnie mamy całą EP "**Tyrants**" wraz z bonusowym "***Tower of Darkness***", trzy utwory z "**Dissident Alliance**", jeden z "**Chain of Command**" oraz cztery rzadkie, zapomniane utwory z demówek czy po prostu wyciągnięte niebytu. Na płycie brakuje jednego z oryginalnych gitarzystów i to podobno brak jego zgody do ponownego wydania debiutu na początku XXI wieku zmusił pozostałych muzyków do ponownego nagrania starych utworów. Dzięki temu, że całość została ponownie nagrana i wyprodukowana całość jest bardzo spójna i przy pierwszych odsłuchach może zabrzmieć jak jeden album. Lata temu nie mogąc nigdzie dostać "**Ample Destruction**" cieszyłem się ze słuchania "**Decade of the Nail-Spiked Bat**". Niewątpliwie dzięki tej płycie wielbiciele amerykańskiego grania mogli zapoznać się z większością debiutu. Niestety całe to wydawnictwo jest nierówne jakościowo, co bardzo łatwo zauważyć przy kolejnych seansach. O ile utwory nagrane po raz pierwszy z **Conklinem** zyskują oczywiście na jakości to i tak wszystkie najlepsze na tej "składance" pochodzą właśnie z debiutu. Dzisiaj sytuacja na rynku wygląda zupełnie inaczej. **Joe Tafolla** pogodził się ze zespołem, co umożliwiło wypuszczenie łatwo dostępnych reedycji "**Ample Destruction**" w kilku wersjach. Czy mogę komuś zarekomendować sięgnięcia po to wznowienia? Nie sądzę. Osoby dopiero zaczynające przygodę z **Pancernymi** niech sięgną po pełne wydawnictwa. Starzy fani już to znają. Pozostają osoby, które trochę znają zespół i mogą być ciekawi tych kilku rzadkich utworów. Moim zdaniem one ciągle nie są tego warte i powinny być raczej uznawane za ciekawostkę tylko przez maniaków zespołu z Kolorado.

Łukasz Ragnus

Magnum - Great Adventure - The Jet Years 1978 - 1983

2023 HNE Recording

Magnum to angielski zespół przez jednych określany jako hardrockowy przez innych jako AOR-owy. Dla mnie grają specyficzną i mocno klimatyczną mieszankę hard rocka i progresywnego rocka ozdobionego przepięknymi melodiami oraz niesamowitym głosem **Boba Catleya**. Nie mówiąc o ich wykonaniu. Generalnie są nie do podrobienia i jedyni w rodzaju. To właśnie **Catley** wraz z gitarzystą **Tonym Clarkinem** założyli zespół w Birmingham w roku 1972 i przez wiele lat urzędowali w słynnym klubie "**Rum Runner**". Do obydwu panów na początku dołączyli perkusista **Kex Gorin** oraz basista **Bob Doyle**. Skład zespołu pozostał niezmieniony aż do końca 1972 roku, kiedy to tymczasowo dołączył **Les Kitcheridge** na gitarze rytmicznej. Z końcem roku 1972 zespół opuścił **Bob Doyle** i dołączył do formacji **Wizzard** prowadzonej przez **Roya Wooda**, a jego miejsce zajął były basista **Uglys and Balls**, **Dave Morgan** (później członek ELO). **Richard Bailey** dołączył do zespołu jako klawiszowiec w połowie roku 1973, aby w następnym roku udać się na stypendium naukowe. Ogólnie na przestrzeni lat przez **Magnum** przeszło kilka ładnych zmian personalnych jednakże rdzeń kapeli to niezmiennie **Catley** i **Clarkin**, to głównie oni stoją za sukcesem **Magnum**. W roku 1975 **Tony Clarkin** i **Dave Morgan** otrzymali ofertę pracy od **Kima Holmesa** przy budowie studio. **Clarkin** zamiast pieniędzy zażądał konkretnych godzin w studio, w ten sposób pierwsze nagrania demo **Magnum** powstały w **Nest Studios**, no i właśnie te nagrania doprowadziły później do współpracy z **Davidem Ardenem** z **Jet Records**. Wcześniej jednak w lutym roku 1975 dzięki producentowi **Rogerowi Greenaway'owi** zawarto jednorazową umowę z **CBS**. Wtedy to zespół wydał cover utworu "***Sweets for My Sweet***" grupy **The Searchers**. Niestety nie było kontynuacji tej współpracy. Z kolei w maju 1977 roku zespół wspierał **Judas Priest** podczas ich brytyjskiej trasy koncertowej "**Sin After Sin**". Debiutancki album **Magnum** "**Kingdom of Madness**" został wydany przez **Jet Records** pod koniec 1978 roku. Jednak zanim coś napiszę o tym krążku, wspomnę o albumie "**Archive**". Wydany został on dopiero w roku 1993 przez wytwórnię **Reciever** i zawierał on cztery utwory demo nagrane w roku 1974 oraz cztery odrzuty z debiutu, jak i alternatywną wersję utworu tytułowego "***Kingdom of Madness***". Nigdy wcześniej nie słyszałem tego wydawnictwa, i powiem wam, wzbudziło ono we mnie spore zainteresowanie. Pierwszy utwór demo "***Sea Bird***" to w zasadzie rock z wykorzystaniem gitar akustycznych z "narracyjnymi" wstawkami, którym bliżej do progresywnego rocka. Drugi kawałek to dynamiczny rockowy "***Stormbringer***" jednak mocno wsparty wpływami funky, soulu i chyba nie wiele mu brakuje do ówczesnego disco. Wyróżniają go partie fletu, które można kojarzyć z jazzowymi wpływami lub z klimatem **Jethro Tull**. Natomiast "***Slipping Away***" to w zasadzie dynamiczny pop-rockowy song, oparty na rockowych gitarach akustycznych. Jedyną bardziej zadziorną kompozycją jest "***Captain America***" z bardzo udanym riffem. Brzmienie tych kawałków trąci mono "myszką" niemniej pokazują ogólnie, z jakiego miejsca startowali muzycy **Magnum** i w jaki sposób doszli do wyrazu swojej muzyki. Odrzuty z "**Kingdom of Madness**" faktycznie wydają się ciut gorszymi, a raczej mniej pasującymi do zawartości debiutu. Z pewnością są one bardziej mainstreamowe, a nawet taneczne, choć taki "***Everybody Needs***" muzycy **Magnum** wykorzystywali w swoim repertuarze, bowiem słyszałem go wśród innych utworów bonusowych. Brzmienie utworów z "**Kingdom of Madness**" jest z pewnością lepsze niż te z demówek. Lecz pod tym względem ciągle słyszymy, że ta płyta to stare dzieje. Lepsze są też same kompozycje, przede wszystkim są bardziej na kierunkowane na to, co aktualnie reprezentuje sobą zespół. Niemniej wciąż nie jest to samo co teraz. Jest więcej hard rocka, AOR-u i rocka progresywnego, ale to wszystko jeszcze nie jest poukładane, jak było troszkę później, czy na zupełnie współczesnych płytach **Magnum**. Z drugiej strony tam gdzieś przemykają te wszystkie mainstreamowe ciągotki zespołu. Niemniej właśnie to nadawało **Magnum** nieobliczalności, a zarazem niemałej wartości i godności. Muzycy zbierali dość dobre recenzje, a także ogrywali i promowali swoje kawałki na trasie przygotowanej na przełomie października i listopada roku 1978. Supportowali wtedy **Whitesnake**. Drugi album **Magnum** "**II**" został wydany w 1979 roku, a jego producentem został były basista **Ten Years After**, **Leo Lyons**. Niestety płyta nie wdarła się na listy przebojów, co dla mnie jest zaskoczeniem, bowiem uważam "**II**"-kę za zdecydowanie lepszą płytę od debiutu. Po pierwsze muzycznie i brzmieniowo formacja przeskoczyła kolejny level. Myślę, że właśnie wtedy uzyskali wyraz i charakter, któremu później dodawali jedynie większy lub mniejszy retusz, ale swoje wzorzec zbudowali właśnie na "**II**". Poza tym kompozycje są znacznie ciekawsze i bardziej przebojowe, na czele z niesamowitymi "***Changes***" i "***All Of My Life***". No i po raz pierwszy walory **Boba Catleya** zaprezentowały się w pełnej krasie. Zespół promował krążek na trasie, która odbyła się w listopadzie 1979 roku. Tym razem wspierali **Blue Öyster Cult**. Kolejnym wydawnictwem **Magnum** była "koncertówka" "**Marauder**" z 1980 roku, której repertuar składał się głównie z materiału omawianej "**II**"-ki. Wtedy też zespół wybrał się wesprzeć **Def Leppard**, który po Wielkiej Brytanii promował "**On Through The Night**". Następnie zagrał na **Reading Festival 1980**, aby w kwietniu roku 1981 wystąpić obok **Tygers of Pan Tang** na trasie "**Spellbound UK**". W tym czasie na stale dołączył nowy klawiszowiec **Mark Stanway**. Jego gra dodała zespołowi jeszcze więcej klasy i nadała w zasadzie ostateczny szyt. W roku 1982 pojawia się studyjny album "**Chase the Dragon**". Pierwszy ważny krążek zespołu, bowiem uzyskał zdecydowanie większą popularność niż dotychczas wydane płyty. No i zawierał muzykę ze znacznie ciekawszymi i bardziej dopracowanymi kompozycjami, a takie utwory jak "***Soldier Of The Line***", "***Sacred Hour***" czy "***The Spirit***" stały się żelaznym repertuarem występów **Magnum** na długie lata. Mnie najbardziej podobał się mocny i hard rockowy "***The Teacher***". Producentem płyty był **Jeff Glixman**, który znany był głównie ze współpracy z **Kansas**. No i na okładce po raz pierwszy pojawiła się praca artysty fantasy **Rodneya Matthewsa**. Zespół oczywiście rozpoczął koncertowanie, najpierw ze szwajcarskim **Krokusem**, który w Wielkiej Brytanii promował swój nowy album "**One Vice At A Time**". Później latem 1982 roku zagrał kilka koncertów w Stanach Zjednoczonych, supportując **Ozzy'ego Osbourne'a**. Aby wrócić do Wielkiej Brytanii i w lipcu wyruszyć na własną trasę jako headliner. W roku 1983 pojawia się czwarty studyjny album kapeli zatytułowany "**The Eleventh Hour**". Nie jest on tak dobry jak jego poprzednik, ale trzyma poziom i zawiera całą masę dobrej muzyki utrzymanej w stylu formacji. Niestety płyta powstawała w nie najlepszej atmosferze. Już wcześniej były pewne tarcia, ale teraz emocje osiągnęły szczyty, a czarę goryczy przechyliła odmowa zarządu **Jet Records** zatrudnienia znanego producenta. Przez co zespół nagrywaniem produkcją musiał praktycznie zająć się sam. Trasa koncertowa po Wielkiej Brytanii rozpoczęła się w maju 1983 roku, podczas której dodatkowo wspierał grupę gitarzysta **Robin George**. Wraz z **George Magnum** pojawiło się także na **Reading Festiwal** w 1983 roku. Niestety **Jet Records** było niezadowolone z wyników sprzedaży "**The Eleventh Hour**" i odmówił wydania kolejnego albumu oraz finansowania trasy koncertowej. Tym samym doprowadzili do zakończenia współpracy z **Magnum**. Był to też nie najlepszy okres dla samego **Tony Clarkina**, któremu najpierw zmarła matka, a później sam mocno podupadł na zdrowiu. Był nawet taki moment, że pod znakiem zapytania była dalsza działalność kapeli. Całe szczęście **Tony'emu** udało się wyjść z problemów i na święta bożonarodzeniowe wystąpił na koncercie wraz z pozostałymi kumplami. Show było na tyle udane, że muzycy postanowili kontynuować karierę jako **Magnum**. Wtedy zaczął się chyba jeden z lepszych momentów formacji. Niemniej to opowieść na inny box, który może kiedyś powstanie. A teraz, jak ktoś poczuł się zaintrygowany tym, co przeczytał, niech wyszuka sobie "**Great Adventure - The Jet Years 1978-1983**", a nuż będzie to jego początek niezwykłej muzycznej podróży, którą zaproponował ten Brytyjski zespół

\m/\m/

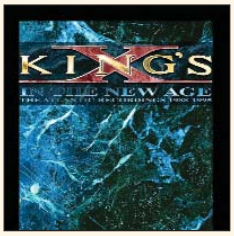

King's X - In the New Age - The Atlantic Recordings 1988-1995

2023 HNE Recordings/Cherry Red

Na początku lat 80. basista i wokalista **Doug Pinnick**, gitarzysta **Ty Tabor** i perkusista **Jerry Gaskill** powołali zespół, który ukrył się pod nazwą **Sneak Preview**. Choć po prawdzie ich wspólne muzykowanie sięga nawet roku 1979. W roku 1985 doszło do zmiany nazwy na **King's X**. Na początku związali się z *Megafoce Records*, którego działania były wsparte gigantem **Atlantic Records**. Pod ich skrzydłami wydali trzy albumy: "**Out Of The Silent Planet**" (1988), "**Gretchen Goes To Nebraska**" (1989) oraz "**Faith Hope Love**" (1990). Wraz z wydaniem czwartego albumu "**King's X**" (1992) formacja odpowiadała jedynie przed zarządem **Atlantic Records**. Moje spotkanie z **King's X** to przede wszystkim ich piąty album "**Dogman**" (1994). Z tego co pamiętam, miałem tę płytę mocno obsłuchaną i to ona wyrobiła moją opinię o tym zespole. Przede wszystkim muzyka z "**Dogman**" dostała "powera". Pamiętacie album **Rush** "**Counterparts**"? To właśnie piątemu krążkowi **King's X** przytrafiło się coś podobnego, w każdym razie, coś zbliżonego. Być może dopiero ta kwestia przyciągnęła moją uwagę do tej grupy. Niemniej bardziej były to dobre opinie o poprzednich albumach oraz rekomendacje ich muzyki dla fanów progresywnego rocka/metalu. Nie bez przyczyny przywołałem **Rush**, bowiem dokonania **King's X** bardzo przypominały mi mieszankę muzyki właśnie wspomnianej ekipy z dorobkiem **Extreme**. Ogólnie świetnie wymyślone hard'n'heavy, znakomicie zagrane, ambitne, niosące estetykę progresywnego rocka i metalu. Niemniej nie to było najważniejsze w dokonaniach **King's X**, a ich specyficzne wykorzystywanie wpływów muzyki funky, soul, gospel, r'n'b, blues. Bardzo chętnie sięgali również po klimaty psychodelii, trochę po rzeczy z rocka alternatywnego. Także stworzyli program, który jest i był na wskroś oryginalny oraz ciężki do podrobienia. Na początku muzyka **King's X** wciągnęła mnie, dzięki czemu sięgnąłem po wcześniejsze ich wydawnictwa, wspomniane "**Gretchen Goes To Nebraska**" (1989), "**Faith Hope Love**" (1990) i "**King's X**" (1992). Te płyty przyniosły mi sporo radości, szczególnie do gustu przypadła mi zawartość "**Gretchen Goes To Nebraska**". Niemniej z czasem moje zainteresowanie tym zespołem, ich muzyką, powoli wygasało. Prawdopodobnie wynikało to ze specyficznego klimatu, które niosły ze sobą krążki tej ekipy. Zaduma, refleksja, kontemplacja, zamyślenie, co po pewnym czasie zmieniało się w smęcenie, marudzenie i ogólnie nudę. No niestety w tym wypadku muzycy **King's X** nie potrafili dorównać mistrzom tej estetyki, czyli **Fates Warning**, którzy z melancholii i smutku potrafili zbudować arcydzieło (chociażby ich niezapomniany album "A Pleasant Shade of Gray" (1997)). Oczywiście w repertuarze tego zespołu są również kompozycje bardziej witalne, żwawe i dziarskie, jak chociażby "***Over My Head***" z "**Gretchen Goes To Nebraska**". Niemniej jak na razie ten specyficzny splin był i jest podstawą przekazu muzyki **King's X**. Wydawnictwo "**In the New Age**" pozwoliło mi przypomnieć te wszystkie emocje i odczucia związane z powyższymi wydawnictwami **King's X**, a także poznać ich debiut "**Out Of The Silent Planet**" (1988), jak i kolejną płytę po "**Dogman**" (1994), czyli "**Ear Candy**" (1996). Nigdy wcześniej ich nie słyszałem. I tak "**Out Of The Silent Planet**" okazało się krążkiem, na którym znalazło się już wszystko, z czego byli znani później Amerykanie, jedynie było to trochę topornie przygotowane i dość szorstko zrealizowane. Natomiast "**Ear Candy**" okazał się albumem będącym udaną kontynuacją tego wszystkiego, co wymyślili muzycy **King's**. Zresztą tak jak wszystkie pozostałe sześć albumów studyjnych, które ukazały się w kolejnych latach. I wierzę w to, że przyniosły one wiele radochy fanom Amerykanów, tak jak te, które możecie znaleźć we wspomnianym wydawnictwie firmowanym przez **HNE Recordings**. Trzeba jednak dopasować się z przekazem formacji, może ja też za jakiś czas zdołam się z nim zharmonizować. Wy moi drodzy czytelnicy, jak jeszcze nie poznaliście tej grupy, to próbujcie. Mimo wszystko zachęcam.

\m/\m/

Morbid Saint - Destruction System

2023/2015 High Roller

W roku 1990 **Morbid Saint** debiutuje albumem "**Spectrum of Death**", dla niektórych mocno "diabelskim" i kultowym. Na tej płycie **Morbid Saint** działa jak bezlitosna maszyna. Odnajdziemy na niej wściekły i bezkompromisowy thrash metal, który nie ma litości dla słuchacza. Ten album to jedna wielka rzeźnia, gdzie ofiarami są uszy

misowego thrash, który kultywuje tradycję srogiego muzycznego łomotu w stylu **Slayer**. Muzycy od początku do końca nastawieni są na ostrą jazdę, na wściekłość oraz na nieokiełznaną energię. Niemniej starają się, aby nie stracić nad nią kontroli. Dwa lata później formacja ma gotowy kolejny materiał, na kolejny krążek. Niestety "**Destruction System**", bo taki tytuł otrzymało to wydawnictwo, w momencie powstania, nie wyszło poza wersję demówki. Szkoda, bowiem formacja kontynuuje na nim swoje podejście do ekstremalnego thrashu, ciągle króluje intensywność, pasja, furia i wszechogarniające zło. Muzycy nadal atakują nas monstrualnymi riffami, solówki niby ciągle chaotyczne, niemniej emanują niesamowitą energią i ranią nas do krwi. Za to perkusja wydaje się jeszcze bardziej potężna, ciekawsza i bardziej kreatywna. Niestety bas na jej tle wydaje się niesłyszalny (albo to moje wrażenie). Bardzo wyrazisty jest szalony wrzask wokalisty. Co prawda jest mniej intensywny, jak na debiucie, ale z pewnością fanom w tej formie również się spodoba. W ten sposób wkrada się leciutki dotyk dojrzałości kapeli, który zdecydowanie zaznacza się w budowie samych kompozycji. Nawiązują one zdecydowanie bardziej do klasycznych form thrash metalu, ale zupełnie nie rezygnują z szybkości, dzikości i agresywności. Ogólnie kawałki są ciekawsze, lepiej przemyślane i mocniej stawiające na technikę. Niemniej nie tracą nic z przekazu bezpośredniości i dostępności. Płyta jest różnorodna, więc mamy kawałki w średnim tempie, jak "***Halls of Terror***", "***Destruction System***" i "***Living Misery***", a także te szybsze, jak "***Disciples of Discipline***" czy "***Darkness Unseen***". Poza tym każdy z nich niesie zupełnie inny klimat, choć wszystkie krążą wokół agresji, apokalipsy, beznadziei itd. Brzmienie jest całkiem niezłe, wprawdzie perkusja wydaje się zbyt mocno wypchnięta do przodu. No i szkoda, że płyta ta nie zdołała wtedy się ukazać. Być może zespół miał inny status niż teraz. "**Destruction System**" po raz pierwszy ujrzała światło dzienne w roku 2015, wtedy wyszedł winyl wytłoczony przez **Weird Face Productions**. Ma on dość fajną klimatyczną "thrashową" okładkę i logo z pierwszego albumu. Tegoroczne wydanie **High Roller Records** ma logo używane przez zespół w momencie wydania "**Destruction System**" oraz bardziej bezpośredni, acz bardziej infantylny rysunek, który jednak nie wypada z roli "thrashowego" obrazka. Niemniej znając podejście **High Roller** wydawania swoich tytułów, to zastosowali optymalnie odpowiednie materiały do tej reedycji. Tak czy inaczej, maniacy thrashu, szczególnie tego ekstremalnego, powinni posiadać w swoich zbiorach ten album.

\m/\m/

Nuclear Assault - Radiation Sickness

2023 Dissonance

Coś dla fanatyków thrashu i **Nuclear Assault**. W roku 1991 pojawił się VHS z koncertem Amerykanów, który odbył się 20 czerwca 1987 roku w **Hammersmith Odeon Theatre**. Była to część wydarzenia "**The Longest Day**", gdzie zagrali również **Atomkraft**, **Onslaught** i jako headliner **Agent Steel**. Nie pamiętam starego VHS, może nawet nigdy tego nie oglądałem, ale jakość nagrań z płyty, którą w bieżącym roku zaproponowało **Dissonance Productions**, a jest wierną kopią audio tamtego wydawnictwa, bardziej kojarzy mi się z bootlegiem. Także, jest to propozycja dla tych "die hard fan", którzy nie przepuszczą, żadnych nagrań **Nuclear Assault**. No, ale może za dużo wymagam, bo z tego co wiem to, ten VHS obrósł znacznym kultem. Poza tym Amerykanie prezentują się nieźle, naprawdę są w dobrej formie, kawałki zagrane są z ikrą i pasją. Myślę, że był to dla nich udany wieczór. Zaprezentowali oni wtedy większość utworów z dużego debiutu "**Game Over**", co raczej podnosi wartość tego wydawnictwa. Co niektórzy do tej pory najbardziej cenią sobie właśnie ten krążek. Poza tym nie było innego wyboru, bowiem w dyskografii mieli tylko tę płytę. Gdyby nie to brzmienie, jego jakość, byłaby to naprawdę wyśmienita pamiątka Amerykanów po pierwszym tourne po Europie. Szkoda, że nie dołączono do tego wydawnictwa wspomnianej wersji wideo, po prostu byłby komplet. "**Radiation Sickness**" w wersji audio to sprawa dla fanów **Nuclear Assault**, jednak zbytnio nie namawiam ich do nabycia tego CD, a to głównie z powodu wspomnianej słabej rejestracji tego wydarzenia. (-)

\m/\m/

Overdose - To The Top

2023 Golden Core/ZYX Music

O tym **Overdose** nie wiem zbyt wiele, oprócz tego, że pochodzi z Ausburga i zaczynali w roku 1984. Przy dozie dużego farta, ale za swoje pieniądze nagrali w znakomitych warunkach swój debiutancki album, który własny sumptem wydali w roku 1985 i próbowali go sprzedać na własnych koncertach. A w roku 1986 już nie istnieli. Gdy się słucha nagrań z "**To The Top**" ma się wrażenie, że mamy do czynienia z drugoligową formacją, ale ze znakomitym brzmieniem i produkcją. Utwory są dość proste, rozstrzelone miedzy hard rockiem, heavy metalem oraz rockiem. Niemniej przez te kawałki co pewien czas przewija się jakiś ciekawy motyw, niezłe solo oraz melodie, te ostatnie wręcz wychodziły Niemcom wybornie. Zresztą gdyby udałoby się im kontynuować karierę, prawdopodobnie mogliby konkurować z takim **Scorpions**. Po prostu brakowało im jeszcze doświadczenia. Także nie jest tak, że muzycy **Overdose** w ogóle nie włożyli pracy czy też serca w muzykę i rejestrację materiału. Po prostu w tym momencie zabrakło im wspomnianego doświadczenia i odrobinę talentu. Niemniej płyta zawiera też coś bezcennego, a mianowicie klimat lat 80., którego aktualnie nie da się odtworzyć. Nawet za pomocą magii. Płyta zawiera dziewięć kawałków, trwa trzydzieści siedem minut, także nikomu jakoś zbytnio nie zawróci w głowie i nie wykradnie wiele czasu, więc można spokojnie zapoznać się z jej zawartością. A jak przypadnie do gustu ustawić ją do kolekcji, z pewnością posiadanie tej płyty nie przyniesie wstydu. Tym bardziej że okładka może cieszyć oko.

\m/\m/

Robin George - Ace In My Hand

2023 HNE Recordings

Robin George muzyczną karierę rozpoczął w zespole **Life**, który wydał jeden singel "**Too Late**". W skład tego zespołu wchodzili m.in. **Mark Stanway** (m.in. klawiszowiec Magnum) i **Dave Holland** (m.in. perkusista Judas Priest). Kolejnym zespołem **Robina** był **Byron Band**, którego frontmanem i liderem był **David Byron** znany ze współtworzenia najlepszego okresu **Uriah Heep**. Pan **George** współuczestniczył w nagraniu debiutanckiego albumu tej formacji, zatytułowanego "**On the Rocks**". W 1982 roku opuścił **Byron Band** i skoncentrował się na karierze solowej. W 1983 roku podpisał kontrakt z **Arista Records**, czego rezultatem był singel "**Go Down Fighting**". Po zerwaniu współpracy z **Arista Robin** zaczął pracować jako producent. W 1984 roku podpisał kontrakt z **Bronze Records**. Dla niej to nagrał albumu "**Dangerous Music**". Płyta była dobrze promowana, bo pamiętam ją z magazynów muzycznych, około heavy metalowych, ale, że była to rzecz bardziej melodyjna bliska AOR-owi nie bardzo mnie zainteresowała. Następnie pan **George** ponownie podjął pracę jako producent, aby w roku 1990 wspólnie z **Seanem Harrisem** założyć projekt **Notorious**. Trzy tygodnie po ukazaniu się ich albumu "**Notorious**" formacja już nie istniała. **Robin** kontynuował karierę jako producent, współpracując z **Robertem Plantem**, **Philem Lynottem**, **Glennem Hughesem**, **Johnem Wettonem** itd. W końcu w roku 2001 nagrał album "**Rock of Ageists**" i od tamtej pory w miarę regularnie wydaje kolejne krążki. Wydawnictwo "**Ace In My Hand**" wydane w bieżącym roku przez **HNE Recordings** to w zasadzie kompilacja, która zbiera mało znane kompozycje i nagrania, zarejestrowane w latach 1979 - 1982. Muzyka lawiruje gdzieś między rockiem, pop rockiem, AOR-em, hard rockiem i hard'n' heavy. Jest bardzo melodyjna i przebojowa, akurat do puszczania w radio lub luźnego słuchania w czasie innych domowych obowiązków. Jest to zestaw dwupłytowy, więc zawiera potężną dawkę muzyki. Niemniej nie obarcza ona słuchacza jakoś bardzo intensywnie, acz nie daje również powodu do nudy. Po prostu płynie sobie w tle, kokietując urokliwymi melodiami, ciekawymi aranżacjami i całkiem niezłym wykonaniem. Taka po prostu mainstreamowa muza, ale z klasą. Poziom tego zestawu podkreśla również fakt, że mimo pocho-

Rhett Forrester - Gone With the Wind

2023/1986 High Roller

Po opuszczeniu **Riot**, z którym nagrał dwa wyśmienite krążki "**Restless Breed**" (1982) i "**Born in America**" (1983) **Rhett Forrester** zdecydował się na działalność solową. Jednak wcześniej podjął współpracę z **Jackiem Starrem**, czego rezultatem był m.in. solowy album **Starra** "**Out Of The Darkness**" (1984). Miało to konsekwencje, bowiem prace nad pierwszym albumem **Forrestera** odbyły się we Francji, poza tym sekcję rytmiczną tworzyli muzycy **The Rods**, czyli **Carl Canedy** i **Garry Bordonaro**. Ci sami, co współpracowali ze **Starrem** przy krążku "**Out Of The Darkness**". Niemniej za współpracownika jako gitarzystę **Rhett** wybrał mniej znanego gitarzystę **Paula Kayena**, któremu jednak nie brakowało umiejętności i talentu. Dodatkowo **Carl Canedy** odpowiadał za produkcję debiutanckiego materiału R**hetta Forrestera**. "**Gone With the Wind**", bo taki tytuł otrzymała pierwsza płyta **Rhetta** ukazała się w roku 1986 nakładem niewielkiej wytwórni **Bernett Records**. Album zawiera dziewięć utworów, gdzie osiem to autorskie kompozycje **Forrestera** (choć Canedy twierdzi, że on i pozostali muzycy również w tym uczestniczyli), a dziewiąty, ostatni to cover **Rolling Stone** "***Live With Me***". Kawałki naprawdę fajne, utrzymane w konwekcji melodyjnego heavy metalu z charakterystycznym amerykańskim zacięciem, z połączeniem elementów power metalu i hard rocka. Na pewno jest też coś z popularnego wtedy hair/glam metalu. Niemniej **Rhett** zdecydowanie miał bardziej tradycyjne podejście do ciężkiego grania, co słychać w kompozycjach i sposobie śpiewania. Myślę, że fani lat 80., tradycyjnego heavy metalu, a także US metalu z lat 80. będą bardziej niż zadowoleni z "**Gone With the Wind**". Nie zmieni to trochę lżejszy kawałek "***Voyage To Nowhere***", czy też hardrockowo wybrzmiewający cover "***Live With Me***". Zresztą znakomity z niesamowitą partią harmonijki zagraną przez samego **Forrestera**. Naprawdę "**Gone With the Wind**" to bardzo dobra rzecz, szkoda, że **Warner Bros**. zrezygnowało z wydania tego albumu, bo pod ich skrzydłami ta muza zdobyłaby większą popularność.

Rhett Forrester - Even the Score

2023/1988 High Roller

Kolejną płytę **Forrester** wydał przy ścisłej współpracy z gitarzystą **Paulem Kayeną**. Wspomagali ich klawiszowiec **John Tabacco** oraz basista **Chris Pati**, który również używał klawiszy, ale przede wszystkim to on zaprogramował perkusję na płycie. Co ciekawe na poprzednim krążku **Carl Canedy**, zamiast zagrać swoje partie na "żywej" perkusji również je zaprogramował. Jak twierdził chciał tak jak **Judas Priest**, który wspomagał się również elektronicznymi partiami bębnów. Całe szczęście nie słychać tego za bardzo ani na debiucie, ani nowej płycie "**Even the Score**". Muzycznie płyty trochę się różnią. Krążek zaczyna się po staremu tj. "***You Will Be Mine***" wybrzmiewa jak kawałek melodyjnego heavy metalu z charakterystycznym amerykańskim zacięciem, z dodatkami pewnych detalów power metalu i hard rocka. Do starego muzycznego wcielenia **Rhetta** nawiązuje również ostatni kawałek "***Gone Down***", to takie połączenia heavy metalu z hard rockiem, gdzie ten ostatni jest bardziej słyszalny. Mamy też w nim partię harmonijki, ale nie jest ona tak dobra, jak to było przy coverze "***Live With Me***" z poprzedniej płyty. Drugi utwór na "***Even the Score***" to kawałek tytułowy, jest to połączenie starego heavy metalowego wyrazu **Rhetta** z hair metalem nawiązującym do albumu **Whitesnake** "**1987**". Najwidoczniej ktoś za bardzo się go nasłuchał. Jednak kwestia połączenia tych stylów i samo wykonanie, wykracza poza samo kopiowanie. Nawet jestem gotów stwierdzić, że muzycy dotknęli geniuszu podczas pisania tego kawałka. Szkoda, że na tej płycie nie było więcej takich kompozycji. Trzeci song z płyty to "***Ready For Love***". Ballada w stylu mainstreamowego **Whitesnake**, nawet **Rhett** śpiewa jak **Coverdale**. Nie jest to jednak autorska kompozycja Amerykanów, bowiem napisał ją **Mick Ralphs** dla swojego zespołu **Mott the Hoople** (później wykonywał ją również Bad Company). Na płycie mamy jeszcze jedną podobną balladę, jest nim kawałek "***See You In My Dreams***". Wcześnie zaraz po "***Ready For Love***" mamy utwór "***Assume The Position***", który jest taką jeszcze większą symbiozą stylów heavy metalu **Forrestera** z pomysłem na hard'n'heavy muzyków **Whitesnake** z drugiej połowy lat 80. Właściwie właśnie takie kompozycje stanowią większość krążka "**Even the Score**" i wypełniają one sam środek płyty. Obok "***Assume The Position***" stanowią je "***I Must Crazy***" oraz "***Burning Heart***", bowiem już następny "***Payin' The Price***" raczej przypomina mi to, co zaproponowało **Guns N' Roses**. Jest jeszcze jeden "whitesnakowy" utwór "***Leading Me On***", ale ten znalazł się pod sam koniec albumu. Brzmienie i produkcja "**Even the Score**" jest na dobrym poziomie, także w tym wypadku nie ma co się czepiać. Fakt płyta nie jest jakoś oryginalna, ale wypełnia ją dość ciekawie napisana muzyka, która ma swoje momenty. Jednak fan tradycyjnego heavy metalu może mieć pewne obiekcje. Łatwiej odnajdzie się na niej fan amerykańskiego hair/glam metalu. Ja mimo wszystko rekomenduję tę płytę ze względu na głos samego **Rhett Forrester**. W sumie "**Even the Score**" to ostatnie jego oficjalne wydawnictwo. Niestety w 1994 roku **Forrester** zginął w strzelaninie. W 1996r. ukazała się jeszcze płyta "**Hell or High Water**", która była kompilacją nagrań z różnych okresów kariery **Rhetta**. Na niej też znalazły się kompozycje nagrane pod szyldem zespołu **Dr.Dirty**. Poza nim **Rhett** miał jeszcze epizody z **The Black Symphony**, **Dirty Water**, **Dogbone**, **Thrasher** i **Clear Lake**. Niemniej włodarze **High Roller Records** mieli inny pomysł i nie wydadzą "**Hell or High Water**". Za to opublikują dwa różne krążki, które będą zawierały wszystkie sesje z wymienionymi projektami. Myślę, że warto czekać.

\m/\m/

dzenia z różnych sesji i czasu to praktycznie tego się nie czuje. Niestety nie znam innych dokonań **Robina George**, ale "**Ace In My Hand**" skierowana jest do wielbicieli melodii i przebojów w klimacie lat 80.

\m/\m/

Sacrafice - The First Experience With The Unknown

2022 Golden Core/ZYX Music

Neudi należy do osób, które z punkt honoru postanowiły sobie, że przypomną nam zapomniane historie z hard rocka i heavy metalu z lat 80. (głównie). Bywa, że jego wycieczki sięgają dalej, chociażby rocka progresywnego, krautrock itd. Tym razem sięgnął do samych trzewi undergroundu niemieckiego hard'n'heavy i zespołu **Sacrafice**. Działał on jedynie przez rok (1984) i zostawił po sobie wydaną własnym sumptem EP-kę "**The First Experience with the Unknown**" (1984). Ich muzyka to hard'n' heavy oparte na dokonaniach **Black Sabbath**, **Deep Purple**, **Rainbow**, **Kiss**, **Saxon**, **Iron Maiden** czy **Def Leppard**. Niestety nie usłyszymy tego na wspomnianej EP-ce, bowiem jakość nagrań jest beznadziejna. Jedynie można się domyślać, że gdyby muzycy mieli okazję nagrać je w lepszych warunkach, okazałoby się, że są całkiem przyzwoite oraz że grupa ma potencjał. Tak w ogóle te cztery kawałki zdewastowane są przez wysunięty do przodu wokal, który nie dość, że zagłusza muzykę to, jest wrzaskliwy i bardzo ostro wyeksponowany. Jak dla mnie nie pasuje do takiego grania. Kolejne trzy nagrania pochodzą z jakiegoś koncertu i są jakości marnego bootlegu. Ci, co na przełomie lat 80. i 90. żyli okresem demówkowym wiedzą, o co chodzi. Niemniej po tych nagrania następuje przeskok jakościowo/stylistyczny. Otrzymujemy aż sześć nagrań studyjnych zespołu **TranQuill**, który zainicjowali byli muzycy **Sacrafice**. Jakościowo nagrania są lepsze, doskonale słychać muzykę i intencje zespołu, choć wszystko jest w jakości demówkowej. Poza tym muzyka skierowała się w rejony rozmarzonego i rozwleczonego progresywnego rocka, który nijak nie pasuje do tego co chciało gać **Sacrafice**. Być może dla **Neudiego** ta lub te formacje miały jakąś dużą wartość sentymentalną. Natomiast dla nas fanów spoza Niemiec raczej jest sprawą mało istotną, tym bardziej że jakościowo te wszystkie nagrania nie przedstawiają żadnej wartości. Jak dla mnie to wydawnictwo to skucha **Neudiego**, ale to taki mały wypadek przy pracy, bo większość jego pomysłów warte są poznania.

\m/\m/

Sweet Cheater - Immortal Instant

2022 Golden Core/ZYX Music

Sweet Cheater to niemiecka formacja, która działała w latach

1983 - 1986, a może nawet do 1987. Zresztą sami zainteresowani nie do końca pamiętają. Przez ten czas nagrali demo "**Messenger of Fear**" (1985) i album "**Immortal Instant**" (1986). Zespół głównie kojarzony jest z niemiecką sceną heavy /power/speed, chociaż ich muzyka to głównie speed metal. Ciekawostką jest to, że łączy on wpływy amerykańskie i niemieckie. Wielu wskazuje na amerykański **Abattoir** i niemiecki **Warrant**. Sporo w muzyce Niemców jest także NWOBHM (Judas Priest, Iron Maiden, Satan). Także wraz z albumem "**Immortal Instant**" zespół **Sweet Cheater** znakomicie odnalazł się wśród innych niemieckich kapel takich jak **Helloween**, **Running Wild**, **Blind Guardian**, **Stranger**, **Warrant** itd. Niestety coś nie poszło jak powinno i zamiast udanej kariery szybko o kapeli zapomniano. A "**Immortal Instant**" miał wszystko, co taki zespół potrzebował, znakomite kawałki, świetne melodie, niesamowitą pracę gitar i nie tylko chodzi o solówki. Do tego gęstą i prącą do przodu sekcję rytmiczną. O wokalu pisano, że jest unikalny i wyjątkowy, ale chodziło o to, że nie należał on do tych najlepszych. Niemniej teraz gdy się go słucha to, mam wrażenie, że znakomicie pasuje do speed metalu proponowanego przez muzyków **Sweet Cheater**. Oczywiście chodzi o ogólny klimat, który związany jest z latami 80., ale też pasuje do tej germańskiej solidności i toporności. O tym, że będziemy mieli do czynienia ze znakomitym speed metalem, informuje nas już rozpoczynająca album kompozycja tytułowa "***Immortal Instant***" szczególnie jej część druga. W niektórych momentach płyty pojawiają się wręcz thrashowe riffy tak jak w "***Gates of Insanity***". Natomiast sporo miejsca w kawałkach Niemców zajmują elementy heavy/power metalowe. Najlepiej słychać je w utworze "***The Curse***". Jestem przekonany, że fanom niemieckiej sceny lat 80. "**Immortal Instant**" przypadnie do gustu. Wydawnictwo **Golden Core** uzupełnia siedem kawałków demo oraz jedno z próby. Nie bardzo pokrywają się one z zawartością "**Messenger of Fear**". Niemniej stanowią one znakomite uzupełnienie jedynego krążka **Sweet Cheater**. Produkcja i brzmienia tych nagrań utrzymane są w standardzie lat 80., także fani oldschoolu powinni być zadowoleni. Ogólnie, jak ciągle interesuje was odkrywanie zapomnianych historii to **Sweet Cheater** "**Immortal Instant**" jest dla was.

\m/\m/

Tank - Tank

2023/1987 High Roller

Album "**Tank**" to bezpośrednio kontynuacja "**Honour & Blood**", ale już nie tak udana. Muzyka nadal nawiązuje do nurtu NWOBHM i tradycyjnego heavy metalu, jest nasycona gęstą i mocną sekcją rytmiczną oraz wściekłymi i ciężkimi gitarami, a nad wszystkim panuje jedyny i niepowtarzalny wrzask **Algy Warda**. Krążek z roku 1987 jest również urozmaicony, są utwory zarówno szybsze jak i te bardziej utrzymane w średnich tempach, bywają też momenty łatwiej wpadające w ucho. No i utrzymała się tendencja, że niektóre kompozycje są trochę dłuższe, ale bez zepsucia ogólnego wrażenia. Po prostu zespół trzyma fason i ciągle jest pełen swoistej energii. Niestety mamy też słaby moment, którym jest dość trywialna ballada "***Lost***". Jest trochę w niej syntezatorów, niestety ze względu na charakter kawałka słychać je ciut wyraźniej. Niemniej to nie jedyne momenty, gdy się pojawiają, lecz wykorzystane są one na tyle rachitycznie, że w mocniejszych kawałkach są praktycznie niesłyszalne. Uwadze nie uchodzą również brzmienia i produkcja, która ciut traci myszką, ale jest przypisana do tamtych lat i generalnie do całego nurtu NWOBHM. Także na ten moment to atut niż wada. Mnie "**Tank**" słucha się bardzo dobrze. Niby jest to najgorsza płyta tej ekipy, ale życzyłbym sobie, żeby każdy nagrywał takie "słabe" krążki.

\m/\m/

The Rods - Hollywood

2023/1986 High Roller

Heavy metalowy **The Rods** jest doskonale znany fanom tradycyjnego heavy metalu. Od momentu pojawienia się na rynku zawsze był w ich kręgu zainteresowań. Sam pamiętam, że bardzo długo było moim marzeniem, aby móc posłuchać ich albumu "**Wild Dogs**" (1982). Okładka album

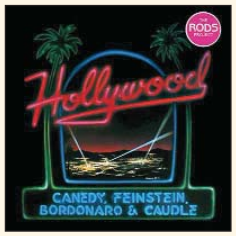

mocno pobudzała moją wyobraźnię i często jeździłem na "Wolumen", aby chociaż na nią popatrzeć. Moja fantazja spełniła się po jakimś czasie i do tej pory jest to mój ulubiony krążek tej ekipy. Świetny ostry i energiczny heavy metal zagrany z wyobraźnią to cechy kawałków, które znalazły się na "**Wild Dogs**". Taki też heavy metal znajdziecie na innych płytach Amerykanów. Niemniej popularność zespołu jak i stylu powoli mijała, więc przyszedł czas, że zespół próbował znaleźć swoją nową drogę. W roku 1986 powstał projekt **Canedy, Feinstein, Bordonaro & Caudle**, który muzycznie kieruje się w kierunku amerykańskiego hard'n'heavy, hair metalu, glam rocka/metalu itd. Mimo że muzyka faktyczna zdradza cechy wspomnianych podstylów to, w zasadzie mocno nawiązuje do tradycyjnego heavy metalu, na którym przez lata opierał się **The Rods**. Myślę, że dlatego album tego projektu "**Hollywood**" (1986) za bardzo nie zawojował rynku. Niemniej z tego też powodu fani traktowali go jako jedną z płyt **The Rods**. Ba, nawet w roku 2015 **Cult Metal Classics Records** wznowił go pod szyldem **The Rods**. Tegoroczna reedycja wydana przez **High Roller Records** oprócz szyldu **Canedy, Feinstein, Bordonaro & Caudle** ma "naklejkę" "**The Rods Projekt**". Natomiast ja traktuję "**Hollywood**" jako płytę **The Rods**. Na krążku jest dziewięć ogólnie lżejszych kawałków, ale zdecydowanie opartych na tradycyjnym heavy metalu. Niekiedy blisko im też hard rocka. Każdy jest inny, ale nie brakuje im świetnych riffów, niezłej motorycznej sekcji. Fakt, utwory są zdecydowanie bardziej chwytliwe, ale nie brakuje im pazura, także jest czego słuchać. Dużą rolę w dobrych i wpadających w ucho melodiach odegrał wokalista **Rick Caudle**, jego głos znakomicie sprawdził się w tym nowym i łagodniejszym wyrazie zespołu. Bardzo dobrze wypadł też cover "***Mississippi Queen***" **Mountain**. Idealnie wtopił się w to, co zaproponowali muzycy. Poza tym do wydania **High Roller** dodano też trzy kawałki nagrane na próbie. Nie brzmi to jakoś specjalnie, ale jako ciekawostka się sprawdza. Także może i jest to najsłabsza (inna) odsłona **The Rods**, ale nie przyniesie wstydu gdy stanie na półce obok innych tytułów tej amerykańskiej kapeli.

\m/\m/

The Runaways - Neon Angels On The Road To Ruin 1976 - 1918

2023 Cherry Red

Wydaje mi się, że tak niedawno pisałem na łamach naszego magazynu, o niektórych płytach **The Runaways**. Prawdopodobnie gdybym sprawdził to, to od tamtego momentu pewnie kilka ładnych lat minęło. Niemniej doszło do okazji, gdy mogę ponownie przypomnieć o tym Amerykańskim zespole. Tak naprawdę pomysł na kobiecy band rock'n'rollowy powstał w głowie niejakiej **Kari Krome**. Młodziutkiej dziewczyny piszącej teksty. Na jednej z imprez zwierzyła się ona producentowi **Kimowi Fowleyowi**, że chce założyć żeński odpowiednik **New York Dolls**. W dość krótkim czasie **Fowley** natknął się na perkusistkę **Sandy West**. Poza tym okazało się, że **Kari** zna gitarzystkę **Joan Jett** i w ten sposób doszło do pierwszych prób przyszłego **The Runaways**. Równie szybko zorientowano się, że **Kari Krome** nie nadaje się do śpiewania. W miedzy czasie dzięki operatywności **Fowley'a** do ekipy dołączyła basistka **Micki Steele**. W tym składzie powstają pierwsze kompozycje oraz nagrania demo. Wkrótce do formacji dołączają gitarzystka **Lita Ford** (pierwotnie starała się o posadę basistki) oraz wokalistka **Cherie Currie** (początkowo brano pod uwagę jej siostrę Marie). Wkrótce kapelę opuściła basistka **Micki Steele**, na jej miejsce zaproszono do współpracy kolejno **Ann Boleyn**, **Peggy Foster** i w końcu **Jackie Fox**. Niestety **Jackie** nie wzięła udziału w rejestracji debiutanckiego albumu. Po prostu jej umiejętności były zbyt małe i potrzebowała trochę czasu na opanowanie gry na instrumencie. Niemniej debiut "**The Runaways**" (1976) jest całkiem, całkiem. Rozpoczyna go "***Cherry Bomb***" absolutny hit, którego dziewczynom nigdy nie udało się powtórzyć jako **The Runaways**. Pozostałe kompozycje to bardzo solidne utwory utrzymane w konwencji glam rocka z silnym dodatkiem rock'n'rolla, a także elementów hard rocka, heavy metalu i punk rocka. Choć teraz słuchając

ponownie kawałków zespołu, uważam, że klimatu punka było zdecydowanie najmniej. Gdyby zestawić te utwory z najlepszymi (najbardziej czadowymi) hitami brytyjskiego glam rocka to prezentują się one bardzo przyzwoicie. Drugi album "**Queens Of Noise**" (1977) zawiera podobny repertuar, z tym że jest na nim więcej kawałków o melancholijno-balladowym klimacie, wspomnę, chociażby "***Midnight Music***". Promocja zespołu rozkręcała się powoli. Po wydaniu drugiego krążka zaczęto sporo pisać i mówić o dziewczynach. Zresztą sam pamiętam ówczesne deficytowe Bravo (oczywiście rzadko dostępne w Polsce), gdzie zawsze były jakieś informacje o **The Runaways**. No i w końcu przyniosło to rezultaty, szczególnie w Japonii, gdzie na kapelę wręcz zapanowała moda, szał połączony z histerią. Ogólnie była to dość intensywna promocja, co spowodowało, że jako pierwsza odpadła **Jackie Fox**. Niemniej pozostał po niej ślad w postaci utworów zarejestrowanych w czasie japońskich koncertów, a utrwalonych na płycie "**Live In Japan**" (1977). W sumie krążek prezentuje formację jako bardzo dobra kapela koncertowa. Słowem bardzo dobra pozycja uzupełniająca dyskografię tego kobiecego gangu. Wkrótce miejsce **Fox** zajmuje **Vicki Blue**. Niemniej to nie koniec kłopotów w kapeli. Bowiem manager **Kim Fowley**, który zawsze bardzo lubił decydować i rządzić dziewczynami, coraz mocniej próbował skłócać koleżanki. Być może miało mu przynieść efekt w postaci łatwiejszego zarządzania grupą, jednak przynosiło to efekt gęstej i mało sprzyjającej do współpracy atmosfery. Myślę też, że ta sytuacja spowodowała zaostrzenie konfliktu między **Cherie Currie** a **Litą Ford**, a być może to tylko zazdrość, że popularność **The Runaways** skupiała się na osobie wokalistki. Każdym razie doprowadziło to do odejścia **Cherie** oraz przemeblowania w składzie formacje, gdzie najważniejszą zmianą było objęcie wakatu wokalistki przez **Joan Jett**. W takich okolicznościach powstał kolejny krążek "**Waitin' for the Night**" (1977). Jest to kolejny zestaw bardzo solidnych kawałków utrzymanych w stylu glam rocka, ale tym razem odniesienia do hard'n'heavy są dominujące. Sporo ludzi wskazuje też na punk rocka, ale jak słucham tych nagrań teraz to, ja ich praktycznie nie słyszę. No i żałuję, że wtedy dziewczynom nie udało się przeskoczyć tej swojej solidność i nie wylansowały przeboju w stylu "***Cherry Bomb***". Uważam, że ten kierunek, którym podążyły wraz z "**Waitin' for the Night**" był dla nich optymalny. Przed samym zarejestrowaniem "**And Now... The Runaways**" (1978) od grupy odchodzi **Vicki Blue**. Partie nagrywa **Lita Ford**, choć na krążku wciąż widniej nazwisko **Vicki**. Album utrzymuje poziom "**Waitin' for the Night**", chociaż jej najlepszym kawałkiem okazuje się cover **Slade**, "***Mama Weer All Crazee Now***". Ważną kwestią jest fakt, że ta płyta powstawała przy wsparciu nowego managera **Johna Alcocka**. Po opublikowaniu płyty wraz z nową basistką **Laurie McAllister** dziewczyny próbowały również promować siebie i krążek poprzez koncerty. Niestety narastający konflikt, co do dalszego muzycznego kierunku, doprowadził do rozpadu **The Runaways**. Jak wiadomo, **Joan Jett** wolała pójść w kierunku rock'n'rollowo-punkowym, natomiast **Lita Ford** w stronę heavy metalu. No i jak sobie wymyśliły, tak też zrobiły. Niema też co się oszukiwać, później każda osiągnęła swój cel. Niemniej zastanawiam się, czy faktycznie to, co zrobiły, było tak odległe od siebie? Wróćmy jednak do "**Neon Angels On The Road To Ruin 1976 - 1918**". W tym boksie znajdziecie wszystko, co **The Runaways** oficjalnie wydało, czyli praktycznie macie całość ich muzyki pod ręką. Może ekipa nie jest warta większej atencji i specjalnego traktowania, ale tę sprawę właśnie rozwiązuje poniższe wyda-wnictwo. Myślę, że warto się nim zainteresować.

\m/\m/

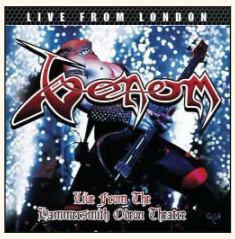

Venom - Live From The Hammersmith Odeon Theatre

2023 Dissonance

Niedawno pisałem o "**Radiation Sickness**" **Nuclear Assault**, tym razem mamy do czynienia z koncertem **Venom** w wersji audio i wideo. Jest to rejestracja koncertu, który odbył się w **Hammersmith Odeon Theatre** 8 październik-nika roku 1985. Pierwotnie wydany był on na VHS-ie "**Hell at Hammersmith**", a opublikowany został miesiąc później po samym wydarzeniu. Jakość tego koncertu jest znacznie lepsza od wspomnianej koncertówki **Nuclear Assault**, także rzecz warta jest większego zachodu. Poza tym zespół w klasycznym składzie jest w rewelacyjnej formie, aż chce się

Running Wild - Gates to Purgatory, Under Jolly Roger, Death or Glory, Black Hand Inn

2023 Noise/BMG

Bodajże w roku 2017 **Noise/BMG** wznowiły wszystkie pozycje wydane przez **Running Wild**, za czasów współpracy z **Noise Records**. Wydania dotyczyły nośników CD i płyt winylowych. Już wtedy było wiadomo, że to się na tym nie skończy. Pominąwszy kwestię, że nie do końca rozumiem renesans płyty winylowej, no ale rynek tak zadecydował, więc nie ma dyskusji. Jednak szaleństwo na różne kolory winyli, splattery, odmiany transparentne itd. to już istne szaleństwo. Jednak największą ciekawostką jest to, że najzagorzalsi maniacy bardzo chętnie podjęli tę grę, i jeden przez drugiego ścigają się, kto będzie miał więcej wersji wydań danego tytułu, nie mówiąc o kolorach samego "placka". Wychodząc naprzeciw tym "wariatom" **BMG** ostatnio wypuściła cztery tytuły z dyskografii **Running Wild**, a mowa o "**Gates to Purgatory**", "**Under Jolly Roger**", "**Death or Glory**" i "**Black Hand Inn**". Pierwszą z nich wytłoczono na żółtym winylu, dwie kolejne na szarym winylu, a ostatnią na bordowym. Dodatkowo dwa ostatnie tytuły wyszły jako podwójne płyty na 140 gramowych "woskach". Trochę smutno, że takie sprawy aktualnie napędzają koniunkturę na takie nagrania, lecz mimo wszystko mam nadzieję, że kwestia muzyki nie zeszła zupełnie na drugi plan. Wraz z "**Gates to Purgatory**" poznaliśmy **Runningów**, gdzie przeważały, szybkie kawałki, rządziły ostre gitary oraz świetne solówki, które wspierane były potężną i dobrze zgraną sekcją rytmiczną, a nad wszystkim królował szorstki wokal **Rolfa Kasparka**. W dodatku płyta zniewalała hymnami i kilerami w postaci "***Prisoner Of Our Time***", "***Black Demon***", "***Soldiers Of Hell***", czy "***Walpurgis Night***". Nie można zapomnieć

też o ówczesnym lekkim diabelskim image. Wraz z "**Under Jolly Roger**" ta estetyka zmienia się w wizerunek heavy metalowych piratów. Muzyka nadal była szybka, mocna i dynamiczna, ciągle atakowały nas doskonałe riffy i popisy solowe oraz perfekcyjnie pracująca sekcja rytmiczna, ale do tego dochodziła niesamowita chwytliwość, której narracją był charakterystyczny głos **Kasparka**. Co do wymienia najlepszych fragmentów tej płyty to, jest znacznie trudniejsze niż przy debiucie i ograniczę się do utworów "***Under Jolly Roger***", "***Raw Ride***", "***Raise Your Fist***" czy "***Merciless Game***". Myślę, że każdy może dołożyć swój kawałek, bo album jest bardzo równy. Oczywiście ekipa nie stoi w miejscu i ciągle się rozwija i być może na "**Death Or Glory**" osiąga swoje apogeum jeśli chodzi o umiejętności kompozytorskie. W każdym razie utwory są dopieszczone, a czasami nawet wykwintne. Ciągle jest na niej szybko, energicznie, gitarowo, nawet mocno gitarowo, ale przede wszystkim chwytliwie i przebojowo: "***Riding The Storm***", "***Tortuga Bay***", "***Bad To The Bone***", "***Death Or Glory***". Tradycyjnie mógłbym też wypisać pozostałe kawałki z list albumu, bo żadne z nich nie są jakoś wyjątkowo słabe. Jak ktoś mówił do "**Black Hand Inn**" (1994) roku Niemcy nie nagrali słabego albumu, także o tym krążku też mo-żna pisać ciepłe słowa. No cóż, znam takich, co mówią o nim genialny. Zresztą co by nie pisać o tych płytach, jak to zaznaczyłem na początku, chciałbym jedynie, aby wartość muzyki nie przegrała bitwy z kolorami i innymi duperelami, i że kiedyś nie będzie ważniejsze, iż winyl jest biały w różowe kropeczki od tego, co zostało na nim utrwalone.

\m/\m/

tej płyty słuchać i oglądać. Na dyskach znalazło się 15 kawałków (włączając w to popisy solowe) i jest to taki swoisty blisko godzinny greatest hits wczesnego **Venom**, który nie tylko mówi nam o mocy muzyki tej formacji, ale także o ich potędze na deskach sceny. Utwory są znakomicie ułożone, a sam występ rewelacyjnie wyreżyserowany i przemyślany (jeżeli w ogóle ktoś o tym wtedy rozważał). Te wszystkie elementy składają się na to, że ten koncert słucha się i ogląda z zapartym tchem. Jeżeli do tej pory twoją ulubioną koncertówką **Venom** była kultowa "**Eine kleine Nachtmusik**" to teraz będzie nią również "**Live From The Hammersmith Odeon Theatre**". Zresztą może już była, bowiem kilka lat wcześniej **High Roller Records** wydała wersję audio na winylu (z inną okładką, choć wykorzystano zdjęcie zdobiące VHS). Tak czy inaczej, warto znać ten koncert i te wersje kultowych kawałków Venom. (5)

\m/\m/

Wehrmacht - Biermacht

2021 Hammerhead

Amerykański **Wehrmacht** (jak to brzmi, ha ha) szedł jak burza, żeby nie napisać, że robił Blitzkrieg. Od momentu założenia w 1985 roku trzasnął pięć demówek i dwa pełne albumy po czym zawiesił działalność. Potem odwieszał, zawieszał, odwieszał, zawieszał, aż w końcu, przynajmniej na razie, od tego roku działa ponownie. Te dwa krążki to oczywiście "**Shark Attack**" (1987) oraz "**Biermacht**" nagrany rok później. Jeśli dla kogoś debiut jest ciężkostrawny, to dwójka doprowadzi go do szalonego szaleństwa! To około dwadzieścia sześć lub osiem (zależy od wydania) minut absolutnego absurdu, mieszanki thrash metalu i wspomnień z kilku najbardziej ostrych imprez. Mimo wszystko jednak panowie z **Wehrmacht** instrumentalnie dawali z siebie wszystko. Żeby proponować tak połamany crossover trzeba było mieć w głowie co nie co oleju, bo momentami "**Biermacht**" można nazwać, w swoim nieokiełznaniu, albumem jazzowym. W ciągu tych krótkich numerów wiele się dzieje - od najniższych instynktów podbitych hektolitrami alkoholu, przez różnej maści komentarze, aż po niezłe solówki i prawdziwą, thrashową młóckę. Puke Thrash!!!

Adam Widełka

Wicked Lester - Better Off Dead

2022/1998 Arkeyn Steel

Jak to jest, że takie albumy jak "**Better Off Dead**" nie trafiały do mnie w momencie ich publikacji. Tyle czasu straconego bez tak dobrej muzy. Całe szczęście, że w ogóle ta płyta do mnie dotarła. **Wicked Lester** swoją działalność rozpoczął jeszcze w latach 80. Zespół dokładnie działał w okresie 1985 - 1990, pozostawiając po sobie demo "**The Resurrection**" (1990). Następnie w latach 1996 - 1998. Z tego czasu mamy natomiast album "**Better Off Dead**". Niestety kariera zespołu upadła zaraz po wydaniu debiutanckiej płyty, bowiem w 1997 zmarł wokalista **Joel Finna**, który jak łatwo policzyć, nie dożył wydania krążka. Zastanawia jedynie fakt, dlaczego muzycy nie pociągnęli kariery dalej, wiem lata 90. to nie najlepszy czas dla klasycznego heavy metalu, z pewnością ciężko byłoby znaleźć zastępstwo za **Fin-na**, chociaż na demo śpiewał równie dobry wokalista **Scott Stenglein**. Niestety raptem parę lat później zmarł również gitarzysta **Angelo Davis** (2001), który najprawdopodobniej był motorem napędowym całego przedsięwzięcia. Wróćmy do głównego programu, jakim jest album "**Better Off Dead**". Zawiera on niesamowitą i mroczną odmianę ambitnego US power metalu, dlatego przede wszystkim zestawiłbym go z wczesnymi wydawnictwami **Fates Warning** i **Queensryche**. Dopiero później wystawiłbym takie zespoły jak **Jag Panzer** czy **Helstar**. Jeżeli komuś łatwiej będzie orientować się przy użyciu europejskich przedstawicieli, to wymieniłbym **Iron Maiden** i **Mercyful Fate/King Diamond**. W każdym razie wszystkie kompozycje z "**Better Off Dead**" są wręcz rewelacyjne, trzymają człowieka "pod prądem" od początku do swojego końca. Imponują swoją strukturą, znakomitymi tematami muzycznymi, ich zmiennością, atmosferą (głównie posępną), niezwykłą melodyką (pełną melancholii), a także świetnymi riffami i partiami solowymi. Niemniej całość napędza przede wszystkim sekcja rytmiczna, w tym wypadku selektywna i bardzo kreatywna, choć nie narzucająca się reszcie zespołu. Dzięki niej znakomicie rozwijają się utwory oraz praca gitarzystów. Duet **Angelo Davis - Larry Dalo** może służyć jako kolejny przykład, jak powinni współpracować ze sobą gitarzyści. Zachwycają oni pomysłami na riffy oraz partie melodyjne i solowe. Na "**Better Off Dead**" zrobili niesamowitą robotę. Same peany można pisać na temat wspominanego już **Joela Finna**. Jest to kolejny wokalista, którego można stawiać obok **Geoffa Tate'a**, **Ray'a Aldera** i całej reszty wyśmienitych śpiewaków znanych z US power metalu. Także nie szukajcie najciekawszego momentu z tej płyty, tylko poddajcie się całości muzyki z tego albumu. Za ponowne wydanie "**Better Off Dead**" odpowiada **Arkeyn Steel Records**, jej włodarze postarali się o dołączenie zawartości demo "**The Resurrection**". Różni je dekada czasu oraz inny wokalista, niemniej jakościowo są zbliżone do siebie. A warto znać obie wersje. Pisałem o muzyce, że jest mroczna, posępna, melancholijna itd. Ta atmosfera łączy się również z tematyką kawałków, które są generalnie o śmierci, smutku, cierpieniu, rozterkach, codziennych problemach itp. Album był nagrywany w latach 90., natomiast demo w latach 80., moment ich powstania słychać w brzmieniu i produkcji tych wydawnictw. Z pewnością to duży atut, jednak tak myślę sobie, że przydałby się lekki lifting przy użyciu współczesnej technologii. Niestety, jak już to wiemy, jest to nie możliwe, więc cieszmy się tym, co mamy, a na "**Better Off Dead**" jest tego tyle, że na długo wystarczy nam tej radości.

\m/\m/

Winger - Chapter One - Atlantic Years 1988 - 1993

2023 BMG/Atlantic

Winger został powołany w roku 1987 przez gitarzystę **Kipa Wingera**, który wcześniej wspierał **Alice'a Coopera**. Zespół zaliczany jest to formacji hair/glam metalowych. Także w Polsce o **Winger** nie pisało i nie pisze się zbyt chętnie. Osobiście w latach 80. nie pomijałem takich kapel, nie znaczy jednak, że znałem je wszystkie i na wylot. Niemniej mimo niechęci do takiego grania w moim rodzimym kraju, wiedziałem, że jest grupka fanów, która dałaby się pokroić za takie brzmienia. Możecie mi nie uwierzyć, ale dla mnie to była super postawa, bowiem dla mnie był to prawdziwy przejaw fascynacji, pasji i uwielbienia do tej muzyki. Na pewno nie było w tym nic z pozerstwa, po prostu nie da się tego udawać. Czasy się zmieniały, ta grupka fanów cały czas trzymała się przy swoim, ba są kolejne pokolenia, które odkrywają dla siebie taką muzykę. Powiem szczerze, że ja też ostatnio bardzo chętnie wchodzę w takie wydarzenia jak ten boks **Wingera**. O zespole wiedziałem, pojedyncze kawałki słyszałem, prawdopodobnie w czasie wydania debiutu "**Winger**" (1988) miałem go obsłuchanego. Niemniej z czasem to wszystko uległo pewnemu zapomnieniu także wraz z "**Chapter One - Atlantic Years 1988 - 1993**" mogłem sobie wszystko przypomnieć oraz uzupełnić brakującą wiedzę. Słuchając na nowo krążka "**Winger**" muzykę ulokowałem gdzieś miedzy **Ratt** a **Dokken**, także pod tym względem jest bardzo stylowo. Owszem często jest radiowo, piosenkowo i przebojowo, ale kawałki też mają charakter i pazura. Jednak dużym wyróżnikiem **Wingera** jest wyrachowane, techniczne wręcz zimne podejście wykonania. O dziwo ta postawa nie obdziera muzyki z emocji. Wraz z debiutem zespół wypromował przeboje "***Madaline***", "***Seventeen***", "***Headed For A Heartbreaker***" oraz "***Hungry***". Nie dziwię się nic, bo w zasadzie każdy kawałek z tej płyty ma zadatki na hit, chociażby taki "***Hangin On***". Podoba mi się także, że Amerykanie potrafili także przemycić fascynacje dawnymi dziejami, a dokładnie **Led Zeppelin** ("Purple Haze"). Ogólnie bardzo przyzwoita sprawa. Prawdopodobnie pozostałych dwóch krążków w czasie ich wydania nie słyszałem. Także odsłuchy sesji z "**II - In The Heart Of The Young**" (1990) i "**Pull**" były dla mnie premierowymi. Komfort słuchania zupełnie się nie zmienił, bowiem muzyka i wykonanie były utrzymane w najwyższym standardzie i tak odbiera się ją również dzisiaj. Zresztą album "**In The Heart Of The Young**" powtórzył sukces debiutu. Tym razem sztandarowymi przebojami zostały "***Can't Get Enuff***", "***Miles Away***" i "***Easy Come Easy Go***". W sumie o tej płycie można też powiedzieć, że jej każdy kawałek to potencjalny hit. Niemniej piszę to z mniejszym przekonaniem, bowiem w niektóre songi wkrada się trochę sztampy, chociażby w taki "***Little Dirty Blondie***". W trakcie promocji obu albumów kapela bardzo mocno

koncertuje. Tego tempa nie wytrzymuje klawiszowiec **Paul Taylor** i kolejną płytę formacja nagrywa w trójkę. Nagrywając ją, liderowi kapeli towarzyszyło przeświadczenie, że krytycy i fani nie przyjmą jej najlepiej. **Winger** był nawet bliski zmiany nazwy kapeli, ale poprzestał na nadaniu płycie tytułu "**Pull**", który w ówczesnej dziennikarskiej gwarze miał oznaczać album, z którego wszyscy się nabijali. Słuchając tego krążka, jakoś nie widzę powodów do takich obaw. Nadal jest to muzyka na poziomie w konwencji hair/glam metalowej. Może jest w niej trochę więcej dojrzałości oraz melancholii, ale wszystko inne zgadza się z tym, co do tej pory robili **Kip** i jego towarzysze. Ba, mam nawet wrażenie, że "**Pull**" lepiej słucha mi się niż poprzedniczkę. A taki "***Down Incognito***" czy "***Junkyard Dog (Tears On Stone)***" wyrastają wręcz na najciekawsze kawałki z pierwszego etapu kariery **Winger**. Ciekaw jestem, jak wspomniani na początku fani tego gatunku odebrali ten krążek. Ja uważam go za równie udany co "**Winger**" i "**II - In The Heart Of The Young**". Boks ten uzupełnia dysk "**Demo Anthology**", zawiera on wstępne wersje kawałków, które znalazły się na omówionych trzech pierwszych krążkach. Są one w naprawdę dobrej wersji, nieźle brzmią i całkiem dobrze się prezentują. Także dla fanów **Winger** to niezła gratka. Niestety "**Pull**" został wydany w trakcie erupcji grunge, przez co płyta przeszła bez większego echa. Niestety wszyscy przestawili się na to, co wylansowała nowa moda, zapominając o swoich dawnych idolach. Był to też gwóźdź do końca kariery jak dla wielu podobnych bandów. I nie było tak jak **Kip Winger** myślał, że recenzenci "zjadą" ją doszczętnie, bowiem akurat oni wtedy wystawili płycie dość solidne noty. Wraz z rozwiązaniem zespołu **Kip Winger** rozpoczął solową karierę, **Reb Beach** nawiązał współpracę z **Davidem Coverdale** i jego **Whitesnake**, pozostali muzycy skupili się na pracy studyjnej. Niemniej w roku 2006 doszło do reaktywacji i kapela działa do dziś, ba nawet w tym roku niedługo zaczną promocję swojej kolejnej płyty zatytułowanej "**Seven**". **Boks "Chapter One - Atlantic Years 1988 - 1993"** wydano nie tylko na dyskach CD, a także na czarnych plackach, czyli winylach, także melomani kolekcjonerzy mogą walczyć i o ten nośnik.

\m/\m/

X-Wild - Savageland

2023 ROAR!

X-Wild nie jest zespołem, który zdążył zapisać się złotymi nutami w historii heavy metalu. Trzonem ich dwóch pierwszych płyt byli muzycy, którzy opuścili piracki pokład **Running Wild**. Ciekawostką może być informacja, że cała trójka nigdy nie zagrała na jednej płycie, ale każdy z nich miał okazję uczestniczyć w nagraniu albumu z każdym z pozostałych. Te albumy to: "**Port Royal**" (Becker + Schwarzmann), "**Blazon Stone**" (Becker + Morgan) oraz "**Pile Of Skulls**" (Morgan + Schwarzmann). Skład trójki expiratów uzupełnił wokalnie **Frank Knight** i w niezmienionym składzie zespół wydał dwa albumy. Oba albumy zostały, po ponad 20 latach od pierwszego wydania, po raz pierwszy wznowione w zeszłym roku nakładem greckiej **Rock of Angels Records**. W tym roku wytwórnia kończy swoje sentymentalne dzieło udostępniając światu ponownie ostatni album zatytułowany "**Savageland**". Warto jeszcze tylko nadmienić, że trzecia i ostatnia płyta zespołu zanotowała lekką korektę składu. Do zespołu dołączył były perkusista **Grave Digger - Frank Ullrich**. Wybierając sobie nazwę tak mocno nawiązującą do zespołu **Kasparka** muzycy troszkę zastawili na siebie pułapkę. To oczywiście ułatwiło zaciekawienie części fanów, ale utrudniło zbudowanie własnej muzycznej tożsamości. Było to słychać zwłaszcza na pierwszych dwóch albumach. "**Savageland**" szczęśliwie został już skomponowany trochę inaczej. Mniej skojarzeń z **RW**, jednocześnie z próba pójścia własną drogą utorowała drogę do najciekawszej płyty tej formacji. Oczywiście cały czas mówimy o prostym do bólu kwadratowym niemieckim heavy metalu. W tej muzyce w dalszym ciągu nie ma absolutnie nic odkrywczego. Nawet jeśli jest mniej patentów **Running Wild** to tym razem przebija się, zwłaszcza od spodu, muzyka spod szyldu **Grave Digger**. Dodatkowo pochodzący z Wielkiej Brytanii wokalista swoją barwą głosu przypomina mi inną legendę naszych zachodnich sąsiadów - **UDO**. Śpiewa on jednak w troszkę niższej tonacji, bez wchodzenia w bardzo wysokie rejestry, co więcej jego wokal jest znacznie bardziej zachrypnięty. Kumulacja tej chrypy objawia się w najbardziej zapadającym utworze "***Children of the Undeground***". Kontrast jego śpiewu z dziecięcym chórem zawsze robi na mnie piorunujące wrażenie. Składając te elementy, nawiązania dość łatwo wyobrazić sobie jak wybrzmiewa cała płyta. Ja sam zawsze zwracam uwagę na dużą spójność materiału. Czasem brakuje zapadającego w pamięci momentalnie hitu, ale w zamian za to słuchacz może obcować z bardzo równym materiałem. **Morgan** nie zalewa odbiorcy morzem riffów. Jest dość oszczędnym kompozytorem, starającym się nie wychylać przed śpiew, a skutecznie go akcentować. Jednocześnie w tej swojej toporności riffy mają dużą moc, trafiając dokładnie tam gdzie potrzeba. O solówkach mogę powiedzieć tyle, że są. W przeciwieństwie do riffów dużo trudniej je zapamiętać po skończonym utworze. Moim zdaniem więcej polotu pokazuje na gitarze basowej **Becker**. Może dlatego jako jedynemu z muzyków udało mu się utrzymać na rynku muzycznym aż do dzisiaj. Zarówno jego partie podkładowe jak i krótkie popisowe wstawki są muzycznie najciekawszym elementem albumu. **Frank** miarowo wybija rytm, ale czasem mam wrażenia, że tylko przyszedł odegrać swoje i skasować wynagrodzenie. **X-Wild** próbuje zabrać słuchacza na swoje dzikie pola gdzieś daleko. Jeśli w danym momencie nie czujecie wewnętrznej potrzeby kontemplacji życia podczas wsłuchiwania się w wysublimowaną muzykę, a raczej prostego uderzania w twarz, sięgnijcie po "**Savageland**". Kwartet stworzył 12 (wliczając intro) kompozycji, których absolutnie nie musi się wstydzić. Zapoznając się z muzyką zespołów czasów minionych warto rzucić okiem na tych z którym fortuna nie sprzyjała. O ile pierwsze wydanie z 1996 jest dość rzadkie i drogie, tak wznowienia jest już dzisiaj bardzo łatwo dostępne. Jeżeli wkładka nie kłamie słuchacz będzie mógł cieszyć się oryginalnym dźwiękiem bez żadnej ingerencji.

Łukasz Ragnus

Vigilant - Oppression / Dramatic Surge

2023 Vic

Vigilant to holenderska formacja, która rozpoczęła swoja działalność w 1987 roku. Zaliczana jest do prekursorów kapel grających techniczny thrash metal. Niestety nigdy nie wyszła poza underground. Na swoim koncie pozostawili dwie demówki "**Dramatic Surge**" (1988) i "**Oppression**" (1989). Każda z nich zawierała po trzy utwory. Kompilacja wydana w tym roku przez **Vic Records** rozpoczyna się od nagrań z "**Dramatic Surge**". Kawałki są utrzymane w zasadzie w konwencji speed metalu znanego z nagrań **Agent Steel**, jednak już wtedy uwagę zwraca inne podejście do rytmów i sekcji rytmicznej. Utwory z "**Oppression**" zdecydowanie bardziej wchodzą w estetykę thrash metalu, ale wciąż słyszymy fascynację speed metalem. Niemniej gitary pracują już bardzo ciekawie, a nawet wyrafinowanie. Sekcja rytmiczna również wybrzmiewa bardziej zawile i przypomina to, co słyszeliśmy we wczesnych nagraniach **Target** czy też **Mekong Delta**. Ogólnie kompozycje na "**Oppression**" uzyskują różnorodną i finezyjną formę, za którą właśnie cenimy sobie techniczny thrash metal. Wokalista może jakoś specjalnie nie błyszczy, ale dziarsko wykrzykuje swoje teksty i o dziwo pasuje to do muzyki. Generalnie na "**Oppression**" fani techno-thrashu będą poruszać się już swobodnie. Niniejszą składankę uzupełniają dwa utwory, które znalazły się na wydawnictwie "**Metal In Rocks Vol 2.**" z 1989 roku oraz jeden z próby. "***Visions of a Dying Brain***" i "***Your Cold Embrace***" - to kompozycje ze wspomnianej kompilacji - pod względem muzycznym są najciekawsze. Brzmią też nieźle, choć do dobrej produkcji niestety im brakuje. Oczywiście jakość nagrań z demówek jest jeszcze gorsza, ale na tyle dobra, że doskonale słychać co muzycy grają. Na "**Oppression**" nawet doskonale słyszymy bas. W tym wypadku zdecydowanie najgorzej wypada kawałek z próby "***Biomorph***", który w zasadzie nie wiadomo dlaczego znalazł się na tej płycie. Chyba że **Vic Records** zadbał o to, abyśmy usłyszeli wszystko, co pozostało po **Vigilant**. W sumie to wydawnictwo to kolejna fajna część historii zapomnianego metalu.

\m/\m/

Scorpions Coloured Vinyl Special Edition

W roku 2015 wytwórnia **BMG** z okazji 50-lecia działalności **Scorpions** opublikowała część dyskografii tej wielkiej niemieckiej grupy. Wśród płyt znalazły się następujące pozycje: "**Taken By Force**" (1977), "**Tokyo Tapes**" (1978), "**Lovedrive**" (1979), "**Animal Magnetism**" (1980), "**Blackout**" (1982), "**Love At First Sting**" (1984), "**World Wide Live**" (1985), "**Savage Amusement**" (1988). Tytuły te zostały wydane na winylowych plackach i płytach CD. Wersje CD były wzbogacone o niepublikowane utwory demo, nagrania koncertowe i inne rarytasy. Myślę, że była to nie byle gratka dla starych i nowych fanów **Scorpions**. W tym roku włodarze firmy **BMG** pokusili się o kolejną niespodziankę. Tym razem powyższe woluminy wydano na kolorowych winylach, a do tego dodano kolejne egzemplarze z dyskografii zespołu: "**Fly To The Rainbow**" (1974), "**In Trance**" (1975), "**Virgin Killer**" (1976) oraz "**Humanity - Hour I**" (2007). Szczególnie powinni się ucieszyć fani wczesnego **Scorpions**, gdzie główną rolę odgrywał gitarzysta **Uli Jon Roth** i jego maniera wynikająca z fascynacji dokonaniami **Jimi Hendrixa**. Oprócz tego we wczesnych latach muzyka **Scorpions** była skupiona na specyficznym połączeniu ówczesnego opartego na bluesie hard rocka z progresywnym rockiem wyraźnie związanego z psychodelią. W rezultacie przyniosło to naprawdę ciekawą muzykę, która przyciągała swoją pomysłowością, a także wykonaniem. Wystarczy odpalić "**Fly To The Rainbow**" i zatopić się w oferowanych przez krążek dźwiękach. Co prawda wtedy, jeśli chodzi o hard rock, zdecydowanie wolałem **Led Zeppelin**, **Deep Purple**, **Black Sabbath** czy **Uriah Heep**, a z progresu dokonania **Pink Floyd**, **Genesis**, **Yes**, czy **Camel** to, mimo wszystko muzyka **Scorpions** prezentowała się wyjątkowo solidnie, a wręcz atrakcyjnie. Nawet ja, który woli ten **Scorpions** klasycznie heavy metalowy, czyli z okresu drugiej polowy lat 70. i początków 80. z pewnością na długo zapamięta mocno epickie kawałki takie jak "***Fly To The Rainbow***" czy "***Polar Nights***". Poza tym już wtedy zaczynało rodzić się to bardziej współczesne wcielenie formacji. Dla mnie pierwszym takim akcentem był tytułowy kawałek z albumu "**In Trance**", a punktem, w który ostatecznie ekipa wkroczyła na ścieżkę heavy metalu był utwór "***He's A Woman - She's A Man***" z krążka "**Taken By Force**". Ten okres znakomicie podsumowuje płyta koncertowa "**Tokyo Tapes**", swego czasu mocno przeze mnie eksploatowana i w zasadzie formalnie otwierająca nowy okres **Scorpions**. "**Tokyo Tapes**" była też ostatnią płytą, w której wziął udział **Uli Jon Roth**. Po odejściu **Rotha**, na jego miejsce zaproszono **Matthiasa Jabsa**, ale w tym samym czasie pracę w **UFO** stracił **Michael Schenker**, więc grzecznie odmówiono **Jabsowi** i zaproszono **Michaela**. Niestety młodszy brat **Rudolfa** nie zdołał opanować swoich demonów, dzięki czemu powrócono do współpracy z **Matthiasem Jabsem**. I całe szczęście, bo to on miał wielki wpływ na nowe oblicze muzyki **Scorpions**. No i album "**Lovedrive**" to pierwsza petarda odpalona przez Niemców na heavy metalowej drodze, robiąca wrażenie po dzisiejszy dzień. Rok później poprawiono efekt płytą "**Animal Magnetism**", aby dwa lata później wysadzić cały skład amunicji zawartością krążka "**Blackout**", który raził swoją bezkompromisowością, a zarazem przebojowością. Już widzę te uśmieszki, ale wtedy tak właśnie było. Te trzy albumy do dzisiaj, jak tylko mogę, odpalam i słucham do upadłego. "**Love At First Sting**" to chyba największy sukces komercyjny tej formacji z całą masą hiciorów. Niemniej zdecydowanie wolę wspomniane trzy poprzednie albumy, choć z drugiej strony "**Love At First Sting**" również zaliczam do najlepszego okresu w karierze **Scorpions**. Dzięki temu etapowi muzyków ochrzczono wtedy mianem "Herosów Heavy Metalu". Tę epokę zamyka bardzo udany album koncertowy "**World Wide Live**". Niestety później zaczyna się część kariery zespołu, którą znam, zdecydowanie słabiej i w zasadzie do dzisiaj staram się nadrobić powstałe wtedy zaległości. Myślę, że sama kapela, jak i jej fani, musieli dojść do wniosku, że nie musi zdobywać kolejnych szczytów, czy też udowadniać innym, że jej status nie jest przypadkiem. Po prostu wystarczyło robić swoje na konkretnym solidnym poziomie. Taki właśnie jest album "**Humanity - Hour I**", który zawiera pokaźną dawkę własnego hard'n'heavy w trochę nowocześniejszej oprawie. W dodatku znajdziemy na nim kolejny znakomity wolny/balladowy utwór "***The Future Never Dies***". Nad albumem czuwała para producencka **James Michael** oraz **Desmond Child**, która wraz z innymi songwriterami dopomogli skompletować **Scorpionsom** muzykę na ten album. Myślę, że muzycy **Scorpions** spokojnie podołaliby wyzwaniu, no, ale kto bogatemu zabroni. Tak czy inaczej, nowe wydania płyt winylowych skierowane są do największych fanów **Scorpions**, którym nie wystarczy jakiś podstawowy nośnik z albumami zespołu, ale muszą mieć je wszystkie bez wyjątku w każdej wersji proponowanej przez grupę i jej wydawców.

\m/\m/

Sieges Even - Lifecycle

2022/1988 Golden Core/ZYX Music

Tym razem **Neudi** wraz z **Golden Core** sięgnęli po debiut niemieckiego **Sieges Even** z roku 1988. Przez bardzo długi czas "**Lifecycle**" był dla mnie wzorem technicznego thrashu i ogólnie ciężko jest przebić go innym pozycjom z tej sceny, a przecież do dzisiaj poznałem znacznie więcej niesamowitych pozycji, które wtedy umknęły mojej uwadze. Niektórzy wskazują na debiut Amerykanów z **Watchtower**, jako ten zdecydowanie ważniejszy, jednak "**Energetic Disassembly**" nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak właśnie "**Lifecycle**". Jak dla mnie każda z kompozycji na tym krążku jest perfekcyjna, a ta najdłuższa, ponad dwunastominutowa "***Straggler from Atlantis***" jest wręcz zachwycająca. Także w wypadku tej pozycji nie ma co roztrząsać poszczególnych utworów, a po prostu słuchać całości i próbować wyłowić wszystkie niuanse i pomysły, które zrodziły się w głowach Niemców. Jeśli mówić o instrumentalistach, to każdy zasługuje na największe pochwały. O **Markusie Steffenie** można pisać wszystko i porównywać go z ówczesnymi wirtuozami gitary. Bracia **Holzwarth** (Olivier i Alex) odpowiedzialni za sekcję rytmiczną, można pokazywać adeptom basu i perkusji jako jednych najbardziej kreatywnych na świecie. Zresztą do dzisiaj są oni uznawani za najlepszych w swoim fachu. Wokalista **Franz Herde**, choć może nie jest najlepszym z wokalistów, ale nie chciałbym słuchać "**Lifecycle**" w wykonaniu kogoś innego. Jeżeli wśród naszych czytelników, są maniacy tzw. techno-thrashu to powinni oni sięgnąć po ten album, ale mam nadzieję, że większość z nich zna go doskonale.

Sieges Even - The Art Of Navigating By The Stars

2023/2005 Golden Core/ZYX Music

Po wydaniu "**Lifecycle**" (1988), grupa wydaje kolejno krążki "**Steps**" (1990) i "**A Sense of Change**" (1991). Z każdym z nich oddala się od techno-thrashu na rzecz progresywnego metalu. Niemniej nie zmienia to poziomu artystycznego samej muzyki. Niestety wraz z wydaniem "**A Sense of Change**" zespół traci kontrakt. Prawdopodobnie z tego powodu od kapeli odchodzą gitarzysta **Markus Steffen** i wokalista **Jogi Kaiser**, który na "**A Sense of Change**" zastąpił **Franza Herde**. Niemniej bracia **Holzwarth** nie poddają się i kontynuują działalność zespołu. Z nowymi muzykami udaje się im wydać jeszcze dwa albumy "**Sophisticated**" (1995) i "**Uneven**" (1997). Niestety wydane zostały własnym sumptem i w momencie wydania zupełnie nic o nich nie wiedziałem. Myślę, że był to też powód, przez który ostatecznie ekipa ta zawiesiła działalność, a był to rok wydania "**Uneven**". Wraz z zawieszeniem działalności **Sieges Even**, bracia **Holzwarth** nawiązują współpracę z **Angra**, **Blind Guardian**, **Rhapsody of Fire** i **Paradox**, przy okazji zdobywają coraz większą własną markę. Pierwsze próby reaktywowania **Sieges Even** nastąpiły dość szybko, bo w roku 1999. Wtedy na scenie pojawiła się formacja **Looking-Glass-Self**, następnie była to **Val'Paraiso**, aby w końcu w 2003 na nowo pojawiła się nazwa **Sieges Even**. W zespole oprócz braci **Holzwarth** pojawił się gitarzysta **Markus Steffen** oraz zupełnie nowy wokalista **Arno Menses**. Na "**The Art Of Navigating By The Stars**" odnajdziecie oprócz intra osiem znakomitych kompozycji, utrzymanych w stylu klimatycznego i melancholijnego progresywnego metalu z mocnym naciskiem na rockowe odmiany. Charakterystyczne dla tej płyty jest takie jazzowe podejście do ogrywanych partii gitarowych i samej sekcji rytmicznej. Wykorzystanie tego patentu dostarcza różnorodnych doznań i emocji, co fanom progresywnych odmian powinno zdecydowanie przypaść do gustu. Muzyka zawiera też sporo melodii, a w ich kreowaniu zdecydowanie pomaga świetny wokal **Arno Mensesa**. Jeżeli ktoś chce to może wybrać sobie swój ulubiony fragment krążka, jednak ten album to w zasadzie długa suita, która stanowi integralną całość. A takie płyty lubię najlepiej, bardzo podoba mi się, gdy album słucha się w całości i jedynie w tej formie daje nam pełną gamę doznań. Wspomniana koncepcja w tym wypadku opiera się na ogólnym przemijaniu i fazach życia, co nie jest niczym nowym, ale ciągle ekscytującym dla słuchacza. Instrumenty brzmią znakomicie, współbrzmią rewelacyjnie, tak samo jak współgrają ze sobą. Nawet wokal jest znakomicie osadzony i rewelacyjnie koresponduje z muzyką, także "**The Art Of Navigating By The Stars**" to znakomita pozycja nie tylko w dyskografii **Sieges Even**, ale także ogólnie na scenie progresywnego rocka/metalu.

Sieges Even - Paramount

2023/2007 Golden Core/ZYX Music

Dwa lata po "**The Art Of Navigating By The Stars**" pojawia się kolejny krążek **Sieges Even** "**Paramount**". Jest to bezpośrednia muzyczna kontynuacja ze wspomnianego poprzednika, utrzymana w stylu klimatycznego i melancholijnego progresywnego rock/metalu, gdzie sporą rolę odgrywają elementy progresywnego rocka. Jak dla mnie ten progres na "**Paramount**" jest zdecydowanie bardziej plastyczny, dzięki czemu w muzyce dzieje się znacznie więcej. No i wszystko jest lepiej zagrane. Oczywiście muzyka jest nadal rozmarzona i pełna melodii, co tylko ułatwia jej odbiór. Utwory są mocno przemyślane, pozbawione niezbędnych fragmentów i znakomicie zaaranżowane. Być może dla niektórych będą stanowiły zbyt proste formy, ale jestem pewien, że to zbyt schematyczne podejście do muzyki **Sieges Even**. Ewentualnie nastawienie roszczeniowe do progresywnego rocka/metalu, aby był on nadętym od nadmiaru aranżacji czy innych technicznych sztuczek. W tym wypadku tą pozorną prostotą i melodyjnością niemieccy muzycy przebiją szklany sufit progresywnego metalu i rocka. Tym muzycznym doznania towarzyszy znakomite wykonanie, jednak ta kwestia w wypadku **Sieges Even** jest wartością niezmienną. Niemniej odnośnie melodii i kunsztu wokalnego **Arno Menses** przeskakuje o kolejny pułap. Moim zdaniem to on wypełnia ewentualne braki tych oczekiwanych progresywnych detali. Jeżeli dobrze pamiętam, w momencie wydania tego krążka, nie otrzymał on mocno pochlebnych recenzji. Niemniej po latach wydaje mi się on równie udany co "**The Art Of Navigating By The Stars**", a wręcz jestem przekonany, że każdy prog-maniak powinien znać tę płytę, a z czasem pewnie też doceni walory tej płyty. Niestety rok po wydaniu "**Paramount**" pojawia się płyta live "**Playgrounds**", która jak na razie zamyka działalność **Sieges Even**. Nie mam pojęcia, czy to kwestia nie najlepszego przyjęcia "**Paramount**", zbyt dużej rozbieżności odnośnie drogi artystycznej, czy też zbyt wielu zobowiązań braci **Holzwarth** spowodowała ponownie rozwiązanie monachijskiej ekipy. Niemniej jestem pewien, że jest wielu, którzy żałują, że Niemcy podjęli właśnie taką decyzję. Pewnym pocieszeniem jest fakt, że **Markus Steffen** i **Arno Menses** zainicjowali kolną znakomitą progresywną grupę **Subsignal**, o której od czasu do czasu możecie poczytać w naszych recenzjach.

\m/\m/

Uriah Heep Picture Disc

Parę lat temu, czyli całkiem nie dawno, **Uriah Heep** wypuściło box "**Every Day Rocks Exclusive**", w podtytule "**7 Picture Disc Ltd Edition Boxset**", z siedmioma pierwszymi tytułami z dyskografii zespołu. Później te "pikczerdiski" **BMG** zaczęła tłoczyć na własne konto, wypuszczając pojedynczo wspomniane tytuły. Na początek poszły: "**Very 'Eavy Very 'Umble**" (1970), "**Salisbury**" (1971), "**Demons and Wizards**" (1972) i "**The Magician's Birthday**" (1972), później kolejne trzy: "**Sweet Freedom**" (1973), "**Wonderworld**" (1974), "**High And Mighty**" (1976). Uważny czytelnik zauważy, że pominięto krążki "**Look at Yourself**" (1971) i "**Return to Fantasy**" (1975). Dlaczego tak się stało, nie mam bladego pojęcia, ale z czasem **BMG** może to nadgoni. Ostatnie trzy tytuły wyszły już jakiś czas temu, więc myślę, że zainteresowani znają temat doskonale. Inni, którym ta kwestia jakoś uszła uwadze, powinni temat nadrobić, zresztą tak jak ja. Płyty "**Sweet Freedom**", "**Wonderworld**", "**High And Mighty**" należały do udanego okresu w karierze formacji. Niemniej nie dorównywały one jakościowo swoim poprzedniczkom. Brytyjczycy dopracowali się wtedy specyficznego miksu swojego stylu, z większą ilością syntezatorów i bardziej wysuniętymi gitarami, pozostając przy dość znaczącej własnej kreatywności. Niemniej tak się składa, że ostatnio słucham ich częściej i muszę przyznać, że przynosi mi to coraz więcej frajdy. Oznacza to - nie mniej nie więcej - że muzycy **Uriah Heep** przyłożyli się do swoich obowiązku z dużym oddaniem. Może nie przebili pod względem innowacyjności wczesnych dokonań, ale rozwinęli swoją muzykę, w pełni zachowując swoje charakterystyczne cechy. Poza tym im dłużej się słucha tej muzyki to, niektóre kawałki pozostają w pamięci na dłużej, chociażby "***Stealin***", "***Suicidal Man***" czy "***So Tired***". W momencie wydania najwięcej kontrowersji zbudził krążek "**High And Mighty**". Muzycy zdecydowali się wtedy na prostsze kompozycje, co mogło stwarzać wrażenie, że zespół oddala się od swoich korzeni. Niemniej, gdy słucham tego albumu dzisiaj, nie odczuwam tego dyskomfortu, a wręcz zdecydowanie słyszę wszystkie typowe elementy dla tej formacji. Owszem słyszę również mainstreamowe zapędy muzyków, ale nie był to powód do jakiejś większej trwogi, jak to czynili niektórzy z ówczesnych krytyków. No, cóż ta muzyka to historia, warta wiedzy, jak naj-bardziej. Natomiast wersje picture disc z pewnością są warte zachodu dla winylowych maniaków. Myślę, że oni nie mają takich dylematów.

\m/\m/

Anubis - Anubis

2020 Self-released

Anubis to amerykański zespół działający od roku 2018. Na Metal Archives obok nazwy kapeli widnieje power/thrash metal, co mnie osobiście od razu kojarzy się z **Metal Church** czy **Iced Earth**. Lecz nic z tego na wydawnictwach Amerykanów nie znajdziemy, choć na debiutanckiej EP-ce "**Ashes**" z 2019 roku opublikowano cover **Iced Earth** "***Burning Times***", więc faktycznie może jest coś na rzeczy. Niemniej na kolejnej EP-ce "**Anubis**" nic z US power metalu nie znajdziemy, jak już to bardzo dalekie echa. Amerykanie na tej płytce zaprezentowali trzy utwory, które zdecydowanie wzorują się na europejskim power metalu, tym oldschoolowym rodem z lat 80. czyli **Helloween** czy **Gamma Ray**. Niemniej muzycy **Anubis** zdaje się, bardziej są zapatrzeni we współczesne czasy, bowiem z tych trzech kawałków najmocniej wyzierają inspiracje **Primal Fear**. To też naprowadza na kolejny trop, czyli **Judas Priest** z okresu "**Painkiller**" czy "**Firepower**". Jak dla mnie każdy z kawałków to niesamowite speed/power metalowe killery, które mogłyby być ozdobą niejednego power metalowego krążka. Myślę, że nie jedna formacja chciałaby takich łebskich instrumentalistów i wokalistę. Tak **Devin Reiche** to niesamowity śpiewak. Ogólnie, kwestie kompozycji, realizacji, wykonania partii instrumentalnych Amerykanie prezentują się ponad przeciętność. (4)

Anubis - Hurricane of Hate

2020 Self-Released

Wraz z nową EP-ką "**Hurricane of Hate**" Amerykanie kontynuują swoją obraną ścieżkę muzyczną, ale na wydawnictwie mocniej zaznaczyła się fascynacja bardziej melodyjnym, europejskim power metalem. I tak rozpoczynający utwór "***Split The Earth in Two***" podejmuje rękawice i toczy wyrównany pojedynek z najlepszymi kawałkami **Dragonforce**. Natomiast taki "***My Aphrodite***" bardzo kojarzy się z **Freedom Call**. W pozostałych kawałkach mamy mieszankę power metalu z EP-ki "**Anubis**" oraz wpływów innych europejskich zespołów od **HammerFall**, poprzez **Astral Door**, **Dream Evil** po **Sabaton** włącznie. Prezentuje się to nieźle, ale dla mnie to leciutkie wahnięcie formy w dół. Poza tym produkcja tej EP-ki jest też trochę gorsza. No, ale życzę, każdej młodej kapeli takich zmian kondycji, czy niedoróbek w brzmieniu. (3,5)

Anubis - Eternal Youth, Eternal Night

2022 Self-Released

Wraz z wydaniem "**Eternal Youth, Eternal Night**" (2022) **Anubis** próbuje wrócić na właściwe tory. Ich trzy nowe kawałki starają się nawiązać do speed/power metalowych killerów, które znany z EP-ki "**Anubis**". Jedyne co mi się nie podoba to ekstremalnie rozpędzona perkusja (takie a la blasty) wykorzystana w niektórych momentach. W tytułowym utworze do wspomnianej partii perkusji dołączają gitary w neoklasycznych speedowych pląsach, co również nie daje najlepszych efektów. Pozostałe instrumenty i ich partie są na swoim wysokim poziomie, przede wszystkim zachwyca współpraca gitar oraz ich solowe partie. **Devin Reiche** również gwarantuje wysoką jakość linii melodycznych i wokali. (3,5)

Anubis - The Great Divide

2022 Self Released

W roku 2022 Amerykanie publikują jeszcze singiel z dwoma utworami "***The Great Divide***" i "***Ashes***" (prawdopodobnie to tytułowy kawałek, który po raz

pierwszy wykorzystano na debiutanckiej EP-ce "Ashes"). Oba kawałki brzmią wyśmienicie, są na równym poziomie, co te z "**Anubis**" (2020) i dają wiarę, że w końcu Amerykanie zaprezentują nam doskonały duży debiut. Zresztą odpowiednio aranżując utwory z "**Hurricane of Hate**" (przystosowując kawałki bardziej oldschoolowo) i te z "**Eternal Youth, Eternal Night**" (pozbyć się tych niepotrzebnych blastów), dodatkowo utrzymując jakość z EP-ki "**Anubis**" oraz omawianego singla "**The Great Divide**", podejrzewam, że wyszedłby całkiem przyzwoity debiut. Niemniej, jak na razie kapela wydala kolejny singiel "**Decreation Day**", który oprócz kawałka tytułowego zawiera również utwór "***Crucify***". Obie kompozycje brzmią ciut mocniej i nawiązują do EP-ki "**Hurricane of Hate**", gdzie mieli momenty, w których bardziej byli zapatrzeni na dokonania **Dragonforce**. Tym razem jest podobnie, z tym że "***Decreation Day***" jest zdecydowanie lepsze od "***Crucify***". (4)

\m/\m/

SZATANIEC PREZENTUJE
POPIÓR
POMARLISKO
"POPIÓR TO ANIOŁ, KTÓRY USIADŁ NA ZIEMSKIM PADOLE
I ZACZYNA KORZYSTAĆ Z LUDZKICH PODNIET I ROZKOSZY.
W KOŃCU DOSTRZEGA, ŻE Z KAŻDĄ TAKĄ ROZKOSZĄ WYPADA MU PIÓRKO."
ROMAN KOSTRZEWSKI
szataniec
DESIGN, PRODUCTION, DISTRIBUTION
www.szataniec.pl
www.popior.pl

NOWA PŁYTA ZESPOŁU TSA MNKWL

FANI TSA CZEKALI NA NIĄ PRAWIE DWADZIEŚCIA LAT!

PREMIERA
22 STYCZNIA
2024

LP 12"
W TRZECH
WERSJACH
KOLORÓW
WINYLI

PREORDER:
OD 22 GRUDNIA

EFEKTOWNA WERSJA GATEFOLD, Z UNIKALNYMI INSERTAMI DLA FANÓW!

> Gitary klarownie i ostro tną przestrzeń, ale mają w sobie ten hardrockowy płomień z chrypką, dając dojrzały kształt solidnie osadzonej całości. Panowie naprawdę mieli głód wydania tej płyty i pokazania się od kreatywnej strony.
>
> **MAGAZYN PERKUSISTA**

> To wspaniała kontynuacja tradycji TSA. Rasowy, szczery hard rock, który można śmiało postawić obok numerów z „Procedera", ale też wcześniejszych dokonań zespołu. Trudno będzie przebić to, co usłyszeliśmy na „Niezwyciężonym".
>
> **METAL HAMMER**

> Mamy rockową energię, chwytliwe melodie, znakomity instrumentalny warsztat i zarazem kwintesencję twórczości TSA, która brzmi wspaniale za pierwszym, drugim, jak i nastym odsłuchem. Piękne skojarzenia ze złotą erą lat 80-tych dla tego muzycznego gatunku.
>
> **WYSPA.FM**

> PODSTAWOWY MATERIAŁ, TO DZIEWIĘĆ NUMERÓW, BRZMIĄCYCH TAK, JAK STARE, DOBRE TSA.
>
> **HEAVY METAL PAGES**

PŁYTA CD
Z OKŁADKĄ 3D

CD JUŻ W SPRZEDAŻY!

Wydawca: BLACK MUSTACHE RECORDS
Dystrybucja płyty w wersji CD i LP - Allegro

KONTAKT: TSAMNKWL@gmail.com

INFO: facebook.com/TSA.MNK